OGNIEM I MIECZEM

OGNIEM I MIECZEM.

PISMA

Henryka Sienkiewicza.

OGNIEM I MIECZEM.

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

Z OBJAŚNIENIAMI WYRAZÓW STAROPOLSKICH I OBCYCH.

I.

Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia.

Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyroiła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potem kometa zjawiła się na niebie. W Warszawie widywano też nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach, odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki. Nareszcie zima nastała tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej. W południowych województwach lody nie popętały wcale wód, które, podsycane topniejącym każdego ranka śniegiem, wystąpiły z łożysk i pozalewały brzegi. Padały częste deszcze. Step rozmókł i zmienił się w wielką kałużę, słońce zaś w południe dogrzewało tak mocno, że — dziw nad dziwy! — w województwie Bracławskiem i na Dzikich Polach zielona ruń okryła stepy i rozłogi już w połowie grudnia. Roje po pasiekach poczęły się burzyć i huczeć, bydło ryczało po zagrodach. Gdy więc tak porządek przyrodzenia zdawał się być wcale odwróconym, wszyscy na Rusi, oczekując niezwykłych zdarzeń, zwracali niespokojny umysł i oczy szczególnie ku Dzikim Polom, od których łatwiej niźli skądinąd mogło się ukazać niebezpieczeństwo.

Tymczasem na polach nie działo się nic nadzwyczajnego i nie było innych walk i potyczek, prócz tych, które się odprawiały tam zwykle, a o których wiedziały tylko orły, jastrzębie, kruki i zwierz polny.

Bo takie to już były te pola. Ostatnie ślady osiadłego życia idąc ku południowi, niedaleko za Czehryniem od

Dniestru niedaleko za Humaniem, a potem hen! ku limanom i morzu step i step, we dwie rzeki jakby w ramę ujęty. Na łuku Dnieprowym, na Niżu, wrzało jeszcze kozacze życie za porohami, ale w samych polach nikt nie mieszkał, i chyba na brzegach tkwiły gdzieniegdzie "polanki," jakoby wyspy wśród morza. Ziemia była de nomine Rzeczypospolitej, ale pustynna, na której pastwisk Rzeczpospolita Tatarom pozwalała; wszakże, gdy Kozacy często broili, więc to pastwisko było i pobojowiskiem zarazem.

Ile tam walk stoczono, ilu ludzi legło, nikt nie zliczył, nikt nie spamiętał. Orły, jastrzębie i kruki jedne widziały, a kto zdaleka usłyszał szum skrzydeł i krakanie, kto ujrzał wiry ptasie, nad jednem kołujące miejscem, ten wiedział, że tam trupy lub kości niepogrzebane leżą... Polowano w trawach na ludzi, jakby na wilki lub suhaki. Polował kto chciał. Człek prawem ścigany chroni się w dzikie stepy, orężny pasterz trzód strzegł, rycerz przygód tam szukał, łotrzyk łupu, Kozak Tatara, Tatar Kozaka. Bywało, że i całe watahy broniły trzód przed tłumami napastników. Step to był pusty i pełny zarazem, cichy i groźny, spokojny i pełen zasadzek, dziki od dzikich pól, ale i od dzikich dusz.

Czasem też napełniła go wielka wojna. Wówczas płynęły po nim, jak fale, czambuły tatarskie, pułki kozackie, to chorągwie polskie lub wołoskie; nocami rżenie koni wtórowało wyciom wilków, głos kotłów i trąb mosiężnych leciał aż do Owidowego jeziora i ku morzu, a na Czarnym szlaku, na Kuczmańskim — rzekłbyś: powódź ludzka. Granic Rzeczypospolitej strzegły od Kamieńca aż do Dniestru stanice i "polanki" — i gdy szlaki miały się zaroić, poznawano właśnie po niezliczonych stadach ptactwa, które płoszone przez czambuły leciały na północ. Ale Tatar, byle wychylił się z Czarnego Lasu lub Dniestr przebył od strony wołoskiej, to stepem równo z ptakiem stawał w południowych województwach.

Wszelako zimy owej ptactwo nie ciągnęło z wrzaskiem ku Rzeczypospolitej. Na stepie było ciszej, niż zwykle. W chwili, gdy rozpoczyna się powieść nasza, słońce zachodziło właśnie, a czerwonawe jego promienie rozświecały okolicę pustą zupełnie. Na północnym krańcu Dzikich Pól, nad Omelniczkiem, aż do jego ujścia, najbystrzejszy wzrok nie mógłby odkryć jednej żywej duszy, ani nawet żadnego ruchu w ciemnych, zeschłych i zwiędłych burzanach. Słońce połową tylko tarczy wyglądało jeszcze z za widnokręgu. Niebo było już ciemne, a potem i step zwolna mroczył

się coraz bardziej. Na lewym brzegu, na niewielkiej wyniosłości, podobniejszej do mogiły niż do wzgórza, świeciły tylko resztki murowanej stanicy, którą niegdyś jeszcze Teodoryk Buczacki wystawił, a którą potem napady starły. Od ruiny owej padał długi cień. Opodal świeciły wody szeroko rozlanego Omelniczka, który w tem miejscu skręca się ku Dnieprowi. Ale blaski gasły coraz bardziej na niebie i na ziemi. Z nieba dochodziły tylko klangory (krzyki) żórawi, ciągnących ku morzu, zresztą ciszy nie przerywał żaden głos.

Noc zapadła nad pustynią, a z nią nastała godzina duchów. Czuwający w stanicach rycerze opowiadali sobie w owych czasach, że nocami wstają na Dzikich Polach cienie poległych, którzy zeszli tam nagłą śmiercią w grzechu, i odprawują swoje korowody, w czem im żaden krzyż ani kościół nie przeszkadza. To też, gdy sznury, wskazując północ, poczynały się dopalać, odmawiano po stanicach modlitwy za umarłych. Mówiono także, że owe cienie jeźdźców, snując się po pustyni, zastępują drogę podróżnym, jęcząc i pro ąc o znak krzyża świętego. Między nim trafiały się i upiory, które goniły za ludźmi wyjąc. Wprawne ucho zdaleka już rozeznawało wycie upiorów od wilczego. Widywano również całe wojska cieniów, które czasem zbliżały się do stanic, aż straże grały larum. Zapowiadało to zwykle wielką wojnę. Spotkanie pojedyńczych cieniów nie znaczyło również nic dobrego, ale nie zawsze należało sobie źle wróżyć, bo i człek żywy zjawiał się nieraz i niknął jak cień przed podróżnymi, dlatego często i snadnie za ducha mógł być poczytany.

Skoro więc noc zapadła nad Omelniczkiem, nie było w tem nic dziwnego, że zaraz koło opustoszałej stanicy zjawiał się duch, czy człowiek. Miesiąc wychynął właśnie z za Dniepru i obielił pustkę, głowy bodiaków i dal stepową. Wtem niżej na stepie ukazały się i inne jakieś nocne istoty. Przelatujące chmurki przesłaniały co chwila blask księżyca, więc owe postacie to wybłyskiwały z cienia, to znowu gasły. Chwilami nikły zupełnie i zdawały się topnieć w cieniu. Posuwając się ku wyniosłości, na której stał pierwszy jeździec, skradały się cicho, ostrożnie, zwolna, zatrzymując się co chwila.

W ruchach ich było coś przerażającego, jak i w całym tym stepie tak spokojnym na pozór. Wiatr chwilami podmuchiwał od Dniestru, sprawując żałosny szelest w zeschłych bodiakach, które po-

chylały się i trzęsły, jakby przerażone. W bladem świetle nocy widać było tylko jednego jeźdźca, stojącego na wyniosłości.

Wreszcie szelest ów zwrócił jego uwagę. Zbliżywszy się do skraju wzgórza, począł wpatrywać się w step uważnie. W tej chwili wiatr przestał wiać, szelest ustał, zrobiła się cisza zupełna.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy świst. Zmieszane głosy poczęły wrzeszczeć przeraźliwie: "Hałła! hałła! Jezu Chryste! ratuj! bij!" Rozległ się huk samopałów, czerwone światła rozdarły ciemność. Tętent koni zmieszał się ze szczękiem żelaza. Nowi jacyś jeźdźcy wyrośli jakby z pod ziemi na stepie. Rzekłbyś: burza zawrzała nagle w tej cichej, złowrogiej pustyni. Potem jęki ludzkie zawtórowały wrzaskom strasznym, wreszcie wszystko ucichło, walka była skończona.

Widocznie rozgrywała się jedna ze zwykłych scen na Dzikich Polach.

Jeźdźcy zgrupowali się na wyniosłości, niektórzy pozsiadali z koni, przypatrując się czemuś pilnie.

Wtem w ciemnościach ozwał się silny i rozkazujący głos:

— Hej, tam! skrzesać ognia i zapalić!

Po chwili posypały się naprzód iskry, a potem buchnął płomień suchych oczeretów i łuczywa, które podróżujący przez Dzikie Pola wozili zawsze z sobą.

Wnet wbito w ziemię drąg od kaganka, i jaskrawe, padające zgóry światło oświeciło wyraźnie kilkunastu ludzi, pochylonych nad jakąś postacią, leżącą bez ruchu na ziemi.

Byli to żołnierze, ubrani w barwę czerwoną dworską, i w wilcze kapuzy. Z tych jeździec, siedzący na dzielnym koniu, zdawał się reszcie przewodzić. Zsiadłszy z konia, zbliżył się do owej leżącej postaci i spytał:

— A co, wachmistrzu, żyje, czy nie żyje?

— Żyje, panie namiestniku, ale charcze: arkan go zdławił.

— Co zacz jest?

— Nie Tatar, znaczny ktoś.

— To i Bogu dziękować.

Tu namiestnik popatrzył uważniej na leżącego męża.

— Coś jakby hetman — rzekł.

— I koń pod nim tatar zacny, jak lepszego u chana nie znaleźć — odpowiedział wachmistrz. — A ot tam go trzymają.

Porucznik spojrzał i twarz mu się rozjaśniła. Obok dwóch sze-

regowych trzymało rzeczywiście dzielnego rumaka, który, tuląc uszy i rozdymając chrapy, wyciągał głowę i spoglądał przerażonemi oczyma na swego pana.

— Ale koń, panie namiestniku, będzie nasz? — wtrącił tonem pytania wachmistrz.

— A ty, psiawiaro, chciałbyś chrześcianinowi konia w stepie odjąć?

— Bo zdobyczny...

Dalszą rozmowę przerwało silniejsze chrapanie zduszonego męża.

— Wlać mu gorzałki w gębę — rzekł pan namiestnik — pas odpiąć.

— Czy zostaniemy tu na nocleg?

— Tak jest, konie rozkulbaczyć, stos zapalić.

Żołnierze skoczyli co żywo. Jedni poczęli cucić i rozcierać leżącego, drudzy ruszyli po oczerety, inni rozesłali na ziemi skóry wielbłądzie i niedźwiedzie na nocleg.

Pan namiestnik, nie troszcząc się więcej o zduszonego męża, odpiął pas i rozciągnął się na burce przy ognisku. Był to młody bardzo człowiek, suchy, czarniawy, wielce przystojny, ze szczupłą twarzą i wydatnym orlim nosem. W oczach jego malowała się okrutna fantazya i zadzierżystość, ale w obliczu miał wyraz uczciwy. Wąs dość obfity i niegolona oddawna broda dodawały mu nad wiek powagi.

Tymczasem dwaj pachołkowie zajęli się przyrządzaniem wieczerzy. Położono na ogniu gotowe ćwierci baranie; zdjęto też z koni kilka dropiów, upolowanych w czasie dnia, kilka pardew i jednego suhaka, którego pachoł wnet zaczął obłupywać ze skóry. Stos płonął, rzucając na step ogromne czerwone światła. Zduszony człowiek zaczął zwolna przychodzić do siebie.

Przez czas jakiś wodził nabiegłemi krwią oczyma po obcych, badając ich twarze; następnie usiłował powstać. Żołnierz, który poprzednio rozmawiał z namiestnikiem, dźwignął go w górę pod pachy; drugi włożył mu obuszek w dłoń, na którym nieznajomy wsparł się z całej siły. Twarz jego była jeszcze czerwona, żyły jej nabrzmiałe. Nakoniec przyduszonym głosem wykrztusił pierwszy wyraz:

— Wody!

Podano mu gorzałki, którą pił i pił, co mu widocznie dobrze zro-

biło, bo odjąwszy flaszkę od ust, czystym już głosem spytał:

— W czyich jestem ręku?

Naczelnik powstał i zbliżył się ku niemu:

— W ręku tych, co waści salwowali (uratowali).

" Przeto nie waszmościowie wzięli mnie na arkan?

— Mosanie, nasza rzecz szabla, nie arkan. Krzywdzisz waść dobrych żołnierzów podejrzeniem. Złapali cię jacyś łotrzykowie, udający Tatarów, których jeśliś ciekaw, oglądać możesz, bo oto leżą tam porznięci, jak barany.

To mówiąc, wskazał ręką kilka ciemnych ciał, leżących poniżej wyniosłości.

A nieznajomy na to:

— To pozwólcie mi spocząć.

Podłożono mu wojłokową kulbakę, na której usiadł i pogrążył się w milczeniu.

Był to mąż w sile wieku, średniego wzrostu, szerokich ramion, prawie olbrzymiej budowy ciała i uderzających rysów. Głowę miał ogromną, cerę zawiędłą, bardzo ogorzałą, oczy czarne i nieco ukośne, jak u Tatara, a nad wązkiemi ustami zwieszał mu się cienki wąs, rozchodzący się dopiero przy końcach w dwie szerokie kiście. Twarz jego potężna zwiastowała odwagę i dumę. Było w niej coś pociągającego i odpychającego zarazem — powaga hetmańska, ożeniona z tatarską chytrością, dobrotliwość i dzikość.

Posiedziawszy nieco na kulbace, wstał i nad wszelkie spodziewanie, zamiast dziękować, poszedł oglądać trupy.

— Prostak! — mruknął namiestnik.

Nieznajomy tymczasem przypatrywał się uważnie każdej twarzy, kiwając głową, jak człowiek, który odgadł wszystko, poczem wracał zwolna do namiestnika, klepiąc się po bokach i szukając mimowolnie pasa, za który widocznie chciał zatknąć rękę.

Nie podobała się młodemu namiestnikowi ta powaga w człeku, oderzniętym przed chwilą od powroza; więc rzekł z przekąsem:

— Rzekłby kto, że wasze znajomych szukasz między owymi łotrzykami, albo że pacierz za ich duszę odmawiasz.

Nieznajomy odparł z powagą:

— I nie mylisz się waść i mylisz; nie mylisz się, bom szukał znajomych, a mylisz się, bo to nie łotrzykowie, jedno słudzy pewnego szlachcica, mego sąsiada.

— Tedy widocznie nie z jednej studni pijacie z onym sąsiadem.

Dziwny jakiś uśmiech przeleciał po cienkich wargach nieznajomego.

— I w tem się waść mylisz — mruknął przez zęby.

Po chwili dodał głośniej:

— Ale wybacz waszmość pan, żem mu naprzód powinnej nie złożył dzięki za auxilium (pomoc) i skuteczny ratunek, który mnie od tak nagłej śmierci wybawił. Waści męstwo stanęło za moją nieostrożność, bom się od ludzi swoich odłączył, ale też wdzięczność moja wyrównywa waszej ochocie.

To rzekłszy, wyciągnął ku namiestnikowi rękę.

Ale butny młodzieńczyk nie ruszył się z miejsca i nie śpieszył z podaniem swojej; natomiast rzekł:

— Chciałbym naprzód wiedzieć, azali ze szlachcicem mam sprawę, bo chociaż o tem nie wątpię, jednakże bezimiennych podzięk przyjmować się mi nie godzi.

— Widzę w waszmości prawdziwie kawalerską fantazyę — i słusznie mówisz. Powinienem był zacząć od nazwiska mój dyskurs i moją podziękę. Jestem Zenobi Abdank, herbu Abdank z krzyżykiem, szlachcic z województwa Kijowskiego, osiadły i pułkownik kozackiej chorągwi księcia Dominika Zasławskiego.

— A ja Jan Skrzetuski, namiestnik chorągwi pancernej J. O. Ks. Jeremiego Wiśniowieckiego.

— Pod sławnym wojownikiem waść służysz. Przyjmijże teraz moją wdzięczność i rękę.

Namiestnik nie wahał się dłużej. Towarzysze pancerni zgóry wprawdzie patrzali na żołnierzów z pod innych chorągwi, ale pan Skrzetuski był na stepie, na Dzikich Polach, gdzie takie rzeczy mniej szły pod uwagę. Zresztą miał do czynienia z pułkownikiem, o czem zaraz naocznie się przekonał, bo gdy jego żołnierze przynieśli panu Abdankowi pas i szablę, z których go rozpasano dla cucenia, podali mu zarazem i krótką buławę o osadzie z kości, o głowie ze ślinowatego rogu, jakich zażywali zwykle pułkownicy kozaccy. Przytem ubiór imci Zenobiego Abdanka był dostatni, a mowa kształtna znamionowała umysł bystry i otarcie się w świecie.

Więc pan Skrzetuski zaprosił go do kompanii. Zapach pieczonych miąs jął właśnie rozchodzić się od stosu, łechcąc nozdrza i podniebienie. Pachoł wydobył je z żaru i podał na latercynowej misie. Poczęli jeść, a gdy przyniesiono spory worek mołdawskiego wina, uszyty z koźlej skóry, wnet zawiązała się żywa rozmowa.

— Oby nam się szczęśliwie do domu wróciło! — rzekł pan Skrzetuski.

— To waść wracasz? skądże, proszę? — spytał Abdank

— Zdaleka, bo z Krymu.

— A cóżeś waszmość tam robił? z wykupnem jeździłeś?

— Nie, mości pułkowniku: jeździłem do samego chana.

Abdank nadstawił ciekawie ucha.

— Ano to proszę, w piękną waść wszedłeś komitywę. I z czemże do chana jeździłeś?

— Z listem J. O. Ks. Jeremiego.

— To waść posłował. O cóż jegomość książę do chana pisał?

Namiestnik popatrzył bystro na towarzysza.

— Mości pułkowniku — rzekł — zaglądałeś w oczy łotrzykom, którzy cię na arkan ujęli, to twoja sprawa, ale co książę do chana pisał, to ani twoja, ani moja, jeno ich obydwóch.

— Dziwiłem się przed chwilą — odparł chytrze Abdank, — że jegomość książę tak młodego człowieka posłem do chana obrał, ale po waścinej odpowiedzi już się nie dziwię, bo widzę, żeś młody laty, ale stary eksperyencyą (doświadczeniem) i rozumem.

Namiestnik połknął gładko pochlebne słówko, pokręcił tylko młodego wąsa i pytał:

— A powiedźże mi waszmość, co porabiasz nad Omelniczkiem jakieś się tu wziął sam jeden?

— Nie jestem sam jeden, jenom ludzi zostawił po drodze, a jadę do Kudaku, do pana Grodzickiego, który jest tam przełożonym nad prezydyum (załogą) i do którego jegomość hetman w. wysłał mnie z listami.

— A czemu waść nie bajdakiem, wodą?

— Taki był ordynans (rozkaz), od którego odstąpić mi się nie godzi.

— To dziw, że jegomość hetman taki wydał ordynans, gdyż właśnie na stepie w tak ciężkie popadłeś terminy, których, wodą jadąc, pewno byłbyś uniknął.

— Mosanie, stepy teraz spokojne; znam ja się z nimi nie od dziś, a to, co mnie spotkało, to jest złość ludzka i invidia (zawiść).

— I kto na jegomości tak nastaje?

— Długoby gadać. Sąsiad to zły, mości namiestniku, który substancyę (majątek) mi zniszczył, z włości mnie ruguje, syna mi zbił — i ot — widziałeś waść, tu jeszcze na szyję moją nastawał!

— A to waść nie nosisz szabli przy boku?

W potężnej twarzy Abdanka zabłysła nienawiść, oczy zaświeciły mu posępnie i odrzekł zwolna a dobitnie:

— Noszę, i tak mi dopomóż Bóg, jako innych rekursów (środków) przeciw wrogom moim szukać już nie będę.

Porucznik chciał coś mówić, gdy nagle na stepie rozległ się tętent koni, a raczej pośpieszne chlupotanie końskich nóg po rozmiękłej trawie. Wnet też i czeladnik namiestnika, trzymający straż, nadbiegł z wieścią, że jakowiś ludzie się zbliżają.

— To pewnie moi — rzekł Abdank, — którzy zaraz za Taśminą zostali. Jam też, nie spodziewając się zdrady, tum na nich czekać obiecał.

Jakoż po chwili gromada jeźdźców otoczyła okręgiem wzgórze. Przy blasku ognia ukazały się głowy końskie z otwartemi chrapami, prychając ze zmęczenia, a nad niemi pochylone twarze jeźdźców którzy, przysłaniając rękoma od blasku oczy, patrzali bystro w światło.

— Hej ludzie! kto wy? — spytał Abdank.

— Raby boże! — odpowiedziały głosy z ciemności.

— Tak, to moi mołojce — powtórzył Abdank, zwracając się do namiestnika. — Bywajcie! bywajcie!

Niektórzy zeszli z koni i zbliżyli się do ognia.

— A my śpieszyli, śpieszyli, batku (ojcze). Szczo z toboju? (Co ci jest)?

— Zasadzka była. Chwedko zdrajca wiedział o miejscu i tu już czekał z innymi. Musiał podążyć dobrze przedemną. Na arkan mnie ujęli.

— Spasi Bih! Spasi Bih! (Uchowaj Boże!) A to co za Laszek (Polak) koło ciebie?

Tak mówiąc, spoglądali groźnie na pana Skrzetuskiego i jego towarzyszów.

— To druhy dobre — rzekł Abdank. — Sława Bogu, całym i żyw. Zaraz będziemy ruszać dalej.

— Sława Bogu! my gotowi.

Nowoprzybyli poczęli rozgrzewać dłonie nad ogniem, bo noc była zimna, choć pogodna. Było ich ze czterdziestu, ludzi rosłych i dobrze uzbrojonych. Nie wyglądali wcale na Kozaków regestrowych, co niepomału zdziwiło pana Skrzetuskiego, zwłaszcza, że była ich garść tak spora. Wszystko to wydało się namiestnikowi mo-

cno podejrzanem. Gdyby hetman w. wysłał imci Abdanka do Kudaku, dałby mu przecie straż z regestrowych, a powtóre, z jakiejżeby racyi kazał mu iść stepem od Czehrynia, nie wodą? Konieczność przeprawiania się przez wszystkie rzeki, idące Dzikiemi Polami do Dniepru, mogła tylko pochód opóźnić. Wyglądało to raczej tak, jakby imć pan Abdank chciał właśnie Kudak ominąć.

Ale zarówno i sama osoba pana Abdanka zastanawiała wielce młodego namiestnika. Zauważył wraz, że Kozacy, którzy ze swymi pułkownikami obchodzili się dość poufale, jego otaczali czcią nadzwyczajną, jakby prawego hetmana. Musiał to być jakiś rycerz dużej ręki, co tem dziwniejsze było panu Skrzetuskiemu, że, znając Ukrainę i z tej i z tamtej strony Dniepru, o takim przesławnym Abdanku nic nie słyszał. Było przytem w twarzy tego męża coś szczególnego — jakaś moc utajona, która biła z oblicza, jak żar od płomienia, jakaś wola nieugięta, znamionująca, że człek ten przed nikim i niczem się nie cofnie. Taką właśnie wolę w obliczu miał książę Jeremi Wiśniowiecki, ale co w księciu było przyrodzonym natury darem, właściwym wielkiemu urodzeniu i władzy, to mogło zastanowić w mężu nieznanego nazwiska, zabłąkanym w głuchym stepie.

Pan Skrzetuski długo deliberował. Chodziło mu po głowie, że to może jaki potężny banita, który wyrokiem ścigan chronił się w Dzikie Pola, to znów, że to watażka watahy zbójeckiej, ale to ostatnie nie było prawdopodobne. I ubiór i mowa tego człowieka pokazywały co innego. Zgoła więc nie wiedział namiestnik, czego się trzymać, miał się tylko na baczności, a tymczasem Abdank kazał sobie konia podawać.

— Mości namiestniku — rzekł, — komu w drogę, temu czas. Pozwólże podziękować raz jeszcze za ratunek. Oby Bóg pozwolił mi odpłacić ci równą usługą!

— Nie wiedziałem, kogo ratuję, przetom i na wdzięczność nie zasłużył.

— Modestya (skromność) to twoja tak mówi, która jest męstwu równa. Przyjmijże odemnie ten pierścień.

Namiestnik zmarszczył się i krok w tył odstąpił, mierząc oczyma Abdanka, ten zaś mówił dalej z ojcowską niemal powagą w głosie i postawie:

— Spojrzyj jeno. Nie bogactwo tego pierścienia, ale inne cnoty ci zalecam. Za młodych jeszcze lat, w bisurmańskiej niewoli będąc, dostałem go od pątnika, który z Ziemi Świętej powracał. W

;em oczku zamknięty jest proch z grobu Chrystusa. Takiego daru odmawiać się nie godzi, choćby i z osądzonych rąk pochodził. Jesteś waść młodym człowiekiem i żołnierzem, a gdy nawet i starość blizka grobu nie wie, co ją przed ostateczną godziną spotkać może, cóż dopiero adolescencya (młodość), która mając przed sobą wiek długi, na większą liczbę przygód trafić musi! Pierścień ten ustrzeże cię od przygody i obroni, gdy dzień sądu nadejdzie, a to ci powiadam, że dzień ten idzie już przez Dzikie Pola.

Nastała chwila ciszy; słychać było tylko syczenie płomienia i parskanie koni.

Z dalekich oczeretów dochodziło żałosne wycie wilków. Nagle Abdank powtórzył raz jeszcze, jakby do siebie:

— Dzień sądu idzie już przez Dzikie Pola, a gdy nadejdzie — zadywytsia wsij swit bożyj...

Namiestnik przyjął pierścień machinalnie, tak był zdumiały słowami tego dziwnego męża.

A ten zapatrzył się w dał stepową ciemną.

Potem zwrócił się zwolna i siadł na koń. Mołojcy jego czekali już u stóp wzgórza.

— W drogę! w drogę! Bywaj zdrów, druhu żołnierzu — rzekł do namiestnika. — Czasy teraz takie, że brat bratu nie ufa, przeto nie wiesz, kogoś ocalił, bom ci nazwiska swego nie powiedział.

— Więc waść nie Abdank?

— To klejnot mój....

— A nazwisko?

— Bohdan Zenobi Chmielnicki.

To rzekłszy, zjechał ze wzgórza, a za nim ruszyli mołojcy. Wkrótce okryły ich tuman i noc. Dopiero gdy ujechali już z pół stajania, wiatr przyniósł od nich słowa kozackiej pieśni:

"Oj wyzwoły, Boże, nas wsich, bidnych newilnykiw,
" Z tiażkoj niewoli,
" Z wiry bisurmańskoj, —
" Na jasni zori,
" Na tychi wody,
" U kraj wesełyj,
" U mir chreszczennyj.
"Wysłuchaj Boże u prośbach naszych,
"U neszczastnych mołytwach,
"Nas bidnych newilnykiw."

Głosy cichły zwolna, potem stopiły się z powiewem, szumiącym po oczeretach.

II.

Nazajutrz zrana przybywszy do Czehrynia, pan Skrzetuski stanął w mieście, w domu księcia Jeremiego, gdzie też miał kęs czasu zabawić, aby ludziom i koniom dać wytchnienie po długiej z Krymu podróży, którą z przyczyny wezbrania i nadzwyczaj bystrych prądów na Dnieprze trzeba było lądem odbywać, gdyż żaden bajdak nie mógł owej zimy płynąć pod wodę. Sam też Skrzetuski zażył nieco wczasu, a potem szedł do pana Zaćwilichowskiego, byłego komisarza Rzplitej, żołnierza dobrego, który, nie służąc u księcia, był jednak jego zaufanym i przyjacielem. Namiestnik pragnął się go wypytać, czy niema jakich z Łubniów dyspozycyi (poleceń). Książę wszelako nic szczególnego nie polecił: kazał Skrzetuskiemu w razie, gdyby odpowiedź chanowa była pomyślna, wolno iść, tak, aby ludzie i konie mieli się dobrze. Z chanem zaś miał książę taką sprawę, że chodziło mu o ukaranie kilku murzów tatarskich, którzy własnowolnie puścili mu w jego zadnieprzańskie państwo zagony, a których sam zresztą srodze zbił. Chan rzeczywiście dał odpowiedź pomyślną: obiecał przysłać osobnego posła na kwiecień, ukarać nieposłusznych, a chcąc sobie zyskać życzliwość tak wsławionego, jak książę, wojownika, posłał mu przez Skrzetuskiego konia wielkiej krwi i szaszłyk soboli. Pan Skrzetuski, wywiązawszy się z niemałym zaszczytem z poselstwa, które już samo było dowodem wielkiego książęcego faworu, bardzo był rad, że mu w Czehryniu zabawić pozwolono i nie naglono z powrotem. Natomiast stary Zaćwilichowski wielce był zafrasowany tem, co działo się od niejakiego czasu w Czehryniu. Poszli tedy razem do Dopuła, Wołocha, który w mieście zajazd i winiarnię trzymał, i tam, choć była godzina jeszcze wczesna, zastali szlachty huk, gdyż to był dzień targowy, a oprócz tego w tymże dniu wypadał w Czehryniu postój bydła, pędzonego ku obozowi wojsk koronnych, przyczem ludzi nazbierało się mnóstwo. Szlachta zaś gromadziła się zwykle w rynku, w tak zwanym Dzwonieckim kącie, u Dopuła. Byli tam więc i dzierżawcy Koniecpolskich, i urzędnicy czehryńscy, i właściciele ziem pobiskich, siedzący na przywilejach, szlachta osiadła i od nikogo nie-

zzleżna, dalej urzędnicy ekonomii, trochę starszyzny kozackiej i pomniejszy drobiazg szlachecki, bądź to pa kondycyach (służbie) żyjący, bądź na swych futorach.

Ci i tamci pozajmowali ławy, stojące wedle długich dębowych stołów, i rozprawiali głośno, a wszyscy o ucieczce Chmielnickiego, która była największym w mieście ewenementem (wydarzeniem). Skrzetuski więc z Zaćwilichowskim siedli sobie w kącie osobno, i namiestnik począł wypytywać, coby to za feniks (nadzwyczajny człowiek) był ten Chmielnicki, o którym wszyscy mówili.

— To waść nie wiesz? — odpowiedział stary żołnierz. — To jest pisarz wojska zaporoskiego, dziedzic Subotowa i — dodał ciszej — mój kum. Znamy się dawno. Bywaliśmy w różnych potrzebach, w których niemało dokazywał, szczególnie pod Cecorą. Żołnierza takiej eksperyencyi w wojskowych rzeczach niemasz może w całej Rzeczypospolitej. Tego się głośno nie mówi, ale to hetmańska głowa: człek wielkiej ręki i wielkiego rozumu; jego całe kozactwo słucha więcej niż koszowych atamanów; człek niepozbawiony dobrych stron, ale hardy, niespokojny, i gdy nienawiść weźmie w nim górę — może być straszny.

— Co mu się stało, że z Czehrynia umknął?

— Koty ze starostką Czaplińskim darli, ale to furda! Zwyczajnie szlachcic szlachcicowi z nieprzyjaźni sadła zalewał. Nie jeden on, i nie jednemu jemu. Mówią przytem, że żonę starostce balamucił, starostka mu kochanicę odebrał i z nią się ożenił, a on mu ją za to później bałamucił, a to jest podobna rzecz, bo zwyczajnie... kobieta lekka. Ale to są tylko pozory, pod którymi glębsze jakieś praktyki się ukrywają. Widzisz waść, rzecz jest taka: w Czerkasach mieszka stary Barabasz, pułkownik kozacki, nasz przyjaciel. Miał on przywileje i jakoweś pisma królewskie, o których mówiono, że Kozaków do oporu przeciw szlachcie zachęcały. Ale że to ludzki dobry człek, trzymał je u siebie i nie publikował. Owoż Chmielnicki Barabasza na ucztę zaprosiwszy, tu do Czehrynia, do swego domu, potem posłał ludzi do jego futoru, którzy pisma i przywileje u żony podebrali — i z niemi umknął. Strach, by z nich jaka rebelia, jako była ostranicowa, nie korzystała, bo repeto (powtarzam), że to człek straszny, a umknął niewiadomo gdzie.

Na to pan Skrzetuski:

— A to lis! w pole mnie wywiódł. Powiadał się pułkownikiem

kozackim księcia D. Zasławskiego. Toć ja jego tej nocy na stepie spotkałem i od arkana uwolniłem.

Zaćwilichowski aż się za głowę porwał.

— Na Boga, co waść powiadasz? Nie może to być!

— Może być, kiedy było. Powiadał mi się pułkownikiem u ks. D. Zasławskiego i że do Kudaku, do pana Grodzickiego od hetmana wielkiego jest posłany, alem już temu nie wierzył, gdyż nie wodą jechał, jeno się stepem przekradał.

— To człek chytry, jak Ulises! I gdzieżeś go waść spotkał?

— Nad Omelniczkiem, po prawej stronie Dnieprowej. Widno do Siczy jechał.

— Kudak chciał minąć. Teraz intelligo (rozumiem). Ludzi siła było przy nim?

— Było ze czterdziestu. Ale zapóźno przyjechali. Gdyby nie moi, byliby go słudzy starostki zdławili.

— Czekajże waszmość. To jest ważna rzecz. Słudzy starostki, mówisz?

— Tak sam powiadał.

— Skądże starostka mógł wiedzieć, gdzie jego szukać, kiedy tu w mieście wszyscy głowy tracą, nie wiedząc, gdzie się podział?

— Tego i ja wiedzieć nie mogę. Może też Chmielnicki zełgał i zwykłych łotrzyków na sługi starostki kreował (mianował), by swoje krzywdy tem mocniej afirmować (potwierdzić).

— Nie może to być. Ale to jest dziwna rzecz. Czy waszmość wie, że są listy hetmańskie, przykazujące Chmielnickiego łapać i in fundo (na miejscu) zadzierżyć?

Namiestnik nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej chwili wszedł do izby jakiś szlachcic z ogromnym hałasem. Drzwiami trzasnął raz i drugi, a spojrzawszy hardo po izbie, zawołał:

— Czołem waszmościom!

Był to człek czterdziestoletni, nizki, z twarzą zapalczywą, której to zapalczywości przydawały jeszcze bardziej oczy, jakby śliwy na wierzchu głowy siedzące, ruchliwe — człek widocznie bardzo żywy, wichrowaty i do gniewu skory.

— Czołem waszmościom! — powtórzył głośniej i ostrzej, gdy mu zrazu nie odpowiadano.

— Czołem, czołem! — ozwało się kilka głosów.

Był to pan Czapliński, podstarości czehryński, sługa zaufany młodego pana chorążego Koniecpolskiego.

W Czehryniu nie lubiano go, bo był zawadyaka wielki, pieniacz, prześladowca, ale miał niemniej wielkie plecy, przeto ten i ów z nim politykował.

Zaćwilichowskiego jednego szanował, jak i wszyscy, dla jego powagi, cnoty i męstwa. Ujrzawszy go, wnet też zbliżył się ku niemu, i skłoniwszy się dość dumnie Skrzetuskiemu, zasiadł przy nich ze swoją lampką miodu.

— Mości starosto — zapytał Zaćwilichowski, — czy wiesz, co się dzieje z Chmielnickim?

— Wisi, mości chorąży, jakem Czapliński, wisi, a jeśli dotąd nie wisi, to będzie wisiał. Teraz gdy są listy hetmańskie, niech jeno go dostanę w swoje ręce!

To mówiąc, uderzył pięścią w stół, aż płyn rozlał się ze szklanic.

— Nie wylewaj waćpan wina! — rzekł pan Skrzetuski.

Zaćwilichowski przerwał:

— A czy go waść dostaniesz? Przecie uciekł i nikt nie wie, gdzie jest?

— Nikt nie wie? Ja wiem — Jakem Czapliński! Waszmość, panie chorąży, znasz Chwedka. Owóż Chwedko jemu służy, ale i mnie. Będzie on Judaszem Chmielowi. Siła mówić. Wdał się Chwedko w komitywę z mołojcami Chmielnickiego. Człek sprytny. Wie o każdym kroku. Podjął się mi dostawić żywym czy zmarłym i wyjechał w step równo przed Chmielnickim, wiedząc, gdzie go ma czekać. A didków syn przeklęty!

To mówiąc, znowu w stół uderzył.

— Nie wylewaj waćpan wina! — powtórzył z przyciskiem pan Skrzetuski, który dziwną jakąś awersyę (niechęć) uczuł do tego podstarościego od pierwszego spojrzenia.

Szlachcic zaczerwienił się; błysnął swemi wypukłemi oczyma, sądząc, że mu dają okazyę, i spojrzał zapalczywie na Skrzetuskiego, ale ujrzawszy na nim barwę Wiśniowieckich, zmitygował się, gdyż jakkolwiek chorąży Koniecpolski wadził się wówczas z księciem, wszelako Czehryń zbyt był blizko Łubniów i niebezpiecznie było barwy książęcej nie uszanować.

Książę też i ludzi dobierał takich, że każdy dwa razy pomyślał, nim z którym zadarł.

— Więc to Chwedko podjął się waśći Chmielnickiego dostawić? pytał pan Zaćwilichowski.

— Chwedko. I dostawi, jakem Czapliński.

— A ja waści mówię, że nie dostawi. Chmielnicki zasadzki uszedł i na Sicz podążył, o czem trzeba pana krakowskiego dziś jeszcze zawiadomić. Z Chmielnickim niema żartów. Krótko mówiąc, lepszy on ma rozum, tęższą rękę i większe szczęście od waści, który zbyt się zapalasz. Chmielnicki odjechał bezpiecznie, powtarzam waci, a jeśli może nie wierzysz, to ci ten kawaler powtórzy, który go wczoraj na stepie w dział i zdrowym go pożegnał.

— Nie może być, nie może być! — wrzeszczał, targając się za czuprynę, Czapliński.

— I co większa — dodał Zaćwilichowski — to ten kawaler tu obecny sam go salwował (uratował) i waścinych sług wygubił, w czem, mimo listów hetmańskich, nie jest winien, bo z Krymu z poselstwa wraca i o listach nie wiedział, a widząc człeka przez łotrzyków, jak sądził, w stepie oprymowanego (napadniętego), przyszedł mu z pomocą. O którem to wyratowaniu się Chmielnickiego wcześnie waści zawiadamiam, bo gotów cię z Zaporożcami w twojej ekonomii odwiedzić, a snadź nie byłbyś mu rad bardzo. Nadtoś się z nim warcholił. Tfu do licha!

Zaćwilichowski nie lubił także Czaplińskiego.

Czapliński zerwał się z miejsca, i aż mu mowę ze złości odjęło, twarz tylko sponsowiała mu zupełnie, a oczy coraz bardziej na wierzch wyłaziły. Tak stojąc przed Skrzetuskim, puszczał tylko urywane wyrazy:

— Jak to! waść mimo listów hetmańskich... Ja waści... ja waści...

A pan Skrzetuski nie wstał nawet z ławy, jeno wsparłszy się na łokciu, patrzał na podskakującego Czaplińskiego, jak raróg na uwiązanego wróbla.

— Czego się waść mnie czepiasz, jak rzep psiego ogona? — spytał.

— Ja waści do grodu (przed władzę) z sobą... Waść mimo listów... Ja waści kozakami!...

Krzyczał tak, że w izbie uciszyło się trochę. Obecni poczęli zwracać głowy w stronę Czaplińskiego.

Szukał on okazyi zawsze, bo taka była jego natura, robił burdy każdemu, kogo napotkał, ale to zastanowiło wszystkich, że teraz za-

czął przy Zaćwilichowskim, którego jednego się obawiał, i że zaczął z żołnierzem, noszącym barwę Wiśniowieckich.

— Zamilknijno waszeć — rzekł stary chorąży. — Ten kawaler jest ze mną.

— Ja wa... wa... waści do grodu... w dyby! — wrzeszczał dalej Czapliński, nie uważając już na nic i na nikogo.

Teraz pan Skrzetuski podniósł się także całą wysokością swego wzrostu, ale nie wyjmował szabli z pochew, tylko jak ją miał spuszczoną nizko na rapciach, chwycił w środku i podsunął wgórę, tak, że rękojeść razem z krzyżykiem poszła pod sam nos Czaplińskiemu.

— Powąchajno to waść — rzekł zimno.

— Bij, kto w Boga... Służba! — krzyknął Czapliński, chwytając za rękojeść.

Ale nie zdążył szabli wydobyć. Młody namiestnik obrócił go w palcach, chwycił jedną ręką za kark, drugą za hajdawery (spodnie) poniżej krzyża, podniósł w górę rzucającego się jak cyga, i idąc ku drzwiom między ławami, wołał:

— Panowie bracia, miejsce dla rogala, bo pobodzie!

To rzekłszy, doszedł do drzwi, uderzył w nie Czaplińskim, roztworzył i wyrzucił podstarościego na ulicę.

Poczem spokojnie usiadł na dawnem miejscu obok Zaćwilichowskiego.

W izbie przez chwilę zapanowała cisza. Siła, jakiej dowód złożył pan Skrzetuski, zaimponowała zebranej szlachcie. Po chwili jednak cała izba zatrzęsła się od śmiechu.

— Vivant Wiśniowiecczycy! — wołali jedni.

— Omdlał, omdlał i krwią oblan — krzyczeli inni, którzy zaglądali przez drzwi, ciekawi, co też pocznie Czapliński. — Słudzy go podnoszą!

Mała tylko liczba stronników podstarościego milczała i, nie mając odwagi ująć się za nim, spoglądała ponuro na namiestnika.

— Prawdę rzekłszy, w piętkę goni ten ogar — rzekł Zaćwilichowski.

— Kundys to, nie ogar — rzekł, zbliżając się, gruby szlachcic, który miał bielmo na jednem oku, a na czole dziurę wielkości talara, przez którą świeciła naga kość. — Kundys to, nie ogar! Pozwól waść, — mówił dalej, zwracając się do Skrzetuskiego — abym mu służby moje ofiarował. Jan Zagłoba, herbu Wczele, co każdy snadno poznać może, choćby po onej dziurze, którą w czele kula roz-

bójnicza mi zrobiła, gdym się do Ziemi Świętej za grzechy młodości ofiarował.

— Dajże waść pokój — rzekł Zaćwilichowski, — powiadałeś innym razem, że ci ją kuflem w Radomiu wybito.

— Kula rozbójniczą, jakom żyw! W Radomiu było co innego.

— Ofiarowałeś się waść do Ziemi Świętej... może, aleś w niej nie był, to pewno.

— Nie byłem, bom już w Galacie palmę męczeńską otrzymał. Jeśli łżę, jestem arcypies, nie szlachcic!

— A taki breszesz i breszesz (kłamiesz)!

— Szelmą jestem bez uszu. W wasze ręce, panie namiestniku!

Tymczasem przychodzili i inni, zabierając z panem Skrzetuskim znajomość i afekt (przyjaźń) mu swój oświadczając, nie lubili bowiem ogólnie Czaplińskiego i radzi byli, że go taka spotkała konfuzya (zawstydzenie). Rzecz dziwna i trudna dziś do zrozumienia, że tak cała szlachta w okolicach Czehrynia, jak i pomniejsi właściciele słobód, dzierżawcy ekonomii, ba! nawet ze służby Koniecpolskich, wszyscy, wiedząc, jako zwyczajnie w sąsiedztwie, o zatargach Czaplińskiego z Chmielnickim, byli po stronie tego ostątniego. Chmielnicki bowiem miał sławę znamienitego żołnierza, który niemałe zasługi w różnych wojnach położył. Wiedziano także, że sam król się z nim znosił i wysoce jego zdanie cenił, na całe zaś zajście patrzano tylko, jak na zwykłą burdę szlachcica ze szlachcicem, a takich burd na tysiące się liczyło, zwłaszcza w ziemiach ruskich. Stawano więc po stronie tego, kto sobie więcej przychylności zjednać umiał, nie przewidując, by z tego takie straszliwe skutki wyniknąć miały. Później dopiero zapłonęły serca nienawiścią ku Chmielnickiemu, ale zarówno serca szlachty i duchowieństwa obudwóch obrządków.

Przychodzili tedy do pana Skrzetuskiego z kwartami, mówiąc: "Pij, panie bracie! — Wypij i ze mną! — Niech żyją Wiśniowieczczycy! Taki młody, a już porucznik u księcia! Vivat książę Jeremi, hetman nad hetmany! — Z księciem Jeremim pójdziemy na kraj świta! — Na Turków i Tatarów! — Do Stambułu! — Niech żyje miłościwie nam panujący Władysław IV!" Najgłośniej zaś krzyczał pan Zagłoba, który sam jeden gotów był cały regiment (pułk) przepić i przegadać.

— Mości panowie! — wrzeszczał, aż szyby w oknach dzwoniły —

pozwałem ja już jegomości sultana do grodu za gwałt, którego się na mnie w Galacie dopuścił.

— Nie powiadajże waćpan lada czego, żeby ci się gęba nie wystrzępiła.

— Jak to, mości panie? quatuor articuli judicii castrensis: stuprum, incendium, latrocinium et vis armata alienis aedibus illata (cztery artykuły prawa wojennego: zgwałcenie, podpalenie, rabunek i siłą zbrojną cudzego domu najechanie), a czyż nie była to właśnie vis armata (siła zbrojna)?

— Krzykliwy z waści głuszec.

— I choćby to trybunału pójdę!

— Przestańże, wasze...

— I kondemnatę (wyrok) uzyskam, i bezecnym go ogłoszę, a potem wojna, ale już z infamisem (bezecnym).

— Zdrowie waszmościów!

Niektórzy wszelako śmieli się, a z nimi pan Skrzetuski, bo mu się z czupryny trochę kurzyło, szlachcic zaś tokował (gadał) dalej, naprawdę jak głuszec, który się własnym głosem upaja. Na szczęście, dyskurs (rozprawa) jego przerwany został przez innego szlachcica, który, zbliżywszy się, pociągnął go za rękaw i rzekł śpiewnym litewskim akcentem:

— Poznajomijże waćpan, mości Zagłobo, i mnie z panem namiestnikiem Skrzetuskim — poznajomijże!

— A i owszem, i owszem, i owszem. Mości namiestniku, oto jest pan Powsinoga.

— Podbipięta — poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno! Herbu Zerwipludry...

— Zerwikaptur — poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno. Z Psichkiszek.

— Z Mysikiszek — poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno. Nescio (niewiem), cobym wolał, czy mysie czy psie kiszki. Ale to pewna, że bym w żadnych mieszkać nie chciał, bo to i osiedzieć się tam nie łatwo i wychodzić nie politycznie. Mości panie — mówił dalej do Skrzetuskiego, wskazując Litwina: — Oto tydzień już piję wino za pieniądze tego szlachcica, który ma miecz za pasem równie ciężki jak trzos, a trzos równie ciężki jak dowcip. Ale jeślim pił kiedy wino za pieniądze większego cudaka, to pozwolę się nazwać takim kpem, jak ten, co mi wino kupuje.

— A to go objechał! — wołała, śmiejąc się, szlachta.

Ale Litwin nie gniewał się, kiwał tylko ręką, uśmiechał się łagodnie i powtarzał.

— At dałbyś waćpan pokój — słuchać hadko.

Pan Skrzetuski przypatrywał się ciekawie tej nowej figurze, która istotnie zasługiwała na nazwę cudaka. Przedewszystkiem był to mąż wzrostu tak wysokiego, że głową prawie powały dosięgał, a chudość nadzwyczajna wydawała go wyższym jeszcze. Szerokie jego ramiona i żylasty kark zwiastowały niepospolitą siłę, ale była na nim tylko skóra i kości. Brzuch miał tak wpadły pod piersią, że możnaby go wziąć za głodomora, lubo ubrany był dostatnio w szarą opiętą kurtę ze świebodzińskiego sukna, z wązkimi rękawami, i wysokie szwedzkie buty, które na Litwie zaczynały wchodzić w użycie. Szeroki i dobrze wypchany łosiowy pas, nie mający na czem się trzymać, opadał aż na biodra, a do pasa przywiązany był krzyżacki miecz, tak długi, że temu olbrzymiemu mężowi do pachy dochodził.

Ale ktoby się miecza przeląkł, wnetby się uspokoił, spojrzawszy na twarz jego właściciela. Była to twarz chuda, również jak cała osoba, ozdobiona dwiema zwisłemi ku dołowi brwiami i parą tak samo zwisłych konopnego koloru wąsów, ale tak poczciwa, tak szczera, jak u dziecka. Owa obwisłość wąsów i brwi nadawały jej wyraz stroskany, smutny i śmieszny zarazem. Wyglądał na człeka, którego ludzie popychają, ale panu Skrzetuskiemu podobał się od pierwszego wejrzenia za ową szczerość twarzy i doskonały moderunek żołnierski.

— Panie namiestniku — rzekł, — to waszmość od księcia pana Wiśniowieckiego?

— Tak jest.

Litwin ręce złożył jako do modlitwy i oczy podniósł w górę.

— Ach, co to za wielki wojownik, co to za rycerz, co to za wódz!

— Daj Boże Rzeczypospolitej takich jaknajwięcej.

— I pewno, i pewno. A czyby nie można do niego pod znak?

— Będzie waści rad.

Tu pan Zagłoba wtrącił się do rozmowy:

—Będzie miał książę dwa rożny do kuchni, jeden z waćpana, drugi z jego miecza, albo najmie waści za mistrza, albo każe na wasanu zbójów wieszać, lub sukno na barwę będzie waćpanem mierzył! Tfu, jak się waćpan nie wstydzisz, będąc człowiekiem i katolikiem, być tak długim jak serpens (wąż), lub jak pogańska włócznia.

— Słuchać hadko — rzekł cierpliwie Litwin.

— Jakże też godność waszeci? — spytał pan Skrzetuski — bo gdyś mówił, pan Zagłoba tak waści podrywał, że z przeproszeniem nic nie mogłem zrozumieć.

— Podbipięta.

— Powsinoga.

— Zerwikaptur z Mysikiszek.

— Masz babo pociechę! Piję jego wino, ale kpem jestem, jeśli to nie pogańskie imiona.

— Dawno waść z Litwy? — pytał namiestnik.

— Ot już dwie niedziele w Czehryniu. Dowiedziawszy się od pana Zaćwilichowskiego, że waść tędy ciągnąć będziesz, czekam, by pod jego opieką księciu moje prośby przedłożyć.

— Powiedzże mi waszmość, proszę, bom ciekaw czemu też taki katowski miecz pod pachą nosisz?

— Nie katowski to, mości namiestniku, ale krzyżacki, a noszę, bo zdobyczny i dawno w rodzie. Już pod Chojnicami służył w litewskich ręku — tak i noszę.

— Ale to sroga machina i ciężka być musi okrutnie! chyba do obu rąk?

— Można do obu, można do jednej.

— Pokażże, wasze.

Litwin wydobył i podał, ale panu Skrzetuskiemu ręka zwisła odrazu. Ni się złożyć, ni cięcia wymierzyć swobodnie. Na dwie ręce poradził, ale jeszcze było ciężko. Więc pan Skrzetuski zawstydził się trochę i zwróciwszy się do obecnych:

— No, mości panowie — rzekł — kto krzyż uczyni?

— My już próbowali — odrzekło kilka głosów. — Jeden pan komisarz Zaćwilichowski podniesie, ale krzyża i on nie uczyni.

— No, a waćpan? — pytał pan Skrzetuski, zwracając się do Litwina.

Szlachcic podniósł miecz, jak trzcinę, i machnął nim kilkanaście razy z największą łatwością, aż powietrze warczało w izbie, i wiatr powiał po twarzach.

— A niechże waści Bóg sekunduje (dopomaga)! — zawoła Skrzetuski. — Pewną masz służbę u księcia pana.

— Bóg widzi, że jej pragnę, bo miecz mi w niej nie zardzewieje.

— Ale dowcip do reszty, — rzekł pan Zagłoba — gdyż nie umiesz waść tak samo nim obracać.

— Zaćwilichowski wstał, i obaj z namiestnikiem zabierali się do odejścia, gdy naraz wszedł do izby biały jak gołąb człowiek i, spostrzegłszy Zaćwilichowskiego, rzekł:

— Mości chorąży, komisarzu, ja tu do pana umyślnie!

Był to Barabasz, pułkownik czerkaski.

— To chodźże waszmość do mnie na kwaterę — rzekł Zaćwilichowski. — Tu już się tak ze łbów kurzy, że i świata nie widać.

Wyszli razem, a Skrzetuski z nimi. Zaraz za progiem Barabasz spytał:

— Czy niema wieści o Chmielnickim?

— Są. Uciekł na Sicz. Oto ten oficer spotkał go wczoraj na stepie.

— To nie wodą pojechał? Pchnąłem gońca do Kudaku, by go łapano, ale jeśli tak, to napróżno.

To rzekłszy, Barabasz zatknął rękoma oczy i począł powtarzać:

— Ej spasi (zbaw) Chryste! spasi Chryste!

— Czego się waść trwożysz?

— A czy waszmość wiesz, co on mi zdradą wyrwał? Czy wiesz, co to znaczy takie dokumenta w Siczy opublikować? Spasi Chryste! Jeśli król wojny z bisurmanem nie uczyni, to iskra na prochy...

— Rebelię (bunt) waszmość przepowiadasz?

— Nie przepowiadam, bo ją widzę, a Chmielnicki lepszy od Nalewajki i od Łobody.

— A kto za nim pójdzie?

— Kto? Zaporoże, regestrowi, mieszczanie, czerń, futornicy — i tacy ot!

Tu pan Barabasz wskazał rynek i uwijających się po nim ludzi. Cały rynek był zapchany wielkimi siwymi wołami, pędzonymi ku Korsuniowi dla wojska, a przy wołach szedł mnogi lud pastuszy, tak zwani czabanowie, którzy całe życie w stepach i pustyniach spędzali — ludzie zupełnie dzicy, nie wyznający żadnej religii — religionis nullius (religii żadnej), jak mówił wojewoda Kisiel. Spostrzegałeś między nimi postacie podobniejsze do zbójów, niż do pasterzy, okrutne, straszne, pokryte łachmanami rozmaitych ubiorów. Większa ich część była przybrana w tołuby baranie, albo w niewyprawne skóry wełną na wierzch, rozchełstane na przedzie i ukazujące, choć była to zima, nagą pierś, spaloną od wiatrów stepowych. Każdy zbrojny, ale w najrozmaitszą broń: jedni mieli łuki i sajdaki na plecach, niektórzy samopały, albo tak zwane z kozacka "piszczele,"

inni szable tatarskie, inni kosy, lub wreszcie tylko kije z przywiązaną na końcu szczęką końską. Między nimi kręcili się niemniej dzicy, choć lepiej zbrojni niżowcy, wiozący do obozu na sprzedaż rybę suszoną, zwierzynę i tłuszcz barani, dalej czumacy z solą, stepowi i leśni pasiecznicy, oraz woskoboje z miodem, osadnicy leśni ze smołą i dziegciem; dalej chłopi z podwodami, Kozacy regestrowi, Tatarzy z Białogrodu i Bóg wie kto — włóczęgi, "siromachy" z końca świata. W całem mieście pełno było pijanych, w Czehryniu bowiem wypadał nocleg, więc i hulatyka przed nocą. Na rynku rozkładano ognie, gdzieniegdzie paliła się beczka ze smołą. Zewsząd dochodził gwar i wrzaski. Przeraźliwy głos piszczałek tatarskich i bębnów mieszał się z ryczeniem bydła i z łagodniejszymi głosami lir, przy których wtórze ślepcy śpiewali ulubioną wówczas pieśń:

"Sokołe jasnyj,
Brate mij ridnyj,
Ty wysoko łetajesz,
Ty dałeko widajesz."

A obok tego rozlegały się dzikie okrzyki: "hu! ha! — hu! ha!" Kozaków tańczących na rynku trepaka, pomazanych dziegciem i pijanych zupełnie. Wszystko to razem było dzikie i rozszalałe. Dość było Zaćwilichowskiemu jednego spojrzenia, by się przekonać, że Barabasz miał słuszność, że lada podmuch mógł rozpętać te niesforne żywioły, skłonne do grabieży, a przywykłe do boju, których pełno było na całej Ukrainie. A poza tymi tłumami stała jeszcze Sicz, stało Zaporoże, od niedawna okiełznane i w karby po Masłowym Stawie ujęte, ale gryzące niecierpliwie munsztuk, pomne dawnych przywilejów, nienawidzące komisarzy, a stanowiące uorganizowaną siłę. Siła ta miała przecie za sobą sympatyę niezmiernych mas chłopstwa, mniej cierpliwego, niż w innych Rzplitej stronach, bo mającego pod bokiem Czertomelik, a na nim bezpaństwo, rozbój i wolę. Więc pan chorąży, choć sam Rusin i gorliwy wschodniego obrządku stronnik, zadumał się smutno.

Jako człek stary, pamiętał dobrze czasy Nalewajki, Łobody, Kremskiego, znał ukraińskie rozbójnictwo lepiej może, niż ktokolwiek na Rusi, a znając jednocześnie Chmielnickiego, wiedział że on wart dwudziestu Łobodów i Nalewajków. Zrozumiał tedy całe niebezpieczeństwo jego na Sicz ucieczki, zwłaszcza z listami królewskimi, o których pan Barabasz powiadał, że były pełne obietnic dla Kozaków i zachęcające ich do oporu.

— Mości pułkowniku czerkaski, — rzekł do Barabasza — powinienbyś waszmość na Sicz jechać, wpływy Chmielnickiego równoważyć i pacyfikować, pacyfikować (pokój czynić)!

— Mości chorąży, — odparł Barabasz — powiem tylko tyle waszmości, że na samą wieść o ucieczce Chmielnickiego z papierami, połowa czerkaskich ludzi dzisiejszej nocy także na Sicz za nim zbiegła. Moje czasy już minęły — mnie mogiła, nie buława!

Rzeczywiście, Barabasz był żołnierz dobry, ale człowiek stary i bez wpływu.

Tymczasem doszli do kwatery Zaćwilichowskiego; stary chorąży odzyskał już trochę pogody umysłu, właściwej jego gołębiej duszy, i gdy zasiedli nad półgarncówką miodu, rzekł raźniej:

— Wszystko to furda, jeśli, jak mówią, wojna z bisurmanem praeparatur (przygotowuje się), a podobno że i tak jest, bo choć Rzeczpospolita wojny nie chce i nie mało już sejmy królowi krwi napsuły, wszelako król może na swojem postawić. Cały ten ogień można będzie na Turka obrócić, a w każdym razie mamy przed sobą czas. Ja sam pojadę do pana Krakowskiego, zdam mu sprawę i będę prosił, by się jako najbliżej ku nam z wojskiem przymknął. Czy co wskóram, nie wiem, bo chociaż to pan mężny i wojownik doświadczony, ale okrutnie w swojem zdaniu i swojem wojsku dufny. Waść, mości pułkowniku czerkaski, trzymaj w ryzie Kozaków — a waść, mości namiestniku, po przybyciu do Łubniów, ostrzeż księcia, by na Sicz baczność obrócił. Choćby mieli co począć — repeto (powtarzam), mamy czas. Na Siczy teraz ludzi niewiele: za rybą i za zwierzem się porozchodzili i po całej Ukrainie we wsiach siedzą. Nim się ściągną, dużo wody w Dnieprze upłynie. Przytem imię księcia straszne i gdy się zwiedzą, że na Czertomelik oczy ma obrócone, może będą cicho siedzieli.

— Ja z Czehrynia choćby we dwóch dniach ruszyć gotowy — rzekł namiestnik.

— To i dobrze. Dwa i trzy dni nic nie znaczą. Waszmość, panie Czerkaski, pchnij też gońców z oznajmieniem sprawy do pana chorążego koronnego i do księcia Dominika. Ale waszmość już śpisz, jak widzę?

Rzeczywiście, Barabasz złożył ręce na brzuchu i zdrzemnął się głęboko; po chwili nawet chrapać zaczął. Stary pułkownik, gdy nie jadł, nie pił, co oboje nad wszystko lubił, to spał.

przez takiego starca warszawscy statyści chcieliby Kozaków w ryzie utrzymać! Bóg z nimi! Ufali też i samemu Chmielnickiemu, z którym kanclerz w jakoweś układy wchodził, a który podobno srodze ufność zawiedzie.

Namiestnik westchnął na znak współczucia. Barabasz zaś chrapnął silniej, a potem mruknął przez sen:

— Spasi Chryste! spasi Chryste!

— Kiedyż waść myślisz z Czehrynia ruszyć? — spytał chorąży.

— Wypada mi ze dwa dni Czaplińskiemu poczekać, który pewnie będzie chciał konfuzyi, jaka go spotkała, dochodzić.

— Nie uczyni tego. Prędzejby na waści sług swoich nasłał, gdybyś barwy książęcej nie nosił; ale z księciem zadrzeć straszna rzecz — nawet dla sługi Koniecpolskich.

— Oznajmię mu, że czekam, a we dwa lub trzy dni ruszę. Zasadzki też nie obawiam się, mając przy boku szablę i garść ludzi.

To rzekłszy, namiestnik pożegnał starego chorążego i wyszedł.

Nad miastem świeciła tak jasna łuna od stosów nałożonych na rynku, iż rzekłbyś cały Czehryń się pali, a gwar i krzyki wzmogły się jeszcze z nastaniem nocy. Żydzi nie wychylali się wcale ze swych domostw. W jednym kącie tłumy czabanów wyły posępne pieśni stepowe. Dzicy Zaporożcy tańczyli koło ognisk, rzucając w górę czapki, paląc z "piszczeli" i pijąc kwartami gorzałkę. Tu i owdzie zrywała się bijatyka, którą uśmierzali ludzie starostki. Namiestnik musiał torować sobie drogę rękojeścią szabli i, słuchając tych wrzasków i szumu kozaczego, chwilami myślał sobie, że to już rebelia tak przemawia. Zdawało mu się także, że widzi groźne spojrzenia i słyszy ciche, zwracane ku sobie klątwy. W uszach brzęczały mu jeszcze słowa Barabasza: "Spasi Chryste, spasi Chryste!" — i serce biło mu żywiej.

A tymczasem w mieście czabanowie zawodzili coraz głośniej chorowody, a Zaporożcy palili z samopałów i kąpali się w gorzałce.

Strzelanina i dzikie u-ha! u-ha! dochodziły do uszu namiestnika nawet wówczas, gdy już położył się spać w swojej kwaterze.

III.

W kilka dni później poczet naszego namiestnika posuwał się raźno w stronę Łubniów. Po przeprawie przez Dniepr, szli szeroką drogą stepową, która łączyła Czehryń z Łubniami, idąc na Żułki, Semi-Mogiły i Chorol. Drugi taki gościniec wiódł ze stolicy książącej do Kijowa. Za dawniejszych czasów, przed rozprawą hetmana Żółkiewskiego pod Sołonicą, dróg tych nie było wcale. Do Kijowa jechało się z Łubniów stepem i puszczą; do Czehrynia była droga wodna — z powrotem zaś jeżdżono na Chorol. Wogóle zaś owo naddnieprzańskie państwo — stara ziemia połowiecka — było pustynią, mało co więcej od Dzikich Pól zamieszkaną, przez Tatarów często zwiedzaną, dla watah (kup) zaporoskich otwartą.

Nad brzegami Suły szumiały ogromne, prawie stopą ludzką niedotykane lasy; miejscami po zapadłych brzegach Suły, Rudej, Śleporodu, Korowaja, Orżawca, Pszoły i innych większych i mniejszych rzek i dopływów, tworzyły się mokradła, zarosłe częścią gęstwiną krzów i borów, częścią odkryte pod postacią łąk. W tych borach i bagniskach znajdował łatwy przytułek zwierz wszelkiego rodzaju; w najgłębszych mrokach leśnych żyła moc niezmierna turów brodatych, niedźwiedzi i dzikich świń, a obok nich liczna szara gawiedź wilków, rysiów, kun, stada sarn i kraśnych suhaków; w bagniskach i w łachach rzecznych bobry zakłady swoje żeremia (domy), a o tych bobrach chodziły wieści na Zoporożu, że są między nimi stuletnie starce, białe jak śnieg ze starości.

Na wysokich suchych stepach bujały stada koni dzikich, o kudłatych głowach i krwawych oczach. Rzeki roiły się rybą i ptactwem wodnem. Dziwna to była ziemia, nawpół uśpiona, ale nosząca ślady dawniejszego życia ludzkiego. Wszędzie pełno popieliszcz po jakichś przedwiecznych grodach; same Łubnie i Chorol były z takich popieliszcz podniesione; wszędzie pełno mogił, nowszych i starszych, porosłych już borem. I tu, jak na Dzikich Polach, nocami wstawały duchy i upiory, a starzy Zaporożcy opowiadali sobie przy ogniskach dziwy o tem, co się czasami działo w owych głębinach leśnych, z których dochodziły wycia niewiadomo jakich zwierząt, krzyki pół-ludzkie, pół-zwierzęce, gwary straszne, jakoby bitew lub łowów. Pod wodami odzywały się dzwony potopionych miast. Ziemia była mało gościnna i mało dostępna, miejscami zbyt rozmię-

kła, miejscami cierpiąca na brak wód, spalona, sucha, a do mieszkania niebezpieczna, osadników bowiem, gdy się jako tako osiedlili i zagospodarowali, ścierały napady tatarskie. Odwiedzali ją tylko Zaporożcy dla gonów bobrowych, dla zwierza i ryby, w czasie bowiem pokoju większa część niżowców rozłaziła się z Siczy na łowy, czyli jak mówiono: na "przemysł", po wszystkich rzekach, jarach, lasach i komyszach (trzcinach), bobrując w miejscach, o których istnieniu nawet mało kto wiedział.

Jednakże życie osiadłe próbowało uwiązać się do tych ziem, jak roślina, która usiłuje, gdzie może, chwycić się gruntu korzonkami i raz wraz wyrywana, gdzie może, odrasta.

Powstawały na pustkach grody, osady, kolonie, słobody i futory. Ziemia była miejscami żyzna, a nęciła swoboda. Ale wtedy dopiero zakwitło życie, gdy ziemie te przeszły w ręce kniaziów Wiśniowieckich. Kniaź Michał, po ożenieniu się z Mohylanką, począł starowniej urządzać swoje zadnieprzańskie państwo, ściągał ludzi osadzał pustki, zapewniał swobody do lat trzydziestu, budował monastery (klasztory) i wprowadzał prawo swoje książęce. Nawet taki osadnik, który przymknął do tych ziem niewiadomo kiedy i sądził, że siedzi na własnym gruncie. chętnie schodził do roli kniaziowego czynszownika, gdyż za ów czynsz szedł pod potężną książęcą opiekę, którą go ochraniała, broniła od Tatarów i gorszych niż Tatarów — niżowców. Ale prawdziwe życie zakwitło dopiero pod żelazną ręką młodego księcia Jeremiego. Za Czehryniem zaraz zaczynało się jego państwo, a kończyło het aż pod Konotopem i Romnami. Nie stanowiło ono całej kniaziowej fortuny, bo od województwa Sandomierskiego począwszy, ziemie jego leżały w województwach Wołyńskiem, Ruskiem, Kijowskiem, ale naddnieprzańskie państwo było okiem w głowie zwycięzcy z pod Putywla.

Tatar długo czyhał nad Orłem, nad Worsklą i wietrzył, jak wilk, nim ośmielił się na północ konia popędzić — niżowcy nie próbowali zatargu. Miejscowe niespokojne watahy poszły w służbę. Dziki i rozbójniczy lud, żyjący dawniej z gwałtów i napadów, teraz ujęty w karby, zajmował "polanki" na rubieżach i leżąc na granicach państwa, jak brytan na łańcuchu, groził zębem najeźdźcy.

Toż zakwitło i zaroiło się wszystko. Pobudowano drogi na śladach dawnych gościńców; rzeki ujęto groblami, które sypał niewolnik Tatar lub niżowiec, schwytany z bronią w ręku na rozboju. Tam,

gdzie niegdyś wiatr grywał dziko nocami na oczeretach i wyły wilki i topielce, teraz hurkotały młyny. Przeszło czterysta kół, nie licząc rzęsisto rozsianych wiatraków, mełło zboże na samem Zadnieprzu. Czterdzieści tysięcy czynszowników wnosiło czynsz do kas książęcych, lasy zaroiły się pasiekami, na rubieżach powstawały wsie coraz nowe, futory, słobody. Na stepach, obok tabunów dzikich, pasły się całe stada swojskiego bydła i koni. Nieprzejrzany, jednostajny widok borów i stepów ubarwił się dymami chat, złoconemi wieżami cerkwi i kościołów — pustynia zamieniła się w kraj dość ludny.

Jechał tedy pan namiestnik Skrzetuski wesoło i nie śpiesząc się, jakoby swoją ziemią, mając po drodze wszelkie wczasy zapewnione. Był to dopiero początek stycznia 48 roku, ale dziwna, wyjątkowa zima nie dawała się wcale we znaki. W powietrzu tchnęła wiosna; ziemia rozmiękła i przeświecała wodą roztopów, na polach zieleniała ruń, a słońce dogrzewało tak mocno, że w podróży o południu kożuchy prażyły grzbiet, jak latem.

Orszak namiestnika zwiększył się znacznie, w Czehryniu bowiem przyłączyło się do niego poselstwo wołoskie, które hospodar do Łubniów wysłał w osobie pana Rozwana Ursu. Przy poselstwie było kilkunastu karałaszów (żołnierzy), eskorty i wozy z czeladzią. Prócz tego z namiestnikiem jechał nasz znajomy pan Longinus Podbipięta, herbu Zerwikaptur, ze swoim długim mieczem pod pachą i z kilku czeladzi służbowej.

Słońce, cudna pogoda i woń zbliżającej się wiosny napawały wesołością serca, a namiestnik tem był weselszy, że wracał z długiej podróży pod dach książęcy, który był zarazem jego dachem, wracał, sprawiwszy się dobrze, więc i przyjęcia dobrego pewny.

Ale wesołość jego miała i inne powody.

Oprócz łaski księcia, którego namiestnik z całej duszy kochał, czekały go w Łubniach i pewne czarne oczy, tak słodkie, jak miód.

Oczy te należały do Anusi Borzobohatej-Krasieńskiej, panienki respektowej księżny Gryzeldy, najpiękniejszej dziewczyny z całego fraucymeru (dwór niewieści), bałamutki wielkiej, za którą przepadali wszyscy w Łubniach, a ona za nikim. U księżny Gryzeldy mores (obyczajność) był wielki i surowość obyczajów niepomierna, co jednak nie przeszkadzało młodym spoglądać na się jarzącemi oczyma i wzdychać. Pan Skrzetuski posyłał tedy swoje westchnienia ku

czarnym oczom na równi z innymi, a gdy bywało zostawał sam w swojej kwaterze, wówczas chwytał lutnię w rękę i śpiewał:

"Tyś jest specyał nad specyały!" —

lub też:

"Jak tatarska orda,
Bierzesz w jasyr (do niewoli) corda (serca)!"

Ale że to był człek, wesół i przytem żołnierz wielce w swym zawodzie zamiłowany, więc nie brał zbyt do serca tego, że Anusia uśmiechała się tak samo do niego, jak i do pana Bychowca z chorągwi wołoskiej, jak do pana Wurcla z artyleryi, jako do pana Wołodyjowskiego z dragonów, a nawet do pana Baranowskiego z husaryi, chociaż ten ostatni był już dobrze szpakowaty i szeplenił, mając podniebienie potrzaskane kulą z samopału. Nasz namiestnik bił się już nawet raz z panem Wołodyjowskim na szable o Anusię, ale gdy przyszło zadługo siedzieć w Łubniach bez jakowejś wyprawy na Tatarów, to sobie nawet i przy Anusi przykrzył, a gdy przyszło ciągnąć — to ciągnął z ochotą, bez żalu, bez wspominków.

Zato też i witał z radością. Teraz więc oto, wracając z Krymu po pomyślnem rzeczy załatwieniu, podśpiewywał wesoło i czwanił koniem, jadąc obok pana Longinusa, który, siedząc na ogromnej inflanckiej kobyle, strapiony był i smutny, jak zawsze. Wozy poselstwa, karałasze, eskorta, zostały znacznie za nimi.

— Jegomość poseł leży na wozie, jak kawał drzewa i śpi ciągle — rzekł namiestnik. — Cudów mi naprawił o swojej Wołoszczyźnie, aż i usnął. Jam też słuchał z ciekawością. Niema co! kraj bogaty, klima przednie, złota, wina, bakaliów i bydła dostatek. Pomyślałem sobie tedy, że nasz książę rodzi się z Mohylanki i ma takie dobre prawo do hospodarskiego tronu, jak kto inny, których praw przecie książę Michał dochodził. Nie nowina to naszym paniętom Wołoszczyzna. Bijali już tam i Turków, i Tatarów, i Wołochów, i Siedmiogrodzian...

— Ale lud tam miększy niż u nas, o czem mi pan Zagłoba w Czehryniu opowiadał, — rzekł pan Longinus — a gdybym jemu nie wierzył, tedy w książkach do nabożeństwa potwierdzenie tej prawdy się znajduje.

— Jakto w książkach?

— Ja sam mam taką i mogę ją waszmości pokazać, bo ją zawsze wożę z sobą.

To rzekłszy, odpiął troki przy terlicy (siodle), i, wydobywszy niewielką książeczkę, starannie w cielę oprawioną, naprzód ucałował ją pobożnie, potem, przewróciwszy kilkanaście kartek, rzekł:

— Czytaj waść.

Pan Skrzetuski rozpoczął:

— "Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko..." Gdzie zaś tu jest o Wołochach? co waść mówisz! — to antyfona!

— Czytaj waść dalej.

— "...Abyśmy się stali godnymi obietnic Pana Chrystusowych. Amen."

— No, a teraz pytanie...

Skrzetuski czytał:

— "Pytanie: Dlaczego jazda wołoska zowie się lekką? — Odpowiedź: Bo lekko ucieka. Amen." — Hm! prawda! Wszelako w tej książce dziwne jest materyi pomieszanie.

— Bo to jest książka żołnierska, gdzie obok modlitw, rozmaite instructiones militares (instrukcye wojskowe) są przyłączone, z których nauczysz się waść o wszystkich nacyach, która z nich zacniejsza, która podła; co do Wołochów zaś, to się pokazuje, iż tchórzliwe z nich pachołki, przytem zdrajcy wielcy.

— Że zdrajcy, to pewna, bo pokazuje się to i z przygód księcia Michała. Co prawda, to i ja słyszałem, iż żołnierz to z przyrodzenia nieszczególny. Ma przecie książę jegomość chorągiew wołoską bardzo przednią, w której pan Bychowiec porucznikuje, ale stricte (ściśle biorąc), to w owej wołoskiej chorągwi nie wiem, czy i dwudziestu Wołochów się znajduje.

— Jak też waszmość myślisz, panie namiestniku, sila książę ma ludzi pod bronią?

— Będzie z ośm tysięcy, nie licząc Kozaków, co po pałankach stoją. Ale powiadał mi Zaćwilichowski, że teraz nowe zaciągi są czynione.

— To może Bóg da jakową wyprawę pod księciem panem?

— Tak mówią, że wielka wojna z Turczynem się gotuje i że sam król z całą potęgą Rzplitej ma ruszyć. Wiem też, że upominki Tatarom są wstrzymane, którzy przecie od strachu nie śmieją zagonu ruszyć. O tem słyszałem i w Krymie, gdzie bodaj dlatego przyjmowano mnie tak honeste (zacnie), bo jest wieść, że gdy król z hetmany pociągnie, książę ma na Krym uderzyć i całkiem Tatarów

zetrzeć. Jakoż to jest pewna, że takowej imprezy (roboty) innemu nie powierzą.

Pan Longinus podniósł do góry ręce i oczy.

— Dajże Boże miłosierny, daj takową świętą wojnę, na chwałę chrześcijaństwu i naszemu narodowi, a mnie grzesznemu pozwól w niej vota (śluby) moje spełnić, abym in luctu (w smutku) mógł być pocieszony, albo też śmierć chwalebną znaleźć.

— To waść ślub wedle wojny uczynił?

— Tak zacnemu kawalerowi wszystkie arkana (tajniki) duszy mojej otworzę, choć siła mówić, ale gdy waćpan ucha chętnie skłaniasz, przeto incipiam (zacznę): Wiesz waszmość, że herb mój zwie się Zerwikaptur, co z takowej przyczyny pochodzi, że gdy jeszcze pod Grunwaldem przodek mój, Stowejko Podbipięta, ujrzał trzech rycerzy w mniszych kapturach, w szeregu jadących, zajechawszy ich, ściął wszystkich trzech odrazu, a o tym sławnym czynie stare kroniki piszą, z wielką dla przodka mego chwałą...

— Nie lżejszą miał on przodek od waści rękę, ale i słusznie Zerwikapturem go nazwali.

— Któremu też król herb nadał, a w nim trzy kozie głowy w srebrnem polu, na pamiątkę owych trzech rycerzy, gdyż takie same srebrne głowy były na ich tarczach wyobrażone. Ten herb, razem z tym oto tu mieczem, przodek mój Stowejko Podbipięta przekazał potomkom swoim, z zaleceniem, by starali się splendor (chwałę) rodu i miecza podtrzymać.

— Niema co mówić, z grzecznego rodu waszmość pochodzisz!

Tu pan Longinus zaczął wzdychać rzewnie, a gdy nakoniec ulżyło mu trochę, tak mówił dalej:

— Będąc tedy z rodu ostatni, ślubowałem w Trokach Najświętszej Pannie żyć w czystości i nie prędzej stanąć na ślubnym kobiercu, póki za sławnym przykładem przodka mego, Stowejki Podbipięty, trzech głów tymże samym mieczem od jednego zamachu nie zetnę. O Boże miłosierny, widzisz, żem wszystko uczynił, co było w mocy mojej. Czystości dochowałem do dnia dzisiejszego, sercu czułemu milczeć kazałem, wojny szukałem i walczyłem, ale szczęścia nie miałem...

Porucznik uśmiechnął się pod wąsem.

— I nie ściąłeś waćpan trzech głów?

— Ot! nie zdarzyło się! Szczęścia niema! Po dwie nieraz bywało, ale trzech nigdy. Nie udało się zajechać, a trudno prosić wrogów,

by się ustawili równo do cięcia. Bóg jeden widzi moje smutki: siła w kościach jest, fortuna jest... ale adolescentia (młodość) uchodzi, czterdziestu pięciu lat dobiegam, serce do afektów się wyrywa, ród ginie, a trzech głów jak niema, tak niema!... Taki i Zerwikaptur ze mnie. Pośmiewisko dla ludzi, jak słusznie mówi pan Zagłoba, co wszystko cierpliwie znoszę i Panu Jezusowi ofiaruję.

Litwin począł tak wzdychać, że aż i jego inflancka kobyła, widać ze współczucia dla swego pana, jęła stękać i chrapać żałośnie.

— To tylko mogę waszmości powiedzieć — rzekł namiestnik, iż jeśli pod księciem Jeremim nie znajdziesz okazyi, to chyba nigdzie.

— Daj Boże! — odrzekł pan Longinus — dlatego i jadę prosić o łaskę księcia pana.

Dalszą rozmowę przerwał im nadzwyczajny łopot skrzydeł. Jak się rzekło, zimy tej ptactwo nie szło za morza, rzeki nie zamarzały, przeto szczególnie wodnego ptactwa wszędzie było pełno nad błotami. Właśnie w tej chwili porucznik z panem Longinem zbliżali się do brzegu Kahamliku, gdy nagle zaszumiało im nad głowami całe stado żórawi, które przeciągały tak nizko, że możnaby niemal kijem do nich dorzucić. Stado leciało z wrzaskiem okrutnym i zamiast zapaść w oczerety, podniosło się niespodziewanie w górę.

— Mkną, jakby gonione — rzekł pan Skrzetuski.

— A o! widzisz waść — rzekł pan Longinus, ukazując białego ptaka, który, tnąc powietrze ukośnym lotem, starał się podlecić pod stado.

— Raróg, raróg! przeszkadza im zapaść! — wołał namiestnik. — Poseł ma rarogi, musiał puścić.

W tej chwili pan Rozwan Ursu nadjechał pędem na czarnym anatolskim dzianecie, a za nim kilku karaszów służbowych.

— Panie poruczniku, proszę na zabawę — rzekł.

— Czy to raróg waszej cześci?

— Tak jest, i zacny bardzo, zobaczysz waść...

Popędzili naprzód we trzech, a za nimi Wołoch sokolniczy z obręczą, który utkwiwszy oczy w ptaki, krzyczał z całych sił, zachęcając raroga do walki.

Dzielny ptak zmusił już tymczasem stado do podniesienia się w górę, potem sam wzbił się, jak błyskawica, jeszcze wyżej i zawisł nad niem. Żórawie zbiły się w jeden ogromny wir, szumiący jak burza

skrzydłami. Groźne wrzaski napełniały powietrze. Ptaki powyciągały szyje, powytykały ku górze dzioby jak włócznie, i czekały ataku.

Raróg tymczasem krążył nad nimi. To zniżał się, to podnosił jak gdyby wahał się runąć na dół, gdzie na pierś jego czekało sto ostrych dziobów. Jego białe pióra, oświecone słońcem, błyszczały, jak samo słońce na pogodnym błękicie nieba.

Nagle, zamiast rzucić się na stado, pomknął jak strzała w dal i wkrótce zniknął za kępami drzew i oczeretów.

Pierwszy Skrzetuski ruszył za nim z kopyta. Poseł, sokolnik i pan Longinus poszli za jego przykładem.

Wtem na skręcie drogi namiestnik wstrzymał konia, gdyż nowy a dziwny widok uderzył jego oczy. W pośrodku gościńca leżała na boku kolaska ze złamaną osią. Odprzężone konie trzymało dwóch kozaczków. Woźnicy nie było wcale; widocznie odjechał w celu odszukania pomocy. Przy kolasce stały dwie niewiasty, jedna ubrana w lisi tołub i takąż czapkę z okrągłem dnem, twarzy surowej męskiej; druga była to młoda panna, wzrostu wyniosłego, rysów pańskich i bardzo foremnych. Na ramieniu tej młodej pani siedział raróg i rozstrzępiwszy pióra na piersiach, muskał je dziobem.

Namiestnik owadził konia, aż kopyta wryły się w piasek gościńca, i rękę podniósł do czapki, zmieszany i niewiedzący, co ma mówić, czy witać, czy o raroga się dopominać? Zmieszany był jeszcze i dlatego, że z pod kapturka spojrzały nań takie oczy, jakich jak życie swoje nie widział: czarne, aksamitne a łzawe, a mieniące się, a ogniste, przy których oczy Anusi Borzobohatej zgasłyby, jak świeczki przy pochodniach. Nad temi oczyma jedwabne ciemne brwi rysowały się dwoma delikatnymi łukami, zarumienione policzki kwitnęły, jak kwiat najpiękniejszy, przez malinowe wargi, trochę otwarte, widniały ząbki, jak perły, z pod kapturka spływały bujne czarne warkocze. "Czy Juno we własnej osobie, czy inne jakoweś bóstwo?" — pomyślał namiestnik, widząc ten wzrok strzelisty, pierś wypukłą i tego białego sokoła na ramieniu. Stał tedy nasz porucznik bez czapki i zapatrzył się, jak w cudowny obraz, i tylko oczy mu się świeciły, a za serce chwytało go coś, jak ręką. I już miał rozpocząć mowę od słów: "Jeśliś jest śmiertelną istotą, nie zaś bóstwem..." gdy w tej chwili nadjechał poseł i pan Longinus, a z nimi sokolnik z obręczą. Widząc to, bogini nadstawiła rarogowi rękę, na której ten zaraz, zszedłszy z ramienia, usadowił się, przestępując z nogi na

nogę. Namiestnik, uprzedzając sokolniczego, chciał zdjąć ptaka, gdy nagle stał się dziwny omen (wróżba). Oto raróg, pozostawiwszy jedną nogę na ręku panny, drugą chwycił się namiestnikowej dłoni i zamiast przesiąść się, począł kwilić radośnie i przyciągać te ręce ku sobie tak silnie, że się musiały zetknąć. Po namiestniku mrowie przeszło, raróg zaś dopiero wtedy dał się przenieść na obręcz, gdy sokolnik nałożył mu kaptur na głowę. A wtem starsza pani poczęła wyrzekać:

— Rycerze! — mówiła — ktokolwiek jesteście, nie odmawiajcie pomocy białogłowom, które, zostawszy na drodze bez pomocy, same nie wiedzą, co począć. Do domu nam już nie dalej, niż trzy mile, ale w kolasce osie popękały, i chyba nam nocować w polu przyjdzie; woźnicę posłałam do synów, by nam choć wozy przysłali, ale nim woźnica dojedzie i wróci, ciemno będzie, a na tem uroczysku strach zostać, bo tu w pobliżu mogiły.

Stara szlachcianka mówiła prędko i głosem tak grubym, że namiestnik aż się zdziwił, wszelako odrzekł grzecznie:

— Nie dopuszczajże jejmość tej myśli, byśmy panią i nadobną jej córkę mieli bez pomocy zostawić. Jedziemy do Łubniów, gdyż żołnierzami w służbie J. O. księcia Jeremiego jesteśmy, i podobno nam droga w jedną stronę wypada, a choćby też nie, to zboczymy chętnie, byle się nasza asystencya (towarzystwo) nie uprzykrzyła. Co zaś do wozów, to ich nie mam, bo z towarzyszami po żołniersku komunikiem idę, ale pan poseł ma, i tuszę, że jako uprzejmy kawaler, chętnie nimi pani i jejmościance służyć będzie.

Poseł uchylił sobolowego kołpaka, gdyż, znając mowę polską, zrozumiał o co idzie, i zaraz z pięknym komplimentem, jako grzeczny bojar (pan), wystąpił, poczem rozkazał sokolniczemu skoczyć po wozy, które były znacznie z tyłu zostały. Przez ten czas namiestnik patrzał na pannę, która pożerczego wzroku jego znieść nie mogła, opuściła oczy na ziemię, a dama o kozackiem obliczu tak mówiła dalej:

— Niech Bóg zapłaci imć panom za pomoc. A że do Łubniów droga jeszcze daleka, nie pogardzicie moim i moich synów dachem, pod którym radzi wam będziem. My z Rozłogów-Siromachów, ja wdowa po kniaziu Kurcewiczu—Bułyże, a to nie jest moja córka, jeno córka po starszym Kurcewiczu, bracie mego męża, który sierotę swą nam na opiekę oddał. Synowie moi teraz w domu, a ja wracam z Czerkas, gdziem się do ołtarza Świętej-Przeczystej ofiarowała.

Aż oto w powrocie spotkał nas ten wypadek, i gdyby nie polityka (grzeczność) waszmościów, chybaby na drodze nocować przyszło.

Kniaziowa mówiłaby jeszcze dłużej, ale wtem zdala pokazały się wozy nadjeżdżające kłusem wśród gromady karałaszów poselskich i żołnierzy pana Skrzetuskiego.

— To jejmość pani wdowa po kniaziu Wasilu Kurcewiczu? — spytał namiestnik.

— Nie! — zaprzeczyła żywo i jakby gniewliwie kniahini. — Jam wdowa po Konstantynie, a to jest córka Wasila, Helena, — rzekła, wskazując pannę.

— O kniaziu Wasilu wiele w Łubniach rozpowiadają. Był to żołnierz wielki i nieboszczyka księcia Michała zaufany.

— W Łubniach nie byłam — rzekła z pewną wyniosłością Kurcewiczowa — i o jego żołnierstwie nie wiem, a o późniejszych postępkach niema co wspominać, gdyż i tak wszyscy o nich wiedzą.

Słysząc to, kniaziówna Helena zwiesiła głowę na piersi, jak kwiat podcięty kosą, a namiestnik odparł żywo:

— Tego waćpani nie mów. Kniaź Wasil, przez straszliwy error (błąd) sprawiedliwości ludzkiej skazany na utratę gardła i mienia musiał się ucieczką salwować, ale później wykryła się jego niewinność, którą też promulgowano (ogłoszono) i do sławy go, jako cnotliwego męża, przywrócono; a sława tem większą być powinna, im większą była krzywda.

Kniahini spojrzała bystro na namiestnika, a w jej nieprzyjemnem, ostrem obliczu gniew odbił się wyraźnie. Ale pan Skrzetuski, choć człowiek młody, tyle miał w sobie jakowejś powagi rycerskiej i tak jasne wejrzenie, że mu zaoponować nie śmiała, natomiast zwróciła się do kniaziówny Heleny:

— Waćpannie tego słuchać nie przystoi. Idź oto dopilnuj, aby toboły z kolaski były przełożone na wozy, na których z pozwoleniem ichmościów siedzieć będziem.

— Pozwolisz jejmość panna pomódz sobie — rzekł namiestnik.

Poszli oboje ku kolasce, ale skoro tylko stanęli naprzeciw siebie po obu stronach jej drzwiczek, jedwabne frendzle oczu kniaziówny podniosły się, i wzrok jej padł na twarz porucznika, jakoby jasny, ciepły promień słoneczny.

— Jakże mam waszmości panu dziękować — rzekła głosem, który namiestnikowi wydał się tak słodką muzyką, jak dźwięczenie lutni

i fletów — Jakże mam dziękować, żeś się za sławę ojca mego ujął i za tę krzywdę, która go od najbliższych krewnych spotyka.

— Mościa panno! — odpowiedział namiestnik, a czuł, że serce tak mu taje, jak śnieg na wiosnę. — Tak mi Boże dopomóż, jakobym dla takiej podzięki w ogień skoczyć gotowy, albo zgoła krew przelać, a gdy ochota tak wielka, przeto zasługa mniejsza, dla której małości nie godzi mi się dziękczynnego żołdu z ust imć panny przyjmować.

— Jeżeli waszmość pan nim pogardzasz, to jako uboga sierota nie mam jak inaczej wdzięczności mojej okazać.

— Nie pogardzam ja nim — mówił ze wzrastającą siłą namiestnik, — ale na taki wielki fawor (łaskę) zarobić długą i wierną służbą pragnę, i o to tylko proszę, abyś mnie imć panna przyjąć na ową służbę raczyła.

Kniaziówna, słysząc te słowa, zapłoniła się, zmieszała, potem przybladła nagle i ręce do twarzy podnosząc, odrzekła żałosnym głosem:

— Nieszczęścieby chyba waćpanu taka służba przynieść mogła.

A namiestnik przechylił się przez drzwiczki kolaski i tak mówił z cicha a tkliwie:

— Przyniesie co Bóg da, a choćby też i ból, przeciem ja do nóg waćpanny upaść i prosić o nią gotowy.

— Nie może to być, rycerzu, abyś waćpan, dopiero mnie ujrzawszy, tak wielką do onej służby miał ochotę.

— Ledwiem cię ujrzał, jużem o sobie zgoła zapomniał i widzę, że wolnemu dotąd żołnierzowi chyba w niewolnika zmienić się przyjdzie, ale taka widać wola Boża. Afekt jest jako strzała, która niespodzianie pierś przeszywa, i oto czuję jej grot, choć wczoraj sambym nie wierzył, gdyby mi kto powiadał.

— Jeślibyś waszmość wczoraj nie wierzył, jakże ja uwierzyć dzisiaj mogę?

— Czas o tem najlepiej waćpannę przekona, a szczerości, choćby zaraz, nietylko w słowach, ale i w obliczu dopatrzyć się możesz.

I znowu jedwabne zasłony oczy kniaziówny podniosły się, a wzrok jej napotkał męskie i szlachetne oblicze młodego żołnierza i spojrzenie tak pełne zachwytu, że ciemny rumieniec pokrył jej twarz. Ale nie spuszczała już wzroku ku ziemi i przez chwilę on pił słodycz jej cudnych oczu. I tak patrzali na siebie, jak dwie istoty, które, spotkawszy się choćby na gościńcu, na stepie, czują, że się wybrały od-

razu, i których dusze zaczynają zaraz lecieć wzajemnie ku sobie, jak dwa gołębie.

Aż tę chwilę zachwytu przerwał im ostry głos kniahini Konstantowej, wołającej na kniaziównę. Wozy nadeszły. Karałasze poczęli przenosić na nie pakunki z kolaski i za chwilę wszystko było gotowe.

Pan Rożwan Ursu, grzeczny bojar, ustąpił obydwom niewiastom własnej kolaski, namiestnik siadł na koń. Ruszono w drogę.

Dzień też miał się już ku spoczynkowi. Rozlane wody Kahamliku świeciły złotem od zachodzącego słońca i purpury zorzy. Wysoko na niebie ułożyły się stada lekkich chmurek, które, czerwieniejąc, stopniowo zsuwały się zwolna ku krańcom widnokręgu, jakby zmęczone lataniem po niebie, szły spać gdzieś do nieznanej koleby. Pan Skrzetuski jechał po stronie kniaziówny, ale nie zabawiał jej rozmową, bo tak z nią mówić, jak przed chwilą, przy obcych nie mógł, a błahe słowa nie chciały mu się przez usta przecisnąć. W sercu tylko czuł błogość, a w głowie szumiało mu coś, jak wino.

Cała karawana poruszała się raźno naprzód a ciszę przerywało tylko parskanie koni lub brzęk strzemienia o strzemię. Potem karałasze poczęli na tylnych wozach smutną pieśń wołoską, wkrótce jednak ustali, a natomiast rozległ się nosowy głos pana Longina, śpiewającego pobożnie: "Jam sprawiła na niebie, aby wschodziła światłość nieustającą, i jako mgła — pokryłam wszystką ziemię." Tymczasem ściemniało. Gwiazdki zamigotały na niebie, a z wilgotnych łąk wstały białe tumany, jako morza bez końca.

Wjechali w las, ale zaledwie ujechali kilka staj, gdy dał się słyszeć tętent koni i pięciu jeźdźców ukazało się przed karawaną. Byli to młodzi kniaziowie, którzy, zawiadomieni przez woźnicę o wypadku, jaki spotkał matkę, śpieszyli na jej powitanie, prowadząc z sobą wóz zaprzężony we cztery konie.

— Czy to wy, synkowie? — wołała stara kniahini.

Jeźdźcy zbliżyli się do wozów.

— My, matko!

— Bywajcie! Dzięki tym oto ichmościom, nie potrzebuję już pomocy... To moi synkowie, których polecam łasce I. M. panów: Szymon, Jur, Andrzej i Mikołaj — a to kto piąty? — rzekła, przypatrując się pilniej. — Hej, jeśli stare oczy widzą pociemku, to Bohun — co?

Kniaziówna cofnęła się nagle w głąb kolaski.

— Czołem wam, kniahini, i wam kniaziówno Heleno! — rzekł piąty jeździec.

— Bohun! — mówiła stara. — Od pułku przybyłeś, sokole? A z teorbanem? Witajże, witaj! Hej, synkowie! Prosiłam już I. M. panów na nocleg do Rozłogów, a teraz wy im s'ę pokłońcie! Gość w dom, Bóg w dom! Bądźcież ichmościowie na nasz dom łaskawi.

Bułyhowie uchylili czapek.

— Prosimy pokornie waszmościów w nizkie progi.

— Już mi też obiecali, i jego wysokość pan poseł, i imć pan namiestnik. Zacnych kawalerów będziemy przyjmowali, tylko że przywykłym do specyałów na dworach, nie wiem, czy będzie smakowała nasza uboga pasza.

— Na żołnierskim my chlebie, nie na dworskim chowani — rzekł pan Skrzetuski.

A pan Rozwan Ursu dodał:

— Próbowałem ja już gościnnego chleba w szlacheckich domach i wiem, że i dworski mu nie wyrówna.

Wozy ruszyły naprzód, a stara kniahini mówiła dalej:

— Dawno to, dawno już minęły dla nas lepsze czasy. Na Wołyniu i na Litwie są jeszcze Kurcewicze, którzy poczty trzymają i wcale po pańsku żyją, ale ci uboższych krewnych znać nie chcą, za co niech ich Bóg skarze. U nas prawie kozacza bieda, którą nam waszmościowie musicie wybaczyć i szczerem sercem przyjąć to, co szczerze ofiarujemy. Ja i pięciu synów siedzimy na jednej wiosce i kilkunastu słobodach, a z nami i ta jeszcze jejmościanka na opiece.

Namiestnika dziwiły te słowa, gdyż słyszał w Łubniach, że Rozłogi były niemałą fortuną szlachecką, a powtóre, że należały ongi do kniazia Wasila, ojca Heleny. Nie zdawało mu się jednak rzeczą stosowną pytać, jakim sposobem przeszły w ręce Konstantyna i jego wdowy.

— To jejmość pani pięciu masz synów? — zagadnął pan Rozwan Ursu.

— Miałam pięciu, jak lwów — rzecze kniahini, — ale najstarszemu Wasilowi poganie w Białogrodzie oczy wykapali pochodniami, od czego mu też i rozum się nadwerężył. Gdy młodzi pójdą na wyprawę, ja sama w domu zostaję z nim tylko i z jejmościanką, z którą większa bieda, niż pociecha.

Pogardliwy ton, z jakim stara kniahini mówiła o swej synowicy, tak był widoczny, że nie uszedł uwagi porucznika. Pierś mu za-

wrzała gniewem, i o mało nie zaklął szpetnie, ale słowa zamarły mu na ustach, gdy spojrzawszy na kniaziównę, ujrzał przy świetle księżyca oczy jej zalane łzami.

— Co waćpannie jest? czego płaczesz? — spytał z cicha.

Kniaziówna milczała.

— Ja nie mogę znieść łez waćpanny — mówił pan Skrzetuski i pochylił się ku niej, a widząc, że stara kniahini rozprawia z panem Rozwanem Ursu i nie patrzy w tę stronę, nalegał dalej: — Na Boga, przemów choć słowo, bo Bóg widzi, że krew i zdrowie oddałbym, byle ciebie pocieszyć.

Nagle uczuł, że jeden z jeźdźców napiera go tak silnie, że aż konie poczynają się trzeć bokami.

Rozmowa z kniaziówną była przerwana, więc pan Skrzetuski zdziwiony, ale i rozgniewany, zwrócił się ku śmiałkowi.

Przy świetle księżyca ujrzał dwoje oczu, które patrzały na niego zuchwale, wyzywająco i szyderczo zarazem.

Straszne te oczy świeciły, jak ślepia wilka w ciemnym borze.

— Co u kaduka, — pomyślał namiestnik — bies czy co? — Z kolei zajrzawszy zblizka w te pałające źrenice, spytał:

— A czego to waść tak koniem najeżdżasz i oczyma we mnie wiercisz?

Jeździec nie odpowiedział nic, ale patrzał wciąż równie uporczywie i zuchwale.

— Jeślić ciemno, to mogę ognia skrzesać, a jeślić gościniec za ciasny, to hajda w step! — rzekł już podniesionym głosem namiestnik.

— A ty odlitaj, Laszku, od kolaski, koły step baczysz — odpowiedział jeździec.

Namiestnik, jako był człowiek do czynu skory, zamiast odpowiedzieć, uderzył tak silnie nogą w brzuch konia napastnika, że rumak jęknął i w jednym szczupaku znalazł się na samym brzegu gościńca.

Jeździec osadził go na miejscu i przez chwilę zdawało się, że pragnie rzucić się na namiestnika, ale wtem zabrzmiał ostry, rozkazujący głos starej kniahini:

— Bohun, szczo z toboju?

Słowa te miały natychmiastowy skutek. Jeździec zwrócił konia młyńcem i przejechał na drugą stronę kolaski do kniahini, która mówiła dalej:

— Szczo z toboju? Ej, ty nie w Perejasławiu, ani w Krymie, ale w Rozłogach — bacz na to. A teraz skocz mi naprzód i prowadź

wozy, bo jar zaraz, a w jarze ciemno. Chodi, siromacha (poczwara)!

Pan Skrzetuski równie był zdziwiony, jak rozgniewany. Ten Bohun widocznie szukał okazyi i byłby ją znalazł; ale dlaczego szukał? skąd ta niespodziewana napaść?

Przez głowę namiestnika przeleciała myśl, że tu kniaziówna wchodziła do gry, i utwierdził się w tej myśli, gdy spojrzawszy na twarz jej, ujrzał mimo mroków nocnych, że twarz ta była blada i że widocznie malowało się na niej przerażenie.

Tymczasem Bohun ruszył z kopyta naprzód, wedle rozkazu kniahini, która, spoglądając za nim, rzekła wpół do siebie, wpół do namiestnika:

— To szalona głowa i bies kozaczy.

— Widać niespełna rozumu — odpowiedział pogardliwie pan Skrzetuski. — Czy to Kozak w służbie synów imćpani?

Stara kniahini rzuciła się w tył kolaski;

— Co waćpan mówisz, to jest Bohun podpułkownik, przesławny junak, synom moim druh, a mnie jak szósty syn przybrany. Nie może też to być, abyś waszmość o nazwisku jego nic słyszał, bo wszyscy o nim wiedzą.

I rzeczywiście panu Skrzetuskiemu dobrze było znane to nazwisko. Z pośród imion różnych pułkowników i atamanów kozackich wypłynęło ono na wierzch i było na wszystkich ustach, po obu stronach Dniepru. Ślepcy śpiewali o Bohunie pieśni po jarmarkach i karczmach, na wieczornicach opowiadano dziwy o młodym watażce. Kto on był, skąd się wziął, nikt nie wiedział. To pewna, że kolebką były mu stepy, Dniepr, Porohy i Czertomelik ze swoim labiryntem cieśnin, zatok, kołbani, wysp, skał, jarów i oczeretów,. Od wyrostka zżył się i zespolił z tym dzikim światem.

Czasu pokoju chodził z innymi" "za rybą i zwierzem," tłukł się po zakrętach dnieprowych, brodził po bagniskach i oczeretach wespół z gromadą półnagich towarzyszów — to znów całe miesiące spędzał w głębinach leśnych. Szkołą były mu wycieczki na Dzikie Pola po trzody i tabuny tatarskie, zasadzki, bitwy, wyprawy przeciw brzegowym ułusom (wieś tatarska), do Białogrodu, na Wołoszczyznę, lub czajkami na Czarne morze. Innych dni nie znał, tylko na koniu, innych nocy, tylko przy ognisku na stepie. Wcześnie stał się ulubieńcem całego Niżu, wcześnie zaczął sam wodzić innych, wkrótce odwagą wszystkich przewyższył. Gotów był w sto koni

iść choćby do Bakczyseraju i samemu chanowi zaświecić w oczy pożogą; palił ułusy i miasteczka, wycinał w pień mieszkańców, schwytanych murzów rozdzierał końmi, spadał jak burza, przechodził jak śmierć. Na morzu rzucał się jak wściekły na galery (statki wojenne) tureckie. Zapuszczał się w środek Budziaku, włazil, jak mówiono, w paszczękę lwa. Niektóre jego wyprawy były wprost szalone. Mniej odważni, mniej ryzykowni, konali na palach w Stambule, lub gnili przy wiosłach na tureckich galerach — on zawsze wychodził zdrowo i z łupem obfitym. Mówiono, że zabrał skarby ogromne i że trzyma je ukryte po dnieprowych komyszach, ale też nieraz go widziano, jak deptał zabłoconemi nogami po złotogłowiach i lamach, koniom słał kobierce pod kopyta, albo jak ubrany w adamaszki kąpał się w dziegciu, umyślnie kozaczą pogardę dla onych wspaniałych tkanin i ubiorów okazując. Miejsca długo nigdzie nie zagrzał. Czynami jego powodowała fantazya. Czasem, przybywszy do Czehrynia, Czerkas lub Perejasławia, hulał na śmierć z innymi Zaporożcami, czasem żył jak mnich, do ludzi nie gadał, w stepy uciekał. To znów otaczał się ślepcami, których grania i pieśni po całych dniach słuchał, a samych złotem obrzucał. Między szlachtą umiał być dwornym kawalerem, między Kozakami najdzikszym Kozakiem, między rycerzami rycerzem, między łupieżcami łupieżcą. Niektórzy mieli go za szalonego, bo też i była to dusza nieokiełznana i rozszalała. Poco na świecie żył, czego chciał, dokąd dążył, komu służył — sam nie wiedział. Służył stepom, wichrom, wojnie, miłości i własnej fantazyi. Ta właśnie fantazya wyróżniała go od innych watażków grubijanów i od całej rzeszy rozbójniczej, która tylko grabież miała na celu i której zajedno było grabić Tatarów czy swoich. Bohun brał łup, ale wolał wojnę od zdobyczy, kochał się w niebezpieczeństwach dla własnego ich uroku; złotem za pieśni płacił, za sławą gonił, o resztę nie dbał.

Ze wszystkich watażków on jeden najlepiej uosabiał Kozaka rycerza, dlatego też pieśń wybrała go sobie na kochanka, a imię jego rozsławiło się na całej Ukrainie.

W ostatnich czasach został podpułkownikiem perejasławskim, ale pułkownikowską władzę sprawował, bo stary Łoboda słabo już trzymał buławę krzepnącą dłonią.

Pan Skrzetuski dobrze tedy wiedział, kto był Bohun, a jeśli pytał starej kniahini, czy to Kozak w służbie jej synów, czynił to przez umyślną pogardę, bo przeczuł w nim wroga, a mimo całej sławy wa-

tażki, wzburzyła się krew w namiestniku, że Kozak poczynał sobie z nim tak zuchwale.

Domyślał się też, że skoro się zaczęło, to się na byle czem nie skończy. Ale cięty to był jak osa człowiek pan Skrzetuski, dufny aż nadto w siebie i również niecofający się przed niczem, a na niebezpieczeństwa chciwy prawie. Gotów był choćby i zaraz wypuścić konia za Bohunem, ale jechał przy boku kniaziówny. Zresztą wozy minęły już jar i zdala ukazały się światła w Rozłogach.

IV.

Kurcewicze-Bułyhowie był to stary książęcy ród, który się Kurczem pieczętował, od Koryata wywodził, a podobno istotnie szedł od Ruryka. Z dwóch głównych linii, jedna siedziała na Litwie, druga na Wołyniu, a na Zadnieprze przeniósł się dopiero kniaź Wasyl, jeden z licznych potomków linii wołyńskiej, który ubogim będąc, nie chciał wśród możnych krewnych zostawać i wszedł na służbę do księcia Michała Wiśniowieckiego, ojca przesławnego "Jaremy."

Okrywszy się sławą w tej służbie i znaczne posługi rycerskie księciu oddawszy, otrzymał od tegoż w dziedzictwie Krasne Rozłogi, które potem dla wielkiej mnogości wilków Wilczemi Rozłogami przezwano, i stale w nich osiadł. W roku 1629, przeszedłszy na obrządek łaciński, ożenił się z Rahozianką, panną z zacnego domu szlacheckiego, który się z Wołoszczyzny wyzwolił. Z małżeństwa tego w rok później przyszła na świat córka Helena; matka umarła przy jej urodzeniu, książę Wasyl zaś, nie myśląc już o powtórnym ożenku, oddał się całkiem gospodarstwu i wychowaniu jedynaczki. Był to człowiek wielkiego charakteru i niepospolitej cnoty. Dorobiwszy się dość szybko średniej fortuny, pomyślał zaraz o starszymi swym bracie Konstantynie, który na Wołyniu w biedzie został odepchnięty od możnej rodziny, zmuszony był chodzić po dzierżawach. Tego razem z żoną i pięciu synami do Rozłogów sprowadził i każdym kawałkiem chleba się z nimi dzielił. W ten sposób obaj Kurcewicze żyli w spokoju aż do końca 1634 roku, w którym Wasyl z królem Władysławem pod Smoleńsk ruszył. Tam to zaszedł ów

nieszczęsny wypadek, który zgubę jego spowodował. W obozie królewskim przyjęto list pisany do Szehina, podpisany nazwiskiem kniazia i przypieczętowany Kurczem. Tak jawny dowód zdrady ze strony rycerza, który aż dotąd nieskazitelnej sławy używał, zdumiał i przeraził wszystkich. Napróżno Wasyl świadczył się Bogiem, że ni ręka, ni podpis na liście nie są jego — herb Kurcz na pieczęci usuwał wszelkie wątpliwości, w zgubienie zaś sygnetu, czem się kniaź tłómaczył, nikt wierzyć nie chciał — i ostatecznie nieszczęśliwy kniaź, pro crimine perduellionis (za przestępstwo kryminalne) skazany na utratę czci i gardła, musiał się ucieczką salwować. Przybywszy nocą do Rozłogów, zaklął brata Konstantyna na wszystkie świętości, by jak ojciec opiekował się jego córką — i odjechał na zawsze. Mówiono, że raz jeszcze z Baru pisał list do księcia Jeremiego z prośbą, by nie odejmował kawałka chleba Helenie i spokojnie ją w Rozłogach na opiece Konstantyna zostawił — potem głos o nim zaginął. Były wieści, że zmarł zaraz, to że przystał do cesarskich i zginął na wojnie w Niemczech, ale któż mógł co wiedzieć na pewno? Musiał zginąć, skoro się więcej o córkę nie pytał. Wkrótce przestano o nim mówić, a przypomniano go sobie dopiero, gdy wyszła na jaw jego niewinność. Niejaki Kupcewicz, Witebszczanin, umierając zeznał, jako on pisał pod Smoleńskiem list do Szehina i znalezionym w obozie sygnetem go przypieczętował. Wobec takiego świadectwa, żałość i konsternacya ogarnęły wszystkie serca. Wyrok wtedy zniesiono, imię księcia Wasyla do sławy przywrócono, ale dla niego samego nagroda za mękę przyszła za późno. Co do Rozłogów, to Jeremi nie myślał ich zagarniać, bo Wiśniowieccy, znając lepiej Wasyla, nigdy o jego winie nie byli zupełnie przekonani. Mógłby on był nawet zostać i drwić z wyroku pod ich opieką, a jeżeli uszedł, to dlatego, że niesławy znieść nie umiał.

Helena chowała się więc spokojnie w Rozłogach, pod czułą opieką stryja — i dopiero po jego śmierci zaczęły się dla niej ciężkie czasy. Żona Konstantyna, z rodziny wątpliwego pochodzenia, była to kobieta surowa, popędliwa a energiczna, którą mąż jeden utrzymać w ryzie umiał. Po jego śmierci zagarnęła w żelazne ręce rządy w Rozłogach. Służba drżała przed nią, dworzyszczowi bali się jej jak ognia, sąsiadom dała się wkrótce we znaki. W trzecim roku swych rządów po dwakroć zbrojno najeżdżała Siwińskich w Browarkach, sama przebrana po męsku, konno przewodząc czeladzi i najętym Kozakom. Gdy raz pułki księcia Jeremiego pogromiły watahę Tata-

rów, swawolących koło Siedmiu Mogił, kniahini na czele swoich ludzi zniosła ze szczętem kupę niedobitków, która się, aż pod Rozłogi zapędziła. W Rozłogach też usadowiła się na dobre i poczęła je uważać za swoją i swoich synów własność. Synów tych kochała, jak wilczyca młode, ale sama będąc prostaczką, nie pomyślała o przystojnem dla nich wychowaniu. Mnich greckiego obrządku sprowadzony z Kijowa wyuczył ich czytać i pisać — na czem też skończyła się edukacya. A przecie niedaleko były Łubnie, a w nich dwór książęcy, na którymby młodzi kniaziowie mogli nabrać polo- ru, wyćwiczyć się w kancelaryi w sprawach publicznych, lub zaciągnąwszy się pod chorągwie, w szkole rycerskiej. Kniahini miała wszelako swoje powody, dla których nie oddawała ich do Łubniów.

A nużby książę Jeremi przypomniał sobie, czyje są Rozłogi i wejrzał w opiekę nad Heleną, albo sam dla pamięci Wasyla tę opiekę chciał sprawować? Przyszłoby chyba wówczas wynosić się z Rozłogów; wolała więc kniahini, by w Łubniach zapomniano, że jacy Kurcewicze żyją na świecie. Ale też zato młodzi kniaziowie hodowali się wpół dziko i więcej po kozacku, niż po szlachecku. Pacholętami jeszcze będąc, brali udział w poswarkach starej kniahini, w zajazdach na Siwińskich, w wyprawach na kupy tatarskie. Czując wrodzony wstręt do książek i pisma, po całych dniach strzelali z łuków, lub wprawiali ręce we władaniu kiścieniami, szablą, w rzucanie arkanów. Nie zajmowali się nawet gospodarstwem, bo go nie puszczala z rąk matka. I żal było patrzeć na tych potomków znakomitego rodu, w których żyłach płynęła krew książęca, ale których obyczaje były surowe i grube, a umysły i zatwardziałe serca przypominały step nieuprawny. Tymczasem wyrastali, jak dęby; wiedząc wszelako to do siebie, iż są prostakami, wstydzili się żyć ze szlachtą, a natomiast milszem im było towarzystwo dzikich watażków kozackich. Wcześnie też weszli w komitywę z Niżem, gdzie ich za towarzyszów uważano. Czasem po pół roku siedzieli na Siczy; chodzili na "przemysł" z Kozakami, brali udział w wyprawach na Turków i Tatarów, które w końcu stały się głównem i ulubionem ich zajęciem. Matka nie sprzeciwiała się temu, bo często przywozili zdobycz obfitą. Wszelako na jednej z takich wypraw najstarszy Wasyl dostał się w ręce pogańskie. Bracia przy pomocy Bohuna i jego Zaporożców odbili go wprawdzie, ale z wykapanemi oczyma. Od tej pory ten w domu siedzieć musiał; jako dawniej był dzikszy, tak potem złagodniał bardzo i w rozmyślaniach o na-

bożeństwie się zatopił. Młodzi prowadzili dalej wojenne rzemiosło, które w końcu przydomek kniaziów-kozaków im zjednało. Dość też było spojrzeć na Rozłogi-Siromachy, by odgadnąć, jacy w nich ludzie mieszkają. Gdy poseł i pan Skrzetuski zajechali przed bramę ze swymi wozami, ujrzeli nie dwór, ale raczej obszerną szopę, z ogromnych bierwion dębowych zbitą, z wązkiemi, podobnemi do strzelnic oknami. Mieszkania dla czeladzi i Kozaków, stajnie, śpichlerze i lamusy przytykały do tego dworu bezpośrednio, tworząc budowę nieforemną, z wielu to wyższych, to niższych części złożoną, na zewnątrz tak ubogą i prostacką, że gdyby nie światła w oknach, trudnoby ją za mieszkanie ludzi poczytać. Na majdanie przed domem widać było dwa żórawie studzienne; bliżej bramy słóp z kołem na szczycie, na którem siadywał niedźwiedź chowany. Brama potężna z takichże bierwion dębowych dawała przejście na majdan, który cały był otoczony rowem i palisadą.

Widocznie było to miejsce obronne, przeciw napadom i zajazdom zabezpieczone. We wszystkiem też przypominało kresową pałankę kozacką, a lubo większość siedzib szlacheckich na kresach takiego a nie innego była pokroju, ta przecie bardziej jeszcze od innych wyglądała na jakieś drapieżne gniazdo. Czeladź, która naprzeciw gości wyszła z pochodniami, podobniejsza była do zbójów, niż do ludzi służbowych. Wielkie psy na majdanie targały za łańcuchy, jakby chciały się urwać i rzucić na przybyłych, ze stajni dobywało się rżenie koni; młodzi Bułyhowie pospołu z matką poczęli wołać na służbę, rozkazywać i przeklinać. Wśród takiego harmideru goście weszli do środka domu, ale tu dopiero pan Rozwan Ursu, który, widząc poprzednio dzikość i mizeryę siedliska, prawie żałował, iż się dał zaprosić na nocleg, zdumiał prawdziwie na widok tego, co ujrzały jego oczy. Wnętrze domu zgoła nie odpowiadało jego lichym zewnętrznym pozorom. Najprzód weszli do obszernej sieni, której ściany całkiem prawie pokryte były zbroją, orężem i skórami dzikich zwierząt.

W dwóch ogromnych grubach paliły się kłody drzewa, a przy jasnym ich blasku widać było bogate rzędy końskie, błyszczące pancerze, nadbrzuszniki, ryngrafy, stalowe harnasze wielkiej ceny, hełmy polskie i tureckie, oraz misiurki z wierzchami od srebra. Na przeciwległej ścianie wisiały tarcze, których już nie używano w wieku ówczesnym, obok nich kopie polskie i dziryty wschodnie, siecznego oręża też dosyć, od szabli aż do kindżałów i jataganów, których

głownie migotały różnymi kolorami, jak gwiazdki, w blasku ognia. Po kątach zwieszały się wiązki skór lisich, wilczych, niedźwiedzich, kunich i gronostajowych — owoc myśliwstwa kniaziów. Niżej, wzdłuż ścian, drzemały na obręczach jastrzębie, sokoły i wielkie berkuty, sprowadzane z dalekich stepów wschodnich, a używane do pościgu wilków.

Z sieni owej goście przeszli do wielkiej gościnnej komnaty. I tu na kominie z okapem palił się rzęsisty ogień. W komnacie tej większy był jeszcze przepych, niż w sieni. Gołe belki w ścianach pokrywane były makatami, na podłodze rozściełały się przepyszne wschodnie kobierce. W pośrodku stał długi stół na krzyżowych nogach, sklecony z prostych desek, na nim zaś roztruchany całe złocone lub rżnięte ze szkła weneckiego. Pod ścianami mniejsze stoły, komody i półki, na nich sepety, puzdra nabijane bronzem, mosiężne świeczniki i zegary zrabowane czasu swego przez Turków Wenecyanom, a przez Kozaków Turkom. Cała komnata założona była mnóstwem przedmiotów zbytkownych, częstokroć niewiadomego dla gospodarzy użycia. Wszędzie przepych mieszał się z największą stepową prostotą. Cenne komody tureckie nabijane bronzem, hebanem, perłową macicą, stały obok nieheblowanych półek, proste drewniane krzesła obok miękkich sof, krytych kobiercami. Poduszki, leżące modą wschodnią na sofach, miały pokrowce z altembasu lub bławatów, ale rzadko były wypchane kwapiem, częściej sianem lub grochowinami. Kosztowne tkaniny i zbytkowne przedmioty — było to tak zwane "dobro" tureckie, tatarskie, częścią kupione za byle co od Kozaków, częścią zdobyte na licznych wojnach jeszcze przez starego kniazia Wasyla, częścią w czasie wypraw z niżowcami przez młodych Bułyhów, którzy woleli puszczać się czajkami na Czarne morze, niż żenić się, lub gospodarstwa pilnować. Wszystko to nie dziwiło zgoła pana Skrzetuskiego, znającego dobrze domy kresowe, ale bojar wołoski zdumiewał się, widząc wśród tego przepychu Kurcewiczów ubranych w jałowicze buty i w kożuchy nie wiele lepsze od tych, jakie nosiła służba; dziwił się również i pan Longin Podbipięta, przywykły na Litwie do innych porządków.

Tymczasem młodzi kniaziowie podejmowali gości szczerze i z wielką ochotą, lubo mało otarci w świecie, czynili to manierą tak niezgrabną, iż namiestnik zaledwo mógł uśmiech powściągnąć.

Starszy Symeon mówił:

— Radziśmy waszmościom i wdzięczni za łaskę. Dom nasz — dom wasz, tak też i bądźcie jak u siebie. Kłaniamy panom dobrodziejstwu w niskich progach.

I lubo nie znać było w tonie jego mowy żadnej pokory, ani rozumienia, jakoby przyjmował wyższych od siebie, przecież kłaniał im się obyczajem kozackim w pas, a za nim kłaniali się i młodsi bracia, sądząc, że tego gościnność wymaga, i mówiąc:

— Czołem waszmościom, czołem!

Tymczasem kniahini, szarpnąwszy Bohuna za rękaw, wyprowadziła go do innej komnaty.

— Słysz, Bohun — rzekła pośpiesznie — nie mam czasu długo gadać. Widziałam, że ty tego młodego szlachcica na ząb wziął i zaczepki z nim szukasz?

— Maty — odpowiedział Kozak, całując starą w rękę. — Świat szeroki, jemu inna droga, mnie inna. Ani ja go znał, ni o nim słyszał, ale niech on mi się nie pochyla do kniaziówny, bo jakiem żyw, szablą w oczy zaświecę.

— Hej, oszalał, oszalał! A gdzie głowa, Kozacze? Co się z tobą dzieje? Czy ty chcesz zgubić nas i siebie? To jest żołnierz Wiśniowieckiego i namiestnik, człowiek znaczny, bo od księcia do chana posłował. Niech mu włos z głowy spadnie pod naszym dachem, wiesz, co będzie? Oto wojewoda obróci oczy na Rozłogi, jego pomści, nas wygna na cztery wiatry, a Helenę do Łubniów zabierze — i co wówczas? Czy i z nim zadrzesz? Czy na Łubnie napadniesz? Spróbuj, jeśli chcesz pala posmakować, Kozacze zatracony. Chyla się szlachcic do dziewczyny, niech chyla, ale jak przyjechał — pojedzie, i będzie spokój. Hamujże ty się, a nie chcesz, to ruszaj skądeś przybył, bo nam tu nieszczęścia naprowadzisz!

Kozak gryzł wąs, sapał, ale zrozumiał, że kniahini ma słuszność.

— Oni jutro odjadą, matko — rzekł, — a ja się pohamuję, niech jeno czarnobrewa nie wychodzi do nich.

— A tobie co? Żeby myśleli, że ją więżę? Otóż wyjdzie, bo ja tego chcę. Ty mi tu w domu nie przywódź, boś nie gospodarz.

— Nie gniewajcie się, kniahini. Skoro inaczej nie można, to będę im jako tureckie bakalie słodki. Zębem nie zgrzytnę, do głowni nie sięgnę, choćby mnie gniew i pożarł, choćby dusza jęczeć miała. Niechże będzie wasza wola!

— A to tak gadaj, sokole, teorban weź, zagraj, zaśpiewaj, to ci i na duszy lżej się zrobi. A teraz chodź do gości.

Wrócili do gościnnej komnaty, w której kniaziowie, nie wiedząc jak gości bawić, wciąż ich zapraszali, by byli sobie radzi, i kłaniali im się w pas. Tu zaraz pan Skrzetuski spojrzał ostro a dumnie w oczy Bohunowi, ale nie znalazł w nich zaczepki, ni wyzwania. Twarz młodego watażki jaśniała uprzejmą wesołością, tak dobrze symulowaną (udaną), że mogłaby omylić najwprawniejsze oko. Namiestnik przyglądał mu się bacznie, gdyż poprzednio w ciemności nie mógł dojrzeć jego rysów. Teraz ujrzał mołojca smukłego jak topola, z obliczem smagłem, zdobnem w bujny czarny wąs, zwieszający się ku dołowi. Wesołość na tej twarzy przebijała przez ukraińską zadumę, jako słońce przez mgłę. Czoło miał watażka wysokie, na które spadała czarna czupryna w postaci grzywki, ułożonej w pojedyńcze kosmyki, obcięte w równe ząbki nad silną brwią. Nos orli, rozdęte nozdrza i białe zęby, połyskujące przy każdym uśmiechu, nadawały tej twarzy wyraz trochę drapieżny, ale wogóle był to typ piękności ukraińskiej, bujnej, barwnej i zawadyackiej. Nad podziw świetny ubiór wyróżniał także stepowego mołojca od przybranych w kożuchy kniaziów. Bohun miał na sobie żupan z cienkiej lamy srebrnej i czerwony kontusz, którą to barwę nosili wszyscy Kozacy perejasławscy. Biodra otaczał mu pas krepowy, od którego bogata szabla zwieszała się na jedwabnych rapciach; ale i szabla i ubiór gasły przy bogactwie tureckiego kindżału, zatkniętego za pas, którego głownia tak była nasadzona kamieniami, że aż iskry sypały się od niej. Tak przybranego każdyby snadnie poczytał raczej za jakie paniątko wysokiego rodu, niż za Kozaka, zwłaszcza że i jego swoboda, jego wielkopańskie maniery nie zdradzały nizkiego pochodzenia. Zbliżywszy się do pana Longina, wysłuchał historyi o przodku Stowejce i o ścięciu trzech Krzyżaków, a potem zwrócił się do namiestnika i, jak gdyby nic pomiędzy nimi nie zaszło, spytał z całą swobodą:

— Wasza mość, słyszę, z Krymu powracasz?

— Z Krymu — odparł sucho namiestnik.

— Byłem tam i ja, a chociażem się do Bachczysaraju nie zapędzał, przecie mniemam, że i tam będę, jeśli się one pomyślne wieści sprawdzą.

— O jakich wieściach waść mówisz?

— Są głosy, że jeśli król miłościwy wojnę z Turczynem zacznie, to książę wojewoda Krym ogniem i mieczem nawiedzi, od których wieści wielka jest radość na całej Ukrainie i na Niżu, bo jeśli pod takim wodzem nie pohulamy w Bachczysaraju, tedy pod żadnym.

— Pohulamy, jak Bóg w niebie! — ozwali się Kurcewicze.

Porucznika ujął respekt, z jakim watażka odzywał się o księciu, przeto uśmiechnął się i rzekł ładogniejszym już tonem:

— Waści, widzę, nie dość wypraw z niżowcami, które cię przecie sławą okryły.

— Mała wojna, mała sława; wielka wojna, wielka sława. Konaszewicz Sahajdaczny nie na czajkach, ale pod Chocimem jej nabył.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do komnat wszedł zwolna Wasyl, najstarszy z Kurcewiczów, prowadzony za rękę przez Helenę. Był to człowiek dojrzałych lat, wybladły i wychudły, z twarzą ascetyczną i smętną, przypominającą bizantyjskie obrazy świętych. Długie włosy, posiwiałe przedwcześnie od nieszczęść i bólu, spadały mu aż na ramiona, a zamiast oczu miał dwie czerwone jamy; w ręku trzymał krzyż mosiężny, którym począł żegnać komnatę i wszystkich obecnych.

— W imię Boga i Ojca, w imię Spasa (Zbawiciela) i Świętej Przeczystej — mówił — jeśli apostołami jesteście i dobre nowiny niesiecie, witajcie w progach chrześcijańskich. Amen!

— Wybaczcie waszmościowie, mruknęła kniahini, — on ma rozum pomieszany.

Wasyl zaś żegnał wciąż krzyżem i mówił dalej:

— Jako stoi w „Biesiadach apostolskich:" "Którzy przeleją krew za wiarę, zbawieni będą; którzy polegną dla dóbr ziemskich dla zysku lub zdobyczy — mają być potępieni..." Módlmy się! gorze wam, bracia! gorze mnie, bośmy dla zdobyczy wojnę czynili! Boże bądź miłościw nam grzesznym! Boże, bądź miłościw... A wy, mężowie, którzy przybyliście zdaleka, jakie nowiny niesiecie? jesteście apostołami?

Umilkł i zdawał się czekać na odpowiedź, więc namiestnik odpowiedział po chwili:

— Daleko nam od tak wysokiej szarży. Żołnierzami tylko jesteśmy, gotowymi poledz za wiarę.

— Tedy będziecie zbawieni — rzekł ślepy, — ale dla nas nie nadeszła godzina wyzwolenia... Gorze wam, bracia! gorze mnie!

Ostatnie słowa wymówił prawie jęcząc, i taka niezmierna rozpacz malowała się na jego twarzy, że goście nie wiedzieli, co mają począć. Tymczasem Helena posadziła go na krześle, sama zaś, wybiegłszy do sieni, wróciła po chwili z lutnią w ręku.

Ciche dźwięki ozwały się w komnacie, a do wtóru im kniaziówna poczęła śpiewać pieśń pobożną:

I w noc i we dnie wołam do Cię, Panie,
Pofolguj męce i łzom żałośliwym,
Bądź mnie grzesznemu ojcem miłościwym,
Usłysz wołanie!

Niewidomy przechylił w tył głowę i słuchał słów pieśni, które zdawały się działać jak balsam kojący, bo z twarzy znikały mu stopniowo ból i przerażenie; nakoniec głowa spadła mu na piersi i tak pozostał jakby w pół śnie, pół odrętwieniu.

— Byle nie przerywać śpiewania, już on się całkiem uspokoi — rzekła zcicha kniahini. — Widzicie waszmościowie, waryacya jego polega na tem, że ciągle czeka apostołów, i byle kto do domu przyjechał, zaraz wychodzi pytać, czy nie apostołowie...

Tymczasem Helena śpiewała dalej:

Wskażże mi drogę, o Panie nad pany,
Bom jako pątnik na pustyń bezdrożu,
Lub jak wśród fali na niezmiernem morzu
Korab (okręt) zbłąkany.

Słodki głos jej brzmiał coraz silniej i z tą lutnią w ręku, z oczyma wzniesionemi do góry, była tak cudną, że namiestnik oczu nie mógł od niej oderwać. Zapatrzył się w nią, utonął w niej — o świecie zapomniał.

Z zachwytu rozbudziły go dopiero słowa starej kniahini:

— Dosyć tego! już on się teraz nieprędko rozbudzi. A tymczasem proszę ichmościów na wieczerzę.

— Prosimy na chleb i sól! — ozwali się za matką młodzi Bułyhowie.

Pan Rozwan, jako kawaler wielkich manier, podał ramię kniahini, co widząc pan Skrzetuski sunął zaraz do kniaziówny Heleny. Serce zmiękło w nim jak wosk, gdy uczuł jej rękę na swojej, z oczu aż skry poszły — i rzekł:

— Snadź już chyba i anieli w niebie cudniej nie śpiewają od waćpanny.

— Grzeszysz, rycerzu, przyrównując moje śpiewanie do anielskiego — odpowiedziała Helena.

— Nie wiem, czy grzeszę, ale to pewna, że chętnie dałbym sobie oczy wykapać, byle twego śpiewania do śmierci słuchać. Ale cóż

mówię! Slepym będąc, nie mógłbym cię widzieć, co również byłoby męką nieznośną.

— Nie mów tego waszmość, gdyż wyjechawszy stąd jutro, jutro zapomnisz.

— O, nie stanie się to, gdyż takiem się w waćpannie rozkochał, iż po wiek żywota mego innego afektu (miłości) znać nie chcę, a tego nie zapomnę.

Na to szkarłatny rumieniec oblał twarz kniaziówny, pierś poczęła falować mocniej. Chciała odpowiedzieć, ale tylko wargi jej drżały — więc pan Skrzetuski mówił dalej:

— Waćpanna raczej zapomnisz o mnie przy owym kraśnym watażce, który twemu śpiewaniu na bałabajce przygrywać będzie.

— Nigdy, nigdy! — szepnęła dziewczyna. — Ale waćpan się jego strzeż: to straszny człowiek.

— Co mi tam jeden Kozak znaczy, a choćby też i cała Sicz z nim trzymała, jam się dla ciebie na wszystko ważyć gotowy. Tyś mi jest właśnie jako klejnot bez ceny, tyś mój świat, — jeno niech wiem, żeś mi jest wzajemną.

Ciche "tak" zadźwięczało jak rajska muzyka w uszach pana Skrzetuskiego i zaraz wydało mu się, że w nim przynajmniej dziesięć serc bije; w oczach mu pojaśniało wszystko, jakoby promienie słoneczne na świat padły; uczul w sobie jakieś moce nieznane, jakieś skrzydła u ramion. Przy wieczerzy mignęła mu kilkakroć twarz Bohuna, która była zmieniona bardzo i blada, ale namiestnik, mając wzajemność Heleny, nie dbał o tego współzawodnika. "Jechał go sęk! — myślał sobie — niechże mi w drogę nie włazi, bo go zetrę." Zresztą myśli jego szly w inną stronę.

Czuł oto, że Helena siedzi przy nim tak blizko, iż prawie ramieniem dotyka jej ramienia, widział rumieńce nieschodzące z jej twarzy, od których bił żar, widział pierś falującą i oczy, to skromnie spuszczone i rzęsami nakryte, to błyszczące jak dwie gwiazdy. Bo też Helena, choć zahukana przez Kurcewiczową, choć żyjąca w sieroctwie, smutku i obawie, była przecie Ukrainką o krwi ognistej. Gdy tylko padły na nią ciepłe promienie miłości, zaraz zakwitła jak róża i do nowego, nieznanego rozbudziła się życia. W jej twarzy zabłysło szczęście, odwaga, a te porywy, walcząc ze wstydem dziewiczym, umalowały jej policzki w śliczne kolory różane. Więc pan Skrzetuski mało ze skóry nie wyskoczył. Pił na umór, ale miód nie działał na niego, bo już był pijany miłością. Nie widział nikogo

więcej przy stole, tylko swoją dziewczynę. Nie widział, że Bohun bladł coraz bardziej i coraz macał główni swego kindżału; nie słyszał, jak pan Longin opowiadał po raz trzeci o przodku Stowejce, a Kurcewicze o swoich wyprawach po "dobro tureckie." Pili wszyscy prócz Bohuna, a najlepszy przykład dawała stara kniahini, wznosząc kusztyki (kieliszki) to za zdrowie gości, to za zdrowie miłościwego księcia pana, to wreszcie hospodara Lupuła. Była też mowa o ślepym Wasylu, o jego dawniejszych przewagach rycerskich, o nieszczęsnej wyprawie i teraźniejszej waryacyi, którą najtarszy Symeon tak tłómaczył:

— Zważcie waszmościowie, iż gdy najmniejsze źdźbło w oku patrzeć przeszkadza, jakże tedy znaczne kawały smoły, dostawszy się do rozumu, nie miały go o pomieszanie przyprawić?

— Bardzo to jest delikatne instrumentum (narzędzie) — zauważył na to pan Longin.

Wtem stara kniahini spostrzegła zmienioną twarz Bohuna.

— Co tobie, sokole?

— Dusza boli, maty — rzekł posępnie, — ale kozacze słowo nie dym, więc zdzierżę.

— Terpy, synku, mohorycz bude! (cierp, synku, otrzymasz zapłatę).

Wieczerza była skończona, ale miodu dolewano ciągle do kusztyków. Przyszli też kozaczkowie, wezwani do tańcowania na tem większą ochotę. Zadźwięczały bałabajki i bębenek, przy których odgłosach zaspane pacholęta musiały pląsać. Później i młodzi Byłuhowie poszli w prysiudy. Stara kniahini, wziąwszy się pod boki, poczęła dreptać w miejscu, a podrygiwać, a podśpiewywać, co widząc, pan Skrzetuski sunął z Heleną do tańca. Gdy ją objął rękoma, zdawało mu się, iż kawał nieba przyciska do piersi. W zawrotach tańca długie jej warkocze omotały mu szyję, jakby dziewczyna chciała go przywiązać do siebie na zawsze. Nie wytrzymał tedy szlachcić, ale gdy rozumiał, że nikt nie patrzy, pochylił się i z całej mocy pocałował jej słodkie usta.

Późno w noc, znalazłszy się sam na sam z panem Longinem w izbie, w której posłano im do spania, porucznik zamiast iść spać. siadł na tapczanie i rzekł:

— Z innym to już człowiekiem jutro waćpan do Łubniów pojedziesz.

Podbipięta, który właśnie ukończył pacierze, otworzył szeroko oczy i spytał:

— Tak bo cóż? czy waszmość tu zostaniesz?

— Nie ja zostanę, ale serce zostanie, a jedno dulcis recordatio (słodkie wspomnienie) ze mną pojedzie. Widzisz mnie waćpan w wielkiej alteracyi (wzruszeniu), gdyż od żądz tkliwych ledwie że tchu oribus (ustami) mogę złapać.

— To waćpan zakochał się w kniaziównie?

— Nie inaczej, jako żyw tu przed waćpanem siedzę. Sen ucieka mnie od powiek i jeno do wzdychania mam ochotę, od którego chyba cały w parę się rozpłynę — co waćpanu powiadam dlatego, że mając serce czułe i afektów głodne, snadnie mękę moją zrozumiesz.

Pan Longin sam wzdychać począł, na znak, że męczarnie miłości rozumie, po chwili zaś spytał żałośnie:

— A może waćpan także czystość ślubował?

— Pytanie waścine jest nie do rzeczy, bo gdyby wszyscy podobne śluby czynili, tedyby genus humanum (rodzaj ludzki) zginąć musiało.

Wejście sługi przerwało dalszą rozmowę. Był to stary Tatar, o bystrych czarnych oczach i pomarszczonej jak suszone jabłko twarzy. Wszedłszy, rzucił znaczące spojrzenie na Skrzetuskiego i spytał:

— A czy nie trzeba czego waszmościom? może miodu po kusztyczku do poduszki?

— Nie trzeba.

Tatar zbliżył się do Skrzetuskiego i mruknął:

— Mam dla W. pana słówko od panny.

— Bądźże mi Pandarem! — zawołał radośnie, namiestnik. — Możesz też mówić przy tym kawalerze, bom się przed nim spuścił sekretu.

Tatar wydobył z za rękawa kawałek wstążki.

— Panna przysyła W. panu tę szarfę i to kazała powiedzieć, że miłuje go z całej duszy.

Porucznik porwał szarfę i począł ją z uniesieniem całować i do piersi przyciskać, a dopiero ochłonąwszy nieco, spytał:

— Co ci zleciła powiedzieć?

— Że miłuje waszmość pana z całej duszy.

— Naści że talara za musztułuk. Rzekła tedy, że mnie miłuje.

— Tak jest!

— Naściże jeszcze talara. Niechże ją Bóg błogosławi, boć i ona mi najmilsza. Powiedzże jej... albo czekaj, sam do niej pisać będę: przynieś mi jeno inkaustu (atramentu), piór i papieru.

— Czego? — spytał Tatar.

— Inkaustu, piór i papieru.

— Tego u nas w domu niema. Za kniazia Wasyla było — i potem, jak się młodzi kniaziowie pisać od czerńca (zakonnika) uczyli, ale to już dawno.

Pan Skrzetuski klasnął palcami.

— Mości Podbipięto, nie masz wasze inkaustu i piór?

Litwin rozłożył ręce i wzniósł oczy do góry.

— Tfy do licha! — rzecze porucznik — otom jest w kłopocie.

Tymczasem Tatar usiadł w kuczki przed ogniem.

— Poco pisać — rzekł, grzebiąc w węglach. — Panna spać poszła. A co masz wasza miłość jej napisać, to jutro powiedzieć można.

— Kiedy tak, to co innego. Wiernyś, jak widzę, sługa kniaziówny. Naściże trzeciego talara. Dawno służysz?

— Ho! ho! czternaście lat temu, jak mnie kniaź Wasyl w jasyr wziął, i od tej pory służyłem mu wiernie, a gdy onej nocy odjeżdżał na przepadłe imię, to dziecko Konstantynu zostawił, a do mnie rzekł: "Czechły! i ty nie odstąpisz dziewczyny i będziesz jej strzegł, jak oka w głowie. Łacha iłAłła!" (Bóg jest jeden).

— Tak też i czynisz?

— Tak też i czynię, i patrzę.

— Mów, co widzisz? jak tu kniaziównie?

— Źle tu myślą o niej, bo ją chcą dać Bohunowi, który jest pies potępiony.

— O! nie będzie z tego nic! znajdzie się komu za nią ująć!

— Tak! — rzekł stary, potrząsając palące się głownie. — Oni ją chcą dać Bohunowi, by ją wziął i poniósł, jak wilk jagnię, a ich w Rozłogach zostawił — bo Rozłogi jej, nie ich, po kniaziu Wasylu. On też, Bohun, to uczynić gotowy, bo po komyszach więcej ma złota i srebra, niźli piasku w Rozłogach, ale ona ma go w nienawiści od pory, jak przy niej człowieka czekanem rozszczepił. Krew padła między nich i nienawiść wyrosła. Bóg jest jeden!

Namiestnik tej nocy usnąć nie mógł. Chodził po izbie, patrzał w księżyc i w myśli różne ważył postanowienia. Zrozumiał teraz grę Bułyhów. Gdyby kniaziównę szlachcic jaki okoliczny pojął,

toby się upomniał o Rozłogi i miałby słuszność, bo się jej należały; a może zażądałby jeszcze rachunków z opieki. Dla tej to przyczyny, i tak już skozaczeni Bułyhowie postanowili dać dziewczynę Kozakowi. O tem myśląc, pan Skrzetuski pięście ściskał i miecza szukał wedle siebie. Postanowił więc rozbić te machinacye i czuł się na siłach to uczynić. Przecie opieka nad Heleną należała i do księcia Jeremiego, raz, że Rozłogi były puszczone od Wiśniowieckich staremu Wasylowi, powtóre, że sam Wasyl z Baru pisał list do księcia, prosząc o opiekę. Tylko nawał spraw publicznych, wojny i wielkie przedsięwzięcia mogły sprawić, że wojewoda dotąd w opiekę nie wejrzał. Ale dość będzie słowem mu przypomnieć, a sprawiedliwość uczyni.

Szaro już robiło się na świecie, gdy pan Skrzetuski rzucił się na posłanie. Spał twardo i nazajutrz zbudził się z gotowem postanowieniem. Ubrali się tedy z panem Longinem śpiesznie, ile że i wozy stały już w gotowości, a żołnierze pana Skrzetuskiego siedzieli na koniach gotowi do odjazdu. W gościnnej izbie poseł pokrzepiał się polewką w towarzystwie Kurcewiczów i starej kniahini; Bohuna tylko nie było; nie wiadomo: spał jeszcze, czy odjechał?

Posiliwszy się, Skrzetuski rzekł:

— Mościa pani! Tempus fugit (czas ucieka), za chwilę na koń nam siadać trzeba, więc nim podziękujemy wdzięcznem sercem za gościnę, mam ja tu ważną sprawę, o której bym chciał z jejmość panią i z ichmość jej synami kilka słów na osobności pomówić.

Na twarzy kniahini odmalowało się zdziwienie; spojrzała na synów, na posła i pana Longina, jakby pragnąc z ich twarzy odgadnąć o co idzi, i z pewnym niepokojem w głosie rzekła:

— Służę waszmości.

Poseł chciał wstawać, ale mu nie dozwoliła, natomiast przeszli do sieni, pokrytej zbroją i orężem. Młodzi kniaziowie ustawili się szeregiem za matką, która, stanąwszy naprzeciw Skrzetuskiego, spytała:

— O jakiejże sprawie waćpan chcesz mówić?

Namiestnik utkwił w niej wzrok bystry, surowy prawie, i rzekł:

— Wybacz jejmość, i wy, młodzi kniaziowie, że przeciw zwyczajowi postępując, zamiast przez zacnych posłów mówić, sam w sprawie mej rzecznikiem będę. Ale nie może być inaczej, a gdy z musem nikt walczyć nie zdoła, przeto bez dłuższego kunktatorstwa (zwlekania) przedstawiam jejmość pani i ichmościom, jako opiekunom,

moją pokorną prośbę, abyście mi księżniczkę Helenę za żonę oddać raczyli.

Gdyby w tej chwili, w czasie zimy, piorun runął na majdan w Rozłogach, mniejszeby sprawił wrażenie na kniahini i jej synach, niż owe słowa namiestnika. Przez chwilę spoglądali ze zdumieniem na mówiącego, który stał przed nimi wyprostowany, spokojny i dziwnie dumny, jakby nie prosić, ale rozkazywać zamierzał, i nie umieli znaleźć słowa odpowiedzi,a natomiast kniahini pytać zaczęła:

— Jakto? waść? o Helenę?

— Ja, mościa pani — i to jest niewzruszony mój zamiar.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Czekam odpowiedzi imość pani.

— Wybacz waćpan — odrzekła, ochłonąwszy, kniahini, a głos jej stał się suchy i ostry, — zaszczyt to dla nas niemały prośba takiego kawalera, ale nie może z niej nic być, gdyż Helenę obiecałam już komu innemu.

— Zważ wszelako waćpani, jako troskliwa opiekunka, czy to nie było przeciw woli kniaziówny i czym nie lepszy niźli ten, komu ją waćpani obiecałaś.

— Mości panie! Kto lepszy, mnie sądzić. Możesz być i najlepszy, wszystko nam jedno, bo cię nie znamy.

Na to namiestnik wyprostował się jeszcze dumniej, a spojrzenia jego stały się jako noże ostre, choć zimne.

— Ale ja was znam, zdrajcy! — huknął. — Chcecie krewniaczkę chłopu oddać, byle was tylko w zagarniętej nieprawnie włości zostawił...

— Sam zdrajca! — krzyknęła kniahini. — Tak to za gościnę płacisz, taką to wdzięczność w sercu żywiesz? O żmijo! Coś za jeden? skądeś się wziął?

Młodzi Kurcewicze poczęli w palce trzaskać i po ścianach za bronią się oglądać, namiestnik zaś wołał:

— Poganie! zagarnęliście włość sierocą, ale nic z tego. Za dzień książę już o tem wiedzieć będzie!

Usłyszawszy to, kniahini rzuciła się w tył izby i schwyciwszy rohatynę, szła z nią do namiestnika. Kniaziowie też, porwawszy co który mógł, ten szablę, ten kiścień, ten nóż, otoczyli go półkolem, dysząc jak stado wilków wściekłych.

— Do księcia pójdziesz? — wołała kniahini — a wieszli, czy żyw stąd wyjdziesz? czy to nie ostatnia twoja godzina?

Skrzetuski skrzyżował ręce na piersiach i okiem nie mrugnął.

— Jako książęcy poseł z Krymu wracam — rzekł, — niech tu jedną kroplę krwi uronię, a we trzy dni i popiołu z tego miejsca nie zostanie, wy zaś pognijecie w lochach łubniańskich. Jestli na świecie moc, coby was uchronić zdołała? Nie groźcie, bo was się nie boję!

— Zginiemy, ale ty pierwej zginiesz.

— Tedy uderzaj, oto pierś moja

Kniaziowie z matką na czele trzymali wciąż ostrza skierowane ku piersi namiestnika, ale rzekłbyś, jakieś niewidzialne łańcuchy skrępowały im ręce. Sapiąc i zgrzytając zębami, szarpali się w bezsilnej wściekłości, wszelako nie uderzył żaden. Ubezwładniło ich straszliwe imię Wiśniowieckiego.

Namiestnik był panem położenia.

Bezsilny gniew kniahini wydał się tylko potokiem obelg.

— Przechero! szaraku! hołyszu! kniaziowej krwi ci się zachciało — ale nic z tego! Każdemu oddamy, byle nie tobie, czego nam i sam książę nakazać nie jest w stanie.

Na to pan Skrzetuski:

— Nie pora mi się z mego szlachectwa wywodzić, ale tak myślę, że wasze księstwo mogłoby snadnie za niem mieczyk i tarczę nosić. Zresztą, skoro chłop był wam dobry, to jam lepszy. Co do fortuny mojej, i ta wejść może z waszą w paragon (w zawody), a że mówicie, że mnie Heleny nie dacie, to słuchajcie co powiem: i ja ostawię was przy Rozłogach, rachunku z opieki nie żądając.

— Nie darowywuj tego, co nie twoje.

— Nie darowuję, jeno obietnicę na przyszłość daję i rycerskiem słowem ją poręczam. Tedy wybierajcie: albo rachunki księciu z opieki złożyć i z Rozłogów ustąpić, alboli mniedziewkę oddać, a włość zatrzymać...

Rohatyna wysuwała się zwolna z rąk kniahini. Po chwili upadła z brzękiem na podłogę.

— Wybierajcie — powtórzył pan Skrzetuski — aut pacem, aut bellum! (albo pokój, albo wojnę).

— Szczęście to — rzekła już łagodniej Kurcewiczowa, — że Bohun z sokoły pojechał, nie chcąc na waszmości patrzeć, bo on już wczoraj podejrzywał. Inaczej nie byłoby tu bez krwi rozlania.

— Mości pani, i ja szablę nie poto noszę, by mi pas obciągała.

— Uważ jednak waszmość, czy to politycznie (grzecznie) ze stro-

ny takiego kawalera, wszedłszy po dobremu w dom, tak na ludzi nastawać i dziewkę impetem brać, tak właśnie, jakby z niewoli tureckiej?

— Godzi się, gdy po niewoli miała być chłopu zaprzedana.

— Tego waść o Bohunie nie mów, bo on choć rodziców nieświadom, przecie wojownik jest zawołany i rycerz sławny, a nam od dziecka znajomy, w domu jakoby krewny. Jemu za jedno, czyby mu tę dziewkę odjąć, czyby go nożem pchnąć.

— Mościa pani, mnie czas w drogę, wybaczcie więc, że jeszcze raz powtórzę: wybierajcie!

— A co, synkowie, mówicie na tak pokorną prośbę tego kawalera?

Bułyhowie spoglądali po sobie, trącali się łokciami i milczeli.

Nakoniec Symeon mruknął:

— Każesz bić, maty, to będziem — każesz dać dziewkę, to damy.

— Bić źle i dać źle.

Potem zwracając się do Skrzetuskiego:

— Przycisnąłeś nas waść tak do ściany, że choć łopnąć (pęknąć). Bohun jest człowiek szalony, gotów się ważyć na wszystko. Kto na nas przed jego zemstą osłoni? Sam zginie od księcia, ale nas pierwej zgubi. Co nam począć?

— Wasza głowa.

Kniahini milczała przez chwilę:

— Słuchajcie, mości kawalerze. Musi to wszystko w tajemnicy zostać. Bohuna wyprawim do Perejasławia, sami z Heleną do Łubniów zjedziem, a waść uprosisz księcia, by nam prezydyum (załogę) do Rozłogów przysłał. Bohun ma w pobliżu półtorasta semenów, z których część tu jest. Nie możesz Heleny zaraz brać, bo ją odbije. Inaczej to nie może być. Jedźże więc, nikomu sekretu nie powiadając, i czekaj nas.

— Byście mnie zdradzili?

— Byśmy tylko mogli! ale nie możem, sam to widzisz. Daj słowo, że sekret do czasu utrzymasz!

— Daję — a wy dajecie dziewkę?

— Bo nie możemy nie dać, choć nam Bohuna żal...

— Tfy! tfy! mości panowie — rzekł nagle namiestnik, zwracając się do kniaziów — czterech was jak dębów i jednego Kozaka się bojąc, zdradą go brać chcecie. Chociem wam winien dziękować, jednakże powiem: nie przystoi to zacnej szlachcie.

— Waść się w to nie mieszaj! — zakrzyknęła kniahini. — Nie

twoja to rzecz. Co nam począć? Ilu waść masz żołnierzów na jego półtorasta semenów? Osłoniszże nas? osłoniszże samą Helenę, którą on gwałtem porwać gotów? To nie waścina rzecz. Idźże sobie do Łubniów, a co my poczniemy, to nam wiedzieć, byleśmy Helenę ci przywieźli.

— Czyńcie co chcecie; jedno wam tylko jeszcze powiem. Gdyby się krzywda kniaziównie działa— tedy biada wam!

— Nie poczynajże sobie tak z nami, byś nas do desperacyi nie przywiódł!

— Boście jej gwałt uczynić chcieli, a i teraz, przedając ją za Rozłogi, do głowy wam nie przyszło pytać: zali będzie jej po myśli moja persona (osoba).

— Zatem spytamy jej wobec ciebie — rzekła kniahini, tłumiąc gniew, który nanowo poczynał wrzeć w jej piersi, czuła bowiem doskonale pogardę w słowach namiestnika.

Symeon poszedł po Helenę i po chwili ukazał się razem z nią w sieni.

Wśród tych gniewów i groźb, które zdały się huczeć jeszcze w powietrzu, jak odgłosy przemijającej nawałnicy, wśród tych zmarszczonych brwi, srogich spojrzeń i surowych twarzy, jej śliczne oblicze zabłysło, jakoby słońce po burzy.

— Mościa panno! — rzekła ponuro kniahini, ukazując Skrzetuskiego, — jeśli masz wolę potemu, to jest twój przyszły mąż.

Helena zbladła jak ściana, i krzyknąwszy, zakryła oczy rękoma, a potem nagle wyciągnęła je ku Skrzetuskiemu.

— Prawda li to? — szeptała w upojeniu.

W godzinę później orszak posła i namiestnikowy posuwał się zwolna leśnym gościńcem w stronę Łubniów. Skrzetuski z panem Longinem Podbipiętą jechali na czele; za nimi wozy poselskie wyciągnęły się długim pasem. Namiestnik cały był pogrążony w zadumie i tęsknocie, gdy wtem z owej zadumy zbudziły go urwane słowa pieśni...

Tużu, tużu, serce bolyt..."

W głębi lasu, na wązkiej, wyjeżdżonej przez chłopów drożynie, ukazał się Bohun. Koń jego całkiem był pokryty pianą i błotem.

Widocznie Kozak, wedle swego obyczaju, puścił się był na stepy i na lasy, by się wiatrem spić, zgubić w dali i zapamiętać to, co duszę bolało — przeboleć.

Teraz wracał właśnie do Rozłogów.

Patrząc na tę przepyszną iście postać, która mignęła tylko i znikła, pan Skrzetuski mimowoli pomyślał sobie, a nawet mruknął pod nosem:

— Wszelako to szczęście, że on człowieka przy niej rozszczepił.

Nagle jakiś żal ścisnął mu serce. Żal mu było jakoby i Bohuna, ale więcej jeszcze tego, że związawszy się słowem kniahini, nie mógł, ot teraz, popędzić za nim konia i rzec:

— Kochamy jedną, więc jednemu z nas nie żyć na świecie. Dobądź, Kozacze, szerpentyny (szabli)

V.

Przybywszy do Łubniów, nie zastał pan Skrzetuski w domu księcia, który był do pana Suffczyńskiego, dawniejszego swego dworzanina, do Sieńczy na chrzciny pojechał, a z nim księżna, dwie panny Zbaraskie i wiele osób ze dworu. Dano tedy znać do Sieńczy o powrocie z Krymu namiestnika, i o przybyciu posła; tymczasem znajomi i towarzysze witali radośnie po długiej podróży Skrzetuskiego, a zwłaszcza pan Wołodyjowski, który po ostatnim pojedynku był najbliższym naszemu namiestnikowi przyjacielem. Odznaczał się ten kawaler tem, iż ustawicznie był zakochany. Przekonawszy się o nieszczerości Anusi Borzobohatej, zwrócił był czułe serce ku Anieli Leńskiej, pannie również z fraucymeru (dwór niewieści), a gdy i ta, przed miesiącem właśnie, zaślubiła pana Staniszewskiego, wówczas Wołodyjowski dla pociechy jął wzdychać do starszej księżniczki Zbaraskiej, Anny, synowicy księcia Wiśniowieckiego.

Wszelako sam rozumiał, iż podniósłszy tak wysoko oczy, nie mógł choćby najmniejszą pokrzepiać się nadzieją, tembardziej, że i po księżniczkę zgłosili się już dziewosłębowie (swaty): pan Bodzyński i pan Lassota, w imieniu pana Przyjemskiego, wojewodzica łęczyckiego. Opowiadał więc nieszczęsny Wołodyjowski te nowe strapienia naszemu namiestnikowi, wcielając go we wszystkie sprawy i tajemnice dworskie, których ten półuchem słuchał, mając umysł i serce czem innem zajęte. Gdyby nie owe duszne niepokoje, które

z miłością, choćby wzajemną, zawsze w parze chodzić zwykły, byłby się czuł pan Skrzetuski szczęśliwym, wróciwszy po długiej nieobecności do Łubniów, gdzie otoczyły go twarze życzliwe i ów gwar życia żołnierskiego, z którym oddawna był zżyty. Albowiem Łubnie jakkolwiek jako zamczysta rezydencya pańska, mogły pod względem wspaniałości równać się ze wszystkiemi siedzibami królewiąt, tem się wszelako od nich różniły, iż życie w nich było surowe, prawdziwe obozowe. Kto nie znał tamtejszych zwyczajów i ordynku (porządków), ten, przyjechawszy choćby w porze najspokojniejszej, mógł sądzić, że się tam jakaś wyprawa wojenna gotuje. Żołnierz przeważał tam nad dworzaninem, żelazo nad zlotem, dźwięk trąb obozowych nad gwarem uczt i zabaw. Wszędy panował wzorowy ład, nieznana gdzieindziej dyscyplina; wszędy roiło się od rycerstwa z pod różnych chorągwi: pancernych, dragońskich, kozackich, tatarskich i wołoskich, pod któremi służyło nietylko całe Zadnieprze, ale ochocza szlachta ze wszystkich okolic Rzplitej. Kto się chciał w prawdziwej rycerskiej szkole wyćwiczyć, ten ciągnął do Łubniów, nie brakło więc tam, obok Rusinów, ani Mazurów, ani Litwy, ani Małopolan, ba! nawet i Prusaków. Piesze regimenta (pułki) i artylerya, czyli tak zwany lud "ognisty," złożone były przeważnie z wyborowych Niemców, najętych za żołd wysoki — w dragonach służyli głównie miejscowi—Litwa w tatarskich chorągwiach. Małopolanie garnęli się najchętniej pod znaki pancerne. Książę nie pozwalał też gnuśnieć rycerstwu, dlatego w obozie ruch panował ustawiczny. Jedne pułki wychodziły na zmianę do stanic i palanek, inne wchodziły do stolicy — po całych dniach odbywały się mustry i ćwiczenia. Czasem też, chociaż i spokojnie było od Tatarów, książę przedsiębrał dalekie wyprawy w głuche stepy i pustynie, by żołnierzy do pochodów przyuczyć, dotrzeć tam, gdzie nikt nie dotarł i roznieść sławę swego imienia. Tak zeszłej jesieni zapuścił się lewym brzegiem Dniepru aż do Kudaku, gdzie go pan Grodzicki, trzymający prezydyum, jako monarchę udzielonego przyjmował; potem pociągnął obok porohów (wodospadów, katarakt) aż do Chortycy, i na uroczyszczu Kuczkasów kazał mogiłę wielką z kamieni usypać na pamiątkę i na znak, że tamtą stroną żaden jeszcze pan nie bywał tak daleko [1]).

Pan Bogusław Maszkiewicz, żołnierz dobry, choć młody, a zara-

(1) Są to Słowa Maszkiewicza, który mógł nie wiedzieć o bytności Samuela Zborowskiego na Siczy.

zem człowiek uczony, który tę wyprawę, również jak inne pochody w książce opisał, cuda o niej opowiadał Skrzetuskiemu, co pan Wołodyjowski zaraz potwierdzał, gdyż i on brał udział w wyprawie, Widzieli tedy porohy i dziwili im się, a zwłaszcza strasznemu Nienasytcowi, który rokrocznie, jak ongi (niegdyś) Scylla i Chorybda po kilkadziesiąt ludzi pożerał. Potem puścili się na wschód na spalone stepy, gdzie od niedogarków jazda postępować nie mogła, i aż musieli koniom skórami nogi obwijać. Spotkali tam mnóstwo gadzin, padalców i olbrzymie węże połozy, na dziesięć łokci długie, a grube jak ramię męża. Po drodze na samotnych dębach ryli pro eterna rei memoria (na wieczną rzeczy pamiątkę) herby książęce, nakoniec zaszli w tak głuche stepy, gdzie już i śladów człowieka nie było można dopatrzyć.

— Myślałem — mówił uczony pan Maszkiewicz, — że nam w końcu na wzór Ulisesa i do Hadu (piekła) zstąpić przyjdzie.

Na to pan Wodołyjowski:

— Przysięgali też ludzie z pod chorągwi pana strażnika Zamoyskiego, która szła na przodku, jako już widzieli owe fines (krańce), na których orbis terrarum (kula ziemska) się kończy.

Namiestnik opowiadał wzajemnie towarzyszom o Krymie, gdzie prawie pół roku spędził, czekając na respons (odpowiedź) chana jegomości; o tamtejszych miastach, pozostałych z dawnych czasów, o Tatarach i o potędze ich wojennej, a nakoniec o postrachu, w jakim żyli, usłyszawszy o walnej na Krym wyprawie, w której wszystkie siły Rzplitej miały wziąść udział. Tak gwarząc co wieczór, oczekiwali powrotu księcia. Tymczasem namiestnik przedstawiał co bliższym towarzyszom pana Longina Podbipiętę, który jako człek słodki, odrazu pozyskał serca, a okazawszy przy próbach z mieczem nadludzką swą siłę, powszechny sobie zjednywał szacunek. Opowiadał on już temu i owemu o przodku Stowejce i o ściętych trzech głowach, zamilczał tylko o swoim ślubie, nie chcąc się na żarty narażać. Szczególnie podobali się sobie z Wołodyjowskim a to dla zobopólnej serc czułości; po kilku też dniach chodzili razem wzdychać na wały, jeden do gwiazdki za wysoko świecącej, by ją mógł dostać, alias (czyli) do księżniczki Anny — drugi do nieznanej, od której go trzy ślubowane głowy oddzielały.

Ciągnął nawet Wołodyjowski pana Longina do dragonów, ale Litwin postanowił sobie koniecznie zapisać się pod znak pancerny by pod Skrzetuskim służyć, o którym z rozkoszą dowiedział się w

Łubniach, że wszyscy mają go za rycerza pierwszej wody i jednego z najlepszych oficerów książęcych. A właśnie w chorągwi, w której pan Skrzetuski porucznikował, otwierał się wakans po panu Zakrzewskim, przezwiskiem "Miserere mei" (zmiłuj się nademną), który od dwóch tygodni obłożnie chorował i był bez nadziei życia, bo mu się wszystkie rany od wilgoci pootwierały. Do trosk miłosnych namiestnika dołączył się jeszcze i smutek z grożącej straty starego towarzysza i doświadczonego przyjaciela; nie odstępował też po kilka godzin dziennie ani piędzią od jego wezgłowia, pocieszając go jak umiał i krzepiąc nadzieją, że jeszcze nie jedną wyprawę odbędą.

Ale starzec nie potrzebował pociechy. Konał sobie wesoło na twardem łożu rycerskiem, obciągniętem końską skórą, i z uśmiechem prawie dziecinnym spoglądał na krucyfiks zawieszony nad łożem. Skrzetuskiemu zaś odpowiadał:

— Miserere mei, mości poruczniku, już ja sobie idę po swoją lafę (żołd) niebieską. Ciało na mnie takie od ran dziurawe, że o to się tylko boję, czy święty Piotr, który jest marszałkiem Bożym i ochędóstwa w niebie doglądać musi, puści mnie do raju w tak podziurawionej sukni. Ale mu powiem: "Święty Piotruńku! zaklinam cię na ucho Malchusowe, nie czyńże mi wstrętu, boć to poganie tak mi popsowali szaty cielesne... miserere mei! a będzie jaka wyprawa świętego Michała na potencyę (moc) piekielną, to się stary Zakrzewski przyda jeszcze."

Więc porucznik, choć jako żołnierz tyle razy śmierć oglądał, nie mógł łez wstrzymać, słuchając tego starca, którego zgon do pogodnego zachodu słońca był podobny.

Aż jednego ranka zabrzmiały dzwony we wszystkich kościołach i cerkwiach łubniańskich, zwiastujące śmierć pana Zakrzewskiego. Tegoż dnia książę z Sieńczy przyjechał, a z nim panowie Bodzyński i Lassota, oraz cały dwór i dużo szlachty w kilkudziesięciu kolaskach, bo zjazd u pana Suffczyńskiego był niezmierny. Książę wyprawił wspaniały pogrzeb, chcąc uczcić zasługi zmarłego i okazać, jak się w ludziach rycerskich kocha. Asystowały więc w pochodzie żałobnym wszystkie regimenty stojące w Łubniach, na wałach bito z hakownic i rusznic. Kawalerya szła od zamku, aż do kościoła farnego w mieście bojowym ordynkiem (szykiem), ale ze zwiniętemi banderyami; za nią piesze regimenta z kolbami do góry. Sam książę, przybrany w żałobę, jechał za trumną w pozłocistej karecie.

zaprzężonej w ośm białych jak mleko koni, mających grzywy i ogony pofarbowane na ponsowo i kiście strusich piór czarnej barwy na głowach. Przed kolaską postępował oddział janczarów, stanowiących przyboczną straż książęcą, tuż za kolaską paziowie, przybrani z hiszpańska, na dzielnych koniach, dalej wysocy urzędnicy dworscy, dworzanie rękodajni, pokojowcy, nakoniec hajducy i pajucy. Kondukt zatrzymał się naprzód u drzwi kościoła, gdzie ksiądz Jaskólski powitał trumnę mową, poczynającą się od słów: "Dokąd tak śpieszysz, mości Zakrzewski?" Potem przemawiało jeszcze kilku z towarzystwa, a między nimi i pan Skrzetuski, jako zwierzchnik i przyjaciel zmarłego. Następnie wniesiono ciało do kościoła, i tu dopiero zabrał głos najwymowniejszy z wymownych: ksiądz jezuita Muchowiecki, który mówił tak górnie i ozdobnie, że sam książę zapłakał. Był to bowiem pan nadzwyczaj tkliwego serca i dla żołnierzów ojciec prawdziwy. Dyscypliny przestrzegał żelaznej, ale pod względem hojności, łaskawego traktowania ludzi i opieki, jaką otaczał nietylko ich samych, ale ich dzieci i żony, nikt się z nim nie mógł porównać. Dla buntów straszny i niemiłosierny, był jednak prawdziwym dobrodziejem nietylko szlachty, ale i całego swego ludu. Gdy w 46 roku szarańcza zniszczyła plony czynszownikom, za cały rok czynsz odpuścił, poddanym kazał wydawać zboże ze śpichlerzów, a po pożarze w Chorolu wszystkich mieszczan przez dwa miesiące swoim kosztem żywił. Dzierżawcy i podstarościowie w ekonomiach drżeli, by do uszu księcia wieść o jakowych nadużyciach lub krzywdach ludowi czynionych nie doszła. Sierotom taka była opieka zapewniona, że przezywano je na Zadnieprzu "książęcemi detynami" (dziećmi). Czuwała nad tem sama księżna Gryzelda, przy pomocy ojca Muchowieckiego. Ład tedy panował we wszystkich dobrach książęcych, dostatek, sprawiedliwość, spokój, ale i strach, bo w razie najmniejszego oporu nie znał książę miary w gniewie i karaniu, tak w jego naturze łączyła się wspaniałomyślność ze srogością. Ale w owych czasach i w owych krainach tylko ta srogość pozwalała się krzewić i plenić ludzkiemu życiu i pracy, jej tylko dzięki powstawały miasta i wsie, rolnik wziął górę nad hajdamaką (rozbójnikiem), kupiec spokojnie towar swój prowadził, dzwony spokojnie wzywały wiernych na modlitwę, wróg nie śmiał granicy przestąpić, kupy lotrów ginęły na palach, lub zmieniały się w rządnych żołnierzy, a kraj pustynny rozkwitał.

Dzikiej krainie i dzikim mieszkańcom takiej potrzeba było ręki.

ciągnęli osadnicy nęceni rolą i żyznością ziemi, zbiegli chłopi ze wszystkich ziem Rzplitej, przestępcy uciekający z więzień, słowem, jakoby rzekł Livius: pastorum convenarumque plebs transfuga ex suis populis" (pasterzy i bandytów tłum zbiegły od plemion swoich). Utrzymać ich w ryzie, zmienić w spokojnych osadników i wtłoczyć w karby osiadłego życia mógł tylko taki lew, na którego ryk drżało wszystko.

Pan Longinus Podbipięta, pierwszy raz w życiu księcia na pogrzebie ujrzawszy, własnym oczom uwierzyć nie mógł. Słysząc bowiem tyle o slawie jego, wyobrażał sobie, że musi to być jakiś olbrzym, o głowę rodzaj ludzki przewyższający, a tymczasem książę był wzrostu prawie małego i dość szczupły. Młody był jeszcze, liczył dopiero trzydziesty szósty rok życia, ale na twarzy jego widne już były trudy wojenne. O ile bowiem w Łubniach żył jak król prawdziwy, o tyle w czasie licznych wypraw i pochodów dzielił niewczasy prostego towarzysza, jadał czarny chleb i sypial na ziemi na wojłoku, a że większa część życia schodziła mu na pracach obozowych, więc odbiły się one na jego twarzy. Wszelako oblicze to na pierwszy rzut oka zdradzało nadzwyczajnego człowieka. Malowała się w niem nieugięta wola i majestat, przed którym każdy mimowoli musiał uchylić głowy. Widać było, że ten człowiek zna swoją potęgę i wielkość i gdyby mu jutro kazano włożyć koronę na głowę, nie czułby się ani zdziwionym, ani przygniecionym jej ciężarem. Oczy miał duże, spokojne, prawie słodkie, jednakże gromy zdawały się być w nich uśpione, i czułeś, że biada temu, ktoby je rozbudził. Nikt też znieść nie mógł spokojnego blasku tego spojrzenia, i widywano posłów, wytrawnych dworaków, którzy, stanąwszy przed Jeremim, mieszali się i nie umieli zacząć dyskursu (przemowy). Był to zresztą na swojem Zadnieprzu król prawdziwy. Z kancelaryi jego wychodziły przywileje i nadania: "My po Bożej myłosti kniaź i hospodyn" (my, z łaski Bożej książę i pan) etc. Niewielu też i panów za równych sobie poczytywał. Kniaziowie z krwi dawnych władców bywali u niego marszałkami. Takim był w swoim czasie i ojciec Heleny, Wasyl Bułyha-Kurcewicz, który to ród przecie, jak się wyżej wspomniało, wyprowadzał się od Koryata, a w samej rzeczy od Ruryka pochodził.

Było w księciu Jeremim coś, co mimo wrodzonej mu łaskawości trzymało ludzi w oddaleniu. Kochając żołnierzów, on sam poufalił się z nimi, z nim nikt nie śmiał się poufalić. A jednakże rycer-

stwo, gdyby mu kazał konno w przepaście dnieprowe skoczyć, uczyniłoby to bez wahania.

Po matce Wołoszce odziedziczył on cerę białą tą białością rozpalonego żelaza, od której żar bije, i czarny jak skrzydło kruka włos, który na całej głowie podgolony, z przodu tylko spadał bujniej i, obcięty nad brwiami, zasłaniał mu połowę czoła. Nosił się po polsku, o ubiór niezbyt dbał i tylko na wielkie uroczystości nakładał szaty kosztowne, ale wówczas świecił cały od złota i kamieni. Pan Longin w kilka dni później był obecny na takiej uroczystości, gdy książę dawał posłuchanie panu Rozwanowi Ursu. Audyencye posłów odbywały się zawsze w sali tak zwanej niebieskiej, gdyż na jej suficie firmament niebieski, wraz z gwiazdami, pędzlem gdańszczanina Helma był wyobrażony. Zasiadał tedy książę pod baldachimem z aksamitu i gronostajów, na wyniosłem krześle, do tronu podobnem, którego podnóżek był blachą pozłocistą obity, za księciem zaś stał ksiądz Muchowiecki, sekretarz, marszałek kniaź Woronicz, pan Bogusław Maszkiewicz, dalej paziowie i dwunastu trabantów z halabardami, przybranych po hiszpańsku; głębie sali przepełnione były rycerstwem w świetnych strojach i ubiorach. Pan Rozwan prosił w imieniu hospodara, by książę swym wpływem i grozą imienia wyrobił u chana zakaz Tatarom budziackim wpadania do Wołoszczyzny, w której corocznie straszliwe szkody i spustoszenia czynili, naco książę odpowiedział piękną łaciną, że Budziaccy niebardzo samemu chanowi byli posłuszni, że jednakże, gdy na kwiecień spodziewa się Czausa Murzy, posła chanowego, u siebie, będzie przez niego upominał się u chana o krzywdy wołoskie. Pan Skrzetuski poprzednio już zdał relacye ze swego poselstwa i podróży, oraz zę wszystkiego, co słyszał o Chmielnickim i jego na Sicz ucieczce. Książę postanowił posunąć kilka pułków ku Kudakowi, ale nie przywiązywał wielkiej do tej sprawy wagi. Tak więc, gdy nic nie zdawało się zagrażać spokojowi i potędze Zadnieprzańskiego państwa, rozpoczęły się w Łubniach uroczystości i zabawy, tak z powodu bytności posła Rozwana, jak i dlatego, że panowie Bodzyński i Lassota oświadczyli się wreszcie uroczyście, w imieniu wojewodzica Przyjemskiego, o rękę starszej księżniczki, Anny, a na tę prośbę otrzymali i od księcia i od księżny Gryzeldy odpowiedź pomyślną.

Jeden tylko mały Wołodyjowski cierpiał nad tem niemało, a gdy Skrzetuski próbował wlać mu otuchę w serce, odpowiedział:

— Dobrze tobie, bo gdy zechcesz, Anusia Borzobohata cię nie ominie. Już tu ona o tobie bardzo wdzięcznie przez cały czas wspominała; rozumiałem z początku, iż w tej myśli, by zazdrość w Bychowcu excitare (wzbudzić), ale widzę, że chciała go na hak przywieść i chyba dla ciebie jednego czulszy w sercu żywi sentyment (uczucie).

— Co tam Anusia! Wróćże sobie do niej — non prohibeo (nie bronię). Ale o księżniczce Annie przestań myśleć, gdyż to jest to samo, jakbyś chciał feniksa czapką na gnieździe przykryć.

— Wiem ci to, że ona jest feniksem, i dlatego z żalu po niej pewno mi umrzeć przyjdzie.

— Żyw będziesz i wraz się zakochasz, byle jeno nie w księżniczce Barbarze, bo ci ją drugi wojewodzic z przed nosa sprzątnie.

— Żali serce jest pachołkiem, któremu rozkazać można? czyli oczom zabronisz patrzeć na tak cudną istotę, jak księżniczka Barbara, której widok dzikie nawet bestye poruszyć byłby zdolny?

— Masz dyable kubrak! — wykrzyknął pan Skrzetuski. — Widzę, że się bez mojej pomocy pocieszysz, aleć to powtarzam: wróć do Anusi, bo z mojej strony żadnych impedimentów (przeszkód) mieć nie będziesz.

Anusia jednak ani myślała rzeczywiście o Wołodyjowskim. Natomiast drażniła ją, zaciekawiała i gniewała obojętność pana Skrzetuskiego, który, wróciwszy po tak długiej nieobecności, prawie na nią nie spojrzał. Wieczorami tedy, gdy książę z co przedniejszymi oficerami i dworzany przychodził do bawialnej komnaty księżny, by zabawić się rozmową, Anusia, wyglądając z za pleców swej pani (bo księżna była wysoka, a Anusia nizka), świdrowała swemi czarnemi oczkami w twarzy namiestnika, chcąc mieć rozwiązanie tej zagadki. Ale oczy Skrzetuskiego, również jak myśl, błądziły gdzieindziej, a gdy wzrok jego padał na dziewczynę, to taki zamyślony i szklany, jak gdyby nie na tę patrzył, do której śpiewał niegdyś:

Jak tatarska orda,
Bierzesz w jasyr corda!..."

— Co mu się stało? — pytała sama siebie rozpieszczona faworytka całego dworu i tupiąc drobną nóżką, czyniła postanowienie rzecz tę zbadać. Nie kochała się ona wprawdzie w Skrzetuskim, ale, przyzwyczaiwszy się do hołdów, nie mogła znieść, by na nią nie zważano, i gotowa była ze złości sama się rozkochać w zuchwalcu.

Razu tedy jednego, biegnąc z motkami dla księżny, spotkała pana Skrzetuskiego, wychodzącego z przyległej sypialnej komnaty książęcej. Naleciała na niego jak burza, prawie potrąciła piersią i, cofnąwszy się nagle, rzekła:

— Ach! jakiem się przestraszyła! Dzień dobry waćpanu!

— Dzień dobry pannie Annie! Czyliż takowe monstrum (potwór) mnie, bym aż miał pannę Annę przestraszać?

Dziewczyna stała ze spuszczonemi oczkami, kręcąc palcami niezajętej ręki końce warkoczów, przestępując z nóżki na nóżkę i, niby zmieszana, odpowiedziała z uśmiechem:

— E nie! to nie... wcale nie... jak matkę kocham!

Nagle spojrzała na porucznika i znów zaraz spuściła oczy:

— Czy się waćpan gniewasz na mnie?

— Ja? Alboż panna Anna dba o mój gniew?

— Co prawda, to nie. Miałabym też o co dbać. Może waćpan myślisz, że zaraz będę płakała? Pan Bychowiec grzeczniejszy...

— Jeśli tak, to nie pozostaje mnie nic innego, tylko, ustąpiwszy pola panu Bychowcowi, zejść z oczu panny Anny.

— A czy ja trzymam?

To rzekłszy, Anusia zastąpiła mu drogę.

— To waćpan z Krymu powraca? — spytała.

— Z Krymu.

— A co waćpan z Krymu przywiózł?

— Przywiózłem pana Podbipiętę. Wszakże go panna Anna widziała? Bardzo to miły i stateczny kawaler.

— Pewnie, że milszy od waćpana. A poco on tu przyjechał?

— Żeby panna Anna miała na kim swojej mocy popróbować. Aleć radzę ostro się brać, bo wiem jeden sekret o tym kawalerze, dla którego jest on niezwyciężony... I nawet panna Anna nic z nim nie wskóra.

— Dlaczegóż to on jest niezwyciężony?

— Bo się nie może żenić.

— A co mnie to obchodzi! Czemuż to on nie może się żenić?

Skrzetuski pochylił się do ucha dziewczyny, ale rzekł bardzo głośno i dobitnie:

— Bo czystość ślubował.

— Niemądryś waćpan! — zawołała prędko Anusia i w tejże chwili furknęła, jak ptak spłoszony.

Tego wieczora jednak popatrzała pierwszy raz uważniej na pana Longina. Gości dnia tego było niemało, książę wyprawiał pożegnalną ucztę dla pana Bodzyńskiego. Nasz Litwin, przybrany starannie w biały atłasowy żupan i ciemno-niebieski aksamitny kontusz, wyglądał bardzo okazale, tembardziej, że przy boku, zamiast katowskiego Zerwikaptura, zwieszała mu się lekka krzywa szabla w pozłocistej pochwie.

Oczki Anusi strzelały na pana Longina potrosze umyślnie na złość panu Skrzetuskiemu. Byłby tego jednakże namiestnik nie zauważył, gdyby nie Wołodyjowski, który, trąciwszy go łokciem, rzekł:

— Niechże mnie jasyr spotka, jeśli Anusia nie wdzięczy się do tej chmielowej tyczki litewskiej!

— Powiedzże to jemu samemu.

— Pewnie, że powiem. Dobrana będzie z nich para.

— Będzie ją mógł nosić zamiast spinki u żupana, taka właśnie jest między nimi proporcya.

— Albo zamiast kitki na czapce.

Wołodyjowski podszedł do Litwina.

— Mosanie — rzekł, — niedawno jakieś tu przybył, ale frant widzę z waści nielada.

— A to czemu, brateńku dobrodzieju? a to czemu?

— Boś nam tu najgładszą dziewkę z fraucymeru już zbałamucił.

— Dobrodzieju! — rzekł Podbipięta, składają ręce, — co waćpan mówisz najlepszego?

— Spojrzyj waszmość na pannę Annę Borzobohatą, w której się tu wszyscy kochamy, jak to ona na waści dziś oczkiem strzyże. Pilnuj się jeno, żeby z waści dudka nie wystrzygła, jak z nas powystrzygała.

To rzekłszy, Wołodyjowski zakręcił się na pięcie i odszedł, pozostawiając pana Longina w zdumieniu. Nie śmiał on nawet zrazu spojrzeć w stronę Anusi i po niejakim dopiero czasie rzucił znienacka okiem — ale aż zadrżał. Z poza ramienia księżny Gryzeldy dwoje jarzących ślepków patrzało na niego istotnie z ciekawością i uporem. — "Apage satanas" (odejdź szatanie)— pomyślał Litwin, i oblawszy się jak żaczek rumieńcem, uciekł w drugi kąt sali.

Jednakże pokusa była ciężka. Ten szatanek, wyglądający z za pleców księżny, miał tyle ponęt, te oczki tak świeciły jasno, że pana Longina aż ciągnęło coś, by w nie choć jeszcze raz tylko spojrzeć. Ale wtem wspomniał na swój ślub, w oczach stanął mu Zerwikaptur,

przodek Stowejko Podbipięta, trzy ścięte głowy i strach go zdjął. Przeżegnał się i tego wieczoru nie spojrzał więcej.

Natomiast rankiem nazajutrz przyszedł na kwaterę Skrzetuskiego.

— Panie namiestniku, a prędko pociągniemy? Co też tam waszmość słyszał o wojnie?

— Przypiliło waści. Bądźże cierpliwy, póki się pod znak nie zaciągniesz.

Pan Podbipięta bowiem nie był jeszcze zapisany na miejsce zmarłego Zakrzewskiego. Musiał czekać z tem aż ćwierć wyjdzie, co miało nastąpić dopiero pierwszego kwietnia.

Ale było mu rzeczywiście pilno, dlatego pytał namiestnika w dalszym ciągu:

— A nicże J. O. książę w tej materyi nie mówił?

— Nic. Król pono do śmierci nie przestanie o wojnie myśleć, ale Rzeczpospolita jej nie chce.

— A mówili w Czehryniu, że rebelia kozacka zagraża?

— Znać, że waści mocno ślub dolega. Co do rebelii, wiedzże, iż jej przed wiosną nie będzie, bo choć to zima lekka, ale zima zimą. Mamy dopiero 15 februarii (lutego), lada dzień mrozy jeszcze mogą nastąpić, a Kozak w pole nie rusza, póki się nie moż okopać, bo oni za wałem biją się okrutnie, w polu zaś nie umieją dotrzymać.

— Tak i trzeba czekać nawet na Kozaków?

— Zważ waćpan i to, że choćbyś w czasie rebelii swoje trzy głowy znalazł, to niewiadomo, czy od ślubu wolnym będziesz, boć co innego Krzyżacy lub Turcy, a co innego swoi — jakoby rzec, dzieci ejusdem matris (tej samej matki).

— O wielki Boże! Otoś mi waćpan sęka w głowę zadał. Ot desperacya! Niechże mnie ksiądz Muchowiecki te wątpliwości rozstrzygnie, bo inaczej nie będę miał i chwili spokoju.

— Pewnie, że rozstrzygnie, gdyż jest człek uczony i pobożny, ale pewnie nie powie nic innego. Belum civile (wojna domowa), to wojna braci.

— A gdyby rebelizantom (buntownikom) obca potęga na pomoc przyszła?

— Tedy miałbyś pole. Ale teraz jedno mogę waści zalecić: czekaj i bądź cierpliwy.

Jednakże pan Skrzetuski sam nie umiał pójść za tą radą. Ogarniała go tęsknota coraz większa, nudziły go uroczystości dworskie

i te twarze, na które dawniej tak mile spoglądał. Panowie Bodzyński, Lassota i pan Rozwan Ursu wyjechali wreszcie, a po ich wyjeździe nastał spokój głęboki. Życie zaczęło płynąć jednostajnie. Książę zajęty był lustracyami (przeglądami) dóbr ogromnych i co rano zamykał się z komisarzami, nadjeżdżającymi z całej Rusi i z Sandomierskiego — więc nawet i ćwiczenia wojskowe rzadko tylko mogły się odbywać. Gwarne uczty oficerskie, na których rozprawiano o przyszłych wojnach, nużyły niewymownie Skrzetuskiego; więc z guldynką na ramieniu uciekał nad Sołonicę, gdzie ongi Żółkiewski tak strasznie Nalewajkę, Łobodę i Krępskiego pogromił. Ślady owej bitwy już się były zatarły i w pamięci ludzkiej, i na pobojowisku. Czasem tylko jeszcze ziemia wyrzucała z łona zbielałe kości, a za wodą sterczał nasyp kozacki, z poza którego bronili się tak rozpaczliwie Zaporożcy Łobody i nalewajkowa konnica. Ale już na nasypie puścił się gęsto gaj zarośli. Tam to Skrzetuski chronił się przed gwarem dworskim i zamiast strzelać do ptaków, rozpamiętywał; tam to przed oczyma jego duszy stawała przywoływana pamięcią i sercem postać kochanej dziewczyny; tam wśród mgły, szumu oczeretów i melancholii owych miejsc, doznawał ulgi we własnej tęsknocie. Ale później jęły padać obfite, zapowiadające wiosnę deszcze. Sołonica zamieniła się w topielisko, głowy z pod dachu trudno było wychylić, więc namiestnik i tej pociechy, jaką odnajdował w błąkaniu się samotnem, został pozbawiony. A tymczasem wzrastał jego niepokój — i słusznie. Miał on z początku nadzieję, że Kurcewiczowa z Heleną, jeśli tylko kniahini potrafi wyprawić Bohuna, zjadą zaraz do Łubniów, a teraz i ta nadzieja zgasła. Słota popsuła drogi, step na kilka mil po obu brzegach Suly stał się ogromnem bagniskiem, na którego przebycie trzeba było czekać, póki wiosenne gorące słońce nie wyssie zbytku wód i wilgoci. Przez cały ten czas Helena miała pozostawać pod opieką, której Skrzetuski nie ufał, w prawdziwem wilczem gnieździe, wśród ludzi nieokrzesanych, dzikich, a Skrzetuskiemu niechętnych. Wprawdzie dla własnego dobra powinni mu byli słowa dotrzymać, i prawie nie mieli innej drogi, ale któż mógł odgadnąć, co wymyślą, na co się odważą, zwłaszcza, gdy ciążył nad nimi straszliwy watażka, którego widocznie i kochali, i bali się jednocześnie. Łatwo by mu przyszło i zmusić ich do oddania mu dziewczyny, bo nie rzadkie były i podobne wypadki. Taksamo swego czasu towarzysz nieszczęsnego Nalewajki, Łoboda, zmusił panią Poplińską, by mu oddala za żonę swą wycho-

wankę, choć dziewczyna była szlachcianką dobrego rodu i chociaż z całej duszy nienawidziła watażki. A jeśli było prawdą, co mówiono o niezmiernych bogactwach Bohuna, to przecie mógł im i dziewczynę i utratę Rozłogów zapłacić. A potem co? Potem — myślał pan Skrzetuski — doniosą mi szyderczo, że jest "po harapie" (po warkoczu), a sami umkną gdzieś w puszcze litewskie lub mazowieckie, gdzie ich nawet potężna książęca ręka nie dosięgnie. Pan Skrzetuski trząsł się jak w febrze na tę myśl, targał się jak wilk na łańcuchu, żałował swego rycerskiego słowa danego kniahini—i nie wiedział, co ma począć. A był to człowiek, który nierad pozwalał ciągnąć się za brodę wypadkom. W jego naturze leżała wielka przedsiębiorczość i energia. Nie czekał on na to, co mu los zdarzy; wolał los brać za kark i zmuszać, by zdarzał fortunnie — dlatego trudniej mu było niż komu innemu siedzieć z założonemi rękoma w Łubniach.

Postanowił więc działać. Miał on pacholika Rzędziana, szlachcica chodaczkowego z Podlasia, lat szesnastu, ale franta kutego na cztery nogi, z którym niejeden stary wyga nie mógł iść o lepsze, i tego postanowił wysłać do Heleny, oraz na przeszpiegi. Skończył się też już był luty; deszcze przestały lać, marzec zapowiadał się dość pogodnie, i drogi musiały się nieco poprawić. Wybierał się więc Rzędzian w drogę. Pan Skrzetuski zaopatrzył go w list, papier, pióra i flaszkę inkaustu, której kazał mu jak oka w głowie pilnować, bo pamiętał, że tych rzeczy niemasz w Rozłogach. Miał także chłopak polecone, by nie powiadał od kogo jest, by udawał, że do Czehrynia jedzie, i pilnie na wszystko zwracał oko, a zwłaszcza wywiedział się dobrze o Bohunie, gdzie jest i co porabia. Rzędzian nie dal sobie instrukcyi powtarzać, czapkę na bakier nasunął, nahajem świsnął i pojechał.

Dla pana Skrzetuskiego rozpoczęły się ciężkie dni oczekiwania. Dla zabicia czasu ścinał się w palcaty z panem Wołodyjowskim, wielkim mistrzem w tej sztuce, lub dzirytem do pierścienia rzucał. Zdarzył się też w Łubniach wypadek, którego namiestnik o mało zdrowiem nie przypłacił. Pewnego dnia niedźwiedź, zerwawszy się z łańcucha, na podwórcu zamkowym poszczerbił dwóch masztelarzy, popłoszył konie pana komisarza Chlebowskiego i nakoniec rzucił się na namiestnika, który szedł właśnie z cekhauzu od księcia, bez szabli przy boku, mając w ręku tylko lekki nadziak z mosiężną główką. Namiestnik byłby zginął niezawodnie, gdyby nie pan Lon-

gin, który, ujrzawszy z cekhauzu co się dzieje, porwał za swój Zerwikaptur i przybiegł na ratunek. Pan Longin okazał się w zupełności godnym potomkiem przodka Stowejki, gdyż w oczach całego dworu odwalił jednym zamachem łeb niedźwiedziowi razem z łapą, a ten dowód nadzwyczajnej siły podziwiał z okna sam książę i wprowadził następnie pana Longina do pokojów księżny, gdzie Anusia Borzobohata tak wabiła go oczkiem, że nazajutrz musiał iść do spowiedzi i następnie przez trzy dni nie pokazywał się w zamku, póki żarliwą modlitwą wszelkich pokus nie odpędził.

Tymczasem upłynęło dni dziesięć, a Rzędziana nie było widać z powrotem. Nasz pan Jan schudł z oczekiwania i tak wymizerniał, że aż Anusia poczęła się wypytywać przez posły, co mu jest — a Carboni, doktór książęcy, zapisał mu jakąś dryakiew (lekarstwo) na melancholię. Ale innej on dryakwi potrzebował, gdyż dniem i nocą o swojej kniaziównie rozmyślał — i czuł coraz mocniej, że to nie żadne płoche uczucie zagnieździło się w jego serce, ale miłość wielka, która musi być zaspokojona, bo inaczej pierś ludzka jak słabe naczynie rozsadzić gotowa.

Łatwo więc sobie wyobrazić radość pana Jana, gdy pewnego dnia o świcie wszedł do jego kwatery Rzędzian zabłocony, zmęczony, wymizerowany, ale wesół i z dobrą wieścią wypisaną na czole. Namiestnik, jak się zerwał wprost z łoża, tak przybiegłszy do niego, schwycił go za ramiona i krzyknął:

— List masz?

— Mam, panie. Oto jest.

Namiestnik porwał i zaczął czytać. Długi czas wątpił, czy mu nawet w razie najpomyślniejszym Rzędzian list przywiezie, gdyż nie był pewien, czy Helena pisać umie. Kresowe niewiasty nie bywały uczone, a Helena chowała się do tego między prostakami. Jednakże widocznie ojciec nauczył ją jeszcze tej sztuki, gdyż skreśliła długi list na cztery strony papieru. Biedaczka nie umiała wprawdzie wyrażać się ozdobnie, retorycznie, ale wprost od serca pisała, co następuje:

Już ja waćpana nigdy nie zapomnę, waćpan mnie prędzej, bo słyszę, że są i płosi między wami. Ale gdyś pacholika umyślnie tyle mil drogi przysyłał, to widać, żem ci miła, jak i ty mnie, za coć sercem wdzięcznem dziękuje. Nie myśl też waćpan, aby to nie było przeciw skromności mojej, jak ci o tem kochaniu pisać, ale snadź lepiej już prawdę powiedzieć, niż zełgać, albo ją ukry-

wać, gdy zgoła co innego jest w sercu. Wypytywałam też imć Rzędziana, co w Łubniach porabiasz i jakie są wielkiego dworu obyczaje, a gdy mnie o urodzie i gładkości tamtejszych panien powiadał, prawie że łzami od wielkiego smutku się zalałam..."

Tu namiestnik przerwał czytanie i spytał Rzędziana:

— Coś ty tam kpie powiadał?

— Wszystko dobrze, — panie! odpowiedział Rzędzian.

Namiestnik czytał dalej:

"...Bo jakże mnie prostaczce porównać się z niemi. Ale powiedział mi pachołek, iż waćpan na żadną i patrzeć nie chcesz..."

— Toś dobrze powiedział! — rzekł namiestnik.

Rzędzian nie wiedział wprawdzie o co idzie, bo namiestnik czytał list pocichu, ale zrobił mądrą minę i chrząknął znacząco, Skrzetuski zaś czytał dalej:

"...I zaraz pocieszyłam się, prosząc Boga, by cię nadal w takowej dla mnie życzliwości utrzymał i obojgu nam błogosławił — amen. Jużem się tak też do waćpana stęskniła, jako właśnie do matki, bo mnie sierocie smutno na świecie, ale nie przy waćpanu... Bóg patrzy na moje serce, że jest czyste, a co innego jest prostactwo, które mnie wybaczyć musisz..."

W dalszym ciągu donosiła śliczna kniaziówna, że do Łubniów ze stryjenką wyjadą, jak tylko drogi będą lepsze, i że sama kniahini chce wyjazd przyśpieszyć, gdyż z Czehrynia dochodzą wieści o jakichś niespokojnościach kozackich, czeka więc tylko na powrót młodych kniaziów, którzy do Bohusławia na jarmark koński pojechali.

"Prawdziwy z waćpana czarownik — pisała dalej Helena — żeś sobie i stryjnę zjednać umiał."

Tu namiestnik uśmiechnął się, przypomniał sobie bowiem, jakimi to sposobami musiał tę stryjnę zjednywać. List kończył się zapewnieniami stałej a poczciwej miłości, jaką właśnie przyszła żona mężowi winna. Wogóle zaś przeglądało z niego istotnie serce czyste, dlatego też namiestnik odczytywał ten list serdeczny po kilkanaście rady od początku do końca, powtarzając sobie w duszy: "Moja wdzięczna (miła) dziewko! niechże mnie Bóg opuści, jeśli cię kiedy zaniecham."

Potem zaś począł wypytywać o wszystko Rzędziana.

Sprytny pachołek zdał mu dokładnie sprawę z całej podróży. Przyjęto go uczciwie. Stara kniahini wybadała go o namiestnika

a dowiedziawszy się, że był rycerzem znakomitym i księcia poufnym, a przytem człowiekiem zamożnym, rada była.

— Pytała mnie też — rzekł Rzędzian, — czy jegomość, jak co obiecuje, zawsze słowo zdzierży (dotrzyma), a ja jej na to: "Moja mościa pani! gdyby ten wołoszynek, na którym przyjechałem, był mnie obiecany, wiedziałbym, że już mnie nie minie..."

— Frant z ciebie — rzekł namiestnik, — ale kiedyś tak za mnie zaręczył, to go już zatrzymaj. Nie symulowałaś (udawałeś) tedy nic, powiedziałeś, że ja cię przysłałem?

— Powiedziałem, bom obaczył, że można, i zaraz jeszcze wdzięczniej mnie przyjęli, a szczególnie panna, która jest tak cudna, jak drugiej na świecie nie znaleźć. A dowiedziawszy się, że od jegomości jadę, już też nie wiedziała gdzie mnie posadzić, i gdyby nie post, opływałbym we wszystko jako w niebie. Czytając list jegomościa, łzami go oblewała od radości.

Namiestnik zamilkł również od radości i po chwili dopiero spytał znowu:

— A o onym Bohunie niceś się nie dowiedział?

— Nie zdawało mi się panny albo pani o to pytać, alem wszedł w konfidencyę poufałość ze starym Tatarem Czechłym, który, choć poganin, jest wiernym panienki sługą. Ten mnie powiadał, że mruczeli oni wszyscy na jegomości bardzo, ale potem się ustatkowali, a to gdy stało się im wiadomo, iż co prawią o skarbach tego Bohuna, to bajka.

— Jakimże sposobem o tem się przekonali?

— A to, widzi jegomość, było tak: mieli oni dyferencyę (nieporozumienie) z Siwińskimi, którą potem obowiązali się spłacić. Jak przyszedł termin, tak do Bohuna: Pożycz! — A on na to: Dobra tureckiego, powiada, trochę mam, ale skarbów żadnych, bo com miał, tom, powiada, rozrzucił. Jak to usłyszeli, zaraz im był tańszy — i do jegomości afekt zwrócili.

— Niema co mówić, dobrześ się o wszystkiem wywiedział.

— Mój jegomość, gdybym ja się jednego wywiedział, a drugiego nie, tedyby jegomość mógł do mnie rzec: Konia mi darowałeś, a terlicyś nie dał. Coby jegomości było po koniu bez terlicy?

— No, no, to weźże i terlicę.

— Dziękuję pokornie jegomości. Oni też Bohuna do Perejasława zaraz wyprawili, więc jakom się o tem dowiedział, tak sobie

myślę: czemubym i ja nie miał do Perejasławia dotrzeć? Będzie ze mnie pan kontent, to mnie barwa (umundurowanie) prędzej dojdzie...

— Dojdzie cię na nową ćwierć. To byłeś i w Perejasławiu.

— Byłem. Alem Bohuna tam nie znalazł. Stary pułkownik Łoboda chory. Mówią, że rychło po nim Bohun pułkownikiem zostanie... Ale tam się dzieje coś dziwnego. Semenów garść przy chorągwi została — reszta, mówi, za Bohunem pociągnęła, czy też na Sicz zbiegła, i to jest, mój jegomość, ważna rzecz bo tam się podobno jakaś rebelia knuje. Chciałem się koniecznie czegoś dowiedzieć o Bohunie, ale tylko tyle mi powiedziano, że się na ruski brzeg (1) przeprawił; a no! myślę sobie, kiedy tak, to nasza panienka od niego bezpieczna — i wróciłem.

— Dobrześ się sprawił. A przygody jakiej w podróży nie miałeś?

— Nie, mój jegomość, jeno mi się jeść okrutnie chce.

Rzędzian wyszedł, a namiestnik, zostawszy sam, zaczął na nowo odczytywać list Heleny i przyciskać do ust te literki, nie tak kształtne, jak ręka, która je kreśliła. Ufność wstąpiła mu w serce — i myślał sobie: Niezadługo drogi podeschną, byle Bóg dał pogodę. Kurcewicze też, dowiedziawszy się, że Bohun hołysz (golec), pewnie mnie już nie zdradzą. Puszczę (dam w dzierżawę) im Rozłogi i jeszcze swego dołożę, byle onej kochanej gwiazdki dostać..."

I przybrawszy się, z jaśniejszą twarzą, z pełną od szczęścia piersią, szedł do kaplicy, by Bogu naprzód za dobrą nowinę pokornie podziękować.

VI.

Na całej Ukrainie i Zadnieprzu poczęły zrywać się jakieś szumy, jakoby zwiastuny burzy bliskiej; jakieś dziwne wieści przelatywały od sioła do sioła, od futoru (folwarczku) do futoru, nakształt owych roślin, które jesienią wiatr po stepie żenie (pędzi), a które lud perekotypolem zowie. W miastach szeptano sobie o jakiejś wielkiej wojnie, lubo nikt nie wiedział, kto i przeciw komu ma wojować. Coś zapowiadało się wszelako. Twarze ludzkie stały się niespokojne. Rolnik niechętnie z pługiem na pole wychodził, chociaż wiosna

(1) Prawy brzeg Dniepru nazywano ruskim, lewy tatarskim.

przyszła wczesna, cicha, ciepła, a nad stepami dzwoniły oddawna skowronki. Wieczorami ludzie po siołach gromadzili się w kupy i stojąc na drodze, gwarzyli półgłosem o rzeczach strasznych. Ślepców, krążących z lirami i pieśnią, wypytywano o nowiny. Niektórym zdało się, że nocami widzą jakieś odblaski na niebie i że księżyc czerwieńszy niż zwykle podnosi się z za borów. Wróżono klęski lub śmierć królewską — a wszystko to było tem dziwniejsze, że do ziem onych, przywykłych do niepokojów, walk, najazdów, strach niełatwy miał przystęp; musiały więc jakieś wyjątkowo złowrogie wichry grać w powietrzu, skoro niepokój stał się powszechnym.

Tem ciężej, tem duszniej było, że nikt nie umiał niebezpieczeństwa wskazać. Wszelako między oznakami złej wróżby dwie szczególnie zdawały się wskazywać, że istotnie coś zagraża. Oto naprzód, niesłychane mnóstwo dziadów lirników zjawiło się po wszystkich wsiach i miastach, a były między nimi jakieś postacie obce, nikomu nieznane, o których szeptano sobie, że są to dziady fałszywe. Ci, włócząc się wszędzie, zapowiadali tajemniczo, iż dzień sądu i gniewu Bożego się zbliża. Powtóre, niżowcy poczęli pić na umor.

Druga oznaka była jeszcze niebezpieczniejsza. Sicz, w zbyt szczupłych granicach objęta, nie mogła wszystkich swych ludzi wyżywić, wyprawy nie zawsze się zdarzały, przeto stepy nie dawały chleba Kozakom; mnóstwo więc niżowców rozpraszało się rok rocznie, w spokojnych czasach, po okolicach zamieszkanych. Pełno ich było na Ukrainie, ba! nawet na całej Rusi. Jedni zaciągali się do pocztów starościńskich, inni szynkowali wódkę po drogach, inni trudnili się po wsiach i po miastach handlem i rzemiosłami. W każdej prawie wsi stała opodal od innych chata, w której mieszkał zaporożec. Niektórzy mieli w takich chatach żony i gospodarstwa. A zaporożec taki, jako człek zwykle kuty i bity, był poniekąd dobrodziejstwem wsi, w której mieszkał. Nie było nad nich lepszych kowali, kołodziejów, garbarzy, woskobojów, rybitwów (rybaków) i myśliwych. Kozak wszystko umiał, wszystko zrobił: dom postawił, siodło uszył. Powszechnie jednak nie byli to osadnicy spokojni bo żyli życiem tymczasowem. Kto chciał wyrok zbrojno egzekwować (wykonać), na sąsiada najazd zrobić, lub się od spodziewanego obronić, potrzebował tylko krzyknąć, a wnet mołojcy zlatywali się jak krucy na żer gotowi. Używała ich też szlachta, używali panowie, wiecznie spory z sobą wiodący, gdy jednak i takich wypraw bra-

kło, to siedzieli cicho po wsiach, pracując do upadłego i w pocie czoła zdobywając chleb powszedni.

I trwało tak czasem rok, dwa, aż nagle przychodziła wieść o jakowejś walnej wyprawie, czy to jakiego atamana na Tatarów, czy na "Lachiw," czy wreszcie paniąt polskich na Wołoszczyznę; — i wnet ci kołodzieje, kowale, garbarze, woskoboje porzucali spokojne zajęcie i przedewszystkiem poczynali pić na śmierć we wszystkich szynkach ukraińskich.

Przepiwszy wszystko, pili dalej na borg, "ne na to, szczo je, ale na to, szczo bude" (nie na to co jest, tylko na to co będzie). Przyszłe łupy miały zapłacić hulatykę.

Zjawisko owo powtarzało się tak stale, że później doświadczeni ludzie ukraińscy zwykli mawiać: "O! trzęsą się szynki od niżowców, w Ukrainie coś się gotuje."

I starostowie wzmacniali zaraz załogi w zamkach, pilnie dając na wszystko baczenie, panowie ściągali poczty — szlachta wysyłała żony i dzieci do miast.

Owóż wiosny tej Kozacy poczęli pić jak nigdy, trwonić na ślepo wszelkie zapracowane dobro, i to nie w jednym powiecie, nie w jednem województwie, ale na całej Rusi jak długa i szeroka.

Coś się gotowało naprawdę, chociaż sami niżowcy nie wiedzieli zgoła, co takiego. Zaczęto mówić o Chmielnickim, o jego na Sicz ucieczce, i o ogrodowych z Czerkas, Bohusławia, Korsunia i innych miast, zbiegłych za nim — ale powiadano też i co innego. Od lat całych krążyły już wieści o wielkiej wojnie z pogany, której król chciał, by dobrym mołojcom łupu przysporzyć, ale Lachy nie chcieli — teraz te wieści pomieszały się z sobą i zrodziły w głowach ludzkich niepokój i oczekiwanie czegoś nadzwyczajnego.

Niepokój ów przedarł się i za mury łubniańskie. Na te wszystkie oznaki niepodobna było oczu zamykać, a zwłaszcza nie miał tego zwyczaju książę Jeremi. W jego państwie niepokój nie przeszedł w prawdzie we wrzenie — strach trzymał w ryzie wszystkich, ale po niejakim czasie z Ukrainy zaczęły dolatywać wieści, że tu i owdzie chłopi zaczynają dawać opór szlachcie, że mordują Żydów, że chcą się gwałtem zaciągnąć do regestru (do wojska regularnego) na wojnę z pogany, i że liczba zbiegów na Sicz coraz się powiększa.

Porozsyłał więc książę posłańców: do pana krakowskiego, do pana Kalinowskiego, do Łobody w Perejasławiu, — a sam ściągał stada ze stepów i wojska z polanek. Tymczasem przyszły wieści uspaka-

jające. Pan hetman wielki donosił wszystko co wiedział o Chmielnickim, nie uważał jednak, aby jaka zawierucha mogła z tej sprawy wyniknąć; pan hetman polny pisał, że "hultajstwo zwykle, jako roje, burzy się na wiosnę." Jeden stary chorąży Zaćwilichowski przesłał list zaklinający księcia, żeby niczego nie lekceważyć, bo wielka burza idzie od Dzikich Pól. O Chmielnickim donosił, że z Siczy do Krymu pognał, by chana o pomoc prosić. "A jako mnie z Siczy przyjaciele donoszą — pisał, — iż tam koszowy ze wszystkich ługów i rzeczek piesze i konne wojsko ściąga, nie mówiąc nikomu dlaczego to czyni, mniemam przeto, iż ta burza na nas się zwali, co jeżeli z pomocą tatarską się stanie, daj Boże, aby zguby wszystkim ziemiom ruskim nie przyniosło."

Książę ufał Zaćwilichowskiemu więcej niż samym hetmanom, bo wiedział, iż nikt na całej Rusi nie zna tak Kozaków i ich fortelów, postanowił więc jaknajwięcej wojsk ściągnąć, a jednocześnie do gruntu prawdy dotrzeć.

Pewnego więc rana kazał przywołać do siebie pana Bychowca, porucznika chorągwi wołoskiej, i rzekł mu:

— Pojedziesz waść ode mnie w poselstwie na Sicz, do pana atamana koszowego, i oddasz mu ten list z moją hospodyńską pieczęcią. Ale żebyś wiedział, czego się trzymać, to ci powiem tak: list jest pozór, a za waga całego poselstwa w waszmościnym rozumie spoczywa, abyś na wszystko patrzał, co się tam dzieje, ile wojska zwołali i czy jeszcze zwołują. To szczególnie polecam, byś sobie jakich ludzi skaptował (zjednał) i o Chmielnickim mi się wszystkiego dobrze wywiedział, gdzie jest i jestże li prawda, że do Krymu pojechał Tatarów o pomoc prosić. Rozumiesz waść?

— Jakoby mi kto na dłoni wypisał.

— Pojedziesz na Czehryń, po drodze nie wytchniesz dłużej, niż noc jedną. Przybywszy, udasz się do chorążego Zaćwilichowskiego, by cię w listy do swoich przyjaciół w Siczy opatrzył, które sekretnie im oddasz. Oni wszystko ci opowiedzą. Z Czehrynia ruszysz bajdakiem (łodzią) do Kudaku, pokłonisz się ode mnie panu Grodzickiemu i to pismo mu wręczysz. On cię przez porohy każe przeprawić i przewoźników potrzebnych dostarczy. W Siczy też nie baw; patrz, słuchaj i wracaj, jeśli żyw będziesz, bo to ekspedycya (wyprawa) nie łatwa.

— Wasza książęca mość jest szafarzem krwi mojej. Ludzi siła mam wziąć?

— Weźmiesz czterdziestu pocztowych. Ruszysz dziś pod wieczór, a przed wieczorem przyjdziesz jeszcze po instrukcye. Ważną to misyę waszmości powierzam.

Pan Bychowiec wyszedł uradowany; w przedpokoju spotkał Skrzetuskiego z kilku oficerami z artyleryi.

— A co tam? — spytali go.

— Dziś ruszam w drogę.

— Dokąd, dokąd?

— Do Czehrynia; a stamtąd dalej.

— To chodźże ze mną — rzekł Skrzetuski.

I zaprowadziwszy go do kwatery, nuż molestować, by mu tę funkcyę odstąpił.

— Jakieś przyjaciel — rzecze, — żądaj, czego chcesz, konia tureckiego, dzianeta, dam, niczego nie będę żałował, bym jeno mógł jechać, bo się we mnie dusza w tamtę stronę rwie! Chcesz pieniędzy, pozwolę, byleś ustąpił. Sławy to nie przyniesie, bo tu pierwej wojna, jeśli ma być, to się rozpocznie — a zginąć możesz. Wiem także, że ci Anusia miła, jako i innym; pojedziesz, to ci ją zbalamucą.

Ten ostatni argument łepiej od innych trafił do myśli pana Bychowca, ale jednak opierał się. Coby książę powiedział, gdyby ustąpił? czyby mu nie miał za złe? Toć to jest fawor (łaska) książęcy taka funkcya (polecenie).

Usłyszawszy to, Skrzetuski poleciał do księcia i natychmiast kazał się przez pazia meldować.

Po chwili paź powrócił z oznajmieniem, że książę wejść pozwala.

Namiestnikowi biło serce jak młotem z obawy, że usłyszy krótkie: „nie!" po którem nie zostawało nic innego, tylko wszystkiego poniechać.

— A co powiesz? — rzekł książę, ujrzawszy namiestnika.

Skrzetuski schylił mu się do nóg.

— Mości książę, przyszedłem błagać najpokorniej, by mnie ekspedycya na Sicz była powierzona. Bychowiec możeby ustąpił, bo mi jest przyjacielem, a mnie tak właśnie na niej jak na samem życiu zależy — boi się tylko Bychowiec, czy wasza książęca mość krzyw za to nie będziesz.

— Na Boga! — rzekł książę — toż jabym nikogo innego jeno ciebie nie wysłał, ale rozumiałem, że niechętnie ruszysz, niedawno taką długą drogę odbywszy.

— Mości książę, choćbym też i codzień był wysyłany, zawsze libenter (chętnie) w tamtą stronę jeździć będę.

Książę popatrzał na niego przeciągle swemi czarnemi oczyma i po chwili spytał:

— Co ty tam masz?

Namiestnik stał zmieszany jak winowajca, nie mogąc znieść badawczego spojrzenia.

— Już widzę, że muszę prawdę mówić — rzekł, — gdyż przed rozumem waszej książęcej mości żadne arcana (sekreta) ostać się nie mogą, jedno nie wiem, znajdęli łaskę w uszach waszej książęcej mości.

I tu zaczął opowiadać, jak poznał córkę kniazia Wasyla, jak się w niej rozkochał i pragnąłby teraz ją odwiedzić, a za powrotem z Siczy do Łubniów ją sprowadzić, by przed zawieruchą kozacką i natarczywością Bohuna ją uchronić. Zmilczał tylko o machinacyach starej kniahini, gdyż w tem był słowem związany, Natomiast tak począł błagać księcia, iżby mu funkcyę Bychowca powierzył, iż książę rzekł:

— Jabym ci i tak jechać pozwolił i ludzi dał, ale gdyś tak wszystko mądrze ułożył, by własny afekt z oną funkcyą pogodzić, tedy muszę już to dla ciebie uczynić!

To rzekłszy, w ręce klasnął i kazał paziowi przywołać pana Bychowca.

Namiestnik ucałował z radości rękę księcia, ten zaś za głowę go ścisnął i spokojnym być rozkazał. Lubił on niezmiernie Skrzetuskiego, jako dzielnego żołnierza i oficera, na którego we wszystkiem można się było spuścić. Prócz tego był między nimi ten związek, jaki wytwarza się między podwładnym, uwielbiającym z całej duszy zwierzchnika, a zwierzchnikiem, który to czuje dobrze. Około księcia kręciło się niemało dworaków, służących i schlebiających dla własnej korzyści, ale orli umysł Jeremiego wiedział dobrze, co o kim trzymać. Wiedział, że Skrzetuski był człowiek jak łza — cenił go więc i był mu wdzięczny za uczucie.

Z radością dowiedział się także, że jego ulubieniec pokochał córkę Wasyla Kurcewicza, starego sługi Wiśniowieckich, którego pamięć była tem droższą księciu, im była żałośniejszą.

— Nie z niewdzięczności to przeciw kniaziowi— rzekł — nie dowiadywałem się o dziewczynę, ale gdy opiekunowie nie zaglądali do Łubniów i żadnych skarg na nich nie odbierałem, sądziłem, iż są

poczciwi. Skoroś mi jednak teraz ją przypomniał, będę o niej jak o rodzonej pamiętał.

Skrzetuski, słysząc to, nie mógł się nadziwić dobroci tego pana, który zdawał się sobie samemu robić wyrzuty, że wobec nawału spraw rozlicznych nie zajął się losami dziecka dawnego żołnierza i dworzanina.

Tymczasem nadszedł pan Bychowiec.

— Mosanie — rzekł mu książę, — słowo się rzekło: jeśli zechcesz pojedziesz, ależ proszę, uczyń to dla mnie i ustąp funkcyi Skrzetuskiemu. Ma on swoje szczególne, słuszne racye, by jej pożądać, a ja o innej pomyślę dla waści rekompensie (odszkodowaniu).

— Mości książę — odparł Bychowiec, — łaska to wysoka waszej książęcej mości, że mogąc rozkazać, na moją wolę to zdajesz, której łaski nie byłbym godzien, nie przyjmując jej najwdzięczniejszem sercem.

— Podziękujże przyjacielowi — rzekł książę, zwracając się do Skrzetuskiego — i idź gotować się do drogi.

Skrzetuski istotnie dziękował gorąco Bychowcowi, a w kilka godzin potem był gotów. W Łubniach oddawna trudno już mu było wysiedzieć, a ta ekspedycya dogadzała wszelkim jego życzeniom. Naprzód miał zobaczyć Helenę, a potem — prawda, że trzeba było się od niej na dłuższy czas oddalić, ale właśnie taki czas był potrzebny, by drogi po niezmiernych deszczach stały się dla kół możliwe do przebycia. Prędzej kniahini z Heleną nie mogły zjechać do Łubniów, musiałby więc Skrzetuski albo w Łubniach czekać, albo w Rozłogach przesiadywać, co byłoby przeciw układowi z kniahinią — i co większa — obudziłoby podejrzenie Bohuna. Helena prawdziwie bezpieczną przeciw jego zamachom mogła być dopiero w Łubniach, gdy więc musiała koniecznie jeszcze dość długo w Rozłogach pozostawać, najlepiej wypadało Skrzetuskiemu odjechać, a zato z powrotem, już pod zasłoną siły wojskowej książęcej, ją zabrać. Tak obrachowawszy, kwapił się namiestnik z wyjazdem, i ułatwiwszy wszystko, wziąwszy listy i instrukcye od księcia, a pieniądze na ekspedycyę od skarbnika, dobrze jeszcze przed nocą puścił się w drogę, mając z sobą Rzędziana i czterdziestu semenów z kozackiej książęcej chorągwi.

VII.

Było to już w drugiej połowie marca. Trawy puściły się bujno; perekotypola zakwitły, step zawrzał życiem. Rankiem namiestnik, jadąc na czele swych ludzi, jechał jakby morzem, którego falą ruchliwą była kołysana wiatrem trawa. A wszędy pełno wesołości i głosów wiosennych, krzyków, świergotu, pogwizdywań, klaskań, trzepotania skrzydeł, radosnego brzęczenia owadów: step brzmiący jak lira, na której gra ręka Boża. Nad głowami jeźdźców jastrzębie, tkwiące nieruchomie w błękicie nakształt pozawieszanych krzyżyków, trójkąty dzikich gęsi, sznury żórawiane; na ziemi gony zdziczałych tabunów: ot, leci stado koni stepowych, widać je, jak prują trawy piersią, idą jak burza i stają jak wryte, otaczając jeźdźców półkolem; grzywy ich rozwiane, chrapy rozdęte, oczy zdziwione. Rzekłbyś, chcą roztratować nieproszonych gości. Ale chwila jeszcze i pierzchają nagle, i nikną równie szybko jak przybiegły — jeno trawy szumią, jeno kwiaty migocą. Tętent ucichł, znowu słychać tylko granie ptactwa. Niby wesoło, a jakiś smutek wśród tej radości, niby gwarno a pusto! — o! a szeroko, a przestrono! Koniem nie zgonić, myślą nie zgonić... chyba te smutki, tę pustość, te stepy pokochać i tęskną duszą krążyć nad niemi, na ich mogiłach spoczywać, głosu ich słuchać i odpowiadać.

Ranek był. Wielkie krople błyszczały na bylicach i burzanach; rzeźwe powiewy wiatru suszyły ziemię, na której po deszczach stały szerokie kałuże, jakoby jeziora rozlane, w słońcu świecące. Poczet namiestnikowy posuwał się zwolna, bo trudno było pośpieszyć, gdy konie zapadały czasem po kolana w miękkiej ziemi. Ale namiestnik mało im dawał wytchnienia po wzgórkach mogilnych, bo śpieszył zarazem witać i żegnać. Jakoż drugiego dnia po południu, przejechawszy szmat lasu, dojrzał już wiatraki w Rozłogach, rozrzucone po wzgórzach i poblizkich mogiłach. Serce mu biło jak młotem. Nikt go się tam nie spodziewał, nikt nie wie, że przyjedzie, co też ona powie, gdy go ujrzy? O, oto już i chaty pidsusidków (włościan-sąsiadów), poukrywane w młodych sadach wiśniowych — dalej wieś rozrzucona dworzyszczowych (chłopów dworskich), a jeszcze dalej widać i żóraw studzienny ua dworskim majdanie. Na-

miestnik wspiął konia i kopnął się cwałem, a za nim pocztowi; lecieli tak przez wieś z brzękiem i gwarem. Tu i owdzie chłop wypadł z chaty, popatrzał, przeżegnał się: „Czorty, nie czorty? Tatary nie Tatary?" Błoto tak pryskało zpod kopyt, że i nie poznasz, kto leci. A oni tymczasem dolecieli do majdanu i stanęli przed bramą zawartą.

— Hej tam! kto żyw, otwieraj!

Gwar, stukanie i ujadanie psów wywołały ludzi ze dworu. Przypadli tedy do bramy wystraszeni, myśląc, że chyba najazd.

— Kto jedzie?

— Otwieraj!

— Kniaziów niema w domu.

— Otwierajże, pogański synu, my od księcia z Łubniów.

Czeladź poznała wreszcie Skrzetuskiego.

— A, to wasza miłość! Zaraz, zaraz!

Otworzono bramę, a wtem i sama kniahini wyszła przed sień i przykrywszy oczy ręką, patrzała na przybyłych.

Skrzetuski zeskoczył z konia i zbliżywszy się do niej rzekł:

— Jejmość nie poznajesz mnie?

— Ach, to waszmość, panie namiestniku! Rozumiałam, że napad tatarski. Kłaniam i proszę do komnat.

— Dziwi się zapewne waćpani — rzekł Skrzetuski, gdy weszli już do środka, — widząc mnie w Rozłogach, a przecie słowa nie złamał, gdyż to sam książę do Czehrynia i dalej mnie posyła. Kazał mi przytem w Rozłogach się zatrzymać i o wasze zdrowie zapytać.

— Wdzięcznam jego książęcej mości, jako łaskawemu panu i dobrodziejowi. Prędkoż nas myśli z Rozłogów rugować?

— Nie myśli on o tem wcale, gdyż nie wie, że trzeba was rugować, a ja com powiedział, to będzie. Zostaniecie w Rozłogach; mam ja swego chleba dosyć.

Usłyszawszy to, kniahini zaraz rozpogodziła się i rzekła:

— Siadajże waszmość i bądź sobie rad, jakom ja ci rada.

— A kniaziówna zdrowa? gdzie jest?

— Wiemci ja, żeś nie do mnie przyjechał, mój kawalerze. Zdrowa ona, zdrowa; jeszcze dziewka od tych amorów potłuściała. Ale wraz ci jej zawołam, a i sama się trochę ogarnę, bo mi wstyd tak gości przyjmować.

Jakoż kniahini miała na sobie suknię ze spłowiałego cycu, kożuch na wierzchu i jałowicze buty na nogach.

W tej chwili jednak Helena, choć i niewołana, wbiegła do komnaty, bo się od Tatara Czechły dowiedziała, kto przyjechał. Wbiegłszy zdyszana i kraśna jak wiśnia, tchu prawie złapać nie mogła i tylko oczy śmiały się jej szczęściem i weselem. Skrzetuski skoczył jej ręce całować, a gdy kniahini dyskretnie wyszła, całował w usta, bo był człowiek porywczy. Ona też nie broniła się bardzo, czując, że niemoc opanowywa ją ze zbytku szczęścia i radości.

— A ja się waćpana nie spodziewałam — szeptała, mrużąc swe śliczne oczy, — ale już tak nie całuj, bo nie przystoi.

— Jak nie mam całować — odpowiedział rycerz, — gdy mi miód nie taki słodki, jako usta twoje? Myślałem też, że już mi uschnąć przyjdzie bez ciebie, aż mnie sam książę tu wyprawił.

— To książę wie?

— Powiedziałem mu wszystko. A on jeszcze rad był, na kniazia Wasyla wspomniawszy. Ej, chybaś ty mi co zadała, dziewczyno, że już i świata za tobą nie widzę!

— Łaska to Boża takie zaślepienie twoje.

— A pamiętasz jeno ten omen (wróżbę), który raróg uczynił, gdy nam ręce ku sobie ciągnął? Znać było już przeznaczenie.

— Pamiętam...

— Jakiem też od tęskności chodził w Łubniach na Solonicę, tom cię tak prawie jako żywą widywał, a com wyciągnął ręce, toś znikła. Ale mi więcej nie umkniesz, gdyż tak myślę, że nic nam już nie stanie na wstręcie (przeszkodzie).

— Jeśli co stanie, to nie wola moja.

— Powiedzże mi jeszcze raz, że mnie miłujesz!

Helena spuściła oczy, ale odrzekła z powagą i wyraźnie:

— Jako nikogo w świecie.

— Żeby mnie kto złotem i dostojeństwy obsypał, wolałbym takie słowa twoje, bo czuję, że prawdę mówisz, choć sam nie wiem, czem na takowe dobrodziejstwo od ciebie zarobić mogłem.

— Boś miał litość dla mnie, boś mnie przygarnął i ujmował się za mną, i takiemi słowy do mnie mówił, jakich wprzódy nigdy nie słyszałam.

Helena zamilkła ze wzruszenia, a porucznik zaczął na nowo całować ręce.

— Panią mi będziesz, nie żoną — rzekł.

I przez chwilę milczeli, tylko on wzroku z niej nie spuszczał, chcąc sobie długie niewidzenie nagrodzić. Wydała mu się jeszcze piękniejszą niż dawniej. Jakoż w tej ciemnawej świetlicy, w grze promieni słonecznych, rozłamujących się w tęcze na szklanych gomółkach okien, wyglądała jak owe obrazy świętych dziewic w mrocznych kościelnych kaplicach. A jednocześnie biło od niej takie ciepło i życie, tyle rozkosznych niewieścich ponęt i uroków malowało się w twarzy i całej postaci, że można było głowę stracić, rozkochać się na śmierć, a kochać na wieczność.

— Od twojej gładkości chyba mi oślepnąć przyjdzie! — rzekł namiestnik.

Białe ząbki kniaziówny wesoło błysnęły w uśmiechu.

— Pewnie panna Anna Borzobohata odemnie stokroć gładsza.

— Tak jej do ciebie, jako właśnie cynowej misie do miesiąca.

— A imć Rzędzian co innego powiadał.

— Imć Rzędzian wart w gębę. Co mnie tam po onej pannie! Niech inne pszczoły z tego kwiatu miód biorą, a jest ich tam niemało.

Dalszą rozmowę przerwało wejście starego Czechły, który przyszedł witać namiestnika. Uważał go on już za swego przyszłego pana, więc kłaniał mu się od progu, oddając wschodnim obyczajem salamy (pokłony).

— No, stary Czechły, wezmę i ciebie z panienką. Już też jej służ do śmierci.

— Niedługo jej czekać, wasza miłość ale póki życia, póty służby Bóg jeden!

— Za jaki miesiąc, gdy z Siczy wrócę, ruszamy do Łubniów — rzekł namiestnik, zwracając się do Heleny, — tam ksiądz Muchowiecki ze stułą czeka.

Helena przestraszyła się:

— To ty na Sicz jedziesz?

— Książę posyła z listami. Ale się nie bój. Osoba posła i u pogan święta. Ciebie zaś z kniahinią wyprawiłbym choć zaraz do Łubniów, jeno drogi straszne. Sam widziałem — i koniem nie bardzo przejedzie.

— A długoż w Rozłogach zostaniesz?

— Dziś jeszcze na wieczór do Czehrynia ruszam. Prędzej po-

żegnam, prędzej powitam. Zresztą służba książęca: nie mój czas, nie moja wola.

— Proszę na posiłek, jeśli amorów i gruchania dosyć — rzekła, wchodząc, kniahini. — Ho! ho! policzki ma dziewczyna czerwone, snadź nie próżnowałeś, panie kawalerze! No, ale się wam nie dziwię...

To rzekłszy, poklepała łaskawie Helenę po ramieniu, i poszła na obiad. Kniahini była w doskonałym humorze. Bohuna odżałowała już dawno, a teraz składało się tak, dzięki hojności namiestnika, że Rozłogi „cum (z) boris, lasis, graniciebus et (i) coloniis" mogła już uważać za swoje i swoich synów.

A były to przecie dobra niemałe.

Namiestnik wypytywał o kniaziów, czy prędko wrócą.

— Lada dzień się już ich spodziewam. Gniewno im było z początku na waćpana, ale potem, zważywszy twoje postępki, bardzo cię, jako przyszłego krewniaka, polubili, bo prawią, że takiej fantazyi (dzielności) kawalera trudno już w dzisiejszych miękkich czasach znaleźć.

Po skończonym obiedzie namiestnik z Heleną wyszli do sadu wiśniowego, który tuż do fosy za majdanem przytykał. Sad był, jako śniegiem, wczesnem kwieciem obsypany, za sadem czerniała dąbrowa, w której kukała kukułka.

— Na szczęśliwą to nam wróżbę — rzekł pan Skrzetuski, — ale trzeba się popytać.

I zwróciwszy się ku dąbrowie, pytał:

— Zazula nieboźę, a ile lat będziemy żyli w stadle z tą oto panną?

Kukułka poczęła kukać i kukać. Naliczyli pięćdziesiąt i więcej.

— Dajże tak Boże!

— Zuzule zawsze prawdę mówią — zauważyła Helena.

— A kiedy tak, to jeszcze będę pytał! — rzekł rozochocony namiestnik.

I pytał:

— Zuzulu nieboźę, a siła mieć będziem chłopczyków?

Kukułka, jakby zamówiona, zaraz poczęła odpowiadać i wykukała ni mniej ni więcej jeno dwanaście.

Pan Skrzetuski nie posiadał się z radości.

— Ot, starostą zostanę, jak mnie Bóg miły! Słyszałaś, waćpanna? hę?

— Zgoła nie słyszałam — odpowiedziała czerwona jak wiśnia Helena, — nawet nie wiem o coś pytał.

— To może powtórzyć?

— I tego nie trzeba.

Na takich rozmowach i zabawach zeszedł im dzień jak sen. Wieczorem nadeszła chwila czułego, długiego pożegnania — i namiestnik ruszył ku Czehryniowi.

ROZDZIAŁ VIII.

W Czehryniu zastał pan Skrzetuski starego Zaćwilichowskiego w wielkiem wzruszeniu i gorączce; wyglądał on niecierpliwie książęcego posłańca, bo z Siczy coraz groźniejsze dochodziły wieści. Nie ulegało już wątpliwości, że Chmielnicki gotował się zbrojną ręką swoich krzywd i dawnych kozackich przywilejów dochodzić. Zaćwilichowski miał o nim wiadomości, iż w Krymie bawił u chana, żebrząc pomocy tatarskiej, z którą już lada dzień był w Siczy spodziewany. Gotowała się tedy walna z Niżu do Rzplitej wyprawa, która przy pomocy tatarskiej mogła być zgubną. Burza rysowała się coraz bliżej, wyraźniej, straszniej. Już nie głuche, nieokreślone trwogi przebiegały Ukrainę, ale poprostu pewność rzezi i wojny. Hetman wielki, który z początku niewiele sobie z całej sprawy robił, przysunął się teraz z wojskiem do Czerkas wysunięte placówki wojsk koronnych dochodziły aż do Czehrynia, a to głównie, by zbiegowisko powstrzymać, Kozacy bowiem grodowi i czerń masami poczęli na Sicz uciekać. Szlachta kupiła się po miastach. Mówiono, że pospolite ruszenie ma być w południowych województwach ogłoszone. Niektórzy też i nie czekając na wici odsyłali żony i dzieci do zamków, a sami ciągnęli pod Czerkasy. Nieszczęsna Ukraina rozdzieliła się na dwie połowy: jedna śpieszyła na Sicz, druga do obozu koronnego; jedna opowiadała się przy istniejącym porządku rzeczy, druga przy dzikiej swobodzie; jedna pragnęła zachować to, co było owocem wiekowej pracy, druga pragnęła jej owo dobro odjąć. Obie wkrótce miały bratnie ręce we własnych wnętrznościach ubroczyć. Straszliwy zatarg, nim wyszukał sobie haseł religijnych, które dla Niżu obce były zupełnie, zrywał się jako wojna socyalna (społeczna).

Ale iakkolwiek czarne chmurv skłebiły sie na widnokregu ukraiń-

skim, jakkolwiek padała od nich noc złowroga, jakkolwiek we wnętrzu ich kłębiło się i huczało, a grzmoty przelewały się z końca w koniec, ludzie nie zdawali sobie jeszcze sprawy, do jakiego stopnia burza się rozpęta. Może nie zdawał sobie z tego sprawy i sam Chmielnicki, który tymczasem słał listy do pana krakowskiego, do komisarza kozackiego i do chorążego koronnego, pełne skarg i biadań, a zarazem zaklęć wierności dla Władysława IV i Rzplitej. Chciał li zyskać na czasie, czy też przypuszczał, że jaki układ może jeszcze koniec zatargowi położyć? różni różnie sądzili — dwóch tylko ludzi nie łudziło się ani przez jedną godzinę. Ludźmi tymi byli: Zaćwilichowski i stary Barabasz.

Stary pułkownik odebrał również list od Chmielnickiego. List szyderczy, groźny i pełen obelg. "Zaczniemy z całem wojskiem zaporoskiem — pisał Chmielnicki — gorąco prosić i apelować (wzywać), by stało się zadość onym przywilejom, które wasza miłość u siebie taiłeś. A żeś je taił dla własnej korzyści i pożytków, przeto całe wojsko zaporoskie czyni cię godnym pułkownikować owcom albo świniom, nie ludziom. Ja zaś proszę o przebaczenie waszej miłości, jeśli w czem mu nie wygodziłem w ubogim domu moim w Czehryniu, na prażniku (odpuście) św. Mikołaja — i żem odjechał na Zaporoże bez wiadomości i pozwolenia."

— Patrzcie waszmościowie — mówił do Zaćwilichowskiego i Skrzetuskiego Barabasz, — jak to naigrawa się ze mnie, a przecież jam go to wojny uczył i prawie ojcem mu byłem.

— Zapowiada tedy, że z całem wojskiem zaporoskiem upominać się o przywileje będzie — rzekł Zaćwilichowski. — Wojna to jest poprostu domowa, od wszystkich wojen straszniejsza.

Na to Skrzetuski:

— Widzę, że mi się trzeba śpieszyć; dajcie mi waszmościowie listy do tych, z którymi w komitywę (zażyłość) wejść mi przyjdzie

— Do atamana koszowego masz waść?

— Mam od samego księcia.

— Dam ci tedy do jednego kurzeniowego, a imć Barabasz ma tam też krewniaka Barabasza; od nich dowiesz się wszystkiego. Ale kto wie, czy to już nie zapóźno na takową ekspedycyę. Chce książę wiedzieć, co tam naprawdę słychać? — krótka odpowiedź źle słychać! A chce wiedzieć, czego się trzymać? — krótka rada: zebrać jaknajwięcej wojska i z hetmany się połączyć.

— To pchnijcie do księcia gońca z odpowiedzią i radą — rzekł pan Skrzetuski. — Ja muszę jechać, bom tam posłan i decyzyi (postanowienia) książęcej zmieniać nie mogę.

— A czy wiesz waść, że to okrutnie niebezpieczna wyprawa? — rzekł Zaćwilichowski. — Tu już lud tak wzburzony, że osiedzieć się trudno. Gdyby nie blizkość koronnego wojska, czerń rzuciłaby się na nas. A cóż dopiero tam! Leziesz jakoby smokowi w gardło.

— Mości chorąży! Jonasz był już w brzuchu wielorybim, nie w gardle, a za pomocą Bożą wylazł zdrowo.

— Jedź tedy. Chwalę twoją rezolucyę (stanowczość). Do Kudaku możesz waść dojechać bezpiecznie, tam się rozpatrzysz co ci dalej uczynić przystoi. Grodzicki stary żołnierz, on najlepsze da ci instrukcye. A do księcia ja sam pewnie ruszę; jeśli się mam bić na swoje stare lata, to wolę pod nim, niż pod kim innym. Tymczasem bajdak, albo dombazę, i przewoźników dla waści przygotuję, którzy cię do Kudaku zawiozą.

Skrzetuski wyszedł i udał się prosto do swojej kwatery na rynek do domu księcia, by ostatnie poczynić przygotowania. Mimo niebezpieczeństw tej podróży, o których mu prawił Zaćwilichowski, namiestnik nie bez pewnego ukontentowania myślał o niej. Miał zobaczyć Dniepr w całej niemal długości aż do Niżu, i porohy, a była to dla ówczesnego rycerstwa ziemia jakby zaczarowana, tajemnicza, do której ciągnął wszelki duch przygód chciwy. Niejeden całe życie na Ukrainie strawił, a nie mógł się pochwalić, że Sicz widział — chyba gdyby chciał zapisać się do bractwa, a do tego mniej już między szlachtą było ochotników. Czasy Samka Zborowskiego przeszły i nie miały wrócić więcej. Rozbrat między Siczą a Rzplitą, który powstał za czasów Nalewajki i Pawluka, nietylko nie ustawał, ale zwiększał się coraz bardziej, i napływ na Sicz herbowego ludu, nietylko polskiego, ale i ruskiego, nie różniącego się od niżowców ni mową, ni wiarą, znacznie był mniejszy. Tacy Bułyhowie Kurcewicze niewielu znajdowali naśladowców; wogóle na Niż, do bractwa, gnało teraz szlachtę chyba nieszczęście, banicya (wygnanie), słowem winy do odpokutowania niepodobne.

To też jakaś tajemnica nieprzenikniona, jako mgły dnieprowe, otoczyła drapieżną niżową rzeczpospolitą. Opowiadano o niej

cuda, które pan Skrzetuski własnemi oczyma ciekaw był oglądać

Nie spodziewał się też, co prawda, stamtąd nie wrócić. Co poseł, to poseł, zwłaszcza od księcia Jeremiego.

Tak rozmyślając, wyglądał przez okno ze swojej kwatery na rynek. Tymczasem upłynęła jedna godzina i druga, gdy nagle Skrzetuskiemu wydało się, że spostrzega dwie jakieś znane postacie zmierzające ku Dzwonieckiemu Kątowi, gdzie był sklep Wołocha Dopuły.

Przypatrzył się pilniej: był to pan Zagłoba z Bohunem.

Szli, trzymając się pod ręce, i wkrótce znikli w ciemnych drzwiach, nad któremi sterczała wiecha, oznaczająca szynk i winiarnię.

Namiestnika zdziwiła i bytność Bohuna w Czehryniu i przyjaźń jego z panem Zagłobą.

— Rzędzian! sam tu! — zawołał na pachołka.

Pachołek ukazał się we drzwiach przyległej izby.

— Słuchajno, Rzędzian, pójdziesz do winiarni, ot tam pod wiechę; znajdziesz tam grubego szlachcica z dziurą w czele i powiesz mu, że ktoś, co ma pilną do niego sprawę, chce go widzieć. A jeśliby pytał kto, nie mów.

Rzędzian skoczył i po niejakim czasie namiestnik ujrzał go wracającego w towarzystwie pana Zagłoby.

— Witaj waszmość — rzekł pan Skrzetuski, gdy szlachcic ukazał się we drzwiach izby, — czy mnie sobie przypominasz?

— Czy sobie przypominam? Niechże mnie Tatarzy na łój przetopią i świece ze mnie do meczetów (świątyń mahometańskich) porobią, jeślim zapomniał. Waść to kilka miesięcy temu otworzyłeś drzwi u Dopuła Czaplińskim, co mnie szczególnie do smaku przypadło, gdyż takim samym sposobem uwolniłem się raz z więzienia w Stambule. A co porabia pan Powsinoga herbu Zerwipludry, razem ze swoją innocencyą (niewinnością) i mieczem? Czy zawsze mu wróble na głowie siadają, biorąc go za uschłe drzewo?

— Pan Podbipięta zdrów i kazał się kłaniać waszmości.

— Wielce to jest bogaty szlachcic, ale srodze głupi. Jeśli zetnie takie trzy głowy jak jego własna, to mu to uczyni dopiero półtorej bo zetnie trzech półgłówków. Tfu! jakie gorąco, choć to dopiero marzec. Język w gardle zasycha.

— Mam ja trojniak bardzo przedni, może waść kusztyczek pozwoli?

— Kiep odmawia, gdy nie kiep prosi. Właśnie mi cyrulik miód pić zalecił, żeby mi melankolię od głowy odciągnęło. Ciężkie bo to czasy na szlachtę się zbliżają: dies irae et calamitatis (dzień gniewu i klęski). Czapliński zdechł ze strachu, do Dopuła nie chodzi, bo tam starszyzna kozacka pije. Ja jeden stawiam mężnie czoło niebezpieczeństwom i dotrzymuję onym pułkownikom kompanii, choć ich pułkownictwo dziegciem śmierdzi! Dobry miód! istotnie bardzo przedni! Skąd go waść masz?

— Z Łubniów. To dużo starszyzny tu jest?

— Kogo tu niema? Fedor Jakubowicz jest, stary Filon Dziedziała jest, Daniel Neczaj jest, a z nimi ich oczko w głowie, Bohun, który stał mi się przyjacielem od czasu, jakiem go przepił i obiecałem go adopotować (przyjąć za syna). Wszyscy oni śmierdzą teraz w Czehryniu i patrzą, w którą stronę się obrócić, bo nie śmieją jeszcze otwarcie przy Chmielnickim się opowiedzieć. Ale jeśli się nie opowiedzą, to będzie moja zasługa.

— A to jakim sposobem?

— Bo pijąc z nimi, dla Rzeczypospolitej ich kaptuję (zjednywam) i do wierności ich namawiam. Jeśli król nie da mi za to starostwa, to wierzaj waćpan, niema justycyi (sprawiedliwości) w tej Rzeczypospolitej, ani rekompensy (wynagrodzenia) dla zasług, i lepiej pono kury sadzać, niż głowę pro publico bono (dla dobra ogółu) narażać.

— Lepiejbyś waćpan narażał bijąc się z nimi, ale widzi mi się, że pieniądze tylko próżno wyrzucasz na traktamenty (poczęstunki), bo tą drogą ich nie skaptujesz.

— Ja pieniądze wyrzucam? Za kogo mnie waszmość masz? To niedość, że się pospolituję z chamami, żebym jeszcze za nich miał płacić? Za fawor (łaskę) to uważam, że im pozwalam płacić za siebie!

— A ówże Bohun co tu porabia?

— On? nadstawia ucha, co od Siczy słychać, jak i inni. Po to tu przybył. To kochanek wszystkich Kozaków. Wdzięczą się oni do niego, nakształt małpów, bo to jest pewna, że perejasławski pułk za nim, nie za Łobodą pójdzie. A kto wie także, za kim regestrowi Krzeczowskiego pociągną! Brat Bohun niżowcom, jak trzeba iść na Turka lub Tatara, ale teraz bardzo kalkuluje (oblicza), bo mi po pijanemu wyznał, iż się w szlachciance kocha i chce się z nią żenić, przeto nie wypada mu w wigilię ślubu z chłopy się bratać.

Toć on chce, bym go adoptował i do herbu przypuścił... Bardzo przedni ten waszmościów trojniak!

— Wypijże waść jeszcze.

— Wypiję, wypiję. Nie pod wiechami to taki trojniak przedają.

— Nie pytałeś się też wasze, jak się nazywa owa szlachcianka, z którą Bohun chce się żenić?

— Mospanie, a co mnie obchodzi jej nazwisko? Wiem tylko, że jak Bohunowi rogi przyprawię, to się będzie nazywała pani jeleniewa.

Namiestnik uczuł nagle wielką ochotę trzepnąć w ucho pana Zagłobę, ten zaś, nie spostrzegłszy się na niczem, mówił dalej:

— Za młodych lat był ze mnie gładysz nielada. Żebym tylko waści opowiedział, za co palmę w Galacie otrzymałem. Widzisz tę dziurę na mojem czele? Dość, gdy ci powiem, że mi ją rzezańcy w seraju tamecznego baszy wybili.

— A mówiłeś, że kula rozbójnicka?

— Mówiłem? Tom dobrze mówił! każdy Turczyn rozbójnik — tak mnie panie Boże dopomóż!

Dalszą rozmowę przerwało wejście Zaćwilichowskiego.

— No, mości namiestniku — rzekł stary chorąży, — bajdak gotowy, przewoźników masz ludzi pewnych: ruszaj w imię Boże, choćby i zaraz. A oto listy.

— To każę ludziom zaraz ruszać na brzeg.

— A dokąd waść się wybierasz? — spytał pan Zagłoba.

— Do Kudaku.

— Gorąco tam ci będzie.

Ale namiestnik nie słyszał już przepowiedni, bo wyszedł z izby na podwórzec, gdzie przy koniach stali semenowie, prawie już gotowi do podróży.

— Na koń i na brzeg! — zakomenderował pan Skrzetuski. — Konie wprowadzić na statki i czekać na mnie!

Tymczasem w izbie stary chorąży rzekł do Zagłoby:

— Słyszałem, że podobno waść teraz pułkownikom kozackim dworujesz i z nimi pijesz.

— Pro publico bono, mości chorąży.

— Obrotny masz waść dowcip i podobno od wstydu większy. Chcesz sobie Kozaków in poculis (w pijatykach) skonwinkować (zjednać, podbić), by przyjaciółmi ci byli w razie zwycięstwa.

— Choćbym też, będąc męczennikiem tureckim, nie chciał

zostać i kozackim, nie byłoby nic dziwnego, bo dwa grzyby mogą najlepszy barszcz popsować. A co do wstydu, nikogo nie zapraszam, by pił ze mną — sam go wypiję, i da Bóg, że mi nie będzie gorzej od tego miodu smakował. Zasługa jako olej, musi na wierzch wypłynąć.

W tej chwili wrócił Skrzetuski.

— Ludzie już ruszają — rzekł.

Zaćwilichowski nalał miarkę:

— Za szczęśliwą podróż!

— I zdrowy powrót! — dodał pan Zagłoba.

— Będzie się wam dobrze jechało, bo woda ogromna.

— Siadajcie waszmościowie, wypijem resztę. Niewielki to antałek..

Siedli i pili.

— Ciekawy kraj waść zobaczysz — mówił Zaćwilichowski. — A kłaniaj się pan Grodzickiemu w Kudaku! Ej, żołnierz to, żołnierz! Na końcu świata siedzi, daleko od hetmańskich oczu, a porządek u niego taki, że daj Boże w całej Rzeczypospolitej podobny. Znam ja dobrze Kudak i porohy. Za dawnych lat częściej się tam jeździło, i aż duszy smutno, gdy się pomyśli, że to przeszło, minęło, a teraz...

Tu chorąży wsparł mleczną głowę na ręku i zadumał się głęboko. Nastała chwila ciszy; słychać było tylko tupot koński w bramie: to ostatek ludzi pana Skrzetuskiego wyjeżdżał na brzeg ku bajdakom.

— Mój Boże — mówił, ocknąwszy się z zadumy Zaćwilichowski, — a jednak dawniej, choć i wśród rozterków, lepsze bywały czasy. Ot pamiętam jak dziś, pod Chocimem, dwadzieścia siedm lat temu! Gdy husarya szła pod Lubomirskim do ataku na janczarów, to mołojcy w swoim okopie rzucali czapki w górę i krzyczeli, aż ziemia drżała, do Sahajdacznego: ,,Puskaj, bat'ku, z Lachami umiraty!" (Pozwól, ojcze, umierać z Polakami!) A dziś co? Dziś Niż, który winien być przedmurzem chrześcijaństwa, puszcza Tatarów w granice Rzeczypospolitej, by się na nich rzucić dopiero wtedy, gdy z łupem będą wracali. Dziś gorzej: bo oto Chmielnicki łączy się wprost z Tatary, z którymi chrześcijan będzie do kompanii mordował...

— Wypijmy na ten smutek! — przerwał Zagłoba. Co to — za trojniak!

— Dajże Boże jaknajprędzej mogiłę, by na wojnę domową nie patrzeć — mówił dalej stary chorąży. — Wspólne winy mają się we krwi obmywać, aleć nie będzie to krew odkupienia, boć i tu brat brata będzie mordował. Kto na Niżu? Rusini. A kto w wojsku księcia Jaremy? kto w pocztach pańskich? Rusini. A małoż ich w obozie koronnym? A ja sam kto taki? Hej, nieszczęsna Ukraino! krymscy poganie włożą ci łańcuch na szyję i na galerach tureckich wiosłować będziesz!

— Nie biadajcież tak mości chorąży! — rzecze pan Skrzetuski — bo już chyba śluzy (łzy) z oczu nam pójdą. Może też jeszcze pogodne słońce nam zaświeci!

Ale słońce zachodziło właśnie, a ostatnie jego promienie padały czerwonym blaskiem na białe włosy chorążego.

W mieście dzwoniono na ,,Anioł Pański" i na pochwalenie.

Wyszli. Pan Skrzetuski poszedł do kościoła, pan Zaćwilichowski do cerkwi, a pan Zagłoba do Dopuły w Dzwoniecki Kąt.

Ciemno już było, gdy się znowu zeszli nad brzegiem Taśminowej przystani. Ludzie pana Skrzetuskiego siedzieli już w bajdakach. Przewoźnicy wnosili jeszcze ładunki. Zimny wiatr ciągnął od poblizkiego ujścia Taśminowego do Dniepru, i noc obiecywała być niezbyt pogodna. Przy świetle ognia, palącego się nad brzegiem, woda rzeki połyskiwała krwawo i zdawała się z niezmierną chyżością uciekać gdzieś w nieznaną ciemność.

— No, szczęśliwej drogi — mówił chorąży, ściskając serdecznie dłoń młodzieńca. — A pilnuj się waść.

— Nie zaniecham. Bóg da, że niezadługo się zobaczymy.

— Chyba w Łubniach, albo w obozie książęcym.

— To waszmość już koniecznie do księcia?

Zaćwilichowski podniósł ramiona w górę.

— A co mnie? kiedy wojna, to wojna.

— Zostawajże waszmość w dobrem zdrowiu, mości chorąży.

— Niechże cię Bóg strzeże.

— Vive valeque (żyj i bądź zdrów) — wołał pan Zagłoba. — A jeśli woda aż do Stambułu waści zaniesie, to kłaniaj się sułtanowi. Albo też: jechał go sęk. Bardzo to zacny był trojniak! Brr! jak tu zimno!

— Do widziska!

— Do obaczyska!

Zaskrzypiały wiosła i plusnęły o wodę, bajdaki popłynęły. Ogień

palący się na brzegu począł oddalać się szybko. Przez długi czas Skrzetuski widział jeszcze sędziwą postać chorążego, oświeconą płomieniem stosu, i jakiś smutek ścisnął mu nagle serce. Niesie go ta woda, niesie, ale oddala od serc życzliwych i od ukochanej, od krain znanych; niesie go nieubłaganie jak przeznaczenie, ale w dzikie strony, w ciemność...

Wypłynęli z ujścia Taśminowego na Dniepr.

Wiatr świstał, wiosła wydawały plusk jednostajny a smutny. Przewoźnicy poczęli śpiewać:

,,Oj, to te pili, pilili,
Ne tumany ustawili."

Skrzetuski obwinął się w burkę i położył na posłaniu, które umościli (usłali) dla niego żołnierze. Począł myśleć o Helenie, o tem, że ona dotąd nie w Łubniach, że Bohun został, a on odjeżdża. Obawa, złe przeczucia, troski obsiadły go jak kruki. Począł mocować się z niemi, aż się znużył, myśli mu się mąciły, zmieszały jakoś dziwnie z poświstem wiatru, z pluskiem wioseł, z pieśniami rybaków — i usnął.

IX.

Nazajutrz zbudził się świeży, zdrów i z weselszą myślą. Pogoda była cudna. Szeroko rozlane wody marszczyły się w drobne zmarszczki od lekkiego i ciepłego powiewu.

Brzegi były w tumanie i zlewały się z płaszczyzną wód w jedną nieprzejrzaną równinę. Rzędzian, zbudziwszy się i przetarłszy oczy, aż się przestraszył. Spojrzał zdziwionemi oczyma dokoła, a nie widząc nigdzie brzegu, rzekł:

— O dla Boga! mój jegomość, to my już chyba na morzu jesteśmy...

— Rzeka to tak potężna, nie morze — odpowiedział Skrzetuski,— a brzegi zobaczysz, gdy mgła opadnie.

— Myślę, że niezadługo już nam i na Tureczczyznę wędrować przyjdzie.

— Powędrujemy, jeśli nam każą; widzisz zresztą, że nie sami płyniemy.

Jakoż w promieniu oka widać było kilkanaście bajdaków, tom-

baz czyli tubasów — i wązkich, czarnych czółen kozackich, obszytych sitowiem, a zwanych pospolicie czajkami. Jedne z tych statków płynęły z wodą, unoszone bystrym prądem, inne pięły się pracowicie w górę rzeki, wspomagane wiosłami i żaglem. Wiozły one rybę, wosk, sól i suszone wiśnie do miast brzegowych, lub też wracały z okolic zamieszkałych, obładowane zapasami żywności dla Kudaku i towarem, który chętnie znajdował pokup na Kramnym Bazarze w Siczy. Brzegi dnieprowe były już od ujścia Pszoły zupełną pustynią, na której gdzieniegdzie tylko bielały kozackie zimowniki, ale rzeka stanowiła gościniec, łączący Sicz z resztą świata, więc też i ruch bywał na niej dość znaczny, zwłaszcza, gdy przybór wody ułatwiał żeglugę i gdy nawet porohy, prócz Nienasytca stawały się dla statków idących w dół rzeki możliwe do przebycia.

Namiestnik przypatrywał się z ciekawością temu życiu rzecznemu, a tymczasem bajdaki jego mknęły szybko ku Kudakowi. Mgła opadła, brzegi zarysowały się wyraźnie. Nad głowami płynących ulatywały miliony ptactwa wodnego, pelikanów, dzikich gęsi, żórawi, kaczek i czajek, kulonów i rybitew; w oczeretach przybrzeżnych słychać było taki gwar, takie kotłowanie się wody i szum skrzydeł, że rzekłbyś, iż odbywają się tam sejmy lub wojny ptasie.

Brzegi za Krzemieńczukiem stały niższe i otwarte.

— Patrzno jegomość! — wykrzyknął nagle Rzędzian — dyć to niby słońce piecze, a śnieg na polach.

Skrzetuski spojrzał: istotnie, jak okiem sięgnął, jakiś biały pokład błyszczał w promieniach słońca po obu stronach rzeki.

— Hej, starszy! a co to się tam bieli? — spytał rotmana.

— Wiszni, panie! — odpowiedział starszy.

Były to istotnie lasy wiśniowe, złożone z karłowatych drzew, któremi oba brzegi były szeroko za ujściem Pszoły porosłe. Owoc ich słodki i wielki dostarczał jesienią pożywienia ptactwu, zwierzętom i ludziom zbłąkanym w pustyni, a zarazem stanowił przedmiot handlu, który wożono bajdakami aż do Kijowa i dalej. Teraz lasy osypane były kwieciem. Gdy zbliżyli się do brzegu, by ludziom wiosłującym dać wypoczynek, namiestnik z Rzędzianem wysiedli, chcąc się bliżej owym gajom przypatrzyć. Ogarnął ich tak upajający zapach, iż ledwie mogli oddychać. Mnóstwo płatków leżało już na ziemi. Miejscami drzewka stanowiły gąszcz nieprzenikniony. Między wiśniami rosły także obficie dzikie kar-

łowate migdały, okryte kwieciem różowem, wydającem jeszcze silniejszy zapach. Miliony trzmielów, pszczół i barwnych motylów unosiły się nad owem pstrem morzem kwiatów, którego końca nie można było dojrzeć.

— Cuda to, panie, cuda — mówił Rzędzian. — I czemu tu ludzie nie mieszkają? Zwierza tu także widzę dostatek.

Jakoż między krzakami wiśniowymi zmykały zające szare, białe i niezliczone stada wielkich, błękitnonogich przepiórek, których kilka Rzędzian z guldynki ustrzelił, ale ku wielkiemu umartwieniu dowiedział się potem od starszego, że mięso ich jest trucizną.

Na miękkiej ziemi widać też było ślady jeleni i suhaków, a zdała dochodziły odgłosy podobne do rechtania dzikich świń.

Podróżnicy, napatrzywszy się i odpocząwszy, ruszyli dalej. Brzegi to wznosiły się, to stawały się płaskie, odkrywając widok na liczne dąbrowy, łasy, uroczyska, mogiły i rozłożyste stepy. Okolica wydawała się tak przepyszna, że Skrzetuski mimo woli powtarzał sobie pytanie Rzędziana: czemu tu ludzie nie mieszkają? Ale na to trzeba było, by jaki drugi Jeremi Wiśniowiecki objął te pustynie, urządził i bronił od napadów Tatarów i niżowych. Miejscami rzeka tworzyła łachy, zakręty, zalewała jary, biła spienioną falą o skały brzeżne i wypełniała wodą ciemne jaskinie skalne. W takich to jaskiniach i zakrętach bywały kryjówki i schowania kozacze. Ujścia rzek, pokryte lasem sitowia, oczeretów i szuwarów, aż czerniły się od mnogości ptactwa, słowem: świat dziki, przepaścisty, miejscami zapadły, a pusty i tajemniczy roztoczył się przed oczyma naszych wędrowców.

Żegluga stała się przykrą, bo z powodu ciepłego dnia pokazywały się roje zjadliwych komarów, a niektóre z nich, na palec grube, ciurkiem krew po ukąszeniu puszczały.

Wieczorem przybyli do wyspy Romanówki, której ognie zdaleka było widać, i zatrzymali się na nocleg. Rybacy, którzy przybiegli popatrzeć na poczet namiestnika, mieli koszule, twarz i ręce całkiem pomazane dziegciem dla obrony od ukąszeń. Byli to ludzie grubych obyczajów i dzicy; na wiosnę zjeżdżali się tu tłumnie dla połowu i wędzenia ryb, które potem rozwozili do Czehrynia, Czerkas, perejasławia i Kijowa. Rzemiosło ich było trudne, ale zyskowne z powodu obfitości ryb, które latem stawały się nawet klęską tych okolic, zdychając bowiem dla braku wody po łachach i tak zwanych „cichych kątach," zarażały zgnilizną powietrze.

Dowiedział się od rybaków namiestnik, że wszyscy niżowcy, którzy również zajmowali się tu połowem, od kilku dni opuścili wyspę i udali się na Niż, wezwani przez atamana koszowego. Co noc też widywano z wyspy ognie, które palili na stepie zbiegowie, na Sicz podążający. Rybacy wiedzieli, że gotuje się wyprawa "na Lachiw," i wcale nie ukrywali się z tem przed namiestnikiem. Widział tedy pan Skrzetuski, że jego ekspedycya może istotnie jest spóźnioną, może nim dojdzie do Siczy, pułki mołojców ruszą już na północ; ale kazano mu jechać, więc jako prawy żołnierz nie rozumował i postanowił dotrzeć choćby w środek zaporoskiego obozu.

Nazajutrz rano wyruszyli w dalszą drogę. Pominęli cudny Tareński Róg, Suchą Górę i Koński Ostróg, sławny ze swoich bagien i mnóstwa gadzin, które go niezdatnym do mieszkania czyniły. Wszystko tu już, i dzikość okolicy, i zwiększony pęd wód, zwiastowało blizkość porohów. Aż wreszcie wieża kudacka zarysowała się na widnokręgu — pierwsza część podróży była skończona.

Namiestnik jednak nie dostał się tego wieczoru do zamku, bo pan Grodzicki zaprowadził taki porządek, że gdy przed zachodem słońca wybito hasło, nie puszczano nikogo z zamku ni do zamku, i gdyby nawet sam król przyjechał, musiałby nocować w Słobódce, stojącej pod wałami fortecy.

Tak też uczynił i namiestnik. Nocleg to był niezbyt wygodny, bo chaty w Słobódce, których znajdowało się ze sześćdziesiąt, ulepione z gliny, tak były szczupłe, iż do niektórych okrakiem trzeba było włazić. Innych też nie opłaciło się budować, bo je forteca za każdym napadem tatarskim w perzynę obracała, a to dlatego, by nie dawały napastnikom zasłony i bezpiecznego do wałów przystępu. Mieszkali w onej Słobódce ludzie „zachodni," to jest przybłędy z Polski, Rusi, Krymu i Wołoszy. Każdy tu był niemal innej wiary, ale tam o to nikt nie pytał. Gruntów nie obrabiali dla niebezpieczeństwa od Ordy, żywili się rybą i zbożem dostawianem z Ukrainy, pili palonkę (wódkę) z prosa, a trudnili się rzemiosłami, dla których w zamku ich ceniono.

Namiestnik oka prawie zmrużyć nie mógł dla nieznośnego zapachu skór końskich, z których rzemienie w Słobódce wyprawiano. Nazajutrz świtaniem, jak tylko wydzwoniono i na trąbach wygrano "rozbudzenie," dał znać do zamku, iż poseł książęcy przybył i prosi

o przyjęcie. Grodzicki, który świeżo miał w pamięci wizytę książęcą, sam na jego spotkanie wyszedł. Był to człowiek pięćdziesięcioletni, jednooki jak cyklop, posępny, bo siedząc w pustyni na końcu świata i nie widując ludzi, zdziczał, a sprawując nieograniczoną władzę, nabrał powagi i surowości. Twarz mu przytem zeszpeciła ospa, a ozdobiły nacięcia szabel i blizny od strzał tatarskich, podobne do białych piętn na ciemnej skórze. Był to jednak żołnierz szczery, czujny jak żóraw, który ustawicznie oczy miał w stronę Tatarów i Kozaków wytężone. Pijał tylko wodę, sypiał tylko siedm godzin na dobę, częstokroć zrywał się w nocy, by obaczyć, czy straże dobrze wałów pilnują i za najmniejsze niedbalstwo porywał na śmierć żołnierzy. Dla Kozaków wyrozumiały, choć groźny, zyskał sobie ich szacunek. Gdy zimną głodno bywało na Siczy, zbożem wspomagał. Był to Rusin, pokroju tych, którzy swego czasu z Przecławem Lanckorońskim i Samkiem Zborowskim w stepy chodzili.

— To tedy waszmość na Sicz jedziesz? — pytał Skrzetuskiego, wprowadziwszy go poprzednio do zamku i uczęstowawszy gościnnie.

— Na Sicz. Jakie waszmość, mości komendancie, masz stamtąd nowiny?

— Wojna! Ataman koszowy ze wszystkich ługów, rzeczek i wysp ściąga Kozaków. Zbiegi z Ukrainy idą, którym przeszkadzam jak mogę. Wojska tam już jest na trzydzieści tysięcy, albo i więcej. Gdy Ukrainę ruszą, gdy się z nimi grodowi Kozacy i czerń połączą, będzie ich sto tysięcy.

— A Chmielnicki?

— Lada dzień z Krymu z Tatarami spodziewany. Może już jest; prawdę rzec, niepotrzebnie waszmość do Siczy chcesz jechać, bo wkrótce tu ich się doczekasz, że zaś Kudaku nie miną, ani go za sobą nie zostawią, to pewna.

— A obronisz się waszmość?

Grodzicki popatrzał na namiestnika posępnie i odrzekł dobitnie, spokojnym głosem:

— A ja się nie obronię...

— Jakto?

— Bo prochów nie mam. Mało dwadzieścia czółen posłałem, by mi choć trochę przysłano — i nic. Nie wiemli: przejęto gońców, czy sami nie mają — wiem, że dotąd nie przysłano. Mam na dwa tygodnie — na dłużej nie. Gdybym miał dosyć, pierwejbym

Kudak i siebie w powietrze wysadził, nimby tu noga kozacza postała. Kazano mi tu leżeć — leżę, kazano zęby wyszczerzać — wyszczerzam, a gdy zginąć przyjdzie — raz maty rodyła — i to potrafię.

— A samże waszmość nie możesz prochów robić?

— Od dwóch już miesięcy zaporożcy saletry mi nie puszczają, którą od Czarnego morza przywozić trzeba. Wszystko jedno! Zginę!

— Uczyć się nam od was starych żołnierzy! A gdybyś sam waszmość po prochy ruszył?

— Mosanie, ja Kudaku nie zostawię i zostawić nie mogę; tu mi było życie, tu niech śmierć będzie. Waść nie myśl także, że na bankiety i wspaniale recepcye (przyjęcia) jedziesz, jakiemi gdzieindziej posłów witają, albo że cię tam godność poselska osłoni. Toż oni własnych atamanów mordują i od czasu jak tu siedzę nie pamiętam, by który zczezł (znikł, zginął) swoją śmiercią. Zginiesz i ty.

Skrzetuski milczał.

— Widzę, że duch w waćpanu gaśnie. To lepiej nie jedź.

— Mój mości komendancie — rzekł na to z gniewem namiestnik, — wymyślże co lepszego, by mnie przestraszyć, bo to, co mi powiadasz, jużem słyszał z dziesięć razy, a kiedy mi radzisz nie jechać, to widzę, sam byś na mojem miejscu nie jechal — zważ przeto, czy ci nietylko prochów, ale i fantazyi (dzielności) do obrony Kudaku nie zbraknie!

Grodzicki, zamiast się rozgniewać, spojrzał jaśniej na namiestnika.

— Zubastaja szczuka (zębaty szczupak)! — mruknął po rusińsku. — Przebacz mi waszmość. Z odpowiedzi twojej miarkuję, że potrafisz dignitatem (godność) księcia i stanu szlacheckiego utrzymać. Dam ci tedy parę czajek, bo bajdakami porohów nie przejedziesz.

— O to też przybyłem prosić waszmości.

— Koło Nienasytca każesz je lądem ciągnąć, bo choć woda duża, ale tam nigdy przejechać nie można. Ledwie się jakie małe czółenko przewinie. A gdy już będziesz na nizkich wodach, tedy się pilnuj, by cię nie zaskoczono, i pamiętaj, że żelazo i ołów od słów wymowniejsze. Tam tylko śmiałych ludzi cenią. Czajki będą na jutro gotowe, każę tylko drugie rudle poprzyprawiać, bo jednego na porohach mało.

To rzekłszy, Grodzicki wyprowadził z izby namiestnika, by mu

zamek i jego porządki pokazać. Wszędy panował wzorowy ład i karność. Straże dniem i nocą gęsto czuwały na wałach, które jeńcy tatarscy musieli bez przestanku wzmacniać i poprawiać.

— Co rok na łokieć wyżej walu sypię — rzekł pan Grodzicki, — to też tak urósł, że gdybym miał prochów dostatek, i w sto tysięcy nicby mi nie zrobili, ale bez strzelby nie obronię, gdy przemoc przyjdzie.

Forteca była istotnie nie do zdobycia, bo prócz armat broniły jej dnieprowe przepaście i niedostępne skały, pionowo zeskakujące w wodę; nie potrzebowała nawet wielkiej załogi. To też w zamku nie stało więcej nad sześćset ludzi, ale zato conajprzebrańszego żołnierza, uzbrojonego w muszkiety i samopały. Dniepr, płynąc w tem miejscu ściśniętem korytem, tak był wązki, że rzucona z wałów strzała przelatywała daleko na drugi brzeg. Działa zamkowe panowały nad obu brzegami i nad całą okolicą. Prócz tego o pół mili od zamku stała wysoka wieża, z której ośm mil wokoło widać było, a w niej stu żołnierzy, do których pan Grodzicki każdego dnia zaglądał. Ci, spostrzegłszy w okolicy lud jaki, dawali natychmiast znać do zamku, a wówczas bito w dzwony i cała załoga wnet stawała pod bronią.

— Prawie tygodnia niema — mówił pan Grodzicki — bez jakowegoś alarmu, bo Tatarzy jak wilki, stadami często po kilka tysięcy tu się włóczą, których z dział strychujemy jak można, a częstokroć tabuny dzikich koni straże biorą za Tatarów.

— I nie przykrzy się waszmości siedzieć na takiem bezludziu? — pytał pan Skrzetuski.

— Choćby mi też na pokojach królewskich miejsce dano, tobym tu wolał. Więcej ja stąd świata widzę, niżeli król ze swego okna w Warszawie.

Jakoż istotnie z wałów widać było niezmierną przestrzeń stepów, które teraz wydawały się jednem morzem zieloności, na północ ujście Samary, a na południe cały brzeg dnieprowy, skały, przepaście, lasy, aż do pian drugiego porohu Surskiego.

Pod wieczór zwiedzili jeszcze wieżę, gdyż Skrzetuski, pierwszy raz widząc tę zaginioną w stepach fortecę, wszystkiego był ciekawy. Tymczasem przygotowano dla niego w Słobódce czajki, które, opatrzone rudlami po obu końcach, stawały się zwrotniejsze. Nazajutrz rankiem miał wyruszyć. Ale przez noc nie kładł się pra-

wie wcale spać, rozmyślając, co mu czynić przystoi wobec niechybnej zguby, którą mu groziło posłowanie do straszliwej Siczy. Życie uśmiechało mu się wprawdzie, bo był młody i kochał i miał żyć obok ukochanej; wszelako od życia więcej honor i sławę kochał. Ale przyszło mu do głowy, że wojna blizka, że Helena, czekając na niego w Rozłogach, może być ogarnięta najokropniejszym pożarem, wystawiona na napady nietylko Bohuna, ale rozpętanej i dzikiej czerni, więc porywała go trwoga o nią i ból. Stepy musiały już podeschnąć, możnaby już pewno do Łubniów z Rozłogów jechać, a tymczasem on sam kazał Helenie i kniahini na swój powrót czekać, bo nie spodziewał się, by burza mogła wybuchnąć, tak prędko nie wiedział, czem grozi jazda do Siczy. Chodził więc teraz szybkimi krokami po zamkowej izbie, brodę targał i ręce łamał. Co miał począć? jak postąpić? W myśli widział już Rozłogi w ogniu, otoczone wyjącą czernią, więcej do szatanów niż do ludzi podobną. Własne jego kroki odbijały się posępnem echem pod sklepieniem zamkowem, a jemu wydało się, że to już złe moce po Helenę idą. Na wałach trąbiono gaszenie światła, a jemu zdało się, że to odgłos Bohunowego rogu, i zębami zgrzytał i za głownię szabli imał. Ach czemuż to on naparł się tej ekspedycyi i Bychowca jej pozbawił.

Zauważył tę alteracyę (wzruszenie) pana Rzędzian, śpiący w progu, więc wstał, oczy przetarł, objaśnił pochodnie palące się w żelaznych obręczach, i począł kręcić się po komnacie, chcąc zwrócić uwagę pana.

Ale namiestnik utonął całkowicie w swoich bolesnych myślach i chodził dalej, budząc krokami uśpione echa.

— Jegomość! hej jegomość!... — rzekł Rzędzian.

Skrzetuski popatrzał na niego szklanym wzrokiem. Nagle zbudził się z zamyślenia.

— Rzędzian, boisz ty się śmierci? — spytał...

— Kogo? jakto śmierci? co jegomość mówi?

— Bo kto na Sicz jedzie, ten nie wraca.

— A to czemu jegomość jedzie?

— Moja wola; ty się w to nie wtrącaj, ale ciebie mi żal, boś dzieciuch, a chociażeś frant, tam się frantowstwem nie wykręcisz. Wracaj do Czehrynia, a potem do Łubniów.

Rzędzian zaczął się drapać w głowę.

— Mój jegomość, juści śmierci się boję, bo ktoby się jej nie bał, toby się Boga nie bał, gdyż to Jego wola żywić kogoś, albo umorzyć;

ale skoro jegomość dobrowolnie na śmierć lezie, to już jegomości będzie grzech, jako pana, nie mój, jako sługi; przeto jegomości nie opuszczę, bom też nie chłop żaden, jeno szlachcic, choć ubogi, ale też nie bez ambicyi.

— Wiedziałem, żeś dobry pachołek, powiem ci jednak: nie chcesz po dobrej woli jechać, pojedziesz z rozkazu, bo inaczej nie może być.

— Choćby mnie jegomość zabił, nie pojadę! Co to jegomość sobie myśli, żem jest Judasz jaki, czy co, żebym jegomości miał na śmierć wydawać?

Tu Rzędzian podniósl ręce co oczu i począł buczeć głośno, widział więc pan Skrzetuski, że tą drogą do niego nie trafi, a rozkazywać groźnie nie chciał, bo mu było chłopca żal.

— Słuchaj — rzekł do niego, — pomocy mi żadnej nie dasz, ja przecie dobrowolnie głowy pod miecz kłaść nie będę, a do Rozłogów listy zawieziesz, na których mnie więcej niż na samym żywocie zależy. Powiesz tam jejmości i kniaziom, by zaraz, bez najmniejszej zwłoki panienkę do Łubniów odwieźli, bo ich inaczej rebelia (bunt) zaskoczy — sam też dopilnujesz, by się to stało. Ważną ci funkcyę powierzam, przyjaciela godną, nie sługi.

— To niech jegomość kogo innego wyśle; z listem każdy pojedzie.

— A kogo ja tu mam zaufanego? Czyś zgłupiał! To ci powtarzam: uratuj mi po dwakroć życie, a jeszcze mi takowej przysługi nie oddasz, gdyż w męce żyję, myśląc, co może się stać i od boleści skóra na mnie potnieje.

— O dla Boga! widzę, że muszę jechać, ale mi tak jegomości żal, że choćbyś mi jegomość ten kropiasty pas darował, zgoła bym się nie pocieszył.

— Będziesz pas miał, jeno spraw się dobrze.

— Nie chcę i pasa, byleś mi jegomość jechać z sobą dozwolił.

— Jutro wrócisz czajką, którą pan Grodzicki do Czehrynia wysyła, dalej bez zwłoki ni odpoczynku ruszysz prosto do Rozłogów. Tam kniahini nic nie mów czy mi co grozi, ani panience, proś tylko, by zaraz choć konno do Łubniów jechały, choćby bez tobołów żadnych. Oto masz trzos na drogę; listy zaraz ci napiszę.

Rzędzian padł do nóg namiestnika.

— Panie mój, zali nie mam cię ujrzeć więcej?

— Jak Bóg da, jak Bóg da!— odparł, podnosząc go, namiestnik, —ale w Rozłogach wesołą twarz pokazuj. Teraz idź spać.

Reszta nocy zeszła Skrzetuskiemu na pisaniu listów i żarliwej modlitwie, po której zaraz przyleciał do niego anioł uspokojenia. Tymczasem noc zbladła i świt ubielił wązkie okienka od wschodu. Dniało — aż i różowe blaski wkradły się do komnaty. Na wieży i zamku poczęto grać poranne "wstawaj". Wkrótce potem Grodzicki zjawił się w komnacie.

— Mości namiestniku, czajki gotowe.

— I jam też gotów — rzekł spokojnie Skrzetuski.

X.

Lotne czajki mknęły z wodą jak jaskółki, niosąc młodego rycerza i jego losy. Z powodu wysokich wód porohy nie przedstawiały wielkiego niebezpieczeństwa. Minęli Surski, Łochanny, szczęśliwa fala przerzuciła ich przez Woronową Zaporę, zgrzytnęły trochę czółna na Kniażym i Strzelczym, ale jeno się otarły, nie rozbiły, aż wreszcie w oddali ujrzeli piany i wiry strasznego Nienasytca. Tu już trzeba było wysiadać i czółna lądem ciągnąć. Praca długa i ciężka, zwykle zabierająca dzień cały. Na szczęście, widocznie po dawnych przeprawach, na całym brzegu leżało mnóstwo kloców, które podkładano pod czółna dla łatwiejszego toczenia ich po ziemi. W całej okolicy i na stepach nie było widać żywego ducha, na rzece ani jednej czajki, bo już nie mogły płynąć do Siczy inne, jedynie te, które pan Grodzicki przez Kudak przepuścił, a pan Grodzicki umyślnie odciął Zaporoże od reszty świata. Ciszę przerywał więc tylko huk fali o skały Nienasytca. Przez czas, gdy ludzie toczyli czółna, pan Skrzetuski przypatrywał się temu dziwowisku natury. Straszny widok uderzył jego oczy. Przez całą szerokość rzeki biegło w poprzek siedm grobel skalistych, sterczących nad wodą, czarnych, poszarpanych przez fale, które powyłamywały w nich jakoby bramy i przejścia. Rzeka całym ciężarem wód tłukła się o owe groble i odbijała się o nie, więc rozszalała, wściekła, zbita na białą spienioną miazgę, usiłowała je przeskoczyć jak rumak rozhukany. Ale odparta raz jeszcze, nim mogła lunąć przez otwory, rzekłbyś, gryzła zębem skały, skręcała się w bezsilnym gniewie w potworne wiry, wybuchała słupami w górę, wrzała jak ukrop, ziajała ze zmęczenia jak dziki zwierz. A potem znów huk jakby stu dział, wycie całych stad wilków, chrapanie wysilenia — i przy każdej grobli

ta sama walka, ten sam zamęt. Nad otchłanią wrzask ptactwa, jakby przerażonego tym widokiem, między groblami posępne cienie skał, drgające na kształt złych duchów.

Ludzie ciągnący czółna, lubo przyzwyczajeni, żegnali się pobożnie, przestrzegając namiestnika, by się zbyt nie zbliżał do brzegu. Były bowiem podania, że kto zbyt długo patrzał na Nienasytec, ten wkońcu ujrzał coś takiego, od czego rozum mu się mieszał; twierdzono również, że czasem z wirów wynurzały się czarne, długie ręce i chwytały nieostrożnych, którzy zanadto się zbliżyli, a wnet straszne śmiechy rozlegały się w przepaściach. Nocami nawet zaporożcy nie śmieli czółen przeciągać.

Do bractwa na Niżu nikt nie mógł być jako towarzysz przyjęty, kto porohów samotnie czółnem nie przebył, ale dla Nienasytca czyniono wyjątek, gdyż skały jego nigdy nie bywały zalewane. O jednym Bohunie ślepcy śpiewali, jakoby i przez Nienasytec się przekradł, wszelako nie dawano temu wiary.

Przeciąganie czółen zajęło blizko dzień czasu, i słońce poczęło zachodzić, gdy namiestnik wsiadł do łodzi. Zato następne porohy przebyli z łatwością, bo całkiem były pokryte, i wreszcie wpłynęli na „ciche wody niżowe."

Po drodze widział pan Skrzetuski na uroczyszczu Kuczkasów olbrzymią mogiłę z białych kamieni, którą książę na pamiątkę swego pobytu kazał usypać, a o której pan Bogusław Maszkiewicz w Łubniach mu opowiadał. Do Siczy stąd nie było już daleko, ale że namiestnik nie chciał nocą wyjeżdżać w czertomelicki labirynt, postanowił więc zanocować na Chortycy.

Chciał także spotkać jaką żywą duszę zaporoską i dać uprzednio znać o sobie, by wiedziano, iż poseł, a nie kto inny przyjeżdża. Chortyca jednak zdawała się być pustą, co niemało zdziwiło namiestnika, wiedział bowiem od Grodzickiego, że tam zawsze stawała załoga kozacka od inkursyi (najścia) tatarskiej. Puścił się nawet z kilku ludźmi dość daleko od brzegu na zwiady, ale całej wyspy przejść nie mógł, miała bowiem przeszło milę długości, a noc zapadła ciemna i niezbyt pogodna, wrócił więc do czajek, które tymczasem powciągano na piasek i porozpalano ognie na nocleg od komarów.

Większa część nocy zeszła spokojnie. Semenowie i przewodnicy posnęli przy ogniach — czuwały tylko straże, a z niemi i namiestnik, którego od wyjazdu z Kudaku dręczyła straszna bezsenność. Czuł także, że trawi go gorączka. Chwilami zdawało mu się, że słyszy

zbliżające się kroki z głębi wyspy, to znów jakieś dziwne odgłosy, podobne do odległego beczenia kóz. Ale myślał, że ucho go zwodzi.

Nagle, dobrze już ku świtaniu, stanęła przed nim jakaś ciemna postać.

Był to czeladnik straży.

— Panie, idą! — rzekł pośpiesznie.

— Kto taki?

— Pewnie niżowi; idzie ich ze czterdziestu.

— Dobrze. To niewielu. Zbudź ludzi. Ognia podpalić!

Semenowie wnet porwali się na nogi. Podsycony płomień buchnął w górę i oświecił czajki i garść żołnierzy namiestnika. Inni strażnicy przybiegli również dokoła.

Tymczasem nieregularne kroki gromady ludzi dawały się już rożróżnić wyraźnie; kroki te zatrzymały się w pewnem oddaleniu; natomiast jakiś głos spytał z akcentem groźby:

— A kto na brzegu?

— A wy kto? — spytał wachmistrz.

— Odpowiadaj, wraży synu, a nie to z samopału zapytam!

— Jego wysokość pan poseł od. J. O. księcia Jeremiego Wiśniowieckiego do atamana koszowego — wygłosił donośnie wachmistrz.

Głosy w gromadzie umilkły, widocznie trwała tam krótka narada.

— A chodź jeno sam tu! — zawołał wachmistrz — nie bój się. Posłów nie biją, ale i posły nie biją!

Kroki znów ozwały się i po chwili kilkadziesiąt postaci wynurzyło się z cienia. Po śniadej cerze, nizkim wzroście i kożuchach wełną do góry namiestnik od pierwszego wejrzenia poznał, że po większej części byli to Tatarzy; Kozaków znajdowało się tylko kilkunastu. Przez głowę pana Skrzetuskiego przeleciała jak błyskawica myśl, że skoro Tatarzy są na Chortycy, więc Chmielnicki musiał już wrócić z Krymu.

Na czele gromady stał stary zaporożec olbrzymiego wzrostu, o twarzy dzikiej i okrutnej. Ten, zbliżywszy się do ogniska, spytał:

— A który tu poseł?

Silny zapach gorzałki rozszedł się dokoła. Zaporożec był widać pijany.

— Który tu poseł? — powtórzył.

— Jam jest — rzekł dumnie pan Skrzetuski.

— Ty?

— A cóżem ci brat, że mnie „ty" mówisz?

— Znaj, grubianie, politykę — poderwał wachmistrz, — mówi się: Jaśnie wielmożny pan poseł!

— Na pohybelże wam (zgińcie), czortowy syny! szczob was sierpiahowa smert! jasno wielmożny syny! A wy poco do atamana?

— Nie twoja sprawa! wiedz jeno, że szyja twoja w tem, bym się do atamana najprędzej dostał.

W tej chwili drugi zaporożec wysunął się z gromady.

— My tu z woli atamana — rzekł — pilnujem, by się nikt od "Lachiw" nie zbliżał, a kto się zbliży, mamy wiązać i dostawiać, co też uczynim.

— Kto dobrowolnie jedzie, tego nie będziesz wiązał.

— Budu, bo takij nakaz.

Wtem stary olbrzym przerwał:

— Zawedem (zaprowadzimy) posła, ale za borodu (brodę) — ot tak!

To rzekłszy, sięgnął ręką do brody namiestnika.

Ale w tej chwili jęknął i, jakby gromem rażon, zwalił się na ziemię.

Namiestnik roztrzaskał mu głowę czekanem.

— Koli! koli! (kłuj) — zawyły wściekłe głosy w gromadzie.

Semenowie książęcy sypnęli się na ratunek swego wodza, huknęły samopały, wrzaski: koli! koli!" zlały się ze szczękiem żelaza. Wszczęła się bitwa bezładna. Zdeptane w zamieszaniu ogniska zgasły, i ciemność ogarnęła walczących. Wkrótce jedni i drudzy zwarli się tak, że zbrakło miejsca do cięcia, a noże, pięści i zęby zastąpiły szable.

Nagle z głębi wyspy ozwały się liczne, nowe nawoływania i krzyki: napastnikom nadchodziła pomoc.

Chwila jeszcze, a byłaby przyszła zapóźno, gdyż karni semenowie brali już górę nad ciżbą.

— Do czółen! — krzyknął grzmiącym głosem namiestnik.

Pocztowi wykonali rozkaz w mgnieniu oka.

Na nieszczęście czajki, zbyt silnie wciągnięte na piasek, nie dawały się teraz zepchnąć w wodę.

Tymczasem nieprzyjaciel skoczył z furyą ku brzegowi.

— Ognia! — skomenderował pan Skrzetuski.

Salwa z muszkietów wnet powstrzymała napastników, którzy zmieszali się, skłębili i cofnęli w nieładzie, zostawiając kilkanaście ciał rozciągniętych na piasku; niektóre z tych ciał rzucały się kon-

wulsyjnie, nakształt ryb wyłowionych z wody i porzuconych na brzegu.

Jednocześnie przewoźnicy, wspomagani przez kilkunastu semenów, wsparłszy wiosła o ziemię, dobywali ostatnich sił, by zepchnąć statki na wodę — ale napróżno.

Nieprzyjaciel rozpoczął atak zdaleka. Pluskanie kul po wodzie zmieszało się ze świstem strzał i jękami rannych.

Tatarzy, ałłachując coraz przeraźliwiej, zachęcali się wzajemnie: odpowiadały im krzyki Kozaków: „koli! koli!" i spokojny głos pana Skrzetuskiego, powtarzający coraz częściej komendę:

— Ognia!

Pierwszy brzask oświecił bladem światłem walkę. Od strony lądu widać było ciżbę kozacką i Tatarów, jednych z twarzami przy kolbach piszczeli, drugich przegiętych wtył i ciągnących cięciwy łuków — od strony wody dwie czajki dymiące i świecące ustawicznemi salwami wystrzałów. W środku leżały ciała, spokojne już, porozciągane po piasku.

W jednem z czółen stał pan Skrzetuski, wyższy nad innych, dumny, spokojny, z porucznikowskim buzdyganem w ręku i z gołą głową, bo mu strzała tatarska zerwała czapkę.

Wachmistrz zbliżył się ku niemu i szepnął:

— Panie, nie wytrzymamy — kupa zawielka!

Ale namiestnikowi chodziło już tylko o to, by poselstwo swoje krwią przypieczętować, pohańbienia godności nie dopuścić, i zginąć nie bez sławy. Dlatego też, podczas gdy semenowie poczynili sobie z worów z żywnością rodzaj zasłon, z poza których razili nieprzyjaciela, on stał widny (widoczny) i na pociski wystawiony.

— Dobrze! — rzekł — wyginiem do ostatniego.

— Wyginiem, bat'ku — wykrzyknęli semenowie

— Ognia!

Czajki znów zadymiły. Z głębi wyspy poczęły napływać nowe tłumy, zbrojne w spisy i kosy. Napastnicy rozdzielili się na dwie kupy. Jedna podtrzymywała ogień, druga, złożona z dwustu przeszło mołojców i Tatarów, czekała tylko chwili stosownej do ręcznego ataku. Jednocześnie z szuwarów wyspy wysunęły się cztery czółna, które miały uderzyć na namiestnika z tyłu i z obu boków.

Zrobiło się już widno zupełnie. Dymy tylko porozciągały się

długiemi pasmami w spokojnem powietrzu i przesłaniały po bojowisko.

Namiestnik kazał zwrócić się dwudziestu semenom ku atakującym statkom, które, gnane wiosłami, pędziły z chyżością ptactwa po spokojnej wodzie rzecznej. Ogień, kierowany ku Tatarom i Kozakom, idącym z głębi wyspy, osłabł przez to znacznie.

Tego też zdawali się czekać.

Wachmistrz znów zbliżył się ku namiestnikowi.

— Panie! Tatarzy biorą handżary (noże) w zęby; zaraz rzucą się na nas.

Jakoż trzystu blizko ordyńców z szablami w ręku, z nożami w zębach, gotowało się do ataku. Towarzyszyło im kilkudziesięciu zaporożców zbrojnych w kosy.

Atak miał się rozpocząć ze wszystkich stron, bo napastnicze czółna przypłynęły już na strzał. Boki ich zakwitły dymami. Kule jak grad poczęły się sypać na ludzi namiestnika. Obie czajki napełniły się jękami. Po upływie kilkunastu minut, połowa semenów poległa, reszta broniła się jeszcze rozpaczliwie. Twarze ich były zczerniałe od dymu, ręce ustawały, wzrok mącił się, krew zalewała oczy, rury muszkietów poczynały parzyć dłonie. Większa część była rannych.

W tej chwili wrzask straszny i wycie rozdarło powietrze. To ordyńcy ruszali do ataku.

Dymy, spędzone ruchem masy ciał, rozproszyły się nagle i odsłoniły oczom dwie czajki namiestnika, pokryte czarniawym tłumem Tatarów, niby dwa trupy końskie, rozdzierane przez stada wilków. Tłum parł, kotłował się, wył, wspinał, zdawał się walczyć sam z sobą i ginął. Kilkunastu semenów dawało jeszcze odpór, a pod masztem stał pan Skrzetuski, z zakrwawioną twarzą, ze strzałą utkwioną aż po brzechwę w lewem ramieniu, i bronił się ze wściekłością. Postać jego wydawała się olbrzymią wśród otaczającego go tłumu, szabla migotała jak błyskawica. Uderzeniom odpowiadały jęki i wycia. Wachmistrz z drugim semenem pilnowali mu obu boków i tłum cofał się chwilami z przerażeniem przed tą trójką, ale pchany z tyłu, pchał się sam i marł pod ciosami szabel.

— Żywych brać do atamana — wrzeszczały głosy w tłumie. — Poddaj się!

Ale pan Skrzetuski poddawał się tylko już Bogu, bo oto pobladł nagle, zachwiał się i runął na dno statku.

— Praszczaj, bat'ku (żegnaj, ojcze)! — ryknął z rozpaczą wachmistrz.

Ale po chwili padł także. Ruchliwa masa napastników pokryła czajki zupełnie.

XI.

W chacie kantarzeja (1) wojskowego, na przedmieściu Hassan Basza w Siczy, siedziało przy stole dwóch zaporożców, pokrzepiając się palonką z prosa, którą czerpali ustawicznie z drewnianego szaflika, stojącego na środku stołu. Jeden stary, już prawie zgrzybiały, był to Fyłyp Zachar, sam kantarzej, drugi Anton Tatarczuk, ataman czehryńskiego kurzenia, człowiek około lat czterdziestu, wysoki, silny, z dzikim wyrazem twarzy i skośnemi tatarskiemi oczyma. Obaj mówili z sobą zcicha, jakby w obawie, żeby ich kto nie podsłuchał.

— Więc to dziś? — spytał kantarzej.

— Ledwie nie zaraz — odpowiedział Tatarczuk,. — Czekają tylko na koszowego i Tuhaj-beja, który z samym Chmielem pojechał na Bazawłuk, bo tam stoi orda. Towarzystwo zebrało się już na majdanie, a kurzeniowi jeszcze przed wieczorem zbiorą się na radę. Nim noc nastanie, będzie wszystko wiadomo.

— Hm! może być źle — mruknął stary Fyłyp Zachar.

— Słysz, kantarzeju, a ty widział, że było pismo i do mnie?

— Jużci widziałem, bom sam listy odnosił do koszowego, a jam człowiek piśmienny. Znaleźli przy Lachu trzy pisma; jedno do samego koszowego, drugie do ciebie, trzecie do młodego Barabasza. Wszyscy już w Siczy wiedzą o tem.

— A kto pisał? nie wiesz?

— Do koszowego pisał książę, bo na liście była pieczęć; kto do was, niewiadomo.

— Sochroni Bih (niech Bóg ochroni)!

— Jeślić cię tam jawnie przyjacielem Lachów nie nazywają, to nic nie będzie.

— Sochroni Bih! — powtórzył Tatarczuk.

— Widać się poczuwasz.

(1) Urzędnik wojskowy na Zaporożu, czuwający nad miarami i wagami w kramach, znajdujących się na tak zwanym Kramnym Bazarze w Siczy.

— Tłu! Do niczego się nie poczuwam.

— Może też koszowy wszystkie listy skręci, bo mu i o własny list chodzi. Było tak dobrze do niego pismo, jak do was.

— A może.

— Ale jeśli się poczuwasz, to...

Tu stary kantarzej zniżył głos jeszcze bardziej:

— Uchodź!

— Ale jak'? i gdzie? — pytał niespokojnie Tatarczuk. — Koszowy na wszystkich ostrowach (wyspach) straż postawił, żeby się nikt do Lachów nie wymknął i nie dał znać, co się dzieje. Na Bazawłuku pilnują Tatarzy. Ryba się nie przeciśnie, ptak nie przeleci.

— To się skryj w samej Siczy, gdzie możesz.

— Znajdą. Chyba ty mnie schowasz między beczkami w bazarze? ty mój krewniak!

— I brata rodzonego nie schowałbym. Boisz się śmierci, to się upij: pijany ani poczujesz.

— A może w listach nic niema?

— Może...

— Ot, bieda! ot bieda! — rzekł Tatarczuk. — Nie poczuwam się do niczego. Ja dobry mołojec, Lachom (Polakom) wróg. Ale choćby i nic w liście nie było, czort wie, co Lach powie przed radą? Może mnie zgubić.

— To serdyty (zawzięty) Lach: on nic nie powie!

— Byłeś dziś u niego?

— Byłem. Pomazałem mu rany dziegciem; nalałem gorzałki z popiołem w gardło. Będzie zdrów. To serdyty Lach! Mówią, że Tatarów narżnął na Chortycy, nim go wzięli, jak świń. Ty o Lacha bądź spokojny.

Ponury odgłos kotłów, w które bito na koszowym majdanie, przerwał dalszą rozmowę. Tatarczuk, usłyszawszy ten odgłos, drgnął i zerwał się na równe nogi. Nadzwyczajny niepokój malował się w jego twarzy i ruchach.

— Biją wezwanie na radę — rzekł, łowiąc ustami oddech — Sochroni Bih! Ty, Fyłyp, nie mów o czem ja z tobą tu gadał. Sochroni Bih!

To rzekłszy, Tatarczuk chwycił szaflik z palonką, przechylił go obiema rękoma do ust i pił, pił jakby chciał sie na śmierć zapić.

— Chodźmy! — rzekł kantarzej.

Odgłos kotłów huczał coraz donośniej.

Wyszli. Przedmieście Hassan Basza oddzielone było od majdanu tylko wałem, opasującym kosz właściwy, i bramą z wysoką basztą, na której widać było paszcze zatoczonych dział. W środku przedmieścia stał dom kantarzeja i chaty atamanów kramnych, naokół zaś dość obszernego placu szopy, w których mieściły się kramy. Były to wogóle nędzne budowy, klecone z bierwion dębowych, których w obfitości dostarczała Chortyca, a poszyte gałęziami i oczeretem. Same chaty, nie wyłączając kantarzejowej, podobniejsze były do szałasów, bo tylko dachy ich wznosiły się nad ziemią. Dachy te były czarne i zakopcone, gdyż jeśli w chacie palono ogień, dym wydobywał się nietylko górnym otworem dachu, ale i przez całe poszycie, a wówczas można było mniemać, że to nie chata, jeno kupa gałęzi i oczeretów, w której wyrabiają smołę. W chatach panowała wieczna ciemność, dlatego podtrzymywano w nich ustawicznie ogień z łuczywa i ze skorup dębowych. Szop kramnych było kilkadziesiąt i dzieliły się na kurzeniowe, to jest stanowiące własność pojedyńczych kurzeniów, i gościnne, w których w chwilach spokoju handlowali niekiedy Tatarzy i Wołosi, jedni skórami, tkaninami wschodniemi, bronią i wszelkiego rodzaju zdobyczą, inni przeważnie winem. Ale gościnne kramy rzadko bywały zajęte, gdyż kupno zmieniało się najczęściej w tem dzikiem gnieździe na rabunek, od którego kantarzej, ani kramni atamanowie, nie mogli tłumów powstrzymać. Między szopami stało także trzydzieści ośm szynków kurzeniowych, a przed nimi leżeli zawsze wśród śmieci, wiórów, kłód dębowych i kup końskiego nawozu, półmartwi z przepicia się zaporożcy, jedni w kamiennym śnie pogrążeni, drudzy z pianą na ustach, w konwulsyach lub atakach deliryum (obłędu pijackiego). Inni, półpijani, wyjąc kozackie pieśni, spluwając, bijąc się lub całując, przeklinając kozaczy los lub płacząc na kozaczą biedę, deptali po głowach i piersiach leżących. Dopiero z chwilą gdy wyruszała jaka wyprawa na Tatarów lub Ruś, nakazywano trzeźwość, i wówczas należących do wyprawy śmiercią karano za pijaństwo. Ale w zwykłych czasach, zwłaszcza na Kramnym Bazarze, prawie wszyscy byli pijani: kantarzej i atamanowie kramni, sprzedający i kupujący. Kwaśny zapach nieszumowanej wódki, w połączeniu z zapachem smoły, ryb, dymu i końskich skór, nasycał wiecznie powietrze na całem przedmieściu, które wogóle pstrocizną kramów przypominało jakąś mieścinę turecką lub tatarską.

Sprzedawano w nich wszystko, co się gdziekolwiek w Krymie, na Wołoszczyźnie lub wybrzeżach anatolskich dało zrabować. Więc jaskrawe tkaniny wschodnie, lamy, altembasy, złotogłowia, sukno, cyc, drelich, i płótno, potrzaskane działa spiżowe i żelazne, skóry, futra, suszoną rybę, wiśnie i bakalie tureckie, naczynia kościelne, mosiężne półksiężyce, złupione z minaretów (wieżyczek na świątyniach mahometańskich), i pozłacane krzyże, zdarte z cerkwi (1) proch i broń sieczną, kije od spis i siodła. A między tą mieszaniną przedmiotów i barw kręcili się ludzie, poprzybierani w szczątki najrozmaitszej odzieży, latem półnadzy, zawsze półdzicy, okopceni od dymu, czarni, uwalani w błocie, pełni ciekących ran od ukąszeń olbrzymich komarów, których miliardy unosiły się nad Czertomelikiem, i, jako się rzekło wyżej, wiecznie pijani.

W tej chwili całe Hassan Basza jeszcze pełniejsze było ludzi niż zwykle; zamykano kramy i szynki, wszyscy zaś śpieszyli na majdan siczowy, na którym miała się odbywać rada. Fylyp Zachar i Anton Tatarczuk szli z innymi, ale ten ostatni ociągał się, szedł leniwo i pozwalał się wyprzedzać tłumom. Coraz żywszy niepokój malował się w jego twarzy. Tymczasem przeszli przez most na fosie, następnie przez bramę, i znaleźli się na obszernym obronnym majdanie, otoczonym przez trzydzieści ośm wielkich drewnianych budynków. Były to kurzenie, a raczej domy kurzeniowe, rodzaj koszar wojskowych, w których mieszkali Kozacy. Kurzenie owe jednej wielkości i miary, niczem nie różniły się od siebie, chyba nazwami, przybranemi od rozmaitych miast ukraińskich, od których brały nazwę także i pułki. W jednym kącie majdanu wznosił się dom radny; zasiadali w nim atamani pod wodzą koszowego, tłumy zaś, czyli tak zwane "towarzystwo," obradowało pod gołem niebem, wysyłając co chwila deputacye do starszyzny, a czasem wdzierając się gwałtem do radnego domu i terroryzując obrady.

Na majdanie ciżba była ogromna, poprzednio bowiem ataman koszowy pościągał do Siczy wszystkie wojska rozproszone po wyspach, rzeczkach i "ługach," "towarzystwo" zatem było liczniejsze niż zwykle. Słońce chyliło się ku zachodowi, więc wcześnie zapalono kilkanaście beczek ze smołą; tu i owdzie stały także beczki z wódką, które każdy kurzeń dla siebie wytaczał, a które niemało

(1) Zaporożcy w czasie swych napadów nie oszczędzali nikogo i niczego. Do czasów Chmielnickiego nie było wcale cerkwi w Siczy; pierwszą właśnie Chmielnicki wystawił. Nie pytano tam również nikogo o wyznanie, i to, co opowiadają o religijnym nastroju niżowców, jest bajką.

dodawały energii obradom. Porządku między kurzeniami pilnowali esaułowie, zbrojni w tęgie dębowe kije dla hamowania obradujących, i w pistolety dla obrony własnego życia, które często bywało w niebezpieczeństwie.

Fyłyp Zachar i Tatarczuk weszli prosto do domu obrad, gdyż jeden jako kantarzej, drugi jako ataman kurzeniowy, mieli prawo zasiadać między starszyzną. W izbie radnej był jeden mały stół, przed którym siedział pisarz wojskowy. Atamanowie i koszowy mieli swoje miejsca na skórach pod ścianami. Ale w tej chwili miejsca nie były jeszcze zajęte. Koszowy chodził wielkiemi krokami po izbie, kurzeniowi zaś, zebrani w małe gromadki, rozmawiali zcicha, przerywając sobie kiedyniekiedy głośniejszemi klątwami. Tatarczuk zauważył, że znajomi nawet i przyjaciele udają, iż go nie widzą, zbliżył się przeto zaraz do młodego Barabasza, który mniej więcej w takiem samem był położeniu. Inni spoglądali na nich zpodełba, z czego młody Barabasz niewiele sobie robił, nie rozumiejąc dobrze o co idzie. Był to człowiek wielkiej piękności i nadzwyczajnej siły, której jedynie zawdzięczał swój stopień kurzeniowego atamana, bo zresztą słynął w całej Siczy ze swej głupoty. Zjednała mu ona przydomek Durnego (głupiego) Atamana i przywilej budzenia śmiechów każdem słowem między starszyzną.

— Poczekawszy trochę, taj może i pójdziem z kamieniem u szyi w wodę! — szepnął mu Tatarczuk.

— A po co? — spytał Barabasz.

— A to nie wiesz o listach?

— Trastia jeho maty mordowała (niech jego matkę febra zamorduje)! Czy to ja pisałem jakie listy?

— Obacz, jak spoglądają na nas z podełba.

— Kołyb ja kotoroho w łob (jakbym dał któremu w łeb), toby nie patrzał, boby mu ślepie wypłynęły.

Tymczasem krzyki z zewnątrz dały znać, że coś zaszło. Jakoż drzwi izby radnej otwarły się szeroko i wszedł Chmielnicki z Tuhajbejem. Ich to witano tak radośnie. Kilka miesięcy temu, Tuhajbej, jako najwaleczniejszy z murzów i postrach niżowców, był przedmiotem strasznej nienawiści w Siczy — teraz "towarzystwo" rzucało czapki w górę na jego widok, uważając go jako dobrego przyjaciela Chmielnickiego i zaporożców.

Tuhaj-bej wszedł naprzód, a za nim Chmielnicki z buławą w ręku, jako hetman wojsk zaporoskich. Godność tę piastował od czasu

jak wrócił z Krymu, z wyjednanymi od chana posiłkami. Tłumy porwały go wówczas na ręce i, odbiwszy skarbnicę wojskową, przyniosły mu buławę, chorągiew i pieczęć, które zwykle przed hetmanem noszono. To też zmienił się niemało. Widać było, że nosi w sobie straszliwą siłę całego Zaporoża. Nie był to już Chmielnicki pokrzywdzony, uciekający na Sicz przez Dzikie Pola, ale Chmielnicki-hetman, krwawy duch, olbrzym, mściciel własnej krzywdy na milionach.

A jednak nie zerwał łańcuchów, włożył tylko nowe, cięższe. Widać to było z jego stosunku z Tuhaj-bejem. Ten hetman Zaporoża brał drugie miejsce za Tatarem, znosił w pokorze jego dumę i pogardliwe nad wszelki wyraz obejście. Był to stosunek lennika do zwierzchniego pana. Ale tak musiało być. Chmielnicki cały swój kredyt u Kozaków zawdzięczał Tatarom i łasce chanowej, której przedstawicielem był dziki i wściekły Tuhaj-bej. Ale Chmielnicki umiał godzić dumę, rozsadzającą mu pierś, z pokorą, zarówno jak odwagę z chytrością. Był to lew i lis, orzeł i wąż. Pierwszy to raz od początku kozaczyzny Tatar poczynał sobie jak pan w środku Siczy — ale takie czasy przyszły. "Towarzystwo" rzucało przecież czapki w górę na widok pohańca (poganina). Takie czasy nadeszły.

Narada się rozpoczęła. Tuhaj-bej zasiadł w środku, na grubszym pęku skór, i podwinąwszy nogi, począł gryźć suszone ziarnka słoneczników i wypluwać zżute łupinki przed siebie na środek izby. Po prawej jego stronie zasiadł Chmielnicki z buławą, po lewej koszowy, a ataman i deputacya od "towzrzystwa" dalej, pod ścianami. Ucichszyły się rozmowy, z zewnątrz tylko przychodził gwar i głuchy szum tłuszczy, obradującej pod gołem niebem, podobny do szumu fal. Chmielnicki począł mówić: (1)

— Mości panowie! Z łaski, przychylności i "dyskrecyi" najjaśniejszego carza (cesarza) krymskiego, pana wielu ludów, pokrewnego ciałom niebieskim, z pozwolenia miłościwego króla polskiego Władysława, naszego pana, i dobrej ochoty odważnych wojsk zaporoskich, ufni w naszą niewinność i sprawiedliwość Bożą, idziemy pomścić strasznych i okrutnych krzywd naszych, które po chrześciańsku cierpieliśmy, pókiśmy mogli, od nieszczerych Lachów, komisarzy, starostów i ekonomów, całej szlachty i Żydów. Nad

(1) Sposób obradowania na Siczy opisany jest w dyaryuszu Eryka Lassoty posła cesarskiego na Zaporoże w r. 1594.

któremi krzywdami jużeście mości panowie i całe wojsko zaporoskie wiele łez wylali i mnie dlatego buławę dali, abym się za niewinność naszą i całych wojsk snadniej mógł upominać. Co ja, uważając za wielką łaskę mości panów dobrodziei moich, najjaśniejszego carza o pomoc prosić jechałem, którą nam ofiarował. Ale będąc w gotowości i ochocie, nie małom się zasmucił, słysząc, iż mogą być między nami zdrajcy, którzy z nieszczerymi Lachami w komitywę wchodzą i o naszej gotowości im donoszą — co jeśliby tak było, to ukarani być mają wedle woli i dyskrecyi mości panów. A my prosim, abyście listów wysłuchali, które tu poseł od niedruga (wroga) naszego, księcia Wiśniowieckiego, przywiózł, nie posłem, ale szpiegiem będąc i gotowość naszą i dobrą ochotę Tuhaj-beja, naszego przyjaciela, chcąc podpatrzyć i przed Lachami zdradzić. Co abyście także osądzili, jeśli ma być ukarany, jak i ci, do których listy przywiózł, a o których koszowy, jako wierny przyjaciel mój, Tuhajbeja i całego wojska, zaraz nas uwiadomił.

Chmielnicki umilkł; gwar za oknami powiększał się coraz bardziej, więc pisarz wojskowy wstał i zaczął czytać naprzód pismo książęce do koszowego atamana, zaczynające się od słów: "My po Bożej miłości, kniaź i hospodyn na Łubniach, Chorolu, Przyłuce, Hadziaczu etc., wojewoda ruski etc., starosta etc." Pismo było czysto urzędowe. Książę, zasłyszawszy, iż wojska z "ługów" (łąk) są ściągane, pytał atamana, czyby to była prawda, i wzywał go zarazem, aby tego dla spokojności krajów chrześcijańskich zaniechał. Chmielnickiego zaś, jeśliby Sicz podburzał, aby komisarzom wydał, którzy sami się o to upomną. Drugi list był pana Grodzickiego, również do wielkiego atamana, trzeci i czwarty Zaćwilichowskiego i starego pułkownika czerkaskiego do Tatarczuka i Barabasza. We wszystkich nie znajdowało się nic, coby mogło podawać w podejrzenie osoby, do których były adresowane. Zaćwilichowski prosił jedynie Tatarczuka, aby zaopiekował się oddawcą listu i aby ułatwił mu wszystko, czegoby poseł zażądał.

Tatarczuk odetchnął.

— Co mówicie, mości panowie, o tych pismach? — spytał Chmielnicki.

Kozacy milczeli. Wszelkie obrady, dopóki wódka nie rozgrzała głów, zaczynały się zawsze w ten sposób, iż żaden z atamanów nie chciał pierwszy głosu zabrać. Jako ludzie prości a chytrzy, czynili to głównie z obawy wyrwania się z głupstwem, któreby mogło wnio-

skodawcę na śmiech narazić, lub zjednać mu szyderczy przydomek. Bo tak i bywało w Siczy, gdzie wśród największego prostactwa zmysł do przedrwiwania niesłychanie był rozwinięty, również jak obawa przed szyderstwem.

Kozacy tedy milczeli. Chmielnicki znowu głos zabrał:

— Ataman koszowy brat nasz i szczery przyjaciel. Ja atamanowi tak wierzę, jak duszy własnej, a ktoby co innego powiadał, tenby sam zdradę zamyślał. Ataman stary druh i żołnierz.

To rzekłszy, wstał i ucałował koszowego.

— Moście panowie! — rzekł na to koszowy — ja wojska ściągam, a hetman niech prowadzi; co do posła, kiedy go mnie przysłali, to on mój, a kiedy mój, to wam go daruję.

— Wy, moście panowie deputacya, pokłońcie się atamanowi — rzekł Chmielnicki, — bo on sprawiedliwy człowiek, i idźcie powiedzieć "towarzystwu," że jeśli tu jest zdrajca, to nie on zdrajca; on pierwszy straże postawił, on sam kazał łapać zdrajców, coby do Lachów szli. Wy, panowie deputacya, powiedźcie, że nie on zdrajca, że on najlepszy z nas wszystkich.

Panowie deputacya pokłonili się w pas najprzód Tuhaj-bejowi, który przez cały czas z największą obojętnością żuł swoje ziarnka słoneczników, następnie Chmielnickiemu, koszowemu — i wyszli z izby.

Po chwili wrzaski radosne za oknami dały znać, że deputacya spełniła polecenie.

— Niech żyje nasz koszowy! niech żyje koszowy! — wołały chrapliwe głosy z taką siłą, że aż ściany izby zdawały się drżeć w posadach.

Jednocześnie huknęły wystrzały z samopałów i piszczeli.

Deputacya wróciła i znowu zasiadła w kącie izby.

— Mości panowie! — rzekł Chmielnicki, gdy uciszyło się cokolwiek za oknami. — Już wy mądrze osądzili, że koszowy ataman człowiek sprawiedliwy. Ale jeśli ataman nie zdrajca, to kto zdrajca? Kto ma przyjaciół między Lachami, z kim oni w konszachty wchodzą, do kogo listy pisują? komu osobę posła zlecają? kto zdrajca?

To mówiąc, Chmielnicki podnosił głos coraz wyżej i strzygł złowrogo oczyma w stronę Tatarczuka i młodego Barabasza, jakby chciał ich wskazać wyraźnie. W izbie powstał szmer, kilka głosów poczęło wołać: "Barabasz i Tatarczuk!" Niektórzy kurzeniowi

powstali z miejsc, między deputacyą dały się słyszeć wołania: "Na pohybel!"

Tatarczuk zbladł, a młody Barabasz począł spoglądać zdumionemi oczyma po obecnych. Leniwa myśl jego siliła się przez niejaki czas odgadnąć, o co go oskarżają, nakoniec rzekł:

— Ne bude sobaka miasa isty (nie będzie pies jadł mięsa)!

To rzekłszy, wybuchnął śmiechem idyoty, a za nim i inni. I nagle większa część kurzeniowych poczęła się śmiać dziko, sama nie wiedząc dlaczego.

Z za okna dochodziły krzyki coraz głośniejsze: widać tam wódka poczęła rozgrzewać już głowy. Szum fali ludzkiej potężniał z każdą chwilą.

Ale Anton Tatarczuk wstał i zwróciwszy się do Chmielnickiego począł mówić:

— Co ja wam zrobił, mości hetmanie zaporoski, że na śmierć moją nastajecie? W czem ja wam winien? Pisał do mnie komisarz Zaćwilichowski list, taj co? To i kniaź pisał do koszowego. A czy ja odebrał list? Nie! A jakby odebrał, tak coby zrobił? Ot poszedłby do pysara (pisarza) i kazałby sobie przeczytać, bo ni pysaty, ni czytaty ne umiju (ani czytać ani pisać nie potrafię): I wyby zawsze wiedzieli, co w liście. A Lacha ja i na oczy nie widział. Tak czy ja zdrajca? Hej, bracia zaporożcy, Tatarczuk chodził z wami do Krymu, a jak chodzili na Wołoszę, to chodził na Wołoszę; jak chodzili pod Smoleńsk, to chodził pod Smoleńsk; bił się z wami, dobrymi mołojcami, żył z wami, dobrymi mołojcami, i krew przelewał z wami, dobrymi mołojcami, i głodem marł z wami, dobrymi mołojcami, — tak on nie Lach, nie zdrajca, ale Kozak, wasz brat, a jeśli pan hetman na śmierć jego nastaje, to niech powie, czemu nastaje! Co ja mu zrobił? w czem nieszczerość okazał? — A wy, bracia, pomiłujcie i sądźcie sprawiedliwie!

— Tatarczuk dobry mołojec! Tatarczuk sprawiedliwy człowiek! — ozwało się kilka głosów.

— Ty Tatarczuk dobry mołojec — rzekł Chmielnicki — i ja na ciebie nie nastaję, boś ty mój druh i nie Lach, ale Kozak, nasz brat. Bo gdyby Lach był zdrajca, to jabym się nie smucił i nie płakał, ale jeśli dobry mołojec zdrajca, mój druh zdrajca, to mnie ciężko na sercu i żal dobrego mołojca. A skoroś w Krymie, i na Wołoszy, i pod Smoleńskiem bywał, to jeszcze większy twój grzech, żeś teraz nieszczerze chciał gotowość i ochotę wojsk zaporoskich przed

Lachem zdradzić! Tobie pisali, byś ty mu ułatwił czegoby zażądał, a powiedzcie, moście panowie atamani, czegoby Lach mógł żądać? Czy nie śmierci mojej i mojego życzliwego przyjaciela Tuhaj-beja? Czy nie zguby wojsk zaporoskich? Tak ty Tatarczuk winien i już niczego innego nie dokażesz (dowiedziesz). A do Barabasza pisał stryj jego, pułkownik czerkaski, Czaplińskiemu druh i Lachom druh, który przywileje u siebie chował, by ich wojsko zaporoskie nie dostało, co gdy tak jest, — a klnę się Bogiem, że nie inaczej jest, — więc wy oba winni i proście pomiłowania atamanów, a ja z wami prosić będę, chociaż ciężka wasza wina i zdrada jawna.

Tymczasem z za okna dochodził już nie szum i gwar, ale jakby łoskot jakiejś burzy. "Towarzystwo" chciało wiedzieć co się dzieje w izbie radnej i wysłało nową deputacyę.

Tatarczuk poczuł, że jest zgubiony. Teraz przypomniał sobie, że tydzień temu przemawiał wśród atamanów przeciw oddaniu buławy Chmielnickiemu i przymierzu z Tatarami. Zimne krople potu wystąpiły mu na czoło; zrozumiał, że już niema ratunku. Co do młodego Barabasza, jasnem było, iż gubiąc go, Chmielnicki chciał zemścić się nad starym pułkownikiem czerkaskim, który synowca swego kochał głęboko. Jednakże Tatarczuk nie chciał umierać. Nie bladłby on przed szablą, przed kulą, nawet przed palem — ale śmierć taka, jaka go czekała, przerażała go do szpiku kości, więc korzystając z chwili ciszy, która zapanowała po słowach Chmielnickiego, krzyknął przeraźliwie:

— Na imię Chrysta! bracia atamany, druhy serdeczne, nie gubcie bracia! Nie wiem, czegoby Lach odemnie chciał, spytajcie go sami Ja klnę się Chrystem, Spasem (Zbawicielem), Świętą Przeczystą, świętym Mikołajem cudotwórcą, świętym Michałem Archaniołem, że duszę niewinną zgubicie!

— Przyprowadzić Lacha — zawołał starszy kantarzej.

— Lacha tu, Lacha! — wołali kurzeniowi.

Wszczęło się zamieszanie; jedni rzucili się do przyległej izby, w której więzień był zamknięty, by przywieść go przed radę, inni zbliżali się groźnie do Tatarczuka i Barabasza. Pierwszy Hładki, ataman mirgorodzkiego kurzenia, krzyknął: "Na pohybel!" Deputacya powtórzyła okrzyk, Czarnota zaś skoczył ku drzwiom i otworzywszy je, wołał do zgromadzonego tłumu:

— Moście panowie towarzystwo, Tatarczuk zdrajca i Barabasz zdrajca — na pohybel im!

Tłuszcza odpowiedziała wyciem straszliwem. W izbie wszczęło się zamieszanie. Wszyscy kurzeniowi powstali ze swych miejsc. Jedni wołali: "Lacha! Lacha!" inni starali się rozruch uciszyć, a wtem drzwi pod naciskiem tłumu roztworzyły się naoścież, i do środka wpadła tłuszcza, obradująca na dworze. Straszliwe postacie, upojone wściekłością, napełniły izbę, wrzeszcząc, wywijając rękoma, zgrzytając zębami i zionąc zapach gorzałki. "Smert Tataczuku! i Barabaszu na pohybel! Dawajcie zdrajców! na majdan z nimi!" — krzyczały pijane głosy. "Bij! ubij!" i setki rąk wyciągnęły się w tej chwili po nieszczęsne ofiary. Tatarczuk nie stawiał oporu, jęczał tylko przeraźliwie, ale młody Barabasz począł bronić się ze straszną siłą. Zrozumiał nakoniec, że go chcą zamordować, strach, rozpacz i wściekłość odbiły się na jego twarzy; piana okryła mu wargi, z piersi wydobył się ryk zwierzęcy. Podwakroć wyrywał się z rąk oprawców i podwakroć ręce ich chwytały go a ramiona, za piersi, za brodę i osełedec (czub kozacki), on szamotał się, kąsał, ryczał, upadał na ziemię i znów podnosił się okrwawiony, straszny. Podarto na nim ubranie, wyrwano mu osełedec z głowy, wybito oko, nakoniec przygniecionemu do ściany złamano rękę. Wówczas padł. Oprawcy porwali go za nogi i razem z Tatarczukiem wywlekli na majdan. Tam dopiero, przy blasku smolistych beczek i stosów ognia, rozpoczęła się doraźna egzekucya. Kilka tysięcy ludzi rzuciło się na skazanych i darło ich w sztuki, wyjąc i walcząc z sobą o przystęp do ofiar. Deptano ich nogami, wyrywano kawały ciała, ciżba tłoczyła się koło nich tym strasznym konwulsyjnym ruchem rozszalałych mas. Chwilowo krwawe ręce podnosiły w górę dwie bezkształtne, niepodobne już do ludzkich postaci bryły, to znowu ciskano je na ziemię. Dalej stojący wrzeszczeli w niebogłosy, jedni, żeby wrzucić ofiary w wodę, drudzy, by je wtłoczyć w beczki palącej się smoły. Pijani rozpoczęli bójkę z sobą. Z szaleństwa zapalono dwie kufy z wódką, które oświeciły tę piekielną scenę drgającem błękitnem światłem. Z nieba patrzał na nią także księżyc cichy, jasny, pogodny.

Tak "towarzystwo" karało swych zdrajców.

A w izbie radnej, z chwilą jak kozactwo wywlekło za drzwi Tatarczuka i młodego Barabasza, uciszyło się znowu i atamani zajęli dawne miejsca pod ścianami, bo z przyległego alkierza przyprowadzono więźnia.

Cień padał na jego twarz, gdyż ogień na kominie przygasł — i w

pół-świetle widać było tylko wyniosłą postać, trzymającą się prosto i dumnie, choć ręce jej związane były łykiem. Ale Hładki dorzucił wiązkę łuczywa, po chwili bujny płomień strzelił w górę i oblał jasnem światłem oblicze więźnia, który zwrócił się ku Chmielnickiemu.

Ujrzawszy go, Chmielnicki drgnął.

Więzień — był to pan Skrzetuski.

Tuhaj-bej wypluł łuskwiny słoneczników i mruknął po rusińsku:

— Ja toho Lacha znaju — od buw w Krymu (Ja tego Polaka znam on był w Krymie).

— Na pohybel mu! — zawołał Hładki.

— Na pohybel! — powtórzył Czarnota.

Chmielnicki opanował już wrażenie. Powiódł tylko oczyma po Hładkim i Czarnocie, którzy pod wpływem tego wzroku umilkli, następnie, zwróciwszy się do koszowego, rzekł:

— I ja jeho znaju (i ja go znam).

— Ty skąd? — spytał koszowy Skrzetuskiego.

— W poselstwie jechałem do ciebie, atamanie koszowy, gdy mnie zbójcy na Chortycy napadli i wbrew obyczajom, obserwowanym u najdzikszych narodów, ludzi mi wybili, a mnie, nie bacząc na godność mą poselską i urodzenie, zranili, znieważyli i jako jeńca tu przywiedli, o co pan mój J. O. książę Jeremi Wiśniowiecki będzie się umiał u ciebie, atamanie koszowy, upomnieć.

— A czego ty nieszczerość swoją okazał? czemu ty dobrego mołojca obuchem rozszczepił? czemu ty ludzi nabił we czworo tyle, ile was wszystkich było? A tu z listem do mnie jechał, by na gotowość naszą spoglądać i Lachom o niej donosić? Wiemy także, że ty i do zdrajców wojska zaporoskiego miał listy, aby z nimi zgubę wszystkiego wojska knować, zaczem nie jako poseł, ale jako zdrajca będziesz przyjęty i sprawiedliwie ukarany.

— Mylisz się, atamanie koszowy, i ty, mości hetmanie samozwańczy — rzekł namiestnik, zwracając się do Chmielnickiego. — Jeślim listy miał, to czyni tak każdy poseł, który w obce strony jedzie, że od znajomych do znajomych listy bierze, by i sam miał przez to komitywę. A jam tu jechał z pismem książęcem nie zgubę waszę knować, ale od takowych was postępków powstrzymać, które nieznośny paroksyzm (napad) na Rzeczpospolitą, a na was i na całe wojsko zaporoskie ostatnią zagładę ściągną. Na kogoż to bowiem bezbożną rękę podnosicie? Przeciw komu, wy, co się obrońcami

chrześcijaństwa nazywacie, z pogany przymierze czynicie: Przeciw królowi, przeciw stanowi szlacheckiemu i całej Rzplitej. Wy przeto nie ja, zdrajcami jesteście, i to wam powiadam, iż jeśli pokorą i posłuszeństwem nie zgładzicie win waszych, tedy biada wam! Zaliż dawne to czasy Pawluka i Nalewajki? Zali wyszła już wam z pamięci ich kara? Pomnijcie tedy, że patientia (cierpliwość) Rzeczypospolitej już wyczerpana i miecz wisi nad głowami waszemi.

— Łajesz (szczekasz), wraży synu, by się wykręcić i śmierci ujść! — zawołał koszowy — ale ci nie pomoże ni groźba, ni wasza lacka łacina.

Inni też atamanowie poczęli zębami zgrzytać i trzaskać w szable, a pan Skrzetuski podniósł głowę jeszcze wyżej i tak mówił:

— Nie myśl, atamanie koszowy, bym się śmierci obawiał, albo żywota bronił, albo się z mej niewinności wywodził. Szlachcicem będąc, od równych tylko sądzon być mogę i nie przed sędziami tu stoję, jeno przed zbójcami, nie przed szlachtą, jeno przed barbarzyństwem, i wiem dobrze, że się od śmierci nie wybiegam, którą wy też dopełnicie miary swej nieprawości. Przedemną jest męka i śmierć, ale za mną moc i zemsta całej Rzeczypospolitej, przed którą drżyjcie wszyscy.

Jakoż wyniosła postawa, wzniosłość mowy i imię Rzeczypospolitej silne zrobiły wrażenie. Atamanowie spoglądali na siebie, milcząc. Przez chwilę wydało im się, że przed nimi stoi nie jeniec, ale groźny poseł potężnego narodu; Tuhaj-bej zaś mruknął:

— Serdytyj Lach! (Zawzięty Polak!)

— Serdytyj Lach! — powtórzył Chmielnicki.

Gwałtowne dobijanie się do drzwi przerwało dalszą rozmowę. Na majdanie egzekucya szczątków Tatarczuka i Barabasza była właśnie skończoną; towarzystwo wysyłało nową deputacyę.

Kilkunastu Kozaków, okrwawionych, zziajanych, okrytych potem, pijanych, weszło do izby. Stanęli przy drzwiach i wyciągając ręce, jeszcze dymiące od krwi, poczęli mówić:

— Towarzystwo kłania się panom starszyźnie — tu pokłonili się wszyscy w pas — i prosi, żeby im wydać tego Lacha, szczob z nym poihrały (żeby się z nim pobawili), jak z Barabaszom i Tatarczukom.

— Wydać im Lacha! — krzyknął Czarnota.

— Nie wydawać — wołał inny. — Niech czekają! On poseł!

— Na pohybel mu! — ozwały się różne gł...

Następnie ucichli wszyscy, czekając, co powiedzą koszowy i Chmielnicki.

— Towarzystwo prosi; a nie, to samo weźmie — powtórzyli deputaci.

Zdawało się, że pan Skrzetuski zgubiony jest bez ratunku, gdy wtem Chmielnicki pochylił się do ucha Tuhaj-beja.

— To twój jeniec — szepnął, — jego Tatarzy wzięli, on twój. Daszli go sobie zabrać? To bogaty szlachcic, i bez tego kniaź Jarema złotem za niego zapłaci.

— Dawajcie Lacha! — wołali coraz groźniej Kozacy.

Tuhaj-bej przeciągnął się na swojem siedzeniu i wstał. Twarz zmieniła mu się w jednej chwili, oczy rozszerzyły się jak u żbika, zęby poczęły błyskać. Nagle skoczył jak tygrys przed mołojców, dopominających się o jeńca.

— Precz, capy (kozły), psy niewierne! niewolnicy! swynojady! ryknął, chwytając za brody dwóch zaporożców i targając nimi ze wściekłością — precz, pijanice. Bydlęta nieczyste! gady plugawe! Wy mnie jasyr (niewolnika) zabierać przyszli, a ot, ja wam tak! capy! — To mówiąc, targał za brody coraz innych mołojców, nakoniec zwaliwszy jednego, począł go deptać nogami. — Na twarz, niewolnicy! bo was w jasyr zapędzę, bo Sicz całą nogami tak zdepczę jak was! z dymami puszczę, ścierwem waszem pokryję!

Deputaci cofali się przerażeni — straszliwy przyjaciel pokazał co umie.

I dziwna rzecz: na Bazawłuku stało tylko sześć tysięcy Ordy. Prawda, że za nimi stał jeszcze chan z całą potęgą krymską, ale w samej Siczy było kilkanaście tysięcy mołojców, prócz tych, których Chmielnicki wysłał był już na Tomakówkę — a jednakże ani jeden głos protestacyi nie podniósł się przeciw Tuhaj-bejowi. Zdawaćby się mogło, że sposób, w jaki groźny murza obronił jeńca, był jedynie skuteczny, że trafił odrazu do przekonania zaporożców, którym tatarska pomoc była w tej chwili niezbędną. Deputacya wypadła na majdan, krzycząc do tłumów, że nie będą z Lachem igrały, bo to jeniec Tuhaj-beja, a Tuhaj-bej, każe (zdaje się), rozserdywsia (rozgniewał się)! "Brody nam powyrywał!" — wołali. Na majdanie też poczęto zaraz powtarzać: "Tuhaj-bej rozserdywsia! rozserdywsia!" — wołały żałośnie tłumy — "rozserdywsia! rozserdywsia! — a w kilka chwil jakiś przeraźliwy głos jął śpiewać koło ogniska:

"Hej! hej! Tuhaj- bej Rozserdywsia duże, Hej! hej! Tuhaj-bej, Ne serdysia, druże!"

Wnet tysiące głosów powtórzyły: "Hej! hej! Tuhaj-bej!" —i oto powstała jedna z tych pieśni, które potem, rzekłbyś, wicher roznosił po całej Ukrainie i trącał niemi o struny lir i teorbanów.

Ale nagle i pieśń została przerwaną, bo przez bramę od strony Hassan Basza wpadło kilkunastu ludzi i przedzierając się przez tłum, krzycząc: "z drogi! z drogi," dążyło co sił w stronę radnego domu. Atamani zabierali się już do wyjścia, gdy nowi ci goście wpadli do izby.

— Pyśmo (list) do hetmana — wołał stary Kozak.

— Skąd wy?

— My czehryńcy. Dzień i noc z pyśmom idem. Oto jest.

Chmielnicki wziął list z rąk Kozaka i począł czytać. Nagle twarz zmieniła mu się, przerwał czytanie i rzekł donośnym głosem:

— Mości panowie atamani! Hetman wielki wysyła syna Stefana z wojskiem na nas. Wojna!

W izbie powstał dziwny szmer, niewiadomo czy szmer radości, czy przerażenia. Chmielnicki wystąpił na środek izby, wsparł się pod boki, oczy jego miotały błyskawice, a głos brzmiał groźnie i rozkazująco:

— Kurzeniowi do kurzeniów! Uderzyć z dział na wieży! Rozbić beczki z wódką! Jutro świtaniem ruszamy!

Od tej chwili kończyły się na Siczy obrady zbiorowe, rządy atamanów, sejmy i powaga "towarzystwa." Chmielnicki brał w ręce nieograniczoną władzę. Oto przed chwilą, z obawy, aby głos jego nie był niewysłuchany przez burzliwe "towarzystwo," musiał jeńca podstępem bronić i podstępem gubić niechętnych; teraz był panem życia i śmierci wszystkich. Tak zawsze bywało. Przed i po wyprawie, choćby hetman już był obrany, tłum narzucał jeszcze atamanom i koszowemu swoją wolę, której niebezpiecznie było się opierać. Ale gdy tylko wyprawę otrąbiono, całe "towarzystwo" stawało się wojskiem podległem wojskowej dyscyplinie, kurzeniowi oficerami, a hetman wodzem dyktatorem.

Dlatego też, usłyszawszy rozkazy Chmielnickiego, atamanowie wypadli natychmiast do swoich kurzeniów. Narada była skończona.

Po chwili huk dział z bramy, prowadzącej z Hassan Basza do

siczowego majdanu, zatrząsł ścianami izby i rozległ się posępnem echem po całym Czertomeliku, zwiastując wojnę.

Rozpoczynał on także epokę w dziejach dwóch narodów, ale o tem nie wiedzieli ni pijani siczowcy, ni sam hetman zaporoski.

XII.

Chmielnicki ze Skrzetuskim poszli na nocleg do koszowego, a z nimi i Tuhaj-bej, któremu zapóżno było wracać na Bazawłuk. Dziki bej traktował namiestnika jako jeńca, który miał być za wysoką cenę wykupiony, zatem nie jak niewolnika, i z respektem większym nawet może niż Kozaków, bo go w swoim czasie jako książęcego posła na dworze chanowym widywał. Widząc to, koszowy zaprosił go do swej chaty i również zmienił z nim postępowanie. Stary ataman był to człowiek duszą i ciałem oddany Chmielnickiemu, który go zawojował i owładnął — owóż zauważył, że Chmielnickiemu chodziło widocznie podczas narad o ocalenie jeńca. Ale zdziwił się jeszcze bardziej, gdy, zaledwie zasiedli w chacie, Chmielnicki zwrócił się do Tuhaj-beja.

— Tuhaj-beju! — rzekł — ile myślisz wziąć wykupna za tego jeńca?

Tuhaj-bej popatrzył na Skrzetuskiego i rzekł:

— Tyś mówił, że to znaczny człowiek, a ja wiem, że to poseł strasznego kniazia, a straszny kniaź kocha swoich. Besmillah! jeden zapłaci i drugi zapłaci — razem...

Tu Tuhaj-bej zamyślił się:

— Dwa tysiące talarów.

Chmielnicki na to:

— Dam ci dwa tysiące talarów.

Tatar milczał przez chwilę. Jego skośne oczy zdawały się nawskroś przenikać Chmielnickiego.

— Ty dasz trzy — rzekł.

— Dlaczego mam dać trzy, gdyś sam dwa żądał?

— Bo jeśli go chcesz mieć, to tobie na tem zależy, a jeśli ci zależy, to dasz trzy.

— On mnie życie ocalił.

— Ałła! to warte tysiąc więcej.

Tu Skrzetuski wtrącił się do targu.

— Tuhaj-beju — rzekł z gniewem, — z książęcego skarbca nie mogę ci nic obiecywać, ale choćbym, miał fortunę własną podszarpać to sam dam trzy. Mam też blizko tyle u księcia na prowizyi (na procencie) i wioskę dobrą, co starczy. A temu hetmanowi nie chcę wolności i zdrowia zawdzięczać.

— A skąd ty wiesz, co ja z tobą uczynię? — rzekł Chmielnicki.

A potem, zwróciwszy się do Tuhaj-beja, mówił:

— Wojna się rozpocznie. Poślesz do kniazia, ale nim poseł wróci, dużo wody w Dnieprze upłynie, a ja ci jutro na Bazawłuk odwiozę sam pieniądze.

— Daj cztery, to i nie będę z Lachem gadał — odparł niecierpliwie Tuhaj.

— Dam cztery, na twoje słowo.

— Mości hetmanie — rzekł koszowy, — chcesz, to ci zaraz wyliczę. Mam tu pod ścianą, może i więcej.

— Jutro powieziesz na Bazawłuk — rzekł Chmielnicki.

Tuhaj-bej przeciągnął się i ziewnął.

— Spać mi się chce — rzekł. — Jutro też przededniem na Bazawłuk muszę ruszyć. Gdzie mam spać?

Koszowy wskazał mu pęk skór owczych pod ścianą.

Tatar rzucił się na posłanie. Po niejakim czasie począł chrapać jak koń.

Chmielnicki przeszedł się kilkakrotnie po wązkiej izbie i rzekł:

— Sen ucieka mi z powiek. Nie usnę. Daj się czego napić, mości koszowy.

— Gorzałki czy wina?

— Gorzałki. Nie usnę...

— Na niebie już kurki — rzekł koszowy.

— Późno. Idź i ty spać, stary druhu. Napij się i idź.

— Na sławę i szczęście!

— Na szczęście!

Koszowy obtarł gębę rękawem, następnie podał rękę Chmielnickiemu i, odszedłszy w drugi koniec izby, zakopał się niemal w owcze skóry, krew bowiem miał już przez wiek ostudzoną. Wkrótce chrapanie jego zawtórowało chrapaniu Tuhaj-beja. Chmielnicki siedział za stołem, pogrążony w milczeniu. Nagle rozbudził się, spojrzał na Skrzetuskiego i rzekł:

— Mości namiestniku, jesteś wolny.

— Wdzięcznym ci, mości hetmanie zaporoski, lubo nie ukrywam, że wolałbym komu innemu za wolność dziękować.

— Tedy nie dziękuj. Ocaliłeś mi życie, jam ci też dobrem odpłacił, teraz kwita. A i to ci muszę jeszcze powiedzieć, iż cię zaraz nie puszczę, chyba mi słowo rycerskie dasz, iż wróciwszy, nie powiesz ni słowa ani o naszej gotowości, ani o siłach, ani o niczem, coś tu w Siczy widział.

— Widzę jedno to, żeś mi niepotrzebnie fructum (owocu) wolności dał posmakować, bo ci takiego słowa nie dam, gdyż dając je, takbym właśnie postąpił, jak ci, którzy do nieprzyjaciela przechodzą.

— Gardło moje i zdrowie całego wojska zaporoskiego w tem, aby się na nas hetman wielki ze wszystkiemi siłami nie ruszył, czegoby nie omieszkał, gdybyś go o potędze naszej powiadomił, nie dziw się więc, że jeśli słowa nie chcesz dać, to cię nie puszczę, póki o siebie bezpiecznym nie będę. Wiem, na com się porwał; wiem, jako straszna jest siła przeciw mnie: obaj hetmani, twój straszny kniaź, który sam za całe wojsko stanie, a Zasławscy, a Koniecpolscy, a wszystkie owe królewięta, które na szyi kozackiej nogę trzymają! Zaprawdę, niemałom ja musiał napracować się i listów rozpisać, nim zdołałem ich czujność uśpić — toć nie mogę teraz dozwolić, byś ją rozbudził. Gdy i czerń, i Kozacy grodowi, i wszyscy uciśnieni w wierze i w wolności tak się po mojej opowiedzą stronie jako wojsko zaporoskie i miłościwy chan krymski, tuszę, że nieprzyjaciołom sprostam, bo i moja siła znaczną będzie; ale najwięcej ufam Bogu, który widział krzywdy, a patrzał na niewinność moją.

Tu Chmielnicki wychylił szklankę wódki i zaczął chodzić niespokojnie koło stołu, pan Skrzetuski zaś zmierzył go oczyma i rzekł z mocą:

— Nie bluźnijże, hetmanie zaporoski, na Boga i Jego najwyższą opiekę się powołując, bo zaiste gniew tylko Boży i prędsze karanie na siebie ściągniesz. Tobież to godzi się Najwyższego na swą obronę wzywać, tobie, który dla swych krzywd i prywatnych zatargów taką straszliwą burzę podnosisz, i płomień wojny domowej rozpalasz, i z pogany przeciw chrześcijanom się łączysz? Cóż się bowiem stanie? Zwyciężyszli czy będziesz zwyciężony, morze ludzkiej krwi i łez wylejesz, gorzej szarańczy kraj spustoszysz, krew własną poganom w jasyr oddasz, Rzplitą wstrząśniesz, na majestat rękę podniesiesz, ołtarze Pańskie pohańbisz, — a wszystko dlatego, że Cza-

pliński futor (folwark) ci zabrał, że ci po pijanemu wygrażał. Na cóż się więc nie targniesz? czego dla prywaty nie poświęcisz? Boga wzywasz? — a ja zaprawdę, choć jestem w twojej mocy, chociaż mnie żywota i wolności pozbawiać możesz — powiadam ci: szatana ty, nie Boga na pomoc wzywaj, bo tylko jedno piekło sekundować (pomagać) ci może!

Chmielnicki sponsowiał; za rękojeść się porwał i patrzał tak na namiestnika, jak lew, który wnet ma ryknąć i rzucić się na swą ofiare — ale się pohamował. Szczęściem nie był jeszcze pijany. Może też ogarnął go jakiś niepokój, może jakieś głosy zawołały mu w duszy: zawróć z drogi! Bo nagle, jakby się chciał przed własnemi myślami bronić lub samego siebie przekonywać, tak mówić począł:

— Od innego nie ścierpiałbym takiej mowy, ale i ty bacz, by twa śmiałość mej cierpliwości nie pożarła. Piekłem mnie straszysz, o prywatę i zdradę mnie omawiasz, a skądże wiesz, jeśli własne tylko krzywdy mścić idę? A gdzieżbym znalazł pomocników, gdzie owe tysiące, które się za mną opowiedziały i opowiedzą, gdybym jeno własnych ucisków chciał dochodzić? Spójrz, co się dzieje na Ukrainie! Hej! ziemia bujna, ziemia matka, ziemia rodzona, a kto w niej jutra pewien? kto w niej szczęśliw? kto wiary nie pozbawion, z wolności nie obran? kto w niej nie płacze i nie wzdycha? Sami jeno Wiśniowieccy, a Potoccy, a Zasławscy, Koniecpolscy i szlachty garść! Dla nich starostwa, dostojeństwa, ziemia i ludzie, dla nich szczęście i złota wolność, a reszta narodu ręce we łzach do nieba wyciąga, czekając Bożego zmiłowania, bo i królewskie nie pomoże! Ileż to szlachty nawet, nieznośnego ich ucisku wytrzymać nie mogąc, na Sicz ucieka, jako ja sam uciekłem? Nie chcę też wojny z królem, nie chcę z Rzecząpospolitą! Ona mać (matka), on ojciec! Król miłościwy pan, ale królewięta! Z nimi nam nie żyć; ich to zdzierstwa, ich to arendy, stawszczyzny, pojemszczyzny, suchomielszczyzny, oczkowe i rogowe, ich to tyrania i uciski przez Żydów czynione, o zemstę do nieba wołają. Jakiejże to wdzięczności doznało wojsko zaporoskie za tak wielkie zasługi, w licznych wojnach oddane? Gdzie przywileje kozackie? Król dał, królewięta odjęły. Nalewajko poćwiartowan! Pawluk w miedzianym wole spalon! Krew nie obeschła po ranach, które nam szabla Żółkiewskiego i Koniecpolskiego zadała! Łzy nie obeschły po pobitych, ściętych, na pale wsadzonych — a teraz, patrz! co świeci na niebie? — Tu Chmielnicki wskazał przez okienko na płonącą kometę. — Gniew Boży! bicz Boży! Więc jeśli

ja mam nim być na ziemi — to dziej się wola Boża! wezmę ten ciężar na barki.

Nastało milczenie, przerywane tylko chrąpaniem Tuhaj-beja i koszowego — a w jednym kącie chaty świerszcz ćwirkał żałośnie.

Namiestnik siedział ze spuszczoną głową. Rzekłbyś, szukał odpowiedzi na słowa Chmielnickiego, tak ciężkie jak bryły granitu; nakoniec tak mówić począł, głosem cichym i smutnym:

— Ach! choćby to była i prawda, ktoś ty, Hetmanie, jest, abyś się sędzią i katem kreował (czynił)? Jakież cię okrucieństwo, jaka pycha unosi? Czemu ty Bogu sądu i kary nie zostawisz? Jać złych nie bronię, krzywd nie pochwalam, ucisków prawem nie mianuję, — ale wejrzyjże i ty w siebie, hetmanie! Na ucisk od królewiąt narzekasz, że króla ni prawa słuchać nie chcą, dumę ich ganisz, a czy sam jej próżen jesteś? Czy sam nie ściągasz ręki na Rzeczpospolitą, prawo i majestat? Tyranię paniąt i szlachty widzisz, ale tego nie widzisz, że gdyby nie ich piersi, nie ich pancerze, nie ich moc, nie ich zamki, nie ich działa i hufce, tedyby ta ziemia, mlekiem i miodem płynąca, pod stokroć cięższem jarzmem tureckiem albo tatarskiem jęczała! Kto bowiem by jej bronił? Czyją to opieką i mocą dzieci wasze w janczarach nie służą, a niewiasty do sprośnych haremów nie są porywane? Kto osadza pustynie, zakłada wsie i miasta, wznosi świątynie Boże?...

Tu głos pana Skrzetuskiego potężniał coraz bardziej, a Chmielnicki utkwił ponuro oczy we flaszkę z wódką, zaciśnięte pięście na stole położył i milczał, jakby się sam z sobą pasował.

— I któż są oni? — mówił dalej pan Skrzetuski — czy to tu z Niemiec przyszli, albo od Turczyna? Nie krewże to z krwi, nie kość z kości waszej? Nie waszaże to szlachta, nie wasi książęta? Co, gdy tak jest, tedy ci biada, hetmanie, bo ty młodszych braci na starszych uzbrajasz i parricidów (ojcobójców) z nich czynisz. O, dla Boga! choćby też i źli byli, choćby wszyscy, co przecie nie jest, deptali prawa, gwałcili przywileje — niechże ich Bóg sądzi w niebie, a sejmy na ziemi, ale nie ty, hetmanie! Możeszli bowiem rzec, że między wami są tylko sprawiedliwi? zaliście nigdy nie przewinili? zali macie prawo rzucić kamieniem na cudzą zmazę? A żeś mię pytał, gdzie są przywileje kozackie, tedy ci odpowiem: nie królewięta je zdradziły, ale zaporożcy, ale Łoboda, Sasko, Nalewajko i Pawluk, o którym zmyślasz, że był w wole miedzianym usmażon, bo wiesz dobrze, że tak nie było! Zdarły je bunty wasze, zdarły niespokojności i napady,

nakształt tatarskich czynione. Kto Tatarów w granice Rzplitej puszczał, by dopiero na powracających i łupem obciążonych, dla zysku napadać? — wy! Kto, przebóg! lud chrześcijański, własny, w jasyr oddawał? kto największe warchoły czynił? — wy! Przed kim ni szlachcic, ni kupiec, ni kmieć nie jest bezpieczny? — przed wami! Kto wojny domowe rozpalał, z dymem puszczał wsie i miasta ukrainne, łupił świątynie Boże, gwałcił niewiasty — wy i wy! Czego tedy chcesz? Czy aby wam przywileje na wojnę domową, rozbój i łupiestwo były wydane? Zaiste więcej wam przebaczono niźli odjęto. Chciano membra putrida (członki zgniłe) leczyć, nie wycinać (1), i nie Rzplitej, któraby, taki wrzód we własnem łonie tolerując, tyle cierpliwości i klemencyi (pobłażliwości) znalazła! A w odwet za to, jaka wdzięczność? Ot, tu śpi twój sprzymierzeniec, ale Rzplitej wróg zaciekły, twój przyjaciel, ale nieprzyjaciel krzyża i chrześcijaństwa — nie królewiątko ukrainne, ale murza krymski. Z nim to pójdziesz palić własne gniazdo, z nim sądzić braci! Ale on też ci odtąd panować będzie, jemu strzemię podawać musisz!

Chmielnicki wychylił nową szklankę wódki.

— Gdyśmy z Barabaszem czasu swego u króla miłościwego byli — odparł ponuro — i gdyśmy na krzywdy i uciski nasze płakali, pan nasz rzekł: "A to nie macie samopałów i szabli przy boku?"

— Gdybyś przed Królem królów stanął, tenby rzekł: "Aza przebaczyłeś nieprzyjaciołom swoim, jakom ja swoim przebaczył?"

— Z Rzecząpospolitą wojny nie chcę!

— Jeno jej miecz do gardła przykładasz!

— Idę Kozaków z waszych okowów uwolnić!

— By ich w tatarskie łyka skrępować!

— Wiary chcę bronić!

— Z pohańcem (poganinem) w parze!

— Preczże ty, boś nie jest głosem sumienia mego! Precz mówię ci!

— Krew przelana ci zaciąży, łzy ludzkie oskarżą, śmierć cię czeka, sąd czeka!

— Puszczyk!—zawołał ze wściekłością Chmielnicki i nożem przed piersią namiestnikową błysnął.

— Zabij! — rzekł pan Skrzetuski.

I znowu nastała chwila ciszy, znowu słychać było tylko chrapanie śpiących i żałosne skrzypienie świerszcza.

---

(1) Słowa historyczne Żółkiewskiego.

Chmielnicki stał przez chwilę z nożem przy piersi Skrzetuskiego; nagle się wstrząsnął, opamiętał, nóż upuścił, a natomiast porwawszy gąsiorek z wódką, pić począł. Wypił aż do dna i siadł ciężko na ławie.

— Nie mogę go pchnąć! — mruczał — nie mogę. Późno już... czy to już świt?... Ale i z drogi zawracać późno... Co ty mnie o sądzie i krwi mówisz?

Poprzednio wypił już wiele, teraz wódka uderzyła mu do głowy; stopniowo coraz bardziej tracił przytomność.

— Jaki tam sąd? co? Chan obiecał mi posiłki, Tuhaj-bej tu śpi! Jutro mołojcy ruszą... Z nami święty Mikołaj zwycięzca!... A jeśliby... jeśliby... to... Ja cię wykupił u Tuhaj-beja — ty to pamiętaj i powiedz... Ot! boli coś... boli! Z drogi zawracać... późno! sąd... Nalewajko... Pawluk...

Nagle wyprostował się, oczy z przerażeniem wytrzeszczył i zakrzyknął:

— Kto tu?

— Kto tu? — powtórzył rozbudzony koszowy.

Ale Chmielnicki głowę na piersi spuścił, kiwnął się raz drugi, mruknął: Jaki sąd? — i usnął.

Pan Skrzetuski od ran niedawno otrzymanych i wzruszenia rozmowy pobladł bardzo i zasłabł, więc pomyślał, że to może śmierć nadlatuje, i zaczął się modlić głośno.

XIII.

Nazajutrz rankiem piesze i konne wojska kozackie ruszyły z Siczy. Lubo krew nie splamiła jeszcze stepów, wojna była już rozpoczęta. Pułki szły za pułkami; rzekłbyś, szarańcza, przygrzana słońcem wiosennem, wyroiła się z oczeretów Czertomeliku i leci na ukraińskie niwy. W lesie, za Bazawłukiem, czekali już gotowi do pochodu ordyńcy. Sześć tysięcy co przebrańszych wojowników, zbrojnych nierównie lepiej od zwykłych czambułowych rabusiów, stanowiło pomoc, którą chan przysłał zaporożcom i Chmielnickiemu. Mołojcy na ich widok wyrzucali czapki w górę. Zagrzmiały ousznice i samopały. Wrzaski kozackie, pomieszane z hałłahowanem tatarskiem, uderzyły o sklepienie niebios. Chmielnicki i Tu-

haj-bej, obaj pod buńczukami, skoczyli ku sobie końmi i powitali się ceremonialnie.

Sprawiono szyk pochodowy ze zwykłą Tatarom i Kozakom chyżością, poczem wojska ruszyły naprzód. Ordyńcy zajęli oba skrzydła kozackie, środek zajął Chmielnicki z jazdą, za którą postępowała straszna piechota zaporoska (1), dalej "puszkary" z armatami, dalej tabor, wozy, na nich służba obozowa, zapasy żywności, wreszcie czabanowie z zapaśnemi stadami i bydłem.

Przebywszy bazawłucki las, pułki wypłynęły na stepy. Dzień był pogodny. Stropu nieba nie plamiła żadna chmurka. Lekki wiatr podmuchiwał z północy ku morzu, słońce grało na spisach, kwiatach pustyni. Roztoczyły się przed wojskiem Dzikie Pola, jako morze bez końca, a na ten widok radość ogarnęła kozacze serca. Wielka malinowa chorągiew z Archaniołem zniżyła się pokilkakroć, witając step rodzinny, a za jej przykładem pochyliły się wszystkie buńczuki i pułkowe znamiona. Jeden okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi.

Pułki rozwinęły się swobodnie. "Dowbysze" (dobosze) i teorbaniści wyjechali na czoło wojska; huknęły kotły, zadźwięczały litaury i teorbany, a do wtóru im pieśń przez tysiące głosów śpiewana wstrząsnęła powietrzem i stepem:

"Hej wy stepy, wy ridnyje, Krasnym cwytom pysanyje, Jako more szyrokije!"

Teorbanowie puścili cugle i przechyleni w tył na kulbakach, z oczyma utkwionemi w niebo, uderzali o struny teorbanów; litaurzyści, wyciągnąwszy ręce nad głowami, bili w swoje miedziane kręgi, dowbysze grzmieli w kotły, a te wszystkie odgłosy wraz z monotonnemi słowami pieśni i przeraźliwym, niesfornym świstem piszczałek tatarskich, zlały się w jakąś nutę ogromną, dziką, a smętną jak sama pustynia. Upojenie ogarnęło wszystkie pułki; głowy chwiały się w takt pieśni, i wreszcie zdawało się, że cały step rozśpiewany kołysze się razem z ludźmi, i końmi, i chorągwiami.

Spłoszone stada ptactwa zerwały się ze stepu i leciały przed wojskiem jak drugie wojsko powietrzne.

Chwilami pieśń i muzyka milkły, a wówczas słychać było łopot

---

(1) Wbrew ogólnemu mniemaniu dzisiejszemu, Bauplan twierdzi, iż piechota zaporoska niezmiernie przewyższała jazdę. Wedle Bauplana, 200 Polaków rozbijało z łatwością 2,000 jazdy zaporoskiej, ale natomiast 100 pieszych Kozaków mogło bronić się zza okopu tysiącowi Polaków.

chorągwi, tętent i parskanie koni, i skrzypienie wozów taborowych, podobne do krzyku łabędzie lub żórawi.

Na czele pod wielką chorągwią malinową i pod buńczukiem, jechał Chmielnicki, przybrany w czerwień, na białym koniu z pozłocistą buławą w ręku.

Cały tabor poruszał się zwolna i ciągnął na północ, pokrywając jak groźna fala rzeczki, dąbrowy i mogiły, napełniając szumem i gwarem pustosz stepową.

A od Czehrynia, z północnego krańca pustyni, płynęła przeciw tej fali inna fala — wojsk koronnych pod wodzą młodego Potockiego. Tu zaporożcy i Tatarzy szli jakby na wesele, z pieśnią radosną na ustach; tam poważna husarya postępowała w posępnem milczeniu, idąc niechętnie na tę walkę bez sławy. Tu pod malinową chorągwią stary, doświadczony wódz potrząsał buławą, jakby pewien zwycięstwa i zemsty; tam na czele jechał młodzieniec z twarzą zamyśloną, jakby świadom swych smutnych a blizkich przeznaczeń.

Dzieliła ich jeszcze wielka przestrzeń stepu.

Chmielnicki nie spieszył się. Liczył bowiem, że im bardziej pogrąży się młody Potocki w pustynię, im dalej odsunie się od hetmanów, tem łatwiej będzie mógł być pokonany. A tymczasem coraz nowi zbiegowie z Czehrynia, Powołoczy i wszystkich brzegowych miast ukraińskich zwiększali codziennie siły zaporoskie, przynosząc zarazem wieści z przeciwnego obozu. Dowiedział się od nich Chmielnicki, że stary hetman wysłał syna z dwoma tylko tysiącami jazdy lądem (1), a zaś sześć tysięcy semenów i tysiąc niemieckiej piechoty bajdakami, Dnieprem. Obie te siły miały rozkaz stałą z sobą utrzymywać łączność, ale rozkaz był już pierwszego dnia złamany, bo bajdaki, porwane bystrym prądem dnieprowym, wyprzedziły znacznie husaryę idącą brzegiem, której pochód opóźniały niezmiernie przeprawy przez wszystkie rzeczki, wpadające do Dniepru.

Chmielnicki więc, pragnąc, by ten rozdział powiększył się jeszcze bardziej, nie spieszył się. Trzeciego dnia pochodu zaległ taborem koło Komyszej Wody i odpoczywał.

Tymczasem podjazdy Tuhaj-beja sprowadziły języka. Było to dwóch dragonów, którzy zaraz za Czehryniem zbiegli z taboru Po-

(1) Źródła rusińskie, np. Samoił Weliczko podaja ilość wojsk koronnych na 22,000. Cyfra to oczywiście fałszywa.

tockiego. Pędząc dzień i noc, zdołali znacznie wyprzedzić swój obóz. Stawiono ich natychmiast przed Chmielnickim.

Opowiadania ich potwierdziły to, co było już Chmielnickiemu wiadomo o siłach młodego Stefana Potockiego; natomiast przynieśli mu nową wiadomość, że przywódcami semenów, płynących razem z piechotą niemiecką na bajdakach, byli stary Barabasz i Krzeczowski.

Usłyszawszy to ostatnie nazwisko, Chmielnicki porwał się na równe nogi.

— Krzeczowski, pułkownik regestrowych perejasławskich?

— On sam jaśnie wielmożny hetmanie! — odpowiedzieli dragoni.

Chmielnicki zwrócił się do otaczających go pułkowników:

— W pochód — zakomenderował grzmiącym głosem.

W niespełna godzinę później tabor ruszył naprzód, chociaż słońce już zachodziło i noc nie obiecywała być pogodną. Jakieś straszne, rude chmurzyska porozwalały się na zachodniej stronie nieba, podobne do smoków, do lewiatanów, i zbliżały się ku sobie, jakby chcąc stoczyć walkę.

Tabor posuwał się w lewo, ku brzegowi Dniepru. Szli teraz cicho, bez pieśni, bez bicia w kotły, w litaury, i szybko, o ile pozwalały im trawy, tak bujne w tej okolicy, że pogrążone w nich pułki chwilami traciły się z oczu, a różnobarwne chorągwie zdawały się same płynąć po stepie. Jazda torowała drogę wozom i piechocie, które, postępując z trudnością, wkrótce pozostały znacznie w tyle. Tymczasem noc pokryła stepy. Ogromny czerwony księżyc wytoczył się zwolna na niebo, ale, przesłaniany co chwila chmurami, rozpalał się i gasł, jak lampa tłumiona powiewami wiatru.

Było już dobrze z północy, gdy oczom Kozaków i Tatarów ukazały się czarne olbrzymie masy, odrzynające się wyraźnie na ciemnem tle nieba.

Były to mury Kudaku.

Podjazdy, zakryte ciemnością, zbliżały się pod zamek tak ostrożnie i cicho, jak wilcy i ptactwo nocne. A nuż możnaby ubiedz niespodzianie senną fortecę.

Ale nagle błyskawica na wałach rozdarła ciemność, huk straszliwy wstrząsnął skałami Dniepru, i kula ognista, zatoczywszy jaskrawy łuk na niebie, upadła w trawy stepowe.

Posępny cyklop Grodzicki dawał znać, że czuwa.

— Pies jednooki — mruknął do Tuhaj-beja Chmielnicki — widzi w nocy.

Kozacy pominęli zamek — o którego wzięciu w chwili, gdy przeciw nim samym ciągnęły wojska koronne, nie mogli myśleć — i ruszyli dalej. Ale pan Grodzicki walił za nimi z dział, aż się mury zamkowe trzęsły, nietyle, by im szkody przyczynić, gdyż przechodzili w znacznej odległości, ale by ostrzedz wojska nad pływające Dnieprzem, które mogły znajdować się już niedaleko.

Przedewszystkiem jednak huk dział kudackich odbił się w sercu i uszach pana Skrzetuskiego. Młody rycerz, prowadzony z rozkazu Chmiela z taborem kozackim, drugiego dnia zachorował ciężko. W walce na Chortycy nie otrzymał on wprawdzie żadnej śmiertelnej rany, ale utracił tyle krwi, że nie wiele w nim życia zostało. Rany jego, opatrzone po kozacku przez starego kantarzeja, otworzyły się, owładnęła nim gorączka, i w nocy owej leżał wpół przytomny na kozackiej teledze (wozie), nie wiedząc o świecie Bożym. Zbudziły go dopiero działa kudackie. Roztworzył oczy, podniósł się na wozie i począł rozglądać się naokoło. Kozacki tabór przemykał się w ciemnościach jak korowód mar, a zamek huczał i świecił różowymi dymami; kule ogniste podskakiwały po stepie, charkocząc warcząc jak psy rozzłoszczone, więc na ten widok taka żałość, taka tęsknota ogarnęły pana Skrzetuskiego, że gotów był i umrzeć zaraz, byle choć duszą ulecieć do swoich. Wojna! wojna! a oto on w obozie wrogów, bezbronny, chory, z woza nie mogący się podnieść. Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, on zaś nie leci jej ratować. A tam, w Łubniach, wojska pewno już ruszają. Książę z błyskawicami w oczach lata przed szeregami, a w którą stronę buławą skinie, tam wnet trzysta kopii jakby trzysta gromów uderzy. Tu rozmaite znajome twarze zaczęły namiestnikowi stawać przed oczy. Mały Wołodyjowski leci na czele dragonów ze swoją cienką szabelką w ręku, ale to fechmistrz nad fechmistrze, z kim ją skrzyżuje, ten jakby leżał w mogile; tam znów pan Podbipięta wznosi swój katowski Zerwikaptur! Zetnie trzy głowy, czy nie zetnie? Ksiądz Jaskólski ogania chorągwie i modli się z rękoma do góry, lecz to dawny żołnierz, więc nie mogąc wytrzymać, huknie czasem: "Bij, zabij!" A owo pancerni kładą już glewie (drzewce kopii) w pół końskiego ucha, pułki ruszają naprzód, rozpędzają się, pędzą... bitwa, zawierucha!

Nagle widzenie się zmienia. Przed namiestnikiem staje Helena,

blada, z rozpuszczonym włosem, i woła: "Ratuj, bo mnie Bohun goni!" Pan Skrzetuski zrywa się z wozu, aż jakiś głos, ale już rzeczywisty, mówi do niego:

— Leżże, detyno (dziecko), bo zwiążę.

To esauł toborowy, Zachar, któremu Chmielnicki kazał pilnować namiestnika jak oka w głowie, układa go napowrót na wozie, okrywa końską skórą i pyta jeszcze:

— Szczo z toboju (co ci jest)?

Więc pan Skrzetuski przytomnieje zupełnie. Mary pierzchają. Wozy ciągną samym brzegiem dnieprowym. Chłodny powiew dochodzi od rzeki i noc blednie. Ptactwo wodne rozpoczyna gwar poranny.

— Słuchaj, Zachar! to my już minęli Kudak? — pyta pan Skrzetuski.

— Minęli! — odpowiada Zaporożec.

— A dokąd ciągniecie?

— Ne znaju (nie wiem). Bitwa, każe (zdaje się), bude, ale ne znaju.

Na te słowa serce uderzyło radośnie w piersiach pana Skrzetuskiego. Sądził on, że Chmielnicki będzie oblegał Kudak i że od tego wojnę zacznie. Tymczasem pośpiech, z jakim Kozacy szli naprzód, pozwalał wnosić, że wojska koronne były już blizko, i że właśnie Chmielnicki dlatego pominął fortecę, aby nie być zmuszonym do bitwy pod jej działami. "Dziś jeszcze może wolny będę" — pomyślał namiestnik i wzniósł oczy dziękczynnie ku niebu.

XIV.

Huk dział kudackich słyszały również wojska, płynące bajdakami pod wodzą starego Barabasza i Krzeczowskiego.

Składały się one z sześciu tysięcy Kozaków regestrowych i jednego regimentu (pułku) wybornej piechoty niemieckiej, której pułkownikował Hans Flik.

Pan Mikołaj Potocki długo się wahał, nim Kozaków przeciw Chmielnickiemu wyprawił, ale że Krzeczowski miał na nich wpływ ogromny, a Krzeczowskiemu hetman ufał bez granic, więc tylko

semenom kazał przysięgę wierności złożyć — i wyprawił ich w imię Boże.

Krzeczowski, żołnierz pełen doświadczenia i wielce w poprzednich wojnach wsławiony, był klijentem domu Potockich, którym wszystko zawdzięczał, i pułkownikowstwo, i szlachectwo, gdyż mu je na sejmie wyrobili, i nakoniec obszerne posiadłości, położone przy zbiegu Dniestru i Ladawy, które dożywotnio od nich trzymał.

Tyle tedy węzłów łączyło go z Rzplitą i z Potockimi, że cień nieufności nie mógł zrodzić się w duszy hetmańskiej. Był to przytem człowiek w sile dni, bo zaledwie pięćdziesiąt lat liczący — i wielka przyszłość otwierała się przed nim na usługach krajowi. Niektórzy chcieli w nim widzieć następcę Stefana Chmieleckiego, który, rozpocząwszy zawód jako prosty rycerz stepowy, skończył go jako wojewoda kijowski i senator Rzplitej. Od Krzeczowskiego zależało pójść tą samą drogą na którą pchało go męstwo, dzika energia i niepohamowana ambicya, głodna zarówno bogactw jak i dostojeństw. Gwoli tej to ambicyi silnie przed niedawnym czasem zabiegał o starostwo Lityńskie, a gdy nakoniec otrzymał je pan Korbut, Krzeczowski głęboko zakopał w sercu zawód, ale prawie że odchorował z zawiści i zmartwienia. Teraz zdawał mu się los nanowo uśmiechać, gdyż otrzymawszy od hetmana tak ważną funkcyę wojskową, śmiało mógł liczyć, że imię jego obije się o uszy królewskie. A było to rzeczą ważną, bo następnie należało tylko pokłonić się panu, aby otrzymać przywilej z miłemi duszy szlacheckiej słowami: "Bił nam czołom i prosył, szczob jego podaryty, a my, pomniawszy jeho usługi, dajem" etc. (bił nam czołem i prosił, żeby mu podarować, a my, przez pamięć na jego zasługi, dajemy itd.). Tą drogą zdobywało się na Rusi bogactwa i dobrodziejstwa; tą drogą ogromne obszary pustych stepów, które przedtem należały do Boga i Rzplitej, przechodziły w ręce prywatne; tą drogą chudopachołek na pana wyrastał i mógł krzepić się nadzieją, że potomkowie jego między senatory zasiądą.

Krzeczowskiego gryzło jeno to, że w owej powierzonej mu funkcyi musiał dzielić władzę z Barabaszem, ale był to podział tylko nominalny. W rzeczywistości stary pułkownik czerkaski, zwłaszcza w ostatnich czasach, tak się postarzał i zgrzybiał, że już ciałem jedynie do tej ziemi należał, a dusza jego i umysł pogrążone były ustawicznie w odrętwieniu i martwocie, które zwykle śmierć prawdziwą poprzedzają. Z początku wyprawy rozbudził się i począł się

krzątać dość raźnie: rzekłbyś na odgłos surm wojennych stara żołnierska krew poczęła w nim krążyć silniej, bo był ta czasu swego wsławiony rycerz i wódz stepowy; ale zaraz po wyruszeniu ukołysał go plusk wioseł, uśpiły pieśni semenów i łagodny ruch bajdaków, więc zapomniał o Bożym świecie. Krzeczowski wszystkiem rządził i zawiadował, Barabasz zaś budził się tylko do jedzenia; najadłszy się pytał ze zwyczaju o to i owo — zbywano go ladajaką odpowiedzią, w końcu wzdychał i mawiał: "Ot, radby ja z inną wojną do mogiły się kłaść, ale wola Boża!"

Tymczasem łączność z wojskiem koronnem, idącem pod wodzą Stefana Potockiego, była odrazu przerwana. Krzeczowski narzekał, że husarya i dragonia zawolno idą, że nadto u przepraw marudzą. że młody syn hetmański nie ma wojskowego doświadczenia, — ale z tem wszystkiem kazał wiosłować i płynąć naprzód.

Bajdaki płynęły więc z brzegiem dnieprowym ku Kudakowi, oddalając się coraz bardziej od wojsk koronnych.

Nareszcie pewnej nocy zasłyszano huk dział.

Barabasz spał i nie obudził się — natomiast Flik, który płynął na przodzie, wsiadł w podjazdkę i udał się do Krzeczowskiego.

— Mości pułkowniku — rzekł — to kudackie armaty! Co mam czynić?

— Zatrzymaj waść bajdaki. Zostaniemy przez noc w oczeretach!

— Chmielnicki widocznie zamek oblega. Mojem zdaniem, należałoby pospieszyć z odsieczą.

— Ja waści o zdanie nie pytam, jeno rozkaz daje. Przy mnie komenda.

— Mości pułkowniku!!...

— Stać i czekać! — rzekł Krzeczowski.

Ale widząc, że energiczny Niemiec szarpie swoją żółtą brodę i ustępować bez racyi nie myśli, dodał łagodniej:

— Kasztelan do jutra rana może z jazdą nadciągnąć, a fortecy przez jedną noc nie wezmą.

— A jeśli nie nadciągnie?

— Będziemy czekali choćby dwa dni. Waść nie znasz Kudaku! Połamią oni sobie zęby o jego mury, a ja bez kasztelana na odsiecz nie będę ciągnął, bo i prawa do tego nie mam. Jego to rzecz.

Wszelka słuszność zdawała się być po stronie Krzeczowskiego, więc Flik nie nalegał dłużej i oddalił się do swoich Niemców. Po

chwili najdaki poczęły zbliżać się ku prawemu brzegowi i zasuwać w oczerety, które więcej niż na staje pokrywały szeroko w tem miejscu rozlaną rzekę. Nakoniec plusk wioseł ustał, statki skryły się całkowicie w szuwarach, a rzeka zdawała się być pustą zupełnie. Krzeczowski zakazał palenia ogni, śpiewania pieśni i rozmów, więc okolicę zaległa cisza, przerywana tylko dalekim odgłosem dział kudackich.

Wszelako na statkach nikt prócz jednego Barabasza nie zmrużył oka. Flik, człowiek rycerski i boju chciwy, chciałby ptakiem lecieć pod Kudak. Semenowie pytali się siebie z cicha: co też się może zdarzyć z fortecą? wytrzyma, czy nie wytrzyma? A tymczasem huk wzmagał się coraz bardziej. Wszyscy byli przekonani, że zamek odpiera szturm gwałtowny. "Chmiel nie żartuje, ale i Grodzicki nie żartuje!" — szeptali Kozacy. — "A co to będzie jutro?"

To samo pytanie zadawał sobie prawdopodobnie Krzeczowski, który, siadłszy na przodzie swego bajdaku, zamyślił się głęboko. Chmielnickiego znał on dobrze i dawno, uważał go zawsze aż dotąd za człowieka nadzwyczajnych zdolności, któremu tylko pola brakło, by wyleciał jak orzeł w górę, a teraz Krzeczowski zwątpił o tem. Działa grzmiały ciągle, a zatem chyba Chmielnicki naprawdę Kudak oblega?

— Jeśli tak jest — myślał Krzeczowski, — to jest człowiek zgubiony!

Jak to? więc podniósłszy Zaporoże, zapewniwszy sobie pomoc chanową, zebrawszy siły, jakiemi żaden z watażków dotychczas nie rozporządzał, zamiast iść conajspieszniej na Ukrainę, zamiast pobudzić czerń, przeciągnąć grodowych (Kozaków miejskich), zgnieść coprędzej hetmanów i opanować kraj, nimby na obronę jego nowe wojska nadeszły, on, Chmielnicki, on, stary żołnierz, szturmuje do niezdobytej fortecy, która przez rok może go trzymać? I pozwoli na to, by najlepsze siły jego tak rozbiły się o mury Kudaku, jak fala dnieprowa rozbija się o skały porohów? I będzie czekał nad Kudakiem, aż się hetmani wzmocnią i oblegną, go, jak Nalewajkę pod Sołonicą?...

— To człowiek zgubiony! — powtórzył raz jeszcze Krzeczowski. — Właśni Kozacy go wydadzą. Nieudany szturm wywoła zniechęcenie i popłoch. Iskra buntu zagaśnie w samym zarodku, a

Chmielnicki nie będzie straszniejszy niż miecz, który się złamał przy rękojeści.

To głupiec!

— Ergo (a zatem)? — pomyślał pan Krzeczowski — ergo jutro wysadzę na brzeg moich semenów i Niemców, a następnej nocy na osłabionego szturmami uderzę, zaporożców w pień wytnę, a Chmielnickiego związanego pod nogi hetmańskie rzucę. Jego to własna wina, bo mogło się zdarzyć inaczej.

Tu rozkiełzłana ambicya pana Krzeczowskiego wzbiła się na sokolich skrzydłach w górę. Wiedział on dobrze, że młody Potocki żadną miarą do jutrzejszej nocy przyciągnąć nie może, więc kto urwie głowę hydrze? Krzeczowski! Kto zgasi bunt, który straszliwym pożarem mógłby ogarnąć całą Ukrainę? Krzeczowski! Może stary hetman będzie krzyw trochę, że się to stanie bez udziału syna, ale się wysapie prędko, a tymczasem promienie sławy i łaski królewskiej oświecą czoło zwycięzcy.

Nie! Trzeba się jednak będzie podzielić sławą ze starym Baraszem i z Grodzickim! Pan Krzeczowski zasępił się mocno, ale wnet wypogodził się. Wszakże tę starą kłodę, Barabasza, lada dzień zakopią w ziemię, a Grodzicki, byle mógł w Kudaku siedzieć i Tatarów kiedyniekiedy z dział przepłoszyć, niczego więcej nie pragnie; pozostaje jeden Krzeczowski.

Byle hetmaństwo ukrainne mógł otrzymać!

Gwiazdy migotały na niebie, a pułkownikowi zdawało się, że to klejnoty w buławie; wiatr szumiał w oczeretach, a jemu zdało się, że to szumi buńczuk hetmański.

Działa Kudaku grzmiały ciągle.

— Chmielnicki da gardło pod miecz — myślał dalej pułkownik, — ale to jego własna wina! Mogło być inaczej! Gdyby poszedł odrazu na Ukrainę!... mogło być inaczej! Tam wre i huczy wszystko, tam leżą prochy, czekające na iskrę. Rzeczpospolita jest potężna, ale na Ukrainie sił niema, a król niemłody, schorowany.

Jedna wygrana przez zaporożców bitwa, sprowadziłaby nieobliczone skutki.

Krzeczowski ukrył twarz w dłoniach i siedział nieruchomy, a tymczasem gwiazdy staczały się niżej i niżej, i zachodziły zwolna za step. Przepiórki, ukryte w trawach, poczęły się nawoływać. Niezadługo miało zaświtać.

Nakoniec rozmyślania pułkownika skrzepły w niewzruszony zamiar. Jutro uderzy na Chmielnickiego i zetrze go w proch. Po jego trupie dojdzie do bogactwa i dostojeństw, stanie się narzędziem kary w ręku Rzeczypospolitej, jej obrońcą, w przyszłości jej dygnitarzem i senatorem. Po zwycięstwie nad Zaporożem i Tatarami nie odmówią mu niczego.

A jednak nie dano mu starostwa Lityńskiego.

Na to wspomnienie Krzeczowski ścisnął pięście. Nie dano mu starostwa, mimo potężnego wpływu jego protektorów, Potockich, mimo jego zasług wojennych, — dlatego tylko, że był homo novus (człowiek nowy, niedawno uszlachcony), a jego przeciwni od kniaziów ród wywodził. W tej Rzeczypospolitej niedość było zostać szlachcicem, należało jeszcze czekać, by to szlachectwo pokryło się pleśnią jak wino, by zardzewiało jak żelazo.

Chmielnicki jeden mógł zaprowadzić nowy porządek rzeczy, któremu bodaj że i sam król by sprzyjał — ale nieszczęśnik wolał oto rozbijać głowę o skały kudackie!

Pułkownik uspokajał się zwolna. Odmówili mu raz starostwa — cóż z tego? Tembardziej będą się starali go wynagrodzić, zwłaszcza po zwycięstwie, po zgaszeniu buntu, po uwolnieniu od wojny domowej Ukrainy, ba, całej Rzplitej!! Wówczas niczego mu nie odmówią, wówczas nie będzie potrzebował nawet i Potockich.

Senna głowa schyliła się na piersi — i usnął, marząc o starostwach o kasztelaniach, o nadaniach królewskich i sejmowych.

Gdy się zbudził, był brzask. Na bajdakach spało jeszcze wszystko. W dali połyskiwały w bladem, rozpierzchłem świetle wody dnieprowe. Naokoło panowała absolutna cisza. Ta właśnie cisza zbudziła go.

Działa kudackie przestały huczeć.

— Co to? — pomyślał Krzeczowski! — Pierwszy szturm oparty, czy może Kudak wzięty?

Ale to niepodobna!

Nie! poprostu zbici Kozacy leżą zdala od zamku i rany liżą, a jednooki Grodzicki spogląda na nich przez strzelnicę, rychtując nanowo działa.

Jutro szturm powtórzą i znowu zęby połamią.

Tymczasem rozedniało. Krzeczowski zbudził ludzi na swym bajdaku i posłał czółno po Flika.

Flik przybył niebawem.

— Mości pułkowniku! — rzekł mu Krzeczowski — jeśli do wieczora kasztelan nie nadciągnie, a z nocą szturm się powtórzy, ruszymy fortecy w pomoc.

— Rozdajże im prochy i kule.

— Rozdane.

— W nocy wysiądziemy na brzeg i ruszymy jak najciszej stepem. Zajdziemy ich niespodzianie.

— Gut! sehr gut! (dobrze, bardzo dobrze!) Ale czyby się nie przysunąć trochę bajdakami? Do fortecy mil ze cztery. Trochę daleko dla piechoty.

— Piechota siądzie na konie semenów

— Sehr gut!

— Ludzie niech leżą cicho w sitowiach, na brzeg nie wychodzą i hałasu nie sprawują. Ogniów nie palić, bo dymyby nas zdradziły. Nie powinni o nas wiedzieć.

— Mgła taka, że i dymów nie ujrzą.

Rzeczywiście rzeka, łacha, porosła oczeretem, w której stały bajdaki, i stepy były pokryte, jak okiem sięgnąć, białym nieprzeniknionym. Ale że był dopiero świt, więc mgły mogły jeszcze opaść i odsłonić stepowe przestrzenie.

Flik odjechał. Ludzie na bajdakach budzili się zwolna; wnet ogłoszono rozkazy Krzeczowskiego, by się zachować cicho — więc zabierali się do rannego posiłku bez żołnierskiego gwaru. Ktoby przechodził brzegiem lub płynął środkiem rzeki, aniby się domyślił, że w przyległej łasze ukrywa się kilka tysięcy ludzi. Koniom dawano jeść z ręki, by nie rżały. Bajdaki, zakryte mgłą, leżały przyczajone w lesie szuwarów. Gdzieniegdzie tylko przemykała się mała "pidjezdka" o dwóch wiosłach, rozwożąca suchary i rozkazy, zresztą wszędzie panowało grobowe milczenie.

Nagle w trawach, trzcinach, szuwarach i zaroślach przybrzeżnych, naokoło całej łachy, rozległy się dziwne, a bardzo liczne głosy, wołające:

— Pugu! pugu!

Cisza...

— Pugu! pugu!

I znowu nastało milczenie, jak gdyby owe głosy, wołające na brzegach, oczekiwały na odpowiedź.

Ale odpowiedzi nie było. Wołania zabrzmiały po raz trzeci, ale szybsze i niecierpliwsze.

— Pugu! pugu!

Wówczas od strony statków rozległ się wśród mgły głos Krzeczowskiego.

— A kto taki?

— Kozak z ługu (z łąki, ze stepu)!

Semenom, ukrytym na bajdakach, serca zabiły niespokojnie Tajemnicze owe wołanie było im znane dobrze. W ten sposób zaporożcy porozumiewali się z sobą na zimowiskach, w ten także sposób w czasie wojen zapraszali na rozmowę braci Kozaków regestrowych i grodowych, między którymi bywało wielu należących sekretnie do bractwa.

Głos Krzeczowskiego rozległ się znowu;

— Czego chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski, oznajmia, że działa na łachę są obrócone.

— Powiedzcie panu hetmanowi zaporoskiemu, że nasze obrócone na brzegi.

— Pugu! pugu!

— Czego jeszcze chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski, prosi na rozmowę swego przyjaciela, pana Krzeczowskiego pułkownika.

— Niech jeno da zakładników.

— Dziesięciu kurzeniowych.

— Zgoda!

W tej chwili brzegi łachy zakwitły jakby kwieciem zaporożcami, którzy popowstawali z pośród traw, między któremi leżeli ukryci. Zdala od stepów nadciągała ich konnica i armaty, ukazały się dziesiątki i setki chorągwi, znamion, buńczuków. Szli ze śpiewaniem i biciem w kotły. Wszystko to razem podobniejsze było do radosnego powitania, niż do zetknięcia się wrogich potęg.

Semenowie z bajdaków odpowiedzieli okrzykami. Tymczasem przybyły czółna, wiozące atamanów kurzeniowych. Krzeczowski wsiadł w jedno z nich i odjechał na brzeg. Tam podano mu konia i przeprowadzono natychmiast do Chmielnickiego.

Chmielnicki, ujrzawszy go, uchylił czapki, a następnie powitał go serdecznie.

— Mości pułkowniku — rzekł, — stary przyjacielu mój i kumie! Gdy pan hetman koronny kazał ci mnie łapać i do obozu odstawić, tyś tego uczynić nie chciał, jeno mnie ostrzegłeś, bym się ucieczką

salwował (ratował), dla którego postępku winieniem ci wdzięczność miłość braterską!

To mówiąc, rękę uprzejmie wyciągał, ale czarniawa twarz Krzeczowskiego pozostała jak lód zimna.

— Teraz zaś, gdyś się wyratował, mości hetmanie — rzekł, — rebelię (bunt) podniosłeś.

— O swoje to, twoje i całej Ukrainy krzywdy idę się upominać, z przywilejami królewskimi w ręku i w tej nadziei, że nasz pan miłościwy za złe tego nie poczyta.

Krzeczowski począł patrzeć bystro w oczy Chmielnickiemu i rzekł z przyciskiem:

— Kudak oblegałeś?

— Ja? Chybabym był z rozumu obran! Kudak minąłem i anim wystrzelił, choć mnie stary ślepiec armatami oznajmiał. Mnie na Ukrainę było pilno, nie do Kudaku, i do ciebie było pilno, o starego druha (przyjaciela) dobrodzieja.

— Czego tedy ode mnie chcesz?

— Jedź ze mną w step, to się rozmówim.

Ruszyli końmi i pojechali. Bawili z godzinę. Po powrocie twarz Krzeczowskiego była blada i straszna. Wnet też zaczął żegnać się z Chmielnickim, który rzekł mu na drogę:

— Dwóch nas będzie na Ukrainie, a nad nami jeno król i nikt więcej.

Krzeczowski wrócił do bajdaków. Stary Barabasz, Flik i starszyzna oczekiwali go niecierpliwie.

— Co tam? co tam? — pytano ze wszystkich stron.

— Wysiadać na brzeg! — odpowiedział rozkazującym głosem Krzeczowski.

Barabasz podniósł senne powieki; jakiś dziwny płomień błysnął mu w oczach.

— Jakto? — rzekł.

— Wysiadać na brzeg, poddajem się!

Fala krwi buchnęła na bladą i pożółkłą twarz Barabasza. Wstał z kotła, na którym siedział, wyprostował się, i nagle ten zgięty, zgrzybiały starzec zmienił się w olbrzyma, pełnego życia i siły.

— Zdrada! — ryknął.

— Zdrada! — powtórzył Flik, chwytając za rękojeść rapira.

Ale nim go wydobył, pan Krzeczowski świsnął szablą i jednym zamachem rozciągnął go na pomoście.

Następnie skoczył z bajdaku w podjazdkę tuż stojącą, w której siedziało czterech zaporożców z wiosłami w ręku, i krzyknął:

— Między bajdaki!

Czółno pomknęło jak strzała , pan Krzeczowski zaś, stojąc w środku, z czapką na okrwawionej szabli, z oczyma jak płomienie, krzyczał potężnym głosem:

— Dzieci! nie będziem swoich mordować! Niech żyje Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski!

— Niech żyje! — powtórzyły setne i tysiączne głosy.

— Na pohybel (zgubę) Lachom!

— Na pohybel!

Wrzaskom z bajdaków odpowiedziały okrzyki zaporożców na brzegach. Ale wielu ludzi ze statków, stojących dalej, nie wiedziało jeszcze o co chodzi, dopiero gdy wszędzie rozbiegła się wieść, że pan Krzeczowski przechodzi do zaporożców, prawdziwy szał radości ogarnął semenów. Sześć tysięcy czapek wyleciało w górę, sześć tysięcy rusznic huknęło wystrzałami. Bajdaki zatrzęsły się pod stopami mołojców. Powstał tumult i zamieszanie. Wszelako radość owa musiała być krwią oblana, bo stary Barabasz wolał ginąć, niż zdradzić chorągiew, pod którą wiek życia przesłużył. Kilkudziesięciu ludzi czerkaskich opowiedziało się przy nim i wszczęła się bitwa krótka, straszna — jak wszystkie walki, w których garść ludzi, pożądająca nie łaski ale śmierci, broni się tłumom. Ani Krzeczowski, ani nikt z Kozaków nie spodziewał się takiego oporu. W starym pułkowniku rozbudził się dawny lew. Na wezwanie, by broń złożył, odpowiedział strzałami — i widziano go z buławą rozkazy grzmiącym głosem i z młodzieńczą energią. Statek jego otoczono ze wszystkich stron. Ludzie z tych bajdaków, które nie mogły się docisnąć, wskakiwali w wodę, i płynąc lub brodząc między oczeretami, chwytając następnie za krawędź statku, wdzierali się nań ze wściekłości. Opór był krótki. Wierni Barabaszowi semenowie, skłóci, zrąbani lub porozrywani rękoma, zalegli trupem — stary z szablą w ręku bronił się jeszcze.

Krzeczowski przedarł się ku niemu.

— Poddaj się! — krzyknął.

— Zdrajco! na pohypel! — odparł Barabasz i wzniósł szablę do cięcia.

Krzeczowski cofnął się szybko w tłum.

— Bij! — zawołał do Kozaków.

Ale zdawało się, że nikt nie chce pierwszy podnieść ręki na starca. Na nieszczęście jednak pułkownik poślizgnął się we krwi i upadł.

Leżący nie wzbudzał już tego szacunku, czy też postrachu, i wnet kilkanaście ostrzy pogrążyło się w jego ciało. Starzec zdołał tylko wykrzyknąć: "Jezus, Marya!"

Zaczęto siekać leżącego i rozsiekano w kawałki. Uciętą głowę przerzucano z bajdaku do bajdaku, bawiąc się nią piłką, dopóty, dopóki po niezręcznem rzuceniu nie wpadła w wodę.

Pozostali jeszcze Niemcy, z którymi trudniejsza była sprawa, bo regiment (pułk) składał się z tysiąca starego i wyćwiczonego w różnych wojnach żołnierza.

Dzielny Flik poległ wprawdzie z ręki Krzeczowskiego, ale na czele regimentu pozostał Johann Werner, podpułkownik, weteran jeszcze z trzydziestoletniej wojny.

Krzeczowski pewny był prawie zwycięztwa, gdyż bajdaki niemieckie były otoczone ze wszystkich stron kozackimi, chciał jednak zachować dla Chmielnickiego tak znaczny zastęp niezrównanej i doskonale uzbrojonej piechoty, dlatego wołał z nimi rozpocząć układy.

Zdawało się przez jakiś czas, że Werner zgadza się na nie, gdyż rozmawiał z Krzeczowskim i słuchał uważnie wszelkich obietnic, jakich mu przeniewierczy pułkownik nie szczędził. Żołd, z którym Rzplita zaległa, miał być natychmiast za ubiegły czas i za rok jeszcze z góry wypłacony. Po roku knechtowie (żołnierze) mogli się udać gdzieby chcieli, choćby nawet do obozu koronnego.

Werner niby namyślał się, ale tymczasem wydał cicho rozkazy by bajdaki przysunąć do siebie, tak, aby utworzyły jedno zwarte koło. Na okręgu tego koła stanął mur piechurów, ludzi rosłych i silnych, przybranych w żółte kolety i takiejże barwy kapelusze, w zupełnym szyku bojowym, z lewą nogą wysunięta naprzód do strzału i z muszkietami przy prawym boku.

Werner z obnażoną szpadą w ręku stał w pierwszym szeregu i namyślał się długo.

Nakoniec podniósł głowę:

— Herr Hauptman (panie pułkowniku)! zgadzamy się.

— Nie stracicie na nowej służbie! — zawołał z radością Krzeczowski.

— Ale pod warunkiem...

— Zgadzam się z góry.

— Jeśli tak, to i dobrze. Nasza służba kończy się w czerwcu. Od czerwca pójdziemy do was.

Przekleństwo wyrwało się z ust Krzeczowskiego; powstrzymał jednak wybuch.

— Czy kpisz, mości lejtnancie? — spytał.

— Nie! — odparł z flegmą Werner. — Nasza cześć żołnierska każe nam układu dotrzymać. Służba kończy się w czerwcu. Służymy za pieniądze, ale nie jesteśmy zdrajcami. Inaczej niktby nas nie najmował, a i wy sami nie ufalibyście nam, bo ktoby wam ręczył, że w pierwszej bitwie nie przejdziemy znowu do hetmanów?

— Czego tedy chcecie?

— Czego? Byście nam dali odejść.

— Nie będzie z tego nic, szalony człowieku! Każę was w pień wyciąć.

— A ilu swoich stracisz?

— Noga z was nie ujdzie!

— Połowa z was nie zostanie.

Obaj mówili prawdę, dlatego Krzeczowski, chociaż flegma Niemca wzburzyła w nim wszystką krew, a wściekłość poczynała go dławić, nie chciał jeszcze rozpoczynać bitwy.

— Nim słońce zejdzie z łachy — zawołał — namyślcie się, poczem każę cyngłów ruszać!

I odjechał pośpiesznie w swej podjazdce, by się z Chmielnickim naradzić.

Nastała chwila oczekiwania. Bajdaki kozackie otoczyły ciaśniejszym pierścieniem Niemców, którzy zachowywali chłodną postawę, jaką tylko stary i bardzo wyćwiczony żołnierz zdoła zachować wobec niebezpieczeństwa. Na groźby i obelgi, wybuchające co chwila z kozakich bajdaków, odpowiadali pogardliwem milczeniem. Był to prawdziwie imponujący widok tego spokoju wśród coraz silniejszych wybuchów wściekłości ze strony mołojców, którzy, potrząsając groźnie spisami i "piszczelami" (strzelbami), zgrzytając zębami klnąc, oczekiwali niecierpliwie hasła do boju.

Tymczasem słońce, skręcając od południa ku zachodniej stronie nieba, zdejmowało swoje złote blaski łachy, która stopniowo pogrążała się w cieniu.

Nakoniec pogrążyła się zupełnie.

Wówczas zabrzmiała trąbka, a zaraz potem głos Krzeczowskiego ozwał się zdaleka:

— Słońce zaszło! czy już namyśliliście się?

— Już! — odparł Werner, i zwróciwszy się ku żołnierzom, machnął obnażoną szpadą.

— Feuer (ognia)! — zakomenderował spokojnym, flegmatycznym głosem.

Huknęło. Plusk ciał wpadających do wody, okrzyki wściekłości i gorączkowa strzelanina odpowiadały na głos niemieckich muszkietów. Armaty zatoczone na brzeg ozwały się basem i poczęły ziać kule na niemieckie bajdaki. Dymy przysłoniły łachę zupełnie — tylko wśród krzyków, huku, poświstu strzał tatarskich, grzechotania "piszczeli" i samopałów, regularne salwy muszkietów zwiastowały, że Niemcy bronią się ciągle.

O zachodzie słońca bitwa wrzała jeszcze, ale zdawała się słabnąć. Chmielnicki, w towarzystwie Krzeczowskiego, Tuhaj-beja i kilkunastu atamanów, przyjechał na sam brzeg rekognoskować (oglądać) walkę. Rozdęte jego nozdrza wciągały dym z prochu, a uszy napawały się z lubością wrzaskiem tonących i mordowanych Niemców. Wszyscy trzej wodzowie patrzali na rzeź jakby na widowisko, które zarazem stanowiło pomyślną dla nich wróżbę.

Walka ustawała. Wystrzały umilkły, a natomiast coraz głośniejsze okrzyki kozackiego tryumfu biły w niebo.

— Tuhaj-beju! — rzekł Chmielnicki — to dzień pierwszego zwycięstwa.

— Jasyru (jeńców) niema! — odburknął murza — nie chcę takich zwycięstw!

— Weźmiesz go na Ukrainie! Cały Stambuł i Galatę napełnisz swymi jeńcami!

— Wezmę choć ciebie, jak nie będzie kogo!

To rzekłszy, dziki Tuhaj roześmiał się złowrogo, a po chwili zaś dodał:

— Jednakoż chętnie byłbym wziął tych Franków.

Tymczasem bitwa ustała zupełnie. Tuhaj-bej zawrócił konia ku obozowi, a za nim i inni.

— No! teraz na Żółte Wody! — zawołał Chmielnicki.

XV.

Namiestnik, słysząc bitwę, wyczekiwał ze drżeniem jej końca, sądząc początkowo, że Chmielnicki potyka się ze wszystkiemi siłami hetmanów.

Ale pod wieczór stary Zachar wyprowadził go z błędu. Wieść o zdradzie semenów pod wodzą Krzeczowskiego i wycięciu Niemców wzburzyła do głębi duszy młodego rycerza, była bowiem zapowiedzią przyszłych zdrad, a namiestnik wiedział doskonale, że niemała część wojsk hetmańskich składa się przeważnie z Kozaków.

Udręczenia namiestnika wzrastały, a tryumf w zaporoskim obozie dorzucał do nich jeszcze goryczy. Wszystko zapowiadało się jaknajgorzej. O księciu nie było wieści — a hetmani popełnili widocznie straszliwy błąd, gdyż zamiast ruszyć wszystką potęgą ku Kudakowi, albo zresztą czekać nieprzyjaciela w warownych obozach na Ukrainie, rozdzielili się, osłabili się dobrowolnie, dali szerokie pole wiarołomstwu i zdradzie. W obozie zaporoskim mówiono wprawdzie już poprzednio o panu Krzeczowskim i o osobnem wysłaniu wojsk pod wodzą Stefana Potockiego, ale namiestnik nie dawał wiary tym wieściom. Sądził, że to są silne podjazdy, które w porę będą cofnięte. Tymczasem stało się inaczej. Chmielnicki wzmocnił się przez zdradę Krzeczowskiego kilku tysiącami ludzi, a nad młodym Potockim zawisło straszliwe niebezpieczeństwo. Pozbawionego pomocy i zbłąkanego w pustyniach łatwo teraz mógł Chmielnicki otoczyć i zgnieść zupełnie.

W bólach od ran, w niepokoju, w czasie nocy bezsennych, pocieszał się Skrzetuski tylko myślą o księciu. Gwiazda Chmielnickiego musi zblednąć, gdy książę podniesie się w swoich Łubniach. A któż może wiedzieć, czy on już nie połączył się z hetmany? Jakkolwiek znaczne były siły Chmielnickiego, jakkolwiek początki pochodu pomyślne, jakkolwiek szedł z nim Tuhaj-bej, a w razie niepowodzenia obiecał ruszyć w pomoc sam "carz" (cesarz) krymski, Skrzetuskiemu ani w głowie nie powstała myśl, by zawierucha mogła trwać długo, by jeden Kozak mógł wstrząsnąć całą Rzplitą i złamać groźną jej siłę. U progów ukrainnych ta fala się rozbije — myślał namiestnik. — Jakże to bowiem kończyły się wszystkie bunty

kozacze? Wybuchały jak płomień i gasły po pierwszem zetknięciu się z hetmanami. Tak było aż dotąd. Gdy z jednej strony stawało do boju gniazdo drapieżników niżowych, a z drugiej potęga, której brzegi oblewały dwa morza — rozwiązanie łatwe było do przewidzenia. Burza nie może być trwałą, więc przejdzie — i nastanie pogoda. Ta myśl krzepiła pana Skrzetuskiego i, można rzec, utrzymywała go na nogach, bo zresztą ciążyło na nim brzemię tak ciężkie, jakiego dotąd w życiu nie dźwigał. Burza choć przejdzie, może spustoszyć pola, zburzyć domy i naczynić szkód niepo wetowanych. Oto z przyczyny tej burzy on sam o mało życia nie stracił, sił się zbawił i popadł w gorzką niewolę, właśnie wówczas gdy mu na wolności tyle prawie ile na samem życiu zależało. Jakże tedy od zawieruchy mogły ucierpieć istoty słabsze, nie umiejące się bronić? Co tam działo się w Rozłogach z Heleną?

Ale Helena musiała już być w Łubniach. Namiestnik widywał ją we snach, otoczoną przez twarze życzliwe, przyhołubioną (przytuloną) przez samego księcia i księżnę Gryzeldę, podziwianą przez rycerzy — a jeno tęskną po swoim usarzu (husarze,) który gdzieś przepadł na Siczy. Ale przyjdzie wreszcie chwila, że usarz wróci. Oto sam Chmielnicki przyrzekł mu wolność — a zresztą fala kozacka płynie i płynie do progów Rzeczypospolitej; gdy się rozbije, będzie koniec zmartwieniom, zgryzotom i niepokojom.

Fale płynęły rzeczywiście. Chmielnicki. nie zwłócząc, ruszył obóz i ciągnął na spotkanie syna hetmańskiego. Siła jego była już rzeczywi!cie groźną, bo razem z semenami Krzeczowskiego i czambułem Tuhaj-beja wiódł blizko 25,000 wyćwiczonych i boju chciwych wojowników. O siłach Potockiego nie było pewnych wiadomości. Zbiegowi mówili, że prowadzi dwa tysiące ciężkiej jazdy i kilkanaście armatek. Bitwa w tej proporcyi sił mogła być wątpliwą, bo jeden atak straszliwej husaryi wystarczał często do zgniecenia dziesięćkroć liczniejszych zastępów. Tak Chodkiewicz, hetman litewski, w trzy tysiące husarzy starł czasu swego pod Kircholmem na proch ośmnaście tysięcy wybranej piechoty i jazdy szwedzkiej; tak pod Kłuszynem jedna chorągiew pancerna w szalonej furyi rozniosła kilka tysięcy angielskich i szkockich najemników. Chmielnicki pamiętał o tem, więc szedł, wedle słów ruskiego kronikarza, zwolna i ostrożnie: "Mnogiemi umu (rozumu) swojego oczyma, jako łowiec chytry, na wszystkie strony poglądając i stra-

że na mile i dalej od obozu mając" (1). Tak zbliżył się ku Żółtej Wodzie. Złapano znowu dwóch języków. Ci potwierdzili szczupłość sił koronnych i donieśli, iż kasztelan przeprawił się już przez Żółtą Wodę. Zasłyszawszy to, Chmielnicki stanął jak wryty na miejscu i okopał się wałami.

Serce biło mu radośnie. Jeżeli Potocki odważy się na szturm' tedy musi być pobity. Kozacy nie umieją dostać w polu pancernym, ale z za wału biją się doskonale i w tak wielkiej przewadze sił szturmy niechybnie odeprą. Chmielnicki liczył na młodość i niedoświadczenie Potockiego. Ale przy kasztelanie był doświadczony żołnierz, staroście żywiecki, pan Stefan Czarnecki, pułkownik usarski. Ten spostrzegł niebezpieczeństwo i skłonił kasztelana, by cofnął się napowrót za Żółtą Wodę.

Chmielnickiemu nie pozostawało nic innego, tylko ruszyć z nimi. Drugiego dnia, przeprawiwszy się przez topieliska żółtowodzkie, oba wojska stanęły oko w oko.

Ale żaden z wodzów nie chciał pierwszy uderzyć. Nieprzyjazne obozy poczęły pospiesznie otaczać się szańcami. Była to sobota, dzień 5-ty maja. Cały dzień deszcze lał obficie. Chmury zawaliły tak niebo, iż od południa panował mrok, jakoby w dniu zimowym. Pod wieczór ulewa zwiększyła się jeszcze. Chmielnicki ręce zacierał z radości.

— Niech jeno step rozmięknie — mówił do Krzeczowskiego, nie będę się wahał wstępnym bojem i z usaryą się potykać, gdyż oni w swych ciężkich zbrojach w błocie potoną.

A deszcz padał i padał, jakby niebo chciało Zaporożu przyjść w pomoc.

Wojska okopywały się leniwie i posępnie, wśród strug wody. Ogni nie można było rozpalić. Kilka tysięcy ordyńców wyszło z obozu pilnować, aby tabor polski, korzystając z mgły, fali i nocy, nie próbował się wymknąć. Potem zapadła cisza głęboka. Słychać było tylko szelest ulewy i szum wiatru. Zapewne też nikt nie spał w obu obozach.

Nad ranem trąby zagrały w polskim obozie długo i żałośnie, jakby na trwogę, potem bębny tu i owdzie zaczęły warczeć. Dzień wstawał smutny, ciemny, wilgotny, nawałnica ustała, ale padał jeszcze drobny deszczyk, jakoby przesiewany przez sito.

Chmielnicki kazał uderzyć z działa.

1) Samoił Wieliczko, 62.

Za niem wnet ozwało się drugie, trzecie, dziesiąte, i gdy z obozu do obozu zaczęła się zwykła z armat "korespondencya," pan Skrzetuski rzekł do swego kozackiego anioła stróża:

— Zachar, wyprowadź mię na szaniec, abym zaś mógł widzieć co się dzieje.

Zachar sam był ciekawy, więc nie stawiał oporu. Poszli na wysoki narożnik, skąd widać było jak na dłoni zaklęsłą nieco dolinę stepową, topieliska żółtowodzkie i oba wojska. Ale zaledwie pan Skrzetuski spojrzał, zaraz się uchwydił, za głowę i krzyknął:

— Nad Boga żywego! toż to jest podjazd, nic więcej.

Rzeczywiście wały obozu kozackiego rozciągały się blizko na ćwierć mili, gdy tymczasem polski wyglądał w porównaniu z nim jak szańczyk tylko. Nierówność sił była tak wielka, że zwycięstwo Kozaków nie mogło być wątpliwem.

Ból ścisnął serce namiestnika. Nie nadeszła więc jeszcze godzina upadku dla pychy i buntu, a ta, która nadejdzie, ma być nowym jego tryumfem! Tak się przynajmniej zdawało.

Harce pod ogniem dział były już rozpoczęte. Z narożnika widać było pojedyńczych jeźdźców, albo gromadki ich, ścierające się z sobą. To Tatarzy harcowali z semenami Potockich, przybranymi w granatowe i żółte barwy. Jeźdźcy dopadali do siebie i odskakiwali szybko, zajeżdżali się wzajemnie z boków, godzili w siebie z pistoletów i łuków, lub włóczniami, i starali się chwytać wzajemnie na arkany. Utarczki owe wydawały się zdaleka raczej zabawą i tylko konie, biegające tu i owdzie bez jeźdźców po błoniu, wskazywały, że tam przecie chodzi o śmierć i życie.

Tatarów wysypywało się coraz więcej. Wkrótce błonie zaczerniło się od zbitych ich mas; wówczas też i z obozu polskiego poczęły wysuwać się coraz nowe chorągwie i ustawiać się w szyku bojowym przed okopem. Było tak blizko, że pan Skrzetuski bystrym swym wzrokiem odróżnić mógł wyraźnie znaki, buńczuki, a nawet rotmistrzów i namiestników, którzy stawali końmi trochę bokiem przy chorągwiach.

Serce poczęło w nim skakać, na bladą twarz biły rumieńce, i jak gdyby mógł znaleźć wdzięcznych słuchaczów w Zacharze i w Kozakach, stojących przy działach na narożniku, wołał z uśniesieniem, w miarę jak chorągwie wysuwały się z za okopu:

— To dragonia pana Bałabana, widziałem ich w Czerkasach!

— To wołoska chorągiew; krzyż mają w znaku.

— O! ono piechota zstępuje z wałów!

Potem jeszcze z większem uniesieniem , otworzywszy ręce:

— Usarya! usarya pana Czarneckiego!

Istotnie ukazała się i husarya, nad nią chmura skrzydeł i sterczący w górę las włóczni, zdobnych w złotawe kitajki i długie zielono-czarne proporce. Wyjechali szóstkami z okopu i ustawili się pod wałem, a na widok ich spokoju, powagi i sprawności, aż łzy radosne ukazały się w oczach pana Skrzetuskiego i zaćmiły mu wzrok na chwilę.

Choć siły były tak nierówne, choć przeciwko tych kilku chorągwi czerniała cała ława zaporożców i Tatarów, którzy jak zwykle zajęli skrzydła, choć szyki ich tak rozciągnęły się po stepie, że końca trudno było ich dojrzeć, pan Skrzetuski już wierzył w zwycięstwo. Twarz mu się śmiała, siły wróciły, oczy wytężone na błonie strzelały ogniem, jeno na miejscu ustać nie mógł.

— Hej, detyno (dzieciaku)! — mruknął stary Zachar — chciałaby dusza do raju!

Tymczasem kilka luźnych oddziałów tatarskich z krzykiem i ałłachowaniem rzuciło się naprzód. Z obozu odpowiedziano strzałami. Ale był to tylko postrach. Tatarzy, nie dobiegłszy nawet do polskich chorągwi, pierzchnęli na obie strony ku swoim i znikli w tłumie.

Wtem ozwał się wielki bęben siczowy, a na jego głos wnet olbrzymi półksiężyc kozacko-tatarski ruszył z kopyta naprzód. Chmielnicki próbował widocznie, czy jednym zamachem nie zdoła zgnieść owych chorągwi i zająć obozu. W razie popłochu byłoby to możliwem. Wszelako nic podobnego nie okazywało się między polskiemi chorągwiami. Stały one spokojnie, rozwinięte w dość długą linię, której tył zasłaniał okop, boki zaś działa taborowe, tak, że można było na nią uderzyć tylko z frontu. Przez chwilę zdawało się, że przyjmą bitwę w miejscu, nagle gdy półksiężyc przebiegł już połowę błonia, ozwały się w okopie trąbki do ataku — i nagle płot kopii, sterczących aż dotąd w górze, zniżył się odrazu do głów końskich.

Jakoż pochylili się w siodłach i ruszyli naprzód, a zaraz za nimi dragońskie chorągwie i cała linia bojowa.

Uderzenie husarzy było straszne. W pierwszym impecie trafili na trzy kurzenie: dwa Steblewskie i Mirhorodzki — i starli je w mgnieniu oka. Wycie doszło aż do uszu pana Skrzetuskiego.

Konie i ludzie, zwaleni z nóg olbrzymim ciężarem żelaznych jeźdźców, padli jak łan pod tchnieniem burzy. Opór trwał tak krótko, że Skrzetuskiemu zdało się, iż jakiś olbrzymi smok połknął jednym haustem (łykiem) te trzy pułki. A był to przecie najzaciętszy żołnierz siczowy. Przerażone szumem skrzydeł konie zaczęły roznosić popłoch w szeregach zaporoskich. Pułki Irklejewski Kałnibołocki, Miński, Szkuryński i Titorowski zmieszały się zupełnie, a naciskane przez masy pierzchających, jęły i same ustępować bezładnie. A tymczasem dragonia dognała chusarzy i rozpoczęła razem z nimi krwawe żniwo. Kurzeń Wasiuryński pierzchnął po zaciętym ale krótkim oporze i gnał w dzikim popłochu aż do samych okopów kozackich. Środek sił Chmielnickiego chwiał się coraz bardziej, i bity, spędzany w bezładne gromady, cięty mieczami, party żelazną nawałą, nie mógł uchwycić chwili, by przystanąć i sprawić się na nowo.

— Czorty, ne Lachy (dyabły, nie Polacy)! — krzyknął stary Zachar.

Skrzetuski był jakby w obłąkaniu. Chorym będąc, nie umiał panować nad sobą, więc śmiał się i płakał jednocześnie, a chwilami krzyczał słowa komendy, jakby sam chorągiew prowadził.

Zachar trzymał go za poły i innych w pomoc musiał wołać.

Bitwa zbliżyła się tak do taboru kozackiego, że niemał twarze można było już rozeznać. Z okopów bito z dział, ale kule kozackie, kładąc zarówno swoich jak i nieprzyjaciół, powiększyły jeszcze zamieszanie.

Husarya natknęła się na kurzeń Puszkowski, który stanowi gwardyę hetmańską i w środku którego był sam Chmielnicki. Nagle krzyk straszny rozległ się po wszystkich szeregach zaporoskich: wielka chorągiew malinowa zachwiała się i padła.

Ale w tej chwili Krzeczowski na czele pięciu tysięcy swoich semenów ruszył do boju. Siedząc na bułanym ogromnym koniu, leciał w pierwszym szeregu, bez czapki, z szablą nad głową, zgarniając przed sobą rozproszonych niżowców, którzy, spostrzegłszy nadchodzącą pomoc, choć i bez ordynku (porządku), wracali do ataku. Bitwa zawrzała w środku linii nanowo.

Na obu skrzydłach szczęście również nie dopisało Chmielnickiemu. Tatarzy, po dwakroć odparci przez wołoskie chorągwie i semenów Potockich. stracili całkiem ochotę do boju. Pod Tuhaj-be-

jem ubito dwa konie. Zwycięstwo przechyliło się stanowczo na stronę młodego Potockiego.

Bitwa jednak nie trwała już długo. Ulewa, która od niejakiego czasu wzrastała coraz bardziej, wkrótce zwiększyła się do tego stopnia, że przez fale dżdżowe świata nie było widać. Już nie strugi, ale potoki deszczu spadały na ziemię z otwartych upustów niebieskich. Step zmienił się w jezioro. Zrobiło się tak ciemno, że o kilka kroków człowiek człowieka nie odróżniał. Szum deszczu głuszył komendę. Zamoczone muszkiety i samopały umilkły. Samo niebo położyło koniec rzezi.

Chmielnicki, przemoczony do nitki, wściekły, wpadł do swego taboru. Nie przemówił do nikogo ani słowa. Rozbito mu namiocik ze skór wielbłądzich, pod który schroniwszy się, siedział samotny, przeżuwając gorzkie myśli.

Ogarniała go rozpacz. Teraz dopiero pojął, jakiego to jął się dzieła. Oto pobity, odparty, niemal złamany w bitwie z tak małemi siłami, że słusznie mógł je za podjazd uważać. Wiedział on, jak wielką była siła odporna wojsk Rzplitej, i brał to w rachubę, gdy się na wojnę odważył, a przecie przeliczył się. Tak przynajmniej zdawało mu się w tej chwili, więc chwytał się za podgolony łeb i pragnął rozbić go o pierwsze spotkane działo. Cóż dopiero gdy przyjdzie mieć sprawę z hetmanami i z całą Rzplitą?

Rozmyślania przerwało wejście Tuhaj-beja.

Oczy Tatara pałały wściekłością, twarz była blada, a zęby błyskały z za warg nieobrosłych wąsem.

— Gdzie łupy, gdzie jeńcy, gdzie głowy wodzów, gdzie zwycięztwo? — pytał ochrypłym głosem.

Chmielnicki zerwał się z miejsca.

— Tam! — odparł gromko, ukazując w stronę koronnego taboru.

— Idźże tam! — ryknął Tuhaj-bej — a nie pójdziesz, to cię na sznurze do Krymu powiodę.

— Pójdę — rzekł Chmielnicki — pójdę dziś jeszcze! łupy wezmę i jeńców wezmę, a ty zdasz sprawę chanowi, bo łupu chcesz, a boju unikasz!

— Psie! — zawołał Tuhaj- — ty gubisz wojsko chanowe!

I chwilę stali naprzeciwko siebie, parskając nozdrzami. Ochłonął pierwszy Chmielnicki.

— Tuhaj-beju, uspokój się! — rzekł. — Fala przerwała bitwę, gdy Krzeczowski złamał już dragonią. Ja ich znam! Jutro już z

mniejszą furyą bić się będą. Step rozmięknie do reszty. Husarya ulegnie. Jutro wszyscy będą nasi.

— Rzekłeś! — burknął Tuhaj-bej.

— I dotrzymam. Tuhaj-beju, mój przyjacielu, chan mi cię na pomoc przysłał, nie na biedę.

— Przyrzekałeś zwycięstwa, nie klęski.

— Wzięto trochę jeńców z dragonii, których ci oddam.

— O idaj. Każę ich na pal powbijać.

— Nie czyń tego. Puść ich wolno. To ludzie ukrainni z pod chorągwi Bałabana; poślem ich, by dragonów na naszą stronę przeciągnęli. Będzie tak jak z Krzeczowskim.

Tuhaj-bej udobruchał się; spojrzał bystro na Chmielnickego mruknął:

— Wężu...

— Chytrość tyle co męstwo warta. Jeśli dragonów do zdrady namówim, noga z taboru nie ujdzie — rozumiesz?

— Potockiego ja wezmę.

— Dam ci go i Czarneckiego także.

— Daj teraz gorzałki, bo zimno.

— Zgoda!

W tej chwili wszedł Krzeczowski. Pułkownik był ponury jak noc. Przyszłe pożądane starostwa, kasztelanie, zamki i skarby, zasnuły się jakby mgłą po dzisiejszej bitwie. Jutro mogą zniknąć całkowicie, a może z owej mgły wynurzy się zamiast nich stryczek lub szubienica. Gdyby nie to, że pułkownik, wyciąwszy Niemców hetmańskich, spalił za sobą mosty, — byłby z pewnością teraz rozmyślał, jak z kolei zdradzić Chmielnickiego, a przejść ze semanami do obozu Potockiego.

Ale było to niemożebne.

Siedli tedy w trzech nad gąsiorem gorzałki i poczęli pić w milczeniu. Szum ulewy ustawał zwolna.

Zmierzchało.

Pan Skrzetuski, wyczerpany z radości, osłabły, blady, leżał nieruchomie na teledze (wozie). Zachar, który go pokochał, kazał swoim Kozakom rozpiąć i nad nim wojłokowy daszek. Namiestnik słuchał posępnego szumu ulewy, ale w duszy było mu widno, jasno, błogo. Oto jego husarze pokazali co umieją, oto jego Rzplita dała opór godny swego majestatu, oto pierwszy impet kozackiej burzy rozbił się już na ostrzach włóczni wojsk koronnych. A prze-

cie są jeszcze hetmani, jest książę Jeremi i tylu panów, tyle szlachty, tyle potęgi, — nad tem wszystkiem zaś król, primus inter pares (pierwszy wśród równych).

Duma podnosiła piersi pana Skrzetuskiego, jak gdyby cała ta potęga była w nim teraz.

W poczuciu jej po raz pierwszy od czasu utraty wolności na Siczy poczuł pewną litość nad Kozakami: "Winni są, ale i zaślepieni, gdy z motyką na słońce się porwali — pomyślał. — Winni są, ale nieszczęsni, gdy dali się porwać jednemu człowiekowi, który ich na oczywistą zgubę prowadzi."

Potem myśl jego wywędrowała dalej. Nastanie spokój, a wówczas każdy o swem prywatnem szczęściu będzie miał prawo pomyśleć. Tu pamięcią i duszą zawisnął nad Rozłogami. Tam, w blizkości lwiej jamy, musi być cicho jak makiem zasiał. Tam bunt nigdy głowy nie podniesie, a choćby podniósł — Helena już w Łubniach niezawodnie.

Nagle huk dział przerwał złote nici jego rozmyślań. To Chmielnicki, upiwszy się, wyprowadził znowu pułki do ataku.

Ale skończyło się na grze z dział. Krzeczowski pohamował hetmana.

Nazajutrz była nadziela. Cały dzień zaszedł spokojnie i bez wystrzału. Obozy leżały naprzeciw siebie, jakby obozy dwóch wojsk sprzymierzonych.

Skrzetuski przypisywał tę ciszę zniechęceniu Kozaków. Niestety! nie wiedział, że tymczasem Chmielnicki "mnogiemi oczyma swego umu patrząc przed siebie," pracował nad przeciągnieniem na swą stronę dragonów Bałabana.

W poniedziałek bitwa zawrzała od świtu. Skrzetuski patrzał na nią jak i pierwej, z uśmiechniętą, wesołą twarzą. I znowu pułki koronne wystąpiły przed okop, tym jednak razem nie puszczając się do ataku, dawały wstręt (opór) nieprzyjacielowi z miejsca. Step rozmoknął nietylko na powierzchni, jak pierwszego dnia bitwy, ale do głębi. Ciężka jazda nie mogła się prawie poruszać, co odrazu dało przewagę lotnym chorągwiom zaporoskim i tatarskim. Uśmiech zwolna zginął z ust Skrzetuskiego. Pod polskim okopem nawałnica atakujących pokryła prawie zupełnie wązkie pasmo chorągwi koronnych. Zdawało się, że lada moment łańcuch ów rozerwany będzie i rozpocznie się atak wprost do okopów. Pan Skrzetuski nie widział ani połowy tego animuszu, tej ochoty bojo-

wej, z jaką chorągwie walczyły dnia pierwszego. Broniły się i dziś z zaciętością, ale nie uderzały pierwsze, nie rozbijały w puch kurzeniów, nie zmiatały pola przed sobą jak huragan. Grunt stepowy, rozmiękły nie na powierzchni tylko, ale do głębi, uniemożliwiał furyę i rzeczywiście przygwoździł ciężką jazdę pod okopem. Rozpęd stanowił jej siłę i rozstrzygał o zwycięstwie, a tymczasem teraz musiała stać w miejscu. Chmielnicki zaś wyprowadzał coraz nowe pułki do boju. Sam był wszędzie. Każdy kurzeń osobiście wiódł do ataku i wycofywał się dopiero tuż przed szablami nieprzyjaciół. Zapał jego udzielał się stopniowo zaporożcom, więc choć padali gęstym trupem, biegli na wyścigi pod okop, z krzykiem i wyciem. Uderzali o mur żelaznych piersi, o ostrza włóczni, i rozbici, zdziesiątkowani, wracali znowu do ataku. Pod tym naporem chorągwie poczęły się kolebać, uginać, miejscami cofać, tak właśnie jak zapaśnik, chwycony w żelazne ramiona przeciwnika to słabnie, to się znów wysila i wzmaga.

Przed południem wszystkie niemal siły zaporoskie były w ogniu i w bitwie. Walka wrzała tak zacięcie, że między dwiema liniami walczących utworzył się jak gdyby nowy wał — trupów końskich i ludzkich.

Co chwila do obozów kozackich wracały z bitwy gromady wojowników rannych, pokrwawionych, pokrytych błotem, zziajanych i upadających ze zmęczenia. Ale wracali ze śpiewem na ustach. Z twarzy ich bił żar bitwy i pewność zwycięstwa. Mdlejąc, wołali jeszcze: "Na pohybel!" Załoga zostawiona w obozie rwała się do boju.

Pan Skrzetuski sposępniał. Chorągwie polskie poczęły się zmykać z pola do okopów. Nie mogły wytrzymać, a w odwrocie ich znać było gorączkowy pośpiech. Na ten widok dwadzieścia kilka tysięcy ust wrzasnęło radośnie. Impet ataku zdwoił się. Zaporożcy siedli na kark semenom Potockich, którzy zasłaniali odwrót.

Ale armaty i grad kul muszkietowych odrzuciły ich w tył. Bitwa na chwilę ustała. W obozie polskim rozległ się odgłos trąbki parlamentarskiej.

Chmielnicki jednak nie chciał już parlamentować. Dwanaście kurzeniów zsiadło z koni, by wspólnie z piechotą i Tatarami rozpocząć szturm do wałów.

Krzeczowski w trzy tysiące piechoty miał im przyjść w pomoc w chwili stanowczej. Wszystkie kotły, bębny, litaury i trąby ozwały się naraz, głusząc okrzyki i salwy muszkietów.

Pan Skrzetuski ze drżeniem patrzał na głębokie szeregi niezrównanej piechoty zaporoskiej, biegnącej ku wałom i otaczającej je coraz ciaśniejszym pierścieniem. Długie smugi białego dymu wybuchały ku niej z okopów, jakby jakaś olbrzymia pierś chciała oddmuchnąć tę szarańczę, cisnącą nieubłaganie ze wszystkich stron. Kule armatnie ryły w niej brózdy, strzały samopałów stały się coraz szybsze. Huk nie ustawał ani na chwilę — mrowie topniało w oczach, skręcało się miejscami konwulsyjnie, jak olbrzymi wąż zraniony, ale szło naprzód. Już, już dobiegają! już są pod okopem! — armaty już im szkodzić nie mogą! Pan Skrzetuski przymknął powieki.

I teraz pytania szybkie jak błyskawice przelatywały mu przez głowę: gdy otworzy oczy, czy dojrzy jeszcze polskie proporce na wałach? Dojrzy — nie dojrzy? Tam gwar coraz większy tam wrzask jakiś niezwykły. Musiało się coś stać? Krzyki dochodzą ze środka tobozu. Co to jest? Co się stało?

— Boże wszechmocny!

Okrzyk ten wyrwał sięz ust pana Skrzetuskiego, gdy, otworzywszy oczy, ujrzał na wałach, zamiast wielkiej złotej chorągwi koronnej, malinową z Archaniołem.

Obóz był zdobyty.

Wieczorem dopiero dowiedział się od Zachara namiestnik o całym przebiegu szturmu. Nie na próżno Tuhaj-bej nazywał Chmielnickgo wężem, bo oto w chwili najzaciętszej obrony podmówiona przez niego Bałabanowa dragonia przeszła do Kozaków, i rzuciwszy się z tyłu na swoje chorągwie, dopomogła do wytępienia ich ze szczętem.

Wieczorem widział namiestnik jeńców i był przy śmierci młodego Potockiego, który, mając gardło przebite strzałą, żył tylko kilka godzin po bitwie i umarłna ręku pana Stefana Czarneckiego.— "Powiedzcie ojcu — szeptał w ostatniej chwili młody kasztelan — powiedzcie ojcu — żem... jako rycerz..." — i nie mógł nic więcej dodać. Dusza jego opuściła ciało i uleciała ku niebu. Skrzetuski długo potem pamiętał tę bladą twarz i te błękitne oczy, wzniesione w chwili śmierci. Pan Czarniecki ślub uczynił nad, stygnącem ciałem, że dali mu Bóg wolność odzyskać, a potokami krwi śmierć przyjaciela i hańbę klęski obmyje. I ani łza nie ciekła po surowemi jego obliczu, bo to był rycerz żelazny, wielce już czynami odwagi wsławiony i człowiek żadnem nieszczęściem nieugięty. Jakoż śluby pełnił. Teraz, zamiast desperacyi (rozpaczy) się poddawać,

pierwszy krzepił Skrzetuskiego, który cierpiał strasznie nad klęską i hańbą Rzeczypospolitej. — "Rzeczpospolita niejedną klęskę poniosła, —mówił pan Czarniecki, —ale ma ona w sobie siłę niespożytą. Nie złamała jej dotąd żadna potęga, nie złamią i bunty chłopów, których sam Bóg pokarze, gdyż, występując przeciw zwierzchności, Jego to woli się oponują (sprzeciwiają). A co do klęski, prawda, iż jest żałosną — ale któż tę klęskę poniósł? hetman? wojska koronne? — nie! Po odłączeniu się i zdradze Krzeczowskiego, oddział ów, który prowadził Potocki, tylko za podjazd mógł być uważany. Bunt niechybnie rozejdzie się po całej Ukrainie, gdyż chłopstwo tam harde i do boju wprawione, ale bunt tam to przecie nie pierwszyzna. Zgaszą go hetmani z księciem Jeremim, których siły nieporuszone dotąd stoją — im zaś potężniej wybuchnie, tem, raz zgaszony, na dłużej, a może na zawsze, ucichnie. Małej wiary i małego serca człowiekiem byłby ten, ktoby mógł przypuszczać, iż jakiś watażka kozacki, na współkę z jednym murzą tatarskim, naprawdę mogą potężnemu narodowi zagrozić. Źleby było z Rzplitą, gdyby prosta zawierucha chłopska miała stanowić o jej losie, o jej egzystencyi (istnieniu). Zaiste, z pogardą ciągnęliśmy na oną wyprawę — kończył pan Czarniecki — a choć podjazd nasz starto, mniemam, że hetmani nie mieczem, nie bronią, ale batogami mogą ten blut przytłumić."

I gdy tak mówił, zdawało się, że to mówi nie jeniec, nie żołnierz po przegranej bitwie, ale dumny hetman, pewny jutrzejszego zwycięstwa. Ta wielkość duszy i wiara w Rzeczpospolitą spłynęły jako balsam na rany namiestnika. Patrzał on zblizka na potęgę Chmielnickiego, więc go też i oślepiła trochę, tembardziej, że aż dotąd szły za nią powodzenia. Ale pan Czarniecki musiał mieć słuszność. Siły hetmanów stoją jeszcze nieporuszone, a a niemi cała potęga Rzeczypospolitej, zatem prawa, władzy i woli Boskiej. Odchodził tedy namiestnik bardzo na duszy pokrzepion i weselszy, a odchodząc, spytał jeszcze pana Czarnieckiego, czyby nie chciał zaraz układów z Chmielnickim o wolność rozpocząć.

— Tuhaj-bejowym jestem jeńcem, — rzekł pan Stefan — jemu też okup zapłacę, a z tym watażką nie chcę mieć do czynienia i katu go oddaję.

Zachar, który panu Skrzetuskiemu ułatwił widzenie się z więźniami, odprowadzając go do telegi, również go po drodze pocieszał: "Nie z młodym Poteckim trudno, — z hetmany będzie trudno

Dzieło dopiero poczęte, a jaki będzie koniec — Bóg wie! Hej, nabrali Kozacy i Tatarzy polskiego dobra, ale wziąć a zachować — inna rzecz. A ty się, detyno, nie martw, nie sumuj (nie smuć się), bo i tak wolność odzyskasz — ty ruszysz do swoich, a stary będzie już tużył (tęsknił) po tobie. Na starość najgorzej samemu na świecie. Z hetmany będzie trudno, oj! trudno!"

Rzeczywiście, zwycięstwo, jakkolwiek świetne, nie rozstrzygało bynajmniej sprawy na korzyść Chmielnickiego. Mogło mu ono nawet wypaść na niekorzyść, bo łatwo było przewidzieć, że teraz hetman wielki, mszcząc śmierć syna, ze szczególną zawziętością nastawać będzie na zaporożców i niczego nie omieszka, żeby ich zgnieść odrazu. Hetman wielki oto żywił pewną niechęć do księcia Jeremiego, która, choć pokrywana grzecznością, niemniej objawiała się dość często w rozmaitych okolicznościach. Chmielnicki, wiedząc o tem doskonale, przypuszczał, że teraz niechęć ta ustanie, i że teraz pan krakowski pierwszy wyciągnie rękę do zgody, która kapewni mu pomoc wsławionego wojownika i jego potężnych zastępów. A z tak połączonemi siłami, pod takim wodzem jak książę, Chmielnicki jeszcze mierzyć się nie śmiał, bo sobie dostatecznie nie ufał. Postanowił więc spieszyć się, by razem z wieścią o klęsce żółtowodzkiej stanąć na Ukrainie i uderzyć na hetmanów, nimby pomoc książęca nadejść mogła.

Nie dał więc wypoczynku wojskom i drugiego dnia po bitwie, świtaniem, ruszono w pochód. Pochód to był tak szybki, jak gdyby hetman uciekał. Rzekłbyś, że powódź step zalewa, i pędzi naprzód, i wzbiera wszystkiemi wodami po drodze. Mijano lasy, dąbrowy, mogiły, przeprawiano się przez rzeki bez wytchnienia. Siły kozackie wzrastały po drodze, bo coraz nowe gromady chłopów, uciekających z Ukrainy, łączyły się z niemi ustawicznie. Chłopi przynosili i wieści o hetmanach — ale sprzeczne. Jedni mówili, że książę siedzi jeszcze za Dnieprem, inni, że już się połączył z wojskami koronnemi. Natomiast wszyscy twierdzili, że Ukraina już w ogniu. Chłopi nietylko uciekali na spotkanie Chmielnickiego w Dzikie Pola, ale palili wsie i miasta, rzucali się na swych panów i uzbrajali powszechnie. Wojska koronne biły się już od dwóch tygodni. Wycięto Steblew, pod Derenhowcami zaś przyszło do krwawej bitwy. Kozacy grodowi gdzieniegdzie już przerzucali się na stronę czerni, a wszędzie czekali tylko hasła. Chmielnicki liczył na to wszystko i spieszył się tembardziej.

Nakoniec stanął u progu. Czehryń otworzył mu wrota naościcż. Załoga kozacka przeszła natychmiast pod jego chorągiew. Zburzono dom Czaplińskiego, wyrznięto garść szlachty, szukającej schronienia w mieście. Radosne okrzyki, bicie we dzwony i procesye nie ustawały ani na chwilę. Pożar ogarnął zaraz całą okolicę. Co żyło, chwytało za kosy, piki i łączyło się z Zaporożem. Tłumy niezmierne czerni spływały do obozu ze wszystkich stron — doszły także i radosne, bo pewne wieści, że książę Jeremi ofiarował wprawdzie pomoc hetmanom, ale jeszcze się z nimi nie połączył.

Chmielnicki odetchnął.

Ruszył bez zwłoki naprzód i szedł już wśród buntu, rzezi i ognia. Świadczyły o tem zgliszcza i trupy. Szedł jak lawina, niszcząc wszystko po drodze. Kraj przed nim powstawał, za nim pustoszał. Szedł jak mściciel, jak legendowy smok. Kroki jego wyciskały krew, oddech wzniecał pożary.

W Czerkasach zatrzymał się głównemi siłami, wysławszy naprzód Tatarów pod Tuhaj-bejem i dzikiego Krzywonosa, którzy dognali hetmanów pod Korsuniem i uderzyli na nich bez wahania. Ale śmiałość drogo musieli opłacić. Odparci, zdziesiątkowani, zbici na miazgę, cofnęli się w popłochu.

Chmielnicki zerwał się i szedł im w pomoc. Po drodze doszła go wieść, że pan Sieniawski w kilka chorągwi połączył się z hetmanami, którzy opuścili Korsuń, i ciągnął do Bohusławia. Było to prawdą. Chmielnicki zajął Korsuń bez oporu i pozostawiwszy w nim wozy, zapasy żywności, słowem cały tabor, komunikiem (konno) pognał się za nimi.

Nie potrzebował gonić długo, gdyż nie uszli jeszcze daleko. Pod Krutą Bałką przednie jego straże natknęły się na polski tabor.

Panu Skrzetuskiemu nie było danem widzieć bitwy, gdyż razem z taborem został w Korsuniu. Zachar umieścił go w rynku, w domu pana Zabokrzyckiego, którego czerń poprzednio powiesiła, — i postawił straż z niedobitków Mirhorodzkiego kurzenia, bo tłuszcza ciągle rabowała domy i mordowała każdego, kto się jej wydał Lachem. Przez wybite okna widział pan Skrzetuski gromady pijanych chłopów, krwawych, z pozawijanymi rękawami u koszul, włóczących się od domu do domu, od sklepu do sklepu, i przeszukających wszystkie kąty, strychy, poddasza, a kiedyniekiedy wrzask straszliwy oznajmiał, że znaleziono szlachcica, Żyda, mężczyznę,

kobietę lub dziecię. Wyciągano ofiarę na rynek i pastwiono się nad nią w sposób najstraszliwszy.. Tłuszcza biła się z sobą o resztki ciał, obmazywała sobie z rozkoszą krwią twarze i piersi, okręcała szyje dymiącemi jeszcze trzewiami. Chłopi chwytali małe Żydzięta za nogi i rozdzierali wśród szalonego śmiechu tłumów. Rzucano się i na domy otoczone strażą, w których zamknięci byli znakomitsi jeńcy, zostawieni przy życiu dlatego, że spodziewano się po nich znacznego okupu. Wówczas zaporożcy lub Tatarzy, stojący na straży, odpierali tłum, grzmocąc po łbach napastników drzewcami od pik, łukami lub batami z byczej skóry. Tak było przy domu pana Skrzetuskiego. Zachar kazał ćwiczyć chłopstwo bez miłosierdzia, mirhorodzcy spełniali z rozkoszą rozkaz, niżowi bowiem przyjmowali chętnie w czasie buntów pomoc czerni, ale pogardzali nią bez porównania więcej od szlachty. Przecie niepróżno zwali się "szlachetne urożonymi (urodzonymi) Kozakami!" Sam Chmielnicki darowywał potem niejednokrotnie znaczną ilość czerni Tatarom, którzy gnali ją do Krymu i stamtąd sprzedawali do Turcyi i Azyi Mniejszej.

Tłum więc szalał na rynku i dochodził do tak dzikiego opętania, że w końcu począł się wzajemnie mordować. Dzień zapadał. Zapalono całą jedną stronę rynku, cerkiew i dom parocha (proboszcza prawosławnego). Szczęściem wiatr zwiewał ogień ku polu i przeszkadzał szerzeniu się pożaru. Ale łuna olbrzymia oświeciła cały rynek tak jasno, jak promienie słoneczne. Zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Zdala dochodził straszliwy huk dział — widocznie bitwa pod Krutą Bałką stawała się coraz zaciętsza.

— Gorąco tam musi być naszym! — mruczał stary Zachar. — Hetmani nie żartują. Hej! pan Potocki szczery żołnir (żołnierz).

Potem wskazał przez okno czerń.

— No! — rzekł — oni teraz hulają, ale jeśli Chmiel będzie pobity, to i nad nimi pohulają!

W tej chwili rozległ się tętent, i na rynek wpadło na spienionych koniach kilkudziesięciu jeźdźców. Twarze ich zczerniałe od prochu, odzież w nieładzie i poobwiązywane szmatami głowy niektórych świadczyły, iż pędzą wprost z bitwy.

— Ludi! kto w Boha wiryt, spasajteś! Lachy bijut naszych! (Ludzie, kto w Boga wierzy, uciekajcie! Polacy biją naszych!) — krzyczeli w niebogłosy.

Podniósł sie wrzask i zamieszanie. Tłum rozkołysał się jak fa-

targnięta wichrem. Nagle dziki popłoch opanował wszystkich. Rzucono się do ucieczki, ale że ulice były zatłoczone wozami, a jedna część rynku w ogniu, więc nie było kędy uciekać.

Czerń poczęła się tłoczyć, krzyczeć, bić, dusić i wyć o miłosierdzie, choć nieprzyjaciel był jeszcze daleko.

Namiestnik, zasłyszawszy co się dzieje, mało nie oszalał z radości; począł biegać po izbie jak obłąkany, rękoma bić się w piersi z całej siły i wołać;

— Wiedziałem, że tak się stanie! wiedziałem! jakom żyw! To z hetmany sprawa! to z całą Rzecząpospolitą! Godzina kary nadeszła! Co to?

Znów rozległ się tętent, i tym razem do kilkuset jeźdźców, samych Tatarów, zjawiło się na rynku. Uciekali widocznie na ślepo. Tłum zastępował im drogę, oni rzucili się w tłum, tratowali go, bili, rozpędzali, siekli, prąc końmi ku gościńcowi wiodącemu do Czerkas.

— Uciekają jak wicher! — zawołał Zachar.

Ledwo wymówił, przeleciał drugi oddział, za nim trzeci. Zdawało się, że ucieczka jest powszechną. Straże przy domach poczęły kręcić się i również okazywać chęć do ucieczki. Zachar wypadł przed ganek.

— Stać! — krzyknął na swych mirhorodców.

Dym, gorąco, zamieszanie, tętent koni, głosy trwogi, wycie tłumów oświeconych pożarem, wszystko to zlało się w jeden piekielny obraz, na który namiestnik z okna spoglądał.

— Co tam za pogrom być musi! co tam za pogrom! — wołał do Zachara, nie zważając, iż ten radości jego nie mógł podzielać.

Tymczasem znów oddział uciekających przemknął jak błyskawica.

Huk dział wstrząsnął posadami domów korsuńskich.

Nagle głos jakiś przeraźliwy, tuż pod domem, począł krzyczeć:

— Ratujcie się! Chmiel zabit! Krzeczowski zabit! Tuhajbej zabit!

Na rynku nastał prawdziwy koniec świata.

Ludzie w obłąkaniu rzucali się w płomienie. Namiestnik padł na kolana i ręce wzniósł do góry:

— Boże wszechmocny! Boże wielki i sprawiedliwy! chwała Tobie na wysokościach.

Zachar przerwał mu modlitwę, wpadłszy z przedsieni do izby.

— A bywajno, detyno! — zawołał zdyszany — wyjdź i obiecaj łaskę mirhorodcom, bo chcą uchodzić, a jak ujdą, czerń tu wpadnie!

Skrzetuski wyszedł na ganek. Mirhorodcy kręcili się niespokojnie przed domem, okazując niekłamaną ochotę opuścić stanowisko i pierzchnąć gościńcem, wiodącym do Czerkas. Strach opanował wszystkich w mieście. Raz wraz nowe oddziały rozbitków nadlatywały jakby na skrzydłach od strony Krutej Bałki. Uciekali chłopi, Tatarzy, Kozacy grodowi i zaporożcy w największem pomieszaniu. A jednak główne siły Chmielnickiego musiały jeszcze dawać opór, bitwa nie musiała być jeszcze zupełnie rozstrzygnięta, gdyż działa grały ze zdwojoną siłą.

Skrzetuski zwrócił się ku mirhorodcom:

— Zato, iżeście strzegli wiernie osoby mojej, — rzekł wyniośle — nie potrzebujecie ucieczką się ratować, gdyż obiecuję wam instancyę (wstawienie się) i łaskę u hetmana.

Mirhorodcy co do jednego odkryli głowy, a on ujął się pod boki i spoglądał dumnie na nich i na rynek, który pustoszał coraz bardziej. Co za zmniana losu! Oto pan Skrzetuski, niedawno jeniec wleczony za kozackim taborem, stał teraz między zuchwałem kozactwem jako pan między poddaństwem, jako szlachcic między gminem, jako husarz z pancernego znaku między obozowymi ciury. On, jeniec, łaskę teraz obiecywał — i głowy odkrywały się na jego widok, a pokorne głosy wołały tym posępnym, przeciągłym, oznaczającym przestrach i poddanie się tonem:

— Pomyłujte, panie (miłuj się, panie)!

— Jakom powiedział, tak się stanie! — rzekł namiestnik.

Jakoż istotnie pewien był swej instancyi u hetmana, któremu był znajomy, bo nieraz listy od księcia Jeremiego do niego woził i względy jego umiał pozyskać. Stąd tedy, trzymając się pod boki i radość biła mu z oblicza, oświeconego jasno blaskiem pożaru.

— Ot, wojna skończona! ot, fala u progu rozbita! — myślał. — Pan Czarniecki miał słuszność: niespożytą jest siła Rzplitej, niezachwiana jej potęga.

A gdy tak myślał, duma rozsadzała mu piersi; nie nizka duma, płynąca ze spodziewanego nasycenia zemsty, z upokorzenia wroga, ani z odzyskania wolności, której za chwilę już się spodziewał, ani z tego, że czapkowano przed nim teraz, — ale czuł się dumnym, że jest synem tej Rzplitej zwycięskiej, przepotężnej, o której bramy wszelka złość, wszelki zamach, wszelkie ciosy tak rozbijają się i kru-

szą, jako mocy piekielne o bramy nieba. Czuł się dumnym, jako szlachcic patryota, że w zwątpieniu był pokrzepion, a w wierze nie zawiedzion. Zemsty już nie pragnął.

— Pogromiła jak królowa, wybaczy jak matka — myślał.

Tymczasem huk dział zmienił się w grzmot nieustający.

Kopyta końskie zaszczękały znów po pustych ulicach. Na rynek wleciał jak piorun, na nieosiodłanym koniu, Kozak bez czapki, w jednej koszuli, z twarzą rozciętą mieczem i buchającą krwią. Wleciał, konia osadził, ręce rozkrzyżował i, chwytając oddech otwartemi usty, krzyczeć począł:

— Chmel bije Lachiw! Pobyty jasno wielmożny pany, hetmany i pułkownyki, łycari i kawalery!

To rzekłszy, zachwiał się i na ziemię runął. Mirhorodcy skoczyli mu na pomoc.

Płomień i bladość przeleciały przez oblicze pana Skrzetuskiego.

— Co on mówi? — rzekł gorączkowo do Zachara. — Co się stało? Nie może to być! Na Boga żywego! nie może to być!

Cisza... Tylko płomienie syczą na przeciwległej stronie rynku, trzaskają snopy iskier, a czasem przepalone domostwo runie z łoskotem.

Aż oto nowi jacyś gońce lecą:

— Pobyty Lachi! pobyty!

Za nimi ciągnie oddział Tatarów — idą zwolna, bo otaczają pieszych, widocznie jeńców.

Pan Skrzetuski oczom nie wierzy. Poznaje doskonale na jeńcach barwę hetmańskich husaryi — więc w ręce plaszcze i jakimś dziwnym, nieswoim głosem powtarza uporczywie:

— Nie może być! nie może być!

Huk armat słychać jeszcze. Bitwa nie skończona. Przez wszystkie niepopalone ulice napływają jednak tłumy zaporożców i Tatarów. Twarze ich czarne, piersi dyszą ciężko — ale wracają jakby upojeni, śpiewają pieśni.

Tak wracają żołnierze po zwycięstwie

Namiestnik pobladł jak trup.

— Nie może być! — powtarzał coraz chrapliwiej — nie może być... Rzeczpospolita...

Nowy przedmiot zwraca jego uwagę.

Wchodzą semenowie Krzeczowskiego, niosąc całe pęki chorągwi. Przyjeżdżają na środek rynku i rzucają je na ziemię.

Niestety — polskie!

Huk armat słabnie, w oddali słychać turkot nadchodzących wozów. Jedzie naprzód jedna wysoka kozacka telega, za nią szereg innych, wszystkie otoczone przez Kozaków Paszkowskiego kurzenia, w żółtych czapkach; przechodzą tuż koło domu, przy którym zatrzymali się mirhorodcy. Pan Skrzetuski rękę do czoła przytknął, bo go blask pożaru oślepiał, i wpatrzył sięw postacie jeńców, siedzących na pierwszym wozie.

Nagle cofnął się wtył, rękoma począł bić powietrze, jak człowiek trafiony strzałą w piersi, z ust zaś wyrwał mu się krzyk straszny, nadludzki:

— Jezus, Marya! to hetmani!

I padł na ręce Zachara, oczy zaszły mu bielmem, a twarz stężała i zakrzepła tak jak u ludzi umarłych.

W kilka chwil później trzech jeźdźców na czele niezliczonych pułków wjeżdżało na rynek korsuński. Środkowy, ubrany w czerwień, siedział na białym koniu i wspierając się pod bok pozłocistą buławą, spoglądał dumnie jak król.

Był to Chmielnicki. Po obu stronach jechali Tuhaj-bej i Krzeczowski.

Rzeczpospolita leżała w prochu i krwi u nóg Kozaka.

XVI.

Upłynęło kilka dni. Ludziom zdawało się, że sklepienie runęło nagle na Rzeczpospolitą. Żółte Wody, Korsuń, zniesienie wojsk koronnych, zawsze dotąd w walkach z Kozakami zwycięskich, wzięcie hetmanów, pożar straszliwy na całej Ukrainie, rzezie, mordy niesłychane od początku świata, wszystko to zwaliło się tak nagle, że ludzie prawie wierzyć nie chcieli, aby tyle klęsk mogło przyjść na jeden kraj odrazu. Wielu też niewierzyło, inni odrętwieli z przerażenia, inni dostali obłąkania, inni przepowiadali przyjście Antychrysta i bliskość sądu ostatecznego. Przerwały się wszystkie węzły społeczne, wszelkie stosunki ludzkie i rodzinne. Ustała wszelka władza, znikły różnice między ludźmi. Piekło odczepiło z łańcuchów wszystkie zbrodnie i puściło je na świat, by pohulały; więc mord, grabież, wiarołomstwo, rozbestwienie się, gwałt, rozbój

i szaleństwo zastąpiły pracę, uczciwość, wiarę i sumienie. Zdawało się, że odtąd ludzkość już nie dobrem, ale złem tylko żyć będzie; że się przeinaczyły serca i umysły i poczytują sobie to za święte co dawniej było bezecnem, a za bezecne co dawniej było świętem. Słońce nie świeciło już nad ziemią, bo je zasłaniały dymy pożarów, a nocami, zamiast gwiazd i księżyca, świeciły pożogi. Płonęły miasta, wsie, kościoły, dwory, lasy. Ludzie przestali mówić, jeno jęczeli, albo wyli jak psy. Życie straciło wartość. Tysiące ginęły bez echa, bez wspomnienia. A z tych wszystkich klęsk, mordów, jęków, dymów i pożarów, podnosił się tylko jeden człowiek coraz wyżej i wyżej, olbrzymiał coraz straszliwiej, zaciemniał już niemal światło dzienne, rzucał cień od morza do morza.

Był to Bohdan Chmielnicki.

Dwieście tysięcy ludzi, zbrojnych i upojonych zwycięstwy, stało teraz gotowych na jego skinienie. Czerń powstawała wszędzie; Kozacy grodowi łączyli się z nim po wszystkich miastach. Kraj od Prypeci od krańców pustyń był w ogniu. Powstanie szerzyło się w województwach Ruskiem, Podolskiem, Wołyńskiem, Bracławskiem, Kijowskiem Czernihowskiem. Potęga hetmana rosła codzień. Nigdy Rzplita nie wystawiła przeciw najstraszniejszemu wrogowi połowy tych sił, któremi on teraz rozporządzał. Równych nie miał w gotowości i cesarz niemiecki. Burza przeszła wszelkie oczekiwania. Sam hetman początkowo nie uznawał własnej potęgi i nie rozumiał, jak wyrósł już wysoko. Sprawiedliwością, prawem i wiernością dla Rzplitej jeszcze się osłaniał, bo nie wiedział, że te wyrazy mógł już deptać. Wszelako, w miarę sił, wzrastał w nim i ów niezmierny, bezwiedny egoizm (samolubstwo), któremu równego historya nie zaznacza. Pojęcia złego i dobrego, zbrodni i cnoty, gwałtu i sprawiedliwości, zlały się w duszy Chmielnickiego w jedno z pojęciami własnej krzywdy lub własnego dobra. Ten mu był cny (zacny), kto był z nim; ten zbrodniarz, kto przeciw niemu. Gotów był biadać na słońce i poczytywać to sobie za osobistą krzywdę, gdyby nie świeciło wówczas gdy on potrzebował. Ludzi, wypadki i świat cały mierzył własnem "ja." I mimo całej chytrości, całej hypokryzyi (obłudy) hetmana, była jakaś potworna dobra wiara w takim jego poglądzie. Wypływały z niego wszystkie występki Chmielnickiego, ale i czyny dobre; bo jeśli nie znał miary w znęcaniu się i okrucieństwie nad wrogiem, natomiast umiał być wdzięcznym za wszystkie, choćby mimowolne usługi, które mu oddawano. Tyl-

ko gdy był pijany, wówczas zapominał i o dobrodziejstwach, i, rycząc z szaleństwa, wydawał spienionemi usty krwawe rozkazy, których żałował później. A w miarę jak rosło jego powodzenie, pijany bywał coraz częściej, bo coraz większy ogarniał go niepokój. Zdawaćby się mogło, że tryumfy zaprowadziły go na takie wyżyny, na które sam wstąpić nie chciał. Jego potęga przerażała innych, ale i jego samego. Olbrzymia rzeka buntu, porwawszy go, niosła z błyskawiczną szybkością i nieubłaganie, ale dokąd? Jak się to wszystko miało skończyć? Poczynając bunt w imię krzywd własnych, mógł ten kozacki dyplomata liczyć, że po pierwszych powodzeniach, lub nawet po klęskach, rozpocznie układy, że zaofiarują mu przebaczenie, zadosyćuczynienie i nagrodę za krzywdy i szkody. Znał on dobrze Rzplitą, jej cierpliwość tak nieprzebraną jak morze, jej miłosierdzie nie znające granic i miary, które płynęło nie tylko ze słabości, boć przecie Nalewajce, otoczonemu już i zgubionemu, jeszcze ofiarowano przebaczenie. Wszelako teraz, po zwycięstwie na Żółtych Wodach, po zniesieniu hetmanów, po rozpaleniu wojny domowej we wszystkich południowych województwach, rzeczy zaszły zbyt daleko, wypadki przerosły wszelkie oczekiwanie — teraz walka musiała się toczyć na śmierć i życie.

A na czyją stronę miało paść zwycięstwo?

Chmielnicki pytał wróżbitów i gwiazd się radził i sam wytężał oczy w przyszłość — ale widział przed sobą tylko ciemność. Więc czasem straszny niepokój podnosił mu włosy na głowie, a w piersi zrywała się rozpacz jak wicher. Co będzie? co będzie? Bo Chmielnicki, patrząc bystrzej od innych, rozumiał zarazem lepiej od wielu, że Rzplita nie umie użyć swych sił i sama o tem nie wie, ale jest potęgą olbrzymią. Gdyby jaki człowiek schwycił w ręce tę potęgę, wtedy ktoby mu się oparł? A któż mógł zgadnąć, czy straszne niebezpieczeństwo, czy bliskość przepaści i zguby nie potłumi zamieszek, niezgody wewnętrznej, prywaty, zawiści panów, warcholstwa, gadanin sejmowych, swawoli szlacheckiej, bezsilności króla? Wtedyby pół miliona samego tylko herbowego ludu mogło wyruszyć w pole i zgnieść Chmielnickiego choćby go nietylko chan krymski, ale i sam sułtan turecki wspomagał.

O tej uśpionej potędze Rzplitej wiedział prócz Chmielnickiego i zmarły król Władysław, i dlatego całe życie pracował nad tem, by z największym w świecie mocarzem rozpocząć walkę na śmierć, bo tylko w ten sposób potęga owa przywołaną do życia być mogła.

Gwoli temu przekonaniu, nie wahał się król rzucać iskier na prochy kozackie. Byłoli przeznaczone istotnie Kozakom wywołać tę powódź, by w niej utonąć nareszcie?

Chmielnicki zrozumiał i to także, jak, mimo całej słabości, straszny był opór tej Rzplitej. W taką bezładną, źle powiązaną, rozdartą, swawolną, nierządną, biły przecie najgroźniejsze ze wszystkich fale tureckie — i rozbijały się o nią jak o skałę. Tak było pod Chocimiem, na co własnemi niemal oczyma patrzał. Jednak ta Rzplita, nawet w chwilach swej słabości, zatykała swe chorągwie na wałach obcych stolic. Jakiż tedy da odpór? czego nie dokaże przywiedziona do rozpaczy, gdy będzie musiała umrzeć albo zwyciężyć?

Wobec tego każdy tryumf Chmielnickiego był nowem dla niego niebezpieczeństwem, bo zbliżał chwilę przebudzenia się lwa drzemiącego i czynił bardziej niemożliwymi układy. W każdem zwycięstwie leżała przyszła klęska, w każdem upojeniu na dnie — gorycz. Teraz na burzę kozacką miała przyjść burza Rzeczypospolitej. Chmielnickiemu wydawało się, że już słyszy jęk głuchy, daleki huk.

Oto z Wielkopolski, Prus, rojnego Mazowsza, Małopolski i Litwy nadejdą tłumy wojowników — trzeba im tylko wodza.

Chmielnicki wziął w niewolę hetmanów, ale i przez tę szczęśliwość przeglądała jakby zasadzka losu. Hetmani byli doświadczonymi wojownikami, ale żaden z nich nie był człowiekiem, jakiego wymagała ta chwila grozy, przerażenia, klęski.

Wodzem mógł być teraz jeden tylko człowiek

Zwał się on: książę Jeremi Wiśniowiecki.

Właśnie dlatego, że hetmani poszli w niewolę, wybór prawdopodobnie miał paść na księcia. Chmielnicki nie wątpił o tem na równi ze wszystkimi.

A tymczasem do Korsunia, w którym hetman zaporoski zatrzymał się po bitwie dla odpoczynku, dolatywały z Zadnieprza wieści, że straszny książę ruszył już z Łubniów, że po drodze depce bunt niemiłosiernie, że po przejściu jego znikają wsie, słobody, futory i miasteczka, a natomiast jeżą się krwawe pale i szubienice. Przestrach dwoił i troił liczbę sił jego. Mówiono, że prowadzi piętnaście tysięcy najlepszego wojska, jakie być mogło w całej Rzeczypospolitej

W obozie kozackim spodziewano się go lada chwila. Wkrótce po bitwie pod Krutą Bałką okrzyk "Jarema idzie!" rozległ się mię-

dzy Kozakami i rzucił popłoch między czerń, która poczęła ślepo uciekać. Popłoch ten zastanowił głęboko Chmielnickiego.

Miał teraz do wyboru: albo ruszyć z całą potęgą przeciw księciu i szukać go na Zadnieprzu, albo, zostawiwszy część sił na zdobywanie zamków ukraińskich, ruszyć w głąb Rzeczypospolitej.

Wyprawa na księcia była niebezpieczną. Mając do czynienia z tak wsławionym wodzem, Chmielnicki mógł ponieść klęskę w walnej bitwie, i wówczas wszystko byłoby stracone odrazu. Czerń, która stanowiła ogromną większość, złożyła świadectwo, że zmyka na samo imię Jaremy. Trzeba było czasu, żeby ją zmienić w wojsko, mogące stawić czoło książęcym regimentom (pułkom).

Z drugiej strony, książę prawdopodobnie nie przyjąłby walnej bitwy, ale poprzestał na obronie w zamkach i częściowej wojnie, która w takim razie musiałaby trwać całe miesiące, jeżeli nie lata, a przez ten czas Rzplita zebrałaby niechybnie nowe siły i ruszyła w pomoc księciu.

Chmielnicki więc postanowił pozostawić Wiśniowieckiego na Zadnieprzu, by się umocnić na Ukrainie, zorganizować nowe siły i następnie, ruszywszy do Rzeczypospolitej, zmusić ją do układów. Liczył on na to, że gaszenie buntu na samem tylko Zadnieprzu zajmie nadługo wszystkie siły książęce, a jemu da wolne pole. Bunt za Zadnieprzu obiecywał sobie podsycać, wysyłając pojedyncze pułki w pomoc czerni.

Nakoniec sądził, że będzie można łudzić księcia układami i zwłóczyć, czekając, póki się jego siły nie wykruszą. W tym celu przypomniał sobie Skrzetuskiego.

W kilka dni po Krutej Bałce, w sam dzień popłochu między czernią, kazał przyzwać przed siebie Skrzetuskiego.

Przyjął go w domu starościńskim, w asystencyi (towarzystwie) jednego tylko pana Krzeczowskiego, który Skrzetuskiemu był zdawna znajomy, i powitawszy łaskawie, choć nie bez wyniosłości, odpowiedniej dzisiejszej jego szarży (godności), rzekł:

— Mości poruczniku Skrzetuski, za usługę, którą mi wyświadczyłeś, wykupiłem cię od Tuhaj-beja i obiecałem wolność. Teraz godzina nadeszła. Dam ci piernacz (1), byś mógł swobodnie przejechać, jeśliby cię wojska jakie spotkały, i straż do obrony od czerni. Możesz wracać do swego księcia.

(1) Buława pułkownikowska kozacka, która zastępowała między Kozakami list żelazny.

Skrzetuski milczał. Żaden uśmiech radości nie ukazał się na jego twarzy.

— Możeszże ruszyć w drogę? bo widzę, że ci coś choroba z oczu przegląda.

Rzeczywiście pan Skrzetuski wyglądał jak cień. Rany i ostatnie wypadki zwaliły z nóg tego olbrzymiego młodziana, który takie teraz miał pozory, jakby nie obiecywał jutra dożyć. Twarz mu pożółkła, a czarna broda, nieostrzyżona oddawna, podnosiła jeszcze mizeryę (wynędzniałość) oblicza. Pochodziło to z utrapień wewnętrznych. Rycerz omal się nie zagryzł. Wleczony za obozem kozackim, był przecie świadkiem wszystkiego, co się od wyruszenia z Siczy zdarzyło. Widział hańbę i klęskę Rzplitej, hetmanów w niewoli; widział tryumfy kozackie, piramidy poukładane z głów odciętych poległym żołnierzom, szlachtę wieszaną za żebra, odrzynane piersi niewiast, profanacyę (bezczeszczenie) panien, widział rozpacz odwagi, ale i nikczemność strachu — widział wszystko, przecierpiał wszystko i cierpiał tembardziej, że mu w głowie i w piersiach utkwiła nożem myśl, że to on sam pośredni sprawca, bo przecie on, nie kto inny, oderznął Chmielnickiego od powroza. Ale czy mógł się spodziewać rycerz chrześcijański, że ratunek podany bliźniemu takie wyda owoce? Więc ból jego nie miał dna.

A gdy się siebie spytał, co się dzieje z Heleną, i gdy pomyślał, co mogło się zdarzyć, jeśli złe losy zatrzymały ją w Rozłogach, to ręce ku niebu wyciągał i wołał głosem, w którym drgała bezdenna rozpacz i prawie groźba: "Boże! weźże duszę moją, bo już tu mam więcej, niżem zasłużył!" Potem spostrzegał się, że bluźni, więc na twarz padał i prosił o ratunek, o przebaczenie, o zmiłowanie nad ojczyzną, i nad owym gołębiem niewinnym, co może tam naprózno wzywał Bożej i jego pomocy. Krótko mówiąc, przebolał tak, że już go teraz nie uradowała darowana wolność, a ten hetman zaporoski, ten tryumfator, który chciał być wspaniałym, łaskę mu swą okazując, nie imponował mu już zgoła; spostrzegłszy to, Chmielnicki zmarszczył się i rzekł:

— Śpieszże się korzystać z łaski, abym zaś się nie rozmyślił, gdyż cnota to tylko moja i ufność w dobrą sprawę czyni mnie tak nieopatrznym, że wroga sobie przysparzam, bo to wiem dobrze, że przeciw mnie walczyć będziesz.

Na to pan Skrzetuski:

— Jeśli Bóg da sił!

I spojrzał tak na Chmielnickiego, że aż mu w głąb duszy zajrzał, a hetman, wzroku tego znieść nie mogąc, utkwił oczy w ziemię i dopiero po chwili ozwał się:

— Mniejsza o to. Zbyt potężny jestem, by mi jeden cherlak coś znaczył. Opowiesz też księciu swojemu panu, coś tu widział i przestrzeżesz go, by sobie mniej zuchwale poczynał, bo gdy mnie cierpliwości nie stanie, to go odwiedzę na Zadnieprzu, a nie wiem, czyby mu była miła moja wizyta.

Skrzetuski milczał.

— Mówiłem i powtarzam raz jeszcze, — mówił dalej Chmielnicki, — nie z Rzplitą, ale z panięty wojnę prowadzę, a książę między niemi w pierwszym rzędzie. Wróg to mój i ludu ruskiego, odszczepieniec od naszego kościoła i okrutnik. Słyszę, bunt we krwi gasi; niechże baczy (uważa), by swojej nie przelał!

Tak mówiąc, podniecał się coraz bardziej, aż krew jęła mu do twarzy uderzać, a oczy ciskały płomienie. Widno było, że go chwyta paroksyzm (napad) gniewu i złości, w których tracił pamięć i przytomność całkowicie.

— Na powrozie każę go tu Krzywonosowi przywieść! — krzyczał — pod nogi go sobie zegnę, na konia po jego grzbiecie wsiadać będę!

Skrzetuski patrzał zgóry na miotającego się Chmielnickiego poczem odrzekł spokojnie:

— Zwycięż go wprzódy.

— Jaśnie wielmożny hetmanie! — rzecze Krzeczowski — niechże ten zuchwały szlachcic już jedzie, bo nie wypada dla twojej godności, byś się gniewem przeciw niemu unosił, a gdy mu wolność obiecałeś, liczy on na to, że albo słowo złamiesz, albo jego inwektyw (szkalowań) słuchać musisz.

Chmielnicki opamiętał się, posapał chwilę, poczem rzekł:

— Niechże tedy jedzie, aby zaś wiedział, iż Chmielnicki dobrem za złe płaci; dać mu piernacz, jakom rzekł, i sorokę (czterdziestkę) Tatarów, którzy go do samego obozu odprowadzą.

Potem, zwracając się do Skrzetuskiego, dodał:

— Ty zaś wiedz, że teraz kwita. Polubiłem cię, mimo twej zuchwałości, ale gdy się jeszcze raz w moje ręce dostaniesz, nie wywiniesz się!

Skrzetuski wyszedł z Krzeczowskim.

— Gdy cię hetman puszcza z całą szyją — rzekł Krzeczowski — i możesz jechać dokąd chcesz, tedy ci powiem po starej znajomości: salwuj się (ratuj się ucieczką) choćby do Warszawy, nie na Zadnieprze, bo stamtąd żywa noga wasza nie ujdzie. Wasze czasy minęły. Gdybyś miał rozum, do nasbyś przystał, ale wiem, że próżno ci to mówić. Poszedłbyś wysoko, jak my pójdziemy.

— Na szubienicę! — mruknął Skrzetuski.

— Nie chcieli mi dać starostwa Lityńskiego, a teraz sam nie jedno, ale dziesięć wezmę. Wypędzimy precz panów Koniecpolskich, a Kalinowskich, a Potockich, a Lubomirskich i Wiśniowieckich, Zasławskich i wszystką szlachtę, i sami się ich majętnościami podzielimy, co też i po Bożej musi być myśli, gdy nam już dwie tak znaczne dał wiktorye (zwycięztwa).

Skrzetuski, nie słuchając gadaniny pułkownika, zamyślił się o czem innem, ten zaś mówił dalej:

— Gdym po bitwie i naszej wiktoryi widział w Tuhajowej kwaterze w łyczkach mego pana i dobrodzieja, jaśnie wielmożnego hetmana koronnego, zaraz on mnie niewdzięcznikiem i Judaszem mianować raczył. A ja mu na to: "JW. wojewodo! nie jestem ja niewdzięcznikiem, bo gdy już w twoich zamkach i dobrach zasiądę, przyrzecz mi jeno, że się nie będziesz napijał — to cię podstarościm swoim zrobię!" Ho! ho! obłowi się Tuhaj-bej na tych ptakach, które połapał — i dlatego ich szczędzi — gdyby nie to, inaczejbyśmy z Chmielnickim z nimi pogadali. Ale ot! wóz dla ciebie gotowy i Tatary już w ordynku (szyku wojennym). Dokąd tedy życzysz jechać?

— Do Czehrynia.

— Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Ordyńcy odwiodą cię choćby do samych Łubniów, bo taki mają rozkaz. Staraj się jeno, żeby ich twój książę na pal nie kazał powsadzać, coby z Kozakami pewno uczynił. Dlatego też dali ci Tatarów. Hetman ci i konia twego kazał oddać. Bywajże zdrów, a wspominaj nas dobrze; księciu się kłaniaj od naszego hetmana, a jeśli będziesz mógł, to go namów, by przyjechał Chmielnickiemu się pokłonić. Może łaskę znajdzie. Bywaj zdrów!

Skrzetuski siadł na wóz, który ordyńcy zaraz otoczyli dokoła, i ruszono w drogę. Przez rynek trudno było przejechać, bo cały zapchany był zaporożcami i czernią. Jedni i drudzy warzyli sobie kaszę, śpiewając pieśni o zwycięstwie żółtowodzkiem i korsuńskiem, ułożone przez ślepców-lirników, których mnóstwo pościągało ze-

wsząd do obozu. Między ogniami, obejmującymi kotły z kaszą, leżały tu i owdzie ciała pomordowanych kobiet, nad któremi odbywała się w nocy orgia, lub sterczały piramidki z głów, uciętych po bitwie zabitym i rannym żołnierzom. Ciała owe i głowy poczynały się już psuć i wydawać zgniły zapach, który jednakże nie zdawał się być wcale przykrym dla zgromadzonych tłumów. Miasto nosiło na sobie ślady spustoszeń i dzikiej swawoli zaporożców: okna i drzwi były powyrywane, zdruzgotane szczątki tysiącznych przedmiotów, pomieszane z kwapiem i słomą, zawalały rynek. Okapy domów przybrane były wisielcami, po większej części z Żydowstwa, a tłuszcza bawiła się tu i owdzie, czepiając się nóg wisielców i huśtając się na nich.

W jednej stronie rynku czerniały zgliszcza pogorzałych domów a między nimi farnego kościoła; od zgliszcz biło jeszcze gorąco i, podnosiły się dymy. Woń spalenizny przenikała powietrze. Za spalonymi domami stał kosz, obok którego pan Skrzetuski musiał przejeżdżać, i tłumy jasyru, pilnowane przez gęste straże tatarskie. Kto się z okolic Czehrynia, Czerkas i Korsunia nie zdołał schronić, lub nie padł pod siekierą czerni, ten poszedł w lyka. Byli więc między jeńcami i żołnierze wzięci do niewoli w obu bitwach, i mieszkańcy okoliczni, którzy się dotąd nie mogli lub nie chcieli do buntu przyłączyć, ludzie ze szlachty osiadłej lub ze szlacheckiego gminu, podstarościowie, oficyaliści, futornicy (właściciele folwarków), drobna szlachta z zaścianków obojej płci i dzieci. Starców nie było, bo ich jako niezdatnych na sprzedaż Tatarzy mordowali. Pozagarniali oni również całe wsie i osady ruskie, czemu Chmielnicki nie śmiał się sprzeciwiać. W wielu miejscowościach zdarzyło się, że mężowie poszli do obozu kozackiego, a w nagrodę za to Tatarzy popalili ich chaty i pobrali żony i dzieci. Ale w ogólnem rozpętaniu się i zdziczeniu dusz nikt o to nie pytał; nikt się nie upominał. Czerń, która chwytała za broń, wyrzekała się wiosek rodzinnych, żon i dzieci. Brali im żony, brali i oni — i lepsze, bo "Laszki," które po nasyceniu się ich wdziękami, mordowali, lub odprzedawali ordyńcom. Między jeńcami nie brakło też "mołodyć" ukraińskich, powiązanych po trzy, po cztery na jednym stryczku, razem z pannami szlacheckich domów. Niewola i niedola równała stany. Widok tych istot wstrząsał do głębi duszę i budził żądzę zemsty. Poobdzierane, półnagie, narażone na sromotne żarty pohańców, włóczących się gromadami przez ciekawość po majdanie, potrąco-

ne, bite lub całowane ohydnemi usty, traciły pamięć i wolę. Niektóre szlochały lub zawodziły głośno, inne, z oczyma w słup, z obłąkaniem w twarzy i otwartemi ustami, poddawały się biernie wszystkiemu, co je spotykało. Tu i owdzie zrywał się wrzask mordowanego bez litości za wybuch rozpaczonego oporu. Świst bizunów z byczej skóry rozlegał się między gromadami mężczyzn i zlewał się z okrzykami boleści i piskiem dzieci, ryczeniem bydła i rżeniem koni. Jasyr nie był jeszcze rozdzielony i ustawiony w pochodowym porządku, więc wszędzie panowało największe zamieszanie. Wozy, konie, bydło rogate, wielbłądy, owce, kobiety, mężczyźni, stosy złupionych ubiorów, naczyń, makat, broni, — wszystko to natłoczone w jeden ogromny tabor, oczekiwało dopiero podziału i ordynku (uporządkowania). Raz wraz podjazdy przypędzały nowe gromady ludzi i bydła, naładowane promy płynęły przez Ruś, z głównego zaś kosza przybywali coraz nowi goście, by nasycić oczy widokiem zebranych bogactw. Niektórzy, pijani kumysem lub gorzałką, poprzebierani w dziwaczne stroje, bo w ornaty, komże, ruskie riasy (sutanny), lub nawet suknie kobiece, poczynali już spory, kłótnie i jarmarczny wrzask o to, co komu będzie się należało. Czabanowie (pastuchy) tatarscy, siedząc na ziemi między stadami, zabawiali się — jedni wygwizdywaniem na piszczałkach przeraźliwych melodyj, inni grą w kości okładaniem się wzajemnie kijami. Gromady psów, które przyciągnęły tu za swymi panami, ujadały i wyły żałośnie.

Pan Skrzetuski minął wreszcie tę Gehennę (piekło) ludzką, pełną jęków, łez niedoli i piekielnych wrzasków, myślał tedy, że już odetchnie swobodniej, aliści zaraz za taborem nowy straszliwy widok uderzył jego oczy. W dali szarzał kosz właściwy, od którego dochodziło ustawiczne rżenie koni, który mrowił się tysiącami Tatarów, bliżej zaś, na polu, tuż koło gościńca wiodącego do Czerkas, młodzi wojownicy zabawiali się strzelaniem dla wprawy z łuków do jeńców słabszych, lub chorych, którzyby nie mogli wytrzymać długiej drogi do Krymu. Kilkadziesiąt ciał leżało wyrzuconych już na drogę i podziurawionych jak sita; niektóre z nich drgały jeszcze konwulsyjnie. Ci, do których strzelano, wisieli przywiązani za ręce do drzew przydrożnych. Były między nimi i stare kobiety. Śmiechom zadowolenia po trafnych strzałach towarzyszyły okrzyki:

— Jaksze, iegit! — Dobrze, chłopcy!

— Uk jaszek koł! — Łuk w dobrych rękach!

Koło głównego kosza oprawiano tysiące bydła i koni na pokarm wojownikom. Ziemia była zlana krwią. Mdłe wyziewy surowizny tłumiły oddech w piersiach, a między kupami mięsa kręcili się czerwoni ordyńcy z nożami w ręku. Dzień był skwarny, słońce piekło. Ledwie po godzinie drogi wydostał się pan Skrzetuski razem ze swoją eskortą na czyste pola, ale z oddali dochodził długo jeszcze z głównego kosza gwar i ryk bydła. Po drodze znać było ślady przejścia drapieżników. Tu i owdzie popalone sadyby (chaty), sterczące kominy futorów (dworków), potratowana ruń zbóż, drzewa połamane, sady wiśniowe przy chatach wycięte na ogień. Na gościńcu raz wraz leżały to trupy końskie, to ludzkie, pokaleczone okropnie, sine, nabrzmiałe, a na nich i nad nimi stada wron i kruków, zrywające się z wrzaskiem i szumem przed ludźmi. Krwawe dzieło Chmielnickiego rzucało się wszędzie w oczy i trudno było zrozumieć przeciw komu ten człowiek rękę podniósł, bo jego własny kraj jęczał przedewszystkiem pod brzemieniem niedoli.

W Mlejowie spotkali podjazdy tatarskie, pędzące nowe tłumy jeńców. Horodyszcze było spalone do cna. Sterczała tylko murowana dzwonnica kościelna i stary dąb stojący na środku rynku, pokryty strasznym owocem, bo wisiało na nim kilkadziesiąt małych Żydziąt, powieszonych przed trzema dniami. Wymordowano tu również dużo szlachty z Konopanki, Starosiewa, Więzowa, Bałareja i Wodaczewa. Samo miasteczko było puste, bo mężczyźni poszli do Chmielnickiego, a niewiasty, dzieci i starcy uciekli do lasów przed spodziewanem najściem wojsk księcia Jeremiego. Z Horodyszcza jechał pan Skrzetuski na Śmiłę, Żabotyn i Nowosielce do Czehrynia, zatrzymując się tylko tyle po drodze, ile trzeba było na wypoczynek dla koni. Wjechali do miasta na drugi dzień z południa. Wojna oszczędziła miasto, niektóre tylko domy były zburzone, a między nimi Czaplińskiego z ziemią zrównany. W grodzie stał podpułkownik Naokoło-palec, a z nim tysiąc mołojców, ale i on, i mołojcy, i cała ludność żyła w największem przerażeniu, gdyż tu, jak i wszędzie po drodze, wszyscy byli pewni, że książę lada chwila nadciągnie i wywrze zemstę, o jakiej świat nie słyszał. Niewiadomo było, kto puszcza te wieści, skąd one pochodzą; może je tworzył przestrach, dość, że ustawicznie powtarzano, to że książę płynie już Sułą, to że już jest nad Dnieprem, że spalił Wasiutyńce, że wyciął ludność w Borysach, i każde zbliżenie się jeźdźców lub pieszego ludu wywoły-

wało popłoch bez granic. Pan Skrzetuski chwytał chciwie te wieści, bo zrozumiał, że choćby nie były prawdziwe, jednakże tamowały szerzenie się buntu na Zadnieprzu, nad którem ręka książęca ciążyła bezpośrednio.

Skrzetuski chciał dowiedzieć się czegoś pewniejszego od Naokołopalca, ale pokazało się, że podpułkownik, narówno z innymi, nic nie wiedział o księciu i jeszcze sam byłby rad zasięgnąć jakich wiadomości od Skrzetuskiego. A ponieważ przeciągnięto na tę stronę wszystkie bajdaki, czółna i podjazdki, więc i zbiegowie z drugiego brzegu nie przybywali do Czehrynia.

Skrzetuski więc, nie bawiąc dłużej w Czehryniu, kazał się przeprawić i ruszył bez zwłoki do Rozłogów. Pewność, że wkrótce sam przekona się, co się stało z Heleną, i nadzieja, że może jest ocalona, albo też ukryła się razem ze stryjną i kniaziami w Łubniach, wróciła mu siły i zdrowie. Przesiadł się z wozu na koń i gnał bez litości swoich Tatarów, którzy, uważając go za posła, a siebie za prystawów (eskortujących), oddanych pod jego komendę, nie śmieli mu stawić oporu. Lecieli tedy, jakby ich goniono, a za nimi złote kłęby kurzawy, wzbijanej kopytami bachmatów. Mijali sadyby, futory i wioski. Kraj był pusty, siedziby ludzkie wyludnione, tak, że długo nie mogli spotkać żywej duszy. Prawdopodobnie też kryli się wszyscy przed nimi. Tu i owdzie kazał pan Skrzetuski szukać w sadach, pasiekach, po zapolach i strzechach stodół, ale nie mogli znaleźć nikogo.

Dopiero za Pohrebami jeden z Tatarów dostrzegł jakąś postać ludzką, usiłującą skryć się między szuwarami, obrastającymi brzegi Kahamliku.

Tatarzy skoczyli ku rzece i w kilka minut później przywiedli przed pana Skrzetuskiego dwóch ludzi całkiem nagich.

Jeden z nich był to starzec, drugi wysmukły, może piętnasto lub szesnastoletni wyrostek. Obaj kłapali zębami ze strachu i długi czas nie mogli ani słowa przemówić.

— Skąd wy? — spytał pan Skrzetuski.

— My znikąd, panie! — odpowiedział starzec. — Po prośbie chodzim, z lirą, a ot ten niemowa mnie prowadzi.

— Skąd idziecie teraz, z jakiej wsi? Mów śmiało, nic ci nie będzie.

— My, panie, po wszystkich wsiach chodzili, aż nas tu jakiś

czort obdarł. Buty mieli dobre, wziął — czapki mieli dobre, wziął — sukmany z litości ludzkiej dobre, wziął, — i liry nie zostawił.

— Pytam się, kpie, z jakiej wsi idziesz?

— Nie znaju (niewiem), pane — ja did (dziad). Ot my nadzy, nocą marzniem, we dnie szukamy litościwych, coby okryli i nakarmili... my głodni!

— Słuchaj tedy, chłopie, odpowiadaj, o co pytam, bo każę powiesić.

— Ja niczoho ne znaju, pane. Kołyb (gdybym) ja szczo (co), abo szczo, abo bude szczo, to niechaj meni, oto szczo!

Widoczne było, że dziad, nie mogąc sobie zdać sprawy, coby za jeden był ten, co go pyta, postanowił nie dawać żadnych odpowiedzi.

— A w Rozłogach byłeś? tam, gdzie kniaziowie Kurcewicze mieszkają?

— Ne znaju, pane.

— Powiesić go — krzyknął pan Skrzetuski.

— Buw (byłem), pane! zawołał dziad, widząc, że niema żartów.

— Coś tam widział?

— My tam byli pięć dni temu, a potem w Browarkach słyszeli, że tam łycari prijszły (rycerze przyszli).

— Jacy rycerze?

— Ne znaju, pane! Odin każe, Lachi; druhi każe, Kozaki (jeden mówi Polacy, drugi mówi: Kozacy).

— W konie! — krzyknął na Tatarów pan Skrzetuski.

Poczet pomknął. Słońce zachodziło zupełnie jak wówczas, gdy namiestnik po spotkaniu Heleny i kniahini na drodze jechał obok nich przy Rozwanowej karocy. Kahamlik tak samo świecił purpurą, dzień kładł się do snu jeszcze cichszy, pogodniejszy, cieplejszy. Tylko wówczas jechał pan Skrzetuski z piersią pełną szczęścia i budzących się lubych uczuć, a teraz pędził jak potępieniec, gnany wichrem niepokoju i złych przeczuć. Głos rozpaczy wołał mu w duszy: "To Bohun ją porwał! już jej nie ujrzysz więcej!" — a głos nadziei: "To książę! ocalona!" I te głosy tak go rozrywały między siebie, że ledwo nie rozerwały mu serca. Pędzili resztą sił końskich. Upłynęła jedna godzina i druga. Księżyc zeszedł i, wytaczając się coraz wyżej, bladł coraz bardziej. Konie pokryły się pianą i chrapały ciężko. Wpadli w las, mignął jak błyskawica; wpadli w jar, za jarem tuż Rozłogi. Chwila jeszcze, a losy rycerza się rozstrzygną. Tymczasem wiatr świszcze mu w uszach od pędu, czapka

spadła mu z głowy, koń pod nim jęczy, jakby miał paść zaraz. Chwila jeszcze, skok jeszcze i jar się roztworzy. Już, już!

Nagle krzyk nieludzki, straszny, wyrwał się z piersi pana Skrzetuskiego.

Dwór, lamusy, stajnie, stodoły, częstokół i sad wiśniowy — wszystko znikło.

Blady księżyc oświeca wzgórze, a na niem kupę czarnych zgliszcz, które przestały już nawet dymić.

Milczenia nie przerywa już nawet żaden odgłos.

Pan Skrzetuski stanął przed fosą niemy, ręce tylko do góry podniósł, patrzał, patrzał, i głową jakoś dziwnie potrząsał. Tatarzy wstrzymali konie. On zsiadł, odszukał resztek spalonego mostu, przeszedł rów po belce poprzecznej i siadł na kamieniu, leżącym na środku majdanu. Siadłszy, zaczął się oglądać dokoła, jak człowiek, który pierwszy raz na jakowem miejscu będąc, usiłuje się z niem zapoznać. Opuściła go przytomność. Nie wydał ani jęku. Po chwili, ręce na kolanach wsparłszy, głowę spuścił i pozostał w nieruchomej postawie, tak, że mogło się zdawać, że usnął. Jakoż, jeśli nie usnął to odrętwiał — i przez głowę zamiast myśli, przelatywały mu tylko niejasne obrazy. Widział więc naprzód Helenę taką, jaką ją był pożegnał przed ostatnią podróżą, jeno twarz miała jakby przesłonioną mgłą, tak, że jej rysów nie można było rozpoznać. On ją chciał z tego mglistego obłoku wydostać i nie mógł. Więc odjechał z ciężkiem sercem. Potem przez głowę mignął mu rynek czehryński, stary Zaćwilichowski i bezczelna twarz Zagłoby; twarz ta ze szczególnym uporem stawała mu przed oczyma; aż wreszcie zastąpiło ją ponure oblicze Grodzickiego. Potem widział jeszcze Kudak, porohy, walkę na Chortycy, Sicz, całą podróż i wszystkie wypadki, aż do dnia ostatniego, aż do ostatniej godziny. Ale dalej już ciemność! Co się z nim teraz działo, nie rozpoznawał. Miał tylko jakieś niewyraźne przeczucie, że do Heleny, do Rozłogów jedzie, ale sił mu zbrakło, więc odpoczywa na zgliszczach. Chciałby już ot podnieść się i jechać dalej, ale jakieś niezmierne osłabienie przykuwa go do miejsca, tak jakby mu stufuntowe kule do nóg przywiązano.

Siedział więc i siedział. Noc upływała. Tatarzy roztasowali się na nocleg i, rozłożywszy ogieniek, poczęli przypiekać przy nim

kawały końskiego ścierwa; następnie, nasyceni, pokładli się na ziemi.

Ale nie upłynęła i godzina, gdy zerwali się na równe nogi.

Zdala dochodził gwar, podobny do odgłosów, jakie wydaje wielka liczba jazdy, idącej spiesznym marszem.

Tatarzy zatknęli co prędzej na żerdź białą płachtę i podsycali obficie płomień, tak, aby zdala mogli być rozpoznani jako wysłańcy pokojowi.

Tętent koni, parskanie i brzęk szabel zbliżał się coraz bardziej, i wkrótce na drodze ukazał się oddział jazdy, który wnet otoczył Tatarów.

Rozpoczęła się krótka rozmowa. Tatarzy wskazali postać siedzącą na wzgórzu, którą zresztą widać było doskonale, bo padało na nią światło miesiąca, i oświadczyli, że prowadzą posła, a od kogo, to on najlepiej powie.

Wówczas dowódca oddziału, razem z kilku towarzyszami, udał się na wzgórze, ale zaledwie zbliżył się i spojrzał w twarz siedzącemu, gdy ręce rozkrzyżował i wykrzyknął:

— Skrzetuski! Na Boga żywego, to Skrzetuski!

Namiestnik ani drgnął.

— Mości namiestniku, nie poznajeszże mnie? jam jest Bychowiec. Co ci jest?

Namiestnik milczał.

— Zbudźże się, na Boga! Hej! towarzysze, a bywajcieno!

Istotnie był to pan Bychowiec, który szedł w awangardzie (w przedniej straży) przed wszystką potęgą księcia Jeremiego.

Tymczasem nadciągnęły i inne pułki. Wieść o odnalezieniu Skrzetuskiego rozbiegła się piorunem po chorągwiach, więc wszyscy spieszyli powitać miłego towarzysza. Mały Wołodyjowski, dwaj Śleszyńscy, Dzik, Orpiszewski, Migurski, Jakubowicz, Lenc, pan Longinus Podbipięta i mnóstwo innych oficerów biegło na wyścigi na wzgórze. Ale napróżno przemawiali do niego, wołali po imieniu, szarpali za ramiona, usiłowali podnieść — pan Skrzetuski patrzał na nich szeroko otwartymi oczyma i nie rozpoznał nikogo. A raczej przeciwnie, zdawało się, że ich rozpoznaje, tylko, że są mu już zupełnie obojętni. Wtedy ci, którzy wiedzieli o jego miłości ku Helenie, a prawie wszyscy już wiedzieli, przypomniawszy sobie, w jakiem to właśnie są miejscu, spojrzawszy na czarne zgliszcza i siwe popioły, zrozumieli wszystko.

— Od boleści się zapamiętał — szepnął jeden.

— Desperacya (rozpacz) mentem (rozum) mu pomieszała.

— Zaprowadźcie go do księcia. Może jak go zobaczy, to się ocknie.

Pan Longinus ręce łamał. Wszyscy otoczyli kołem namiestnika i spoglądali na niego ze współczuciem. Niektórzy ocierali łzy rękawicami, inni wzdychali żałośnie. Aż nagle z koła wysunęła się jakaś postać i, zbliżywszy się zwolna do namiestnika, położyła mu na głowę obie ręce.

Był to ksiądz Muchowiecki.

Wszyscy umilkli i poklękali, jakby w oczekiwaniu cudu, ale ksiądz cudu nie uczynił, jeno, wciąż trzymając ręce na głowie Skrzetuskiego, podniósł oczy ku niebu pełnemu blasków miesięcznych i począł mówić głośno:

— Pater noster, qui es in coelis! sanctificetur nomen Tuum, adveniat regnum Tuum, fiat voluntas Tua... (ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech itd.)

Tu przerwał i po chwili powtórzył głośniej i uroczyściej:

— ...Fiat voluntas Tua!... (Bądź wola Twoja).

Cisza zapanowała głęboka.

— ...Fiat voluntas Tua!... — powtórzył ksiądz po raz trzeci.

Wtedy z ust Skrzetuskiego wyszedł głos niezmiernego bólu, ale i rezygnacyi:

— Sicut in coelo, et in terra! (Jako w niebie tak i na ziemi).

I rycerz rzucił się na ziemię ze szlochaniem.

Część II.

XVII.

Aby wyjaśnić, co zaszło w Rozłogach, należy nam się cofnąć nieco w przeszłość, aż do owej nocy, w której pan Skrzetuski wyprawił Rzędziana z listem z Kudaku do starej kniahini. List zawierał usilną prośbę, by kniahini, zabrawszy Helenę, jechała jak najspiesznie do Łubniów, pod opiekę księcia Jeremiego, gdyż wojna rozpocznie się lada chwila. Rzędzian, siadłszy na czajkę, którą pan Grodzicki z Kudaku po prochy wyprawił, ruszył w drogę i odbywał ją wolno, bo płynęli w górę rzeki. Pod Krzemieńczukiem spotkali wojska, płynące pod wodzą Krzeczowskiego i Barabasza, przez hetmanów przeciw Chmielnickiemu wyprawione. Rzędzian widział się z Ba-

rabaszem, któremu zaraz opowiedział, jakie niebezpieczeństwa i jazdy na Sicz dla pana Skrzetuskiego wyniknąć mogą. Prosił zatem starego pułkownika, by po spotkaniu się z Chmielnickim nie omieszkał silnie upomnieć się o posła. Poczem ruszył dalej.

Do Czehrynia przybyli świtaniem. Tu zaraz otoczyły ich straże semenów, pytając, coby byli za jedni? Odpowiedzieli, że z Kudaku od pana Grodzickiego z listem do hetmanów jadą. Mimo to wezwano starszego z czajki i Rzędziana, by szli opowiedzieć się pułkownikowi.

— Jakiemu pułkownikowi? — pytał starszy.

— Panu Łobodzie — odpowiedzieli esaułowie ze straży, — któremu hetman wielki rozkazał wszystkich przybywających z Siczy do Czehrynia zatrzymywać i badać.

Poszli. Rzędzian szedł śmiało, gdyż nie spodziewał się niczego złego, wiedząc, że tu już rozciąga się moc hetmańska. Zaprowadzono ich blizko Dzwonieckiego Węgła, do domu pana Żeleńskiego, w którym była kwatera pułkownika Łobody. Ale powiedziano im, że pułkownik jeszcze świtaniem do Czerkas wyjechał i że zastąpi go podpułkownik. Czekali więc dość długo, aż nakoniec drzwi się otworzyły i oczekiwany podpułkownik ukazał się w izbie.

Na jego widok zadrżały pod Rzędzianem kolana.

Był to Bohun.

Moc hetmańska rozciągała się wprawdzie jeszcze w Czehryniu, ale Łoboda i Bohun nie przeszli dotąd do Chmielnickiego, a natomiast przeciwnie, głośno opowiadali się przy Rzeczypospolitej, przeto hetman w. im właśnie wyznaczył postój w Czehryniu i strażować rozkazał.

Bohun siadł za stołem i począł badać przybyłych.

Starszy, który wiózł list pana Grodzickiego, odpowiedział za siebie i za Rzędziana. Po obejrzeniu listu młody podpułkownik począł troskliwie wypytywać, co w Kudaku słychać, i widocznem było, iż miał wielką ochotę wywiedzieć się, z czem pan Grodzicki do hetmana w. ludzi i czajkę wysłał. Ale starszy nie umiał na to odpowiedzieć, a list był sygnetem pana Grodzickiego przywarty. Wybadawszy ich tedy, Bohun już miał odprawić i do kalety sięgał, aby zaś napiwek od niego mieli, gdy wtem drzwi się otwarty, i pan Zagłoba wleciał jak piorun do izby.

— Słuchaj, Bohun! — wołał — zdrajca Dopuło najlepszy troj-

niak utaił. Poszedłem z nim do piwnicy — patrzę: siano nie siano wedle węgła. Pytam: Co jest? — rzeknie: Suche siano! Kiedy nie spojrzę bliżej, aż tu łeb od gąsiorka wygląda jak Tatar z trawy! O! taki synu! mówię, podzielimy się robotą, ty zjesz siano, boś wół, a ja miód wypiję, bom człowiek. Przyniosłem też gąsiorek na godziwą próbę; daj jeno kubków.

To rzekłszy, pan Zagłoba jedną ręką pod bok się ujapił, drugą podniósł gąsiorek nad głowę i śpiewać począł:

Hej Jaguś, hej Kunduś, daj jeno szklanic,
Daj autem (także) i pysia, nie zważaj na nic!

Tu pan Zagłoba przerwał nagle, ujrzawszy Rzędziana, postawił na stole gąsiorek i rzekł:

— O! jak mnie Bóg miły! toż to pacholek pana Skrzetuskiego.

— Czyj? — spytał spiesznie Bohun.

— Pana Skrzetuskiego, namiestnika, który do Kudaku pojechał, a mnie tu przed wyjazdem takim miodem łubniańskim częstował, że niech się każdy inny z pod wiechy schowa! Co zaś się z twoim panem dzieje? co? zdrów-li?

— Zdrów i kazał się waszmości kłaniać — rzekł zmieszany Rzędzian.

— Wielkiej to jest fantazyi kawaler. A ty jakże się w Czehryniu znalazłeś? Czemu to cię pan z Kudaku odesłał?

— Pan, jako pan — rzecze na to pacholik, — ma swoje sprawy w Łubniach, za któremi mnie wrócić kazał, bo i nie miałem co robić w Kudaku.

Przez cały ten czas Bohun patrzał bystro na Rzędziana, nagle rzekł:

— Znam i ja twego pana, widziałem go w Rozłogach.

Rzędzian przekrzywił głowę i nadstawiwszy ucha, niby to nie dosłyszawszy, spytał:

— Gdzie?

— W Rozłogach?

— To Kurcewiczów — rzekł Zagłoba.

— Czyje? — pytał znów Rzędzian.

— Widzę, żeś coś ogłuchł — zauważył sucho Bohun.

— Bom się też nie wyspał.

— To się jeszcze wyśpisz. Powiadasz tedy, że twój pan wysłał cię do Łubniów?

— A jakże.

— Pewnie tam ma jaką podwikę — wtrącił pan Zagłoba, — do której afekt (pozdrowienie) przez ciebie przesyła.

— Czy ja wiem, mój jegomość, może i ma, a może i nie ma — rzecze Rzędzian.

Następnie skłonił się Bohunowi i panu Zagłobie.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł, zabierając się do odejścia.

— Na wieki! — odparł Bohun. — Poczekajno, ptaszku, nie spiesz się. A czemuś to ty przedemną tail, żeś jest pacholikiem pana Skrzetuskiego?

— A bo mnie jegomość i nie pytał, a ja sobie myślę: co mam o byle czem mówić? Niech będzie pochwalo...

— Poczekaj, mówię. Listy jakowe od pana wieziesz?

— Pańska rzecz pisać, a moja, jako sługi, oddać, ale jeno temu, do kogo są pisane; zaczem mi będzie wolno pożegnać waszmość panów.

Bohun zmarszczył swe sobole brwi i w ręce klasnął. Natychmiast dwóch semenów wpadło do izby.

— Obszukać go! — zawołał, patrząc na Rzędziana.

— Jakom żyw, gwałt mi się tu dzieje! — wrzeszczał Rzędzian. — Jam też szlachcic, choć sługa, a waszmość panowie w grodzie za ten postępek będziecie odpowiadali.

— Bohun! zaniechaj go! — wtrącił pan Zagłoba.

Ale tymczasem jeden z semenów znalazł w Rzędzianowem zanadrzu dwa listy i oddał je podpułkownikowi. Bohun kazał zaraz pójść precz semenom, bo nie umiejąc czytać, nie chciał się z tem przed nimi zdradzić. Potem, zwróciwszy się do Zagłoby, rzekł:

— Czytaj, a ja na pachołka uważać będę.

Zagłoba przymknął lewe oko, na którem miał skałkę, i czytał adres:

"Mnie wielce miłościwej pani i jejmości dobrodziejce J. O. Kniahini Kurcewiczowej w Rozłogach."

— Toś ty, rarożku, do Łubniów jechał i nie wiesz gdzie Rozłogi? — rzekł Bonun, poglądając strasznym wzrokiem na Rzędziana.

— Gdzie mi kazali, tamem jechał! — odparł pachołek.

— Mamli otworzyć? Sigillum (pieczęć) szlacheckie święta rzecz — zauważył pan Zagłoba.

— Mnie tu hetman wielki dał prawo wszelakie pisma przeglądać. Otwieraj i czytaj.

Zagłoba otworzył i czytał;

— "Mnie wielce miłościwa pani etc. Donoszę W. M. Pani, jakom już w Kudaku stanął, skąd, daj Boże szczęśliwie, dzisiejszego rana na Sicz jechać będę, a teraz nocą tu piszę, od niespokojności spać nie mogąc, aby was zaś jaka przygoda od tego zbója Bohuna i jego hultajów nie spotkała. A że mnie tu i pan Krzysztof Grodzicki powiadał, że rychło patrzeć, jak wielka wojna wybuchnie, od której się też i czerń podniesie, przeto zaklinam i błagam W. M. Panią, byś eo instante (tej chwili), choćby i stepy nie wyschły, choćby wierzchem zaraz z kniaziówną do Łubniów jechać raczyła i tego nie poniechała, gdyż ja na czas wrócić nie zdołam. Którą prośbę racz W. M. Pani zaraz spełnić, abym o szczęśliwość mnie przyrzeczoną mógł być zabezpieczony i za powrotem się rozradować. A co masz W. M. Pani z Bohunem kunktować (zwlekać) i, mnie przyrzekłszy dziewkę, jemu ze strachu piaskiem w oczy rzucać, to lepiej sub tutelam (pod opiekę) księcia, mego pana, się schronić, który praesidium (załogę) do Rozłogów wysłać nie omieszka, a tak majętność ocalicie. Przyczem mam zaszczyt etc., etc."

— Hm! mości Bohunie! — rzekł pan Zagłoba, — usarz coś rogi ci chce przyprawić. Toście do jednej dziewki szli w koperczaki? Czemuś nie mówił? Aleć się pociesz, bo i mnie się raz zdarzyło...

Nagle rozpoczęta facecya (żart) skonała na ustach pana Zagłoby. Bohun siedział nieporuszenie przy stole, ale twarz jego była jakby konwulsyami ściągnięta, blada, oczy zamknięte, brwi sfałdowane. Działo się z nim coś strasznego.

— Co tobie? — spytał pan Zagłoba.

Kozak począł gorączkowo ręką machać, a z ust jego wyszedł przyciszony, chrapliwy głos:

— Czytaj, czytaj drugie pismo.

— Drugie jest do kniaziówny Heleny.

— Czytaj, czytaj!

Zagłoba zaczął:

"Najsłodsza umiłowana Halszko, serca mojego pani i królowo! Gdy po służbie książęcej jeszcze niemały czas w tych stronach zostać muszę, piszę tedy do stryjny, abyście do Łubniów zaraz jechały, w których żadna twej niewinności szkoda zdarzyć się od Bohuna nie może i wzajemny afekt (uczucie) nasz na szwank narażon nie będzie..."

— Dosyć! — krzyknął nagle Bohun, i porwawszy się w szale od

stołu, skoczył ku Rzędzianowi. Obuch zawarczał w jego ręku i nieszczęsny pacholik, uderzony wprost w piersi, jęknął tylko i zwalił się na podłogę. Obłęd porwał Bohuna: rzucił się na pana Zagłobę i wyrwał mu listy.

Zagłoba, porwawszy gąsiorek z miodem, skoczył ku piecowi i krzyczał:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Człeku, czyś ty wściekł, czy oszalał? Uspokójże się, zmityguj! Wsadź łeb w wiadro, do stu dyabłów — słyszyszże mnie!

— Krwi, krwi! — wył Bohun.

— Czy ci się rozum pomieszał? Wsadźże łeb w wiadro, mówię ci! Masz już krew, rozlałeś ją, i to niewinnie. Już ten nieszczęsny wyrostek nie dysze. Dyabeł cię opętał, alboś sam dyabeł z ostatkiem! Opamiętajże się, a nie, to jechał cię sęk, pogański synu!

Tak krzycząc, pan Zagłoba przysunął się z drugiej strony stołu ku Rzędzianowi i, schyliwszy się nad nim, jął go macać po piersiach i rękę mu do ust przykładać, z których krew się mu rzuciła obficie.

Bohun uchwycił się tymczasem za głowę i skowyczał jak ranny wilk. Potem padł na ławę, nie przestając skowyczeć, bo się w nim dusza ze wściekłości i bólu rozdarła. Nagle zerwał się; dobiegł do drzwi, wywalił je nogą i wypadł do sieni.

— Lećże na złamanie karku! — mruknął do siebie pan Zagłoba.— Leć i rozbij łeb o stajnię albo stodołę! Chociaż jako rogał bość śmiało możesz. A to furya! Jeszczem też nic podobnego w życiu nie widział. Zębami tak kłapał, jak pies na zalotach. Ale ten pacholik żywie jeszcze niebożątko. Dalibóg, jeżeli mu ten miód nic pomoże, to chyba zełgał, że szlachcic.

Tak mrucząc, pan Zagłoba wsparł głowę Rzędziana na swych kolanach i począł mu zwolna sączyć trójniak do ust zsiniałych.

— Obaczymy, czy masz dobrą krew w sobie — mówi dalej do omdlałego, — gdyż żydowska, podlana miodem alboli winem, warzy się, chłopska, jako leniwa i ciężka, idzie na spód, a jeno szlachecka animuje (ożywia) się i wyborny tworzy likwor, który daje ciału męstwo i fantazyę. Innym też nacyom (narodom) różne dał Pan Jezus napitki, aby zaś każda miała swoją ostateczną pociechę...

Rzędzian jęknął głucho.

— Aha, chcesz więcej! Nie, panie bracie, pozwólże i mnie... ot

tak. A teraz, gdyś już dał znak życia, chyba cię przeniosę do stajni i położę gdzie w kącie, aby cię ten smok kozacki do reszty nie rozdarł, gdy wróci. Niebezpieczny to jest przyjaciel, niechże go dyabli porwą, bo widzę, że rękę chyższą ma od rozumu.

To rzekłszy, pan Zagłoba podniósł Rzędziana z ziemi z łatwością, znamionującą niezwykłą siłę, i wyszedł do sieni, a następnie na podwórzec, na którym kilkunastu semenów grało w kości na rozesłanym na ziemi kilimku. Ujrzawszy go, powitali, on zaś rzekł:

— Chłopcy, a wziąćno mi tego pachołka i położyć na sianie. Niech też który skoczy po cyrulika.

Rozkaz spełniono natychmiast, bo pan Zagłoba, jako przyjaciel Bohuna, wielkie miał zachowanie u Kozaków.

— A gdzie to pułkownik? — spytał.

— Kazał sobie dać konia i pojechał do kwatery pułkowej, a nam też kazał być w gotowości i konie mieć posiodłane.

— To i mój gotowy?

— Gotowy.

— To dawaj. Znajdę tedy pułkownika przy pułku.

— A oto i on nadjeżdża.

Rzeczywiście przez sklepioną ciemną bramę domostwa widać było Bohuna, nadjeżdżającego z rynku, za nim zaś ukazały się zdala spisy stu kilkudziesięciu mołojców, widocznie gotowych do pochodu.

— Na koń! — wołał przez sień Bohun na pozostałych na podwórzu semenów.

Wszyscy rzucili się co żywo. Zagłoba wyszedł przez bramę i spojrzał uważnie na młodego watażkę.

— W pochód ruszasz? — spytał go.

— Tak jest.

— A dokąd czort prowadzi?

— Na wesele.

Zagłoba przysunął się bliżej.

— Bój się Boga, synku! Hetman kazał ci miasta strzedz, a ty i sam jedziesz, i semenów wyprowadzasz. Rozkaz złamiesz. Tu tłumy czerni czekają tylko chwili sposobnej, by się na szlachtę rzucić — miasto zgubisz, na gniew hetmański się narazisz.

— Na pohybel miastu i hetmanowi!

— O głowę twoją idzie!

— Na pohybel i mojej głowie!

Zagłoba poznał, że próżno było gadać z Kozakiem. Zaciął się, i choćby siebie i innych miał pogrześć, swego musiał dokazać. Domyślał się też Zagłoba, dokąd wyprawa miała ruszyć, ale sam nie wiedział, co z sobą począć: jechać z Bohunem, czy zostać? Jechać było niebezpiecznie, bo znaczyło to samo, co wrazić się w wojennych, surowych czasach w awanturniczą gardłową sprawę. A zostać? Czerń istotnie czekała tylko wieści z Siczy, chwili hasła do rzezi, a możeby nie czekała nawet, gdyby nie tysiąc semenów Bohuna i jego wielka powaga na Ukrainie. Mógł się wprawdzie pan Zagłoba schronić i do obozu hetmanów, ale miał swoje powody, dla których tego nie czynił. Byłali to kondemnatka (wyrok sądowy) za jakie zabójstwo, czy też mankamencik (niedobór) w księgach, on sam jeden tylko wiedział, dość, że nie chciał w oczy leźć. Żal mu było Czehryń porzucać. Tak mu było dobrze, tak tu nikt o nic nie pytał, tak już pan Zagłoba zżył się tu ze wszystkimi, i ze szlachtą, i z ekonomami starościńskimi, i ze starszyzną kozacką. Prawda, że starszyzna rozjechała się teraz, a szlachta siedziała cicho po kątach, bojąc się burzy, ale przecież Bohun był kompan nad kompany, bibosz nas bibosze. Poznawszy się przy szklanicy, zbratali się z Zagłobą odrazu. Odtąd nie widziano jednego bez drugiego. Kozak sypał złotem za dwóch, szlachcic łgał, i obu, jednako niespokojnym duchom, dobrze było z sobą.

Gdy tedy teraz przyszło albo pozostać w Czehryniu i pod nóż czerni iść, albo jechać z Bohunem, pan Zagłoba zdecydował się na to ostatnie.

— Kiedyś taki desperat, — rzekł — to pojadę i ja z tobą. Możeć się przydam, albo pohamuję, gdy będzie trzeba. Już my się tak dopasowali z sobą jako hetka z pętelką, alem się tego wszystkiego nie spodziewał.

Bohun nie odrzekł nic. W pół godziny później dwustu semenów stanęło w pochodowym ordynku, Bohun wyjechał na czoło, a z nim i pan Zagłoba. Ruszyli. Chłopi, stojący tu i owdzie kupami na rynku, spoglądali na nich z podełba i szeptali, zgadując gdzie jadą, czy wrócą prędko, czy nie wrócą.

Bohun jechał milczący, zamknięty w sobie, tajemniczy, a posępny jak noc. Semenowie nie pytali gdzie ich wiedzie. Za nim gotowi byli iść choćby na kraj świata.

Po przeprawie przez Dniepr wjechali na gościniec łubniański.

Konie szły kłusem, wzbijając tumany kurzawy, ale że dzień był skwarny, suchy, wkrótce pokryły się pianą. Zwolnili tedy biegu i rozciągnęli się długiem, przerywanem pasmem po gościńcu. Bohun wysunął się naprzód, pan Zagłoba zrównał się z nim, chcąc zacząć rozmowę.

Twarz młodego watażki była spokojniejsza, jeno smutek śmiertelny malował się na niej widocznie. Rzekłbyś: dal, w której wzrok ginął północnej stronie za Kahamlikiem, bieg konia i powietrze stepowe uciszyły w nim tę burzę wewnętrzną, która się zerwała po przeczytaniu listów, wiezionych przez Rzędziana.

— Żar z nieba leci — rzekł pan Zagłoba — aż słoma w butach parzy. I w płóciennym kitlu zagorąco, bo wiatru wcale niema. Bohun, słuchajno Bohun!

Watażka spojrzał swemi głębokiemi, czarnemi oczyma, jakby ze snu zbudzony.

— Uważno synku, — mówił pan Zagłoba — aby cię melankolia nie zjadła, która gdy z wątroby, gdzie jest właściwe jej siedlisko, do głowy uderzy, snadnie rozum pomieszać może. Nie wiedziałem, że tak romansowy jest z ciebie kawaler. Musiałeś się w maju rodzić, a to jest miesiąc Wenery (bogini miłości), w którym jest taka lubość aury (powietrza), że nawet wiór ku drugiemu wiórowi afekt czuć poczyna, ludzie zaś w onym miesiący urodzeni większą od innych mają w kościach do białogłów ciekawość. Wszelako ten wygra, kto się pohamować potrafi, dlatego radzę ci: lepiej ty zemsty poniechaj. Do Kurcewiczów słuszny możesz mieć rankor (urazę), ale albo to jedna dziewka na świecie?

Bohun, jak gdyby nie Zagłobie jeno własnemu żalowi odpowiadając, ozwał się głosem do zawodzenia niż do mowy podobniejszym:

— Jedna ona zuzula (kukułka), jedna na świecie!

— Choćby też i tak było, to skoro ona do innego kuka, nic ci z tego. Słusznie mówią, że serce jest to wolentarz (ochotnik), który pod jakim chce znakiem służyć, pod takim służy. Zważ przytem, że dziewka to jest wielkiej krwi, bo Kurcewicze, słyszę, od książąt ród wywodzą... Wysokie to progi.

— Do czorta że wasze progi, wasze pergaminy! — Tu watażka uderzył całą siłą w głównię szabli. — Ot mnie ród, ot mnie prawo i pergamin, ot mnie świat i drużba! O zdrajcy! o wraża krew przeklęta! Dobry wam był Kozak, druh był i brat, do Krymu z nim

chodzić, dobro tureckie brać, łupem się dzielić. Ej, hołubili (garnęli), i synkiem zwali, i dziewkę przyrzekli, a teraz co? Przyszedł szlachcic, Laszek cacany, i ot, Kozaka, synka i druha odstąpili — duszę wydarli, serce wydarli, innemu donia (dziewczyna), a ty choć ziemię gryź, ty, Kozacze, terpy (cierp), terpy!...

Watażce głos drgał; zęby ścisnął, pięściami o pierś szeroką tętnić począł, aż echo jak z podziemia z niej wychodziło.

Nastała chwila milczenia. Bohun oddychał ciężko. Ból i gniew targały na przemian zdziczałą, nieznającą hamulca duszę Kozaka. Zagłoba czekał, aż się zmorduje i uspokoi.

— Co tedy chcesz czynić, junaku nieszczęsny? jak postąpisz?

— Jak Kozak, po kozacku.

— Hm, już widzę co to będzie. Ale mniejsza z tem. Jedno tylko ci powiem, że to jest państwo wiśniowieckie i do Łubniów niedaleko. Pisał pan Skrzetuski onej kniahini, żeby się tam z dziewką schroniła, to znaczy, że one są pod opieką książęcą, a książę jest srogi lew...

— I chan lew, a ja jemu w gardziel właził i ogniem w ślepie świecił!

— Co ty, szalona głowo, księciu chcesz wojnę wypowiedzieć?

— Chmiel i na hetmanów się porwał. Co mnie wasz książę! ...

Pan Zagłoba stał się jeszcze niespokojniejszy.

— Tfu! do dyabła. A to poprostu rebelią (buntem) pachnie Vis armata, raptus puellae i rebelia (gwałt zbrojny porwanie dziewicy i bunt), to niby kat, szubienica i stryczek. Dobra szóstka, możesz nią zajechać, jeśli nie daleko to wysoko. Kurcewicze też bronić się będą.

— Taj co? Albo mnie pohybel, albo im. Ot ja duszu by zhubyw (zgubił) za nich, za Kurcewiczów, oni mi byli bracia, a stara kniahini mać, której ja w oczy jak pies patrzał! A jak Wasila Tatary złapały, tak kto do Krymu poszedł? kto go odbił? — ja. Kochał ich i służył im jak rab (niewolnik), bo myślał, że tem dziewczynę wysłużę. A oni za to prodały (sprzedali), prodały mene, jak raba, na złuju dolu i na neszczastje... Wygnali precz — no, tak i pójdę, tylko się wprzód pokłonię za sól i chleb, com u nich jadł, po kozacku zapłacę — pójdę, bo swoją drogę znaju.

— I gdzie pójdziesz, gdy z księciem zaczniesz, do Chmiela obozu?

— Żeby mnie tę dziewkę dali, jaby był wasz lacki brat, wasz druh, wasza szabla, dusza wasz zaklataja, wasz pies, i wziąłby swoich semenów, innych z Ukrainy skrzyknął, taj na Chmiela i na rodzonych braci zaporoskich ruszył i kopytami rozniósł. A chciałby za to nagrody? — nie! Ot, wziąłby dziewczynę i za Dniepr ruszył, na Boży step, na dzikie ługi (łąki), na ciche wody — i mnieby było dosyć — a teraz...

— Terażeś się wściekł.

Watażka nic nie odrzekł, konia nahajem uderzył i pomknął naprzód, a pan Zagłoba począł rozmyślać, w jakie to tarapaty się dostał. Nie ulegało wątpliwości, że Bohun zamierzał na Kurcewiczów napaść, krzywdę swą pomścić i dziewczynę przemocą zabrać. I w tej imprezie (sprawie) byłby mu jeszcze pan Zagłoba kompanii dotrzymał. Na Ukrainie trafiały się takie sprawy często, a czasem i uchodziły płazem. Wprawdzie, gdy gwałtownik nie był szlachcicem, rzecz wikłała się i stawała się niebezpieczniejszą, ale zato wymiar sprawiedliwości na Kozaku był trudny, bo gdzie go było szukać i łapać? Po przestępstwie zbiegał w dzikie stepy, gdzie ręka ludzka nie sięgała — i tyle go widziano; a gdy wybuchła wojna, gdy Tatarzy kraj naszli, tedy przestępca wypływał znowu, bo wtedy spały prawa. Tak mógł się ochronić od odpowiedzialności i Bohun, a pan Zagłoba nie potrzebował mu przecie czynnie pomagać i brać na siebie połowy winy. Nie byłby wreszcie tego w żadnym razie uczynił, bo choć mu Bohun był przyjacielem, wszelako nie wypadało panu Zagłobie, szlachcicowi, w komitywę (spółkę) z Kozakiem przeciw szlachcie wchodzić, zwłaszcza, że pana Skrzetuskiego znał i pił z nim. Pan Zagłoba był warchoł nielada, ale jego warcholstwo miało pewną miarę. Hulać po karczmach czehryńskich z Bohunem i inną starszyzną kozacką, zwłaszcza za ich pieniądze — i owszem, wobec groźb kozackich dobrze nawet było takich ludzi mieć przyjaciółmi. Pan Zagłoba o skórę swą, choć tu i owdzie poszczerbioną, dbał wielce — aż naraz spostrzegł, że przez tę przyjaźń wlazł w okrutne błoto. Bo było jasnem, że jeśli Bohun dziewczynę, narzeczoną książęcego porucznika i ulubieńca, porwie, to z księciem zadrze, a wtedy nie pozostanie mu nic innego, tylko do Chmielnickiego uciec i do buntu się przyłączyć. Na to kładł pan Zagłoba w myśli stanowcze co do swojej osoby veto (nie pozwalam), bo do buntu przyłączyć się dla pięknych oczu Bohuna nie miał wcale zamiaru, a w dodatku księcia bał się jak ognia.

— Tfu! tfu! — mruczał sobie teraz — dyabłem za ogon kręcił, a on mnie będzie teraz za łeb kręcił — i ukręci. Niech piorun trzaśnie tego watażkę z białogłowską twarzą a tatarską ręką. Otom się wybrał na wesele, czyste psie wesele, jak mnie Bóg miły! Niech piorun trzaśnie wszystkich Kurcewiczów i wszystkie podwiki (kobiety)! Co mnie do nich? już mnie one nie potrzebne. Na kim się zmełło, na mnie się skrupi. I zaco? czy to ja chcę się żenić? Niech się dyabeł żeni, mnie wszystko jedno. Co ja mam do roboty w tej imprezie (sprawie)? Pójdę z Bohunem, to mnie Wiśniowiecki ze skóry obedrze; pójdę od Bohuna, to mnie chłopi zatłuką, albo i on sam, nie czekając. Najgorzej to z grubijany się bratać. Dobrze mi tak. Wolałbym być koniem, na którym siedzę, niż Zagłobą. Na błaznam kozackiego wyszedł, przy paliwodzie się wieszałem, słusznie przeto na obie strony skórę mi wytatarują.

Tak rozmyślając, spocił się pan Zagłoba i w jeszcze gorszy wpadł humor. Upał był wielki, koń ciężko niósł, bo dawno nie chodził, a pan Zagłoba był człowiek korpulentny. Miły Boże, coby był dał, żeby teraz w chłodku, w gospodzie, nad szklanicą zimnego piwa siedzieć, nie po upale się kołatać i pędzić spalonym stepem.

Chociaż Bohun przynaglał, zwolnili jednak biegu, bo żar był straszny. Popaśli trochę konie, przez ten czas zaś Bohun z esaułami rozmawiał, widocznie dawał im rozkazy, co mają czynić, bo dotychczas nie wiedzieli nawet, dokąd jadą. Do uszu Zagłoby doszły ostatnie słowa rozkazu:

— Czekać wystrzału!

— Dobre, bat'ku!

Bohun zwrócił się nagle ku niemu:

— Ty jedziesz ze mną naprzód?

— Ja? — rzekł Zagłoba z widocznie złym humorem — ja cię tak kocham, żem już jedną połowę duszy dla ciebie wypocił, czemubym nie miał i drugiej wypocić? My jak kontusz i podszewka; mam nadzieję, że nas dyabli razem wezmą, co mi jest wszystko jedno, bo już myślę, że i w piekle nie może być goręcej.

— Jedźmy.

— Na złamanie karku.

Ruszyli naprzód, a za nimi wkrótce i Kozacy, ale ci ostatni postępowali zwolna, tak, iż wkrótce znacznie zostali w tyle, a w końcu znikli z oczu.

Bohun z Zagłobą jechali obok siebie w milczeniu, obaj zamyśleni głęboko. Zagłoba targał wąsy i widocznem było, że pracuje ciężko głową; może sobie układał, jakimby sposobem mógł się z całej tej sprawy salwować (ratować). Chwilami mruczał coś do siebie półgłosem, to znów na Bohuna spoglądał, na którego twarzy malowały się naprzemian to niepohamowany gniew, to smutek.

— Dziw, — myślał sobie Zagłoba — że taki gładysz, a i dziewki nawet sobie nie umiał skonwinkować (zjednać). Kozak jest, to prawda, ale rycerz znamienity i podpułkownik, który też prędzej później, jeżeli tylko do rebelii (buntu) nie przystanie, będzie nobilitowany (uszlachcony), co wcale od niego zależy. A już pan Skrzetuski zacny kawaler i przystojny, ale z tym malowanym watażką na urodę i porównać się nie może. Hej, wezmą też się oni za łby, jak się spotkają, bo obaj zabijaki nielada.

— Bohun, znaszli dobrze pana Skrzetuskiego? — spytał nagle Zagłoba.

— Nie — odparł krótko watażka.

— Ciężką będziesz miał z nim przeprawę. Widziałem go też, jak sobie Czaplińskim drzwi otwierał. Goliat to jest, i do wypitki i do wybitki.

Watażka nie odpowiedział — i znowu obaj pogrążyli się we własne myśli i własne frasunki, którym wtórując, pan Zagłoba powtarzał od czasu do czasu: "Tak, tak, niema rady!" Upłynęło kilka godzin. Słońce powędrowało gdzieś het na zachód, ku Czehryniowi; od wschodu powiał wietrzyk chłodny. Pan Zagłoba zdjął kołpaczek rysi, pociągnął ręką po spoconej głowie i powtórzył raz jeszcze:

— Tak, tak, niema rady.

Bohun obudził się jak ze snu.

— Co rzekłeś? — spytał.

— Mówię, że już zaraz ciemno będzie. Czy daleko jeszcze?

— Niedaleko.

Po godzinie ściemniło się rzeczywiście. Ale już też wjechali w jar lesisty; wreszcie na końcu jaru błysnęło światełko.

— To Rozłogi — rzekł nagle Bohun.

— Tak, brr! coś jakoś chłodno w tym jarze.

Bohun wstrzymał konia.

— Czekaj! — rzekł.

Zagłoba spojrzał na niego. Oczy watażki, które miały tę własność, że świeciły w nocy, pałały teraz jak pochodnie.

Obaj przez długi czas stali nieruchomie na skraju jaru. Nakoniec zdala dało się słyszeć parskanie koni. To Kozacy Bohunowi nadjeżdżali zwolna z głębi lasu.

Esauł zbliżył się po rozkazy, które Bohun wyszeptał mu do ucha poczem Kozacy zatrzymali się znowu.

— Jedźmy! — rzekł do Zagłoby Bohun.

Po chwili ciemne masy budowli dworskich, lamusy i żórawie studzienne zarysowały się przed ich oczyma. We dworze było cicho. Psy nie szczekały. Wielki złoty księżyc świecił nad domostwami. Z sadu dochodził zapach kwiatów wiśni i jabłoni, wszędzie tak było spokojnie, noc tak cudna, że zaiste brakło tylko tego, aby jaki teorban ozwał się gdzieś pod oknami pięknej księżniczki.

W niektórych oknach było jeszcze światło.

Dwaj jeźdźcy zbliżyli się do bramy.

— Kto tam? — ozwał się głos nocnego stróża.

— Nie poznajesz mnie, Maksym?

— To wasza miłość. Sława Bohu!

— Na wiki wikiw. Otwieraj. A co tam u was?

— Wszystko dobrze. Wasza miłość dawno nie była w Kozłogach.

Zawiasy bramy zaskrzypiały przeraźliwie, most spadł na fosę i dwaj jeźdźcy wjechali na majdan (podwórze).

— A słuchaj, Maksym, nie zamykaj bramy i nie podnoś mostu, bo zaraz wyjeżdżam.

— To wasza miłość jak po ogień?

— Tak jest. Konie przywiąż do palika.

XVIII.

Kurcewiczowie nie spali jeszcze. Jedli wieczerzę w owej sieni, napełnionej zbroją, która szła przez całą szerokość domu, od majdanu (podwórza) aż do sadu z drugiej strony. Na widok Bohuna i pana Zagłoby zerwali się na równe nogi. Na twarzy kniahini odbiło się nie tylko zdziwienie, ale nieukontentowanie i przestrach

zarazem. Młodych kniaziów było tylko dwóch: Symeon i Mikołaj.

— Bohun! — rzekła kniahini. — A ty tu co robisz?

— Przyjechałem się wam pokłonić, maty. A co, nie radziście mi?

— Radam ci, rada, jeno się dziwię, żeś przybył, bo słyszałam, że w Czehryniu stróżujesz. A kogo to nam Bóg z tobą zesłał?

— To jest pan Zagłoba, szlachcic, mój przyjaciel.

— Radziśmy waszmości — rzekła kniahini.

— Radziśmy — powtórzyli Symeon i Mikołaj.

— Mościa pani! — rzecze szlachcic. — Prawda, że gość nie w porę gorszy od Tatarzyna, aleć i to wiadomo, że kto do nieba chce iść, ten musi podróżnego w dom przyjąć, głodnego nakarmić, spragnionego napoić.

— Siadajcie tedy, jedzcie i pijcie — mówiła stara kniahini. — Dziękujemy, żeście przyjechali. No, no, Bohun, alem się ciebie nie spodziewała, chyba, że sprawę masz do nas.

— Może i mam — rzekł zwolna watażka.

— Jaką? — spytała niespokojnie kniahini.

— Przyjdzie pora, to pogadamy. Dajcie odpocząć. Z Czehrynia prosto jadę.

— To widać było ci pilno do nas.

— A gdzieby mnie miało być pilno, jeśli nie do was? A kniaziówna-donia zdrowa?

— Zdrowa — rzekła sucho kniahini.

— Chciałbym też nią oczy ucieszyć.

— Helena śpi.

— To szkoda. Bo ja długo nie zabawię.

— A dokąd jedziesz?

— Wojna, maty! niema na nic czasu. Lada chwila hetmani w pole wyprawią, a żal będzie zaporożców bić. Mało to razy my z nimi jeździli po dobro tureckie — prawda, kniaziowie? — po morzu pływali, sól i chleb razem jedli, pili i hulali, a teraz my im wrogi.

Kniahini spojrzała bystro na Bohuna. Przez głowę przeszła jej myśl, że może Bohun ma zamiar połączyć się z rebelią (buntem) i przyjechał jej synów wybadać.

— A ty co myślisz robić? — spytała.

— Ja, maty? a cóż? ciężko swoich bić, ale trzeba.

— Tak i my uczynim — rzekł Symron.

— Chmielnicki zdrajca! — dodał młody Mikołaj.

— Na pohybel zdrajcom! — rzekł Bohun.

— Niech im kat świeci! — dokończył Zagłoba.

Bohun znów mówić począł:

— Tak kto na świecie. Kto ci dziś przyjacielem, jutro Judaszem. Nikomu nie można wierzyć na świecie.

— Jeno dobrym ludziom — rzekła kniahini.

— Pewnie, że dobrym ludziom można wierzyć. Dlatego ja też wam wierzę i kocham was, bo wyście dobrzy ludzie, nie zdrajcy...

Było coś tak dziwnego w głosie watażki, że przez chwilę zapanowało głębokie milczenie. Pan Zagłoba patrzał na kniahinię i mrugał swojem zdrowem okiem, a kniahini utkwiła wzrok w Bohuna.

Ten mówił dalej:

— Wojna nie żywi ludzi, jeno morzy, dlatego chciał ja was jeszcze widzieć, nim ruszę. Kto wie czy wrócę, a wy by mnie żałowali, bo wy moje druhy serdeczne, nie prawda?

— Tak nam dopomóż Bóg! Od małego cię znamy.

— Ty nasz brat — dodał Symeon.

— Wy kniazie, wy szlachta, a wy Kozakiem nie gardzili, w dom przygarnęli i krewnę donię obiecali, bo wy wiedzieli, że dla Kozaka bez niej ni życia, ni bycia, tak się i zmiłowali nad Kozakiem.

— Niema o czem mówić — rzekła śpiesznie kniahini.

— Nie, maty, jest o czem mówić, bo wy moi dobrodzieje, a ja też prosił tego oto szlachcica, przyjaciela mego, ażeby mnie za syna wziął i do herbu przypuścił, aby wy nie mieli wstydu, oddając krewniaczkę Kozakowi. Na co pan Zagłoba się zgodził, i my oba będziem starali się o pozwolenie u sejmu, a po wojnie pokłoni się panu hetmanowi wielkiemu, który na mnie łaskaw, może poprze on przecie i Krzeczowskiemu nobilitacyę (uszlachcenie) wyrobił.

— Bóg ci dopomóż! — rzekła kniahini.

— Wy szczerzy ludzie i ja wam dziękuję. Ale przed wojną chciałbym raz jeszcze z ust waszych usłyszeć, że wy mnie donię (dziewczynę) dajecie i że słowo wasze zdzierżycie. Słowo szlacheckie nie dym — a wy przecież szlachta, wy kniazie.

Watażka mówił głosem powolnym i uroczystym, ale w mowie jego drgała jakby groźba, zapowiadająca, że trzeba się zgodzić na wszystko, czego żądał.

Stara kniahini spojrzała na synów, ci na nią, i przez chwilę trwało milczenie. Nagle raróg, siedzący na berle pod ścianą, za-

kwilił, choć do świtu było jeszcze daleko, za nim ozwały się inne; wielki berkut zbudził się, strząsnął skrzydła i krakać począł.

Łuczywo palące się w grubach przygasło. W izbie zrobiło się ciemnawo i ponuro.

— Mikołaj, popraw ogień! — rzekła kniahini.

Młody kniaź dorzucił łuczywa.

— Cóż, przyrzekacie? — spytał Bohun.

— Musimy Heleny spytać.

— Niech ona mówi za siebie: przyrzekacie?

— Przyrzekamy — rzekła kniahini.

— Przyrzekamy — powtórzyli kniaziowie.

Bohun wstał nagle i, zwróciwszy się do Zagłoby, rzekł donośnym głosem:

— Mości Zagłobo! Pokłoń się i ty o dziewkę, może i tobie przyrzekną.

— Co ty, Kozacze, upił się!? — zawołała kniahini.

Bohun, zamiast odpowiedzi, wydobył list Skrzetuskiego i, zwróciwszy się do Zagłoby, rzekł:

— Czytaj!

Zagłoba wziął list i począł go czytać wśród głuchego milczenia.

Gdy skończył, Bohun skrzyżował ręce na piersiach.

— Komu tedy dziewkę dajecie?

— Bohun!

Głos watażki podobny był do syku węża.

— Zdrajcy, oczajdusze, psiawiary, judasze!...

— Hej, synkowie, do szabel! — krzyknęła kniahini.

Kurcewicze skoczyli piorunem ku ścianom i porwali za broń.

— Mości panowie, spokojnie! — zawołał Zagłoba.

Ale nim domówił, Bohun wyrwał pistolet z za pasa i wystrzelił.

— Jezus! — krzyknął kniaź Symeon, postąpił krok naprzód, rękoma jął bić powietrze i upadł ciężko na ziemię.

— Służba, na pomoc! — zawołała rozpaczliwie kniahini.

Ale w tejże chwili na dziedzińcu i od strony sadu huknęły inne wystrzały, drzwi i okna wyleciały z łoskotem i kilkudziesięciu semenów wpadło do sieni.

— Na pohybel! — zabrzmiały dzikie głosy.

Na majdanie ozwał się dzwon na trwogę. Ptactwo w sieni po-

częło wrzeszczeć; hałas, strzelanina i krzyki zastąpiły niedawną ciszę uśpionego dworu.

Stara kniahini rzuciła się, wyjąc jak wilczyca, na ciało Symeona, drgające w ostatnich konwulsyach, ale wnet dwóch semenów porwało ją za włosy i odciągnęło na stronę, a tymczasem młody Mikołaj, przyparty w kąt sieni, bronił się ze wściekłością i lwią odwagą.

— Procz (precz)! — krzyknął nagle Bohun na otaczających go Kozaków. — Procz! — powtórzył grzmiącym głosem.

Kozacy cofnęli się. Sądzili, że watażka chce ocalić życie młodzieńcowi. Ale Bohun z szablą w ręku sam rzucił się na kniazia.

Rozpoczęła się straszna pojedyncza walka, na którą kniahini, trzymana za włosy przez cztery żelazne dłonie, patrzała pałającemi oczyma, z otwartemi usty. Młody kniaź zwalił się jak burza na Kozaka, który, cofając się zwolna, wywiódł go na środek sieni. Nagle przysiadł, odbił potężnie cios i z obrony przeszedł do ataku.

Kozacy, zatrzymawszy oddech w piersiach, pospuszczali szable nadół i stali jak wryci, śledząc oczyma przebieg walki.

W ciszy słychać było tylko oddech i sapanie walczących, zgrzyt zębów i świst lub ostry dźwięk uderzających o siebie mieczy.

Przez chwilę zdawało się, że watażka ulegnie olbrzymiej sile i zaciętości młodzieńca, gdyż znowu począł się cofać i słaniać. Twarz przeciągnęła mu się, jakby z wysilenia. Mikołaj podwoił ciosy, kurzawa wstała z podłogi i przysłoniła obłokiem walczących, ale przez jej kłęby semenowie dojrzeli krew, spływającą po twarzy watażki.

Nagle Bohun uskoczył w bok, kniaziowe ostrze trafiło w próżnię, Mikołaj zachwiał się od zamachu i pochylił naprzód, a w tej samej chwili Kozak ciął go w kark tak straszliwie, że kniaź zwalił się, jakby gromem rażony.

Krzyki radosne Kozaków pomieszały się z nieludzkim wrzaskiem kniahini. Zdawało się, że od wrzasków powała pęknie. Walka była skończona, kozactwo rzuciło się na broń, zawieszoną na ścianach i poczęło ją zdzierać, wyrywając sobie wzajemnie kosztowniejsze szable i handżary, depcąc po trupach kniaziów i własnych towarzyszów, którzy legli z ręki Mikołaja. Bohun pozwalał na wszystko. Stał on we drzwiach, prowadzących do komnat Heleny, zagradzając drogę, i oddychał ciężko ze zmęczenia. Twarz miał bladą i pokrwawioną, gdyż dwa razy ostrze kniazia dotknęło jego głowy,

Błędny wzrok jego przenosił się z trupa Mikołaja na trupa Symeona, a czasem padał na zsiniałe oblicze kniahini, którą mołojcy, trzymając za włosy, przyciskali kolanami do ziemi, bo się rwała z ich rąk do trupów dzieci.

Wrzask i zamieszanie w sieni powiększało się z każdą chwilą. Kozacy ciągnęli na powrozach czeladź Kurcewiczów i mordowali ją bez litości. Podłoga była zalana krwią i zawalona trupami, sień zapełniona dymem od wystrzałów; ściany były obdarte, ptactwo nawet pobite.

Nagle drzwi, pod któremi stał Bohun, otworzyły się naoścież. Watażka obrócił się i stanął nagle.

We drzwiach ukazał się ślepy Wasyl, a obok niego Helena, ubrana w białe giezło, blada sama jak giezło, z oczyma rozszerzonemi z przerażenia, z otwartemi usty.

Wasyl niósł krzyż, który trzymał na wysokości twarzy, w obu dłoniach. Wśród zamieszania, panującego w sieni, wobec trupów, krwi rozlanej kałużami na podłodze, połysku szabel i rozpłomienionych źrenic, dziwnie uroczyście wyglądała ta postać wysoka, wynędzniała, z siwiejącym włosem i czarnemi jamami zamiast oczu. Rzekłbyś: duch, albo trup, który zrzucił całun i przychodzi karać zbrodnię.

Krzyki umilkły. Kozacy cofali się przerażeni; ciszę przerwał spokojny, ale jęczący głos kniazia:

— W imię Ojca, i Spasa, i Ducha, i Świętej Przeczystej! Mężowie, którzy przychodzicie z dalekich stron, zali przychodzicie w imię Boże?

Albowiem: Błogosławiony mąż w drodze, który idąc, opowiada słowo Boże.

A wy zali dobrą nowinę niesiecie? zali jesteście apostołami?

Cisza śmiertelna zapanowała po słowach Wasyla, on zaś zwrócił się zwolna z krzyżem w jedną stronę, następnie w drugą, i mówił dalej:

— Gorze wam, bracia! bo którzy dla zysku lub zemsty wojnę czynią, mają być potępieni na wieki...

...Módlmy się, abyśmy zaznali miłosierdzia. Gorze wam, bracia, gorze mnie! O! o! o!

Jęk wyrwał się z piersi kniazia.

— Hospody pomyłuj (Panie zmiłuj się)! — ozwały się głuche gło-

sy mołojców, którzy pod wpływem nieopisanego strachu poczęli się żegnać przerażeni.

Nagle dał się słyszeć dziki, przeraźliwy krzyk kniahini:

— Wasyl! Wasyl!...

Było w jej głosie coś tak rozdzierającego, jakby to był ostatni głos rwącego się życia. Jakoż gniotący ją kolanami mołojcy uczuli, że już nie usiłuje się wyrwać z ich rąk.

Kniaź drgnął, ale wnet zastawił się krzyżem od strony, z której dochodził głos, i odrzekł:

— Duszo potępiona, wołająca z głębokości, gorze ci!

— Hospody pomyłuj! — powtórzyli Kozacy.

— Do mnie, semenowie! — zawołał w tej chwili Bohun i zachwiał się na nogach.

Kozacy skoczyli i podparli go pod ramiona.

— Bat'ku! tyś ranny?

— Tak jest! Ale to nic! Krew mnie uszła. Hej, chłopcy! strzeda mi tej doni (dziewczyny), jak oka w głowie. Dom otoczyć, nikogo nie wypuszczać... Kniaziówno...

Nie mógł więcej mówić, wargi mu zbielały, a oczy mu zaszły mgłą.

— Przenieść atamana do komnat! — zawołał pan Zagłoba, który wylazłszy z jakiegoś kąta, niespodzianie zjawił się przy Bohunie. — To nic, to nic, — mówił, zmaczawszy palcami rany. — Jutro zdrów będzie. Już ja się nim zajmę. Chleba z pajęczyną mi ugnieść. Wy, chłopcy, ruszajcie sobie do dyabła pohulać z dziewkami w czeladnej, bo nic tu po was, a dwóch niech zaniesie atamana. Bierzcie go. Ot tak. Ruszajcieże do licha, czego stoicie? Domu pilnować — ja sam atamana będę doglądał.

Dwóch semenów poniosło Bohuna do przyległej izby, reszta wyszła z sieni.

Zagłoba zbliżył się do Heleny, i mrugając mocno okiem, rzekł szybko a cicho:

— Jam przyjaciel pana Skrzetuskiego, nie bój się. Odprowadź jeno spać swego proroka i czekaj na mnie.

To rzekłszy, wyszedł do izby, w której dwóch esaułów złożyło na sofie tureckiej Bohuna. Wnet wysłał ich po chleb i pajęczynę, a gdy je przyniesiono z czeladnej, zajął się opatrunkiem młodego atamana z całą biegłością, jaką wówczas każdy szlachcic posiadał,

a której nabywał, sklejając łby porozbijane w pojedynkach, lub na sejmikach.

— A powiedzcie też semenom,— rzekł do esaułów — że jutro ataman zdrów będzie jak ryba, żeby się zaś o niego nie troszczyli. Oberwał, bo oberwał, ale gracko się spisał i jutro jego wesele, chociaż i bez popa. Jeśli jest w domu piwniczka, to sobie możecie pozwolić. Ot, już i ranki przewiązane. Idźcież teraz, by ataman miał spokój.

Esaułowie ruszyli ku drzwiom.

— A nie wypijcie tam całej piwnicy! — rzekł jeszcze pan Zagłoba.

I siadłszy przy wezgłowu watażki, wpatrzył się w niego uważnie.

— No, czort cię nie weźmie od tych ran, chociażeś dostał dobrze. Ze dwa dni ani ręką, ani nogą nie ruszysz — mruczał sam do siebie, patrząc na bladą twarz i zamknięte oczy Kozaka. — Szabla nie chciała katu krzywdy zrobić, bo ty jego własność i od niego się nie wywiniesz. Gdy cię powieszą, dyabeł zrobi z ciebie kukłę (lalkę) dla swoich dzieci, boś gładki. Nie, braciszku, pijesz ty dobrze, ale ze mną dłużej nie będziesz pił. Szukaj ty sobie kompanii między rakarzami, bo widzę, że lubisz dusić, ale ja nie będę z tobą szlacheckich dworów po nocach napadał. Niech ci kat świeci, niech ci świeci!

Bohun jęknął zcicha.

— O, jęcz! o, wzdychaj! Jutro będziesz lepiej wzdychał. Poczekajże, tatarska duszo, kniaziówny ci się zachciało? Ba! nie dziwię ci się: dziewka specyał; ale jeśli ty go skosztujesz, to niech mój dowcip psy zjedzą. Pierwej mi też włosy na dłoni wyrosną...

Gwar zmieszanych głosów doszedł z majdanu do uszu pana Zagłoby.

— Aha, pewnie się już do piwniczki dobrali — mruknął. — Popijecie się jak bąki, żeby się wam dobrze spało; już ja będę czuwał za was wszystkich, choć nie wiem, jeżeli radzi jutro z tego będziecie.

To rzekłszy, wstał zobaczyć, azali rzeczywiście mołojcy zawarli już znajomość z kniaziowską piwnicą, i wszedł naprzód do sieni. Sień wyglądała strasznie. Na środku leżały sztywne już ciała Symeona i Mikołaja, a w kącie trup kniahini w postawie siedzącej i skulonej, tak jak ją przygniotły kolana mołojców. Oczy jej były otwarte, zęby wyszczerzone. Ogień, palący się w grubach, napeł-

niał całą sień mdłem światłe,, drgającem na kałużach krwi; głąb mroczyła się cieniem. Pan Zagłoba zbliżył się do kniahini zobaczyć, czy nie oddycha jeszcze, i położył rękę na jej twarzy, ale twarz ta była już zimna — więc wyszedł pospiesznie na majdan, bo go w tej izbie strach brał. Na majdanie Kozacy zaczęli już hulankę.

Ognie były już porozpalane, a przy ich blasku ujrzał pan Zagłoba stojące beczki miodu, wina i gorzałki, z poodbijanemi górnemi dnami. Kozacy czerpali z nich jak u studni, i pili na śmierć. Inni, rozgrzani już trunkiem, gonili się z mołodyciami z czeladnej, z których jedne, zdjęte strachem, szamotały się lub uciekały na oślep, skacząc przez ogień, inne, wśród wybuchów śmiechu i wrzasków pozwalały chwytać się i ciągnąć do beczek lub do ognisk, przy których tańczono Kozaka. Mołojcy rzucali się jak opętani w prysiudach, przed nimi dziewczyny drobiły, to posuwając się w podrygach naprzód, to cofając się przed gwałtownymi ruchami tancerzy. Widzowie bili w blaszane półkwaterki, lub śpiewali. Krzyki "uha!" rozlegały się coraz głośniej, przy wtórze szczekania psów, rżenia koni i ryku wołów, które rznięto na ucztę. Naokoło ognisk, w głębi widać było stojących chłopów z Rozłogów, "pidsusidków," którzy na odgłos strzałów i krzyków nadbiegli tłumnie ze wsi, aby zobaczyć, co się dzieje. Nie myśleli oni bronić kniaziów, bo Kurcewiczów nienawidzono we wsi, patrzali więc tylko na rozhulanych Kozaków, trącając się łokciami, szeptając między sobą i zbliżając się coraz bardziej do beczek z wódką i miodem. Orgia stawała się coraz wrzaskliwsza, pijatyka wzrastała; mołojcy nie czerpali z beczek blaszankami, ale zanurzali w nie głowy po szyję, tańczące dziewczęta oblewano wódką i miodem; twarze były rozpalone, ze łbów bił opar; niektórzy zataczali się już na nogach. Pan Zagłoba wyszedł na ganek, rzucił okiem na pijących, potem uważnie wpatrzył się w niebo.

— Pogoda, ale ciemno! — mruknął. — Gdy księżyc zajdzie, choć w pysk daj...

To rzekłszy, zeszedł zwolna ku beczkom i pijącym mołojcom.

— A dalej, chłopcy! — zawołał — a dalej, nie żałujcie sobie! Hajda! Nie ścierpną wam zęby. Kiep ten, co się dziś nie upije za zdrowie atamana. Dalej do beczek! -uha!

— U-ha! — zawyli radośnie Kozacy.

Zagłoba rozejrzał się na wszystkie strony.

— O takie syny, nikto płuty, harhary, oczajdusze! —wykrzyknął nagle — to sami pijecie jak zdrożone konie, a tamtym, co strażują koło domu, nic? Hej tam, zmienić mi ich natychmiast!

Rozkaz spełniono bez wahania, i w mgnieniu oka kilkunastu pijanych mołojców rzuciło się, by zastąpić strażników, którzy dotychczas nie brali udziału w hulatyce. Ci nadbiegli wnet, z łatwą do zrozumienia skwapliwością.

— Hajda, hajda! — zawołał Zagłoba, ukazając im beczki z napitkami.

— Dziakujem, pane! — odparli, zanurzając blaszanki.

— Za godzinę zluzować mi i tamtych!

— Słucham! — odpowiedział esauł.

Semenom wydało się to zupełnie naturalnem, że w zastępstwie Bohuna objął komendę pan Zagłoba. To już zdarzało się nieraz, i mołojcy radzi temu bywali, bo szlachcic pozwalał im zawsze na wszystko.

Strażnicy pili więc razem z innymi, pan Zagłoba zaś wszedł w rozmowę z chłopami z Rozłogów.

— Chłopie! — pytał starego "pidsusidka" — a daleko stąd do Łubniów?

— Oj daleko, pane! — odparł chłop.

— Na rano możnaby stanąć?

— Oj, nie stanie, pane!

— A na południe?

— Na południe prędzej.

— A którędy jechać?

— Prosto do gościńca.

— To jest gościniec?

— Kniaź Jarema kazał, żeby był, to i jest.

Pan Zagłoba mówił umyślnie bardzo głośno, aby wśród krzyków i gwaru spora garść semenów mogła go słyszeć.

— Dajcie i im gorzałki, — rzekł do mołojców, ukazując chłopów ale wprzód dajcie mi miodu, bo chłodno.

Jeden z semenów zaczerpnął z beczki trojniaku w garncową blaszankę i podał ją na czapce panu Zagłobie.

Szlachcic wziął ostrożnie we dwie ręce, aby płyn się nie rozlał, przytknął garncówkę do wąsów i, przechyliwszy wtył głowe, jął pić wolno, ale bez wytchnienia.

Pił, pił — aż mołojcy poczęli się dziwić.

— Baczyw ty (widziałeś)? — szeptali jeden do drugiego — trastia jeho mordowała (niech go febra za morduje)!

Tymczasem głowa pana Zagłoby przechylała się zwolna wtył, wreszcie przechyliła się zupełnie, aż nakoniec garncówkę od poczerwieniałej twarzy odjął, wargę wysunął, brwi podniósł i mówił jakby sam do siebie:

— Oj! wcale niezły, odstały. Zaraz widać, że niezły. Szkoda takiego miodu na wasze chamskie gardła. Dobraby była dla was i braha. Srogi miód, srogi; czuję, że mi ulżyło i żem się trochę pocieszył.

Jakoż ulżyło panu Zagłobie rzeczywiście, w głowie mu pojaśniało, nabrał fantazyi, i widocznem było, że krew jego, podlana miodem, utworzyła wyborny likwor (płyn), o którym sam powiadał, a od którego na całe ciało rozchodzi się męstwo i odwaga.

Skinął Kozakom ręką, że mogą dalej pić i, odwróciwszy się, przeszedł wolnym krokiem cały dziedziniec, obejrzał uważnie wszystkie kąty, przeszedł most na fosie i skręcił wedle częstokołu, aby zobaczyć, czy straże dobrze pilnują domostwa.

Pierwszy strażnik spał; drugi, trzeci i czwarty również. Byli pomęczeni drogą, a przytem przyszli już pijani na miejsca i pospali się odrazu.

— Mógłbym jeszcze i którego z nich wykraść, abym zaś miał pachołka do usług — mruknął pan Zagłoba.

To rzekłszy, wrócił wprost do dworu, wszedł znowu do złowrogiej sieni, zajrzał do Bohuna, a widząc, że watażka nie daje znaku życia, cofnął się ku drzwiom Heleny i, otworzywszy je zcicha, wszedł do komnaty, z której dochodził szmer jakoby modlitwy.

Właściwie była to komnata kniazia Wasyla, Helena jednak była przy kniaziu, w pobliżu którego czuła się bezpieczniejszą. Ślepy Wasyl klęczał przed obrazem Świętej Przeczystej, przed którym paliła się lampka, Helena obok niego; oboje modlili się głośno. Ujrzawszy pana Zagłobę, zwróciła na niego przerażone oczy. Zagłoba położył palec na ustach.

— Mościa panno, — rzekł — jam jest przyjaciel pana Skrzetuskiego.

— Ratuj! — odpowiedziała Helena.

— Potom też tu przyszedł; zdaj się na mnie.

— Co mam czynić?

— Trzeba uciekać, póki ten czort bez zmysłów leży.

— Co mam czynić?

— Wdziej na się ubiór męski i jak zapukam we drzwi, wyjdź.

Helena zawahała się. Nieufność błysnęła w jej oczach.

— Mamże waćpanu wierzyć?

— A co masz lepszego?

— Prawda, prawda jest. — Ale mi przysiąż, że nie zdradzisz.

— Rozum się waćpannie pomieszał. Ale kiedy chcesz, przysięgnę: Tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż! Tu twoja zguba, ocalenie w ucieczce.

— Tak jest, tak jest.

— Wdziej męski ubiór coprędzej i czekaj.

— A Wasyl?

— Jaki Wasyl?

— Brat mój obłąkany — rzekła Helena.

— Tobie grozi zguba, nie jemu — odparł Zagłoba. — Jeśli on obłąkany, to on dla Kozaków święty. Jakoż widziałem, że go mają za proroka.

— Tak jest, Bohunowi nic nie zawinił.

— Musimy go zostawić, inaczej zginiemy — i pan Skrzetuski z nami. Spiesz się waćpanna.

Z temi słowy pan Zagłoba opuścił izbę i udał się wprost do Bohuna.

Watażka blady był i osłabiony, ale oczy miał otwarte.

— Lepiej ci? — spytał Zagłoba.

Bohun chciał przemówić i nie mógł.

— Nie możesz mówić?

Bohun poruszył głową na znak, że nie może, ale w tej samej chwili cierpienie wyryło się na jego twarzy. Rany od ruchu zabolały go widocznie.

— To i krzyczeć byś nie mógł?

Bohun oczyma tylko dał znać, że nie.

— Ani się ruszyć?

Ten sam znak.

— To i lepiej, bo nie będziesz ani mówił, ani krzyczał, ani się ruszał, a ja tymczasem do Łubniów dojadę. Jeśli ci jej nie zdmuchnę, to się pozwolę starej babie w żarnach na osypkę zemleć. Jakto,

łajdaku? myślisz, że nie mam dość twojej kompanii, że się będę dłużej z chamem pospolitował? O niecnoto, myślałeś, że dla twego wina, twoich kości i twoich chłopskich amorów (miłostek) zabójstwa będę czynił i do rebelii (buntu) z tobą pójdę? Nie, nic z tego, gładyszu.

W miarę jak pan Zagłoba perorował, czarne oczy watażki roztwierały się szerzej i szerzej. Czy śnił, czy była to jawa, czy żart pana Zagłoby?

A pan Zagłoba mówił dalej:

— Czego ślepie wytrzeszczasz jak kot na sperkę? Czy myślisz, że tego nie uczynię? Może się każesz komu pokłonić w Łubniach? Może cyrulika ci stamtąd przysłać, a może mistrza (kata) u księcia pana zamówić.

Blada twarz watażki stała się straszną. Zrozumiał, że Zagłoba prawdę mówi; z oczu strzeliły mu gromy rozpaczy i wściekłości, na twarz uderzył płomień. Jedno nadludzkie wysilenie — podniósł się i z ust wyrwał mu się okrzyk.

— Hej, semen...

Nie skończył, gdyż pan Zagłoba z szybkością błyskawicy zarzucił mu na głowę jego własny żupan i w jednej chwili okręcił ją całkowicie; potem obalił go nawznak.

— Nie krzycz, bo ci to zaszkodzi — mówił zcicha, sapiąc mocno. — Mogłaby cię jutro głowa rozboleć, przeto jako dobry przyjaciel mam o tobie staranie. Tak, tak, będzie ci ciepło i zaśniesz smacznie i gardła nie przekrzyczysz. Abyś zaś opatrunku nie zdarł, to ci ręce zwiążę, a wszystko per amicitiam (przez przyjaźń), abyś mnie wdzięcznie wspominał.

To rzekłszy, obwinął pasem ręce Kozaka, zaciągnął węzeł, drugim, swoim własnym, skrępował mu nogi. Watażka nic już nie czuł, bo zemdlał.

— Choremu przystoi leżeć spokojnie, — mówił — aby humory do głowy nie biły, od czego delirium (pomieszanie) przychodzi. No, bądź zdrów; mógłbym cię nożem pchnąć, co może byłoby z lepszym moim pożytkiem, ale mi wstyd po chłopsku mordować. Co innego, jeśli zatkniesz się do rana, bo to się już nie jednej świni przygodziło. Vale et me amantem redima (żegnaj i mnie miłością za miłość odpłacaj). Może się i spotkamy kiedy, ale jeśli ja się będę o to starał, to niech ze mnie skórę zedrą i podogonia z niej porobią.

Rzekłszy to, pan Zagłoba wyszedł do sieni, przygasił ogień w grubach i zapukał do Wasylowej komnaty.

Smukła postać wysunęła się z niej natychmiast.

— Czy to waćpanna? — spytał Zagłoba.

— To ja.

— Chodźże, byleśmy się do koni dobrali. Ale oni tam pijani wszyscy, noc ciemna. Nim się rozbudzą, będziem daleko! Ostrożnie, tu kniazie leżą!

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha — szeptała Helena.

XIX.

Dwaj jeźdźcy jechali cicho i wolno przez lesisty jar, przytykający do dworu w Rozłogach. Noc zrobiła się bardzo ciemna, bo księżyc zaszedł oddawna, a do tego chmury okryły horyzont. W jarze nic widać było na trzy kroki przed końmi, które też potykały się co chwila o korzenie drzew, idące w poprzek przez drogę. Jechali długi czas z największą ostrożnością, aż dopiero gdy dojrzeli już koniec jaru i step otwarty, oświecony nieco szarym odbłyskiem chmur, jeden z jeźdźców szepnął:

— W konie!

Pomknęli jak dwie strzały, wypuszczone z łuków tatarskich, i tylko tętent koni biegł za nimi. Ciemny step zdawał się uciekać z pod nóg końskich. Pojedyńcze dęby, stojące tu i owdzie przy gościńcu, migały jak widma, i lecieli tak długo, bez odpoczynku i wytchnienia, aż wreszcie konie postulały uszy i poczęły chrapać ze zmęczenia: bieg ich stał się ociężały i wolniejszy.

— Niema rady, trzeba zwolnić koniom —rzekł grubszy jeździec.

A właśnie już i świt począł spychać noc ze stepu. Coraz większe przestrzenie wychylały się z cienia, rysowały się blado stepowe bodiaki, dalekie drzewa, mogiły; w powietrze wsiąkało coraz więcej światła. Białawe blaski rozświeciły i twarze jeźdźców.

Byli to pan Zagłoba i Helena.

— Niema rady, trzeba zwolnić koniom — powtórzył pan Zagłoba. — Wczoraj przyszły z Czehrynia do Rozłogów bez wytchnienia. Długo tak nie wytrzymają, a boję się, by nie padły. Jakże się waćpanna czujesz?

Tu pan Zagłoba spojrzał na swoją towarzyszkę i nie czekając odpowiedzi zawołał:

— Pozwólże mi się waćpanna przy dniu obejrzeć. Ho, ho! czy to po braciach ubranie? Niema co mówić: bardzo foremny (zgrabny) z waćpanny Kozaczek. Jeszczem też takiego pachołka póki żyję nie miał — ale tak myślę, że mi go pan Skrzetuski odbierze. A to co? O dla Boga, zwińże waćpanna te włosy, boć się nikt co do płci twej białogłowskiej nie omyli.

Rzeczywiście po plecach Heleny spływał potok czarnych włosów, rozwiązanych przez szybki bieg i wilgoć nocną.

— Dokąd jedziemy? — pytała, zawiązując je obiema rękami i usiłując wsunąć pod kołpaczek.

— Gdzie oczy niosą.

— To nie do Łubniów?

Na twarzy Heleny odbił się niepokój, a w bystrem spojrzeniu, jakie rzuciła na pana Zagłobę, malowała się rozbudzona na nowo nieufność.

— Widzisz waćpanna, mam ja swój rozum, i wierzaj, żem wszystko dobrze wykalkulował. A kalkulacya moja jest na następnej mądrej maksymie (zdaniu) oparta: nie uciekaj w tę stronę, w którą cię gonić będą. Owóż, jeśli gonią nas w tej chwili, to nas gonią w stronę Łubniów, bom też głośno się wczoraj o drogę wypytywał i Bohunowi na odjezdnem zapowiedziałem, że tam uciekać będziemy. Ergo (a zatem) uciekamy ku Czerkasom. Jeśli nas gonić zaczną, to nie prędko, bo dopiero wtedy, gdy się przekonają, że nas na drodze łubniańskiej niema, a to im ze dwa dni czasu zajmie. Tymczasem my będziemy w Czerkasach, gdzie teraz stoją chorągwie polskie pana Liwnickiego i Rudominy, a w Korsuniu cała potęga hetmańska. Rozumiesz waćpanna?

— Rozumiem i póki życia mego, póty wdzięczności dla waćpana! Nie wiem kto jesteś, skądeś się w Rozłogach znalazł, ale myślę, że cię Bóg zesłał na obronę moją i na ratunek, bo byłabym się pierwej nożem pchnęła, niżbym miała iść w moc tego zbója.

— Smok to jest, na niewinność waćpanny srodze zażarty.

— Co ja mu uczyniłam nieszczęśliwa, że mnie prześladuje? Zdawna go znałam i zdawna miałam go w nienawiści; zdawna bojaźń we mnie tylko wzbudzał. Czy to ja jedna na świecie, że mnie umiłował, że przezemnie tyle krwi rozlał, że pomordował mi braci?... Boże, gdy wspomnę, krew we mnie krzepnie. Co ja pocznę? gdzie

się przed nim schronię? Waćpan się nie dziw moim narzekaniom, bom nieszczęsna, bo mnie i wstyd tych afektów (czułości), bo stokroć wołalabym śmierć!

Policzki Heleny oblały się płomieńmi, na które stoczyły się dwie łzy, wyciśnięte przez gniew, wzgardę i ból.

— Nie będę się o to spierał, — rzekł Zagłoba — że wielkie nieszczęście spotkało wasz dom, ale pozwól waćpanna sobie powiedzieć, iż twoi krewniacy w części sami sobie winni. Nie trzeba było Kozakowi ręki twej obiecywać, a potem go zdradzać, co gdy się wydało, już on tak się rozsierdził, iż żadna perswazya moja nic nie pomogła. Żal mi też twoich braci pobitych, a osobliwie tego najmłodszego, boć to był dzieciuch prawie, ale zaraz widać było, że wyrośnie na wielkiego kawalera.

Helena poczęła płakać.

— Nie przystoją łzy tym szatkom, które waćpanna nosisz, otrzyj je tedy i tak sobie powiedz, że to była wola Boża. Bóg też ukarze zabójcę, który już nawet jest ukarany, gdy napróżno krew przelał, a waćpannę, jedyny i główny cel swych namiętności, utracił.

Tu pan Zagłoba umilkł, po chwili zaś rzekł:

— Ej, dałżeby on mi łupnia, miły Boże! gdyby mię tylko w ręce dostał. Na jaszczur skórę by mi wyprawił. Waćpanna nie wiesz, żem ja już w Galacie od Turków palmę otrzymał, ale też mam dosyć, drugiej nie pragnę i dlatego nie do Łubniów, tylko ku Czerkasom zążam. Dobrzeby było do księcia się schronić, ale nużby dogonili? Słyszałaś waćpanna, że gdym konie od palika odwiązywał, pachołek Bohunów się budził. A nuż larum (gwałt) podniósł? Tedyby zaraz do pościgu byli gotowi i złapaliby nas w godzinę — oni tam mają kniaziowskie świeże konie, a ja nie miałem czasu wybierać. Bestya to jest dzika ten Bohun, mówię waćpannie. Takiem go sobie zbrzydził, że wolałbym dyabła zobaczyć, niż jego.

— Boże nas broń od jego rąk!

— Sam on się zgubił. Czehryń wbrew rozkazowi hetmańskiemu opuścił, z ks. wojewodą ruskim zadarł. Nie pozostaje mu nic innego, tylko do Chmielnickiego umykać. Ale straci on na fantazyi jeśli Chmielnicki pobit będzie, a to się mogło już zdarzyć. Rzędzian spotkał za Krzemieńczukiem wojska, płynące pod Barabaszem i Krzeczowskim na Chmiela, a oprócz tego pan Stefan Potocki lądem z usaryą pociągnął; ale Rzędzian w Krzemieńczuku dziesięć dni

dla naprawy czajki przesiedział, więc nim do Czehrynia dociągnął, bitwa już musiała się zdarzyć. Lada chwila czekaliśmy wiadomości.

— To więc Rzędzian z Kudaku listy przywiózł? — pytała Helena.

— Tak jest: były listy od pana Skrzetuskiego do kniahini i do waćpanny, ale Bohun je przejął, z nich się wszystkiego dowiedział, więc zaraz Rzędziana rozszczepił i na Kurcewiczach mścić się pociągnął.

— Nieszczęsne pacholę! Przeze mnie to on krew wylał.

— Nie frasuj się waćpanna. Żyw będzie.

— Kiedyż to się stało?

— Wczoraj rano. U Bohuna człeka zabić, to jak drugiemu kubek wina łyknąć. A ryczał tak po przeczytaniu listów, że się cały Czehryń trząsł.

Rozmowa przerwała się na chwilę. Już też zrobiło się widno zupełnie. Różana zorza, bramowana jasnem złotem, opalami i purpurą, płonęła na wschodniej stronie nieba. Powietrze było świeże, rzeźwe; konie poczęły prychać wesoło.

— No, ruszajmy z Bogiem, a żywo. Szkapy odpoczęły, czasu zaś do stracenia nie mamy — rzekł pan Zagłoba.

Puścili się znów cwałem i lecieli z pół mili bez wypoczynku; nagle naprzeciw nich ukazał się jakiś punkt ciemny, który zbliżał się z nadzwyczajną szybkością.

— Co to może być? — rzekł pan Zagłoba. — Zwolnijmy. To człek na koniu.

Istotnie jakiś jeździec zbliżał się całym pędem i pochylony na siodle, z twarzą ukrytą w grzywie końskiej, smagał jeszcze nahajem swego źrebca, który zdawał się ziemi nie tykać.

— Co to za dyabeł może być i czego tak leci? Ależ leci! — rzekł pan Zagłoba, dobywając z olster pistoletu, aby być gotowym na wszelki wypadek.

Tymczasem goniec zbliżył się już na roków trzydzieści.

— Stój! — huknął pan Zagłoba, wymierzając pistolet. — Ktoś jest?

Jeździec zdarł konia i podniósł się na siodle, ale zaledwie spojrzał, gdy krzyknął:

— Pan Zagłoba?

— Pleśniewski, sługa starościński z Czehrynia! A ty tu co robisz? dokąd lecisz?

— Mości panie! zawracaj i ty ze mną. Nieszczęście! Gniew Boży! sąd Boży!

— Co się stało? Gadaj!

— Czehryń już zajęty przez zaporożców. Chłopy szlachtę rżną, sąd Boży!

— W imię Ojca i Syna! Co gadasz... Chmielnicki?...

— Pan Potocki pobity, pan Czarniecki w niewoli. Tatary idą z Kozakami. Tuhaj-bej!

— A Barabasz i Krzeczowski?

— Barabasz zginął. Krzeczowski połączył się z Chmielnickim. Krzywonos jeszcze wczoraj w nocy ruszył na hetmanów, Chmielnicki dziś do dnia. Siła straszna. Kraj w ogniu, chłopstwo wszędzy powstaje, krew się leje! Uciekaj waćpan!

Pan Zagłoba oczy wybałuszył, usta otworzył i zdumiał się tak, że słowa nie mógł przemówić.

— Uciekaj waćpan! — powtórzył Leśniewski.

— Jezus, Marya! — jęknął pan Zagłoba.

— Jezus, Marya! — powtórzyła Helena i wybuchnęła płaczem.

— Uciekajcie, bo czasu niema.

— Gdzie? Dokąd?

— Do Łubniów.

— A ty tam dążysz?

— Tak jest. Do księcia wojewody.

— A niechże to kaduk porwie! — zawołał pan Zagłoba. — A hetmani gdzie są?

— Pod Korsuniem. Ale Krzywonos już pewnie się bije z nimi

— Krzywonos, czy Prostonos, niechże go zaraza ukąsi! To ta niema po co jechać?

— Jako lwu w paszczę, na zgubę waćpan leziesz.

— A ciebie kto wysłał do Łubniów? Twój pan?

— Pan z życiem uszedł, a mnie kum mój, co go mam między zaporożcami, życie ocalił i uciec pomógł. Do Łubniów sam z własnej myśli jadę, bo i nie wiem, gdzie się schronić.

— A omijaj Rozłogi, bo tam Bohun. On także do rebelii (buntu) chce się zapisać.

— O dla Boga! Rety! W Czehryniu mówili, że jeno patrzeć, jak i na Zadnieprzu chłopstwo się podniesie!

— Być to może, być może! Ruszajże w swoją drogę, gdzie się podoba, bo ja mam dość o swojej skórze myśleć.

— Tak i uczynię! — rzekł Leśniewski i uderzywszy konia nahajem, ruszył.

— A omijaj Rozłogi! — krzyknął mu na drogę Zagłoba. — Jeśli zaś spotkasz Bohuna, nie gadaj, żeś mię widział, słyszysz?

— Słyszę — odparł Peśniewski. — Z Bogiem!

I popędził, jakby już goniony.

— No! — rzekł Zagłoba — masz dyable kubrak! Wykręciłem się sianem z różnych okazyi (przygód), ale w takich jeszcze nie byłem. Z przodu Chmielnicki, z tyłu Bohun, co gdy tak jest, nie dałbym jednej złamanej orty (grosza) za swój przód, ani za tył, ani za skórę. Głupstwo ponom zrobił, żem do Łubniów z waćpanną nie uciekał, ale o tem nie czas mówić. Tfu! tfu! cały mój dowcip nie wart teraz tego, żeby nim buty wysmarować. Co uczynić? dokąd się udać? W całej tej Rzeczypospolitej niema widać już kąta, w którymby człowiek swoją, nie darowaną śmiercią mógł zejść ze świata. Dziękuję za takie podarunki, niech je inni biorą.

— Mości panie! — rzekła Helena — to wiem, że moi dwaj bracia, Jur i Fedor, są w Zołotonoszy; może od nich będzie jakowy ratunek?

— W Zołotonoszy? Czekajże waćpanna. Poznałem i ja w Czehrynia pana Unierzyckiego, który pod Zołotonoszą ma majętność Kropiwnę i Czernobój. Ale to daleko stąd, dalej niż do Czerkas. Cóż robić? Kiedy niema gdzieindziej, to uciekajmy i tam. Ale trzeba będzie zjechać z gościńca; stepem i lasami przebierać się bezpieczniej. Żeby tak choć na tydzień przyczaić się gdzie, bodaj i w lasach, może przez ten czas hetmani z Chmielnickim skończą i będzie pogodniej na Ukrainie.

— Nie poto nas Bóg z rąk Bohunowych ocalił, byśmy zginąć mieli. Ufaj waćpan.

— Czekaj waćpanna. Jakoś duch wstępuje we mnie znowu. Bywało się w różnych okazyach (przygodach). Wolnym czasem opowiem waćpannie, co mnie w Galacie spotkało — z czego wraz zmiarkujesz, że i wtedy krucho było ze i wtedy krucho było ze mną, a przecieżem się własnym dowcipem

z tamtych terminów (warunków) salwował (ratował) i wyszedłem cało, chociaż mi broda, jak to widzisz, posiwiała. Ale musimy zjechać z gościńca. Skręć waćpanna — tak właśnie. Waćpanna tak koniem powodujesz, jak najsprawniejszy Kozaczek. Trawy wysokie, żadne oko nas nie dojrzy.

Rzeczywiście trawy, w miarę jak się zagłębiali w step. stawały się coraz wyższe, tak, że w końcu utonęli w nich zupełnie. Ale koniom ciężko było iść w tej plątaninie ździebeł cieńszych i grubszych, a czasem ostrych i kaleczących. Wkrótce też zmęczyły się tak,że ustały zupełnie.

— Jeśli chcemy, by nam służyły owe szkapiny dłużej, — mówił Zagłoba — trzeba zsiąść i rozsiodłać je. Niechby się wytarzały i podjadły trochę, inaczej nie pójdą. Miarkuję, że niezadługo do Kahamliku się dostaniemy. Radbym już tam był; niemasz jak oczerety; jak się schowasz, sam dyabeł ciebie nie znajdzie. Bylebyśmy tylko nie zbłądzili.

To rzekłszy, zsiadł z konia i Helenie zsiąść pomógł; następnie jął zdejmować terlice i wydobywać zapasy żywności, w które się był przezornie w Rozłogach zaopatrzył.

— Należy się pokrzepić, — rzekł — bo droga daleka. Zróbże waćpanna jakie wotum (ślub) do św. Rafała, byśmy ją szczęśliwie odbyli. Przecie w Zołotonoszy jest stara warowienka, może prezydyum (załoga) w niej jakie stoi. Pleśniewski mówił, że i na Zadnieprzu chłopi się podnoszą. Hm! być może, skory tu wszędy lud do buntu, ale na Zadnieprzu spoczywa ręka księcia wojewody, a dyablo ciężka ta ręka! Bohun zdrowy ma kark, ale jeśli ta ręka nań spadnie, to się przecie ugnie do samej ziemi, co daj Boże, amen. Jedzże waćpanna.

Pan Zagłoba wydobył z za cholewy sztuciec i podał go Helenie, następnie ułożył przed nią na czapraku pieczeń wołową i chleb.

— Jedzże waćpanna — rzekł. — "Kiedy w brzuchu pusto, w głowie groch z kapustą..." "Chcesz nie podrwić głową, jedz pieczeń wołową." My zaś już raz podrwili, bo pokazuje się, że lepiej było do Łubniów uciekać, ale stało się. Książę też pewnie z wojskiem do Dniepru ruszy, na pomoc hetmanom. Strasznych to czasów dożyliśmy, gdyż wojna domowa to ze wszystkiego złego najgorsze. Nie będzie kąta dla spokojnych ludzi. Lepiej mi było księdzem zostać, do czego miałem powołanie, bom człek spokojny i wstrzemięźliwy,

ale fortuna inaczej zrządziła. Mój Boże, mój Boże, byłbym teraz sobie kanonikiem krakowskim i śpiewałbym godzinki w stalach, bo mam głos bardzo piękny. Ale cóż, z młodu podobały mi się podwiki (kobiety)! Ho! ho! nie uwierzysz waćpanna, jaki był ze mnie gładysz. A com się na którą spojrzał, to jakby w nią piorun trzasł. Żeby mi tak dwadzieścia lat mniej, miałby się z pyszna pan Skrzetuski... Bardzo foremny z waćpanny Kozaczek... Nie dziwić się młodym, że wedle ciebie zabiegają i że się o ciebie za łby biorą. Pan Skrzetuski — zabijaka-to także nielada. Byłem świadkiem, jak mu Czapliński okazyę dawał (zaczepiał), a on, prawda że miał w głowie, ale kiedy nie porwie go za łeb i — z przeproszeniem waćpanny — za hajdawery, kiedy nie grzmotnie nim o drzwi — to mówię waćpannie, że mu wszystkie kości z zawiasów wyszły. Stary Zaćwilichowski powiadał mi też o waćpanny narzeczonym, iż wielki z niego rycerz, księcia wojewody ulubiony, ale i sam poznałem zaraz, iż żołnierz to powagi niepośledniej i eksperyencyi (doświadczenia) nad wiek... Gorąco się robi. Chociaż miła mi waćpanny kompania, ale dałbym nie wiem co, żeby już być w Zołotonoszy. Widzę, że we dnie trzeba nam będzie w trawach siedzieć, a nocą jechać. Nie wiem jeno, czy waćpanna takie trudy wytrzymasz?

— Jam zdrowa, wszystkie trudy wytrzymam. Możemy jechać choćby i zaraz.

— Całkiem nie białogłowska w waćpannie fantazya (dzielność). Konie się wytarzały, więc i pokułbaczę je zaraz, żeby na wszelki przypadek były gotowe. Nie będę się czuł bezpiecznym, póki kahamlickich oczeretów i zarośli nie zobaczę. Żebyśmy byli z gościńca nie zjeżdżali, tobyśmy się byli bliżej Czehrynia na rzekę natknęli, ale w tem miejscu będzie do niej od gościńca mila drogi. Tak przynajmniej miarkuję. Przeprawimy się zaraz na drugą stronę rzeki. Powiem waćpannie, że okrutnie spać mi się chce. Wczorajszego dnia do Rozłogów licho mnie z Kozakiem niosło, a dzisiejszej nocy znowu w Rozłogów odnosi. Spać mi się tak chce, że i do rozmowy straciłem ochotę, a choć milczeć nie mam zwyczaju, bo filozowie mówią, że kot powinien być łowny, a chłop mowny, jednakże widzę, że język mi jakoś zleniwiał. Przepraszam waćpannę, jeśli się zdrzemnę.

— Niema zaco — odpowiedziała Helena.

Pan Zagłoba niepotrzebnie wprawdzie oskarżał swój język o lenistwo, bo od świtu mełł nim bez przestanku, ale spać chciało mu się istotnie. Jakoż gdy siedli znowu na koń, począł zaraz drzemać i Żydy wozić na kulbace, aż nakoniec usnął na dobre. Uśpił go trud i szum traw, rozchylanych piersiami końskiemi. Helena zaś oddała się myślom, które w jej głowie wichrzyły się, jak stado ptactwa. Dotychczas wypadki tak szybko następowały po sobie, że dziewczyna nie umiała zdać sobie sprawy ze wszystkiego, co ją spotkało. Napad, straszne sceny mordu, strach, niespodziewany ratunek i ucieczka — wszystko to przewaliło się jak burza w ciągu jednej nocy. A przytem zaszło tyle rzeczy niezrozumiałych! Kto był ten, co ją ratował? Powiedział jej wprawdzie swe nazwisko, ale to nazwisko w niczem nie objaśniło powodów jego postępku. Skąd się wziął w Rozłogach? Mówił, że przyjechał z Bohunem, więc widocznie trzymał z nim kompanię, był mu znajomym i przyjacielem. Ale w takim razie dlaczego ją ratował, narażając się na największe niebezpieczeństwo i straszną zemstę Kozaka? Żeby to zrozumieć, trzeba było dobrze znać pana Zagłobę i jego niespokojną głowę przy dobrem sercu. Helena zaś znała go od sześciu godzin. I oto ten nieznajomy człowiek, z bezczelną twarzą warchoła i opoja, jest jej zbawcą. Gdyby go spotkała trzy dni temu, wzbudziłby w niej wstręt i nieufność, a teraz patrzy nań, jak na swego dobrego anioła i ucieka z nim... dokąd? Do Zołotonoszy — lub gdzieindziej, sam dobrze jeszcze nie wie. Co za zmiana losu! Wczoraj jeszcze kładła się do snu pod spokojnym dachem rodzinnym; dzisiaj jest w stepie, na koniu, w męskich szatach, bez domu i bez przytułku. Za nią straszliwy watażka, godzący na jej cześć, na jej miłość; przed nią pożar buntu chłopskiego, wojna domowa, wszystkie jej zasadzki trwogi i okropności. A cała ufność w tym człowieku. Nie! jeszcze w kimś, potężniejszym nad gwałtowników, nad wojny, mordy i pożogi.

Tu dziewczyna podniosła oczy do nieba:

— Ratujże Ty mnie, Boże wielki a miłosierny, ratuj sierotę, ratuj nieszczęsną, ratuj zabłąkaną! Bądź wola Twoja, ale stań się miłosierdzie Twoje!

A przecie już stało się miłosierdzie, bo oto wyrwana jest z rąk najokropniejszych, cudem Bożym niezrozumiałym ocalona. Niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze, ale może i zbawienie niedalekie. Kto wie, gdzie jest ten, którego sercem wybrała? Z Siczy musiał już

wrócić, może jest gdzie na tym samym stepie. Będzie jej szukał i odnajdzie, a wtedy radość zastąpi łzy, wesele smutek; groźby trwogi miną raz na zawsze — przyjdzie spokój i pocieszenie. Dzielne, proste serce dziewczyny napełniło się ufnością i step szumiał słodko naokoło, a powiew, który temi trawami kołysał, nawiewał zarazem myśli słodkich do jej głowy. Nie taka ona przecie sierota na tym świecie, gdy oto przy niej jeden dziwny, nieznany opiekun — a drugi znany i kochany, zatroszczy się o nią, nie opuści, przyhołubi (przygarnie) raz na zawsze. A to jest człowiek żelazny, mocniejszy i potężniejszy od tych, którzy na nią dybią w tej chwili.

Step szumiał słodko, z kwiatów wychodziły zapachy silne i upajające, czerwone głowy bodiaków, purpurowe kistki roztacza, białe perły mikołajków i pióra bylicy pochylały się ku niej, jakby w tym Kozaczku przebranym, o długich warkoczach, mlecznej twarzy i kraśnych ustach, rozpoznawały siostrę-dziewczynę. Chyliły się tedy ku niej, jakby chciały mówić; "Nie płacz, krasnodiwo, my także na opiece Bożej!" Jakoż uspokojenie przychodziło do niej od stepu coraz większe. Zacierały się obrazy mordu i pogoni w umyśle, a natomiast ogarniała ją jakaś niemoc, ale słodka, sen począł kleić jej powieki, konie szły wolno — ruch ją kołysał. Usnęła.

XX.

Obudziło ją szczekanie psów. Otworzywszy oczy, ujrzała w dali przed sobą dąb wielki, cienisty, zagrodę i żóraw studzienny. Wnet zbudziła towarzysza.

— Mości panie, zbudź się waszmość!

Zagłoba otworzył oczy.

— A to co? A my gdzie przyjechali?

— Nie wiem.

— Czekajże waćpanna. To jest zimownik kozacki.

— Tak i mnie się widzi.

— Pewnie tu czabanowie (pastuchy) mieszkają. Niezbyt miła kompania. Czego to psy tak ujadają, żeby ich wilcy zjedli! Widać konie i ludzi pod zagrodą. Niema rady, trzeba zajechać, żeby nie ścigali jak ominiem. Musiałaś i waćpanna się zdrzemnąć.

— Tak jest.

— Raz, dwa, trzy, cztery konie osiodłane — czterech ludzi pod zagrodą. No, niewielka potęga. Tak jest, to czabanowie. Coś żywo rozprawiają. Hej, tam, ludzie! a bywajno tu!

Czterech Kozaków zbliżyło się natychmiast. Byli to istotnie czabanowie od koni, czyli koniuchowie, którzy latem stad wśród stepów pilnowali. Pan Zagłoba zauważył natychmiast, że jeden nich miał tylko szablę i piszczel, trzej inni byli uzbrojeni w szczęki końskie, poprzywiązywane do kijów, ale wiedział i to także, że tacy koniuchowie bywają to ludzie dzicy i często dla podróżnych niebezpieczni.

Jakoż wszyscy czterej, zbliżywszy się, poglądali z podełba na przybyłych. W bronzowych twarzach ich nie było najmniejszego śladu życzliwości.

— Czego chcecie? — pytali, nie zdejmując czapek.

— Sława Bohu — rzekł pan Zagłoba.

— Na wiki wikiw. Czego chciecie?

— A daleko do Syrowatej?

— Ne znajem nikakij (żadnej) Syrowatej.

— A ówże zimownik jak się zwie?

— Huśla.

— Dajcieno koniom wody.

— Niema wody, wyschła. A wy skąd jedziecie?

— Z Kriwoj Rudy.

— A dokąd?

— Do Czehrynia.

Czabanowie spojrzeli po sobie.

Jeden z nich, czarny jak żuk i kosooki, począł wpatrywać się w pana Zagłobę, wreszcie rzekł:

— A czego wy z gościńca zjechali?

— Bo upał.

Kosooki położył rękę na lejcach pana Zagłoby.

— Zleźno, panku, z konia. Do Czehryina nie masz po co jechać.

— I czemu to? — spytał spokojnie pan Zagłoba.

— A widzisz ty tego mołojca? — rzekł kosooki, wskazując jednego z czabanów.

— Widzę.

— On z Czehrynia prijichaw. Tam Lachiw (Polaków) rižut (rżną).

— A wiesz ty, chłopie, kto do Czehrynia za nami jedzie?

— Kto takij?

— Kniaź Jarema!

Zuchwałe twarze czabanów spokorniały w jednej chwili. Wszyscy, jakby na komendę, poodkrywali głowy.

— A wiecie wy, chamy, — mówił dalej Zagłoba — co Lachy robią z takimi, co rիżut? oni takich wiszajut. A wiecie, ile kniaź Jarema wojska prowadzi? A wiecie, że on nie dalej niż pół mili stąd A co, psie dusze? Dudy w miech? Tak to wy nas tu przyjęli? Studnia wam wyschła? Wody dla koni nie macie? A basałyki! a kobyle dzieci! pokażę ja wam!

— Ne serdyteś (nie gniewajcie się), pane! Studnia wyschła. My sami do Kahamliku jeździm poić i wodę dla siebie nosimy.

— A skurczybyki!

— Prostyte (darujcie), pane. Studnia wyschła. Każecie, skoczym po wodę.

— Obejdzie się bez was, sam pojadę z pachołkiem. Gdzie tu Kahamlik? — spytał groźnie.

— Ot, dwie staje stąd! — rzekł kosooki, pokazując pas zarośli

— A do gościńca, czy tędy muszę wracać, czy brzegiem dojedzie?

— Dojedzie, pane. Milę stąd rzeka do gościńca skręca.

— Pachołek, ruszaj przodem! — rzekł pan Zagłoba, zwracając się do Heleny.

Mniemany pachołek skręcił konia na miejscu i poskoczył.

— Słuchać! — rzekł Zagłoba, zwracając się do chłopów, a jak tu podjazd przyjdzie, powiedzieć, żem brzegiem do gościńca pojechał.

— Dobrze, pane.

W kradrans później Zagłoba jechał znów obok Heleny.

— W porę im księcia wojewodę wymyśliłem—rzekł, przymrużając oko pokryte bielmem. Będą teraz siedzieli cały dzień i czekali podjazdu. Drżączka ich porwała na samo imię książęce.

— Widzę, że waszmość tak obrotny masz dowcip, iż z każdej biedy ratować się potrafisz — rzekła Helena—i Bogu dziękuję, że mi zesłał takiego opiekuna.

Szlachcicowi poszły po sercu te słowa, uśmiechnął się, ręką brodę pogładził i rzekł:

— A co? ma Zagłoba głowę na karku? Chytrym jak Ulisses, i to

muszę waćpannie powiedzieć, iż gdyby nie ta chytrość, dawnoby mnie krucy zdziobali. Ale cóż robić? trzeba się ratować! Oni w blizkość księcia snadnie uwierzyli, boć to jest prawdziwa rzecz, że dziś jutro on się w tych stronach zjawi, z mieczem ognistym, jak archanioł. Żeby tak i Bohuna po drodze gdzie rozcisnął, ofiarowałbym się boso do Częstochowy. Choćby też byli owi czabanowie i nie uwierzyli, samo przypomnienie mocy książęcej wystarczyło, by ich od napaści na nasze zdrowie powstrzymać. Wszelako powiem waćpannie, że zuchwałość ich nie dobre to dla nas signum (znak), bo to znaczy, że już się tu chłopstwo o wiktoryach (zwycięstwach) Chmielnickiego zwiedziło i coraz się będzie stawać zuchwalsze. Musimy teraz pustek się trzymać i do wsi mało zaglądać, bo niebezpiecznie. Dajże Boże jak najprędzej księcia wojewodę, bośmy się w taką matnię dostali, że, jakom żyw, gorszą trudno wymyślić.

Trwoga znów ogarnęła Helenę, pragnąc więc wydobyć jakie słowo nadziei z ust pana Zagłoby, rzekła:

— Już ja teraz ufam, że waszmość i siebie i mnie ocalisz.

— To się rozumie — odpowiedział stary wyga, — głowa od tego, żeby o skórze myślała. A waćpannę takiem już polubił, że za nią, jak za własną córką, będę obstawał. Najgorsze tylko to, że, prawdę rzekłszy, sami nie wiemy dokąd uciekać, boć i ta Zołotonosza niezbyt to pewne azylum (przytułek).

— To wiem napewno, że bracia są w Zołotonoszy.

— Są, albo ich niema, bo mogli wyjechać, a do Rozłogów pewnie nie tą drogą, którą my jedziemy, wracają. Więcej ja liczę na tamtejsze prezydyum (załogę). Żeby tak choć z pół chorągiewki, albo z pół regimenciku w zameczku! Ale ot i Kahamlik. Tymczasem przynajmniej oczerety pod bokiem. Przeprawimy się na drugą stronę i zamiast z biegiem ku gościńcowi ciągnąć, pociągniemy w górę, żeby ślad pomylić. Prawda, że zbliżymy się do Rozłogów, ale nie bardzo...

— Zbliżymy się do Browarków, — rzekła Helena — przez które się do Zołotonoszy jedzie.

— To i lepiej. Stójno waćpanna.

Napoili konie. Następnie pan Zagłoba, zostawiwszy Helenę dobrze ukrytą w zaroślach, pojechał wyszukać brodu, który znalazł z łatwością, bo leżał zaledwie o kilkadziesiąt kroków od miejsca, do którego przyjechali. Właśnie tamtędy owi czabanowie przepę-

dzali konie na drugą stronę rzeki, która zresztą była dość płytka, jeno brzegi miała mało dostępne, bo zarosłe i błotniste. Przeprawiwszy się tedy na drugą stronę, ruszyli spiesznie w górę rzeki i jechali bez wytchnienia aż do nocy. Droga była ciężka, bo do Kahamliku wpadało mnóstwo strumieni, które, rozlewając się szerzej przy ujściach, tworzyły tu i owdzie trzęsawiska i topieliska. Trzeba było co chwila wyszukiwać brodów, lub przedzierać się przez zarośla, trudne do przebycia dla jezdnych. Konie pomęczyły się okrutnie i zaledwie włokły za sobą nogi. Chwilami zapadały tak, że Zagłobie zdawało się, że nie wylezą już więcej. Nakoniec wydostali się na wysoki, suchy brzeg, porosły dębiną. Ale już też noc była głęboka i ciemna bardzo. Dalsza podróż stała się niepodobieństwem, bo w ciemnościach można było trafić na chłonące bagna i zginąć, więc pan Zagłoba postanowił czekać ranka.

Rozsiodłał konie, popętał je i puścił na pastwisko, poczem jął zbierać liście, wymościł z nich posłanie, zasłał czaprakami i okrywszy burką, rzekł do Heleny:

— Połóż się waćpanna i śpij, bo nie masz nic lepszego do zrobienia. Rosa oczki ci przemyje, to i dobrze, ja też przyłożę głowę do terlicy, bo już kości nie czuję w sobie. Ognia nie będziem palili, gdyż światło by nam tu jakich czabanów ściągnęło. Noc krótka, świtaniem ruszymy dalej. Śpij waćpanna spokojnie. Nakluczyliśmy jak zające, niewiele po prawdzie drogi zrobiwszy, ale też takeśmy zatarli za sobą ślady, że zje dyabła, kto nas odnajdzie. Dobranoc waćpannie!

— Dobranoc waćpanu!

Smukły Kozaczek ukląkł i modlił się długo, podnosząc oczy do gwiazd, a pan Zagłoga wziął na plecy terlicę i poniósł ją nieco opodal, gdzie sobie upatrzył miejsce do spania. Brzeg był dobrze wybrany do noclegu, bo wysoki i suchy, zatem bez komarów. Gęsto liście dębów mogły stanowić niezłą ochronę od deszczu.

Helena długo nie mogła zasnąć. Wypadki ubiegłej nocy stanęły jej zaraz żywo w pamięci, z ciemności wychyliły się twarze pomordowanych: stryjny i braci. Zdawało się jej, że jest razem z ich trupami w owej sieni zamknięta i że do tej sieni zaraz wejdzie Bohun. Widziała jego oblicze wybladłe i sobole brwi czarne, bólem ściągnięte, i oczy w siebie utkwione. Trwoga ogarnęła ją niewymowna.

A nuż nagle w tych ciemnościach, które ją otaczają, ujrzy naprawdę dwoje świecących oczu...

Księżyc przelotem wyjrzał z za chmur, pobielił garścią promieni dąbrowę i ponadawał fantastyczne kształty pniom i gałęziom. Derkacze ozwały się po łąkach, przepiórki na stepach; czasem dochodziły jakieś dziwne, dalekie głosy ptaków, czy zwierząt nocnych. Bliżej prychały konie, które, gryząc trawę i skacząc w pętach, oddalały się coraz więcej od śpiących. Ale te wszystkie głosy uspokajały Helenę, bo rozpraszały fantastyczne widzenia i przenosiły ją w rzeczywistość; mówiły jej, że ta sień, która ciągle stawała jej przed oczyma, i te trupy krewnych, i ten Bohun blady, z zemstą w oczach — to złuda zmysłów, urojenie strachu, nie więcej. Przed kilku dniami myśl o takiej nocy pod gołem niebem, w pustyni, przerażałaby ją śmiertelnie, dziś musiała sobie przypominać, że istotnie jest nad Kahamlikiem, daleko od swojej komnaty dziewiczej, aby się uspokoić.

Grały jej tedy do snu derkacze i przepiórki, migotały gwiazdy, gdy powiew poruszył gałęzie, brzęczały chrząszcze na dębowych liściach — i usnęła wreszcie. Ale noce w pustyni mają także swoje niespodzianki. Szaro już było, gdy uszu jej doszły zdala jakieś straszne głosy, jakieś harkotania, wycia, chrapania, później kwik, tak bolesny i przeraźliwy, że krew ścięła się w jej żyłach. Zerwała się na równe nogi, okryta zimnym potem, przerażona i nie wiedząca co czynić. Nagle w oczach jej mignął Zagłoba, który leciał bez czapki w stronę tych głosów, z pistoletami w ręku. Po chwili rozległ się jego głos: "U-ha! u-ha! siromacha!" — huknął wystrzał i wszystko umilkło. Helenie zdawało się, że wieki czeka, nakoniec przecie, poniżej brzegu, usłyszała znów Zagłobę:

— Ażeby was psi pojedli! żeby was ze skóry obdarto! Żeby was Żydzi na kolnierzach nosili!

W głosie Zagłoby brzmiała prawdziwa desperacya (rozpacz).

— Mości panie, co się stało? — pytała dziewczyna.

— Wilcy konie pożarły.

— Jezus, Marya, oba?

— Jeden pożarty, drugi skaleczony, tak, że i stajania nie ujdzie. W nocy odeszły nie dalej niż trzysta kroków i już po nich.

— Cóż teraz poczniem?

— Co poczniem? Wystrużemy sobie kije i siądziemy na nie.

Czy ja wiem co poczniem? Ot, czysta desperacya. Mówię waćpannie, że dyabeł wyraźnie zawziął się na nas — co i nic dziwnego, bo musi on być Bohunowi przyjacielem, albo zgoła krewnym. Co poczniem? Jeśli wiem, niech się w konia zmienię, przynajmniej waćpanna będziesz miała na czem jechać. Szelmą jestem, jeślim kiedy był w podobnej imprezie (przygodzie)!

— Pójdziemy pieszo...

— Dobrze to waćpannie, przy jej dwudziestu leciech, ale nie mnie, przy mojej cyrkumferencyi (tuszy), chłopską modą podróżować. Choć i to źle mówię, bo tu lada chłop na szkapę się dobędzie, a psy tylko chodzą na piechotę. Czysta desperacya, jak mnie Bóg miły! Juści nie będziem tu siedzieli, tylko pójdziemy, ale kiedy zajdziemy do onej Zołotonoszy, nie wiem. Jeśli uciekać nawet i na koniu nie miło, to na piechotę ostatnia rzecz. Tedy przygodziło się już nam, co się mogło najgorszego przygodzić. Kulbaki musimy zostawić, a co do gęby włożyć, to na własnym karku dźwigać.

— Nie pozwolę ja na to, abyś waćpan sam dźwigał, a co będzie trzeba, to i ja też poniosę.

Zagłoba udobruchał się, widząc taką determinacyę (stanowczość) dziewczyny.

— Moja mościa panno, — rzekł — a toż chyba byłbym Turkiem, albo poganinem, gdybym na to pozwolił. Nie do dźwigania to te bieluchne rączki, nie do dźwigania te strzeliste pleczyki. Jako Bóg da, że i sam poradzę, jeno wypoczywać często muszę, bo nadtom był zawsze wstrzemięźliwy w jadle i napoju, od czego mam teraz dech krótki. Weźmiem czapraki do spania i żywności trochę, a zresztą niewiele już jej zostanie, licząc, że zaraz trzeba się dobrze pokrzepić.

Jakoż zabrali się do posiłku, przy którym pan Zagłoba, porzuciwszy swą zachwalaną wstrzemięźliwość, starał się o dech długi. Koło południa przyszli nad bród, którym widocznie niekiedy przejeżdżali ludzie i wozy, bo po obu brzegach były ślady kół i kopyt końskich.

— Może to droga do Zołotonoszy? — rzekła Helena.

— Ba! niema się kogo spytać.

Ledwie pan Zagłoba skończył mówić, gdy z oddali doszedł ich uszu głos ludzki.

— Czekaj waćpanna, ukryjmy się — szepnął Zagłoba.

Głos zbliżał się coraz bardziej.

— Widzisz co waćpan? — spytała Helena.

— Widzę.

— Kto się zbliża?

— Dziad ślepiec z lirą. Wyrostek go prowadzi. Teraz buty zdejmują. Przejdą ku nam przez rzekę.

Po chwili pluskanie wody oznajmilo, że istotnie przechodzą.

Zagłoba z Heleną wyszli z ukrycia.

— Sława Bohu! — rzekł głośno szlachcic.

— Na wiki wikiw! — odpowiedział dziad. — A kto tam jest.

— Chrześcijanie. Nie bój się, dziadu, naści ortę (grosz).

— Szczob wam światyj Mikołaj daw zdorowja i szczastja.

— A skąd, dziadu, idziecie?

— Z Browarków.

— A ta droga dokąd prowadzi?

— Do futoriw, pane, do seła... (Do folwarków, do sioła).

— A do Zołotonoszy nią dojdzie?

— Można, pane.

— Dawnoście wyszli z Browarków?

— Wczoraj rano, pane.

— A w Rozłogach byliście?

— Byli. Ale powiadają, że tam "łycari" prijszli, szczo bitwa buła.

— Któż to powiadał?

— W Browarkach powiadali. Tam jeden z kniaziowej czeladzi przyjechał a co powiadał, strach!

— A wyście go nie widzieli?

— Ja, pane, nikogo nie widzę, ja ślepy.

— A ówże wyrostek?

— On widzi, ale on niemową, ja jeden jego rozumiem.

— Daleko też stąd to Rozłogów? bo my tam właśnie idziemy.

— Oj, daleko!

— Więc powiadacie, żeście byli w Rozłogach?

— Byli, pane.

— Tak! — rzekł pan Zagłoba i nagle chwycił za kark wyrostka.

— Na, łotry, złodzieje, łajdaki! Na przeszpiegi chodzicie, chłopów do buntu podmawiacie! Hej, Fedor, Oleksy, Maksym, brać ich,

obedrzeć do naga i powiesić, albo utopić! Bij ich, to buntownicy, szpiegi, bij zabijaj!

Począł szarpać wyrostka i potrząsać nim silnie, i krzyczeć coraz głośniej. Dziad rzucił się na kolana, prosząc o miłosierdzie, wyrostek wydawał przeraźliwe głosy, właściwe niemowom, a Helena spoglądała ze zdumieniem na ową napaść.

— Co waćpan robisz? — pytała, nie wierząc własnym oczom.

Ale pan Zzgłoba wrzeszczał, przeklinał, poruszał całe piekło, wzywał wszystkich nieszczęść, klęsk, chorób — groził wszelkimi rodzajami mąk i śmierci.

Kniaziówna myślała, że mu się rozum pomieszał.

— Umykaj! — wołał na nią — nie przystoi ci patrzeć na to, co się tu stanie! umykaj, mówię.

Nagle zwrócił się do dziada:

— Zdejmuj przyodziewek, capie (koźle brodaty), a nie, to cię tu potnę na sztuki!

I, obaliwszy wyrostka na ziemię, począł go własnemi rękoma obdzierać. Dziad przerażony zrzucił coprędzej lirę, torbę i świtkę.

— Zdziewaj wszystko! bogdaj cię zabito! — wrzeszczał Zagłoba.

Dziad począł ściągać koszulę.

Kniaziówna, widząc na co się zanosi, oddaliła się spiesznie, aby swej skromności widokiem nagich członków nie obrazić, a za uciekającą goniły jeszcze przekleństwa Zagłoby.

Oddaliwszy się znacznie, zatrzymała się, nie wiedząc sama co począć. W pobliżu leżał pień obalonego przez wichry drzewa, siadła więc na nim i czekała. Do uszu jej dochodziły wrzaski niemowy, jęki dziada i warchoł, czyniony przez pana Zagłobę.

Wreszcie umilkło wszystko. Słychać było tylko świergotanie ptaków i szmer liści. Po chwili dało się słyszeć sapanie i ciężki chód ludzki.

Był to pan Zagłoba.

Na ramieniu niósł przyodziewek, zdarty z dziada i pacholęcia, w ręku dwie pary butów i lirę. Zbliżywszy się, począł mrugać swojem zdrowem okiem, uśmiechać się i sapać.

Widocznie był w doskonałym humorze.

— Żaden woźny w trybunale nie nakrzyczy się tak, jakom się ja nakrzyczał — rzekł. — Ażem ochrypł! Ale mam, czegom chciał. Wypuściłem ich nagich, jak ich matka porodziła. Jeśli mnie suł-

tan nie zrobi baszą, albo hospodarem wołoskim, to jest niewdzięcznikiem, gdyż przysporzyłem dwóch tureckich świętych. O łajdaki! prosili, by im też choć koszule zostawić! Alem im rzekł, iż dość powinni być wdzięczni, że ich przy żywocie zostawiam. A zobaczno waćpanna. Wszystko nowe, i świty, i buty, i koszule. Mażtu być porządek w tej Rzeczypospolitej, gdy chamstwo tak zbytkownie się ubiera? Ale oni byli na odpuście w Browarkach, gdzie niemało zebrali grosiwa, toż sobie kupili wszystko nowe na jarmarku. Nie jeden szlachcic tyle nie wyorze w tym kraju, ile dziad wyżebrze. Odtąd porzucam rycerskie rzemiosło: będę dziadów na gościńcach obdzierał, bo widzę, że eo modo (w ten sposób) prędzej do fortuny (majątku) dojść można.

— Ale na jaki pożytek waćpan to uczyniłeś? — pytała Helena.

— Na jaki pożytek? Waćpanna tego nie rozumiesz? Tedy poczekaj trochę, zaraz się ów pożytek widocznie ukaże.

To rzekłszy, wziął połowę zdartego przyodziewku i oddalił się w krze, zarastające brzegi. Po niejakim czasie w krzach ozwały się dźwięki liry, a następnie ukazał się... już nie pan Zagłoba, ale prawdziwy "did" (dziad) ukraiński, z bielmem na jednem oku, z siwą brodą. "Did" zbliżył się do Heleny, śpiewając ochrypłym głogłosem:

"Sokołe jasnyj, brate mij ridnyj,
Ty wysoko litajesz,
Ty szyroko widajesz."

Kniaziówna klasnęła w ręce, i po raz pierwszy od ucieczki z Rozłogów uśmiech rozjaśnił jej śliczną twarz.

— Gdybym nie wiedziała, że to waćpan, zgołabym go nie poznała.

— A co? — rzekł pan Zagłoba. — Pewnie i na zapusty nie widziałaś waćpanna lepszej maszkary. Przejrzałem się też w Kahamliku i jeślim widział kiedy foremniejszego dziada, niech mnie na własnej torbie powieszą. Na pieśniach też mi nie zbraknie. Co waćpanna wolisz? Może o "Marusi Bohusława," o "Bondariwnie," albo o "Sierpiahowej śmierci?" Mogę i to. Szelmą jestem, jeśli na kawałek chleba między największymi hultajami nie zarobię.

— Już teraz rozumiem waszmościn uczynek, dlaczegoś szatki zewlókł z tych biedaków, a to, by drogę w przebraniu bezpieczniej odbyć.

— Rozumie się — rzecze pan Zagłoba. — Cóżto waćpanna myślisz? Tu na Zadnieprzu lud gorszy niż gdzieindziej, i tylko ręka

księcia hultajów od swywoli powstrzymuje, a teraz, gdy się dowiedzą o wojnie z Zaporożem i wiktoryach (zwycięstwach) Chmielnickiego, tedy żadna moc ich od rebelii nie powstrzyma. Widziałaś waćpanna owych czabanów (koniuchów), którzy się do naszej skóry chcieli zabierać? Jeśli prędko hetmany Chmielnickiego nie zetrą, to za dzień, za dwa, cały kraj będzie w ogniu — i jakże ja waćpannę wówczas przez kupy zbuntowanego chłopstwa przeprowadzę? A mielibyśmy wpaść w ich ręce, to lepiej było dla waćpanny w Bohunowych pozostać.

— O, nie może to być! Wolę śmierć! — przerwała kniaziówna.

— Ja zaś wolę życie, bo śmierć to na raz sztuka, od której się żadnym dowcipem nie wykręcisz. Ale tak myślę, że Bóg nam zesłał tych dziadów. Takem ich przestraszył, że książę z całem wojskiem blizko, jak i owych czabanów. Będą ze trzy dni od strachu goli w oczeretach siedzieć. A my tymczasem w przebraniu jakoś do Zołotonoszy się przebierzem; znajdziemy braci waćpanny i pomoc — dobrze; nie, to pójdziem dalej aż do hetmanów, albo na księcia będziem czekać, a wszystko w przezpieczności, bo dziadom od chłopów i Kozaków żaden strach. Moglibyśmy przez obozy Chmielnickiego zdrowo głowy przenieść. Tylko jednych Tatarów vitare (unikać) nam należy, bo oniby waćpannę, jako pachołka młodego w jasyr wzięli.

— To i ja tedy przebrać się muszę?

— Tak jest, zrzuć tedy waćpanna z siebie Kozaczka, a w wyrostka chłopskiego się przedzierzgnij. Trochęś, jak na chamskie dziecko, za gładka, ja także na dida, ale to nic, wiatr opali liczko waćpanny, a mnie od chodzenia brzuch spadnie. Wszystką tłustość z siebie wypocę. Gdy mnie Wołosi oko wypalili, myślałem, iż zgoła okrutna przygoda mnie nachodzi, a widzę teraz, iż mi się to właśnie przyda, bo dziad nie ślepiec byłby podejrzanym. Będziesz mnie waćpanna za rękę prowadziła, a zwij mnie Onufrij, bo takowe jest moje dziadowskie imię. Teraz zaś przebierz się co prędzej, nam czas w drogę, która, ile że na piechotę, dłużyć się będzie.

Pan Zagłoba odszedł, a Helena wnet jęła się przebierać za dziadowskie pachołę. Wypluskawszy się w rzece, zrzuciła żupanik kozacki, a wdziała świtkę chłopską i kapelusz ze słomy, i sakwy podróżne. Szczęściem, wyrostek ów, obdarty przez Zagłobę, był smukłym, więc pasowało na nią wszystko dobrze.

Zagłoba, wróciwszy, obejrzał ją uważnie i rzekł:

— Mój Boże, niejeden rycerz chętnieby zbył staniku swego (wyrzekł się swego stanu), byle go taki pachołek prowadził, a już jednego husarza znam, któryby to napewno uczynił. Tylko już z tymi włosami trzeba koniecznie coś uczynić. Widziałem ja w Stambule urodziwe pacholęta, ale takiego nie widziałem.

— Daj Boże, aby mi na złe nie wyszła gładkość moja — rzekła Helena.

Ale uśmiechała się jednak, bo jej niewieście uszy mile łechtał podziw pana Zagłoby.

— Gładkość nigdy na złe nie wychodzi, a ja tego pierwszym przykładem, bo gdy mnie Turcy w Galacie oko wypalili, chcieli wypalić i drugie, gdy mnie żona tamecznego baszy uratowała, a to dla nadzwyczajnej mojej urody, której ostatki możesz jeszcze waćpanna oglądać.

— A mówiłeś waćpan, iż to Wołosi mu oczy wypalili.

— Bo Wołosi, ale poturczeni, i w Galacie, u baszy służący.

— Przecie waćpanu i tego jednego nie wypalili.

— Jeno mi od gorącości żelaza bielmem zaszło. Wszystko to jedno. Cóż tedy waćpanna z warkoczami swymi chcesz uczynić?

— A cóż? trzeba obciąć.

— A trzeba. Ale jak?

— Waćpan swą szablą.

— Dobrze to szablą głowę ująć, ale włosy, to już nie wiem, quo modo (w jaki sposób)?

— Wiesz waćpan co? Siądę ja przy tym zwalonym pniu, a włosy przez pień przełożę, waćpan zaś tniesz i utniesz. Jeno mi głowy nie utnij.

— O to się waćpanna nie bój. Nieraz ja knoty u świec po pijanemu obcinałem, samej świecy nie zaciąwszy. Nie uczynię i waćpannie krzywdy, chociaż takowa robota dla mnie pierwsza.

Helena siadła koło pnia i, rzuciwszy wpoprzek swe ogromne czarne włosy, podniosła oczy ku panu Zagłobie.

— Gotowam, — rzekła — tnij waćpan.

I uśmiechnęła się do niego trochę smutno, bo jej żal było owych włosów, które przy jej głowie ledwieby w dwie piędzie można ująć. A i panu Zagłobie było jakoś niesporo. Okraczył pień dla lepszego cięcia i mruczał:

— Tfu! tfu! wolałbym zostać cyrulikiem i osełedce (czuby) Kozakom podgalać. Zdaje mi się, żem jest mistrzem i że do katowskiej przystępuję roboty, gdyż wiadomo waćpannie, że oni czarownicom włosy na głowie obcinają, aby zaś dyabeł się w nich nie utaił i swoją mocą efektu (skuteczności) tortur nie zepsował. Aleś waćpanna nie czarownicą, przeto i ten postępek paskudnym mi się wydaje, za który jeźli mi pan Skrzetuski uszu nie obetnie, to mu imparitatem (nierówność) zadam. Dalibóg, że mnie mrowie chodzi po ręku. Zamruż przynajmniej waćpanna oczy.

— Już! — rzekła Helena.

Pan Zagłoba podniósł się w górę, jakby się na strzemionach do cięcia wznosił. Płytkie żelazo świsnęło w powietrzu, i natychmiast długie, czarne sploty zsunęły się po gładkiej korze pnia na ziemię.

— Już! — rzekł z kolei Zagłoba.

Helena podniosła się żywo i natychmiast krótko obcięte włosy rozsypały się czarnem koliskiem koło jej twarzy, na którą biły rumieńce wstydu, bo w owych czasach ucięcie warkocza dziewczynie poczytywano za hańbę wielką, więc była to z jej strony ciężka ofiara, którą z konieczności tylko znieść mogła. Nawet i łzy pokazały się w jej oczach, a pan Zagłoba, niekontent z siebie, wcale jej nie pocieszał.

— Zdaje mi się, żem się na coś bezecnego odważył — rzekł — i powtarzam waćpannie, że pan Skrzetuski, jeżeli jest godnym kawalerem, uszy mi za to obciąć powinien. Ale nie można było inaczej, boćby sexus (płeć) waćpanny zaraz odgadnięto. Teraz przynajmniej pójdziemy śmiało. Rozpytałem się też dziada o drogę, przyłożywszy mu sztych do gardła. Wedle tego co powiedział, ujrzymy na stepie trzy dęby, koło których będzie wilczy jar, a wedle jaru droga na Demianówkę, ku Zołotonoszy. Czumakowie (kupcy wędrowni) drogą jeżdżą, będzie się można przysiąść na wozie. Ciężkie my to chwile z waćpanną przeżywamy, które wiecznie wspominać będziem. Teraz ot trzeba się będzie i z szablami rozstać, bo nie przystoi dziadowi, ani jego pacholęciu, mieć szlacheckie oznaki przy sobie. Wetknę je pod ten pień, może Bóg da, że kiedyś odnajdę. Dużo wypraw ta szabla widziała i wielkich przewag była przyczyną. Wierzaj mi waćpanna, że odtąd byłbym już regimentarzem, gdyby nie invidia (zazdrość) i złość ludzka, która mnie o miłość do gorących napojów posądzała. Tak to zawsze na świecie. W niczem niemasz sprawiedliwości! Żem nie

łazi, jak kto głupi, na zgubę, i z męstwem umiałem, jako drugi Cunctator, łączyć roztropność, tedy pierwszy pan Zaćwilichowski powiadał, że mnie tchórz oblatywał. Dobry on człowiek, ale ma zły język. Jeszcze niedawno dogryzał mi, żem się z Kozaki bratał, a gdyby nie owo bratanie, pewniebyś waćpanna mocy Bohunowej nie uszła.

Tak rozmawiając, powtykał pan Zagłoba szable pod pień, nakrył je zielskiem i trawą, następnie przewiesił przez plecy sakwy i teorban, wziął w rękę kij osadzony krzemieniami, machnął raz i drugi, potem rzekł:

— No, niezłe i to, można jakowemu psu albo i wilkowi świeczki w ślepiach zapalić i zęby porachować. Najgorsze ze wszystkiego, że trzeba iść piechotą, ale niema rady! Chodźmy!

Poszli. Pacholę czarnowłose przodem, dziad za niem. Dziad mruczał i przeklinał, bo mu gorąco było iść piechotą, chociaż po stepie wiatr przeciągał. Wiatr ten opalał i czynił smagłem lice ślicznego pacholęcia. Wkrótce trafili na jar, na którego dnie biła krynica, sącząc swe przeczyste wody do Kahamliku. Koło tego jaru, niedaleko od rzeki, rosły na mogile trzy potężne dęby; ku nim zaraz skręcili nasi podróżni. Zaraz też trafili na ślady drogi, która żółciła się na stepie od kwiecia, wyrosłego na bydlęcym nawozie. Droga była pusta, ani czumaka na niej, ani mazi, ani siwych wołów wolno idących. Gdzieniegdzie leżały tylko kości bydlęce. Podróżni szli ciągle, wypoczywali jeno w dąbrowach cienistych. Czarnowłose pacholę układało się do snu na zielonej murawie, a dziad czuwał. Przechodzili też i przez ruczaje, gdzie brodu niebyło, to go szukali, chodząc długo brzegiem. Czasem też dziad przenosił pacholę na ręku, z siłą dziwną w człeku, który już chodził po żebranym chlebie. Ale był to barczysty dziad! Tak wlekli się znowu aż do wieczora, aż wreszcie pachołek usiadł przy drodze w lesie dębowym i rzekł:

— Już mi i tchu brak i siły zbyłam. Nie pójdę dalej. Tu się położę i zamrę.

Dziad zakłopotał się srodze.

— Oto przeklęte pustkowie! — rzekł — ani futoru, ani sadyby na drodze, ani żywego człeka. Ale nie możemy tutaj na noc zostawać. Wieczór już zapada, za godzinę ciemno będzie... a posłuchaj jeno waćpanna!

Tu dziad umilkł i przez chwilę panowała cisza głęboka. Ale nagle przerwał ją daleki posępny głos, który zdawał się wychodzić z wnętrzności ziemi, i rzeczywiście wychodził z jaru, leżącego niedaleko drogi.

— To wilcy — rzekł pan Zagłoba. — Zeszłej nocy mieliśmy konie, to nam konie zjedli, terazby do nas samych się zabrali. Trzymam ci ja wprawdzie pistolet pod świtką, ale mi prochu nie wiem czy na dwa razy stanie, a nie chciałbym służyć za marcepan na wilczem weselu. Słyszysz waćpanna? — znowu!

Wycie istotnie rozległo się znowu i zdawało się bliższem.

— Wstawaj, detino! — rzekł dziad. — A nie możesz iść, to cię poniosę. Cóż robić? Widzę, że zanadto polubiłem waćpannę, ale to pewnie dlatego, że żyjąc w stanie bezżennym, własnych prawych potomków zostawić nie mogłem a jeśli mam nieprawe, to są bisurmanami, bom w Turczech długo przebywał. Na mnie też kończy się ród Zagłobów, herbu Wczele. Waćpanna się starością moją zaopiekujesz, ale teraz wstawaj, alboli siadaj mi na plecy na barana.

— Nogi mi tak ociężały, że już i ruszyć się nie mogę.

— A chwaliłaś się waćpanna swoją siłą. Ale cichono! cicho! Jak mnie Bóg miły, tak słyszę szczekanie psów. Tak jest, to psi, nie wilcy. Tedy niedaleko musi być Demianówka, o której mnie dziad powiadał. Chwała bądź Bogu najwyższemu! Jużem myślał, czyby ognia nie napalić od wilków, alebyśmy się pewnie pospali, bośmy oboje znużeni. Tak jest, to psi. Słyszysz?

— Chodźmy! — rzekła Helena, której nagle sił przybyło.

Jakoż zaledwie wyszli z lasu, pokazały się o kilka stajań ognie licznych chat. Dojrzeli także trzy kopułki cerkwi, pobite świeżemi gontami, które świeciły jeszcze w pomroce od ostatnich blasków zorzy wieczornej. Szczekanie psów dochodziło coraz wyraźniej.

— Tak jest, to Demianówka, nie może być nic innego — rzekł pan Zagłoba. — Dziadów wszędy chętnie przyjmują, może zdarzy się nocleg i wieczerza, a może dobrzy ludzie dalej powiozą. Czekaj-że waćpanna, to jest książęca wieś, więc może i podstarości w niej mieszka. I spoczniem, i wieści zasięgniem. Książę już musi być w drodze. Może poratowanie prędzej się zdarzy, niż się waćpanna spodziewasz. Ale! pamiętajże, żeś niemowa. Zaczynam już w nietkę gonić, gdyż kazałem ci się zwać Onufrym, a skoro jesteś

niemową, nie możesz mnie nijak nazywać. Ja sam będę gadał za ciebie i za siebie, a chwalić Boga, po chłopsku tak dobrze mówię, jak i po łacinie. Dalej, dalej! Ot, już i pierwsze chaty niedaleko. Mój Boże! kiedy już się skończy nasze tułactwo? Żebyśmy choć piwa grzanego mogli dostać, chwaliłbym pana Boga i za to.

Pan Zagłoba umilkł, i przez czas niejaki szli cicho koło siebie. Poczem mówić począł:

— Pamiętaj-że waćpanna, żeś niemowa. Gdy cię ktoś o co spyta, zaraz mu pokaż na mnie i rzeknij: "hum, hum, hum! nija, nija!" Waćpanna, uważałem, wiele masz roztropności, a to przecie o naszą skórę chodzi. Chybabyśmy przypadkiem na hetmańskie albo książęce chorągwie trafili, wtedy zaraz ogłosimy, kto jesteśmy, zwłaszcza jeśli się znajdzie oficer grzeczny i pana Skrzetuskiego znajomy. Prawda, żeś to waćpanna pod opieką książęcą, tedy nie masz się czego żołnierzów obawiać. O! a to co za ogniska tam w dołku buchają? Aha, kują, to kuźnia! Ale widzę i ludzi przy niej niemało, pójdźmy tam.

Istotnie w rozpadlinie, stanowiącej przedsionek jaru, stała kuźnia, z której komina sypały się snopy i kłęby złotych iskier, a przez otwarte drzwi i przez liczne dziury, wiercone w ścianach, buchało jaskrawe świarło, przesłaniane chwilami przez ciemne postacie, kręcące się we wnętrzu. Na zewnątrz, przed kuźnią, widać było także w pomroce nocnej kilkadziesiąt postaci, stojących kupkami. Młoty w kuźnicy biły w takt, że echo rozlegało się dokoła, a odgłos ten mieszał się ze śpiewami przed kuźnią, z gwarem rozmów, ze szczekaniem psów. Widząc to wszystko, pan Zagłoba skręcił zaraz w ów jar, zabrząknął w lirę i począł śpiewać:

"Ej, tam na hori
Żenci żnut,
A popid horoju
Popid zełenoju,
Kozaki idut."

Tak śpiewając, zbliżył się do gromady ludzi, stojących przed kuźnią. Rozejrzał się: byli to chłopi, po większej części pijani, Prawie wszyscy trzymali w ręku drągi. Na niektórych z tych drągów widniały kosy, poobsadzane sztorcem, i ostrza spis. Kowale w kuźni pracowali właśnie nad wyrobem tych ostrz i odginaniem kos.

— Ej, did (dziadzie!) did! — poczęto wołać w gromadzie.

— Sława Bohu! — rzekł pan Zagłoba.

— Na wiki wikiw.

— Skażyte (powiedzcie), ditki, wże (gdzie) je Demianówka?

— Demianówka? Abo szczo?

— Bo mnie po drodze mówili, — cągnął dalej dziad — że tu dobrzy ludzie mieszkają, co dziada przygarną, nakarmią, napoją, przenocują i hroszy dadut (pieniędzy dadzą). Ja stary, daleką drogę odbył, a chłopiec to już dalej krokiem nie może. On biedny, niemowa, mnie starego prowadzi, bo niewidzę, ślepiec ja nieszczęsny. Bóg was pobłogosławi, dobrzy ludzie, i święty Mikołaj cudotwórca pobłogosławi, święty Onufrij pobłogosławi. W jednem oku trochę mi światła Bożego zostało, a drugie ciemne na wieki; tak z teorbanem chodzę, pieśni śpiewam i żyję jak ptaki, tem co z rąk dobrych ludzi spadnie.

— A skąd wy, didu?

" Oj, zdaleka, zdaleka! Ale pozwólcie spocząć, bo widzę pod kuźnią jest ława. Siadaj i ty nieboże — mówił dalej, ukazując ławkę Helenie. — My aż z nad Ladawy, dobrzy ludzie. Ale z domu dawno, dawno wyszli, a teraz z Browarków z odpustu idziemy.

— A co tam słyszeli dobrego? — pytał stary chłop z kosą w ręku.

— Słyszeli, słyszeli, ale czy co dobrego, nie wiemy. Ludzi tam naschodziło się mnogo. O Chmielnickim mówili, że hetmańskiego syna i jego łycariw (rycerzy) zwojował. Słyszeli także, że na ruskim brzegu chłopi na panów się podnoszą.

Gromada otoczyła zaraz pana Zagłobę, który, siedząc obok kniaziówny, kiedyniekiedy w struny liry uderzał.

— To wy, ojcze, słyszeli, że się podnoszą?

— A jakże. Nieszczęśliwa bo nasza chłopska dola!

— Ale mówią, że koniec będzie?

— W Kijowie pismo od Chrystusa na ołtarzu znaleźli, że będzie wojna straszna i okrutna, i wielkie krwi przelanie na całej Ukrainie.

Półkole, otaczające ławę, na której siedział pan Zagłoba, ścieśniło się jeszcze bardziej.

— Mówicie, że pismo było?

— Było, jak żywo! O wojnie, o krwi przelaniu... Ale nie mogę mówić więcej, bo mi staremu biednemu w gardle już zaschło.

— Macie, ojcze, miarkę gorzałki, a mówcie, coście na świecie

słyszeli. Wiemy i my, że dziady wszędy bywają i wszystko znajut (wiedzą). Bywały już u nas, taj kazały, szczo na paniw (i powiedzieli, że na panów) przyjdzie od Chmiela czarna godzina. No tak my kosy i spisy kazali sobie robić, aby nie byli ostatni, ale teraz nie wiemy, zaczynaćli już, czy pisma od Chmiela czekać.

Zagłoba wychyli miarkę, posmakował, potem pomyślał chwilę i rzekł:

— A kto wam mówi, że czas zaczynać?

— My sami chcemy!

— Zaczynać! zaczynać! — ozwały się liczne głosy.

— Koły zaporożci paniw pobyły, tak zaczynać.

Kosy i spisy zatrzęsły się w krzepkich rękach i wydały brzęk złowrogi.

Potem nastała chwila milczenia, jeno młoty w kuźnicy biły. Przyszli rezunowie czekali, co powie did. Dziad myślał, myślał, wreszcie spytał:

— Czyi wy ludzie?

— My kniazia Jaremy.

— A kogoż wy będziecie ryzaty (rżnąć)?

Chłopi spojrzeli po sobie.

— Jego? — spytał dziad.

— Ne zderżymo (niedamy rady)...

— Oj, ne zderżyte, ditki, ne zderżyte. Bywał ja i w Łubniach i widział kniazia na własne oczy. Straszny on! Kiedy krzyknie, drzewa drżą w lesie, a jak nogą tupnie, jar się robi. Jego i korol boitsia (i król się boi), i hetmany słuchają i wszyscy się jego boją. A wojska więcej u niego, niż u chana i sułtana. Ne zderżyte. Nie wy jego poszukacie, ale on was poszuka. A jeszcze tego nie wiecie, co ja wiem, że jemu wszystkie Lachy przyjdą w pomoc, a to znajte: szczo Lach, to szabla!

Ponure milczenie zapanowało w gromadzie; dziad brzęknął znów w teorban i mówił dalej, podniósłszy twarz ku księżycowi:

— Idzie kniaź, idzie, a przy nim tyle kraśnych kit i chorągwi, ile gwiazd na niebie, a bodiaków na stepie. Leci przed nim wiatr i jęczy, a znajete ditki, dlaczego on jęczy? Nad waszą dolą on jęczy. Leci przed nim matka-śmierć z kosą i dzwoni, a wiecie dla czego dzwoni? Na wasze szyje dzwoni!

— Hospody pomyłuj! — ozwały się ciche, przerażone głosy.

I znowu słychać było tylko bicie młotów.

— Kto tu kniaziowy komysar (komisarz)? — spytał dziad.

— Pan Gdeszyński.

— A gdzie on?

— Uciekł.

— A czemu on uciekł?

— Bo słyszał, że dla nas spisy taj kosy kują, tak się przeląkł i uciekł.

— Tem gorzej, bo on o was kniaziowi doniesie.

— Coś ty, didu, kraczesz jak kruk — rzekł stary chłop. — A tak my i wierzymy, że na paniw czarna godzina nadchodzi. I nie będzie ich ani na ruskim, ani na tatarskim brzegu, ani panów, ani czynszu, ani czopowego, ani suchomielszczyzny, ani przewozowego — i nie będzie Żydów, bo tak stoi w piśmie od Chrystusa, o którem ty sam powiadał. A Chmiel taki jak i kniaź mocny.. Naj sia poprobujut (niech się spróbują)!

— Dajże mu Boże! — mówił dziad. — Ciężka nasza chłopska doja, a dawniej inaczej bywało.

— Czyja ziemia? kniazia; czyj step? kniazia; czyj las? kniazia; czyje stada? kniazia; a dawniej był Boży las, Boży step: kto przyszedł pierwszy, to wziął i nikomu nie był powinien. Teraz wsio (wszystko) paniw a kniaziej...

— Dobra wasza, ditki (dzieci)! — rzekł dziad — ale ja wam jedną rzecz powiem: sami wiecie, że tu kniaziowi nie zdzierżycie, więc oto co powiem: kto chce paniw ryzaty, niech się tu nie ostaje, póki się Chmiel z kniaziem nie popróbuje, ale niech do Chmiela ucieka — i to zaraz, jutro, bo kniaź już w drodze. Jeśli go pan Gdeszyński do Demianówki namówi, to nie będzie kniaź was tu żywił, ale do ostatniego wybije — tak wy do Chmiela uciekajcie. Im was więcej tam będzie, tem Chmiel łatwiej sobie poradzi! O! a ciężką on ma przed sobą robotę. Hetmany naprzód, i wojsk koronnych bez liku, a potem kniaź, od hetmanów mocniejszy. Lećcie wy, ditki, pomagać Chmielowi i Zaporożcom, bo oni niebożęta nie wydzierżą, a przecie za waszą to oni swobodę i za wasze dobro z panami się biją. Lećcie, to się i przed kniaziem ocalicie, i Chmielowi pomożecie.

— Wże prawdu każe! (Toć prawdę mówi) — ozwały się głosy w gromadzie.

— Dobrze mówi!

— Mudry (mądry) did!

— To ty widział kniazia w drodze?

— Widzieć, nie widziałem, alem w Browarkach słyszał, że już ruszył z Łubniów; pali i ścina, gdzie jedną spisę znajdzie: ziemię i niebo zostawia!

— Hospody pomiłuj!

— A gdzie nam Chmiela szukać?

— Poto ja tu, ditki, przyszedł, żeby wam powiedzieć, gdzie Chmiela szukać. Pójdźcie, wy dzieci, do Zołotonoszy, a potem do Trechtymirowa pójdziecie, i tam już Chmiel będzie na was czekał, — tam się też z wszystkich wsi, sadyb i futorów ludzie zbiorą, tam i Tatary przyjdą, bo inaczej kniaź wszystkim wam by po ziemi, po matce, chodzić nie dał.

— A wy, ojcze, pójdziecie z nami?

— Pójść nie pójdę, bo stare nogi ziemia już ciągnie. Ale mnie telegę zaprzężcie, taj pojadę z wami. A przed Zołotonoszą pójdę naprzód zobaczyć, czy tam pańskich żołnirów niema. Jak będą, to ominiemy i prosto na Trechtymirów pociągniem. Tam już kozacki kraj. A teraz mnie jeść i pić dajcie, bom ja stary głodny i pachołek mój głodny. Jutro rano ruszymy, a po drodze o panu Potockim i kniaziu Jaremie wam zaśpiewam. Oj, srogie to lwy! Wielkie będzie przelanie krwi na Ukrainie, niebo czerwieni się okrutnie, a i miesiąc jakoby we krwi pływa. Proście wy, ditki, zmiłowania Bożego, bo niejednemu nie chodzić już długo po Bożym świecie. Słyszał ja też, że upiory z mogił wstają i wyją.

Jakiś przestrach ogarnął zgromadzone chłopstwo. Mimowoli zaczęli się oglądać i żegnać, i szeptać między sobą. Nakoniec jeden krzyknął:

— Do Zołotonoszy!

— Do Zołotonoszy! — powtórzyli wszyscy, jakby tam właśnie była ucieczka i ocalenie.

— W Trechtymirów!

— Na pohybel Lachom i panom!

Nagle młody jakiś Kozaczek wystąpił naprzód, potrząsnął spisą i krzyknął:

— Bat'ki! a kiedy jutro do Zołotonoszy idziem, to dziś chodźmy na komisarski dwór!

— Na komisarski dwór! — krzyknęło odrazu kilkadziesiąt głosów.

— Spalić! dobro zabrać!

Ale dziad, który głowę miał spuszczoną na piersi, podniósł ją i rzekł:

— Ej, ditki, nie chodźcie wy na komisarski dwór i nie palcie go, bo będzie łycho (źle). Kniaź tu może gdzie blizko z wojskiem krąży; łunę zobaczy, to przyjdzie i będzie łycho. Lepiej wy mnie jeść dajcie i nocleg pokażcie. Siedzieć wam cicho, niehulaty popasikam.

— Prawdu każe! — odezwało się kilka głosów.

— Prawdu każe, a ty Maksym durny!

— Chodźcie, ojcze, do mnie na chleb i na sól i na miodu kwaterkę, a podjecie, to pójdziecie spać na siano do odryny — rzekł stary chłop, zwracając się do dziada.

Zagłoba wstał i pociągnął Helenę za rękaw świtki. Kniaziówna spała.

— Zmordowało się pacholę, to choć przy młotach usnęło — rzekł pan Zagłoba.

A w duszy pomyślał sobie:

— O słodka niewinności, która wśród spis i nożów spać możesz! Widać anieli niebiescy cię strzegą, a przy tobie i mnie strzegą.

Zbudził ją i poszli ku wsi, która leżała nieco opodal. Noc była pogodna, cicha — goniło ich echo bijących młotów. Stary chłop szedł naprzód, by drogę w ciemnościach pokazać, a pan Zagłoba udając, że pacierze odmawia, mruczał monotonnym głosem:

— O hospody Boże, pomiłuj nas hriszných (grzesznych)... Widzisz waćpanna!... Świataja preczystaja... Cóżbyśmy robili, niemając chłopskiego przebrania? Jako wże na ziemli i dosza ku nebe, sech... Jeść dostaniemy, a jutro pojedziemy do Zołotonoszy-misto iść piechotą...Amin, amin, amin... Można się spodziewać, że Bohun trafi tu naszym śladem, bo go nie oszukają nasze fortele... Amin... amin... Ale już będzie za późno, bo w Prozorówce Dniepr przejedziemy, a tam już moc hetmańska. Diawoł błahougodnyku ne straszen (cnotliwy dyabła nie boi się)... Amin... Tu za parę dni kraj będzie w ogniu, niech tylko książę za Dniepr ruszy... Amin... Żeby ich czarna śmierć wydusiła, niech im kat świeci...Słyszyszno waćpanna, jako tam wyją pod kuźnią? Amin... Ciężkie na nas przyszły ter

miny, ale kpem jestem, jeśli waćpanny z nich nie wydobędę, choćbyśmy mieli do samej Warszawy uciekać.

— A co tam mruczycie, ojcze? — pytał chłop.

— Nic, modlę się za wasze zdrowie. Amin, amin!...

— A ot i moja chata...

— Sława Bohu!

— Na wiki wikiw!

— Proszę na chleb, sól.

— Bóg nagrodzi!

W kilka chwil później dziad pokrzepiał się silnie baraniną, popijając obficie miodem, a nazajutrz rano ruszył razem z pacholęciem wygodną telegą ku Zołotonoszy, eskortowany przez kilkudziesięciu konnych chłopów, zbrojnych w spisy i kosy.

Jechali na Kawrajec, Czernoboj i Kropiwnę. Po drodze widzieli, że wrzało już wszystko. Chłopi wszędzie zbroili się, kuźnice po jarach pracowały od rana do nocy, i tylko straszna potęga, straszne imię księcia Jeremiego wstrzymywało jeszcze krwawy wybuch.

Tymczasem za Dnieprem burza rozszalała się z całą wściekłością. Wieść o klęsce korsuńskiej rozbiegła się lotem błyskawicy po całej Rusi, więc zrywał się kto żył.

XXI.

Bohuna znaleźli semenowie następnego rana po ucieczce Zagłoby na wpół uduszonego w żupanie, w który pan Zagłoba go obwinął, ale że ran nie miał ciężkich, wkrótce przyszedł do przytomności. Przypomniawszy sobie wszystko co się stało, wpadł we wściekłość, ryczał jak dziki zwierz, krwawił ręce na własnym krwawym łbie i nożem godził w ludzi, tak, że semenowie nie śmieli do niego przystąpić. Wreszcie, nie mogąc się jeszcze na kulbace utrzymać, kazał przywiązać między dwa konie kolebkę żydowską, i wsiadłszy w nią, pognał jak szalony w stronę Łubniów, sądząc, że tam udali się zbiegowie. Leżąc tedy w betach żydowskich, w puchu i własnej krwi, rwał stepem jak upiór, który przed brzaskiem rannym do mogiły ucieka, a za nim pędzili wierni semenowie, w tej myśli, że na oczywistą śmierć pędzą. Lecieli tak aż do Wasilówki, w której stało na załodze sto piechoty węgierskiej, książęcej. Dziki watażka

jakby mu życie zbrzydło, uderzył na nią bez wahania, sam pierwszy rzucił się w ogień i po kilkugodzinnej walce wyciął ją w pień, z wyjątkiem kilku żołnierzy, których oszczędził, aby mękami zeznania z nich wydobyć. Dowiedziawszy się od nich, iż żaden szlachcic nie uciekał tą stroną z dziewczyną, sam nie wiedział co począć, i darł na sobie bandaże z bólu. Iść dalej było już niepodobieństwem, gdyż wszędzie ku Łubniom stały pułki książęce, które mieszkańcy, zbiegli w czasie bitwy z Wasilówki, musieli już ostrzedz o napaści. Porwali wierni semenowie osłabłego ze wściekłości atamana i prowadzili nazad do Rozłogów. Wróciwszy, nie zastali już i śladów ze dworu, bo go chłopi miejscowi zrabowali i spalili razem z kniaziem Wasilem, sądząc, że w razie gdyby się kniaziowie albo książę Jeremi mścić chcieli, z łatwością zwalą winę na Kozaków i Bohuna. Spalono przytem wszystkie zabudowania, wycięto las wiśniowy, wybito wszystką czeladź, bo chłopstwo mściło się bez litości za twarde rządy i ucisk, jakiego od Kurcewiczów doznawało. Zaraz za Rozłogami wpadł w ręce Bohuna Pleśniewski, który od Czehrynia z wieścią o klęsce żółtowodzkiej jechał. Ten, pytany, dokąd i z czem jedzie, gdy plątał się i nie dawał jasnych odpowiedzi, wpadł w podejrzenie, a przypieczony ogniem, wyśpiewał co wiedział, i o klęsce, i o panu Zagłobie, którego poprzedzającego dnia spotkał. Uradowany watażka odetchnął. Powiesiwszy Pleśniewskiego, puścił się dalej, już prawie pewny, że mu Zagłoba nie ujdzie. Jakoż czabanowie dostarczyli nowych wskazówek, ale zato za brodem wszelkie ślady jak w wodę wpadły. Na dziada obdartego przez pana Zagłobę ataman nie mógł się natknąć, bo ten posunął się już niżej, z biegiem Kahamliku, i zresztą tak był przerażony, że krył się jak lis w oczeretach.

Tymczasem upłynęły znowu dzień i noc, a że pościg w stronę Wasilówki zajął również dwa dni, Zagłoba miał więc ogromny czas za za sobą. Co tedy było robić?

W tym trudnym razie przyszedł Bohunowi z radą i pomocą esauł, stary wilk stepowy, przyzwyczajony od młodości do tropienia Tatarów w Dzikich Polach.

— Bat'ku (ojcze)! — rzekł — uciekali oni do Czehrynia i mądrze uciekali, bo zyskali na czasie—ale gdy się o Chmielu i żółtowodzkiej klęsce od Pleśniewskiego dowiedzieli, zmienili drogę. Ty, bat'ku sam widział, że ziechali z gościńca i w bok się rzucili.

— W step?

— W stepie jaby ich, bat'ku, znalazł, ale oni poszli ku Dnieprowi, by się do hetmanów dostać — więc poszli albo na Czerkasy, albo na Zołotonoszę i Prochorówkę... a jeśli i ku Perejasławiu poszli, chociaż ne dumaju (nie myślę), to i tak ich znajdziemy! Namby, bat'ku, trzeba jednemu do Czerkas, drugiemu do Zołotonoszy, na czumacką drogę — prędko, bo jak się przez Dniepr przeprawią, to do hetmanów zdążą, albo ich Tatary Chmielnickiego ogarną.

— Ruszajże do Zołotonoszy, ja do Czerkas pociągnę.

— Dobrze, bat'ku.

— A pilnuj dobrze, bo to chytry lis!

— Oj, i ja chytry, bat'ku.

Tak ułożywszy plan pogoni, skręcili natychmiast, jeden ku Czerkasom, drugi wyżej, ku Zołotonoszy. Wieczorem tego samego dnia stary esaul dotarl do Demianówki.

Wieś była pusta, zostały tylko same baby, gdyż wszyscy mężczyźni ruszyli za Dniepr, do Chmielnickiego. Widząc zbrojnych, a nie wiedząc, ktoby byli, baby pokryły się po strzechach i stodołach. Anton długo musiał szukać, nim odnalazl staruszkę, która nie obawiała się niczego, nawet Tatarów.

— A gdzie chłopy, matko? — pytal Anton.

— A czy ja wiem! — odparła, ukazując żółte zęby.

— My Kozaki, matko, nie bójcie się, my nie od Lachiw.

— Lachiw? szczob ich łycho (Polaków? niech ich licho)!

— Wy nam życzycie? prawda?

— Wam? — starucha zastanowila się chwilę:

— A was szczoby bolaczka!

Anton nie wiedział, co ma począć, gdy nagle drzwi jednej chaty skrzypnęły, i mlodsza, ładna kobieta wyszla na podwórko.

— Ej, mołojcy, słyszala ja, szczo wy nie Lachy.

— Tak jest.

— A wy od Chmiela?

— Tak jest.

— Nie od Lachiw?

— Ni.

— A czego wy o chłopów pytali?

— Ot tak pytali, czy już poszli.

— Poszli, poszli!

— Sława Bohu! A powiedzno, mołodycio, nie uciekał tu tędy jeden szlachcic, Lach przeklęty, z córką?

— Szlachcic? Lach? Ja ne baczyła.

— Nikogo tu nie było?

— Buł did. On chłopów namówił, żeby do Chmiela, do Zołotonoszy poszli, bo mówił, że tu kniaź Jarema przyjdzie.

— Gdzie?

— A tutki. A potem do Zołotonoszy ma ciągnąć, to mówił did.

— I did namówił chłopów do buntu?

— A did.

— A sam był?

— Nie. Z niemową.

— A jak wyglądał?

— Kto?

— Did.

Oj, stary, stareńki, na lirze grał i na paniw płakał. Ale ja go nie widziała.

— I on chłopów do buntu namawiał? — pytał raz jeszcze Anton.

— A on.

— Hm! ostańcie z Bogiem, mołodycio.

— Jedźcie z Bogiem.

Anton zastanowił się głęboko. Gdyby ten dziad był przebranym Zagłobą, dlaczegoby u licha chłopów do Chmielnickiego namawiał? Zresztą zkądby przebrania wziął? Gdzieby koni zbył? Uciekał przecie konno. Ale przedewszystkiem dlaczego chłopów do buntu namawiał i o przyjściu księcia ich ostrzegał? Szlachcicby nie ostrzegał i przedewszystkiem sam się pod moc książęcą schronił. A jeśli książę idzie do Zołotonoszy, w czem nie masz nic niepodobnego, to za Wasilówkę niezawodnie zapłaci.. Tu Anton wzdrygał się, bo nagle kół nowy we wrotach wydał mu się kubek w kubek do pala podobny.

— Nie! Ten dziad to był tylko dziad i nic więcej. Niema co gonić do Zołotonoszy, chyba uciekać w tamtą stronę.

Ale uciekłszy, co dalej robić? Czekać, to książę, może nadejść — iść do Prochorówki i za Dniepr się przeprawić to znaczy na hetmanów wpaść.

Staremu wilkowi stepowemu stało się jakoś ciasno na szerokich

stepach. Uczuł także, że wilkiem będąc, na lisa w panu Zagłobie trafił.

Nagle uderzył się w czoło.

A czemu ten "did" chłopów powiódł do Zołotonoszy, za którą była Prochorówka, a za nią, za Dnieprem, hetmani i cały obóz koronny?

Anton postanowił bądź co bądź jechać do Prochorówki.

Jeśli, przybywszy na brzeg, usłyszy, iż po drugiej stronie stoją wojska hetmańskie, to się nie będzie przeprawiał, jeno w dół rzeki pójdzie i naprzeciw Czerkas z Bohunem się połączy. Zresztą wieści o Chmielnickim po drodze zasięgnie. Antonowi było już wiadomo z relacyi Pleśniewskiego, że Chmielnicki Czehryń zajął, że Krzywonosa już na hetmanów wysłał, a sam z Tuhaj-bejem zaraz miał ruszyć za nim. Anton więc, jako żołnierz doświadczony i położenie miejsc dobrze znający, pewien był, iż bitwa musiała być już stoczona. W takim razie należało wiedzieć, czego się trzymać. Jeśli Chmielnicki był pobity, tedy wojska hetmańskie rozlały się w pogoni po całem Podnieprzu i w takim razie Zagłoby niema co już szukać. Ale jeśli Chmielnicki pobił?... Coprawda, Anton niebardzo w to wierzył. Łatwiej pobić syna hetmańskiego, niż hetmana; łatwiej podjazd, niż całe wojsko.

— Et, — myślał stary Kozak — nasz ataman lepiejby zrobił, żeby o własnej skórze, nie o dziewczynie myślał. Pod Czehryniem możnaby się przez Dniepr przeprawić, a stamtąd, póki czas, na Sicz umknąć. Tu, między księciem Jaremą a hetmanami, ciężko mu teraz będzie usiedzieć.

Tak rozmyślając, posuwał się szybko razem ze swymi semenami w kierunku Suły, którą przebyć zaraz za Demianówką musiał, chcąc do Prochorówki się dostać. Dojechali do Mohylnej, nad samą rzeką leżącej. Tu los posłużył Antonowi, bo jakkolwiek Mohylna również jak i Demianówka była pusta, zastał jednak promy gotowe i przewoźników, którzy przeprawiali chłopstwo, uciekające ku Dnieprowi. Zadnieprze nie śmiało samo pod ręką książęcą powstać, ale zato ze wszystkich wsi, osad i słobód chłopstwo uciekało, by się z Chmielnickim połączyć i pod jego znaki zaciągnąć. Wieść o zwycięstwie Zaporoża nad Żółtemi Wodami przeleciała jak ptak przez całe Zadnieprze. Dziki lud nie mógł usiedzieć spokojnie, chociaż tam właśnie żadnych prawie ucisków nie doznawał, bo, jako się rzekło, książę, niemiłosierny dla buntów, był prawdziwym ojcem spokojnych osiedleńców, komisarze zaś jego bali się czynić krzywd

powierzonemu sobie ludowi. Ale ten, niedawno ze zbójców w rolników zmieniony, przykrzył sobie prawo, surowość rządów i porządek, uciekał więc tam, kędy nadzieja dzikiej swobody zabłysła. Z wielu wiosek uciekły do Chmielnickiego nawet baby. W Czabanówce i w Wysokiem wyszła cała ludność, spaliwszy za sobą chaty, aby nie było gdzie wracać. W tych wioskach, w których zostało jeszcze trochę ludu, zbrojono się na gwałt.

Anton począł wypytywać zaraz przewoźników, czyliby wieści z Zadnieprza nie mieli. Wieści były, ale sprzeczne, pomieszane, niejasne. Mówiono, że Chmiel bije się z hetmany: lecz jedni twierdzili, że pobit, drudzy, że zwycięski. Jakiś chłop, uciekający ku Demianówce, mówił, że hetmani wzięci w niewolę. Przewoźnicy podejrzewali, że to szlachcic przebrany, ale nie śmieli go zatrzymać, bo słyszeli także, że książęce wojska niedaleko. Jakoś strach mnożył wszędzie liczbę wojsk książęcych i czynił z nich wszędobylskie zastępy, gdyż pewno nie było w tej chwili ani jednej wioski na całem Zadnieprzu, w którejby nie mówiono, że książę tuż, tuż. Anton spostrzegł, że wszędzie biorą jego oddział za podjazd księcia Jaremy.

Ale wnet uspokoił przewoźników i począł ich wypytyać o chłopów demianowskich.

— A jakże. Byli, my ich przeprawili na drugą stronę — rzekł przewoźnik.

— A dziad był z nimi?

— Był.

— I niemowa z dziadem, małe pacholę?

— Jak wyglądał dziad?

— Niestary, gruby, oczy miał jak u ryby, na jednem bielmo.

— To on! — mruknął Anton, i pytał dalej: — A pacholę?

— Ot! otcze (ojcze) atamanie! każe prosto cheruwym (zdawało się, że cherubin). Takoho my i ne baczyły (widzieliśmy).

Tymczasem dopłynęli do brzegu.

Ataman wiedział już, czego się trzymać.

— Ej! przywieziemy mołodycię atamanowi — mruczał sam do siebie.

Potem zwrócił się do semenów.

— W konie!

Pomknęli jak stado spłoszonych dropiów, choć droga była trudna

bo kraj w jary popękany. Ale wjechali w jeden wielki, na którego dnie, przy krynicy, był jakoby gościniec, przez naturę uczyniony. Jar szedł aż do Kawrajca, lecieli więc kilkadziesiąt stajań bez wypoczynku, a Anton na najlepszym koniu naprzód. Już było widać szerokie ujście jaru, gdy nagle Anton osadził konia, aż mu zadnie kopyta zazgrzytały na kamieniach.

— Szczo ce (co to)?

Ujście zaćmiło się nagle ludźmi i końmi. Jakaś jazda wchodziła w parów i formowała się szóstkami. Było ich ze trzysta koni. Anton spojrzał i, lubo stary wojownik, wszelkich niebezpieczeństw zwyczajny, przecie serce zadygotało mu w piersi, a na lice wystąpiła bladość śmiertelna.

Poznał dragonów księcia Jeremiego.

Uciekać było zapóźno, ledwie dwieście kroków dzieliło zastęp Antona od dragonów, a zmęczone konie semenów nie uszłyby daleko przed pogonią. Tamci też, dostrzegłszy ich, puścili się z miejsc kłusem. Po chwili otoczono semenów ze wszystkich stron.

— Co wy za ludzie? — spytał groźnie porucznik.

— Bohunowi! — rzekł Anton, widząc, że trzeba prawdę mówić, bo sama barwa zdradzi. Ale poznawszy porucznika, którego widywał w Perejasławiu, wykrzyknął zaraz z udaną radością: — Pan porucznik Kuszel! sława Bohu!

— A, to ty Anton — rzekł porucznik, przyjrzawszy się esaułowi. — Co wy tu robicie? Gdzie wasz ataman?

— Każe (zdaje się), pane, hetman wielki wysłał naszego atamana do księcia wojewody, prosząc o pomoc, tak ataman pojechał do Łubniów, a nam tu kazał włóczyć się po wsiach, by zbiegów łapać.

Anton łgał jak najęty, ale ufał w to, że skoro chorągiew dragońska idzie od strony Dniepru, nie może przeto jeszcze wiedzieć o napaści na Rozłogi, ani o bitwie pod Wasilówką, ani o żadnych imprezach (przedsięwzięciach) Bohunowych.

Wszelako porucznik rzekł:

— Rzekłby kto, do rebelii chcecie się przekraść.

— Ej, panie poruczniku, — rzekł Anton — żeby my chcieli do Chmiela, takby my nie byli z tej strony Dniepru.

— Prawda jest — rzekł Kuszel, — prawda oczywista, której ci nie mogę negować (zaprzeczać). Ale ataman nie zastanie księcia wojewody w Łubniach.

— O! a gdzie kniaź?

— Był w Przyłuce. Może dopiero wczoraj do Łobniów ruszył.

— To i szkoda. Ataman ma pismo od hetmana do kniazia. A z przeproszeniem waszej mości, czy to wasza miłość z Zołotonoszy wojsko prowadzi?

— Nie. My stali w Kalenkach, a teraz dostali rozkaz, jak i wszystko wojsko, żeby do Łubniów ściągać, skąd książę całą potęgą wyruszy. A wy dokąd idziecie?

— Do Prochorówki, bo tam chłopstwo się przeprawia.

— Dużo już uciekło?

— Oj, bahato, bahato?:

— No, to jedźcie z Bogiem.

— Dziękujemy pokornie waszej miłości. Niech Bóg prowadzi Dragoni rozstąpili się i poczet Antona wyjechał z pośród nich ku ujściu jaru.

Minąwszy ujście, Anton stanął i słuchał pilnie, a gdy już dragoni zniknęli mu z oczu, i ostatnie echa po nich przebrzmiały, zwrócił się do swoich semenów i rzekł:

— Wiecie, durnie, że gdyby nie ja, toby wy za trzy dni na palach w Łubniach pozdychali. A teraz w konie, choćby ostatni dech z nich wyprzeć.

I ruszyli z kopyta.

— Dobra nasza! — myślał Anton — podwójnie dobra nasza: raz, żeśmy skórę całą unieśli, a powtóre, że ci dragoni nie szli z Zołotonoszy, i że Zagłoba minął się z nimi, bo gdyby ich napotkał, tedy byłby już przed wszelką pogonią bezpieczny.

Jakoż istotnie był to termin dla pana Zagłoby nader niepomyślny, w którym fortuna zgoła mu nie dopisała, że się nie natknął na pana Kuszla i jego chorągiewkę, gdyż byłby odrazu ocalony i wolen od wszelkiej obawy.

Tymczasem w Prochorówce uderzyła w niego jak piorun wieść o klęsce korsuńskiej. Już po drodze do Zołotonoszy, po wsiach i futorach chodziły słuchy o wielkiej bitwie, nawet o zwycięstwie Chmiela, ale pan Zagłoba nie dawał im wiary, wiedział bowiem z doświadczenia, że między ludem wieść każda rośnie do niebywałych rozmiarów, i że zwłaszcza o przewagach kozackich lud ten chętnie cuda sobie opowiada, ale w Prochorówce trudno było dłużej wątpić. Prawda straszna i złowroga biła obuchem w głowę. Chmiel tryumfo-

wał, wojsko koronne było zniesione, hetmani w niewoli, cała Ukraina w ogniu.

Pan Zagłoba w pierwszej chwili stracił głowę. Był bowiem w strasznem położeniu. Fortuna nie dopisała mu i po drodze, bo w Żołotonoszy nie znalazł żadnej załogi. Miasto wrzało przeciw Lachom, a stara forteczka była opuszczona. Nie wątpił on ani chwili, że Bohun szuka go i że prędzej czy później trafi jego ślady. Kluczył wprawdzie szlachcic, jak ścigany szarak, ale znał na wylot ogara, który go ścigał, i wiedział, że ogar ten nie da się zbić z tropu. Miał więc pan Zagłoba poza sobą Bohuna, przed sobą morze chłopskiego buntu, rzezie, pożogi, zagony tatarskie, tłumy rozbestwione.

Uciekać w takiem położeniu było to zadanie prawie niepodobne do spełnienia, zwłaszcza uciekać z dziewczyną, która, lubo przebrana za dziadowskie pacholę, zwraca wszędy uwagę swoją nadzwyczajną pięknością.

Zaiste, było od czego głowę stracić.

Ale pan Zagłoba nigdy na długo jej nie tracił. Wśród największego zamętu w mózgownicy widział doskonale to jedno, a raczej czuł najwyraźniej, że Bohuna boi się sto razy bardziej niż ognia, wody, buntu, rzezi i samego Chmielnickiego. Na samą myśl, że mógłby dostać się w ręce strasznego watażki, skóra na panu Zagłobie cierpła. "Tenby mi dał łupnia! — powtarzał sobie co chwila. — A tu przedemną morze buntu!"

Pozostawał jeden sposób ocalenia: porzucić Helenę i zostawić ją na Bożej woli, ale tego pan Zagłoba uczynić nie chciał.

— Nie może być, — mówił do niej — musiałaś mi waćpanna czegoś zadać, co będzie miało ten skutek, że mi przez waćpannę skórę na jaszczur wyprawią.

Ale porzucić jej nie chciał i do głowy nawet nie dopuszczał tej myśli. Cóż więc miał robić?

— Ha! — myślał — księcia szukać nie czas! Przedemną morze, więc dam nurka w ono morze, przynajmniej się skryję, a Bóg da, to i na drugi brzeg przepłynę.

I postanowił przeprawić się na prawy brzeg dnieprowy.

Ale w Prochorówce nie było to rzeczą łatwą. Pan Mikołaj Potocki pozabierał dla Krzeczowskiego i wyprawianych z nim wojsk wszystkie dumbasy, szuhaleje, promy, czajki i "pidjizdki," to jest mniejsze czółna i łodzie, począwszy od Perejasławia, aż do

Czehrynia. W Prochorówce był tylko jeden dziurawy prom. Na ten prom czekały tysiące ludzi zbiegłych z okolicznego Zadnieprza. W całej wiosce zajęte były wszystkie chaty, obory, stodoły, chlewy, i drożyzna była niesłychana. Pan Zagłoba naprawdę musiał lirą a pieśnią na kawałek chleba zarabiać. Przez całą dobę nie mogli się przeprawić, bo prom zepsuł się dwa razy, musiano go więc naprawiać. Noc spędził z Heleną, siedząc na brzegu rzeki, razem z gromadami pijanego chłopstwa, przy ogniskach. A noc była wietrzna i chłodna. Kniaziówna upadała ze znużenia i bólu, bo chłopskie buty poczyniły jej rany na nogach. Bała się, czy nie zachoruje obłożnie. Twarz jej zczerniała i zbladła, cudne oczy przygasły, co chwila dobijała ją obawa, że może być poznana pod przebraniem, albo że niespodzianie nadejdzie pogoń Bohunowa. Tejże nocy nakarmiono jej oczy strasznym widokiem. Chłopi sprowadzili do ujścia Rosi kilku szlachty, chcących przed nawałą tatarską schronić się do państwa Wiśniowieckiego, i pomordowali ich nad brzegiem okrutnie. Wiercono im świdrami oczy, a głowy gnieciono między kamieniami. Prócz tego w Prochorówce było dwóch Żydów z rodzinami. Tych rozszalała tłuszcza wrzuciła do Dniepru, a gdy nie chcieli zaraz iść na dno, pogrążano ich samych, Żydowice i Żydzięta, za pomocą długich osęków. Towarzyszyły temu wrzaski i pijaństwo. Podchmieleni mołojcy gzili się z podchmielonemi mołodyciami. Straszne wybuchy śmiechu brzmiały złowrogo na ciemnych brzegach dnieprowych! Wiatr rozrzucał ogniska; czerwone głownie i iskry, porwane wichurą, leciały konać na fali. Chwilami zrywał się popłoch. Kiedy niekiedy jakiś głos pijacki, ochrypły, wołał w ciemnościach: "Ludy spastajes (ludzie ratujcie się), Jarema ide!" I tłum rzucał się na oślep ku brzegowi, tratował się, spychał w wodę. Raz mało nie roztratowano Zagłoby i kniaziówny. Była to piekielna noc, a zdawała się nie mieć końca. Zagłoba wyżebrał kwartę wódki, sam pił i kniaziównę zmuszał do picia, bo inaczej zemdlałaby, lub wpadła w gorączkę. Nakoniec fala dnieprowa poczęła bielić się i połyskiwać. Zagłoba chciał coprędzej przeprawić się na drugą stronę. Szczęściem i prom też naprawiono. Ale ścisk stał się przy nim okropny.

— Miejsce dla dziada, miejsce dla dziada — krzyczał Zagłoba, trzymając przed sobą między wyciągniętemi rękoma Helenę i broniąc jej od ścisku. — Miejsce dla dziada! Do Chmielnickiego i do Krzywonosa idę! Miejsce dla dziada, dobrzy ludzie, lube mołojcy,

żeby was czarna śmierć wydusiła, was i dzieci wasze! Nie widzę dobrze, wpadnę w wodę, pacholę mi utopicie. Ustąpcie, ditki, żeby paraliż powytrząsał wam wszystkie członki, żebyście polegli, żebyście na palach pozdychali!

Tak wrzeszcząc, klnąc, prosząc i rozpychając tłum swymi potężnymi łokciami, wepchnął naprzód Helenę na prom, a potem, wgramoliwszy się sam, zaraz począł znowu wrzeszczeć:

— Dosyć już was tu, czego się tak pchacie, prom zatopicie, jak was tyle się tu napcha. Dosyć! dosyć! przyjdzie i kolej na was, a jeśli nie przyjdzie, mniejsza z tem.

— Dosyć, dosyć! — wołali ci, którzy dostali się na prom. — Na wodę! na wodę!

Wiosła wyprężyły się i prom począł się oddalać od brzegu. Bystra fala zaraz go zniosła nieco z biegiem rzeki, w kierunku Demontowa.

Przebyli już połowę szerokości koryta, gdy na prochorowskim brzegu dały się słyszeć krzyki, wołania. Zamieszanie okropne wszczęło się między tłumami, które zostały nad wodą; jedni uciekali jak szaleni ku Demontowu, drudzy wskakiwali w wodę, krzyczeli, machali rękoma, lub rzucali się na ziemię.

— Co to? co się stało? — pytano na promie.

— Jarema! — krzyknął jeden głos.

— Jarema, Jarema! uciekajmy! — wołali inni.

Wiosła poczęły bić gorączkowo o wodę, prom mknął jak kozacka czajka po fali.

W tejże chwili jacyś konni ukazali się na prochorowskim brzegu.

— Wojska Jaremy! — wołano na promie.

Konni biegali po brzegu, kręcili się, wypytywali o coś ludzi — wreszcie poczęli krzyczeć na płynących:

— Stój! stój!

Zagłoba spojrzał i zimny pot oblał go od stóp do głowy — poznał Kozaków Bohunowych.

Rzeczywiście był to Anton ze swymi semenami.

Ale, jako się rzekło, pan Zagłoba nigdy na długo głowy nie tracił; przykrył oczy ręką, niby to, jako człek źle widzący, wpatrywać się musiał czas jakiś, wreszcie począł krzyczeć, jakby go kto ze skóry obdzierał:

— Ditki! to Kozacy Wiśniowieckiego! O dla Boga i Świętej

Przeczystej! prędzej do brzegu! Jużmy tamtych, co zostali, odżałujemy, a porąbać prom, bo inaczej pohybel nam wszystkim!

— Prędzej, prędzej, porąbać prom! — wołali inni.

Zrobił się krzyk, wśród którego nie było słychać nawoływań od strony Prochorówki. W tej chwili prom zgrzytnął o żwir brzegowy. Chłopi poczęli wyskakiwać, ale jedni nie zdążyli jeszcze wysiąść, gdy drudzy rwali już burty promu, bili siekierami w dno. Deski i oderwane szczapy poczęły latać w powietrzu. Niszczono nieszczęsny statek ze wściekłością, rwano na sztuki i kawałki, przestrach zaś dodawał sił burzącym.

A przez ten czas Zagłoba krzyczał:

— Rąb, tłucz, rwij, pal, ratuj się! Jarema idzie! Jarema idzie!

Tak krzycząc, wycelował swoje zdrowe oko na Helenę i począł niem mrugać znacząco.

Tymczasem z drugiego brzegu krzyki wzmogły się na widok niszczenia statku, ale że było zbyt daleko, przeto nie można było zrozumieć co krzyczano. Wymachiwania rękoma podobne były do gróźb i zwiększyły tylko pośpiech w zniszczeniu.

Statek zniknął po chwili, ale nagle ze wszystkich piersi znów wyrwał się okrzyk zgrozy i przerażenia.

— Skaczut w wodu! płynut k'nam! — wrzeszczeli chłopi.

Jakoż naprzód jeden konny, a za nim kilkudziesięciu innych wparło konie w wodę i puściło się wpław do drugiego brzegu. Był to czyn szalonej niemal śmiałości, gdyż z wiosny wezbrana fala płynęła potężniej niż zwykle, tworząc tu i owdzie liczne wiry i zakręty. Porwane pędem rzeki konie nie mogły płynąć wprost fala poczęła je znosić z nadzwyczajną szybkością.

— Nie dopłyną! — krzyczeli chłopi.

— Potoną!

— Sława Bohu! O! o! już koń jeden zanurzył się.

— Na pohybelże im!

Konie przepłynęły trzecią część rzeki, ale woda znosiła je wdół coraz silniej. Widocznie poczęły tracić siły, zwolna też zanurzały się coraz głębiej. Po chwili siedzący na nich mołojcy byli już do pasa w wodzie. Przeszedł czas jakiś. Nadbiegli chłopi z Szelepuchy patrzeć, co się dzieje: już tylko łby końskie wyglądały nad falą a mołojcom woda dochodziła do piersi. Ale też przepłynęli już pół rzeki. Nagle jeden łeb i jeden mołojec zniknął pod wodą;

za nim drugi, trzeci, czwarty, piąty.... liczba płynących zmniejszała się coraz bardziej. Po obu stronach rzeki zapanowało w tłumach głuche milczenie, ale szli wszyscy z biegiem wody, żeby widzieć co się stanie. Już dwie trzecie rzeki przebyte, liczba płynących zmniejszyła się jeszcze, ale słychać już ciężkie chrapanie koni głosy zachęcające mołojców; już widać, że niektórzy dopłyną.

Nagle głos Zagłoby rozległ się wśród ciszy:

— Hej ditki! do piszczeli, na pohybel kniaziowym!

Buchnęły dymy, zahuczały wystrzały. Krzyk z rzeki zabrzmiał rozpaczliwie i po chwili konie, mołojcy, wszystko znikło. Rzeka była pusta, tylko gdzieś już dalej, w rozkrętach fal, zaczerniał czasem brzuch koński, czasem mignęła kraśna czapka mołojca.

Zagłoba patrzał na Helenę i mrugał...

XII.

Książę wojewoda ruski, nim pana Skrzetuskiego siedzącego na zgliszczach Rozłogów spotkał, wiedział już o klęsce korsuńskiej, gdyż mu o niej pan Palanowski, towarzysz książęcy husarski, w Sahotynie doniósł. Poprzednio bawił książę w Przyłuce i stamtąd pana Bogusława Maszkiewicza do hetmanów z listem wysłał, pytając, gdzieby mu się z całą potęgą stawić rozkazali. Gdy jednak pana Maszkiewicza z odpowiedzią hetmanów długo nie było widać, ruszył książę ku Perejasławiu, wysyłając na wszystkie strony podjazdy, oraz rozkazy, by te pułki, które jeszcze po Zadnieprzu tu i owdzie były rozrzucone, do Łubniów jak najspieszniej ściągały.

Ale przyszły wieści, że kilkanaście chorągwi kozackich, na granicach ku tatarszczyźnie w polankach stojących, rozsypało się, lub też do buntu poszło. Tak więc widział książę swe siły nagle uszczuplone i zgryzł się tem niemało, bo nie spodziewał się, by ci ludzie, których tylekroć do zwycięstw prowadził, kiedykolwiek opuścić go mogli. Jednakże po spotkaniu z panem Polanowskim i po odebraniu wieści o niesłychanej klęsce, przed wojskiem ją zataił i ciągnął dalej ku Dnieprowi, chcąc iść na oślep, w środek burzy i buntu, i albo klęskę pomścić, niesławę wojsk zetrzeć, albo własną krew rozlać. Sądził przytem, że musiało się coś, a może i sporo wojska koronnego z pogromu ocalić. Ci, gdyby jego sze-

ściotysięczną dywizyę wzmogli, mógłby się z nadzieją zwycięstwa z Chmielnickim zmierzyć.

Stanąwszy tedy w Perejasławiu, polecił małemu panu Wołodyjowskiemu i panu Kuszlowi, by swoich dragonów na wszystkie strony do Czerkas, do Mantowa, Siekiernej, Buczacza, Stajek, Trechtymirowa, Rzyszczowa rozesłali, dla sprowadzenia wszelkich statków i promów, jakieby się w okolicy znalazły. Potem wojsko miało się z lewego brzegu do Rzyszczowa przeprawić.

Wysłańcy dowiedzieli się od spotkanych tu i owdzie zbiegów o klęsce, ale we wszystkich onych miejscach ani jednego statku nie znaleźli, gdyż, jako już było wspomniane, połowę ich hetman w. koronny dawno dla Krzeczowskiego i Barabasza zabrał, resztę zaś zbuntowana na prawym brzegu czerń, z obawy przed księciem, poniszczyła. Wszelako dostał się pan Wołodyjowski samo-dziesięć na prawy brzeg, kazawszy z pni zbić naprędce tratwę. Tam schwycił kilkunastu Kozaków, których przed księciem stawił. Od nich dowiedział się książę o potwornych rozmiarach buntu i straszliwych owocach, jakie klęska korsuńska już zrodziła. Cała Ukraina, co do jednej głowy, powstała. Bunt rozlewał się tak właśnie, jak powódź, która, tocząc się równiną, w mgnieniu oka coraz większe i większe przestrzenie zajmuje. Szlachta broniła się w zamkach i zameczkach. Ale wiele z nich już zdobyto.

Chmielnicki rósł z każdą chwilą w siły. Schwytani Kozacy podawali już kwotę jego wojsk na dwieście tysięcy ludzi, a za parę dni siły te mogły zdwoić się łatwo. Dlatego po bitwie stał jeszcze w Korsuniu, a zarazem, korzystając z chwili spokoju, wprowadzał ład w swoje niezliczone zastępy. Czerń dzielił na pułki, wyznaczał pułkowników z atamanów i co doświadczeńszych esaułów zaporoskich — wyprawiał odjazdy, lub całe dywizye dla dobywania pobliskich zamków. Zważywszy to wszystko, książę Jeremi wiedział, iż dla braku statków, których przygotowanie dla 6,000 wojska zajęłoby kilka tygodni czasu, i dla wybujałej nad wszelką miarę potęgi nieprzyjaciela, niemasz sposobu przeprawienia się za Dniepr w tych okolicach, w których obecnie zostawał. Na radzie wojennej pan Polanowski, pułkownik Baranowski, strażnik pan Aleksander Zamojski, pan Wołodyjowski i Wurcel byli zdania, by na północ ku Czernihowu ruszyć, który za głuchymi lasami leżał, stamtąd iść na Lubecz i tam dopiero ku Brahinowi się przepra-

wiać. Była to droga długa i niebezpieczna, bo za czernihowskimi lasami leżały ku Brahinowi olbrzymie błota, przez które i piechocie niełatwo się było przeprawić, a cóż dopiero ciężkiej jeździe, wozom i artyleryi! Księciu wszelako przypadła do smaku ta rada, pragnął tylko raz jeszcze przed tą długą, a jak się spodziewał, i niepowrotną drogą na swem Zadnieprzu tu i owdzie się ukazać, aby wybuchu zaraz nie dopuścić, szlachtę pod swe skrzydła zgarnąć, grozą przejąć i pamięć owej grozy między ludem zostawić, która, pod niebytność pana, sama jedna miała być stróżem kraju i opiekunem tych wszystkich, którzy z wojskiem pociągnąć nie mogli. Prócz tego księżna Gryzelda, panny Zbaraskie, fraucymer, dwór cały i niektóre regimenta, mianowicie piechoty, były jeszcze w Łubniach, postanowił więc książę pójść na ostatnie pożegnanie do Łubniów.

Wojska ruszyły tego samego dnia, a na czele pan Wołodyjowski ze swymi dragonami, którzy, choć wszyscy bez wyjątku Rusini, przecie w kluby dyscypliny ujęci i w żołnierza regularnego zmienieni, wiernością prawie wszystkie inne chorągwie przewyższali. Kraj był jeszcze spokojny. Gdzieniegdzie potworzyły się już kupy hultajów, rabując zarówno dwory, jak i chłopów. Tych znacznie po drodze wygnieciono i na pale powbijano. Ale chłopstwo nigdzie nie powstało. Umysły wrzały, ogień był w chłopskich oczach i duszach, zbrojono się pocichu i uciekano za Dniepr. Wszelako strach panował jeszcze nad głodem krwi i mordu. To tylko za złą wróżbę na przyszłość poczytanem być mogło, że w tych nawet wioskach, w których chłopi nie puścili się dotąd do Chmiela, uciekali za zbliżaniem się wojsk książęcych, jakby w obawie, by im straszny kniaź z twarzy nie wyczytał tego, co w sumieniach się kryło, i z góry nie pokarał. Karał on jednakże tam, gdzie najmniejszą oznakę knującego się buntu znalazł, a jako naturę miał i w nagradzaniu i w karaniu niepohamowaną, karał bez miary i litości. Można było rzec, iż po dwóch stronach Dniepru błądziły podówczas dwa upiory — jeden dla szlachty — Chmielnicki, drugi dla zbuntowanego ludu — książę Jeremi. Szeptano sobie między ludem, że gdy ci dwaj się zetrą, chyba słońce się zaćmi i wody po wszystkich rzekach poczerwienieją. Ale starcie nie było bliskiem, bo ów Chmielnicki, który rozbił w puch wojska koronne, wziął do niewoli hetmanów i teraz stał na czele setek tysięcy wojowników, poprostu bał się tego pana z Łubniów, który chciał go szukać za

Dnieprem. Wojska książęce przebyły właśnie Sleporód, sam zaś książę zatrzymał się dla wypoczynku w Filipowie, gdy dano znać, że przybyli wysłańcy Chmielnickiego z listem i proszą o posłuchanie. Książę kazał im się stawić natychmiast. Weszło tedy sześciu zaporożców do podstarościńskiego dworku, w którym stał książę, i weszło dość hardo, zwłaszcza najstarszy z nich, ataman Sucha-Ruka, pamiętny na pogrom korsuński i na świeżą pułkownikowską szarżę. Ale gdy spojrzeli na oblicze księcia, wnet ogarnął ich strach tak wielki, że, padłszy mu do nóg, nie umieli słowa przemówić.

Książę, siedząc w otoczeniu co przedniejszego rycerstwa, kazał im podnieść się i pytał, z czem przybyli.

— Z listem od hetmana — odparł Sucha-Ruka.

Na to książę utkwił w Kozaku oczy i rzekł spokojnie, lubo z przyciskiem na każdem słowie:

— Od łotra, hultaja i rozbójnika, nie od hetmana!

Zaporożcy pobledli, a raczej posinieli tylko, i, spuściwszy głowy na piersi, stali w milczeniu u drzwi.

Tymczasem książę kazał panu Maszkiewiczowi wziąć list i czytać.

List był pokorny. W Chmielnickim, lubo już po Korsuniu, lis wziął górę nad lwem, wąż nad orłem, bo pamiętał, że pisze do Wiśniowieckiego (1). Łasił się; może, by uspokoić i tem łatwiej ukąsić, ale łasił się. Pisał, iż co się stało, z winy Czaplińskiego się stało a że hetmanów równie spotkała fortuny odmienność, tedy to nie jego, nie Chmielnickiego wina, ale złej ich doli i ucisków, jakich na Ukrainie Kozacy doznają. Prosił jednak księcia, by się o to nie urażał i przebaczyć mu raczył, za co on zostanie zawsze powolnym i pokornym książęcym sługą; aby zaś łaskę książęcą dla wysłanników swych zjednać i od srogości książęcego gniewu ich zbawić ,oznajmia, iż towarzysza usarskiego, pana Skrzetuskiego, który na Siczy był pojman, zdrowo wypuszcza.

Tu następowały skargi na pychę pana Skrzetuskiego, że listów od Chmielnickiego nie chciał do księcia brać, czem godność jego het-

(1) Samoił Weliczko, str. 79 Pisał Chmielnicki do księcia: "Żeby tedi, o toje szczosia s hetmanami koronnemi stało, on kniaź Wiszniewiecki ne urażałsia i gniewa swojeho k'nemu, Chmielnickomu, prostyraty ne izwolił" (żeby tedy o to, co się hetmanom koronnym przygodziło, on, książę Wiśniowiecki, żalu nie miał i gniewu swojego na Chmielnickiego rozciągać nie raczył).

mańską i całego wojska zaporoskiego wielce spostponował. Tej to właśnie pysze i poniewierce, jakie ustawicznie od Lachów Kozaków spotykały, przypisywał Chmielnicki wszystko co się stało, począwszy od Żółtych Wód, aż do Korsunia. Wreszcie list skończył się zapewnieniami żalu i wierności dla Rzplitej, oraz zaleceniem pokornych służb wedle książęcej woli.

Słuchając tego listu, sami wysłańcy byli zdziwieni, nie wiedzieli bowiem poprzednio, co się w piśmie onem znajduje, a przypuszczali, że prędzej obelgi i harde wyzwania, niż prośby. Jasnem im tylko było, że Chmielnicki nie chciał wszystkiego na kartę przeciw tak wsławionemu wodzowi stawić, i, zamiast z całą potęgą na niego ruszyć, zwlekał, pokorą łudził, oczekiwał widocznie, by się siły książęce w pochodach i walkach z pojedyńczemi watahami wykruszyły, słowem: widocznie bał się księcia. Wysłańcy spokornieli więc jeszcze bardziej i w czasie czytania pilnie oczyma w twarzy książęcej czytali, czy czasem śmierci swej nie wyczytają. I choć idąc byli na nią gotowi, przecie teraz strach ich zdejmował. A książę słuchał spokojnie, jeno kiedy niekiedy powieki na oczy spuszczał, jakby chcąc utajone w nich gromy zatrzymać, i widać było jak na dłoni, że gniew straszny trzyma na wodzy. Gdy skończono list, nie ozwał się ani słowem do posłańców, tylko kazał Wołodyjowskiemu wziąć ich precz i pod strażą zatrzymać, sam zaś zwróciwszy się do pułkowników, ozwał się w następujące słowa:

— Wielką jest chytrość tego nieprzyjaciela, bo albo mię chce owym listem uśpić, by na uśpionego napaść, albo li w głąb Rzeczypospolitej pociągnie, tam układ zawrze, przebaczenie od powolnych stanów i króla uzyska, a wtenczas będzie się czuł bezpiecznym, bo gdybym go dłużej chciał wojować, tedy nie on już, ale ja postąpiłbym wbrew woli Rzeczypospolitej i za rebelizantabym (buntownika) uchodził.

Wurcel aż się za głowę złapał.

— O vulpes astuta (o lisie chytry)!

— Co tedy radzicie czynić, mości panowie? — rzekł książę. — Mówcie śmiało, a potem ja wam swoją wolę oznajmię.

Stary Zaćwilichowski, który, już oddawna porzuciwszy Czehryń, z księciem się był połączył, rzekł:

— Niechże się stanie wedle woli waszej książęcej mości, ale jeśli radzić wolno, to powiem, że zwykłąś sobie bystrością wasza książęca

mość intencye (zamiary) Chmielnickiego wyrozumiał, gdyż takie one są, a nie inne; mniemałbym przeto, że na list jego nic nie potrzeiba zważać, ale, księżnę panią wprzód ubezpieczywszy, za Dniepı ść i wojnę rozpocząć, nim Chmielnicki jakowe układy zawiąże, wstydby to bowiem i dyshonor (niesława) był dla Rzeczypospolitej, by takie insulta (obelgi) płazem puścić miała. Zresztą (tu zwrócił się do pułkowników) czekam zdania waściów, mego za nieomylne nie podając.

Strażnik obozowy, pan Aleksander Zamojski, w szablę się uderzył.

— Mości chorąży, senectus (starość) przez was mówi i sapientia (mądrość). Trzeba łeb urwać tej hydrze, póki się nie rozrośnie i nas samych nie pożre.

— Amen! — rzekł ksiądz Muchowiecki.

Inni pułkownicy, zamiast mówić, poczęli za przykładem strażnika trzaskać szablami a sapać, a zgrzytać — pan Wurcel zaś zabrał głos w ten sposób:

— Mości książę! Kontempt (obraza) to nawet jest dla imienia waszej książęcej mości, iż ów łotr pisać się do waszej książęcej mości odważył, bo ataman koszowy nosi w sobie preeminencyę (pierwszeństwo) od Rzeczypospolitej potwierdzoną i uznaną, czem nawet kurzeniowi zasłaniać się mogą. Ale to jest hetman samozwańczy, który nieinaczej jeno za zbójcę uważany być może, w czem pan Skrzetuski chwalebnie się spostrzegł, gdy listów jego do waszej książęcej mości brać nie chciał.

— Tak też i ja myślę, — rzekł książę — a ponieważ jego samego nie mogę dosięgnąć, przeto w osobach swych wysłanników ukarany będzie.

To rzekłszy, zwrócił się do pułkownika tatarskiej nadwornej chorągwi:

— Mości Wierszułł, każ waść swoim Tatarom tych Kozaków pościnać, dla naczelnego zaś palik zastrugać i nie mieszkając, go zasadzić.

Wierszułł pochylił swą rudą jak pień głowę i wyszedł, a ksiądz Muchowiecki, który zwykle księcia hamował, ręce złożył jak do modlitwy i w oczy mu błagalnie patrzał, pragnąc łaskę wypatrzyć.

— Wiem, księże, o co ci chodzi, — rzekł książę wojewoda — ale nie może być. Trzeba tego i dla okrucieństw, które oni tam za Dnieprem spełniają, i dla godności naszej, i dla dobra Rzeczypospo-

litej. Trzeba, aby się dowodnie okazało, iż jest ktoś, co się jeszcze tego watażki nie lęka i jak zbója go traktuje, który, choć pokornie pisze, przecie zuchwale postępuje i na Ukrainie jakby udzielny książę sobie poczyna, i taki paroksyzm (atak) na Rzeczpospolitą sprowadza, jakiego zdawna nie doznała.

— Mości książę, pana Skrzetuskiego, jako pisze, odesłał, rzekł nieśmiało ksiądz.

— Dziękuję w jego imieniu, że go z rezunami równasz. — Tu książę zmarszczył brwi. — Wreszcie dość o tem. Widzę, — mówił dalej, zwracając się do pułkowników, — że waszmościowie wszyscy suffragia (głosy) za wojną dajecie; taka jest i moja wola. Pójdziemy tedy na Czernihów, zabierając szlachtę po drodze, a pod Brahinem się przeprawimy, zaczem ku południowi ruszyć nam wypadnie. Teraz do Łubniów.

— Boże nam pomóż — rzekli pułkownicy.

W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Roztworowski, namiestnik wołoskiej chorągwi, wysłany przed dwoma dniami w trzysta koni na podjazd.

— Mości książę, — zawołał — rebelia szerzy się! Rozłogi spalone, w Wasilówce chorągiew do nogi wybita.

— Jak? co? gdzie? — pytano ze wszystkich stron.

Ale książę skinął ręką, by milczano, i sam pytał:

— Kto to uczynił? hultaje, czy jakowe wojsko?

— Mówią, że Bohun.

— Bohun?

— Tak jest.

— Kiedy się to stało?

— Przed trzema dniami.

— Szedłeś waść śladem? dognałeś? schwytałeś języka?

— Szedłem śladem, dognać nie mogłem, gdyż po trzech dniach było zapóźno. Wieścim po drodze zbierał: uciekali z powrotem ku Czehryniowi, potem się rozdzielili. Połowa poszła ku Czerkasom, połowa ku Zołotonoszy i Prochorówce.

Na to pan Kuszel:

— A tom ja spotkał ten oddział, który szedł ku Prochorówce, o czem waszej książęcej mości donosiłem. Powiadali się być wysłanymi od Bohuna, by ucieczki chłopstwa za Dniepr nie dopuszczać, przeto ich puściłem wolno.

— Głupstwoś waść zrobił, ale cię nie winuję. Trudno się tu nie mylić, gdy zdrada na każdym kroku grunt pod nogami piecze — rzekł książę.

Nagle ułapił się za głowę.

— Boże wszechmogący! — krzyknął — przypominam sobie, co mnie Skrzetuski powiadał, że Bohun na niewinność Kurcewiczówny się zasadził. Rozumiem teraz, czemu Rozłogi spalone. Dziewka musi być porwaną. Hej, Wołodyjowski! sam tu! Weźmiesz waść pięćset koni i ku Czerkasom jeszcze raz ruszysz; Bychowiec w pięćset Wołochów niech na Zołotonoszę do Prochorówki idzie. Koni nie żałować; który mi dziewczynę odbije, Jeremiówkę w dożywocie weźmie. Ruszać! Ruszać!

Potem do pułkowników:

— Mości panowie, a my na Rozłogi do Łubniów!

Tu pułkownicy wysypali się z pod starościńskiego dworku i skoczyli do swoich chorągwi. Rękodajni pobiegli na koń siadać, księciu też dzianeta cisawego sprowadzono, którego zwykle w pochodach zażywał. Za chwilę chorągwie ruszyły i wyciągnęły się długim, barwistym i błyszczącym wężem po filipowieckiej drodze.

Wedle kołowrotu krwawy widok uderzył żołnierskie oczy. Na płocie w chróstach było widać pięć odciętych głów kozaczych, które patrzały na przechodzące wojska martwemi białkami otwartych oczu, a opodal, już za kołowrotem, na zielonym pagórku rzucał się jeszcze i drgał zasadzony na pal ataman Sucha-Ruka. Ostrze przeszło już pół ciała, ale długie godziny konania znaczyły się jeszcze nieszczęsnemu atamanowi, bo i do wieczora mógł tak drgać, nimby śmierć go uspokoiła. Teraz zaś nie tylko żyw był, ale oczy straszne zawracał za chorągwiami, w miarę jak która przechodziła; oczy, które mówiły: "Bogdaj was Bóg pokarał, was, i dzieci, i wnuki wasze do dziesiątego pokolenia, za krew, za rany, za męki! bogdajżeście szczeźli, wy i wasze plemię! bogdaj wszystkie nieszczęścia w was biły! bogdajżeście konali ciągle i ani umrzeć, ani żyć nie mogli!" A choć to prosty był Kozak, choć konał nie w purpurze, ani w złotogłowiu, ale w sinym żupaniku, i nie w komnacie zamkowej, ale pod gołem niebem, na palu, — przecie owa męka jego, owa śmierć, krążąca mu nad głową, okryły go powagą, taką siłę włożyły w jego spojrzenie, takie morze nienawiści w jego oczy, iż wszyscy dobrze zrozumieli, co chciał mówić — i chorągwie przejeżdżały w milcze-

niu koło niego, a on w złotych blaskach południa górował nad niemi i świecił na świeżo zastruganym palu jak pochodnia...

Książę przejechał, okiem nie rzuciwszy, ksiądz Muchowiecki krzyżem nieszczęsnego przeżegnał, i już mijali wszyscy, aż jakieś pacholę z pod usarskiej chorągwi, nie pytając się nikogo o pozwolenie, zatoczyło konikiem na wzgórze i, przyłożywszy pistolet do ucha ofiary, jednym strzałem skończyło jej mękę. Zadrżeli wszyscy na tak zuchwały i wykraczający przeciw wojennej dyscyplinie postępek, a znając surowość księcia, zgoła już za zgubionego pachołka uważali; ale książę nie mówił nic: czy udawał, że nie słyszy, czy też tak w myślach pogrążony, dość, że odjechał dalej spokojnie i wieczorem dopiero kazał wołać pachołka.

Stanął wyrostek ledwie żywy przed pańskiem obliczem i myślał, że właśnie ziemia rozpada się pod nogami. A książę spytał:

— Jak cię zowią?

— Żeleński.

— Ty strzeliłeś do Kozaka?

— Ja — wyjąkało blade jak płótno pacholę.

— Przecz-żeś to uczynił?

— Gdyż na mękę patrzeć nie mogłem.

Książę, zamiast się rozgniewać, rzekł:

— Oj, napatrzysz się ty ich postępków, że od tego widoku litość od ciebie jak anioł odleci, ale żeś dla litości swojej zaważył życie, przeto ci skarbnik w Łubniach dziesięć czerwonych złotych wypłaci i do mojej osoby na służbę cię biorę.

Dziwili się wszyscy, iż tak skończyła się owa sprawa, ale w tem dano znać, że podjazd od blizkiej Zołotonoszy przyjechał, i umysły zwróciły się w inną stronę.

XIII.

Późnym wieczorem. przy księżycu, doszły wojska do Rozłogów. Tam pana Skrzetuskiego na swej Kalwaryi zastali siedzącego. Rycerz, jak wiadomo, z bólu i męki zupełnie się zapamiętał, a gdy dopiero ksiądz Muchowiecki do przytomności go wrócił, oficerowie wzięli go między siebie, witać i pocieszać zaczęli, a osobliwie pan Longinus Podbipięta, który już od ćwierci kwartału w chorągwi Skrze-

tuskiego był sowitym towarzyszem. Gotów mu też był towarzyszyć we wzdychaniach i płakaniu i zaraz ślub nowy na jego intencyę uczynił, że we wtorki do śmierci suszyć będzie, jeśli Bóg w jakikolwiek sposób ześle namiestnikowi pocieszenie. Tymczasem poprowadzono pana Skrzetuskiego do księcia, który w chłopskiej chacie się zatrzymał. Ten, gdy swego ulubieńca ujrzał, nie rzekł ani słowa, tylko mu ramiona otworzył i czekał. Pan Jan rzucił się natychmiast z wielkiem płakaniem w owe ramiona, a książę do piersi go przycisnął, w głowę całował, przyczem obecni oficerowie widzieli łzy w jego dostojnych oczach.

Po chwili dopiero mówić począł:

— Jako syna cię witam, gdyż tak myślałem, iż cię już nie ujrzę więcej. Znieśże mężnie twoje brzemię i na to pamiętaj, że tysiące będziesz miał towarzyszów w nieszczęściu, którzy potracą żony, dzieci, rodziców, krewnych i przyjaciół. A jako kropla ginie w oceanie, niechże tak twoja boleść w morzu powszechnej boleści utonie. Gdy na ojczyznę miłą tak straszne przyszły termina (przejścia), kto miecz jest i miecz przy boku nosi, ten się płakaniu nad swoją stratą nie odda, ale na ratunek tej wspólnej matce pospieszy, i albo w sumieniu zyska uspokojenie, albo sławną śmiercią polęże i koronę niebieską, a z nią wiekuistą szczęśliwość, posiędzie.

— Amen! — rzekł kapelan Muchowiecki.

— O, mości książę, wolałbym ją zmarłą widzieć! — jęczał rycerz.

— Płaczże, bo wielką jest twoja strata, i my z tobą płakać będziem, gdyż nie do pogan, nie do dzikich Scytów, ani Tatarów, jeno do braci i towarzyszów życzliwych przyjechałaś, — ale tak sobie powiedz: Dziś płaczę nad sobą, a jutro już nie moje! — bo to wiedz, iż jutro na bój ruszamy.

— Pójdę z waszą książęcą mością na kraj świata, ale pocieszyć się nie mogę, bo mi tak bez niej ciężko, że ot... nie mogę, nie mogę...

I biedne żołnierzysko to się za głowę chwytał, to palce w zęby wkładał i gryzł je, by jęki potłumić, bo go wichura rozpaczy znowu targała.

— Rzekłeś: Stań się wola Twoja! — mówił surowo ksiądz.

— Amen, amen. Woli jego się poddaję, jeno... z bólem... nie mogę dać rady — odpowiedział przerywanym głosem rycerz.

I widać było, jak się łamał, jak się pasował, aż męka jego wszyst-

kim łzy wycisnęła, a czulsi, jako pan Wołodyjowski i Podbipięta, strumienie prawdziwe wylewali. Ten ostatni ręce składał i powtarzał żałośnie:

— Braciaszku, braciaszku, pohamuj się!

— Słuchaj! — rzekł nagle książę — mam wieść, że Bohun stąd ku Łubniom gonił, bo mi w Wasilówce ludzi wysiekł. Nie desperujże naprzód, bo może on jej nie dostał, gdyż pocóżby się ku Łubniom puszczał?

— Jako żywo, może to być! — zakrzyknęli oficerowie. — Bóg cię pocieszy.

Pan Skrzetuski oczy otworzył, jakby nie rozumiał co mówią; nagle nadzieja zaświtała i w jego umyśle, więc rzucił się jak długi do nóg książęcych.

— O mości książę! życie, krew! — wołał.

I nie mógł więcej mówić. Zesłabł tak, iż pan Longinus musiał go podnieść i posadzić na ławce, ale już znać mu było z twarzy, że się owej nadziei uchwycił, jak tonący deski, i że go boleść opuściła. Zaś inni rozdmuchiwali ową iskrę, mówiąc, że może swoją kniaziównę w Łubniach znajdzie. Potem przeprowadzono go do innej chaty, a następnie przyniesiono miodu i wina. Namiestnik chciał pić, ale dla ściśniętego gardła nie mógł; natomiast towarzysze wierni pili, a podpiwszy, poczęli go ściskać, całować i dziwić się nad jego chudością i oznakami choroby, które na twarzy nosił.

— Jako Piotrowin wyglądasz! — mówił gruby pan Dzik.

— Musieli cię tam w Siczy insultować (znieważać), jeść i pić nie dawać?

— Powiedz, co cię spotykało?

— Innym razem opowiem — mówił słabym głosem pan Skrzetuski. — Poranili mię i chorowałem.

— Poranili go! — wołał pan Dzik.

— Poranili, choć posła! — odrzekł pan Skrzetuski.

I obaj patrzali na się ze zdumieniem nad zuchwałością kozacką, a potem zaczęli się ściskać, z wielkiej ku panu Skrzetuskiemu przychylności.

— A widziałeś Chmielnickiego?

— Tak jest.

— Dawajcie go nam sam! — krzyczał Migurski — wnet go tu będziem bigosowali.

Na takich rozmowach zeszła noc. Nad ranem dano znać, że i ten drugi podjazd, który w dalszą drogę ku Czerkasom był posłany, wrócił. Podjazd oczywiście Bohuna nie dognał, ani nie schwytał, wszelako przywiózł dziwne wiadomości. Sprowadził on wielu spotkanych na drodze ludzi, którzy przed dwoma dniami Bohuna widzieli. Ci mówili, iż watażka widocznie kogoś gonił, wszędy bowiem rozpytywał, czy nie widziano grubego szlachcica uciekającego z Kozaczkiem. Przytem spieszył się bardzo i leciał na złamanie karku. Ludzie owi zaręczali także, że nie widzieli, aby Bohun jaką pannę uwoził, która gdyby była, tedyby się jej dopatrzyli niezawodnie, gdyż semenów niewielu przy Bohunie się znajdowało. Nowa otucha, ale i nowa troska wstąpiła w serce pana Skrzetuskiego, gdyż relacye owe były poprostu dla niego niezrozumiałe.

Nie rozumiał bowiem, dlaczego Bohun gonił początkowo w stronę Łubniów, rzucił się na prezydyum wasilkowskie, a potem nagle zwrócił się w stronę Czerkas. Że Heleny nie porwał, to zdawało się być pewnem, bo pan Kuszel spotkał oddział Antonowski, w którym jej nie było, ludzie zaś, sprowadzeni teraz od strony Czerkas, nie widzieli jej przy Bohunie. Gdzież więc być mogła? Gdzie się schroniła? Uciekła li? Jeśli tak, to w którą stronę? Dla jakich powodów mogła uciekać nie do Łubniów, ale ku Czerkasom lub Zołotonoszy? A jednak oddziały Bohunowe goniły i polowały na kogoś koło Czerkas i Prochorówki? Ale czemu znowu rozpytywały się o szlachcica z Kozaczkiem? Na wszystkie te pytania nie znajdował namiestnik odpowiedzi.

— Radźcieże, mówcie, tłómaczcie, co to się znaczy, — rzekł do oficerów — bo moja głowa nic po tem.

— Przecie myślę, że ona musi być w Łubniach — rzecze pan Migurski.

— Nie może to być, — odparł chorąży Zaćwilichowski — bo gdyby ona była w Łubniach, tedy Bohun coprędzej do Czehryniaby się schronił, nie zaś do hetmanów się podsuwał, o których pogromie nie mógł jeszcze wiedzieć. Jeżeli zaś semenów podzielił i gnał w dwie strony, to już mówię waści, nie za kim innym, jeno za nią.

— A przecz o starego szlachcica i o Kozaczka pytał?

— Nie potrzeba na to wielkiej sagacitatis (przebiegłości), aby odgadnąć, że jeśli uciekała, to nie w białogłowskich szatach, ale chyba

w przebraniu, aby śladu za sobą nie dawać. Tak tedy mniemam. iż ten Kozaczek — to ona.

— I, jako żywo, jako żywo! — powtórzyli inni.

— Ba! ale kto ów szlachcic?

— Tego ja nie wiem, — mówił stary chorąży — ale o to można się i rozpytać. Musieli przecie chłopi widzieć, kto tu był i co się zdarzyło. Dawajcieno tu sam gospodarza tej chaty.

Oficerowie skoczyli i wkrótce przywiedli za kark z obory "pidsusidka."

— Chłopie! rzekł Zaćwilichowski — a byłeś, gdy Kozacy z Bohunem na dwór napadali?

Chłop, jak zwykle, począł się przysięgać, że nie był, że niczego nie widział i o niczem nie wie, ale pan Zaćwilichowski wiedział, z kim ma do czynienia — więc rzekł:

— O wierzę, pogański synu, żeś ty siedział pod ławą, gdy dwór rabowali. Powiedz to innemu — ot, tu leży czerwony złoty, a tam czeladnik z mieczem stoi — obieraj! W ostatku i wieś spalim, krzywda ubogim ludziom przez ciebie się stanie.

Dopieroż "pidsusidok" jął opowiadać, co widział. Gdy Kozacy hulać na majdanie przede dworem poczęli, tedy poszedł z innymi zobaczyć, co się dzieje. Słyszeli, że kniaziowa i kniaziowie pobici, ale że Mikołaj atamana poranił, który też leży jak bez duszy. Co się z panną stało, nie mogli się dopytać, a drugiego dnia świtaniem słyszeli, że uciekła z jednym szlachcicem, który z Bohunem przybył.

— Ot co jest! ot co jest! — mówił pan Zaćwilichowski. — Masz, chłopie, czerwony złoty, widzisz, żeć krzywda się nie dzieje. A ty widział tego szlachcica? czy to kto z okolicy?

— Widział ja, pane, ale to nie tutejszy.

— A jakże wyglądał?

— Gruby, panie, jak piec, z siwą brodą. A proklinaw kak didko (dyabeł)! Ślepy na jedno oko.

— O dla Boga! — rzecze pan Longinus — taż to chyba pan Zagłoba, albo kto? a?

— Zagłoba? Czekaj wać! Zagłoba. Mogłoby to być! Oni w Czehryniu się z Bohunem zwąchali, pili i w kości grali. Może to być? Jego to konterfekt (portret)!

Tu pan Zaćwilichowski zwrócił się znów do chłopa

— I to ów szlachcic z panną uciekł?

— Tak jest. Tak my słyszeli.

— A wy znacie Bohuna dobrze?

— Oj, oj! pane. On tu przecie miesiącami przesiadywał.

— A może ów szlachcic za jego wolą ją uwiózł?

— Gdzie tam, pane! On Bohuna związał i żupanikiem okręcił, a pannę, mówili, porwał, że tyle ją oko ludzkie widziało. Ataman tak wył, jak siromacha (wilk). Do dnia kazał się między konie uwiązać i do Łubniów pognał, ale nie zgonił, potem też gnał w inną stronę!

— Chwała bądź Bogu! — rzecze Migurski — to ona może być w Łubniach, bo że gonili i ku Czerkasom, to nic nie znaczy; nie znalazłszy jej tam, próbowali tu.

Pan Skrzetuski klęczał już i modlił się żarliwie.

— No, no! — mruczał stary chorąży — nie spodziewałem się po Zagłobie tego animuszu (dzielności), by on z takim bitnym mężem, jako jest Bohun, zadrzeć się ośmielił. Prawda, że panu Skrzetuskiemu bardzo był życzliwym za ów trojniak łubniański, któryśmy razem w Czehryniu pili, i nie raz mnie o tem mowił i zacnym kawalerem (rycerzem) go nazywał... No, no! aż mnie się w głowie nie mieści, bo i za Bohunowe pieniądze wypił on przecie niemało. Ale by Bohuna miał związać, a pannę porwać, tak śmiałego postępku od niego nie wyglądałem, gdyżem miał go za warchoła i tchórza... Obrotny on jest, ale kolorysta (blagier, samochwalca) z niego wielki, a u takich ludzi cała odwaga zwykle w gębie spoczywa.

— Niechże on sobie będzie jak chce, dość, że kniaziównę z rąk rozbójnickich wydostal — rzecze pan Wołodyjowski. — A że, jak widać, na fortelach mu nie zbywa, więc pewnikiem tak z nią umknie, by od nieprzyjaciół był bezpieczny.

— Jego własne gardło w tem — odpowiedział Migurski.

Potem zwrócili się do pana Skrzetuskiego.

— Pocieszże się, towarzyszu miły!

— Jeszcze ci wszyscy będziemy drużbowali!

— I popijemy się na weselu!

Zaćwilichowski dodał:

— Jeśli on uciekł za Dniepr, a o pogromie korsuńskim się dowiedział, to powinien do Czehrynia się zwrócić, a w takim razie w drodze go dognamy.

– Za pomyślny koniec trosk i umartwień naszego przyjaciela! — zawołał Śleszyński.

Poczęto wznosić wiwaty dla pana Skrzetuskiego, kniaziówny, ich przyszłych potomków i pana Zagłoby, i tak schodziła noc. Świtaniem zatrąbiono wsiadanego — wojska ruszyły do Łubniów.

Pochód odbywał się szybko, gdyż hufce książęce szły bez taborów. Chciał był pan Skrzetuski z tatarską chorągwią naprzód skoczyć, ale zbyt był osłabiony; zresztą książę trzymał go przy swej osobie, bo życzył mieć relacyę (sprawozdanie) z namiestnikowego posłowania na Siczy. Musiał więc rycerz sprawę zdawać, jako jechał, jak go na Chortycy napadli i do Siczy powlekli, tylko o swych certacyach (sprzeczkach) z Chmielnickim zamilczał, by się nie zdawało, że sobie chwalbę czyni. Najbardziej zalterowała księcia wiadomość o tem, że stary Grodzicki prochów nie miał i przeto długo się bronić nie obiecywał.

— Szkoda to jest niewypowiedziana, — mówił — bo siłaby ta forteca mogła rebelii przeszkadzać i wstrętów czynić. Mąż też to wielki jest, pan Grodzicki, prawdziwe Rzeczypospolitej decus et praesidium (chluba i obrona). Czemuż on jednak do mnie po prochy nie przysłał? Byłbym mu był z piwnic łubniańskich udzielił.

— Sądził widać, że hetman w. ex officio (z urzędu) powinien był o tem pamiętać — rzekł Skrzetuski.

— A wierzę... — rzekł książę i umilkł.

Po chwili jednak mówił dalej:

— Wojennik to stary i doświadczony, hetman wielki, ale zbyt on dufał w sobie i tem się zgubił. Wszakże on całą rebelię lekceważył i gdym mu się z pomocą kwapił, wcale nie chciwie mnie wyglądał. Nie chciał się z nikim sławą dzielić; bał się, że mnie wiktoryę (zwycięstwo) przypiszą...

— Tak i ja mniemam — rzekł poważnie Skrzetuski.

— Batogami zamierzał Zaporoże uspokoić, i ot co się zdarzyło Bóg pychę skarał. Pychą też to, Bogu samemu nieznośną, ginie ta Rzeczpospolita, i podobno nikt tu nie jest bez winy...

Książę miał słuszność, gdyż nawet i on sam nie był bez winy. Nie tak to dawno jeszcze, jak w sprawie z panem Aleksandrem Koniecpolskim o Hadziacz książę wjechał w cztery tysiące ludzi do Warszawy, którym rozkazał, aby, jeśli będzie zmuszony do przysięgi w senacie, do izby senatorskiej wpadli i wszystkich siekli. A

czynił to nie przez co innego, jeno także przez pychę, która nie chciała pozwolić, by go do przysięgi wołano, słowom nie wierząc.

Może w tej chwili przypomniał sobie oną sprawę, bo się zamyślił — i jechał dalej w milczeniu, błądząc oczyma po szerokich stepach okalających gościniec — a może myślał o losach tej Rzeczypospolitej, którą kochał ze wszystkich sił swej gorącej duszy, a dla której zdawał się zbliżać dies irae et calamitatis (dzień gniewu i klęski).

Aż też po południu pokazały się z wysokiego brzegu Suły wydęte kopułki cerkwi łubniańskich, błyszczący dach i spiczaste wieże kościoła św. Michała. Wojska powoli wchodziły i zeszło aż do wieczora. Sam książę udał się natychmiast na zamek, w którym, wedle naprzód wysłanych rozkazów, wszystko miało być do drogi gotowe; chorągwie zaś roztasowały się na noc w mieście, co nie było rzeczą łatwą, bo zjazd był wielki. Wskutek wieści o postępach wojny domowej, na prawym, brzegu, wskutek wrzenia między chłopstwem, całe szlacheckie Zadnieprze zwaliło się do Łubniów. Przyciągała szlachta z dalekich nawet okolic, z żonami, z dziećmi, czeladzią, końmi, wielbłądami i całemi stadami bydła. Pozjeżdżali się także komisarze książęcy, podstarościowie, najrozmaitsi oficyaliści stanu szlacheckiego, dzierżawcy, Żydzi—słowem wszyscy, przeciw którym bunt ostrze noża mógł zwrócić. Rzekłbyś, odprawował się w Łubniach jakiś wielki doroczny jarmark, bo nie brakowało nawet kupców moskiewskich i Tatarów astrachańskich, którzy, na Ukrainę z towarem ciągnąc, tu się przed wojną zatrzymali. Na rynku stały tysiące wozów najrozmaitszego kształtu, o kołach bez szprych, z jednej sztuki drzewa wyciętych, teleg kozackich, szarabanów szlacheckich. Goście co przedniejsi mieścili się w zamku i gospodach, drobiazg zaś i czeladź w namiotach, obok kościołów. Porozpalano ognie na ulicach, przy których warzono jadło. A wszędy ścisk, zamieszanie i gwar, jak w ulu. Najrozmaitsze stroje i najrozmaitsze barwy: żołnierstwo książęce z pod różnych chorągwi, hajducy, pajucy, Żydzi w czarnych opończach, chłopstwo, Ormianie w fioletowych myckach, Tatarzy w tołubach. Pełno języków, nawoływań, przekleństw, płaczu dzieci, szczekania psów i ryku bydła. Tłumy te witały z radością nadchodzące chorągwie, bo w nich widziały pewność opieki i zbawienia. Inni poszli pod zamek wrzeszczeć na cześć księcia i księżny. Chodziły też najrozmaitsze wieści między tłumem: to że książę zostaje w Łubniach, to że

wyjeżdża aż hen ku Litwie, gdzie trzeba będzie za nim jechać, to nawet, że już pobił Chmielnickiego. A książę, po przywitaniu się z małżonką i oznajmieniu o jutrzejszej drodze, patrzał frasobliwie na one gromady wozów i ludzi, którzy mieli ciągnąć za wojskiem i być mu kulą u nóg, opóźniając szybkość pochodu. Pocieszał się tylko myślą, że za Brahinem, w spokojniejszym kraju, wszystko to się rozproszy, po rozmaitych kątach pochowa i ciążyć przestanie. Sama księżna z fraucymerem i dworem miała być odesłana do Wiśniowca, aby książę z całą potęgą bezpiecznie bez przeszkód mógł w ogień ruszyć. Przygotowania na zamku były już zrobione, wozy z rzeczami i kosztownościami spakowane, zapasy zgromadzone, dwór choćby zaraz do wsiadania na wozy i konie. A oną gotowość sprawiła księżna Gryzelda, która duszę w nieszczęściu miała tak wielką jak książę — i prawie mu wyrównywała energią i nieugiętością charakteru. Widok ten bardzo pocieszał księcia, choć serce rozdzierało się na myśl, że przychodzi opuścić gniazdo łubniańskie, w którem tyle szczęścia zażył, tyle sławy zdobył. Zresztą smutek ten podzielali wszyscy: i wojsko, i służba, i cały dwór, bo też wszyscy byli pewni, że gdy kniaź w dalekich stronach będzie walczył, nieprzyjaciel nie zostawi Łubniów w spokojności, ale się na tych kochanych murach zemści za wszystkie ciosy, jakie z rąk książęcych poniesie. Nie brakowało więc płaczu i lamentów, osobliwie między płcią niewieścią i tymi, którzy się już tu porodzili i groby rodzicielskie zostawiali.

XXIV.

Pan Skrzetuski, który pierwszy przed chorągwiami do zamku skoczył, o kniaziównę i Zagłobę pytając, oczywiście ich tu nie znalazł. Ani tu ich widziano, ani o nich słyszano, jakkolwiek były już wieści o napadzie na Rozłogi i o zniesieniu wasilowskiego prezydyum (załogi). Zamknął się tedy rycerz w swojej kwaterze, w cekhauzie, razem z zawiedzioną nadzieją — i żal, i obawa, i troski nanowo do niego przyleciały. Ale opędzał się im, jak ranny żołnierz opędza się na pobojowisku krukom i kawkom, które się ku niemu zgromadzają, by ciepłą krew pić i świeże mięso szarpać. Krzepił się myślą, że Zagłoba, tak w fortele obfity, przecie się może

wykręci i do Czernihowa, po otrzymaniu wiadomości o zniesieniu hetmanów, się schroni. Przypomniał też sobie w porę owego dziada, którego jadąc do Rozłogów spotkał, a który, jak sam powiadał, przez jakiegoś czorta z odzieży razem z pachołkiem odarty, trzy dni goły w oczeretach kahamlickich siedział, bojąc się na świat wychylić. Przyszła nagle myśl panu Skrzetuskiemu, że to Zagłoba musiał dziada obedrzeć, aby dla siebie i dla Heleny przebranie zdobyć. Nie może to inaczej być! — powtarzał sobie namiestnik i ulgi wielkiej na tę myśl doznawał, gdyż takie przebranie bardzo ucieczkę ułatwiało. Spodziewał się też, że Bóg, który nad niewinnością czuwa, Heleny nie opuści, a chcąc łaskę Jego tembardziej dla niej zjednać, postanowił sam z grzechów się oczyścić. Wyszedł z cekhauzu i szukał księdza Muchowieckiego, a znalazłszy go pocieszającego niewiasty, o spowiedź prosił. Ksiądz powiódł go do kaplicy, zaraz siadł do konfesyonału i słuchać począł. Wysłuchawszy, naukę dawał, budował, w wierze utwierdzał, pocieszał i gromił. A gromił w ten sens, iż nie wolno jest chrześcianinowi o mocy Bożej wątpić, a obywatelowi więcej nad własnem, niż nad ojczyzny nieszczęściem płakać, gdyż prywata to jest swego rodzaju mieć więcej łez dla siebie niż dla publiki — i więcej swego kochania żałować niż klęsk powszechnych. Poczem te klęski, ten upadek i hańbę ojczyzny w tak wzniosłych i żałośliwych wyraził słowach, że zaraz wielką miłość dla niej w sercu rycerza rozniecił, od której własne nieszczęścia tak mu zmalały, że prawie ich dostrzedz nie mógł. Oczyścił też go z zawziętości i nienawiści, jaką przeciw Kozakom w nim spostrzegł. "Których gromić będziesz — mówił — jako nieprzyjaciół wiary, ojczyzny, jako sprzymierzeńców pogaństwa, ale jako swoim krzywdzicielom przebaczysz, z serca odpuścisz i mścić się nie będziesz. A gdy tego dokażesz, tedy widzę już, że Bóg cię pocieszy, i kochanie twoje tobie odda, i pokój tobie ześle..."

Potem go przeżegnał, pobłogosławił, wyszedł, krzyżem mu za pokutę do rana przed Chrystusem rozpiętym leżeć kazawszy.

Kaplica była pusta i ciemna, jeno dwie świece migotały przed ołtarzem, kładąc blaski różowe i złote na twarz Chrystusa, wykonaną z alabastru, a pełną słodyczy i cierpienia. Godziny całe upływały, a namiestnik leżał bez ruchu, niby martwy — ale też czuł coraz wyraźniej, że gorycz, rozpacz, nienawiść i ból, troski, cierpienie, odwijają mu się od serca, wypełzają mu z piersi i pełzną jak

węże i kryją się gdzieś w ciemnościach. Uczuł, że lżej oddycha, że jakoby wstępują w niego nowe zdrowie, nowe siły, że w głowie robi mu się jaśniej i błogość jakaś ogarnia — słowem: przed tym ołtarzem i przed tym Chrystusem znalazł wszystko, cokolwiek mógł znaleźć człowiek tamtych wieków, człowiek wiary niewzruszonej, bez śladu i cienia zwątpienia.

Nazajutrz już był też namiestnik jak odrodzony. Rozpoczęła się praca, ruch i krętanina, bo był to dzień odjazdu z Łubniów. Oficerowie od rana mieli lustrować (robić przegląd) chorągwie czy konie i ludzie w należytym porządku, następnie wyprowadzać na błonia i szykować do pochodu. Książę słuchał mszy świętej w kościele św. Michała, poczem wrócił do zamku i przyjmował deputacye od greckiego duchowieństwa i od mieszczan z Łubniów i z Chorola. Zasiadł tedy na tronie, w sali malowanej przez Helma, w otoczeniu co przedniejszego rycerstwa i tu go burmistrz łubniański, Hruby, żegnał po rusku w imieniu wszystkich miast, do dzierżawy zadnieprzańskiej należących. Prosił go naprzód, żeby nie odjeżdżał i nie zostawiał ich jako owiec bez pasterza, co słysząc inni deputaci, składając ręce powtarzali: "Ne odjiżaj! ne odjiżaj!" — a gdy książę odpowiedział, iż nie może to być — padli mu do nóg, dobrego pana żałując, lub udając żal, gdyż mówiono, że wielu z nich, mimo całej łaskawości książęcej, bardzo sprzyjało Kozakom i Chmielnickiemu. Ale zamożniejsi bali się motłochu, co do którego była obawa, że zaraz po wyjeździe księcia z wojskiem powstanie. Książę odpowiedział, że ojcem starał się im być, nie panem, i zaklinał ich, by wytrwali w wierności dla majestatu i Rzeczypospolitej, wspólnej wszystkim matki, pod której skrzydłami krzywd nie cierpieli, w spokoju żyli, w zamożność wzrastali, jarzma żadnego nie doznając, któregoby postronni włożyć na nich nie zaniechali. Podobnemiż słowy pożegnał i duchowieństwo greckie, poczem nadeszła godzina wyjazdu. Dopieroż płacze i lamenty służby rozlegały się po calem zamczysku! Panny z fraucymeru mdlały, a panny Anny Borzobohatej ledwie się docucić mogli. Sama księżna tylko siadała z suchemi oczyma do karety i z podniesioną głową, bo dumna pani wstydziła się pokazywać ludziom cierpienia. Tłumy zaś ludu stały pod zamkiem, w Łubniach bito we wszystkie dzwony, popi żegnali krzyżami wyjeżdżających, korowód powozów, szarabanów i wozów zaledwie mógł się przecisnąć przez zamkową bramę.

Wreszcie i sam książę siadł na konia. Chorągwie po pułkach zniżyły się przed nim, uderzono na wałach z dział, płacze, gwar ludu i okrzyki pomieszały się z głosem dzwonów, z wystrzałami i dźwiękami trąb wojennych, z huczeniem kotłów. Ruszono.

Naprzód szły dwie tatarskie chorągwie pod Roztworowskim i Wierszułłem, potem artylerya pana Wurcla, piechoty obersztera Machnickiego, za niemi jechała księżna z fraucymerem i cały dwór, wozy z rzeczami, za niemi wołoska chorągiew pana Bychowca, wreszcie komput wojska, górne pułki ciężkiej jazdy, chorągwie pancerne i usarskie, pochód zaś zamykała dragonia i semenowie.

Za wojskiem ciągnął się nieskończony i pstry jak wąż orszak wozów szlacheckich, wiozących rodziny tych wszystkich, którzy po wyjeździe książęcym nie chcieli zostawać na Zadnieprzu.

Surmy po pułkach grały, ale serca były ściśnięte. Każdy, patrząc na owe mury, myślał sobie w duszy: "Miły domie, zali cię zobaczę jeszcze w życiu?" Wyjechać łatwo, ale wrócić trudno. A przecież każdy część jakowąś duszy w tych miejscach zostawiał i pamięć słodką. Więc wszystkie oczy zwracały się po raz ostatni na zamek, na miasto, na wieże kościołów i kopuły cerkwi i dachy domów. Każdy wiedział, co tu zostawiał, a nie wiedział, co go tam czekało w owej sinej dali, ku której dążył tabór...

Żal więc był we wszystkich duszach. Miasto wołało za odjeżdżającymi głosami dzwonów, jakby prosząc i zaklinając ze swej strony, by go nie opuszczano, nie wystawiano na niepewność, na złe losy przyszłe; wołało, jakby tym żałosnym dźwiękiem dzwonów chciało się żegnać i utrwalić w pamięci...

Więc choć pochód oddalał się, głowy były ku miastu zwrócone, a we wszystkich obliczach czytałeś pytanie:

— Zali nie ostatni raz?

Tak jest! Z tego całego wojska i tłumu, z tych tysiąców, które w tej chwili szły z księciem Wiśniowieckim, ani on sam, ani nikt nie miał już ujrzeć więcej ni miasta, ni kraju.

Trąby grały. Tabór posuwał się zwolna, ale ciągle — i po niejakim czasie miasto poczęło przesłaniać się mgłą błękitną, domy i dachy zlewały się w jedną masę, mocno w słońcu świecącą. Wtedy książę wypuścił naprzód konia i, wjechawszy na wysoką mogiłę, stanął nieruchomie i patrzał długo. Toż ten gród, błyszczący teraz w słońcu, i cały ten kraj widny z mogiły, to było dzieło jego

przodków i jego własne. Wiśniowieccy bowiem zmienili te głuche dawniej pustynie na kraj osiadły, otworzyli je ludzkiemu życiu i, rzec można, stworzyli Zadnieprze. A największą część tego dzieła spełnił sam książę. On budował te kościoły, których wieże, ot! błękitnieją tam nad miastem, on wzmógł miasto, on połączył je traktami z Ukrainą, on trzebił lasy, osuszał bagna, wznosił zamki, zakładał wsie i osady, sprowadzał mieszkańców, tępił łupiezców, bronił od inkursyj (najazdów) tatarskich, utrzymywał spokój dla rolnika i kupca pożądany, wprowadzał panowanie prawa i sprawiedliwości. Przez niego ten kraj żył, rozwijał się i kwitnął. On był mu duszą i sercem — a teraz przyszło to wszystko porzucić...

I nie tej fortuny olbrzymiej, równej całym księstwom niemieckim, żałował książę, ale się do tego dzieła rąk własnych przywiązał; wiedział, że gdy jego tu zbraknie, wszystkiego zbraknie, że praca lat całych odrazu będzie zniszczona, że trud pójdzie na marne, dzicz się rozpęta, pożary ogarną wsie i miasta, że Tatar będzie poił konie w tych rzekach, bór porośnie na zgliszczach, i że jeśli Bóg da wrócić — wszystko, wszystko wypadnie poczynać nanowo — a może już tych sił nie będzie, i czasu zbraknie, i ufności takiej jak pierwej nie stanie. Tu zeszły lata, które były dla niego chwałą przed ludźmi, zasługą przed Bogiem — a teraz chwała i zasługa mają się z dymem rozwiać...

Więc też dwie łzy stoczyły mu się zwolna na policzki.

Były to ostatnie łzy, po których zostały w tych oczach same tylko błyskawice.

Koń książęcy wyciągnął szyję, zarżał, a rżeniu temu odpowiedziały zaraz inne pod chorągwiami. Te głosy ocuciły księcia z zadumy i napełniły go otuchą.

A toż zostaje mu jeszcze sześć tysięcy wiernych towarzyszów, sześć tysięcy szabel, z któremi świat ma otwarty, a których czeka jak jedynego zbawienia, pognębiona Rzeczpospolita. Idylla zadniepszańska skończona, ale tam, gdzie działa grzmią, gdzie wsie i miasta płoną, gdzie po nocach z rżeniem koni tatarskich i wrzaskiem kozackim miesza się płacz niewolników, jęki mężów, niewiast i dzieci — tam pole otwarte i sława zbawcy i ojca ojczyzny do zdobycia... Któż po ten wieniec sięgnie, któż będzie ratował tak pohańbioną, chłopskiemi nogami zdeptaną, upokorzoną, konającą oj-

czyznę, jeśli nie on — książę, jeśli nie te wojska, które owo tam, na dole, zbrojami ku słońcu świecą i migocą?...

Tabór przechodził właśnie koło stóp mogiły, a na widok księcia stojącego z buławą w ręku na szczycie pod krzyżem, wszystkim żołnierzom wydarł się naraz z piersi okrzyk:

— Niech żyje książę! Niech żyje wódz nasz i hetman Jeremi Wiśniowiecki!

I setki chorągwi zniżyły się do nóg jego, husarye wydawały karwaszami dźwięk groźny, kotły huknęły do wtóru okrzykom.

Wtedy książę wydobył szablę i, wzniósłszy ją razem z oczyma ku niebu, tak mówił:

— Ja, Jeremi Wiśniowiecki, wojewoda ruski, książę na Łubniach i Wiśniowcu, przysięgam Tobie, Boże w Trójcy Świętej jedyny, i Tobie, Matko Najświętsza, jako, podnosząc tę szablę przeciw hultajstwu, od którego ojczyzna jest pohańbiona, póty jej nie złożę, póki mi sił i życia stanie, póki hańby owej nie zmyję, każdego nieprzyjaciela do nóg Rzeczypospolitej nie zegnę, Ukrainy nie uspokoję i buntów chłopskich we krwi nie utopię. A jako ten ślub ze szczerego serca czynię, tak mi Panie Boże dopomóż — amen.

To rzekłszy, stał jeszcze przez chwilę, patrząc w niebo, poczem zjechał zwolna z mogiły ku chorągwiom. Wojska doszły na noc do Basani, wsi pani Krynickiej, która przyjęła księcia, klęcząc we wrotach, bo już ją byli chłopi we dworze oblegali, którym z pomocą co wierniejszej czeladzi się opędzała, gdy nagłe przyjście wojska ocaliło ją i jej dziewiętnaścioro dzieci, a w tem samych panien czternaście. Książę, kazawszy napastników pochwytać, wysłał Poniatowskiego, rotmistrza kozackiej chorągwi, ku Kaniowu, który tejże nocy przywiódł pięciu zaporożców z wasiutyńskiego kurzenia. Uczestniczyli oni wszyscy w bitwie korsuńskiej, i przypieczeni ogniem, zdali dokładną o niej księciu relacyę. Zapewnili również, że Chmielnicki jeszcze jest w Korsuniu. Tuhaj-bej zaś z jasyrem, z łupami i z obu hetmanami udał się do Czehrynia, skąd do Krymu miał jechać. Słyszeli także, że Chmielnicki prosił go bardzo, aby wojsk zaporoskich nie opuszczał i przeciw księciu szedł, wszelako murza nie chciał się na to zgodzić, mówiąc, iż po zniesieniu wojsk i hetmanów sami Kozacy mogą już sobie poradzić, on zaś nie będzie dłużej czekał, bo jasyrby mu wymarł. Badani o siły Chmielnickiego, podawali je na dwieście tysięcy, ale dość ladajakich; dobrych

tylko pięćdziesiąt, to jest zaporożców i Kozaków pańskich, albo grodowych, którzy się do buntu przyłączyli.

Po otrzymaniu tych wiadomości, pokrzepił się na duchu książę, spodziewał się bowiem także za Dnieprem znacznie w potęgę urosnąć przez szlachtę, zbiegów wojska koronnego i poczty pańskie. Nazajutrz rano udał się w dalszą drogę.

Za Perejasławiem weszły wojska w olbrzymie, głuche lasy, ciągnące się wzdłuż brzegu Trubieży aż do Kozielca, dalej pod sam Czernihow. Był to schyłek maja — upały straszliwe. W lasach miasto chłodu, było tak duszno, iż ludziom i koniom powietrza brakło do oddechu. Bydło, prowadzone za taborem, padało co krok lub, zwietrzywszy wodę, biegło ku niej jak szalone, przewracając wozy i powodując zamieszanie. Zaczęły też i konie padać, zwłaszcza w ciężkiej jeździe. Noce były nieznośne dla niezmiernej ilości robactwa i zbyt silnego zapachu żywicy, którą z powodu upałów drzewa roniły obficiej niż zwykle.

Wleczono się tak cztery dni, nakoniec piątego upał stal się nadnaturalny. Gdy przyszła noc, konie zaczęły chrapać, a bydło ryczeć żałośnie, jakoby przewidując jakieś niebezpieczeństwo, którego ludzie nie mogli się jeszcze domyślić.

— Krew wietrzą! — mówiono z taboru, między tłumami uciejących rodzin szlacheckich.

— Kozacy gonią nas! Bitwa będzie!

Na te słowa niewiasty podniosły lament, wieść doszła do czeladzi, wszczął się popłoch i zamieszanie, wozy jęły się prześcigać wzajemnie, albo zjeżdżać z traktu na oślep w las, w którym więzły między drzewami.

Ale ludzie przysłani przez księcia przywrócili szybko porządek. Rozesłano na wszystkie strony podjazdy, by się przekonać, czy rzeczywiście jakie niebezpieczeństwo nie groziło.

Pan Skrzetuski, który na ochotnika z Wołoszą poszedł, wrócił pierwszy nad ranem, a wróciwszy, udał się natychmiast do ks ięcia

— Co tam? — spytał Jeremi.

— Mości książę, lasy się palą.

— Podpalono?

— Tak jest. Schwytałem kilku ludzi, którzy wyznali, iż Chmielnicki wysłał ochotnika, którzyby za waszą książęcą mością szedł, a ogień, jeśli wiatr będzie pomyślny, podkładał.

— Żywcemby nas chciał upiec, bitwy nie staczając. Dawać tu tych ludzi!

Za chwilę przyprowadzono trzech czabanów, dzikich, głupich, przestraszonych, którzy natychmiast przyznali się, że istotnie kazano im lasy podpalić.

Wyznali także, że i wojska były już za księciem wyprawione, ale te szły ku Czernihowu inną drogą bliżej Dniepru.

Tymczasem przybyły i inne podjazdy, a każdy przywiózł tę samą wieść:

— Lasy się palą.

Ale książę nie zdawał się tem bynajmniej trwożyć.

— Pogański to sposób, — rzekł — zle nic po tem! Ogień nie przejdzie za rzeki, idące do Trubieży.

Jakoż istotnie do Trubieży, wzdłuż której posuwał się ku północy tabór, wpadało tyle rzeczek, tworzących tu i owdzie szerokie bagna, iż nie było obawy, aby ogień mógł się przez nie przedostać. Potrzeba było chyba za każdą z nich nanowo bór podpalać.

Podjazdy sprawdziły wkrótce, iż tak czyniono. Codziennie też sprowadzały podpalaczów, którymi ubierano sosny przydrożne.

Ogień szerzył się gwałtownie, ale wzdłuż rzeczek ku wschodowi i zachodowi, nie ku północy. Nocami niebo czerwieniło się, jak okiem dojrzał. Niewiasty śpiewały od wieczora do świtania pieśni pobożne. Przerażony dziki zwierz z płonących borów chronił się na trakt i ciągnął za taborem, mieszając się ze stadami domowego bydła. Wiatr naniósł dymów, które przesłoniły cały widnokrąg. Wojska i wozy posuwały się jak we mgle gęstej, przez którą wzrok nie sięgał. Piersi nie miały czem oddychać, dym gryzł oczy, a wiatr napędzał go coraz więcej. Światło słoneczne nie mogło się przebić przez te tumany i nocami było widniej niż w dzień, bo świeciły łuny. Bór zdawał się nie mieć końca.

Wśród takich to płonących łasów i dymów prowadził Jeremi swoje wojska. Przytem nadeszły wieści, że nieprzyjaciel idzie drugą stroną Trubieży, ale niewiedziano, jak wielką była jego potęga; wszelako Tatarzy Wierszułła sprawdzili, że był jeszcze bardzo daleko.

Tymczasem pewnej nocy przyjechał do Taboru pan Suchodolski z Bodenek, z tamtej strony Desny. Był to dawny dworzanin rękodajny księcia, który przed kilku laty na wieś się przeniósł,

Uciekał i on przed chłopstwem, ale przywiózł wieść, o której nie wiedziano jeszcze w wojsku.

Wielka też zrobiła się konsternacya (popłoch), gdy, zapytany przez księcia o nowiny, odpowiedział:

— Złe, mości książę! O pogromie hetmańskim już wiecie, zarówno jak i o śmierci królewskiej?

Książę, który siedział na małym taboreciku podróżnym pod namiotem, zerwał się na równe nogi:

— Jakto! król umarł!?

— Miłościwy pan oddał ducha w Mereczu, jeszcze na tydzień przed pogromem korsuńskim — rzekł Suchodolski.

— Bóg w miłosierdziu swojem nie dał mu dożyć takiej chwili — odpowiedział książę, a potem za głowę się wziąwszy, mówił dalej: — Straszne to czasy nadchodzą na tę Rzeczpospolitą. Konwokacye i elekcye — interregnum (bezkrólowie), niezgody i machinacye zagraniczne teraz, gdy potrzebaby, aby cały naród w jeden miecz w jednych ręku się zmienił. Bóg chyba odwrócił od nas oblicze swoje i w gniewie swym za grzechy chłostać nas zamierza. Toż tę pożogę sam tylko król Władysław mógł ugasić, gdyż dziwną on miał miłość między kozactwem, a prócz tego wojenny był pan.

W tej chwili kilkunastu oficerów, między nimi Zaćwilichowski, Skrzetuski, Baranowski, Wurcel, Machnicki i Polanowski, zbliżyło się do księcia, który rzekł:

— Mości panowie, król umarł!

Głowy odkryły się jak na komendę. Twarze spoważniały. Wieść tak niespodziana mowę wszystkim odjęła. Po chwili dopiero wybuchnął żal powszechny.

— Wieczne odpocznienie racz mu dać, Panie! — rzekł książę.

— I światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki!

Wkrótce potem ksiądz Muchowiecki zaintonował "Dies irae" i wśród tych lasów, wśród tego dymu, pognębienie niewypowiedziane ogarnęło serca i dusze. Wszystkim zdawało się, jakby już teraz wobec groźnego nieprzyjaciela sami zostali na świecie... i nie mieli na nim nikogo więcej, ino swego księcia.

To też wszystkie oczy zwróciły się ku niemu i nowy węzeł został pomiędzy nim a żołnierstwem zawiązany.

Tegoż dnia wieczorem książę rzekł do Zaćwilichowskiego tak, iż go słyszeli wszyscy:

— Potrzeba nam króla wojownika, to też jeśli Bóg pozwoli byśmy dali nasze kreski na elekcyi, damy je za królewiczem Karolem, który więcej od Kazimierza ma wojennego animuszu.

— Vivat Carolus rex (niech żyje król Karol)! — zawołali oficerowie.

— Vivat! — powtórzyły usarye, a za niemi całe wojsko.

I nie spodziewał się zapewne książę-wojewoda, że te okrzyki, brzmiące na Zadnieprzu, wśród głuchych lasów czernihowskich, dojdą aż do Warszawy i że mu buławę wielką koronną z rąk wytrącą.

XXV.

Po dziewięciodniowym pochodzie, którego pan Maszkiewicz był Ksenofontem, i trzydniowej przeprawie przez Desnę, przyszły wreszcie wojska do Czernihowa. Przed wszystkiemi szedł pan Skrzetuski z Wołoszą, którego umyślnie książę do zajęcia miasta wykomenderował, aby się mógł prędzej o kniaziównę i Zagłobę rozpytać. Ale tu, równie jak i w Łubniach, ani w mieście, ani na zamku nikt o nich nie słyszał. Przepadli gdzieś bez śladu, jak kamień w wodzie, i rycerz sam już nie wiedział, co o tem myśleć. Gdzie się mogli schronić? Przecie nie do Moskwy, ani do Krymu, ani na Sicz? Pozostawało jedno przypuszczenie, iż przeprawili się przez Dniepr, ale w takim razie znaleźli się w środku burzy. Tam rzezie, pożogi, pijane tłumy czerni, zaporożcy i Tatarzy, przed którymi nawet i przebranie Heleny nie chroniło, bo dzicz pogańska chętnie zagarniała w jasyr chłopców dla wielkiego na nich na targach stambulskich pokupu. Przychodziło nawet do głowy panu Skrzetuskiemu straszliwe podejrzenie, że może umyślnie Zagłoba w tamtą stronę ją powiódł, ażeby Tuhaj-bejowi ją sprzedać, który mógł hojniej od Bohuna go nagrodzić — i ta myśl prawie go o szaleństwo przyprawiała; ale uspokajał go w tem znacznie pan Longinus Podbipięta, który Zagłobę poznał dawniej od Skrzetuskiego.

— Braciaszku, mości namiestniku, — mówił — wybijże to sobie z głowy. Jużże ten szlachcic tego nie uczynił. Było i u Kurcewiczów dosyć skarbów, któreby mu Bohun chętnie odstąpił, tażgdyby

chciał dziewczynę gubić, gardłaby nie narażał i do fortuny (majątku) doszedł.

— Prawda jest, — mówił namiestnik — ale czemuż za Dniepr, a nie do Łubniów, lub do Czernihowa z nią uciekał?

— Jużże ty się uspokój, mileńki. Ja tego Zagłobę znam. Pił on ze mną i zapożyczał się u mnie. O pieniądze on nie dba, ani o swoje, ani o cudze. Swoje ma, to straci — cudzych nie odda, ale żeby miał na takie postępki się puszczać, tego po nim się nie spodziewam.

— Lekki to jest czlek, lekki — mówił Skrzetuski.

— To może i lekki, ale i frant, który każdego w pole wywiedzie, ze wszystkich niebezpieczeństw się wykręci. A jako tobie ksiądz prorockim duchem przepowiedział, iż ci ją Bóg powróci — tak i będzie, gdyż słuszna to jest, aby wszelki szczery afekt (miłość) był wynagrodzony, którą ufnością pocieszaj się, jako ja pocieszam.

Pan Longinus sam począł wzdychać ciężko, a po chwili dodał:

— Popytajmyż się jeszcze w zamku, może oni choć przechodzili tędy.

I pytali się wszędzie, ale napróżno — nie było żadnego śladu nawet i przejścia zbiegów. W zamku pełno było szlachty z żonami i dziećmi, która się tu przed Kozakami zawarła. Książę namawiał ich, by szli razem i przestrzegał, że Kozacy za nim idą w tropy. Nie śmieli oni uderzyć na wojsko, ale było prawdopodobnem, że po odejściu księcia pokuszą się o zamek i miasto. Szlachta w zameczku dziwnie była zaślepiona.

— Bezpieczni my tu jesteśmy za lasami — odpowiadali księciu. — Nikt tu do nas nie przyjdzie.

— A przecie ja owe lasy przeszedłem — mówił książę.

— To wasza książęca mość przeszła, ale hultajstwo nie przejdzie. Ho! ho! nie takie to lasy.

I nie chcieli iść, trwając w swojem zaślepieniu, które potem srodze przypłacili, gdyż po odejściu księcia rychło nadeszli Kozacy. Zamek bronił się mężnie przez trzy tygodnie, poczem był zdobyty i wszyscy w nim w pień wycięci. Kozacy dopuszczali się strasznych okrucieństw, rozdzierając dzieci, paląc niewiasty na wolnym ogniu — i nikt nie zemścił się nad nimi.

Książę tymczasem, przyszedłszy do Lubecza nad Dniepr, tam wojsko dla odpoczynku rozłożył, sam zaś z księżną, dworem i cię-

żarami jechał do Brachina, położonego wśród lasów i błot nieprzebytych. W tydzień później przeprawiło się i wojsko. Ruszono następnie do Babicy pod Mozyr — i tam w święto Bożego Ciała wybiła godzina rozstania się, bo księżna z dworem miała jechać do Turowa, do pani wojewodziny wileńskiej, ciotki swojej, książę zaś z wojskiem w ogień ku Ukrainie.

Na ostatnim pożegnalnym obiedzie byli oboje księstwo, fraucymer i co przedniejsze towarzystwo. Ale wśród panien i kawalerów nie było zwykłej wesołości, bo niejedno tam żołnierskie serce krajało się na myśl, że za chwilę trzeba będzie porzucić tę wybraną, dla którejby się chciało żyć, bić i umierać, niejedne jasne lub ciemne oczy dziewczęce zachodziły łzami żalu, iż on odjedzie na wojnę, między kule i miecze, między Kozaki i dzikie Tatary... odjedzie i może nie wróci...

To też gdy książę przemówił, żegnając żonę i dwór, panniątka zapiszczały jedna w drugą żałośnie jak kocięta, rycerze zaś, jako to silniejszego ducha, powstali z miejsc swoich i chwyciwszy za głownie szabel, krzyknęli razem:

— Zwyciężymy i wrócimy!

— Dopomóż wam Bóg! — odpowiedziała księżna.

Na to rozległ się okrzyk, aż okna i ściany się zatrzęsły:

— Niech żyje księżna pani! niech żyje matka nasza i dobrodziejka!

— Niech żyje! niech żyje!

Kochali ją też żołnierze za jej przychylność dla rycerstwa, za jej wielką duszę, hojność i łaskawość, za opiekę nad ich rodzinami. Kochał ją nad wszystko książę Jeremi, bo to były dwie natury, jakby dla siebie stworzone, kubek w kubek do siebie podobne, obie ze złota i ze śpiżu ulane.

Więc wszyscy szli ku niej i każdy klękał z kielichem przed jej krzesłem, a ona, za głowę każdego ścisnąwszy, kilka słów łaskawych przemówiła. Skrzetuskiemu zaś rzekła:

— Nie jeden tu podobno rycerz szkaplerzyk albo wstążeczkę na waletę (pamiątkę) dostanie, a że niemasz tu tej, którejbyś waćpan najbardziej pragnął, przeto przyjm ode mnie, jakby od matki.

To rzekłszy, zdjęła krzyżyczek złoty, turkusami usiany, i zawiesiła go na szyi rycerza, który rękę jej ze czcią ucałował.

Znać było, że i książę bardzo był kontent z tego co pana Skrze-

tuskiego spotkało, gdyż w ostatnich czasach jeszcze bardziej go polubił za to, iż godność książęcą, posłując na Siczy, ochronił i listów od Chmielnickiego brać nie chciał. Tymczasem ruszono się od stołu. Panny, chwyciwszy w lot słowa księżny do pana Skrzetuskiego wyrzeczone i biorąc je za zgodę i pozwolenie, zaraz też poczęły wydobywać ta szkaplerz, ta szarfę, ta krzyżyk — co widząc rycerze, obces każdy do swojej jeśli nie wybranej, to przynajmniej do najmilszej. Sunął tedy Poniatowski do Żytyńskiej, Bychowiec do Bohowitynianki, bo tę sobie w ostatnich czasach upodobał, Roztworowski do Żukówny, rudy Wierszul do Skoropackiej, oberszter Machnicki, choć stary, do Zawiejskiej; jedna tylko Anusia Borzobohata-Krasieńska, choć najpiękniejsza ze wszystkich, stała pod oknem sama i opuszczona. Lice jej zarumieniło się, oczki za kryte powiekami strzelały z ukosa jakby z gniewem, a zarazem i prośbą, by jej nie czyniono takiego afrontu (wstydu), zaś zdrajca Wołodyjowski zbliżył się i rzekł:

— Chciałem i ja też prosić panny Anny o jakową pamiątkę, alem się tej chęci wyrzekł, gdyżem tak mniemał, że dla zbyt wielkiego tłoku się nie docisnę.

Policzki Anusi zapalały jeszcze ogniściej, wszelako bez chwili namysłu odrzekła:

— Z innychbyś waćpan rąk, nie z moich, chciał pamiątki, ale jej nie dostaniesz, bo tam, jeśli nie zaciasno, to dla waszesi zawysoko.

Cios był dobrze wymierzony i podwójny, bo popierwsze, zawierał przymówkę do małego wzrostu rycerza, a powtóre, do jego afektu (miłości) ku księżniczce Barbarze Zbaraskiej. Pan Wołodyjowski kochał się naprzód w starszej Annie, ale gdy tę zaswatano, przebolał i w cichości ofiarował serce Barbarze, sądząc, że nikt się tego nie domyśla. Więc też, gdy o tem od Anusi zasłyszał, choć to niby szermierz pierwszej wody i na szable i na słowa, skonfudował (zmieszał) się tak, że języka w gębie zapomniał i tylko jąkał nie do rzeczy:

— Waćpanna także mierzysz wysoko, bo tak właśnie, jak głowa pana... Podbipięty...

— Wyższy on istotnie od waćpana i mieczem i polityką (grzecznością) — odparła rezolutna dziewczyna. — Dziękuję też, żeś mi go przypomniał. Dobrze i tak!

To rzekłszy, zwróciła się ku Litwinowi:

— Mości panie, zbliż się jeno waćpan. Chcę też i ja mieć swego

ycerza, a już nie wiem, czybym mogła na mężniejszej piersi oną szarfę przewiązać.

Pan Podbipięta oczy wytrzeszczył jakby nie wierząc sobie, czy dobrze słyszy, nareszcie jak rzuci się na kolana, aż podłoga zatrzeszczała:

— Dobrodziejko moja, dobrodziejko!

Anusia przewiązała szarfę, a potem małe jej rączki znikły całkiem pod płowymi wąsami pana Longina; rozległo się tylko mlaskanie, mruczenie, którego słuchając, pan Wołodyjowski rzekł do porucznika Migurskiego:

— Przysiągłbyś, że niedźwiedź pszczoły psowa i miód wyjada.

Potem odszedł z pewną złością, bo czuł w sobie Anusine żądło, a przecie kochał się w niej także swego czasu.

Ale już też i książę począł się z księżną żegnać — i w godzinę później dwór ruszył do Turowa, wojsko zaś ku Prypeci.

W nocy na przeprawie, gdy budowano tratwy do przeniesienia dział, a usarye pilnowały robót, rzekł pan Longinus do Skrzetuskieskiego:

“ Ot, braciaszku, nieszczęście!

— Co się stało? — pytał namiestnik.

— A to te wieści z Ukrainy.

— Jakie?

— Powiadali mnie zaporożcy, że Tuhaj-bej odszedł z ordą do Krymu.

— To cóż z tego? Na to przecież nie będzie płakał.

— Owszem, braciaszku, boś mnie powiedział i miałeś słuszność — co? że — kozackich głów liczyć nie mogę, a skoro Tatarzy odeszli, tak skądże ja wezmę trzech głów pogańskich? gdzie ich szukać będę? A mnie one, ach, jak potrzebne!

Skrzetuski, choć sam strapiony, uśmiechnął się i odrzekł:

— Zgaduję, o co ci chodzi, bom widział, jak cię dziś na rycerza pasowano.

Na to pan Longinus ręce złożył:

— Tak, bo pocóż dłużej i skrywać, polubiłem, braciaszku, polubiłem... Ot, nieszczęście

— Nie martw się. Nie wierzę ja w to, by Tuhaj-bej już odszedł a zresztą będziesz miał pogaństwa jak tych komarów nad głową.

Rzeczywiście całe chmary komarów unosiły się nad końmi i

ludźmi, bo wojska weszły w kraj błot nieprzebytych, lasów bagnistych, łąk rozmiękłych, rzek, rzeczek i strumieni, w kraj pusty, głuchy, jedną puszczą szumiący, o którego mieszkańcach mawiano w owych czasach:

"Dał dla córeczki
Szlachcic Hołota
Dziegciu dwie beczki,
Grzybów wianuszek,
Wjunów garnuszek
I lechę błota.'

Na błocie owem rosły wprawdzie nietylko grzyby, ale wbrew owym rymom i wielkie fortuny pańskie. Wszelako w tej chwili ludzie książęcy, którzy w znacznej części wychowali się i wyrośli na suchych, wysokich stepach zadnieprzańskich, nie chcieli oczom własnym wierzyć. Wszakże i tam były miejscami bagna i lasy, ale tu cały kraj zdawał się jednem bagnem. Noc była pogodna, jasna — i przy blasku księżyca, jak okiem sięgnąć, nie ujrzałeś sążnia suchego gruntu. Kępy tylko czerniły się nad wodą, lasy zdawały się z wody wyrastać, woda chlupotała pod nogami końskiemi, wodę wyciskały koła wozów i armaty. Wurcel wpadł w desperacyę.

— Dziwny pochód! — mówił — pod Czernihowem groził nam ogień, a tu woda nas zalewa.

Rzeczywiście, ziemia wbrew przyrodzeniu nie dawała stałej podpory nogom, ale gięła się, trzęsła, jakby się chciała rozstąpić i pochłonąć tych, którzy się po niej poruszali.

Wojska przez Przypeć przeprawiały się cztery dni, potem niemal codziennie trzeba było przebywać rzeki i rzeczułki, płynące w rozkisłym gruncie. A nigdzie mostu. Lud cały na łodziach, szuhalejach. Po kilku dniach wszczęły się mgły i deszcze. Ludzie dobywali ostatnich sił, by się nakoniec wydostać z tych zaklętych okolic. A książę spieszył, pędził. Kazał walić całe lasy, układać drogi z okrąglaków i szedł naprzód. Żołnierz też, widząc jak nie szczędzi sił własnych, jak od rana do nocy był na koniu, wojska sprawował, nad pochodem czuwał, wszystkiem osobiście zawiadował — nie śmiał szemrać, choć trud był prawie nad siły. Od rana do nocy łgnąć i moknąć — oto był wspólny los wszystkich. Koniom róg począł złazić z kopyt — wiele ich od armat odpadło, więc piechota

i dragoni Wołodyjowskiego sami ciągnęli działa. Najgórniejsze pułki, jako usarye Skrzetuskiego, Zaćwilichowskiego i pancerni, brali się do siekier, do moszczenia dróg. Był to sławny pochód o chłodzie, wodzie i głodzie, w którym wola wodza i zapał żołnierzy łamały wszystkie przeszkody. Nikt tędy dotychczas nie odważył się z wiosny, przy rozlaniu wód, wojsk prowadzić. Szczęściem pochód nie był ani razu żadnym napadem przerwany. Lud tam cichy, spokojny, nie myślał o buncie, a choć później podburzany przez Kozaków i zachęcony przykładem, nie chciał garnąć się pod ich znaki. Toż i teraz spoglądał sennem okiem na przechodzące zastępy rycerzy, którzy wynurzali się z borów i bagien, jakby zaklęci, a przechodzili jak sen; dostarczał przewodników, spełniał cicho i posłusznie wszystko, czego od niego żądano.

Widząc to, książę powściągał surowie wszelką swawolę żołnierską, i nie płynęły za wojskiem jęki ludzkie, przekleństwa i narzekania, a gdy po przejściu wojsk została w jakiej dymnej wiosce wieść, że to kniaź Jarema przechodził, ludzie potrząsali głowami:

— Wże win dobryj (toć on dobry)! — mówili sobie zcicha.

Nakoniec po dwudziestu dniach nadludzkich trudów i wysileń wychyliły się wojska książęce w kraj zbuntowany: "Jarema ide! Jarem ide!" rozlegało się po całej Ukrainie, aż hen, po Dzikie Pola, do Czehrynia i Jahorliku "Jarema ide!" rozlegało się po miastach wsiach, futorach i pasiekach, a na tę wieść kosy, widły i noże wypadały z rąk chłopskich, twarze bladły, kupy swawolne pomykały nocami ku południowi, jak stada wilków przed odgłosem rogów myśliwskich; Tatar zbłąkany dla grabieży zeskakiwał z konia i ucho co chwila do ziemi przykładał; w niezdobytych jeszcze zamkach i zameczkach bito w dzwony i śpiewano "Te deum laudamus!"

A ów groźny lew położył się na progu zbuntowanego kraju i odpoczywał.

Siły zbierał.

XXVI.

Tymczasem Chmielnicki, postawszy czas jakiś w Korsuniu, do Białocerkwi się cofnął i tam stolicę swą założył. Orda zapadła ko szem z drugiej strony rzeki, rozpuszczając zagony po całem woje

wództwie Kijowskiem. Niepotrzebnie się też martwił pan Longinus Podbipięta, że mu głów tatarskich nie stanie. Pan Skrzetuski słusznie przewidywał, że zaporożcy, schwytani przez pana Poniatowskiego pod Kaniowem, fałszywą dali wiadomość: Tuhaj-bej nie tylko nie odszedł, ale nawet do Czehrynia się nie ruszał. Co większa, nowe czambuły nadciągały ze wszystkich stron. Przyszli carzykowie: Azowski i Astrachański, którzy nigdy przedtem w Polsce nie bywali, w cztery tysiące niewolników, przeszło dwanaście tysięcy hordy Nohajskiej, dwadzieścia tysięcy Biłgorodzkiej Budziackiej, wszystko zaklęci ongi Zaporoża i kozactwa nieprzyjaciele, dziś bracia i na krew chrześciańską zaprzysięgli sprzymierzeńcy. Nakoniec przybył i sam han Islam Girej, z dwunastu tysiącami Perekopców. Cierpiała od tych przyjaciół cała Ukraina, cierpiał nie tylko stan szlachecki, ale i lud ruski, któremu palono wioski, zabierano dobytek, a samych chłopów, niewiasty i dzieci pędzono w jasyr. W tych czasach mordu, pożogi i krwi wylania jeden tylko dla chłopa był ratunek; uciec do obozu Chmielnickiego. Tam z ofiary stawał się zbójem i sam własną ziemię niszczył, ale przynajmniej żywota był bezpieczny. Nieszczęsny kraj! Gdy bunt w nim wybuchł, pokarał go naprzód i spustoszył pan Mikołaj Potocki, potem zaporożcy i Tatarzy, którzy niby dla oswobodzenia go przyszli, a teraz zawisł nad nim Jeremi Wiśniowiecki.

Uciekał też kto mógł do obozu Chmielnickiego, uciekała nawet szlachta, gdy innego środka ocalenia nie było. Dzięki temu, A Chmielnicki rósł w siły, i że nie zaraz ruszył w głąb Rzeczypospolitej że leżał długo w Białocerkwi, to przeważnie dlatego, by ład w te rozhukane i dzikie żywioły wprowadzić.

Jakoż w żelaznych jego rękach zmnieniały się one szybko w bojową potęgę. Kadry z wyćwiczonych zaporożców były gotowe; podzielono czerń na pułki, wyznaczono pułkowników z dawnych atamanów koszowych, pojedyńcze oddziały wysyłano na zdobywanie zamków, by je do boju zaprawić. A bitny to był z natury lud, do wojny tak jak żaden inny sposobny, do broni przywykły, przez napady tatarskie z ogniem i krawem obliczem wojny oswojony.

Poszło więc dwóch pułkowników, Handża i Ostap, na Nesterwar, który zdobyli, ludność żydowską i szlachecką w pień wycięli. Czetwertyńskiemu kniaziowi własny jego młynarz głowę na progu

zamkowym obciął, a z księżny Ostap niewolnicę swoją uczynił. Szli inni w inne strony i powodzenie towarzyszyło orężowi, bo strach serca "Lachom" odjął — strach "temu narodowi niezwyczajny," który broń z rąk wytrącał i sił zbawiał.

Nieraz, bywało, pułkownicy nagabywali Chmielnickiego:

— Czemu zaś ku Warszawie nie ruszasz, ale spoczywasz, z czarownicami czary odprawujesz i gorzałką się zalewasz, a Lachom się baczyć (opamiętać) od strachu i wojska zebrać pozwalasz?

Nieraz też czerń pijana wyła po nocach, oblegała kwaterę Chmielnickiego, żądając, by ją na "Lachiw" prowadził. Chmielnicki podniósł bunt i dał mu siłę straszliwą, ale teraz jął miarkować, że już siła owa jego samego pcha ku nieznanej przyszłości, w którą spoglądał i zbadać ją usiłował — i sercem wobec niej się trwożył.

Jako się rzekło, wśród tych pułkowników i atamanów on jeden wiedział, ile jest straszliwej potęgi w pozornej bezsilności Rzeczypospolitej. Podniósł bunt, zbił pod Żółtemi Wodami, zbił pod Korsuniem, starł wojska koronne — a co dalej?

Zbierał tedy pułkowników do rady i, wodząc po nich krwawemi oczyma, przed któremi drżeli wszyscy, zadawał im ponuro to samo pytanie: "Co dalej? czego wy chcecie?"

— Iść do Warszawy? to tu kniaź Wiśniowiecki przyjdzie, żony i dzieci wasze jako piorun pobije, ziemię a wodę tylko zostawi, a potem i on za nami do Warszawy z całą potęgą szlachecką, która się do niego przyłączy, pociągnie — i we dwa ognie wzięci, zginiesmy, jeśli nie w bitwach, to na palach... Na przyjaźń tatarską liczyć nie można. Oni dziś z nami, jutro przeciw nam się obrócą i do Krymu popędzą, albo panom nasze głowy sprzedadzą.

Ano, co dalej? mówcie! Iść na Wiśniowieckiego? to on siłę naszą i tatarską całą na sobie zadzierży (zatrzyma), a przez ten czas wojska się zbiorą i z głębi Rzeczypospolitej w pomoc mu ruszą. Wybierajcie...

I potrwożeni pułkownicy milczeli. Chmielnicki mówił:

— Czemużeście to zmaleli? czemu więcej nie przecie na mnie, bym ku Warszawie ciągnął? Gdy tedy nie wiecie co czynić, na mnie to zdajcie, a Bóg da, swoją i wasze głowy ocalę i kontentacyę (zaspokojenie żądań) dla wojska zaporoskiego i wszystkich Kozaków otrzymam.

Jakoż pozostawał jeden sposób: układy. Chmielnicki dobrze wiedział, ile tą drogą można w Rzeczypospolitej wymódz; liczył, że

sejmy prędzej na znaczną kontentacyę się zgodzą, niż na podatki, zaciągi i wojnę, która musiałaby być i długą i trudną. Wiedział wreszcie, że w Warszawie jest potężna partya, a na jej czele sam król, o którego śmierci wieść jeszcze nie doszła (1), i kanclerz, i wielu panów, którzy radziby wzrost olbrzymich fortun magnackich na Ukrainie powstrzymać, z Kozaków siłę dla rąk królewskich stworzyć, wieczysty pokój z nimi zawrzeć i onych tysięcy zebranych do postronnej wojny użyć. W tych warunkach mógł i dla siebie Chmielnicki znamienitą szarżę zyskać, buławę hetmańską z królewskiego ramienia otrzymać, i dla Kozaków nieprzeliczone ustępstwa osiągnąć.

Oto dlaczego leżał długo pod Białocerkwią. Zbroił się, uniwersały (orędzia) na wszystkie strony rozsyłał, lud ściągał, całe armie tworzył, zamki pod moc swoją zagarniał, bo wiedział, że tylko z silnym układać się będą, ale w głąb Rzeczypospolitej nie ruszał.

O! gdyby na mocy układów pokój mógł zawrzeć! — wtedy tem samem albo broń z ręki Wiśniowieckiego wytrąci, albo, jeśli kniaź jej nie złoży, to nie on, Chmielnicki, ale kniaź będzie rebelizantem, wbrew woli króla i sejmów wojnę wiodącym.

Naówczas ruszy on na Wiśniowieckiego — ale już z królewskiego i Rzeczypospolitej mandatu (upoważnienia) — i wybije wtedy ostatnia godzina nie tylko dla kniazia, ale dla wszystkich ukrainnych królewiąt, dla ich fortun i latyfundyów (posiadłości).

Tak myślał samozwańczy hetman zaporoski, taki gmach na przyszłość budował. Ale na rusztowaniach, pod on gmach przygotowanych, siadało czarne ptactwo trosk, zwątpień, obaw — i krakało złowrogo.

Będzieli dość silną pokojowa paryta w Warszawie? zacznąli z nim układy? Co powie sejm i senat? zatkną li tam uszy na jęki i wołania ukrainne? zamkną oczy na łuny pożarów?...

Czy nie przeważy wpływ panów, owe niezmierne latyfundya (dobra) posiadających, o których obronę im iść będzie? I czy ta Rzeczpospolita tak się już przeraziła, że mu przebaczy to, iż się z Tatary połączył?

A z drugiej strony szarpało duszę Chmielnickiego zwątpienie, czy i ów bunt nie zanadto się już rozpalił i rozwinął. Czy owe zdzi-

---

(1) 12 czerwca pod Białocerkwią nie wiedziano jeszcze o śmierci króla.

czałe masy dadzą się wtłoczyć w jakie karby? Dobrze — on, Chmielnicki, pokój zawrze, a rezuny pod jego imieniem dalej mord i pożogę szerzyć będą, albo się też na jego głowie swych zawiedzionych nadziei pomszczą. Toż to rzeka wezbrana, morze, burza! Straszne położenie. Gdyby wybuch był słabszy, tedyby nie układano się z nim, jako ze słabym — ponieważ bunt jest potężny, więc układy siłą rzeczy mogą się rozbić.

I co będzie?

Gdy takie myśli opadły ciężką głowę hetmana, naówczas zamykał się w swej kwaterze i pił całe dnie i noce. Wówczas między pułkownikami i czernią rozchodziła się wieść: "Hetman pije!" i za przykładem jego pili wszyscy; karność się rozprzęgała, mordowano jeńców, bito się wzajemnie, rabowano łupy — rozpoczynał się sądny dzień, panowanie zgrozy i okropności. Białocerkiew zmieniła się w piekło prawdziwe.

Aż pewnego dnia do pijanego hetmana wszedł szlachcic Wyhowski, pod Korsuniem do niewoli wzięty i na sekretarza hetmańskiego awansowany. Wszedłszy, począł trząść bez ceremonii opoja, aż go wreszcie porwał za ramiona, na tapczanie posadził i ocucił.

— A ce szczo takie, jakie łycho (a to co takiego, co za licho)? — pytał Chmielnicki.

— Mości hetmanie, wstawaj i oprzytomniej — odpowiedział Wyhowski. — Poselstwo przyszło!

Chmielnicki zerwał się na równe nogi i w jednej chwili otrzeźwiał.

— Hej! — wołał na pacholę kozackie, siedzące w progu — delię, kołpak i buławę!

A potem do Wyhowskiego:

— Kto przyjechał? Od kogo?

— Ksiądz patroni Łasko z Huszczy, od pana wojewody bracławskiego.

— Od pana Kisiela?

— Tak jest.

— Sława Otcu i Synu, sława Świątomu Duchu i Świątoj Preczystoj! — mówił, żegnając się Chmielnicki.

I twarz mu pojaśniała, wypogodził się — rozpoczynano z nim układy.

Ale tegoż dnia przyszły wieści wprost przeciwne pokojowemu poselstwu pana Kisiela.

Doniesiono, iż książę, wypocząć dawszy wojsku strudzonemu pochodem przez lasy i błota, wstąpił w kraj zbuntowany; że bije, pali, ścina; że podjazd, wysłany pod Skrzetuskim, rozbił dwutysięczną watahę Kozaków i czerni i wytępił ją co do nogi; że sam książę wziął szturmem Pohrebyszcze, majętność książąt Zbaraskich, i ziemię a wodę tylko zostawił. Opowiadano przerażające rzeczy o tym szturmie i zdobyciu Pohrebyszcz, było to bowiem gniazdo najzaciętszych rezunów. Książę miał powiedzieć do żołnierzy: "Mordujcie ich tak, by czuli, że umierają (1)." Więc też żołnierstwo najdzikszych dopuszczało się okrucieństw. Z całego miasta nie ocalała jedna żywa dusza. Siedmiuset jeńców powieszono, dwustu wbito na pale. Mówiono również o wierceniu oczu świdrami, o paleniu na wolnym ogniu. Bunt zgasł odrazu w całej okolicy. Mieszkańcy albo pouciekali do Chmielnickiego, albo przyjmowali pana Łubniańskiego na klęczkach z chlebem i solą, wyjąc o miłosierdzie. Pomniejsze watahy wszystkie były starte — a w lasach, jak twierdzili zbiegowie z Samhorodka, Spiczyna, Pleszkowa i Wachnówki, nie było jednego drzewa, na któremby Kozak nie wisiał.

I działo się to wszystko pod bokiem Białocerkwi i krociowej armii Chmielnickiego.

To też Chmielnicki, gdy się o tem dowiedział, począł ryczeć jak ranny tur. Z jednej strony układy, z drugiej miecz. Jeśli ruszy na księcia, będzie oznaką, że nie chce układów, proponowanych przez pana z Brusiłowa.

Jedyna nadzieja pozostawała w Tatarach. Chmielnicki zerwał się u ruszył do Tuhaj-bejowej kwatery.

— Tuhaj-beju, mój przyjacielu! — rzekł po oddaniu zwykłych salamów (pozdrowień) — jakeś mnie pod Żółtą Wodą i pod Korsuniem ratował, tak i teraz mnie ratuj. Przyszedł tu poseł od wojewody bracławskiego z pismem, w którem mnie wojewoda obiecuje kontentacyę, a wojsku zaporoskiemu powrócenie do dawnych swobód, pod warunkiem, żebym wojny zaprzestał, co ja uczynić muszę, chcąc swoją szczerość i dobrą chęć pokazać. A tymczasem przyszły tu wieści od niedruga (wroga) mojego, księcia Wiśniowieckiego, że Pohrebyszcze wyciął i nikogo nie żywił — i dobrych mołojców moich wycina, na pale wbija i świdrami oczy wierci. Na niego ja ruszyć

(1) Rudawski twierdzi, iż słowa owe były wyrzeczone w Niemirowie.

nie mogąc, do ciebie z pokłonem przyszedłem, abyś ty na tego mojego i swojego niedruga z Tatary ruszył, gdyż inaczej wkrótce on tu na nasze obozy nastąpi.

Murza, siedząc na kupie kobierców, pobranych pod Korsuniem lub złupionych po dworach szlacheckich, kiwał się czas jakiś wty' i naprzód, oczy zmrużył, jakby dla lepszego namysłu, nareszcie odrzekł:

— Ałła! ja tego uczynić nie mogę.

— Czemu? — pytał Chmielnicki.

— Bom i tak już dosyć dla ciebie bejów i czausów pod Żółtą Wodą i pod Korsuniem wytracił; pocóż mam jeszcze tracić? Jarema to wielki wojownik! Ruszę na niego, gdy i ty ruszysz, ale sam nie. Nie głupim w jednej bitwie wszystko, com dotąd zyskał, utracić, lepiej mi czambuły po łup i jasyr wysłać. Dosyć ja już dla was psów niewiernych, uczynił. I sam nie pójdę, i chanowi będę odradzał. Rzekłem.

— Pomoc mi zaprzysięgłeś!

— Tak jest, alem przysięgał obok ciebie, nie za ciebie wojować. Idźże ty precz!

— Jam ci jasyr z mego własnego ludu pozwolił, łupy oddał, hetmanów oddał.

— Bo gdybyś nie oddał, tobym ja ciebie im oddał.

— Do chana pójdę.

— Idźże precz, capie (koźle brodaty), mówię ci.

I kończaste zęby murzy już zaczęły błyskać z pod warg. Chmielnicki poznał, że niema co tu robić, a dłużej nastawać niebezpiecznie, więc wstał i rzeczywiście udał się do chana.

Ale od chana taką samą odebrał odpowiedź. Tatarzy mieli swój rozum i szukali własnej korzyści. Zamiast ważyć się na walną bitwę z wodzem, który za niezwyciężonego uchodził, woleli zagony rozpuszczać i bogacić się bez krwi przelewu.

Chmielnicki wrócił wściekły do swej kwatery i z desperacyi już do gąsiorka się zabierał, ale mu go Wyhowski wyrwał z ręki.

— Nie będziesz pił, mości hetmanie — rzekł. — Poseł jest, trzeba posła odprawić.

Chmielnicki wpadł w gniew straszliwy.

— Ja ciebie i posła każę na pal wbić!

— A ja ci gorzałki nie dam. Nie wstydźże ci, gdy cię fortuna tak

wysoko wyniosła, wódką się jak prosty Kozak zalewać? Tfu, tfu, mości hetmanie, nie może tak być. Wieść o przybyciu posła już się rozeszła. Wojsko i pułkownicy chcą na naradę. Tobie nie pić teraz, ale kuć żelazo póki gorące, bo teraz możesz pokój zawrzeć i wszystko co chcesz otrzymać, potem będzie zapóźno, a gardło moje i twoje w tem... Wysłać tobie zaraz poselstwo do Warszawy i króla o łaskę prosić...

— Mądra ty głowa— rzekł Chmielnicki. — Każ uderzyć w dzwon na radę, a na majdanie powiedz pułkownikom, że zaraz wyjdę.

Wyhowski wyszedł, a po chwili ozwał się dzwon na radę, na którego głos wnet wojska zaporoskie poczęły się zbierać. Zasiedli więc dowódzcy i pułkownicy: straszliwy Krzywonos, prawa Chmielnickiego ręka, Krzeczowski, miecz kozacki, stary i doświadczony Filon Dziedziała, pułkownik kropiwnicki, Fedor Łoboda, perejasławski, okrutny Fedoreńko kalnicki, dziki Puszkareńko półtawski, który samym czabanom przewodził, Szumejko niżyński, ognisty Czarnota hadziacki, Jakubowicz czehryński, dalej Nosacz, Hładki, Adamowicz, Głuch, Pułjan, Panicz — nie wszyscy, bo niektórzy byli na wyprawach, a niektórzy na tamtym świecie, których już książę Jeremi tam wysłał.

Tatarzy nie byli tym razem wezwani na naradę. Towarzystwo zebrało się obok na majdanie, cisnącą się czerń odpędzano kijami, a nawet kośćmi, przyczem i zabójstw nie brakło.

Nakoniec ukazał się i sam Chmielnicki, przybrany w czerwień w kołpaku i z buławą w ręku. Obok niego szedł biały jak gołąb ksiądz błahocześciwy Patroni Łasko, a z drugiej strony Wyhowski z papierami w ręku.

Chmiel, zasiadłszy między pułkownikami, siedział przez chwilę w milczeniu; potem zdjął kołpak, na znak, iż narada się rozpoczyna, wstał i tak mówić począł:

— Mości panowie pułkownicy i atamani dobrodziejstwo! Wiadomo wam, jak dla wielkich, a niewinnie cierpiących krzywd naszych, musieliśmy za broń uchwycić, a z pomocą najjaśniejszego carza krymskiego o dawne wolności i przywileje, odjęte bez woli króla Jegomości, od paniąt się upomnieć, których imprezę (przedsięwzięcie) Bóg błogosławił i spuściwszy na nieszczerych tyranów naszych strach, wcale im niezwyczajny, nieprawdy i uciski ich pokarał, a nam znacznemi wiktoryami (zwycięstwami) wynagrodził; za co

Mu wdzięcznem sercem powinniśmy dziękować. Gdy tedy pycha ich pokaraną została, należy myśleć nam, aby rozlew krwi chrześciańskiej powstrzymać, co nam Bóg miłosierny i nasza błahocześciwa (prawosławna) wiara nakazuje, a szabli póty z ręki nie puszczać, póki nam za wolą Najjaśniejszego króla Jegomości po nasze dawne wolności i przywileje nie będą powrócone. Pisze mi tedy pan wojewoda bracławski, iż się to może stać, co i ja tak myślę, gdyż nie my to, ale panięta, Potoccy, Kalinowscy, Wiśniowieccy i Koniecpolscy, z posłuszeństwa Majestatowi i Rzeczypospolitej wyszli, których żeśmy ukarali, przeto nam się słuszna kontentacya (zaspokojenie żądań) i nagroda do majestatów i stanów należy. Proszę ją więc mości panów dobrodziejów i łaskawców moich, abyście pismo wojewody bracławskiego, mnie, przez ojca Patroniego Łaska, szlachcica wiary błahocześciwej przysłane, przeczytali i mądrze postanowili, aby rozlew krwi chrześciańskiej był wstrzymany, a kontentacya uczyniona i nagroda za posłuszeństwo i wierność Rzplitej oddana.

Chmielnicki nie pytał czy wojna ma być zaniechaną, ale żądał postanowienia, aby była zaniechaną, zaraz przeto niechętni podnieśli szemranie, to zaś po chwili zmieniło się w krzyki groźne, którym głównie Czarnota hadziacki przewodził.

Chmielnicki milczał, patrzał tylko uważnie, skąd wychodzą protesty i opornych sobie w pamięci notował.

Tymczasem powstał Wyhowski z listem Kisielowym" w ręku. Kopię pisma poniósł Zorko, aby ją odczytać "towarzystwu," więc tam i tu zapadła cisza głęboka.

Wojewoda poczynał list w te słowa:

"Mci Panie starszy Wojska Rzeczypospolitej Zaporoskiego, zdawna mnie miły panie i przyjacielu

"Gdy wiele jest takich, którzy o WMości jako o nieprzyjacielu Rzplitej rozumieją, ja nietylko zostałam sam cale upewnionym WMzi o wiernym ku Rzplitej afekcie, ale innych w tem upewniam IMP. Panów Senatorów, kolegów moich. Trzy rzeczy mnie upewniają: pierwsza, iż lubo od wieków wojsko Dnieprowe sławy i wolności swoich przestrzega, ale wiary swojej zawsze królom, panom i Rzplitej dotrzymywa. Druga, że naród ruski nasz w swej prawowiernej wierze tak stateczny, że woli każdy z nas zdrowie swoje pokładać, niźli tę wiarę czemkolwiek naruszyć. Trzecią,

że lubo różne bywają (jako i teraz się stało, żal się Boże) wnętrzne krwi rozlania, przecie jednak ojczyzna nam wszystkim jest jedna, w której się rodzimy, wolność naszych zażywamy, i nie masz prawie we wszystkim świecie inszego państwa i drugiego podobnego ojczyźnie naszej w prawach i swobodach. Dlatego zwykliśmy wszyscy jednostajnie tej matki naszej korony całości przestrzegać; a chociaż bywają różne dolegliwości (jak to na świecie), to jednak rozum każe uważać, że łatwiej domówić się w państwie wolnem, co którego z nas boli, niźli straciwszy tę matkę, już drugiej takiej nie znaleźć, ani w chrześciaństwie, ani w pogaństwie..."

Łoboda prejasławski przerwał czytanie.

— Prawdu każe (mówi) — rzekł głośno.

— Prawdu każe — powtórzyli inni pułkownicy.

— Ne prawdu, bresze (szczeka) psiawiara! — wrzasnął Czarnota.

— Milcz sam psiawiara!

— Wy zdrajcy! na pohybel wam!

— Na pohybel tobi!

— Słuchać, czekać dalej! czytać on nasz czełowik. Słuchać, słuchać!

Burza zbierała się na dobre, ale Wyhowski jął dalej czytać, więc uciszyło się znowu.

Pisał wojewoda w dalszym ciągu, iż wojsko zaporoskie powinno mieć do niego ufność, gdyż wie dobrze, że on tej samej będąc krwi i wiary, życzliwym mu być musi; przypominał, jako w nieszczęsnem krwi wylaniu pod Kumejkami i pod Starcem udziału nie brał, następnie wzywał Chmielnickiego, aby wojny poprzestał, Tatarów odprawił, albo na nich oręż obrócił — i w wierności dla Rzplitej się utrwalił. Wreszcie list kończył się w następujące słowa:

"Obiecuję waszmości, tak jakom synem Cerkwi Bożej i jako dom mój ze krwie narodu ruskiego starożytnej idzie, że sam będę pomocnym do wszystkiego dobrego. Wiecie WMcie bardzo dobrze, że i na mnie w tej Rzplitej (za łaską Bożą) cokolwiek zależy, i bezemnie ani wojna uchwalona być nie może, ani pokój ustanowiony, a ja pierwszy wnętrznej wojny nie życzę" etc...

Powstały zaraz tedy tumulty za i przeciw, ale list wogóle podobał się i pułkownikom, i nawet towarzystwu. Niemniej przeto w pierwszej chwili nie można było niczego zrozumieć, ani dosłyszeć

dla wielkiej furyi, z jaką nad pismem rozprawiono. "Towarzystwo" podobne było zdala do wielkiego wiru, w którym wrzało, kotłowało się i huczało mrowie ludzkie. Pułkownicy potrząsali piernaczami i przyskakiwali sobie z pięściami do oczu. Widziałeś twarze czerwone, rozpalone oczy, pianę na ustach, a wszystkim partyzantom dalszej wojny przewodził Erazm Czarnota, który wpadł w szał prawdziwy. Chmielnicki też, patrząc na jego wściekłość, bliskim był wybuchu, przed którym cicho zwykle wszystko, jak przed rykiem lwa. Ale pierwej jeszcze wskoczył na ławę Krzeczowski, piernaczem machnął i krzyknął głosem do grzmotu podobnym:

— Czabanować wam, nie radzić, raby (niewolniki) pogańskie!

— Cicho, Krzeczowski chce mówić — krzyknął pierwszy Czarnota, który spodziewał się, iż przesławny pułkownik za wojną będzie przemawiał.

— Cicho! cicho! — wrzeszczeli inni.

Krzeczowski był niezmiernie szanowany między kozactwem, a to dla wielkich usług które oddał, dla wielkiej głowy wojennej i, dziwna rzecz — dlatego, iż był szlachcic. Uciszyło się więc zaraz i wszyscy czekali z ciekawością, co powie; sam Chmielnicki utkwił w niego wzrok niespokojny.

Ale Czarnota mylił się, przypuszczając, iż pułkownik za wojną wystąpi. Krzeczowski bystrym swym umysłem zrozumiał, iż teraz albo nigdy mógł uzyskać od Rzplitej owe starostwa i dostojeństwa, o których marzył, Odgadł, że przy pacyfikacyi (uspokojenie) Kozaków, jego przed wielu innemi będą się starali ująć i zaspokoić, czemu pan krakowski, jako w niewoli będący, nie będzie mógł przeszkadzać — więc też odezwał się w takie słowa:

— Rzecz moja bić nie radzić; ale gdy do rady przyszło, poczuwam się też do tego, abym swoje zdanie powiedział, gdyżem na taki wasz fawor (łaskę) jak i inni, jeżeli nie lepiej, zarobił. Poto my wojnę podniecili, aby nam nasze wolności i przywileje były powrócone, a pisze wojewoda bracławski, że tak być ma. Więc albo będzie, albo nie będzie. Jeśli nie będzie, tak wojna, a jeśli będzie — pokój! Poco darmo krew lać? Niech nas zaspokoją, a my czerń uspokoimy i wojna ustanie; nasz bat'ko Chmielnicki mądrze to wszystko ułożył i obmyślił, abyśmy po stronie Najjaśniejszego króla Jegomości stanęli, który nagrodę za to nam da, a jeśli panięta się sprzeciwią, tedy pozwoli nam z niemi pohulać — i pohulamy.. Tegobym tylko

nie radził, by Tatarów odprawiać: niech koszem na Dzikich Polach zapadną i leżą, póki nam wóz lub przewóz.

Chmielnicki rozjaśnił twarz, słysząc te słowa, a pułkownicy w ogromnej już większości poczęli wołać, by wojnę zawiesić i posłów do Warszawy wysłać, a pana z Brusiłowa prosić, by sam dla układów przybył. Czarnota krzyczał jeszcze i protestował, ale pułkownik oczy groźne w niego utkwił i rzekł:

— Ty Czarnota, hadziacki pułkowniku, o wojnę i krwi przelanie wołasz, a gdy pod Korsuniem szli na cię petyhorcy pana Dmochowskiego, to jak pidswynok (prosiak) kwiczał: "Braty ridnyje, spasajte" (bracia rodzeni, ratujcie)! i uciekałeś przed całym twoim pułkiem.

— Łżesz! — wrzasnął Czarnota — jać się nie boję ni Lachiw, ni ciebie!

Krzeczowski piernacz w ręku ścisnął i ku Czarnocie skoczył — inni też poczęli pięściami okładać hadziackiego pułkownika. Tumult znowu począł się wzmagać. Na majdanie "towarzystwo" ryczało, jak stado dzikich żubrów.

Wtem powstał znowu sam Chmielnicki.

— Mości panowie pułkownicy dobrodziejstwo! — rzekł. — Zatem ustanowiliście, aby posłów do Warszawy wysłać, którzy służby nasze wierne Najjaśniejszemu królowi Jegomości zalecą i o nagrodę prosić będą. Ale też kto chce wojny, ten ją mieć może — nie z królem, nie z Rzecząpospolitą, bo my z nimi nigdy wojny nie prowadzili, ale z największym niedrugiem (wrogiem) naszym, który już cały od krwi kozackiej czerwony, który pod Starcem jeszcze się w niej umazał i teraz mazać nie przestaje, w nieżyczliwości dla wojsk zaporoskich trwając. Do niego ja pismo i posłów wysłałem, prosząc, aby onej nieżyczliwości zaniechał, a on ich tyrańsko pomordował, odpowiedzią żadną mnie, starszego waszego, nie uczciwszy, przez co kontempt (zniewagę) całemu wojsku zaporoskiemu wyrządził. A teraz z Zadnieprza przyszedł, i Pohrebyszcze w pień wyciął, niewinnych ludzi pokarał, nad którymi ja rzewnemi łzami płakał. Potem, jako mnie dziś rano dali znać, do Niemirowa on przeszedł i także nikogo nie żywił. A gdy Tatarzy dla strachu i bojaźni ruszyć na niego nie chcą, rychło patrzeć jak on tu przyjdzie, aby i nas niewinnych ludzi wygubić, przeciw woli przychylnego nam Najjaśniejszego króla Jegomości i całej Rzeczypospolitej, bo

on w pysze swej o nikogo nie dba, a jako się teraz buntuje tak zawsze się jest gotów przeciw woli J. K. M. zbuntować...

W zgromadzeniu zrobiło się bardzo cicho, Chmielnicki odsapnął i mówił dalej:

— Bóg nam nad hetmanami wiktoryą (zwycięstwem) nagrodził, ale on gorszy od hetmanów i wszystkich królewiąt, dyabelski syn, samą nieprawdą żyjący. Na niego gdybym ja ruszył, tedyby on w Warszawie, przez przyjaciół swych krzyczeć nie omieszkał, iż pokoju nie chcemy, i przed Jego Królewską Mością niewinność naszą by oskarżał. Aby się to nie stało, potrzeba, iżby król Jegomość i cała Rzplita wiedziała, iż ja wojny nie chcę i cicho siedzę, a on pierwszy na nas wojną nastaje — przeto ja ruszyć nie mogę, bo i do układów z panem wojewodą bracławskim zostać muszę, ale by on, dyabelski syn, siły naszej nie złamał, trzeba mu się zastawić i potęgę jego tak zgubić, jakieśmy pod Żółtemi Wodami i Korsuniem niedrugów naszych, panów hetmanów zgubili. Oto więc proszę, abyście waszmościowie na niego na ochotnika ruszyli. a ja do króla pisać będę, iż to się stało bezemnie i dla koniecznej obrony naszej przed jego, Wiśniowieckiego nieżyczliwością i napaścią.

Głuche milczenie panowało w zgromadzeniu.

Chmielnicki mówił dalej:

— Który tedy z waszmościów na ów przemysł wojenny ruszył, temu ja wojska dosyć dam, dobrych mołojców, i armatę dam, i ludu ognistego, aby z pomocą Bożą, niedruga naszego mógł znieść i wiktoryę nad nim otrzymać...

Ani jeden z pułkowników nie wysunął się naprzód.

— Sześćdziesiąt tysięcy wybranego komunika (jazdy) dam! — rzekł Chmielnicki.

Cisza.

A przecież byli to wszyscy nieustraszeni wojownicy, których okrzyki wojenne odbijały się nieraz o mury Carogrodu. I może właśnie dlatego każdy z nich obawiał się utrącić zdobytej sławy w spotkaniu ze straszliwym Jeremin.

Chmielnicki wodził oczyma po pułkownikach, którzy pod wpływem tego spojrzenia wzrok spuszczali ku ziemi. Twarz Wyhowskiego przybrała wyraz szatańskiej złośliwości.

— Znam ja mołojca — rzekł posępnie Chmielnicki, — któryby

przemówił w tej chwili i od tej wyprawy się nie wybiegał, ale go niemasz między nami...

— Bohun — rzekł jakiś głos.

— Tak jest. Zniósł już on regiment (pułk) Jaremy w Wasilówce, jeno go poszczerbili w tej potrzebie, i leży teraz w Czerkasach, ze śmiercią-matką walczy. A gdy jego niemasz, nikogo nie masz, jak widzę? Gdzie sława kozacka, gdzie Pawluki, Nalewajki, Łobody i Ostranice?

Wtem nizki, gruby człowiek, z twarzą siną, ponurą, rudym jak ogień wąsem nad skrzywionemi ustami i zielonemi oczyma, powstał z ławy, wysunął się ku Chmielnickiemu i rzekł:

— Ja pójdę.

Był to Maksym Krzywonos.

Okrzyki zabrzmiały: "Na sławu!" on zaś wsparł się piernaczem w bok i tak mówił chrapliwym, urywanym głosem:

— Nie myśl, hetmanie, żeby ja się bał! Jaby odrazu się podjął, ale myślał: Są lepsi! Ale kiedy tak, to pójdę. Wy co? wy głowy i ręce, a u mnie nie ma głowy, tylko ręce a szabla. Raz maty rodyła. Wojna mnie mać i siostra. Wiśniowiecki reżet — i ja budu; on wiszajet, i ja budu. A ty mnie, hetmanie, mołojców dobrych daj, bo czernią nie z Wiśniowieckim to poczynać. Tak i pójdę — zamkiw budowaty, byty, ryzaty, wiszaty! Na pohybel im, białoruczkym!

Drugi ataman wysunął się naprzód.

— Ja z toboju, Maksym!

Był to Połjan.

— I Czarnota hadziacki i Hładki mirhorodzki i Nosacz ostręski pójdą z tobą! — rzekł Chmielnicki.

— Pójdziemy! — ozwali się jednogłośnie, bo już ich przykład Krzywonosa zachęcił i duch w nich wstąpił.

— Na Jaremu! na Jaremu! — zagrzmiały okrzyki w zgromadzeniu. — Koli! koli! — powtórzyło towarzystwo, i po pewnym czasie narada zamieniła się w pijatykę. Pułki wyznaczone z Krzywonosem piły na śmierć — bo też i szły na śmierć. Mołojcy sami dobrze o tem wiedzieli, ale już w ich sercach nie było strachu. "Raz maty rodyła" — powtarzali za swym wodzem i dlatego też sobie już nic nie żałowali, jak zwyczajnie przed śmiercią. Chmielnicki pozwalał i zachęcał, czerń szła za ich przykładem. Tłumy zaczęły śpiewać

pieśni w sto tysięcy głosów. Rozproszono konie powodowe, które szalejąc po obozie i wzbijając tumany kurzawy, wszczęły nieopisany nieład. Goniono je z okrzykiem, zgiełkiem i śmiechami; znaczne watahy włóczyły się nad rzeką, strzelały z samopałów, parły się i cisnęły do kwatery samego hetmana, który kazał je wreszcie Jakubowiczowi rozpędzać. Wszczęły się bójki i zamęt, dopóki deszcz ulewny nie zapędził wszystkich pod szałasy i wozy.

Wieczorem burza rozhulała się na niebie. Grzmoty przewalały się z jednego końca chmur w drugi, błyskania oświecały całą okolicę to białem, to czerwonem światłem.

Przy blaskach ich wyruszył z oboz Krzywonos, na czele sześćdziesięciu tysięcy co przedniejszych wybranych wojowników i czerni.

XII.

Szedł tedy Krzywonos z Białocerkwi na Skwirę i Pohrebyszcze, ku Machnówce, a gdzie przeszedł, ginęły nawet ślady ludzkiego życia. Kto do niego nie przystał, pod nożem ginął. Palono nawet zboże na pniu, lasy i sady, a książę tymczasem prowadził na swoją rękę zniszczenie. Po wycięciu Pohrebyszcz i krwawym chrzcie, jaki pan Baranowski Niemirowowi sprawił, wygniotły jeszcze wojska kilkanaście znacznych watah i stanęły obozem pod Rajgrodem, gdyż miesiąc to już upływał, jak nie zsiadały z konia i trud je nadwątlił i śmierć je znacznie umniejszyła. Trzeba było odpocząć, gdyż ręce tych kosiarzy od krwawej kośby pomdlały. Wahał się nawet książę i rozmyślał, czyby nie pójść na czas jakiś do spokojniejszego kraju, dla odpoczynku i pomnożenia wojsk, a zwłaszcza koni, które podobniejsze były do szkieletów zwierzęcych, niż do żywych stworzeń, gdyż od miesiąca ziarna nie zaznały, stratowaną trawą tylko żyjąc. A wtem po tygodniowym postoju dano znać, że posiłki idą. Książę zaraz wyjechał na spotkanie — istotnie spotkał pana Janusza Tyszkiewicza, wojewodę kijowskiego, który nadchodził w półtora tysiąca ludzi dobrych, a z nim pan Krzysztof Tyszkiewicz, podsędek bracławski, młody pan Aksak, prawie pacholę jeszcze, z dobrze okrytą własną chorągiewką usarską, i wiele szlachty, jak panowie: Sieniutowie, Połubińscy, Zytyń-

scy, Jełowiccy, Kierdeje, Bohusławscy, jedni z pocztami, drudzy bez, razem całej siły blizko dwa tysiące koni, prócz czeladzi. Ucieszył się więc książę bardzo i wdzięcznie pana wojewodę do swej kwatery zaprosił, który nie mógł się oddziwić jej ubóstwu i prostocie. Bo książę, o ile w Łubniach żył po królewsku, o tyle na wyprawach, chcąc przykład dać żołnierstwu, żadnych wygód sobie nie pozwalał. Stał więc w jednej izbie, do której pan wojewoda kijowski zaledwie mógł się, z powodu swej ogromnej tuszy, przez wązkie drzwi przecisnąć, aż się kazał rękodajnemu z tyłu pchać. W izbie prócz stołu, ław drewnianych i tapczana, okrytego skórą końską, nie było nic więcej, jeno jeszcze siennik przy drzwiach, na którym sypiał pacholik, zawsze do posług gotowy. Ta prostota zdziwiła bardzo wojewodę, który wygodę lubił i z kobiercami się woził. Wszedł tedy i ze zdumieniem na księcia, poglądał, dziwiąc się, jak mógł tak wielki duch mieścić się w takiej prostocie i takiem ubóstwie. Widywał on czasem księcia na sejmach w Warszawie, był mu nawet zdala pokrewnym, ale go bliżej nie znał. Dopiero gdy z nim mówić począł, poznał zaraz, że ma z nadzwyczajnym człowiekiem do czynienia. I on, stary senator i stary żołnierz rubacha, który kolegów senatorów po ramieniu klepał, księciu Dominikowi Zasławskiemu mówił: "Mój łaskawco!" i z samym królem był poufale, nie mógł się na taką poufałość z Wiśniowieckim zdobyć, chociaż książę przyjął go uprzejmie, bo był mu wdzięczen za posiłki.

— Mości wojewodo — rzekł — Bogu chwała, iżeście przybyli ze świeżym ludem, bom też już ostatnim tchem gonił.

— Widziałem ja po żołnierzach waszej książęcej mości, iż się napracowali niebożęta, co i mnie trapi niemało, gdyżem tu z prośbą przybył, byś wasza książęca mość na ratunek mnie pośpieszył.

— A czy pilno?

— Periculum in mora, periculum in mora (niebezpieczeństwo w zwlekaniu)! Nadciągnęło hultajstwa kilkanaście tysięcy, a nad nimi Krzywonos, który, jakiem słyszał, na waszą książęcą mość był komenderowany, ale dostawszy języka, iżeś wasza książęca mość ku Konstantynowu ruszył, tam pociągnął, a teraz po drodze mnie Machnówkę obległ i takie spustoszenia poczynił, iż żaden język tego nie wypowie.

— Słyszałem ja o Krzywonosie i tum go czekał, ale skoro mnie

minął, widzę, że sam go szukać muszę. Istotnie, rzecz nie cierpi zwłoki. Siła w Machnówce jest załogi?

— Jest w zamku dwieście Niemców, bardzo dobrych, którzy wytrzymają jeszcze czas jakiś. Ale co najgorsza, to iż do miasta zjechało się sporo szlachty z rodzinami, miasto zaś, jeno wałem i częstokołem obronne, długo oporu stawić nie może.

— Istotnie, rzecz nie cierpi zwłoki! — powtórzył książę.

A potem zwróciwszy się ku pacholikowi:

— Żeleński! — rzekł — biegnij po pułkowników.

Wojewoda kijowski siadł tymczasem na ławie i sapał — trochę się przytem za wieczerzą oglądał, gdyż był głodny, a lubił jeść dobrze.

Wtem rozległy się zbrojne stąpania i weszli oficerowie książęcy — czarni, wychudli, brodaci, z pozapadanemi oczyma, ze śladami niewypowiedzianych trudów na twarzy. Skłonili się w milczeniu księciu, gościom i czekali co powie.

— Mości panowie! — rzekł książę — czy konie u toków?

— Tak jest.

— Gotowe?

— Jako zawsze.

— To dobrze. Za godzinę ruszamy na Krzywonosa.

— Hę? — rzekł wojewoda kijowski i spojrzał ze zdziwieniem na pana Krzysztofa, podsędka bracławskiego.

A książę mówił dalej:

— Imć Poniatowski i imć Wierszułł ruszą pierwsi. Za nimi pójdzie Baranowski z dragonią, a w godzinę żeby mi armaty Wurcla wyszły.

Pułkownicy, skłoniewszy się, opuścili izbę — i po chwili rozległy się trąbki, grające wsiadanego. Wojewoda kijowski takiego pośpiechu się nie spodziewał, a nawet sobie nie życzył, gdyż był zmęczony i zdrożony. Liczył on na to, że z dzionek u księcia wypocznie i jeszcze zdąży — a tu przychodziło zaraz, nie śpiąc, nie jedząc na koń siadać.

— Mości książę! — rzekł — a czy zajdą żołnierze wasi do Machnówki, bo widziałem, strasznie fatigati (znużeni), a to droga daleka.

— Niech waszą mość o to głowa nie boli. Jak na śpiewanie idą oni na bitwę.

— Widzę ja to, widzę. Siarczysty żołnierz. Ale bo to i mój lud podróżny.

— Mówiłeś wasza miłość: Periculum in mora (niebezpieczeństwo w zwlekaniu)!

— Tak jest, ale możnaby przez noc odpocząć. My z pod Chmielnika idziemy.

— Mości wojewodo, my z Łubniów, z Zadnieprza.

— Cały dzień byliśmy w drodze.

— My cały miesiąc.

To rzekłszy, książę wyszedł, by osobiście szyk pochodowy sprawić, a wojewoda oczy na podsędka, pana Krzysztofa, wytrzeszczył, dłońmi po kolanach uderzył i mówił:

— Ot mam, czegom chciał. Dalibóg, oni mnie tu głodem zamorzą. Oto w gorącej wodzie kąpani! Przychodzę o pomoc, myślę, że po wielkich molestacyach (błaganiach) za dwa, trzy dni ruszą, a tu i odetchnąć nie dadzą. Niechże ich kaduk porwie! Puślisko mi nogę przetarło, co mi je zdrajca pachołek źle przypiął, w brzuchu mi kruczy... niechże ich kaduk porwie! Machnówka Machnówką, a brzuch brzuchem Jam też stary żołnierz, więcej jam może od nich wojny zażywał — nie tak łap, cap. To dyabły, nie ludzie, nie śpią, nie jedzą — tylko się biją. Jak mi Bóg miły, tak oni nigdy nie jedzą. Widziałeś panie Krzysztofie, tych pułkowników— czy nie wyglądają jak spectra (widma)? co?

— Ale fantazya (dzielność) u nich ognista — odpowiedział pan Krzysztof, który żołnierz był zamiłowany. — Miły Boże! ile to zamieszania i nieładu po innych obozach, gdy ruszać przyjdzie, ile bieganiny, szykowania wozów, posyłania po konie — a tu, słyszycie waszmość? — oto już lekkie chorągwie wychodzą.

— A juści, że tak jest! — desperacya! — mówił wojewoda.

A młody pan Aksak dłonie swoje chłopięce złożył

— Ach, wielki to wódz! ach, wielki to wojownik! — mówił z uniesieniem.

— U waści mleko pod nosem! — huknął na niego wojewoda. — Cunctator także był wielki. rozumiesz wasze?

Wtem wszedł książę.

— Mości panowie, na koń! ruszamy!

Wojewoda nie wytrzymał.

— Każże wasza książęca mość dać co zjeść, bom głodny! — wykrzyknął z wybuchem złego humoru.

— A mój mości wojewodo — rzekł książę, śmiejąc się i biorąc go w ramiona — wybaczcie, wybaczcie; całem sercem, ale na wojnie czlek o tych rzeczach zapomina.

— A co, panie Krzysztofie, czy nie mówiłem, że oni nie jedzą? — rzecze wojewoda, zwracając się do podsędka bracławskiego.

Ale wieczerza niedługo trwała i w parę godzin później nawet i piechoty wyszły już z Rajgrodu. Ciągnęły wojska na Winnicę i Lityń ku Chmielnikowi. Po drodze natknął się Wierszułł na zagonek tatarski w Sewerówce, który razem z panem Wołodyjowskim wygnietli do szczętu, oswobodziwszy kilkaset dusz jasyru, samych prawie dziewcząt. Tamże rozpoczął się już kraj spustoszony, pełen śladów Krzywonosowej ręki. Strzyżawka była spalona, a ludność jej wymordowana w straszny sposób. Widocznie nieszczęśnicy stawiali opór Krzywonosowi, za który dziki wódz oddał ich mieczom i płomieniom. U wejścia do wsi wisiał na dębie sam pan Strzyżowski, którego ludzie Tyszkiewicza zaraz poznali. Wisiał nagi zupełnie, a na piersiach miał ogromny naszyjnik, złożony z głów, nawłóczonych na powróz. Były to głowy jego sześciorga dziatek i żony. W samej wsi, spalonej zresztą do szczętu, ujrzały chorągwie po obu stronach drogi długi szereg "świec kozackich," to jest ludzi ze wzniesionemi nad głową rękoma, poprzywiązywanych do żerdzi wbitych w ziemię, obwiniętych słomą, oblanych smołą i zapalonych od dłoni. Większa ich część miała poupalane tylko ręce, gdyż deszcze przeszkodził widocznie dalszemu gorzeniu. Ale straszne były te trupy z powykrzywianemi twarzami, wyciągające ku niebu czarne kikuty. Zapach zgnilizny rozchodził się dokoła. Nad słupami kotłowały się chorowody wron i kawek, które za zbliżeniem się wojska zrywały się z wrzaskiem z bliższych słupów, by siąść na dalszych. Kilka wilków pomknęło przed chorągwiami ku zaroślom. Wojska posuwały się w milczeniu straszliwą aleją i liczyły "świece." Było ich trzysta kilkadziesiąt. Minęli wreszcie ową nieszczęsną wioskę i odetchnęli świeżem powietrzem polnem. Ale ślady zniszczenia szły dalej. Była to pierwsza połowa lipca. Zboża już prawie dochodziły, spodziewano się bowiem wczesnych żniw. Ale całe łany były częścią spalone, częścią stratowane, zwichłane, wdeptane w ziemię. Zdawaćby się mogło, że huragan prze-

szedł przez niwy. Jakoż i przeszedł po nich huragan najgroźniejszy ze wszystkich — wojny domowej. Żołnierze książęcy widzieli nieraz żyzne okolice, spustoszałe po napadzie Tatarów, ale podobnej zgrozy, podobnej wściekłości zniszczenia nie widzieli nigdy w życiu. Lasy popalono tak samo, jak zboża. Gdzie ogień drzew nie pożar, tam odarł z nich ognistym językiem liść i korę, opalił oddechem, odymił, poczernił — drzewa więc sterczały jak szkielety. Pan wojewoda kijowski patrzał i oczom nie wierzył. Miedziaków, Zhar, Futory, Słoboda — jedno zgliszcze! Gdzieniegdzie chłopy uciekli do Krzywonosa, kobiety zaś i dzieci poszły w jasyr owego zagonu ordy, który Wierszułł z Wołodyjowskim wygnietli. Na ziemi pustosz, na niebie stada wron, kruków, kawek, sępów, które pozlatywały się, Bóg wie skąd, na kozacze żniwo... Ślady przejścia wojsk stawały się coraz świeższe. Napotykano raz wraz złamane wozy, trupy bydlęce i ludzkie, jeszcze nie popsute, potłuczone garnki, miedziane kotły, wory z zamokłą mąką, zgliszcza jeszcze dymiące, stogi świeżo napoczęte i rozrzucone. Książę parł chorągwie ku Chmielnikowi, nie dając im odetchnąć, stary zaś wojewoda za głowę chwytał, powtarzając żałośnie:

— Moja Machnówka! moja Machnówka! widzę już, iż nie zdążymy.

Tymczasem w Chmielniku przyszła wiadomość, że nie sam stary Krzywonos, ale syn jego Machnówkę w kilkanaście tysięcy ludzi oblega i że on to naczynił tak nieludzkich spustoszeń po drodze, miasto, wedle tego, co głosiły wieści, było już zdobyte. Kozacy, dostawszy go, wyrżnęli w pień szlachtę i Żydów, a szlachcianki pobrali do swego taboru, gdzie oczekiwał je los gorszy od śmierci Ale zameczek pod wodzą pana Lwa bronił się jeszcze. Kozacy. szturmowali go z klasztoru Bernardynów, w którym wysiekli zakonników. Pan Lew, goniąc ostatkiem sił i prochów, nie obiecywał się dłużej trzymać nad jedną noc.

Zostawił więc książę piechoty, działa i główne siły wojska, którym kazał iść do Bystrzyka, sam zaś z wojewodą, panem Krzysztofem, panem Aksakiem, w dwa tysiące komunika (lekkiej jazdy) na pomoc skoczył. Stary wojewoda już się hamował, bo głowę stracił:

— Machnówka przepadła, przyjedziemy za późno! lepiej po-

niechać, a innych miejsc bronić i w prezydya (załogi) je zaopatrzyc — powtarzał.

Ale książę nie chciał słuchać. Pan podsędek bracławski naglił, a wojska rwały się do boju.

— Skorośmy tu przyszli, nie odejdziemy bez krwi — mówili pułkownicy.

I ruszono naprzód.

Aż w pół mili od Machnówki kilkunastu jeźdźców, pędząc co koń wyskoczy, zabiegło wojsku drogę. Był to pan Lew z towarzyszami. Ujrzawszy go wojewoda kijowski odgadł natychmiast, co się stało.

— Zamek zdobyty! — krzyknął.

— Tak jest! — odpowiedział pan Lew i w tejże chwili omdlał, bo był posieczony i postrzelony, więc krew go uszła.

Ale inni zaczęli opowiadać, co się stało. Niemców na murach wybito do nogi, gdyż woleli umierać, niż się poddawać — pan Lew przebił się przez gęstwę czerni i wyłamane bramy, wszelako w izbach na wieży broniło się kilkudziesięciu, szlachty — tym należało śpieszny dać ratunek.

Ruszono więc z kopyta. Po chwili ukazało się na górze miasto i zamek, a nad nim ciężka chmura dymów od wszczętego pożaru. Dzień już zapadał. Na niebie paliły się olbrzymie zorze purpurowe i złote, które wojska zrazu za łunę poczytały. Przy tych blaskach widać było pułki Zaporożców i zbite masy czerni, płynące przez bramy na spotkanie wojsk tem śmielej, że nikt w mieście nie wiedział o przybyciu księcia, sądzono bowiem, że sam tylko wojewoda kijowski nadciąga z odsieczą. Znać wódka oślepiła ich zupełnie, albo świeże zdobycie zamku natchnęło pychą niezmierną, gdyż śmiało zstąpili z góry i dopiero na równinie poczęli się szykować do bitwy z ochotą wielką, grzmiąc w kotły i litaury. Na ten widok, okrzyk radości wyrwał się ze wszystkich polskich piersi, a pan wojewoda kijowski miał po raz wtóry podziwiać sprawność chorągwi książęcych. Zatrzymały się na widok kozactwa, stanęły odrazu w szyku bojowym, ciężka jazda w środku, lekkie na skrzydłach, tak, iż nic nie należało poprawiać i można było z miejsca zaczynać.

— Panie Krzysztofie, co to za lud! — rzekł wojewoda. — Odrazu

stanęli w ordynku (szyku bojowym). Mogliby oni i bez wodza bitwy staczać

Książę wszelako, jako wódz przezorny, przelatywał z buławą w ręku między chorągwiami, od skrzydła do skrzydła, opatrywał, ostatnie dawał rozkazy. Zorze odbijały się w jego srebrnym pancerzu i podobny był do jasnego płomienia, latającego między szeregami, ile że śród ciemnych zbroic sam jeden świecił mocno.

Stanęły tedy: w środku, w pierwszej linii, trzy chorągwie — pierwsza, którą sam wojewoda kijowski sprawował, druga młodego pana Aksaka, trzecia pana Krzysztofa Tyszkiewicza; za nimi, w drugiej linii dragonia pod panem Baranowskim, a wreszcie olbrzymia husarya książęca — przy niej, jako sprawca, pan Skrzetuski.

Skrzydła zajęli Wierszułł, Kuszel i Poniatowski. Armat nie było, gdyż Wurcel został w Bystrzyku.

Książę poskoczył do wojewody i buławą skinął:

— Za swoje krzywdy poczynaj wasza mość najpierwszy!

Wojewoda z kolei machnął buzdyganem — pochylili się żołnierze w kulbakach i ruszyli. A zaraz po sposobie prowadzenia chorągwi można było poznać, iż wojewoda, choć ciężki i kunktator, bo wiekiem przygnieciony, przecie żołnierz jest doświadczony i mężny. Nie zerwał on z miejsca chorągwi do największego impetu, by sił oszczędzić, ale prowadził zwolna, powiększając pęd w miarę, jak ku nieprzyjacielowi się zbliżał. Sam też biegł w pierwszym szeregu z buzdyganem w ręku, pacholik mu tylko pod ręką trzymał koncerz długi i ciężki, nie za ciężki jednak na jego rękę. — Czerń też sypnęła się ku chorągwi piechotą, z kosami i cepami, by pierwszy impet powstrzymać i zaporożcom atak ułatwić. Gdy więc nie dzieliło ich więcej nad kilkadziesiąt kroków, poznali wojewodę Machnowiczanie po olbrzymim wzroście i tuszy, a poznawszy, wołać zaczęli:

— Hej, jaśnie wielmożny wojewodo! żniwa blizkie, czemu to poddanym wychodzić nie każesz? Czołem jasny pane! już my ci ten brzuch przewiercimy.

I grad kul posypał się na chorągiew, ale szkody nie uczynił, bo szła już jak wicher. Uderzyli się tedy mocno. Rozległ się stukot cepów i brzęk kos o pancerze, krzyk i jęki. Kopie otwarły bramę w zbitej masie czerni, przez którą rozhukane konie wpadły jak orkan tratując, przewalając, miażdżąc. I jako na łące, gdy stanie szereg kosiarzy, bujna trawa znika przed nimi, a oni idą naprzód, machając drągami od kos, tak właśnie pod cięciami mieczów szeroka ławica

czerni zwężała się, topniała, nikła — a parta piersiami końskiemi, nie mogąc ustać na miejscu, poczęła się kolebać. Wreszcie zagrzmiał krzyk: "Ludy, spasajteś!" — i cała masa, rzucając kosy, cepy, widły, samopały, rzuciła się w dzikim popłochu na stojące w tyle pułki zaporożców. Ale Zaporożcy, bojąc się, by uciekający tłum nie zwichrzył ich szeregów, nadstawili mu spisy, więc czerń, widząc tę zaporę, rzuciła się z wyciem rozpaczliwem w obie strony, wnet jednak zegnali ją na nowo Kuszel i Poniatowski, którzy od skrzydeł książęcych właśnie ruszyli.

A zaś wojewoda, idąc po trupach czerni, stanął w obliczu Zaporożców i gnał ku nim, oni zaś ku niemu, chcąc na impet impetem odpowiedzieć. I tak właśnie uderzyli się o siebie, jako dwie fale z przeciwnych stron idące, które przy uderzeniu grzebień pienisty utworzą. Tak konie wspięły się przed końmi, jeźdźcy jak wał — a szable nad wałem, jak piana. I poznał wojewoda, że to nie z czernią robota, ale z ciętym i wyćwiczonym żołnierzem zaporoskim. Dwie linie parły się wzajem, gięły, jedna drugiej przegiąć nie mogąc. Trup padał gęsty, bo tam mąż uderzał na męża, miecz na miecz. Sam wojewoda, zasadziwszy za pas buzdygan, a porwawszy koncerz od pacholika, pracował w pocie czoła, sapiąc jak miech kowalski. Przy nim dwóch panów Sieniutów, panowie Kierdeje, Bohusławscy, Jełowiccy i Połubińscy, uwijali się, jak w ukropie. Ale po stronie kozackiej srożył się najbardziej Iwan Burdabut, z Kalnickiego pułku pułkownik, Kozak olbrzymiej siły i statury (postawy), tem straszniejszy, że i konia miał takiego, który narówni z panem walczył. Niejeden tedy towarzysz zdarł rumaka i cofnął się, by się z owym centaurem, szerzącym śmierć i spustoszenie nie spotkać. Skoczyli ku niemu bracia Sieniutowie, ale koń Burdabutowy schwycił młodszego, Andrzeja, zębami za twarz i zmiażdżył ją w mgnieniu oka, co widząc, starszy Rafał ciął bestyę nad oczyma. Zranił ją, ale nie zabił, bo szabla na guz mosiężny na naczółku trafiła. Jemu zaś Burdabut w tej chwili wepchnął sztych pod brodę i życia go zbawił. Tak legli obaj bracia, panowie Sieniutowie, i leżeli w złocistych pancerzach w kurzawie, pod kopytami rumaków; zaś Burdabut rzucił się jak płomień w dalsze szeregi i porwał zaraz kniazia Połubińskiego, szesnastoletnie pacholę któremu odciął prawe ramię wraz z ręką. Widząc to, pan Urbański chciał pomścić śmierć krewniaka i w samą twarz Burdabutowi z pistoletu wypalił, ale

chybił, ucho mu tylko odstrzelił i krwią go oblał. Straszny był wtedy Burdabut i jego koń, obaj czarni jak noc, obaj krwią zlani, obaj z dzikiemi oczyma i rozdętemi nozdrzami, szalejący jak burza. Nie wybiegał się od śmierci z jego ręki i pan Urbański, któremu głowę jak kat, jednym zamachem uciął, i stary ośmdziesięcioletni pan Żytyński i dwóch panów Nikczemnych — a inni cofać się poczęli z przerażeniem, zwłaszcza, że za Burdabutem błyskało sto innych szabel zaporoskich i sto spis we krwi już zmoczonych.

Dojrzał nakoniec dziki watażka wojewodę i wydawszy okropny okrzyk radości, rzucił się ku niemu, obalając po drodze konie i jeźdźców — a wojewoda się nie cofnął. Dufając w siłę niepospolitą, sapnął, jak ranny odyniec, wzniósł koncerz nad głowę i wspiąwszy konia, ku Burdabutowi skoczył. I byłby pewnie nadszedł ostatni kres jego, pewno już Parka w nożyce nić jego żywota schwyciła, którą potem w Okrzei przecięła, gdyby nie Silnicki, pacholik szlachecki, który jak błyskawica na watażkę się rzucił i w pół go chwycił, nim szablą został przeszyty. Bo gdy się Burdabut z nim zabawiał, krzyknęli panowie Kierdeje o ratunek dla wojewody; wnet skoczyło kilkadziesiąt ludzi, którzy go od watażki przedzielili, zaczem bitwa zawiązała się zacięta. Ale zmorzony pułk wojewodzin począł się już uginać pod przemocą zaporoską, cofać i mieszać, gdy Krzysztof, podsędek bracławski, i pan Aksak ze świeżemi chorągwiami nadbiegli. Wprawdzie i nowe pułki zaporoskie ruszyły w tej chwili do boju, ale przecie poniżej stał jeszcze książę z dragonami Baranowskiego i husaryą pana Skrzetuskiego, którzy dotychczas nie brali w boju udziału.

Zawrzała więc na nowo krwawa walka, a tymczasem mrok zapadł. Lecz pożar ogarnął skrajne domy miasta. Łuna oświecała pobojowisko, i widać było doskonale obie linie, polską i kozacką, łamiące się pod górą, widać było barwy proporców i nawet twarze. Już też pan Wierszuł, pan Poniatowski i pan Kuszel byli także w ogniu i pracy, bo starłszy czerń bili się na skrzydłach kozackich, które pod ich naciskiem poczęły się cofać, ku górze. Długa linia walczących wygięła się dwoma końcami ku miastu i poczęła wyginać się coraz bardziej, bo gdy skrzydła polskie awansowały, środek party przez przeważne siły kozackie, ustępował ku księciu. Poszły trzy nowe pułki kozackie, by go rozerwać, ale w tej chwili książę pchnął dragonaw pana Baranowskiego, i ci pokrzepili siły walczących.

Przy księciu została sama husarya — zdalcka rzekłbyś bór cie-

mny, co prosto z pola wyrasta, groźna ławica żelaznych mężów, koni i kopii. Powiew wieczorny szeleścił nad nimi proporcami, a oni stali cicho, nie rwąc się bez rozkazu do boju — cierpliwi, bo wytrawni i w tylu bitwach doświadczeni, i wiedzący, że ich udział krwawy nie minie. Między nimi książę w srebrnej zbroi, ze złotą buławą w ręku, wytężył oczy na bitwę — a z lewej strony pan Skrzetuski, trochę bokiem na końcu stojący. Rękaw, jako porucznik, na ramieniu zawinął i trzymając w potężnej, gołej do łokcia ręce koncerz zamiast buzdygana, czekał spokojnie komendy.

A książę lewą dłonią oczy przeciw pożarowi nakrył i patrzał na bitwę. Środek polskiego półksiężyca obsuwał się zwolna ku niemu, zmagany przez przemoc, bo nie na długo wsparł go pan Baranowski, ten sam, który Niemirów wyciął. Widział więc książę, jak na dłoni pracę ciężką żołnierzy. Wydłużona błyskawica szabel to wznosiła się nad czarną linią głów, to nikła w zamachach. Konie bez jeźdźców wypadały z tej ławy walczących i rżąc, biegały po równinie z rozwianemi grzywami, na tle pożaru do bestyi piekielnych podobne. Czasem chorągiew kraśna, powiewająca nad ciżbą, zapadała nagle w tłum, by nie podnieść się więcej. Ale wzrok księcia biegł po za linię walczących aż na górę ku miastu, gdzie na czele dwóch pułków wybranych stał sam młody Krzywonos, czekając na chwilę, by się rzucić w środek walczących i złamać nadwątlone szyki polskie zupełnie.

Skoczył nareszcie, biegnąc ze strasznym krzykiem wprost na drogonów Baranowskiego, ale na tę chwilę czekał także i książę.

— Prowadź — krzyknął do Skrzetuskiego.

Skrzetuski koncerz w górę podniósł i żelazna nawała ruszyła naprzód.

Nie biegli długo, bo linia bojowa zbliżyła się do nich znacznie. Dragoni Baranowskiego rozstąpili się z błyskawiczną szybkością w prawo i lewo, by przystęp husaryi do Kozaków otworzyć, oni zaś runęli przez te wrota całym ciężarem, na zwycięskie już sotnie (oddziały po stu ludzi liczące) Krzywonosowe.

— Jeremi! Jeremi! — zawołali husarze.

— Jeremi! — powtórzyło całe wojsko.

Straszne imię dreszczem trwogi ścisnęło serca zaporożców. W tej chwili dopiero poznali, iż to nie wojewoda kijowski, lecz sam książę dowodzi. Zresztą nie mogli oni stawić oporu husaryi, która samym swoim ciężarem druzgotała ich tak, jak walący się mur

druzgoce stojących pod nim ludzi. Jedynym ratunkiem dla nich było rozstąpić się na obie strony, puścić husaryę przez siebie i z boków na nią uderzyć; ale te boki były już pilnowane przez dragonię i przez lekkie chorągwie Wierszułła, Kuszla i Poniatowskiego, którzy spędziwszy skrzydła kozackie, zepchnęli je w środek. Teraz postać walki zmieniła się, bo owe lekkie chorągwie utworzyły jakby ulicę, środkiem której lecieli w szalonym zapędzie husarze, gnąc, łamiąc, pchając, waląc ludzi i konie, a przed nim i uciekało z rykiem i wyciem kozactwo ku górze i miastu. Gdyby skrzydło Wierszułła zdołało się zejść ze skrzydłem Poniatowskiego, byliby otoczeni i wycięci do szczętu. Wszelako ani Wierszułł, ani Poniatowski nie mogli tego dokonać, dla zbytniej nawały uciekających, bili więc tylko ko z boku, aż ręce od cięć im mdlały.

Młody Krzywonos, choć mężny i dziki, gdy zrozumiał, że własne niedoświadczenie ma takiemu wodzowi jak książę przeciwstawiać, stracił całkiem głowę i uciekał na czele innych ku miastu. Uciekającego spostrzegł pan Kuszel, z boku stojący, który na krótką metę tylko widział, przyskoczył więc koniem i w pysk młodego watażkę szablą trzasnął. Nie zabił, bo ostrze wstrzymała podpinka, ale zalał go krwią i tembardziej serca pozbawił.

Wszelako sam o mało czynu tego życiem nie przypłacił, bo w tej chwili rzucił się na niego Burdabut na czele resztek kalnickiego pułku.

Dwakroć próbował on stawić czoło husarzom, ale dwakroć, jakoby siłą nadprzyrodzoną odarty i rozgromiony, musiał ustępować razem z innymi. W końcu sprawiwszy ostatki, postanowił z boku na Kuszla uderzyć i przez jego dragonów na wolne się pole wydostać. Nim jednak zdołał ich rozerwać, zapchała się owa droga wiodąca ku miastu i górze tak dalece, że szybka ucieczka stała się niemożliwą. Husarze wobec tego natłoku ludzi wstrzymali impet i skruszywszy kopie, mieczami tłumy ciąć poczęli. Zapanowała walka zmieszana, bezładna, dzika, bezpardonowa, wrząca w tłoku, ścisku, gorąca, wśród wyziewów ludzkich i końskich. Trup padał na trupa, kopyta końskie grzęzły w drgających ciałach. Gdzieniegdzie masy skłębiły się, że nie było miejsca na zamach dla szabli; tam bito się głowniami, nożami i pięściami, konie poczęły kwiczyć. Tu i owdzie ozwały się głowy: "Pomyłujte, Lachy!" Głosy te wzmagały się, mnożyły, zagłuszały brzęk mieczów, zgrzyt żelaza o kości.

chrapania i straszną czkawkę konających. —"Pomyłujte, pany! — rozlegało się coraz żałośniej, ale miłosierdzie nie świeciło nad tą ławicą walczących; jak słońce nad burzą, świecił im pożar.

Jeden Burdabut na czele swoich kalnickich ludzi o miłosierdzie nie prosił. Brakło mu miejsca do walki, więc czynił sobie run (miejsce) nożem. Starł się naprzód z brzuchatym panem Dzikiem i pchnąwszy go w brzuch z konia zwalił, a ten krzyknąwszy: "O Jezu!" już się więcej z pod kopyt, które mu tratowały wnętrzności, nie podniósł. Wtedy zaraz przybyło miejsca, więc Burdabut już szablą rozrąbał głowę razem z hełmem towarzyszowi Sokolskiemu, potem obalił razem z końmi panów Pryjama i Certowicza; miejsce otworzyło się szersze. Młody Zenobiusz Skalski ciął go w głowę, ale szabla zwinęła mu się w ręku i uderzyła płazem, watażka zaś jego pięścią na odlew w twarz uderzywszy, zabił na miejscu. Ludzie kalniccy szli za nim, siekąc i kindżałami koląc: "Charakternik! charakternik!" — poczęli wołać husarze. — "Żelazo się jego nie ima! Mąż szalony!" On zaś istotnie miał pianę na wąsach, a wściekłość w oczach. Dojrzał nareszcie Skrzetuskiego i poznawszy oficera po odwiniętym rękawie, runął na niego. Wszyscy dech zatrzymali w piersiach i bitwę przerwali, patrząc na walkę dwóch najstraszliwszych rycerzy. Pan Jan się bowiem wołaniem: "Charakternik!" nie strwożył, ale gniew zawrzał mu w duszy na widok tylu spustoszeń, zgrzytnął więc zębem i z furyą natarł na watażkę. Zwarli się więc, aż konie na zadach przysiadły. Rozległ się świst żelaza i nagle szabla watażki rozleciała się w kawałki pod cięciem polskiego koncerza. Już zdawało się, że żadna moc nie wyratuje Burdabuta, gdy on skoczył, zczepił się z panem Skrzetuskim tak, iż obaj jedno zdawali się tworzyć ciało — i nożem nad gardłem husarza błysnął.

Teraz Skrzetuskiemu śmierć stanęła w oczach, bo ciąć już mieczem nie mógł. Ale szybki jak błyskawica, puścił miecz, który na rzemyku zawisł, a ręką za rękę watażki chwycił. Przez chwilę dwie te ręce drgały konwulsyjnie w powietrzu, ale żelazny to musiał być uścisk pana Skrzetuskiego, bo watażka zawył jak wilk, i w oczach wszystkich nóż wypadł mu ze zdrętwiałych palców, jak wyłuskawione ziarno z kłosa. Wtedy Skrzetuski rękę zgniecioną mu puścił i za kark ucapiwszy, przypiął straszny łeb aż do kuli kulbaki, lewą zaś dłonią buzdygan z za pasa chwycił, gruchnął raz, drugi — watażka zacharczał i spadł z konia.

Jękli na ten widok ludzie kalniccy i biegli pomścić — w tej chwili jednak rzuciła się na nich husarya i wycięła co do nogi.

Na drugim zaś końcu ławy husarskiej bitwa nie ustawała ani na chwilę, bo tłok był mniejszy. Tam, przepasany Anusiną szarfą, szalał pan Longinus ze swoim Zerwikapturem. Nazajutrz po bitwie, rycerze ze zdziwieniem oglądali te miejsca, a pokazując sobie ręce poodwałane razem z ramionami, rozcięte głowy od czoła do brody, ciała rozchlastane straszliwie na dwie połowy, całą drogę ludzkich i końskich trupów szeptali wzajem do siebie: "Patrzcie, tu walczył Podbipięta!" Sam książę trupy oglądał i choć nazajutrz bardzo był różnemi wieściami stroskany, dziwić się raczył, bo takich cięć zgoła dotąd w życiu nie widział.

Ale tymczasem walka zdawała się zbliżać ku końcowi. Ciężka jazda ruszyła znowu naprzód, goniąc przed sobą pułki zaporoskie, które pod górę ku miastu się chroniły. Reszcie uciekających przecięły odwrót chorągwie Kuszla i Poniatowskiego. Otoczeni bronili się z rozpaczą, póki nie wyginęli do nogi, lecz śmiercią swoją zbawili innych, bo gdy we dwie godziny potem pierwszy Wierszułł z nadwornymi Tatary wszedł do miasta, już tam ani jednego Kozaka nie zastał. Nieprzyjaciel, korzystając z ciemności, bo deszcze zgasiły pożar, nabrał w lot czczych wozów w mieście i otaborzywszy się z szybkością, Kozakom tylko właściwą, za miasto za rzekę, uszedł, zniszczywszy za sobą mosty.

Uwolniono owych kilkudziesięciu szlachty, broniących się w zameczku. Prócz tego kazał książę Wierszułowi pokarać mieszczan, którzy się byli z kozactwem połączyli, a sam ruszył w pogoń. Ale taboru bez armat i piechoty zdobyć nie mógł. Nieprzyjaciel zyskawszy na czasie przez spalenie mostów, gdyż rzekę daleko groblą należało obchodzić, uchodził tak szybko, iż pomęczone konie książęcej jazdy zaledwie doścignąć mogły. Atoli Kozacy, lubo sławni z obrony w taborach, nie bronili się tak mężnie, jak zwykle. Straszna pewność, iż sam książę ich ściga, tak dalece odebrała im serca, że zupełnie o swem ocaleniu zwątpili. I byłby pewnie na nich przyszedł kres, bo po całonocnej strzelaninie urwał już pan Baranowski czterdzieści wozów i dwie armaty, gdyby nie wojewoda kijowski, który się dalszej pogoni sprzeciwiał i swoich ludzi cofnął. Przyszło o to między nim a księciem do ostrych przymówek, które wielu pułkowników słyszało.

— Czemuż to, wasza mość — pytał książę — chcesz nieprzyja-

ciela poniechać, gdyś w bitwie z taką rezolucyą (stanowczością) przeciwko niemu stawał? Sławę, której wieczorem nabyłeś, rankiem przez opieszałość swą utracisz.

— Mości książę — odparł wojewoda — nie wiem, jaki duch w was mieszka, ale ja człowiek z ciała i kości, po pracy spoczynku potrzebuję — i moi ludzie także. Zawsze ja będę na nieprzyjaciela tak szedł, jakom dziś szedł, gdy czoło stawić, ale pobitego i uciekającego nie będę gonił.

— Wybić ich do nogi! — zakrzyknął książę.

— I co z tego? — rzecze wojewoda. — Tych wybijemy, przyjdzie starszy Krzywonos. Popali, poniszczy, dusz nagubi, jako ten w Strzyżawce nagubił, i za zaciekłość naszą nieszczęśni ludzie zapłacą.

— O, widzę! — już z gniewem zawołał książę — że wasza mość razem z kanclerzem i z tymi ich regimentarzami do pokojowej frakcyi (stronnictwa) należysz, któraby układami chciała bunt gasić, ale przez Bóg żywy! nie będzie z tego nic, póki u mnie szabla w garści!

A Tyszkiewicz na to:

— Nie do frakcyi ja już należę, ale do Boga, bom stary i wkrótce mi przed Nim stanąć przyjdzie. A że nie chcę, by nie zbyt wielkie brzemię krwi w wojnie domowej przelanej obciążyło, temu się wasza książęca mość nie dziw... Jeżeli zaś wasza książęca mość krzyw o to, żeć cię regimentarstwo minęło, tedy tak powiem: z męstwa należało ci się słusznie, wszelako może i lepiej, żeć go nie dali, bo tybyś bunt, ale z nim razem i tę nieszczęsną ziemię we krwi utopił.

Jowiszowe brwi Jeremiego ściągnęły się, kark mu napęczniał, a oczy poczęły ciskać takie błyskawice, że wszyscy obecni struchleli o wojewodę, ale w tem zbliżył się szybko pan Skrzetuski i rzekł:

— Wasza książęca mość! są wieści o starszym Krzywonosie.

Zaraz więc umysł księcia w inną zwrócił się stronę i gniew na wojewodę w nim osłabł. Tymczasem wprowadzono przybyłych z wieściami czterech ludzi, w tem dwóch starych błahoczestywych (prawosławnych) księży, którzy, ujrzawszy księcia, rzucili się przed nim na kolana.

— Ratuj, władyko, ratuj! — powtarzali, wyciągając ku niemu ręce.

— Skąd wy — pytał książę.

— My z Połonnego. Starszy Krzywonos obległ zamek i miasto.

Jeśli twoja szabla nad jego karkiem nie zawiśnie, tedy zginiemy wszyscy.

Na to książę:

— O Połonnem ja wiem, iż się tam siła ludu schroniło, ale jak mnie doniesiono, najwięcej Rusinów. Zasługa to wasza przed Bogiem, iż zamiast połączyć się z buntem opór mu dajecie przy matce stawając, jednak boję się zdrady jakowej od was, takiej, jak w Niemirowie doznałem.

Na to posłańcy poczęli przysięgać na wszystkie świętości niebieskie, że jako Zbawiciela, tak księcia wyczekują, i myśl zdrady w głowie im nawet nie powstała. Jakoż i szczerze mówili. Krzywonos bowiem, obległszy ich w pięćdziesiąt tysięcy ludu, poprzysiąim zgubę dlatego właśnie, że będąc Rusinami, nie chcieli się z buntem łączyć.

Książę przyrzekł im pomoc, ale ponieważ główne siły jego były w Bystrzyku, musiał więc na nie czekać. Wysłańcy odeszli z pociechą w sercu — on zaś wrócił się do wojewody kijowskiego i rzekł:

— Przebaczcie wasza mość! Widzę już sam, iż trzeba Krzywonoska zaniechać, aby Krzywonosa dosięgnąć. Młodszy dłużej na powróz może poczekać. Sądzę też, iż mnie nie odstąpcicie w tej nowej imprezie (przedsięwzięciu).

— Jako żywo! — rzecze wojewoda.

Wnet ozwały się trąby, oznajmiające chorągwiom, zagnanym za taborem, by się ściągały napowrót. Trzeba też było spocząć i dać "oddech" koniom. Wieczorem nadciągnęła cała dywizya z Bystrzyka, a z nią poseł, pan Stachowicz, od wojewody bracławskiego. Pisał pan Kisiel do księcia list pełen uwielbienia, że jako drugi Maryusz ojczyznę z ostatniej toni ratuje, pisał też o radości, jaką przybycie księcia z Zadnieprza we wszystkich sercach wzbudziło, winszował mu zwycięztw — ale w końcu listu pokazały się przyczyny, dla których był pisany. Oto pan z Brusiłowa oświadczył, że układy rozpoczęte, że on sam z innymi komisarzami udaje się do Białocerkwi i ma nadzieję Chmielnickiego powstrzymać i ukontentować. Nakoniec prosił księcia, by do czasu układów nie nastawał tak bardzo na Kozaków, i o ile można, kroków wojennych zaprzestał.

Gdyby doniesiono księciu, że całe jego Zadnieprze zniszczone, a wszystkie grody z ziemią zrównane, nie bolałoby tak srodze, jak się nad tym listem rozbolał. Byli przy tem obecni pan Skrzetuski,

pan Baranowski, pan Zaćwilichowski, obaj Tyszkiewiczowie i Kierdeje. Książę rękoma oczy zakrył, w tył głowę przewrócił, jakoby strzałą w serce trafiony.

— Hańba! hańba! Boże! dajże mnie już poledz prędzej, abym na takie rzeczy nie patrzał.

Cisza zapanowała głęboka między obecnymi, a książę mówił dalej:

— Nie chcę ja żyć w tej Rzeczypospolitej, bo dziś wstydzić się za nią przychodzi. Oto czerń kozacka i chłopska zalała ojczyznę, z pogaństwem się przeciw własnej matce połączyła. Pobici hetmani, zniesione wojska, zdeptana sława narodu, zgwałcony majestat, popalone kościoły, wyrżnięci księża, szlachta, pohańbione niewiasty, a na te klęski i na tę hańbę, na której wspomnienie samo pomarliby nasi przodkowie — czem że odpowiada ta Rzeczpospolita? Oto ze zdrajcą, z hańbicielem swym, że sprzymierzeńcem pogan układy rozpoczyna i kontentacyę (zadosyćuczynienie) mu obiecuje! O Boże! daj śmierć, powtarzam, bo nie żyć nam na świecie, którzy dyshonor (zniewagę) ojczyzny czujemy i głowy dla niej niesiemy w ofierze.

Wojewoda kijowski milczał, a pan Krzysztof, podsędek bracławski, ozwał się po chwili:

— Pan Kisiel nie stanowi Rzeczypospolitej.

Książę na to:

— Nie mów mi waszmość o panu Kisielu, bo wiem dobrze, iż on ma całą partyę za sobą: utrafił on w myśl prymasa, i kanclerza, i księcia Dominika, i wielu panów, którzy dziś w czasie interregnum (bezkrólewia) rządy w Rzeczypospolitej sprawują i majestat jej przedstawiają, a raczej hańbią ją słabością, wielkiego narodu niegodną, bo nie układami, ale krwią ten ogień gasić należy — bo lepiej dla narodu rycerskiego ginąć niż się upodlić i kontempt (wzgardę) całego świata dla siebie obudzić.

I znowu książę zakrył rękoma oczy — widok był to zaś tak żałosny tego bólu i żalu, że pułkownicy zgoła nie wiedzieli, co czynić ze łzami, które im do oczu nabiegły.

— Mości książę! — ośmielił się ozwać Zaćwilichowski — niechże oni szermują językiem, my mieczem będziem dalej szermowali.

— Zaiste — odpowiedział książę — i na tę myśl rozdziera się serce, co czynić nam dalej przystoi? Oto, mości panowie, słysząc o klęsce ojczyzny, przyszliśmy tu przez płonące lasy i nieprzebyte

błota, nie śpiąc, nie jedząc, ostatnich sił dobywając, by tę matkę naszą od zagłady i hańby ratować. Ręce mdleją nam od pracy, głód skręca kiszki, rany bolą — my zaś na trud nie baczym, byle nieprzyjaciela pohamować. Mówiono na mnie, żem krzyw, iż mnie regimentarstwo minęło. Niechże cały świat sądzi, czy godniejsi ci, którzy je dostali, a ja Boga i waszmościów na świadki biorę, że tak, jak i wy nie dla nagrody i dostojeństw niosę krew swą w ofierze, ale z czystej ku ojczyźnie miłości. Ale gdy my ostatni dech z piersi wydajemy — cóż nam donoszą? Oto, że panowie w Warszawie, a pan Kisiel w Huszczy, kontentacyę (zadosyćuczynienie) dla tego nieprzyjaciela obmyślają! (1) Hańba! hańba!

— Zdrajca Kisiel! — zawołał pan Baranowski.

Na to pan Stachowicz, człowiek poważny i śmiały, wstał, i zwracając się ku Baranowskiemu, rzekł:

— Przyjacielem panu wojewodzie bracławskiemu będąc i posłując od niego, nie pozwolę, by go tu zdrajcą zwali. I jemu też broda od zgryzot zbielała — a ojczyźnie służy tak, jak rozumie, może mylnie, ale uczciwie.

Książę nie słyszał tej odpowiedzi, bo pogrążył się w myślach i w boleści. Baranowski nie śmiał też w obecności jego burdy robić, więc tylko oczy swe stalowe utkwił w panu Stachowiczu, jakby mu chciał rzec: "Znajdę cię!" i rękę na główni miecza położył — tymczasem jednak Jeremi ocucił się z zamyślenia i rzekł ponuro:

— Niema tu innego wyboru, jeno albo posłuszeństwo złamać (boć w czasie bezkrólewia oni władzę sprawują), albo honor ojczyzny, dla któregośmy pracowali, poświęcić...

— Z nieposłuszeństwa wszystko zło w tej Rzeczypospolitej płynie — rzekł poważnie wojewoda kijowski.

— Więc zezwolimy na pohańbienie ojczyzny? Więc jeśli jutro nam każą, abyśmy z powrozem u szyi do Tuhaj-beja i Chmielnickiego poszli, tedy i to dla posłuszeństwa uczynim?

---

(1) W tym czasie pisał książę do wojewody bracławskiego między innemi co następuje: "O raczej było umierać potrzeba, aniżeli doczekać czasów, które sławę tych zacnych narodów tak turpiter deformarunt et irreparrabile (ohydnie i niezatarte) zostawili w synach koronnych damunum (przekleństwo.")
A w końcu listu znajduje się dopisek: "Jeżeli za zniesieniem wojska kwarcianego i pobraniem hetmanów do więzienia, kontentacyę (zadosyćuczynienie) otrzyma Chmielnicki i przy dawnych wolnościach zostawać będzie z tem hultajstwem, ja w tej ojczyźnie wolę nie żyć, i nam lepsza rzecz umierać, aniżeliby pogaństwo i hultajstwo miało nam panować: "Księga pam.28, 55.

— Veto (nie pozwalam)! — ozwał się pan Krzysztof, podsędek bracławski.

— Veto! — powtórzył pan Kierdej.

Książę zwrócił się do pułkowników:

— Mówcie, starzy żołnierze — rzekł.

Pan Zaćwilichowski głos zabrał.

Mości książę, ja mam lat siedmdziesiąt, jestem Rusin błahoczestywy (prawosławny), byłem komisarzem kozackim i ojcem mnie sam Chmielnicki nazywał. Prędzejbym powinien za układami przemawiać, ale jeśli mi rzec przyjdzie: hańba albo wojna, tedy jeszcze do grobu zstępując, powiem wojna!

— Wojna! — powtórzył pan Skrzetuski.

— Wojna! wojna! — powtórzyło kilkanaście głosów, między nimi pan Krzysztof, panowie Kierdeje, Baranowski i prawie wszyscy obecni.

— Wojna! wojna!

— Niechże się stanie wedle słów waszych — odrzekł poważnie książę i buławą w otwarty list pana Kisiela uderzył.

XXVII.

W dzień później, gdy wojska zatrzymały się w Rylcowie, książę zawołał pana Skrzetuskiego i rzekł:

— Siły nasze słabe i zmorzone, a Krzywonos ma sześćdziesiąt tysięcy ludu i jeszcze codzień w potęgę rośnie, bo czerń do niego napływa. Na wojewodę kijowskiego też liczyć nie mogę, gdyż w duszy również on do pokojowej partyi należy i choć idzie ze mną, ale niechętnie. Trzeba nam skąd posiłków. Owóż dowiaduję się, że niedaleko od Konstantynowa stoją dwaj pułkownicy: Osiński z gwardyą królewską i Korecki. Weźmiesz dla bezpieczeństwa stu semenów nadwornych i pójdziesz do nich z moim listem, aby zaś się pośpieszyli i bez zwłoki do mnie przyszli, bo za parę dni na Krzywonosa uderzę. Ze wszelkich funkcyi (poleceń) nikt mi się lepiej od ciebie nie wywiązuje, dlatego też ciebie posyłam — a to jest ważna rzecz.

Pan Skrzetuski skłonił się i tegoż wieczoru ku Konstantynowu ruszył na noc, by przejść niepostrzeżenie, bo tu i owdzie kręciły się Krzywonosowe podjazdy, albo kupy czerni, która czyniła zbó-

jeckie zasadzki po lasach i gościńcach, książę zaś nakazał bitew unikać, aby zwłoki nie było. Idąc tedy cicho, świtaniem doszedł do Wiszowego Stawu, gdzie się na obu pułkowników natknął i w sercu się na widok ich mocno uradował. Osiński miał gwardyę dragońską wyborną, na codzoziemski ład wyćwiczoną i Niemców, Korycki zaś tylko piechotę niemiecką, z samych prawie weteranów z trzydziestoletniej wojny złożoną. Był to żołnierz tak straszny i sprawny, że w ręku pułkownika jak jeden miecz działał. Oba pułki były przytem obficie pokryte i w strzelbę zaopatrzone. Usłyszawszy, że do księcia mają iść, podnieśli zaraz radosne okrzyki, bo tęsknili do bitew, a wiedzieli, że pod żadną komendą tyle ich nie będą zażywali. Na nieszczęście, obaj pułkownicy dali odpowiedź odmowną, gdyż obaj należeli do komendy księcia Dominika Zasławskiego i mieli wyraźne rozkazy, by się z Wiśniowieckim nie łączyli. Napróżno pan Skrzetuski tłómaczył, im, jakiejby to sławy mogli nabyć, pod takim wodzem służąc, i jak wiele krajowi oddać przysługi — nie chcieli słuchać, twierdząc, że subordynacya (posłuszeństwo) ma być dla wojskowych ludzi najpierwszem prawem i obowiązkiem. Mówili natomiast, że w takim razie mogliby się z księciem połączyć, gdyby ocalenie ich pułków tego wymagało. Odjechał więc pan Skrzetuski mocno strapiony, bo wiedział, ile księciu będzie bolesnym nowy ten zawód, i jak dalece wojska jego są istotnie znużone i wyczerpane pochodami, ustawicznem ścieraniem się z nieprzyjacielem, tępieniem pojedyńczych watah, wreszcie ustawicznem czuwaniem, głodem i niewywczasem. Mierzyć się w podobnych warunkach z dziesięćkroć liczniejszym nieprzyjacielem było prawie niepodobieństwem, widział więc jasno pan Skrzetuski, że zwłoka w działaniach wojennych przeciw Krzywonsowi musi nastąpić, bo trzeba dać dłuższą folgę wojsku i czekać na napływ świeżej szlachty do obozu.

Temi myślami przejęty, pan Skrzetuski wracał napowrót do księcia na czele swoich semenów, a musiał iść cicho, ostróżnie i tylko nocą, aby uniknąć podjazdów Krzywonosowych i licznych luźnych band, złożonych z kozactwa i czerni, nieraz bardzo potężnych, które gradowały w całej okolicy, paląc dwory, wycinając szlachtę i łowiąc uciekających po gościńcach. Tak przeszedł Bakłaj i wjechał w bory mszynieckie, gęste, pełne zdradliwych jarów i rozłogów. Szczęściem, po niedawnych deszczach służyła mu piękna pogoda w tej podróży. Noc była pyszna, lipcowa, bez księżyca, ale usiana

gwiazdami. Semenowie szli wązką dróżką leśną, prowadzeni przez służących borowych mszynieckich, ludzi bardzo pewnych i znających swoje bory doskonale. W lesie panowała cisza głęboka, przerywana tylko trzaskiem suchych gałązek pod kopytami końskiemi — gdy nagle do uszu pana Skrzetuskiego i semenów doszedł daleki jakiś szmer, podobny do śpiewu przerywanego okrzykami.

— Stój — rzekł cicho pan Skrzetuski i zatrzymał linię semenów. — Co to jest?

Stary borowy przysunął się ku niemu.

— To panie waryaty chodzą teraz po lesie i krzyczą, ci, co im się od okropności w głowie pomieszało. My wczoraj spotkali jedną szlachciankę, co chodzi, panie, po sosnach patrzy i woła: "Dzieci! dzieci!" Widno jej chłopi dzieci porżnęli. Na nas oczy wytrzeszczyła i poczęła piszczeć, że aż pod nami nogi zadrżały. Mówią, że po wszystkich lasach takich jest dużo.

Pana Skrzetuskiego, choć był rycerzem bez trwogi, dreszcz przeszedł od stóp do głowy.

— A może to wilcy wyją? Z daleka rozeznać nie można — rzekł.

— Gdzie tam, panie. Wilków teraz w lesie niema, wszystkie poszły do wsi, gdzie mają trupów dostatek.

— Straszne czasy, — odrzekł na to rycerz — w których wilcy we wsiach mieszkają, a w lasach obłąkani ludzie wyją! Boże, Boże!

Przez chwilę zapanowała znów cisza, słychać było tylko szum zwykły w wierzchołkach sosen, ale po chwili owe dalekie odgłosy wzmogły się i stały wyraźniejsze.

— Hej! — rzekł nagle borowy. — Tam na to patrzy, że jakaś większa kupa ludzi jest. Waszmościowie tu postójcie, albo idźcie wolno naprzód, a my pójdziem z towarzyszem obaczyć.

— Idźcie — rzekł pan Skrzetuski. — Tu będziem czekali.

Borowi znikli. Nie było ich z godzinę już pan Skrzetuski zaczął się niecierpliwić, a nawet podejrzywać, czy mu jakiej zdrady nie gotują, gdy nagle jeden wynurzył się z ciemności.

— Są panie! — rzekł, zbliżając się do Skrzetuskiego.

— Kto?

— Chłopi rezuny.

— A siła ich jest?

— Będzie ze dwustu. Niewiadomo, panie, co począć, bo leżą w wąwozie, przez który droga nam wypadnie. Ognie palą, jeno

blasku nie widać, bo w dole. Straży nijakiej nie mają: można do nich podejść na strzelenie z łuku.

Wnet orszak ruszył żywo przed siebie, ale tak cicho, że tylko trzaskanie gałązek mogło zdradzić pochód; strzemię nie zadzwoniło o strzemię, szabla nie zabrzękła, konie zwyczajne podchodzeń i napadów szły wilczym chodem, bez parskania i rżenia. Przybywszy na miejsce, gdzie droga skręcała się nagle, semenowie ujrzeli zaraz zdala ognie i niewyraźne postacie ludzkie. Tu pan Skrzetuski podzielił ich na trzy oddziały, z których jeden pozostał na miejscu, drugi poszedł krawędzią wzdłuż wąwozu, aby zamknąć przeciwległe ujście, a trzeci, zsiadłszy z koni i czołgając się na brzuchach, położył się na samej krawędzi, tuż nad chłopskiemi głowami.

Pan Skrzetuski, który znajdował się w owym środkowym oddziale, spojrzawszy w dół, widział jak na dłoni, w odległości dwudziestu lub trzydziestu kroków, całe obozowisko: ognisk paliło się dziesięć, ale nie płonęły zbyt jaskrawo, wisiały w nich bowiem kotły z jedzeniem. Zapach dymu i warzonych mięs dochodził wyraźnie do nozdrzy pana Skrzetuskiego i semenów. Naokół kotłów stali lub leżeli chłopi, pijąc i gwarząc. Niektórzy mieli w ręku flasze z wódką, inni wspierali się na spisach, na których ostrzach osadzone były jako trofea, ścięte głowy mężczyzn, kobiet i dzieci. Blask ognia odbijał się w ich martwych źrenicach i wyszczerzonych zębach; ten sam blask oświecał twarze chłopskie, dzikie, okrutne. Tuż pod samą ścianą jaru kilkunastu z nich spało, chrapiąc głośno — inni gwarzyli, inni poprawiali ogniska, które strzelały wówczas do góry snopami iskier. Przy największym ognisku siedział, zwrócony plecami do ściany wąwozu i do pana Skrzetuskiego, barczysty stary dziad — i brzdąkał na lirze, naokoło niego skupiło się półkolem ze trzydziestu rezunów.

Do uszu pana Skrzetuskiego doszły następujące słowa.

— Hej didu! pro Kozaka Hołotu!

— Nie! — wołali inni — pro Marusiu Bohusławku!

— Do czorta z Marusią! o panu z Potoka! o panu z Potoka! — wołały najliczniejsze głosy.

"Did" uderzył silniej w lirę, odchrząknął i począł śpiewać:

"Sytań, obernysia, hlań, zadywysia, kotory majesz
mnoho (1),
Że równy budesz tomu, w kotoroho ne majesz niczoho,
Bo to sprawujet, szczo wsim kierujet, sam Boh myłostywe,
Wsi naszy sprawy na swojej ważyt sprawedływe.
Umom litajesz, mudrosty znajesz, szyroko, hłuboko..."

Tu "did" przerwał na chwilę i westchnął, a za nim poczęli wzdychać i chłopi. Coraz też ich więcej zbierało się koło niego — a i pan Skrzetuski, choć wiedział, że już wszyscy jego ludzie muszą być w pogotowiu, nie dawał hasła do napadu. Ta noc cicha, płonące ogniska, dzikie postacie i pieśń o panu Mikołaju Potockim, jeszcze niedośpiewana, wzbudziły w rycerzu jakieś dziwne myśli, jakieś uczucia i tęsknotę, z której sam sobie sprawy zdać nie umiał. Niezagojone rany jego serca otworzyły się, ścisnął go żal głęboki po niedawnej przeszłości, po utraconem szczęściu, po owych chwilach ciszy i spokoju. Zadumał się i rozżalił — a tymczasem "did" śpiewał dalej:

"Stań, obernysia, hlań, zadywysia, kotory wojujesz,
Łukom, stryłami, porochom, kulami i mieczem szyrmujesz,
Bo też rycere i kawalere predtym buwały!
Tym wojowały, od tohoż mecza sami umirały!
Stań, obernysia, hlań, zadywysia i skiń z serca butu,
Nawerny oka, kotory z Potoka idesz na Sławutu.
Newynnyje duszy beresz za uszy, wolnost' odejmujesz,
Korola ne znajesz, rady ne dbajesz, sam sobie sejmujesz.
Hej, porażajsia, ne zapalajsia, bo ty rejmitarujesz,
Sam buławoju, w sem polskim kraju, jak sam chocesz, kierujesz."

"Did" znów ustał, a wtem kamyk, wysunął się z pod opartej na nim ręki jednego z semenów i począł się toczyć z szelestem na dół. Kilku chłopów zakryło oczy rękoma i poczęło patrzeć bystro w górę ku lasowi; tedy pan Skrzetuski uznał, iż czas nadszedł i wypalił w środek tłumu z pistoletu.

— Bij! morduj! — krzyknął i trzydziestu semenów dało ognia tak prawie jak w twarz chłopstwu, a po wystrzeleniu, z szablami

(1) Zacytowane ułamki wyjęte są ze współczesnej pieśni, zapisanej w latopiscu, czyli kroniczce Joachima Jerlica. Wydawca przypuszcza, że pieśń ułożył sam Jerlicz, ale niczem przypuszczenia nie popiera. Chociaż z drugiej strony polonizmy, których się autor pieśni dopuścił, zdradzają jego narodowość.

w ręku zsunęli się błyskawicą po pochyłej ścianie wąwozu, między przerażonych i zmieszanych rezunów.

— Bij, morduj! — zabrzmiało przy jednym ujściu wąwozu.

— Bij, morduj! — powtórzyły dzikie głosy przy drugim.

— Jeremi! Jeremi!

Napad był tak niespodziany, przerażenie tak straszne, iż chłopstwo, choć zbrojne, prawie żadnego nie dawało oporu. Już i tak opowiadano w obozach zbuntowanej czerni, że Jeremi przy pomocy złego ducha może być i bić jednocześnie w kilku miejscach, a teraz to imię, spadłszy na nieoczekujących niczego i bezpiecznych — istotnie, jak imię złego ducha — wytrąciło im broń z ręki. Zresztą spisy i kosy nie dawały się użyć w ciasnem miejscu, więc też przyparci jak stado owiec do przeciwległej ściany jaru, rąbani szablami przez łby i twarze, bici, przebijani, deptani nogami, wyciągali z szaleństwem strachu ręce i chwytając nieubłagane żelazo, ginęli. Cichy bór napełnił się złowrogim wrzaskiem bitwy. Niektórzy starali się ujść przez prostopadłą ścianę jaru i drapiąc się, kalecząc sobie ręce, spadali na sztychty szabel. Niektórzy ginęli spokojnie, inni ryczeli litości, zasłaniali twarze rękoma, nie chcąc widzieć chwili śmierci, inni rzucali się na ziemię, twarzą na dół, a nad świstem szabel, nad wyciem konających górował krzyk napastników: — "Jeremi, Jeremi" — krzyk, od którego włosy powstawały na chłopskich głowach i śmierć tem straszniejszą się wydawała.

A dziad gruchnął w łeb lirą jednego z semenów, aż się przewrócił, drugiego złapał za rękę, by cięciu szablą przeszkodzić, i ryczał ze strachu jak bawół.

Inni, spostrzegłszy go, biegli rozsiekać, aż przypadł i pan Skrzetuski

— Żywcem brać! żywcem brać! — krzyknął.

— Stój! — ryczał dziad — jam szlachcic. Liquor latine (mówię po łacinie)! Jam nie dziad! Stójcie, mówię wam, zbóje, skurczybyki, kobyle dzieci!

Ale dziad nie skończył jeszcze litanii, gdy pan Skrzetuski w twarz mu spojrzał i krzyknął, aż się ściany parowu echem ozwały:

— Zagłoba!

I nagle rzucił się na niego, jak dziki zwierz, wpił mu palce w ramiona, twarz przysunął do twarzy i trzęsąc nim, jak gruszką, wrzasnął:

— Gdzie kniaziówna! gdzie kniaziówna!

— Żyje, zdrowa, bezpieczna! — odkrzyknął dziad. — Puść waćpan do dyabła, bo duszę wytrzęsiesz.

Wtedy tego rycerza, którego pokonać nie mogła ani niewola, ani rany, ani boleść, ani straszliwy Burdabut, pokonała wieść szczęsna. Ręce mu opadły, na czoło wystąpił pot obfity, osunął się na kolana, twarz zakrył rękoma i, oparłszy się głową o ścianę jaru, trwał w milczeniu — widać Bogu dziękował.

Tymczasem docięto reszty nieszczęśliwych chłopów, kilkunastu związano, którzy katu mieli być oddani w obozie, aby zeznania z nich wydobył, inni zaś leżeli porozciągani i martwi. Bitwa ustała — zgiełk uciszył się. Semenowie zbierali się koło swego wodza i widząc go klęczącego pod skałą, poglądali na niego niespokojnie, nie wiedząc, czy nie ranny. On zaś wstał, a twarz miał tak jasną, jakby mu zorze w duszy świeciły.

— Gdzie ona jest? — spytał Zagłoby.

— W Barze.

— Bezpieczna?

— Zamek to potężny, żadnej inwazyi (najścia) się nie boi. Ona w opiece jest u pani Sławoszewskiej i u mniszek.

— Chwała bądź Bogu Najwyższemu! — rzekł rycerz, a w głosie drgało mu głębokie rozrzewnienie. — Dajże mnie waść rękę. Z duszy, z duszy dziękuję.

Nagle zwrócił się do semenów:

— Siła jest jeńców?

— Simnadcat (siedemnastu) — odpowiedzieli żołnierze.

Na to pan Skrzetuski:

— Spotkała mnie walka radość i miłosierdzie jest we mnie. Puścić ich wolno.

Semenowie uszom swoim wierzyć nie chcieli. Tego zwyczaju nie bywało w wojskach Wiśniowieckiego.

Skrzetuski zmarszczył z lekka brwi.

— Puścić ich wolno — powtórzył.

Semenowie odeszli, ale po chwili starszy esauł wrócił i rzekł:

— Panie poruczniku, nie wierzą, iść nie śmią

— A pęta mają rozcięte?

— Tak jest.

— Tedy zostawić ich tutaj, a sami na koń.

W pół godziny później orszak posuwał się znów wśród ciszy wązką drożyną. Zeszedł też księżyc, który przenikał długiemi i białemi

pasmami do środka boru i rozświecił ciemne głębie. Pan Zagłoba i Skrzetuski, jadąc na czele, rozmawiali z sobą.

— Mówże mi waszmość o niej wszystko, co tylko wiesz, — rzekł rycerz. — To tedy waszmość ją z rąk Bohunowych wyrwałeś?

— A ja, jeszczem mu łeb na odjezdnem obwiązał, by krzyczeć nie mógł.

— Otoś waszmość postąpił wybornie, jak mnie Bóg miły! A jakżeście się do Baru dostali?

— Ej, siłaby mówić, i to podobno będzie innym razem, bom okrutnie fatigatus (zmęczony), w gardle mi zaschło od śpiewania chamom. Nie masz waszmość czego się napić?

— Mam manierczynę z gorzałką — oto jest!

Pan Zagłoba uchwycił blaszankę i przychylił do ust; rozległy się długie grzdykania, a pan Skrzetuski niecierpliwy, nie czekając ich końca, pytał dalej:

— A zdroważ ona?

— Co tam! — odparł pan Zagłoba — na suche gardło każda zdrowa.

— Ależ ja o kniaziównę pytam!

— O kniaziównę? — jako łania.

— Bądźże chwała Bogu Najwyższemu! dobrze jej tam w Barze?

— Że i w niebie lepiejby jej być nie mogło. Dla jej gładkości wszystkie corda (serca) lgną do niej. Pani Sławoszewska tak ją miluje, jakby właśnie rodzoną. A co tam się kawalerów w niej kocha, tegobyś waszmość na różańcu nie zliczył, jeno że ona tyle o nich dba, ile ja teraz o waściną próżną manierkę, stałym ku waszmości afektem (miłością) płonąc.

— Niechże jej Bóg da zdrowie, onej najmilszej! — mówił radośnie pan Skrzetuski. — Tak że to mię wdzięcznie wspomina?

— Czy waści wspomina? Mówię waćpanu, żem i sam już nie rozumiał, skąd się tam w niej powietrza na tyle wzdychania bierze. Aż się wszyscy litują, najbardziej mniszeczki, bo je sobie przez swoją słodkość całkiem zjednała. Toż ona i mnie wyprawiła na one hazardy, o których o mało zdrowiem nie przypłaciłem, żeby to koniecznie do waści iść a dowiedzieć się, czyś żyw i zdrów. Chciała też nieraz posłańców wyprawiać, ale nikt się nie chciał podjąć, więcem się w końcu zlitował i do waszegom obozu się wybrał. Jakoż gdyby nie przebranie, pewnobym głową nałożył. Ale mnie za dziada chłopy wszędzie mają, bo i śpiewam bardzo pięknie.

Pan Skrzetuski aż zaniemówił z radości. Tysiące myśli i wspomnień cisnęły mu się do głowy; Helena jak żywa stanęła mu przed oczyma, taka, jaką widział ostatni raz w Rozłogach, przed samym na Sicz wyjazdem: więc śliczna, zarumieniona, smukła, z temi oczyma czarnemi, jak aksamit, pełnemi niewysłowionych ponęt. Zdawało mu się teraz, że ją widzi, że czuje ciepło bijące od jej policzków, że słyszy jej słodki głos. Wspomniał ową przechadzkę w sadzie wiśniowym, kukułkę, i te pytania, które jej zadawał, i wstyd Heleny, gdy im dwunastu chłopczyków wykukała — więc dusza prawie wychodziła z niego, serce aż omdlało z kochania i radości, przy której wszystkie przeszłe cierpienia były jakby kropla przy morzu. Sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Chciał krzyczeć, to znów na kolana padać i znów Bogu dziękować; to wspominać, to pytać i pytać bez końca.

Wreszcie zaczął powtarzać

— Żyje, zdrowa!

— Żyje, zdrowa! — odrzekł jak echo pan Zagłoba.

— I ona to waści wysłała?

— Ona.

— A list waść masz?

— Mam.

— Dawaj.

— Zaszyty i przecie noc. Hamuj się waść.

— Całkiem nie mogę. Sam waszmość widzisz.

— Widzę.

Odpowiedzi pana Zagłoby stawały się coraz lakoniczniejsze (zwięzlejsze), w końcu kiwnął się raz, drugi — i usnął. Skrzetuski widział, że nie ma rady, więc napowrót oddał się rozmyślaniom. Przerwał je dopiero tętent koni jakiegoś znacznego oddziału jeźdźców, zbliżającego się szybko. Był to Poniatowski z nadwornymi Kozakami, którego książę naprzeciw wysłał, z obawy, aby co złego Skrzetuskiego nie spotkało.

XXVIII.

Łatwo zrozumieć, jak przyjął książę relacyę (sprawozdanie), którą mu świtaniem pan Skrzetuski uczynił, o odmowie Osińskiego i Koryckiego. Wszystko tak się składało, iż trzeba było tak wiel-

kiej duszy, jak miał ów żelazny kniaź, by się nie ugiąć, nie zwątpić i rąk nie opuścić. Próżno miał olbrzymią fortunę na utrzymanie wojsk zrujnować, próżno się miał miotać jak lew w sieci, próżno urywać jedną po drugiej głowy buntu, dokazywać cudów męstwa, — wszystko napróżno! Nadchodziła chwila, w której musiał poczuć własną bezsilność, cofnąć się gdzieś daleko w spokojne kraje i pozostać niemym świadkiem tego, co działo się na Ukrainie. I któż to go tak ubezwładnił? — oto nie miecze kozackie, ale niechęć swoich. Czyż nie słusznie spodziewał się, ruszając w maju z Zadnieprza, że gdy jako orzeł z góry na bunt uderzy, gdy w powszechnem przerażeniu i popłochu pierwszy szablę nad głową wzniesie, wnet cała Rzplita w pomoc mu przyjdzie i swą siłę, swój miecz karzący w jego ręce powierzy? Tymczasem cóż się stało? Król umarł, a po jego śmierci regimentarstwo oddano w inne ręce — jego zaś, księcia, ostentacyjnie pominięto. Było to pierwsze ustępstwo, uczynione Chmielnickiemu — i nie z powodu utraconej godności cierpiała dusza księcia, ale cierpiała na myśl, że ta zdeptana Rzplita tak już upadła nizko, iż nie chce walki na śmierć, iż cofa się przed jednym Kozackiem i układami woli zuchwałą jego prawicę powstrzymać. Od chwili zwycięstwa pod Machnówką coraz gorsze wiadomości przychodziły do obozu: więc naprzód wieść o układach przez pana Kisiela przysłana, potem wieść o zalaniu Polesia wołyńskiego przez fale buntu — nakoniec odmowa ze strony pułkowników, wykazująca jasno, jak dalece główny regimentarz, książę Dominik Zasławski — Ostrogski, był nieprzyjaźnie dla Wiśniowieckiego usposobiony. Właśnie podczas niebytności pana Skrzetuskiego przybył do obozu pan Korsz-Zienkowicz z doniesieniem, iż całe Owruckie w ogniu już stoi. Lud tam cichy, nie rwał się do buntu, ale przyszli Kozacy pod Krzeczowskim i Półksiężycem i gwałtem zmuszali czerń, by się garnęła w jego szeregi. Dwory więc, miasteczka popalone, szlachta, która nie uszła wycięta, a między innymi stary pan Jelec, dawny sługa i przyjaciel domu Wiśniowieckich. Ułożył tedy sobie książę, że po połączeniu się z Osińskim i Koreckim zniesie Krzywonosa, a potem na północ ku Owruczowi ruszy, aby, porozumiawszy się z hetmanem litewskim, we dwa ognie wziąć buntowników. Ale te wszystkie plany upadały teraz z powodu zakazu, danego obudwom pułkownikom przez księcia Dominika. Jeremi bowiem, po wszystkich pochodach, bitwach i trudach nie był dość silny, by się z Krzywonosem mierzyć, zwłaszcza, że i wo-

jewody kijowskiego nie był pewien. Pan Janusz bowiem naprawdę duszą i sercem należał do partyi pokojowej. Ugiął się on przed powagą i potęgą Jeremiego i musiał z nim iść, ale im bardziej widział ową powagę zachwianą, tem skłonniejszy był do stawienia oporu wojowniczym chęciom książęcym, co też się zaraz pokazało.

Zdawał więc sprawę pan Skrzetuski, a książę słuchał go w milczeniu. Wszystka starszyzna była obecną posłuchaniu, wszystkie twarze sposępniały na wieść o odmowie pułkowników — a oczy zwróciły się na księcia, który rzekł:

— Więc to książę Dominik przysłał im zakaz?

— Tak jest. Pokazywali mi go na piśmie.

Jeremi wsparł się rękoma o stół i twarz ukrył w dłonie. Po chwili zaś mówił:

— Zaiste, jest to więcej, niż człowiek znieść może. Zali ja jeden mam pracować i zamiast pomocy, jeszcze impedimentów (przeszkód) doznawać? Zali to nie mogłem, hen! aż ku Sandomierzu, do swoich majętności pójść i tam spokojnie siedzieć? A przecz żem tego nie uczynił, jeśli nie dla miłości ku ojczyźnie? Oto mi druga nagroda teraz za trudy, za uszczerbek w fortunie, za krew...

Kniaż mówił spokojnie, ale taka gorycz, taki ból drgał w jego głosie, że wszystkie serca scisnęły się żalem. Starzy pułkownicy, weterani z pod Putywla, Starca, Kumejków, i młodzi zwycięzcy z ostatniej wojny, poglądali na niego z niewysłowioną troską w oczach, bo wiedzieli, jaką ciężką walkę stacza z samym sobą ten żelazny człowiek, jak strasznie musi cierpieć jego duma od upokorzeń, które się na niego zwaliły. On, kniaź z "Bożej miłości" — on, wojewoda ruski, senator Rzeczypospolitej, musiał ustępować takim Chmielnickim i Krzywonosom; on, monarcha prawie, który niedawno jeszcze przyjmował posłów postronnych władców, musiał się cofać z pola chwały i zamknąć w jakim zameczku, czekając na rezultat wojny, którą inni prowadzić będą, albo upokarzających układów! On, stworzony do wielkich przeznaczeń, czując siłę by im sprostać — musiał się uznać bezsilnym...

Cierpienie to, razem z trudami, odbiło się na jego postaci. Wychudł znacznie, oczy mu wpadły czarna jak skrzydło kruka czupryna siwieć poczęła. Ale jakiś wielki tragiczny spokój rozlał się po jego twarzy, bo duma broniła mu zdradzać się z cierpieniem.

— Ha, niechże tak będzie! — rzekł — pokażemy tej niewdzięcznej ojczyźnie, iż nie tylko wojować, ale i ginąć dla niej potrafimy.

Zaiste, wolałbym sławniejszą śmiercią w jakiej innej wojnie, poledz, niż przeciw chłopstwu, w domowej zawierusze, ale trudno!

— Mości książę! — przerwał wojewoda kijowski — nie mów wasza książęca mość o śmierci, bo choć nie wiadomo, co komu Bóg przeznaczył, ale przecie jeszcze może do niej daleko. Uwielbiam ja wojenny geniusz i rycerski animusz waszej książęcej mości, ale przecie nie mogę brać za złe ani vice-rexowi (wice-królowi), ani kanclerzowi, ani regimentarzom, że tę wojnę domową starają się układami zahamować, boć się to bratnia krew w niej leje, a z obopólnej zawziętości któż jeśli nie zewnętrzny nieprzyjaciel będzie korzystał?

Książę popatrzył długo w oczy wojewodzie i rzekł dobitnie:

— Zwyciężonym łaskę okażcie, to ją przyjmą z wdzięcznością i pamiętać będą; u zwycięzców w pogardę tylko pójdziecie. Bodaj temu ludowi nikt nigdy krzywd nie był czynił! Ale gdy raz bunt rozgorzał, tedy nie układami, ale krwią gasić go trzeba. Inaczej hańba i zguba nam!

— Prędsza zguba, gdy na własną rękę wojnę prowadzić będziem — odpowiedział wojewoda.

— Czy to znaczy, że wasza mość nie pójdziesz dalej ze mną?

— Mości książę! Boga na świadka biorę, że nie stanie się to ze złej ku wam woli, ale sumienie mnie mówi, iżbym na oczywistą zgubę ludzi moich nie wystawiał, boć to krew droga i przyda się jeszcze Rzeczypospolitej.

Książę zamilkł, a po chwili zwrócił się ku swoim pułkownikom:

— Wy, starzy towarzysze, nie opuścicie mnie przecie, nie prawda?

Na te słowa, pułkownicy, jakby jedną siłą i wolą popchnięci, rzucili się ku księciu. Niektórzy całowali jego szaty, inni obejmowali kolana, inni ręce ku górze podnosząc, wołali:

— My przy tobie! do ostatniego tchu, do ostatniej krwi!

— Prowadź! prowadź bez żołdu służyć będziem!

— Mości książę! i mnie przy tobie umierać pozwól — wołał zapłoniony, jak panna, młody pan Aksak.

Widząc to, nawet wojewoda kijowski był wzruszony, a książę od jednego do drugiego chodził, ściskał każdego za głowę i dziękował. Zapał wielki ogarnął starszych i młodszych. Z oczu wojowników sypały się iskry, ręce co chwila chwytały za szable.

— Z wami żyć, z wami umierać! — mówił książę.

— Zwyciężymy! — wołali oficerowie. — Na Krzywonosa! pod

Połonne! kto chce nas opuścić, niechaj to czyni. Obejdziemy się bez pomocy. Nie chcemy się dzielić ani chwałą, ani śmiercią!

— Mości panowie! — rzekł na to książę. — Wola jest moja, abyśmy, nim na Krzywonosa ruszymy, zażyli choć krótkiego spoczynku, któryby siły nasze mógł restaurować (odnowić). Oto już trzeci miesiąc idzie, jak nie zsiadamy prawie z koni. Od trudów, niewywczasów i zmienności aury (powietrza) już ciało odpada nam od kości. Koni nie mamy, piechoty nasze boso chodzą. Pójdziemy tedy pod Zbaraż, tam się odżywim i wypoczniem, może też coś żołnierzy skupi się do nas i z nowemi siłami pójdziemy w ogień.

— Kiedy wasza książęca mość rozkaże ruszyć? — pytał stary Zaćwilichowski.

— Bez zwłoki, stary żołnierzu, bez zwłoki!

Tu książę zwrócił się do wojewody:

— A wasza miłość dokąd się chcesz udać?

— Pod Gliniany, bo słyszę, że tam się wojska kupią.

— Tedy odprowadzimy waszą mość aż do spokojnej okolicy, aby wam się jaki przypadek nie trafił.

Wojewoda nie odrzekł nic, bo mu się stało jakoś niesmaczno. On księcia opuszczał, a książę mu jeszcze troskliwość okazywał i odprowadzić go zamierzał. Byłali to ironia w słowach księcia — wojewoda nie wiedział, niemniej przeto zamiaru swego nie zaniechał, bo pułkownicy książęcy, coraz niechętniej na niego patrzali, i jasnem było, że w każdem innem, mniej karnem wojsku, tumultby przeciw niemu powstał.

Skłonił się więc i wyszedł — pułkownicy też porozchodzili się, każdy do swojej chorągwi, aby je do pochodu sprawić; został tylko z księciem pan Skrzetuski.

— Jaki tam żołnierz pod temi chorągwiami? — spytał książę.

— Tak przedni, że lepszego nie znaleźć. Dragonia moderowana na niemiecki ład, a w gwardyi pieszej sami weterani z trzydziestoletniej wojny. Gdym ich ujrzał, myślałem, że trairii rzymscy.

— Siła ich jest?

— Dwa pułki z dragonią. razem trzy tysiące ludzi.

— Szkoda, szkoda, wielkich rzeczy możnaby z taką pomocą dodokazać!

Cierpienie widocznie odmalowało się na twarzy księcia. Po chwili rzekł:

— Nieszczęśnie to wybrano takich regimentarzy na te czasy klęski! Ostroróg byłby dobry, gdyby wymową a łaciną można tę wojnę zażegnać; Koniecpolski, dziewierz mój, z krwi wojowników, ale młodzik, bez doświadczenia, a zaś Zasławski ze wszystkich najgorszy. Znam ja go oddawna. Człek to małego serca i miałkiego umysłu. Jego rzecz nad dzbanem drzemać, nie wojsko sprawować... Tego ja głośno nie mówię, by nie sądzono, iż mnie invidia (zazdrość) podnieca, ale straszne klęski przewiduję. I to teraz, teraz właśnie, tacy ludzie wzięli ster w dłonie! Boże, Boże, odwróć ten kielich! Co się też stanie z tą ojczyzną? Gdy o tem myślę, śmierci prędkiej pragnę, bom też już zmorzon bardzo i mówię ci, niezadługo odejdę. Dusza rwie się do wojny, aleć ciału sił braknie.

— Wasza książęca mość powinienbyś więcej zdrowia chronić, bo całej ojczyźnie siła na niem zależy, a już też znać, że trudy bardzo waszą książęcą mość poszczerbiły.

— Ojczyzna znać inaczej myśli, gdy mnie pominięto, i teraz szablę mi z ręki wytrącają.

— Gdy Bóg da, królewicz Karol inafułę na koronę zmieni, będzie wiedział kogo wynieść, a kogo karać; wasza książęca mość za potężny jesteś, by o nikogo teraz nie dbać.

— Pójdę też swoją drogą.

Książę nie spostrzegł się może, że torem innych "królewiąt" politykę na własną rękę prowadził, ale gdyby się w tem i obaczył, byłby jej nie odstąpił, bo to jedno czuł dobrze, że honor Rzplitej ratuje.

I znów nastała chwila milczenia, którą wkrótce przerwało rżenie koni i głosy trąbek obozowych. Chorągwie szykowały się do pochodu. Głosy te zbudziły księcia z zamyślenia, trząsnął głową, jakby cierpienie i złe myśli chciał strząsnąć, poczem rzdkł:

— A drogę miałeś spokojną?

— Spotkałem w lasach mszynieckich sporą watahę chłopstwa, na dwieście ludzi, którą starłem.

— Dobrze. A jeńców wziąłeś, bo to teraz ważna rzecz.

— Wziąłem, ale...

— Ale kazałeś już ich sprawić? tak?

— Nie, wasza książęca mość! puściłem ich wolno.

Jeremi spojrzał ze zdziwieniem na Skrzetuskiego, poczem brwi jego ściągnęły się nagle.

— Cóż to? czy i ty do pokojowej partyi już należysz? Co to znaczy?

— Wasza książęca mość! języka przywiózłem, bo między chłopstwem był przebrany szlachcic, który został żyw. Zaś innych puściłem, bo Bóg łaskę na mnie zesłał i pocieszenie. Karę chętnie poniosę! Ten szlachcic to jest pan Zagłoba, który mnie wieść o kniaziównie przyniósł.

Książę zbliżył się żywo do Skrzetuskiego:

— Żyje, zdrowa?

— Bogu Najwyższemy chwała! tak jest.

— I gdzie się schroniła?

— Jest w Barze.

— To potężna forteca. Mój chłopcze! — (tu książę ręce w górę wyciągnął i wziąwszy głowę Skrzetuskiego, ucałował go kilkakroć w czoło) — raduję się twoją radością, bo cię jak syna kocham.

Pan Jan ucałował serdecznie rękę książęcą, i choć oddawna już byłby chętnie za niego krew przelał, przecie poczuł teraz nanowo, iż na jego rozkaz skoczyłby i w piekło gorejące. Tak ów groźny i okrutny Jeremi umiał sobie jednać serca rycerstwa.

— No, nie dziwię się, żeś tych chłopów puścił. Ujdzie ci to bezkarnie. Ale ćwik ten szlachcic! To on ją tedy aż z Zadnieprza do Baru przeprowadził? Chwała Bogu! W tych ciężkich czasach i dla mnie to prawdziwa pociecha. Ćwik to, ćwik musi być nielada! A dawajno tu tego Zagłobę!

Pan Jan raźno ku drzwiom ruszył, ale w tej chwili rozwarły się one nagle, i ukazała się w nich płomienista głowa pana Wierszulła, który z nadwornymi Tatary na daleki podjazd był posłany.

— Mości książę! — zawołał oddychając ciężko — Połonne Krzywonos wziął, ludzi dziesięć tysięcy w pień wyciął, niewiast, dzieci.

Pułkownicy zaczęli się znowu schodzić i cisnąć koło Wierszulła, przyleciał i wojewoda kijowski, książę zaś stał zdumiony, bo się nie spodziewał takiej wieści.

— Toż tam sama Ruś się zamknęła. To chyba nie może być!

— Jedna dusza żywa z miasta nie wyszła.

— Słyszysz waszmość! — rzekł książę, zwracając się do wojewody. — Prowadźże układy z takim nieprzyjacielem, który swoich nawet nie szczędzi.

Wojewoda sapnął i rzekł:

— O dusze pieskie! kiedy tak, niechże dyabli porwą wszystko! Pójdę jeszcze z waszą książęcą mością!

— A toś mi brat! — rzekł książę.

— Niech żyje wojewoda kijowski! — zakrzyknął stary Zaćwilichowski.

— Niech żyje zgoda!

A książę zwrócił się do Wierszułła:

— Dokąd ruszą z Połonnego? niewiadomo?

— Podobno pod Konstantynów.

— O na Boga! to pułki Osińskiego i Koryckiego są zgubione, bo z piechotą ujść nie zdążą. Trzeba urazy zapomnieć i w pomoc im ruszyć. Na koń! na koń!

Twarz księcia zajaśniała radością, a rumieniec oblał na nowo wychudłe policzki, bo droga sławy znów stanęła przed nim otworem.

XXIX.

Wojska minęły Konstantynów i zatrzymały się w Rosołowcach. Wyliczył bowiem książę, iż gdy Korycki i Osiński powezmą wiadomość o wzięciu Połonnego, muszą na Rosołowce się cofać, a jeśli nieprzyjaciel zechce ich gonić, to niespodzianie między całą siłę książęcą jakoby w pułapkę wpadnie i tem pewniej klęskę poniesie. Jakoż przewidywania te spełniły się w większej części. Wojska zajęły pozycye i stały cicho, w gotowości do bitwy. Większe i mniejsze podjazdy rozeszły się na wszystkie strony z obozu. Książę zaś, z kilku pułkami, stanął we wsi i czekał. Aż wieczorem Tatarzy Wierszuła dali znać, iż do strony Konstantynowa zbliża się jakaś piechota. Usłyszawszy to, książę wyszedł przede drzwi swej kwatery w otoczeniu oficerów, a z nimi kilkadziesiąt znaczniejszego towarzystwa, by patrzeć na owo wejście. Tymczasem pułki, oznajmiwszy się odgłosem trąb, zatrzymały się przede wsią, a dwaj pułkownicy biegli coprędzej zadyszani przed księcia, aby mu służby swoje ofiarować. Byli to Osiński i Korycki. Ujrzawszy Wiśniowieckiego, a przy nim wspaniałą świtę rycerstwa, zmieszali się bardzo, niepewni przyjęcia, i skłoniwszy się nizko, czekali w milczeniu co powie.

— Fortuna kołem się toczy i pysznych poniża — rzekł książę. —

Nie chcieliście waszmościowie przyjść na zaprosiny nasze, teraz zaś sami przychodzicie.

— Wasza książęca mość! — rzekł śmiało Osiński. — Duszą całą chcieliśmy pod w. ks. mością służyć, ale zakaz był wyraźny. Kto go wydał, niech zań odpowiada. My prosimy o przebaczenie, choć niewinni, bo jako wojskowi, musimy słuchać i milczeć.

— To książę Dominik rozkaz odwołał? — pytał książę.

— Rozkaz nie został odwołany, — rzekł Osiński — ale już nas nie obowiązuje, gdyż jedyny ratunek i ocalenie wojsk naszych w łasce waszej książęcej mości, pod którego komendą odtąd żyć, służyć i umierać chcemy.

Słowa te pełne siły męskiej i postać Osińskiego jaknajlepsze wywarły na księciu i towarzyszach wrażenie. Był to bowiem słynny żołnierz, pełen już wojennej praktyki, której w armiach cudzoziemskich nabył. Każde żołnierskie oko spoczywało też na nim chętnie. Wysoki, prosty jak trzcina, z podczesanym do góry żółtym wąsem i szwedzką brodą, strojem i postawą przypomniał zupełnie pułkowników z trzydziestoletniej wojny. Korycki, z pochodzenia Tatar, w niczem do niego nie był podobny. Małego wzrostu i krępy, spojrzenie miał posępne i dziwnie wyglądał w cudzoziemskim ubiorze, nie licującym z jego wschodnimi rysami. Dowodził pułkiem niemieckiej dobranej piechoty i słynął zarówno z męstwa, jak z mrukliwości i żelaznej dyscypliny, w której swych żołnierzy utrzymywał.

— Czekamy rozkazów waszej książęcej mości — rzekł Osiński.

— Dziękuję za rezolucyę (stanowczość) waszmościów, a usługi przyjmuję. Wiem, że żołnierz musi słuchać, i jeślim po waściów posyłał, do dla tego, żem o zakazie nie wiedział. Nie jedną odtąd złą i dobrą chwilę z sobą przeżyjemy, ale spodziewam się, iż waszmościowie radzi będziecie z nowej służby..

— Byłeś w. ks. mość był z nas rad i z naszych pułków.

— Dobrze! — rzekł, książę. — Daleko nieprzyjaciel za wami?

— Podjazdy blizko ale główna siła dopiero na ranoby tu zdążyć mogła.

— Dobrze. Tedy mamy czas. Każcież waszmościowie przejść waszym pułkom przez majdan, niech je zobaczę, abym poznał, jakiego to przywiedliście mi żołnerza i czy siła będzie z nim można dokazać.

Pułkownicy wrócili do pułków i w kilka pacierzy weszlii na ich

czele do obozu. Towarzystwo z pod górnych chorągwi książęcych sypnęło się jak mrowie, aby widzieć nowych towarzyszów. Szła więc naprzód dragonia królewska, pod kapitanem Gizą, w ciężkich hełmach szwedzkich z wysokiemi grzebieniami. Konie pod nimi podolskie, ale dobrane i dobrze wypasione, żołnierz świeży, wypoczęty, w jaskrawej i błyszczącej odzieży, wspaniale na pozór odbijał od wymizerowanych regimentów książęcych, odzianych w podartą i wypłowiałą od deszczów i słońca barwę. Za nimi szedł z pułkiem Osiński, w końcu Korycki. Szmer pochwalny rozległ się między książęcym rycerstwem na widok głębokich szeregów niemieckich. Kolety na nich jednostajne, czerwone, na ramionach połyskujące muszkiety. Szli po trzydziestu w rzędzie, krokiem jednostajnym, jakby szedł jeden człowiek, silnym i grzmiącym. A wszystko chłopy rosłe, pleczyste — żołnierz stary, który w niejednym kraju i niejednym ogniu bywał, po większej części weterani trzydziestoletniej wojny, sprawni, karni i doświadczeni.

Gdy nadeszli przed księcia, Osiński krzyknął: "halt" (stać)! i pułk zatrzymał się, jak w ziemię wkopany, oficerowie podnieśli trzciny do góry, a chorąży wzniósł chorągiew i chwiejąc nią po trzykroć, zniżył ją przed księciem. "Vorwaerts" (naprzód)! — zawołał Osiński. — "Vorwaerts!" —powtórzyli oficerowie, i pułk ruszył znów naprzód. Tak samo, a niemal jeszcze sprawniej, zaprezentował swoich Korycki; na ten widok uradowały się wszystkie serca żołnierskie, a Jeremi, znawca nad znawcami, aż się w boki wsparł z zadowolenia, i patrzał, i uśmiechał się, bo właśnie piechoty mu brakło, a pewien był, że lepszej trudnoby mu było w całym świecie znaleźć. Czuł się też na siłach wzmożony i spodziewał się wielkich dzieł wojennych dokonać. Towarzystwo zaś rozmawiało o różnych rzeczach wojskowych i rozmaitych żołnierzach, których po świecie widzieć można.

— Dobra jest piechota zaporoska, szczególnie do obrony z zaokopu — mówił pan Sleszyński, — ale jej wytrzymają, bo wyćwiczeńsi.

— Ba! wiele lepsi! — odparł Migurski.

— Wszelako ciężki to lud — rzecz pan Wierszułł. — Żeby tak na mnię, podjąłbym się z moimi Tatary we dwa dni tak ich zmorzyć, iż trzeciego jużbym ich jako barany mógł wyrzynać.

— Co waść gadasz! Niemcy dobrzy żołnierze.

A na to ozwał się pan Longinus Podbipięta swoją śpiewną litewską mową:

— Jak to Bóg w miłosierdziu swojem różne nacye (narody) różnemi cnotami obdarzył. Jako słyszałem, niemasz w świecie nad naszą jazdę, a znowu ani nasza, ani węgierska piechota równać się z niemiecką nie może.

— Bo Bóg jest sprawiedliwy — rzecze na to pan Zagłoba. — Waści naprzykład dał wielką fortunę (majątek), wielki miecz i ciężką rękę, a za to mały dowcip.

Już się do niego przypił, jak końska pijawka — rzekł śmiejąc się pan Skrzetuski.

A pan Podbipięta oczy zmrużył i rzekł ze zwykłą sobie słodyczą:

— Słuchać hadko! Waści dał język pono zadługi.

— Jeśli utrzymujesz, że źle zrobił dając mi taki, jak mam, tedy pójdziesz do piekła razem ze swoją czystością, bo woli Jego chcesz kontrować (sprzeciwiać się).

— Et, kto tam waści przegada! Gadasz i gadasz.

— A wieszże waćpan, czem człowiek różni się od zwierząt?

— A czem?

— Ot rozumem i mową.

— Ot, dałże mu, dał! — rzecze pułkownik Mokrski.

— Jeżeli tedy waćpan nie pojmujesz, dlaczego w Polsce najlepsza jazda, a u Niemców piechota, to ja ci wytłómaczę.

— No, dlaczego? dlaczego? — spytało kilka głosów.

— Oto gdy Pan Bóg konia stworzył, przyprowadził go przed ludzi, żeby zaś jego dzieło chwalili. A na brzegu stał Niemiec, jak to się oni wszędy cisną. Pokazuje tedy Pan Bóg konia i pyta się Niemca: co to jest? A Niemiec na to: Pferd! — Co? — powiada Stwórca — to ty na moje dzieło: "pfe!" mówisz? a nie będziesz ty za to, plucho, na tem stworzeniu jeździł — a jeśli będziesz, to kiepsko. — To rzekłszy, Polakowi konia darował. Oto dlaczego polska jazda najlepsza, a zaś Niemcy, jak poczęli piechotą za Panem Bogiem drałować, a przepraszać, tak się na najlepszą piechotę wyrobili.

— Bardzoś to waść misternie wykalkulował — rzekł pan Podbipięta.

Dalszą rozmowę przerwali nowi goście, nadbiegli z doniesieniem iż jakieś wojsko do obozu się zbliża, które nie może być kozackie bo nie od Konstantynowa, ale całkiem z innej strony, od rzeki

Zbrucza nadciąga. Jakoż we dwie godziny później weszły te chorągwie z takiem grzmieniem trąb i bębnów, że aż książę się rozgniewał i posłał do nich rozkaz, by byli cicho, bo nieprzyjaciel w pobliżu. Pokazało się, iż był to pan strażnik korony Samuel Łaszcz, sławny zresztą awanturnik, krzywdziciel, warchoł i zabijaka, ale żołnierz wielki. Wiódł on ośmiuset ludzi takiego jak sam pokroju, częścią szlachty, częścią Kozaków, którzyby wszyscy, na dobrą sprawę, wisieć powinni. Ale książę Jeremi nie zrażał się swawolą tego żołnierstwa, dufając, że w jego ręku zmienić się na pokorne owieczki muszą, a zaś zaciekłością i męstwem inne braki nagrodzą. Był to tedy szczęśliwy dzień. Wczoraj jeszcze książę, zagrożony odejściem wojewody kijowskiego, już był postanowił wojnę aż do chwili przybytku sił zawiesić i do spokojniejszego kraju się na czas jakiś uchylić — dziś stał znów na czele blizko dwunastotysięcznej armii, a choć Krzywonos pięć razy tyle liczył, jednak ze względu iż większość wojsk zbuntowanych składała się z czerni, obie siły za równe poczytywane być mogły. Teraz też książę już ani myślał o odpoczynku. Zamknąwszy się z Łaszczem, wojewodą kijowskim, Zaćwilichowskim, Machnickim i Osińskim, naradzał się nad dalszą wojną. Krzywonosowi nazajutrz postanowiono wydać bitwę, a gdyby nie nadszedł, tedy mieli iść ku niemu w odwiedziny.

Noc zapadła głęboka, ale od czasu ostatnich deszczów, które pod Machnówką tak bardzo dokuczały żołnierzom, pogoda utrwaliła się wyborna. Na ciemnem sklepieniu niebios świeciły roje gwiazd złotych. Księżyc wytoczył się wysoko i ubielił wszystkie dachy Rosołowskie. W obozie nikt spać nie myślał. Wszyscy odgadli jutrzejszą bitwę i gotowali się do niej, gwarząc po staremu, śpiewając i wielkie sobie rozkosze obiecując. Oficerowie i znaczniejsze towarzystwo, wszyscy w wybornych humorach, zebrali się naokół wielkiego ognia i zabawiali się szklankami.

— Mówże zaś waćpan dalej — wołali na Zagłobę. — Gdybyście tedy przez Dniepr przeszli, cóżeście czynili i jakim sposobem dostaliście się do Baru?

Pan Zagłoba wychylił kwartę miodu i rzekł:

"...Sed jam nox humida coelo praecipitat
Suadentque sidera cadentia somnos,
Sed si tantus amor casus cognoscere nostros,
Incipiam..."

— Moi mości panowie! gdybym zaczął wszystko szczegółowo

opowiadać, tedy i dziesięciu nocyby nie starczyło, a pewnie i miodu, bo stare gardło, jak stary wóz, smarować trzeba. Dosyć, gdy waćpaństwu powiem, iżem do Korsunia, do obozu samego Chmielnickiego, z kniaziówną poszedł i z tego piekła bezpieczniem ją wyprowadził.

— Jezus Marya! tośchyba waćpan czarował! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

— Co prawda, to czarowałem, — odpowiedział pan Zagłoba — bom się też tego piekielnego kunsztu (sztuki), jeszcze za młodych lat, od jednej czarownicy w Azyi wyuczył, która, zakochawszy się we mnie, wszystkie arkana (tajniki) czarnoksięskiej sztuki mi dywulgowała (odsłoniła). Ale wiele czarować nie mogłem, bo sztuka na sztukę. Pełno tam wróżków i czarownic koło Chmielnickiego, ci tyle mu dyabłów do usług posprowadzali, iż on nimi jak chłopami robi. Spać idzie, to mu dyabeł musi buty ściągnąć; szaty mu się zakurzą, to je dyabli ogonami trzepią, a on jeszcze, gdy pijany, tego lub owego w pysk, że to — powiada — źle służysz!

Pobożny pan Longinus przeżegnał się i rzekł:

— Z nimi moce piekielne, z nami niebieskie.

— Byliby mnie też czarci zdradzili przed Chmielnickim, ktom jest i kogo prowadzę, alem ich pewnym sposobem zaklął, że milczeli. Bałem się też, żeby Chmielnicki mnie nie poznał, bom się z nim w Czehryniu, rok temu, ze dwa razy u Dopuła zetknął; było też i kilku innych znajomych pułkowników, ale cóż: brzuch mi spadł, broda wyrosła do pasa, włosy do ramion, przebranie resztę zmieniło — więc nikt nie poznał.

— Tośwaćpan widział samego Chmielnickiego i mówiłeś z nim?

— Czym widział Chmielnickiego? Tak, jako waszmościów widzę. Przecie on mnie jako szpiega na Podole wysłał, żebym jego manifesty chłopstwu po drodze rozdawał. Piernacz mnie dał dla bezpieczeństwa od Ordy, tak że już z pod Korsunia jechałem wszędy bezpiecznie. Jak mnie chłopi albo niżowi spotkali, tak ja im piernacz pod nos i mówię: "Powąchajcie to, ditki, i idźcie do dyabła!" Kazałem też sobie dawać wszędy jeść i pić suto, a oni dawali — i podwody także, czemum był i rad i już ciągle na moją niebogę kniaziównę patrzałem, aby po takich wielkich fatygach i strachu wypoczęła. Mówię też waćpaństwu, że nimem odjechał do Baru, to już się tak odżywiła, że mało sobie ludziska tam w Barze oczu za

nią nie powypatrywali. Jest tam wiele gładkich panien, gdyż się szlachta z dalekich okolic pozjeżdżała, ale tak im właśnie do niej jako sowom do kraski. Miłują ją też ludzie — a i waszmościowie miłowalibyście ją, gdybyście znać mogli.

— Pewnie, że nie byłoby inaczej! — rzekł mały pan Wołodyjowski.

— Ale czemużeś waszmość aż do Baru wędrował? — pytał pan Migurski.

— Bom sobie powiedział, że nie stanę, póki do bezpiecznego miejsca nie przybędę — więc też i małym zameczkom nie ufałem, myśląc, że przecie bunt może do nich dojść. A do Baru choćby i doszedł, toby sobie zęby na nim połamał. Tam pan Andrzej Potocki potężnie mury obsadził i tyle dba o Chmiela, ile ja o próżną szklankę. Co waszmościowie myślicie, żem źle uczynił, tak daleko od ognia odjeżdżając? A toż mnie pewnie ów Bohun gonił, a gdyby był dogonił, tedy mówię waszmościom, marcepanby ze mnie dla psów zrobił. Wy jego nie znacie, ale ja go znam. Niech go tam dyabli porwą! Póty nie będę miał spokoju, póki jego nie powieszą. Dajże mu Boże tak szczęśliwy koniec — amen. Pewnie też nikogo sobie tak nie zakarbował, jako mnie. Brr! gdy o tem pomyślę, aż mi się zimno robi. Dlatego i napitków chętniej teraz używam, chociaż z natury pić nie lubię.

— Co waćpan mówisz! — odezwał się pan Podbipięta: — toż pijesz, brateńku, jak żóraw studzienny.

— Nie zaglądaj waćpan do studni, bo mądrego na dnie nie obaczysz. Ale mniejsza z tem. Jadąc tedy z piernaczem i manifestami Chmielnickiego, wielkich przeszkód nie doznałem. Przybywszy do Winnicy, znalazłem tam chorągiew obecnego tu w obozie pana Aksaka, alem się przecie dziadowskiej skóry jeszcze nie pozbywał, bom się chłopstwa bał. Jenom się manifestów zbył. Jest tam rymarz, a który się zowie Suhak, i dla Zaporożców szpiegował, wiadomości Chmielnickiemu posyłał. Przez tego manifesty odesłałem, wypisawszy na nich takie sentencye (zdania), że chyba go Chmiel każe ze skóry obedrzeć, gdy je przeczyta. A tymczasem pod samym Barem taka mnie przygoda spotkała, żem mało przy brzegu nie utonął.

— Jakże to było? jakże?

— Spotkałem pijanych żołnierzy, swawolników, którzy usłyszeli jakom do kniaziówny mówił: "waćpanna," bom się też nie bardzo

już strzegł, jako blizko swoich. Tak tedy: co to za dziad i co to za szczególnie chłopię, do którego się mówi: "waćpanna?" Kiedy spojrzą na kniaziównę: aż tu uroda jak malowana! Dalejże do nas! Ja w kąt moją niebogę, zastawiłem ją sobą i do szabli...

— To dziw, — przerwał Wołodyjowski — żeś waćpan za dziada przebranym będąc, miał szablę przy boku.

— Hę, — rzekł Zagłoba — że miałem szablę? A kto waćpanu powiedział, że miałem szablę? Nie miałem, jenom żołnierską pochwycił, co leżała na stole. Bo to było w karczmie w Szypińcach. Położyłem w mgnieniu oka dwóch napastników. Ci do bandoletów! Krzyczę: "Stójcie, sobaki, bom szlachcic!" Aż tu wołają: "alt! alt!" jedzie podjazd! Pokazało, się że to nie był podjazd, jeno pani Sławoszewska z eskortą, którą syn w pięćdziesiąt koni odprowadzał — młode chłopię. Dopiero tamtych pohamowali. A ja do pani z oracyą (przemową). Takem ją rozczulił, że zaraz jej upusty w oczach się otworzyły. Wzięła kniaziównę do karety i ruszyliśmy do Baru. Ale myślicie waćpaństwo, że na tem koniec? Gdzie tam!...

Nagle pan Sleszyński przerwał opowiadanie:

— Patrzcieno, waszmościowie, — rzekł — czy to tam świt, czy co?

— O! nie może być! — odparł pan Skrzetuski. — Zawczesna pora.

— To w stronie Konstantynowa!

— Tak jest. Ano widzicie: coraz jaśniej!

— Jako żywo, to łuna!

Na te słowa twarze spoważniały, wszyscy zapomnieli o opowiadaniu, zerwali się na równe nogi.

— Łuna! łuna! — powtórzyło kilka głosów.

— To Krzywonos nadszedł z Połonnego.

— Krzywonos z całą potęgą.

— Przednie straże musiały podpalić miasto, lub wsie poblizkie.

A wtem zabrzmiały ciche trąbki alarmowe; jednocześnie stary Zaćwilichowski zjawił się nagle między rycerstwem.

— Mości panowie! — rzekł — przyszły podjazdy z wieściami Nieprzyjaciel w oczach! zaraz ruszamy! Do chorągwi! do chorągwi!.

Oficerowie ruszyli co prędzej do swoich pułków. Czeladź potłumiła ogniska i po chwili ciemność zapanowała w obozie. Tylko w dali, od strony Konstantynowa, niego czerwieniło się

coraz szerzej, coraz silniej, a przy tym blasku bladły i gasły stopniowo gwiazdy. I znów zabrzmiały ciche trąbki. Grano wsiadanego przez munsztuk. Niewyraźne masy ludz, i koni poczęły się poruszać. Śród ciszy słychać było tętent koni, miarowe kroki piechurów, a wreszcie głuchy turkot armat Wurcla; czasem zabrzękły muszkiety, lub rozległy się głosy komendy. Było coś groźnego i złowrogiego w tym nocnym pochodzie, przysłonionym pomroką, w tych głosach, szmerach, brzękaniu żelastwa, połysku zbroi i mieczów. Chorągwie spuszczały się ku konstantynowskiej drodze i płynęły nią w stronę pożaru, podobne do jakiegoś olbrzymiego smoka czy węża, pełznącego wśród ciemności. Ale pyszna lipcowa noc miała się już ku schyłkowi. W Rosołowcach poczęły kury piać, podając sobie głosy przez całe miasto. Mila drogi dzieliła Rosołowce od Konstantynowa, więc nim wojska w wolnym pochodzie przeszły połowę drogi, zpoza łuny pożarnej wychyliła się i jutrzenka blada, jakby przerażona, i nasycała coraz bardziej światłem powietrze, wydobywając z cienia lasy, zagaje, białą wstęgą gościńca i idące po nim wojska. Teraz wyraźnie można już było odróżnić ludzi, konie i zbite szeregi piechurów. Podniósł się ranny, chłodny wietrzyk i łopotał chorągwiami nad głowami rycerzy.

Szli naprzód Tatarzy Wierszuła, za nimi Kozacy Poniatowskiego, potem dragonia, armaty Wurcla, a piechoty i husarye na ostatku. Pan Zagłoba jechał przy Skrzetuskim, ale wiercił się jakoś na kulbace, i widać było, że wobec blizkiej bitwy niepokój go ogarnia.

— Mości panie? — rzekł do Skrzetuskiego, szepcząc cicho, jakby się bał, by go kto nie podsłuchał.

— A co waszmość powiesz?

— Czy to husarze pierwsi uderzą?

— Mówiłeś waćpan, żeś stary żołnierz, a nie wiesz, że husarzy konserwuje (zachowuje) się do rozstrzygnięcia bitwy, w chwili, gdy nieprzyjaciel najbardziej siły wytęży.

— Wiem ci ja to, wiem, alem się chciał upewnić.

Nastała chwila milczenia, poczem pan Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej i mówił dalej:

— Czy to Krzywonos z całą potęgą?

— Tak jest.

— A ile prowadzi?

— Razem z czernią sześćdziesiąt tysięcy ludzi

— O, do dyabła! — rzekł pan Zagłoba.

Skrzetuski uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie myśl waćpan, że ja się boję, — szeptał dalej Zagłoba — ale mam krótki oddech i nie lubię tłoku, bo gorąco, a jak gorąco, to już po mnie. Bodaj to w pojedynkę sobie radzić! Człek przynajmniej fortelów może zażyć, a tu nic fortelach! Nie głowa, jeno ręce wygrywają. Tu ja głupi przy panu Podbipięcie. Mam na brzuchu te dwieście czerwonych złotych, co mi je książę darował, ale wierzaj mi waszmość, że brzuch wolałbym mieć gdzieindziej. Tfu! tfu! nie lubię ja tych wielkich bitew! Niech je zaraza tłucze!

— Nic waści nie będzie, nabierz ducha.

— Ducha? Tego ja się tylko przecie boję, że męztwo roztropność we mnie zwycięży. Nadtom zapalczywy. A miałem zły omen (wróżbę), gdybyśmy siedzieli przy ognisku, dwie gwiazdy spadły. Kto je wie? Może która moja?

— Za dobre uczynki Bóg waszmości nagrodzi i w zdrowiu zachowa.

— Byle mi zawcześnie nagrody nie obmyślił!

— Czemużeś nie został przy taborach?

— Myślałem, że przy wojsku bezpieczniej.

— Bo i tak jest. Obaczysz waćpan, że to nic wielkiego. My już zwyczajni, a consuetudo altera natura (przyzwyczajenie jest drugą naturą)! Ot, już Słucz i Wiszowaty Staw.

Istotnie wody Wiszowatego Stawu, oddzielone od Słuczy długą groblą, zabłysły w oddaleniu. Wojska zatrzymały się naraz na całej linii.

— Czy to już? — spytał pan Zagłoba.

— Książę szyk będzie sprawiał — odparł pan Skrzetuski.

— Nie lubię tłoku! powtarzam waści, nie lubię tłoku.

— Husarya na prawe skrzydło! — rozległ się głos służbowego, który od księcia przypadł do pana Jana.

Rozwidniło się zupełnie. Łuna zbladła w blaskach wschodzącego słońca, złociste promienie odbiły się w ostrzach husarskich kopij, i zdało się, że nad rycerstwem płyną tysiące świec. Przy sprawieniu szyków, wojsko, nie ukrywając się już dłużej, zaśpiewało w jeden głos: "Witajcie, podwoje zbawienia!" Potężna pieśń rozbiegła się po rosach, uderzyła o bór sosnowy i odbita echem, wzleciała ku niebu.

Nareszcie brzeg po drugiej stronie grobli zaczernił się, jak okiem sięgnąć, chmurami kozactwą; pułki płynęły za pułkami, konni za-

porożcy, zbrojni w długie spisy, pieszy lud z samopałami i fale chłopstwa, zbrojnego w kosy, cepy i widły. Za nimi widać było, jak we mgle, olbrzymi tabór, niby miasto ruchome,. Skrzypienie tysięcy wozów i rżenie koni dochodziło aż do uszu książęcych żołnierzy. Kozactwo jednak szło bez zwykłych wrzasków, bez wycia i zatrzymało się po drugiej stronie grobli. Dwie przeciwne potęgi patrzały czas jakiś na się w milczeniu.

Pan Zagłoba, trzymając się ciągle przy Skrzetuskim, spoglądał na owo morze ludzkie i mruczał:

— Jezu Chryste, pocóżeś stworzył tyle tego tałałastwa! To chyba sam Chmielnicki z czernią i wszystkiemi wszami. Nie rozpustaże to, powiedz mi waszmość? Czapkami nas pokryją. A tak dobrze przedtem bywało na Ukrainie! Walą się i walą! bogdaj was dyabli w piekle walili! I wszystko to na naszą skórę. Bogdaj ich nosacizna zżarła!...

— Nie klnij waść. Dziś niedziela.

— A prawda, dziś niedziela, lepiejby o Bogu pomyśleć. Pater noster, qui es in coelis (ojcze nasz, któryś jest w niebie)... Żadnego respektu (uszanowania), od tych łajdaków spodziewać się nie można. Sanctificetur nomen Tuum (Święć się imie twoje)... Co to się będzie działo na tej grobli!... Adveniat regnum Tuum (przyjdź królestwo twoje)... Już we mnie dech zaparło. Fiat voluntas Tua (Bądź wola twoja)... Bodajście wyzdychali, hamany, mężobójce. Patrz no waść! Co to?

Oddział, złożony z kilkuset ludzi, oderwał się od czarnej masy i sunął bezładnie ku grobli.

— To harcowniki — rzecze pan Skrzetuski. — Zaraz nasi ku nim wyjadą.

— Czy to już koniecznie bitwa się zacznie?

— Jak Bóg na niebie!

— Niech to dyabli porwą! — (Tu zły humor pana Zagłoby nie miał już miary) — A waść, to patrzysz jakby na teatrum (teatr) w mięsopust! — wykrzyknął z niechęcią do Skrzetuskiego — jakby nie o waści skórę chodziło!

— My już zwyczajni, mówiłem.

— I pewnie na harce ruszysz?

— Nie bardzo to przystoi rycerzom z pod górnych znaków na pojedynkę z takim nieprzyjacielem się bić, nie czyni tego, kto powagę kocha. Ale w tych czasach nikt nie ma względu na godność.

— Idą już i nasi, idą! — wykrzyknął pan Zagłoba, widząc kraśną linię dragonów Wołodyjowskiego, posuwających się truchtem ku grobli.

Za nimi ruszyło po kilkanaście ochotnika z pod każdej chorągwi. Poszli między innymi: rudy Wierszuł, Kuszel, Poniatowski, dwóch Karwiczów, a z pod husarskiego znaku pan Longinus Podbipięta.

Odległość między dwoma oddziałami zaczęła się zmniejszać gwałtownie.

— Pięknych rzeczy będziesz waść świadkiem — rzekł Skrzetuski do pana Zagłoby. — Uważaj szczególnie Wołodyjowskiego i Podbipiętę. Wielcy to rycerze. Dojrzysz ich waść?

— Dojrzę!

— To patrz, sam się rozlakomisz.

XXX.

Ale wojownicy, zbliżywszy się do siebie, zatrzymali konie i naprzód poczęli się lżyć wzajemnie.

— Bywajcie! bywajcie! zaraz tu psy waszem padłem nakarmimy — wołali książęcy żołnierze.

— Wasze i dla psów się nie godzi!

— Pognijecie w tym stawie, zbóje bezecni!

— Komu pisano, ten zgnije. Was tu prędzej ryby oszczypią.

— Z widłami do gnoju chamy! Lepiej wam to przystoi, niż szabla!

— Chociaż my chamy, ale synki nasze będą szlachta, bo się z waszych panienek porodzą!

Jakiś Kozak, widno zadnieprzański, wysunął się naprzód i, złożywszy dłonie koło ust, wołał potężnym głosem:

— U kniazia dwie synowice! powiedzcie mu, żeby je Krzywonosowi przysłał!...

Panu Wołodyjowskiemu aż pociemniało w oczach ze wściekłości, gdy to bluźnierstwo usłyszał, i w tejże chwili wypuścił konia na Zaporożca.

Poznał go zdala pan Skrzetuski, stojąc na prawem skrzydle z husaryą, i krzyknął na Zagłobę:

— Wołodyjowski leci! Wołodyjowski leci! patrz waść tam! tam!

— Widzę!! — zawołał pan Zagłoba. — Już go dopadł! Już się

biją! Raz! dwa! dalejże po nim! Widzę doskonale! Oho, już! To gracz, niech go las ogarnie!

Istotnie w drugiem złożeniu bluźnierca padł na ziemię, jak gromem rażony — i padł głową ku swoim, na złą im wróżbę.

A wtem wyskoczył drugi, ubrany w czerwony kontusz, zdarty z jakiegoś szlachcica. Dopadł on pana Wołodyjowskiego trochę z boku, ale koń mu w chwili samego cięcia utknął. Pan Wołodyjowski zaś zwrócił się, i wtedy to można było poznać mistrza, bo dłonią tylko samą poruszył, robiąc ruch tak lekki i miękki, że prawie niewidoczny, a jednak szabla Zaporożca furknęła w górę, pan Wołodyjowski zaś za kark go ucapił i porwał razem z koniem ku swoim.

— Braty ridnyje, spasajte (bracia rodzeni, ratujcie)! — wołał jeniec.

Ale oporu nie dawał, wiedząc, że w razie najmniejszego, szablą będzie natychmiast przeszyty; jeszcze konia piętami bił, by podążał — i tak go wiódł pan Wołodyjowski, jak wilk kozę.

Sypnęło się na ten widok z obu stron po kilkunastu wojownika, bo więcej na wązkiej grobli nie mogło się pomieścić. Przypadali tedy do siebie pojedyńczo. Mąż zwierał się z mężem, koń z koniem, szabla z szablą, i był to cudny widok tego szeregu pojedynków, na które oba wojska patrzały z największą ciekawością, wróżąc sobie z nich o dalszem powodzeniu. Poranne słońce świeciło nad walczącymi, — powietrze tak było przezroczyste, że prawie twarze można było z obu stron odróżnić. Myślałby kto, patrząc zdala, że to turniej jakowy, lub zabawa. Czasem jednak koń wylatywał z zamętu bez jeźdźca; czasem trup wpadał z grobli w jasną szybę wody, która rozpryskiwała się w złote iskry, a potem szła kolistą falą od brzegu, coraz dalej i dalej.

Rosło serce żołnierzom obu wojsk, patrzącym na męstwo swych rycerzy i ochota do boju. Każdy ku swoim słał życzenia; nagle pan Skrzetuski w ręce klasnął, aż zadźwięczały karwasze, i wykrzyknął:

— Wierszuł zginął! padł razem z koniem! patrzcie, siedział na tym białym!

Ale Wierszuł nie zginął, chociaż istotnie padł razem z koniem, bo przewrócił obudwóch olbrzymi Pułjan, dawny Kozak księcia Jeremiego, dziś drugi po Krzywonosie dowódca. Był to słynny harcownik i nigdy tej gry nie opuszczał. Silny tak, iż z łatwością

mógł złamać dwie odrazu podkowy, uchodził za niezwyciężonego w pojedyńczej walce. Przewróciwszy Wierszuła, uderzył na dzielnego oficera Koroszlachcica i przeciął go strasznie, bo prawie aż do kulbaki. Inni cofnęli się przerażeni, co widząc, pan Longinus zwrócił ku niemu swą inflancką kobyłę.

— Pohybniesz (zginiesz)! — krzyknął Pułjan, widząc zuchwałego męża.

— Cóż robić! — odpowiedział pan Podbipięta, wznosząc szablę do cięcia.

Nie miał on jednak swego Zerkwikaptura, bo go do zbyt wielkich celów przeznaczał, aby się nim w pojedyńczej walce posługiwać, zostawił go więc w rękach wiernego pachołka przy szeregu, miał zaś tylko lekką batorówkę o błękitnawej, pisanej złotem klindze. Wytrzymał pierwsze jej cięcie Pułjan, choć zaraz poznał, że ma z nielada zapaśnikiem do czynienia, bo mu aż szabla w garści zadrżała, — wytrzymał jednak i drugie i trzecie, potem, czy większą przeciwnika biegłość w szermierce poznał, czy może wobec obu stron swoją straszliwą siłą pochlubić się pragnął, czy przyparty do skraju grobli, obawiał się, aby nie być przez ogromne bydlę pan Longina do wody wepchiętym, dość, że odbiwszy ostatnie cięcie, konia z koniem bokami zestosował i wpół Litwina w potężne ramiona uchwycił. I zczepili się tak, jak dwa niedźwiedzie, gdy o samicę w czasie rui walczą, owinęli się koło siebie, jak dwie sosny, które z jednego pnia wyrósłszy, wzajemnie się okręcą i prawie jedno drzewo utworzą.

Wszyscy dech wstrzymali i w milczeniu patrzeli na walkę tych zapaśników, z których każdy za największego siłacza między swymi uchodził. Oni zaś — rzekłbyś: naprawdę zrośli się w jedno ciało — bo długi czas pozostali bez ruchu. I tylko twarze ich stały się czerwone, i tylko z żył, które wyskoczyły im na czoła, z wygiętych jak łuki grzbietów można było pod tym straszliwym spokojem poznać nadludzkie wytężenie ramion, które gniotły się nawzajem w uścisku.

Nakoniec obaj poczęli dygotać. Ale stopniowo twarz pana Longina stawała się coraz czerwieńsza, a twarz watażki coraz sińsza. Upłynęła jeszcze chwila. Niepokój patrzących wzrastał. Nagle milczenie przerwał głuchy, przyduszony głos:

— Puskaj (Puść)...

— Nie... braciaszku!... — odpowiedział drugi głos.

Jeszcze chwila: wtem chrobotnęło coś okropnie, dał się słyszeć jęk, jakby z podziemia — fala czarnej krwi buchnęła z ust Pułjana i głowa już zwisła na ramię.

Wtedy pan Longinus podniósł go z kułbaki i, nim patrzący mieli czas pomyśleć co się stało, przerzucił go na swoje siodło, poczem ruszył kłusem ku swoim.

— Vivat! — krzyknęli Wiśniowiecczycy.

— Na pohybel! — odpowiedzieli Zaporożcy.

I zamiast się zmieszać klęską swego wodza, tem zawzięciej uderzyli na nieprzyjaciół. Zawrzała walka tłumna, którą ciasnota miejsca tem zacieklejszą czyniła. I byliby mołojcy, mimo całego męstwa, ulegli pewnie większej szermierskiej wprawie przeciwników, gdyby nie to, że od taboru Krzywonosowego dały się nagle słyszeć trąby, wołające ich do odwrotu.

Cofnęli się natychmiast, a przeciwnicy, postawszy chwilę, by okazać, iż odzierżyli pole, zawrócili również ku swoim. Grobla opustoszała, zostały tylko na niej trupy ludzkie i końskie, jakby zapowiedź tego, co się dziać będzie — i czerniała ta droga śmierci między dwoma wojskami — jeno lekki powiew wiatru pomarszczył gładką powierzchnię jeziora i zaszumiał żałośnie w liściach wierzb, stojących tu i owdzie nad brzegami stawu.

Tymczasem ruszyły Krzywonosowe pułki, jakby nieprzejrzane okiem stada szpaków i siewek. Szła naprzód czerń, za nią sforna piechota zaporoska, i sotnie konne, i ochotnicy Tatarowie, i artylerya kozacka, a wszystko bez wielkiego ładu. Pchali się jedni przez drugich, szli "na głowę," pragnąc liczbą niezmierną sforsować groblę, a potem zalać i pokryć wojsko książęce. Dziki Krzywonos wierzył w pięść i szablę, nie w sztukę wojenną, dlatego parł całą siłą do ataku i kazał pułkom idącym z tyłu popychać przednie, aby choć po niewoli iść musiały. Kule armatnie poczęły pluskać po wodzie nakształt dzikich łabędzi i nurów, nie czyniąc zresztą z powodu odległości, szkody w książęcych wojskach ustawionych w szachownicę po drugiej stronie stawu. Powódź ludzka zalała groblę i szła naprzód bez przeszkody; część owej fali, dosięgnąwszy rzeki, szukała przez nią przeprawy, i nie znajdując, wracała znów ku grobli — i szli tak gęsto, że, jak później mówił Osiński, po łbach konno możnaby było przejechać, i pokryli tak groblę, że pięćdzi wolnej ziemi nie zostało.

Patrzał na to Jeremi z wyższego brzegu i brwi marszczył, a z

oczu szły mu złe błyskawice ku tym tłumom, widząc zaś bezład i przepychanie się Krzywonosowych pułków, rzekł do obersztera Machnickiego:

— Po chłopsku nieprzyjaciel z nami poczyna i, na sztukę wojenną niedbając, obławą idzie, ale nie dojdzie.

Tymczasem, jakby wbrew jego słowom, doszli już od połowy grobli i zatrzymali się zdziwieni i zaniepokojeni milczeniem wojsk książęcych. Ale właśnie w tej chwili zrobił się ruch między temi wojskami — i cofnęły się, zostawiając między sobą a groblą obszerne puste półkole, które miało być polem walki.

Potem piechoty Koryckiego rozstąpiły się, odsłaniając zwrócone ku grobli paszcze armat Wurcla, a w kącie, utworzonym przez Słucz i groblę, połyskiwały w nadrzecznych zaroślach muszkiety Niemców Osińskiego.

I zaraz dla ludzi biegłych widocznem było, na czyją stronę musi paść zwycięstwo. Tylko tak szalony watażka, jak Krzywonos, mógł porywać się na bitwę w takich warunkach, w których całą potęgą nie mógłby zdobyć nawet przeprawy, gdyby Wiśniowiecki chciał mu jej bronić.

Ale książę umyślnie postanowił puścić część jego sił za groblę, by ją otoczyć i zetrzeć. Wielki wódz korzystał z zaślepienia przeciwnika, który nawet i na to nie baczył, że ludziom swoim, walczącym na drugim brzegu, będzie mógł przychodzić w pomoc tylko wązkiem przejściem, przez które znaczniejszych oddziałów niepodobna odrazu przeprawić. Więc praktycy wojenni patrzeli ze zdumieniem na czyn Krzywonosa, którego nic nie zmuszało do tak szalonego kroku.

Zmuszała go tylko ambicya i pragnienie krwi. Oto watażka dowiedział się, że Chmielnicki, pomimo przewagi wysłanych pod Krzywonosem sił, lękając się o rezultat wojny z Jeremim, szedł całą potęgą swoją w pomoc. Do Krzywonosa przyszły rozkazy, by bitwy nie staczał. Ale właśnie dlatego Krzywonos postanowił ją stoczyć — i spieszył się.

Wziąwszy Połonne, rozsmakował się we krwi i nie chciał się z nią dzielić, dlatego spieszył się. Straci połowę ludzi — to cóż z tego! Ale resztą zaleje szczupłe siły książęce i w pień wytnie. Głowę Jeremiego poniesie Chmielnickiemu w podarunku.

Tymczasem fale czerni dosięgły końca grobli, nakoniec przeszły

ją i rozlały się po owem półkolu, zostawionem przez wojska Jeremiego. Ale w tejże chwili ukryta piechota Osińskiego dała im w bok ognia, z armat Wurcla wykwitły długie smugi dymu, ziemia zatrzęsła się od huku i bitwa rozpoczęła się na całej linii.

Dymy przesłoniły brzegi Słuczy, staw, groblę i samo pole, tak, iż nic nie było widać; czasem tylko migotały czerwone barwy dragonów, czasem błysnęły grzebienie nad lecącemi hełmami i wrzało w onej chmurze okropnie. W mieście bito we wszystkie dzwony, których jęk żałosny mieszał się z basowym rykiem armat. Z taboru waliły się ku grobli coraz nowe i nowe pułki.

Te zaś, które już przeszły i dostały się na drugą stronę stawu, rozciągnąwszy się w mgnieniu oka w długą linię, uderzyły ze wściekłością na książęce chorągwie. Bitwa rozciągnęła się od jednego końca stawu aż do skrętu rzeki, błotnistych łąk, ówczesnego mokrego lata zalanych.

Czerń i niżowi musieli zwyciężyć lub zginąć, mając za sobą wolę, ku której spierały ją ataki piechoty i jazdy książęcej.

Gdy husarya ruszyła na przód, pan Zagłoba, choć oddech miał krótki i tłoku nie lubił, skoczył przecie z innymi, bo zresztą i nie mógł inaczej uczynić, bez narażenia się na stratowanie. Leciał tedy, przymknąwszy oczy, a głównie latał mu z błyskawiczną szybkością myśli: "Na nic fortele! na nic fortele! głupi wygrywa, mądry ginie." Potem ogarnęła go złość na wojnę, na Kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Zaczął kląć — i modlić się. Powietrze świszczało mu w uszach, tamowało oddech w piersi, — nagle uderzył się o coś koniem, poczuł opór, więc otworzył oczy i cóż ujrzał: oto kosy, szable, cepy, mnóstwo rozpalonych twarzy, oczu, wąsów... a wszystko to niewyraźne, niewiadomo czyje, wszystko drgające, skaczące, wściekłe. Wtedy porwała go ostatnia pasya na tych nieprzyjaciół, że nie uciekli do dyabła, że leźli w oczy i że zmuszali go do bitwy. "Chcecie, to macie" — pomyślał — i począł siąć ślepo, na wszystkie strony. Czasem przecinał powietrze, a czasem czuł, iż ostrze mu grzęźnie w coś miękkiego. Jednocześnie czuł, że jeszcze żyje, i to dodawało mu nadzwyczajnie otuchy. "Bij! zabij!" — ryczał jak bawół. — Nakoniec owe wściekłe twarze znikły mu z oczu, a natomiast ujrzał mnóstwo pleców, wierzchów od czapek, a krzyki mało mu uszu nie rozdarły.

— Zmykają! — przemknęło mu przez głowę. — Tak jest!

Wtedy odwaga wezbrała w nim bez miary.

— Złodzieje! — krzyknął. — Tak to szlachcie stawacie?

I skoczył między uciekających, minął wielu i, zamieszawszy się w gęstwinie, z większą już przytomnością pracować począł. Tymczasem towarzysze jego przyparli Niżowców do brzegów Słuczy porosłych dość gęsto krzewami — i gnali ich wzdłuż brzegu od grobli, nikogo żywcem nie biorąc, bo czasu nie stawało.

Nagle pan Zagłoba poczuł, że koń poczyna się pod nim rozpierać, ale jednocześnie spadło na niego coś ciężkiego i obwinęło mu całą głowę, tak, iż otoczyła go ciemność zupełna.

— Mości panowie! ratujcie! — krzyknął, bijąc piętami konia.

Rumak jednak, widocznie zmorzony ciężarem jeźdźca, jęczał tylko i stał w miejscu.

Pan Zagłoba słyszał wrzask, krzyki przelatujących koło siebie jeźdźców, potem cały ten huragan przeleciał i naokół nastała względna cisza.

I znowu myśli tak szybkie, jak strzały tatarskie, poczęły mknąć prze jego głowę.

— Co to jest? co się stało? Jezu Marya! wzięto mnie w niewolę!

I na czoło wystąpiły mu kroplę zimnego potu. Widocznie owinięto mu głowę tak samo, jak on niegdyś Bohunowi. Ten ciężar, który czuje na ramieniu, to dłoń hajdamacka. Ale czemuż go nie prowadzą, lub nie zabijają? czemu stoi w miejscu?

— Puszczaj, chamie! — krzyknął wreszcie przyduszonym głosem.

Milczenie.

— Puszczaj, chamie! Daruję cię zdrowiem.

Żadnej odpowiedzi.

Pan Zagłoba raz jeszcze uderzył piętami w boki konia, al znowu bez skutku. Zatknięte bydlę rozkraczyło się tylko szerze i stało w miejscu.

Wówczas ostatnia pasya ochwyciła nieszczęśliwego jeńca i, do bywszy noża z pochwy, wiszącej mu na brzuchu, dał straszne pchnię cie w tył za siebie.

Ale nóż przeciął tylko powietrze.

Wtedy Zagłoba porwał obu rękoma za ową zasłonę, obwijając mu głowę, i zerwał ją w mgnieniu oka.

Co to jest?

Hajdamaków niema. Naokół pusto. Zdala widać w dymi przelatujących kraśnych dragonów Wołodyjowskiego, o kilkana

ście staj dalej migocą zbroje husarzy, którzy gnają resztki niedobitków, zawracają ich z pola ku wodzie.

Natomiast u nóg pana Zagłoby leży pułkowa chorągiew zaporoska. Widocznie uciekający Kozak cisnął ją tak, że drzewcem wsparła się na ramieniu pana Zagłoby, a płachta pokryła mu głowę.

Ujrzawszy to wszystko i zrozumiawszy dokładnie, mąż ów oprzytomniał zupełnie.

— Aha! — rzekł — zdobyłem chorągiew. Jak to? możem jej nie zdobył? Jeśli justycya (sprawiedliwość) nie polegnie także w tej bitwie, tedy pewien jestem nagrody. O chamy! szczęście wasze, iż koń mi się rozparł. Nie znałem się, mniemając, iż fortelom mogę ufać bardziej, niż męstwu. Mogę się do czegoś więcej w wojsku przydać, niż do zjadania sucharów. O la Boga! znowu tu jakaś wataha leci. Nie tędy, psubraty, nie tędy! Żeby tego konia wilcy zjedli! Bij! zabij!

Istotnie nowa wataha Kozaków gnała ku panu Zagłobie, wyjąc nieludzkiemi głosami, a na karku jej siedzieli pancerni Polanowskiego. I byłby może pan Zagłoba znalazł śmierć pod kopytami, gdyby nie to, że husarya Skrzetuskiego, wytopiwszy tych, za którymi szła w pościg, wracała teraz, by wziąć we dwa ognie nadbiegające oddziały. Widząc to, Zaporożcy rzucili się w wodę, na to tylko, by, uszedłszy mieczów, znaleźć śmierć w błotach i głębokich dołach. Inni, którzy padli na kolana, błagając o litość, marli pod cięciami. Pogrom stał się straszliwy i powszechny, ale najstraszliwszy na grobli. Wszystkie oddziały, które ją przeszły, były starte w owem półkolu, utworzonem przez wojsko książęce. Te, które jeszcze nie przeszły, ginęły pod nieustającym ogniem armat Wurcla i salwami piechoty niemieckiej. Nie mogły iść naprzód ani w tył, gdyż Krzywonos wganiał coraz nowe pułki, które pchając się, prąc idących przed sobą, zaparły jedyną drogę ucieczki. Rzekłbyś: Krzywonos zaprzysiągł sobie wygubić własnych ludzi, którzy staczali się, dusili, bili się pomiędzy sobą, padali, wskakiwali w wodę po obu stronach— i tonęli. Z jednego końca czerniały masy uciekających, z drugiego masy idących naprzód, w środku: góry i wały trupów, jęki, krzyk, pozbawiony dźwięków ludzkich, szał strachu, zamieszanie, chaos. Cały staw zapełnił się trupami ludzi i koni. Wody wystąpiły z brzegów.

Chwilami działa milkły. Wówczas grobla, nakształt paszczy armatniej, wyrzucała tłumy Zaporożców i czerni, które rozbiegały

się po półkolu i szły pod miecz czekającej na nie jazdy, a Wurcel poczynał grać na nowo; deszczem żelaza i ołowiu zamykał groblę, wstrzymując przypływ posiłków.

W tych krwawych zapasach upływały całe godziny.

Krzywonos, wściekły, spieniony, jeszcze nie dawał za wygraną i rzucał tysiące mołojców w paszczę śmierci.

Po drugiej zaś stronie Jeremi, ubrany w srebrne blachy, stał konno na wysokiej mogile, zwanej Krużą Mogiłą — i patrzał.

Twarz miał spokojną, wzrok jego ogarniał całą groblę, staw, brzegi Słuczy i biegł aż do miejsca, w którem, owity w błękitnawą mgłę oddalenia, stał olbrzymi tabór Krzywonosowy. Oczy księcia nie schodziły z tego zbiorowska wozów, nakoniec zwrócił się do grubego wojewody kijowskiego i rzekł:

— Dziś już nie zdobędziemy taboru.

Jakto, wasza książęca mość chciałbyś?...

— Czas prędko leci. Zapóźno! Patrz wasza mość, oto i wieczór.

Istotnie od chwili wyjazdu harcowników, bitwa podsycana uporem Krzywonosa, trwała już tak długo, że słońce miała czas przebiegnąć cały swój łuk codzienny i kłoniło się ku zachodowi. Lekkie wysokie chmurki, zwiastujące pogodę, a rozproszone jak stada białorunnych owieczek po niebie, poczęły się czerwienić i schodzić gromadami z pól niebieskich. Dopływ kozactwa od grobli ustawał zwolna, a te pułki, które już wstąpiły na nią, cofały się w popłochu i nieładzie.

Bitwa kończyła się, a kończyła dlatego, iż rozżarte zgraje opadły w końcu Krzywonosa, wołając z wściekłością:

— Zdrajco! wygubisz nas! Psie krwawy! sami cię zwiążem i Jaremie wydamy, a tak życie okupimy. Na pohybel tobie, nie nam.

— Jutro wydam wam kniazia i całe wojsko, albo sam zginę! — odpowiedział Krzywonos.

Ale spodziewane to jutro miało dopiero nastąpić, a obecne dziś było dniem pogromu i klęski. Kilka tysięcy najdzielniejszych niżowych mołojców, nie licząc czerni, poległo na polu bitwy, lub potopiło się w stawie i rzece. Blizko dwa tysiące wzięto w niewolę. Poległo czternastu pułkowników, nie licząc sotników, esaułów i rozmaitej starszyzny. Drugi po Krzywonosie wódz, Puljan, żywcem, lub ze strzaskanemi żebrami, dostał się w moc nieprzyjaciół.

— Jutro wszystkich wyreżem! — powtarzał Krzywonos. — Gorzałki ani jadła pierwej w gębę nie wezmę!

A tymczasem w przeciwnym obozie rzucano zdobyte chorągwie pod nogi strasznego księcia. Każdy ze zdobywców ciskał swoją, tak, iż utworzył się z nich stos niemały, było bowiem wszystkich czterdzieści. A gdy z kolei przechodził pan Zagłoba, zwalił swoją z taką mocą i hukiem, że aż ratyszcze (drzewce) pękło, co widząc książę zatrzymał go i pytał:

— A waść to własnemi rękoma zdobyłeś ów znak?

— Do usług waszej książęcej mości.

— Widzę tedy, żeś nietylko Ulises, ale i Achilles.

— Prosty ja żołnierz, jeno pod Aleksandrem Macedońskim służę.

— Ponieważ lafy (żołdu) waść nie bierzesz, niech że ci skarbnik jeszcze dwieście czerwonych złotych za tak cnotliwy twój proceder (postępek) wypłaci.

Pan Zagłoba za kolana księcia chwycił i rzekł:

— Wasza książęca mość! większa to łaska, niż moje męstwo, które radeby się we własnej modestyi (skromności) ukryć.

Zaledwie widzialny uśmiech błąkał się po czarniawej twarzy pana Skrzetuskiego, ale rycerz milczał i później nawet ani księciu, ani nikomu o niespokojnościach pana Zagłoby przed bitwą nie wspomniał — zaś pan Zagłoba odszedł z miną tak sierdzistą, że, widząc go żołnierze z pod innych chorągwi, pokazywali go palcami, mówiąc:

— Ten ci to jest, co dziś najwięcej dokazywał!

Noc zapadła. Po obu stronach rzeki i stawu płonęły tysiące ognisk i dymy jako kolumny wzniosły się ku niebu. Strudzony żołnierz krzepił się jadłem, gorzałką, lub ducha sobie do jutrzejszej bitwy dodawał, opowiadając czyny dzisiejszej. Ale najgłośniej rozprawiał pan Zagłoba, chwaląc się tem, czego dokazał, i tem, czegoby mógł dokazać, gdyby mu się koń nie rozparł.

— Już to mówię waszmościom, — rzekł, zwracając się do oficerów książęcych i szlachty z pod chorągwi Tyszkiewicza —że wielkie bitwy dla mnie nie nowina; doświadczyłem ich niemało i na Multanach, i w Turczech, ale żem pole zależał, bałem się— nie nieprzyjaciół, bo ktoby się tam chamstwa bał! — ale własnej zapalczywości, gdyż zaraz myślałem, że mnie zbyt daleko uniesie.

— Jakoż i uniosła waści.

— Jakoż i uniosła. Spytajcie pana Skrzetuskiego. Jakiem tylko ujrzał pana Wierszuła, padającego z koniem, zaraz chciałem, nie

pytając, na pomoc mu skoczyć. Ledwo mnie towarzysze powstrzymali.

— Tak jest! — rzecze pan Skrzetuski — musieliśmy waści hamować.

— Ale! — przerwał Karwicz — gdzie jest Wierszuł?

— Pojechał już na podjazd, nie zna on spoczynku.

— Uważcie tedy, mości panowie, — mówił pan Zagłoba, niekontent, że mu przerwano opowiadanie — jakom tę chorągiew zdobył...

— To Wierszuł nie ranny? — pytał znów Karwicz.

— ...Nie pierwszą to już zdobyłem w życiu, ale żadna nie przyszła mi z taką pracą.

— Nie ranny, jeno potłuczony — odpowiedział Azulewicz, Tatar — i wody się napił, bo padł głową do stawu.

— To się dziwię, że ryby nie pozdychały, — rzekł z gniewem pan Zagłoba — bo od takiej ognistej głowy musiała się woda zagotować.

— Wszelako wielki to kawaler!

— Nie tak zbyt wielki, skoro dość było na niego pół-Jana. Tfu z waszmościami dogadać się nie można! Moglibyście się też odemnie nauczyć, jak zdobywać chorągwie na nieprzyjacielu...

Dalszą rozmowę przerwał młodziuchny pan Aksak, który w tej chwili zbliżył się do ogniska.

— Nowiny przynoszę waszmościom! — rzekł dźwięcznym półdziecięcym głosem.

— Niańka pieluch nie uprała, kot mleko zjadł i farfurka się stłukła — mruknął pan Zagłoba.

Ale pan Aksak nie zważał na tę przymówkę do swego chłopięcego wieku i rzekł:

— Pułjana ogniem pieką...

— Będą psi mieli grzanki! — przerwał pan Zagłoba.

—... I czyni zeznania. Układy zerwane. Pan z Brusiłowa mało nie szaleje. Chmiel idzie z całą potęgą w pomoc Krzywonosowi.

— Chmiel? Cóż to Chmiel? Kto tu sobie co robi z Chmiela! Idzie Chmiel, będzie piwo, beczka ortę (grosz)! Drwimy z Chmiela... — trzepał pan Zagłoba, tocząc groźnie i dumnie oczyma po obecnych.

— Idzie więc Chmiel, ale Krzywonos na niego nie czekał i dlatego przegrał...

— Grał duda, grał — aż przegrał...

— Sześć tysięcy mołojców już jest w Machnówce. Wiedzie ich Bohun.

— Kto? kto? — spytał nagle zgoła innym głosem Zagłoba.

— Bohun.

— Nie może być!

— Tak zeznaje Pułjan.

— Maszże babo placek! — zawołał żałośnie pan Zagłoba. — Prędkoż oni tu mogą być?

— We trzech dniach. Wszelako do bitwy idąc, nie będą tak spieszyli, by koni nie zegnać.

— Ale ja będę śpieszył! — mruknął szlachcic. — Anieli Pańscy, ratujcie mnie od tego łajdaka! Oddałbym chętnie moją zdobytą chorągiew, byle ten paliwoda kark skręcił, nim tu dojdzie. Spero (mam nadzieję), że nie będziem też tu długo czekali. Pokazaliśmy Krzywonosowi co umiemy, a teraz czasby spoczynku zażyć. Nienawidzę tak owego Bohuna, że bez abominacyi (obrzydzenia) wspomnieć jego dyabelskiego nazwiska nie mogę. Otom się wybrał! Nie mogłem to w Barze siedzieć? Licho mnie tu przyniosło...

— Nie trwóż się waść — szepnął Skrzetuski — bo wstyd! Między nami nic ci nie grozi.

— Nic mi nie grozi? Waść go nie znasz! On się już może gdzie między ogniami ku nam czołgnie. — (Tu pan Zagłoba obejrzał się w okolo niespokojnie). — A i na waści on równie zacięty, jak na mnie.

— Dajże mi Boże z nim się spotkać — rzekł pan Skrzetuski.

— Jeśli to ma być łaska, to wolę jej nie doznać. Odpuszczę mu chętnie, jako chrześcijanin, wszystkie krzywdy, ale pod warunkiem że go na dwa dni przedtem powieszą. Nie trwożę się ja, ale waść nie uwierzysz nawet, jak nadzwyczajna abominacya (obrzydzenie) mnie porywa. Lubię ja wiedzieć, z kim mam do czynienia: ze szlachcicem — to ze szlachcicem, z chłopem — to z chłopem; ale to dyabeł jakiś wcielony, z którym nie wiedzieć, czego się trzymać. Ważyłem ja się na niemało z nim rzeczy, ale jakie oczy zrobił, gdym mu łeb obwiązywał, tego ja waści nie wypowiem i w godzinę śmierci pamiętać będę. Nie chcę budzić licha, kiedy śpi. Na raz sztuka. Waszmości też powiem, żeś jest niewdzięcznikiem i o tę niebogę nie dbasz...

— A to quo modo (jakim sposobem)?

— Bo — rzecze pan Zagłoba, odciągając rycerza od ogniska

waść swoim wojennym humorom i fantazyi dogadzając, wojujesz i wojujesz, a ona tam lacrimis (łzami) się każdego dnia zalewa, napróżno responsu (odpowiedzi) czekając. Czegoby inny nie uczynił, ale jużby dawno mnie wyprawił, mając w sercu afekt (miłość) prawdziwy i nad jej tęsknością zlitowanie.

— Myślisz tedy waść do Baru wracać?

— Choćby dziś, bo i mnie jej żal.

Pan Jan oczy tęskne ku gwiazdom podniósł i tak mówił:

— Nie pomawiajże mnie waszmość o nieszczerość, bo Bóg mi świadek, że kawałka chleba do ust nie wezmę, ni nędznego ciała snem nie pokrzepię, żebym wprzód o niej nie pomyślał, a już to w sercu mojem nikt stalszej nad nią rezydencyi (miejsca pobytu) mieć nie może. A żem waszmości z responsem (odpowiedzią) nie wyprawił, to dlatego, żem sam chciał jechać, aby kochaniu folgę dać, i, nie zwłócząc, ślubem się wiekuistym z nią połączyć. I niemasz takowych skrzydeł a świecie, ani takiego lotu, którym bym tam lecieć nie chciał, do tej niebogi mojej...

— To czemu waść nie lecisz?

— Bo mi przed bitwą tego uczynić nie wypada. Żołnierzem i szlachcicem jestem, przeto o honor dbać muszę...

— Ale dziś jest po bitwie, ergo (a więc)... możemy ruszyć choć zaraz...

Pan Jan westchnął.

— Jutro uderzymy na Krzywonosa...

— Tego to ja, widzi waść, nie rozumiem. Pobiliście młodego Krzywonosa, przyszedł stary Krzywonos; pobijecie starego Krzywonosa, przyjdzie młody ten tam... (żeby w złą godzinę nie wymówić)... Bohun; pobijecie jego, przyjdzie Chmielnicki. Co u dyabła! Jak tak pójdzie, to się lepiej waść odrazu zesforuj z panem Podbipiętą; będzie dudek z czystością plus Imć Skrzetuski, summa facit (co czyni razem): dwóch dudków i czystość. Dajno waćpan pokój, bo dalibóg! pierwszy będę kniaziównę namawiał, żeby waści rogi przyprawiła, a tam pan Jędrzej Potocki, jak ją ujrzy, to aż skrami parska; czekać tylko, jak zarży końską manierą (sposób). Tfu u licha! żeby mi to jaki młodzik powiadał, który bitwy nie zaznał i reputacyę czynić sobie dopiero potrzebuje, tobym rozumiał, ale nie waść, co się krwi ożlopał jak wilk, a pod Machnówką jak mnie powiadano, zabiłeś jakiegoś smoka piekielnego, czy ludo-

jada. Juro (przysięgam) na ten miesiąc niebieski, że waść coś tu kręcisz, alboś się tak już rozłakomił, że krew wolisz, niż łożnicę.

Pan Skrzetuski mimowoli na księżyc spojrzał, który na wysokiem wyiskrzonem niebie płynął, jak srebrny korab (okręt) nad obozem.

— Mylisz się waść — rzekł po chwili. — Nie we krwi smakuję, ani też na reputacyę zarabiam, ale nie godzi mi się porzucać towarzyszów w ciężkiej potrzebie, gdy chorągiew nemine excepto (nikogo wyłączając) ma stawać. W tem honor kawalerski, a to jest święta rzecz. Co zaś do wojny, to potrwa ona niezawodnie, gdyż zbyt się już rozwielmożniło tałałajstwo; wszelako Krzywonosowi idzie na pomoc Chmielnicki, to będzie przerwa. Albo jutro Krzywonos pole nam da, albo nie. Jeśli da, to z pomocą Bożą słuszne otrzyma ćwiczenie, a potem musimy iść do spokojniejszego kraju, by też tchu trochę piersiami złapa . Wszak to już dwa miesiące przeszło jak nie śpimy, nie jemy, jeno się bijem i bijem, dzień i noc dachu nad głową nie mając, na wszystkie nawałności elementów (żywiołów) narażeni. Książę to wielki wódz, ale i roztropny. Nie porwie się on na Chmielnickiego, w kilka tysięcy ludzi przeciw krociom. Wiem też, że pójdzie ku Zbarażu, tam się odżywi, żołnierzów nowych pozbiera, szlachta się z całej Rzeczypospolitej do niego zbiegnie — i dopiero na walną rozprawę ruszymy. Jutro tedy ostatni dzień pracy, a pojutrze będę już mógł z waszmością z czystem sercem do Baru ruszyć. I to jeszcze waści dla uspokojenia dodam, że ów Bohun żadną miarą na jutro nie zdąży i w bitwie nie weźmie udziału, a choćby też i wziął, mam nadzieję, że jego chłopska gwiazda nie tylko przy książęcej, ale i przy mojej rycerskiej zblednie.

— Belzebub to jest wcielony. Mówiłem waści, że nie lubię tłoku, ale on gorszy od tłoku, choć repeto (powtarzam), że nie tyle bojaźni ile wstrętu do niego przezwyciężyć nie mogę. Ale dobrze. Mniejsza z tem! Jutro tedy garbowanie chłopskich grzbietów a potem do Baru! Oj! będąż się te śliczne oczy śmiały na waćpana conspectus (widok), będzieże się to liczko płoniło! A już to, powiem waści, że i mnie do niej tęskno, bo ją jako ojciec miłuję. I nic dziw. Synów legitime natos (prawnie urodzonych) nie mam, fortuna daleko, bo aż w Turczech, gdzie mi ją pogańscy komisarze kradną, i żyję jako sierota na tym świecie, a na starość chyba do pana Podbipięty do Myszykiszek na rezydenta pójdę.

— Będzie to inaczej, niech waści głowa nie boli. Zato, coś dla nas uczynił, już też ci nadto wdzięczności okazać nie możem.

Dalszej rozmowie przeszkodził jakiś oficer, który, przechodząc tuż obok, spytał:

— A kto tam stoi?

— Wierszuł! — zawołał pan Skrzetuski, poznając po głosie. — Z podjazdu?

— Tak jest. A teraz od księcia.

— Co tam słychać?

— Bitwa jutro. Nieprzyjaciel groblę poszerza, mosty na Styrze i na Słuczy stawi, chcąc się do nas dostać koniecznie.

— A cóż książę na to?

— Książę powiedział: dobrze!

— I nic więcej.

— Nic. Nie kazał przeszkadzać, a tam siekiery aż huczą. Do rana będą pracowali.

— Języka dostałeś?

— Porwałem siedmiu. Wszyscy zeznają, iż o Chmielnickim słyszeli, że idzie, ale podobno jeszcze daleko. Co za noc!

— Widno jak w dzień. A jak ci tam po upadku?

— Kości bolą. Idę podziękować naszemu Herkulesowi, a potem spać, bom strudzon. Żeby choć ze dwie godzin podrzemać!

— Dobranoc!

— Dobranoc!

— Pójdź i waszmość, — rzekł pan Skrzetuski do Zagłoby — po późno, a jutro praca.

— A pojutrze podróż — przypomniał pan Zagłoba.

Poszli i, odmówiwszy pacierze, pokładli się koło ognia. Wkrótce też ogniska poczęły gasnąć jedne po drugich. Obóz obwijała ciemność — i tylko księżyc rzucał nań srebrne blaski, którymi rozświecał coraz to nowe grupy śpiących. Ciszę przerywało tylko ogólne, potężne chrapanie i nawoływanie strażników, czuwających za obozem.

Ale sen nie na długo skleił ciężkie powieki żołnierzy. Zaledwie pierwszy brzask zabielił cienie nocy, gdy we wszystkich końcach obozu zagrzmiały trąbki na "wstawaj!"

W godzinę potem książę, ku wielkiemu zdziwieniu rycerstwa, cofał się na całej linii.

XXXII

Ale było to cofanie się lwa, który potrzebuje miejsca do skoku.

Książę umyślnie puścił Krzywonosa za przeprawę, by tem większą zadać mu klęskę. W samym początku bitwy uderzył po koniu i począł niby uciekać, co widząc, niżowcy i czerń rozerwali swe szyki, aby go dogonić i otoczyć. Wtedy książe zwrócił się nagle i całą jazdą odrazu na nich uderzył tak strasznie, że ani przez chwilę oporu dać nie mogli. Gnano ich tedy milę do przeprawy, potem przez mosty, groble i pół mili aż do taboru, siekąc i mordując bez miłosierdzia, a bohaterem dnia tego był młody pan Aksak, który pierwszy uderzył i pierwszy popłoch rozniósł. Z takiem też tylko wojskiem, starem i wyćwiczonem, mógł książe na podobne puszczać się fortele i ucieczkę zmyślać, która w każdych innych szykach mogła na prawdziwą klęskę się zmienić. Ale za to drugi ten dzień daleko cięższą jeszcze skończył się dla Krzywonosa klęską. Pobrano wszystkie polowe działa, mnóstwo chorągwi, między niemi kilkanaście koronnych, wziętych przez zaporożców pod Korsuniem. Gdyby piechota Koryckiego i Osińskiego i armaty Wurcla mogły za jazdą nadążyć, wziętoby za jednym zamachem i tabór. Ale nim nadeszły, zrobiła się noc i nieprzyjaciel oddalił się już znacznie, tak, że go niepodobna było dosięgnąć. Wszelako Zaćwilichowski zdobył połowę taboru, a w nim ogromne zapasy broni i żywności. Czerń już po dwakroć porywała Krzywonosa, chcąc go księciu wydać, i zaledwie obietnicą natychmiastowego powrotu do Chmielnickiego zdołał się z jej rąk uratować. Uciekał też z pozostałą połową taboru zdziesiątkowany zbity, zrozpaczony i oparł się dopiero w Machnówce, dokąd nadszedłszy Chmielnicki, kazał go, w chwili pierwszego gniewu, za szyję do armaty na łańcuchu przykuć.

I dopiero gdy pierwszy gniew minął, wspomniał hetman zaporoski, że przecie nieszczęsny Krzywonos cały Wołyń krwią oblał, że Połonne zdobył, tysiące dusz szlacheckich na tamten świat wysłał a ciała zostawił bez pogrzebu, i wszędy był zwycięski, dopóki się Jeremim nie spotkał. Za te zasługi ulitował się nad nim hetman zaporoski i nietylko od armaty go zaraz kazał odczepić, ale do do-

wództwa go przywrócił i na Podole na nowe zdobycze i rzezie wysłał.

A tymczasem książe ogłosił swemu wojsku tyle pożądany wypoczynek. W ostatniej bitwie poniosło też i ono znaczne straty zwłaszcza przy szturmach jazdy na tabór, z za którego bronili się Kozacy równie zacięcie, jak zręcznie. Poległo wówczas do pięćset żołnierza. Pułkownik Mokrski, ciężko ranny, wkrótce ducha wyzionął; postrzelony był, lubo nieszkodliwie, i pan Kuszel, i Poniatowski, i młody pan Aksak, a pan Zagłoba, który oswoiwszy się z tłokiem, mężnie razem z innymi stawał, uderzony dwukrotnie cepem, rozchorzał się na krzyże i, ruszyć się nie mogąc, na powózce Skrzetuskiego jak martwy leżał.

Pomieszał więc los zamiar jechania do Baru, bo nie mogli ruszyć zaraz, tembardziej, że książe pana Skrzetuskiego na czele kilku chorągwi aż pod Zasław wysłał, by tam zebrane kupy czerni wydusił. Poszedł rycerz, słowa o Barze przed księciem nie wspomniawszy, i przez pięć dni palił i ścinał, póki okolicy nie oczyścił.

Nakoniec i ludzie strudzili się już bardzo nieustanną walką, dalekimi pochodami, zasadzkami, czuwaniem, postanowił więc wracać do księcia, o którym miał wiadomość, że do Tarnopola się udał.

W wigilię powrotu, zatrzymawszy się w Suchorzyńcach nad Chomorem, rozłożył pan Jan chorągie po wsi, a sam stanął na nocleg w chacie chłopskiej; ponieważ zaś wielce był niewywczasem i pracą wyczerpany, zasnął zaraz i spał kamiennym snem całą noc.

Nad ranem, wpół senny jeszcze, wpół przebudzony, jął majaczyć i marzyć. Dziwne obrazy poczęły mu się przesuwać przed oczyma. Więc zdawało mu się naprzód, że jest w Łubniach, jakby z nich nigdy nie wyjeżdżał, że śpi w swojej izbie w cekhauzie, i że Rzędzian, jako zwykle rankiem, krząta się koło jego odzieży i do wstawania mu ją przygotowywa.

Zwolna jednakże jawa poczęła rozpraszać przywidzenia. Przypomniał sobie rycerz, iż jest w Suchorzyńcach, a nie w Łubniach — jedna tylko postać pacholiką nie rozpływała się we mgle. I widział go ciągle pan Skrzetuski siedzącego pod oknem na zydlu i zajętego smarowaniem rzemieni u pancerza, które od upału pokurczyły się znacznie.

Wszakże ciągle jeszcze myślał, że to senna mara broi, więc przymknął nanowo oczy.

Po chwili otworzył je. Rzędzian siedział ciągle pod oknem.

— Rzędzian! — krzyknął pan Jan — tyżeś to, czyli twój duch?

Chłopak przestraszył się nagle wołania, więc pancerz upuścił z brzękiem na podłogę, ręce rozstawił i rzekł:

— O dla Boga! czego to jegomość tak krzyczy? Zaś tam jaki duch! Żyw jestem i zdrowy!

— I wróciłeś?

— Albo to mnie jegomość wypędzał?

— Pójdź tu do mnie, niech cię uścisnę!

Wierny pacholik przypadł do pana i za kolana objął, a zaś pan Skrzetuski całował go w głowę z radością wielką i powtarzał:

— Żyw jesteś! żyw jesteś!

— O mój jegomości! od radości mówić nie mogę, że też i jegomościne ciało jeszcze w zdrowiu oglądam... O dla Boga! jeno jegomość tak wrzasnął, że ażem pancerz upuścił... Rzemieniska się pokurczyły... widzę nijakiej posługi jegomość nie miał. Chwałać ci, Boże, chwała... o moje panisko kochane!

— Kiedyżeś przyjechał?

— A dziś w nocy.

— A czemużeś mnie nie obudził?

— O! miałbym budzić? Rano przyszedłem szatki wziąć...

— Skądeś przyjechał?

— A z Huszczy.

— Cóżeś tam robił? co się z tobą działo? mów, opowiadaj!

— To widzi jegomość, przyjechali Kozacy do Huszczy pana wojewodę bracławskiego rabować i palić, a ja tam już pierwej byłem, bom tam z ojcem Patronim Łaską przyjechał, który mnie od Chmielnickiego do Huszczy zabrał, bo jego do Chmielnickiego pan wojewoda z listami przysłał. Więc ja się z nim zabrałem z powrotem, a teraz Kozacy Huszczę spalili i ojca Patroniego, za jego serce ku nam, zamordowali, coby pewnie i pana wojewodę spotkało, gdyby się tam znajdował, choć on tak błahocześciwy (prawosławny) i wielki ich dobrodziej...

— Mówże tedy jasno i nie mieszaj, to zrozumieć cię nie mogę. Tośty u Kozaków, u Chmiela przesiadywał czy jak?

— Juści że u Kozaków. Bo jak mnie ogarnęli w Czehryniu, tak mnie mieli za swego i trzymali. Niechno się jegomość ubiera. Mój Boże, a takie wszystko poniszczone, że i w. rękę niema co wziąć. Bodajże cię... Mój jegomość, już też niech się jegomość nie sierdzi (gniewa), żem ja tego listu, co jegomość z Kudaku pisał,

w Rozłogach nie oddał, ale mi go ten złodziej Bohun wydarł; gdyby nie ów gruby szlachcic, to i żywotabym zbył.

— Wiem, wiem. Nie twoja wina. Ten gruby szlachcic jest w obozie. On mi wszystko opowiadał, tak właśnie, jak było. A też i pannę Bohunowi wykradł, która w dobrem zdrowiu w Barze żywie.

— O to chwała Bogu! wiedziałem też, że jej Bohun nie dostał. To już pewno weselisko niedługo.

— Pewnie że tak. Stąd zaraz ruszymy wedle ordynansu (rozkazu) do Tarnopola, a stamtąd do Baru.

— Bogu najwyższemu dzięki. Chybaż on się powiesi — ów Bohun, — ale już mu czarownica przepowiadała, że on tej, o której myśli, nigdy nie dostanie, i że Lach ją posiędzie, a ten Lach to pewnie jegomość.

— Skądże ty o tem wiesz?

— Bom słyszał. Muszę ja dokumentnie wszystko jegomości opowiedzieć, a jegomość niech się tymczasem ubiera, bo też i śniadanie dla nas warzą. Owóż jakem wyjechał tą czajką z Kudaku, takieśmy jechali okrutnie długo, bo pod wodę, a do tego popsowała nam się czajka, i trzeba było naprawiać. Jedziemy tedy, jedziemy, mój jegomość, jedziemy...

— Jedziecie, jedziecie!... — przerwał zniecierpliwiony pan Jan.

— I przyjechaliśmy do Czehrynia. A co mnie tam spotkało, to już jegomość wie.

— To już wiem.

— Owóż leżę ja w stajni, świata Bożego nie widzę. A w tem przyszedł Chmielnicki zaraz po odjeździe Bohunowym, z okrutną siłą zaporoską. A że to poprzednio pan hetman wielki pokarał Czehryńców za afekt (przyjaźń) dla Zaporożców, i wiele ludzi było w mieście pobitych i poranionych, więc oni myśleli, że ja także z tych, i dlatego nie tylko mnie nie dobili, ale jeszcze dali wygodę, opatrunek i Tatarom wziąć nie dozwolili, chociaż oni im na wszystko pozwalają. Przyszedłszy ja tedy do przytomności, myślę co mam robić? A ci złodzieje pod Korsuń tymczasem poszli i tam panów hetmanów pobili. O mój jegomość, co moje oczy widziały, tego nie wypowiedzieć! Oni zaś nic nie ukrywali, wstydu nijakiego nie znając i że to za swego mię mieli. A ja myślę: uciekać, czy nie uciekać? Alem widział, że bezpieczniej zostać, póki się lepszą okazya nie trafi. Kiedy to zaczęli zwozić z pod Korsunia makaty, rzędy, srebra, kredensy, klejnoty... oj! oj! mój jegomości — mało mi

się serce nie rozpukło i oczy z głowy nie wylazły. To ci tacy zbóje, sześć łyżek srebrnych za talara, a potem za kwartę wódki sprzedawali, a guz złoty, albo zapinkę, albo trzęsienie od czapki, to mogłeś i za pół kwarty dostać. Tak ja sobie myślę: co mam po próżnicy siedzieć, niechże skorzystam. Dali Bóg wrócić kiedy do Rzędzian na Podlasie, gdzie rodzice mieszkają, to im oddam, bo oni tam mają proces z Jaworskimi, co już pięćdziesiąt lat trwa, a niema za co go prowadzić. Więc nakupiłem, mój jegomość, tyle wszelakiego dobra, żem na dwa konie ładować musiał, mając to sobie za pocieszenie w smutkach moich, bo mi za jegomością okrutnie było tęskno.

— Oj, Rzędzian, zawsześ jednaki! Ze wszystkiego musisz mieć korzyść.

— Że mnie Bóg pobłogosławił, to cóż złego? Ja przecież nie kradnę, a że mnie jegomość dał trzosik na drogę do Rozłogów, to oto jest! Moje prawo oddać, bom też do Rozłogów nie dojechał.

Tak mówiąc, pacholik odpiął pas, wyjął trzosik i położył go przed rycerzem, a pan Skrzetuski uśmiechnął się i rzekł:

— Kiedy ci tak dobrze szło, toś pewnie ode mnie bogatszy, ale już trzymaj i ten trzosik.

— Dziękuję pokornie jegomości. Zebrało się nieco — Boża łaska! Będą się rodziciele cieszyli i dziaduś, co ma dziewięćdziesiąt lat. A już Jaworskich, to chyba do ostatniego grosza sprocesują i z torbami ich puszczą. Jegomość też skorzysta, bo już tego pasa kropiastego, co mi go jegomość w Kudaku obiecał, nie będę przypominał, choć mi się bardzo udał.

— Boś już przypomniał!... o taki synu! Prawdziwy z ciebie lupus insatiabilis (wilk nienasycony)! Nie wiem ja, gdzie ten pas — aleć skorom obiecał, to dam, nie ten, to inny.

— Dziękuję pokornie jegomości — rzekł pacholik, obejmując pańskie kolana.

— Mniejsza z tem! prawże dalej, coć spotkało.

— Bóg tedy dał korzyść między rozbójnikami. Jeno tem się trapiłem, żem nie dowiedział, co się z jegomością dzieje, i tem, że Bohun pannę zagarnął. Aż tu dają znać, że on w Czerkasach leży, ledwie żyje, bo przez kniaziów poszczerbion. Tak ja do Czerkas, jak to jegomość wie, że umiem plaster przyłożyć i rany opatrzyć. Ale już mnie z tego znali. Tak mnie tam Doniec pułkownik wysłał i sam ze mną pojechał, bym onego zbója opatrywał. Dopiero m'

ciężar z serca spadł, bom się dowiedział, że nasza panna uszła z onym szlachcicem. Poszedłem tedy do Bohuna. Myślę: pozna, nie pozna? A on w gorączce leżał, więc z początku nie poznał, i mówi: "Tyś z listem do Rozłogów jechał?" Rzeknę: "Ja". — A on znowu: "Tom ja ciebie w Czehryniu rozszczepił?" — "Tak jest." — "To ty (prawi) służysz panu Skrzetuskiemu?" Dopiero kiedy nie zacznę łgać:" "Nikomu ja już (mówię) nie służę. Więcej ja krzywd niż dobrego w tej służbie zaznał, więc wolałem na swobodę do Kozaków pójść, a waszmości już dziesięć dni pilnuję i do zdrowia doprowadzę!" Więc on uwierzył i do wielkiej ze mną konfidencyi (poufałości) przyszedł. Dowiedziałem się też od niego, że Rozłogi spalono, że kniaziów dwóch zabił, a inni, zasłyszawszy o tem, chcieli naprzód do naszego księcia iść, ale że nie mogli, więc do wojska litewskiego uciekli. Ale najgorzej, jak tego grubego szlachcica wspominał — to tak zębami, mówię jegomości, zgrzytał, jakby kto orzechy gryzł.

— Długo chorował?

— Długo, długo, bo zrazu mu się rany goiły, po tem zaś otwierały, gdyż się z początku nie zaszanował. Mało ja się to nocy przy nim wysiedziałem (żeby go usiekli)! — jak przy kim dobrym. A trzeba jegomości wiedzieć, żem ja sobie na zbawienie duszy poprzysiągł, że mu za moją krzywdę zapłacę i tego ja, mój jegomość dotrzymam, choćbym całe życie miał za nim chodzić — bo mnie niewinnego tak sponiewierał i potłukł jak psa, a ja też nie żaden cham jestem. Już on musi zginąć z mojej ręki, chyba go kto inny wcześniej zabije. To mówię jegomości, że ze sto razy miałem okazyę, bo często nikogo przy nim nie było, prócz mnie. Myślałem sobie tedy: zali mam go pchnąć, czy nie? — Ale mi było wstyd tak go żgać, w łożu leżącego.

— To ci się chwali, żeś go aegrotum et inermem (chorego i bezbronnego) nie mordował. Chłopska byłaby to sprawa nie szlachecka.

— A no widzi jegomość, ja też tak samo myślałem. Jeszczem sobie wspomniał, że jak mnie z domu rodzice wyprawiali, tak mnie dziaduś przeżegnał i powiada: "Pamiętaj, kpie, żeś szlachcic i ambicyę miej, wiernie służ, ale poniewierać się nie daj." Mówił też, że jak szlachcic po chłopsku sobie postąpi, to Pan Jezus płacze. A jam spamiętał termin i tego się wystrzegam. Musiałem więc okazyi poniechać. A tu konfidencya coraz to większa! Nieraz pyta

mnie: "Czem ja tobie nagrodzę?" — To ja: "Czem waszmość będziesz chciał!" I nie mogę się skarżyć, opatrzył mnie hojnie, a ja też wziąłem, bo myślę sobie: poco ma w zbójeckich rękach zostawać? Przez niego i inni też mi dawali, bo mówię jegomości, że tam żaden tak kochany nie jest, jak on, i od niżowych, i od czerni, chociaż w całej Rzeczypospolitej nie masz szlachcica, któryby taki kontempt (pogardę) dla czerni miał jak on...

Tu Rzędzian począł głową kręcić, jakby sobie coś przypominał i czemuś się dziwił, a po chwili tak dalej mówić począł:

— Dziwny to jest człek, i trzeba przyznać, że ma wcale szlachecką fantazyę. A tę pannę — to on miłuje! miłuje! mocny Boże! Jak tylko trochę ozdrowiał, przychodziła do niego Dońcówna, żeby mu wróżyć. I wróżyła, ale nic dobrego. Bezecna to olbrzymka, z dyabłami w komitywę wchodzi..., ale dziewczysko hoże. Jak się zaśmieje, to przysiągłbyś, że kobyła na łące rży. Zębiska białe pokazuje; tak mocna, że pancerz może rozedrzeć, a jak chodzi, to aż się ziemia trzęsie. O widać z dopuszczenia Bożego coś sobie do mnie upatrzyła, że jej się uroda moja podobała. To, bywało, nie przejdzie koło mnie, żeby mnie za łeb, albo za rękaw nie pociągnąć, albo nie szturchnąć — i nieraz mówi: "Chodź!" jam się bał, żeby mi czarny gdzie na osobności karku nie skręcił, bo zarazby wszystko com zebrał przepadło. Więc jej odpowiadam: "Mało to masz innych!" — A ona: "Udałeś mi się, chociażeś dzieciuch! udałeś mi się." — "Poszła precz, basetlo!" — To ona znów: "Udałeś mi się! udałeś mi się!"

— I widziałeś wróżby?

— Widziałem, słyszałem. Dymiska jakieś, syki, piski, jakieś cienie, ażem struchlał. Ona zaś, w środku stojąc, brwi czarne w kozła postawi i powtarza: "Lach przy niej! Lach przy niej! czyłu huku — czyłu!... Lach przy niej!" To znów pszenicy na sito nasypie i patrzy, a ziarna chodzą, jak robactwo, i: "Czyłu! huku! czyłu! Lach przy niej!" — Ej, mój jegomość! żeby to nie taki zbój, toby żal było patrzeć na tę jego desperacyę po każdej wróżbie. Bywało: zblednie, jak giezło, nawznak padnie, ręce nad głową załamie i zawodzi, i prosi się, i przeprasza panienkę, że jako gwałtownik do Rozłogów przyszedł, że braci jej pobił: "Gdzie ty zuzula? gdzie ty jedyna? (prawi) jaby na ręku ciebie nosił — a teraz nie żyć mnie bez ciebie!... Już ja cię (prawi) ręką nie tknę, twój rab (niewolnik) będę byle oczy na cię patrzały." To znów pana Zagłobę wspomni

i zgrzyta, i zębami łoże kąsa, póki go sen nie obali, ale jeszcze i przez sen jęczy a wzdycha.

— Ale nigdy mu dobrze nie wróżyła?

— Już potem nie wiem, mój jegomość, bo on ozdrowiał, a ja się też od niego odczepiłem. Przyjechał ksiądz Łasko, więc mnie Bohun to zrobił, że mogłem z nim do Huszczy jechać. Oni tam zbóje wiedzieli, że dobra wszelakiego trochę mam, a jam też nie ukrywał, że jadę rodzicieli wspomódz.

— I nie zrabowali cię?

— Może byliby to uczynili, ale szczęściem Tatarów wtedy nie było, a Kozacy nie śmieli, dla strachu przed Bohunem. Zresztą już oni mnie całkiem za swego mają. Kazał mi przecie sam Chmielnicki słuchać a donosić, co się będzie u wojewody bracławskiego mówiło, jeśli się jacy panowie zjadą... Niech mu kat świeci! Przyjechałem tedy do Huszczy, aż tu przyszły podjazdy Krzywonosowe i ojca Łaska zabiły — a jam połowę swojego dobra zakopał, a z połową tu uciekłem, zasłyszawszy, że jegomość gromi koło Zasławia. Bogu Najwyższemu niech będzie chwała, żem jegomości w dobrem zdrowiu i humorze zastał i że się jegomości weselisko szykuje... To już będzie koniec wszystkiego złego... Mówiłem ja tym złodziejom, co na księcia, naszego pana, szli, że już nie wrócą. Mają teraz! Może też i wojna się już skończy.

— Gdzie tam! Teraz się z samym Chmielnickim dopiero zacznie.

— A jegomość będzie po weselu wojował?

— Zaś myślałeś, że mnie tchórz po weselu obleci?

— Ej, nie myślałem. Wiem ja, że kogo obleci, to jegomości nie obleci, jeno tak się pytam, bo jak rodzicielom odwiozę to, com zebrał, chciałbym też z jegomością pójść. Może też Bóg mi dopomoże z mojej krzywdy się Bohunowi wypłacić, bo kiedy zdradą nie przystoi, to gdzież ja jego znajdę, jeśli nie w polu. On się nie będzie chował...

— Takiś zawzięty?

— Każdy niech będzie przy swojem. A ja, jakom sobie obiecał, tak do Turcyi pojechałbym za nim. Już nie może inaczej być. A teraz ja z jegomością do Tarnopola pojadę — a potem na wesele. Ale czemu to jegomość do Baru na Tarnopol jedzie? Wżdyć to nie po drodze.

— Bo muszę chorągwie odprowadzić.

— Rozumiem, mój jegomość.

— Teraz daj co zjeść! — rzekł pan Skrzetuski.
— Już ja o tem myślałem. Brzuch to grunt.
— Zaraz po śniadaniu ruszymy.
— To i chwała Bogu, choć koniska mam zmizerowane okrutnie.
— Każę ci dać powodnego. Będziesz już na nim jeździł.
— Dziękuję pokornie jegomości! — rzekł Rzędzian, uśmiechając się z zadowolenia na myśl, że licząc trzosik i pas kropiasty, trzeci to już go dar spotyka.

XXXIII.

XXXII.

Jechał więc pan Skrzetuski na czele chorągwi książęcych do Zbaraża, nie do Tarnopola, bo przyszedł nowy ordynans (rozkaz) że tam ma iść, a po drodze opowiadał wiernemu pacholikowi swoje własne przygody, jako w niewolę na Siczy był pojman, jako długo w niej przebył i ile przecierpiał, nim go Chmielnicki wypuścił. Szli wolno, bo choć wozów i ciężarów nie prowadzili, wszelako droga wypadła im krajem tak zniszczonym, że o żywność dla ludzi i koni z największym trudem trzeba się było starać. Gdzieniegdzie spotykali gromady ludzi wynędzniałych, zwłaszcza kobiet z dziećmi, które Boga prosiły o śmierć, lub nawet o niewolę tatarską, gdyż przynajmniej jeśćby im w pętach dawano. A był to przecie czas żniw w tej bujnej, mlekiem i miodem płynącej ziemi, ale podjazdy Krzywonosowe zniszczyły wszystko, co się tylko zniszczyć dało, a resztki mieszkańców żywiły się korą drzewną. Dopiero w pobliżu Jampola weszli rycerze w kraj wojną jeszcze nietyle zmordowany i już mając wywczasy lepsze i spiży (żywności) obfitość, szli śpiesznymi pochodami ku Zbarażowi, do którego w pięć od wyruszenia z Suchorzyniec dojechali.

W Zbarażu zjazd był wielki. Książę Jeremi zatrzymał się tam z całem wojskiem, a oprócz tego zjechało się żołnierstwa i szlachty niemało. Wojna wisiała w powietrzu, o niej tylko mówiono, miasto i okolica roiły się zbrojnym ludem. Partya pokojowa w Warszawie, podtrzymywana w nadziejach swych przez pana Kisiela, wojewodę bracławskiego, nie wyrzekła się wprawdzie jeszcze układów i zawsze wierzyła, iż można będzie nimi burzę zażegnać, ale zrozumiała jedno, że układy natenczas tylko skutek mieć mogą, gdy na poparcie ich stanie potężna armia. To też konwokacya odbyła się wśród

groźb wojennych i grzmotów, jakie zwykły burzę poprzedzać. Ogłoszono pospolite ruszenie, ściągano wojsko kwarciane, a choć kanclerz i regimentarze jeszcze wierzyli w pokój, przecie honor wojenny przeważał w duszach szlacheckich. Pogromy, dokonane przez Wiśniowieckiego, rozpaliły wyobraźnię. Umysły płonęły żądzą zemsty nad chłopstwem i żądzą odwetu za Żółte Wody, za Korsuń, za krew tylu tysięcy męczeńską śmiercią zmarłych, za hańbę i upokorzenia... Imię strasznego księcia rozbłysło słonecznym blaskiem sławy, było na wszystkich ustach, we wszystkich sercach, a z tem imieniem w parze rozlegało się od brzegów Bałtyku aż po Dzikie Pola złowrogie słowo: Wojna!

Wojna! wojna! Zwiastowały ją znaki na niebie i rozpłomienione twarze ludzkie i błyskanie mieczów, i nocne wycie psów przed chatami i rżenie koni, krew wietrzących. Wojna! Herbowy lud po wszystkich ziemiach, powiatach, dworach i zaściankach, wyciągał stare zbroice i miecze z lamusów, młodzież śpiewała pieśni o Jeremim, a niewiasty modliły się przed ołtarzami. I ruszyły się zbrojne ludyszcza (ludy), zarówno w Prusiech, Inflantach, jak w Wielkipolsce i rojnem Mazowszu, aż hen! do Bożych szczytów tatrzańskich i ciemnych borów Beskidu.

I wojna leżała w sile rzeczy. Rozbójniczy ruch Zaporoża i ludowe powstanie ukraińskiej czerni, potrzebowały jakichś wyższych haseł, niż rzeź, i rozbój, niż walka z pańszczyzną i z magnaciemi latyfundyami (posiadłościami). Zrozumiał to dobrze Chmielnicki i korzystając z tlejących rozdrażnień, z zabopólnych nadużyć i ucisków, jakich nigdy w onych surowych czasach nie brakło, socyalną (społeczną) walkę zmienił w religijną, rozniecił fanatyzm ludowy i zaraz w początkach przepaść między obu obozami wykopał — przepaść, którą nie pergaminy i układy, ale krew tylko mogła wypełnić.

I pragnąc z duszy układów, siebie tylko i własną potęgę chciał ubezpieczyć — a potem?... Co miało być potem, hetman zaporoski nie myślał, w przyszłość nie patrzał i nie dbał o nią.

Nie wiedział jednak, że owa stworzona przezeń przepaść tak jest wielka, iż żadne układy nie wyrównają jej nawet na taki czas, jakiego on sam, Chmielnicki, mógł potrzebować. Bystry polityk, nie odgadł, iż nie będzie mógł w spokoju krwawych owoców swego żywota spożywać.

A jednak łatwo to było zgadnąć, że gdzie naprzeciw siebie staną

uzbrojone krocie, tam pergaminem do spisywania aktów będą błonia, a piórami miecze i włócznie.

Toczyły się tedy wypadki siłą rzeczy ku wojnie — i nawet ludzie prości, instynktem tylko wiedzeni, odgadywali, że nie może być inaczej, a w całej Rzeczypospolitej coraz więcej oczu zwracało się na Jeremiego, który od początku wojnę na śmierć i życie ogłosił. W cieniu tej olbrzymiej postaci nikli coraz bardziej kanclerz i wojewoda bracławski i regimentarze, a między nimi potężny książę Dominik, głównym mianowany wodzem. Nikła ich powaga, znaczenie i malała karność dla władzy, którą piastowali. Kazano wojsku i szlachcie ku Lwowu, a potem ku Glinianom, jakoż i szły coraz większe zastępy. Ściągała się kwarta, za nią ziemianie pobliższych województw, ale zaraz nowe wypadki poczęły grozić powadze Rzplitej. Oto nietylko mniej karne chorągwie pospolitego ruszenia, nietylko prywatne, ale i regularne kwarciane, stanąwszy na miejscu zboru, wypowiadały posłuszeństwo regimentarzom i wbrew rozkazom ruszały do Zbaraża, aby się oddać pod rozkazy Jeremiego. Tak naprzód uczyniły województwa Kijowskie i Bracławskie, których szlachta już przedtem w znacznej części pod Jeremim służyła, za niemi poszły Ruskie, Lubelskie, za niemi wojska koronne — i już nie trudno było przewidzieć, że wszystkie inne pójdą ich śladem

Pominięty a zapomniany umyślnie Jeremi siłą rzeczy stawał się hetmanem i naczelnym wodzem całej potęgi Rzplitej. Szlachta i wojsko, oddane mu duszą i ciałem, czekały tylko jego skinienia. Władza, wojna, pokój, przyszłość Rzplitej spoczęły w jego ręku.

I rósł jeszcze z każdym dniem, bo każdego dnia nowe waliły się do niego chorągwie, i tak zolbrzymiał, że cień jego począł padać nietylko na kanclerza i regimentarzy, ale na senat, na Warszawę i całą Rzplitę.

W niechętnych mu kołach kanclerskich, w Warszawie i regimentarskim obozie, w otoczeniu księcia Dominika i u wojewody bracławskiego, poczęto przebąkiwać o jego niepomiernej ambicyi i zuchwałością; przypominano sprawę o Hadziacz, jako to zuchwały kniaź przyjechał w cztery tysiące ludzi do Warszawy i, wszedłszy do senatu, gotów był rąbać wszystkich, samego króla nie wyłączając.

"Czegoż od takiego człowieka się spodziewać i jakimże musi być teraz — mówiono — po owym Ksenofontowym odwrocie z Zadnieprza, po wszystkich przewagach wojennych i wiktoryach (zwycięstwach), które go tak niezmiernie wsławiły? W jakąż nieznośną

pychę musiał go wznieść ów fawor (łaska) żołnierstwa i szlachty? Kto mu się dziś oprze? Co się stanie z Rzecząpospolita, gdy jeden obywatel do takiej potęgi dochodzi, że może deptać wolę senatu, odejmować władzę wyznaczonym przez Rzplitą wodzom? Zali on istotnie królewicza Karola koroną ozdobić zamierza? Maryusz on jest — to prawda, ale daj Bóg, żeby w nim nie było Marka Koryolana lub Katyliny, gdyż pychą i ambicyą obydwóm wyrównywa."

Tak mówiono w Warszawie i w kołach regimentarskich, szczególnie u księcia Dominika, z którym emulacya (współzawodnictwo) Jeremiego niemałe już szkody Rzplitej przyniosła — a ów Maryusz siedział tymczasem chmurny, niezbadany. Świeże zwycięstwa nie rozpromieniły mu twarzy. Gdy bywało nowa jaka chorągiew kwarciana, albo powiatowa pospolitego ruszenia potoczyła się do Zbaraża, to wyjeżdzał naprzeciw, jednym rzutem oka oceniał jej wartość i zaraz w zadumę popadał. Żołnierze z krzykiem garnęli się do niego, padali przed nim na kolana, wołając: "Witaj, wodzu niezwyciężony! Herkulesie słowiański! do gardła przy tobie będziem!" — on zaś odpowiedał: "Czołem waszmościom! na Chrystusowym my wszyscy ordynansie (służbie), a moja szarża za nizka, bym był szafarzem krwi waszmościów!" i wracał do siebie, od ludzi uciekał, w samotności z myślami się łamiąc. Tak upływały dni całe. A tymczasem miasto wrzało rojami coraz to nowego żołnierstwa. Pospolitacy pili od rana do nocy, chodząc po ulicach, wyprawiając hałasy i burdy z oficerami cudzoziemskiego autoramentu. Regularny żołnierz, czując również cugle dyscypliny rozwolnione, używał na winie, jadle i kościach. Codziennie nowi goście, więc nowe uczty i zabawy z mieszczankami. Wojska zawaliły wszystkie ulice, stały i po wsiach okolicznych, a co za rozmaitość koni, oręża, ubiorów, piór, kolczug, misiurek, barw rozmaitych województw! Rzekłbyś: odpust jaki walny, na który połowa Rzplitej zjechała. Leci więc czasem kareta pańska, pozłocista lub purpurowa, koni przy niej sześć lub ośm z piórami, pajucy z węgierska lub po niemiecku, nadworni janczarowie, Kozacy, Tatarzy, tam znów kilku towarzyszów, świecących jedwabiem i aksamitami, bez pancerzy, rozpiera tłumy końmi anatolskimi lub perskimi. Trzęsienia u czapek i zapinki pod szyją migają ognikami od brylantów i rubinów — a wszystko ustępuje im z drogi dla powagi znaku. Tam znów przed gankiem puszy się oficer od łanowej piechoty, w świeżym błyszczącym kolecie, z długą trzciną w ręku i py-

hą na twarzy, a mieszczańskiem sercem w piersi; ówdzie migają grzebieniaste hełmy dragonów, kapelusze niemieckiej piechoty, rogatywki pospolitego ruszenia, kapuzy, kołpaki rysie. Czeladź w rozmaitych barwach uwija się, jak w ukropie na posługach. Tu i owdzie ulica zapchana wozami; tam wozy wchodzą dopiero, skrzypią niemiłosiernie, wszędy pełno krzyków, nawoływań: "Z drogi" — przekleństw czeladzi, zwad, bójek, rżenia koni. Co mniejsze uliczki tak zawalone słomą, sianem, że i przecisnąć się niepodobna.

A wśród tych świetnych strojów, migających wszystkiemi barwami tęczy, śród jedwabiów, aksamitów, tyftyków, altembasów migocących, migotania brylantów, jakże dziwnie wyglądają pułki Wiśniowieckiego, wynędzniałe, obdarte, wychudzone, w zardzewiałych pancerzach, spłowiałych barwach i podartych mundurach! Towarzysze z pod najpoważniejszych znaków wyglądają jak dziady, gorzej czeladzi innych pułków, ale wszyscy czołem przed tym łachmanami, przed tą rdzą i tą mizeryą (ubóstwem), bo to znamiona bohaterów. Wojna, zła matka, własne dzieci jak Saturn pożera, a których nie poźre, to poogryza, jak pies kości. Te spłowiałe barwy — to dżdże nocne, to pochody wśród nawałności elementów (żywiołów), albo słonecznej spiekoty; ta rdza na żelazie — to krew niestarta swoja, albo nieprzyjacielska, albo obie razem. To też Wiśniowiecczycy wszędy rej wiodą. Oni opowiadają po szynkowniach i kwaterach, a inni tylko słuchają. I czasem którego słuchających aż porwie spazm za gardło, rękoma po lędźwiach się uderzy i krzyknie: "A niechże waściów kule biją! chybaście dyabły nie ludzie!"—A Wiśniowiecczycy: "Nie nasza to zasługa, ale takiego wodza, któremu równego nie wydał jeszcze orbis terrarum (kula ziemska)." Więc wszystkie uczty kończą się okrzykami: "Vivat (niech żyje) Jeremi! vivat książę wojewoda! wódz nad wodze i hetman nad hetmany!..."

Szlachta, gdy się pobije, wypada na ulice i z rusznic a muszkietów pali, a że Wiśniowiecczycy ostrzegają ją, że do czasu tylko swoboda, że przyjdzie chwila, gdy książę ich weźmie w ręce i taką dyscyplinę zaprowadzi, o jakiej jeszcze nie słyszeli, więc tembardziej owego czasu używają. "Gaudeamus (weselmy się)! póki wolno — wołają. — Gdy pora na posłuch przyjdzie, będziem słuchali, bo jest kogo, bo to nie dziecina, nie łacina, nie pierzyna!" — I nieszczęśliwy książę Dominik najgorzej zawsze wychodził, bo mełły go na

otręby języki żołnierskie. Opowiadano, jako się po całych dniach modli, a wieczorem wisi na uchu dzbana, i co na brzuch splunie, to jedno oko otworzy i pyta: "Co takiego?" Mówiono także, że na noc "jalapam" zażywa, i że tyle bitew widział, ile ma ich na kobiercach holenderską sztuką haftowanych. Już tam nikt go nie bronił i nikt nie żałował, a najbardziej kąsali ci, którzy w jawnej z karnością wojskową stanęli niezgodzie.

Wszelako i nad tymi jeszcze celował w przekąsach i wyśmiewaniu pan Zagłoba. Już on się był ze swego bolu w krzyżach wyleczył i teraz był w swoim żywiole. Ile zaś zjadał i wypijał, daremnie spisywać, bo rzecz wiarę ludzką przechodzi. Chodziły za nim i otaczały go ustawicznie kupy żołnierzy i szlachty, a on rozprawiał, opowiadał i drwił z tych, którzy go podejmowali. Patrzał też z góry, jako stary żołnierz, na owych, którzy szli na wojnę, i z całą wyższością doświadczenia mawiał im: "Tyle waszmościów moderunki wojny zaznały, ile mniszki mężów; szaty macie świeże i larendogrą pachną, ale choć to piękny zapach, wszelako w pierwszej bitwie postaram się od waszmościów pod wiatr trzymać. Oj! kto nie wąchał wojennego czosnku, nie wie, jakie on łzy wyciska! Nie przyniesie jejmość rano piwa grzanego, ani polewki winnej! Poopadają waszmościom brzuchy, zeschniecie się, jak twaróg na słońcu. Możecie mnie wierzyć. Experientia (doświadczenie) grunt! Bywał się w różnych okazyach, bywało! zdobywało się niejedną chorągiewkę, ale już to muszę waszmościom powiedzieć, że żadna nie przyszła mi tak ciężko, jak ta pod Konstantynowem. Niech dyabli porwą tych Zaporożców! Siódme poty, mówię waszmościom, ze mnie poszły, nimem za ratyszcze uchwycił. Spytajcie pana Skrzetuskiego, tego, który Burdabuta zabił, on to na własne oczy widział i admirował (podziwiał). Ale też teraz krzyknijcie jeno Kozakowi nad uchem: "Zagłoba!" obaczycie co wam powie. Ale co to waszmościom prawić, którzyście jeno muscas (muchy) po ścianach packą bili, więcej nikogo."

— Jakżeto było? jakże? — pytali młodzi.

— A cóż to waszmościowie chcecie, żeby mi się język od kręcenia się w gębie zapalił, jak oś w wozie?

— To trzeba polać! Wina! — wola szlachta.

— Chyba że tak, — odpowiedział pan Zagłoba.

I rad, że znalazł wdzięcznych słuchaczów, opowiadał im wszystko ab ovo (od początku), od podróży do Galaty i od ucieczki z Rozło-

gów, aż do zdobycia chorągwi pod Konstantynowem; oni zaś słuchali z otwartemi usty, czasem mruczeli, gdy sławiąc własne męstwo, zanadto ich niedoświadczenie poniewierał, ale zapraszali i poili codzień w innej kwaterze.

Bawiono się tedy wesoło i huczno w Zbarażu, aż się stary Zaćwilichowski i inni poważniejsi dziwili, że książę tak długo na owe gody pozwalał; on zaś siedział ciągle w swojej kwaterze — widać umyślnie żołnierstwu folgę dał, by przed nowymi bojami wszystkiego dobrego zażyło. Tymczasem przyjechał Skrzetuski i zaraz wpadł jak w wir, jak w ukrop jaki. Chciało się też i jemu odpoczynku w kole towarzyszów posmakować, ale jeszcze bardziej chciało mu się do Baru, do kochanej jechać i wszystkich zgryzot dawnych, wszystkich obaw i utrapień w jej słodkiem objęciu zapomnieć, więc też nie zwłócząc, do księcia szedł, by zdać sprawę z wyprawy pod Zasław i pozwolenie na wyjazd uzyskać.

Znalazł księcia zmienionego do niepoznania, aż się widokiem jego przeraził — i w duchu się pytał: Tenże to jest wódz, któregom pod Machnówką i Konstantynowem widział? — Bo też przed nim stał człowiek, brzemieniem trosk pochylony, z wpadłemi oczyma i spieszczonemi usty, jakoby ciężką chorobą wewnętrzną trapiony. Zapytany o zdrowie, odrzekł krótko i sucho, że jest zdrowy, rycerz zaś dłużej pytać nie śmiał — więc dawszy sprawę z podjazdu, zaraz był prosić, by mógł na dwa miesiące chorągiew opuścić, dopóki by się nie ożenił i żony do Skrzetuszewa nie odwiózł.

Na to książę jakby się ze snu obudził. Zwykła mu dobroć rozlała się po chmurnem obliczu, i przygarnąwszy pana Skrzetuskiego, rzekł:

— Koniec więc twojej męki. Jedź, jedź, niech cię Bóg błogosławi. Sambym chciał być na twem weselu, bom to Kurcewiczównie, jako córce Wasyla, i tobie jako przyjacielowi, powinien, ale w tych czasach już mi to niepodobieństwo się ruszyć. Kiedy chcesz jechać?

— Wasza książęca mość — choćby dziś!

— To jedź jutro. Nie możesz sam jechać. Dam ci trzystu Wierszułowych Tatarów, abyś zaś ją bezpiecznie odprowadził. Z nimi najprędzej dojdziesz, a potrzebni ci będą, bo tam kupy hultajstwa się włóczą. Dam ci list do pana Jędrzeja Potockiego, ale nim go napiszę, nim Tatarzy przyjdą, nim się wreszcie i ty wybierzesz, do jutra wieczór zejdzie.

— Jak wasza książęca mość rozkaże. Ale jeszcze śmiem prosić, aby Wołodyjowski i Podbipięta mogli także ruszyć ze mną.

— Dobrze. Przyjdźże jeszcze jutro na pożegnanie i błogosławieństwo. Chciałbym też i twojej kniaziównie jaki upominek posłać. Zacna to krew. Bądźcież szczęśliwi, boście siebie warci.

Rycerz już klęczał i obejmował kolana ukochanego wodza, który jeszcze powtórzył kilkakrotnie:

— Niech ci Bóg szczęści, niech ci Bóg szczęści. No, przyjdź jeszcze jutro.

Ale rycerz nie podniósł się i nie odchodził, jakby chciał jeszcze o coś prosić, nakoniec wybuchnął:

— Wasza książęca mość!

— A co jeszcze powiesz? — pytał łagodnie książę.

— Wasza książęca mość wybaczy śmiałość ale... mnie się serce kraje i od żalu wielkiego śmiałość przychodzi: co waszej książęcei mości jest? Zali troski gnębią, czy choroba?

Książę położył mu rękę na głowie.

— Ty tego wiedzieć nie możesz! — rzekł ze słodyczą w głosie. Przyjdź jeszcze jutro.

Pan Skrzetuski wstał i odszedł ze ściśniętem sercem.

Wieczorem przyszedł do jego kwatery stary Zaćwilichowski, a z nim mały Wołodyjowski, pan Longinus Podbipięta i pan Zagłoba. Zasiedli za stołem, a wtem Rzędzian wszedł do izby, niosąc kusztyki (kieliszki) i antałek.

— W imię Ojca i Syna! — zawołał pan Zagłoba. — To widze waści pachoł zmartwychwstał.

Rzędzian zbliżył się i za kolana go objął.

— Nie zmartwychwstałem ja, alem nie umarł, dzięki pono temu, żeś mnie jegomość ratował.

A pan Skrzetuski na to:

— I do Bohuna potem na służbę przystał.

— To będzie miał w piekle promocye (poparcie) — rzekł pan Zagłoba, a zwracając się do Rzędziana: — Nie musiałeś ty tam w tej służbie rozkoszy zażyć; naści talara na pociechę.

— Dziękuję pokornie jegomości — rzekł Rzędzian.

— On! — zawołał pan Skrzetuski — to frant na cztery nogi kuty. U Kozaków łup wykupywał, a co ma, tegobyśmy obaj z waćpa-

nem nie kupili, choćbyś waćpan wszystkie swoje posiadłości w Turczech sprzedał.

— To tak? — rzekł pan Zagłoba. — Trzymajże sobie mojego talara i rośnij, lube drzewko, bo jeśli nie na Bożą mękę, to na szubienicę się przydasz. Dobrze temu pachołkowi z oczu patrzy. — Tu pan Zagłoba chwycił za ucho Rzędziana i targając je lekko, mówił dalej: — Lubię frantów i toć prorokuję, że wyjdziesz na człowieka, jeśli bydlęciem nie zostaniesz. A jak mię tam twój pan Bohun wspomina — co?

A Rzędzian uśmiechnął się, bo mu pochlebiły słowa i karesy i odparł:

— O mój jegomość, a jak on jegomości wspomina, to aż skry zębami krzesze!

— Idź do dyabła! — zawołał z nagłym gniewem pan Zagłoba. — Co mi tu będziesz bredził!

Rzędzian wyszedł, oni zaś poczęli rozmawiać o jutrzejszej podróży i szczęśliwości niezmiernej, jaka pana Jana czeka. Miód poprawił wprędce humor pana Zagłoby, który zaraz zaczął Skrzetuskiemu domawiać i o chrzcinach napomykać, to znowu o zapałach pana Jędrzeja Potockiego do kniaziówny. Pan Longinus wzdychał. Pili i radowali się w duszy. Aż wreszcie rozmowa weszła na konjunktury (położenie) wojenne i na księcia. Skrzetuski, który kilkanaście dni w obozie nie był, pytał:

— Powiedzcież mi waszmościowie, co się naszemu księciu stało? Toż to inny człowiek! Już ja tego wszystkiego nie rozumiem. Bóg mu dawał wiktoryę (zwycięstwo) za wiktoryą. Że go tam przy regimentarstwie pominęli, to i cóż? To zato teraz wszystko wojsko do niego się wali, tak, że bez niczyjej łaski hetmanem zostanie i Chmielnickiego zetrze... a on widać czegoś trapi i się trapi!..

— Może mu się pedagra zaczyna — rzecze pan Zagłoba: — jak mnie czasem w wielkim palcu łupnie, to przez trzy dni mam melancholię.

— A ja wam, brateńki, powiem — rzekł, kiwając głową pan Podbipięta. — Nie słyszałem ja tego sam od księdza Muchowieckiego alem słyszał, że tak komuś mówił, dla czego książę udręczon... Ja tam sam nie mówię: łaskawy to pan, dobry i wielki wojownik, co mnie tam jego sądzić, ale jakoby ksiądz Muchowiecki... zresztą czy ja wiem, czy co?

— No, patrzcie waszmościowie na tego Litwina! — zawołał

pan Zagłoba, — nie mam ja dworować z niego, kiedy on ludzkiej mowy nie, zna? Cóżeś waszmość chciał powiedzieć? Kołujesz, kołujesz, jako zając wedle kotliny, a w sedno nie możesz trafić.

— Cóżeś waszmość naprawdę słyszał? — spytał pan Jan.

— At! kiedy bo to... jakoby mówili, że książę za dużo krwi rozlał. Wielki to wódz, ale miary w karaniu nie zna, i teraz podobno wszystko widzi czerwono — w dzień czerwono i w noc czerwono, jakoby go czerwony obłok otaczał...

— Nie praw waść głupstw! — huknął z gniewem stary Zaćwilichowski. — Babskie to plotki. Nie było dla tego hultajstwa lepszego pana czasu pokoju, a że dla buntowników litości nie zna, to i cóż? To zasługa, nie grzech. Jakichże to mąk, jakich kar byłoby zanadto dla tych, którzy tę ojczyznę we krwi utopili, którzy Tatarom własny lud w niewolę wydali, nie chcąc znać Boga, pokażesz monstra (potwory) podobne, gdzie takie okrucieństwa, jakich się oni dopuszczali nad niewiastami i małemi dziećmi, gdzie takie zbrodnie potworne? I na to pala i szubienicy zanadto?! Tfu! tfu, waść masz żelazną rękę, ale serce niewieście. Widziałem, jakieś stękał, gdy Pułjana przypiekali, i mówiłeś, że wolałbyś go był na miejscu ubić. Ale książę nie jest baba — wie jak nagradzać, jak karać... Co mi tu waść będziesz koszałki prawił!

— Toż ja mówiłem, ojcze, że nie wiem, tłómaczył się pan Longinus.

Ale staruszek sapał jeszcze długo i ręką po mlecznej czuprynie się gładził i mruczał:

— Czerwono! hm! czerwono!... to zaś coś nowego. W głowie temu, co to wymyślił, zielono nie czerwono!

Nastała chwila ciszy: tylko przez okna dochodził wrzask hulaszczej szlachty.

Mały Wołodyjowski przerwał panujące w izbie milczenie:

— Cóż wy, ojcze, myślicie? co może być naszemu panu?

— Hm! — rzekł starzec. — Ja mu nie konfident (powiernik), więc nie wiem. Nad czemś on się zamyśla, sam z sobą się łamie. Duszne to jakieś walki, nie może być inaczej — a im dusza większa, tem męka cięższa...

I nie mylił się stary rycerz, bo oto w tej chwili ów książę, wódz zwycięzca, leżał w prochu w swojej kwaterze przed krucyfiksem i toczył jednę z najzaciętszych walk w swem życiu.

Straże na zamku zbaraskim odbywały północ, Jeremi ciągle jesz-

cze rozmawiał z Bogiem i z własną duszą wyniosłą. Rozum, sumienie, miłość dla ojczyzny, duma, poczucie własnej siły i wielkich przeznaczeń, zmieniły się w jego piersi w zapaśników i wiodły z sobą bój zacięty, od którego pękała głowa i ból targał wszystkie jego członki. Oto wbrew woli prymasa, kanclerza, senatu, regimentarzów, wbrew woli rządów, szły do tego zwycięzcy wojska kwarciane, szlachta, cudze chorągwie prywatne — słowem cała Rzeczpospolita oddawała się w ręce, uciekała się pod jego skrzydła, losy kraju powierzała jego geniuszowi i przez najlepszych synów wołała: "Ratuj, bo ty jeden ratować możesz!" Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, a pod Zbarażem stanie sto tysięcy wojowników, gotowych na bój śmiertelny ze smokiem wojny domowej. Tu obrazy przyszłości, oblane jakiemś niezmiernem światłem sławy i potęgi, poczęły się przesuwać przed oczyma kniazia. Zadrżą ci, którzy go pominąć i upokorzyć chcieli — a on porwie te żelazne hufce rycerstwa i powiedzie je w stepy ukraińskie do takich zwycięstw, do takich tryumfów, o jakich dzieje jeszcze nie słyszały. I kniaź czuje w sobie siłę odpowiednią — z ramion strzelają mu skrzydła, jakby skrzydła wielkiego Michała Archaniola. Oto zmienia się w tej chwili w jakiegoś olbrzyma, którego zamek cały, cały Zbaraż, cała Ruś objąć nie może. Na Boga! on zetrze Chmielnickiego! on zdepcze bunt — on spokój ojczyźnie powróci! Widzi rozległe błonia, krocia wojsk, słyszy huk armat, bitwa! bitwa, pogrom niesłychany, niebywały. Krocie ciał, krocie chorągwi zaścielają step zbroczony, a on tratuje po cielsku Chmielnickiego i trąby grają zwycięstwo, a głos leci od mórz do mórz... Kniaź zrywa się i ręce do Chrystusa wyciąga, a naokół jego głowy połnie jakieś czerwone światło: "Chryste, Chryste — wołał — Ty wiesz i widzisz, iż ja to uczynić potrafię, rzeknij, im iżem powinien."

Ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczy, taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto. "Na chwałę to Twoją! — woła książę — non mihi! non mihi! sed nomini Tuo da gloriam (nie mnie, nie mnie, lecz imieniowi Twojemu daj chwałę)! Na chwałę wiary i kościoła, całego chrześciaństwa! O Chryste! Chryste! I znow obraz mknie przed oczyma bohatera. Nie na zwycięstwie nad Chmielnickim kończy się ta droga. Kniaź, bunt pożarłszy, jego się ciałem jeszcze utuczy, jego siłami zolbrzymieje, krocie Kozaków do kroci szlachty przyłączy i pójdzie dalej; na Krym uderzy, stra-

szliwego smoka w jego własnej jamie dosięgnie, krzyż zatknie tam, gdzie dotąd nigdy dzwony wiernych na modlitwę nie wzywały.

Albo też pójdzie w te ziemie, które raz już kniazie Wiśniowieccy kopytami końskiemi stratowali i granice Rzeczypospolitej, a z niemi Kościoła, do ostatnich krańców ziemi rozciągnie...

Gdzie to koniec tego pędu? Gdzie koniec sławy, siły, potęgi? Niemasz go wcale...

Do komnaty zamkowej wpada białe światło miesiąca, ale zegary biją późną godzinę i kury pieją. Dzień wzejdzie już niezadługo, ale będzieli to dzień, w którym, obok słońca na niebie, nowe słońce na ziemi zaświeci?

. . . .

Tak jest! Dzieckiem byłby książę, nie mężem, gdyby tego nie uczynił, gdyby dla jakich bądź powodów przed głosem tych przeznaczeń się cofał. Oto czuje już pewien spokój, który na niego widocznie zlał Chrystus miłosierny — niechże za to będzie pochwalon!... Już myśli trzeźwiej, lżej i oczyma duszy położenie ojczyzny i wszystkich spraw jasno ogarnia. Polityka kanclerza i tych tam panów z Warszawy, również jak i wojewody bracławskiego, jest zła — i dla ojczyzny zgubna. Zdeptać naprzód Zaporoże, ocean krwi z niego wytoczyć, złamać je, zniweczyć, zgnieść, zwyciężyć a potem dopiero przyznać pokonanym wszystko — ukrócić wszelkie nadużycia, wszelkie uciski, zaprowadzić ład, pokój, mogąc dobić — do życia wrócić; oto droga, jedynie tej wielkiej, wspaniałej Rzeczypospolitej godna. Może dawniej, dawniej, można było obrać inną, dziś — nie. Do czegoż mogą bowiem doprowadzić układy, gdy naprzeciw siebie stoją krocie tysięcy zbrojnych, a choćby je zawarto — jakąż siłę mieć mogą? Nie! nie! to senne mary, to urojenia, to wojna rozciągnięta na wieki całe, to morze łez i krwi na przyszłość... Niech się uchwycą tamtej drogi, wielkiej, szlachetnej, potężnej — a on niczego więcej nie będzie ani chciał, ani pożądał. Osiądzie napowrót w swych Łubniach i będzie czekał cicho, póki go przeraźliwe trąby Gradywa na nowo do czynu nie powołają...

Niech się uchwycą... Ale kto? senat? sejmy burzliwe? kanclerz prymas, czy regimentarze? Kto prócz niego tę wielką myśl rozumie i kto wykonać ją może? Niech się znajdzie taki — to zgoda! Ale gdzie jest taki? kto ma siłę? — On jeden — nikt więcej. — Do niego idzie szlachta, do niego ściągają sojska, w jego ręku miecz Rzeczypospolitej. Przecie Rzeczpospolitą, nawet gdy pan jest

na tronie, a cóż dopiero gdy pana niema, rządzi wola tegoż narodu. Ona to — suprema lex (prawo najwyższe). A wypowiada się nie tylko na sejmach, nie tylko przez posłów, senat i kanclerzy, nie tylko przez pisane prawa i manifesty, ale jeszcze silniej, jeszcze dobitniej, jeszcze wyraźniej — czynem. Kto tu rządzi? Stan rycerski — a oto ten stan rycerski ściąga się do Zbaraża i mówi mu: Tyś jest wodzem! Cała Rzeczpospolita bez wotów władzę mu oddaje, siłą faktów, i powtarza: Tyś jest wodzem. I on miałby się cofać? Jakiejże jeszcze nominacyi potrzebuje? Od kogo ma jej czekać? Czy od tych, którzy Rzeczpospolitą zgubić, a jego upokorzyć usiłują?

Zaco, zaco? Czy zato, że gdy wszystkich ogarnęła panika, że gdy hetmani w jasyr poszli, wojska zginęły, panowie kryli się po zamkach, a Kozak postawił nogę na piersi Rzeczypospolitej, on jeden tylko zepchnął tę stopę i podniósł z prochu zemdlałą głowę tej matki — poświęcił dla niej wszystko, życie, fortunę, uratował od hańby, od śmierci — on zwycięzca!!

Kto tu zasłużeńszy, niech tedy bierze tę władzę! Komu się słuszniej należy, niech w tego ręku spocznie. On chętnie zrzeknie się tego ciężaru, chętnie Bogu i Rzeczypospolitej powie: "Puśćcie sługę w pokoju" — bo oto znużon już bardzo i sił pozbawion, a przytem i tego pewien, że pamięć jego, ni grób, nie zginie.

Ale gdy niemasz nikogo takiego — po dwakroć i trzykroć byłby dziecięciem, nie mężem, gdyby tej władzy, tej słonecznej drogi, tej świetnej, ogromnej przyszłości, w której jest ratunek Rzeczypospolitej jego słowa, potęga, szczęście, miał się wyrzekać.

I dlaczego?

Kniaź znowu głowę dumnie podniósł i płonący wzrok jego padł na Chrystusa, ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczał taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto...

Dlaczego? Bohater skronie rozpalone rękoma przycisnął... Może i jest odpowiedź. Co znaczą te głosy, które wśród złotych i tęczowych widzeń sławy, wśród szumu przyszłych zwycięstw, wśród przeczuć wielkości i potęgi, tak nieubłaganie wołają mu do duszy: "Ach! stój nieszczęsny!" Co znaczy ów niepokój, który nieustraszoną pierś jego dreszczem jakiejś trwogi przejmuje? Co znaczy, że gdy on najjaśniej i najdowodniej okazuje sobie, że władzę wziąć powinien, coś mu tam w przepaściach sumienia szepcze: "Sam się łudzisz, duma cię uwodzi, szatan pychy królestwa ci obiecuje?"..

I znów straszna walka zawrzała w duszy księcia, znów porwał go wicher trwogi, niepewności i zwątpień.

Co czyni szlachta, która do niego, zamiast do regimentarzów ciągnie? Prawo depce! Co czyni wojsko? Dyscyplinę łamie. I on, obywatel, żołnierz, ma stawać na czele bezprawia? ma je swoją powagą okrywać, ma pierwszy dać przykład niekarności, samowoli, nieposzanowania praw, i to wszystko dlatego tylko, by władzę o dwa miesiące pierwej zagarnąć, boć jeśli królewicz Karol na tron obrany będzie, to i tak ta władza go nie minie? On to ma dawać tak straszliwy przykład wiekom potomnym? Cóż bowiem się stanie? Dziś tak uczyni Wiśniowiecki, jutro Koniecpolski, Potocki Firlej, Zamoyski lub Lubomirski! A gdy każdy, bez uwagi na prawo i karność, gwoli własnej ambicyi działać rozpocznie, gdy dzieci pójdą wzorem ojców i dziadów, jakaż to przyszłość czeka ów kraj nieszczęsny? Robactwo samowoli nierząd, toczą już i tak pień tej Rzeczypospolitej; pod siekierą wojny domowej próchno się sypie, uschłe gałęzie z drzewa opadzją — co się stanie, gdy ci, którzy ochronić je powinni i strzedz jak źrenicy oka — sami ogień podkładać będą? Co się stanie? Jezu! Jezu!

Chmielnicki też dobrem publicznem się osłania i nie czyni nic innego, jeno przeciw prawu i zwierzchności powstaje.

Kniazia dreszcz przeszedł od stóp do głowy. Ręce załamał: "Zali ja mam być drugim Chmielnickim — o Chryste!"

Ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczał taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto.

Kniaź szarpał się dalej. Jeśli on władzę weźmie, a kanclerz, senart i regimentarze zdrajcą i buntownikiem go ogłoszą — to co będzie? Druga wojna domowa? A przytem, czy to Chmielnicki jest największym i najgroźniejszym wrogiem tej Rzeczypospolitej? Wszak nieraz biły w nią jeszcze większe potęgi, wszak gdy dwieście tysięcy żelaznych Niemców szło pod Grunwaldem na pułki Jagiełłowe, gdy pod Chocimem pół Azyi stanęło do boju, zguba jeszcze bliższą się zdawała — a cóż się stało z temi wrogiemi potęgami? Nie! Rzeczpospolita wojen się nie lęka i nie wojny ją zgubią! Ale czemuż to wobec takich zwycięstw, takiej utajonej siły, takiej sławy, ona, która pogromiła Krzyżaków i Turków... taka jest slaba i niedołężna, że przed jednym Kozakiem przyklękła? Że sąsiedzi rwą jej granice, że wyśmiewają ją narody, że głosu jej nikt nie slucha, o gniew jej nie dba, a wszyscy zgubę przewidują?

Ach! to właśnie duma i ambicya magnatów, to czyny na własną rękę, to samowola tego przyczyną. Wróg najgorszy to nie Chmielnicki, ale nieład wewnętrzny, ale swawola szlachty, ale szczupłość i niekarność wojska, burzliwość sejmów, niesnaski, rozterki, zamęt, niedołęstwo, prywata i niekarność — niekarność przedewszystkiem. Drzewo gnije i próchnieje od środka. Rychło czekać, jak pierwsza burza je zwali — ale parrycyda ten, kto do takiej roboty ręce przykłada, przeklęty on i dzieci jego do dziesiątego pokolenia!!!

Idźże teraz, zwycięzco z pod Niemirowa, Pohrebyszcz, Machnówki i Konstantynowa! Idź, kniaziu-wojewodo, idź, odejmij władzę regimentarzom, zdepcz prawo i zwierzchność i dawaj przykład potomnym, jak w matce targać wnętrzności.

Strach, rozpacz i obłąkanie wybiło się na twarzy kniazia... Krzyknął okropnie i chwyciwszy się rękoma za czuprynę, padł w proch przed Chrystusem.

I kajał się kniaź i bił dostojną głową w kamiennną posadzkę, a z piersi jego wydobywał się głuchy głos:

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!...

Różana jutrznia wstała już na niebie, a potem przyszło złote słońce i oświeciło salę. W gzymsach począł się świegot wróbli i jaskółek. Kniaź wstał i poszedł zbudzić pachołka Żeleńskiego, śpiącego z drugiej strony drzwi.

— Biegaj — rzekł mu — do ordynansowych i każ im zwołać tu do mnie pułkowników, którzy stoją w zamku i w mieście, tak kwarcianych, jak i z pospolitego ruszenia.

We dwie godziny później sala poczęła się napełniać wąsatemi i brodatemi postaciami wojowników. Z książęcych ludzi przyszedł stary Zaćwilichowski, Polanowski, Skrzetuski z panem Zagłobą, Wurcel, oberszter Machnicki, Wołodyjowski, Wierszuł, Poniatowski, wszyscy niemal oficerowie, aż do chorążych, prócz Kuszla, który był ku Podolu na podjazd wysłany. Z kwarty byli obecni Osiński i Korycki. Wielu znaczniejszej szlachty z pospolitego ruszenia nie można było z pierzyn powyciągać, ale przecie i tych zebrała się garść niemała — a między nimi personaci z różnych ziem, od kasztelanów aż do podkomorzych... Brzmiały szmery rozmowy i szumiało jak w ulu, a wszystko oczy zwrócone były na drzwi, przez które miał się książę ukazać.

Wtem umilkło wszystko. Książę wszedł. Twarz miał spokojną,

pogodną, i tylko zaczerwienione bezsennością oczy i wyciągnięte rysy świadczyły o przebytej walce. Ale przez ową pogodę, a nawet słodycz przebijała się powaga i nieugięta wola.

— Mości panowie! — rzekł. — Dzisiejszej nocy rozmawiałem z Bogiem i własnem sumieniem, co mnie uczynić należy: oznajmuję przeto waszmościom, a wy oznajmijcie całemu rycerstwu, iż dla dobra ojczyzny i dla zgody potrzebnej w czasach klęski, poddaję się pod komendę regimentarzów.

Głuche milczenie zapanowało w zgromadzeniu.

W południe tegoż dnia, na podwórcu zamkowym stało trzystu Wierszułowych Tatarów, gotowych do drogi z panem Skrzetuskim, a na zamku książe wojewoda wyprawiał obiad starszyźnie wojskowej, który zarazem miał być pożegnalną ucztą dla naszego rycerza. Posadzono go przy księciu, jako "pana młodego," a za nim zaraz siedział pan Zagłoba, gdyż wiedziano, iż jego to sprawność i odwaga ocaliły "pannę młodą" z ostatniej toni. Książę był wesół, bo brzemię z serca zrzucił i wznosił kielichy na pomyślność przyszłego stadła. Ściany i okna drżały od okrzyków rycerzy. W przedpokojach czyniła wrzawę służba, między którą Rzędzian rej wodził.

— Mości panowie! — rzekł książę — niechże ten trzeci kielich będzie dla przyszłej konsolacyi (pociechy). Walne to gniazdo. Daj Bóg, aby jabłka nie popadały daleko od jabłoni! Niech z tego Jastrzębca godne rodzica Jastrzębczyki się rodzą!

— Niech żyją! niech żyją!

— Na podziękowanie! — wołał Skrzetuski, wychylając ogromny kielich małmazyi.

— Niech żyją. Niech żyją!

— Crescite et multiplicamini (rośnijcie i mnóżcie się)!

— Jużeś to waszmość z pół chorągiewki powinien wystawić! — rzekł, śmiejąc się, staruszek Zaćwilichowski.

— Zaskrzetuszczy wojsko z kretesem! — już ja go znam! — krzyknął Zagłoba.

Szlachta ryknęła śmiechem. Wino szło do głów. Wszędy widać było czerwone twarze, ruszające się wąsy; humory stawały się z każdą chwilą lepsze.

— Kiedy tak — wołał rozochocony pan Jan, — to muszę się

waszmościom przyznać, że mi kukułka dwunastu chłopczyków wykukała.

— Dalibóg! wszystkie bociany od roboty pozdychają! — wołał pan Zagłoba.

Szlachta odpowiedziała nowym wybuchem śmiechu, i śmieli się wszyscy, aż się sala jakoby grzmotem rozlegała.

Wtem w progu sali ukazało się jakieś posępne widmo, okryte kurzem — i na widok stołu, uczty i rozpromienionych twarzy, zatrzymało się we drzwiach, jakby wahając się, czy wejść dalej.

Książę dostrzegł je pierwszy, brwi zmarszczył, oczy przysłonił i rzekł:

— A kto tam? A! to Kuszel! Z podjazdu! Co słychać! jakie nowiny?

— Bardzo złe, mości książę — rzekł dziwnym głosem młody oficer.

Nagła cisza zapanowała w zgromadzeniu, jakby je kto urzekł. Kielichy niesione do ust zawisły w połowie drogi, wszystkie oczy zwróciły się na Kuszla, na którego zmęczonej twarzy malowała się boleść.

— Lepiejbyś tedy ich waść nie opowiadał, gdym przy kielichu wesół — rzekł książę, — ale gdyś już zaczął, to dokończ.

— Mości książę, wolałbym i ja nie być puszczykiem, bo mi ta wiadomość przez usta nie chce się przecisnąć.

— Co się stało? Mów!

— Bar... wzięty!

XXXIII.

Pewnej pogodnej nocy, na prawym brzegu Waładynku, posuwał się w kierunku Dniestru orszak jeźdźców, złożony z kilkunastu ludzi.

Szli bardzo wolno, prawie noga za nogą. Na samym przedzie o kilkadziesiąt kroków przed innymi, jechało dwóch jakoby w przedniej straży, ale widocznie nie mieli żadnego do stróżowania i czujności powodu, bo przez cały czas rozmawiali z sobą, zamiast dawać baczenie na okolicę — i zatrzymując co chwila konie, oglądali się na resztę orszaku, a wówczas jeden z nich wołał:

— Pomału tam! pomału!

I orszak zwalniał jeszcze kroku, zaledwie posuwając się naprzód.

Nakoniec wysunąwszy się z za wzgórza, które osłaniało go swym cieniem, orszak ów szedł na przestwór oblany światłem księżyca i wtedy można było zrozumieć ostróżność pochodu: oto w środku karawany, idące obok siebie dwa konie dźwigały przywiązaną do siodeł kołyskę, w kołysce zaś leżała jakaś postać.

Srebrne promienie oświecały bladą jej twarz i zamknięte oczy.

Za kołyską jechało dziesięciu zbrojnych. Po spisach bez proporców można w nich było poznać Kozaków. Niektórzy prowadzili konie juczne, inni jechali luzem, ale o ile dwaj jadący na przedzie zdawali się nie zwracać najmniejszej uwagi na okolicę, o tyle ci oglądali się niespokojnie i trwożliwie na wszystkie strony.

A jednak okolica zdawała się być zupełną pustynią.

Ciszę przerywały tylko uderzenia kopyt końskich i wołania jednego z dwóch jadących na przedzie jeźdźców, który kiedy niekiedy powtarzał swą przestrogę:

— Pomału! ostróżnie!

Nakoniec zwrócił się do swego towarzysza

— Horpyna, daleko jeszcze? — spytał.

Towarzysz, którego zwano Horpyną, a który w istocie był przebraną po kozacku olbrzymią dziewką, popatrzał w gwiaździste niebo i odrzekł:

Niedaleko. Będziemy przed północą. Miniemy Wraże Uroczyszcze, miniemy Tatarski Rozłóg, a tam już Czortowy Jar. Oj, źleby tam przejeżdżać po północku, nim kur zapieje! Mnie można, ale źleby było, źle!

Pierwszy jeździec wzruszył ramionami.

— Wiem ja — odrzekł — że tobie czort bratem, ale na czorta są sposoby.

— Czort nie czort, a sposobu niema — odparła Horpyna. — Żeby ty, sokole, na całym świecie schowania dla swojej kniaziówny szukał, toby ty lepszego nie znalazł. Już i tędy nikt po północku nie przejdzie, chyba ze mną, a w jarze jeszcze żywy człowiek nogi nie postawił. Chce kto wróżby, to przed jarem stoi i czeka, póki nie wyjdę. Nie bój ty się. Nie przyjdą tam ani Lachy, ani Tatary, ani nikt, nikt. Czortowy Jar straszny, sam zobaczysz.

— Niech sobie będzie straszny, a ja mówię, że przyjdę, ile razy zechcę.

— Byłeś w dzień przychodził.

— Kiedy zechcę. A stanie czort w poprzek, to za rogi wezmę.

— Ej, Bohun! Bohun!

— Ej, Dończówna! Dończówna! ty się o mnie nie troszcz. Weźmie mnie czort, czy nie weźmie, to nie twoja sprawa, ale to ci powiadam: radź ty sobie ze swoimi czortami jak chcesz, byle na kniaziównę bieda nie przyszła, bo jeśli jej się co stanie, to ciebie z moich rąk ani czorty, ani upiory nie wydrą!

— Raz mnie topili, jeszcze jak my nad Donem z bratem mieszkali, drugi raz już mi w Jampolu mistrz głowę ogolił, a dlatego mi nic. Ale to inna rzecz. Ja z przyjaźni dla ciebie będę jej strzegła, by jej i włos na głowie od duchów nie spadł, a przed ludźmi u mnie będzie bezpieczna. Już ci się ona nie wymknie.

— A ty sowo! jeśli tak mówisz, to czemu ty mnie wróżyła na biedę, czemu hukała nad uchem: "Lach przy niej! Lach przy niej."

— To nie ja mówiła, to duchy. Ale się może zmieniło. Jutro ci powróżę na wodzie w kole młyńskiem. Na wodzie wszystko dobrze widać, jeno trzeba długo patrzeć. Sam zobaczysz. Ale ty wściekły pies: powiedzieć ci prawdę, to się sierdzisz i za obuch łapiesz.

Rozmowa urwała się, słychać było tylko uderzenia kopyt o kamienie i jakieś głosy dochodzące od strony rzeki, podobne do sykania koników polnych.

Bohun nie zwrócił najmniejszej uwagi na owe głosy, które jednak wśród nocy mogły dziwić; podniósł twarz ku księżycowi i zamyślił się głęboko.

— Horpyna! — rzekł po chwili.

— Czego?

— Ty czarownica, ty musisz wiedzieć: czy prawda, że jest takie ziele, że jak się go kto napije, to musi pokochać? Lubystka, czy jak?

— Lubystka. Ale na twoją biedę nic i lubystka nie poradzi. Jeśliby kniaziówna innego nie kochała, to tylko dać jej się napić, ale jeśli kocha, to wiesz co się stanie?

— Co?

— To jeszcze bardziej tego innego pokocha.

— Przepadnijże ty ze swoją lubystką! Umiesz ty źle wróżyć, a poradzić nie umiesz.

— To słuchaj: znam ja inne ziele, co w ziemi rośnie. Kto się

go napije, dwa dni i dwie nocy jak pień leży, o świecie nie wie. Tego ja ci ziela dam — a potem...

Kozak zatrząsł się na siodle i utkwił w czarownicy swe świecące w ciemności oczy.

— Co ty kraczesz? — spytał.

— Taj hodi (idź że sobie)! — zawołała wiedźma i wybuchnęła ogromnym, podobnym do rżenia klaczy śmiechem.

Śmiech ów rozległ się złowrogiem echem w rozpadlinach jarów.

— Suko! — rzekł watażka.

Potem oczy jego gasły stopniowo, popadł znów w zamyślenie, nakoniec począł mówić, jakby sam do siebie:

— Nie, nie! Kiedy my Bar brali, ja pierwszy wpadł do klasztoru, by jej przed pijanicami bronić i łeb strzaskać każdemu, ktoby się jej dotknął, a ona się nożem pchnęła — i teraz o Bożym świecie nie wie. Dotknę jej ręką, to się znów pchnie, albo do rzeki skoczy — nie upilnujesz nieszczęsny!!

— Ty w duszy Lach, nie Kozak, kiedy po kozacku nie chcesz dziewczyny zniewolić...

— Żeby ja był Lach! — zawołał Bohun — żeby ja był Lach!

I za czapkę obu rękoma się chwycił, bo jego samego ból chwycił.

— Musiała cię urzec ta Laszka — mruknęła Horpyna.

— Ej, chyba urzekła — odrzekł żałośnie. Niechby mnie pierwsza kula nie minęła, niechbym na palu sobacze życie skończył... Jednej ja chcę na świecie i ta jedna mnie nie chce!

— Durny (głupi)! — zawołała z gniewem Horpyna — toć ty ją masz!

— Stulże ty pysk! — zawołał ze wściekłością Kozak. — A jak się ona zabije, to co? ciebie rozerwę, siebie rozerwę, łeb o kamień rozbiję, ludzi będę gryzł jak pies. Jaby duszę za nią oddał, sławę kozacką oddał, uciekłby za Jahorlik, hen! od pułków za świat, aby z nią żyć, przy niej zdychać. Ot co! A ona się nożem pchnęła, i przez kogo? przeze mnie! Nożem się pchnęła, słyszysz?

— Nic jej nie będzie. Nie umrze.

— Jakby umarła, to jabym ciebie ćwiekami do drzwi przybił.

— Mocy ty żadnej nad nią nie masz!

— Nie mam, nie mam. Jabym wolał, żeby ona mnie nożem pchnęła — niechby i zabiła, byłoby lepiej.

— Głupia Laszka. Otby po dobrej woli przyhołubiła się do ciebie. Gdzie lepszego znajdzie?

— Spraw ty to, a ja ci garnek dukatów nasypię, a pereł drugi. My w Barze wzięli łupu nie mało i przedtem brali.

— Ty bogaty, jak kniaź Jarema, i sławny. Ciebie, mówią, sam Krzywonos się boi.

Kozak ręką machnął.

— Co mnie z tego, koły serdcie bołyt (kiedy serce boli)...

I znowu zapadło milczenie. Brzeg rzeki stawał się coraz dzikszy, pustszy. Białe światło księżyca nadawało fantastyczne kształty drzewom i skałom. Nakoniec Horpyna rzekła:

— Tu Wraże Uroczyszcze. Trzeba razem jechać.

— Czemu?

— Tu niedobrze.

Zatrzymali konie i po chwili orszak idący z tyłu złączył się z nimi.

Bohun wspiął się na strzemionach i zajrzał w kołyskę.

— Spyt (śpi)? — spytał.

— Spyt — odpowiedział stary Kozak — sładko jak detyna.

— Ja jej na sen dała — odrzekła wiedźma.

— Pomału, ostorożno! — mówił Bohun, wlepiając oczy w uśpioną — szczoby wy jej nie rozbudyły. Misiac jej prosto w łyczko zahladaje (księżyc jej prosto w oczy zagląda), serdeńku mojemu.

— Tycho śwityt (słabo świeci), ne rozbudyt — szepnął jeden z mołojców.

I orszak ruszył dalej. Wkrótce przybyli na Wraże Uroczyszcze. Było to wzgórze, leżące tuż przy rzece, niskie i obłe, jak leżąca na ziemi okrągła tarcza. Księżyc zalewał je zupełnie światłem, rozświecając białe, porozrzucane po całej jego przestrzeni kamienie. Gdzieniegdzie leżały one pojedyńczo, gdzieniegdzie tworzyły kupy, jakoby szczątki jakich budowli, zburzonych zamków i kościołów. Miejscami sterczały płyty kamienne, pozasadzane końcem w ziemi, nakształt nagrobków na cmentarzyskach. Całe w górze podobne było do jednego wielkiego rumowiska. I może niegdyś, dawno, za czasów Jagiełłowych, krzewiło się tu życie ludzkie — dziś wzgórze owo i cała okolica, aż pod Raszków, była głuchą pustynią, w której gnieździł się tylko dziki zwierz, nocami duchy przeklęte odprawiały swoje korowody.

Jakoż zaledwie orszak wspiął się do połowy wysokości wzgórza, trwający dotychczas lekki powiew zmienił się w prawdziwy wicher, który począł oblatywać wzgórze z jakimś posępnym, złowróż-

bnym świstem, i wówczas mołojcom wydało się, że między owemi rumowiskami odzywają się jakieś ciężkie westchnienia, jakby wychodzące z ugniecionych piersi, jakieś żałosne jęki, jakieś śmiechy, płacze i kwilenie dzieci. Całe wzgórze poczęło się ożywiać, wołać różnymi głosami. Z za kamieni zdawały się wyglądać wysokie, ciemne postacie, cienie dziwacznych kształtów prześlizgiwały się cicho między głazami, w dali, w pomroce błyskały jakieś światełka podobne do oczu wilczych, nakoniec z drugiego końca wzgórza, z pomiędzy najgęstszych kup i zwalisk, ozwało się nizkie gardłowe wycie, któremu zawtórowały zaraz inne.

— Siromachy (wilki)? — szepnął młody Kozak, zwracając się do starego esauła.

— Nie, to upiory — odpowiedział esauł jeszcze ciszej.

— O, Hospody pomyłuj! — zawołali z przerażeniem inni, zdejmując czapki i żegnając się pobożnie.

Konie poczęły tulić uszy i chrapać. Horpyna, jadąca na czele orszaku, mruczała półgłosem niezrozumiałe sło a, jak gdyby, pacierz dyabelski. Dopiero gdy przybyli na drugi kraniec wzgórza, odwróciła się i rzekła:

— No, już. Tu już dobrze. Trzymać ja je musiała zaklęciem, bo bardzo głodne.

Westchnienie ulgi wyrwało się ze wszystkich piersi. Bohun i Horpyną wysunęli się znów naprzód, a mołojcy, którzy przed chwilą tłumili oddech, poczęli szeptać do siebie i rozmawiać. Każdy przypomniał sobie, co mu się kiedy z duchami lub upiorami przytrafiło.

— Żeby nie Horpyna, to myby nie przeszli — mówił jeden.

— Mocna wid'ma.

— A nasz ataman i dit'ka nie boitsia (dyabła nie boi się). Nie patrzał, nie słuchał, jeno się na swoją mołodycię (dziewczynę) spoglądał.

— Żeby jemu się to zdarzyło, co mnie, toby nie był taki bezpieczny — rzekł stary esauł.

— A co wam się zdarzyło, ojcze Owsiwuju?

— Jechał ja raz z Reimentarówki do Hulajpola, a jechał nocą koło mogił. Wtem baczu (widzę), hyc coś z tyłu z mogiły na kulbakę. Obejrzę się: dziecko — sineńkie, bladeńkie!... Widno Tatary z matką w jasyr prowadzili i umarło bez chrztu. Oczki mu

gorcją jak świeczki, i kwili, kwili! Skoczyło mi z kulbaki na kark, aż tu czuję: kąsa za uchem. O, Hospody! upiór... Alem to na Wołoszy długo sługiwał, gdzie upiorów więcej niż ludzi i tam są na nie sposoby. Zeskoczyłem z konia i gindżałem w ziemię: "Zgiń przepadnij!" — a ono jęknęło, chwyciło się za głównię od gindżała i po ostrzu spłynęło pod murawę. Przeciąłem ziemię na krzyż i pojechałem.

— To na Wołoszy tyle upiorów, ojcze?

— Co drugi Wołoch, to po śmierci będzie upiór i wołoskie najgorsze ze wszystkich. Tam ich nazywają brukołaki.

— A kto mocniejszy, ojcze: dit'ko (dyabeł) czy upiór?

— Dit'ko mocniejszy, ale upiór zawziętszy. Dit'ka jak potrafisz zażyć, to ci będzie służył, a upiory do niczego, tylko za krwią wietrzą. Ale zawsze dit'ko nad nimi ataman.

— A Horpyna nad dit'kami reimentaruje.

Pewnie, że tak. Póki jej życia, póty reimentarstwa. No, żeby ona nie miała nad nimi władzy, toby jej ataman swojej zazuli nie oddał, brukołaki na dziewczyńską krew najłakomsze.

— A ja słyszał, że one do duszy niewinnej nie mają przystępu.

— Do duszy nie mają, ale do ciała mają.

— Oj, szkodaby krasawicy! Krew to z mlekiem! Wiedział nasz bat'ko, co w Barze brać!

Owsiwuj językiem mlasnął.

— Niema co mówić. Zołotaja Laszka....

— A mnie jej, ojcze, żal — mówił młody Kozak. — Jak my ją w kołyskę kładli, to rączki białe składała, a tak prosyła i prosyła: ubij, każe, ne huby, każe, nieszczastływoj (zabij, mówi nie będzie, mówi, nieszczęśliwej)!

— Nie będzie jej źle.

Dalszą rozmowę przerwało zbliżenie się Horpyny.

— Jej, mołojcy, — rzekła wiedźma — to Tatarski Rozłóg, ale nie bójcie się, tu tylko jedna noc w roku straszna, a Czortowy Jar i mój futor już zaraz.

Jakoż wkrótce dały się słyszeć szczekania psów. Orszak wszedł w gardło jaru, biegnącego prostopadle od rzeki, a tak wązkiego, że ledwie czterech konnych mogło w nim obok siebie postępować. Na dnie owej rozpadliny płynęła krynica, mieniąc się w świetle księżycowem jak wąż i biegąc wartko do rzeki. Ale w miarę jak orszak posuwał się naprzód, strome i urwiste ściany rozszerzały się coraz

bardziej, tworząc dość obszerny rozłóg, wznoszący się lekko w górę i zamknięty z boków skałami. Grunt gdzieniegdzie pokryty był wysokiemi drzewami. Wiatr tu nie wiał. Długie, czarne cienie kładły się od drzew na ziemię, a na przestrzeniach oblanych światłem księżyca świeciły mocno jakieś białe, okrągłe, lub wydłużone, przedmioty, w których mołojcy ze strachem poznali czaszki i piszczele ludzkie. Oglądali się też z nieufnością naokół, znacząc kiedy niekiedy krzyżami piersi i czoła. Wtem w dali błysło z pomiędzy drzew światełko, a jednocześnie nadbiegły dwa psy straszne, ogromne, czarne, ze świecącemi oczyma, szczekając i wyjąc na widok ludzi i koni. Na głos Horpyny uciszyły się wreszcie i poczęły obiegać około jeźdźców, chrapiąc przytem i charcząc ze zdyszenia.

— Nesamowite (opętane) — szeptali mołojcy.

— To nie psy — mruknął stary Owsiwuj głosem, zdradzającym głębokie przekonanie.

Tymczasem z za drzew ukazała się chata, za nią stajnia, dalej zaś i wyżej jeszcze jedna ciemna budowla. Chata na pozór była porządna i duża; w oknach jej błyszczało światło.

— To moja sadyba — rzekła do Bohuna Horpyna — a tam to młyn, co zboża nie miele, ale ja worożycha, z wody na kole wróżę. Powróżę i tobie. Mołodycia w świetlicy będzie mieszkać, ale kiedy chcesz ściany przybrać, to ją trzeba na drugą stronę tymczasem przenieść. Stójcie i z koni!

Orszak zatrzymał się, Horpyna zaś poczęła wołać:

— Czeremis, huku! huku! Czeremis.

Jakaś postać z pękiem zapalonego łuczywa w ręku wyszła przed chatę i wzniósłszy ogień w górę, poczęła w milczeniu przypatrywać się obecnym.

Był to stary człek, potwornie szpetny, mały, karzeł, z płaską kwadratową twarzą i skośnemi, podobnemi do szczelin oczyma.

— Co ty za czort? — spytał go Bohun.

— Ty jego nie pytaj — rzekła olbrzymka — on ma język obcięty.

— Pójdź tu bliżej.

— Słuchaj! — mówiła dalej dziewka — a możeby mołodycię do młyna zanieść? Tu mołojcy będą przybierać świetlnicę i ćwieki wbijać, to się rozbudzi.

Kozacy, zsiadłszy z koni, poczęli odwiązywać ostróżnie kołyskę. Sam Bohun czuwał nad wszystkiem z największą troskliwością i sam dźwigał w głowach kołyskę, gdy przenoszono ją do młyna.

Karzeł, idąc naprzód, świecił łuczywem. Kniaziówna, napojona przez Horpynę odwarem ziół usypiających, nie rozbudziła się wcale, tylko powieki drgały jej cokolwiek od światła łuczywa. Twarz jej nabierała życia od tych czerwonych blasków. Może też kołysały dziewczynę sny cudne, bo się uśmiechała słodko w czasie tego pochodu, podobnego do pogrzebu. Bohun patrzał na nią i zdawało mu się, że serce chyba mu rozsadzi żebra w piersiach. "Myłeńka moja, zazula moja!" — szeptał cicho — i groźne choć piękne lica watażki złagodniały i płonęły wielkim ogniem miłości, która go ogarnęła i ogarniała coraz bardziej, tak jak zapomniany przez wędrowca płomień ogarnia dzikie stepy.

Idąca obok Horpyna mówiła:

— Gdy się z tego snu rozbudzi, zdrowa będzie. Rana się jej goi, zdrowa będzie...

— Sława Bohu! sława Bohu! — odpowiedział watażka.

Tymczasem mołojcy poczęli przed chatą zdejmować ogromne juki z sześciu koni i wyładowywać zdobycz wziętą w makatach, kobiercach i innych kosztownościach w Barze. Rozpalono w świetlicy obfity ogień, i gdy jedni znosili coraz to nowe opony, inni przystosowywali je do drewnianych ścian izby. Bohun nietylko pomyślał o klatce bezpiecznej dla swego ptaka, ale postanowił ją przybrać, aby ptakowi niewola nie zdawała się zbyt nieznośna. Wkrótce też nadszedł z młyna i sam pilnował roboty. Noc upływała i księżyc zdjął już swoje białe światło z wierzchołków skał, a w świetlicy słychać jeszcze było przytłumione stukanie młotów. Prosta izba stawała się coraz podobniejsza do komnaty. Nakoniec, gd już ściany były obwieszone, a tok wymoszczony, przyniesiono napowrót senną kniaziównę i złożono ją na miękkich wezgłowiach.

Potem uciszyło się wszystko. Tylko w stajni jeszcze przez jakiś czas rozlegały się wśród ciszy wybuchy śmiechu, podobne do końskiego rżenia — to młoda wiedźma, baraszkując na sianie z mołojcami, rozdawała im kułaki i całusy.

XXXVI.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy nazajutrz kniaziówna otworzyła ze snu oczy.

Wzrok jej padł naprzód na pułap i zatrzymał się na nim długo,

poczem obiegł całą komnatę. Wracająca przytomność walczyła jeszcze w dziewczynie z resztkami snu i marzeń. Na twarzy jej odmalowało się zdziwienie i niepokój. Gdzie jest? skąd się wzięła i w czyjej jest mocy? Co znaczy ten przepych, którzy ją otacza? Co się z nią działo dotąd? W tej chwili straszne sceny wzięcia Baru stanęły nagle przed nią, jakby żywe. Przypomniała sobie wszystko rzeź tysięcy narodu, szlachty, mieszczan, księży, zakonnic i dzieci, pomazane krwią twarze czerni, szyje i głowy poobwijane w dymiące jeszcze trzewia, pijane wrzaski, ów sądny dzień wycinanego w pień miasta — nakoniec zjawienie się Bohuna i porwanie. Przypomniała sobie i to, jak w chwili rozpaczy padła na nóż nastawiony własną ręką — zimny pot operlił traz jej skronie. Widać nóżześliznął się jej po ramieniu, bo czuje tylko trochę bólu, ale zarazem czuje, że żyje, go, długo wieziono ją gdzieś w kołysce. Ale gdzie jest teraz? Czy w zamku jakim, czy uratowana, odbita, bezpieczna? I znowu obiega oczyma komnatę. Okienka w niej, jak w chacie chłopskiej, małe, kwadratowe i światła przez nie nie widać, bo zamiast szyb zasłaniają je błony białe. Byłażby to rzeczywiście chata chłopska? Ale nie może być, bo świadczy przeciw temu niezmierny przepych wewnętrzny. Zamiast pułapu, zwiesza się nad dziewczyną jedna ogromna opona z purpurowego jedwabiu w złote gwiazdy i księżyce, ściany niezbyt przesttrone, ale całkiem przybrane w makaty; na podłodze leży różnowzory kobierzec, jak żywymi kwiatami usłany. Okap na kominie okryty perskim tyftykiem; wszędy złote frendzle, jedwabie, aksamity, począwszy od ścian pułapu, aż do poduszek, na których spoczywa jej głowa. Jasne światło dzienne, przesiąkając przez błony okienek, rozświeca wnętrze, ale i gubi się w tych purpurach, ciemnych fioletach i szafirach aksamitu, tworząc jakąś uroczą tęczową pomrokę. Kniaziówna dziwi się, oczom nie wierzy. Czy to czary jakie, czy nie wojska księcia Jeremiego odbiły ją z rąk kozackich i złożyły w którym z książęcych zamków?

Dziewczyna złożyła ręce.

— Święta Przeczysta! spraw, aby tak się stało, aby pierwsza twarz, która się we drzwiach ukaże, była twarzą obrońcy i przyjaciela.

Wtem przez ciężką lamową kotarę, doszły do niej płynące zdaleka dźwięki teorbanu i jednocześnie głos jakiś począł nucić do wtóru znaną pieśń:

"Oj cei lubosti
'Hirsze od słabosti!
'Słabost' perebudu,
"Zdorowże ja budu,
"Wirnoho kochania
"Po wik ne zabudu."

Kniaziówna podniosła się na łożu, ale w miarę, jak słuchała, oczy jej otwierały się coraz szerzej z przerażenia — wreszcie krzyknęła strasznie i rzuciła się jak martwa na poduszki.

Poznała głos Bohuna.

Ale krzyk jej przedostał się również przez ściany świetlicy, bo po chwili ciężka kotara zaszeleściała i sam watażka ukazał się w progu.

Kurcewiczówna zakryła oczy rękoma, a zbielałe i trzęsące się jej wargi powtarzały jakby w gorączce:

— Jezus Marya! Jezus Marya!

A jednak widok, który ją tak przeraził, byłby uradował nie jedne oczy dziewczęce, bo aż łuna biła od ubioru i twarzy tego mołojca. Dyamentowe guzy jego żupana migotały, jak gwiazdy na niebie, nóż i szabla skrzyły się od klejnotów, żupan ze srebrnej lamy i czerwony kontusz podwoiły piękność jego smagłego oblicza, i tak stał przed nią wysmukły, czarnobrewy, przepyszny, najpiękniejszy ze wszystkich mołojców Ukrainy.

Ale oczy miał zamglone, jakby gwiazdy tumanem przysłonione, patrzał na nią prawie z pokorą, a widząc, że strach nie ustępuje z jej twarzy, począł mówić niskim i smutnym głosem:

— Nie bój się kniaziówno!

— Gdziem jest? gdziem jest? — pytała, poglądając na niego przez palce.

— W bezpiecznem miejscu, daleko od wojny. Nie bój się, duszo ty moja miła. Ja cię tu z Baru przywiózł, żeby się tobie krzywda nie stała od ludzi, albo od wojny. Już tam nikogo w Barze nie żywili Kozacy, tyś jedna żywa wyszła.

— Co tu waćpan robisz? dlaczego mnie prześladujesz?

— Ja ciebie prześladuję! Mój Boże miły! — i watażka ręce rozłożył i począł głową kiwać, jak człowiek, którego wielka niesprawiedliwość spotyka.

— Ja się waćpana boję okrutni

— I czemu się boisz? jeśli każesz, ode drzwi się nie ruszę — ja rab (niewolnik) twój. Mnie tu na progu siedzieć i w oczy ci patrzeć. Ja ci zła nie chcę; co ty mnie nienawidzisz? Hej Boże miły! ty się w Barze nożem pchnęła na mój widok, choć ty mnie dawno znała i wiedziała, że ja cię bronić idę. Toć ja nie obcy człowiek dla ciebie, ale druh serdeczny, a ty się nożem pchnęła, kniaziówno!

Blade policzki kniaziówny oblały się nagle krwią.

— Bom wolała śmierć niż hańbę — rzekła — i przysięgam, że jeśli mnie nie uszanujesz, to się zabiję, choćbym też i duszę zgubić miała.

Z oczu dziewczyny strzelił ogień — i widział watażka, że niema co żartować z tą krwią Kurcewiczowską, książęcą, bo w uniesieniu dotrzyma tego, czem grozi, a drugim razem lepiej nadstawi noża.

Więc nie odrzekł nic, tylko postąpił parę kroków pod okno i siadłszy na ławie pokrytej złotą lamą, zwiesił głowę.

Przez chwilę trwało milczenie.

— Bądź ty spokojna — rzekł. — Póki ja trzeźwy, póki mnie gorzałka-matka głowy nie zapali, póty ty dla mnie jak obraz w cerkwi. A od czasu, jak ja ciebie w Barze znalazł, przestałem pić. Przedtem ja pił, pił, biedę moją gorzałką-matką zalewał. Co było robić! Ale teraz do ust nie wezmę ni słodkiego wina, ni palonki.

Kniaziówna milczała.

— Popatrzę na cię, — mówił dalej — oczy krasnem liczkiem ucieszę, taj pójdę.

— Wróć mi wolność — rzekła dziewczyna.

— Albo ty w niewoli? ty tu pani. I dokąd chcesz wracać? Kurcewicze wyginęli, ogień pożarł wsie i grody, kniazia w Łubniach niema, idzie on na Chmielnickiego, a Chmielnicki na niego, wszędy wojna, krew się leje, wszędy pełno Kozaków, i ordyńców i żołnierstwa. Kto cię uszanuje, kto się ciebie użali, kto cię obroni, jeśli nie ja?

Kniaziówna oczy ku górze wzniosła, bo wspomniała, że przecie jest ktoś na świecie, ktoby przygarnął i użalił się, i bronił — ale nie chciała wymówić jego nazwiska, by lwa srogiego nie drażnić — jednocześnie zaś głęboki smutek ścisnął jej serce. Czy jeszcze żyje ten, do którego tęskni jej dusza? Będąc w Barze, wiedziała, że żyje, bo zaraz po wyjeździe Zagłoby doszło do jej uszu nazwisko Skrzetuskiego, razem z wieściami o zwycięstwach groźnego księcia. Ale od tej pory ileż to już upłynęło dni i nocy, ile mogło się zdarzyć

bitew, ile dosięgnąć go niebezpieczeństw: Wieści o nim mogły ją teraz dochodzić tylko przez Bohuna, którego pytać nie chciała i nie śmiała.

Więc głowa opadła jej na poduszki.

— Zali mam więźniem tu pozostać? — pytała z jękiem. — Co ja wąćpanu uczyniła, że chodzisz za mną, jak nieszczęście?

Kozak podniósł głowę i począł mówić tak cicho, że zaledwie było go słychać:

— Co ty mnie uczyniła — ne znaju (nie wiem), ale to znaju, że jeśli ja tobie nieszczęście, to i ty mnie nieszczęście. Gdyby ja ciebie nie pokochał, byłby ja wolny, jak wiatr w polu i na sercu swobodny, i na duszy swobodny, a sławny, jak sam Konaszewicz Sahajdaczny. Twoje to liczko mnie nieszczęście, twoje to oczy mnie nieszczęście; ani mnie wola miła, ani sława kozacza! Co mnie były krasawice, póki ty z dziecka na pannę nie wyrosła. Raz ja wziął galerę z najkraśniejszemi mołodyciami, bo je sułtanowi wieźli — i żadna serca nie zabrała. Poigrały Kozaki-braty, potem ja każdej kamień kazał do szyi i w wodę. Nie bał ja się nikogo, nie dbał o nic — wojną na pogan chodził, łup brał — i jak kniaź w zamku, tak ja był na stepie. A dziś co? Ot, siedzę tu — i rab (niewolnik), o dobre słowo u ciebie żebrzę, i wyżebrać nie mogę — i nie słyszał go nigdy, nawet wtedy, gdy cię bracia i stryjna za mnie swatali. Oj żeby ty dziewczyno była dla mnie inna, żeby ty była inna, nie stałoby się to, co się stało, nie byłby ja twoich krewnych pobił, nie byłby ja się z buntem i chłopami bratał; ale przez ciebie ja rozum stracił. Tyby mnie gdzie chciała zawiodła — jabym ci krew oddał, duszę by oddał. Ja teraz ot cały we krwi szlacheckiej ubroczon, ale dawniej ja tylko Tatarów bił, a tobie łup przywoził — żeby ty w złocie i klejnotach chodziła jak cheruwym Bożyj — czemu ty mnie wtedy nie kochała Oj ciężko, oj ciężko! żal sercu mojemu... Ni z tobą żyć, nie bez ciebie, ni zdala, ni zbliska — ni na górze, ni na dolinie — hołubko ty moja, serdeńko ty moje! No, daruj ty mnie, że ja przyszedł do Rozłogów po kozacku, z szablą i ogniem, ale ja był pijany gniewem na kniaziów i gorzałkę po drodze pił — zbój nieszczęsny! A potem, jak ty mi uciekła, tak ja poprostu jak pies wył, i rany bolały, i jeść nie chciał i śmierci-matki prosił, żeby zabrała — a ty chcesz, by ja cię teraz oddał, by utracił cię na nowo — hołubko ty moja, serdeńko ty moje!

Watażka przerwał, bo mu głos urwał się w gardle i stał się prawie

jęczący, a twarz Heleny to rumieniła się, to bladła. Im więcej niezmiernej miłości było w słowach Bohuna, tem większa przepaść otwierała się przed dziewczyną, bez dna, bez nadziei ratunku.

A Kozak odpoczął chwilę, opanował się i tak dalej mówił:

— Proś, czego chcesz. Ot, patrz, jak ta izba przybrana — to moje, to łup z Baru, na sześciu koniach ja dla ciebie to przywiózł — proś czego chcesz — złota żółtego, szat świecących, klejnotów jasnych, rabów pokornych. Ja bogaty, swego mam dość, i Chmielnicki mnie dobra nie pożałuje, i Krzywonos nie pożałuje; ty będziesz jak księżna Wiśniowiecka, zamków ci nazdobywam, pół Ukrainy ci daruję — bo choć Kozak, nie szlachcic, ale ataman buńczuczny, pode mną dziesięć tysięcy mołojców chodzi, więcej, niż pod kniaziem Jaremą. Proś czego chcesz, byleś nie chciała uciekać odemnie — byleś została ze mną, hołubko, pokochała!

Kniaziówna podniosła się na poduszkach bardzo blada — ale jej słodka, przecudna twarz wyrażała taką niezłomną wolę, dumę i siłę, że ta gołąbka podobniejsza była w tej chwili do orlęcia.

— Jeśli waćpan mej odpowiedzi czekasz — rzekła — to wiedz, iż choćbym miała wiek w twojej niewoli przejęczeć, nigdy, nigdy cię nie pokocham, tak mi dopomóż Bóg!

Bohun pasował się przez chwilę sam ze sobą.

— Ty mi takich rzeczy nie mów — rzekł chrapliwym głosem.

— Ty mi o swem kochaniu nie mów, bo mi od niego wstyd, gniew i obraza. Jam nie dla ciebie.

Watażka wstał.

— A dla kogoż ty, kniaziówno Kurcewiczówno, a czyjaby ty była w Barze, gdyby nie ja?

— Kto mnie życie ratuje, by mi dać hańbę i niewolę, ten mój wróg, nie przyjaciel.

— I ty myślisz, żeby cię chłopy zabiły? — Strach myśleć!...

— Nóżby mnie zabił, tyś mi go wydarł.

— I nie oddam, bo ty musisz być moja — wybuchnął Kozak.

— Nigdy! wolę śmierć.

— Musisz i będziesz.

— Nigdy!

— No, żeby ty nie była ranna, to po tem, co ty rzekła, jabym dziś jeszcze pchnął mołojców do Raszkowa i mnicha za łeb kazał przyprowadzić, a jutro jabym był twój mąż. Taj co? męża grzech nie kochać i nie przyhołubić. Hej! ty panno wielmożna.

tobie miłość kozacka obraza i gniew. A kto ty taka, że ja dla ciebie chłop? Gdzie twoje zamki, i bojary, i wojska? Czemu tobie gniew, czemu tobie obraza? Ja cię wojną wziął, ty branka. Oj, żeby ja był chłop, jabym cię nahajem po białych plecach rozumu nauczył i bez księdza bym się twoją krasą nasycił — żeby ja był chłop, nie rycerz!

— Anieli niebiescy, ratujcie mnie! — szepnęła kniaziówna.

A tymczasem coraz większa wściekłość wzbierała na twarzy Kozaka i gniew chwytał go za włosy.

— Ja wiem — mówi — czemu tobie obraza, czemu ty mi odporna: Dla innego chowasz swój wstyd dziewiczy — ale nic z tego, jakom żyw, jakom Kozak! Szlachcic hołota! oczajdusza Lach nieszczery! Na pohybelże jemu! Ledwie spojrzał, ledwie w tańcu zakręcił, i całą wziął, a ty, Kozacze, cierp, łbem tłucz! Ale ja jego dostanę i ze skóry każę go obedrzeć, ćwiekami nabić. Wiedz ty, że idzie Chmielnicki na Lachów, a ja idę z nim — i twego hołubka odnajdę, choćby pod ziemią, a jak wrócę, to ci wrażą jego głowę na gościniec pod nogi kinę.

Helena nie słyszała ostatnich słów atamana. Ból, gniew, rany wzruszenie, przestrach, pozbawiły ją sił — słabość niezmierna rozeszła się po jej członkach, oczy i myśli jej zgasły — i padła zemdlona.

Watażka stał czas jakiś blady z gniewu, z pianą na ustach — wtem dostrzegł tę martwą głowę zwieszoną w tył bezwładnie, i z ust wyrwał się ryk prawie nieludzki.

— Wże po niej! Horpyna! Horpyna! Horpyna!

I na ziemię runął.

Olbrzymka wpadła co duch do świetlicy.

— Szczo stoboju (co ci jest)!

— Ratuj: Ratuj! — wołał Bohun. — Zabił ja ją... duszu moju. świtło moje.

— Szczo ty zduriw (czyś oszalał)?

— Zabił, zabił! — jęczał watażka i ręce nad głową łamał.

Ale Horpyna, zbliżywszy się do kniaziówny, wnet poznała, że to nie śmierć, jeno omdlenie ciężkie i, wyprawiwszy za drzwi Bohuna, zaczęła ją ratować.

Kniaziówna otworzyła po chwili oczy.

— No, doniu, nic ci — mówiła czarownica. — Ty się widać jego przelękła i pomroka cię chwyciła — ale pomroka przejdzie, a zdro-

wie przyjdzie. Ty jak orzech dziewczyna, tobie długo jeszcze n- świecie żyć i szczęścia używać.

— Ktoś ty jest? — spytała słabym głosem kniaziówna.

— Ja sługa twoja — bo on tak kazał.

— Gdzie ja jestem?

— W Czortowym Jarze. Szczera tu pustynia, nikogo tu nie zobaczysz, prócz niego.

— Czy i ty tu mieszkasz?

— Tu nasz futor. Ja Dońcówna, brat mój pod Bohunem pułkownikuje, dobrych mołojców wodzi, a ja tu siedzę — i będę ciebie pilnowała, w tej komnacie złocistej. Z chaty terem (wspaniała komnata)! aż łuna bije! to on dla ciebie wszystko to przywiózł.

Helena patrzała w hożą twarz dziewki i twarz ta wydawała się jej pełną szczerości.

— A będziesz ty dobra dla mnie?

Białe zęby młodej wiedźmy zabłysły w uśmiechu.

— Będę. Zaśbym nie była! — rzekła — ale i ty bądź dobrą dla atamana. On sokół, on sławny mołojec, on ci...

Tu wiedźma schyliła się do ucha Heleny i zaczęła jej coś szeptać, w końcu wybuchnęła śmiechem.

— Precz: — krzyknęła kniaziówna.

XXXV.

Rankiem, we dwa dni później, Dońcówna z Bohunem siedzieli pod wierzbą, wedle młyńskiego koła, i patrzeli na pieniącą się na niem wodę.

— Będziesz jej pilnowała, będziesz jej strzegła, oka z niej nie spuścisz, żeby nigdy z jaru nie wychodziła — mówił Bohun.

— U jaru ku rzece wązka szyja, a tu miejsca dosyć. Każ szyję kamieniami zasypać, a będziem tu jak w garnku na dnie; jak mnie będzie trzeba, to sobie wyjście znajdę.

— Czem wy tu żyjecie?

— Czeremis pod skałami kukurydzę sadzi, wino sadzi, ptaki w sidła łapie. Z tem, co ty przywiózł, nie będzie niczego jej brakowało, chyba ptasiego mleka. Nie bój się, już ona z jaru nie wyjdzie, i nikt się o niej nie dowie, byle twoi ludzie nie rozgadali, że ona tu jest.

— Ja im kazał przysiądz. Oni wierni mołojcy, nie rozgadają, choćby z nich pasy darli. Ale ty sama mówiła, że tu ludzie przychodzą do ciebie, jako do worożychy.

— Czasem z Raszkowa przychodzą, a czasem jak zasłyszą, to i Bóg wie skąd. Ale zostają przy rzece, do jaru nikt nie wchodzi, bo się boją. Ty widział kości. Byli tacy, co chcieli przyjść, to ich kości leżą.

— Ty ich wymordowała?

— Kto mordował, to mordował? Chce kto wróżby, czeka u jaru, a ja do koła idę. Co zobaczę w wodzie, to pójdę i powiem. Zaraz i dla ciebie będę patrzała, jeno nie wiem, czy się co pokaże, bo nie zawsze widać.

— Byleś co złego nie zobaczyła.

— Jak będzie co złego, to nie pojedziesz. Ty takbyś lepiej nie jechał.

— Muszę. Do mnie Chmielnicki pismo do Baru pisał, żeby ja wracał, i Krzywonos przykazywał. Teraz na nas Lachy z wielką siłą idą, więc i my musimy do kupy.

— A kiedy wrócisz?

— Ne znaju. Będzie wielka bitwa, jakiej jeszcze nie bywało. Albo nam śmierć, albo Lachom. Jeśli nas pobiją, to tu się schronię, jeśli my pobijemy — to wrócę po moją zazulę i do Kijowa z nią pojadę.

— A jak zginiesz?

— Od tego ty worożycha, żebym wiedział.

— A jak zginiesz?

— Raz maty rodyła.

— Ba! A co ja mam z dziewczyną wtedy robić? Głowę jej ukręcić, czy jak?

— Dotknij ty jej ręką, a ja cię każę wołami na pal nawlec

Watażka zamyślił się ponuro.

— Jeśli zginę, tak ty jej powiedz, żeby mnie ona prostyła (przebaczyła).

— Hej, newdiaczna (niewdzięczna) to Laszka, że za takie kochanie cię nie kocha. Żeby tak na mnie, jabym ci nie była oporna — hu! hu!

To mówiąc, Horpyna trąciła po dwakroć kułakiem w bok watażkę i pokazała mu wszystkie zęby w uśmiechu.

— Idźże ty do czorta! — rzekł Kozak

— No, no! wiem ja, że ty nie dla mnie.

Bohun zapatrzył się w spienioną wodę na kole, jakby sam chciał sobie wróżyć.

— Horpyna! — rzekł po chwili.

— A co?

— Jak ja pojadę, czy ona będzie po mnie tużyła (tęskniła)?

— Kiedy ty nie chcesz jej po kozacku zniewolić, to może i lepiej, że sobie pojedziesz.

— Ne choczu, ne mohu, nie smiju (nie chcę, nie mogę, nie śmiem)! Ja wiem, że onaby umarła.

— To może lepiej, że pojedziesz. Póki ona cię widzi, nie chce ciebie i znać, ale jak posiedzi ze mną i z Czeremisem miesiąc, dwa, będziesz jej zaraz milszy.

— Gdyby ona była zdrowa, tak wiem, coby ja zrobił. Sprowadziłby popa z Raszkowa i kazał sobie ślub dać, ale teraz się boję, bo jak się przelęknie — duszę odda. Samaś widziała.

— Dajże ty pokój. A poco tobie pop i ślub. Nie szczery ty Kozak — nie! Ja tu nie chcę ani popa, ani księdza. W Raszkowie stoją Tatarzy dobrudzcy, jeszczeby ty ich na kark nam sprowadził, a jakby sprowadził, tak tyleby widział kniaziównę. Co tobie do głowy przyszło? Jedźże sobie i wracaj!

— A ty patrz w wodę i mów, co ujrzysz. Mów prawdę, a nie łżyj, choćby ty mnie nieżywego ujrzała.

Dońcówna zbliżyła się do koryta młyńskiego i podniosła drugą zastawę, wstrzymującą wodę krynicznego wodospadu; wnet wartka fala popłynęła zdwojonym pędem przez koryto; koło zaczęło się obracać szybciej, aż wreszcie zakrył je pył wodny; zbita na miazgę kłębiła piana się pod kołem, jak ukrop.

Wiedźma wpiła swoje czarne oczy w owe wary i chwyciwszy się za warkocze koło uszu, poczęła wołać:

— Huku! huku! pokaż się! W kole dębowem, w pianie białej, w tumanie jasnym, zły ty, czy dobry, pokaż się!

Bohun zbliżył się i siadł przy niej. Twarz jego wyrażała obawę i gorączkową ciekawość.

— Widzę! — krzyknęła wiedźma.

— Co widzisz?

— Śmierć mojego brata. Dwa woły Dońca na pal naciągają.

— Do czorta z twoim bratem! — mruknął Bohun, który czego innego chciał się dowiedzieć.

Przez chwilę słychać było tylko turkot koła, obracającego się jakby ze wściekłością.

— Sina u mego brata głowa, sineńka, kruki go dziobią! — rzekła wiedźma.

— Co więcej widzisz?

— Nic. O, jaki siny! Huku! huku! w kole dębowem, w pianie białej w tumanie jasnym, pokaż się! Widzę!

— A co?

— Bitwa! Lachy uciekają przed mołojcami.

— A ja gonię?

— Widzę i ciebie. Ty się z małym rycerzem potykasz. Hur! hur! hur! Ty się małego rycerza strzeż!

— A kniaziówna?

— Niema jej. Widzę cię znowu, a przy tobie ktoś, kto cię zdradzi. Twój druh nieszczery.

Bohun pożerał oczyma to piany, to Horpynę — i jednocześnie pracował głową, by pomódz wróżbom.

— Jaki druh?

— Nie widzę. Nie wiem, stary czy młody.

— Stary! pewno stary!

— Może i stary.

— To wiem, kto on. On mnie już raz zdradził. Stary szlachcic z siwą brodą i z białem okiem. Na pohybelże jemu! ale on mnie nie druh.

— On dybie na ciebie. Widzę znowu. Czekaj! jest i kniaziówna! jest, w wianku rucianym, w białej sukni, nad nią jastrząb.

— To ja.

— Może i ty. Jastrząb.. czy sokół? Jastrząb!

— To ja.

— Czekaj. Już nie widać... W kole dębowem, w pianie białej.. O! o! mnogo wojska, mnogo mołojców, oj, mnogo! jak drzew w lesie, jak bodiaków w stepie, a ty nad wszystkimi, przed tobą trzy buńczuki noszą.

— A kniaziówna przy mnie?

— Niema jej; ty w obozie.

Znowu nastała chwila milczenia. Koło huczało, aż się cały młyn trząsł.

— Hej, co tu krwi! co tu krwi! co trupów! wilcy nad nimi! krucy nad nimi! — zaraza nad nimi! Same trupy! same trupy! hen! hen! tylko trupy! nie widać nic, tylko krew!

Nagle powiew wiatru zwiał tuman z koła — a jednocześnie wyżej, nad młynem, ukazał się potworny Czeremis, z wiązką drzewa na plecach.

— Czeremis, załóż stawidło! — zawołała dziewka.

To rzekłszy, poszła umywać ręce i twarz w strudze, a karzeł zahamował tymczasem wodę.

Bohun siedział zamyślony. Zbudziło go dopiero nadejście Horpyny.

— Ty nic więcej nie widziała? — spytał ją.

— Co się pokazało, to się pokazało, nic więcej nie obaczę.

— A nie łżesz?

— Na głowę brata, prawdę mówiłam. Jego na pal wsadzą, wołami za nogi naciągną. Mnie jego żal. Hej, nie jemu jednemu śmierć pisana! Co się trupów pokazało! nigdy tyle nie widziałam; będzie wielka wojna na świecie.

— A ty ją widziała z jastrzębiem nad głową?

— Tak jest.

— I ona była w wianku?

— W wianeczku i w białej sukni.

— A skąd ty wiesz, że ten jastrząb to ja? Ja tobie o tym Lachu szlachcicu powiadał; może to on?

Dziewka zmarszczyła brwi i zadumała się.

— Nie! — rzekła po chwili, wstrząsając głową — kołyby buw (gdyby był) Lach, toby buw oreł.

— Sława Bohu! sława Bohu! Pójdę ja teraz do mołojców, żeby konie do drogi gotowali. W nocy ruszymy.

— Tak i koniecznie pojedziesz?

— Chmiel przykazywał i Krzywonos przykazywał. Ty dobrze widziała, że będzie wielka wojna, bo to samo ja w Barze w piśmie od Chmiela czytał.

Bohun wprawdzie nie umiał czytać, ale wstydził się tego, bo nie chciał za prostaka uchodzić.

— To i jedź! — rzekła wiedźma. — Ty szczęśliwy, hetmanem

zostaniesz, ja ot tak nad tobą trzy buńczuki widziała, jako te palce widzę.

— I hetmanem zostanę i kniaziównę za żynku (żonę) wezmę, mnie nie chłopkę brać.

— Z chłopką tyby inaczej gadał, ale tej cię wstyd. Ty powinien być Lachem.

— Jaże ne hirszy (gorszy).

To rzekłszy, Bohun poszedł do stajni, do mołojców, a Horpyna jedzenie warzyć.

Wieczorem konie były gotowe do drogi, ale watażce nie sporo było odjeżdżać. Siedział na pęku kobierców w świetlicy, z teorbanem w ręku i patrzał na swoją kniaziównę, która już podniosła się z łoża, ale zasunąwszy się w drugi kąt izby, odmawiała cicho różaniec, nie zwracając żadnej uwagi na watażkę, tak, jakby go wcale w świetlicy nie było. On, przeciwnie, śledził z pod ściany oczyma każdy jej ruch, łowił uszami każde westchnienie — i sam nie wiedział, co z sobą robić. Co chwila otwierał usta, by rozpocząć rozmowę, i słowa nie chciały mu wychodzić z gardła. Onieśmielała go twarz blada, milcząca, z wyrazem pewnej surowości w brwiach i ustach. Tego wyrazu nie widywał poprzednio na niej Bohun. I mimowoli przypomniał sobie podobne wieczory w Rozłogach, i stanęły mu w myśli jakoby żywe, jako siadali on i Kurcewicze naokół dębowego stołu. Stara kniahini łuszczyła słoneczniki, kniazie rzucali kości z kubka — on wpatrywał się w śliczną kniaziównę tak, jak i teraz się wpatruje. Ale wówczas bywał szczęśliwy, wówczas, gdy opowiadał swe wyprawy z siczowymi — ona słuchała — i czasem jej czarne oczy spoczywały na jego twarzy, a rozchylone usta malinowe świadczyły, z jakiem słuchała zajęciem. Teraz ani spojrzała. Wówczas bywało, gdy grywał na teorbanie, ona i słuchała, i patrzała, a jemu aż serce tajało. I dziw nad dziwy: on teraz jej pan, on ją wziął zbrojną ręką, ona jego branka, jego niewolnica — może jej rozkazywać, a przecie wówczas czuł się i bliższy jej i równiejszy stanem. — Kurcewicze byli jego bracia, więc ona, ich siostrą, była mu nietylko zazulą, sokołem, najmilszą czarnobrewą, ale jakby i krewniaczką. A teraz siedzi przed nim pani dumna, chmurna, milcząca, niemiłosierna. Ej, gniew w nim wrze. Pokazałby on jej, co to Kozaka poniewierać, ale on tę niemiłosierną panią kocha — krew by za nią wytoczył, a ile razy gniew go za piersi pochwyci — to jakby jakaś niewidzialna ręka chwyta go za

czub, jakiś głos huknie w ucho: "stój!" Zresztą, ot, wybuchał już jak płomień i potem łbem tłukł o ziemię. Tyle było z tego. Więc wije się Kozaczysko, bo czuje, iż on jej cięży w tej izbie. Niechby się uśmiechnęła, słowo dobre dała — to padłby jej do nóg i pojechał do czorta, by całą swą zgryzotę, gniew, poniewierkę w lackiej krwi utopić. A tu on jak niewolnik przed tą kniaziówną. Gdyby to on jej dawniej nie znał, gdyby to była Laszka, wzięta z pierwszego szlacheckiego dworu, miałby więcej śmiałości — ale to kniaziówna Helena, o którą on się Kurcewiczom kłaniał, za którą i Rozłogi, i wszystko co miał, chciał oddać. Tem mu większy wstyd chłopem być przy niej, tem mniej do niej śmiały.

Czas upływa, a z przed chaty dochodzi szmer rozmów mołojców, którzy pewnie już na kulbakach siedzą i na atamana czekają, a ataman w męce. Jasny płomień łuczywa pada na jego twarz, na bogaty kontusz i na teorban — a ona, żeby choć spojrzała! Atamanowi i gorzko, i gniewno, i tęskno, i głupio. Chciałby się pożegnać czule, a boi się tego pożegnania, że nie będzie takie, jakiegoby z duszy pragnął, boi się, że odjedzie z goryczą, z gniewem, z bólem.

Ej! gdyby to nie była kniaziówna Helena, kniaziówna Helena nożem pchnięta, śmiercią z własnej ręki grożąca, a miła, a miła! im okrutniejsza i dumniejsza, tem milsza!...

Wtem koń zarżał za oknem.

Watażka zebrał odwagę.

— Kniaziówno! — rzekł — już mnie czas w drogę.

Helena milczała.

— A ty mnie nie powiesz: z Bogiem?

— Jedź waćpan z Bogiem! — rzekła poważnie.

Kozakowi ścisnęło się serce: powiedziała to, czego chciał, ale on chciał inaczej.

— No, wiem ja — rzekł, — że ty na mnie gniewna, że ty mnie nienawidzisz, ale to ci powiem, że inny gorszyby był dla ciebie ode mnie. Ja cię tu przywiózł, bo nie mógł inaczej, ale co ja ci złego zrobił? Czy nie obchodzę się z tobą, jak się godzi, jak z królewną? Sama powiedz. Czy to ja już taki zbój, że ty mnie dobrego słowa nie dasz? A przecie ty w mojej mocy.

— W Bożej jestem mocy — rzekła z tą samą jak i poprzednio powagą, ale że waćpan się przy mnie hamujesz, dziękuję i za to.

— To już pojadę, chociaż z takiem słowem. Może pożałujesz, może zatęsknisz!

Helena milczała.

— Żal mi cię tu samą zostawić — mówił Bohun, — żal odjeżdżać, ale mus. Lepiejby było, żeby ty się uśmiechnęła, żebyś krzyżyk ze szczerego serca dała. Co ja mam uczynić, żeby cię przejednać?

— Wróć mi wolność, a Bóg ci wszystko odpuści, i ja ci odpuszczę, i błogosławić ci będę.

— No, może jeszcze będziesz wolna — rzekł Kozak, — ale ty jeszcze pożałujesz, żęś taka dla mnie sroga.

Bohhn chciał kupić chwilę pożegnania, choćby za pół obietnicę, której dotrzymać nie myślał — i dokazał swego, bo światło nadziei błysnęło w oczach Heleny i surowość z jej twarzy znikła. Splotła dłonie przy piersiach i utkwiła w niego wzrok jasny.

— Byłżebyś ty...

— No, ne znaju — rzekł cicho Kozak, bo go i wstyd i litość chwyciły jednocześnie za gardło. — Teraz ja nie mogę, nie mogę — orda w Dzikich Polach leży, czambuły wszędy chodzą — od Raszkowa dobrudzcy Tatarzy idą — ne mohu, bo strach, ale jak wrócę... Ja przy tobie detyna.Ty ze mną co chcesz zrobisz. Ne znaju... ne znaju (nie wiem)!...

— Niech cię Bóg natchnie, niechże cię Święta Przeczysta natchnie... Jedź z Bogiem!

I wyciągnęła ku niemu rękę. Bohun skoczył i wpił w nią wargi — nagle podniósł głowę, napotkał jej wzrok poważny — i rękę puścił. Natomiast, cofając się ku drzwiom, bił pokłony w pas po kozacku, bił jeszcze we drzwiach i wreszcie zniknął za kotarą.

Wkrótce przez okna doszedł żywszy gwar rozmowy, brzęk broni, a później słowa pieśni, połamanej na kilkanaście głosów:

Bude sława sławna (Będzie chwała wielka)
Pomeż Kozakami (Między Kozakami),
Pomeż druhami (Między przyjaciółmi),
Na dowhija lita (Na długie lata),
Do kińca wika (Do końca wieku)...

Głosy i tętent oddalały się i cichły coraz bardziej.

XXXVI.

— Cud jawny już Pan Bóg raz nad nią okazał — mówił pan Zagłoba do Wołodyjowskiego i Podbipięty, siedząc w kwaterze Skrzetuskiego — cud jawny, mówię, że mi ją pozwolił z rąk sobaczych wyrwać i przez całą drogę ustrzedz; ufajmy, że się jeszcze nad nią i nad nami zmiłuje. Byle tylko żywa była. A tak mi coś szepce, że on ją znowu porwał. Bo uważcie waszmościowie: przecie, jako nam języki powiadały, on po Pułjanie przy Krzywonosie drugim sprawcą został — żeby go dyabli sprawili! — a więc przy wzięciu Baru musiał być.

— Mógł jej nie odnaleźć w owym tłumie nieszczęsnych; przecie tam na dwadzieścia tysięcy ludu wycięto! — rzecze pan Wołodyjowski.

— To jego waść nie znasz. A jabym przysiągł, iż on wiedział, że ona jest w Barze. Owóż nie może być inaczej, tylko on ją z rzezi salwował (ratował) i gdzieś wywiózł.

— Niewielką nam waść pociechę powiadasz, bo na miejscu pana Skrzetuskiego wolałbym, żeby zginęła, niż żeby miała w jego plugawych ręku zostawać.

— I to nie pociecha, bo jeśli zginęła, to pohańbiona.

— Desperacya! — rzecze Wołodyjowski.

— Och, desperacya! — powtórzył Longinus.

Zagłoba począł szarpać wąs i brodę, nakoniec wybuchnął:

— Żeby ich parchy zjadły, cały ten ród arcypieski! żeby z ich bebechów poganie cięciwy pokręcili! Bóg stworzył wszystkie nacye, ale ich dyabeł, takich synów, sodomitów! Bodaj im wszystkie ich maciory zjałowiały!

— Nie znałem ja tej słodkiej panny — mówił smutnie Wołodyjowski — ale wolałbym, żeby mnie samego nieszczęście pościgło.

— Raz ja ją w życiu widziałem, ale gdy wspomnę, z żalu żyć hadko! — rzekł pan Longinus.

— To wam — wołał pan Zagłoba, — a cóż mnie, którym ją ojcowskim afektem umiłował i z toni takiej wyprowadził — cóż mnie?

— A cóż panu Skrzetuskiemu? — pytał Wołodyjowski.

I tak desperowali rycerze, a następnie pogrążyli się w milczeniu.

Pierwszy ocknął się pan Zagłoba.

— Zali już niema rady? spytał.

— Jeśli rady niema, to obowiązek jest pomścić — odpowiedział Wołodyjowski.

— Oby Bóg dał prędzej walną bitwę! — westchnął pan Longinus. — Mówią o Tatarach, że już się przeprawili i w polach koszem zapadli.

Na to pan Zagłoba:

— Nie może być, abyśmy ją niebogę tak zostawili, niczego dla jej ratunku nie przedsiębiorąc. Dość ja już po świecie starych kości natłukłem, lepiejby mi teraz gdzie w spokoju, w jakiej piekarni dla ciepła legiwać, ale dla tej niebogi pójdę jeszcze choćby do Stambułu, choćbym nanowo chłopską siermięgę miał włożyć i teorban wziąć, na który bez abominacyi (obrzydzenia) spojrzeć nie mogę.

— Waćpan tak w fortele obfity, wymyślże co — rzekł pan Podbipięta.

— Siła mi już sposobów przez głowę przechodziło. Gdyby choć połowę takich miał książę Dominik, toby już Chmielnicki wypatroszony za zadnie nogi na szubienicy wisiał. Mówiłem już o tem i ze Skrzetuskim, ale z nim się teraz nie można niczego dogadać. Boleść się w nim zapiekła i nurtuje go gorzej choroby. Wy jego pilnujcie, żeby mu się rozum nie pomieszał. Często się trafia, że od wielkich smutków mens (mózg) poczyna robić jak wino, aż w końcu skiśnie.

— Bywa to, bywa! — rzekł pan Longinus.

Pan Wołodyjowski poruszył się niecierpliwie i spytał:

— Jakież są tedy waści sposoby?

— Moje sposoby? Owóż naprzód musimy się dowiedzieć, czy ona nieboga najmilsza — niech ją anieli strzegą od wszystkiego złego! — żywa jeszcze, a dowiedzieć się możem dwojakim sposobem: albo znajdziemy między książęcymi Kozakami ludzi wiernych i pewnych, którzy się podejmą niby to do Kozaków uciec, pomieszać się między Bohunowymi ludźmi i od nich czegoś się dowiedzieć..

— Ja mam dragonów Rusinów! — przerwał Wołodyjowski — ja takich ludzi znajdę.

— Czekaj waść... albo złapać języka z tych hultajów, którzy Bar brali, czy czego nie wiedzą. Wszyscy oni patrzą w Bohuna jak w tęczę, że to im się jego dyabelska fantazya podoba: pieśni o nim śpiewają — żeby im gardziele poropiały! — i jeden drugiemu bają

o tem co zrobił i o tem czego nie zrobił. Jeśli on naszą niebogę porwał, to się przed nimi nie ukryło.

— To można i ludzi posłać swoją drogą, i o języka się starać swoją drogą — zauważył pan Podbipięta.

— Trafiłeś waść w sedno. Jeśli się dowiemy, że żyje — to jest najgłówniejsza rzecz. Wtedy, skoro waszmościowie szczerem sercem Skrzetuskiemu pomagać chcecie, to oddacie się pod moją komendę, bo mam najwięcej eksperyencyi (doświadczenia). Poprzebieramy się za chłopów i postaramy się dowiedzieć, gdzie on ją ukrył — a jak raz będziem wiedzieli, to już głowa moja w tem, że jej dostaniemy. Najwięcej ważę ja i Skrzetuski, bo Bohun nas zna, a jakby poznał — no, toby nas matki rodzone potem nie poznały, ale waszmościów obydwóch nie widział.

— Mnie widział — rzekł pan Podbipięta — ale mniejsza z tem.

— Może też jego Pan Bóg poda w nasze ręce! — zawołał pan Wołodyjowski.

— Już ja go tam nie chcę widzieć, — mówił dalej Zagłoba. — Niech tam kat na niego patrzy. Trzeba ostrożnie poczynać, by całej imprezy nie popsować. Nie może to być, aby on jeden o jej ukryciu wiedział, a już to ręczę waszmościom, że bezpieczniej kogo innego się pytać.

— Może też ludzie nasi wysłani się dowiedzą. Jeśli tylko książe pozwoli, wybiorę pewnych i wyślę choćby jutro.

— Książę pozwoli, ale czy się dowiedzą, wątpię. Posłuchajcie waszmościowie: przychodzi mi do głowy i drugi sposób, oto aby zamiast ludzi wysyłać, albo języków łapać, sami poprzebierali sie po chłopsku i ruszyli, nie mieszkając.

— O, nie może to być! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

— Czemu nie może być?

— To chyba waść służby wojennej nie znasz. Gdy chorągwie nemine excepto (bez żadnego wyjątku) stawają, to jest święta rzecz. Choćby ojciec i matka konali, to towarzysz ci nie pójdzie wtedy permisyi (pozwolenia) odjazdu prosić, bo przed bitwą to jest największy dyshonor, jakiego się żołnierz dopuścić może. Po biwie walnej, gdy nieprzyjaciel rozproszon, można, ale nie przedtem. I uważ waść: Skrzetuskiemu pierwszemu chciało się zrywać, i lecieć i ratować, a ani pary nie puścił. Reputacyę on już ma, książe go kocha, a ani się odezwał, bo swój obowiązek zna. To jest, widzisz waszmość, służba publiczna, a tamto prywatna. Nie wiem, jak

tam gdzieindziej, choć mniemam, że wszędzie tak samo, ale u księcia naszego wojewody niebywała rzecz permisya przed bitwą, jeszcze u oficerów! Choćby się też i dusza podarła Skrzetuskiemu, nie poszedłby z taką propozycyą do księcia.

— Rzymianin on jest rygorysta, wiem — mówił pan Zagłoba — ale żeby kto księciu podszepnął, możeby jemu i waszmościom z własnej woli dał permisyę.

— Ale to jemu w umyśle nie postoi. Książę całą Rzeczpospolitą ma na głowie. Cóż waćpan myślisz, teraz tu najważniejsze sprawy się walą, całego narodu tyczące — żeby on się czyjąś prywatą zajmował? A choćby też, co jest niepodobne, nieproszony permisyę dał, tedy jak Bóg na niebie, niktby z nas teraz z obozu nie wyruszył, bo i my też pierwsze służby ojczyźnie nieszczęsnej, nie sobie powinni.

— Wiem ci ja o tem i służbę z dawnych czasów znam, dlatego też powiedziałem waszmości, że ten sposób przeszedł mi jeno przez głowę, ale nie powiedziałem, że w niej siedzi. Zresztą, prawdę rzekłszy, póki potęga hultajska stoi nienaruszona, niewielebyśmy mogli wskórać, ale gdy będą pobici, ścigami, gdy własne gardła będą tylko ratowali, wtedy i zapuścić się śmiało między nich możemy, i łatwiej wieści z nich wydobyć. Oby tylko jaknajprędzej reszta wojska nadciągnęła, bo inaczej na śmierć się chyba pod tym Czołhańskim Kamieniem zamartwimy. Żeby tak przy naszym księciu była komenda, jużbyśmy ruszali, ale książę Dominik często gęsto widać popasa, kiedy go dotąd niema.

— We trzech dniach już się go spodziewają.

— Dajże go Boże jak najprędzej! Wszakże pan podczaszy koronny dziś nadciąga?

— Tak jest.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł pan Skrzetuski.

Rysy jego, rzekłbyś, boleść z kamienia wykowała, taki bił od nich chłód i spokój.

Dziwno było patrzeć na tę twarz młodą, a tak surową i poważną, jakby na niej uśmiech nigdy nie postał — i zgadłbyś łatwo, że gdy ją śmierć zetnie, wiele w niej już nie zmieni. Broda wyrosła panu Janowi do wpół piersi, a w tej brodzie, śród czarnego jak krucze pióro włosa, wiły się tu i owdzie srebrne nitki.

Towarzysze i wierni przyjaciele odgadywali w nim raczej boleść, bo jej nie okazywał. Wreszcie był przytomny, napozór spokojny,

w służbie swej żołnierskiej jescze prawie więcej niż zwykle pilniej szy i cały blizką wojną zajęty.

— Mówiliśmy tu o nieszczęściu waszmości, które zarazem jes i nasze — rzekł pan Zagłoba — gdyż Bóg świadkiem, niczem się pocieszyć nie możemy. Ale jałowy byłby to sentyment; gdybyśmy i waćpanu łzy jeno wylewać pomagali, przeto postanowiliśmy i krew wylać, by oną niebogę, jeśli chodzi jeszcze po ziemi, z niewoli wyrwać.

— Bóg zapłać. — rzecze pan Skrzetuski.

— Pójdziemy z tobą choćby do obozu Chmielnickiego — mówił pan Wołodyjowski, poglądając niespokojnie na przyjaciela.

— Bóg zapłać — powtórzył pan Jan.

— Wiemy, — mówił Zagłoba — żeś waćpan sobie poprzysiągł szukać jej żywej czy martwej, przeto gotowiśmy choćby dziś...

Skrzetuski, siadłszy na ławie, oczy wbił w ziemię i nie odrzekł nic, aż złość porwała Zagłobę.

— Zaliby on miał zamiar jej zaniechać? — pomyślał. — Jeśli tak, niechże mu Bóg sekunduje. Niemasz widzę ani wdzięczności ani pamięci na świecie. Ale znajdą się tacy, którzy będą ją jeszcze ratowali, chybabym wprzód ostatnią parę wypuścił.

W izbie zapanowało milczenie, przerywane tylko westchnieniam pana Longina. Tymczasem mały Wołodyjowski zbliżył się do Skrzetuskiego i trącił go w ramię:

— Skąd wracasz? — rzekł.

— Od księcia.

— I co?

— Wychodzę na noc z podjazdem.

— Daleko?

— A pod Jarmolińce, jeśli będzie wolna droga.

Wołodyjowski spojrzał na Zagłobę i zrozumieli się odrazu

— To ku Barowi? — mruknął Zagłoba.

— Pójdziemy z tobą.

— Musisz iść po permisyę i spytać, jeśli książę innej roboty ci nie przeznaczył.

— To chodźmy razem. Mam też i o co innego spytać.

— I my z wami — rzekł Zagłoba.

Wstali i poszli. Kwatera książęca była dość daleko, na drugim końcu obozu. W przedniej izbie zastali już pełno oficerów z pod różnyc' [illegible]wi. bo wojska zewsząd nadciągały do Czołhańskiego

Kamienia, wszyscy zaś biegli służby swoje księciu polecić. Pan Wołodyjowski musiał dość długo czekać, nim razem z panem Podbipiętą przed obliczem pańskiem stanąć mogli, ale za to książę odrazu pozwolił, i samym jechać, i dragonów Rusinów kilku wysłać, którzyby, zmyśliwszy ucieczkę z obozu, poszli do Bohunowych Kozaków i tam się o kniaziównę wypytywali. Do Wołodyjowskiego zaś rzekł:

— Sam ja funkcyę różne Skrzetuskiemu wynajduję, bo widzę, że się boleść w nim zamknęła i że go stoczy, a szkoda mi go niewypowiedziana. Nicże on wam o niej nie mówił?

— Mało co. W pierwszej chwili zerwał się, żeby między Kozaków naoślep iść, ale przypomniał sobie, że to teraz chorągwie nemine excepto (bez żadnego wyjątku) stają i żeśmy na ojczyzny ordynansie, którą przed wszystkiem ratować trzeba, i dlatego u waszej książęcej mości wcale nie był. Bóg jeden wie, co się w nim dzieje.

— I doświadcza go też ciężko. — Czuwajże wasze nad nim, bo widzę, żeś mu wiernym przyjacielem.

Pan Wołodyjowski skłonił się nizko i poszedł, bo w tej chwili wszedł do księcia wojewoda kijowski z panem starostą stobnickim, z panem Denhofem, starostą sokalskim, i z kilku innymi dygnitarzami wojskowymi.

— I cóż? — spytał go Skrzetuski.

— Jadę z tobą, jeno wpierw muszę pójść do swojej chorągwi, bo mam kilku ludzi gdzieś wysłać.

— Chodźmy razem.

Wyszli, a z nimi pan Podbipięta, Zagłoba i stary Zaćwilichowski, który szedł do swojej chorągwi. Niedaleko namiotów chorągwi dragońskiej Wołodyjowskiego, spotkali pana Łaszcza, idącego, a raczej taczającego się, na czele kilkunastu szlachty, gdyż i on i towarzysze byli zupełnie pijani. Na ten widok pan Zagłoba westchnął. Pokochali się oni bowiem jeszcze pod Konstantynowem z panem strażnikiem koronnym z tej przyczyny, iż pod pewnym względem mieli natury tak podobne, jak dwie krople wody. Pan Łaszcz bowiem choć rycerz straszliwy, dla pogaństwa jak mało kto groźny, był zarazem przesławnym hulaką, ucztownikiem, kosterą, który czas, od bitew, modlitw, zajazdów i zabijatyk wolny, lubił nadewszystko spędzać w kole takich ludzi, jak pan Zagłoba, pić na umór i krotochwil słuchać. Był to warchoł na wielką rękę, który sam jeden tyle wzniecał niepokoju, tyle razy przeciw prawu wykroczył,

że w każdem innem państwie byłby dawno głową nałożył. Ciążyła też na nim niejedna kondemnata, ale on nawet w czasie pokoju niewiele sobie z nich robił, a teraz w czasie wojny tembardziej wszystko poszło w zapomnienie. Z księciem połączył się był pod Rosołowcami i niemałe usługi pod Konstantynowem oddał, ale od chwili odpoczynku w Zbarażu, stał się prawie nieznośny przez hałasy, które wzniecał. Swoją drogą niktby nie zliczył i nie spisał, ile pan Zagłoba wina u niego wypił, ile się nagadał i naopowiadał, z wielką uciechą gospodarza, który też go codziennie zapraszał.

Ale od wieści o wzięciu Baru pan Zagłoba sposępniał, stracił humor, werwę i więcej pana strażnika nie odwiedzał. Myślał nawet p. Łaszcz, że gdzieś od wojska ów jowialny szlachcic odjechał, gdy nagle zobaczył go teraz przed sobą.

Wyciągnął tedy ku niemu ręce i rzekł:

— Witamże waćpana! czemu to do mnie nie zajdziesz? co porabiasz?

— Panu Skrzetuskiemu towarzyszę — odparł posępnie szlachcic.

Pan strażnik nie lubił Skrzetuskiego za powagę i przezywał go sensatem, zaś o nieszczęściu jego wiedział doskonale, bo był obecny na owej uczcie w Zbarażu, w czasie której wieść przyszła o wzięciu Baru. Ale jako z natury człek wyuzdany, a do tego w tej chwili spity, nie uszanował boleści ludzkiej i schwyciwszy porucznika za guz od żupana, spytał:

— To acpan po pannie płaczesz? a gładka była? co?

— Puść mnie waszmość pan — rzekł Skrzetuski.

— Czekaj!

— Za służbę idąc, nie mogę być rozkazom J. M. pana powolny.

— Czekaj! — mówił Łaszcz z uporem pijanego człowieka. — Tobie służba, nie mnie. Mnie tu nikt nic do rozkazywania nie ma!

Potem, zniżywszy głos, powtórzył pytanie:

— A gładka była, co?

Brwi porucznika zmarszczyły się.

— Tedy powiem waszmości panu, że bolączki lepiejby nie tykać.

— Nie tykać? Nie bój się! Jeśli była gładka, to żyje.

Twarz Skrzetuskiego powlokła się śmiertelną bladością, ale się pohamował i rzekł:

— Mości panie... bym nie zapomniał, z kim mówię...

Łaszcz wytrzeszczył oczy.

— Co to? grozisz aspan? aspan mnie?... dla jednej gamratki?

— Ruszajże, mości strażniku, w swoją drogę! — huknął, trzęsąc się ze złości, stary Zaćwilichowski.

— A wy chłystki, szaraki, sługusy! — wrzeszczał strażnik. — Mości panowie do szabel!

I wydobywszy swoją, skoczył z nią do Skrzetuskiego, ale w temże mgieniu oka żelazo świsnęło w ręku pana Jana, i szabla strażnika furknęła, jak ptak w powietrzu, on sam zaś zachwiał się z rozmachu i padł jak długi na ziemię.

Pan Skrzetuski nie dobijał, jeno stał blady jak trup jakby odurzony, a tymczasem zerwał się tumult. Z jednej strony skoczyli żołnierze strażnikowi, z drugiej dragoni Wołodyjowskiego sypnęli się jak pszczoły z ula. Rozległy się krzyki: "Bij! bij!" Wielu nadlatywało, nie wiedząc o co idzie. Szable poczęły szczękać, tumult lada chwila mógł zmienić się w walną bitwę ogólną. Na szczęście, towarzysze Łaszcza, widząc, iż coraz przybywało Wiśniowiecczyków, wytrzeźwiawszy ze strachu, porwali pana strażnika i poczęli z nim uchodzić.

I z pewnością, gdyby pan strażnik miał do czynienia z innem, mniej karnem wojskiem, byliby go roznieśli na szablach w drobne szmaty, ale stary Zaćwilichowski, oprzytomniawszy, krzyknął tylko: "Stój" i szable schowały się do pochew.

Niemniej zawrzało w całym obozie, a echo tumultu doszło do uszu książęcych, zwłaszcza, iż pan Kuszel, będący na służbie, wpadł do izby, w której książe z wojewodą kijowskim, ze starostą stobnickim i panem Denhofem obradował — i krzyknął.

— Mości książę, żołnierze szablami się sieką!

W tej chwili pan strażnik koronny, blady i bezprzytomny ze wściekłości, ale już trzeźwy, wleciał jak bomba.

— Mości książę, sprawiedliwości! — wołał. — W tym obozie jak u Chmielnickiego, ani na krew, ani na godność względu nie mają! Szablami dygnitarzy koronnych sieką! Jeśli wasza książęca mość sprawiedliwości nie wymierzysz, na gardło nie skarzesz, to ja sam sobie ją wymierzę!

Książę porwał się z za stołu.

— Co się stało? kto waszmości pan napastował?

— Twój oficer Skrzetuski.

Prawdziwe zdumienie odbiło się na twarzy księcia.

— Skrzetuski?

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Zaćwilichowski.

— Mości książe, ja byłem świadkiem — rzekł.

— Ja tu nie racye dawać przyszedłem, jeno kary żądać! — zawołał Łaszcz.

Książe zwrócił się ku niemu i utkwił w niego oczy:

— Powoli, powoli — rzekł z cicha i z przyciskiem.

Było coś tak straszliwego w oczach i przyciszonym głosie, że strażnik, choć słynny z zuchwałości, zamilkł nagle, jakby mowę stracił, a panowie aż przybledli.

— Mów waść! — rzekł książe do Zaćwilichowskiego.

Zaćwilichowski opowiedział rzecz całą, jak nieszlachetnym i niegodnym, nietylko dygnitarza, ale i szlachcica sentymentem powodowany pan strażnik, począł przeciw boleści pana Skrzetuskiego bluźnić, a następnie z szablą się na niego rzucił; jaką moderacyę jego wiekowi prawdziwie niezwyczajną, okazał namiestnik, tylko na wytrąceniu napastnikowi oręża poprzestając; — nakoniec staruszek tak skończył:

— A jako mnie wasza książęca mość zna, iż do siedmdziesięciu lat łgarstwo warg moich nie skalało i, póki żyw będę, nie skala, tak pod przysięgą jednego słowa w relacyi zmienić nie mogę.

Książę wiedział, że słowo Zaćwilichowskiego złotu równe, a przytem zbyt dobrze znał Łaszcza. Ale na razie nie odrzekł nic, jeno wziął pióro i począł pisać.

Skończywszy, spojrzał na pana strażnika.

— Sprawiedliwość będzie waszmości panu wymierzona — rzekł.

Pan strażnik usta otworzył i chciał coś mówić, ale słowa mu jakoś nie dopisały, więc wsparł się w bok, skłonił się i wyszedł dumnie z izby.

— Żeleński — rzekł książę — oddasz to pismo panu Skrzetuskiemu.

Pan Wołodyjowski, który namiestnika nie odstępował, strapił się nieco, widząc książęcego pacholika, był bowiem pewien, że wypadnie im przed księciem zaraz się stawić. Tymczasem pacholik zostawił list nic nie mówiąc, wyszedł, a Skrzetuski, przeczytawszy go, podał przyjacielowi.

— Czytaj! — rzekł.

Pan Wołodyjowski spojrzał i wykrzyknął:

— Nominacya na porucznika!

I chwyciwszy za szyję Skrzetuskiego, ucałował oba jego policzki.

Pełne porucznikowstwo w husarskiej chorągwi było niemal dygnitaryatem wojskowym. Tej, w której służył pan Skrzetuski, rotmistrzem był sam książę, a porucznikiem nominalnym pan Suffczyński z Sieńczy, człowiek już stary i dawno z czynnej służby wybyły. Pan Jan oddawna sprawował de facto (naprawdę) obowiązki jednego i drugiego, co zresztą w podobnych chorągwiach, w której dwa pierwsze stopnie bywały nieraz tytularnemi tylko godnościami, przytrafiało się często. Rotmistrzem królewskiej chorągwi bywał sam król, prymasowskiej prymas, porucznikami w obudwóch wysocy dygnitarze dworscy, sprawowali zaś chorągwie istotnie namiestnicy, których z tego powodu z zwykłej mowie porucznikami i pułkownikami zwani. Takim faktycznym porucznikiem vel (czyli) pułkownikiem był pan Jan. Ale między faktycznem sprawowaniem urzędu, między godnością w potocznej mowie dawaną a istotną, była jednak wielka różnica. Obecnie, na mocy nominacyi, pan Skrzetuski stawał się jednym z pierwszych oficerów księcia wojewody ruskiego.

Ale gdy przyjaciele rozpływali się z radości, winszując mu nowego zaszczytu, twarz jego nie zmieniła się ani na chwilę i pozostała tak samo surową i kamienną, bo już nie było takich godności a dostojeństw na świecie, któreby mogły ją rozjaśnić.

Wstał jednak i poszedł dziękować księciu, a tymczasem mały Wołodyjowski chodził po jego kwaterze, zacierając ręce.

— No, no! — mówił — porucznik nominowany w husarskiej chorągwi! W takich młodych leciech, jeszcze się to chyba nikomu nie zdarzyło.

— Żeby mu Bóg wrócił tylko szczęście! — rzekł Zagłoba.

— Ot co jest! oto co jest! Uważaliście, że ani drgnął.

— Wolałby on się tego zrzec — rzekł pan Longinus.

— Mości panie! — westchnął Zagłoba — cóż dziwnego! Jabym oto te moje pięć palców za nią oddał, chociażem nimi chorągiew zdobył!

— Tak to, tak!

— Ale to pan Suffczyński musiał umrzeć? — zauważył Wołodyjowski.

— Pewnie że umarł.

— Kto też namiestnictwo weźmie? Chorąży młodzik i dopiero od Konstantynowa funkcyę sprawuje.

Pytanie to pozostało nierozstrzygnięte, ale odpowiedź na nie przyniósł z powrotem sam porucznik Skrzetuski.

— Mości panie! — rzekł do pana Podbipięty — książę mianował waści namiestnikiem.

— O Boże! Boże! — jęknął pan Longinus, składając jak do modlitwy ręce.

— Tak samo mógłby jego inflancką kobyłę mianować — mruknął Zagłoba.

— No, a podjazd? — spytał pan Wołodyjowski.

— Jedziemy, nie mieszkając — odpowiedział pan Skrzetuski.

— Siła kazał książe ludzi wziąć?

— Jedną kozacką, drugą wołoską chorągiew, razem pięciuset ludzi.

— Hej, to wyprawa, nie podjazd, ale kiedy tak, to czas nam w drogę!

— W drogę, w drogę! — powtórzył pan Zagłoba. — Może też Bóg nam dopomoże, że wieści jakowej zasięgniem.

We dwie godziny później, równo z zachodem słońca czterej przyjaciele wyjeżdżali z Czołhańskiego Kamienia ku południowi, prawie zaś jednocześnie opuszczał obóz razem ze swymi ludźmi pan strażnik koronny. Patrzało na ten odjazd mnóstwo rycerstwa z pod różnych chorągwi, nie szczędząc okrzyków i urągań; oficerowie cisnęli się koło pana Kuszla, który opowiadał, z jakich przyczyn pan strażnik został wypędzony i jak się to odbyło ..

— Ja mu nosiłem rozkaz księcia — mówił pan Kuszel — i wierzajcie waszmościowie, iż periculosa (niebezpieczna) to była misya, bo gdy go wyczytał, począł tak ryczeć, jak wół, gdy go żelazem cechują. Na mnie się też do nadziaka porwał, dziw, iż nie uderzył, ale zdaje się, iż przez okno ujrzał Niemców pana Koryckiego, otaczających kwaterę, i moich dragonów z bandoletami w ręku. Dopiero wziął krzyczeć: "Dobrze! dobrze, odejdę, kiedy mnie wypędzają! Pójdę do księcia Dominika, który mnie wdzięczniej przyjmie! Nie będę (prawi) z dziadami służył, ale się pomszczę (krzyczał), jakem Łaszcz, jakem Łaszcz! — i z tego chłystka (prawi) muszę mieć satysfakcyę!" Myślałem, że go jad zaleje — a stół to dziobał nadziakiem ze złości raz przy razie. I powiem waszmościom, żem nie jest pewien, czy się co złego panu Skrzetuskiemu nie przytrafi, bo ze strażnikiem niema żartów. Zawzięty to jest człek i dumny.

który jeszcze żadnej urazy płazem nie puścił, odważny i przytem dygnitarz.

— Co się zaś ma Skrzetuskiemu przytrafić sub tutela (pod opieką) księcia pana — rzekł jeden z oficerów. — I pan strażnik, choć na wszystko gotowy, będzie się rachował z taką ręką.

Tymczasem porucznik, nie wiedząc nic o ślubach, jakie przeciw niemu pan strażnik czynił, oddalał się coraz bardziej od obozu na czele swego oddziału, kierując się ku Ożygowcom w stronę Bohu i Medwiedówki. Chociaż już wrzesień powarzył liście na drzewach, noc była pogodna i ciepła jak w lipcu, bo taki to już był ów rok, w którym prawie nie było zimy, a wiosną zakwitło wszystko już wówczas, gdy przeszłych lat leżał jeszcze śnieg na stepach. Po dość mokrem lecie pierwsze miesiące jesieni nastały suche a łagodne, o bladych dniach i widnych księżycowych nocach. Jechali tedy po łatwej drodze, nie strażując zbytecznie, bo byli jeszcze zbyt blisko obozu, aby jaki napad miał grozić — jechali żwawo: namiestnik z kilkunastu końmi na przedzie, a za nim Wołodyjowski, Zagłoba i pan Longinus.

— O baczcieno waszmościowie, jako się światło miesiąca kładzie na owem wzgórzu — szeptał pan Zagłoba —przysiągłbyś, że dzień. Mówią, że tylko w czasie wojen bywają takie noce, aby dusze, wyszłe z ciał, łbów sobie nie rozbijały pociemku o drzewa, jako wróble w stodole w krokwie, i łatwiej drogę znalazły Dziś też jest piątek, dzień Zbawiciela, w którym zjadliwe humory z ziemi nie wychodzą i złe moce nie mają przystępu do człowieka. Czuję, że mi lżej, jakoś i nadzieja we mnie wstępuje.

— Żeśmy to już przecie wyjechali i jakowyś ratunek przedsiębierzem — to grunt! — rzecze Wołodyjowski.

— Najgorzej to w umartwieniu na miejscu siedzieć — mówił dalej Zagłoba — gdy na koń siędziesz, zaraz ci desperacya od trzęsienia się coraz niżej złatuje, aż ją w końcu i zgoła wytrzęsiesz.

— Nie wierzę ja — szepnął Wołodyjowski — aby tak wszystko można wytrząść — exemplum (przykład): afekt (miłość), który się niby kleszcz w serce wpija.

— Gdy jest szczery, — rzecze pan Longinus — to choćbyś się z nim, jako z niedźwiedziem borykał, zmoże cię.

To rzekłszy, pan Longinus ulżył wezbranej piersi westchnieniem podobnem do sapnięcia miecha kowalskiego, zaś mały Wołodyjow-

ski podniósł oczy ku niebu, jakby szukał między gwiazdami tej, która księżniczce Barbarze świeciła.

Konie poczęły parskać w całej chorągwi, a pocztowi odpowiadali im: "Zdrów, zdrów!" — potem uciszyło się wszystko, aż jakiś tęskny głos począł śpiewać w tylnych szeregach:

"Jedziesz na wojnę, nieboże,
Jedziesz na wojnę,
Noce ci będą na dworze,
A dzionki znojne..."

— Starzy żołnierze mówią, że konie zawsze prychają na dobrą wróżbę, co mnie i ojciec nieboszczyk jeszcze powiadał — rzekł Wołodyjowski.

— Coś mnie jakoby w ucho szepce, że nie napróżno jedziemy — odpowiedział Zagłoba.

— Dajże Bóg, aby i porucznikowi jakowaś otucha w serce wstąpiła — westchnął pan Longinus.

Zagłoba począł głową kiwać i kręcić, jak człowiek, który z jakąś myślą się nie może uporać, a nakoniec ozwał się:

— Całkiem mnie co innego w głowie siedzi i muszę się już chyba przed waćpanami z tej myśli spuścić, gdyż mi jest wcale nieznośna, oto czyście waściowie nie zauważyli, że od niejakiego czasu Skrzetuski — nie wiem — może dysymuluje (przeciwnie udaje) — ale taki jakby najmniej z nas o salwowaniu (ratowaniu) onej niebogi myślał.

— Gdzie zaś! — odpowiedział Wołodyjowski: — humor to tylko u niego taki, aby to nic nikomu nie wyznać. Nigdy on nie był inny.

— To swoją drogą, ale jeno sobie waszmość przypomnij: gdyśmy mu nadzieję pokazywali, mówił: "Bóg zapłać!" i mnie, i waćpanu tak negligenter (obojętnie), jakby o lada jaką sprawę chodziło, a Bóg widzi, czarnaby to była z jego strony niewdzięczność, bo co się ta nieboga po nim napłakała i natęskniła, tegoby na wołowej skórze nie spisać. Na własne oczy to widziałem.

Wołodyjowski potrząsnął głową.

— Nie może to być, aby on jej zaniechał — rzekł — choć prawda, że pierwszym razem, gdy mu ją z Rozłogów ów dyabeł porwał, desperował tak, iżeśmy się o jego mentem (umysł) obawiali, a teraz daleko więcej okazał upamiętania. Ale jeśli mu Bóg spokój w duszę wlał i siły dodał, to i lepiej. Jako szczerzy przyjaciele powinniśmy się z tego cieszyć.

To rzekłszy, Wołodyjowski konia spiął i posunął się naprzód ku Skrzetuskiemu, a zaś Zagłoba jechał czas jakiś w milczeniu wedle pana Podbipięty.

— Czy wasze nie tego mniemania, co i ja, że gdyby nie amory, siła złego nie stałoby się na świecie?

— Co komu Pan Bóg przeznaczył, to go i tak nie minie — odparł Litwin.

— A waćpan to nigdy k'rzeczy nie odpowiesz. To inna sprawa, a to inna. Przez co Troja zburzona? hę? Albo to i ta wojna nie o ryżą kosę? Zachciało się Chmielowi Czaplińskiej, czy też Czaplińskiemu Chmielnickiej, a my dla ich żądz grzesznych karki kręcimy.

— Bo to niepoczciwe amory, ale są i zacne, od których chwała Boża się przymnaża.

— Terażeś waćpan lepiej utrafił. A-prędkoż sam z onej winnicy pracować poczniesz? Słyszałem, żeć szarfą na wojnę przewiązano.

— Braciaszku!... Braciaszku...

— Ale trzy głowy na zawadzie stoją, co?

— Ach! tak ono i jest!

— To ci powiem: machnij dobrze i utnij odrazu: Chmielnickiemu, chanowi i Bohunowi.

— Żeby się tylko chcieli ustawić! — odrzekł rozrzewnionym głosem pan Longin, wznosząc ku niebu oczy.

Tymczasem Wołodyjowski jechał długo wedle Skrzetuskiego i spoglądał w milczeniu z pod hełmu na jego martwą twarz, aż wreszcie trącił strzemieniem w jego strzemię.

— Janie, — rzekł — źle, że cię zapamiętywasz.

— Ja się nie zapamiętywam, jeno się modlę — odpowiedział Skrzetuski.

— Święta to jest i chwalebna rzecz, aleś ty nie zakonnik, byś na samej modlitwie poprzestawał.

Pan Jan zwrócił zwolna swoją męczeńską twarz do Wołodyjowskiego i spytał głuchym, pełnym śmiertelnej rezygnacyi głosem:

— Powiedzże, Michale, co mnie pozostaje więcej, prócz habitu?...

— Pozostaje ci ją ratować — odpowiedział Wołodyjowski.

— Tak też i uczynię, do ostatniego oddechu. Ale choćbym ją też i żywą odnalazł, zali to nie będzie zapóźno? Strzeż mnie Boże, bo o wszystkiem mogę myśleć, tylko nie o tem, strzeż Boże rozumu

mojego! Już ja niczego więcej nie pragnę, jeno wyrwać ją z tych rąk potępionych, a potem niech ona znajdzie taki przytułek, jakiego i ja będę szukał. Widać woli Bożej nie było... Daj mnie się modlić Michale, a krwawiącej rany nie tykaj...

Wołodyjowskiemu ścisnęło się serce; chciał jeszcze było pocieszyć, o nadziei mówić, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło i jechali dalej w głuchem milczeniu, tylko wargi pana Skrzetuskiego poruszały się szybko w modlitwie, przez którą chciał widocznie myśli okropne odpędzić, a małego rycerza, gdy spojrzał przy świetle księżyca na tę twarz, aż strach zdjął, bo mu się wydało, że to jest zupełnie twarz mnicha, surowa, wynędzniała, przez posty i umartwienia.

"Znajdziesz po wojnie, nieboże,
Znajdziesz po wojnie,
Pustki z powrotem w komorze,
Ran w skórze hojnie."

XXXVII.

Pan Skrzetuski szedł ze swym podjazdem w ten sposób, że we dnie wypoczywał w lasach i jarach, pilnie rozstawiając straże, a nocami tylko posuwał się naprzód. Zbliżywszy się do jakiej wioski, zwykle otaczał ją tak, aby noga nie wyszła, brał żywność, paszę dla koni, a przedewszystkiem zbierał wieści o nieprzyjacielu, poczem wychodził, nie czyniąc ludziom nic złego, wyszedłszy zaś, zmieniał nagle drogę, aby nieprzyjaciel nie mógł się we wsi dowiedzieć, w którą podjazd udał się stronę. Celem wyprawy było dowiedzieć się, czy Krzywonos ze swymi czterdziestu tysiącami ludzi oblega dotąd Kamieniec, czy też, rzuciwszy bezowocne oblężenie, idzie w pomoc Chmielnickiemu, aby razem z nim stanąć do walnej rozprawy, a dalej, co robią dobrudzcy Tatarzy? —czy już Dniestr przeszli i połączyli się z Krzywonosem, czy z tamtej strony jeszcze leżą? Ważne to były dla obozu polskiego wiadomości i regimentarze sami powinni się byli o nie starać, ale że nie przyszło im to, jako niedoświadczonym ludziom, do głowy, przeto książę wojewoda ruski wziął na siebie ten ciężar. Jeżeliby bowiem pokazało się, że Krzywonos razem z białogrodzkiemi i dobrudzkiemi hordami zaniechał niezdobytego Kamieńca i do Chmielnickiego dążył — tedy należało

jaknajprędzej na tego ostatniego uderzyć, nimby do najwyższej potęgi nie wyrósł. Tymczasem generał-regimentarz, książe Dominik Zasławski-Ostrogski, nie śpieszył się w chwili wyjazdu Skrzetuskiego; dopiero za dwa lub trzy dni spodziewano się go w obozie. Widocznie ucztował swym zwyczajem po drodze i miał się dobrze, a tymczasem mijała najlepsza pora złamania potęgi Chmielnickiego i książę Jeremi rozpaczał na myśl, że jeśli wojna tak dalej prowadzona będzie, to nietylko Krzywonos i ordy zadniestrzańskie na czas do Chmielnickiego przybędą, ale i sam chan na czele wszystkich perekopskich, nohajskich i azowskich.

Jakoż i były wieści w obozie, że chan już Dniepr przebył i że w dwieście tysięcy koni dzień i noc na zachód dąży, a książę Dominik nie przybywał i nie przybywał.

Coraz też było prawdopodobniejszem, że wojska, stojące pod Czołhańskim Kamieniem, muszą stanąć do rozprawy z potęgą pięćkroć liczniejszą — i że w razie klęski regimentarzy, nic już nie przeszkodzi nieprzyjacielowi wtargnąć do serca Rzeczypospolitej, pod Kraków i Warszawę.

Krzywonos tem był niebezpieczniejszy, że na wypadek, gdyby regimentarze chcieli się posunąć w głąb Ukrainy, on, idąc z pod Kamieńca wprost na północ, aż pod Konstantynów, mógł im zagrodzić odwrót, a w każdym razie wówczas byliby wzięci we dwa ognie. Przeto pan Skrzetuski postanowił nietylko wywiedzieć się o Krzywonosie, ale go powstrzymać, Przejęty ważnością swego. zadania, od którego spełnienia los całego wojska w części zależał, ważył porucznik chętnie życie swoje i swoich żołnierzy; jednakże przedsięwzięcie owo i tak za szalone poczytywane być by mogło, gdyby młody rycerz miał zamiar wstępnym bojem w pięciuset ludzi powstrzymać czterdziestotysięczną Krzywonosową watahę, posiłkowaną przez białogrodzkie i dobrudzkie ordy. Ale pan Skrzetuski zbyt był doświadczonym żołnierzem, aby się na szaleństwa rzucać i wiedział doskonale, że w razie bitwy, w godzinę fala przejdzie po trupach jego i towarzyszów — chwycił się więc innych środków. Oto naprzód rozpuścił wieść między własnymi żołnierzami, że idą tylko jako przednia straż całej dywizyi strasznego księcia i wieść tę rozpuszczał wszędzie, we wszystkich futorach, wioskach i miasteczkach, które wypadało mu przechodzić. Jakoż rozeszła się ona lotem błyskawicy wzdłuż Zbrucza, Smotryczy, Studzienicy,

Uszki, Kałysiku, z ich biegiem dostała się do Dniestru i leciała dalej, jakby wiatrem gnana, od Kamieńca do Jahorlika. Powtarzali ją baszowie tureccy w Chocimiu, i zaporożcy w Jampolu, i Tatarzy w Raszkowie. I znowu rozległ się ów znany okrzyk: "Jarema idzie!" od którego zamierały serca zbuntowanego ludu: drżał on z przerażenia, niepewny dnia ani godziny.

A nikt nie wątpił o prawdzie wieści. Regimentarze uderzą na Chmiela, a Jarema na Krzywonosa — to leżało w porządku rzeczy. Sam Krzywonos uwierzył i ręce mu opadły. Co miał robić? Ruszyć na księcia? Toż pod Konstantynowem inny duch był w czerni i większe siły, a jednak zostali pobici, zdziesiątkowani, ledwie z życiem uszli. Krzywonos był pewien, że jego mołojcy będą się bili jak wściekli przeciw każdym innym wojskom Rzeczypospolitej i przeciw każdemu innemu wodzowi, ale za zbliżeniem się Jaremy, pierzchną, jak stado łabędzi przed orłem, jak stepowe puchy przed wiatrem.

Czekać księcia pod Kamieńcem było jeszcze gorzej. Krzywonos postanowił rzucić się na wschód, aż hen ku Bracławowi, ominąć swego złego ducha i dążyć do Chmielnickiego. Pewnym był wprawdzie, że tak kołując, na czas nie zdąży, ale przynajmniej na csas się o rezultacie dowie i o własnym ratunku pomyśli.

A wtem przyleciały z wiatrem nowe wieści, że Chmielnicki już pobit — puszczał je, jak i poprzednie, umyślnie pan Skrzetuski wówczas, w pierwszej chwili, nie wiedział już nieszczęsny watażka, co począć.

Następnie postanowił tembardziej na wschód ruszyć, jak najdalej się w stepy posunąć — może też spotka Tatarów i przy nich się schroni.

Ale przedewszystkiem chciał się upewnić; dlatego pilnie wypatrywał między swymi pułkownikami, kogoby znalazł na wszystko gotowego a pewnego, by go z podjazdem po języka wysłać. Ale wybór był trudny, chętnych brakło, i trzeba było koniecznie znaleźć takiego człowieka, któryby na wypadek dostania się w ręce nieprzyjaciela, ni pieczony ogniem, ni nawlekany na pal, ni łamany kołem, nie wydał planu ucieczki.

Nakoniec Krzywonos znalazł.

Pewnej nocy kazał wołać do siebie Bohuna i rzekł mu:

— Słyszysz, Jurku, mój przyjacielu, idzie na nas Jarema z potęgą wielką — zginąć przyjdzie nieszczęsnym!

— Słyszałem i ja, że idzie. My już z wami, bat'ku, o tem mówili — ale czemu nam ginąć?

— Ne zderżymo (nie damy rady). Innemuby zderżyli, Jaremie nie. Mołojcy się jego boją.

— A ja się jego nie boję — ja mu pułk w Wasilówce na Zadnieprzu wyciął.

— Wiem ja to, że ty się jego nie boisz. Twoja sława kozacka mołojecka, warta jego kniaziowej, ale ja mu bitwy dać nie mogę, bo mołojcy nie zechcą... Przypomnij, co na radzie mówili, jako się na mnie do szabel i kiścieni rzucali, że ich na rzeź chcę prowadzić.

— To idźmy do Chmiela, tam zażyjemy krwi i zdobyczy.

— Mówią, że Chmiel już od regimentarzy pobit.

— Temu ja nie wierzę, ojcze Maksymie. Chmiel lis, bez Tatarów nie uderzy na Lachów.

— Tak i ja myślę, ale trzeba wiedzieć. Wtedyby my wrażego obeszli i z Chmielem się połączyli, ale trzeba wiedzieć! Ot, żeby się kto Jaremy nie bał, a z podjazdem poszedł i języka porwał, jabym mu czapkę czerwonych złotych nasypał.

— Ja pójdę, ojcze Maksymie, nie czerwonych szukać, ale sławy kozackiej, mołojeckiej!

— Ty drugi po mnie ataman, a ty chcesz iść? Będziesz ty jeszcze pierwszym atamanem nad Kozakami, nad dobrymi mołojcami, bo ty się Jaremy nie boisz. Idźże ty, sokole, a potem czego chcesz żądaj. No, ja ci powiem, żeby ty nie poszedł, to jabym poszedł sam, ale mnie nie można.

— Nie można, bo jakbyście wy, ojcze, wyszli, takby mołojcy krzyknęli, że hołowu spasajete (głowę ratujecie) i rozlecieliby się na cały świat; a jak ja pójdę, tak im serca przybędzie.

— A siła komunika ci dać?

— Nie wezmę ja dużo, z małą watahą łatwiej się ukryć i podejść — ale z pięciuset dobrych mołojców dajcie, a moja głowa, że wam języków przywiozę i nie pocztowych, ale towarzyszów, od których się wszystkiego dowiecie.

— Jedźże zaraz. Z Kamieńca już z dział biją na radość i na spasenie (ratunek) Lachom, a na pohybel (zgubę) nam niewinnym.

Bohun odszedł i zaraz jął gotować się do drogi. Mołojcy jego jako nieodmiennie bywało w takich okazyach, pili na zabój, "nim

śmierć matka przytuli," on zaś pił z nimi, aż parskał gorzałką, szalał, hulał, następnie kazał beczkę dziegciu zatoczyć, i jak był w atłembasach i sajetach, rzucił się w nią we wszystkiem, zanurzył się raz, drugi, razem z głową — i wykrzyknął:

— Czarny ja teraz, jak noc matka, lackie oczy nie dojrzą!

I wytarzawszy się na perskich kobiercach zdobycznych, skoczył na koń, i pojechał, a za nim, poczłapali, śród pomroki nocnej, wierni mołojcy, przeprowadzani okrzykiem:

— Na sławu! na szczastie (na chwałę, na szczęście)!

Tymczasem pan Skrzetuski dotarł już do Jarmoliniec; tam, trafiwszy na opór, sprawił krwawy chrzest mieszczanom i zapowiedziawszy, że nazajutrz kniaź Jarema nadejdzie, dał odpoczynek strudzonym koniom i żołnierzom.

Potem zebrawszy na naradę towarzyszów — rzekł im:

— Dotąd Bóg nam szczęści. Miarkuję też po terrorze, jaki chłopstwo ogarnia, iż zgoła mają nas za przednią straż książęcą i wierzą, że cała potęga idzie za nami. Ale musimy pomyśleć, aby się zaś nie opatrzyli, widząc, iż jedna kupa wszędzie chodzi.

— A długoż my tak będziem chodzili? — spytał pan Zagłoba

— Póki o Krzywonosie nie będziem wiedzieli, co postanowił.

— Ba, to i na bitwę może do obozu nie zdążymy.

— Być to może — odrzekł pan Skrzetuski.

— Mości panie, wielcem z tego nierad — rzekł szlachcic. — Zaprawiło się trochę ręce na hultajstwie pod Konstantynowem; zdobyło się tam coś na nich. Ale to psu mucha! palce świerzbią..

— Może tu waszeć więcej bitew zażyjesz, niż sam myślisz — odparł poważnie pan Skrzetuski.

— O! a to quo modo (jakim sposobem)? — pytał niespokojnie Zagłoba.

— Bo lada dzień możem się natknąć na nieprzyjaciela, a choć nie po to tu jesteśmy, by mu orężem drogę zagrodzić, przecie wypadnie się bronić. Ale wracam do materyi: trzeba nam więcej kraju zająć, aby w kilku miejscach na raz o nas wiedziano, tu i owdzie opornych wyciąć, by się groza rozniosła, a wszędy wieści puszczać; dlatego mniemam, iż wypadnie nam się rozdzielić.

— Tak i ja mniemam — rzecze Wołodyjowski — będziem im się w oczach mnożyć i ci, którzy uciekną do Krzywonosa, o krociach będą gadali.

— Mości poruczniku, waszmość tu wodzem, tedy rozporządź — rzekł Podbipięta.

— Pójdę ja na Zinków, ku Sołodkowcom, a jak będę mógł, to i dalej — mówił Skrzetuski, — waćpan, mości namiestniku Podbipięto, idź prosto na dół ku Tatarzyskom — ty, Michale, pojedź pod Kupin, a pan Zagłoba dotrze do Zbrucza koło Satanowa.

— Ja? — rzecze pan Zagłoba.

— Tak jest. Waćpan człowiek przemyślny i pełen fortelów; myślałem, że chętnie podejmiesz się tej imprezy, ale jeśli nie, ot czwarty oddział weźmie Kosmacz, wachmistrz.

— Weźmie, ale pod moją komendą — zawołał Zagłoba, którego nagle olśniła myśl, iż będzie wodzem osobnego oddziału. — Jeślim się pytał dlaczego, to że mi się żal było z wami rozłączać.

— Czy jeno masz waćpan eksperyencyę w rzeczach wojskowych? — spytał Wołodyjowski.

— Czy mam eksperyencyę? Jeszcze żaden bocian nie myślał o tem, aby z waści prezent ojcu i matce zrobić, gdym ja już większe podjazdy, jako ten cały jest, wodził. Wiek życia w wojsku przesłużyłem i dotąd bym służył, gdyby nie to, że jak mnie raz spleśniały suchar w brzuchu stanął, to mi trzy lata siedział. Musiałem za bezoarem (1) do Galaty jeździć, o której peregrynacyi (wycieczce) szczegółowo waćpanom w swoim czasie opowiem, gdyż teraz pilno mi w drogę.

— Jedź więc waćpan, a wieści przed sobą puszczaj, że Chmielnicki już pobit i książe Płoskirów już minął — rzekł pan Skrzetuski. — Ladajakiego języka nie bierz, ale gdybyś napotkał podjazdy z pod Kamieńca, to staraj się porwać takich, którzyby o Krzywonosie mogli dać wiadomości, bo ci, których mamy, dają relacye sprzeczne.

— Obym samego Krzywonosa napotkał! niechby mu przyszła chętka na podjazd wyjechać, zadałżebym mu pieprzu z imbirem! Nie bójcie się waszmościowie, nauczę ja hultajów śpiewać — ba, nawet i tańcować!

— We trzech dniach zjedziem się napowrót w Jarmolińcach, a teraz każdy w swoją drogę — rzekł Skrzetuski. — A ludzi proszę waszmościów oszczędzać!

---

1) Bezoary skamieniałości w żołądkach niektórych zwierząt, którym przypisywano własności lecznicze.

— We trzech dniach w Jarmolińcach! — powtórzyli: Zagłoba, Wołodyjowski i Podbipięta.

XXXVIII.

Gdy pan Zagłoba znalazł się sam, na czele swego oddziału, zrobiło mu się jakoś niesmaczno, a nawet wcale straszno, i dużo byłby za to dał, żeby mieć koło siebie Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego, albo pana Longina, których w duszy najmocniej podziwiał, i przy których czuł się zupełnie bezpieczny, tak ślepo wierzył w ich obrotność i męstwo. Jechał więc z początku dość posępnie na czele swego oddziału i rozglądając się podejrzliwie na wszystkie strony, myślą mierzył niebezpieczeństwa, na jakie mógł się natknąć i mruczał:

— Zawsze raźniejby było, żeby który z nich był tutaj. Do czego Bóg kogo przeznaczył, do tego stworzył, a ci trzej powinni byli bąkami się porodzić, bo na krwi lubią siadać. Tak im właśnie na wojnie, jako innym przy dzbanie, albo rybom we wodzie. W to im graj! Brzuchy mają lekkie, ale ręce ciężkie. Skrzetuskiego widziałem przy robocie i wiem jako jest peritus (zadowolony). Tak on trzepie ludzi, jako mnichy pacierze. Jego to rzemiosło ulubione. Ów Litwin, co własnej głowy nie ma a trzech obcych szuka, nic na szwank nie wystawia; najmniej znam tego małego fircyka, ale osa też to musi być nielada, miarkując z tego, com pod Konstantynowem widział i co mnie Skrzetuski o nim powiadał — osa to musi być! Szczęściem niedaleko on ode mnie ciągnie, i myślę, że najlepiej zrobię, jeśli się z nim połączę, bo jeśli wiem dokąd iść, to niech mnie kaczki zdepczą.

Pan Zagłoba uczuł się bardzo samotnym na świecie — aż się sam tej samotności użalił.

— Tak to, tak! — mruczał. — Każdy ma się na kogoś obejrzeć, a ja co? Ni towarzysza, ni ojca, ni matki. Sierotam jest — i kwita!

W tej chwili wachmistrz Kosmacz zbliżył się ku niemu:

— Mości komendancie, dokąd idziemy?

— Dokąd idziemy? — powtórzył pan Zagłoba — co!

Nagle wyprostował się w siodle i wąs pokręcił.

— Do Kamieńca, jeśli taka będzie moja wola! Rozumiesz, mości wachmistrzu?

Wachmistrz skłonił się i cofnął w milczeniu do szeregów, nie zdając sobie sprawy, dlaczego się komendant rozsierdził, pan Zagłoba zaś cisnął jeszcze okolicy kilka groźnych spojrzeń, następnie uspokoił się i mruczał dalej:

— Jeśli do Kamieńca pójdę, pozwolę sobie dać sto kijów w pięty, turecką modą. Tfu! tfu! żeby który z tamtych był przy mnie więcej czułbym w sobie ducha. Co ja pocznę ze stem ludzi? Wolałbym być już sam, bo wówczas człek w fortele dufa. A teraz za dużo nas, by fortelami wojować, a za mało do obrony. Bardzo to niefortunna myśl przyszła Skrzetuskiemu do głowy, żeby podjazd rozdzielać. I dokąd ja pójdę? Wiem co za mną, ale kto mi powie, co przede mną, i kto mi zaręczy, czy dyabli tam jakiej pułapki nie nastawili? Krzywonos i Bohun. Dobra sfora. Żeby ich dyabli obłuszczyli! Boże mnie broń przynajmniej od Bohuna. Skrzetuski życzy sobie z nim spotkać — wysłuchaj go Panie! Życzę mu tego, czego sobie sam życzy, bom mu przyjaciel — amen! Dotrę do Zbrucza, wrócę do Jarmoliniec, a języków więcej mi przywiozę, niż sami chcą. O to nie trudno.

Wtem Kosmacz zbliżył się ku niemu.

— Mości komendancie, jakowychś jeźdźców za wzgórzem widać!

— Niech jadą do dyabła! Gdzie? gdzie?

— A no tam za górą. Znaki widziałem.

— Wojsko?

— Zdaje się wojsko.

— Niech ich psi kąsają! siła ich?

— Nie wiadomo, bo daleko. Byśmy się tu za one skały ukryli, wpadniemy na nich niespodzianie, bo tędy im droga. Jeśli potęga za wielka, to pan Wołodyjowski niedaleko, usłyszy i na pomoc skoczy.

Panu Zagłobie odwaga uderzyła niespodzianie do głowy, jak wino. Być może, że to desperacya dała mu taki do czynu pochop; być może nadzieja, że pan Wołodyjowski jeszcze blisko, dość, że gołą szablą błysnął, oczyma zatoczył straszliwie i zakrzyknął:

— Ukryć się za skały! wpadniemy na nich niespodzianie! okażemy tym hultajom...

Sprawni żołnierze książęcy z miejsca zawrócili pod skały i w mgnieniu oka ustawili się w szyku bojowym, gotowi do niespodzianego napadu.

Upłynęła godzina; nakoniec dał się słyszeć gwar zbliżających się

ludzi, echo niosło nutę wesołych pieśni, a po chwili jeszcze, do uszu czatujących w zasadzce doszły odgłosy skrzypców, dud i bębenka. Wachmistrz zbliżył się znów do pana Zagłoby i rzekł:

— To nie wojsko, panie komendancie, nie Kozacy, to wesele.

— Wesele? — rzekł Zagłoba. — Zagramże ja im, niech poczekają!

To rzekłszy, ruszył koniem, za nim wyjechali żołnierze i ustawili się szeregiem na drodze.

— Za mną! — krzyknął groźnie Zagłoba.

Linia ruszyła kłusem, potem galopem i okrążywszy skałę, stanęła nagle tuż przed gromadą ludzi, zmieszanych i strwożonych niespodzianym widokiem.

— Stój! stój! — wołano z obu stron.

Było to istotnie chłopskie wesele. Naprzód jechali konno: dudziarz, teorbanista, skrzypek i dwaj "dowbydze" (dobodze), trochę już pijani, wycinając od ucha skoczne kołomyjki. Za nimi panna młoda, hoża dziewczyna, w ciemnym żupanie i z włosami rozpuszczonymi na ramiona. Otaczały ją drużki, śpiewające pieśni i niosące ponawlekane na ręce wieńce — a wszystkie dziewki na koniach siedzące po męsku, wystrojone, ubrane w polne kwiaty, wyglądały zdala jak zastęp kraśnych Kozaków. W drugim szeregu jechał na dzielnym koniu pan młody, wśród drużbów, z wieńcami na długich, podobnych do spis, tyczkach — orszak zamykali rodzice nowożeńców i goście, wszyscy konno; jedynie beczki z gorzałką, miodem i piwem jechały na lekkich, wymoszczonych słomą wózkach, bełkocąc smakowicie po nierównej kamienistej drodze.

— Stój! stój! — wołano z obu stron.

Potem orszak weselny pomieszał się. Dziewczęta podniosły krzyk przeraźliwy i cofnęły się w tył, zaś parobcy i starsi drużbowie skoczyli naprzód, by piersiami zasłonić mołodycie przed niespodzianym napadem.

Pan Zagłoba skoczył tuż przed nich i machając szablą, świecąc nią w oczy przerażonemu chłopstwu, począł wrzeszczeć:

— Ha! skurczybyki, psie chwosty (ogony), rebelizanty! Do buntu wam się zachciało! Za Krzywonosem trzymacie, łajdaki? na przeszpiegi jeździcie? drogę wojsku tamujecie? na szlachtę ręce podnosicie? Dam ja wam, pieskie dusze bezecne! W dyby pokuć każę, na pal powbijać, o szelmy! o poganie! Teraz za wszystkie zbrodnie zapłacicie!

Stary i biały jak gołąb drużba zeskoczył z konia, zbliżył się do szlachcica i chwyciwszy go pokornie za strzemię, począł kłaniać się w pas a błagać:

— Zmiłujcie się, jasny rycerzu, nie gubcie biednych ludzi. Bóg nam świadek, my niewinni, nie do buntu my idziemy, my z cerkwi z Husiatyna, naszego krewniaka Dymitra, kowala, z bondarówną Ksenią wieńczyli. My z weselem, z korowajem.

— To niewinni ludzie, panie — szepnął wachmistrz.

— Precz mi! To szelmy! Od Krzywonosa na wesele przyszli! — huknął Zagłoba.

— Kołyb jeho trastia (żeby jego febra) mordowała — zawołał starzec. — My jego na oczy nie widzieli, my biedni ludzie. Zlitujcie się, jasny panie, dozwólcie przejść, my nikomu zła nie czynimy, a swoją powinność znamy.

— Do Jarmoliniec w łykach pójdziecie!...

— Pójdziemy, gdzie każecie, panie! Wam rozkazywać, nam słuchać! Ale wy nam łaskę zróbcie, jasny rycerzu! przykażcie panom żołnirom, żeby nam zła nie czynili, sami — wybaczcie prostakom — i ot, bijem czołem, pokornie wypijcie z nami na szczęście uwieńczonym... Wypijcie, wasza miłość, na radość prostym ludziom, jako Bóg i święta Ewangelia nakazuje.

— Jeno nie myślcie, bym wam folgował, gdy wypiję! — rzekł ostro pan Zagłoba.

— Nie, panie! — zawołał z radością dziad — my nie myślim! Hej, grajki! — zakrzyknął na muzykę — zagrajcie dla jasnoho łycara, bo jasny łycar dobry, a wy, mołojcy, skoczcie po miód, po słodki, dła jasnoho łycara; on biednych ludzi nie ukrzywdzi. Skoro, chłopcy, skoro! Diakujem (dziękujemy) pane!

Mołojcy kopnęli się co duchu do beczek, a tymczasem zawarczały bębenki, zapiszczały raźno skrzypki, dudziarz wydął policzki i począł miętosić dudę pod pachą, drużbowie potrząsali wieńcami na tykach, co widząc, żołnierze poczęli się coraz bardziej przysuwać, wąsy kręcić, uśmiechać się i przez plecy mołojców na mołodycie poglądać. Zabrzmiały na nowo pieśni — i strach minął, nawet gdzieniegdzie ozwały się radosne "U-ha! u-ha!"

Ale pan Zagłoba nie rozchmurzył się odrazu — nawet gdy mu dano kwartę miodu, mruczał jeszcze zcicha "A szelmy, a łajdaki!" Nawet gdy już wąsy zanurzył w ciemnej powierzchni napitku, brwi jego nie rozmarszczyły się jeszcze; podniósł głowę i mrużąc oczy

mlaskając wargami, począł smakować trunek — następnie zdziwienie odbiło się na jego twarzy.

— Co to za czasy! — mruknął. — Chamy taki miód piją. Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz?

To rzekłszy, przechylił kwartę i wypróżnił ją do dna.

Tymczasem przyszli ośmieleni weselnicy prosić go całą gromadą, by zła nie czynił i puścił wolno, a między nimi przyszła i panna młoda, Ksenia, nieśmiała, drżąca, ze łzami w oczach, a zapłoniona i śliczna jak zorza. Zbliżywszy się, złożyła ręce:

— Pomyłujte, pane (Panie, zlituj się)!

I całowała żółty but pana Zagłoby.

Serce w szlachcicu odrazu jak wosk zmiękło.

Popuściwszy skórzanego pasa, począł w nim grzebać, a wygrzebawszy ostatnie czerwone złote, które mu swego czasu dał książę rzekł do Kseni:

— Naści! Niechże ci Bóg błogosławi, jako i wszelkiej niewinności.

Tu wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej, bo mu owa wysmukła czarnobrewa Ksenia przypomniała kniaziównę, którą kochał po swojemu pan Zagłoba. "Gdzie ona teraz nieboga i czy jej tam pilnują święci anieli?" — pomyślał i całkiem już był rozczulony, gotów z każdym ściskać się i bratać.

Weselnicy zaś, widząc jego wspaniały czyn, poczęli hukać z radości, a śpiewać, i cisnąć się do niego, i całować poły.

— Dobry on! — powtarzano w tłumie — zołotyj Lach! czerwinci daje, zła ne robyt, dobry pan! Na sławu, na szczastie!

Skrzypak aż się trząsł, tak ciął od ucha, dudziarzowi oczy na wierzch wylazły, "dowbyszom" ręce ustawały. Stary bondar tchórzem widocznie podszyty, trzymał się aż dotąd w tyle, teraz wysunął się naprzód i razem z żoną bondarową i starą kowalichą, matką pana młodego, nuż kłaniać się w pas, a do futoru na wesele zapraszać, że to sława takiego mieć gościa i dla młodych pomyślna wróżba — że inaczej krzywda im będzie. Za nimi kłaniał się pan młody i czarnobrewa Ksenia, która choć prosta mołodycia, odrazu poznała, że jej prośba najwięcej może. A drużbowie krzyczeli, że futor niedaleko, nie będzie rycerzowi z drogi, stary zaś bondar, bogaty, nie takiego miodu wytoczy. Pan Zagłoba spojrzał po żołnierzach: ruszali wszyscy wąsami jak zające, różne sobie

rozkosze w tańcu i napitkach obiecując, więc choć nie śmieli prosić, by jechać, zlitował się nad nimi pan Zagłoba — i po chwili on, drużbowie, mołodycie i żołnierze ruszyli w najpiękniejszej zgodzie do futoru.

Futor istotnie był niedaleko, a stary bondar bogaty, więc i wesele było szumne, popili się wszyscy mocno, a pan Zagłoba tak się rozochocił, że do wszystkiego był pierwszy. Zaczęły się tedy dziwne obrządki Stare baby zawiodły Ksenię do komory i z nią się tam zamknęły; bawiły długo, poczem wyszły i oświadczyły, że mołodycia, jak gołąbka, jak lilia. Wtedy radość zapanowała w zgromadzeniu, podniósł się krzyk: "Na sławu! na szczastie!" — Kobiety jęły klaskać w ręce i krzyczeć: "A szczo? ne kazały (A co? nie mówiłyśmy)!" —parobcy zaś tupali nogami i każdy tańczył w pojedynkę z kwartą w ręku, którą przed drzwiami komory "na sławu" wypijał. Tańczył tak i pan Zagłoba, tem tylko zacność swego urodzenia dystyngując, że nie kwartą, ale półgarncówką pił przed drzwiami. Potem bondarowie i kowalicha wprowadzili młodego Dymitra do komory — ale że młody Dymitr ojca nie miał, więc pokłoniono się panu Zagłobie, by go zastąpił — a on zgodził się i poszedł z innymi. Przez ten czas uciszyło się w izbie, tylko żołnierze, pijący na majdanie przed chatą, krzyk czynili hałłakując z radości po tatarsku i paląc z bandoletów. Lecz największa radość i hulatyka zaczęły się dopiero wówczas, gdy rodzice zjawili się napowrót w izbie. Stary bondar ściskał z radości kowalichę, parobcy przychodzili do bondarowej i podejmowali ją pod nogi, a niewiasty sławiły ją, że tak ustrzegła córeczki, jak oka w głowie, jak hołubki i lilii (1), poczem puścił się z nią w tany pan Zagłoba. Poczęli więc dreptać naprzeciw siebie, a on w ręce klaskał i w prysiudach przysiadał i tak podskakiwał, i tak podkowami bił w podłogę, że aż drzazgi z desek leciały i pot obfity spływał mu z czoła. Poszli ich śladem inni, kto mógł — w izbie, kto nie mógł — na podwórcu, mołodycie z mołojcami i z żołnierzami. Bondar coraz nowe beczki kazał wytaczać. Wreszcie wytoczyło się całe wesele z izby na majdan — zapalono stosy suchych bodiaków i łuczywa, bo zapadła już noc głęboka, i hulatyka zmieniła się w pijatykę na umór, żołnierze palili z bandoletów i muszkietów, jakby w czasie bitwy.

---

1) Wesele chłopskie z owych czasów opisuje naoczny świadek Beauplan

Pan Zagłoba czerwony, spocony, chwiejący się na nogach, zapomniał, co się z nim dzieje, gdzie jest; przez dymy, które mu biły z czupryny, widział twarze biesiadników, ale choćby go na pal wbijano, nie umiałby powiedzieć, kto są ci biesiadnicy. Pamiętał, że jest na weselu — ale na czyjem? Ha! pewnie pana Skrzetuskiego z kniaziówną! Ta myśl wydała mu się najprawdopodobniejszą, utkwiła mu wreszcie jak gwóźdź w głowie i taką napełniła go radością, że począł wrzeszczeć jak opętany: "Niech żyją! Panowie bracia, kochajmy się!" — i coraz nowe spełniał półgarncówki: "W twoje ręce, panie bracie! Zdrowie naszego księcia pana! Żeby się wam dobrze działo! bodaj ten paroksyzm ojczyznę minął!" — Tu zalał się łzami i potknął się, idąc do beczki — i potykał się coraz więcej, bo na ziemi jak na pobojowisku leżało mnóstwo ciał ruchomych. "Boże! — zawołał pan Zagłoba — niemasz już męstwa w tej rzeczypospolitej. Jeden pan Łaszcz pić potrafi, drugi Zagłoba — reszta! Boże! Boże!" I oczy żałośnie ku niebu podniósł, a wtem spostrzegł, że ciała niebieskie nie tkwią już spokojnie nakształt złotych gwoździ w firmamencie, ale jedne trzęsą się, jakby chciały z oprawy wyskoczyć, drugie zataczają koła, trzecie tańczą przeciw siebie kozaka — więc zdumiał się okrutnie pan Zagłoba i rzekł do swej duszy zdumionej:

— Zali ja jeden tylko nie pijany in universo (we wszechświecie)?

Ale nagle i ziemia, tak samo jak gwiazdy, zatrzęsła się szalonym wirem, i pan Zagłoba runął jak długi na ziemię.

Wkrótce opadły go sny straszne. Zdało mu się, iż jakieś zmory usiadły mu na piersiach, że go gniotą i przytłaczają do ziemi, że wiążą mu ręce i nogi. Jednocześnie o uszy odbiły mu się wrzaski i jak gdyby huk wystrzałów; jakieś jaskrawe światło przechodziło przez jego zamknięte powieki i raziło mu oczy blaskiem nieznośnym. Chciał się zbudzić, otworzyć oczy i nie mógł. Czuł, iż dzieje się z nim coś niezwykłego, że głowa zwiesza mu się w tył, jak gdyby go niesiono za ręce i nogi... Potem zdjął go jakiś strach, było mu źle, bardzo źle, bardzo ciężko. Wracała mu przez pół przytomność — ale dziwna — bo w towarzystwie takiej niemocy, jakiej nigdy w życiu nie doznawał. I jeszcze raz próbował się poruszyć, ale gdy mu się nie udało, rozbudził się lepiej i odemknął powieki.

Wówczas wzrok jego napotkał parę oczu, które wpijały się w niego chciwie, a były to czarne źrenice jak węgiel i tak złowrogie

że rozbudzony już zupełnie pan Zagłoba pomyślał w pierwszej chwili, że to dyabeł na niego patrzy — i znów przymknął powieki, i znów je prędko otworzył. Owe oczy patrzały wciąż uporczywie — twarz wydała się znajomą: nagle pan Zagłoba zadygotał do szpiku kości, oblał go zimny pot, a po krzyżach przeszły mu aż do nóg tysiące mrówek.

Poznał twarz Bohuna.

XXXIX.

Zagłoba leżał związany w kij do własnej szabli, w tej samej izbie, w której odbywało się wesele, a straszliwy watażka siedział opodal na zydlu i pasł oczy przerażeniem jeńca.

— Dobry wieczór waści! — rzekł, dojrzawszy otwarte powieki swej ofiary.

Pan Zagłoba nie odrzekł nic, ale w jednem mgnieniu oka oprzytomniał tak, jakby kropli wina do ust nie brał, jeno mrówki, doszedłszy mu do pięt, wróciły się do góry aż do głowy, a szpik w kościach stał się zimny jak lód. Mówią, że człowiek tonący w ostatnim momencie widzi jasno całą swoją przeszłość, że przypomina wszystko — i zdaje sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje; — taką jasność widzenia i pamięci posiadał w tej chwili pan Zagłoba, a ostatniem słowem tej jasności był cichy, niewypowiedziany ustami okrzyk:

— Ten mi dopiero da łupnia!

A watażka powtórzył spokojnym głosem:

— Dobry wieczór waszmości.

— Brr! — pomyślał Zagłoba — wołałbym, by wpadł w furyę.

— Nie poznajesz mnie, panie szlachcic?

— Czołem, czołem! Jak zdrowie?

— Nieźle. A waścinem to już ja sam się zajmę.

— Nie prosiłem Boga o takiego doktora i wątpię, abym mógł strawić twoje lekarstwa, ale dziej się wola Boża.

— No, ty mnie kurował, teraz ja się tobie odwdzięczę. My stare druhy. Pamiętasz, jak ty mnie głowę obwiązywał w Rozłogach? co?

Oczy Bohuna poczęły świecić, jak dwa karbunkuły, a linia wąsów przedłużała się w straszliwym uśmiechu.

— Pamiętam — rzekł Zagłoba — że mogłem cię nożem pchnąć i nie pchnąłem.

— A ja to ciebie pchnął? albo cię myślę pchnąć? Nie! ty dla mnie lubczyk — kochańczyk; ja ciebie będę strzegł, jak oka w głowie.

— Zawsze mówiłem, że zacny z ciebie kawaler — rzekł Zagłoba, udając, że bierze za dobrą monetę słowa Bohuna, a jednocześnie przez głowę przeleciała mu myśl: — Już widać on mi specyał jakowyś obmyślił; nie umrę poprostu.

— Ty dobrze mówił — ciągnął Bohun — ty także zacny kawaler; tak my się szukali i znaleźli.

— Co prawda, tom ciebie nie szukał, ale dziękuję za dobre słowo.

— Podziękujesz ty mi jeszcze lepiej niezadługo, i ja tobie podziękuję za to, że ty mnie mołodycię z Rozłogów do Baru wywiódł. Tam ja ją i znalazł, a teraz, ot! na weseleby ciebie prosił, ale to nie dziś i nie jutro, teraz wojna, a ty stary człowiek, może nie dożyjesz.

Zagłoba, mimo straszliwego położenia, w jakiem się znajdował, nadstawił uszu.

— Na wesele? — mruknął.

— A co ty myślał? — mówił Bohun — czy to ja chłop, żeby ją bez popa niewolił, albo mnie nie stać na to, żeby ja w Kijowie ślub brał? Nie dla chłopa ty ją do Baru przywiódł, ale dla atamana i hetmana...

— Dobrze! — pomyślał Zagłoba.

Potem zwrócił głowę ku Bohunowi.

— Każ mnie rozwiązać — rzekł.

— Poleż, poleż, ty w drogę pojedziesz, a ty stary, tobie odpocząć przed drogą.

— Dokąd mnie chcesz wieźć?

— Ty mój przyjaciel, tak ja cię do drugiego mojego przyjaciela zawiodę, do Krzywonosa. Już my oba pomyślimy, żeby tobie tam było dobrze.

— Będzie mi ciepło! — mruknął szlachcic i znowu mrówki poszły mu chodzić po grzbiecie.

Nakoniec począł mówić:

— Wiem, że ty do mnie rankor masz, ale niesłusznie, niesłusznie — Bóg widzi. My żyli razem i w Czehryniu nie jeden gąsior wy-

pili, bo miałem dla ciebie afekt ojcowski, za twoją fantazyę rycerską, jakiej lepszej nie znalazłeś na całej Ukrainie. Ot co! Czym ja tobie w drogę wchodził? Żebym ja był z tobą do Rozłogów wtedy nie jeździł, tobyśmy do tej pory w dobrej przyjaźni żyli — a pocóżem jechał, jeśli nie z życzliwości ku tobie? I żebyś się nie był wściekł, żebyś nie był mordował owych nieszczęsnych ludzi — Bóg na mnie patrzy — nie byłbym ci wchodził w drogę. Co mnie się do cudzych spraw mięszać! Wolałbym, żeby dziewczyna była twoja niż czyja inna. Ale przy twoich tatarskich zalotach sumienie mnie ruszyło, że to przecie szlachecki dom. Sambyś nie inaczej postąpił. Mogłem cię przecie z tego świata zgładzić, z większym moim pożytkiem—a przecieżem tego nie uczynił? bom szlachcic i wstyd mi było, Zawstydźże się i ty, bo wiem, że się nademną chcesz znęcać. Dziewczynę i tak masz w ręku —czego odemnie chcesz? Zalim jej nie strzegł, jak oka w głowie — tego twojego dobra? Żeś ją uszanował, znać że i w tobie jest rycerski honor i sumienie. Jakże to jej podasz rękę, którą w mojej krwi niewinnej ubroczysz? Jako to jej powiesz: tego człeka, który cię przez chłopstwo i Tatarstwo przeprowadził, na mękim wydał? Zawstydźże się i puść mnie z tych pętów i z tej niewoli, w którą mnie zdradą pochwyciłeś. Młodyś jest i nie wiesz, coć spotkać może — a za moją śmierć Bóg cię będzie karał na tem, co ci najmilsze.

Bohun wstał z zydla, blady ze wściekłości, i zbliżywszy się do Zagłoby, zaczął mówić przyduszonym przez furyę głosem:

— Wieprzu nieczysty, pasy drzeć z ciebie każę, na wolnym ogniu spalę, ćwiekami nabiję, na szmaty rozerwę!

I w przystępie szaleństwa pochwycił za nóż wiszący u pasa — przez chwilę ściskał go konwulsyjnie w pięści — już, już ostrze zaświeciło panu Zagłobie w oczach, ale watażka pohamował się, nóż wepchnął z powrotem w pochwę i zakrzyknął:

— Mołojcy!

Sześciu Zaporożców wpadło do izby.

— Wziąć to ścierwo lackie i w chlewie rzucić, a strzedz, jak oka w głowie!

Kozacy porwali pana Zagłobę, dwóch za ręce i za nogi, jeden z tyłu za czuprynę — i wyniósłszy z izby, przenieśli przez cały majdan, nakoniec porzucili go na gnoju w stojącym opodal chlewie. Potem drzwi się zamknęły i jeńca otoczyła zupełna ciemność, jeno przez szpary między belkami i przez dziury w poszyciu przedzierało

się tu i owdzie światło nocne. Po chwili oczy pana Zagłoby przyzwyczaiły się do pomroki. Rozejrzał się do koła i ujrzał, że w chlewie nie ma świń, ani mołojców. Rozmowy tych ostatnich dochodziły go zresztą wyraźnie przez wszystkie cztery ściany. Widocznie cały budynek obstawiony szczelnie, ale mimo tych straży, pan Zagłoba odetchnął głęboko.

Przedewszystkiem żył. Gdy Bohun błysnął nad nim nożem, był pewien, że już ostatnia jego chwila wybiła — i Boga ducha polecał, co prawda, z największym strachem. Ale widocznie Bohun postanowił go zakonserwować na śmierć nierównie wymyślniejszą. Pragnął się nie tylko zemścić, ale i nasycić się zemstą nad tym, który wydarł mu krasawicę i sławę jego mołojecką nadwyrężył, a samego śmiesznością okrył, spowiwszy go jak dziecko. Była to tedy smutna dla pana Zagłoby perspektywa, ale na razie pocieszyła go jednak myśl, że jeszcze żyje, że prawdopodobnie do Krzywonosa go powiodą i tam dopiero na spytki wezmą—że więc ma kilka, a może i więcej dni przed sobą; tymczasem zaś leży sobie oto w chlewie, samotny i może wśród ciszy nocnej o fortelach pomyśleć.

To była jedna dobra strona sprawy, ale gdy o złych pomyślał, znowu mrówki poczęły mu tysiącami chodzić po grzbiecie.

Fortele!...

— Gdyby tu wieprz, albo świnia leżała w tym chlewie — mruczał pan Zagłoba — miałaby ich więcej niż ja, boby jej nie zwięzywali w kij do własnej szabli. Niechby Salomona tak związali, nie byłby mędrszy od własnych pludrów, albo od mego napiętka. O Boże, Boże, za co mnie tak karzesz! Na tylu ludzi na świecie, tego jednego złodzieja najbardziej uniknąć pragnąłem — i taki, moje szczęście, żem jego właśnie nie uniknął. Będę miał skórę wyczesaną, jak świebodzińskie sukno. Żeby to inny mnie złapał, tobym deklarował, że do buntu przystaję, a potem umknął. Ale i innyby nie uwierzył, a cóż dopiero ten! Czuję, że mi serce zamiera. Dyabli mnie tu przynieśli. O Boże, Boże, ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogę, o Boże! Boże!

Po chwili jednak pomyślał pan Zagłoba, że gdyby miał wolne ręce i nogi, łatwiejby mógł jakichkolwiek fortelów się chwycić. A nużby popróbował? Byle tylko szablę zdołał z pod kolan wysunąć, reszta poszłaby łatwiej. Ale jak tu ją wysunąć? przewrócił się na bok — źle... Pan Zagłoba zamyślił się głęboko.

Następnie począł się kołysać na własnym grzbiecie coraz prędzej i prędzej — a za każdym takim ruchem posuwał się o pół cała naprzód. Zrobiło mu się gorąco, czupryna zapociła mu się gorzej niż w tańcu, i chwilami przerywał pracę, bo zdało mu się, że któryś z mołojców idzie ku drzwiom—i znów rozpoczynał z nowym zapałem, nakoniec przysunął się do ściany.

Wówczas począł się kiwać inaczej, bo nie od głowy ku nogom, ale z boku na bok, tak, że za każdym razem uderzał z lekka w ścianę końcem szabli, która wysuwała się przez to z pod kolan, przechylając się coraz bardziej ku wewnątrz, na stronę rękojeści.

Serce poczęło bić w panu Zagłobie, jak młotem, bo ujrzał, że ten sposób może być skuteczny.

I pracował dalej, starając się jaknajciszej uderzyć, i tylko wówczas, gdy rozmowa mołojców głuszyła lekkie uderzanie. Przyszła nareszcie chwila, że koniec pochwy znalazł się na jednej linii z łokciem i kolanem i że dalsze kiwania się u ściany nie mogły go już wypychać.

Tak, ale natomiast z drugiej strony zwieszała się już znaczna część szabli, i wiele cięższa, biorąc na uwagę rękojeść.

Na rękojeści był krzyżyk, jako zwykle przy karabelach; pan Zagłoba liczył na ów krzyżyk.

I po raz trzeci począł kołysać się, ale tym razem celem jego usiłowań było odwrócenie się nogami do ściany. Dopiąwszy i tego, jął posuwać się wzdłuż. Szabla jeszcze tkwiła między podkolanami a rękoma, ale rękojeść zawadzała się co chwila o nierówności gruntu — nakoniec krzyżyk zawadził silniej — pan Zagłoba kiwną się ostatni raz i przez chwilę radość przygwoździła go na miejscu.

Szabla wysunęła się zupełnie.

Szlachcic zdjął wówczas ręce z kolan, a chociaż dłonie miał jeszcze związane, uchwycił niemi szablę napowrót. Pochwę przytrzymał nogami i wyciągnął żelaźnicę.

Rozciąć pęta na nogach było teraz dziełem jednej chwili.

Trudniej było z dłońmi. Pan Zagłoba musiał ułożyć szablę na gnoju, tylcem do dołu, ostrzem do góry i trzeć o ostrze postronki dopóty, dopóki ich nie rozciął.

Gdy to uczynił, był nietylko wolny od pęt, lecz i uzbrojony.

Odetchnął też głęboko, poczem przeżegnał się i zaczął Bogu dziękować.

Ale od rozcięcia pęt do uwolnienia się z rąk Bohunowych było jeszcze bardzo daleko.

— Co dalej? — pyta samego siebie pan Zagłoba.

— Widzę, że zaczynam w piętkę gonić — rzekł sam do siebie, — a mój dowcip tyle wart, żeby nim buty wysmarować, chociaż i smarowidła lepszego można u Węgrzynów na jarmarku kupić. Jeśli mnie Bóg nie ześle jakiej myśli, to pójdę wronom na pieczeń, ale jeśli ześle, to się ofiaruję w czystości trwać, jako pan Longinus.

Głośniejsza rozmowa mołojców za ścianą przerwała mu dalsze rozmyślania, poskoczył więc i ucho przyłożył do szpary między belkami.

Wysuszone sosnowe belki odbijały głosy, jak pudło teorbanu, słowa dochodziły wyraźnie.

— A gdzie my stąd pojedziemy, ojcze Owsiwuju? — pytał jeden głos.

— Ne znaju, pewno do Kamieńca — odparł drugi.

— Ba! konie ledwo nogami włóczą, nie dojdą.

— Dlatego tu i stoimy; do rana wypoczną.

Nastała chwila milczenia; potem pierwszy głos ozwał się ciszej niż poprzednio:

— A mnie się widzi, ojcze, że ataman z pod Kamieńca za Jampol ruszy.

Zagłoba wstrzymał oddech w piersi.

— Milcz, jeśli ci młoda głowa miła! — brzmiała odpowiedź.

Nastała chwila milczenia, tylko z za innych ścian dochodziło szeptanie.

— Wszędy są, wszędy pilnują! — mruknął Zagłoba.

I poszedł ku przeciwległej ścianie.

Tym razem doszedł go chrzęst żutych obroków i parskanie koni, które widocznie stały tuż, a między niemi mołojcy rozmawiali leżący, bo głosy dochodziły z dołu.

— Hej!, — mówił jeden — my tu jechali nie śpiąc, nie jedząc, koniom nie poposając, poto, by na pale w obozie Jaremy poszli.

— To już pewno, że on tu jest?

— Ludzie, którzy z Jarmoliniec uciekli, widzieli go, jako ciebie widzę. Strach, co mówią: wielki on jak sosna, we łbie dwie głownie, a koń pod nim smok.

— Hospody pomyłuj (Panie zachowaj)!

— Nam tego Lacha z żołnierzami zabrać i uciekać.

— Jak uciekać? Konie i tak zdychają.

— Źle, braty ridnyje (rodzeni). Żeby ja był atamanem, tak jaby temu Lachowi szyję uciął i do Kamieńca choć piechotą wracał.

— Jego z sobą pod Kamieniec weźmiemy. Tam z nim atamany nasze poigrają.

— Pierwej z wami dyabli poigrają — mruczał Zagłoba.

Jakoż mimo całego strachu przed Bohunem a może właśnie dlatego, poprzysiągł sobie, że się żywcem nie da wziąć. Jest wolny od pęt, szablę ma w ręku — będzie się bronił. Rozsiekają go, to rozsiekają; ale żywcem nie wezmą.

Tymczasem parskanie i stękanie koni, widocznie nadzwyczajnie zdrożonych, zgłuszyło dalszą rozmowę, a natomiast poddało pewną myśl panu Zzgłobie.

— Żebym to mógł przez tę ścianę się przedostać, a na konia niespodzianie skoczyć! — myślał. — Jest noc, nimby się obaczyli, co się stało, jużbym im uszedł z oczu. Po tych jarach i rozłogach przy słońcu trudno gonić, a cóż dopiero w ciemnościach. Dajże mi Boże sposobność!

Ale o sposobność nie było łatwo. Trzebaby chyba ścianę rozwalić, a na to trzeba było być panem Podbipiętą, lub się podkopać jak lis, a i wówczas pewnieby usłyszeli, zobaczyli i ucapili zbiega za kark, nimby nogą strzemienia sięgnął.

Do głowy panu Zagłobie cisnęły się tysiące fortelów, ale właśnie dlatego, że były ich tysiące, żaden nie przedstawiał się jasno.

— Nie może już inaczej być, jeno skórą zapłacę — pomyślał. I ruszył ku trzeciej ścianie.

Nagle uderzył głową o coś twardego, zmacał: była to drabinka. Chlew nie był świński, ale bawoli i do połowy długości miał strych służący za skład słomy i siana. Pan Zagłoba bez chwili namysłu wylazł na górę.

Potem siadł, odetchnął i począł zwolna wciągać za sobą drabinkę.

— No, tom jest i w fortecy! — mruknął. — Choćby też i drugą drabinę znaleźli, nieprędko się tu dostaną. Jeśli pierwszego łba, który się tu wychyli, nie rozwalę na dwoje, to się pozwolę na schab uwędzić. O, do dyabła! — rzekł nagle — istotnie będą mnie mogli nie tylko uwędzić, ale upiec i na łój przetopić. Ale niech tam

zechcą chlew spalić, dobrze! żywcem mnie tembardziej nie dostaną, a wszystko mi jedno, czy mnie krucy zdziobią surowego czy pieczonego. Byłem tych zbójeckich rąk uszedł, o resztę nie dbam i mam nadzieję, że jeszcze jakoś to będzie!

Pan Zagłoba łatwo przechodził widać od ostatniej rozpaczy do nadziei. Jakoż niespodzianie taka w niego wstąpiła ufność, jakby już był w obozie księcia Jeremiego. A jednak położenie jego nie poprawiło się wiele. Siedział na strychu i mając szablę w garści, mógł istotnie długo przystępu bronić. Ot i wszystko. Ale ze strychu do wolności była droga, jak z pieca na łeb, z tą jeszcze różnicą, że w dole czekały szable i spisy mołojców, czyhających pod ścianami.

— Jakoś to będzie! — mruknął pan Zagłoba.

I zbliżywszy się do dachu, począł zlekka rozrywać i unosić poszycie, aby sobie prospectum (widok) na świat otworzyć.

Poszło mu to z łatwością, gdyż mołojcy rozmawiali ciągle pod ścianami, chcąc zabić nudę czuwania, a przytem powstał dość silny wiatr i głuszył powiewem wśród pobliskich drzew szelest unoszonych snopków.

Po pewnym czasie dziura była gotowa; pan Zagłoba wetknął w nią głowę i począł rozglądać się naokoło.

Noc poczynała już ustępować, a na wschodnią stronę nieba wstępował pierwszy brzask dnia, więc przy bladem świetle ujrzał pan Zagłoba cały majdan zapełniony końmi, przed chatą szeregi śpiących mołojców, powyciągane na kształt długich niewyraźnych linii, dalej żóraw studzienny i koryto, w którem świeciła woda, a obok nich znów szereg ludzi śpiących i kilkunastu mołojców z gołemi szablami w ręku, przechadzających się wzdłuż owego szeregu.

— To moi ludzie, których w łyka wzięto — mruknął szlachcic. — Ba! — dodał po chwili — żeby to byli moi, ale książęcy. Dobrym byłem ich wodzem, niema co mówić! Zawiodłem ich psu w gardło. Wstyd będzie oczy pokazać, jeśli mnie Bóg wróci wolność. A wszystko przez co? przez amory i napitki. Co mnie było do tego, że się chamy żenią? Tyle miałem do roboty na tem weselu, ile na psiem. Wyrzekam się tego zdrajcy miodu, który włazi w nogi, nie w głowę. Wszystko złe z pijaństwa, bo gdyby nas byli trzeźwych napadli, byłbym jako żywo otrzymał wiktoryę i Bohuna w chlewie zamknął.

Tu wzrok pana Zagłoby padł znowu na chatę, w której spał watażka, i zatrzymał się na jej drzwiach.

— O śpij, złodzieju! — mruknął — spij! niech ci się przyśni, żeć dyabli łuszczą, co cię i tak nie minie. Chciałeś z mojej skóry przetak uczynić, spróbuj tu wleźć do mnie na górę, a obaczymy czy ci twojej tak nie posiekam, że się i psom na buty nie zda. Żebym się tylko mógł stąd wyrwać, żebym się mógł wyrwać! Ale jak?

Rzeczywiście zadanie było prawie nie do spełnienia. Cały majdan tak był zapchany ludźmi i końmi, że choćby pan Zagłoba zdołał wydostać się z chlewa, choćby zsunąwszy się z dachu, skoczył na jednego z tych koni, które stały tuż pod chlewem, nie zdołałby żadną miarą dotrzeć nawet do wrót, a cóż dopiero wydostać się za wrota!

A jednak zdawało mu się, że dokonał większej części zadania, był wolny, uzbrojony i siedział pod strychem, jakoby w fortecy.

— Cóż u licha — myślał — czy potom się z łyk uwolnił, żeby się na nich powiesić?

I znowu fortele poczęły mu huczeć w głowie, ale było ich takie mnóstwo, że ani rusz wybrać.

Tymczasem szarzało coraz bardziej. Okolice chaty poczęły się wychylać z cienia, dach chaty powlókł się jakoby srebrem. Już pan Zagłoba mógł dokładniej odróżnić pojedyńcze grupy na majdanie, już dojrzał czerwoną barwę swych ludzi, leżących koło studni — i baranie kożuchy, pod którymi spali mołojcy wedle chaty.

Nagle jakaś postać podniosła się z szeregu śpiących i poczęła iść wolnym krokiem przez majdan, zatrzymując się tu i owdzie koło ludzi i koni; chwilkę pogadała z mołojcami pilnującymi jeńców i nakoniec zbliżyła się do chlewa. Pan Zagłoba sądził w pierwszej chwili, że to jest Bohun, zauważył bowiem, że strażnicy rozmawiali z ową postacią, jak podwładni z przełożonym.

— Ej! — mruknął — żebym to miał teraz guldynkę w ręku, nauczyłbym cię, jak to nogami się nakrywać.

W tej chwili postać owa podniosła głowy i na twarz jej padł szary blask świtu: to nie był Bohun, ale sotnik Hołody, którego pan Zagłoba poznał natychmiast, bo go znał doskonale jeszcze z tych czasów, gdy dotrzymywał kompanii Bohunowi w Czehryniu.

— Chłopcy! — rzekł Hołody — a nie śpicie?

— Nie, batku, choć i chce się spać. Czasby nas zmienić.

— Zaraz was zmienią. A wraży syn nie uciekł?

— Oj, oj! Chyba dusza z niego uciekła, ojcze, bo się ani ruszył.

— Szczwana to liszka. A obaczcieno, co się z nim dzieje, bo on gotów się w ziemię zapaść.

— Zaraz! — odrzekło kilku mołojców, zbliżając się ku drzwiom chlewa.

— Stoczcie też i siana ze stropu. Konie wytrzeć! Ze wschodem ruszamy!

— Dobrze bat'ku!

Pan Zagłoba, porzuciwszy co tchu swoje stanowisko przy dziurze w dachu, przyczołgał się do otworu w stropie. Jednocześnie usłyszał skrzyp drewnianej zapory i szelest słomy pod nogami mołojców. Serce biło mu młotem w piersi, a ręką ściskał głownię szabli, ponawiając sobie w duchu śluby, że prędzej da się spalić razem z chlewem, lub na sieczkę pociąć, niż żywcem wziąć. Spodziewał się też, że lada chwila mołojcy podniosą wrzask straszliwy, ale się omylił. Czas jakiś słychać było, jak chodzili coraz to śpieszniej po całym chlewie, nareszcie jeden ozwał się:

— Jaki tam czort? nie mogę go zmacać! My go ot tu rzucili.

— Niesamowity, czy co? Skrzesz ognia, Wasyl, ciemno tu, jak w lesie.

Nastała chwila milczenia; Wasyl szukał widocznie hubki i krzesiwa, drugi zaś mołojec począł wołać z cicha:

— Panie szlachcic, odezwij się!

— Całuj psa w ucho! — mruknął Zagłoba.

Wtem żelazo poczęło szczękać o krzemień, sypnął się rój iskier i rozświecił ciemne wnętrze chlewa i głowy mołojców, przybrane w kapuzy, poczem zapadła ciemność jeszcze głębsza.

— Niema, niema! — wołały gorączkowe głosy.

Wówczas jeden z mołojców ku drzwiom poskoczył.

— Bat'ku Hołody! bat'ku Hołody!

— Co takiego? — pytał sotnik, ukazując się we drzwiach.

— Niema Lacha!

— Jak to niema?

— W ziemię zapadł! Niema nigdzie. O Hospody pomyłuj! My ogień krzesali, niema!

— Nie może być! Oj, byłoby wam od atamana! Uciekł, czy co? pospaliście się?

— Nie, bat'ku, my nie spali. Z chlewa on nie wyszedł naszą stroną.

— Cicho, nie budzić atamana! jeśli nie wyszedł, to musi gdzieś być. A wy wszędzie szukali?

— Wszędzie.

— A na stropie?

— Jak jemu było na strop leźć, kiedy był w łykach.

— Durny ty! Żeby on się nie rozwiązał, toby tu był. Szukać na stropie! Skrzesać ognia!

Sypnęły się znowu iskry. Wieść przeleciała wnet przez wszystkie straże. Poczęto się tłoczyć do chlewa z owym pośpiechem zwyczajnym w nagłych razach; słychać było szybkie kroki, szybkie pytania i jeszcze szybsze odpowiedzi. Rady krzyżowały się, jak miecze w boju.

— Na strop! na strop!

— A pilnuj z zewnątrz!

— Nie budzić atamana, bo będzie bieda!

— Niema drabiny!

— Przynieść drugą!

— Niema nigdzie!

— Skoczyć do chaty, czy tam niema?

— O Lach przeklęty!

— Leźć po węgłach na dach, dachem się przedostać!

— Nie można, bo wystaje i podbity deskami!

— Przynieść spisy! Po spisach tędy wejdziemy! A sobaka! drabinę wciągnął!

— Przynieść spisy! — zabrzmiał głos Hołodego.

Mołojcy skoczyli po spisy, inni zaś popodnosili głowy ku stropowi. Już też rozpierzchłe światło wniknęło przez otwarte drzwi i do chlewa, a przy jego niepewnym blasku widać było kwadratowy otwór stropu, czarny i cichy.

Z dołu ozwały się pojednawcze głosy:

— No, panie szlachcic! Spuść drabinę i zleź! I tak się nie wymkniesz: poco ludzi trudzić!? Zleź, zleź!

Cisza.

— Ty mądry człowiek! Żeby tobie to co pomogło, tak tyby siedział, ale że to tobie nie pomoże, tak ty zleziesz dobrowolnie, ty dobry!

Cisza.

— Zleź, a nie, to ci skórę ze łba zedrzemy, łbem na dół w gnój cię zrzucimy!

Pan Zagłoba pozostał równie głuchy na groźby, jak i na pochlebstwa, i siedział w ciemnościach jak borsuk w jamie, gotując się do zaciętej obrony. Tylko szablę coraz mocniej ściskał, i sapał trochę, i w duchu pacierz szeptał.

Tymczasem przyniesiono spisy, związano trzy w pęk i postawiono sztorcami ku otworowi. Panu Zagłobie przemknęła przez głowę myśl, czyby nie porwać ich i nie wciągnąć, ale pomyślał także, że dach może być za nisko i że nie zdoła ich wciągnąć zupełnie. Zresztą przyniesionoby w tej chwili inne.

Tymczasem cały chlew napełnił się mołojcami. Niektórzy świecili łuczywem, inni poznosili najrozmaitsze drągi i drabiny od wozów, które okazały się za krótkie, więc wiązano je co duchu rzemieniami, bo po spisach trudno istotnie było się wspinać. Jednakże naleźli się chętni.

— Ja pójdę! — wołało kilka głosów.

— Czekać na drabinę! — rzekł Hołody.

—A co szkodzi, bat'ku, popróbować na spisach?

— Wasyl wlezie! on tak jak kot chodzi!

— To próbuj!

A inni poczęli zaraz żartować.:

— Ej, ostróżnie! on szablę ma, szyję utnie, obaczysz.

— Sam za łeb złapie i wciągnie, a tam cię opatrzy, jak niedźwiedź!

Wasyl nie dał się stropić.

— On znaje — rzekł — że niechby on mnie palcem dotknął, czortaby mu ataman dał zjeść i wy, braty.

Było to ostrzeżenie dla pana Zagłoby, który siedział cicho, ani mruknął.

Lecz mołojcy, jak to zwykle między żołnierzami, wpadli już w dobry humor, bo całe zajście poczęło ich bawić, więc dalej przymawiać Wasylowi:

— Będzie jednym durnym mniej na świecie, na białym.

— On tam nie będzie zważał, jak my jemu zapłacim za twoją szyję. On śmiały mołojec!

— Ho! ho! On niesamowity. Czort jego wie, w co się tam już zmienił, to czarownik! Ty, Wasyl, niewiadomo kogo tam znajdziesz w czeluści!

Wasyl, który splunął już w dłonie i obejmował właśnie niemi spisy, wstrzymał się nagle.

— Na Lacha pójdę — rzekł — na czorta nie!

Ale tymczasem związano drabiny i przystawiono je do otworu. Źle było i po nich wchodzić, bo się zaraz wygięły na związaniu i szczeble cienkie trzeszczały pod stopami, które na próbę na najniższym stawiono. Ale począł wchodzić sam Hołody, wchodząc zaś mówił:

— Ty, panie szlachcic, widzisz, że to nie żarty. Uparłeś się na górze siedzieć, ale się nie broń, bo my cię dostaniemy i tak, choćby i cały chlew mieli rozebrać. Ty miej rozum!

Nakoniec głowa jego dotknęła czeluści i pogrążała się w niej zwolna. Nagle dał się słyszeć świst szabli, Kozak krzyknął strasznie, zachwiał się i padł między mołojców, z rozwaloną na dwie połowy głową.

— Koli! koli! — zawrzasnęli mołojcy.

W całym chlewie powstał straszliwy zamęt, podniosły się krzyki i wołania, które zgłuszył grzmiący głos pana Zagłoby:

— Ha, złodzieje, ludojady, ha, basałyki! do nogi was wytłukę, szelmy parszywe! Poznajcie rycerską rękę! Ludzi uczciwych po nocy napadać! w chlewie szlachcica zamykać! ha, łotry! W po jedynkę, albo i po dwóch! Chodźcieno sam! ale łby zostawcie w gnoju, bo poucinam, jakom żyw!

— Koli! koli! (bij, bij)! — wołali mołojcy

— Chlew spalimy!

— Ja sam spalę, bycze ogony, byle z wami!

— Po kilku! po kilku na raz! — krzyknął stary Kozak. — Trzymać drabiny, spisami podpierać, przynieść snopków na łby i dalej... Musimy go dostać.

To rzekłszy, ruszył w górę, a razem z nim dwóch towarzyszów, szczeble poczęły się łamać, drabiny wygięły się jeszcze mocniej, ale przeszło dwadzieścia krzepkich rąk pochwyciło je za drągi, w górze podpierano spisami. Inni powtykali ostrza spis w otwór, by cięcia szabli zahamować.

W kilka chwil później, trzy nowe ciała spadły na głowy stojących w dole.

Pan Zagłoba, rozgrzany tryumfem, ryczał jak bawół i zionął takie przekleństwa, jakich świat nie słyszał i od jakich dusze niezawodnie zamarłyby w mołojcach, gdyby nie to, że wściekłość poczęła ich ogarniać. Niektórzy kłuli spisami strop, inni darli się na drabinę, chociaż w czeluści czekała śmierć pewna. Nagle krzyk się zrobił przy drzwiach i do chlewa wpadł sam Bohun.

Był bez czapki, tylko w szarawarach i koszuli w ręku miał gołą szablę, w oczach płomień.

— Przez dach, psiawiary! — krzyknął. — Poszycie rozerwać i żywcem brać!

A Zagłoba, ujrzawszy to, ryczał:

— Chamie, późno tu tylko! Nos i uszy ci obetnę, gardła nie wezmę, bo to kata własność. A co, tchórz cię obleciał? Boisz się, parobku? Związać mi sam tu! Wychyl jeno łba na strop! Chodź, chodź, będę ci rad, poczęstuję tak, żeć się przypomni i twój ojciec dyabeł i twoja mać gamratka.

Tymczasem krokwie dachu jęły trzeszczać. Widocznie mołojcy dostali się na niego i teraz rwali już poszycie.

Zagłoba dosłyszał, ale strach nie odjął mu sił. Był jakby spity bitwą i krwią.

— Skoczę w kąt i tam zginę — pomyślał.

Ale w tej chwili na całym majdanie rozległy się strzały, a jednocześnie kilkunastu mołojców wpadło do chlewa.

— Bat'ku! Bat'ku! — krzyczeli w niebogłosy: — bywaj!

Pan Zagłoba w pierwszej chwili nie zrozumiał, co się stało — i zdumiał się. Spojrzy przez czeluść na dół, aż tam nikogo już niema. Krokwie w dachu nie trzeszczą.

— Co to jest? co się stało? — zawołał głośno. — Ha rozumiem. Chcą chlew puścić z ogniem i z pistoletów do dachu palą.

Tymczasem na zewnątrz słychać było coraz straszniejsze wrzaski ludzkie, tętent koni, strzały zmieszane z wyciem, szczęk żelaza.

— Boże! to chyba bitwa! — pomyślał pan Zagłoba.

I skoczył do swojej dziury w dachu.

Spojrzał — i nogi ugięły się pod nim z radości.

Na majdanie wrzała bitwa, a raczej ujrzał pan Zagłoba straszliwy pogrom Bohunowych mołojców. Napadnięci znienacka, rażeni ogniem z pistoletów, przykładanych do łbów i piersi, przyparci do płotów, do chaty i do stodoły, cięci mieczami, pchani falą piersi końskich, miażdżeni kopytami, mołojcy ginęli, nie dając prawie oporu. Szeregi żołnierzy, przybranych w krasne barwy, siekąc zapamiętale i naciskając uciekających, nie dozwoliły się im sformować, ani szablą się złożyć, ani odetchnąć, ani dosiąść koni. Broniły się tylko pojedyńcze kupy; inni dopinali wśród wrzawy, zamętu i dymu rozluźnione popregi kulbak i ginęli, nim zdołali nogą

dotknąć strzemienia — inni rzucając spisy i szable, zmykali pod płoty, więźli między żerdziami i przeskakiwali przez wierzch, wrzeszcząc i wyjąc nieludzkiemi głosami. Zdawało się nieszczęsnym, że sam książe Jeremi spadł na nich niespodzianie, jak orzeł, że druzgocze ich ciała jego potęga. Nie mieli czasu się opamiętać, obejrzeć: okrzyki zwycięzców i świst szabel i huki wystrzałów gnały ich jak burza, gorący oddech koński oblewał im karki. "Ludy, spasajteś!" — rozległo się ze wszystkich stron. — "Bij, zabij!" — odpowiadali napastnicy.

I dojrzał nakoniec pan Zagłoba małego pana Wołodyjowskiego, jak stojąc wedle wrot na czele kilkunastu żołnierzy, głosem i buławą wydawał innym rozkazy, a niekiedy rzucał się na swym gniadym koniu w zamęt i wówczas ledwo się złożył, ledwie się zwrócił, już padał człowiek, nawet nie wydawszy okrzyku. O, bo mistrz to był nad mistrzami mały pan Wołodyjowski — i żołnierz z krwi i kości, więc bitwy nie tracił z oka, ale poprawiwszy tu i owdzie, znowu się wracał i patrzał, i poprawiał, właśnie jak ów, który, kapelą kierując, czasem sam zagra, czasem grać przestaje, a nad wszystkiemi ustawicznie czuwa, by każdy swoje odegrał.

Widząc to, pan Zagłoba począł nogami tupać w deski stropu, aż kłęby kurzu powstały, w ręce klaskać i ryczeć:

— Bij psubraty, bij, morduj, ze skóry łup! siekaj, tnij, wal, rznij, morduj! Dalejże w nich, dalej! na szable ich i w pień!

Tak krzyczał pan Zagłoba i rzucał się, oczy krwią mu zaszły z wysilenia i zaniewidział na chwilę, ale znów wzrok odzyskał, ujrzał jeszcze piękniejszy widok — oto w kupie kilkudziesięciu mołojców pomykał na koniu jak błyskawica Bohun, bez czapki, w koszuli tylko i hajdawerach, a za nim na czele żołnierzy mały Wołodyjowski.

— Bij! — krzyknął Zagłoba — to Bohun!

Ale głos nie doszedł; tymczasem Bonun z mołojcami przez płot, pan Wołodyjowski przez płot, niektórzy zostali — innym konie zwinęły się w skoku. Spojrzy Zagłoba: Bohun na równinę, pan Wołodyjowski na równinę. Wnet rozproszyli się i mołojcy w ucieczce, i żołnierze w biegu — rozpoczął się pościg pojedyńczy.

Zagłobie dech zamarł w piersi, oczy ledwie mu z powiek nie wyskoczą, cóż bowiem widzi. Oto jedzie już pan Wołodyjowski na karku Bohuna, jak ogar na dziku, watażka zwraca głowę nadstawia szablę.

— Biją się! — krzyczy Zagłoba.

Chwila jeszcze i Bohun pada razem z koniem, a pan Wołodyjowski, tratując po nim, pędzi za innymi.

Ale Bohun żyw, bo zrywa się z ziemi i pobiegł ku skałom zarosłym chaszczami.

— Trzymaj! trzymaj! — ryczał Zagłoba — to Bohun!

Wtem pędzi nowa wataha mołojców, która aż do tej chwili przemykała się z drugiej strony skał, a teraz odkryta, szuka nowej drogi do ucieczki. Za nią w odległości pół staja pędzą żołnierze. Wataha owa dogania Bohuna, ogarnia go, porywa i uprowadza z sobą. Nakoniec ginie z oczu w zakrętach parowu, a za nią giną i żołnierze.

Na majdanie zapanowała cisza i pustka, bo nawet i żołnierze pana Zagłoby, odbici przez Wołodyjowskiego, dopadłszy koni po mołojcach, pognali razem z innymi za rozproszonym nieprzyjacielem.

Pan Zagłoba spuściwszy drabinę, zlazł z góry i wyszedłszy z chlewa na majdan, rzekł:

— Wolnym jest...

To rzekłszy, począł rozglądać się naokoło. Na majdanie leżało mnóstwo trupów zaporoskich i kilkanaście żołnierskich. Szlachcic chodził między nimi zwolna i oglądał każdego starannie, nakoniec przykląkł nad jednym. Po chwili podniósł się z blaszaną manierką w ręku.

— Pełna — mruknął.

I przyłożywszy do ust, przechylił głowę.

— Niezła!

Znów obejrzał się naokoło i znów powtórzył, ale już wiele raźniejszym głosem:

— Wolnym jest!

Potem poszedł do chaty, na progu natknął się na trupa starego bondara, którego mołojcy zamordowali, i zniknął we wnętrzu. Gdy wyszedł, naokół bioder, na kubraku zawalanym w nawozie świecił mu pas Bohuna, gęsto przeszywany złotem, za pasem zaś nóż z wielkim rubinem w główni.

— Bóg wynagrodził męstwo! — mruczał — bo trzosik dość pełny. Ha, zbój plugawy! Mam nadzieję, że się nie wymknie! Ale ten mały fircyk! niech go kule biją! Cięta to sztuka, jak osa. Wie-

działem, że dobry żołnierz, ale żeby tak sobie na Bohunie jechał, jak na łysej kobyle, tegom się po nim nie spodziewał. Że też to w tak małem ciele taki może być animusz i wigor! Bohun mógłby go u pasa na sznurku nosić, jak kozik. Niechże go kule biją!— albo lepiej niech mu Bóg szczęści! Musiał Bohuna nie poznać, bo byłby go dokończył. Fu! jak tu prochem pachnie, aż w nozdrzach wierci! Alem się też z takich terminów wykręcił, w jakowych jeszcze nie bywałem. Chwała bądź Bogu! No, no, ale żeby tak na Bohunie jechać! Muszę się temu Wołodyjowskiemu jeszcze przypatrzeć, bo chyba dyabeł w nim siedzi.

Tak rozprawiając, siadł pan Zagłoba na progu chlewa i czekał.

Tymczasem zdala na równinie ukazali się żołnierze, wracający z pogromu, a na czele jechał pan Wołodyjowski. Ujrzawszy Zagłobę, przyśpieszył biegu i zeskoczywszy z konia, szedł ku niemu.

— Waćpana to jeszcze oglądam? — pytał zdala.

— Mnie we własnej osobie — rzekł pan Zagłoba. — Bóg waści zapłać, iżeś z pomocą przybył!

— Chwalić Boga, że w porę! — odpowiedział mały rycerz, ściskając z radości dłoń pana Zagłoby.

— Ale skądżeś się waszmość o opresyi, w jakiej tu zostawałem dowiedział?

— Chłopi dali znać z tego futoru.

— O! ja myślałem, że mnie zdradzili.

— Gdzie tam, to dobrzy ludzie! Ledwie z życiem uszli chłopak i dziewczyna, a co się z resztą weselników stało, nie wiedzą.

— Jeśli nie zdrajcy, to od Kozaków pobici. Futornik leży wedle chaty. Ale mniejsza z tem. Mówże waść, czy Bohun żyw? uciekł?

— Alboż to był Bohun?

— Ten bez czapki, w koszuli i hajdawerach, któregoś waść z koniem obalił.

— Ciąłem go w dłoń; bogdaj to licho, żem go nie poznał. Ale waść, ale waść, mości Zagłobo, cóżeś to waść najlepszego uczynił?

— Com uczynił? — powtórzył pan Zagłoba. — Chodź, panie Michale i patrz!

To rzekłszy, ujął go za rękę i wprowadził do chlewa.

— Patrz! — powtórzył.

Pan Wołodyjowski nie widział przez chwilę nic, bo wszedł ze

światła, ale gdy już oczy jego oswoiły się nieco z ciemnością, dojrzał ciała leżące nieruchomie na gnoju.

— A tych ludzi kto narznął? — pytał zdziwiony.

— Ja! — rzekł Zagłoba — pytałeś waść, com uczynił? więc masz!

— No! — rzekł młody oficer, kręcąc głową. — A jakimże to sposobem?

— Tam się broniłem na górze, oni mnie szturmowali z dołu przez dach. Nie wiem jak długo to było, bo w bitwie człowiek czasu nie liczy. Bohun to był, Bohun, ze srogą potęgą i z wyborem ludzi. Popamięta on waćpana, popamięta i mnie! innym czasem ci opowiem, jako w niewolę popadłem, com wytrzymał i jakom Bohuna splantował, bom i na języki się z nim próbował. Alem dziś tak fatigatus (zmęczony), że ledwie na nogach się trzymam.

— No! — powtórzył pan Wołodyjowski — niema co mówić, mężnie waść stawałeś; jeno to powiem, żeś lepszy rębacz, niż wódz.

— Panie Michale! — rzecze szlachcic — nie pora rozprawiać. Lepiej Bogu dziękujmy, że nam obydwom tak wielką dziś spuścił wiktoryę, o której pamięć nie prędko między ludźmi zaginie.

Pan Wołodyjowski spojrzał zdumiony na Zagłobę. Jakoś dotąd wydawało mu się, że to on sam odniósł ową wiktoryę, którą pan Zagłoba widocznie chciał się z nim podzielić.

Ale popatrzał tylko na szlachcica, pokręcił głową i rzekł:

— Niechże i tak będzie.

W godzinę później obaj przyjaciele, na czele połączonych oddziałów, wyruszyli ku Jarmolińcom.

Z ludzi Zagłoby nie brakło prawie nikogo, gdyż we śnie zaskoczeni, nie stawiali oporu, Bohun zaś, wysłany głównie po języka, kazał żywcem brać, nie mordować.

XL.

Bohun, lubo wódz mężny i przezorny, nie miał szczęścia w tej wyprawie, którą pod rzekomą dywizyę księcia Jeremiego przedsięwziął. Utwierdził się tylko w przekonaniu, że książę istotnie wyruszył całą potęgą przeciw Krzywonosowi, bo tak mu powiadali wzięci w niewolę żołnierze pana Zagłoby, którzy sami wierzyli w to najświęciej, iż książe ciągnie za nimi. Nie pozostawało więc nic

innego nieszczęsnemu atamanowi, jak cofać się coprędzej do Krzywonosa, ale zadanie nie było łatwe. Zaledwie trzeciego dnia zebrała się koło niego wataha złożona z dwustu kilkunastu mołojców; inni albo w boju polegli, albo zostali ranni na polu potyczki, albo błąkali się jeszcze wśród jarów i oczeretów, nie wiedząc co czynić, jak się obrócić, dokąd iść. A i ta kupa przy Bohunie nie na wiele była przydatna, bo zbita, za lada alarmem skłonna do ucieczki, zdemoralizowana, przerażona. A był to przecie wybór mołojców; lepszych żołnierzy trudno było w całej Siczy znaleźć. Ale mołojcy nie wiedzieli, z jak małą siłą pan Wołodyjowski na nich uderzył i że, dzięki tylko niespodzianemu napadowi na śpiących i nie przygotowanych, taką klęskę mógł zadać, i wierzyli najświęciej, że mieli sprawę, jeśli nie z samym księciem, to przynajmniej z potężnym kilkakroć liczniejszym podjazdem. Bohun wrzał jak ogień; cięty w rękę, stratowany, chory, pobity, i wroga zaklętego z rąk wypuścił i sławę nadwerężył, bo już ci mołojcy, którzy w wigilię klęski, do Krymu, do piekła i na samego księcia byliby ślepo za nim poszli, teraz stracili wiarę, stracili ducha i o tem myśleli, jakby gardła całe z pogromu wynieść. A przecie Bohun uczynił wszystko, co wódz uczynić powinien, niczego nie zaniedbał, straże opodal futoru porozstawiał i spoczywał dlatego tylko, że konie, które z pod Kamieńca prawie jednym tchem przyszły, całkiem niezdatne były do drogi. Ale pan Wołodyjowski, któremu życie młode zbiegło w podejściach i łowach na Tatarów, podszedł jak wilk nocą pod straże, pochwytał je, nim zdołały krzyknąć lub wystrzelić — i napadł tak, że oto on Bohun, w hajdawerach tylko i w koszuli ujść potrafił. Gdy o tem watażka myślał, świat mu czerniał w oczach, w głowie się przewracało i rozpacz kąsała mu duszę, jak pies wściekły. On, który na Czarnem morzu na galery tureckie się rzucał on, który aż do Perekopu na karkach tatarskich dojeżdżał i chanowi w oczy pożogą ułusów, (osad) świecił; on, który księciu pod ręką, przy samych Łubniach regiment w Wasilówce wyciął, musiał — uciekać w koszuli, bez czapki — i bez szabli, bo i tę w spotkaniu z małym rycerzem utracił. To też, gdy nikt nie patrzał, na postojach i popasach, watażka chwytał się za głowę i krzyczał: "Gdzie moja sława mołojecka? gdzie moja szabla-drużka?" A gdy tak krzyczał, porywał go obłęd dziki i spijał się, jak nieboże stworzenie, potem na księcia chciał iść, na całą siłę jego uderzyć — i zginąć, i przepaść na wieki.

On chciał, ale mołojcy nie chcieli. "Ubij, bat'ku, nie pójdziemy!" — odpowiadali ponuro na jego wybuchy — i napróżno mu było w napadach szaleństwa szablą ich siec, z pistoletów twarze osmalać — nie chcieli, nie poszli.

Rzekłbyś: ziemia usuwała się z pod nóg atamana, bo nie tu był jeszcze koniec jego nieszczęść. Bojąc się dla przwdopodobnej pogoni uchodzić wprost na południe i sądząc, że może Krzywonos już oblężenia zaniechał, rzucił się sam ku wschodowi i trafił na oddział pana Podbipięty. Ale czujny jak żóraw pan Longinus nie dał się zejść, pierwszy na watażkę uderzył, i rozbił go tem łatwiej, że mołojcy bić się nie chcieli — i podał w ręce panu Skrzetuskiemu, a ten go najpotężniej rozgromił, tak, że Bohun, po długiem błądzeniu w stepach, w kilkanaście zaledwie koni, bez sławy, bez mołojców, bez zdobyczy i bez języków, dotarł nareszcie do Krzywonosa.

Lecz dziki Krzywonos, tak straszny zwykle dla podwładnych, którym nie dopisało szczęście, tym razem nie rozgniewał się wcale. Wiedział z własnego doświadczenia, co to sprawa z Jeremim, więc przyhołubił jeszcze Bohuna, pocieszał i uspokajał, a gdy watażka zapadł na gorączkę, kazał go strzedz, i leczyć, i pilnować, jak oka w głowie.

Tymczasem czterej książęcy rycerze, napełniwszy kraj grozą i przestrachem, stanęli szczęśliwie z powrotem w Jarmolińcach, gdzie zatrzymali się na dni kilka, by ludziom i koniom dać odpoczynek. Tam gdy stanęli w jednej kwaterze, zdawał kolejno każdy panu Skrzetuskiemu sprawę z tego co go spotkało i czego dokonał, — poczem zasiedli przy gąsiorku, aby w przyjacielskiem opowiadaniu ulżyć sercom i dać folgę wzajemnej ciekawości.

Ale wówczas pan Zagłoba mało komu pozwolił przyjść do słowa. Nie chciał słuchać, pragnął, by jego tylko słuchano, jakoż pokazało się, że najwięcej miał do opowiadania.

— Mości panowie! — mówił — popadłem w niewolę, prawda jest! ale fortuna kołem się toczy. Bohun całe życie bijał, a my dziś jego pobili. Takto, tak! zwyczajnie na wojnie! Dziś ty garbujesz, jutro ciebie garbują. Ale Bohuna za to Bóg skarał, iż nas śpiących smaczno snem sprawiedliwych napadł i w tak bezecny sposób rozbudził. Ho, ho! myślał, że mnie swoim plugawym językiem przestraszy, a tu mówię waściom, jakem go przycisnął, tak zaraz stracił fantazyę, zmieszał się i wygadał to, czego nie chciał. Co tu

długo mówić, żebym w niewolę nie wpadł, nie bylibyśmy mu obaj z panem Michałem klęski zadali, mówię: obaj, bo że w tym terminie magna pars fui (wielkości częścią byłem), nie przestanę twierdzić do śmierci. Tak mi Boże daj zdrowie! Słuchajcie dalej moich racyj: żebyśmy go z panem Michałem nie pobili, nie byłby mu podbił pięt pan Podbipięta, dalej pan Skrzetuski, a nakoniec, żebyśmy go nie rozgromili, byłby on nas rozgromił — co że się nie stało, kto przyczyną?

— A z waścią, to jak z liszką — rzecze pan Longinus — tu ogonem machniesz, tam się umkniesz, zawsze się wykręcisz.

— Głupi ogar, co za ogonem bieży, bo i nie dogoni i niczego poczciwego się nie dowącha, a w ostatku wiatr straci. Ilużeś waść ludzi postradał?

— Ot, ze dwunastu wszystkiego, a kilku rannych; już tam nie bardzo nas bili.

— A waszmość panie Michale?

— Ze trzydziestu, bom na nieprzygotowanych uderzył.

— A wasze panie poruczniku?

— Tylu, ile pan Longinus.

— A ja dwóch. Powiedzcież sami, kto lepszy wódz? Ot, co jest. Pocóżeśmy tu przyjechali? po służbie książęcej, wieści o Krzywonosie nałapać, otóż powiem waszmościom, że jam się pierwszy o nim dowiedział, i z najlepszych ust, bo od Bohuna, i wiem, że pod Kamieńcem stoi, ale oblężenia myśli zaniechać, bo go tchórz obleciał. To wiem de publicis (dla ogółu), ale wiem też jeszcze i coś innego, od czego radość wstąpi waćpaństwu w serca i o czem dotąd nie mówiłem dlatego, że chciałem, abyśmy w kupie o tem radzili; byłem też niezdrów, bo mnie fatygi obaliły i od tego zbójeckiego wiązania w kij wnętrzności we mnie rebelizowały. Myślałem, że mnie krew zaleje.

— Mówże waszmość, na miłość Boską! — zawołał Wołodyjowski. — Zaliżeś o naszej niebodze słyszał?

— Tak jest, niech jej Bóg błogosławi — rzekł Zagłoba.

Pan Skrzetuski podniósł się na całą swą wysokość i usiadł natychmiast — i nastała taka cisza, że słychać było brzęczenie komarów na okienku, aż pan Zagłoba zabrał głos znowu.

— Żyje ona, wiem na pewno, i jest w Bohunowych ręku. Moi mości panowie, straszne to ręce, ale przecież Bóg nie dozwolił, aby

ją krzywda lub hańba spotkała. Moi mości panowie, to mnie sam Bohun powiadał, któryby prędzej czem innem chełpić się gotów.

— Jak to może być? Jak to może być? — pytał gorączkowo Skrzetuski.

— Jeśli łżę, niech mnie piorun zapali — odrzekł poważnie Zagłoba — bo to jest święta rzecz. Słuchajcie, co mnie Bohun mówił, gdy sobie chciał drwić ze mnie, nimem go do ostatka splantował: "Cóżeś ty myślał (prawi), żeś dla chłopa ją do Baru przywiózł? że to ja chłop (prawi), abym ją siłą niewolił? Czy to mnie nie stać, by mnie w Kijowie w cerkwi ślub dali czerńcy (powiada), żeby mi śpiewali, i żeby trzysta świec mi palili — mnie atamanowi! hetmanowi!" — i nogami nademną tupał, i nożem mi groził, bo myślał, że mnie ustraszy, alem mu powiedział, żeby psy straszył.

Skrzetuski już się opamiętał, tylko mu się mnisza twarz rozświeciła i grała na niej napowrót obawa, nadzieja, radość i niepewność.

— Gdzie ona tedy jest? gdzie jest? — pytał z pośpiechem. Jeśli się i tego waść dowiedział, toś z nieba spadł.

— Tego on mi nie mówił, ale mądrej głowie dość dwie słowie. Uważcie waszmościowie, że ciągle drwił ze mnie, nimem go spłantował, i tak znowu powiada: "Naprzód (powiada) do Krzywonosa ciebie zawiodę, a potem na weselebym cię prosił, ale teraz wojna, więc to jeszcze nie prędko." Uważcie, waszmościowie: "jeszcze nie prędko," — zatem mamy czas! Powtóre, uważcie także: "naprzód do Krzywonosa, potem na wesele," więc żadną miarą niema jej u Krzywonosa, ale gdzieś daleko, gdzie wojna nie doszła.

— Złoty z waści człowiek! — zawołał Wołodyjowski.

— Myślałem tedy naprzód — mówił mile połechtany Zagłoba — że może ją do Kijowa odesłał, ale nie, bo mi rzekł, że na wesele do Kijowa z nią pojedzie; jeżeli tedy pojedzie, to znaczy, że jej tam niema. I za mądry on na to, by ją tam wozić, bo gdyby się Chmielnicki ku Czerwonej Rusi posunął, to Kijowa łatwo litewskie wojska mogą dostać.

— Prawda! prawda! — wykrzyknął pan Longinus. — Ot, jak mnie Bóg miły, niejeden mógłby się z waścią na rozum pomieniać.

— Jeno jabym się nie z każdym mieniał, od strachu, abym zaś boćwiny zamiast rozumu nie kupił, coby mi się między Litwą snadnie przytrafić mogło.

— Już swoje zaczyna — rzekł Longinus.

— Pozwólże waść skończyć. Tak tedy niema jej u Krzywonosa, ani w Kijowie, więc gdzie jest?

— W tem sęk!

— Jeśli waść się domyślasz, to powiedz prędzej, bo mnie ogień pali! — krzyknął Skrzetuski.

— Za Jampolem! — rzekł Zagłoba i potoczył tryumfalnie swojem zdrowem okiem.

— Skąd waść wiesz? — pytał Wołodyjowski.

— Skąd wiem? Ot stąd: siedziałem w chlewie, bo mnie w chlewie ów zbój kazał zamknąć, żeby go wieprze za to zećpały! a naokoło gadali z sobą Kozacy. Przykładam tedy ucho do ściany i co słyszę? Jeden mówi: "Teraz chyba za Jampol ataman pojedzie" — a drugi na to: "Milcz, jeśli ci młoda głowa miła!" — Szyję daję, że ona jest za Jampolem.

— O! jak Bóg na niebie! — zakrzyknął Wołodyjowski.

— Na Dzikie Pola przecie jej nie zaprowadził, więc wedle mojej głowy, musiał ją ukryć gdzieś między Jampolem a Jahorlikiem. Byłem też raz w tamtych stronach, gdzie się królewscy i chanowi sędziowie zjeżdżali, bo w Jahorliku, jak waćpaństwu wiadomo pograniczne sprawy się sądzą o zabrane stada, a tych spraw nigdy nie brak. Pełno tam jest nad całym Dniestrem jarów i zakrytych miejsc, i różnych komyszy, w których żyją w futorach ludzie, co żadnej zwierzchności nie znają, mieszkając w pustyni i bliźnich nie widując. U takich to dzikich pustelników on pewnie ją ukrył, bo mu tam było i najbezpieczniej.

— Ba! ale jak się tam dostać teraz, gdyż drogę Krzywonos zagradza — rzecze Longinus. Jampol to też, jak słyszałem, gniazdo rozbójnicze.

Na to Skrzetuski:

— Choćbym i dziesięć razy gardło miał stracić, będę ją ratował. Pójdę przebrany i będę szukał, Bóg mi pomoże — znajdę.

— Ja z tobą, Janie! — rzecze pan Wołodyjowski.

— I ja to po dziadowsku z teorbanem. Wierzajcie mi, waszmościowie, że najwięcej mam między wami eksperyencyi, a że mnie teorban z ostatkiem obrzydł, więc wezmę dudy.

— Toż i ja się na coś przydam, braciaszki? — rzekł pan Longinus.

— I pewnie — odpowiedział Zagłoba. — Jak będzie nam trzeba przez Dniestr się przebrać, to waćpan będziesz nas przenosił, jak święty Krzysztof.

— Dziękuję z duszy waszmościom — i gotowość waszą chętnem przyjmuję sercem. — Niemasz to w przeciwnościach nad przyjaciół wiernych, których, jak widzę, nie pozbawiła mnie Opatrzność. Dajże mnie, wielki Boże, odsłużyć waszmościom zdrowiem i mieniem.

— Wszyscy my jako jeden mąż! — wykrzyknął Zagłoba. — Bóg zgodę pochwala, i obaczycie, iż frukta (owoce) naszych prac niezadługo będziem oglądali.

— To już nie pozostaje nam nic innego — mówił po chwili milczenia Skrzetuski — jak chorągiewkę księciu odprowadzić i zaraz w kompanii ruszyć. Pójdziem Dniestrem, hen, na Jampol, aż do Jahorlika, i wszędzie będziemy szukali. A gdy, jak mam nadzieję, Chmielnicki już musi być zniesiony, lub nim dojdziemy do księcia, zniesion będzie, przeto i służba publiczna nie staje nam na przeszkodzie. Pewnie chorągwie ruszą na Ukrainę, by buntu dogasić, ale się tam już bez nas obejdzie.

— A poczekajcie waszmościowie — rzecze Wołodyjowski, — pewnie po Chmielnickim na Krzywonosa przyjdzie kolej, może więc razem z chorągwiami ku Jampolowi ruszymy.

— Nie, nam trzeba być pierwej — odparł Zagłoba — ale najpierwej odprowadzić chorągwie, by mieć wolne ręce. Spodziewam się też, że książę będzie z nas contentus (zadowolony).

— Szczególnie z waćpana.

— Tak jest, bo mu najlepsze wieści przywożę. Wierzaj mi waćpan, iż nagrody się spodziewam. Więc tedy w drogę?

— Do jutra musimy spocząć — rzekł Wołodyjowski. — Zresztą niech Skrzetuski rozkazuje, on tu wodzem, ale ja przestrzegam, iż jeśli dziś ruszymy, konie moje wszystkie popadają.

— Wiem, że to jest niepodobieństwo — rzecze Skrzetuski, — ale myślę iż po dobrych obrokach jutro możemy.

Jakoż nazajutrz ruszono. Wedle ordynansów książęcych mieli się wrócić do Zbaraża. Drogę mieli przykrą, bo padały deszcze, ale spokojną i tylko pan Longinus, idący w sto koni naprzód, rozgromił kilka kup swawolnych, które się na tyłach wojsk regimentarskich zebrały. Dopiero w Wołoczyskach zatrzymali się na nocny wypoczynek.

Ale zaledwie zasnęli snem smacznym po długiej drodze, zbudził ich alarm — i straże dały znać, że jakiś konny oddział się zbliża. Wnet jednak przyszła wieść, że to Wierszułowa tatarska chorągiew

zatem swoi. Zagłoba, pan Longinus i mały Wołodyjowski natychmiast zebrali się w izbie Skrzetuskiego, a w ślad za nimi wpadł jak wicher oficer z pod lekkiego znaku, zziajany, cały pokryty błotem, na którego spojrzawszy Skrzetuski, wykrzyknął:

— Wierszuł!

— Jam... jest! — mówił przybyły, nie mogąc oddechu złapać.

— Od księcia?

— Tak!... O tchu! tchu!

— Jakie wieści. Już po Chmielnickim?

— Już... po... Rzeczypospolitej!

— Na rany Chrystusa, co waść gadasz? Klęska?

— Klęska, hańba, sromota!... bez bitwy... Popłoch!... O! o!

— Uszom nie chce się wierzyć. Mówżeż, mów, na Boga żywego!... Regimentarze?

— Uciekli!

— Gdzie nasz książę?

— Uchodzi... bez wojska... Ja tu od księcia... rozkaz... do Lwowa natychmiast... idą za nami!

— Kto? Wierszuł, Wierszuł! Opamiętaj się człowieku! Kto?

— Chmielnicki, Tatarzy!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — zawołał Zagłoba: — ziemia się rozstępuje!

Ale Skrzetuski zrozumiał już, o co chodzi.

— Na potem pytania — rzekł — teraz na koń!

— Na koń! na koń!

Kopyta koni pod Wierszułowymi Tatarami szczękały już przed oknami; mieszkańcy, zbudzeni nadejściem wojska, wychodzili z domów z latarkami i pochodniami w ręku. Wieść przeleciała całe miasto jak błyskawica. Wnet uderzono we dzwony na trwogę. Ciche przed chwilą miasteczko napełniło się zgiełkiem; tętentem koni, okrzykami komendy i wrzaskiem żydowskim. Mieszkańcy chcieli uchodzić razem z wojskiem, zaprzęgano wozy, ładowano na nie dzieci, żony, pierzyny; burmistrz na czele kilku mieszczan przyszedł błagać Skrzetuskiego, by nie odjeżdżał naprzód i odprowadził mieszkańców chociaż do Tarnopola, ale pan Skrzetuski i słuchać go nie chciał, mając wyraźny rozkaz co tchu ruszać do Lwowa.

Ruszyli tedy, i dopiero w drodze Wierszuł, ochłonąwszy, opowiadał, jak i co się stało.

— Jak Rzeczpospolita Rzeczpospolitą — mówił — nigdy nie poniosła takiej klęski. Nic Cecora, nic Żółte Wody, nic Korsuń!.. A Skrzetuski, Wołodyjowski, pan Longinus Podbipięta, aż na karki koniom się kładli, to się za głowy brali, to ręce ku niebu podnosili.

— Rzecz ludzką wiarę przechodzi — mówili — gdzież był książę?

— Opuszczony, od wszystkiego umyślnie usunięty, swoją nawet dywizyą nie władał.

— Kto miał komendę?

— Nikt i wszyscy. Dawno służę, na wojnie zęby zjadłem, jeszczem takich wojsk i takich wodzów nie widział.

Zagłoba, który nie miał wielkiego afektu dla Wierszuła i mało go znał, począł głową kręcić i cmokać, nakoniec rzekł:

— Mój mości panie, czyli się waćpanu w oczach tylko nie pomieszało, lub czyś częściowej porażki za ogólną klęskę nie poczytał, bo to, co powiadasz, całkiem imaginacyę przechodzi.

— Że przechodzi, przyznaję, i powiem więcej waści, że szyję bym sobie dał z radością uciąć, gdyby jakim cudem pokazało się, iż się mylę.

— Bo jakimżeś waść sposobem pierwszy po klęsce w Wołoczyskach stanął? Przecież nie chcę przypuszczać, żebyś pierwszy dał drała? Gdzież są tedy wojska? którędy uciekają? co się z niemi stało? dlaczego uciekający nie uprzedzili waćpana? Na wszystkie owe kwestye napróżno szukam responsu (odpowiedzi).

Wierszuł w każdym innym czasie nie byłby puścił płazem takich pytań, ale w tej chwili nie mógł myśleć o niczem więcej, tylko o klęsce, więc odrzekł tylko:

— Jam pierwszy stanął w Wołoczyskach, gdyż inni uchodzą na Ożygowce, a mnie książę umyślnie pchnął w stronę, gdzie się waćpanów spodziewał, aby was nawałnica nie ogarnęła, gdybyście się za późno dowiedzieli, a powtóre dlatego, że pięćset koni, które macie, to teraz niemała dla niego pociecha, bo dywizya w większej części wyginęła, lub rozproszona.

— Dziwne to rzeczy! — mruknął Zagłoba.

— Strach pomyśleć, desperacya ogarnia, serce się kraje, łzy płyną! — mówił łamiąc ręce, Wołodyjowski. — Ojczyzna zgubiona, niesława po śmierci, takie wojska rozproszone!... zatracone! Nie może być inaczej, tylko koniec świata i sąd ostateczny się zbliża!

— Nie przerywajcie mu — rzekł Skrzetuski — pozwólcie, aby wszystko opowiedział.

Wierszuł zamilkł, jakby siły zbierał, przez chwilę słychać było tylko pluskanie kopyt w błocie, bo deszcz padał. Noc była jeszcze głęboka i ciemna bardzo, bo chmurna, a w tych ciemnościach, w tym dżdżu, dziwnie złowrogo brzmiały słowa Wierszuła, który tak mówić począł:

— Gdybym się nie spodziewał, że w boju polegnę, tobym chyba rozum utracił. Mówiliście waszmościowie o sądzie ostatecznym, i jak tak mniemam, że wprędce on już nastąpi, gdyż wszystko się rozprzęga, złość bierze górę nad cnotą i Antychryst już chodzi po świecie. Wyście nie patrzali na to, co się stało, ale jeśli nawet relacyi o ten znieść nie możecie, cóż ja, którym klęskę i niezmierną hańbę własnemi oczyma oglądał! Bóg nam dał szczęśliwy początek w tej wojnie. Nasz książę, otrzymawszy pod Czołhańskim Kamieniem sprawiedliwość z pana Łaszcza, resztę puścił w niepamięć i pogodził się z księciem Dominikiem. Cieszyliśmy się wszyscy z tej concordii (pojednania) — jakoż było i błogosławieństwo Boże. Książę powtórnie pogromił pod Konstantynowem i samo miasto wziął, bo je nieprzyjaciel po pierwszym szturmie opuścił. Potem ruszyliśmy pod Piławce, choć książę nie radził tam chodzić. Ale zaraz w drodze pokazały się przeciw niemu rozmaite machinacye, niechęci, zawiści i jawne knowania. Nie słuchano go na radach, nie zważano na to, co mówił, a przedewszystkiem usiłowano rozdzielić naszą dywizyę, aby jej książę w ręku całej nie miał. Gdyby się sprzeciwił, zwalonoby na niego klęskę, więc milczał, cierpiał znosił. Zostały wtedy lekkie znaki z rozkazu generał-regimentarza w Konstantynowie razem z Wurclem, z armatami i z oberszterem Machnickim; odłączono pana oboźnego litewskiego Osińskiego i pułk Koryckiego, tak, że przy księciu została tylko husarya pod Zaćwilichowskim, dwa regimenty dragonów — i ja z częścią mojej chorągwi. Wszystkiego nie było nad dwa tysiące ludzi. A wtedy już go lekceważono, i sam słyszałem, jak mówili klienci księcia Dominika: "Już teraz nie powiedzą po wiktoryi, że sprawą samego Wiśniowieckiego przyszła." I głośno opowiadali, że gdyby tak niezmierna sława okryła księcia, toby i na elekcyi jego kandydat, królewicz Karol, się utrzymał, a oni chcą Kazimierza. Zarazili fakcyami całe wojsko, tak, że poczęły się dyskursa w kołach, jakby

na sejmie, wysyłanie delegatów — i o wszystkiem tam myślano, prócz o bitwie, tak jakby nieprzyjaciel był już pogromion. A owóż, gdybym zaczął opowiadać waszmościom o tych ucztach, o tym przepychu, wiarybym w waszych uszach nie znalazł. Niczem były hufce Pyrhusowe przy onych wojskach, całych od złota, klejnotów i strusich piór. A tóż dwieście tysięcy sług i ćmy wozów szły za nami, konie padały pod ciężarem złotogłowiów i jedwabnych namiotów, wozy łamały się pod kredensami. Myślałby kto, że na zawojowanie świata całego idziemy. Szlachta z pospolitego ruszenia po całych dniach i nocach trzaskała batogami. "Ot (mówili) czem chamów uspokoimy, szabli nie dobywając." A my, starzy żołnierze, przywykli bić się, nie rozprawiać, jużeśmy na widok onej pychy niesłychanej przeczuwali coś złego. Dopieroż zaczęły się tumulty przeciw panu Kisielowi, że zdrajca, i za nim, że zacny senator. Siekano się szablami po pijanemu. Strażników obozowych nie było. Nikt ładu nie przestrzegał, nikt dowództwa nie sprawował, każdy robił co chciał, szedł, gdzie mu było lepiej, stawał, gdzie mu się zdawało, czeladź wzniecała hałasy— o Boże miłosierny! toż to był kulig, nie wyprawa wojenna, kulig, na którym salutem Republicae (całą Rzeczpospolitą) przetańcowano, przepito, przejedzono i przefrymarczono w ostatku!

— Jeszcze my żyjemy! — rzekł Wołodyjowski.

— I Bóg jest w niebie! — dodał Skrzetuski.

Nastała znów chwila milczenia, potem Wierszuł mówił dalej:

— Zginiemy totaliter (całkowicie), chyba, że Bóg cud uczyni, za grzechy nas chłostać przestanie i niezasłużone miłosierdzie okaże. Chwilami ja sam nie wierzę temu, com na własne oczy oglądał i zdaje mi się, że mnie zmora we śnie dusiła...

— Powiadaj waćpan dalej — rzekł Zagłoba — przyszliście tedy pod Piławce, i co?

— I staliśmy. O czem tam regimentarze radzili, nie wiem; na sądzie ostatecznym za to odpowiedzą, bo gdyby odrazu na Chmielnickiego uderzyli, byłby zniesiony i rozbity jak Bóg w niebie, mimo nieładu, niesforności i tumultów, i braku wodza. Już tam popłoch był między czernią, już radzono, jakby Chmielnickiego i starszyznę wydać, a on sam ucieczkę zamierzał. Książę nasz od namiotu do namiotu jeździł, prosił, błagał, groził: "Uderzmy, nim Tatary nadejdą, uderzmy!" — i włosy z głowy wyrywał, a tam się

jeden na drugiego oglądał— i nic i nic! Pili, sejmikowali... Przyszły słuchy, że Tatary idą — chan w dwieście tysięcy koni — oni radzili i radzili. Książę zamknął się w namiocie, bo go całkiem spostponowali. W wojsku poczęto mówić, że kanclerz zakazał księciu Dominikowi bitwy staczać, że się układy toczą; wszczął się jeszcze większy nieład — nakoniec Tatarzy przyszli, ale Bóg nam poszczęścił pierwszego dnia, potykał się książe i pan Osiński, i pan Łaszcz stawał bardzo dobrze — a potem...

Tu głos Wierszułowi zamarł w piersi.

— A potem? — pytał pan Zagłoba?

— Przyszła noc straszna, niepojęta. Pamiętam, strażowałem z mymi ludźmi wedle rzeki, gdy naraz słyszę, aż w obozie kozackim biją z armat, jak na wiwaty i słychać krzyki. Dopieroż przypomniało mi się, co wczoraj mówiono w obozie, że jeszcze wszystka potęga tatarska nie stanęła, tylko Tuhaj-bej z częścią. Pomyślałem więc: kiedy wiwatują, to już musiał i chan osobą swoją stanąć. Aż tu i w naszym obozie zaczyna się tumult. Skoczyłem sam z kilku ludźmi. — Co się stało? — Krzyczą mi: "Regimentarze uszli!" Ja do księcia Dominika — niema go! do podczaszego — niema! do chorążego koronnego — niema! Jezu Nazareński! Żołnierze latają po majdanie, krzyk, wrzask, zgiełk, głowniami świecą: "Gdzie regimentarze? gdzie regimentarze? — a inni wołają: "Koni! koni!" — a inni: "Panowie bracia, ratujcie się! zdrada! zdrada!" Ręce do góry podnoszą, twarze obłąkane, oczy wytrzeszczone, tłoczą się, depczą, duszą, siadają na koń, lecą naoślep bez broni. Dopieroż ciskać hełmy, pancerze, broń, namioty! Aż tu jedzie książę na czele husaryi w srebrnej zbroi, sześć pochodni koło niego niosą, a on stoi w strzemionach i krzyczy: "Mości panowie, jam został, kupą do mnie!" — Gdzie tam! nie słyszą go, nie widzą, lecą na husaryę, mieszają ją, przewracają ludzi i konie, ledwieśmy księcia samego uratowali, potem po zdeptanych ogniskach w ciemności, niby wezbrany potok, niby rzeka, wszystko wojsko w dzikim popłochu wypada z obozu, rozprasza się, ginie, ucieka... Niemasz już wojsk, niemasz wodzów, niemasz Rzeczypospolitej, jest tylko hańba niezmyta i noga kozacka na szyi...

Tu pan Wierszuł jęczeć począł i konia targać, bo go szał rozpaczy ogarnął, ten szał udzielił się innym i jechali wśród owego dżdżu nocy, jak obłąkani.

Jechali długo. Pierwszy Zagłoba przemówił:

— Bez bitwy, o szelmy! o takie syny! pamiętacie, jak wspaniałą postać w Zbarażu czynili? jak sobie zjeść Chmielnickiego bez pieprzu i soli obiecywali? O szelmy!

— Gdzie tam? — krzyknął Wierszuł — uciekli po pierwszej bitwie, wygranej nad Tatary i czernią, po bitwie, w której nawet pospolite ruszenie jako lwy walczyło.

— Jest w tem palec Boży — rzekł Skrzetuski — ale jest i jakowaś tajemnica, która wyjaśnić się musi...

— Bo gdyby wojsko pierzchło, co się na świecie zdarza — rzekł Wołodyjowski — ale tu wodze pierwsi obóz opuścili, jakby chcąc umyślnie nieprzyjacielowi wiktoryę ułatwić i wojsko na rzeź wydać.

— Tak jest! tak jest! — rzecze Wierszuł — mówią też, że to umyślnie uczynili.

— Umyślnie? na rany Boskie, to nie może być!

— -Mówią, że umyślnie, a dlaczego, kto dojdzie! kto zgadnie!

— Żeby ich groby potłukły, żeby ich rody wyginęły, a jeno pamięć niesławna po nich została! — rzekł Zagłoba.

— Amen! — rzekł Skrzetuski.

— Amen! — rzekł Wołodyjowski.

— Amen! — powtórzył pan Longinus.

— Jeden jest człowiek, który może ojczyznę jeszcze ratować jeśli mu buławę i resztę sił Rzeczypospolitej oddadzą; jeden jest, bo o innym już ani wojsko, ani szlachta nie będzie chciała słyszeć.

— Książę! — rzekł Skrzetuski.

— Tak jest.

— Przy nim będziem stać, przy nim zginiemy! Niech żyje Jeremi Wiśniowiecki! — wykrzyknął Zagłoba.

— Niech żyje! — powtórzyło kilkadziesiąt niepewnych głosów.

Ale okrzyk zamarł zaraz, bo w chwili, gdy ziemia rozstępowała się pod nogami, a niebo zdawało się walić na głowy, nie był czas na okrzyki i wiwaty.

Tymczasem poczęło świtać, i w oddaleniu ukazały się mury Tarnopola.

XLI.

Pierwsi rozbitkowie z pod Piławiec dotarli do Lwowa świtaniem dnia 26 września, i równo z otwarciem bram miejskich, straszna wieść piorunem rozleciała się op całem mieście, wzbudziwszy niedowierzanie w jednych, popłoch w drugich, w innych zaś rozpaczliwą chęć obrony. Pan Skrzetuski ze swym oddziałem przybył we dwa dni później, gdy już cały gród był zapchany uciekającem żołnierstwem, szlachtą i uzbrojonem mieszczaństwem. Myślano już o obronie, gdyż lada chwila spodziewano się Tatarów, ale nie wiedziano jeszcze, kto stanie na czele i jak się do dzieła weźmie, dlatego wszędy panował bezład i popłoch. Niektórzy uciekali z miasta, wywożąc rodziny i mienie, okoliczni zaś mieszkańcy szukali w niem schronienia; wyjeżdżający i wjeżdżający zawalali ulice i wzniecali tumulty o przejazd; wszędy pełno było wozów, pak, tłomoków i koni, żołnierzy z pod narozmaitszych znaków; na wszystkich twarzach czytałeś niepewność, gorączkowe oczekiwanie, rozpacz lub rezygnacyę. Co chwila przestrach jak wir powietrzny, zrywał się niespodzianie, rozlegały się krzyki: "Jadą! jadą!" — i tłumy poruszały się jak fala, czasem biegły na oślep przed siebie, rażone szaleństwem trwogi, dopóki nie pokazało się, że to nadjeżdża nowy jakiś oddział rozbitków. A oddziałów tych kupiło się coraz więcej — ale jakże żałosny widok przedstawiali ci żołnierze, którzy jeszcze niedawno w złocie i piórach szli ze śpiewem na ustach a dumą w oczach na ową wyprawę przeciw chłopstwu! Dziś obdarci, wygłodzeni, znędzniali pokryci błotem, na wyniszczonych koniach, z hańbą w twarzach, podobniejsi do żebraków, niż do rycerzy, litośćby wzbudzić mogli gdyby był czas na litość w tem mieście, na którego mury wnet mogła zwalić się cała potęga wroga. I każdy z tych pohańbionych rycerzy tem jedynie się pocieszał, że tak wielu, że tyle tysięcy miał towarzyszów wstydu; wszyscy kryli się w pierwszej godzinie, by następnie, ochłonąwszy rozwodzić skargi, narzekania, rzucać przekleństwa i groźby, włóczyć się po ulicach, pić po szynkowniach i powiększać tylko nieład i trwogę.

Każdy bowiem powtarzał: "Tatarzy tuż! tuż!" — Jedni widzieli pożogi za sobą, inni klęli się na wszystkie świętości, iż przyszło im

już odcinać się zagonom. Gromady, otaczające żołnierzy, słuchały z natężeniem tych wieści. Dachy i wieże kościołów usiane były tysiącami ciekawych; dzwony biły larum — a tłumy niewiast i dzieci dusiły się po kościołach, w których wśród świec jarzących błyszczał Przenajświętszy Sakrament.

Pan Skrzetuski przeciskał się zwolna od bramy Halickiej ze swoim oddziałem przez zbite masy koni, wozów, żołnierzy, przez cechy mieszczańskie, stojące pod swemi banderyami, i przez pospólstwo, które że zdziwieniem spoglądało na ową chorągiew, wchodzącą nie w rozsypce, ale w szyku bojowym do miasta. Poczęto krzyczeć, że pomoc nadchodzi, i znów niczem nieusprawiedliwiona radość ogarnęła tłuszczę, która jęła się cisnąć i chwytać za strzemiona pana Skrzetuskiego. Zbiegli się też i żołnierze, wołając: "To Wiśniowiecczycy! Niech żyje książę Jeremi!" — Tłok zrobił się tak wielki, że chorągiew zaledwie noga za nogą mogła się posuwać.

Nakoniec naprzeciw ukazał się oddział dragonów z oficerem na czele. Żołnierze rozgarniali tłumy, oficer zaś krzyczał: "Z drogi! z drogi!" — i płazował tych, którzy mu nie ustępowali dość rychło.

Skrzetuski poznał Kuszla.

Młody oficer powitał serdecznie znajomych.

— Co to za czasy! — rzekł.

— Gdzie książę? — pytał Skrzetuski.

— Umorzyłbyś go frasunkiem, gdybyś dłużej nie przyjeżdżał. Bardzo się tu za tobą i twoimi ludźmi oglądał. Jest teraz u Bernardynów; mnie wysłano za porządkiem w mieście, ale już Grozwajer tem się zajął. Pojadę z tobą do kościoła. Tam się rada odbywa.

— W kościele?

— Tak jest. Mają księciu buławę ofiarować, bo żołnierze oświadczają, że pod innym wodzem nie chcą bronić miasta.

— Jedźmy! Mnie też pilno do księcia.

Połączone oddziały ruszyły. Po drodze Skrzetuski wypytywał się o wszystko, co działo się we Lwowie, i czy obrona już postanowiona.

— Właśnie teraz się sprawa waży — rzecze Kuszel. — Mieszczanie chcą się bronić. Co za czasy! Ludzie nikczemnych kondycyi okazują więcej serca, niż szlachta i żołnierze.

— A regimentarze? co się z nimi stało? Czyli są w mieście i czyli nie będą księciu przeszkód stawiali.

— Byle on sam nie stawiał. Był lepszy czas na oddanie mu buławy, teraz za późno. Regimentarze oczu nie śmieją pokazać. Książę Dominik popasał tylko w pałacu arcybiskupim i zaraz się wyniósł — i dobrze zrobił, bo nie uwierzysz, jaka jest w żołnierzach na niego zawziętość. Już go niema, a jeszcze ciągle krzyczą: "Dawaj go sam, wnet go rozsiekamy!" — pewnie nie byłby uszedł jakowego przypadku. Pan podczaszy koronny pierwszy tu przybył, ba! nawet i na księcia wygadywać począł, ale teraz siedzi cicho, bo i przeciw niemu powstają tumulty. Do oczu mu wszystkie winy wymawiają, a on jeno łzy połyka. W ogólności strach co się dzieje, jakie czasy nadeszły! Mówię ci: dziękuj Bogu, żeś pod Piławcami nie był, zaś stamtąd nie uciekał, bo że nam, którzyśmy tam byli, rozum się nie pomieszał z ostatkiem, to chyba cud.

— A nasza dywizya?

— Niema już jej, ledwie coś zostało. Wurcla niema, Machnickiego niema, Zaćwilichowskiego niema. Żurcel i Machnicki nie byli pod Piławcami, bo zostali w Konstantynowie. Tam ich ten Belzebub, książę Dominik, zostawił, by księcia naszego potęgą osłabić. Niewiadomo czy uszli, czy ich nieprzyjaciel ogarnął. Stary Zaćwilichowski przepadł, jak kamień, w wodzie. Daj Bóg, żeby nie zginął!

— A wszystkich żołnierzy siła się tu zebrało?

— Jest dosyć, ale co z nich? Jeden książę mógłby sobie dać z nimi rady, gdyby chciał buławę przyjąć, bo nikogo słuchać nie chcą. Okrutnie się książę o ciebie frasował i o żołnierzy. Jedyna też to cała chorągiew. Jużeśmy cię opłakali.

— Teraz ten szczęśliwy, kogo płaczą.

Przez czas jakiś jechali w milczeniu, poglądając po tłumach, słuchając zgiełku i krzyków: "Tatary! Tatary!" — W jednem miejscu ujrzeli straszny widok rozdzieranego na sztuki człowieka, którego tłum o szpiegostwo posądził. Dzwony biły ciągle.

— Czy orda prędko tu stanie? — spytał pan Zagłoba.

— Licho ją wie, może dziś jeszcze. To miasto nie będzie się długo broniło, bo nie wytrzyma. Chmielnicki idzie w dwieście tysięcy Kozaków, prócz Tatarów.

— Kaput! — odpowiedział szlachcic. — Lepiej nam było jechać dalej na złamanie karku. Poco my tyle zwycięstw odnieśli?

— Nad kim?

— Nad Krzywonosem, nad Bohunem, dyabeł wie nie nad kim!

— Ale — rzekł Kuszel i zwróciwszy się do Skrzetuskiego, pytał cichym głosem. — A ciebie, Janie, w niczemże Bóg nie pocieszył? nie znalazłeś tego, czegoś szukał? nie dowiedziałeś się przynajmniej czego?

— Nie czas o tem myśleć! — zawołał Skrzetuski: — Co ja znaczę, moje sprawy, wobec tego, co się stało? Wszystko marność i marność, a na końcu śmierć.

— Tak i mnie się widzi, że cały świat niezadługo zginie — rzekł Kuszel..

Tymczasem dojechali do kościoła Bernardynów, którego wnętrze pałało światłem. Tłumy niezmierne stały przed kościołem, ale nie mogły się do środka dostać, bo sznur halabardników zamykał wejście, puszczając tylko znaczniejszych, starszyznę wojskową.

Skrzetuski kazał drugi sznur wyciągnąć swoim ludziom.

— Wejdźmy, — rzekł Kuszel. — Pół Rzeczypospolitej jest w tym kościele.

Weszli. Kuszel niewiele przesadził. Co było najznakomitszego w wojsku i w mieście, zgromadziło się na radę, więc wojewodowie, kasztelanowie, pułkownicy, rotmistrze, oficerowie cudzoziemskiego autoramentu, duchowieństwo, tyle szlachty, ile kościół mógł pomieścić, mnóstwo wojskowych niższych stopni i kilinastu rajców miejskich z Grozwajerem na czele, który mieszczaństwem miał dowodzić. Był także obecny i książe, i pan podczaszy koronny, jeden z regimentarzy — i wojewoda kijowski, i strosta stobnicki, Wessel, i Arciszewski, i pan oboźny litewski Osiński — ci siedzieli przed wielkim ołtarzem, tak, aby publicum (publiczność) mogło ich widzieć. Radzono pośpiesznie, gorączkowo, jak zwykle w takich wypadkach: mówcy wstępowali na ławy i zaklinali starszyznę, by nie podawać miasta w ręce wraże bez obrony. Choćby i zginąć przyszło, miasto wstrzyma nieprzyjaciela. Rzeczpospolita ochłonie. Czego brak do obrony? Są mury, są wojska, jest determinacya — wodza tylko trzeba. A gdy tak mówiono, w publiczności zrywały się szmery, które przechodziły w głośne okrzyki — zapał ogarniał zgromadzonych. "Zginiemy! zginiemy chętnie — wołano — hańbę piławiecką nam zmazać, ojczyznę zasłonić!" — I rozpoczynało się trzaskanie szablami i gołe ostrza migotały przy blasku świec. A inni wołali: "Uciszyć się! obrady porządkiem!" — "Bronić się, czy nie bronić?" — "Bronić! bronić!" — wrzeszczało zgro-

madzenie, aż echo odbite od sklepień powtarzało: "Bronić się!" — "Kto ma być wodzem?" "Kto ma być wodzem?" "Książę Jeremi! on wódz! on bohater! niech broni miasta, Rzeczypospolitej! niech mu oddadzą buławę i niech żyje!"

Wówczas z tysiąca płuc wyrwał się okrzyk taki gromki, że aż ściany zadrżały i szyby i zabrzęczały w oknach kościelnych:

— Książę Jeremi! książę Jeremi! — Niech żyje! niech żyje! niech zwycięża!

Zabłysły tysiące szabel — wszystkich oczy skierowały się na księcia, a on wstał spokojny, ze zmarszczoną brwią. Uciszyło się natychmiast, jakby kto makiem posiał.

— Mości panowie! — rzekł książę dźwięcznym głosem, który w tej ciszy doszedł do wszystkich uszu. — Gdy Cymbrowie i Teutoni napadli na rzeczpospolitą rzymską, nikt nie chciał ubiegać się o konsulat, aż go wziął Maryusz. Ale Maryusz miał prawo go brać, bo nie było wodzów przez senat naznaczonych... I jabym się w tej toni od władzy nie wybiegł, chcąc ojczyźnie miłej zdrowiem służyć — ale buławy przyjąć nie mogę, gdyż ojczyźnie, senatowi zwierzchności bym ubliżył — a samozwańczym wodzem być nie chcę. Jest między nami ten, któremu Rzeczpospolita buławę oddała — jest pan podczaszy koronny...

Tu książę dalej mówić nie mógł, bo zaledwie pana podczaszego wspomniał, powstał straszliwy wrzask, szczękanie szablami; tłum zakołysał się i wybuchnął jak prochy, na które iskra padła. "Precz! na pohybel! pereat (precz)! — rozległo się w tłumie. — "Pereat! pereat!" — brzmiało coraz potężniej. — Podczaszy zerwał się z krzesla blady, z kroplami zimnego potu na czole, a tymczasem groźne postacie zbliżały się ku stalom, ku ołtarzowi — i słychać już było złowrogie: "Dawajcie go!" — Książę, widząc na co się zanosi, wstał i wyciągnął prawicę.

Tłumy wstrzymały się, sądząc, że chce mówić, uciszyło się w mgnieniu oka.

Ale książę chciał tylko burzę i tumult zażegnać, rozlewu krwi w kościele nie dopuścić, więc gdy spostrzegł, że najgroźniejsza chwila minęła, usiadł napowrót.

O dwa krzesła dalej, przegrodzony tylko przez wojewodę kijowskiego, siedział nieszczęsny podczaszy; siwą głowę opuścił na piersi, ręce zwisły, a z ust wydobywały się słowa, przerywane łkaniem:

— Panie! za grzechy moje przyjmuję z pokorą krzyż.

Starzec mógł wzbudzić litość w najtwardszem sercu, ale tłum zwykle bywa bezlitośny, więc nanowo wszczynały się hałasy, gdy nagle wojewoda kijowski powstał, dając znać ręką, że chce przemówić.

Był to towarzysz zwycięstw Jeremiego, dlatego słuchano go chętnie.

On zaś zwrócił się do księcia i w najczulszych słowach zaklinał go, by buławy nie odrzucał, i nie wahał się ratować ojczyznę. Gdy Rzeczpospolita ginie, niech śpią prawa, niech ją ratuje nie wódz mianowany, ale ten, który najwięcej ratować zdolny.

— Bierzże ty buławę, wodzu niezwyciężony! bierz, ratuj! nie miasto samo, ale całą Rzeczpospolitę. Oto ustami jej, ja, starzec, błagam ciebie, a ze mną wszystkie stany, wszyscy mężowie, niewiasty i dzieci — ratuj! ratuj!

Tu zdarzył się wypadek, który poruszył wszystkie serca: niewiasta w żałobie zbliżyła się do ołtarza i rzucając pod nogi księcia złote ozdoby i klejnoty, klęknęła przed nim i szlochając głośno, wołała:

— Mienie ci nasze przynosim! życie oddajem w twe ręce... ratuj! ratuj! bo zginiemy!

Na ten widok senatorowie, wojskowi, a za nimi całe tłumy, zaryczały ogromnym płaczem — i był jeden głos w tym kościele:

— Ratuj!

Książę zakrył oczy rękoma, a gdy podniósł twarz, i w jego źrenicach błyszczały łzy, jednak się wahał... Co się stanie z powagą Rzeczypospolitej, jeśli on tę buławę przyjmie?!

Wtem wstał podczaszy koronny.

— Jam stary — rzekł — nieszczęśliwy i przygnębiony. Mam prawo zrzec się tego ciężaru, który jest nad siły moje, i włożyć go na młodsze barki. Otóż wobec tego Boga ukrzyżowanego i wszystkiego rycerstwa, tobie oddaję buławę — bierz ją!

I wyciągnął oznakę ku Wiśniowieckiemu. Nastała chwila takiej ciszy, że słyszałbyś przelatującą muchę; nakoniec rozległ się uroczysty głos Jeremiego:

— Za grzechy moje, przyjmuję!

Wtedy szał opanował zgromadzenie. Tłumy złamały stalle, przypadły do nóg Wiśniowieckiego, ciskały kosztowności i pieniądze, wieść rozniosła się lotem błyskawicy po całem mieście. Żołnierstwo odchodziło od zmysłów z radości i krzyczało, że chce iść na Chmielnickiego, na Tatarów i sułtana; mieszczanie nie myśleli już

o poddaniu, ale o obronie do ostatniej kropli krwi; Ormianie znosili dobrowolnie pieniądze do ratusza, nim o szacunku poczęto mówić Żydzi w bóżnicy podnieśli wrzask dziękczynny. Armaty na wałach oznajmiły grzmotem radosną nowinę; po ulicach palono z rusznic, samopałów i pistoletów. Okrzyki: "Niech żyje!" trwały przez całą noc. Ktoś, rzeczy nieświadom, mógłby sądzić, iż to miasto tryumf jakiś lub uroczyste święto obchodzi.

A jednak lada chwila trzysta tysięcy nieprzyjaciół — armia większa od tych, jakie cesarz niemiecki lub król francuski mogli wystawić, a dziksza od zastępów Tamerlana, miała obledz mury tego grodu.

XLII.

W tydzień później, rankiem dnia 6-go października, gruchnęła po Lwowie wieść zarówno nieoczekiwana jak straszliwa, że książę Jeremi, zabrawszy większą część wojska, opuścił potajemnie miasto i wyjechał niewiadomo dokąd.

Tłumy zebrały się przed arcybiskupim pałacem; nie chciano początkowo wierzyć. Żołnierze twierdzili, że jeśli książę wyjechał, to niezawodnie wyjechał na czele potężnego podjazdu, aby zlustrować okolicę. Pokazało się (mówiono), że zbiegowie fałszywe głosili wieści, zapowiadające lada chwila Chmielnickiego i Tatarów, bo oto od 26-go września upłynęło dni dziesięć, a nieprzyjaciela jeszcze nie widać. Książę zapewne chciał się naocznie przekonać o niebezpieczeństwie i po sprawdzeniu wieści niezawodnie powróci. Zresztą zostawił kilka regimentów i do obrony wszystko gotowe.

Tak było w istocie. Wszystkie rozporządzenia zostały wydane, miejsca wyznaczone, armaty zatoczone na wały. Wieczorem przybył rotmistrz Cichocki na czele pięćdziesięciu dragonów. Natychmiast opadli go ciekawi, ale on z tłumem rozmawiać nie chciał — i udał się wprost do generała Arciszewskiego; obaj wezwali Grozwajera i po naradzie poszli na ratusz. Tam Cichocki oświadczył przerażonym rajcom, że książę wyjechał bezpowrotnie.

W pierwszej chwili opadły wszystkim ręce i jedne zuchwałe usta wymówiły słowo: "Zdrajca!" Ale wówczas Arciszewski, stary wódz wsławiony wielkimi czynami w służbie holenderskiej, powstał i w ten sposób do wojskowych i rajców mówić począł:

— Słyszałem słowo bluźniercze, którego bogdajby nikt nie był wymówił, bo go desperacya nawet usprawiedliwić nie może. Książę wyjechał i nie wróci, tak jest! Ale jakież to prawo macie wymagać od wodza, na którego barkach zbawienie całej ojczyzny spoczywa, aby jedynie waszego miasta bronił? Coby się stało, gdyby tu ostatek sił Rzplitej otoczył nieprzyjaciel? Ani zapasów żywności, ani broni na tak wielkie wojsko tu niema, więc to wam powiem, a memu doświadczeniu wierzyć możecie, że im większa potęga byłaby tu zamknięta, tem której obrona trwaćby mogła, bo głód zwyciężyłby nas prędzej od nieprzyjaciela. Bardziej chodzi Chmielnickiemu o osobę księcia, niż o wasze miasto, więc gdy się dowie, że go tu niemasz, że nowe wojska zbiera i z odsieczą przybyć może, łacniej wam będzie folgował i na układy się zgodzi. Dziś szemrzecie, a ja wam powiadam, że książę, opuściwszy ten gród, grożąc Chmielnickiemu z zewnątrz, ocalił was i dzieci wasze. Trzymajcie się, brońcie, zadzierżcie tego nieprzyjaciela czas jakiś, a i miasto ocalić możecie i wiekopomną usługę Rzplitej oddacie, bo książę przez ten czas siły zbierze, inne fortece opatrzy, przebudzi zdrętwiałą Rzplitę i na ratunek wam pośpieszy. Jedyną on obrał zbawienia drogę, bo gdyby tu głodem zmorzon padł z wojskiem, tedyby już nikt nieprzyjaciela nie wstrzymał, który poszedłby na Kraków, na Warszawę i całą ojczyznę zalał, nigdzie nie znajdując oporu. Dlatego, zamiast szemrać, śpieszcie na wały bronić siebie, dzieci waszych, miasta i całej Rzplitej.

— Na wały! na wały! — powtórzyło kilka śmielszych głosów.

Grozwajer, człowiek energiczny i śmiały, ozwał się:

— Cieszy mnie determinacya ichmościów i wiedzcie, że książę nie odjechał bez obmyślenia obrony. Każdy tu wie, co ma robić i stało się to, co się było stać powinno. Obronę mam w ręku i będę się bronił do śmierci.

Nadzieja nanowo wstąpiła w struchlałe serca, co widząc, Cichocki ozwał się w końcu:

— Jego książęca mość przysyła też waćpanom wiadomości, iż nieprzyjaciel blisko. Porucznik Skrzetuski otarł się skrzydłem o dwutysięczny czambuł, który rozbił. Jeńcy mówią, że sroga potęga idzie za nimi.

Wiadomość ta wielkie wywarła wrażenie; nastała chwila milczenia; wszystkich serca zabiły żywiej.

— Na wały! — rzekł Grozwajer.

— Na wały! na wały! — powtórzyli obecni oficerowie i mieszczanie.

A wtem rumor uczynił się za oknami, słychać było zgiełk tysiąca głosów, które się zlały w jeden niezrozumiały szum, podobny do szumu fal morskich; nagle drzwi sali otworzyły się z łoskotem, wpadło kilkunastu mieszczan i, nim obradujący mieli czas spytać co zaszło, rozległy się wołania:

— Łuny na niebie! łuny na niebie!

— A słowo stało się ciałem! — rzekł Grozwajer — na wały!!!

Sala opustoszała. Po chwili huk armat wstrząsnął murami miasta, oznajmiając mieszkańcom samego grodu, że nieprzyjaciel nadciągnął.

Na wschodzie niebo czerwieniło się, jak okiem dojrzeć; rzekłbyś morze ognia zbliżało się ku miastu.

Książę tymczasem rzucił się do Zamościa i starłszy po drodze czambulik, o którym Cichocki mieszczanom wspominał, zajął się naprawą i opatrzeniem tej potężnej z natury twierdzy, którą też w krótkim czasie niezdobytą uczynił. Skrzetuski razem z panem Longinem i częścią chorągwi został w twierdzy, przy panu Weyherze, staroście wałeckim, a książę ruszył do Warszawy, by od sejmu uzyskać środki na zaciągi nowych wojsk i zarazem wziąć udział w elekcyi, która razem miała się odprawiać. Losy Wiśniowieckiego i całej Rzplitej miały ważyć się na tej elekcyi, gdyby bowiem królewicz Karol został obrany, tedyby partya wojenna wzięła górę — książę otrzymałby naczelne dowództwo wszystkich sił Rzeczypospolitej i musiałoby przyjść do walnej, na śmierć i życie, z Chmielnickim rozprawy. Królewicz Kazimierz, lubo słynny z męstwa i pan wcale wojenny, słusznie uchodził za stronnika polityki kanclerza Ossolińskiego, zatem polityki układów z Kozakami i znacznych dla nich ustępstw. Obaj bracia nie szczędzili obietnic i wysilali się na jednanie sobie stronników — dlatego wobec równej siły obudwóch partyj, nikt nie mógł przewidzieć rezultatu elekcyi. Stronnicy kanclerscy obawiali się, aby Wiśniowiecki, dzięki rosnącej sławie i miłości, jaką posiadał u rycerstwa i szlachty, nie przeważył umysłów na stronę Karola, książę zaś dla tych samych przyczyn pragnął osobiście popierać swego kandydata. Dlatego ciągnął śpiesznym po-

chodem do Warszawy, pewny już, że Zamość zdoła długo całą potęgę Chmielnickiego i krymską zatrzymać. Lwów, według wszelkiego prawdopodobieństwa, można było uważać za ocalony, gdyż Chmielnicki nie mógł żadną miarą bawić się długo zdobywaniem tego miasta, mając przed sobą potężniejszy Zamość, który mu drogę do serca Rzplitej zamykał. Te myśli krzepiły umysł książęcy i wlewały otuchę w jego serce, tylu tak strasznemi klęskami kraju strapione. Nadzieja wstąpiła weń pewna, że choćby też i Kazimierz był obrany — już wojna jest nieuniknioną i straszliwa rebelia musi w morzu krwi utonąć. Spodziewał się, że Rzeczpospolita jeszcze raz wystawi potężną armię — bo i układy były o tyle tylko możliwe, o ile poparłaby je potężna armia.

Kołysany temi myślami, jechał książę pod zasłoną kilku chorągwi, mając przy sobie Zagłobę i Wołodyjowskiego, z których pierwszy klął się na wszystko, że przeprowadzi wybór księcia Karola, bo umie do szlachty braci gadać i wie, jak jej zażyć — drugi zaś eskortą księcia dowodził. W Siennicy, niedaleko Mińska, czekało księcia miłe, chociaż niespodziane spotkanie, zjechał się bowiem z księżną Gryzeldą, która z Brześcia Litewskiego do Warszawy dla bezpieczeństwa dążyła, spodziewając się przytem słusznie, że i książę tam ściągnie. Witali się tedy serdecznie po długiem niewidzeniu. Księżna, lubo duszę miała żelazną, rzuciła się z takim płaczem w objęcia męża, że utulić się przez kilka godzin nie mogła, bo ach! jak często bywały takie chwile, że już się go nie spodziewała ujrzeć więcej, a tymczasem Bóg dał, że oto wracał, sławniejszy niż kiedykolwiek, otoczon taką chwałą, jaka nikogo jeszcze z jego rodu nie opromieniła, największy z wodzów, jedyna całej Rzeczypospolitej nadzieja. Księżna, odrywając się co chwila od jego piersi, spoglądała przez łzy na tę twarz chudą, zczerniałą, na te czoło wyniosłe, które troski i trudy poorały w głębokie brózdy, na oczy zaczerwienione od nocy bezsennych, i na nowo zalewała się łzami, a cały fraucymer wtórował jej z głębi wezbranych serc. Zwolna dopiero księstwo, uspokoiwszy się, poszli do obszernej plebanii miejscowej, i tam poczęły się pytania o przyjaciół, dworzan i rycerzy, którzy jakoby do rodziny należeli i z którymi pamięć o Łubniach się zrosła. Uspokoił tedy naprzód książę troskliwość księżny o pana Skrzetuskiego, tłómacząc, iż dlatego tylko w Zamościu został, iż w utrapieniach, jakie od Boga były mu zesłane, nie chciał pogrążyć się

w szum stołeczny i wolał w surowej służbie wojennej i w pracy leczyć rany serdeczne. Potem prezentował książę pana Zagłobę i o czynach jego opowiadał. "Vir (mąż) to incomparabilis (niezrównany), mówił, który nietylko Kurcewiczównę Bohunowi wydarł, ale ją przez środek obozów Chmielnickiego i Tatarów przeprowadził, potem zaś razem z nami, z wielką swoją sławą, najchwalebniej pod Konstantynowem stawał." — Słysząc to, księżna pani nie szczędziła pochwał panu Zagłobie, kilkakrotnie mu rękę do pocałowania podając i lepszą jeszcze kontentacyę w stosownej porze obiecując, a vir incomparabilis kłaniał się, modestyą bohaterstwo osłaniał, to znów się puszył, na fraucymer zerkał, bo choć był stary i nie wiele sobie od płci białej obiecywał, przecie miło mu to było, że tyle o jego męstwie i czynach słyszał. Nie brakło jednak i smutku w tem radosnem skądinąd powitaniu, bo pominąwszy już czasy na ojczyznę ciężkie, ile to razy, na pytanie księżny o różnych znajomych rycerzy książę odpowiadał: "Zabit, zabit, zaginion" — przytem i panny zawodziły, bo niejedno tam między zabitymi drogie nazwisko wymieniono.

Tak radość mieszała się ze smutkiem, łzy z uśmiechami. Ale najbardziej strapiony był mały pan Wołodyjowski, napróżno się bowiem rozglądał i oczyma na wszystkie strony obracał — księżniczki Barbary nie było nigdzie. Co prawda, wśród trudów wojny, wśród ciągłych bojów, potyczek i pochodów, już był ów kawaler trochę o niej zapomniał, gdy i z natury, o ile do miłości był łatwy, o tyle niezbyt w niej wytrwały; ale teraz, gdy ujrzał znów fraucymer, gdy mu przed oczyma stanęło jako żywe życie łubniańskie, pomyślał sobie, że milejby mu też było, gdy chwila odpoczynku nadeszła, i powzdychać, i serce nanowo zająć. Więc gdy to się nie zdarzyło, a sentyment (uczucie) jak na złość odżył nanowo, strapił się pan Wołodyjowski ciężko i wyglądał, jakby go deszcz ulewny zmoczył. Głowę spuścił na piersi, wąsiki zwykle tak podkręcone w górę, że aż za nozdrza sięgały, jak u chrabąszcza, zwisły mu także ku dołowi, zadarty nos się wydłużył, z twarzy znikła zwyczajna pogoda, i stał milczący, nie poruszył się nawet, gdy książę z kolei jego męstwo i nadzwyczajne przewagi wychwalał. Cóż bowiem znaczyły dla niego wszystkie pochwały, gdy ona ich słyszeć nie mogła!

Aż zlitowała się nad nim Anusia Borzobohata, i choć miewali między sobą sprzeczki, postanowiła go pocieszyć. W tym celu

strzygąc oczyma ku księżnie, przysuwała się nieznacznie do rycerza i wreszcie znalazła się tuż przy nim.

— Dzień dobry waćpanu! — rzekła — dawnośmy się nie widzieli.

— Oj, panno Anno! — rzekł melancholicznie pan Michał — siła wódy upłynęło i w niewesołych czasach się znów widzimy i nie wszyscy.

— Pewnie, że nie wszyscy, tylu rycerzy poległo!

Tu westchnęła Anusia, po chwili zaś mówiła dalej:

— I my w tej nie liczbie, jak dawniej, bo panna Sieniutówna za mąż poszła, a księżniczka Barbara została u pani wojewodziny wileńskiej.

— I pewnie za mąż idzie?

— Nie, niebardzo ona o tem myśli. A czemu się to waćpan o to dopytuje?

To rzekłszy, Anusia przymrużyła czarne oczęta tak, że tylko szpareczki pozostały, i spoglądała ukośnie z pod rzęs na rycerza.

— Przez życzliwość dla familii — odparł pan Michał.

A Anusia na to:

— Oj to i słusznie, bo też wielką pan Michał ma w księżniczce Barbarze przyjaciółkę. Nieraz pytała: gdzie to ów mój rycerz, który na turnieju w Łubniach najwięcej głów tureckich zrzucił, za com mu nagrodę dawała? co porabia? zali żyje jeszcze i o nas pamięta?

Pan Michał podniósł z wdzięcznością oczy na Anusię i po pierwsze ucieszył się, powtóre dostrzegł, że Anusia wyładniała niepomiernie.

— Zali naprawdę księżniczka Barbara tak mówiła? — spytał.

— Jako żywo, i to jeszcze wspominała, jakeś waćpan przez fosę do niej skakał, wtedy, gdyś to w wodę wpadł.

— A gdzie teraz pani wojewodzina wileńska?

— Była z nami w Brześciu, a tydzień temu pojechała do Bielska, skąd do Warszawy przybędzie.

Pan Wołodyjowski drugi raz spojrzał na Anusię i nie mógł już wytrzymać.

— A panna Anna — rzekł — już do takowej gładkości doszła, że aż oczy bolą patrzeć.

Dziewczyna uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Pan Michał tak jeno mówi, by mnie skaptować.

— Chciałem swego czasu — rzekł ruszając ramionami rycerz.

Bóg widzi, chciałem i nie mogłem, a teraz panu Podbipięcie życzę, by był szczęśliwszy.

— A gdzie pan Podbipięta? — spytała cicho Anusia, spuszczając oczki.

— W Zamościu ze Skrzetuskim; został już namiestnikiem w chorągwi i służby pilnować musi, ale gdyby był wiedział, kogo tu ujrzy, o! jak Bóg na niebie, byłby wziął permisyę i tu z nami wielkim krokiem podążył. Wielki to jest kawaler, na wszelką łaskę zasługujący.

— A na wojnie.... nie doznał jakowego szwanku?

— Widzi mi się, że waćpanna nie o to chcesz pytać, jeno o te trzy głowy, które ściąć zamierzył.

— Nie wierzę, aby on to naprawdę zamierzył.

— A jednak wierz waćpanna, bo bez tego nie będzie nic. Nie leniwie on też szuka okazyi. Pod Machnówką ażeśmy jeździli oglądać miejsce, w którem wśród tłumu walczył, i sam książę z nami jeździł, bo powiem waćpannie, dużo widziałem, ale takich jatek, pókim żyw, nie będę widział. Kiedy się szarfą waćpanny do bitwy przepasze — strach, co dokazuje. Znajdzie on swoje trzy głowy, bądź waćpanna spokojna.

— Niechże każdy znajdzie to, czego szuka — rzekła z westchnieniem Anusia.

Za nią westchnął pan Wołodyjowski i wzrok podniósł ku górze, gdy nagle spojrzał ze zdziwieniem w jeden kąt izby.

Z tego kąta patrzała na niego twarz gniewna, zapalczywa, a całkiem mu nieznana, zbrojna w olbrzymi nos i wąsiska do dwóch wiech podobne, które poruszały się szybko, jakby z tłumionej pasyi.

Można się było przestraszyć tego nosa, tych oczu i wąsów, ale mały pan Wołodyjowski wcale nie był łatwo płochliwy, więc jak się rzekło, zdziwił się tylko i zwróciwszy się do Anusi, pytał:

— Co to za jakowaś figura, ot tam w kącie, która spogląda na mnie tak, jakby mnie z kretesem połknąć chciała, i wąsiskami rusza, jako właśnie stary kot przy pacierzu?

— To? — rzekła Anusia, ukazując białe ząbki — to jest pan Charłamp.

— Cóż to za poganin?

— Wcale to nie poganin, jeno z chorągwi pana wojewody wileńskiego rotmistrz petyhorski, który nas aż do Warszawy odprowadza i tam na wojewodę ma czekać. Niech pan Michał jemu w drogę nie włazi, bo to wielki ludojad.

— Widzę ja to, widzę. Ale skoro to ludojad, przecie są tłustsi odemnie, dlaczegoż na mnie, nie na innych zęby ostrzy?

— Bo... — rzekła Anusia i zachychotała zcicha.

— Bo co?

— Bo on się we mnie kocha i sam mi powiedział, że każdego, któryby się do mnie zbliżał, w sztuki posieka, a teraz wierz mi waćpan, że się tylko przez wzgląd na obecność księstwa wstrzymuje, inaczej zarazby poszukał okazyi.

— Maszże tobie! — rzecze wesoło pan Wołodyjowski. — To tak panno Anno? Oj, niedarmośmy, jak widzę śpiewywali: "Jak tatarska orda, bierzesz w jasyr corda (serca)!" Pamiętasz waćpanna? Że też waćpanna nie możesz się ruszyć, żeby się ktoś zaraz nie zakochał!

— Takie to już może nieszczęście! — odparła, spuszczając oczki, Anusia.

— Ej, faryzeusz z panny Anny! A co na to powie pan Longinus?

— Cóż ja winna, że ten pan Charłamp mię prześladuje? ja go nie cierpię i patrzeć na niego nie chcę.

— No, no! patrz waćpanna, aby się przez nią krew nie polała. Podbipiętę choć do rany przyłożyć, ale w rzeczach sentymentu żarty z nim niebezpieczne.

— Niech mu uszy obetnie, jeszcze będę rada.

To rzekłszy, Anusia zakręciła się jak fryga i furknęła na drugą stronę izby do imć Carboniego, doktora księżny, z którym zaczęła coś żywo szeptać i rozmawiać, a Włoch oczy wlepił w pułap, jakby go ekstaza porwała.

Tymczasem Zagłoba zbliżył się do pana Wołodyjowskiego i począł mrugać krotochfilnie swojem zdrowem okiem.

— Panie Michale — spytał — a co to za dzierlatka?

— Panna Borzobohata-Krasieńska, respektowa księżny pani.

— A gładka bestyjka, oczy jak tareczki, pysio jak malowane, a szyjka, uf!

— Niczego, niczego!

— Winszuję waszmości!

— Dałbyś waść pokój! To narzeczona pana Podbipięty, albo tak jak narzeczona.

— Pana Podbipięty? Bójże się waćpan ran Boskich! Przecie on czystość ślubował! A prócz tego, przy takiej między nimi proporcyi,

chybaby ją za kołnierzem nosił; na wąsach mogłaby mu siadać, jak mucha, cóż znowu?

— Ej, jeszcze go ona w karby weźmie. Herkules był mocniejszy, a przecie białogłowa go usidliła.

— Byle mu tylko rogów nie przyprawiła, choć ja pierwszy o to się postaram, jakem Zagłoba.

— Będzie takich więcej, jak waćpan, choć w samej rzeczy z dobrego to gniazda dziewczyna i uczciwa. Płoche to, bo młode i gładkie.

— Zacny z waści kawaler i dlatego ją chwalisz, ale że dzierlatka, to dzierlatka.

— Uroda ludzi ciągnie, exemplum (przykład): ten oto rotmistrz okrutnie podobno w niej rozmiłowan.

— Ba! a spójrzno waćpan na tego kruka, z którym ona rozmawia; co to za czort?

— To Włoch Carboni, doktór księżny.

— Uważ, panie Michale, jak mu się latarnia rozjaśniła i ślepie przewraca, jak w delirium (obłąkaniu). Ej, źle z panem Longinem! Znam ja się na tem trochę, bom za młodu niejednego doświadczył. W innej porze muszę waćpanu opowiedzieć wszystkie terminy, w jakich bywałem, albo jeśli masz ochotę, to choć zaraz posłuchaj.

Pan Zagłoba począł szeptać coś do ucha małego rycerza i mrugać silniej niż zwykle, ale w tem nadeszła pora wyjazdu. Książę siadł z księżną do karety, aby przez drogę nagadać się z nią po długiem niewidzeniu dowoli; panny pozajmowały kolaski, a rycerstwo siadło na koń i ruszono. Naprzód jechał dwór, a wojsko opodal z tyłu, gdyż kraj był tu spokojny, i chorągwie tylko dla ostentacyi, nie dla bezpieczeństwa potrzebne. Ciągnęli więc z Siennicy do Mińska, a stamtąd do Warszawy, często gęsto ówczesnym obyczajem popasając. Trakt był tak zapchany, iż zaledwie noga za nogą można się było posuwać. Wszystko dążyło na elekcyę i z okolic pobliskich, i z dalekiej Litwy: więc tu i owdzie spotykano dwory pańskie, całe orszaki pozłocistych karet, otoczone hajdukami, olbrzymimi pajukami, ubranymi po turecku, za którymi postępowały nadworne roty, to węgierskie, to niemieckie, to janczarskie, to oddziały Kozaków, to wreszcie poważne znaki niezrównanej jazdy polskiej. Każdy ze znaczniejszych starał się stawić i najokazalej, i w jak najliczniejszej asystencyi. Obok licznych magnackich kawalkad, ciągnęły

i szczuplejsze dygnitarzy powiatowych i ziemskich. Co chwila z kurzawy wychylały się pojedyńcze karabony szlacheckie, obite czarną skórą, zaprzężone w parę lub cztery konie, a w każdym siedział szlachcic, personat, z krucyfiksem, lub obrazem Najświętszej Panny, zawieszonym na jedwabnym pasie u szyi. Wszyscy zbrojni: muszkiet po jednej stronie siedzenia, szabla po drugiej, a u aktualnych lub byłych towarzyszów chorągwianych jeszcze i kopia, stercząca na dwa łokcie za siedzeniem. Pod karabonami szły psy legawe lub charty, nie dla potrzeby, boć przecie nie na łowy się zjeżdżano, ale dla pańskiej rozrywki. Z tyłu luzacy prowadzili konie podwodowe, pokryte derami dla ochrony bogatych siedzeń od deszczu lub kurzawy, dalej ciągnęły wozy skrzypiące o kołach powiązanych wiciami, a w nich namioty i zapasy żywności dla sług i panów. Gdy wiatr chwilami zwiewał kurzawę z traktu na pola, cała droga odsłaniała się i mieniła jako wąż stubarwny, lub jako wstęga, misternie ze złota i jedwabiów utkana. Gdzieniegdzie, na owej drodze brzmiały ochoczo kapele włoskie lub janczarskie, zwłaszcza przed chorągwiami koronnego i litewskiego komputu, których również w tym tłumie nie brakło, bo dla asystencyi przy dygnitarzach iść musiały, a wszędy pełno było krzyku, gwaru, nawoływań, pytań i kłótni, gdy jedni drugim ustępować nie chcieli. Raz wraz też doskakiwali konni żołnierze i słudzy i do orszaku książęcego, wzywając do ustąpienia dla takiego a takiego dygnitarza, lub pytając, kto jedzie. Ale gdy uszu ich doszła odpowiedź: "Wojewoda ruski!" natychmiast dawali znać panom swym, którzy zostawiali drogę wolną, lub jeśli byli na przedzie, zjeżdżali w bok, by widzieć przeciągający orszak. Na popasach kupiła się szlachta i żołnierze, chcąc napoić ciekawe oczy widokiem największego w Rzeczypospolitej wojownika. Nie brakło też i wiwatów, na które książę wdzięcznie odpowiadał, raz z przyrodzonej sobie ludzkości, a powtóre chcąc tą ludzkością kaptować stronników dla królewicza Karola, których też i nakaptował samym swym widokiem niemało.

Z równą ciekawością patrzano na chorągwie książęce, na owych "Rusinów," jak ich nazywano. Nie byli oni już tak obdarci i wynędzniali, jak po konstantynowskiej bitwie, bo książę w Zamościu dał nową barwę chorągwiom, ale zawsze poglądano na nich, jak na cuda zamorskie, gdyż w mniemaniu mieszkańców bliskich okolic stolicy przychodzili z końca świata. Więc też i dziwy opowiadano o owych stepach tajemniczych i borach, w których się rodzi takie

rycerstwo, podziwiano ich płeć ogorzałą, spaloną wichrami z Czarnego morza, ich hardość spojrzenia i pewną dzikość postawy, od dzikich sąsiadów przejętą.

Ale najwięcej oczu zwracało się, po księciu, na pana Zagłobę, który, dostrzegłszy, jaki go podziw otacza, spoglądał tak dumnie i hardo, toczył tak strasznie oczyma, iż zaraz szeptano w tłumie: "Ten to musi być rycerz między nimi najprzedniejszy!" — A inni mówili: "Siła on już musiał dusz z ciał wypędzić, taki smok sierdzisty" — gdy zaś podobne słowa dochodziły do uszu pana Zagłoby, starał się tylko o to, by jeszcze większą sierdzistością wewnętrzne ukontentowanie pokryć.

Czasem odzywał się do tłumu, czasem szydził, a najwięcej z litewskich komputowych chorągwi, w których poważne znaki nosiły złotą, a lekkie srebrną pętelkę na ramieniu.

— Naści hetkę, panie pętelko! — wołał na ten widok pan Zagłoba.

Więc też niejeden towarzysz sapnął, zgrzytnął, szablą trząsnął, ale pomyślawszy, iż to żołnierz z chorągwi wojewody ruskiego tak sobie pozwala, w ostatku splunął i okazyi zaniechał.

Bliżej Warszawy tłumy stały się tak gęste, iż tylko noga za nogą można się było posuwać. Elekcya obiecywała być liczniejszą niż zwykle, bo nawet szlachta z dalszych ruskich i litewskich okolic, która z przyczyny odległości nie byłaby dla samej elekcyi przybyła, ściągnęła teraz do Warszawy dla bezpieczeństwa. A przecie dzień wyboru był jeszcze daleko, gdyż zaledwie pierwsze posiedzenia sejmu się rozpoczęły; ale ściągano na miesiąc i dwa naprzód, by ulokować się w mieście, temu i owemu się przypomnieć, tu i owdzie promocyi poszukać, po dworach pańskich jadać i pijać, i wreszcie, by po żniwach w stolicy rozkoszy zażyć.

Książę poglądał ze smutkiem przez tafle karety na owe tłumy rycerstwa, żołnierzy i szlachty, na te bogactwa i przepych ubiorów, myśląc, jakąby to siłę można z nich utworzyć — ile wojska wystawić! Czemu to ta Rzeczpospolita, taka silna, ludna i bogata, dzielnem rycerstwem przepełniona, jest zarazem tak mdła, że sobie z jednym Chmielnickim i z dziczą tatarską poradzić nie umie? Czemu? Na krocie Chmielnickiego możnaby krociami odpowiedzieć, gdyby owa szlachta, owo żołnierstwo, owe bogactwa i dostatki, owe pułki i chorągwie chciały tak rzeczy publicznej służyć, jako prywacie służyły. Cnota w Rzeczypospolitej ginie! — myślał ksią-

żę — i wielkie ciało psuć się poczyna; męstwo dawne ginie i w słodkich wczasach, nie w trudach wojennych kocha się wojsko i szlachta! Książe miał poniekąd słuszność, ale o brakach Rzeczpospolitej myślał tylko jak wojownik i wódz, który wszystkich ludzi chciałby na żołnierzy przerobić i na nieprzyjaciela poprowadzić. Męstwo mogło się znaleźć, i znalazło się, gdy stokroć większe wojny zagroziły wkrótce Rzeczypospolitej. Jej brakło jeszcze czegoś więcej, czego książę-żołnierz w tej chwili nie dostrzegał, ale co widział jego nieprzyjaciel, kanclerz koronny, bieglejszy od Jeremiego statysta.

Lecz oto w siwem i błękitnem oddaleniu zamajaczyły śpiczaste wieże Warszawy, więc dalsze księcia rozmyślania rozpierzchły się, a natomiast wydał rozkazy, które oficer służbowy wnet Wołodyjowskiemu, dowódzcy eskorty odniósł. Skoczył wskutek tych rozkazów pan Michał od kolaski Anusinej, przy której dotąd koniem toczył, do ciągnących znacznie z tyłu chorągwi, aby szyk sprawić i w ordynku dalej już ciągnąć. Zaledwie jednak ujechał kilkanaście kroków, gdy usłyszał, że pędzi ktoś za nim — obejrzał się: był to pan Charłamp, rotmistrz lekkiego znaku pana wojewody wileńskiego i Anusin adorator.

Wołodyjowski wstrzymał konia, bo odrazu zrozumiał, że pewnie przyjdzie do jakowegoś zajścia, a lubił z duszy takie rzeczy pan Michał; pan Charłamp zaś zrównał się z nim i z początku nic nie mówił, sapał tylko i wąsami srodze ruszał, widocznie szukając wyrazów — nakoniec ozwał się:

— Czołem, czołem, panie dragon!

— Czołem, panie pocztowy!

— Jak waszmość śmiesz nazywać mnie pocztowym — pytał, zgrzytając zębami, pan Charłamp — mnie, towarzysza i rotmistrza? ha?

Pan Wołodyjowski począł podrzucać obuszek, który trzymał w ręku, całą uwagę skupiwszy niby na to tylko, by po każdym młyńcu chwytać go za rękojeść — i odrzekł, jakby od niechcenia:

— Bo po pętelce nie mogę poznać szarży.

— Waść całemu towarzystwu uwłaczasz, którego nie jesteś godzien.

— A to dlaczego? — pytał z głupia frant Wołodyjowski.

— Bo w cudzoziemskim autoramencie służysz.

— Uspokójże się waćpan — rzecze pan Michał — choć w dragonach służę, przeciem jest towarzysz, i to nie lekkiego, ale poważnego znaku pana wojewody, możesz tedy ze mną mówić, jak z równym, albo jak z lepszym (1).

Pan Charłamp pomiarkował się trochę, poznawszy, iż nie z tak lekką, jak mniemał, osobą ma do czynienia, ale nie przestał zębami zgrzytać, bo go zimna krew pana Michała do większej jeszcze złości doprowadziła — więc rzekł:

— Jak waćpan śmiesz mi w drogę włazić?

— Ej, widzę waszmość okazyi szukasz.

— Może i szukam, i to ci powiem — (tu pan Charłamp pochylił się do ucha pana Michała i kończył cichszym głosem) żeć uszy obetnę, jeśli mi przy pannie Annie będziesz zastępował drogę.

Pan Wołodyjowski znów począł podrzucać obuszek bardzo pilnie, jakby to czas był właśnie na takową zabawę, i ozwał się tonem perswazyi:

— Ej, dobrodzieju, pozwól jeszcze pożyć, zaniechaj mnie!

— O nic! nic z tego! nie wymkniesz się — rzekł pan Charłamp, chwytając za rękaw małego rycerza.

— Ja się przecie nie wymykam —mówił łagodnie pan Michał — ale teraz na służbie jestem i z ordynansem księcia pana mojego dążę. Puść waść rękaw, puść, proszę cię, bo inaczej, co mnie biednemu robić: chyba tym oto obuchem w łeb zajadę i z konia zwalę.

Tu pokorny z początku głos Wołodyjowskiego tak jakoś zasyczał jadowicie, że pan Charłamp spojrzał z mimowolnem zdziwieniem na małego rycerza i rękaw puścił.

— O! wszystko jedno — rzekł — w Warszawie dasz mi pole, dopilnuję cię!

— Nie będę się krył, wszelako jakże to mam bić się w Warszawie? raczże mnie waszmość nauczyć! Nie bywałem tam jeszcze w życiu mojem, ja prosty żołnierz, alem słyszał o sądach marszałkowskich, które za wydobycie szabli pod bokiem króla, lub interrexa, gardłem karzą.

— Znać to, żeś waćpan w Warszawie nie bywał i żeś prostak, sko-

---

1) Towarzysz z pod poważnego znaku nie mógł iść pod komendę nawet generała wojsk cudzoziemskiego autoramentu, przeciwnie nawet, często generał bywał oddawany pod komendę towarzysza; aby tego uniknąć, generałowie i oficerowie regimentów cudzoziemskich starali się być jednocześnie towarzyszami w polskich. Takim towarzyszem był i p. Wołodyjowski.

ro się sądów marszałkowskich boisz, i nie wiesz, że w czasie bezkrólewia kaptur sądzi, z którym sprawa łatwiejsza, a już o waścine uszy gardła mi nie wezmą, bądź pewien.

— Dziękuję za naukę i często o instrukcye poproszę, bo widzę, żeś waćpan praktyk nielada, i mąż uczony, a ja, jakom tylko infimę minorum (najniższą klasę) praktykował, ledwie adjectivum cum substantivo (przymiotnik z rzeczownikiem) pogodzić umiem, i gdybym waćpana chciał, broń Boże, głupim nazwać, to tylko tyle wiem, że powiedziałbym: stultus, nie zaś stulta, ani stultum.

Tu pan Wołodyjowski począł znów podrzucać obuszek, pan Charłamp zaś aż zdumiał się, potem krew mu uderzyła do twarzy i szablę z pochwy wyciągnął, ale w tem samem mgnieniu oka i mały rycerz, chwyciwszy obuszek pod kolano, swoją błysnął, Przez chwilę patrzeli na się jak dwa odyńce z rozwartemi nozdrzami i z płomienami w oczach — lecz pan Charłamp zmiarkował się pierwszy, iż z samym wojewodą przyszłoby mu mieć sprawę, gdyby na jego oficera jadącego z rozkazem napadł — więc też i pierwszy szablisko napowrót schował.

— O! znajdę cię, taki synu! — rzekł.

— Znajdziesz, znajdziesz boćwino! — rzekł mały rycerz.

I rozjechali się, jeden do kawalkaty, drugi do chorągwi, które znacznie się prze ten czas zbliżyły, tak, iż z kłębów kurzawy dochodził już tupot kopyt po twardym trakcie. Pan Michał wnet sprawił jazdę i piechotę do porządnego pochodu i ruszył na czele. Po chwili przyczłapał ku niemu pan Zagłoba.

— Czego chciało od ciebie to straszydło morskie? — spytał Wołodyjowskiego.

— Pan Charłamp? Ej, nic, wyzwał mnie na rękę.

— Masz tobie! — rzekł Zagłoba. — Na wylot cię swoim nosem przebodzie. Bacz, panie Michale, gdy się będziecie bili, abyś największego nosa w Rzeczypospolitej nie obciął, bo osobny kopiec trzebaby dla niego sypać. Szczęśliwy wojewoda wileński! inni muszą podjazdy pod nieprzyjaciela posyłać, a jemu ten towarzysz zdaleka go zwietrzy. Ale za co cię wyzwał?

— Za to, żem przy kolasce panny Anny Borzobohatej jechał.

— Ba! trzeba mu było powiedzieć, żeby się do pana Longina do Zamościa udał. Tenby go dopiero poczęstował pieprzem i imbirem. Źle ten boćwinkarz trafił i widać mniejsze ma szczęście od nosa.

— Nie mówiłem mu nic o panu Podbipięcie — rzekł Wołodyjowski — bo nużby mnie zaniechał? Będę się na złość do Anusi z podwójnym ferworem zalecał, chcę też mieć swoją uciechę. A co my w tej Warszawie będziem mieli lepszego do roboty?

— Znajdziemy, znajdziemy, panie Michale — rzekł, mrugając oczyma Zagłoba. — Kiedy byłem za młodych lat deputatem exakcyi od chorągwi, w której służyłem, jeździło się po całym kraju, ale takiego życia jak w Warszawie nigdzie nie znalazłem.

— Mówisz waćpan, że inne niż u nas na Zadnieprzu?

— Ej, co i mówić!

— Bardzom ciekaw — rzekł pan Michał.

A po chwili dodał:

— A taki temu boćwinkowi wąsy podetnę, bo ma za długie.

XLIII.

Upłynęło kilka tygodni. Szlachty na elekcyę zjeżdżało się coraz więcej. W mieście dziesięćkrotnie zwiększyła się ludność, bo razem z tłumami szlachty napływały tysiące kupców i bazarników z całego świata, począwszy od Persyi dalekiej, aż do Anglii zamorskiej. Na Woli zbudowano szopę dla senatu, a na okół bieliły się już tysiące namiotów, którymi obszerne błonia całkiem się okryły. Nikt jeszcze nie umiał powiedzieć, który z dwóch kandydatów, królewicz Kazimierz, kardynał, czy Karol Ferdynand, biskup płocki, będzie wybrany. Z obu stron wielkie były starania i usilności. Puszczano w świat tysiące ulotnych pism, opiewających zalety i wady pretendentów — obaj mieli stronników licznych i potężnych. Po stronie Karola stał, jak wiadomo książę Jeremi, tem groźniejszy dla przeciwników, że zawsze prawdopodobnem było, iż pociągnie za sobą rozmiłowaną w nim szlachtę, od której wszystko ostatecznie zależało. Ale i Kazimierzowi sił nie brakło. Przemawiało za nim starszeństwo, po jego stronie stawały wpływy kanclerza, na jego stronę zdawał się przechylać prymas, za nim obstawała większość magnatów, z których każdy licznych miał klientów, a między magnatami i książę Dominik Zasławski: Ostrogski, wojewoda sandomierski, po Piławcach zniesławion wprawdzie bardzo i nawet sądem zagrożony, ale zawsze największy pan w całej Rzeczypospolitej, ba,

nawet w całej Europie, i mogący w każdej chwili niezmierny ciężar bogactw na szalę swego kandydata przyrzucić.

Jednakże stronnicy Kazimierza gorzkie nieraz miewali chwile zwątpienia, bo jak się rzekło, wszystko zależało od szlachty, która już od 4 października tłumnie obozowała pod Warszawą i nadciągała jeszcze tysiącami ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, a w niezmiernej większości opowiadała się przy księciu Karolu, pociągana urokiem imienia Wiśniowieckiego i ofiarnością królewicza na cele publiczne. Królewicz bowiem, pan gospodarny i zamożny, nie zawahał się w tej chwili poświęcić znacznych kosztów na formowanie nowych regimentów wojsk, które pod komendę Wiśniowieckiego miały być oddane. Kazimierz chętnie byłby poszedł za jego przykładem, i pewnie nie chciwość go wstrzymała, ale właśnie przeciwnie, zbytnia hojność, której bezpośrednim skutkiem był niedostatek i wieczny brak pieniędzy w skarbcu. Tymczasem obaj żywe prowadzili rokowania. Codziennie latali posłańcy między Nieporętem a Jabłonną. Kazimierz w imię swego starszeństwa i miłości braterskiej zaklinał Karola, by ustąpił — biskup zaś opierał się, odpisywał, iż nie godzi mu się gardzić szczęściem, które go spotkać może, "gdyż to szczęście in liberis suffragiis (wolnymi głosami) Rzplitej i komu Pan obiecał" — a tymczasem czas płynął, sześciotygodniowy termin zbliżał się i razem z nim groza kozacka, bo przyszły wieści, że Chmielnicki, porzuciwszy oblężenie Lwowa, który się po kilku szturmach okupił, stanął pod Zamościem i dzień i noc do tej ostatniej zasłony Rzplitej szturmuje.

Mówiono również, że oprócz posłów, których Chmielnicki do Warszawy wysłał z listem i oświadczeniem, iż jako szlachcic polski za Kazimierzem głos daje, kryło się między tłumami szlachty i w samem mieście pełno przebranej starszyzny kozackiej, której nikt rozpoznać nie umiał, bo przybywali jako szlachta słuszna i zamożna, niczem się od innych elektorów, zwłaszcza z ziem ruskich, nie różniąc — nawet i mową. Jedni, jak mówiono, poprzekradali się dla prostej ciekawości, aby się elekcyi i Warszawie przypatrzeć, inni na przeszpiegi, dla zasięgnięcia wieści, co o przyszłej wojnie mówią, ile wojsk myśli Rzeczpospolita wystawić i jakie na zaciągi obmyśli fundusze? Może było i dużo prawdy w tem, co o owych gościach mówiono, bo między starszyzną zaporoską wielu było skozaczonych szlachciców, którzy i łaciny nieco zarwali, a przeto nie było ich po

czem poznać; zresztą na dalekich stepach wogóle nie kwitła łacina, i tacy kniazie Kurcewicze nie umieli jej tak samo, jak Bohun i inni atamani.

Ale gadania podobne, których pełno było i na polu elekcyjnem i w mieście, razem z wieściami o postępach Chmielnickiego i podjazdach kozacko-tatarskich, które jakoby aż po Wisłę docierały, napełniały niepokojem i trwogą dusze ludzkie, a nieraz stawały się przyczyną tumultów. Dość było między żebraną szlachtą rzucić na kogo podejrzenie, iż jest przebranym Zaporożcem, aby go w jednej chwili, nim zdołał się usprawiedliwić, rozniesiono w drobne strzępy na szablach. W ten sposób mogli ginąć ludzie niewinni i powaga obrad była znieważana, zwłaszcza, że obyczajem ówczesnym niezbyt przestrzegano i trzeźwości. Kaptur, postanowiony propter securitatem loci (dla bezpieczeństwa miejsca), nie mógł sobie dać rady z ciągłemi burdami, w których siekano się z lada powodu. Ale jeśli ludzi statecznych, przejętych miłością dobra i spokoju, oraz niebezpieczeństwem, jakie ojczyźnie groziło, martwiły owe tumulty, siekaniny i pijatyki, natomiast szałapuci, kosterzy i warchołowie czuli się jakoby w swoim żywiole, uważali, że to ich właśnie czas, ich żniwo — i tem śmielej dopuszczali się różnych zdrożności.

Nie trzeba zaś mówić, że między nimi rej wodził pan Zagłoba, którą to hegemonię zapewniła mu i wielka sława rycerska i nienasycone pragnienie, poparte możnością picia, i język tak wyprawny, że żaden inny wyrównać mu nie mógł, i wielka pewność siebie, której nic zachwiać nie zdołało. Chwilami miewał on jednak napady "melankolii" — wówczas zamykał się w izbie lub w namiocie i nie wychodził, a jeśli wyszedł, bywał w gniewliwym humorze, skłonny do zwady i bójki na prawdę. Zdarzyło się nawet, iż w takiem usposobieniu poszczerbił mocno pana Duńczewskiego, Rawianina, za to tylko, iż przechodząc, o jego szablę zawadził. Pana Michała tylko wówczas obecność znosił i przed nim uskarżał się, iż go tęskność po panu Skrzetuskim i po niebodze trawi. "Opuściliśmy ją, panie Michale, — mawiał —wydaliśmy ją, jako Judasze, w bezbożne ręce, już wy mnie się waszem nemine excepto (bez żadnego wyjątku) nie zasłaniajcie! Co się z nią dzieje, panie Michale, powiedz?"

Naprożno pan Michał tłómaczył mu, że gdyby nie Piławce, toby niebogi szukali, ale że teraz, gdy przegrodziła ich od niej cała potęga

Chmielnickiego, jest to rzecz niepodobna. Szlachcic nie dawał się pocieszyć, tylko w jeszcze większą pasyę wpadał, klnąc na czem świat stoi pierzynę, dziecinę i łacinę.

Ale owe chwile smutku krótko trwały. Zwykle potem Zagłoba, jakby chcąc sobie wynagrodzić czas stracony, hulał i pił jeszcze więcej niż zwykle; czas spędzał pod wiechami, w towarzystwie największych opojów, lub stołecznych gamratek, w czem pan Michał wiernie dotrzymywał mu towarzystwa.

Pan Michał, żołnierz i oficer wyborny, nie miał w sobie jednak na szeląg tej powagi, jaką naprzykład w Skrzetuskim wyrobiły nieszczęścia i cierpienie. Obowiązek swój względem Rzeczypospolitej rozumiał Wołodyjowski w ten sposób, że bił kogo mu kazano — o resztę nie dbał, na sprawach publicznych się nie rozumiał; klęskę wojskową gotów był zawsze opłakiwać; ale ani do głowy mu nie przyszło, że warcholstwo i tumulty tyle są rzeczy publicznej szkodliwe, ile i klęski. Był to słowem młodzik wietrznik, który dostawszy się w szum stołeczny, utonął w nim po uszy i przyczepił się jak oset do Zagłoby, bo "ten był mistrzem w swawoli." Jeździł więc z nim i między szlachtę, której przy kielichu niestworzone rzeczy opowiadał Zagłoba, kaptując zarazem stronników dla królewicza Karola, pił z nim razem, w potrzebie osłaniał go, kręcili się obaj i po polu elekcyjnem, i w mieście, jak muchy w ukropie — i nie było kąta, do któregoby nie wleźli. Byli i w Nieporęcie, i w Jabłonnie, i na wszystkich ucztach, obiadach u magnatów, czy pod wiechami, byli wszędy i uczestniczyli we wszystkiem. Pana Michała świerzbiła młoda ręka, chciał się pokazać i okazać zarazem, że szlachta ukraińska lepsza niż inna, a żołnierze książęcy nad wszystkich. Więc jeździli umyślnie szukać awantur, między Łęczyczanów, jako do korda najsprawniejszych, a głównie między partyzantów księcia Dominika Zasławskiego, ku którym obaj czuli szczególną nienawiść. Zaczepiali tylko co znamienitszych rębajłów, których sława była niezachwiana i ustalona, i z góry układali zaczepki. "Waszmość dasz okazyę — mawiał pan Michał — a ja potem wystąpię." Zagłoba, biegły bardzo w szermierce i do pojedynku z bratem szlachcicem wcale nie tchórz, nie zawsze zgadzał się na zastępstwo, zwłaszcza w zajściach z Zasławczykami, ale gdy z jakim łęczyckim graczem przyszło mieć do czynienia, poprzestawał na dawaniu okazyi, gdy zaś już szlachcic rwał się do szabli i wyzywał, wtedy pan Zagłoba mawiał: "Mój mospanie! jużbym też nie

miał sumienia, gdybym na śmierć oczywistą waćpana narażał, sam się z nim potykając; spróbuj się lepiej z tym oto moim synalkiem i uczniem, bo nie wiem, czy i jemu sprostasz." Po takich słowach wysuwał się pan Wołodyjowski ze swymi zadartymi wąsikami, zadartym nosem i miną gapia, i czy go przyjmowano, czy nie, puszczał się w taniec, a że istotnie mistrz to był nad mistrzami, więc po kilku złożeniach kładł zwykle przeciwnika. Takie to sobie obaj z Zagłobą wymyślali zabawy, od których ich sława między niespokojnymi duchami i między szlachtą rosła, ale szczególnie sława pana Zagłoby, bo mówiono: "Jeśli uczeń taki, jakiż mistrz być musi?" Jednego tylko Charłampa Wołodyjowski nigdzie przez długi czas odnaleźć nie mógł, myślał nawet, że go może na Litwę napowrót w jakich sprawach wysłano.

W ten sposób zeszło sześć blisko tygodni, w czasie których i rzeczy publiczne posunęły się znacznie naprzód. Wytężona walka między braćmi kandydatami, zabiegi ich stronników, gorączka i wzburzenie namiętności w partyzantach, wszystko przeszło prawie bez śladu i pamięci. Wiadomo już było wszystkim, że Jan Kazimierz będzie wybrany, bo królewicz Karol bratu ustąpił i dobrowolnie zrzekł się kandydatury. Dziwna rzecz, że w tej chwili wiele głos Chmielnickiego zaważył, gdyż spodziewano się powszechnie, że podda się powadze króla, zwłaszcza takiego, który w jego myśli byłby obrany. Jakoż te przewidywania sprawdziły się w znacznej części. Zato dla Wiśniowieckiego, który ani na chwilę, jak ongi Kato, nie przestawał upominać, aby owa zaporoska Kartagina była zburzona — taki obrót rzeczy był nowym ciosem. Książe wiedział wprawdzie, że te układy albo odrazu nie doprowadzą do niczego, albo wkrótce siłą rzeczy będą zerwane, i widział wojnę w przyszłości — ale niepokój ogarniał go na myśl, jaki będzie los tej wojny. Po układach uprawniony Chmielnicki będzie jeszcze silniejszy, a Rzeczpospolita słabszą. I kto poprowadzi jej wojska przeciw tak wsławionemu jak Chmielnicki wodzowi? Zali nie przyjdą nowe klęski, nowe pogromy, które do ostatka siły wyczerpią? Bo książę nie łudził się i wiedział, że jemu, najżarliwszemu stronnikowi Karola, nie oddadzą buławy. Kazimierz obiecał wprawdzie bratu, że jego stronników, tak jak swoich, będzie miłował, Kazimierz miał duszę wspaniałą — ale Kazimierz był stronnikiem polityki kanclerza — kto inny więc weźmie buławę — nie książę — i biada Rzeczypospolitej, jeśli to nie będzie wódz od Chmielnickiego bieglejszy. Na tę

myśl podwójny ból ściskał duszę Jeremiego — bo i obawa o przyszłość ojczyzny i to nieznośne uczucie, jakie ma człowiek, który widzi że zasługi jego będą pominięte, że sprawiedliwość nie będzie mu oddana i że inni nad nim głowę podniosą. Nie byłby Jeremi Wiśniowieckim, gdyby nie był dumnym. On czuł w sobie siły do dźwigania buławy — i na nią zasłużył — więc cierpiał podwójnie.

Mówiono nawet między oficerami, że książę nie będzie czekał końca elekcyi i że z Warszawy wyjedzie — ale nie była to prawda. Książę nietylko nie wyjechał, ale odwiedził nawet królewicza Kazimierza w Nieporęcie, od którego z niezmierną łaskawością był przyjęty, poczem wrócił do miasta na dłuższy pobyt, którego wymagały sprawy wojskowe. Chodziło o zyskanie środków na wojsko — o co pilnie nastawał książę. Przytem za Karolowe pieniądze tworzyły się nowe regimenty dragonów i piechoty. Jedne wysłano już na Ruś, drugie dopiero należało do ładu przyprowadzić. W tym celu rozesłał książę na wszystkie strony oficerów biegłych w rzeczach organizacyi wojskowej, aby owe pułki przyprowadzili do pożądanego stanu. Został wysłany Kuszel i Wierszuł, a wreszcie przyszła kolej i na Wołodyjowskiego.

Pewnego dnia wezwano go przed oblicze księcia, który taki mu dał rozkaz:

— Pojedziesz waść na Babice i Lipków do Zaborowa, gdzie czekają koni dla regimentu przeznaczone; tam je opatrzysz, wybrakujesz, i zapłacisz panu Trzaskowskiemu, a następnie przyprowadzisz je dla żołnierzy. Pieniądze za tym moim kwitem, tu w Warszawie, od płatnika odbierzesz.

Pan Wołodyjowski wziął się raźno do roboty, pieniądze odebrał i tegoż dnia obaj z Zagłobą ruszyli do Zaborowa, w samodziesięć i z wozem, który wiózł pieniądze. Jechali wolno, bo cała okolica z tamtej strony Warszawy roiła się od szlachty, służby, wozów i koni; wioski zaś po Babice były tak zapchane, że we wszystkich chałupach mieszkali goście. Łatwo było i o przygodę w tłoku ludzi różnych humorów — jakoż mimo największych starań i skromnego zachowania się, nie uniknęli jej i dwaj przyjaciele.

Dojechawszy do Babic, ujrzeli przed karczmą kilkunastu szlachty, która właśnie siadała na koń, aby jechać w swoją drogę. Dwa oddziały, pozdrowiwszy się wzajemnie, już miały się pominąć, gdy nagle jeden z jeźdźców spojrzał na pana Wołodyjowskiego i nie rzekłszy słowa, puścił się kłusem ku niemu.

— A tuś mi, bratku! — zakrzyknął — chowałeś się, alem cię znalazł, nie ujdziesz mi teraz! Hej! mości panowie! — zakrzyknął na swoich towarzyszów — a czekajcie no trocha. Mam temu oficerkowi coś powiedzieć i chciałbym, abyście świadkami moich słów byli.

Pan Wołodyjowski uśmiechnął się z zadowoleniem, bo poznał pana Charłampa.

— Bóg mi świadkiem, żem się nie chował — rzekł — i sam waćpana szukałem, aby się go zapytać, czyliś rankor jeszcze dla mnie zachował, ale cóż! nie mogliśmy się spotkać.

— Panie Michale — szepnął Zagłoba — po służbie jedziesz.

— Pamiętam! — mruknął Wołodyjowski.

— Stawaj do sprawy! — wrzeszczał Charłamp. — Mości panowie! obiecałem temu młodzikowi, temu gołowąsowi, że mu uszy obetnę, jakem Charłamp! oba, jakem Charłamp! Bądźcie świadkami waszmościowie, a ty, młodziku, stawaj do sprawy!

— Nie mogę, jak mnie Bóg miły, nie mogę! — mówił Wołodyjowski — pofolgujże mi wasze choć parę dni.

— Jakto, nie możesz? tchórz cię obleciał? Jeśli w tej chwili nie staniesz, toć opłazuje, aż ci się dziadek i babka przypomni. O bąku! o gadzie hadowity, w drogę wchodzić umiesz, naprzykrzać się umiesz, językiem kąsać umiesz, a do szabli ciebie niema!

Tu wmieszał się pan Zagłoba.

— Widzi mi się, że waszmość w piętkę gonisz — rzekł do Charłampa — i bacz, żeby cię ten bąk naprawdę nie ukąsił, bo wtedy żadne plastry nie pomogą. Tfu! do dyabła, czy nie widzisz, że ten oficer za służbą jedzie? Spójrz na ten wóz z pieniędzmi, które do regimentu wieziemy i zrozum, do kaduka, iż strażując przy skarbie, ten oficer swoją osobą nie rozporządza i pola dać ci nie może. Kto tego nie rozumie, ten kiep, nie żołnierz. Pod wojewodą ruskim służym i nie takich bijaliśmy, jak waćpan, ale dziś nie można, co się odwlecze, to nie uciecze.

— Jużci pewno, że kiedy z pieniędzmi jadą, to nie mogą — rzekł jeden z towarzyszów Charłampa.

— A co mnie do ich pieniędzy! — krzyczał niepohamowany pan Charłamp — niech mi pole daje, bo inaczej płazować zacznę!

— Pola dziś nie dam, ale parol kawalerski dam — rzekł pan Michał — że się stawię za trzy, lub cztery dni, gdzie chcecie, jak tylko sprawy po służbie załatwię. A nie będziecie się waszmościowie tą obietnicą kontentowali, to każę cynglów ruszać, bo będę myślał,

że nie ze szlachtą i nie żołnierzami, ale z rozbójnikami mam do czynienia. Wybierajcie tedy do wszystkich dyabłów, gdyż nie mam czasu tu stać!

Słysząc to, eskortujący dragoni zwrócili natychmiast rury muszkietów ku napastnikom, a ten ruch, również jak i stanowcze słowa pana Michała, widocznie wywarły wrażenie na towarzyszach pana Charłampa.

— Już też pofolguj — mówili mu — sameś żołnierz, wiesz, co to służba, a to pewna, że satysfakcyę otrzymasz, bo to śmiała jakaś sztuka, jak i wszyscy z pod ruskich chorągwi. Pohamuj się, póki prosim!

Pan Charłamp rzucał się jeszcze przez chwilę, ale wreszcie zmiarkował, że albo towarzyszów rozgniewa, albo ich na niepewną walkę z dragonami narazi, więc zwrócił się do Wołodyjowskiego i rzekł:

— Dajesz tedy parol, że się stawisz?

— Sam cię poszukam, choćby za to, że o taką rzecz na dwa razy pytasz. Stawię się w czterech dniach, dziś mamy środę, niechże będzie w sobotę po południu, we dwie godzin. Obieraj miejsce.

— Tu w Babicach siła gości — rzekł Charłamp — mogłyby jakowe impedimenta (przeszkody) się zdarzyć. Niechże będzie tu obok w Lipkowie, tam już spokojniej i mnie niedaleko, bo nasze kwatery w Babicach.

— A waćpanów taka sama będzie liczna kompania, jak dziś? — pytał przezorny Zagłoba.

— O, nie trzeba! — rzekł Charłamp — przyjadę tylko ja i panowie Sieliccy, moi krewni. Waszmościowie też, spero (spodziewam się), bez dragonów staniecie.

— Może u was w asystencyi wojskowej do pojedynku stają — rzekł pan Michał; — u nas niema takiej mody.

— Tedy w czterech dniach, w sobotę, w Lipkowie? — rzekł Charłamp. — Znajdziem się przed karczmą, a teraz z Bogiem!

— Z Bogiem! — rzekł Wołodyjowski i Zagłoba.

Przeciwnicy rozjechali się spokojnie. Pan Michał był uszczęśliwiony z przyszłej zabawy i obiecywał sobie zrobić prezent panu Longinowi z obciętych wąsów petyhorca. Jechał więc w dobrej myśli do Zaborowa, gdzie zastał i królewicza Kazimierza, który tam na łowy przyjechał. Wszelako pan Michał zdaleka tylko widział przyszłego pana, bo śpieszył się. We dwa dni sprawy ułatwił,

konic obejrzał, zapłacił pana Trzaskowskiego, wrócił do Warszawy i na termin, ba! nawet o godzinę zawcześniej, stanął w Lipkowie, razem z Zagłobą i panem Kuszlem, którego na drugiego świadka zaprosił.

Zajechawszy przed karczmę, którą Żyd trzymał, weszli do izby, aby gardła trochę miodem przepłókać, i przy szklanicy zabawiali się rozmową.

— Parchu, a pan jest w domu? — pytał karczmarza Zagłoba.

— Pan w mieście.

— A siła u was szlachty stoi w Lipkowie?

— U nas pusto. Jeden tylko pan stanął tu u mnie, i siedzi w alkierzu; bogaty pan ze służbą i końmi.

— A czemu do dworu nie zajechał?

— Bo widać naszego pana nie zna. Zresztą dwór zamknięty od miesiąca.

— A może to Charłamp? — rzekł Zagłoba.

— Nie — rzekł Wołodyjowski.

— Ej, panie Michale! mnie się widzi, że to on.

— Co znowu!

— Pójdę, zajrzę, kto jest. Żydzie, a dawno ten pan stoi?

— Dziś przyjechał, niema dwóch godzin.

— A wiesz, skąd on jest?

— Nie wiem, ale musi być zdaleka, bo konie miał zniszczone; ludzie mówili, że z za Wisły.

— Czemu on tedy aż tu w Lipkowie stanął?

— Kto jego wie?

— Pójdę zobaczę — powtórzył Zagłoba — może kto znajomy.

I zbliżywszy się do zamkniętych drzwi alkierza, zapukał w nie rękojeścią i ozwał się:

— Mości panie, można wejść?

— A kto tam? — ozwał się głos ze środka.

— Stój! — rzekł Zagłoba, uchylając drzwi. — Z przeproszeniem waszmości, może nie w porę? — dodał, wsadzając głowę do alkierza.

Nagle cofnął się, drzwiami trzasnął, jakby śmierć zobaczył. Na twarzy jego malował się przestrach w połączeniu z największem zdumieniem; usta otworzył i spoglądał obłąkanemi oczyma na Wołodyjowskiego i Kuszla.

— Co waćpanu jest? — pytał Wołodyjowski.

— Na rany Chrystusa! cicho! — rzekł Zagłoba — tam... Bohun.

— Kto? co się waści stało?

— Tam... Bohun!

Obaj oficerowie podnieśli się na równe nogi.

— Czyś waść rozum stracił? Miarkuj się: kto?

— Bohun! Bohun!

— Nie może być!

— Jakom żyw! jak tu przed wami stoję, klnę się na Boga i wszystkich świętych!

— Czegoś się waść tak stropił? — rzekł Wołodyjowski. — Jeśli on tam jest, to Bóg podał go w nasze ręce. Uspokój się waść! Jestżeś pewny, że to on?

— Jako że z waćpanem mówię. Widziałem go, szaty przewdziewa.

— A on waćpana widział?

— Nie wiem; zdaje się, że nie.

Wołodyjowskiego oczy zaiskrzyły się jak węgle.

— Żydzie! — rzekł zcicha, kiwając gwałtownie ręką. — Chodź tu! Czy są drzwi z alkierza?

— Niema, jeno przez tę izbę.

— Kuszel pod okno! — szepnął pan Michał. — O, już nam teraz nie ujdzie!

Kuszel, nie mówiąc ani słowa, wybiegł z izby.

— Przyjdź waćpan do siebie! — rzekł Wołodyjowski. — Nie nad waścinym, ale nad jego karkiem zguba wisi. Co on ci może uczynić? nic!

— Ja też ze zdziwienia nie mogę ochłonąć! — rzekł Zagłoba, a w duchu pomyślał: — Prawda! czego ja się mam bać? Pan Michał przy mnie, niech się Bohun boi!

I nasrożywszy się okrutnie, chwycił za rękojeść szabli.

— Panie Michale, już on nie powinien nam ujść!

— Czy to jeno on? bo mi się jeszcze wierzyć nie chce. Coby on tu robił?

— Chmielnicki go na przeszpiegi wysłał. To najpewniejsza rzecz. Czekaj, panie Michale! Chwycimy go i postawimy kondycyę: albo kniaziównę odda, albo zagrozimy mu, że go wydamy sprawiedliwości.

— Byle kniaziównę oddał, jechał go sęk!

— Ba, ale czy nas nie za mało? dwóch i Kuszel trzeci? Będzie się on bronił, jak wściekły, a ludzi też ma kilku.

— Charłamp z dwoma przyjedzie, będzie nas sześciu! dosyć! cyt!
W tej chwili otworzyły się drzwi, i Bohun wszedł do izby.

Nie musiał on poprzednio dostrzedz zaglądającego do alkierza Zagłoby, gdyż teraz na jego widok drgnął nagle i jakby płomień przeleciał mu przez oblicze, a ręka z szybkością błyskawicy spoczęła na głowni szabli, ale wszystko trwało jedno mgnienie oka. Wnet ów płomień zgasł w jego twarzy, która jednak przybladła nieco.

Zagłoba patrzał na niego i nie mówił nic, ataman również stał milczący; w izbie słyszałbyś przelatującą muchę — i ci dwaj ludzie, których losy plątały się w tak dziwny sposób, udawali w tej chwili, że się nie znają.

Trwało to dość długo. Panu Michałowi wydało się, że upływają wieki całe.

— Żydzie! — rzekł nagle Bohun — daleko stąd do Zaborowa?

— Niedaleko — odparł Żyd. — Wasza mość zaraz jedzie?

— Tak jest — rzekł Bohun i skierował się ku drzwiom izby, wiodącym do sieni.

— Za pozwoleniem! — zabrzmiał głos Zagłoby.

Watażka zatrzymał się odrazu, jakby w ziemię wrósł, i zwróciwszy się ku Zagłobie, wpił w niego swe czarne, straszne źrenice.

— Czego waść życzysz? — spytał krótko.

— Ej, bo mnie się zdaje, że my się skądsiś znamy. A czy my się to nie na weselu w futorze, na Rusi widzieli?

— A tak jest! — rzekł hardo watażka, kładąc znów rękę na głowni.

— Jak zdrowie służy? — rzekł Zagłoba. — Bo waćpan tak nagle wtedy z futoru wyjechał, że i pożegnać się nie miałem czasu.

— A waszmość tego żałował?

— Pewnie, że żałowałem, bylibyśmy potańcowali; kompania się zwiększyła. — (Tu pan Zagłoba wskazał Wołodyjowskiego). — Właśnie ten oto kawaler nadjechał, który radby się był z waścią bliżej poznać.

— Dość tego! — krzyknął pan Michał, wstając nagle — zdrajco, aresztuję cię!

— A to jakiem prawem? — spytał ataman, podnosząc dumnie głowę.

— Boś buntownik, wróg Rzeczypospolitej i na przeszpiegi tu przyjechałeś!

— A waść co za jeden?

— O! nie będę się tobie wywodził, ale mi się nie wymkniesz.

— Zobaczymy! — rzekł Bohun. — Nie wywodziłbym się i ja, waszmości, ktom jest, gdybyś mnie jako żołnierz na szablę wyzwał ale skoro aresztem grozisz, to ci się wywiodę: oto jest list, który od hetmana zaporoskiego do królewicza Kazimierza wiozę i nie znalazłszy go w Nieporęcie, do Zborowa za nim jadę. Jakże to mnie będziesz teraz aresztował?

To rzekłszy, Bohun spojrzał dumnie i szyderczo na Wołodyjowskiego, a pan Michał zmieszał się bardzo, jak ogar, który czuje, że mu się zwierzyna wymyka, i nie wiedząc, co ma począć, zwrócił pytający wzrok na Zagłobę. Nastała ciężka chwila milczenia.

— Ha! — rzekł Zagłoba — trudno! Skoro jesteś posłańcem, tedy cię już aresztować nie możemy, ale z szablą się temu kawalerowi nie nadstawiaj, bo jużeś raz przed nim umykał, aż ziemia jęczała.

Twarz Bohuna powlokła się purpurą, bo w tej chwili poznał Wołodyjowskiego. Wstyd i zraniona duma zagrały naraz w nieustraszonym watażce. Wspomnienie tej ucieczki paliło go jak ogień. Była to jedyna niestarta plama na jego sławie mołojeckiej, którą nad życie, nad wszystko kochał.

A nieubłagany Zagłoba ciągnął dalej z zimną krwią:

— Ledwieś i hajdawerków nie zgubił, aż litość ogarnęła tego kawalera i życie ci darował. Tfu! mości mołojcze, białogłowską masz twarz, ale i białogłowskie serce. Byłeś odważny ze starą kniaziową i z dzieciuchem kniaziem, ale z rycerzem dudy w miech! Listy tobie wozić, panny porywać, nie na wojnę chodzić. Jak mnie Bóg miły, na własne oczy widziałem, jak hajdawerki oblatywały. Tfu! tfu! ot i teraz o szabli gadasz, bo list wieziesz. Jakże to mam się z tobą potykać, gdy tem pismem się zasłaniasz? Piasek w oczy, piasek w oczy, mości mołojcze! Chmiel dobry żołnierz, Krzywonos dobry, ale wielu jest między kozactwem drapichróstów.

Bohun posunął się nagle ku panu Zagłobie, a pan Zagłoba zasunął się również szybko za pana Wołodyjowskiego, tak, że dwaj młodzi rycerze stanęli przed sobą oko w oko.

— Nie od strachu ja przed waćpanem uciekał, ale by ludzi ratować — mówił Bohun.

— Nie wiem, dla jakich tam przyczyn umykałeś, ale wiem, żeś umykał — rzekł pan Michał.

— Wszędy dam waści pole, choćby tu zaraz!

— Wyzywasz mnie? — pytał, przymrużając oczy, Wołodyjowski.

— Ty mnie sławę mołojecką wziął, ty mnie pohanbił! mnie twojej krwi potrzeba.

— To i zgoda! — rzekł Wołodyjowski.

— Volent non fit injuria — dodał Zagłoba. — Ale któż królewiczowi list odda?

— Niechże was głowa o to nie boli; to moja sprawa!

— Bijcie się tedy, kiedy nie może być inaczej — mówił Zagłoba.— Gdyby ci się też poszczęściło, mości watażko, z tym oto kawalerem, bacz, że ja drugi staję. A teraz chodź, panie Michale, przed sień mam coś pilnego powiedzieć.

Dwaj przyjaciele wyszli i odwołali Kuszla z pod okna alkierza, poczem Zagłoba rzekł:

— Mości panowie, zła nasza sprawa! On naprawdę ma list do królewicza; zabijemy go, to kryminał! Pomnijcie, że kaptur propter securitatem loci (dla bezpieczeństwa miejsca) w dwóch milach od pola elekcyi sądzi, a to wszakże quasi (jakoby) poseł! Ciężka sprawa Musimy się chyba potem gdzie schować, albo może książę nas osłoni, inaczej może być źle. A znowu puszczać go wolno, jeszcze gorzej. Jedyna to sposobność oswobodzenia naszej niebogi. Gdy go nie będzie na świecie, łatwiej ją odszukamy. Bóg sam widocznie chce jej i Skrzetuskiemu pomódz, ot co jest! Radźmy, mości panowie!

— Waść przecie znajdziesz jaki fortel? — rzekł Kuszel.

— Już to przez mój fortel sprawiłem, że on nas sam wyzwał. Ale trzeba świadków, obcych ludzi. Moja myśl jest, aby na Charłampa zaczekać. Biorę to na siebie, że on pierwszeństwa ustąpi i w potrzebie będzie świadczył, jakośmy byli wyzwani i musieliśmy się bronić. Trzeba się też i od Bohuna wywiedzieć lepiej, gdzie dziewczynę ukrył. Jeśli ma zginąć, nic mu po niej, może powie, gdy go zaklniemy. A nie powie, to i tak lepiej, by nie żył. Trzeba wszystko przezornie i roztropnie czynić. Głowa pęka, mości panowie!

— Któż się będzie z nim bił? — spytał Kuszel.

— Pan Michał pierwszy, ja drugi — rzekł Zagłoba.

— A ja trzeci.

— Niemoże być — przerwał pan Michał — ja się jeden biję i na tem koniec. Położy mnie, to jego szczęście, niechże jedzie zdrów!

— O! jam mu już zapowiedział — rzekł Zagłoba — ale jeśli tak waszmościowie postanowicie, to ustąpię.

— No, jego wola, czy i z waćpanem ma się bić, ale więcej z nikim

— Chodźmy tedy do niego!

— Chodźmy.

Poszli — i zastali Bohuna w głównej izbie popijającego miód. Watażka już był spokojny zupełnie.

— Posłuchajno waćpan — rzekł Zagłoba — bo to są ważne sprawy, o których chcemy z tobą pomówić. Waćpan wyzwałeś tego kawalera — dobrze, ale trzeba ci wiedzieć, że skoro posłujesz, to cię prawo broni, boć do politycznego narodu, nie między dzikie bestye przyjechałeś. Owóż nie możemy ci dać pola inaczej, chyba przy świadkach zapowiesz, żeś sam z własnej ochoty wyzwał. Przyjdzie tu kilku szlachty, z którymi mieliśmy się pojedynkować przed nimi to oświadczysz — my zaś damy ci kawalerski parol jeślić się poszczęści z panem Wołodyjowskim, tedy odjedziesz wolno i nikt ci nie będzie stawiał przeszkód, chyba, że jeszcze ze mną zmierzyć się zechcesz.

— Zgoda! — rzekł Bohun. — Powiem przy owej szlachcie i ludziom moim zapowiem, aby list odwieźli i Chmielnickiemu powiedzieli, jeśli zginę, żem ja sam wyzwał. A poszczęści mnie Bóg z tym kawalerem sławę mołojecką odzyskać, tak i waćpana jeszcze potem na szabelki poproszę.

To rzekłszy, spojrzał Zagłobie w oczy, a Zagłoba zmieszał się nieco, kaszlnął, splunął i odrzekł:

— Zgoda! Gdy się z tym moim uczniem popróbujesz, poznasz jaką ze mną będziesz miał robotę. Ale mniejsza z tem. Jest drugie punctum (punkt) ważniejsze, w którem do sumienia twego się odwołujemy, gdyż luboś Kozak, chcemy cię jako kawalera traktować. Waćpan porwałeś kniaziównę Helenę Kurcewiczównę, narzeczoną naszego towarzysza i przyjaciela, i trzymasz ją w ukryciu. Wiedz, że gdybyśmy cię o to zapozwali, nieby ci nie pomogło, że cię Chmielnicki posłem swoim kreował, bo to jest raptus puellae, gardłowa sprawa, któraby tu wnet sądzona była. Ale gdy do bitwy masz iść i możesz zginąć, wejdź w siebie, co się z tą niebogą stanie, gdy zginiesz? Zali jej zła i zguby chcesz, ty, który ją miłujesz? zali ją pozbawisz opieki, na hańbę i nieszczęście wydasz? zali katem jej i po śmierci jeszcze chcesz zostać?

Tu głos pana Zagłoby zabrzmiał niezwykłą mu powagą, a Bohun pobladł — i pytał:

— Czego wy ode mnie chcecie?

— Wskaż nam miejsce jej uwięzienia, abyśmy na wypadek twojej śmierci mogli ją odnaleźć i narzeczonemu oddać. Bóg będzie miał litość nad twoją duszą, jeśli to uczynisz.

Watażka wsparł głowę na dłoniach i zamyślił się głęboko, a trzej towarzysze pilnie śledzili zmiany w tej ruchliwej twarzy, która nagle oblała się takim smutkiem tkliwym, jakby na niej nigdy gniew, ani wściekłość, ani żadne srogie uczucia nie grały i jakby ten człowiek tylko do kochania i tęsknoty był stworzony. Długi czas trwało milczenie, aż wreszcie przerwał je głos Zagłoby, który drżał, mówiąc następne słowa:

— Jeżeliś zaś ją już pohańbił, niechże cię Bóg potępi, a ona niech choć w klasztorze znajdzie schronienie...

Bohun podniósł oczy wilgotne, roztęsknione, i tak mówił:

— Jeśli ja ją pohańbił? Ot! nie wiem, jak wy miłujecie, panowie szlachta, rycerze i kawalery, ale ja Kozak, ja ją w Barze od śmierci i hańby ochronił, a potem w pustynię wywiózł — i tam jak oka w głowie pilnował, palca na nią nie skrzywił, do nóg padał i czołem bił, jak przed obrazem. Kazała precz iść, tak poszedł — i nie widział jej więcej, bo wojna-matka trzymała.

— Bóg to waści na sądzie policzy! — rzekł, odetchnąwszy głęboko Zagłoba. — Ale zali ona tam bezpieczna? Tam Krzywonos i Tatary.

— Krzywonos pod Kamieńcem leży, a mnie do Chmielnickiego posłał pytać, czy pod Kudak ma iść, i już pewnie poszedł, a tam, gdzie ona jest, niema ani Kozaków, ani Lachów, ani Tatarów — ona tam bezpieczna.

— Gdzie ona tedy?

— Słuchajcie, panowie Lachy! Niech będzie jak chcecie, powiem ja wam, gdzie ona jest i wydać ją każę, ale za to wy mnie dajcie kawalerski wasz parol, że jeśli mnie Bóg poszczęści, tak wy nie będziecie jej szukać. Wy za siebie przyrzeczecie i za pana Skrzetuskiego, a ja wam powiem.

Trzej przyjaciele spojrzeli po sobie.

— My tego nie możem uczynić! — rzekł Zagłoba.

— O, jako żywo nie możem! — wykrzyknęli Kuszel i Wołodyjowski.

— Tak? — rzekł Bohun, i brwi jego ściągnęły się, a oczy zaiskrzyły. — Czemuż to, panowie Lachy, nie możecie tego uczynić?

— Bo pan Skrzetuski jest nieobecny, a oprócz tego wiedz o tem,

że żaden z nas szukać jej nie przestanie, choćbyś i pod ziemię ją ukrył.

— Tak wy by taki targ ze mną uczynili: ty, kozacze, duszę oddaj, a my tobie szablą! O nie doczekacie! A co to wy myśleli, że u mnie szabla kozacka nie ze stali? że już nademną, jak krucy nad ścierwem, kraczecie? A czemu to mnie ginąć, nie wam? Wam trzeba mojej krwi, a mnie waszej! zobaczymy, kto czyjej dostanie.

— Więc nie powiesz?

— A po co mnie mówić? Na pohybelże wam wszystkim!

— Na pohybel tobie! Warteś, by cię na szablach roznieść.

— Spróbujcie! — rzekł watażka, wstając nagle.

Kuszel i Wołodyjowski porwali się również z ławy. Groźne spojrzenia poczęły się krzyżować, wezbrane gniewem piersi oddychały mocniej i niewiadomo, do czego by doszło, gdyby nie Zagłoba, który spojrzawszy w okno, wykrzyknął:

— Charłamp ze świadkami przyjechał!

Jakoś po chwili rotmistrz petyhorski, razem z dwoma towarzyszami, panami Sielickimi, weszli do izby. Po pierwszych powitaniach, Zagłoba wziął ich na stronę i począł rzecz wyłuszczać.

A prawił tak wymownie, że wnet przekonał zwłaszcza, iż zapewnił, że pan Wołodyjowski prosi tylko o krótką zwłokę i wnet po walce z Kozakiem stanąć jest gotów. Tu pan Zagłoba począł opowiadać, jak stara i straszna jest nienawiść wszystkich żołnierzy księcia do Bohuna, jako on jest wrogiem całej Rzeczypospolitej i jednym z najokrutniejszych rebelizantów, wreszcie jak kniaziównę porwał, pannę ze szlacheckiego domu i narzeczoną szlachcica, który jest zwierciadłem wszystkich cnót rycerskich.

— A gdy waszmościowie szlachtą jesteście i do braterstwa się poczuwacie, wspólna tedy to jest nasza krzywda, którą się stanowi całemu w osobie jednego wyrządza; zali ścierpicie, aby nie była pomszczona?

Pan Charłamp czynił z początku trudności i mówił, że skoro tak jest, to należy Bohuna natychmiast rozsiekać, "a pan Wołodyjowski niechaj po staremu ze mną staje."

Musiał mu nanowo tłómaczyć pan Zagłoba, dlaczego to nie może być i że nawet nie po rycersku byłoby w tylu na jednego napadać. Szczęściem, pomogli mu panowie Sieliccy, obaj ludzie rozsądni i stateczni, że dał się nakoniec uparty Litwin przekonać i na zwłokę zezwolił.

Tymczasem Bohun poszedł do swoich ludzi i powrócił z esaułem Eliaszeńką, któremu zapowiedział, jako do bitwy dwóch szlachty wyzwał, poczem powtórzył głośno to samo wobec pana Charłampa i panów Sielickich.

— My zaś oświadczamy — rzekł Wołodyjowski — iż jeśli wyjdziesz zwycięzcą z walki ze mną, tedy od woli twej zależy, czy jeszcze zechcesz się bić z panem Zagłobą, a w żadnym razie nikt więcej cię nie będzie wyzywał, ani też kupą na ciebie nie napadną i odjedziesz dokąd zechcesz, na co parol kawalerski dajem i waszmościów teraz przybyłych prosimy, aby ze swej strony także to przyrzekli.

— Przyrzekamy! — rzekli uroczyście Charłamp i dwaj Sieliccy.

Wówczas Bohun wręczył list Chmielnickiego do królewicza Eliaszeńce i rzekł:

— Ty ceje pyśmo królewiczu widdasz i koły ja pohybnu, tak ty skażesz i jomu i Chmielnickomu, szczo moja wyna buła, i szczo ne zdradoju mene zabyły (niniejszy list królewiczowi oddasz i jeżeli ja zginę, to powiesz jemu i Chmielnickiemu, że moja wina była i że nie zdradą mnie zabili.)

Zagłoba, który pilne miał oko na wszystko, zauważył, że na ponurej twarzy Eliaszeńki nie odbił się najmniejszy niepokój — widać całkiem był pewny swego atamana.

Tymczasem Bohun zwrócił się dumnie do szlachty.

— No, komu śmierć, komu życie! — rzekł. Możemy iść!

— Czas, czas! — odrzekli wszyscy, zasadzając poły cd kontuszów za pasy i biorąc pod pachy szable.

Wyszli przed karczmę i skierowali się ku rzeczce, która płynęła śród zarośli i głogów, dzikich róż, tarek i choiny. Listopad postrącał wprawdzie liść z krzewin, ale gęstwa tak była zbita, że czerniała jakby wstęga kiru, het przez puste pola, aż ku lasom. Dzień był wprawdzie blady, ale pogodny tą melancholiczną pogodą jesieni, pełną słodyczy. Słońce bramowało łagodnie złotem obnażone gałęzie drzew i rozświecało żółte wydmy piaszczyste, ciągnące się nieco opodal prawego brzegu rzeczki. Zapaśnicy i ich świadkowie szli właśnie ku owym wydmom.

— Tam się zatrzymamy! — rzekł Zagłoba.

— Zgoda! — odpowiedzieli wszyscy.

Zagłoba coraz był niespokojniejszy, nakoniec zbliżył się do Wołodyjowskiego i szepnął:

— Panie Michale...

— A co?

— Na miłość Boską, panie Michale, starajże się! W twoich teraz ręku los Skrzetuskiego, wolność kniaziówny, twoje własne życie i moje, bo broń Boże na ciebie przygody, ja sobie z tym zbójem nie dam rady.

— To czemuś go waść wyzywał?

— Słowo się rzekło... Ufałem w ciebie, panie Michale, ale ja już stary, oddech mam krótki, zatyka mnie, a ten gładysz może skakać jak cyga. Cięty to ogar, panie Michale.

— Postaram się! — rzekł mały rycerz.

— Boże ci dopomóż. Nie trać ducha

— Zaś tam!

— Cięta jakaś sztuka ten wasz Kozak — szepnął — tak sobie z nami poczyna, jak równy, jeśli nie jak lepszy. Hu! co za fantazya! musiała się jego matka na jakiego szlachcica zapatrzyć!

— E! — rzekł Zagłoba — prędzej się jaki szlachcic na jego matkę zapatrzył.

— I mnie się tak widzi — rzekł Wołodyjowski.

— Stawajmy! — zawołał nagle Bohun.

— Stawajmy, stawajmy!

Stanęli. Szlachta półkolem. Wołodyjowski i Bohun naprzeciw siebie.

Wołodyjowski, jako to człowiek w takich rzeczach wytrawny, choć młody, naprzód nogą piasek zmacał, czy twardy; poczem rzucił okiem naokoło, chcąc wszystkie nierówności gruntu poznać i widać było, że sprawy nie lekceważył. Przecie przychodziło mu mieć do czynienia z rycerzem na całą Ukrainę najsławniejszym, o którym lud pieśni śpiewał i którego imię — jak Ruś szeroka — aż do Krymu było znane. Pan Michał, prosty porucznik dragonów, wiele sobie po owej walce obiecywał, albo śmierć sławna, albo równie sławne zwycięstwo, więc niczego nie zaniedbał, aby się godnym takiego przeciwnika okazać. Dlatego także niezwykłą miał w twarzy powagę, którą dojrzawszy Zagłoba aż się przeląkł.

— Traci fantazyę! — pomyślał — już po nim, a zatem i po mnie!

Tymczasem Wołodyjowski, zbadawszy dokładnie grunt, począł odpinać kurtę.

— Chłodno jest — rzekł — ale się rozgrzejemy.

Bohun poszedł za jego przykładem i zrzucili obaj zwierzchnie ubrania tak, że pozostali tylko w hajdawerach i w koszulach — następnie poczęli zawijać na prawej ręce rękawy.

Ale jakże marnie wyglądał mały pan Michał przy rosłym i silnym atamanie! prawie go nie było widać. Świadkowie z niepokojem spoglądali na szeroką pierś Kozaka, na olbrzymie muskuły widne z pod zawiniętego rękawa, podobne do sęków i węzłów. Zdawało się, iż to mały kogucik staje do walki z potężnym jastrzębiem stepowym. Nozdrza Bohuna rozwarły się, jakby zawczasu krew wietrząc, twarz skróciła się mu tak, iż czarna grzywa zdawała się do brwi sięgać i szabla drgała mu w ręku — oczy drapieżne utkwił w przeciwnika i czekał komendy.

A pan Wołodyjowski spojrzał jeszcze pod światło na ostrze szabli, ruszył żółtymi wąsikami i stanął w pozycyi.

— Jatki tu proste będą! — mruknął do Sielickiego Charłamp.

Wtem zabrzmiał trochę drżący głos Zagłoby:

— W imię Boże zaczynajcie!

XLIV.

Świsnęły szable i ostrze szczęknęło o ostrze. Wnet zmienił się plac boju, bo Bohun natarł z taką wściekłością, że pan Wołodyjowski uskoczył w tył kilka kroków i świadkowie również musieli się cofnąć. Błyskawicowe gzygzaki szabli Bohuna były tak szybkie, że przerażone oczy obecnych nie mogły za nimi nadążyć — zdawało im się, że pan Michał całkiem jest nimi otoczony, pokryty i że Bóg jeden chyba zdoła go wyrwać z pod tej nawałności piorunów. Ciosy zlały się w jeden nieustający świst, pęd poruszanego powietrza uderzał o twarze. Furya watażki wzrastała: ogarniał go dziki szał bojowy, i parł przed sobą Wołodyjowskiego, jak huragan — a mały rycerz cofał się ciągle i tylko się bronił: wyciągnięta jego prawica nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko sama zataczała bez ustanku małe, ale szybkie jak myśl półkola, i chwytał szalone cięcia Bohunowe, ostrze podstawiał pod ostrze, odbijał i znów się zasłaniał i jeszcze się cofał, oczy utkwił w oczach Kozaka i śród wężowych błyskawic wydawał się spokojny, jeno na policzki wystąpiły mu plamy czerwone.

Pan Zagłoba przymknął oczy — i słyszał tylko cios za ciosem, zgrzyt za zgrzytem.

— Broni się jeszcze! — pomyślał.

— Broni się jeszcze! — szeptali panowie Sieliccy i Charłamp.

— Już przyparty do wydmy — dodał cicho Kuszel.

Zagłoba znów otworzył oko i spojrzał.

Plecy Wołodyjowskiego opierały się prawie o wydmę, ale widocznie nie był dotąd ranny, jeno rumieńce na jego twarzy stały się żywsze, a kilka kropel potu wystąpiło na czoło.

Serce Zagłoby zabiło nadzieją.

— Przecie i z pana Michała gracz nad graczę — pomyślał — a i tamten znuży się nareszcie.

Jakoż twarz Bohuna stała się blada, pot perlił mu także czoło, ale upór podniecał tylko jego wściekłość; białe kły błysnęły mu z pod wąsów, a z piersi wydobywało się chrapanie wściekłości.

Wołodyjowski nie spuszczał go z oka i bronił się ciągle.

— Nagle, poczuwszy za sobą wydmę, zebrał się w sobie — już patrzącym zdało się, że padł, on tymczasem pochylił się, skurczył, przysiadł — rzucił całą swoją osobą, niby kamieniem, w pierś Kozaka.

— Atakuje! — wykrzyknął Zagłoba.

— Atakuje! — powtórzyli inni.

Tak było w istocie: watażka cofał się teraz, a mały rycerz, poznawszy już całą siłę przeciwnika, nacierał tak żwawo, że świadkom dech zamarł w piersi; widocznie poczynał się rozgrzewać — małe oczki sypały iskry, przysiadał się i zrywał, zmieniał w jednem mgnieniu pozycyę, zataczał kręgi naokół watażki i zmuszał go do obracania się na miejscu.

— O mistrz! mistrz! — zawołał Zagłoba.

— Zginiesz! — ozwał się nagle Bohun.

— Zginiesz! — odparł jak echo Wołodyjowski.

Wtem Kozak sztuką, najbieglejszym tylko szermierzom znaną, przerzucił nagle szablę z prawej ręki do lewej i dał cios od lewicy tak okropny, że pan Michał jakby piorunem rażony, padł na ziemię.

— Jezus Marya! — krzyknął Zagłoba.

Ale pan Michał padł umyślnie, i właśnie dlatego szabla Bohunowa przecięła tylko powietrze, mały rycerz zaś zerwał się, jak

dziki kot, i całą niemal długością ostrza ciął straszliwie w odkrytą pierś Kozaka.

Bohun zachwiał się, postąpił krok, ostatniem wysileniem dał ostatnie pchnięcie; pan Wołodyjowski odbił je z łatwością, uderzył jeszcze po dwakroć w pochylony łeb — szabla wysunęła się z bezwładnych rąk Bohuna i padł twarzą na piasek, który wnet zaczerwienił się pod nim szeroką kałużą krwi.

Eliaszeńko, obecny przy bitwie, rzucił się na ciało atamana.

Świadkowie przez jakiś czas nie mogli słowa przemówić, a pan Michał milczał także; wsparł się obu rękoma na szabelce i oddychał ciężko.

Zagłoba pierwszy przerwał milczenie:

— Panie Michale, pójdź w moje objęcia! — rzekł z rozczuleniem.

Otoczyli go tedy kołem.

— Toś waść gracz pierwszej wody! Niech waści kule biją! — mówili panowie Sieliccy.

— Waść widzę z cicha pęk! — rzekł Charłamp. — Stanę ja waszmości, żeby nie mówiono, iżem się uląkł, ale choćbyś i mnie miał waszmość tak pochlastać, zawszeć winszuję, winszuję!

— Et, dalibyście sobie waszmościowie pokój, bo w rzeczy nie macie się o co bić! — mówił Zagłoba.

— Nie może być, bo tu chodzi o moją reputacyę! — odparł petyhorzec — za którą chętnie dam gardło.

— Nic mi po waścinem gardle, zaniechajmy się lepiej! — rzecze Wołodyjowski — gdyż prawdę waćpanu powiedziawszy, tom mu tam w drogę, gdzie myślisz, nie wchodził. Wejdzie tam waćpanu kto inny, lepszy odemnie, ale nie ja.

— Jakto?

— Parol kawalerski!

— To już sobie dajcie pokój! — wołali Sieliccy i Kuszel.

— Niechże i tak będzie! — rzekł Charłamp, otwierając ramiona.

Pan Wołodyjowski padł w nie i poczęli się całować, aż echo rozlegało się po wydmach — pan Charłamp zaś mówił:

— Niechże waści nie znam, żeby zaś tak pochlastać podobnego wielkoluda! A i szablą umiał on też obracać.

— Anim się spodziewał, żeby taki był, i skąd on się mógł tego wyuczyć?

Tu uwaga powszechna zwróciła się znów na leżącego watażkę.

którego Eliaszeńko obrócił przez ten czas twarzą do góry i z płaczem szukał w nim znaków życia. Twarzy Bohuna nie można było rozeznać, bo kryły ją sople krwi, która wypłynęła z ran w głowę zadanych i wnet ścięła się na chłodnem powietrzu. Koszula na piersiach również była cała we krwi, ale dawał jeszcze znaki życia. Widocznie był w konwulsyi przedśmiertnej, nogi jego drgały, a palce skrzywione na kształt szponów, darły piasek. Zagłoba spojrzał i machnął ręką.

— Ma dosyć! — rzekł — żegna się ze światem.

— Aj! — rzekł jeden z Sielickich, spoglądając na ciało — to już trup!

— Ba, prawie na dzwona pocięty!

— Nie lada to był rycerz — mruknął, kiwając głową, Wołodyjowski.

— Wiem coś o tem — dodał Zagłoba.

Tymczasem Eliaszeńko chciał dźwigać i unieść nieszczęsnego atamana, ale że był człowiek dość wątły i niemłody, a Bohun prawie do olbrzymów należał — więc nie mógł. Do karczmy było kilka staj, a Bohun lada chwila mógł skonać; esauł, widząc to, zwrócił się do szlachty.

— Pany! — wołał, składając ręce. — Na Spasa i Światuju Preczystuju pomożite! Ne dajte, szczob win tutku szczez, jak sobaka. Ja staryj ne zdużaju, a lude dałeko (Panowie! Na Zbawiciela i Świętą Przeczystą pomóżcie. Nie dowólcie, żeby on tu przepadł, jak pies. Ja stary nie poradzę, a ludzie daleko)...

Szlachta spojrzała po sobie. Zawziętość przeciw Bohunowi znikła już we wszystkich sercach.

— Pewnie, że trudno go tu jak psa zostawić — mruknął pierwszy Zagłoba. — Skorośmy z nim na pojedynek stanęli, to już dla on nas nie chłop, ale żołnierz, któremu taka pomoc się należy. Kto ze mną go poniesie, mości panowie?

— Ja! — rzekł Wołodyjowski.

— To go ponieście na mojej burce — dodał Charłamp.

Po chwili Bohun leżał już na opończy, której końce pochwycili, cały orszak, w towarzystwie Charłampa i panów Sielickich, udał się wolnym krokiem ku karczmie.

— Twarde ma życie — rzekł Zagłoba — jeszcze się rusza. Mój Boże, żeby mnie kto powiedział, że na jego niańkę wyjdę i że go będę tak niósł, myślałbym że kpi ze mnie. Zbyt mam czułe serce.

sam wiem o tem, ale trudno! Jeszcze mu i rany opatrzę. Mam nadzieję, że na tym świecie już się nie spotkamy więcej, niechże mile mnie wspomina na tamtym.

— To myślisz waszmość, że on żadną miarą nie wyżyje? — pytał Charłamp.

— On? nie dałbym za jego żywot starego wiechcia. Tak już było napisano i nie mogło go ominąć, bo choćby mu się było z panem Wołodyjowskim powiodło, toby moich rąk nie uszedł. Ale wolę, że się tak stało bo już i tak krzyki na mnie, jako na mężobójcę bez litości. A co ja mam robić, jak mi kto w drogę wlezie? Panu Duńczewskiemu pięćset złotych basarunku musiałem zapłacić, a wiadomo waszmościom, że dobra ruskie nijakiej teraz intraty nie przynoszą.

— Prawda, że to waszmościów do szczętu tam splądrowano! — rzekł Charłamp.

— Uf! Ciężki ten mołojec — mówił dalej Zagłoba — ażem się zasapał!... Splądrowano, bo splądrowano, ale mam nadzieję, że nam sejm jakowąś prowizyę obmyśli, inaczej na śmierć pochudniemy... Ciężki też on, ciężki! Patrzcie waszmościowie, znowu zaczyna krwawić; skoczno waćpan, panie Charłamp do karczmy, żeby Żyd chleba z pajęczyną zagniótł. Nie pomoże to wiele temu nieboszczykowi, ale opatrunek chrześciańska rzecz i lżej mu będzie umierać. Żywo, panie Charłamp!

Pan Charłamp wysunął się naprzód i gdy nakoniec wniesiono watażkę do izby, Zagłoba wnet zabrał się z wielką znajomością rzeczy i wprawą do opatrunku. Krew zatamował, rany pozalepiał, poczem zwrócił się do Eliaszeńki:

— A ty, dziadu, tu niepotrzebny! — rzekł. — Jedź coprędzej do Zaborowa, proś, żeby cię przed oblicze pańskie puszczono i list oddaj, a opowiedz, coś widział, tak wszystko jak było. Jeśli zełżesz, będę wiedział, bom królewicza jegomości zaufany, i szyję ci uciąć każę. Chmielnickiemu też kłaniaj się odemnie, bo mnie zna i miłuje. Pogrzeb sprawimy twemu atamanowi uczciwy, a ty rób swoje, po kątach się nie włócz, bo cię gdzie zatłuką, nim się zdołasz wywieść, ktoś taki. Bywaj zdrów! ruszaj, ruszaj!

— Pozwólcie, panie, zostać choć dopóty, dopóki nie ostygnie.

— Ruszaj, mówię ci! — rzekł groźnie Zagłoba — a nie, to cię każę chłopom do Zaborowa odstawić. A kłaniaj się Chmielnickiemu!

Eliaszeńko pokłonił się w pas i wyszedł, Zagłoba zaś rzekł jeszcze do Charłampa i Sielickich:

— Wyprawiłem tego Kozaka, bo co tu ma jeszcze do roboty, a niechże go naprawdę gdzie zatłuką, co łatwo się może zdarzyć, to na nas by winę zwalono. Pierwsi Zasławczycy i pokurcze kanclerscy wrzeszczeliby na całe gardła, że ludzie księcia wojewody wymordowali, wbrew prawom Boskim, całe poselstwo kozackie. Ale mądra głowa na wszystko poradzi. — Nie damy my się tym gładyszom, tym łuszczybochenkom, tym podwikarzom w kaszy zjeść, a i waćpaństwo też świadczcie w potrzebie, jak się wszystko odbywało, iż on to sam nas wyzwał. Muszę też jeszcze wójtowi tutejszemu przykazać, aby go tam jakoś pochował. Nie wiedzą tu oni, kto to taki, będą myśleli, że to szlachcic i pochowają uczciwie. Nam też czas w drogę, panie Michale, bo trzeba jeszcze księciu wojewodzie zdać relacyę.

Chrapliwy oddech Bohuna przerwał dalsze słowa pana Zagłoby.

— Oho, już dusza szuka sobie drogi! — rzekł szlachcic. — Już też i ciemno się robi, poomacku pójdzie na tamten świat. Ale skoro tej naszej nieszczęsnej bogini nie pohańbił, to dajże mu Boże wieczny odpoczynek, amen! Jedźmy panie Michale! Z serca odpuszczam mu wszystkie winy, choć co prawda, więcej ja jemu w drogę lazłem, niż on mnie. Ale teraz koniec. Bywajcie waszmościowie zdrowi, miło mi było poznać tak zacnych kawalerów. Pamiętajcie jeno świadczyć w potrzebie!

XLV.

Książę Jeremi przyjął wieść o porąbaniu Bohuna dość obojętnie, zwłaszcza gdy się dowiedział, iż są ludzie, nie z pod jego chorągwi, gotowi w każdej chwili złożyć świadectwo, iż Wołodyjowski był wyzwany. Gdyby rzecz nie działa się na kilka dni przed ogłoszeniem wyboru Jana Kazimierza, gdyby walka kandydatów trwała jeszcze, niezawodnie nie omieszkaliby przeciwnicy Jeremiego, a na ich czele kanclerz i książę Dominik, ukuć przeciw niemu broni z tego zajścia, mimo wszelkich świadków i świadectw. Ale po ustąpieniu Karola, umysły zajęte były czem innem, i łatwo było zgadnąć, że cała sprawa utonie w niepamięci.

Mógł ją podnieść chyba Chmielnicki dla okazania, jakich to coraz nowych krzywd doznaje, książę jednak słusznie spodziewał się, iż królewicz, przesyłając odpowiedź, wspomni, lub każe od siebie powiedzieć, jakim sposobem zginął wysłaniec, a Chmielnicki nie będzie śmiał wątpić o prawdzie słów królewskich.

Chodziło bowiem księciu o to tylko, by nie narobiono politycznej wrzawy z powodu jego żołnierzy. Z drugiej strony, ze względu na Skrzetuskiego, rad był nawet książę z tego, co się stało, bo odzyskanie Kurcewiczówny było istotnie teraz daleko prawdopodobniejsze. Można ją było odnaleźć, odbić lub wykupić — a kosztów, choćby jak największych, pewno nie byłby oszczędzał książę, byle ulubionego rycerza z boleści wybawić i szczęście mu powrócić.

Pan Wołodyjowski szedł był z wielkim strachem do księcia, gdyż chociaż wogóle mało płochliwy, bał się jednak jak ognia każdego zmarszczenia brwi wojewody. Jakież tedy było jego zdumienie i radość, gdy książę wysłuchawszy relacyi i pomyślawszy przez chwilę nad tem, co się stało, zdjął kosztowny pierścień z palca i rzekł:

— Chwalę moderacyę waszmościów, iżeście pierwsi go nie napadali, bo wielkie i szkodliwe mogłyby stąd powstać na sejmie hałasy. Ale jeśli kniaziówna się znajdzie, to Skrzetuski będzie wam winien dozgonną wdzięczność. Dochodziły mnie słuchy, mości Wołodyjowski, że jak inni języka w gębie, tak waść szabelki w pochwie dotrzymać nie umiesz, za co należałaby ci się kara. Skoro jednak w sprawie przyjaciela stanąłeś i reputacyę naszych chorągwi z tak zawołanym junakiem utrzymałeś, to już weź ten pierścień, abyś miał jakową tego dnia pamiątkę. Wiedziałem, żeś dobry żołnierz i gracz na szable, aleś ty podobno mistrz nad mistrze.

— On? — rzecze Zagłoba. — Onby dyabłu w trzeciem złożeniu rogi obciął. Jeśli wasza książęca mość każe mi kiedy szyję uciąć, proszę aby nikt inny, jeno on ją odrąbał, bo przynajmniej odrazu na tamten świat pójdę. On Bohuna na wpół przez pierś przeciął, potem jeszcze go dwa razy przez rozum przejechał.

Książę kochał się w sprawach rycerskich i w dobrych żołnierzach, więc uśmiechnął się z zadowoleniem i spytał.

— Znalazłeśże waść kogo równej siły na szable?

— Jeno mnie raz Skrzetuski trochę wyszczerbił, ale też i ja jego, wtedy, gdy to wasza książęca mość pod bramę obudwóch wsadził,

a z innych może by pan Podbipięta i wytrzymał, bo ma siłę nadludzką — i bez mała Kuszel, gdyby miał lepsze oczy.

— Niech mu wasza książęca mość nie wierzy — rzekł Zagłoba — jemuby nikt nie wytrzymał.

— A Bohun długo się bronił?

— Ciężką miałem robotę — rzekł pan Michał. — Umiał on i do lewicy przerzucać.

— Bohun sam mnie powiadał — przerwał Zagłoba — iż się z Kurcewiczami po całych dniach dla wprawy bijał i sam widziałem w Czehryniu, że z innymi to czynił.

— Wiesz co, mości Wołodyjowski — rzekł z udaną powagą książe — jedź pod Zamość, wyzwij Chmielnickiego na rękę i za jednym zamachem uwolnij Rzeczpospolitą od wszystkich klęsk i kłopotów.

— Za rozkazem waszej książęcej mości pojadę, byle Chmielnicki chciał mi stanąć — odpowiedział Wołodyjowski.

Na to książę:

— My żartujemy, a świat ginie! Ale pod Zamość musicie waszmościowie naprawdę jechać. Mam wiadomość z kozackiego obozu, iż gdy tylko wybór królewicza Kazimierza będzie promulgowany, Chmielnicki od oblężenia ustąpi i cofnie się aż na Ruś, co uczyni z prawdziwego, lub symulowanego (udanego) afektu do króla jegomości, lub też dlatego, że pod Zamościem snadnieby się jego potęga mogła złamać. Wtedy musicie jechać, opowiedzieć Skrzetuskiemu, co się stało, bu ruszył kniaziówny szukać. Powiedzcie mu, żeby sobie z moich chorągwi przy staroście wałeckim wybrał tylu pocztowych, ilu będzie do ekspedycyi potrzebował. Zresztą prześlę mu przez was permisyę i dam list, bo mi jego szczęście wiele na sercu leży.

— Wasza książęca mość ojcem nas wszystkich jesteś — rzekł Wołodyjowski — dlatego po wiek życia w wiernych służbach trwać chcemy.

— Nie wiem, czyli nie głodna wkrótce u mnie będzie służba — rzekł książę — jeśli mi cała fortuna zadnieprzańska przepadnie, ale póki starczy, póty co moje, to wasze!

— O! — wykrzyknął pan Michał. — Nasze to chudopacholskie fortuny do waszej książęcej mości zawsze będą należały.

— I moja z innemi! — rzekł Zagłoba.

— Jeszcze tego nie potrzeba — odparł łaskawie książę. —

Mam też nadzieję, iż jeśli wszystko utracę, to Rzeczpospolita chociaż o dzieciach moich będzie pamiętała.

Książę, mówiąc to, widocznie miał chwilę jasnowidzenia. Rzeczpospolita w kilkanaście lat później oddała jego jedynemu synowi, co miała najlepszego — to jest koronę, ale tymczasem olbrzymia fortuna Jeremiego istotnie była zachwiana.

— Tośmy się wywinęli — mówił Zagłoba, gdy obaj z Wołodyjowskim wyszli od księcia. — Panie Michale, możesz być pewien promocyi. Pokaźno ten pierścień. Dalibóg, wart on ze sto czerwonych złotych, bo kamień bardzo piękny. Spytaj się jutro jakiego Ormianina na bazarze. Możnaby za takową kwotę i w jadle, i w napoju, i w innych delicyach opływać. Cóż myślisz, panie Michale? Żołnierska to maksyma: dziś żyję, jutro gniję, a sens z niej taki, że na jutro nie warto się oglądać. Krótkie życie ludzkie, krótkie, panie Michale. Najważniejsze to, że już cię będzie odtąd książę w sercu nosił. Dałby on był dziesięć razy tyle, żeby Skrzetuskiemu z Bohuna prezent zrobić, a tyś to uczynił. Możesz się spodziewać wielkich łask, wierzaj mi. Mało to książę wsi rycerstwu dożywotnio puścił, albo i zgoła podarował? Co tam taki pierścień! Pewnie i ciebie jakowa intrata spotka, a w ostatku jeszcze cię książę z jaką krewniaczką swoją ożeni.

Pan Michał aż podskoczył.

— Skąd waść wiesz, że...

— Że co?

— Chciałem powiedzieć: co też waści w głowie? Jakżeby taka rzecz stać się mogła?

— Alboż to się nie trafia? albożeś nie szlachcic? alboż to nie wszystka szlachta sobie równa? Mało to każdy magnatus (wielki pan — magnat) ma dalekich krewnych i krewniaczek między szlachtą, które to krewniaczki później za swych zacniejszych dworzan wydaje? Przecie podobno i Suffczyński z Sieńczy ma też jakąś daleką krewną Wiśniowieckich. Wszyscyśmy bracia, panie Michale, wszyscyśmy bracia, choć jedni drugim służym, gdyż wspólnie od Jafeta pochodzimy, a cała różnica w fortunie i urzędach, do których każdy dojść może. Podobno gdzieindziej są dyferencye między szlachtą, ale parszywa też to szlachta! Rozumiem dyferencyę między psami, jako są legawce, charty misterne, lub ogary głosem goniące, ale uważ, panie Michale, że ze szlachtą nie może być tak, bo-

bymy psubratami nie szlachtą byli, której hańby dla tak wdzięcznego stanu Panie Boże nie dopuść!

— Słusznie waszmość mówisz — rzecze Wołodyjowski — ale przecie Wiśniowieccy królewski to prawie ród.

— A ty, panie Michale, zali nie możesz być królem obran? Ja pierwszy, gdybym się uparł, tobie bym właśnie dał kreskę, jako pan Zygmunt Skarszewski, który przysięga, że za sobą samym będzie głosował, jeśli się w kości nie zgra. Wszystko, chwalić Boga, u nas in liberis suffragii (wolnymi głosami) — i chudopacholstwo to nasze, nie urodzenie w drodze nam staje.

— Otóż to właśnie! — westchnął pan Michał.

— Cóż robić! Zrabowano nas ze szczętem i zginiemy, jeśli nam Rzeczpospolita jakowych procentów nie obmyśli, zginiemy marnie! Cóż dziwnego, że człowiek, choć z natury i wstrzemięźliwy, lubi się napić w takich opresyach? Pójdźmy chyba, panie Michale, napić się po szklance cienkusza, może się choć trochę pocieszymy.

Tak rozmawiając, doszli do Starego Miasta i wstąpili do winiarni, przed którą kilkunastu pachołków trzymało szuby i burki pijącej szlachty. Tam zasiadłszy za stołem, kazali sobie podać gąsiorek i poczęli się naradzać, co im teraz po pobiciu Bohuna począć wypada.

— Jeśli się sprawdzi, że Chmielnicki od Zamościa ustąpi i pokój nastanie, tedy kniaziówna już nasza — mówi Zagłoba.

— Trzebaby nam jak najprędzej do Skrzetuskiego. Już go też nie opuścimy, póki się dziewczyna nie odnajdzie.

— Pewnie, że razem pójdziemy. Ale teraz nie ma sposobu dostać się do Zamościa.

— To już wszystko jedno, byle nam Bóg później poszczęścił.

Zagłoba wychylił szklanicę.

— Poszczęści, poszczęści! — rzekł. — Wiesz, panie Michale, co ci powiem?

— Co takiego?

— Bohun zabity!

Wołodyjowski spojrzał ze zdziwieniem.

— Ba, któż wie lepiej odemnie?

— Żeby ci się ręce święciły, panie Michale! Ty wiesz i ja wiem: patrzałem jakeście się bili, patrzę na waćpana teraz, i przecie, muszę ciągle sobie powtarzać, bo mi się czasem zdaje, że to tylko sen takowy miałem. Co za troska ubyła, co za węzeł twoja szabla

przecięła! Niechże cię kule biją! bo dalibóg, że i wypowiedzieć to się nie da. Nie, nie mogę wytrzymać! niech cię jeszcze raz uściskam, panie Michale! Zali uwierzysz, że gdym cię poznał, pomyślałem sobibie: at, chłystek — a tu piękny chłystek, co Bohuna tak pochlastał. Niema już Bohuna, ani śladu, ani popiołu, zabity na śmierć, na wieki wieków amen!

Tu Zagłoba począł ściskać i całować Wołodyjowskiego, a pan Michał rozczulił się, jakby właśnie Bohuna żałował — w końcu jednak uwolnił się z objęć pana Zagłoby i rzekł:

— Nie byliśmy przy jego śmierci, a twarda to sztuka; nuż wyżyje?

— Na Boga, co waćpan mówisz! — rzekł Zagłoba.— Gotówem jutro jechać do Lipkowa i najpiękniejszy pogrzeb mu sprawić, byle tylko umarł.

— I po co waść pojedziesz? Przecie go rannego nie dobijesz. A z szablą to tak bywa: kto nie puści ducha odrazu, ten najczęściej się wyliże. Szabla to nie kula.

— Nie, nie może być! Już przecie rzęzić zaczynał, gdyśmy wyjeżdżali. O, wcale nie może być! Samem mu rany opatrywał. Piersi miał roztwarte, jako wierzeje. Dajmy mu już spokój, bo wypatroszyłeś go jak zająca. Nam trzeba do Skrzetuskiego jak najprędzej, jemu pomódz, jego pocieszyć, bo zamrze od zgryzoty ze szczętem.

— Albo mnichem zostanie; sam mnie to mówił.

— Co dziwnego! I jabym na jego miejscu to uczynił. Nie znam zacniejszego kawalera, ale też i nieszczęśliwszego nie znam. Oj, ciężko go Bóg doświadcza, ciężko!

— Przestań już waszmość — mówił trochę pijany Wołodyjowski — bo nie mogę łez utrzymać.

— A ja to mogę? — odparł Zagłoba. — Taki zacny kawaler, taki żołnierz... a i ona! waćpan jej nie znasz... robaczek to taki kochany!

Tu zawył pan Zagłoba nizkim basem, bo istotnie bardzo kochał kniaziównę, a pan Michał wtórował mu trochę cieniej — i pili wino zmieszane ze łzami, a potem, spuściwszy głowy na piersi, siedzieli czas jakiś posępnie, aż wreszcie Zagłoba uderzył pięścią w stół.

— Panie Michale, czemu my płaczemy? Bohun zabit!

— A prawda! — rzekł Wołodyjowski.

— Cieszyć się nam raczej wypada. Kpami będziemy, jeśli jej teraz nie odszukamy!

— Jedźmy! — rzekł, wstając, pan Michał.

— Napijmy się! — poprawił Zagłoba. — Bóg da, że jeszcze ich dzieci będziem do chrztu trzymali, a wszystko dlatego, żeśmy Bohuna usiekli.

— Dobrze mu tak! — dokończył Wołodyjowski, nie postrzegając się, że pan Zagloba dzieli się z nim zasługą zgładzenia Bohuna.

XLVI.

Nakoniec zabrzmiało Te Deum laudamus w warszawskiej katedrze, i "Pan zasiadł na majestacie," huczały działa, biły dzwony — i otucha poczęła wstępować we wszystkie serca. Przecie minął już czas bezkrólewia, czas zawichrzeń i niepokojów, tem straszniejszy dla Rzeczypospolitej, iż przypadł w chwilach powszechnej klęski. Ci, którzy drżeli na myśl grożących niebezpieczeństw, teraz, gdy elekcya odbyła się nad podziw zgodnie, odetchnęli głęboko. Wielu zdawało się, iż bezprzykładna wojna domowa minęła już raz na zawsze i że nowo obranemu panu pozostaje tylko sąd nad winnymi. Jakoż nadzieję tę podtrzymywało i zachowanie się samego Chmielnickiego. Kozacy pod Zamościem, szturmując zaciekle do zamku, głośno jednak oświadczali się za Janem Kazimierzem. Chmielnicki słał przez księdza Huncla Mokrskiego listy pełne poddańczej wierności, a przez innych posłańców pokorne prośby o łaskę dla siebie i wojska zaporoskiego. Wiedziano też, że król zgodnie z polityką kanclerza Ossolińskiego, pragnie znaczne Kozakom poczynić ustępstwa. Jak niegdyś przed piławiecką klęską wojna, tak teraz pokój był na wszystkich ustach. Spodziewano się, że po tylu klęskach Rzeczpospolita odetchnie i pod nowem panowaniem ze wszystkich ran się wygoi.

Nareszcie wyjechał Śniarowski z listem królewskim do Chmielnickiego, i wkrótce rozeszła się wieść radosna, że Kozacy ustępują z pod Zamościa, ustępują aż na Ukrainę, gdzie spokojnie czekać będą rozkazów królewskich i komisyi, która rozpatrzeniem ich krzywd ma się zająć. Zdawało się, że po burzy tęcza siedmiobarwna zawisła nad krajem, zwiastująca ciszę i pogodę.

Nie brakło wprawdzie niepomyślnych wróżb i przepowiedni, ale wobec pomyślnej rzeczywistości nie przywiązywano do nich wagi. Król pojechał do Częstochowy, by naprzód Opiekunce Boskiej za

wybór podziękować i pod opiekę dalszą się oddać, a następnie do Krakowa na koronacyę. Za nim pociągnęli dygnitarze, Warszawa opustoszała, zostali w niej tylko exiles (wygnańcy) z Rusi, którzy do swych zrujnowanych fortun wracać jeszcze nie śmieli, lub nie mieli po co.

Książę Jeremi, jako senator Rzeczypospolitej, musiał udać się z królem, Wołodyjowski zaś i Zagłoba, na czele jednej chorągwi dragońskiej, pociągnęli śpiesznymi pochodami do Zamościa, by Skrzetuskiemu szczęśliwą nowinę o przygodzie Bohunowej zwiastować, a następnie razem na poszukiwanie kniaziówny wyruszyć.

Pan Zagłoba opuszczał Warszawę nie bez pewnego żalu, bo w tym niezmiernym zjeździe szlachty, w gwarze elekcyjnym, w ciągłych hulankach i burdach, na współkę z Wołodyjowskim czynionych, było mu tak dobrze, jak rybie w morzu. Ale pocieszał się myślą, że wraca do życia czynnego, do poszukiwań, przygód i fortelów, których obiecywał sobie nie skąpić, a zresztą miał on swoją opinię o niebezpieczeństwach stołecznych, którą w następujący sposób Wołodyjowskiemu wyłuszczał:

— Prawda jest, panie Michale — mówil — że dokonaliśmy wielkich rzeczy w Warszawie, ale broń Boże dłuższego pobytu, tak, mówię ci, zniewieścielibyśmy, jak ów sławny Kartagińczyk, którego słodkość aury (stan pogody) w Kapui ze szczętem zdebelitowała. A najgorsze ze wszystkiego białogłowy.. One każdego do zguby doprowadzą, bo to sobie zauważ, że nie masz nic zdradliwszego nad niewiastę. Człowiek się starzeje, ale go jeszcze ciągną...

— Et, dałbyś waćpan pokój! — przerwał Wołodyjowski.

— Sam ja to sobie często powtarzam, bo czasby było się ustatkować, jeno krew mam jeszcze zbyt gorącą. W tobie jest więcej flegmy, a we mnie sama cholera. Ale mniejsza z tem. Zaczniemy teraz inne życie. Już też, bywało, przykrzyło mi się nieraz bez wojny. Chorągiewkę mamy dobrze okrytą, a tam pod Zamościem dokazują jeszcze kupy swawolne, to się z nimi, idąc po kniaziównę, zabawimy. Obaczymy też i Skrzetuskiego i tego wielkoluda, tego żórawia litewskiego, tę tykę chmielową, pana Longina, bośmy go też siła czasu nie widzieli.

— Waćpan tęsknisz po nim, a jak go widzisz, to spokoju mu nie dajesz.

— Bo co się odezwie, to tak, jakby twój koń ogonem ruszył, a

ciągnie każde słowo jak szewc skórę. Wszystko u niego w siłę przeszło, nie w głowę. Jak kogo weźmie w ramiona, to mu żebra przez skórę powyciska, niemasz zaś takowego dziecka w Rzeczypospolitej, któreby go najsnadniej na hak przywieść nie mogło. Słychanaż to rzecz, żeby człek takiej fortuny taki był hebes (głupiec).

— Zaś on naprawdę ma taką fortunę?

— On? jakem go poznał, trzos miał taki wypchany, że się opasać nim nie mógł, i tak go nosił, jak wędzoną kiełbasę. Można było nim jak kijem machać, ani się zgiął. Sam mnie mówił, ile ma wsi: Myszykiszki, Psikiszki, Pigwiszki, Syruciany, Ciaducinany, Kapuściany (raczej kapuścianą, ale głowę), Bałtupie, ktoby tam pamiętał te wszystkie pogańskie nazwy! Z pół powiatu do niego należy. Wielki to u boćwinków ród Podbipiętowie.

— A nie koloryzujesz waść trocha o owych majętnościach?

— Ja nie koloryzuję, bo powtarzam to, com od niego słyszał, a on przecie póki życia nie zełgał, bo zresztą i na to za głupi.

— No, to będzie Anusia panią całą gębą. Ale co o nim waćpan mówisz, że głupi, na to się żadną miarą zgodzić nie mogę. Stateczny to mąż i tak roztropny, że w potrzebie nikt lepszej rady nie udzieli, a że nie frant, to trudno. Nie każdemu dał Pan Bóg tak obrotny język, jak waści. Co to gadać! wielki to rycerz i najzacniejszy człowiek, a dowód: że waćpan sam go miłujesz i rad go ujrzysz.

— Skaranie z nim Boże — mruknął Zagłoba. — Dlategom tylko rad, że mu będę panną Anną przypiekał.

— Tego ja waćpanu czynić nie radzę, bo to jest rzecz niebezpieczna. Jego choćby do rany przyłożyć, ale w takowym terminie pewnieby stracił cierpliwość.

— Niechby stracił. Uszybym mu obciął, jak panu Duńczewskiemu.

— Dajno waćpan pokój! Nieprzyjacielowi nie życzyłbym próbować.

— No, no, niech go jeno obaczę.

Życzenie to pana Zagłoby spełniło się prędzej, niż myślał. Dojechawszy do Końskowoli, postanowił Wołodyjowski zatrzymać się na odpoczynek, bo konie były już mocno zdrożone. Któż więc opisze zdziwienie obudwóch przyjaciół, gdy wszedłszy do ciemnej sieni zajazdu, w pierwszym spotkanym szlachcicu poznali pana Podbipiętę.

— Jakże się waszmość masz! siła czasy! siła czasu! — wołał Zagłoba. — A że cię to Kozacy nie usiekli w Zamościu!

Pan Podbipięta brał z kolei obudwóch w ramiona i obcałowywał po policzkach.

— O to, żeśmy się spotkali, co? — powtarzał z radością.

— Dokąd jedziesz? — pytał Wołodyjowski.

— Do Warszawy, do księcia pana.

— Księcia niema w Warszawie. Pojechał do Krakowa z królem jegomością, przed którym ma nieść jabłko na koronacyi.

— A mnie pan Weyner do Warszawy wyprawił z listem i z zapytaniem, gdzie książęce regimenta mają iść, bo już, chwalić Boga, w Zamościu niepotrzebne.

— To i nie potrzebujesz nigdzie jechać, bo my wieziemy ordynanse.

Pan Longimus zasępił się, bo z duszy życzył sobie dotrzeć do księcia, zobaczyć dwór i szczególnie jedną małą osóbkę na tym dworze.

Zagłoba począł mrugać znacząco na Wołodyjowskiego.

— A taki do Krakowa pojadę! — rzekł po chwili namysłu Litwin. — Kazali mnie list oddać, to oddam.

— Chodźmy do izby; każemy sobie piwa zagrzać — rzekł Zagłoba.

— A wy dokąd jedziecie? — pytał po drodze Longinus

— Do Zamościa, do Skrzetuskiego.

— Porucznika niema w Zamościu.

— Masz babo placek! Gdzież on jest?

— Koło Choroszczyna gdzieś, groni kupy swawolne. Chmielnicki cofnął się, ale jego pułkownicy po drodze palą, rabują i ścinają. Na tych starosta wałecki odkomenderował pana Jakóba Rogowskiego, żeby ich znosił...

— I Skrzetuski jest z nim także?

— Także. Ale oni osobno chodzą, bo wielkie są między nimi emulacye, o których waszmościom później opowiem.

Tymczasem weszli do izby. Zagłoba kazał zagrzać trzy garnce piwa, poczem zbliżywszy się do stołu, za którym Wołodyjowski z panem Longinem już zasiedli, rzekł:

— Bo waćpan, panie Podbipięta, nie wiesz największej i szczęśliwej nowiny, żeśmy z panem Michałem Bohuna na śmierć usiekli.

Litwin aż z ławy się podniósł.

— Bracia wy rodzeni, możeż to być?

— Jak nas tu żywych widzisz!

— I wy jego we dwóch usiekli?

— Tak jest!

— Co nowina! a Boże, Boże — mówił Litwin, klasnąwszy w dłonie. — Mówisz waćpan: we dwóch! jak to we dwóch?

— Bom go naprzód przez fortele do tego doprowadził, że nas wyzwał, rozumiesz wasze? poczem pan Michał pierwszy stanął i tak go pokrajał, jak wielkanocne prosię, rozebrał go, jak pieczonego kapłona — rozumiesz wasze?

— To waść drugi nie stawał?

— No, patrzcie się! — rzekł Zagłoba — widzę, że waść musiałeś sobie krew puszczać i ze słabości na umyśle szwankujesz. Rozumiałżeś, że będę z trupem stawał, albo że leżącego już będę docinał?

— Bo mówiłeś waść, żeście go we dwóch usiekli.

Pan Zagłoba ramionami ruszył.

— Świętej cierpliwości z tym człowiekiem! Panie Michale, zali nie obudwóch nas Bohun wyzwał?

— Tak jest! — rzecze Wołodyjowski.

— Pojąłeś waść teraz?

— Niech i tak będzie! — odparł Longinus! — To pan Skrzetuski szukał Bohuna pod Zamościem, a jego tam już nie było.

— Jak to go Skrzetuski szukał?

— Muszę już ja jak widzę wszystko ab ovo waćpanom opowiedzieć, właśnie tak, jak się odbyło — rzekł pan Longinus. — Zostaliśmy tedy, jak wiecie, w Zamościu, a wy ruszyliście do Warszawy. Na Kozaków nie czekaliśmy zbyt długo. Przyszły ich chmary nieprzejrzane z pode Lwowa, że okiem wszystkich z murów nie objąłeś. Ale nasz książe tak Zamość opatrzył, że byliby pod nim dwa lata stali. Myśleliśmy, że nie będą wcale szturmowali i wielki był między nami smutek, bo każdy sobie rozkosze z ich klęski obiecywał, a że byli z nimi i Tatarzy, więc ja także miałem nadzieję, że mi Pan Bóg miłosierny da moje trzy głowy...

— Proś Go waćpan o jedną, proś o jedną, a dobrą — przerwał Zagłoba.

— A waćpan zawsze taki sam, słuchać hadko — rzekł Litwin. — Myśleliśmy tedy, że nie będą szturmowali, oni tymczasem, jako to szaleni w swej zatwardziałości, zaraz wzięli się do budowania machin, a potem nuż szturmować! Pokazało się później, że Chmielnicki

sam nie chciał, ale Czarnota, ich oboźny, wziął na niego napadać i mówić, że to go tchórz obleciał, że już z Lachami myśli się bratać — więc Chmielnicki pozwolił i pierwszego Czarnotę posłał. Co się działo, braciaszki, tego ja wam nie wypowiem. Świata z za dymu i za ognia nie było widać. Poszli z początku odważnie, zasypali fosę, darli się na mury; aleśmy im tak przygrzeli, że potem i od murów, i od własnych machin pouciekali; dopiero wypadliśmy za nimi w cztery chorągwie i narznęliśmy, jak bydła.

Wołodyjowski zatarł ręce.

— Uch! żałuję, żem nie był na tym festynie! — wykrzyknął z uniesieniem.

— I ja byłbym się tam przydał — rzekł ze spokojną pewnością Zagłoba.

— A już wtedy najwięcej dokazywali pan Skrzetuski i pan Jakób Rogowski — mówił dalej Litwin — obaj wielcy kawalerowie, ale zgoła sobie nieprzyjaźni. Zwłaszcza pan Rogowski krzywił się na Skrzetuskiego i byłby niezawodnie szukał okazyi, gdyby nie to, że pan Weyher pod gardłem zabronił pojedynków. Nie rozumieliśmy z początku, o co panu Rogowskiemu chodzi, że i wyszło na wierzch, że to krewny pana Łaszcza, którego książę z powodu pana Skrzetuskiego, jako pamiętacie, z obozu wypędził. Stąd złość w Rogowskim do księcia, do nas wszystkich, a zwłaszcza do porucznika, stąd i emulacya między nimi, która obu w tem oblężeniu wielką sławą okryła, bo się jeden nad drugiego wysadzał. Obaj byli pierwsi, i na murach, i w wycieczkach, aż wreszcie sprzykrzyło się Chmielnickiemu szturmować i regularnie rozpoczął oblężenie, nie zaniedbując przytem i fortelów, któreby go do zdobycia miasta mogły doprowadzić.

— Tyle samo on albo i więcej ufa w chytrość! — rzekł Zagłoba.

— Szalony człowiek, a przytem i obscurus (ciemny) — mówi dalej Podbipięta; — sadził, że pan Weyher jest Niemiec, widać nie słyszał o wojewodach pomorskich tego nazwiska, bo napisał list, chcąc starostę do zdrady namówić, jako cudzoziemca i jurgieltnika. Dopieroż mu pan Weyher odpisał, co zacz jest i jako się źle z pokusą do niego wybrał. Ten list, żeby to pokazać lepiej swój walor, chciał koniecznie starosta przez kogoś znaczniejszego nie przez trębacza wysłać, a że to się jak na zgubę miedzy takie dzikie bestye idzie, nie było chętnych między towarzystwem. Inni

się też na godność oglądali, więc ja się podjąłem — i tu słuchajcie, bo co najciekawsze, tu się dopiero zaczyna.

— Słuchajmy pilnie! — rzekli dwaj przyjaciele.

— Pojechałem tedy i zastałem hetmana pijanego. Przyjął mnie jadowicie, zwłaszcza gdy list przeczytał, i buławą groził — a ja, polecając pokornie duszę Bogu, tak sobie myślałem: już też, jeśli mnie tknie, tak mu pięścią głowę rozbiję. Co było robić, braciaszki kochane, co?

— Zacnie to było ze strony waćpana tak myśleć — rzekł z pewnem rozrzewnieniem Zagłoba.

— Ale go pułkownicy mitygowali i drogę mu do mnie zagradzali — mówił pan Longinus, — a najbardziej jeden młody, tak śmiały, że go w pół brał i odciągał, mówiąc: "Nie pójdziesz, bat'ku, upiłeś się." Patrzę ja, kto mnie tak broni i dziwię się jego śmiałości, że taki z Chmielnickim konfident: aż to Bohun!

— Bohun!? — wykrzyknęli Wołodyjowski i Zagłoba.

— Tak jest. Poznałem go, bom go w Rozłogach widział i on mnie takoż. Słyszę, mówi do Chmielnickiego: "To mój znajomy." A Chmielnicki, jako to prędka u pijaków rezolucya, odpowiada: "Kiedy on twój znajomy, synku, tak dać jemu pięćdziesiąt talarów, a ja dam respons." I dał mi respons, a co do talarów, odrzekłem, by bestyi nie drażnić, żeby je dla hajduków schował, bo nie moda towarzyszowi musztuluków brać. Odprawili mnie z namiotu dość uczciwie, ale ledwiem wyszedł, przychodzi do mnie Bohun: "My się w Rozłogach widzieli" — mówi. — Tak jest (rzekę), jenom się wtedy nie spodziewał, braciaszku że cię w tym obozie ujrzę." — A on na to: "Nie własna wola, ale nieszczęście zagnało!" W rozmowie powiedziałem mu, jakeśmy to jego za Jarmolińcami pobili. — "Jam nie wiedział, z kim mam do czynienia (rzekł mi na to) i w rękę byłem zacięty, a ludzi miałem do niczego, bo myśleli, że to sam kniaź Jarema ich bije." — "I myśmy nie wiedzieli (powiadam), bo gdyby pan Skrzetuski wiedział, że to ty, tedyby jeden z was już nie żył."

— Pewnieby tak było; ale cóż on na to? — pytał Wołodyjowski.

— Zalterował się mocno i odwrócił rozmowę. Opowiadał mi, jako Krzywonos wysłał go z listami do Chmielnickiego pod Lwów, żeby wczasu trochę zażył, a Chmielnicki nie chciał go napowrót odesłać, bo go zamyślał do innych posyłek użyć, jako mającego prezen-

cyę. Nakoniec pyta: "Gdzie pan Skrzetuski?" — a gdym mu powiedział, że w Zamościu, rzekł: "To się może spotkamy!" — i z tem go pożegnałem.

— Już zgaduję, że go zaraz potem Chmielnicki wysłał do Warszawy — mówił Zagłoba.

— Tak jest, ale czekajże waćpan. Wróciłem tedy do fortecy i zdałem sprawę panu Wyherowi z poselstwa. Była już późna noc. Nazajutrz w dzień znowu szturm, jeszcze zajadlejszy niż pierwszy. Nie miałem czasu widzieć, się z panem Skrzetuskim; dopiero trzeciego dnia mówię mu, żem Bohuna widział i z nim mówił. A było przy tem siła oficerów i z nimi pan Rogowski. Ten zasłyszawszy, rzecze z przekąsem: "Wiem ja, że tam o pannę chodzi; jeśli waszmość taki rycerz wyzwij go na rękę, a już bądź pewien, że ci ten zabijaka nie odmówi. Będziem mieli z murów piękny prospectus (widok). Ale o was Wiśniowiecczykach więcej (powiada) mówią, niż jest." Na to pan Skrzetuski jak spojrzy na pana Rogowskiego — jakby go kto z nóg ściął! — "Tak waćpan radzisz? (spyta) a dobrze! Nie wiem jeno, czyby waszmość, który naszej cnocie przymawiasz, miał odwagę pójść między czerń, wyzwać ode mnie Bohuna." A Rogowski: "Odwagę mam, alem waszmości ani swat, ani brat — nie pójdę." Dopiero inni w śmiech z pana Rogowskiego: "O! (prawią) małyś teraz, a jak o cudzą skórę chodziło, toś był wielki!" Więc Rogowski, jako to ambitna sztuka, wziął na kieł i podjął się. Nazajutrz skoro dzień poszedł z wyzwaniem — ale już Bohuna nie znalazł. Nie wierzyliśmy zrazu relacyi, ale teraz dopiero, po tem, coście mi waszmościowie powiedzieli, widzę, że prawda. Bohuna musiał Chmielnicki istotnie wysłać i tameście go waszmościowie usiekli.

— Tak to i było! — rzecze Wołodyjowski.

— Powiedzże nam wasze — pytał Zagłoba — gdzie my teraz Skrzetuskiego znajdziemy, bo znaleźć go musimy, aby zaraz z nim po dziewczynę wyruszyć.

— Łatwo się o niego za Zamościem dopytacie, bo tam o nim głośno. Kalinę, pułkownika kozackiego, obaj z Rogowskim, do rąk sobie podając, ze szczętem znieśli. Później Skrzetuski na własną rękę dwa razy czambuły tatarskie pogromił i Burłaja zniósł, i kup kilka rozbił.

— A że Chmielnicki na to pozwala?

— Chmielnicki ich się wypiera i mówi, że wbrew jego rozkazom

łupią. Inaczej nikt by w jego wierność o posłuszeństwo dla króla jegomości nie uwierzył.

— Bardzo też liche piwsko w tej Końskowoli! — zauważył Zagłoba.

— Za Lublinem już pójdziecie waszmościowie krajem spustoszonym — mówił dalej Litwin, — bo podjazdy aż za Lublin dochodziły i Tatarowie jasyr wszędy brali, a co koło Zamościa i Hrubieszowa zagarnęli, Bóg jeden zliczy. Kilka tysięcy odbitych jeńców odesłał już Skrzetuski do fortecy. Pracuje on tam ze wszystkich sił, na własne zdrowie nie dbając.

Tu westchnął pan Longinus i spuścił głowę w zamyśleniu, a po chwili tak mówił dalej:

— Ot, myślę, że Bóg w miłosierdziu najwyższem niechybnie pocieszy pana Skrzetuskiego i da mu to, w czem sobie szczęście upatrzył, bo wielkie są zasługi tego kawalera. W tych czasach zepsucia i prywaty, gdy każdy o sobie tylko myśli, on o sobie zapomniał. Taż on, brateńki, dawno mógł permisyę od księcia pana otrzymać i jechać na szukanie kniaziówny, a zamiast tego, gdy na miłą ojczyznę paroksyzm przyszedł, ani na chwilę służby nie porzucił, z męką w sercu w ustawicznej pracy trwając.

— Rzymską ma on duszę, niema co mówić! — rzekł Zagłoba.

— Przykład z niego brać powinniśmy.

— Szczególnie waćpan, panie Podbipięto, który na wojnie nie pożytku ojczyzny, ale trzech głów szukasz.

— Bóg patrzy w duszę moją! — rzekł pan Longinus, wznosząc oczy ku niebu.

— Skrzetuskiemu już Pan Bóg wynagrodził śmiercią Bohunową — rzekł Zagłoba — i tem, że dał chwilę spokoju Rzeczypospolitej, bo teraz czas dla niego nadszedł, by o odszukaniu zguby pomyślał.

— Waćpanowie z nim pojedziecie? — pytał Litwin.

— A waszmość to nie?

— Radbym ja z duszy serca, ale co z listami będzie? Jeden wiozę od starosty wałeckiego do króla jegomości, drugi do księcia, a trzeci właśnie od pana Skrzetuskiego, takoż do księcia z prośbą o permisyę.

— Permisyę my mu wieziemy.

— Ba, ale jakże mnie listów nie odwieźć?

— Musisz waćpan jechać do Krakowa, nie może być inaczej.

Zresztą powiem szczerze: radbym w onej wyprawie po kniaziównę mieć takie pięście, jako są waścine, za plecami, ale w czem innem, toś się waść na nic nie zdał. Tam trzeba będzie symulować, a najpewniej przebrać się w świty kozackie, chłopów udawać, a waść tak w oczy leziesz swoim wzrostem, że każdyby się zaraz pytał: co to za drągal!? skąd się takowy Kozak wziął? Prócz tego waćpan i mowy ich wybornie nie umiesz. Nie, nie! jedź waść do Krakowa, a my sami damy sobie jakoś radę.

— Tak i ja myśję — rzekł Wołodyjowski.

— Pewno, że i tak musi być — odpowiedział pan Podbipięta. — Niechże wam Bóg miłosierny błogosławi i pomoże. — A czy wiecie, gdzie ona ukryta?

— Bohun nie chciał powiedzieć. Wiemy jeno to, com ja podsłuchał, gdy mnie to Bohun w chlewie więził, ale to dosyć.

— Jakże wy ją znajdziecie?

— Moja głowa, moja głowa! — rzekł Zagłoba. — Bywałem ja w trudniejszych terminach. Teraz rzecz tylko w tem, byśmy do Skrzetuskiego najprędzej się dostali.

— Pytajcie się w Zamościu. Pan Weyher musi wiedzieć, bo on z nim koresponduje, i jeńców mu pan Skrzetuski odsyła. Niech was Bóg błogosławi!

— I waćpana również! — rzekł Zagłoba. — Jak będziesz w Krakowie u księcia, pokłoń się od nas panu Charłampowi.

— Któż to taki?

— To jeden Litwin, nadzwyczajnej gładkości, za którym wszystkie panny z fraucymeru księżny głowy potraciły.

Pan Longinus zadrżał.

— Dobrodzieju mój, chyba kpiny?

— Bądź waćpan zdrów! Okrutnie tu liche piwsko w tej Końskowoli! — zakończył pan Zagłoba, mrugając na Wołodyjowskiego.

XLVII.

Odjechał więc pan Longinus do Krakowa z sercem przeszytem strzałą, a okrutny pan Zagłoba razem z Wołodyjowskim do Zamościa, gdzie nie zabawili dłużej, niż jeden dzień, gdyż komendant, starosta wałecki, oznajmił im, że dawno już nie miał wiądomości

od Skrzetuskiego i sądził, że regimenty, które pod Skrzetuskim ruszyły, pójdą na prezydyum do Zbaraża, aby tamte kraje od kup swawolnych zasłaniać. Było to tem prawdopodobniejsze, że Zbaraż, jako własność Wiśniowieckich, szczególnie był na zapędy śmiertelnych wrogów księcia wystawiony. Otwierała się więc przed panem Wołodyjowskim i Zagłobą długa i dosyć trudna droga, ale że i tak, idąc po kniaziównę, musieliby ją przebyć, było im zatem wszystko jedno, czy to prędzej, czy później nastąpi, i ruszyli bez zwłoki, tyle się tylko zatrzymując, ile trzeba było dla odpoczynku lub gromienia kup rozbójniczych, które się jeszcze tu i owdzie w wałęsały.

Szli krajem tak zniszczonym, od częstokroć po całych dniach żywej duszy nie mogli napotkać. Miasteczka leżały w perzynie, wsie były popalone i puste, lud wybity lub w jasyr zagarnięty. Trupy tylko spotykali po drodze, szkielety donów, kościołów, cerkwi, niedogarki chat wiejskich i psy na zgliszczach wyjące. Kto powódź tatarsko-kozacką przeżył, chronił się w głębinach leśnych i marzł z zimna, lub głodem przymierał, nie śmiejąc się jeszcze z lasów wychylić, nie wierząc, by nieszczęście mogło już minąć. Konie z pod swej chorągwi musiał Wołodyjowski karmić korą z drzew, lub nawpół spalonem zbożem, które ze zgliszcz dawnych śpichrzów wydobywano. Ale szli szybko, ratując sie głównie tymi zapasami, które oddziałom zabierali. Był to już koniec listopada, a o ile zeszłoroczna zima przeszła, z największym podziwem ludzkim, bez śniegów, mrozu i lodu, tak, że cały porządek natury zdawał się być przez nią odmieniony, o tyle teraźniejsza zapowiadała się ostrzej niż zwykle. Ziemia skrzepła, śniegi leżały już na polach, a brzegi rzek bramowały się rankami przezroczystą skorupą szklaną. Pogoda była sucha, blade promienie słoneczne słabo tylko ogrzewały świat w godzinach południowych; natomiast rankami i wieczorami paliły się na niebie czerwone zorze — niechybna przepowiednia rychłej i silnej zimy.

Po wojnie i głodzie miał nadejść trzeci wróg nędzy ludzkiej— mróz, a jednak ludzie wyglądali go z upragnieniem, był on bowiem pewniejszym od wszystkich układów hamulcem wojny. Pan Wołodyjowski, jako człowiek doświadczony i nawskroś Ukrainę znający, pełen był nadziei, że wyprawa po kniaziównę przyjdzie już niechybnie od skutku, bo główna przeszkoda — wojna nie położy jej tak prędko tamy.

— Nie wierzę ja w szczerość Chmielnickiego — mówił — żeby on z afektu dla króla jegomości na Ukrainę się cofał; ale to chytry lis! Wie on, że gdy Kozacy okopać się nie mogą, to nic po nich, w otwartem polu choćby i pięćkroć liczniejsi, naszym chorągwiom nie dostoją. Pójdą oni teraz do zimowników, a stada poślą w śniegi. Tatarzy też potrzebują jasyr odprowadzić. Jeśli zima będzie tęga, to będziem mieli spokój aż do przyszłej trawy.

— Może i dłużej, bo wszelako mają oni respekt dla króla jegomości. Ale nam i tyle czasu nie potrzeba. Da Bóg, na zapusty wyprawimy panu Skrzetuskiemu wesele.

— Byleśmy się tylko teraz z nim nie minęli, bo nowa byłaby mitręga.

— Trzy chorągwie są przy nim, to przecie nie w korcu ziarnka szukać. Może go jeszcze pod Zbarażem dognamy, jeśli się gdzie dłużej koło hajdamaków zabawi.

— Dognać go nie możemy, ale powinniśmy mieć wieści po drodze — odrzekł Wołodyjowski.

O wieści jednak było trudno. Chłopi widzieli tu i owdzie przechodzące chorągwie, słyszeli o bitwach staczanych przez nie z rabusiami, ale nie umieli powiedzieć czyje to było te chorągwie, że zaś mogły one być zarówno Rogowskiego jak Skrzetuskiego, więc dwaj przyjaciele nie mieli żadnej pewności. Natomiast doleciała ich uszu inna wieść: o wielkich niepowodzeniach kozackich przeciw wojskom litewskim. Krążyła już ona w formie pogłoski w wigilię wyjazdu, teraz zaś rozbiegła się po całym kraju, ze wszelkimi szczegółami, jako niezbita prawda. Za klęski zadane przez Chmielnickiego wojskom koronnym, zapłaciły klęską litewskie. Dał głową półksiężyc, wódz stary i doświadczony i dziki Nebaba i potężniejszy od nich obudwóch Krzeczowski, który nie starostw i województw, nie dostojeństw i godności, ale pala się w buntowniczych szeregach dorobił. Zdało się, że jakaś dziwna Nemezis zapragnęła pomścić na nim niemiecką krew, przelaną w łasze dnieprowej, krew Flika i Wernera, gdyż wpadł właśnie w ręce niemieckiego regimentu Radziwiłłowskiego i lubo, postrzelony i ciężko ranny, był natychmiast na pal wbity, na którym nieszczęsny drgał jeszcze cały dzień, nim posępną duszę wyzionął. Taki był koniec tego, który przez swe męstwo i geniusz wojenny drugim Stefanem Chmieleckim mógł zostać, ale którego wygórowana żądza bogactw i dostojeństw pchnę-

ła na drogę zdrad, krzywoprzysięstwa i straszliwych, godnych samego Krzywonosa, mordów.

Z nim, z Półksiężycem i z Nebabą blisko dwadzieścia tysięcy mołojców głowy na pobojowisku, lub wytopiło się w błotach Prypeci; strach więc przeleciał jak wicher nad bujną Ukrainą, bo zdało się wszystkim, że po wielkich tryumfach, po Żółtych Wodach, Korsuniu, Piławcach, przychodzi czas na takie pogromy, jakich pod Sołonicą i Kumejkami doznały poprzednie bunty. Sam Chmielnicki, choć na szczycie sławy, choć potężniejszy niż kiedykolwiek, zląkł się, gdy się o śmierci "druha" Krzeczowskiego dowiedział i znów czarownic zaczął o przyszłość pytać. Wróżyły różnie — wróżyły nowe wielkie wojny i zwycięstwa, i klęski — nie umiały jednak powiedzieć hetmanowi, co się z nim samym stanie.

Ale tymczasem, właśnie z powodu klęski Krzeczowskiego, również jak z powodu zimy, tem pewniejszy był długi spokój. Kraj począł się koić, spustoszałe wioski zaludniać i otucha wstępowała zwolna we wszystkie zwątpiałe i przerażone serca.

Z tą samą otuchą nasi dwaj przyjaciele, po długiej i trudnej podróży, dojechali szczęśliwie do Zbaraża i oznajmiwszy się w zamku, natychmiast udali się do komendanta, w którym z niemałem zdziwieniem poznali Wierszuła.

— A gdzie Skrzetuski? — pytał po pierwszych powitaniach Zagłoba.

— Niemasz go — odpowiedział Wierszuł.

— To waść masz komendę nad prezydyum?

— Tak jest. Miał Skrzetuski, ale wyjechał i mnie zdał załogę aż do swego powrotu.

— A kiedy obiecał wrócić?

— Nic nie mówił, bo sam nie wiedział, jeno mi tak rzekł na odjezdnem: "Jeśliby kto do mnie przyjechał, tedy mu powiedz, żeby tu mnie czekał."

Zagłoba z Wołodyjowskim spojrzeli na siebie.

— Jak dawno pojechał? — pytał pan Michał.

— Dziesięć dni temu.

— Panie Michale — rzekł Zagłoba — niechże pan Wierszuł da nam wieczerzę, bo źle się radzi na głodno. Przy wieczerzy pogadamy.

— Z serca służę waszmościom, bom i sam też miał do stołu siadać.

Zresztą pan Wołodyjowski, jako starszy oficer bierze komendę, więc ja to jestem u niego, nie on u mnie.

— Zostań przy komendzie, panie Krzysztofie — rzekł Wołodyjowski — boś starszy wiekiem, przytem mnie pewno jechać wypadnie.

Po chwili wieczerza była podana. Siedli, jedli, a gdy pan Zagłoba zaspokoił już nieco pierwszy głód dwiema miskami juszki, rzekł do Wierszuła:

— Nie suponujeszże (przypuszczaszże) waćpan, dokąd mógł jechać pan Skrzetuski?

Wierszuł kazał iść precz pachołkom, posługującym do stołu, i po chwili namysłu tak mówić począł:

— Suponuję, ale siła Skrzetuskiemu na tajemnicy zależy, więc nie chciałem przy służbie gadać. Korzystał on z pomyślnego czasu, bo pewnie tu do wiosny będziem w spokoju stali, i wedle moich supozycyj, pojechał na poszukiwanie kniaziówny, która w Bohunowych jest ręku.

— Bohuna niema już na świecie! — rzekł Zagłoba.

— Jak to?

Pan Zagłoba opowiedział po raz trzeci czy czwarty wszystko, jak było, bo opowiadał to zawsze z przyjemnością. Wierszuł również, jak pan Longinus, ni mógł się wydziwić zdarzeniu, na koniec rzekł:

— To Skrzetuskiemu będzie łatwiej.

— W tem rzecz, czy ją odnajdzie? A ludzi z sobą wziął jakowych?

— Nikogo, sam pojechał z jednym Rusinkiem, pacholikiem i z trzema końmi.

— To już roztropnie postąpił, bo tam tylko fortelami trzeba radzić. Do Kamieńca możnaby może z chorągiewką dojść, ale już w Uszycy i w Mohylowie pewno stoją Kozacy, bo tam zimowanie dobre, a w Jampolu ich gniazdo, trzeba tam iść albo z całą dywizyą, albo samemu.

— A skądże waćpan wiesz, że on w tamtą właśnie stronę się udał? — spytał Wierszuł.

— Bo ona ukryta tam za Jampolem i o tem on wiedział, ale tam jarów, zapadlin, komyszy tyle, że choć i wiedząc dobrze miejsce, trudno trafić, cóż dopiero nie wiedząc! Jeździłem ja za końmi i na sądy do Jahorlika, to wiem. Gdybyśmy byli razem, możeby łatwiej poszło, ale jemu samemu — wątpię, chybaby mu przypadek jakowy drogę wskazał, bo i pytać się nie będzie mógł.

— To waszmościowie chcieliście z nim jechać?

— Tak jest. Ale cóż teraz poczniemy, panie Michale? Jechać za nim, czy nie jechać?

— Na waszmościn przemysł to zdaję.

— Hum! dziesięć dni jak pojechał, nie dognamy, i co większa, kazał czekać na siebie. Bóg też wie, jaką drogą pojechał? Mógł na Płoszkirów i Bar, jako stary trakt idzie, a mógł na Kamieniec Podolski. Ciężka tu jest sprawa.

— Pamiętaj przytem waszmość — rzekł Wierszuł — że są tylko supozycye, ale pewności niemasz, że po kniaziównę pojechał.

— Otóż to, otóż to! — rzekł Zagłoba. — Nuż ruszył tylko dlatego, by języka gdzie zasięgnąć i potem wróci do Zbaraża, bo to przecie wiedział, że mamy iść razem i mógł się nas teraz spodziewać, jako w najlepszy czas. Ciężka to jest deliberacya.

— Jabym radził czekać z dziesięć dni — rzekł Wierszuł.

— Dziesięć dni na nic; albo czekać, albo wcale nie czekać.

— Ja zaś myślę, żeby nie czekać, bo i co stracimy, jeśli zaraz jutro ruszym? Nie odnajdzie kniaziówny pan Skrzetuski, to może właśnie nam Bóg poszczęści — rzekł Wołodyjowski.

— Widzisz, panie Michale, nie można tu nic lekceważyć; waszeć jesteś młody i chce ci się przygód — odpowiedział Zagłoba — a tu jest to niebezpieczeństwo, że gdy jej osobno on, a osobno my szukać będziem, łatwo rozbudzi się jakaś podejrzliwość w tamecznych ludziach. Kozactwo chytre i boi się, żeby kto nie odkrył ich zamysłów. Oni tam z baszą granicznym koło Chocimia mogą mieć konszachty, lub z Tatarami za Dnieprem wedle przyszłej wojny kto wie! Tedy na obcych ludzi, a zwłaszcza dopytujących o drogi, baczne będą mieli oko. Ja ich znam. Zdradzić się łatwo, a potem co?

— To tembardziej, bo może Skrzetuski w takowe popaść terminy, w których trzeba mu będzie pomódz.

— I to także prawda.

— Zagłoba zamyślił się mocno, że aż mu skronie drgały.

Nakoniec rozbudził się i rzekł:

— Zważywszy wszystko, trzeba będzie jechać.

Wołodyjowski odetchnął z zadowoleniem.

— A kiedy?

— Wypocząwszy tu ze trzy dni, by dusza i ciało raźne były.

Jakoż nazajutrz dwaj przyjaciele poczęli już czynić przygotowania do drogi, gdy niespodzianie, w wigilię ich wyjazdu, przybył pacholik pana Skrzetuskiego, młody Kozaczek Cyga, z wieściami i listami dla Wierszuła. Usłyszawszy o tem, Zagłoba i Wołodyjowski wnet pośpieszyli do kwatery komendanta i tam czytali, co następuje:

"Jestem w Kamieńcu, do którego droga na Satanów bezpieczna. Jadę do Jahorlika z Ormianami, kupcami, których mnie pan Bukowski wskazał. Mają oni glejty tatarskie i kozackie na wolny przejazd aż do Akermanu. Pojedziemy na Uszycę, Mohylów i Jampol, z bławatami,wszędy po drodze się zatrzymując, gdzie jeno ludzie żywi mieszkają; może też Bóg pomoże, że żnajdziem, czego szukamy. Towarzyszom moim, Wołodyjowskiemu i panu Zagłobie, powiedz, panie Krzysztofie, by w Zbarażu na mnie czekali, jeśli im czego innego czynić nie wypada, bo w tę drogę, w którą jadę, większą kupą jechać nie można, a to dla wielkiej podejrzliwości Kozaków, którzy w Jampolu, zimują i nad Dniestrem, aż do Jahorlika, konie w śniegach trzymają. Czego ja sam nie sprawię, tegobyśmy i we trzech nie dokazali, a ja prędzej za Ormianina ujść mogę. Podziękuj im, panie Krzysztofie, z duszy serca za ich rezolucyę, którą, pókim żyw, będę pamiętał, ale czekać na nich nie mogłem, gdyż każdy dzień w męce mi schodził — i tego nie mogłem wiedzieć, czyli przyjadą, a najlepsza pora teraz jechać, gdy wszyscy kupcy po bakalie i bławaty ruszają. Pacholika wiernego odsyłam, którego miej w opiece, bo nic mi po nim, boję się zaś jego młodości, żeby się gdzie z czem nie wygadał. Pan Bukowski zaręcza za owych kupców że poczciwi, co i ja myślę, wierząc, że wszystko w ręku Boga Najwyższego, który, jeśli zechce, miłosierdzie nam swoje okaże i mąk skróci, amen."

Pan Zagłoba skończył list i spoglądał na swoich towarzyszów, oni zaś milczeli — aż w końcu Wierszuł rzekł:

— Wiedziałem, że on tam pojechał.

— A co nam czynić wypada? — pytał Wołodyjowski.

— A cóż! — rzekł Zagłoba, roztwierając ręce. — Nie mamy pojechać. To, że on z kupcami jedzie, to dobrze, bo wszędy może zaglądać i nikogo to nie zadziwi. W każdej chacie teraz, w każdym futorze jest co kupować, gdyż oni przecie pół Rzeczypospolitej zrabowali. Ciężkoby nam było, panie Michale, za Jampol się dostać. Skrzetuski czarny, jak Wołoch, i snadnie za Ormianina ujść może, a ciebie zarazby po twoich owsianych wąsikach poznali.

W przebraniu chłopskiem również byłoby trudno. Niechże mu Bóg błogosławi! Nic tam po nas — to muszę przyznać, chociaż mi żal, że do uwolnienia tej niebogi nie przyłożymy ręki. Wielkąśmy jednak Skrzetuskiemu oddali przysługę, usiekłszy Bohuna, bo gdyby on był żyw, tedy nie ręczyłbym za zdrowie pana Jana.

Wołodyjowski bardzo był niekontent; obiecywał sobie podróż pełną przygód, a tymczasem zapowiadał mu się długi i nudny pobyt w Zbarażu.

— Możebyśmy choć do Kamieńca ruszyli? — rzekł.

— A co my tam będziem robili i z czego żyli? — odpowiedział Zagłoba. — Wszystko jedno, do których murów jak grzyby przyrośniemy; trzeba czekać i czekać, bo taka podróż Skrzetuskiemu może zająć dużo czasu. Człowiek póty młody, póki się rusza — (tu pan Zagłoba opuścił melancholijnie głowę na piersi) — a starzeje się w bezczynności, ale trudno... niechże się tam bez nas odejdzie. Jutro damy na solenną wotywę, by mu Bóg szczęścił. Bohunaśmy usiekli, to grunt! Każ waść konie rozjuczyć, panie Michale, trzeba czekać.

Jakoż nazajutrz zaczęły się dla dwóch przyjaciół długie, jednostajne dni oczekiwania, których ani pijatyka, ani gra w kości nie mogły urozmaicić — i ciągnęły się bez końca. Tymczasem nadeszła sroga zima. Śnieg całunem na łokieć grubym okrył blanki zbaraskie i całą ziemię; zwierz i ptastwo dzikie zbliżyły si do mieszkań ludzkich. Po całych dniach słychać było krakania niezmiernych stad wron i kruków. Upłynął cały grudzień, potem styczeń i luty — o Skrzetuskim nie było ani słychu.

Pan Wołodyjowski jeździł do Tarnopola szukać przygód; Zagłoba spochmurniał i utrzymywał, że się starzeje.

XLVIII.

Komisarze, wysłani przez Rzplitą do traktatów z Chmielnickim, dotarli wreszcie wśród największych trudności do Nowosiołek i tam zatrzymali się, czekając odpowiedzi od zwycięskiego hetmana, który tymczasem bawił w Czehryniu. Siedzieli smutni i strapieni, bo przez drogę ciągle groziła im śmierć, a trudności mnożyły się na każdym kroku. Dzień i noc otaczał ich tłum czerni zdziczałej do reszty przez mordy i wojny — i wyły o śmierć komisarzów. Raz wraz

napotykali od nikogo niezależne wataliy, złożone ze zbójców lub dzikich czabanów, nie mających najmniejszego pojęcia o prawach narodów, a głodnych krwi i zdobyczy. Mieli wprawdzie komisarze sto koni asystencyi, którymi pan Bryszowski dowodził, prócz tego sam Chmielnicki, w przewidywaniu co ich spotkać może, przesłał im pułkownika Dońca, razem z czterystu mołojcami; ale eskorta ta łatwo mogła okazać się niewystarczającą, bo tłumy dziczy rosły z każdą godziną i coraz groźniejszą przybierały postawę. Kto tylko z konwoju, albo ze służby, oddalił się choćby na chwilę od gromady, ginął bez śladu. Byli oni jako garść podróżnych, otoczona przez stado wilków. I tak upływały im całe dni, tygodnie, aż na noclegu w Nowosiółkach zdawało się już wszystkim, że nadchodzi ostatnia godzina. Konwój dragoński i eskorta Dońca toczyły od wieczora formalną walk o życie komisarzów, którzy, odmawiając nodlitwy za konających, polecali dusze Bogu. Karmelita Łętowski dawał im kolejno rozgrzeszenie, a tymczasem z za okien razem z powiewem wiatru dochodziły straszliwe wrzaski, odgłosy strzałów, piekielne śmiechy, szczęk kos, wołania: "Na pohybel!!!" i o głowę wojewody Kisiela, który głównym był przedmiotem zawziętości.

Była to straszna noc, a długa, bo zimowa. Wojewoda Kisiel wsparł głowę na ręku i siedział od kilku godzin nieruchomie. Nie śmierci on się lękał, bo od czasu wyruszenia z Huszczy tak już był wyczerpany, zmęczony, bezsenny, że raczejby z radością, do śmierci wyciągnął ręce — ale duszę jego nurtowała bezdenna rozpacz. On to przecie, jako Rusin z krwi i kości, pierwszy wziął na siebie rolę pacyfikatora w tej bezprzykładnej wojnie — on występował wszędy, w senacie i na sejmie, jako najgorętszy stronnik układów, on popierał politykę kanclerza i prymasa, on potępiał najsilniej Jeremiego, i działał w dobrej wierze, dla dobra kozactwa i Rzeczypospolitej — i właśnie teraz, w tej chwili, gdy wiózł buławę Chmielnickiemu, a ustępstwa kozaczyźnie, zwątpił o wszystkiem — ujrzał oczywiście marność swoich wysileń, ujrzał pod nogami próżnię i przepaść.

— Zali oni nie chcą niczego więcej, jeno krwi? zali nie o inną wolność, jeno o wolność rabunku i pożogi im idzie? — myślał z rozpaczą wojewoda i tłumił jęki, które rozrywały mu pierś szlachetną.

— Hołowu Kisielowu! hołowu Kisielowu! na pohybel! — odpowiadały tłumy.

I byłby chętnie poniósł im w darze wojewoda tę białą, skołataną

głowę, gdyby nie ta resztka wiary, że im i całej kozaczyznie trzeba dać coś więcej, trzeba koniecznie, dla ich własnego i Rzplitej zbawienia. Niechże ich przyszłość tego żądać nauczy.

A gdy tak myślał, jakiś promień nadziei i otuchy rozświecał na chwilę te ciemności, które nagromadziła w nim rozpacz —i wmawiał sam w siebie nieszczęsny starzec, że ta czerń to przecie nie cała kozaczyzna, nie Chmielnicki i jego pułkownicy, że z nimi to dopiero rozpoczną się układy.

Ale mogą-li one być trwałe, póki pół miliona chłopów stoi pod bronią? Nie stopnieją-ż one z pierwszym powiewem wiosny, jak owe śniegi, które w tej chwili pokrywają step?...

To znów przychodziły na myśl słowa Jeremiego: "Łaski można dać tylko zwyciężonym" — i znów myśl jego zasuwała się w ciemność, a pod nogami otwierała si przepaść.

Tymczasem mijała północ. Wrzaski i wystrzały nieco przycichły natomiast świst wichry powiększał się, na dworze była zamieć śnieżna; znużone tłumy widocznie poczęły rozchodzić się do domów; nadzieja wstąpiła w serca komisarzów.

Wojciech Miaskowski, podkomorzy lwowski, podniósł się z ławy, posłuchał przy oknie zasutem śniegiem i rzekł:

— Widzi mi się, że za łaską, Bożą jutra jeszcze dożyjemy.

— Może też i Chmielnicki nadeśle liczniejszą asystencyę, bo z tą nie dojdziemy — rzekł pan Śniarowski.

Pan Zieliński, podczaszy bracławski, uśmiechnął się gorzko.

— Ktoby to rzekł, że komisarzami pokojowymi jesteśmy!

— Posłowałem nieraz do Tatar — mówił pan chorąży nowogródzki — ale takiego posłowania nie zaznałem póki życia. Więcej w naszych osobach Rzeczpospolita kontemptu doznaje, niż pod Korsuniem i Piławcami doznała. Mówię też waszmościom: wracajmy, bo o układach niema co i myśleć.

— Wracajmy! — powtórzył jak echo pan Brzozowski, kasztelan kijowski. — Nie może pokój stanąć, niech będzie wojna!

Kisiel podniósł powieki i utkwił szklane oczy w kasztelanie.

— Żółte Wody, Korsuń, Piławce! — rzekł głucho.

I umilkł, a za nim umilkli wszyscy — jeno pan Kulczyński, skarbnik kijowski, począł odmawiać głośno różaniec, a pan łowczy Krzetowski za głowę się obu rękoma chwycił i powtarzał:

— Co za czasy! co za czasy! Boże, zmiłuj się nad nami...

Wtem drzwi się otwarły, i Bryszowski, kapitan dragonów biskupa poznańskiego, dowodzący konwojem, wszedł do izby.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rzekł — jakiś Kozak pragnie widzieć ichmość panów komisarzy.

— Dobrze! — odrzekł Kisiel — a czerń rozeszła się już?

— Poszli; obiecali jutro wrócić.

— Bardzo nacierali?

— Okrutnie, ale Kozacy Dońca zabili ich kilkunastu. Jutro nas obiecali spalić.

— Dobrze, niech ten Kozak wejdzie.

Po chwili drzwi się otwarły, i jakaś wysoka, czarnobroda postać stanęła w progu izby.

— Kto jesteś? — pytał Kisiel.

— Jan Skrzetuski, porucznik husarski księcia wojewody ruskiego.

Kasztelan Brzozowski, pan Kulczyński i łowczy Krzetowski porwali się z ław. Wszyscy oni służyli ostatniego roku z księciem pod Machnówką i Konstantynowem i znali pana Jana doskonale, Krzetowski był mu nawet powinowatym.

— Prawda! prawda! tożże to pan Skrzetuski — powtarzali

— Co tu robisz? i jakeś się do nas dostał? — pytał Krzetowski, biorąc go w ramiona.

— W chłopskiem przebraniu, jak waszmościowie widzicie — rzekł Skrzetuski.

— Mości wojewodo! — wołał kasztelan Brzozowski — toć to jest najprzedniejszy rycerz z pod chorągwi wojewody ruskiego, sławny w całem wojsku.

— Witam go też wdzięcznem sercem — rzekł Kisiel — i widzę że wielkiej to rezolucyi musi być kawaler, skoro się do nas przedarł.

Potem do Skrzetuskiego:

— Czego od nas żądasz?

— Abyście mi waszmość panowie iść z sobą dozwolili.

— Smokowi w paszczękę leziesz, ale gdy taka waszmościna wola, oponować jej nie możemy.

Skrzetuski skłonił się w milczeniu.

Kisiel patrzał na niego ze zdziwieniem.

Surowa twarz młodego rycerza uderzyła go powagą i boleścią.

— Powiedzże mi waszmość — rzekł — jakie powody gnają cię do owego piekła, do którego nikt po dobrej woli nie idzie?

— Nieszczęście, jaśnie wielmożny wojewodo!

— Niepotrzebniem pytał — rzekł Kisiel. — Musiałeś kogo z bliskich utracić i tam go jedziesz szukać?

— Tak jest.

— Dawnoż to się stało?

— Zeszłej wiosny.

— Jak to? i waść dopiero teraz na poszukiwania się wybrał? Toż to rok blisko! Cóżeś waszmość dotąd porabiał?

— Biłem się pod wojewodą ruskim.

— Zaliż tak szczery pan nie chciał waści permisyi udzielić?

— Ja sam nie chciałem.

Kisiel znów spojrzał na młodego rycerza, poczem nastało milczenie, które przerwał dopiero kasztelan kijowski:

— Wszystkim nam, którzyśmy z księciem służyli, znane są nieszczęścia tego kawalera, nad któremiśmy niejedną kroplę z oczu uronili; a że wolał, póki była wojna, ojczyźnie służyć, zamiast swego dobra patrzeć, to tem chwalebniej z jego strony. Rzadki to jest przykład w dzisiejszych zepsutych czasach.

— Jeśli się pokaże, że moje słowo u Chmielnickiego coś znaczy, to wierzaj mi waszmość, że go nie pożałuję w waścinej sprawie — rzekł Kisiel.

Skrzetuski skłonił się znowu.

— Idźże teraz spocznij — mówił łaskawie wojewoda — bo musisz być znużon niemało, jak i my wszyscy, którzy chwili spokoju nie mamy.

— Ja go do swojej stancyi zabiorę, to mój powinowaty — rzekł łowczy Krzetowski.

— Pójdźmy i my wszyscy na spoczynek; kto wie, czy następnej nocy będziem spali! — rzekł Brzozowski.

— Może snem wiecznym — zakończył wojewoda.

To rzekłszy, udał się do alkierza, przy którego drzwiach czekał już pachołek, a za nim rozeszli się i inni. Łowczy Krzetowski prowadził Skrzetuskiego do swojej kwatery, która była o kilka domów dalej. Pachołek z latarnią szedł przed nimi.

— Jakaż to noc ciemna i zawieja coraz większa! — mówił łowczy. — Ej, panie Janie, cośmy za chwilę dziś przeżyli! myślałem, że sąd ostateczny blisko. Czerń prawie nam nóż na gardle trzymała. Bryszowskiemu ręce ustawały. Jużeśmy się żegnać zaczynali.

— Byłem między czernią — odrzekł Skrzetuski. — Jutro na wie-

czór czekają nowej watahy zbójców, której dali znać o was. Jutro trzeba koniecznie stąd wyruszyć. Wszakże do Kijowa jedziecie?

— Zależy to od responsu Chmielnickiego, do którego kniaź Czetwertyński pojechał. Oto moja stancya; wejdź, proszę, panie Janie, kazałem wina zagrzać, to się posilimy przede snem.

Weszli do izby, w której na kominie palił się potężny ogień. Dymiące wino stało już na stole. Skrzetuski chwycił z chciwością za szklanicę.

— Od wczoraj nie miałem nic w gębie — rzekł.

— Wymizerowanyś strasznie. Widać i boleść i trudy cię stoczyły. Ale mów mi jeno o sobie, boć ja przecie wiem o twojej sprawie .. — to kniaziówny tam między nimi szukać zamyślasz?

— Albo jej, albo śmierci! — odparł rycerz.

— Łatwiej śmierć znajdziesz; skądże wiesz, że kniaziówna tam być może? — pytał łowczy.

— Bom jej gdzieindziej już szukał.

— Gdzie tak?

— Wedle Dniestru, aż do Jahorlika. Jeździłem z kupcami ormiańskimi, bo były wskazówki, że tam ukryta; byłem wszędzie, a teraz do Kijowa jadę, gdyż tam ją miał Bohun odwieźć.

Zaledwie porucznik wymówił nazwisko Bohuna, gdy ło czy porwał się za głowę.

— Na Boga! — wykrzyknął — toż ja ci najważniejszej rzeczy nie mówię. Słyszałem, że Bohun zabit.

Skrzetuski pobladł.

— Jak to? — rzekł. — Kto to powiadał?

— Ów szlachcic, który to raz już kniaziównę ocalił, co to pod Konstantynowem tyle dokazywał, ten mnie mówił. Spotkałem go, gdy do Zamościa jechał. Minęliśmy się w drodze. Ledwiem go spytał, co słychać: odpowiedział mi, że Bohun zabit. — Pytam: a kto zabił? — odpowie: "Ja" — na tem eśmy się rozjechali.

Płomień, który rozpalił się w twarzy Skrzetuskiego, zgasł nagle.

— Ten szlachcic — rzekł — rad klimkiem rzuci. Jemu nie można wierzyć. Nie! nie! Nie potrafiłby on zabić Bohuna.

— A tyżeś się nie widział z nim, panie Janie? i to sobie przypominam, że mówił mi, że do ciebie do Zamościa jedzie.

— W Zamościu nie doczekałem się go. Musi on być teraz w Zbarażu, ale mnie pilno było komisyę dogonić, więcem z Kamieńca

nie na Zbaraż wracał i nie widziałem go wcale. Bóg jeden raczy wiedzieć, czy i to prawda, co on mnie w swoim czasie o niej powiadał, jakoby podsłuchał, w niewoli u Bohuna będąc, że za Jampolem ją ukrył, a potem miał ją do Kijowa na ślub wieźć. Może i to nieprawda, jak wszystko, co Zagłoba mówił.

— Pocóż tedy do Kijowa jedziesz?

Skrzetuski zamilkł; przez chwilę słychać było tylko świst i wycie wiatru.

— Bo — rzekł łowczy, przykładając palec do czoła, — bo jeśli Bohun nie zabit, ty możesz snadnie wpaść mu w ręce.

— Po to ja i jadę, by jego znaleźć! — odparł głucho Skrzetuski.

— Jakto?

— Niechże będzie sąd Boży między nami.

— Aleć on do walki z tobą nie stanie, jeno poprostu weźmie cię w łyka i żywota zbawi, albo Tatarom zaprzeda.

— Z komisarzami jestem, w ich asystencyi.

— Daj Bóg, abyśmy własne gardła wynieśli, a cóż mówić o asystencyi.

— Komu życie ciężkie, ziemia będzie lekka.

— Bójże się Boga, Janie, tu nie o śmierć wreszcie chodzi, bo ta nikogo nie minie, ale oni cię mogą na galery tureckie zaprzedać.

— Zali myślisz, panie łowczy, że mi będzie gorzej, niż jest?

— Widzę, żeś desperat, w miłosierdzie Boże nie ufasz.

— Mylisz się, panie łowczy! Mówię, że mi źle na świecie, bo tak jest, ale z wolą Bożą dawno się pogodziłem. Nie proszę, nie jęczę, nie przeklinam, łbem o ścianę nie tłukę, chcę jeno spełnić, co do mnie należy, póki mi sił i życia staje.

— Ale cię boleść jako trucizna trawi.

— Bóg dał po to boleść, by trawiła, a lek ześle, kiedy sam zechce.

— Nie mam co rzec na takowy argument — rzekł łowczy. — W Bogu jedyny ratunek, w Bogu nadzieja, dla nas i dla całej Rzeczypospolitej. Pojechał król do Częstochowy, może też u Najświętszej Panny co wskóra, inaczej zginiemy wszyscy.

Nastała cisza, z za okien tylko dochodziło przeciągłe: "Werda?" dragońskie.

— Tak, tak! — mówił po chwili łowczy. — Wszyscy my więcej do umarłych, niż do żywych należymy. Zapomnieli już ludzie śmiać się w tej Rzeczpospolitej, jeno jęczą, jak ten wicher w komi-

nie. Wierzyłem i ja, że nastaną lepsze czasy, pókim tu razem z innymi nie przyjechał, ale widzę teraz, że płonna to była nadzieja. Ruina, wojna, głód, mordy i nic więcej, nic więcej!

Skrzetuski milczał; płomień ogniska palącego się w kominie oświecał twarz jego wychudłą i surową.

Wreszcie podniósł głowę i rzekł poważnym głosem;

— Doczesność to wszystko, która upływa, przemija i nic się po niej nie zostaje.

— Mówisz jak mnich — rzekł pan łowczy.

Skrzetuski nie odpowiedział; wicher tylko jęczał coraz żałośniej w kominie.

XLIX.

Nazajutrz rano opuścili komisarze, a z nimi i pan Skrzetuski, Nowosiółki, ale była to podróż opłakana, w której na każdym po stoju, w każdem miasteczku groziła im śmierć, a wszędy spotykały gorsze od śmierci zniewagi, w tem właśnie gorsze, że komisarze wieźli w osobach swych powagę i majestat Rzeczypospolitej. Pan Kisiel rozchorzał tak, iż na wszystkich noclegach wnoszono go na saniach do domów i piekarni. Podkomorzy lwowski łzami się zalewał nad hańbą swoją i ojczyzny; kapitan Bryszowski również rozchorzał od bezsenności i pracy, więc miejsce jego zajął pan Skrzetuski i prowadził dalej ów nieszczęsny orszak, wśród nacisku tłumów, obelg, groźb, szarpaniny i bitew.

W Białogrodzie znów zdawało się komisarzom, że ostatnia godzina nadeszła. Pospólstwo pobiło chorego Bryszkowskiego, zamordowało pana Gniazdowskiego — i tylko przybycie metropolity na rozmowę z wojewodą wstrzymało rzeź już przygotowaną. Do Kijowa nie chciano wcale wpuścić komisarzy. Książę Czetwertyński wrócił 11 lutego od Chmielnickiego bez żadnej odpowiedzi. Komisarze nie wiedzieli, co dalej czynić, gdzie się obrócić. Powrót zagrodziły im ogromne watahy, czekające tylko na zerwanie układów, aby wymordować poselstwo. Tłuszcza rozzuchwalała się coraz bardziej. Chwytano za lejce konie dragońskie i tamowano drogę; rzucano kamienie, kawały lodu i zmarzłe grudy śniegu do sani wojewody. W Gwozdowej, Skrzetuski i Do-

niec musieli stoczyć krwawą bitwę, w której rozpędzili kilkaset czerni.

Wyjechali znów chorąży nowogrodzki i Śniarowski z perswazyą do Chmielnickiego, by na komisyę do Kijowa przybył, ale wojewoda małą miał nadzieję, ażeby mogli żywi do niego dojechać. Tymczasem w Chwastowie musieli komisarze z założonemi rękoma patrzeć na tłumy, mordujące jeńców obojej płci i wszelkiego wieku, których topiono w przeręblach, polewano wodą na mrozie, bodzono widłami, lub obstrugiwano żywcem nożami. Takich dni upłynęło ośmnaście, nim przyszła nakoniec odpowiedź od Chmielnickiego, że do Kijowa przyjechać nie chce, ale w Perejasławiu czeka na wojewodę i komisarzy.

Odetchnęli tedy nieszczęśni wysłańcy, sądząc, że skończyła się już ich męka; jakoż przeprawiwszy się przez Dniepr w Trypolu, udali się na noc do Woronkowa, z którego sześć tylko mil było do Perejasławia. Wyjechał naprzeciw nich o pół mili Chmielnicki, chcąc niby cześć poselstwu królewskiemu okazać, ale jakże zmieniony od owych czasów, w których się za ukrzywdzonego podawał — quantum mutatus ab illo (jako niepodobny do tamtego)! — jak słusznie pisał wojewoda Kisiel.

Wyjechał bowiem w kilkadziesiąt koni z pułkownikami, esaułami i muzyką wojskową, pod znakiem, buńczukiem i czerwoną chorągwią, jakby książę udzielny. Orszak komisarski zatrzymał się natychmiast, on zaś, przyskoczywszy do naczelnych sani, w których jechał wojewoda, patrzał czas jakiś w jego sędziwe oblicze, poczem uchylił trochę kołpaka i rzekł:

— Czołem wam, panowie komisary, i tobie wojewodo. Lepiej było dawniej zacząć ze mną traktaty, kiedy ja był mniejszy i siły własnej nie znał, ale że was korol do mene prisław, tak was wdzięcznem sercem w mojej ziemi przyjmuję.

— Witaj, mości hetmanie! — odrzekł Kisiel. — Król Jegomość posłał nas, byśmy ci jego łaskę ofiarowali i sprawiedliwość wyrządzili.

— Za łaskę dziękuję, a sprawiedliwość już ja sam sobie, ot tem, na waszych szyjach wyrządził — (tu uderzył się po szabli) — i dalej urządzę, jeśli mnie nie ukontentujecie.

— Nie uprzejmie nas witasz, mości hetmanie zaporoski, nas wysłańców królewskich.

— Ne budu howoryty na moroże, będzie na to lepszy czas — odparł szorstko Chmielnicki. — Puszczaj mnie, Kisielu, do swoich sani, bo wam chcę cześć wyrządzić i razem jechać.

To rzekłszy, zsiadł z konia i zbliżył się do sani, Kisiel zaś usunął się ku prawej ręce, zostawiając wolną lewą stronę.

Widząc to, Chmielnicki zmarszczył się i krzyknął:

— A ty mnie dawaj prawą rękę!

— Jam senator Rzeczypospolitej.

— A mnie co senator! Pan Potocki pierwszy senator i hetman koronny, a ja go mam w łykach razem z innymi i jutro, jeśli zechcę, na pal wbić każę.

Rumieniec wystąpił na blade policzki Kisiela.

— Osobę króla tu przedstawiam.

Chmielnicki zmarszczył się jeszcze mocniej, ale się pohamował i siadł po lewej stronie, mrucząc:

— Naj korol bude w Warszawie, a ja na Rusi. Nie dość ja widzę na karki wam nastąpił.

Kisiel nie odrzekł nic, jeno oczy podniósł ku niebu. Miał on już przedsmak tego, co go czekało, i słusznie pomyślał w tej chwili, że jeśli droga do Chmielnickiego była Golgotą, to posłowanie przy nim męką samą.

Konie ruszyły do miasta, w którem grzmiało dwadzieścia dział i biły wszystkie dzwony. Chmielnicki, jakby w obawie, by komisarze nie poczytali tych odgłosów za cześć wyłącznie im wyrządzoną, rzekł do wojewody:

— Tak ja nietylko was, ale i innych posłów przyjmował, których do mnie przysyłano.

I Chmielnicki mówił prawdę — istotnie bowiem przysyłano już do niego, jakby do udzielnego księcia, poselstwa. Wracając z pod Zamościa, pod wrażeniem elekcyi i klęsk, przez litewskie wojska zadanych, nie miał hetman w sercu ani połowy tej pychy, ale gdy Kijów wyszedł naprzeciw niego ze światłem i chorągwiami, gdy akademia witała go: Tamquam Moysem servatorem, salvatorem, liberatorem populi et servitute lehica et bono omine (Jako Mojżesza obrońcę, zbawcę i oswobodziciela ludu z niewoli lackiej pod dobrą wróżbą) Bohdan — od Boga dany — gdy wreszcie nazwano go i illustrissimus princeps (najjaśniejszym księciem) — tedy, wedle słów współczesnych: "podniosła się ta bestya." Poczuł istotnie swoją siłę i grunt pod nogami, jakiego dotąd mu brakło.

Poselstwa zagraniczne były milczącem uznaniem zarówno jego potęgi jak udzielności: stała przyjaźń Tatarów, opłacana większością zdobytych łupów i nieszczęsnym jasyrem, który ten wódz ludowy z ludu wybierać pozwolił — obiecywała poparcie przeciw każdemu nieprzyjacielowi; dlatego to Chmielnicki, uznający jeszcze pod Zamościem zwierzchnictwo i wolę królewską, obecnie wbity w pychę, przekonany o swej sile, o nieładzie Rzplitej, niedołęstwie jej wodzów, gotów był i na samego króla podnieść rękę, marząc już teraz w posępnej swej duszy nie o swobodach kozackich, nie o powróceniu dawnych przywilejów Zaporoża, nie o sprawiedliwości dla siebie, lecz o państwie udzielnem, o czapce książęcej i berle.

I czuł się panem Ukrainy. Zaporoże stało przy nim, bo nigdy pod niczyją buławą nie nurzało się tak we krwi i zdobyczy; dziki z natury lud garnął się do niego, bo gdy chłop mazowiecki lub wielkopolski bez szemrania dźwigał owo brzemię przewagi i ucisku, jakie w całej Europie nad "potomkami Chama" ciężyło, Ukrainiec razem z powietrzem stepów wciągał w siebie miłość swobody tak nieograniczonej, i dzikiej, i bujnej, jak stepy same. Zali mu wola była chodzić za pańskim pługiem, gdy mu wzrok ginął w Bożej, nie pańskiej pustyni, gdy z za porohów Sicz wołała na niego: "Kiń pana i chodź na wolę!" — gdy Tatar srogi uczył go wojny, przyzwyczajał oczy jego do pożogi i mordu, a ręce do broni? Zali nie było mu lepiej u Chmiela buszować i "paniw ryzaty" niż grzbiet hardy giąć przed podstarościm?...

A oprócz tego lud garnął się do Chmiela, bo kto się nie garnął, w jasyr szedł. W Stambule za dziesięć strzał dawano niewolnika, za łuk w ogniu prażony trzech, taka była ich mnogość. Więc czerń nie miała wyboru — i jeno pieśń dziwna po owych czasach została, którą długo potem następne pokolenia po chatach śpiewały, pieśń dziwna, o owym wodzu, Mojżeszem nazwanym: "Oj, szczob toho Chmila pierwsza kula ne mynuła!"

Niknęły miasteczka, miasta i wsie, kraj zmieniał się w pustkę i ruinę, jedną ranę, której wieki nie mogły wygoić — ale ów wódz i hetman tego nie widział, czy nie chciał widzieć — bo on nigdy nic poza sobą nie widział — i rósł, i tuczył się krwią, ogniem, we własnem potwornem samolubstwie utopił własny lud, własny kraj

— i oto wwoził teraz komisarzy do Perejasławia przy huku dział, biciu we dzwony, jak udzielny pan, hospodar, kniaź.

Jechali do jaskini lwa, a tymczasem Skrzetuski, jadąc po za drugim szeregiem sani, pilno rozpatrywał twarze pułkowników, przybyłych z Chmielnickim, czy nie ujrzy między nimi Bohuna. Po bezewocnych poszukiwaniach nad Dniestrem, aż za Jahorlik, oddawna w duszy pana Jana dojrzał zamiar, jako ostatni jedyny sposób: wyszukania Bohuna i wyzwania go na walkę śmiertelną. Wiedział wprawdzie nieszczęsny rycerz, że w takim hazardzie Bohun może go bez walki zgładzić, lub Tatarom oddać, ale lepiej o nim tuszył: znał jego męstwo i szaloną odwagę i prawie był pewien, że mając wybór, Bohun do walki o kniaziównę stanie. Więc układał sobie w swej rozdartej duszy cały plan, jako przysięgą Bohuna zwiąże, że na wypadek swej śmierci, pozwoli Helenie odjechać. O siebie już pan Skrzetuski nie dbał i przypuszczając, że Bohun powie: "Jeśli zginę, tak ona ani dla mnie, ani dla ciebie," gotów był i na to pozwolić i poprzysiądz ze swej strony, byle ją z wrażych rąk wyrwać. Niechby w klasztorze szukała na resztę żywota spokoju, on by go naprzód w wojnie, a potem jeśliby poledz nie przyszło, również pod habitem poszukał, tak jak go poprostu szukały w owych czasach wszystkie dusze bolejące. Droga zdawała się Skrzetuskiemu prosta i jasna, a gdy mu pod Zamościem myśl walki z Bohunem raz poddano, gdy poszukiwania w naddniestrzańskich komyszach zawiodły — droga ta wydała się jedyną. Tym celem, z nad Dniestru, jednym tchem, nigdzie nie spoczywając, do komisarzy dążył, spodziewając się albo w otoczeniu Chmielnickiego, albo w Kijowie znaleść niechybnie Bohuna, tembardziej, że wedle tego, co w Jarmolińcach mówił Zagłoba, watażka do Kijowa na ślub przy trzystu świecach miał zjechać.

Ale próżno Skrzetuski szukał go teraz między pułkownikami. Znalazł natomiast wielu jeszcze dawniejszych, spokojnych czasów znajomych, jak Dziedziałę, którego w Czehryniu widywał, jak Janiszewskiego, który od Siczy do księcia posłował, jak Jarosza, dawnego księcia setnika, i Naokoło-palca, i Hruszę, i wielu innych, więc postanowił się ich pytać.

— To my dawni znajomi! —rzekł, zbliżając się do Janiszewskiego.

— Ja ciebie w Łubniach znał, ty kniazia Jaremy łycar — odpowiedział pułkownik. — My w Łubniach pili razem i hulali. A co twój kniaź porabia?

— Zdrów.

— Na wiosnę nie będzie on zdrów. Oni się z Chmielnickim jeszcze nie spotkali, ale się spotkają i musi jednemu pójść na pohybel!

— Komu Bóg przysądzi.

— No, Bóg na naszego bat'ka Chmiela łaskaw. Już twój kniaź na Zadnieprze, na swój tatarski brzeg nie wróci. U Chmielnickiego bohato mołojców, a u kniazia co? Szczery on żołnir. A ty już nie u kniazia w chorągwi?

— Z komisarzami jadę.

— No, ja rad, że ty stary znajomy.

— Jeśliś ty rad, to ty mnie przysługę oddaj, a ja ci wdzięczen będę.

— Jaką przysługę!

— Powiedz ty mi, gdzie jest Bohun, ten sławny ataman, dawniej z perejasławskiego pułku, który dziś musi już między wami wyższą pewnie mieć szarżę.

— Milcz! — odpowiedział groźnie Janiszewski. — Szczęście twoje, że my starzy znajomi, i że ja pił z tobą, bo inaczej jużby ja ciebie tym oto buzdyganem na śniegu rozciągnął.

Skrzetuski spojrzał na niego zdumiony, ale jako człowiek prędkie rezolucyi, więc buławę w ręku ścisnął.

— Czyś oszalał?

— Nie oszalał ja, ani ci nie chcę grozić, jeno jest taki rozkaz Chmiela, iż jeśliby ktokolwiek z was, choćby który z komisarzy, o co spytał — żeby go na miejscu ubić. Nie uczynię ja tego, to inny uczyni, dlatego ostrzegam cię z życzliwości.

— Toż ja w swojej prywatnej sprawie pytam.

— No wszystko jedno. Chmiel rzekł nam pułkownikom i kazał innym powtórzyć: "Choćby który o drwa do pieca, albo o potaż pytał, ubić go." Ty to powtórz swoim.

— Dziękuję ci za dobrą radę! — rzekł Skrzetuski.

— Ciebie jednego ja przestrzegł, a innego Lacha pierwszyby rozciągnął.

Umilkli. Już też orszak dotarł do bram miasta. Oba boki drogi i ulice roiły się od czerni i zbrojnego kozactwa, które ze względu na obecność Chmielnickiego nie śmiało rzucać przekleństw i brył śniegu do sani, ale które spoglądało ponuro na komisarzy, ściskając pięście, lub głownie szabel.

Skrzetuski, sformowawszy we czwórki dragonów, podniósł głowę i dumnie a spokojnie jechał przez szeroką ulicę, nie zwracając najmniejszej uwagi na groźne spojrzenia tłumów — w duszy tylko myślał, jak wiele potrzeba mu będzie zimnej krwi, zaparcia się siebie i chrześciańskiej cierpliwości, by tego, co zamierzył, dokonać i nie utonąć po pierwszym kroku w tem morzu nienawiści.

L.

Następnego dnia długie były rozhowory komisarzy między sobą, czy dary królewskie wręczyć Chmielnickiemu natychmiast, czy też czekać, dopókiby większej i jakowejś skruchy nie okazał. Stanęło na tem, żeby go ująć ludzkością i łaską królewską,-zapowiedziano więc wręczenie darów — i nazajutrz odbył się ów akt uroczysty.

Od rana biły dzwony i grzmiały działa. Chmielnicki czekał przed swym dworem wśród pułkowników, wszelkiej starszyzny i nieprzeliczonych tłumów kozactwa i czerni, chciał bowiem, żeby cały naród wiedział, jaką to go czcią sam król otacza. Zasiadł więc pod znakiem i buńczukiem na podniesieniu w altembasowym czerwonym sobolim kopieniaku, mając przy sobie posłów sąsiednich, i wziąwszy się pod boki, nogi oparłszy na aksamitnej poduszce ze złotą frendzlą, czekał na komisarzy. W tłumach zgromadzonej czerni zrywały się co chwila szmery pochlebne i radosne na widok wodza, w którym tłum ów, ceniący nad wszystko siłę, widział uosobienie tej siły. Tak tylko bowiem imaginacya ludowa mogła sobie przedstawiać niezwalczonego swego szampierza, pogromcę hetmanów, duków, szlachty i wogóle "Lachiw," którzy aż do jego czasów byli okryci urokiem niezwyciężoności. Chmielnicki przez ten rok bojów postarzał nieco, ale się nie pochylił; olbrzymie jego ramiona zdradzały zawsze siłę, zdolną przewracać państwa, lub tworzyć nowe: ogromna twarz, zaczerwieniona od nadużycia trunków, wyrażała wolę nieugiętą, dumę niepohamowaną i zuchwałą pewność, którą jej dały zwycięstwa. Groza i gniew drzemały w fałdach tej twarzy, i poznałeś łacno, że gdy się rozbudzą, lud chyli się pod ich straszliwem tchnieniem, jak las pod burzą. Z oczu, okolonych czerwoną obwódką, strzelało mu już zniecierpliwienie, że komisarze nie przybywali z darami dość rychło, a z nozdrzy wychodziły na mrozie dwa kłęby pary, jak dwa słupy dymu z nozdrzy Lucypera — i w tej

mgle własnych płuc siedział cały purpurowy, posępny, dumny, obok posłów, wśród pułkowników, mając na okół morze czerni.

Aż wreszcie pokazał się orszak komisarski. Na czele szli dobosze, bijący w kotły, oraz trębacze z trąbami przy ustach i wydętymi policzkami, bębniąc i wydobywając z mosiądzu długie, żałosne głosy, jakoby na pogrzebie sławy i godności Rzplitej. Za ową kapelą niósł łowczy Krzetowski buławę na aksamitnej poduszce, Kulczyński, skarbnik kijowski, czerwoną chorągiew z orłem i napisem, a dalej Kisiel szedł samotnie wysoki, szczupły, z białą brodą, spływającą na piersi, z cierpieniem w arystokratycznej twarzy i bólem bezdennym w duszy. O kilka kroków za wojewodą wlokła się reszta komisarzy, a orszak zamykała dragonia Bryszowskiego pod Skrzetuskim.

Kisiel szedł wolno, bo oto w tej chwili ujrzał jasno, że z poza podartego łachmana układów, z pod pozorów ofiarowania łaski królewskiej i przebaczenia, inna, naga, ohydna prawda wygląda, którą ślepi nawet ujrzą, głusi usłyszą, bo krzyczy: "Nie idziesz ty, Kisielu łaski ofiarować, ty idziesz o nią prosić, ty idziesz ją kupić za tę buławę i chorągiew, a idziesz pieszo do nóg tego chłopskiego wodza, w imieniu całej Rzplitej, ty senator i wojewoda..." Więc rozdzierała się dusza w panu z Brusiłowa, i czuł się tak lichym, jak robak, i tak nizkim, jak proch, a w uszach huczały mu słowa Jeremiego: "Lepiej nam nie żyć, niż żyć w niewoli u chłopstwa i pogaństwa." Czemże on, Kisiel, był w porównaniu z tym kniaziem z Łubniów, który nie inaczej ukazywał się rebelii, jeno jak Jowisz ze zmarszczoną brwią, wśród zapachu siarki, płomieni wojny i dymów prochu, czemże on był? Pod ciężarem tych myśli złamało się serce wojewody, uśmiech odleciał na zawsze z jego twarzy, radość na wieki z jego serca, i czuł, że wolałby stokroć umrzeć, niż krok jeszcze jeden postąpić; ale szedł, bo pchała go naprzód cała jego przeszłość, wszystkie prace, usiłowania, cała nieubłagana logika jego poprzednich czynów....

Chmielnicki czekał na niego wsparty pod boki, z wydętemi usty i namarszczoną brwią.

Orszak zbliżył się nakoniec. Kisiel, wysunąwszy się naprzód, postąpił kilka kroków aż do podniesienia. Dobosze przestali bębnić, trębacze trąbić — i nastała wielka cisza w tłumach, jeno powiew mroźny łopotał czerwoną chorągiew, niesioną przez p. Kulczyńskiego.

Nagle ciszę tę przerwał głos jakiś krótki, donośny a rozkazujący, który zabrzmiał z niewypowiedzianą siłą desperacyi, nie liczącej się z niczem i z nikim:

— Dragonia w tył! za mną!

Był to głos pana Skrzetuskiego.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Sam Chmielnicki podniósł się nieco na siedzeniu, aby zobaczyć, co się dzieje: komisarzom krew uciekła z twarzy. Skrzetuski stał na koniu, wyprostowany, blady, z iskrzącemi oczyma i gołą szablą w ręku i napowrót zwrócony ku dragonom, powtórzył raz jeszcze grzmiący rozkaz:

— Za mną!...

Wśród ciszy kopyta końskie zakołatały po umiecionej grudzie ulicznej. Wyćwiczeni dragoni zwrócili na miejscu konie, porucznik stanął na ich czele, dał znak mieczem i cały oddział ruszył zwolna napowrót ku domostwu komisarzy.

Zdziwienie i niepewność odmalowały się na wszystkich twarzach, nie wyłączając i Chmielnickiego, albowiem w głosie i ruchu porucznika było coś nadzwyczajnego, nikt jednak dobrze nie wiedział, czy to oddalenie się nagłe eskorty nie należało do ceremoniału uroczystości. Jeden Kisiel zrozumiał wszystko, zrozumiał, że i traktaty i życie komisarzy, razem z eskortą, zawisło w tej chwili na włosku, więc wstąpił na podniesienie, i nim Chmielnicki zdołał pomyśleć, co się stało, zaczął przemowę...

Począł więc od ofiarowania łaski królewskiej Chmielnickiemu i całemu Zaporożu, ale wnet mowa jego została przerwana nowem zajściem, które tę tylko miało dobrą stronę, że całkiem odwróciło uwagę od poprzedniego: oto Dziedziała, stary pułkownik, stojąc wedle Chmielnickiego, począł potrząsać buławą na wojewodę, i rzucać się i krzyczeć:

— Co tam mówisz, Kisielu! Król jako król, ale wy królewięta, kniaziowie, szlachta, nabroiliście mnogo. I ty, Kisielu, kość z kości naszych, odczepiłeś się od nas, a z Lachy przestajesz. Dosyć nam twego gadania, bo szablą dostaniem, czego nam trzeba.

Wojewoda spojrzał ze zgorszeniem w oczy Chmielnickiego.

— W takiej to ryzie, hetmanie, utrzymujesz swoich pułkowników?

— Milcz, Dziedziała! — zawołał hetman.

— Milcz, milcz! Upił się, choć rano! — powtórzyli inni pułkownicy. — Poszedł precz, bo za łeb wyciągniem.

Dziedziała chciał dłużej huczeć, ale istotnie schwytano go za kark i wyrzucono za koło.

Wojewoda mówił dalej gładkiemi i wybornemi słowy, pokazując Chmielnickiemu, jak wielkie bierze upominki — bo znak władzy prawej, którą dotąd jako przywłaszczyciel jeno piastował. Król mogąc karać, woli mu przebaczyć, co czyni dla posłuszeństwa, jakie pod Zamościem okazał — i dlatego że poprzednie przestępstwa nie za jego były spełnione panowania. Słuszna więc, aby on, Chmielnicki, tak wiele przedtem zgrzeszywszy, wdzięcznym się teraz za łaskę i klemencyę okazał, krwi rozlewu zaprzestał, chłopstwo uspokoił i do traktatów z komisarzami przystąpił.

Chmielnickiego przyjął w milczeniu buławę i chorągiew, którą rozwinąć nad sobą wnet rozkazał. Czerń na ten widok zawyła radosnymi głosami, tak, że przez chwilę nic nie było słychać.

Pewne zadowolenie odbiło się na twarzy hetmana, który, poczekawszy chwilę, rzekł:

— Za tak wielką łaskę, której mi król jegomość przez wasze moście pokazał, że i władzę nad wojskiem przysłał, i przeszłe moje przestępstwa przebacza, uniżenie dziękuję. Zawsze to ja mówił, że król ze mną przeciw wam, nieszczerym dukom i królewiętom, trzyma, a najlepszy dowód, że kontentacyę mnie przysyła za to, że ja wam szyje ucinał — tak i dalej będę ucinał, jeżeli mnie i króla słuchać we wszystkiem nie będziecie.

Ostatnie słowa wymówił Chmielnicki podniesionym głosem, łając i marszcząc brwi, jak gdyby gniew poczynał w nim wzbierać, a komisarze zdrętwieli na tak niespodziany obrót jego odpowiedzi. Kisiel zaś rzekł:

— Król ci, mości hetmanie, krwi przelewu nakazuje poprzestać i traktaty z nami począć.

— Krew nie ja wylewam, jeno litewskie wojsko — odparł szorstko hetman, — bo mam wiadomość, że mi Radziwiłł mój Mozyr i Turów wyciął, co jeśli się sprawdzi, dosyć mam waszych jeńców, i znacznych, wnet im szyje każę poucinać. Do traktatów teraz nie przystąpię. Komisya trudno się teraz ma zacząć, bo wojska w kupie nie masz, jeno garść pułkowników przy mnie, a reszta w zimownikach; bez nich nie mogę zaczynać. Zresztą poco gadać dłużej na mrozie? Co wy mnie mieli oddać, to oddali, i wszyscy to widzieli,

że ja już hetman z ramienia królewskiego, a teraz chodźcie do mnie na gorzałkę, na obiad, bom głodny.

To rzekłszy, Chmielnicki ruszył ku swemu dworcowi, a za nim komisarze i pułkownicy. W wielkiej środkowej izbie stał nakryty stół, uginający się pod srebrem zdobycznem, między którem wojewoda Kisiel byłby może znalazł i swoje własne, porabowane zeszłego lata w Huszczy. Na stole piętrzyły się góry świniny, wołowiny i tatarskiego piławu, w całej zaś izbie pachniała wódka prośnianka, nalana w srebrne konwie. Chmielnicki zasiadł, posadziwszy po swej prawej ręce Kisiela, po lewej kasztelana Brzozowskiego i ukazawszy ręką gorzałkę, rzekł:

— W Warszawie mówią, że ja krew lacką piję, ale wolę ja horyłku, tamtą psom zostawiając.

Pułkownicy wybuchnęli śmiechem, od którego zatrzęsły się ściany izby.

Taki to "antypast" dał komisarzom hetman przed swoim obiadem, a komisarze połknęli go, nic nie mówiąc, żeby — jak pisał podkomorzy lwowski — "bestyi nie drażnić."

Pot jeno obfity uperlił blade czoło Kisiela.

Ale rozpoczął się poczęstunek. Pułkownicy brali z półmisków rękoma kawały mięsiwa. Kisielowi i Brzozowskiemu nakładał je na misy sam hetman i początek obiadu upłynął w milczeniu, bo każdy głód nasycał. W ciszy słychać było tylko chrupanie i trzask kości w zębach biesiadników, lub grzdykanie pijących, czasem rzucił ktoś jakie słowo, które pozostawało bez echa. Dopiero pierwszy Chmielnicki, podjadłszy i wychyliwszy kilka szklanic prośnianki, zwrócił się nagle do wojewody i spytał:

— Kto u was prowadził konwój?

Niepokój odbił się na twarzy Kisiela.

— Skrzetuski, zacny kawaler — rzekł.

— Ja jeho znaju — rzekł. — A czemuż to on nie chciał być przy tem, jak wy mnie dary wręczali?

— Bo nie dla asysty on był nam przydany, jeno dla bezpieczeństwa, i taki miał rozkaz.

— A kto jemu dał taki rozkaz?

— Ja — odparł wojewoda — bom nie myślał, aby to przystojne było, żeby przy wręczaniu darów dragoni nam i wam nad karkiem stali.

— A ja co innego myślał, bo wiem, że u tego żołnierza twardy kark.

Tu wtrącił się do rozmowy Janiszewski.

— Już się dragonów nie boimy — rzekł. — Silni nam nimi byli Lachowie dawniej, ale doznaliśmy pod Piławcami, że nie oni to Lachowie, co przedtem, bywali i bijali Turki, Tatary i Niemcy...

— Nie Zamojscy, Żółkiewscy, Chodkiewicze, Chmieleccy i Koniecpolscy — przerwał Chmielnicki — ale Tchórzowscy i Zajączkowscy, detyny w żelazo poubierane. Pomarli od strachu, skoro nas ujrzeli, i pouciekali, choć Tatar więcej nie było zrazu we środę, tylko trzy tysiące...

Komisarze milczeli, jeno jadło i napój wydawały im się coraz bardziej gorzkie.

— Pokornie proszę, jedźcie i pijcie — rzekł Chmielnicki, — bo będę myślał, że nasza prosta strawa kozacka przez wasze pańskie gardła przejść nie chce.

— Jeśli mają za ciasne, to możeby im poprzerzynać! — zawołał Dziedziała.

Pułkownicy podochoceni już mocno wybuchnęli śmiechem, ale Chmielnicki spojrzał groźnie i uciszyło się znowu.

Kisiel, schorzały od kilku dni, blady był jak giezło, Brzozowski tak czerwony, iż zdawało się, że mu krew tryśnie z twarzy.

Nakoniec nie wytrzymał i huknął:

— Zaliśmy tu na obiad, czy na zniewagi przyszli?

Na to Chmielnicki:

— Wy na traktaty przyjechali, a tymczasem litewskie wojska palą i ścinają. Mozyr i Turów mi wysiekli, co jeśli się sprawdzi, tedy czterystu jeńcom w oczach waszych szyję uciąć każę.

Brzozowski pohamował krew, jeszcze przed chwilą kipiącą. Tak było! życie jeńców zależało od humoru hetmana, od jednego mrugnięcia jego oka, więc trzeba było wszystko znosić i jeszcze łagodzić jego wybuchy, by go ad mitiorem et saniorem mentem (do łagodniejszego i zdrowszego rozumu) doprowadzić.

W tym duchu Karmelita Kętowski, z natury łagodny i bojaźliwy, ozwał się cichym głosem:

— Bóg łaskawy da, że mogą się te nowiny z Litwy o Turowie i Mozyrze odmienić.

Ale zaledwie skończył, Fedor Wiśniak, pułkownik czerkaski, przechylił się, buławą machnął, chcąc Karmelitę w kark grzmotnąć;

na szczęście nie dosięgnął, bo ich czterech innych biesiadników przedzielało, ale natomiast zakrzyknął:

— Mowczy pope! ne twoje diło brechniu mene zadawaty! Chody no na dwir, nauczu ja tebe pułkowników zaporoskich szanowaty!

Inni wszelako porwali się go hamować, a nie mogąc tego dokazać, wyrzucili go za łeb z izby.

— Kiedy, mości hetmanie, życzysz, aby się komisya zebrała? — pytał Kisiel, chcąc inny nadać zwrot rozmowie.

Na nieszczęście, i Chmielnicki nie był już trzeźwy, więc taką prędką i jadowitą dał odpowiedź:

— Jutro sprawa i rozprawa będzie, bom teraz pijany! Co mnie tu o komisyi prawicie, zjeść i wypić nie dajecie. Już mnie tego dosyć! Teraz wojna być musi — (tu grzmotnął pięścią w stół, aż podskoczyły misy i konwie). — W tych czterech niedzielach wszystkich was do góry nogami przewrócę i podepcę, a naostatek carzowi tureckiemu zaprzedam. Król królem będzie, aby ścinał szlachtę, duki, kniazie. Zhreszy kniaź, urezać mu szyję; zhreszy Kozak, urezać mu szyję! Grozicie mi Szwedami, ale i oni mi ne zderżą! Tuhaj-bej na hawrani blisko mnie jest, brat mój, moja dusza, jedyny sokół na świecie, gotów wszystko uczynić zaraz, co ja zechcę.

Tu Chmielnicki z właściwą pijanym nagłością, przeszedł od gniewu do rozczulenia i aż głos zadrgał mu od łez w gardzieli na słodkie wspomnienie Tuhaj-beja.

— Wy chcecie, żeby ja na Turki i Tatary szablę podniósł, ale nic z tego! — Na was ja pójdę z dobrymi druhami moimi. Jużem pułki obesłał, aby mołojcy konie karmili i w drogę byli gotowi bez wozów, bez armat; znajdę ja u Lachów to wszystko. Ktoby z Kozaków wziął wóz, każę mu szyję urezać; i ja sam kolaski nie wezmę, chyba juki i sakwy i tak dojdę aż do Wisły i powiem: "Serdyte i mowczyte, "Lachy!" A będziecie z Zawiśla krzykać, znajdę was i tam. Dosyć waszego panowania, waszych dragonów, gady wy przeklęte, samą nieprawdą żyjące!

Tu zerwał się z miejsca, rzucał od ławy, za czupryny rwał, nogami bił w ziemię, krzycząc, że wojna musi być, bo on już na nią rozgrzeszenie i błogosławieństwo dostał, że nic mu po komisyi i komisarzach, bo nawet na zawieszenie broni nie pozwoli.

Nakoniec widząc przerażenie komisarzy i przypomniawszy sobie, iż jeśli natychmiast odjadą, to wojna rozpocznie się w zimie, zatem w porze, gdy Kozacy, nie mogąc się okopać licho biją się

w otwartem polu, uspokoił się nieco i znów siadł na ławie. Głowę opuścił na piersi, ręce wsparł na kolanach i oddychał chrapliwie. Nakoniec znów porwał za szklankę wódki.

— Za zdrowie króla jegomości! — wykrzyknął.

— Na sławu i zdrowie! — powtórzyli pułkownicy.

— No, ty Kisielu, nie sumuj! — mówił hetman — i do serca nie bierz tego, co mówię, bom teraz pijany. Mnie worożychy mówiły, że wojna musi być, ale do pierwszej trawy poczekam, a potem niech będzie komisya, na którą więźniów wypuszczę. Mnie mówili, że ty chory, tak niech i tobie będzie na zdrowie.

— Dziękuję ci, hetmanie zaporoski! — rzekł Kisiel.

— Ty mój gość, ja o tem pamiętam.

To rzekłszy, Chmielnicki znowu wpadł w chwilowe rozczulenie i oparłszy ręce na ramionach wojewody, zbliżył swą ogromną czerwoną twarz do jego bladych, wychudłych policzków.

Za nim przychodzili inni pułkownicy i zbliżając się poufale do komisarzy, ściskali się z nimi za ręce, klepali ich po ramionach, powtarzali za hetmanem: "Do pierwszej trawy!" Komisarze byli jak na mękach. Chłopskie oddechy, przesycone zapachem gorzałki, oblewały twarze tej szlachty wysokiego rodu, dla której owe uściski spoconych rąk były równie nieznośne, jak zniewagi. Nie brakło też i groźb wśród objawów grubijańskiej serdeczności. Jedni wołali do wojewody: "My Lachiw choczemo rizaty, a ty nasz czołowik!" — inni mówili: "A co wy, pany! dawniej bili nas, a teraz łaski prosicie! Na pohybelże wam, białoruczkom!" Ataman Wowk, dawny młynarz w Nestewarze, krzyczał: "Ja kniazia Czetwertyńskoho, moho pana, zarizaw!" "Wydajcie nam Jaremu! — wołał, zataczając się, Jaszewski — a darujemy was zdrowiem!"

W izbie stał się zaduch i gorąco do niewytrzymania; stół, pokryty resztkami mięsiwa, okruchami chleba, poplamiony wódką i miodem, był ohydny. Weszły nakoniec worożychy, to jest czarownice, z któremi hetman zwykle do późna w noc dopijał, słuchając przepowiedni: dziwne postacie, stare, pokurczone, żółte, lub w sile młodości, wróżące z wosku, ziarn pszenicy, ognia, piany wodnej, z dna flaszki, lub tłuszczu ludzkiego. Wnet między pułkownikami a młodszemi z nich rozpoczęły się gzy i śmiechy. Kisiel był bliski omdlenia.

— Dziękujemy ci, hetmanie, za ucztę i żegnamy cię — rzekł słabym głosem.

— Ja jutro do ciebie, Kisielu, na obiad przyjadę! — odpowiedział Chmielnicki — a teraz idźcie sobie. Doniec was z mołojcami do domów odprowadzi, żeby was od czerni jakowa przygoda nie spotkała.

Komisarze skłonili się i wyszli. Doniec z mołojcami czekał istotnie przed dworcem.

— Boże! Boże! Boże! — szepnął zcicha Kisiel, przykładając ręce do twarzy.

Orszak posunął się w milczeniu ku domostwu komisarzy. Ale pokazało się, że już nie stoją w pobliżu siebie. Chmielnicki umyślnie powyznaczał im kwatery w różnych częściach miasta, aby nie mogli łatwo się schodzić i naradzać.

Wojewoda Kisiel, zmęczony, wyczerpany, ledwie na nogach się trzymający, natychniast położył się do łóżka i aż do następnego dnia nie chciał nikogo widzieć; dopiero przed południem kazał przywołać Skrzetuskiego.

— Coś waćpan uczynił najlepszego! — rzekł do niego — coś waćpan uczynił! Swoje i nasze życie na zgubę mogłeś narazić.

— JW. wojewodo, mea culpa (moja wina)! — odrzekł rycerz — ale mnie delirium (waryacya) porwało i wolałem sto razy zginąć, niż na takie rzeczy patrzeć.

— Chmielnicki poznał się na kontempcie. Zaledwiem efferatam bestiam (dzikie zwierzę) uspokoił i postępek twój wytłómaczył. Ale on tu dziś ma być u mnie i pewnie ciebie zapyta. Tedy mu powiedz, żeś miał rozkaz odemnie, byś żołnierstwo odprowadził.

— Od dziś Bryszowski komendę bierze, bo zdrowszy.

— To i lepiej; za twardy masz waść kark na dzisiejsze czasy. Trudno nam co innego ganić w takowym postępku, prócz nieostrożności, ale to znać, żeś młody i bólu w piersi znieść nie umiesz.

— Do boleścim nawykł, jaśnie wielmożny wojewodo, jeno hańby znieść nie mogę.

Kisiel syknął zcicha, tak właśnie jak chory, którego ktoś w bolączkę uraził, poczem uśmiechnął się ze smutną rezygnacyą i rzekł:

— Chleb to już powszedni dla mnie takie słowa, które dawniej łzami gorzkiemi oblewałem, spożywając, a teraz już mi i łez nie stało.

Litość wezbrała w sercu Skrzetuskiego na widok tego starca z twarzą męczennika, który ostatnie dni życia pędził w podwójnem, bo duszy i ciała cierpieniu.

— Jw. wojewodo! — rzekł: — Bóg mi świadek, żem jeno o cza-

siech tych strasznych myślał, w których senatorowie i dygnitarze koronni czołem bić muszą przed hultajstwem, dla którego pal powinien być jedyną za postępki zapłatą.

— Niech cię Bóg błogosławi, boś młody, uczciwy, i wiem, że nie miałeś złej intencyi. Ale to, co ty mówisz, mówi twój książę, za nim wojsko, szlachta, sejmy, pół Rzeczypospolitej i całe to brzemię wzgardy i nienawiści spada na mnie.

— Każdy służy ojczyźnie jak rozumie, niechże Bóg sądzi intencye, a co się tyczy księcia Jeremiego, ten ojczyźnie zdrowiem i majętnością służy.

— I chwała go otacza i w niej jako w słońcu chodzi — odrzekł wojewoda. — Tymczasem cóż mnie spotyka? O! dobrze mówisz: niech Bóg sądzi intencye i niech da choć grobowiec spokojny tym, którzy za życia cierpią nad miarę.

Skrzetuski milczał, a Kisiel podniósł w niemej modlitwie oczy w górę, po chwili zaś tak mówić począł:

— Jam Rusin, krew z krwi i kość z kości. Mogiły książąt Światołdyczów w tej ziemi leżą, więcem ją kochał, ją i ten lud Boży, który u jej piersi żywie. Widziałem krzywdy obu stron, widziałem dziką swawolę Zaporoża, ale i pychę nieznośną tych, którzy ten lud schłopić chcieli, cóżem więc miał uczynić, ja, Rusin, a zarazem wierny syn i senator tej Rzeczypospolitej? Otom przyłączył się do tych, którzy mówili: Pax vobiscum (Pokój z wami)! bo tak kazała mi krew, serce, bo między nimi był król nieboszczyk, nasz ojciec, i kanclerz, i prymas, i wielu innych, bom widział, że dla obu stron rozbrat, to zguba. Chciałem po wiek żywota, do ostatniego tchnienia, do zgody pracować, i gdy się krew już polała, myślałem sobie: będę aniołem pojednania. I poszedłem, i pracowałem, i jeszcze pracuję, chociaż w bólu, w męce i w hańbie, i w zwątpieniu, prawie od wszystkiego straszniejszem. Bo, na miły Bóg! nie wiem teraz, czy wasz książę, przyszedł z mieczem zawcześnie, czym ja z gałęzią oliwną za późno, ale to widzę, że rwie się robota moja, że już sil nie staje, że napróżno głową o mur tłukę i że schodząc do grobu, widzę jeno ciemności przed sobą a i zgubę, o Boże wielki! — zgubę powszechną!

— Bóg ześle ratunek.

— O niech ześle takowy promień przed śmiercią moją, abym nie umarł w rozpaczy — to jeszcze za wszystkie boleści Mu podziękuję, za ten krzyż, który za życia noszę, a to, że czerń woła o głowę moją,

a na sejmach zdrajcą mnie nazywają, za moje mienie zagrabione, za hańbę, w której żyję, za całą tę gorzką nagrodę, jakąm z obu stron otrzymał!

To rzekłszy, wojewoda wyciągnął swe wyschłe ręce ku niebu — i dwie łzy wielkie, może naprawdę w życiu ostatnie, spłynęły mu z oczu.

Skrzetuski nie mógł już dłużej wytrzymać, ale rzuciwszy się na kolana przed wojewodą, chwycił jego rękę i rzekł przerywanym z wielkiego wzruszenia głosem:

— Jam żołnierz i idę inną drogą, ale zasłudze i boleści cześć oddawam.

To rzekłszy, ten szlachcic i rycerz z pod chorągwi Wiśniowieckiego, przycisnął do ust rękę tego Rusina, którego kilka miesięcy temu razem z innymi zdrajcą nazywał.

A Kisiel położył mu obie ręce na głowie.

— Synu mój! — rzekł cicho — niechże cię Bóg pocieszy, prowadzi i błogosławi, jak ja cię błogosławię.

Błędne koło układów rozpoczęło się jeszcze tego samego dnia. Chmielnicki przyjechał dość późno na obiad do wojewody i w najgorszem usposobieniu. Wnet oświadczył, że co wczoraj mówił o zawieszeniu broni, o komisyi na Zielone Świątki i o wypuszczeniu jeńców na komisyę, to mówił jako pijany, a teraz widzi, że chciano go w pole wywieść. Kisiel znów łagodził, go uspokajał, przekładał, racye dawał, ale była to wedle słów podkomorzego lwowskiego surdo tyranno fabula dicta (bajka opowiedziana głuchemu panu). Poczynał też sobie hetman tak po grubijańsku, że komisarzom za wczorajszym Chmielnickim tęsknić przyszło. Pana Pozowskiego buławą uderzył za to tylko, że mu się nie w porę pokazał, mimo tego, że pan Pozowski śmierci i tak, jako wielce schorzały, był bliskim.

Nie pomagały ludzkość i ochota, ani perswazye wojewody. Dopiero gdy sobie nieco gorzałką i wybornym miodem huszczańskim podchmielił, wpadł w lepszy humor, ale też za nic już o sprawach publicznych nawet i wspomnieć sobie nie dał, mówiąc: "Mamy, pić, to pijmy, zaś jutro sprawa i rozprawa, a nie, to sobie pójdę!" O godzinie trzeciej w nocy naparł się iść do sypialnej izby wojewody, czemu się tenże pod różnymi pozorami opierał, albowiem zamknął tam umyślnie Skrzetuskiego, wielce się obawiając, aby przy spotkaniu się tego nieugiętego żołnierza z Chmielnickim nie zdarzyło się jakie zajście, któreby dla porucznika zgubnem być mogło. Chmiel-

nicki jednak postanowił na swojem i poszedł, a za nim wszedł i Kisiel. Jakież było tedy zdziwienie wojewody, gdy hetman, ujrzawszy rycerza, skinął mu głową i zakrzyknął:

— Skrzetuski! a czemu ty z nami nie pijesz?

I wyciągnął do niego przyjaźnie rękę.

— Bom chory — odrzekł skłoniwszy się porucznik.

— Ty wczoraj i odjechał! Za nic mi była bez ciebie ochota.

— Taki miał rozkaz — wtrącił Kisiel.

— Już ty mnie, wojewodo, nie gadaj. Znaju ja jeho i wiem, że on nie chciał patrzeć, jak wy mnie cześć wyrządzili. Oj, ptak to, ale coby innemu nie uszło, to jemu ujdzie, bo ja jego miłuję, on mój druh serdeczny.

Kisie otworzył oczy szeroko ze zdumienia, hetman zaś zwrócił się do Skrzetuskiego:

— A ty wiesz, za co ja ciebie miłuję?

Skrzetuski potrząsnął głową.

— Myślisz, że za to, że ty postronek nad Omelnikiem przeciął, kiedy ja był lichy człowiek i kiedy mnie jak zwierza ścigali? Otóż nie za to. Ja tobie dał wtedy pierścień z prochem z grobu Chrystusa. Ale ty, rogata dusza, mnie tego pierścienia nie pokazał, kiedy był w moich rękach, no, ja ciebie i tak puścił, i kwita. Nie za to cię teraz miłuję. Inną ty mnie przysługę oddał, za którą ty mój druh serdeczny i za którą ja tobie wdzięczność winien.

Skrzetuski spojrzał z kolei ze zdziwieniem na Chmielnickiego.

— Widzisz, jak się dziwią — rzekł, jakby do kogoś czwartego, hetmana — a to ja tobie przypomnę, co mnie w Czehryniu powiadali, gdym tam z Bazawłuku z Tuhaj-bejem przyszedł. Pytałem ja tam wszędy o niedruha mojego Czaplińskiego, któregom nie znalazł, ale mnie powiedzieli, co ty jemu uczynił po naszem pierwszem spotkaniu, że ty jego za łeb i za hajdawery ułapił, i drzwi nim wybił i okrwawił jak sobakę, ha!

— Istotnie to uczyniłem — rzekł Skrzetuski.

— Oj sławnie ty uczynił, dobrze ty postąpił! No, ja jego jeszcze dostanę, inaczej za nic traktaty i komisya, ja go jeszcze dostanę i poigram z nim po mojemu, ale i ty jemu dał pieprzu.

To rzekłszy, hetman zwrócił się do Kisiela i nanowo jął opowiadać:

— Za łeb go złapał i za pludry, podniósł jak liszkę, drzwi nim wybił i na ulicę wyrzucił.

Tu zaczął się śmiać, aż echo rozlegało się po alkierzu i dochodziło do izby biesiadnej.

— Mości wojewodo, każ dać miodu, muszę ja wypić za zdrowie tego rycerza, druha mojego.

Kisiel uchylił drzwi i na pacholika krzyknął, który wnet podał trzy kusztyki huszczańskiego miodu.

Chmielnicki trącił się z wojewodą i ze Skrzetuskim, wypił — aż mu się z czupryny zadymiło, zaśmiała mu się twarz, ochota wielka wstąpiła w serce i zwróciwszy się do porucznika, zakrzyknął:

— Proś, mnie, o co chcesz!

Rumieniec wystąpił na blade oblicze Skrzetuskiego; nastała chwila milczenia.

— Nie bój się — rzekł Chmielnicki. — Słowo nie dym; proś, o co chcesz, byleś o takie rzeczy nie prosił, które należą do Kisiela.

Chmielnicki, nawet pijany, był zawsze sobą.

— Kiedy mi wolno z afektu, jaki masz dla mnie, mości hetmanie korzystać, tedy sprawiedliwości od ciebie żądam. Jeden z twoich pułkowników krzywdę mi wyrządził...

— Szyję mu urezać! — przerwał z wybuchem Chmielnicki.

— Nie o to chodzi, każ mu jeno do walki ze mną stanąć.

— Szyję mu urezać! — powtórzył hetman. — Kto to taki?

— Bohun.

Chmielnicki począł mrugać oczyma, poczem uderzył się dłonią w czoło.

— Bohun? — rzekł. — Bohun zabit. Meni korol pysaw, że on w pojedynku usieczon.

Skrzetuski zdumiał. Zagłoba prawdę mówił.

— A co tobie Bohun uczynił? — pytał Chmielnicki.

Jeszcze silniejsze płomienie wystąpiły na lica porucznika. Bał się mówić o kniaziównie wobec półpijanego hetmana, aby jakiego nieprzebaczonego bluźnierstwa nie usłyszeć.

Kisiel go wyręczył.

— Jest to rzecz poważna — rzekł — o której mnie kasztelan Brzozowski opowiadał. Bohun porwał, mości hetmanie, temu oto kawalerowi narzeczoną i ukrył ją niewiadomo gdzie.

— Tak ty jej szukaj — rzekł Chmielnicki.

— Szukałem nad Dniestrem, bo tam ją ukrył, alem jej nie znalazł. Słyszałem jednak, że miał ją do Kijowa przeprowadzić, dokąd

i sam na ślub chciał zjechać. Dajże mnie, mości hetmanie, prawo jechać do Kijowa i tam jej szukać, o nic więcej nie proszę.

— Ty mój druh, ty Czaplińskiego rozbił. Ja tobie dam nietylko prawo, żeby ty jechał i szukał wszędy, gdzie zechcesz, ale i rozkaz dam, by ten, u którego ona jest, w twoje ręce ją oddał, i piernacz ci dam na przejazd i list do metropolity, by po monastyrach u czernic szukali. Moje słowo nie dym!

To rzekłszy, uchylił drzwi i na Wyhowskiego zawołał, by przyszedł pisać rozkaz i list. Czarnota musiał, lubo już była czwarta w nocy, ruszać po pieczęcie. Dziedziała przyniósł piernacz, a Doniec dostał rozkaz, by we dwieście koni odprowadził Skrzetuskiego do Kijowa i dalej aż do pierwszych czat polskich.

Nazajutrz Skrzetuski opuścił Perejasław.

LI.

Jeżeli pan Zagłoba nudził się w Zbarażu, to niemniej nudził się Wołodyjowski, który do wojny i przygód szczególnie tęsknił. Bywało wprawdzie, że wychodziły kiedy niekiedy ze Zbaraża chorągwie dla pościgu za kupami swawolników, którzy nad Zbruczem palili i ścinali, ale była to mała wojna, przeważnie podjazdowa, przykra dla tęgiej zimy i mrozów, dająca wiele trudów, mało sławy. Z tych wszystkich przyczyn nalegał pan Michał na Zagłobię, żeby iść w pomoc Skrzetuskiemu, od którego przez długi czas żadnej nie było wieści.

— Pewno on tam popadł w jakoweś zgubne terminy, a może i żywota już zbył — mówił Wołodyjowski; — trzeba nam jechać koniecznie, niechby razem z nim zginąć przyszło.

Pan Zagłoba nie bardzo się opierał, bo jak utrzymywał, murszał w Zbarażu z ostatkiem, i dziwił się, że jeszcze grzyby na nim nie porastają, ale zwłóczył, spodziewając się że lada chwila może przyjść od Skrzetuskiego wiadomość.

— Mężny on jest, ale i roztropny — odpowiadał na nalegania Wołodyjowskiego — czekajmy jeszcze parę dni, bo nuż list przyjdzie i okaże się, że cała nasza ekspedycya niepotrzebna.

Pan Wołodyjowski uznawał słuszność argumentu i uzbrajał się w cierpliwość, choć czas wlókł się coraz wolniej. Przy końcu grudnia

mrozy przerwały nawet rozboje. W okolicy nastał spokój. Jedyną rozrywkę stanowiły wieści publiczne, które często gęsto odbijały się o szare mury zbaraskie.

Rozprawiano więc o koronacyi, i o sejmie, i o tem czy książę Jeremi dostanie buławę, która przed wszystkimi innymi wojownikami jemu się należała. Oburzano się przeciw tym, którzy twierdzili, że wobec zwrotu ku traktatom z Chmielnickim, jeden tylko Kisiel może pójść w górę. Wołodyjowski odbył z tego powodu kilka pojedynków — pan Zagłoba kilka pijatyk — i było niebezpieczeństwo, że całkiem rozpić się może, bo nietylko dotrzymywał kompanii oficerom i szlachcie, ale nie wstydził się nawet chodzić i między łyczków na chrzciny, wesela, chwaląc sobie szczególnie ich miody, któremi słynął Zbaraż.

Wołodyjowski strofował go o to, mówiąc, że nie przystoi szlachcicowi poufalić się z ludźmi niskiej kondycyi, gdyż od tego szacunek dla całego stanu się zmniejsza, ale Zagłoba odpowiadał, że prawa to temu winny, które pozwalają stanowi mieszczańskiemu w pierze porastać i do takich przychodzić dostatków, jakie tylko udziałem szlachty być winny; wróżył, że z tak wielkich prerogatyw dla ludzi nikczemnych nic dobrego wypaść nie może, ale swoje robił. I trudno mu było brać to za złe w czasie posępnych dni zimowych, wśród niepewności, nudy i oczekiwania.

Zwolna jednak zaczęły chorągwie książęce coraz liczniej ściągać się do Zbaraża, z czego przepowiadano wojnę na wiosnę. Ale tymczasem ożywiła się nieco ochota. Przyjechał między innymi z chorągwią usarską Skrzetuskiego i pan Podbipięta. Ten przywiózł wieści o niełasce, w jakiej książe u dworu zostawał, i o śmierci pana Janusza Tyszkiewicza, wojewody kijowskiego, po którym, wedle powszechnego głosu, Kisiel na województwo miał nastąpić, a nakoniec o ciężkiej chorobie, jaką złożony był w Krakowie pan Łaszcz, strażnik koronny. Co do wojny, słyszał pan Podbipięta od samego księcia, że chyba siłą rzeczy z konieczności nastąpi, bo komisarze już ruszyli z instrukcyami, aby wszelkie możliwe Kozakom poczynić ustępstwa. Relacyę tę pana Podbipięty rycerstwo Wiśniowieckiego przyjęło z wściekłością, a pan Zagłoba proponował protest do grodu zanieść i konferederacyę zawiązać, gdyż jak mówił, nie chciał, żeby jego praca pod Konstantynowem poszła na marne.

W tych nowinach i niepewnościach upłynął luty i marzec dobiegał połowy — a od Skrzetuskiego ciągle nie było wieści.

Wołodyjowski tembardziej począł nalegać na wyjazd.

— Już nie kniaziówny, ale Skrzetuskiego — mówi — szukać nam wypada.

Tymczasem pokazało się, że pan Zagłoba miał słuszność, odkładając z dnia na dzień wyprawę, gdyż w końcu marca przybył Kozak Zachar z listem, adresowanym do Wołodyjowskiego z Kijowa. Pan Michał wezwał natychmiast Zagłobę, a gdy się zamknęli z posłańcem w osobnej izbie, rozerwał pieczęć i czytał co następuje:

"Nad Dniestrem, aż do Jahorliku, nie odkryłem żadnych śladów. Suponując, że musi być ukryta w Kijowie, przyłączyłem się do komisarzy, z którymi do Perejasławia zaszedłem. Tam uzyskawszy nadspodziewanie konsens od Chmielnickiego, przybyłem do Kijowa i szukam wszędy, w czem mi sam metropolita sekunduje Siła tu naszych ukrytych u mieszczan i po monasterach, ale ci, dla bojaźni czerni, nie dają wiedzieć o sobie, dla tego szukać trudno. Bóg sam prowadził mnie i nietylko chronił, ale Chmielnickiego afektem dla mnie natchnął, mam przeto nadzieję, że mi dalej pomoże i zmiłuje się nademną. Księdza Muchowieckiego o wotywę solenną upraszam, na której módlcie się na moją intencyę.

Skrzetuski."

— Chwała bądź Bogu Przedwiecznemu! — wykrzyknął Wołodyjowski.

— Jest jeszcze postcriptum (dopisek) — rzekł Zagłoba, zaglądając przez ramię pana Michała.

— Prawda! — rzekł mały rycerz i czytał dalej:

"Oddawca tego listu, esauł mirhorodzkiego kurzenia, miał mnie w poczciwej opiece, gdy w Siczy w niewoli byłem. I teraz w Kijowie mi pomagał, i list zanieść się podjął z narażeniem zdrowia; miej go, Michale, w staraniu, aby mu niczego nie brakło."

— Oto uczciwy Kozak, przynajmniej jeden taki! — rzekł Zagłoba, podając Zacharowi rękę.

Stary uścisnął ją bez uniżoności.

— Może być pewien nagrody! — wtrącił mały rycerz.

— On sokół! — odparł Kozak — ja jeho lublu, ja ne dla hroszi tutki priszow (ja jego kocham, ja nie dla pieniędzy tutaj przyszedłem).

— I fantazyi ci widzę nie braknie, którejby się szlachcic niejeden nie powstydził — mówił Zagłoba. — Nie same bestye między wami,

nie same bestye! Ale mniejsza z tem. To tedy pan Skrzetuski jest w Kijowie?

— Tak jest.

— A bezpieczen? bo to słyszę czerń tam hula?

— On u Dońca pułkownika mieszka. Jemu nic nie uczynią, bo nasz bat'ko Chmielnicki kazał jego Dońcowi pod gardłem pilnować jak oka w głowie.

— Cuda prawdziwe się dzieją! Skądże Chmielnickiemu takie serce dla Skrzetuskiego?

— On jego zdawna miłuje.

— A mówił tobie pan Skrzetuski, czego szuka w Kijowie?

— Jak nie miał mówić, kiedy on wie, że ja jego druh, ja szukał z nim razem i osobno, tak musiał powiedzieć, czego mnie szukać?

— Aleście dotąd nie znaleźli?

— Nie znaleźliśmy. Co tam Lachiw jeszcze jest, to się kryją jeden o drugim nie wie, tak i znaleźć niełatwo. Wy słyszeli, że tam czerń morduje, a ja to widział; nietylko Lachiw mordują, ale i tych, którzy ich ukrywają, nawet mnichów i czernice. W monastyrze Dobrego Mikoły u czernic było dwanaście Laszek, to je razem z czernicami dymem w celi zadusili, a co parę dni to się skrzykną po ulicach, i łowią, i do Dniepru prowadzą. Hej, co tam już wytopili!...

— To może i ją zamordowali?

— Może i ją.

— Ale nie! — przerwał Wołodyjowski. — Już jeśli ją tam Bohun sprowadził, to ją musiał zabezpieczyć.

— Gdzie bezpieczniej, niż w monastyrze, a dlatego i tam znajdą.

— Uf! — rzekł Zagłoba. — Tak wy myślicie, Zachar,- że ona mogła zginąć?

— Ne znaju.

— Widać, że Skrzetuski jest dobrej myśli — rzekł Zagłoba. — Bóg go doświadczył, ale go pocieszy. A wyście, Zachar, dawno wyjechali z Kijowa?

— Oj dawno, pane! Ja wtedy wyszedł, kiedy komisary koło Kijowa z powrotem przejeżdżali. Bahaćko Lachiw chciało z nimi uciekać, i tak uciekali neszczastnyje, jak kto mógł, po śniegach, po wertepach, przez lasy, lecieli do Białogródki, a Kozacy gnali za nimi i bili. Bahato utikło, bahato zabyły, a niektórych pan Kisiel wykupił, za wszystkie hroszi, jakie miał.

— O dusze pieskie! To wyście z komisarzami jechali?

— Z komisarzami aż do Huszczy, a stamtąd do Ostroga. Dalej już ja sam szedł.

— To wy dawni znajomi pana Skrzetuskiego?

— W Siczy ja go poznał i rannego pilnował, a potem i polubił, jak detynu ridniuju (jak dziecko rodzone). Ja stary i mnie niema kogo lubić.

Zagłoba krzyknął na pachołka, kazał podać miodu i mięsiwa, i zasiedli do wieczerzy. Zachar jadł smaczno, bo był zdrożony i głodny, następnie zanurzył chciwie siwe wąsy w ciemnym płynie, wypił, posmakował i rzekł:

— Sławny miód.

— Lepszy niż krew, którą pijecie — rzekł Zagłoba. — Ale tak myślę, że wy uczciwy człek i pana Skrzetuskiego miłujący, nie pójdziecie więcej do buntu, jeno zostaniecie tu z nami? Już wam tu będzie dobrze.

Zachar podniósł głowę.

— Ja pyśmo widdaw (ja list oddałem), tak i pójdę, ja Kozak, mnie z Kozakami, nie z Lachami się bratać.

— I będziecie nas bili?

— A budu (będę)! Ja siczowy Kozak. My sobie Chmielnickiego bat'ka hetmanem obrali, a teraz korol (król) jemu buławę i chorągiew przysłał.

— Ot, masz! panie Michale — rzekł Zagłoba, — nie mówiłem żeby protestować?

— Z z jakiego wy kurzenia?

— Z mirhorodzkiego, ale jego już niema.

— Co się z nim stało?

— Husary pana Czarnieckiego pod Żółtą Wodą starli. Teraz ja u Dońca, z tymi co zostali. Pan Czarniecki szczery żołnir, on u nas w niewoli, o niego komisarze prosili.

— Mamy i my waszych jeńców.

— Tak i musi być. W Kijowie mówili, że najlepszy mołojec u Lachów w niewoli, choć inni mówili, że zginął.

— Kto taki?

— Oj, sławny ataman Bohun.

— Bohun usieczon w pojedynku na śmierć.

— A kto go ubił?

— Ten oto kawaler — odrzekł Zagłoba, wskazując Wołodyjowskiego.

Zacharowi, który w tej chwili przechylał drugą kwartę miodu, oczy na wierzch wyszły, twarz sponsowiała, nakoniec parsknął przez nozdrza płynem i śmiechem zarazem.

— Ten łycar Bohuna ubił? — pytał, krztusząc się od śmiechu.

— Co u starego dyabła! — wykrzyknął, marszcząc brwi Wołodyjowski. — Za dużo sobie ten posłaniec pozwala!

— Nie gniewaj się, panie Michale — przerwał Zagłoba. — Poczciwy to widać człowiek, a że się na polityce nie zna, to od tego on Kozak. Z drugiej strony, tem większa dla waćpana chwała, że wyglądając tak niepoczesnie, tak wielkich przewag już w życiu dokonałeś. Ciało masz nikczemne, ale duszę wielką. Ja sam, pamiętasz, jakem ci się przypatrywał po bitwie, chociażem bitwę na własne oczy widział, bo mi się wierzyć nie chciało, żeby taki chłystek....

— Dajże waćpan pokój! — burknął Wołodyjowski.

— Nie ja twym ojcem, nie miejże do mnie rankoru, ale to ci powiem, że pragnąłbym mieć takiego syna, i jeżeli chcesz, to cię będę adoptował, majętność całą ci zapiszę, bo to nie wstyd być wielkim w małem ciele. I książę niewiele większy od ciebie, a dlatego Aleksander Macedoński nie wart być jego giermkiem.

— Ale bo co mnie gniewa — rzekł udobruchany nieco Wołodyjowski, — to właśnie, że z tego listu Skrzetuskiego nic pomyślnego nie widać. Że on sam nad Dniestrem nie położył głowy, to chwała Bogu; ale kniaziówny dotąd nie znalazł, i któż zaręczy, czy ją znajdzie?

— Prawda jest! Ale gdy Bóg go przez nasze ręce od Bohuna uwolnił i przez tyle niebezpieczeństw, przez tyle sideł przeprowadził; gdy i Chmielnickiego zakamieniałe serce afektem dziwnym dla niego natchnął, to juści nie po to, żeby od męki i żałości na schab wysechł. Jeżeli w tem wszystkiem nie widzisz, panie Michale, ręki Opatrzności, to widać tępszy masz dowcip od szabli, jakoż i słuszna to jest, że nikt nie może wszystkich przymiotów naraz posiadać.

— Widzę to jedno — odparł, ruszając wąsikami Wołodyjowski — że my nie mamy nic tam do roboty i dalej musimy tu siedzieć, póki nie sparciejemy do reszty.

— Prędzej ja sparcieję, niż ty, bom starszy, a to wiesz, że i rzepa parcieje i słonina jełczeje ze starości. Dziękujmy raczej Bogu, że

wszystkim naszym zgryzotom szczęśliwy koniec obiecuje. Niemałom ja się namartwił o kniaziównę, więcej jako żywo od ciebie, a niewiele mniej od Skrzetuskiego, bo ona moja córuchna, i pewniebym rodzonej tak nie kochał. Mówią nawet, że do mnie kubek w kubek podobna, ale ja ją i bez tego miłuję, i nie widziałbyś mnie ani wesołym ani spokojnym, gdybym nie ufał, że już wkrótce niedola jej się skończy.. Od jutra układam epitalamium (pieśń weselna), bo bardzo piękne wiersze piszę, jenom w ostatnich czasach trochę Apollina (bożek piękna) dla Marsa (bożek wojny) zaniedbał.

— Co tu i mówić teraz o Marsie! — odrzekł Wołodyjowski. — Niech kaduk porwie tego zdrajcę Kisiela, wszystkich komisarzów i ich traktaty! Na wiosnę pokój uczynią, jak dwa a dwa cztery, Pan Podbipięta, który się z księciem widział, też to mówił.

— PanPodbipięta tyle się zna na rzeczach publicznych, ile koza, na pieprzu. Więcej on tam przy dworze za ową dzierlatką wietrzył niż za wszystkiem innem, i warował do niej, niby pies do kuropatwy. Dałby Bóg, żeby mu kto inny ją ustrzelił, ale mniejsza z tem. Nie neguję (nie przeczę) ci, że Kisiel zdrajca, bo o tem cała Rzeczpospolita wie dobrze, jeno tak myślę, że co do traktatów, na dwoje babka wróży.

Tu Zagłoba zwrócił się do Kozaka:

— A co tam u was, Zachar, mówią: będzieli pokój, czy wojna? Do pierwszej trawy będzie spokój, a na wiosnę to przyjdzie na pohybel albo nam, albo Lachiwczykam.

— Pocieszże się panie Michale; słyszałem i ja, że się czerń wszędy armuje (zbroi).

— Bude taka wijna, jakoi ne buwało (będzie taka wojn a, jakiej dotychczas nie było) — rzekł Zachar. — U nas mówią, że i sułtan turecki przyjdzie, i chan ze wszystkiemi ordami, a nasz druh, Tuhaj-bej, na hawrani stoi, wcale do dom nie poszedł.

— Pocieszże się, panie Michale — powtórzył Zagłoba. — Jest też proroctwo o nowym królu, że całe panowanie pod bronią mu zejdzie, już to prawdopodobniejsze, że człowiek długo jeszcze szabli do pochwy nie schowa. Przyjdzie się człowiekowi od ciągłej wojny zedrzeć, jak miotłę od ciągłego zamiatania, ale taka to już nasza żołnierska dola. Kiedy już wypadnie się bić, trzymaj się niedaleko mnie, panie Michale, a pięknych rzeczy się napatrzysz i poznasz jakeśmy to za dawnych, lepszych czasów wojowali. Mój Boże! nie ci to już ludzie, którzy za dawnych lat bywali, i ty już nie taki

jesteś panie Michale, chociażeś sierdzisty żołnierz, i choć Bohuna usiekłeś.

— Sprawiedływe każete, pane — rzekł Zachar. — Ne cii teper lude, szczo buwały...

Potem począł na Wołodyjowskiego spoglądać i głową trząść:

— Ale szczoby cij łycar Bohuna ubyw (żeby ten rycerz Bohuna zabił). no! no!...

LII.

Stary Zachar odjechał napowrót do Kijowa po kilkodniowym odpoczynku, a tymczasem przyszła wieść, że komisarze wrócili bez wielkich nadziei pokoju, a nawet w zupełnem prawie zwątpieniu. Zdołali tylko wyjednać armisticium (zawieszenie broni) aż do Zielonych Świątek ruskich, po których miała się rozpocząć nowa komisya z pełną mocą do traktatów. Jednakże wymaganie i warunki Chmielnickiego były tak górne, że nikt nie wierzył, aby Rzplita zgodzić się na to mogła. Rozpoczęły się więc z obu stron gwałtowne uzbrajania Chmielnicki słał posła za posłem do chana, by na czele wszystkich sił śpieszył na ratunek; słał i do Stambułu, gdzie ze strony królewskiej bawił od dłuższego czasu pan Bieczyński; w Rzeczypospolitej spodziewano się lada chwila wici na pospolite ruszenie. Przyszły wiadomości o mianowaniu nowych wodzów: podczaszego Ostroroga, Lanckorońskiego i Firleja, i o zupełnem usunięciu od spraw wojskowych Jeremiego Wiśniowieckiego, który na czele jeno własnych sił mógł dalej ojczyznę zasłaniać. Nietylko żołnierze książęcy, nietylko szlachta ruska, ale nawet stronnicy dawnych regimentarzy oburzali się na takowy wybór i niełaskę, twierdząc słusznie, iż jeżeli poświęcanie Wiśniowieckiego, póki była nadzieja traktatów, miało swoją racyę polityczną, to usunięcie go w razie wojny było wielkim, niedarowanym błędem, bo on jeden tylko mógł mierzyć się z Chmielnickim i zwyciężyć tego znakomitego wodza rebelii. Zjechał wreszcie i sam książę do Zbaraża w tym celu, aby zebrać jaknajwięcej wojska i stać w pogotowiu na granicy wojny. Zawieszenie broni było zawarte, ale okazywało się co chwila bezsilnem. Chmielnicki kazał wprawdzie ściąć kilku pułkowników, którzy wbrew umowie pozwalali sobie napadów na zamki i chorągwie, na leżach tu i owdzie rozproszone, ale nie mógł opanować

mas czerni i licznych luźnych watah, które o armisticium (zawieszeniu broni) nie słyszały, lub nie chciały słyszeć, lub nie rozumiały nawet znaczenia tego słowa. Wpadały więc one ustawicznie w granice umową zabezpieczone, łamiąc tem samem wszelkie Chmielnickiego przyrzeczenia. Z drugiej strony wojska prywatne i kwarciane, zapędzając się w pościgu za zbójcami, przechodziły częstokroć Prypeć i Horyń w Kijowskiem, zapędzały się w głąb województwa Bracławskiego, a tam napadane przez kozactwo, staczały z niem formalne walki, nieraz bardzo krwawe i zacięte. Stąd skargi ustawiczne, polskie i kozackie, o łamanie umowy, której w samej rzeczy nie było w mocy niczyjej dotrzymać. Zawieszenie broni istniało tedy o tyle, o ile sam Chmielnicki z jednej, a król i hetmani z drugiej strony nie wyruszali w pole, ale wojna rozgorzała już faktycznie, nim główne siły zerwały się do walki, i pierwsze cieplejsze promienie wiosenne oświecały po staremu płonące wsie, miasteczka, miasta, zamki, oświecały rzezie i niedolę ludzką. Zapuszczały się pod Zbaraż watahy z pod Baru, Chmielnika, Machnówki, ścinając, grabiąc, paląc. Te gromił Jeremi rękoma swych pułkowników, bo sam udziału w tej drobnej wojnie nie brał, chcąc wtedy dopiero z całą dywizyą ruszyć, gdy już i hetmani wyjdą w pole.

Rozsyłał więc podjazdy z rozkazami, by krwią za krew płaciły, pałem za grabież i mordy. Poszedł między innymi pan Longinus Podbipięta i pogromił pod Czarnym Ostrowem, ale byłto rycerz w bitwie tylko straszliwy, z jeńcami zaś schwytanymi z bronią w ręku, obchodził się zbyt łagodnie i dla tego więcej go nie posyłano. Szczególnie jednak odznaczył się w podobnych ekspedycyach pan Wołodyjowski, który jako partyzant w jednym chyba Wierszule mógł znaleźć współzawodnika. Nikt bowiem nie odbywał tak błyskawicznych pochodów, nikt nie umiał zejść tak niespodzianie nieprzyjaciela, rozbić go tak szalonym napadem, rozproszyć na cztery wiatry, wyłowić, wyścinać, wywieszać. Wkrótce też otoczył go postrach a z drugiej strony fawor książęcy. Od końca marca do połowy kwietnia zniósł pan Wołodyjowski siedm luźnych watah, z których każda była trzykroć od jego podjazdu silniejsza, i nie ustawał w pracy i coraz więcej okazywał ochoty, jakoby w krwi przelanej ją czerpiąc.

Zachęcał mały rycerz, a raczej mały dyabeł, usilnie pana Zagłobę, by mu w tych ekspedycyach towarzyszył, bo lubił nad wszystko jego kompanię, ale stateczny szlachcic opierał się wszelkim namowom i tak swoją bezczynność tłómaczył:

— Za wielki mam brzuch, panie Michale, na te trzęsienia i szarpaniny, a przytem każdy do czego innego się godzi. Z usarzami na gęstwę nieprzyjaciela przy białym dniu uderzać, tabory łamać, chorągwie brać, to moja rzecz, do tego mnie Pan Bóg stworzył i usposobił: ale pościg nocą, w chróstach, za hultajstwem tobie zostawuję, któryś jest misterny, jako igła, i łatwiej się wszędy przeciśniesz. Starej ja daty rycerz i wolę rozdzierać, jako właśnie lew czyni, niż tropić, jak ogar po haszczach. Zresztą po wieczornym udoju muszę iść spać, bo to moja pora najlepsza.

Jeździł więc pan Wołodyjowski sam, i sam zwyciężał, aż pewnego razu, wyjechawszy pod koniec kwietnia, wrócił w połowie maja tak strapiony i smutny, jakby klęskę poniósł i ludzi wymordował. Tak nawet zdawało się wszystkim; ale było to mylne mnienie. Owszem, w długiej tej i uciążliwej ekspedycyi, doszedł pan Wołodyjowski aż za Ostrów pod Hołowinię, i tam pogromił, nie zwyczajną watahę, złożoną z czerni, ale kilkaset ludzi liczący oddział Zaporożców, który w połowie wyciął, a w połowie w niewolę zagarnął. Tem dziwniejszy był więc głęboki smutek, niby mgłą pokrywający jego wesołe z natury oblicze. Wielu chciało zaraz wiedzieć przyczynę, pan Wołodyjowski jednak nikomu słowa nie rzekł, i zaledwie z konia zsiadłszy, udał się na długą rozmowę do księcia, w towarzystwie dwóch nieznanych rycerzy, następnie razem z nimi szedł do pana Zagłoby, nie zatrzymując się, choć go ciekawi nowin za rękawy po drodze chwytali.

Pan Zagłoba z pewnem zdziwieniem spoglądał na dwóch olbrzymich mężów, których nigdy przedtem w życiu nie widział, a których strój ze złotemi pętelkami na ramionach okazywał, że w wojsku litewskim służą. Wołodyjowski zaś rzekł:

— Zamknij waszmość drzwi i każ nikogo nie puszczać, bo mamy o ważnych sprawach pomówić.

Zagłoba wydał rozkaz czeladnikowi, poczem jął patrzeć niespokojnie na przybyłych, miarkując z ich twarzy, że nic dobrego nie mają do powiedzenia.

— To są — rzekł Wołodyjowski, ukazując młodzieńców — kniazie Bułyhowie-Kurcewicze, Jur i Andrzej.

— Stryjeczni Heleny!— wykrzyknął Zagłoba.

Kniaziowie skłonili się i odrzekli obaj zarazem

— Stryjeczni nieboszczki Heleny.

Czerwona twarz Zagłoby stała się w jednej chwili blado-niebie-

ska, rękoma począł bić powietrze, jak gdyby postrzał otrzymał, usta otworzył, nie mogąc tchu złapać, oczy wytrzeszczył i rzekł, a raczej jęknął:

— Jak to?

— Są wiadomości — odpowiedział posępnie Wołodyjowski — że kniaziówna w monasterze Dobrego Mikoły została zamordowana.

— Czerń wydusiła dymem w celi dwanaście panien i kilkanaście czernic, między któremi była siostra nasza — dodał kniaź Jur.

Zagłoba tym razem nic nie odrzekł, jeno twarz, poprzednio sina, poczerwieniała mu tak, że obecni zlękli się, aby go krew nie zalała, zwolna powieki opadły mu na oczy, poczem zakrył je rękoma, a z ust wyrwał się nowy jęk:

— Świecie! świecie! świecie.

Potem umilkł i trwał w milczeniu.

A kniaziowie i Wołodyjowski biadać zaczęli:

— Oto zebraliśmy się razem krewni i przyjaciele, którzyśmy ci na ratunek, wdzięczna panno, iść chcieli — mówił, wzdychając raz po raz, młody rycerz — ale snadź spóźniliśmy się z pomocą. Za nic nasza ochota, za nic nasze szable i odwaga, bo na innym ty już, lepszym od tego lichego świecie przebywasz, u Królowej Niebieskiej we fraucymerze.

— Siostro! — wołał olbrzymi Jur, którego żal nanowo pochwycił za serce — ty nam odpuść nasze winy, a my za każdą kroplę twojej krwi wiadro wylejemy.

— Tak nam dopomóż Bóg! — dodał Andrzej.

I obaj mężowie wyciągnęli do nieba ręce, Zagłoba zaś wstał z ławy, postąpił kilka kroków ku tapczanowi, zatoczył się jak pijany, i padł na kolana przed obrazem.

Po chwili na zamku ozwały się dzwony, zwiastujące południe, które brzmiały tak ponuro, jakby dzwony pogrzebowe.

— Niema jej już, niema! — rzekł znowu Wołodyjowski. — Do niebios ją anieli zabrali, nam zostawując łzy i wzdychania.

Łkanie wstrząsnęło grubem ciałem Zagłoby i trzęsło niem, a oni ciągle narzekali i dzwony biły.

Wreszcie Zagłoba uspokoił się — myśleli nawet, że może bólem znużony usnął na klęczkach, ale on po niejakim czasie wstał i siadł na tapczanie; tylko był to już jakby inny człowiek: oczy miał czerwone i krwią zaszłe, głowę spuszczoną, dolna warga zwisła mu aż na brodę, na twarzy osiadło niedołęstwo i jakaś niebywała

zgrzybiałość — tak, że mogło się naprawdę zdawać, że ów dawny pan Zagłoba, butny, jowialny, pełen fantazyi, umarł, a został tylko starzec, wiekiem przyciśnięty i zmęczony.

Wtem mimo prostestacyi pilnującego drzwi pacholika, wszedł pan Podbipięta i na nowo rozpoczęły się żale i narzekania; Litwin wspominał Rozłogi i pierwsze widzenie się z kniaziówną jej słodycz, młodość i urodę, wreszcie wspomniał, że jest ktoś nieszczęśliwszy od nich wszystkich, to jest narzeczony, pan Skrzetuski — i jął rozpytywać o niego małego rycerza.

— Skrzetuski został u księcia Koreckiego w Korcu, dokąd z Kijowa przyjechał, i leży chory, o świecie Bożym nie wiedząc — rzek pan Wołodyjowski.

— Zali nie trzeba, abyśmy do niego jechali? — pytał Litwin.

— Niema tam poco jechać — odparł Wołodyjowski. — Medyk książęcy zaręcza za jego zdrowie; jest tam pan Suchodolski, pułkownik księcia Dominika, ale wielki przyjaciel Skrzetuskiego, jest nasz stary Zaćwilichowski: obaj mają go w opiece i staraniu. Na niczem mu nie zbywa, a to że go delirium nie opuszcza, to dla niego lepiej.

— O mocny Boże! — rzekł Litwin. — Widziałżeś waćpan Skrzetuskiego na własne oczy?

— Widziałem, ale żeby mi nie powiedzieli, że to on, to nie byłbym go poznał, tak go boleść i choroba strawiły.

— A on poznał waćpana?

— Pewnie poznał, choć nic nie mówił, bo się uśmiechnął i głowę kiwnął, a mnie taka żałość porwała, żem dłużej zostać nie mógł. Książę Korecki chce tu iść do Zbaraża z chorągwiami, Zaćwilichowski z nim razem pójdzie, a i pan Suchodolski zaklina się, że ruszy, choćby miał ordynanse od księcia Dominika przeciwne. Oni to sprowadzą tu i Skrzetuskiego, jeśli go boleść nie zmoże.

— A skądże macie te wiadomości o śmierci kniaziówny? — pytał dalej Longinus. — Czy nie ci kawalerowie je przywieźli? — dodał, wskazując kniaziów.

— Nie. Ci kawalerowie trafem się w Korcu o wszystkiem dowiedzieli, dokąd przyjechali z posiłkami od wojewody wileńskiego, i tu ze mną przyszli, bo i do naszego księcia od wojewody listy mieli. Wojna jest pewna, a z komisyi już nic nie będzie.

— To już i my to wiemy, ale powiedz mi waćpan, kto ci o śmierci kniaziówny mówił?

— Mówił mi Zaćwilichowski, a on wie od Skrzetuskiego. Skrzetuskiemu dał Chmielnicki peımsyę, żeby w Kijowie szukał, i sam metropolita miał mu pomagać. Szulkali tedy głównie po monasterach, bo co z naszych w Kijowie zostało, to w nich się kryje. I myśleli, że pewnie Bohun kniaziównę w jakowym monasterze umieścił. Szukali, i byli dobrej myśli, choć wiedzieli, że czerń u Dobrego Mikoły dwanaście panien dymem wydusiła. Sam metropolita upewniał, że przecie na narzeczoną Bohuna nie byliby się rzucili, aż pokazało się inaczej.

— To ona była u Dobrego Mikoły.

— Tak jest. Spotkał Skrzetuski w jednym monasterze ukrytego pana Joachima Jerlicza, a że to wszystkich o kniaziównę dopytywał, więc pytał i jego; pan Jerlicz zaś powiedział mu, że jakie były panny, to je wpierw Kozacy pobrali, jeno się u Dobrego -iMikoły dwanaście zostało, które dymem później wyduszono, a między niemi miała być i Kurcewiczówna. Skrzetuski, że to pan Jerlicz śledziennik i nawpół przytomny od ciągłego strachu, nie wierzył mu i poleciał zaraz po raz wtóry do Dobrego Mikoły jeszcze raz pytać; na nieszczęście mniszki, których trzy także w tej samej celi uduszono, nie wiedziały nazwisk, ale słuchając deskrypcyi kniaziówny, którą im Skrzetuski czynił, powiedziały, że taka była. Wtedy to Skrzetuski z Kijowa wyjechał i zaraz na zdrowiu zapadł.

— To dziw tylko, że jeszcze żyje.

— Byłby umarł niechybnie, gdyby nie ów stary Kozak, który go w niewoli na Siczy pilnował, a potem tu od niego z listami przyjechał, i wróciwszy, znów w szukaniu mu pomagał. Ten go do Korca odwiózł i panu Zaćwilichowskiemu w ręce oddał.

— Niechże go Bóg ma w swojej opiece, bo ou się już nigdy nie pocieszy! — rzekł Longinus.

Pan Wołodyjowski umilkł, i grobowe milczenie panowało między wszystkimi. Kniazie, podparłszy się łokciami, siedzieli bez ruchu z namarszczoną brsią. Podbipięta oczy w górę wznosił, a pan Zagłoba utkwił szklany wzrok w przeciwległą ścianę, jakby w najgłębszem zamyśleniu się pogrążył.

— Zbudź się waćpan! — rzekł wreszcie do niego Wołodyjowski, wstrząsając go za ramię. — O czem tak myślisz? nic już nie wymyślisz i wszystkie twoje fortele na nic się nie przydadzą.

— Wiem o tem — odparł złamanym głosem Zagłoba — jeno myśle. żem stary i że nie mam co robić na tym świecie.

LIII.

Imaginuj sobie waćpan — mówił w kilka dni później Wołodyjowski do Longina — że ten człowiek tak się w jednej godzinie zmienił, jakoby o dwadzieścia lat postarzał. Taki wesoły, taki mowny, tak w fortele obfity, że samego Ulisesa w nich przewyższał, dziś pary z gęby nie puści, jeno po całych dniach drzemie, na starość narzeka i jakby przez sen mówi. Wiedziałem to, że on ją kochał, alem się nie spodziewał, żeby do tego stopnia.

— Cóż to dziwnego — odparł, wzdychając, Litwin. — Tembardziej się do niej przywiązł, że ją z rąk Bohunowych wydarł i tyle dla niej niebezpieczeństw i przygód w ucieczce doświadczył. Póki tedy była nadzieja, póty się i jego dowcip na fortele wysilał i sam się na nogach trzymał, a teraz nie ma on już naprawdę co na świecie robić, samotnym będąc i serca nie mając o co zaczepić.

— Próbowałem już i pić z nim, w tej nadziei, że mu trunek dawny wigor powróci, i to na nic! Pić, pije, ale nie zmyśla po dawnemu, nie prawi o swych przewagach, jeno się roztkliwi, a potem głowę na brzuch zwiesi i śpi. Już nie wiem, czy i pan Skrzetuski w większej desperacyi od niego żyje.

— Szkoda to jest niewymowna, bo jednak wielki to był rycerz! Chodźmy do niego, panie Michale. Miał on zwyczaj dworować sobie ze mnie i we wszystkiem mi dogryzać. Może go i teraz ochota do tego chwyci. Mój Boże, jak się to ludzie zmieniają! Taki to był wesoły człek!

— Chodźmy! — rzekł pan Wołodyjowski. — Późno już jest, ale jemu najciężej wieczorem, bo wydrzemawszy się przez cały dzień, w nocy spać nie może.

Tak rozmawiając, udali się obaj do kwatery pana Zagłoby, którego znaleźli siedzącego pod otwartem oknem, z głową opartą na ręku. Późno już było; w zamku ustał wszelki ruch, jeno warty obwoływały się przeciągłymi głosami, a w gąszczach, dzielących zamek od miasta, słowiki wywodziły zapamiętale swoje nocne trele, poświstując, cmokając tak gęsto, jak gęsto pada ulewa wiosenna. Przez otwarte okno wchodziło ciepłe majowe powietrze i jasne pro-

mienie księżyca, które oświecały pognębioną twarz pana Zagłoby i łysinę schyloną na piersi.

— Dobry wieczór waćpanu! — rzekli dwaj rycerze.

— Dobry wieczór! — odpowiedział Zagłoba.

— Co waćpan tak przy oknie rozpamiętywasz, zamiast spać iść? — pytał Wołodyjowski.

Zagłoba westchnął.

— Bo mi nie do snu — odrzekł wlokącym się głosem. — Rok temu, rok, uciekałem z nią nad Kahamlikiem od Bohuna, i tak samo nam owe ptaszyny fiukały, a teraz gdzie ona?

— Bóg to tak zrządził! — rzekł Wołodyjowski.

— Na łzy i smutek, panie Michale! Niemasz już dla mnie pocieszenia!

Umilkli — jeno przez otwarte okno dochodziły coraz mocniej trele słowicze, którymi cała ona jasna noc zdawała się być przepełnioną.

— O Boże! Boże! — westchnął Zagłoba — zupełnie tak jak nad Kahamlikiem!

Pan Longinus strząsnął łzę z płowych wąsów, a mały rycerz rzekł po chwili:

— Ej, wiesz co waćpan? smutek smutkiem, — napij się z nami miodu, bo niemasz nic lepszego na zgryzotę. Będziemy przy szklanicy rozpamiętywać lepsze czasy.

— Napiję się — rzekł z rezygnacyą Zagłoba.

Wołodyjowski kazał czeladnikowi przynieść światło i gąsiorek, a następnie gdy zasiedli, wiedząc, że wspomnienia najlepiej ze wszystkiego ożywiają pana Zagłobę, pytał:

— To już rok, jakeś waćpan z nieboszczką z Rozłogów przed Bohunem uciekał?

— W maju to było, w maju — odrzekł Zagłoba. — Przeszliśmy przez Kahamlik, żeby ku Zołotonoszy uciekać. Oj, ciężko na świecie!

— I ona była przebrana?

— Za kozaczka. Włosy jej szablą musiałem, niebodze mojej, obcinać, aby jej nie poznano. Wiem miejsce, gdziem je pod drzewem razem z szablą pochował.

— Słodka to była panna! — dorzucił z westchnieniem Longinus.

— To mówię waćpanom, żem ją pierwszego dnia tak pokochał, jakbym ją od małego hodował. A ona tylko rączyny przedemną

składała, a dziękowała i dziękowała za ratunek i opiekę. Niechby mnie byli usiekli, nimem się dzisiejszego dnia doczekał. Bodaj mi było nie dożyć!

Tu znów nastało milczenie i trzej rycerze pili miód zmieszany ze łzami, poczem Zagłoba tak dalej mówić począł:

— Myślałem, że przy nich starości spokojnej doczekam, a teraz...

Tu ręce zwisły mu bezsilnie.

— Znikąd pociechy, znikąd pociechy, chyba w grobie...

Tymczasem, nim pan Zagłoba ostatnich słów dokończył, hałas powstał w sieni; ktoś chciał wejść, a czeladnik nie puszczał; powstała głośna sprzeczka, w której zdawało się panu Wołodyjowskiemu, że poznaje jakiś głos znajomy, więc zawołał na czeladnika, by dłużej wejścia nie bronił.

Następnie drzwi otworzyły się i ukazała się w nich pyzata, rumiana twarz Rzędziana, który powiódł oczyma po obecnych, pokłonił się i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odrzekł Wołodyjowski — to Rzędzian!

— A ja ci to jestem — dorzekł pachołek — i kłaniam do kolan waszmościom. A gdzie to mój pan?

Twój pan w Korcu i chory.

— O dla Boga! co też jegomość powiada? A ciężko on, Boże broń, chory?

— Był ciężko chory, a teraz zdrowszy. Medyk powiada, że będzie zdrów.

— Bo ja tu z wieściami o pannie do mojego pana przyjechałem.

Mały rycerz począł kiwać malencholijnie głową.

— Niepotrzebnieś się śpieszył, bo już pan Skrzetuski wie o jej śmierci, i my ją łzami rzewnemi oblewamy.

Oczy Rzędziana wylazły zupełnie na wierzch głowy.

— Gwałtu! rety! co słyszę? panna umarła?

— Nie umarła, jeno w Kijowie od zbójów zamordowana.

— A w jakim Kijowie? co jegomość prawi?

— W jakim Kijowie? albo to Kijowa nie znasz?

— Dla Boga, chyba jegomość kpi! Co ona miała do roboty w Kijowie, kiedy ona w jarze nad Waładynką niedaleko Raszkowa ukryta i czarownica miała rozkaz, żeby się do przyjazdu Bohuna ani krokiem nie ruszyła. Jak mnie Bóg miły, zwaryować przyjdzie, czy co?

— Co za czarownica, o czemże ty gadasz?

— A Horpyna, toć tę basetlę znam dobrze!

Pan Zagłoba nagle wstał z ławy i począł rękoma trzepać, jak człowiek, który wpadłszy w głębinę, ratuje się od zatonięcia.

— Na Boga żywego! milcz waćpan! — rzekł do Wołodyjowskiego — na rany Boskie, niech ja pytam!

Obecni aż zadrżeli, tak blady był Zagłoba, i pot wystąpił mu na łysinę, on zaś skoczył równemi nogami przez ławę do Rzędziana i schwyciwszy pachołka za ramię, pytał chrapliwym głosem:

— Kto tobie to powiadał, że ona... koło Raszkowa ukryta?

— Kto miał powiadać? Bohun!

— Chłopie, czyś zwaryował? — wrzasnął pan Zagłoba, trzęsąc pachołkiem jak gruszką — jaki Bohun?

— O dla Boga! — zawołał Rzędzian — czego jegomość tak trzęsie? Dajże jegomość pokój, niech się opamiętam, bom zgłupiał, Jegomość mi do reszty w głowie przewróci. Jakiż ma być Bohun? albo go to jegomość nie zna?

— Gadaj, bo cię nożem pchnę! — wrzasnął Zagłoba. — Gdzieś Bohuna widział?

— We Włodawie! Czego waszmościowie ode mnie chcecie? — wołał przestraszony pachołek. — Cóżem to ja? zbój...

Zagłoba odchodził od zmysłów, tchu mu zabrakło i padł na ławę, dychając ciężko; pan Michał przybył mu na pomoc.

— Kiedyś Bohuna widział? pytał Rzędziana.

— Trzy tygodnie temu.

— To on żyje?

— Co nie ma żyć? sam mi opowiadał, jakeś go jegomość popłatał, ale się wylizał...

— I on tobie mówił, że panna pod Raszkowem?

— Któż inny?

— Słuchaj, Rzędzian, tu o życie twego pana i panny chodzi! Czy tobie sam Bohun mówił, że ona nie była w Kijowie?

— Mój jegomość, jak ona miała być w Kijowie, kiedy on ją pod Raszkowem ukrył i Horpynie przykazał pod gardłem, żeby jej nie puszczała, a teraz mnie piernacz dał i pierścień swój, żebym ja tam do niej jechał, bo jemu się rany odnowiły i musi leżeć, niewiadomo jak długo.

Dalsze słowa Rzędziana przerwał pan Zagłoba, który się z ławy

nanowo zerwał i schwyciwszy się oby rękoma za resztki włosów, począł krzyczeć, jak szalony:

— Żyje moja córuchna, na rany Boskie, żyje to nie ją w Kijowie zabili! żyje ona, żyje moja najmilsza!

I stary tupał nogami, śmiał się, szlochał, nakoniec chwycił Rzędziana za łeb, przycisnął do piersi i począł tak całować, że pachołek do reszty stracił głowę.

— Niechno jegomość da pokój... bo się zatchnę! Jużci że ona żyje... Da Bóg, razem po nią ruszymy... Jegomość, no! jegomość!

— Puść go waszmość, niech odpowiada, bo jeszcze nic nie rozumiemy — rzekł Wołodyjowski.

— Mów, mów! — wołał Zagłoba.

— Opowiadaj od początku, brateńku! — rzekł pan Longinus, na którego wąsach osiadła gęsta rosa.

— Pozwólcie, waszmościowie, niech się wysapię — rzekł Rzędzian — i okno przymknę, bo te juchy słowiki tak się drą w krzakach, że i do słowa przyjść nie można.

— Miodu! — krzyknął na czeladnika Wołodyjowski.

Rzędzian zamknął okno ze zwykłą sobie powolnością, następnie zwrócił się do obecnych i rzekł:

— Waszmościowie mi też usiąść pozwolą, bom się utrudził!

— Siadaj! — rzekł Wołodyjowski, nalewając mu z przyniesionego przez czeladnika gąsiora — pij z nami, boś na to swoją nowiną zasłużył, byleś gadał jak najprędzej.

— Dobry miód! — odpowiedział pachołek, podnosząc szklankę pod światło.

— A bodaj cię usiekli! będzieszże ty gadał? — huknął Zagłoba.

— A jegomość to się zaraz gniewa! Jużci będę gadał, kiedy waszmościowie chcecie, bo waszmościom rozkazywać, a mnie słuchać, od tegom sługa. Ale już widzę, że od początku muszę dokumentnie wszystko opowiadać...

— Mów od początku!

— Waszmościowie pamiętają, jako to przyszła wiadomość o wzięciu Baru, co to nam się zdawało, że już po pannie? Tak ja wróciłem wtedy do Rzędzian, do rodzicieli i do dziadusia, co to już ma dziewięćdziesiąt lat... dobrze mówię... nie! dziewięćdziesiąt i jeden.

— Niech ma i dziewięćset!... — burknął Zagłoba.

— A niech mu Pan Bóg da jak najwięcej! Dziękuję jegomości za

dobre słowo — odrzekł Rzędzian. — Tak tedy wróciłem do domu, żeby rodzicielom odwieźć, com przy pomocy Bożej zebrał między zbójami, bo to już waszmościowie wiecie, że mnie zeszłego roku ogarnęli Kozacy w Czehryniu, że mnie za swego mieli, żem Bohuna rannego pilnował, i do wielkiej konfidencyi z nim przyszedł, a przytem skupowałem trochę od tych złodziejów, to srebra, to klejnoty...

— Wiemy, wiemy! — rzekł Wołodyjowski.

— Otóż przyjechałem do rodzicielów, którzy radzi mnie widzieli i oczom nie chcieli wierzyć, gdym im wszystko, com zebrał, pokazał. Musiałem dziadusiowi przysiądz, żem uczciwą drogą do tego doszedł. Dopieroż się ucieszyli, bo trzebaż waszmościom wiedzieć, że oni mają tam proces z Jaworskimi o gruszę, co na między stoi w połowie nad Jaworskich gruntami, a w połowie nad naszymi ma gałęzie. Owóż jak Jaworscy trzęsą, to i nasze gruszki opadają, a dużo idzie na miedzę. Oni tedy powiadają, że te, co na miedzy leżą, to ich, a my...

— Chłopie, nie przywódźże mnie do gniewu! — rzekł Zagłoba — i nie mów tego, co do rzeczy nie należy!...

— Naprzód z przeproszeniem jegomości, nie jestem ja żaden chłop, jeno szlachcic, choć ubogi, ale herbowy, co jegomości pan porucznik Wołodyjowski i pan Podbipięta, jako znajomi pana Skrzetuskiego, powiedzą, a powtóre ten proces trwa już pięćdziesiąt lat...

Zagłoba zacisnął zęby i dał sobie słowo, że się już więcej nie odezwie.

— Dobrze, rybenko! — rzekł słodko pan Longinus — ale ty nam powiadaj o Bohunie, nie o gruszkach.

— O Bohunie? — rzekł Rzędzian — niechże będzie i o Bohunie. Owóż Bohun myśli, mój jegomość, że nie ma wierniejszego sługi i przyjaciela nade mnie, chociaż mnie w Czehryniu rozszczepił, bom go też co prawda pilnował, opatrywał, kiedy go to jeszcze kniazie Kurcewicze poszczerbili. Obełgałem go wtedy, że już nie chcę służby pańskiej i wolę z Kozakami trzymać, bo więcej zysku między nimi, a on uwierzył. Jak nie miał wierzyć, kiedym go do zdrowia przyprowadził?! Więc też okrutnie mnie polubił i co prawda hojnie wynagrodził, nie wiedząc o tem, żem ja poprzysiągł zemścić się na nim za oną krzywdę czehryńską i że jeżelim go nie zażgał, to jeno dlatego, że nie przystoi szlachcicowi w łożu leżącego nieprzyjaciela nożem, jako świnię pod pachę żgać.

— Dobrze, dobrze! — rzekł Wołodyjowski. — To także wiemy, ale jakimżeś sposobem go teraz znalazł?

— A to, widzi jegomość, było tak: Gdybyśmy już Jaworskich przycisnęli (z torbami oni pójdą, nie może inaczej być!), to ja sobie myślę: "No! czas i mnie będzie Bohuna poszukać i za moją krzywdę mu zapłacić." Spuściłem się rodzicielom z sekretu i dziadusiowi, a on, jako to fantazya u niego dobra, mówi: "Kiedyś poprzysiągł, to idź, bo inaczej będziesz kiep." Więc ja poszedłem, bom sobie i to jeszcze myślał, że jak Bohuna znajdę, to się o pannie, jeśli żywa, może czegoś dowiem, a potem, jak go ustrzelę i do mego pana z nowiną pojadę, to też nie będzie bez nagrody!

— Pewnie, że nie będzie! i my cię też wynagrodzimy — rzek Wołodyjowski.

— A u mnie masz już, brateńku, konika z rzędem — dodał Longinus.

— Dziękuję pokornie waszmościom panom — rzekł uradowany pachołek, — bo słuszna to jest rzecz za dobrą wieść musztuluk a ja też nie przepiję, co od kogo dostanę...

— Dyabli mnie biorą! — mruknął Zagłoba.

— Wyjechałeś więc z domu... — poddał Wołodyjowski.

— Wyjechałem więc z domu — mówił Rzędzian — i myślę znowu: dokąd jechać? chyba do Zbaraża, bo tam i do Bohuna niedaleko, i prędzej się o mojego pana dopytam. Jadę tedy, mój jegomość jadę na Białą i Włodawę, i we Włodawie — koniska już miałem srodze zmęczone — zatrzymuję się na popas. A tam był jarmark, we wszystkich zajazdach pełno szlachty; ja do mieszczan, i tam szlachta! Dopieroż jeden Żyd mi powiada: "Miałem izbę, ale ją ranny szlachcic zajął." — "To, mówię, dobrze się zdarzyło, bo ja opatrunek znam, a wasz cyrulik, jako to w czasie jarmarku, pewnie nie może sobie dać rady z robotą." Gadał jeszcze Żyd, że ten szlachcic sam się opatruje i nie chce nikogo widzieć, a potem poszedł spytać. Ale widać tamtemu było gorzej, bo kazał puścić. Wchodzę ja — i patrzę kto leży w betach — Bohun! Przeżegnałem się: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! ażem się przeląkł, a on mnie poznał odrazu, ucieszył się okrutnie (że to mnie ma za przyjaciela) i powiada: "Bóg mi cię zesłał! teraz już nie umrę." A ja mówię: "Co jegomość tu robisz?" — on zaś palec na gębę położył i dopiero później opowiadał mi swe przygody, jako go Chmielnicki do króla

egomości, a naonczas jeszcze królewicza z pod Zamościa wysłał, i jako pan porucznik Wołodyjowski w Lipkowie go usiekł.

— Wdzięcznie mnie wspomniał? — spytał mały rycerz.

— Nie mogę, mój jegomość, inaczej powiedzieć, jeno że dość wdzięcznie. Myślałem, powiada, że to jakiś wyskrobek, że to, powiada, pokurcz, a to, powiada, junak pierwszej wody, który mnie bez mała na wpół przeciął. Tylko oto, jak o jegomości panu Zagłobie wspomni, to jeszcze gorzej, niż pierwej, zgrzyta, że jegomość go do walki podjudził...

— Niech mu tam kat świeci! Już ja się jego nie boję! — odparł Zagłoba.

— Przyszliśmy tedy do dawnej konfidencyi — mówił dalej Rzędzian — ba! jeszcze do większej, i on mnie wszystko powiadał jako śmierci był blizki, jako go do dworu w Lipkowie wzięli, mając go za szlachcica, a on też się podał za pana Hulewicza z Podola, jak go później wyleczyli, z wielką ludzkością traktując, za co im wdzięczność do śmierci poprzysiągł.

— A cóż we Włodawie robił?

— Ku Wołyniowi się przebierał, ale mu się w Parczewie rany otworzyły, bo się z nim wóz wywrócił, więc musiał zostać, chociaż i w strachu wielkim, gdyż łatwo tam go mogli rozsiekać. Sam mnie to mówił. Byłem, powiada, wysłany z listami, ale teraz świadectwa żadnego nie mam, jeno piernacz, i gdyby się zwiedzieli, ktom jest, toby mnie nietylko szlachta rozsiekała, ale pierwszy komendantby mnie powiesił, nikogo o pozwolenie nie pytając. Pamiętam, że jak mi to rzekł, tak ja do niego mówię: "Dobrze to wiedzieć, że pierwszy komendantby jegomości powiesił." A on pyta: "Jakto?" — "Tak, rzekę, że trzeba być ostróżnie i nikomu nic nie mówić a się też jegomości przysłużę." Dopieroż jak mi dziękować i o wdzięczności zapewniać, jako że mnie nagroda nie minie. "Teraz, mówi, pieniędzy nie mam, ale co mam z klejnotów, to ci dam, a później cię złotem obsypię, tylko mi jedną przysługę jeszcze oddaj."

— Ach! to już przyjdzie do kniaziówny! — rzekł Wołodyjowski.

— Tak jest, mój jegomość, muszę już wszystko dokumentnie powiedzieć. Jak mi tedy rzekł, że teraz pieniędzy nie ma, takem do reszty serce dla niego stracił, i myślę sobie: "Poczekaj, oddam ja ci przysługę!" A on mówi: "Chorym jest, nie mam siły do podróży, a droga daleka i niebezpieczna mnie czeka. Jeżeli się, po-

wiada, na Wołyń dostanę, a stąd blizko, to już będę między swoimi, ale tam, nad Dniestr, nie mogę jechać, bo sił nie staje, i trzeba, powiada, przez wraży kraj przejeżdżać, koło zamków i wojsk. Jedź ty za mnie." Więc ja pytam: "A dokąd?" On na to: "Aż pod Raszków, bo ona tam ukryta u siostry Dońca, Horpyny czarownicy." Pytam: "Kniaziówna?" — "Tak jest!" rzecze. Tamem ją ukrył, gdzie ludzkie oko nie dojrzy, ale jej tam dobrze i jako księżna Wiśniowiecka na złotogłowiach sypia."

— Mówno prędzej na Boga! — krzyknął Zagłoba.

— Co nagle, to po dyable — odpowiedział Rzędzian. — Jakem to tedy, mój jegomość, usłyszał, takem się ucieszył, alem tego po sobie nie pokazał i mówię: "Pewnoż ona tam jest? bo to już musi być dawno, jakeś waćpan ją tam odwiózł?" On począł się zaklinać, że Horpyna, jego suka wierna, będzie ją i dziesięć lat trzymała aż do jego powrotu, i że kniaziówna tam jest, jako Bóg na niebie, bo tam ani Lachy, ani Tatary, ani Kozaki nie przyjdą, a Horpyna rozkazu nie złamie.

Kiedy tak opowiadał Rzędzian, pan Zagłoba trząsł się jak w febrze, mały rycerz kiwał radośnie głową, Podbipięta oczy do nieba wznosił.

— Że ona tam jest, to już pewno — mówił dalej pachołek, — bo najlepszy dowód, że on mnie do niej wysłał, ale ja ociągałem się zrazu, żeby to niczego po sobie nie pokazać, i mówię: "Poco ja tam?" On zaś: "Poto, że ja tam nie mogę jechać. Jeśli, powiada, żywy się z Włodawy na Wołyń przedostanę, to się każę do Kijowa wieźć, bo tam już wszędzie nasi Kozacy górą, a ty, powiada, jedź i Horpynie daj rozkaz, by ją do Kijowa, do monasteru Świętej Przeczystej odwiozła."

— A co! więc nie do Dobrego Mikoły! —wybuchnął Zagłoba. — Zaraz mówiłem, że Jerlicz śledziennik, albo że zełgał.

— Do Świętej Przeczystej! — mówił dalej Rzędzian. — "Pierścień (powiada) ci dam, i piernacz, i nóż, a już Horpyna będzie wiedziała, co to znaczy, bo taka umowa stoi, i Bóg cię (powiada) tembardziej zesłał, że ona cię zna, wie, żeś mój druh najlepszy. Jedźcie razem, Kozaków się nie bójcie, jeno na Tatarów baczcie, jeśliby byli gdzie, i omijajcie, bo ci piernacza nie uszanują. Pieniądze, dukaty tam są (powiada) zakopane na miejscu w jarze, od wypadku to je wyjmij. Po drodze mówcie jeno: "Bohunowa

jedzie!" — a niczego wam nie zbraknie. Zresztą (powiada) czarownica da sobie radę, tylko ty jedź odemnie, bo kogóż ja nieszczęsny poślę, komu zawierzę tu w obcym kraju, między wrogami?" Tak on to mnie, moi jegomoście, prosił, że prawie śluzy wylewał w końcu kazał mi bestya przysięgać, że pojadę, a ja też przysiągłem; jeno w duchu dodałem: "Z moim panem!" On tedy uradował się i zaraz dał mi piernacz, i pierścień, i nóż, i co miał klejnotów, a ja wziąłem, bom myślał: "Lepiej niech będzie u mnie niż u zbója." Na pożegnanie powiedział mi jeszcze, który to jest jar nad Waładynką, jak jechać i jak się obrócić, tak dokumentnie, że z zawiązanemi oczyma bym trafił, co sami waszmościowie zobaczycie, gdyż tak myślę, że razem pojedziemy.

— Zaraz jutro — rzekł Wołodyjowski.

— Co to jutro! dziś jeszcze świtaniem każem konie kulbaczyć.

Radość chwyciła wszystkich za serca, i słychać było to okrzyki wdzięczności ku niebu, to zacieranie rąk radosne, to nowe pytania rzucane Rzędzianowi, na które pachołek ze zwykłą sobie flegmą odpowiadał.

— Niech cię kule biją! — wykrzyknął Zagłoba — jakiego w tobie pan Skrzetuski ma sługę!

— Albo co? — pytał Rzędzian.

— Bo cię chyba ozłoci.

— Ja też tak myślę, że nie będzie to bez nagrody, chociaż mojemu panu z wierności służę.

— A cóżeś z Bohunem uczynił? — pytał Wołodyjowski.

— Toż to, mój jegomość, było dla mnie umartwienie, że znowu on leżał chory, i nie wypadało mi go żgać, bo to i mój panby zganił. Taki już los! Cóżem więc miał robić? Oto, gdy mnie już wszystko powiedział, co miał powiedzieć, i dał, co miał dać, tak ja po rozum do głowy. Poco, mówię sobie, taki złodziej ma po świecie chodzić, który i pannę więzi, i mnie w Czehryniu poszczerbił. Niech go lepiej nie będzie i niech mu kat świeci! Bo i to sobie myślałem, że nuż wyzdrowieje i za nami z Kozakami ruszy? Więc niewiele myśląc, poszedłem do pana komendanta Rogowskiego, który we Włodawie z chorągwią stoi, i doniosłem, że to jest Bohun, najgorszy z rebelizantów. Już go tam musieli do tej pory powiesić.

To rzekłszy, Rzędzian roześmiał się dość głupowato i spojrzał po obecnych, jakby czekając, aby mu zawtórowali, ale jakże się zdziwił, gdy odpowiedziano mu milczeniem. Dopiero po niejakim

czasie, pierwszy Zagłoba mruknął: "Mniejsza z tem!" ale natomiast Wołodyjowski siedział cicho, a pan Longinus jął cmokać językiem, kręcić głową i wreszcie rzekł:

— Toś niepięknie postąpił, brateńku, co się zowie niepięknie

— Jakto? mój jegomość — pytał zdumiony Rzędzian. — Miałem go lepiej pchnąć?

— I tak byłoby nieładnie, i tak nieładnie, ale nie wiem co lepiej. czy być zbójem, czy Judaszem?

— Co też jegomość mówi? Zali to Judasz jakowego rebelizanta wydawał? A to przecie i króla jegomości i całej Rzeczypospolitej jest nieprzyjaciel!

— Prawda to, ale ono zawsze niepięknie. A jak mówisz, ów jegomość się nazywał, co?

— Pan Rogowski. Mówili, że mu na imię Jakób.

— To ten sam! — mruknął Litwin. — Pana Łaszcza krewny i pana Skrzetuskiego nieprzyjaciel.

Ale nie słyszano tej uwagi, bo pan Zagłoba głos zabrał:

— Mości panowie — rzekł. — Tu niema co zwlóczyć. Bóg sprawił przez tego pachołka i tak pokierował, że w lepszych niż dotąd kondycyach będziemy jej szukali. Bogu niech będzie chwała! Jutro musimy ruszyć. Książe wyjechał, ale już i bez jego permissyi puścimy się w drogę, bo czasu niema! Pójdzie pan Wołodyjowski a z nim i Rzędzian, a waćpan, panie Podbipięto, lepiej zostaniesz, bo wzrost twój i prostoduszność wydaćby cię mogły.

— Nie, bracie, ja też pojadę! — rzekł Litwin.

— Dla jej bezpieczeństwa musisz to uczynić i zostać. Waćpana kto raz widział, ten nigdy w życiu nie zapomni. Mamy piernacz, to prawda, ale waćpanuby i z piernaczem nie uwierzyli. Dusiłeś Puljana na oczach wszystkiego Krzywonosowego hultajstwa, a gdyby taka tyczka była między nimi, toćby ją znali. Nie może to być, żebyś waćpan z nami jechał. Tam trzech głów nie znajdziesz a twoja jedna nie wiele pomoże. Masz zgubić imprezę, to lepiej siedź.

— Żal! — rzekł Litwin.

— Żal, nie żal, a musisz się zostać. Jak pojedziemy gniazda z drzew wybierać, to i waćpana weźmiemy, ale teraz nic.

— Słuchać hadko!

— Dajże waćpan pyska, bo mi w sercu wesoło, ale zostań. Tylko jeszcze jedno, mości panowie. Rzecz to największej wagi: sekret,

żeby się między żołnierstwem nie rozniosło, a od nich do chłopstwa nie przeszło. Nikomu ani słowa.

— Ba! a księciu?

— Księcia niema.

— A panu Skrzetuskiemu, jeśli wróci?

— Jemu właśnie ani słowa, bo zarazby się wyrywał za nami; będzie miał dość czasu na radość, a broń Boże nowego zawodu, toby rozum stracił. Parol kawalerski, mości panowie, że ani słowa!

— Parol! — rzekł Podbipięta.

— Parol! parol!

— A teraz Bogu dziękujmy!

To rzekłszy, Zagłoba ukląkł pierwszy, a za nim inni i modlili się długo i żarliwie.

LIV.

Książę przed kilku dniami wyjechał rzeczywiście do Zamościa, w celu czynienia nowych zaciągów, i nierychło spodziewano się jego powrotu, więc Wołodyjowski, Zagłoba i Rzędzian ruszyli na wyprawę bez niczyjej wiedzy i w najgłębszej tajemnicy, do której z ludzi pozostałych w Zbarażu, jeden tylko pan Longinus był przypuszczony, ale i on, słowem związany, milczał, jak zaklęty.

Wierszuł i inni oficerowie, wiedząc o śmierci kniaziówny, nie przypuszczali, by odjazd małego rycerza z Zagłobą był w jakimkolwiek związku z narzeczoną nieszczęsnego Skrzetuskiego, i sądzili, że to do niego raczej wyruszyli dwaj przyjaciele, tembardziej, że był między nimi i Rzędzian, o którym wiedziano, że Skrzetuskiemu służy. Oni zaś pojechali wprost do Chlebanówki i tam czynili przygotowania do pochodu.

Zagłoba kupił przedewszystkiem, za pieniądze pożyczone od Longina, pięć rosłych koni podolskich, zdolnych do dalekich pochodów, których chętnie używała jazda polska i starszyzna kozacka; koń taki mógł dzień cały gnać za bachmatem tatarskim a szybkością biegu przewyższał nawet tureckie, od których był wytrzymalszy na wszelkie zmiany pogody, na noce chłodne i dżdże. Takich to pięć biegunów nabył pan Zagłoba; prócz tego, dla siebie i towarzyszów, również jak i dla kniaziówny, nabył dostatnie świty kozackie; Rzędzian zajął się jukami, a gdy wszystko było

przewidziane i gotowe, ruszyli w drogę, Bogu i świętemu Mikołajowi, patronowi panien, w opiekę przedsięwzięcie oddając.

Tak przebranych łatwo można było poczytać za jakichś atamanów kozackich, i zdarzało się często, że ich zaczepiali żołnierze z załóg polskich i straży rozrzuconych hen aż ku Kamieńcowi, ale tym łatwo legitymował się pan Zagłoba. Jechali czas dłuższy krajem bezpiecznym, bo zajętym przez chorągwie regimentarza Lanckorońskiego, który zbliżał się zwolna ku Barowi, aby na zbierające się tam kupy kozackie mieć oko. Wiedziano już powszechnie, że z układów nic nie będzie, więc wojna wisiała nad krajem, lubo główne siły nie ruszyły się jeszcze. Armistycyum perejasławskie skończyło się do Zielonych Świątek; wojna podjazdowa nie ustawała naprawdę nigdy, a teraz wzmogła się i z obu stron czekano tylko hasła. Tymczasem wiosna rozradowała się nad stepem. Stratowana kopytami końskiemi ziemia pokryła się bisiorem traw i kwiecia wyrosłego z ciał poległych rycerzy. Nad pobojowiskiem kwiliły w błękicie skowronki; na wysokościach ciągnęło z krzykiem ptactwo rozmaite; wody rozlane marszczyły się w łuskę błyszczącą, pod ciepłym powiewem wiatru, a wieczorem żaby, pławiące się w ugrzanej fali, do późna w noc wiodły radosne rozhowory.

Zdawało się, że sama natura pragnie rany zabliźnić, bóle ukoić, mogiły ukryć pod kwiatami. Jasno było na niebie i ziemi, świeżo powietrzno, wesoło, a step cały jak malowany, błyszczał nakształt złotogłowiu, mienił się jak tęcza, albo jak pas polski, na którym zręczna robotnica wszystkie barwy wybornie ożeni. Stepy grały od ptactwa i wiatr chodził po nich szeroki, który suszy wody i śniadość daje twarzom ludzkim.

Wtedy to raduje się każde serce i otuchą napełnia się niezmierną, więc też i nasi rycerze takiej właśnie otuchy byli pełni. Pan Wołodyjowski śpiewał ustawicznie, a pan Zagłoba przeciągał się na koniu, nadstawiał z lubością pleców na słońce i raz, gdy go dobrze zagrzało, rzekł do małego rycerza:

— Błogo mi jest, bo prawdę rzekłszy, po miodzie i węgrzynie, niemasz jak słońce na stare kości.

— Dla wszystkich ono jest dobre — odpowiedział pan Wołodyjowski — gdyż zauważ waćpan, jak nawet animalia (zwierzęta) lubią się wygrzewać na słońcu.

— Szczęście to jest, że w takiej porze jedziemy po kniaziównę —

mówił dalej Zagłoba—gdyż w zimie i przy mrozach, trudnoby z dziewczyną uciekać.

— Niech ją tylko w ręce dostaniemy, a szelmą jestem, jeżeli nam ją kto odbierze.

— Powiem ci, panie Michale — rzekł na to Zagłoba — że jedną mam tylko obawę, a to, żeby w razie wojny, Tatarstwo się w tamtych stronach nie ruszyło i nas nie ogarnęło, bo z Kozakami damy sobie radę. Chłopstwu wcale się nie będziemy legitymowali, bo zauważyłeś, że nas za starszych mają, a Zaporożcy piernacz szanują i Bohunowe imię tarczą nam będzie.

— Znam ja się z Tatary, bo nam w państwie łubniańskiem życie na ustawicznym procederze z nimi schodziło, a już ja i Wierszuł, to nigdy nie mieliśmy odpoczynku — odpowiedział pan Michał.

— I ja ich znam — rzekł Zagłoba. — Wspominałem ci przecie, jakom między nimi wiele lat spędził i do godności wielkich mogłem dojść; ale żem się nie chciał zbisurmanić, więc musiałem wszystkiego poniechać i jeszcze mi śmierć męczeńską zadać chcieli za to, żem ich najstarszego księdza na wiarę prawdziwą namówił.

— A mówiłeś waćpan kiedyindziej, że to było w Galacie?

— W Galacie było swoją drogą, a w Krymie swoją. Bo jeżeli myślisz, że się w Galacie świat kończy, to chyba nie wiesz, gdzie pieprz rośnie. Więcej jest synów Beliala, niżeli chrześcian na tym świecie.

Tu wtrącił się do rozmowy Rzędzian.

— Nietylko od Tatarów możemy mieć przeszkodę — rzekł — bo nie mówiłem waszmościom, co mnie Bohun powiedział, że tego jaru paskudne potęgi pilnują. Sama ona olbrzymka, która kniaziówny pilnuje, można to jest czarownica, z dyabłami w konfidencyi, którzy nie wiem, czy jej o nas nie przestrzegą. Mam ci ja wprawdzie kulę, com ją sam na święconą pszenicę lał, gdyż inna się jej nie chwyta, ale oprócz tego upiorzysków tam podobno całe regimenty, które wejścia bronią. Już to głowa ichmościów w tem, żeby mnie co złego nie spotkało, bo zarazby mi nagroda przepadła.

— Trutniu jeden! — rzecze pan Zagłoba. — Właśnie też nam w głowie o twojem zdrowiu myśleć. Nie skręci ci dyabeł karku, a choćby i skręcił, to wszystko jedno, bo ty i tak za swoje łakomstwo będziesz potępiony. Za stary ja wróbel, żeby mnie na plewy brać, i to sobie zakonotuj, że jeśli Horpyna czarownica, tem ja

możniejszy czarownik, bom się w Persyi ciemnego kunsztu uczył. Ona dyabłom służy, a oni mnie, i mógłbym nimi jako wołami orać, jeno nie chcę, mając na uwadze zbawienie duszy.

— To dobrze, mój jegomość, ale na ten raz, to już niech jegomość swojej mocy użyje, bo zawsze lepiej być w bezpieczności.

— Ja zaś więcej ufam w naszą dobrą sprawę i Boską opiekę! — rzekł Wołodyjowski. — Niechże tam Horpyny i Bohuna czarci strzegą, a z nami są anieli niebiescy, którym najlepszy piekielny komunik nie dotrzyma, na który przypadek świętemu Michałowi Archaniołowi siedm świec z białego wosku ofiaruję.

— To już i ja na jednę się przyłożę — rzekł Rzędzian — żeby mnie jegomość pan Zagłoba potępieniem nie straszył.

— Pierwszy ja ciebie do piekła wyprawię — odpowiedział szlachcic — jeśli się pokaże, że miejsca nie wiesz dobrze.

— Jakto nie wiem? Byleśmy do Waładynki dojechali, to już z zawiązanemi oczyma trafię. Pojedziemy brzegiem ku Dniestrowi, a jar będzie po prawej ręce, który po tem poznamy, że wejście do niego skałą zawalone. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wcale wjechać nie można, ale w skale jest wyrwa, przez którą dwa konie obok siebie przejdą. Jak już tam będziemy, to nam nikt nie umoknie, bo to jest jedyny wchód i wychód z jaru, naokoło zaś ściany tak wysokie, że ptak ledwie przeleci. Czarownica morduje ludzi, którzy tam bez pozwoleństwa wchodzą, i jest dużo kościotrupów, ale na to Bohun nie kazał zważać, jeno jechać i krzyczeć: "Bohun! Bohun!..." Dopieroż ona do nas z przyjaźnią wyjdzie. Prócz Horpyny jest tam jeszcze i Czeremis, który z piszczeli okrutnie strzela. Oboje musimy uśmiercić.

— Onego Czeremisa nie mówię, ale babę dość będzie związać.

— Zaśby ją tam jegomość związał! Ona taka mocna, że pancerz jak koszulę rozdziera, a podkowa to jeno jej w ręku chrupnie. Chyba jeden pan Podbipięta dałby jej radę, ale nie my. Dajno jegomość pokój, mam ja na nią kule święconą; niechże już na tę dyablicę przyjdzie czarna godzina; inaczej leciałaby za nami jak wilczyca, a na Kozaków wyła i pewniebyśmy nietylko panny, ale własnych głów zdrowo nie przywieźli..

Na podobnych rozmowach i naradach schodził im czas w drodze. A jechali spieszno, mijając miasteczka, sioła, futory i mogiły. Szli na Jarmolińce ku Barowi, skąd dopiero mieli się zwrócić ukosem w stronę Jampola i Dniestru. Przechodzili przez te okolice, w

których niegdyś Wołodyjowski pobił Bohuna i pana Zagłobę z jego rąk uwolnił. Trafili nawet do tego samego futoru i zatrzymali się w nim na noc. Czasem też wypadały im noclegi i pod gołem niebem, w stepie, a wówczas pan Zagłoba urozmaicał je opowiadaniem dawnych swych przygód, tych, które się zdarzyły i takich, które się wcale nie zdarzyły. Ale najwięcej rozmawiano o kniaziównie i o jej przyszłem uwolnieniu z niewoli u czarownicy.

Wyjechawszy wreszcie z okolic trzymanych w ryzie przez załogi i chorągwie Lanckorońskiego, weszli w kraj kozaczy, w którym nic nie pozostało się Lachów, bo tych, którzy nie uciekli, wytępiono ogniem i mieczem. Maj skończył się i nastał czerwiec znojny, a oni ledwie trzecią część podróży odbyli, bo droga była daleka i trudna. Na szczęście od strony kozactwa żadne nie groziło im niebezpieczeństwo. Chłopskim watahom nie legitymowali się wcale, bo te najczęściej za starszych zaporoskich ich miały. Wszelako kiedy niekiedy pytano ich, coby za jedni byli, a wówczas pan Zagłoba, jeżeli pytającym był niżowy, pokazywał piernacz Bohunów, jeśli zaś zwykły rezun z czerni, to nie zsiadając z konia, kopał go nogą w piersi i obalał na ziemię, inni zaś, patrząc na to, zaraz otwierali im drogę, myśląc, że to nietylko swój jedzie, ale i ktoś bardzo godny, skoro bije: — "Może Krzywonos, Burłaj, albo i sam bat'ko Chmielnicki."

Wielce jednak narzekał pan Zagłoba na sławę Bohuna, bo się zbyt pytaniami o niego uprzykrzali niżowi, przez co i zwłoki w podróży zdarzały się nie małe. I zwykle nie było końca pytaniom "Czy zdrów, czy żyje," bo się już wieść o jego śmierci aż pod Jahorlik i porohy rozbiegła. A gdy podróżni opowiadali, że zdrów i wolny i że jego to właśnie są wysłańcami, tedy całowano ich i częstowano; otwierały się im wszystkie serca a nawet worki, z czego chytry pachołek pana Skrzetuskiego nieomieszkał korzystać.

W Jampolu przyjął ich Burłaj, który tu z wojskiem niżowem i czernią na Tatarów budziackich czekał, stary, sławny pułkownik. Ten przed laty Bohuna rzemiosła wojennego uczył; na wyprawy czarnomorskie z nim chodził i Synopę na współkę w jednej z takich wypraw zrabowali, więc też kochał go jak syna i wdzięcznie przyjął wysłańców, nie okazując najmniejszej nieufności, zwłaszcza, że zeszłego roku Rzędziana przy nim widział. Owszem, dowiedziawszy się, że Bohun żyje i na Wołyń zdąża, ucztę z radości wysłańcom wydał i sam się na niej upił.

Obawiał się pan Zagłoba, ażeby Rzędzian, podpiwszy, nie wygadał się z czem niepotrzebnem, ale pokazało się, że szczwany jak lis pachołek tak się umiał obracać, że mówiąc prawdę wówczas tylko, gdy ją można było powiedzieć, sprawy przez to nie narażał, za tem większą ufność zyskiwał. Dziwnie jednak było słuchać naszym rycerzom tych rozmów prowadzonych z jakąś straszliwą szczerością, w których ich nazwiska często się powtarzały.

— Słyszeli my — mówił Burłaj — że Bohun w pojedynku usieczon. A nie wiecie wy, kto jego usiekł?

— Wołodyjowski, oficer kniazia Jaremy — odpowiedział spokojnie Rzędzian.

— Ej, żeby ja go w ręce dostał, zapłaciłby mu ja za naszego sokoła! Ze skóry jaby jego obdarł!

Pan Wołodyjowski ruszył na to owsianymi wąsikami i spojrzał na Burłaja takim wzrokiem, jakim chart spogląda na wilka, którego nie wolno mu uchwycić za gardziel, a Rzędzian rzekł:

— Dla tego to ja waści mówię, mości pułkowniku, jego nazwisko.

— Dyabeł będzie miał prawdziwą pociechę z tego chłopaka! — pomyślał pan Zagłoba.

— Ale — mówił dalej Rzędzian — ten nietyle winien, bo jego sam Bohun wyzwał, nie wiedząc jaką szablę wyzywa. Inny tam był szlachcic, największy Bohuna wróg, który raz już kniaziównę z rąk mu wydarł.

— A to kto taki?

— At! stary opój, co się przy naszym atamanie w Czehryniu wieszał i druha dobrego udawał.

— Będzie on jeszcze wisiał! — wykrzyknął Burłaj.

— Kpem jestem, jeżeli temu pokurczowi uszu nie obetnę — mruknął Zagłoba.

— Tak go usiekli — prawił Rzędzian — że innego dawnoby już kruki dziobały, ale w naszym atamanie dusza rogata i wyzdrowiał, chociaż do Włodawy ledwie się dowlókł, i tamby też pewnie rady sobie nie dał, żeby nie my. My jego na Wołyń wyprawili, gdzie nasi górą, a samych tu po dziewczynę wysłał.

— Zgubią jego te czarnobrewy — mruknął Burłaj — a ja jemu to dawno przepowiadał. A czy to mu nie lepiej było poigrać z dziewczyną po kozacku, a potem kamień do szyi w wodę, jak my na Czarnem morzu robili?

Tu ledwie wytrzymał pan Wołodyjowski, tak był w swoim senty-

ncncie dla płci białej zraniony. Zagłoba zaś rozcśmiał się i rzekł:

— Pewnieby tak lepiej.

— Ale wy dobre druhy! — mówił Burłaj — wy jego nie opuścili w potrzebie, a ty mały (tu zwrócił się do Rzędziana), ty najlepszy ze wszystkich, bo ja ciebie już w Czehryniu widział, jak ty naszego sokoła pilnował i hołubił. No, tak i ja wam druh — wy mówcie, czego wam potrzeba: mołojców, czy koni? tak ja wam dam, żeby się wam gdzie z powrotem krzywda nie stała.

— Mołojców nam nie potrzeba, mości pułkowniku — odrzekł Zagłoba — bo my swoi ludzie i swoim krajem pojedziemy, a Bóg nie daj złego spotkania, to z wielką watahą gorzej niż z małą, ale konie co najściglejsze, toby się przydały.

— Dam wam takie, że ich bachmaty hanowe nie dogonią.

Wtem Rzędzian odezwał się, nie tracąc sposobnej pory:

— I hroszi mało nam daw ataman, bo sam ne maw, a za Bracławiem miara owsa talara.

— To chody ze mną do komory — rzekł Burłaj.

Rzędzian nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i zniknął zaraz ze starym pułkownikiem za drzwiami, a gdy po chwili ukazał się znowu, radość biła mu z pucołowatego oblicza, i siny żupan odymał mu się jakoś na brzuchu.

— No, jedźcie z Bogiem — ozwał się stary Kozak — a jak dziewczynę weźmiecie, to wstąpcie do mnie, niech i ja Bohunową zazulę zobaczę.

— Nie może to być, mości pułkowniku — odrzekł śmiało pachołek — bo ta Laszka okrutnie się stracha i raz się już nożem pchnęła. Boimy się, by jej co złego się nie stało. Lepiej niech już ataman sobie z nią radzi.

— Poradzi; nie będzie ona mu się strachała. Laszka biłoruczka! Kozak jej śmierdzi! — mruknął Burłaj. — Jedźcie z Bogiem! niedaleko już macie!

Z Jampola niezbyt już było daleko do Waładynki, ale droga trudna, a raczej ustawiczne bezdroże rozpościerało się przed rycerzami, bo w owych czasach tamtejsze okolice były jeszcze pustynią, zrzadka tylko osiadłą i zabudowaną. Szli tedy od Jampola nieco na zachód, oddalając się od Dniestru, aby iść następnie z biegiem wód Waładynki, ku Raszkowi, bo tylko idąc, można było trafić do jaru. Na niebie bielił się świt, gdyż uczta u Burłaja przeciągnęła się do późnej nocy, i pan Zagłoba wyrachował, że przed zachodem

słońca nie odnajdą jaru, ale było to mu właśnie na rękę, chciał bowiem po uwolnieniu Heleny zostawić noc za sobą. Tymczasem jadąc, rozmawiali, jak dotychczas służyło im we wszystkiem szczęście przez całą drogę, a pan Zagłoba, wspominając im ucztę Burłaową, tak mówił:

— Przypatrzcie się jeno, jak to ci Kozacy, którzy żyją w bractwie, wspierają się wzajemnie w każdym terminie. Nie mówię o czerni, którą oni pogardzają i dla której, jeżeli dyabeł im pomoże zrzucić naszą zwierzchność, gorszymi będą panami; ale w bractwie jeden za drugiego w ogień skoczyć gotowy, nie tak, jak między naszą szlachtą.

— Gdzie tam, mój jegomość! — odparł na to Rzędzian. — Byłem ja między nimi długo i widziałem, jako się między sobą niby wilcy, zażerają, a gdyby Chmielnickiego nie stało, który ich to siłą, to polityką w ryzie trzyma, wnetby się ze szczętem pozażerali. Ale ten Burłaj to jest wielki między nimi wojownik, i sam Chmielnicki jego szanuje.

— Ale ty pewnie już masz dla niego kontempt, bo ci się obedrzeć pozwolił. Ej Rzędzian, Rzędzian! nie umrzesz ty własną śmiercią!

— Co komu pisano, mój jegomość; wszakże nieprzyjaciela w pole wywieść chwalebna to jest rzecz i Bogu miła.

— To też nie to ci się gani, ale twoją chciwość. Chłopski to sentyment, szlachcica niegodny, za który pewnie będziesz potępiony.

— Nie pożałuję ja na świecę do kościoła, jak mi się uda zarobić; aby też i Pan Bóg miał ze mnie korzyść i nadal mnie błogosławił: a że rodzicieli wspomagam, to nie grzech.

— Co za szelma na cztery nogi kuta! — wykrzyknął, zwracając się do Wołodyjowskiego, pan Zagłoba. „ Myślałem, że razem ze mną i fortele moje pójdą do trumny, ale widzę, że to frant jeszcze większy. To my przez chytrość tego pachołka uwolnimy naszą kniaziównę od Bohunowej niewoli za Bohunowem pozwoleniem i na Burłajowych koniach. Widziałże kto kiedy podobną rzecz? A na pozór trzech groszy byś za tego pachołka nie dał.

Rzędzian uśmiechnął się z zadowoleniem i odrzekł:

— Albo to nam źle, mój jegomość?

— Udałeś mi się, i gdyby nie twoja chciwość, tobym cię do służby wziął, ale skoroś Burłaja tak w pole wywiódł, już ci to, żeś mnie nazwał opojem, przebaczam.

— To nie ja tak jegomości nazwałem, jeno Bohun.

— Bóg go też skarał — odrzekł Zagłoba.

Na takich rozmowach zeszedł im ranek, ale gdy już słońce wytoczyło się wysoko na sklep niebieski, chwyciła ich powaga, bo za kilka godzin mieli ujrzeć Waładynkę. Po długiej podróży byli nakoniec u celu, ale niepokój, naturalny w podobnych wypadkach, wkradł im się do serc. Żyjeli jeszcze Helena? a jeżeli żyje, to czy znajdą ją w jarze? Horpyna mogła ją wywieźć, lub może ją w ostatniej chwili ukryć gdzieś w nieznanych rozpadlinach, albo uśmiercić. Przeszkody nie były jeszcze przezwyciężone, niebezpieczeństwa wszystkie nie minęły. Mieli wprawdzie wszystkie znaki, po których Horpyna powinna była ich rozeznać, jako Bohunowych wysłańców, pełniących jego wolę ale nuż dyabły lub duchy ją ostrzegą? Tego obawiał się najwięcej Rzędzian, a i pan Zagłoba, choć się miał za biegłego w ciemnym kunszcie,nie myślał o tem bez niepokoju. W takim bowiem razie zastaliby jar pusty, albo co gorsza, Kozaków z Raszkowa, ukrytych w nich na zasadzce. Serca biły im coraz mocniej, a gdy wreszcie po kilku godzinach, z wysokiej krawędzi jaru ujrzeli błyszczącą zdala wstążkę wody, pucołowata twarz Rzędziana przybladła trochę.

— To Waładynka! — rzekł przyciszonym głosem.

— Już? — pytał równie cicho Zagłoba. — Jak my to już blisko...

— Oby nas tylko Bóg ustrzegł! — odparł Rzędzian. — Mój jegomość, niechno jegomość pocznie zaklęcia, bo okrutnie się boję.

— Głupstwo zaklęcia! Przeżegnamy rzekę i czeluście — to lepiej pomoże.

Pan Wołodyjowski najspokojniejszy był ze wszystkich, ale milczał; obejrzał tylko starannie pistolety i podsypał na nowo, potem zmacał, czy szabla lekko wychodzi z pochwy.

— Mam i ja i kulę święconą w tym oto pistolecie — rzekł Rzędzian. — W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! ruszajmy!

— Ruszajmy! ruszajmy!

— Po niejakim czasie znaleźli sie nad brzegiem i zwrócili konie w kierunku jej biegu. Tu pan Wołodyjowski zatrzymał ich na chwilę i rzekł:

— Niech Rzędzian weźmie piernacz, bo jego czarownica zna, niechże pierwszy z nią paktuje, żeby się nas nie przestraszyła i nie uciekła w jaką czeluść z kniaziówną.

— Ja pierwszy nie pojadę, róbcie waszmościowie co chcecie — rzekł Rzędzian.

— To jedź, trutniu, na ostatku.

To powiedziawszy, pan Wołodyjowski ruszył pierwszy, za nim jechał pan Zagłoba, a w końcu z powodnymi końmi człapał Rzędzian, oglądając się niespokojnie na wszystkie strony. Kopyta końskie szczękały po kamieniach, naokół panowała głucha cisza pustyni, jeno szarańcza i koniki polne, ukryte w rozpadlinach i szparach, sykały głośno, bo dzień był znojny, chociaż słońce zeszło już znacznie z południa. Jeźdźcy nadjechali nakoniec nad wzgórze, okrągłe, jak przewrócona tarcza rycerska, na którem rozpada jące się i zwietrzałe od słońca skały tworzyły kształty podobne do rumowisk, do zwalisk domów i wież kościelnych; myślałbyś: zamek lub miasto zburzone wczoraj przez nieprzyjaciela. Rzędzian spojrzał i trącił pana Zagłobę.

— To Wraże Uroczyszcze! — rzekł: — poznaję z tego, co mnie Bohun powiedział. Tędy w nocy nikt żywy nie przejdzie.

— Jeśli nie przejdzie to może przejedzie — odparł Zagłoba. — Tfu! co za przeklęty kraj! Ale że przynajmniej na dobrej jesteśmy drodze!

— To już niedaleko! — rzekł Rzędzian.

— Chwała Bogu! — odpowiedział pan Zagłoba, i myśl jego uniosła się ku kniaziówne.

Było mu jakoś dziwnie na duszy, i widząc te dzikie brzegi Waładynki, tę pustynię i głuszę, prawie nie wierzył sobie, że kniaziówna mogła być tak blisko — ona, dla której tyle przygód i niebezpieczeństw przebył i którą tak pokochał, że gdy przyszła wieść o jej śmierci, to sam nie wiedział, co robić z życiem i starością. Ale z drugiej strony, człowiek oswaja się nawet z nieszczęściem, pan Zagłoba zaś przez tyle czasu zżył się z myślą, że ona porwana, i daleko i w Bohunowej mocy, iż teraz nie śmiał sobie powiedzieć: "Oto już nadchodzi koniec tęsknoty, koniec poszukiwań, nadchodzi czas pomyślności i spokoju..." Przytem i inne pytania cisnęły mu się do głowy: "Co też ona powie, gdy go ujrzy? zali się we łzach nie rozpłynie? bo ten ratunek po tak długiej i ciężkiej niewoli spadnie na nią jak piorun niespodzianie. Bóg ma swoje dziwne drogi — myślal Zagłoba — i tak potrafi wszystko powiązać, że z tego jest tryumf cnocie, a zawstydzenie nieprawościom. Bóg to oddał naprzód Rzędziana w ręce Bohuna, a potem uczynił z nich przyjaciół. Bóg to sprawił, że wojna sroga matka, odwołała dzikiego atamana

z tych pustkowi, do których łup swój jak wilk uniósł. Bóg później wydał go w ręce Wołodyjowskiego i znowu zetknął z Rzędzianem — i tak się wszystko ułożyło, że teraz, ot, gdy tam Helena resztę nadziei może traci, i już znikąd nie spodziewa się pomocy — pomoc tuż! Kończy się twoje płakanie, córuchno moja — myślał dalej Zagłoba — i niezadługo przyjdzie na cię radość niezmierna. Oj! a będzie ona wdzięczna, będzie rączki składała! a dziękowała!"

Tu stanęła dziewczyna panu Zagłobie w oczach jakoby żywa, i rozczulił się szlachcic okrutnie i pogrążył się całkiem w zamyśleniu o tem, co za chwilę się zdarzy.

Wtem Rzędzian pociągnął go za rękaw:

— Jegomość!

— A co? — spytał Zagłoba, niekontent, że mu przerwano bieg myśli.

— Czy jegomość widział? wilk pomknął przed nami.

— To i cóż?

— A czy to tylko był wilk?

— Całujże go w nos.

W tej chwili Wołodyjowski zatrzymał konia.

— Czyśmy drogi nie zmylili! — pytał — bo to jużby powinno być!

— Nie! — odrzekł Rzędzian — tak jedziemy, jak Bohun mówił. Dałby Bóg, żeby to już było po wszystkiem.

— Będzie niezadługo, jeżeli dobrze jedziemy!

— Chciałem też jeszcze waszmościów prosił, aby, jak będę gadał z czarownicą, na owego Czeremisa uważać, wielki to ma być paskudnik, ale podobno z rusznicy okrutnie strzela.

— Nie bój się! jazda!

Zaledwie ujechali kilkadziesiąt kroków, konie poczęły tulić uszy i chrapać. Na Rzędzianie skóra zmieniła się w jaszczur, bo spodziewał się, że lada chwila z za załamu skały rozlegnie się wycie upiora, lub wytoczy się jaki kształt szkaradny a nieznany, ale pokazało się, że konie chrapały tylko dlatego, że przechodziły tuż koło legowiska owego wilka, który tak poprzednio zaniepokoił pachołka. Naokół była cisza; nawet szarańcze przestały ksykać, bo już i słońce schyliło się na drugą stronę nieba. Rzędzian przeżegnał się i uspokoił.

Nagle Wołodyjowski wstrzymał konia.

— Widzę jar! — rzekł — do którego gardziel skałą zatkana, a w skale wyrwa.

— W imię Ojca i Syna i Ducha — szepnął Rzędzian — to tu!

— Za mną! — zakomenderował pan Michał, skręcając konia. Po chwili stanęli u wyrwy i przejechali jakby pod sklepieniem kamiennem.

Otworzył się przed nimi jar głęboki, gęsto zarosły po bokach, rozsuwający się w dali w obszerną półkulistą równinę, obwiedzioną jakby olbrzymimi murami.

Rzędzian począł wołać, ile mu sił w piersiach starczyło:

— Bo-hun! Bo-hun! Bywaj, wiedźmo, bywaj! Bo-hun! Bo-hun.

Zatrzymali konie i stali przez czas jakiś w milczeniu, poczem pachołek znów jął wołać:

— Bohun! Bohun!

Zdala doszło szczekanie psów.

Na lewym zrębie jaru, na który padały czerwone i złote promienie słońca, poczęły szeleścić gęste krzewy głogu i dzikiej śliwiny, i po chwili ukazała się, niemal na samym szczycie stoku, jakaś postać ludzka, która, przechyliwszy się i przykrywszy oczy ręką, wpatrywała się pilnie w przybyłych.

— To Horpyna! — rzekł Rzędzian — i zwinąwszy dłonie koło ust, począł po raz trzeci wołać:

— Bohun! Bohun!

Horpyna poczęła schodzić i idąc wyginała się w tył dla równowagi. Szła szybko, a za nią toczył się jakiś mały, krępy człowieczek, z długą turecką rusznicą w ręku; krze łamały się pod potężnemi stopami wiedźmy, kamienie spadały z pod nich, hucząc, na dno jaru, i tak przechylona, w czerwonych blaskach, wydawała się istotnie jakąś olbrzymią, nadprzyrodzoną istotą.

— Kto wy? — rzekła wielkim głosem, stanąwszy na dnie.

— Jak się masz, basetło? — rzekł Rzędzian, któremu na widok ludzi, nie duchów, wróciła cała zwykła flegma.

— Ty, sługa Bohunów? Ty! poznaję cię! ty mały! a ci co za jedni?

— Druhy Bohunowi!

— Kraśna wiedźma — mruknął pod wąsikami pan Michał.

— A po co wy tu przyjechali?

— Masz tu piernacz, nóż i pierścień! wiesz co to znaczy?

Olbrzymka wzięła znaki do ręki, poczęła je pilnie rozpatrywać, poczem rzekła:

— Te same są! Wy po kniaziównę?

— Tak jest! A zdrowa ona?

— Zdrowa! A czemu to Bohun sam nie przyjechał?

— Bohun ranny!

— Ranny, ja to we młynie widziała.

— Jeżeliś widziała, to czego pytasz? Łżesz, waltornio! — rzekł poufale Rzędzian.

Wiedźma pokazała w uśmiechu białe jak u wilka zęby i złożywszy dłoń w kułak, szturchnęła pod bok Rzędziana.

— Ty, mały, ty!

— Pójdziesz precz!

— Nie daruj! pocałuj! hu! A kiedy weźmiecie kniaziównę?

— Zaraz, jeno koniom odpoczniemy.

— To bierzcie! pojadę i ja z wami!

— A ty po co?

— Memu bratu śmierć pisana. Jego Lachy na pal wsadzą, pojadę z wami.

Rzędzian pochylił się w kulbace, niby dla łatwiejszej rozmowy z olbrzymką, i ręka jego spoczęła nieznacznie na kolbie pistoletu.

— Czeremis, Czeremis! — rzekł, pragnąc zwrócić uwagę swych towarzyszów na karła.

— Po co ty jego wołasz? on ma język urznięty.

— Ja jego nie wołam, jeno się jego urodzie dziwuję. Ty jego nie odjedziesz, on twój mąż!

— On mój pies!

— I was tylko dwoje w jarze?

— Dwoje, kniaziówna trzecia!

— To dobrze! Ty jego nie odjedziesz!

— Pojadę z wami, mówiłam ci!

— A ja ci mówię, że zostaniesz!

W głosie pachołka było coś takiego, że olbrzymka odwróciła się na miejscu z twarzą niespokojną, bo podejrzenie wstąpiło jej nagle w duszę.

— Szczo ty? — rzekła.

— Ot, szczo ja! — odparł Rzędzian i huknął jej między piersi z pistoletu, tak zbliska, że dym zakrył ją na chwilę zupełnie.

Horpyna cofnęła się w tył z rozkrzyżowanemi rękoma; oczy wylazły jej na wierzch głowy, jakieś nieludzkie skrzeczenie wyszło jej z gardzieli, zachwiała się i padła na wznak, jak długa.

W tej samej chwili pan Zagłoba ciął Czeremisa szablą przez głowę, aż kość zgrzytnęła pod ostrzem; potworny karzeł nie wydał ani jęku, tylko zwinął się w kłębek jak robak i począł drgać, palce zaś u jego rąk otwierały się i zamykały naprzemian, nakształt pazurów konającego rysia.

Zagłoba obtarł połą od żupana dymiącą szablę, a Rzędzian skoczył z konia i chwyciwszy kamień, rzucił go na szerokie piersi Horpyny, następnie począł szukać czegoś za pazuchą.

Olbrzymie ciało wiedźmy kopało jeszcze ziemię nogami, konwulsya wykrzywiła jej straszliwie twarz, na wyszczerzonych zębach osiadła krwawa piana, a z gardła wychodziło głuche chrapanie.

Tymczasem pachołek dobył z zanadrza kawałek kredy święconej, naznaczył nią krzyż na kamieniu i rzekł:

— Teraz nie wstanie!

Potem wskoczył na kulbakę.

— W konie! — zakomenderował pan Wołodyjowski.

Pomknęli i biegli jak wicher wzdłuż krynicy, biegnącej środkiem jaru; minęli dęby rozrzucone zrzadka po drodze, i oczom ich ukazała się chatka, dalej wysoki młyn, którego wilgotne koło błyszczało, jak czerwona gwiazda w promieniach słońca. Pod chatą dwa czarne, ogromne psy, uwiązane na postronkach przy węgłach, rwały się ku nadjeżdżającym, szczekając ze wściekłością i wyjąc. Pan Wołodyjowski jechał pierwszy i pierwszy doleciał; z konia zeskoczył, a następnie dobiegłszy do drzwi wchodowych, kopnął je nogą i wpadł do sieni, brzęcząc szablą.

W sieni na prawo, przez otwarte drzwi, widać było obszerną izbę pełną wiorów, z ogniskiem ułożonem w środku, napełnioną dymem; na lewo drzwi były zamknięte.

— Tam ona musi być! — pomyślał pan Wołodyjowski i skoczył ku nim.

Szarpnął, otworzył — wpadł na próg i w progu stanął jak wryty.

W głębi izby, ręką oparta o krawędź łoża, stała Helena Kurcewiczówna, blada, z rozpuszczonym na plecy i ramiona włosem, a przerażone jej oczy, utkwione w Wołodyjowskiego, pytały: "Kto ty jesteś? czego tu chcesz?" — bo nigdy przedtem nie widziała małego rycerza. On znów zdumiał się na widok tej piękności i tej komnaty, pokrytej aksamitami i złotogłowiem. Nakoniec przyszedł do słowa i rzekł pośpiesznie:

— Nie bój się waćpanna, my Skrzetuskiego przyjaciele.

Wówczas kniaziówna rzuciła się na kolana:

— Ratujcie mnie! — wołała, składając ręce.

Ale w tej samej chwili wpadł pan Zagłoba, trzęsący się, czerwony zdyszany.

— To my! — krzyczał — to my, z pomocą!

Usłyszawszy te słowa i ujrzawszy znajomą twarz, kniaziówna przechyliła się jak kwiat podcięty, ręce jej opadły, oczy pokryły się frendzlistemi zasłonami i zemdlała.

LV.

Zaledwie dawszy koniom wypocząć, uciekali tak śpiesznie, że gdy księżyc wytoczył się na step, byli już w okolicach Studenki za Waładynką. Naprzód jechał pan Wołodyjowski, pilnie się na wszystkie strony rozglądając, za nim Zagłoba obok Heleny, a pochód zamykał Rzędzian, prowadzący konie juczne i dwa powodowe, których ze stajni Horpyny zabrać nie omieszkał. Zagłobie nie zamykały się usta, bo też istotnie miał co opowiedzieć kniaziównie, która zamknięta w Dzikim Jarze o świecie nie wiedziała. Opowiadał jej więc, jak jej od początku szukali, jak Skrzetuski aż do Perejasławia chodził szukać Bohuna, o którego posiekaniu nie wiedział, jak wreszcie Rzędzian tajemnicę jej ukrycia od atamana wydostał i do Zbaraża przywiózł.

— Boże miłosierny — mówiła Helena, podnosząc ku księżycowi swoją śliczną, bledziuchną twarz — to pan Skrzetuski aż za Dniepr po mnie chodził?

— Do Perejasławia, jak ci to powtarzam. I pewnie byłby tu razem z nami przybył, gdyby nie to, żeśmy czasu posyłać po niego nie mieli, chcąc zaraz iść ci z pomocą. Nic on jeszcze nie wie o twojem ocaleniu i za duszę twoją codzień się modli — ale już go nie żałuj. Niechże się jeszcze jakiś czas pomartwi, gdy taka czeka go nagroda.

— A ja myślałam, że wszyscy o mnie zapomnieli, i jeno o śmierć Boga prosiłam.

— Nietylkośmy o tobie nie zapomnieli, aleśmy przez wszystek czas nad tem tylko deliberowali, jakby to ci przyjść z pomocą.

Aż dziw pomyśleć, bo że tam ja głowę suszyłem i Skrzetuski, to i słuszna, ale oto ten rycerz, który przed nami jedzie, z równąż ochotą nie szczędził ni pracy, ni ręki.

— Niechże jemu Bóg to nagrodzi.

— Już wy to oboje widać macie, że ludzie do was lgną, ale Wołodyjowskiemu naprawdę wdzięczność winnaś, bo jakom rzekł, takeśmy we dwóch spłatali Bohuna, jak szczupaka.

— Wiele mnie pan Skrzetuski jeszcze w Rozłogach o panu Wołodyjowskim, jako o najlepszym swym przyjacielu, powiadał...

— I słusznie uczynił. Wielka to jest dusza w małem ciele. Teraz on jakoś zgłupiał, bo go widać twoja gładkość odurzyła, ale poczekaj, niech się jeno oswoi i przyjdzie do siebie! Siłaśmy z nim na elekcyi dokazywali.

— To jest nowy król?

— I tegoś, niebogo, nie wiedziała w owej przeklętej pustyni? Jakto! Jan Kazimierz, jeszcze zeszłej jesieni obran, już ósmy miesiąc panuje. Wielka teraz będzie z hultajstwem wojna, ale daj Boże, żeby szczęśliwa, gdy księcia Jeremiego sposponowali, a obrali innych, którzy do tego zdatni, jako ja do żeniaczki.

— A pan Skrzetuski pójdzie na wojnę?

— Szczery to żołnierz, i nie wiem, czy tego dokażesz, żeby nie poszedł. Już my to obaj jednacy! Kiedy to proch nas zaleci, żadna siła nas nie utrzyma. Oj! daliśmy się tym hultajom obaj zeszłego roku dobrze we znaki! Nocyby nie starczyło, gdybym ci chciał wszystko, tak właśnie jak było, opowiadać. Pewnie że pójdziemy, ale już z lekkiem sercem, bo to grunt, żeśmy ciebie, niebożę, odnaleźli, bez której nam się życie przykrzyło.

Kniaziówna pochyliła swoją słodką twarz ku Zagłobie.

— Nie wiem, za coś mnie waćpan pokochał. ale już pewnie nie kochasz mnie więcej, niż ja waćpana.

Zagłoba począł sapać z zadowolenia.

— Tak mnie to miłujesz?

— O, jako żywo!

— Bógże ci zapłać, bo mi będzie starość lżejsza. Nieraz się tam jeszcze podwiki za człowiekiem oglądają, co i w Warszawie w czasie elekcyi bywało. Wołodyjowski świadek! Ale nic mi już po amorach, i naprzekór krwi gorącej chętnie ojcowskim sentymentem będę się kontentował.

Nastało milczenie, jeno konie poczęły parskać silnie jeden za drugim, na pomyślną dla podróżnych wróżbę.

— Zdrów! zdrów! — odpowiadali jeźdzcy.

Noc była jasna. Księżyc coraz wyżej wypływał na niebo, nabite migotliwemi gwiazdami, i stawał się coraz mniejszy, bledszy. Utrudzone bachmaty zwolniły kroku, a jadących poczęło ogarniać znużenie. Wołodyjowski pierwszy wstrzymał konia.

— Czasby spocząć — rzekł. — Brzask już niezadługo.

— Czas! — powtórzył Zagłoba. — Już mi się ze snu zdaje, że mój koń ma dwa łby.

Jednakże przed odpoczynkiem Rzędzian pomyślał o wieczerzy; rozpalił więc ogień, a następnie zdjąwszy z koni biesagi, począł z nich wydobywać zapasy, w które się był u Burłaja w Jampolu jeszcze zaopatrzył, jako to: chleb z kukurydzy, zimne mięsiwa, bakalie i wino włoskie. Na widok dwóch worków skórzanych, dobrze płynem wydętych, które wydawały odgłos bełkocący i słodki, pan Zagłoba zapomniał o śnie — inni też chętnie zabrali się do jedzenia i jedli. Starczyło dla wszystkich obficie, a gdy mieli już dosyć, pan Zagłoba otarł połą usta i rzekł:

— Do śmierci nie przestanę powtarzać: dziwne są sądy Boże! Otoś jest wolna, moja mościa panno, a my ucieszeni siedzim sobie tutaj sub Jove (pod gołem niebem) i winko Burłaja popijamy. Nie powiem, żeby węgrzyn nie był lepszy, bo to skórą pachnie, ale w drodze i ono się przygodzi.

— Jednemu się nie mogę wydziwić — rzekła Helena — że Horpyna zgodziła się mnie wydać waćpanom tak łatwo.

Pan Zagłoba począł spoglądać na Wołodyjowskiego, następnie na Rzędziana i mrugać mocno.

— Zgodziła się, bo musiała. Zresztą, nie ma co ukrywać, bo nie wstyd, żeśmy ich oboje z Czeremisem zgładzili.

— Jakto? — pytała z przestrachem kniaziówna?

— A toś nie słyszała wystrzałów?

— Słyszałam, alem myślała, że to Czeremis strzela.

— Nie Czeremis to był, ale ten tu pachołek, który na wylot czarownicę przestrzelił. Dyabeł w nim siedzi, na to zgoda, ale nie mógł inaczej postąpić, bo czarownica, nie wiem, czy wiedząc coś, czy tak sobie z determinacyi, naparła się jechać z nami. Trudnoż było na to pozwolić, bo zarazby się obejrzała, że nie do Kijo-[wa] jedziemy. Ustrzelił ci ją tedy, ustrzelił, a ja tego Czeremisa

zaciukałem.. Prawdziwe to monstrum afrykańskie, i myślę, że Bóg mi tego za złe nie poczyta. Musi być i w piekle z niego powszechna abominacya. Przed samym odjazdem z jaru, pojechałem naprzód i poodciągałem ich trochę na stronę, żebyś się widoku trupów nie przelękła, lub za zły omen sobie tego nie poczytała.

Na to kniaziówna:

— Za wielu ja już, bliższych sobie, nieżywymi w tych okropnych czasach widziałam, abym się miała bać widoku zamordowanych, ale przecie wołałabym krwi za sobą nie zostawiać, żeby nas Bóg na za nią nie pokarał.

— Nie rycerska też to była sprawa — rzekł szorstko Wołodyjowski — do której nie chciałem ręki przyłożyć.

— Co tam, mój jegomość, deliberować — rzekł Rzędzian — kiedy inaczej być nie mogło. Żebyśmy to kogo dobrego starli, to jeszcze nie mówię, ale nieprzyjaciół Boga wolno, a ja to przecie sam widział, że ta czarownica z dyabłami w komitywę wchodziła. Nie tego mnie też żal!

— A czegóż to imć pan Rzędzian żałuje? — pytała kniaziówna.

— Bo tam są zakopane pieniądze, o których mi Bohun powiedział, a waszmościowie tak pilili, że nie starczyło czasu odkopać, choć miejsce koło młyna wiedziałem dobrze. Serce też mi się krajało, że trzeba było tyle dobroci wszelakiej w tamtej komnacie, co to w niej panna mieszkała, ostawić.

— Obaczno, jakiego będziesz miała sługę! — mówił do kniaziówny Zagłoba. — Z wyjątkiem swego pana, z samego onby dyabła skórę zdarł, żeby sobie kołnierz z niej uczynić.

— Da Bóg, nie będzie imć pan Rzędzian na moją niewdzięczność narzekał — odpowiedziała Helena.

— Dziękuję pokornie jejmość pannie! — rzekł, całując ją w rękę pachołek.

Przez ten czas Wołodyjowski siedział milczący, jeno wino z kubłaka popijał i marsem nadrabiał, aż to niezwykłe mu milczenie zwróciło uwagę Zagłoby.

— A pan Michał — rzekł — ledwie kiedy jakie słowo puści. (Tu stary zwrócił się do kniaziówny). — Nie mówiłżem ci, że mu twoja gładkość rozum i mowę odejmuje?

— Przespałbyś się waćpan lepiej przededniem! — odparł zmieszany rycerz i począł wąsikami mocno ruszać, tak właśnie, jak zając, gdy sobie chce dodać fantazyi.

Ale stary szlachcic miał słuszność. Nadzwyczajna piękność kniaziówny trzymała małego rycerza jakby w ciągłem odurzeniu. Patrzał na nią, patrzał, a w duchu się pytał: zali to być może, by taka po ziemi chodziła? Wiele on bowiem piękności w życiu widział: piękne były panna Anna i panna Barbara Zbaraskie, urodziwa nad podziw i Anusia Borzobohata, rzęsista była i panna Żukówna, do której się Rostworowski zaleca, i Wierszułowa Skoropadzka, i Bohowitynianka, ale żadna z nich nie mogła się równać z tym cudnym kwiatem stepowym. Wobec tamtych bywał pan Wołodyjowski i ochoczy, i mowny, a teraz, gdy spoglądał na te oczy aksamitne, słodkie a mdlejące, na te jedwabne ich zasłony, których cień padał aż na jagody, na ten włos rozsypany, jakby kwiat hyacyntowy, po ramionach i plecach — na strzelistość postaci, na pierś wypukłą i tchnieniem lekko kołysaną, od której biło ciepło lube, na te wszystkie białości liliowe i róże, a maliny ust — gdy na to wszystko spoglądał pan Wołodyjowski, wówczas poprostu języka w gębie zapomniał i, co najgorsza, że się sobie wydawał niezgrabny, głupi, a zwłaszcza, mały, ale to tak mały, że aż śmieszny. "To jest księżna, a ja żaczek" — myślał sobie z pewną goryczą i radby był, żeby się jaka przygoda zdarzyła, żeby z ciemności ukazał się jaki olbrzym, bo dopiero wówczas pokazał by biedny pan Michał, że nie taki on mały, jak się wydaje. Drażniło go i to, że pan Zagłoba, kontent widocznie, że córuchna jego tak oczy ludzkie rwie, chrząkał co chwila i już podrwiwać zaczynał i oczyma okrutnie mrugał.

A tymczasem ona siedziała przed ogniskiem, różowym płomieniem i białym miesiącem oświetlona, słodka, spokojna i coraz piękniejsza.

— Przyznaj, panie Michale — mówił nazajutrz rano Zagłoba, gdy się na chwilę sami znaleźli — że drugiej takiej dziewki niemasz w całej Rzeczypospolitej. Jeżeli mi taką drugą pokażesz, pozwolę ci się nazwać szołdrą i imparitatem (nieprawne pochodzenie) sobie zadać.

— Tego ja waćpanu nie neguję — odrzekł mały rycerz. " Specyał to jest i rarytet, jakiego dotychczas nie oglądałem, gdyż nawet i owe figury bogiń, tak właśnie z marmuru udane, jakoby żywe, któreśmy w pałacu Kazanowskich widzieli, nie mogą wejść z nią w paragon. Nie dziwno mi teraz, że najlepsi mężowie za łby o nią chodzą — bo warto.

— A co? a co? — mówił Zagłoba. — Dalibóg niewiadomo, kiedy gładsza: rano czy wieczorem? bo ona ciągle w takowej ozdobie jak róża chodzi. Powiadam ci, że to i ja niegdyś nadzwyczajnej byłem urody — ale już jej musiałbym i wówczas ustąpić, choć inni mówią, że do mnie kubek w kubek podobna.

— Idźże waszmość do licha! — zakrzyknął mały rycerz.

— Nie gniewaj się, panie Michale, bo już i tak marsem nadrabiasz. Spoglądasz na nią, jak kozieł na kapustę, a ciągle się marszczysz: przysiągłby kto, że cię żądze kąsają — ale nie dla psa kiełbasa.

— Tfu! — rzekł Wołodyjowski — jak się waćpan nie wstydzisz starym będąc, takowe głupstwa prawić?

— A to czego się chmurzysz?

— Bo waćpan to myślisz, że już wszystko złe przeminęło, jako ptak na powietrzu, i że my już całkiem bezpieczni, a tu dobrze trzeba jeszcze deliberować, żeby to jednego uniknąć, to drugie ominąć. Droga jeszcze przed nami okrutna, i Bóg wie co nas spotkać może, bo te strony, do których jedziemy, muszą już być dotychczas w ogniu.

— Kiedy ja ją z Rozłogów Bohunowi wykradłem, gorzej było, bo nas ścigali z tyłu, a z przodu był bunt; jednakże przeszedłem przez całą Ukrainę, jakoby przez płomień — i aż do Baru zaszedłem. A od czego głowa na karku? W najgorszym razie, do Kamieńca nie tak daleko.

— Ba, ale Turkom i Tatarom także do niego niedaleko.

— Co mnie waćpan tam powiesz!

— Powiadam co jest i mówię, że warto nad tem podeliberować. Lepiej nam Kamieniec ominąć i ku Barowi ruszyć, bo Kozacy piernacze szanują, z czernią sobie poradzimy, a jak nas jeden Tatar raz na oko weźmie, tak i po wszystkiem! Znam ja się z nimi oddawna i potrafię przed czambułem iść razem z ptactwem i z wilkami, ale gdybyśmy prosto na czambuł wpadli, tedybym i ja już na to nie poradził.

— To idźmy na Bar, albo koło Baru; niech tam tych kamienieckich Lipków i Czeremisów dżuma w karwaserach wydusi. Waćpan o tem nie wiesz, że Rzędzian wziął od Burłaja piernacz! Możemy wszędzie między kozactwem śpiewający chodzić. Co najgorsze pustynie jużeśmy przejechali, wejdziemy teraz w ludzki kraj. Trzeba tam i o tem pomyśleć, żeby się o wieczornym udoju

w futorach zatrzymywać, bo dla dziewki to przystojniej i wygodniej. Ale już mi się zdaje tak, panie Michale, że za czarno rzeczy widzisz. Co u dytka! żeby zaś trzech chłopów — nie pochlebiając sobie, ani wam — na schwał przednich — nie dało sobie rady w stepie. Połączmy nasze fortele z twoją szablą — i hajda! nic lepszego nie mamy do roboty. Rzędzian ma i Burłajowy piernacz, a to grunt, bo Burłaj teraz całem Podolem rządzi, a byle się na Bar przedostać, to tam już Lanckoroński z kwarcianemi chorągwiami. Hajda! panie Michale, czasu nie traćmy!

Jakoż i nie tracili czasu i rwali stepem ku północy i zachodowi, ile tylko konie mogły nadążyć. Na wysokości Mohylowa weszli w kraj więcej osiadły, tak, że wieczorami wszędy nie trudno było znaleść futory lub wsie, w których zatrzymywali się na noclegi, ale rumiane zorze ranne zastawały ich zawsze już na koniach i w drodze. Szczęściem, lato było suche, dni znojne, noce rosiste, a rankiem srebrzył się cały step, jakby szronem okryty. Wody wiatr wysuszył, rzeki poopadały — i przebywali je bez trudności. Idąc czas jakiś wzdłuż i w górę Lozowej, zatrzymali się na dłuższy nieco wypoczynek w Szarogrodzie, w którym stał pułk kozacki, do komendy Burłaja należący. Tam zastali wysłańców Burłajowych, a między nimi setnika Kunę, którego w Jampolu na uczcie u Burłaja widzieli. Ten zdziwił się trochę, że nie idą na Bracław, Rajgród i Skwirę do Kijowa, ale zresztą żadne podejrzenie nie postało mu w umyśle, zwłaszcza iż Zagłoba wytłómaczył mu, że nie poszli tamtą drogą z obawy Tatarów, którzy się do strony Dniepru mieli ruszyć. Mówił im natomiast Kuna, że Burłaj wysłał go do pułku, by pochód zapowiedział, i że sam ze wszystkiemi wojskami jampolskiemi i budziackiemi Tatary lada chwila do Szarogrodu także ściągnie, skąd dalej zaraz ruszą.

Przyszli gońce do Burłaja od Chmielnickiego z wieścią, że wojna rozpoczęta, i rozkazami, aby wszystkie pułki na Wołyń prowadził — Burłaj zaś zdawna już i sam chciał pod Bar walić, i tylko się jeszcze na tatarskie posiłki oglądał, pod Barem bowiem źle jakoś zaczęło się powodzić rebelii. Oto pan Lanckoroński, regimentarz, mocno tam znaczne kupy pogromił, miasto zdobył i zamek załogą obsadził. Legło tam na placu kilka tysięcy kozactwa, i ich to właśnie chciał stary Burłaj pomścić, a przynajmniej zamek napowrót odebrać. Kuna jednak powiadał, że ostatnie rozkazy Chmielnickiego,

aby na Wołyń iść, przeszkodziły tym zamiarom, i że Baru nie będą teraz oblegali, chybaby Tatarowie koniecznie chcieli.

— A co, panie Michale — mówił na drugi dzień Zagłoba. — Bar przed nami i mógłbym tam po raz drugi kniaziównę schronić, ale niech go tam kaduk zje! Nie wierzę już ani Barowi, ani żadnej fortecy, od czasu, jak hultajstwo ma więcej armat, niż wojska koronne. To mnie jednak niepokoi, że jakoś chmurzy się koło nas.

— Nietylko się chmurzy — odrzekł rycerz — ale już burza za nami wali, to jest Tatarzy i Burłaj, który gdyby nas dogonił, wielce byłby zdziwiony, iż nie ku Kijowu, ale w przeciwną stronę zdążamy.

— I gotów nam inną drogę pokazać. Niechże mu dyabeł wpierw pokaże, który szlak najprościej do piekła prowadzi! Zróbmy układ, panie Michale: z hultajstwem już ja będę sobie za was wszystkich radził, ale z Tatary — niech będzie twoja głowa.

— Łatwiejże waćpanu z hultajami, którzy nas za swoich biorą — odpowiedział Wołodyjowski. — Co do Tatarów, jedyna teraz rada jaknajprędzej uciekać, aby się z matni, póki czas, wyśliznąć. Konie dobre, gdzie się zdarzy, musimy po drodze kupować, aby zawsze były świeże.

— Starczy i na to trzosik pana Longina, a jak nie starczy, to Rzędzianowi Burłajowy odbierzemy, a teraz naprzód!

I jechali jeszcze śpieszniej, aż piana okrywała boki bachmatów i spadała jak płaty śniegowe na step zielony. Przebyli Derłę i Ladawę. W Barku zakupił pan Wołodyjowski nowe bachmaty, starych nie rzucając, bo te, które od Burłaja mieli w darze, wielkiej były krwi, więc zachowano je na luźne — i szli naprzód, coraz krótsze czyniąc przystanki i noclegi. Zdrowie dopisywało wszystkim wybornie, i Helena, choć zmęczona podróżą, czuła, że jej z dniem każdym coraz więcej sił przybywa. W jarze pędziła życie zamknięte i prawie nie opuszczała swej wyzłoconej komnaty, nie chcąc spotykać się z bezwstydną Horpyną i słuchać jej rozmów i namów — teraz zaś świeże powietrze stepowe wracało jej zdrowie. Róże zakwitły na jej policzkach, słońce przyciemniło jej twarz, ale zato oczy nabrały blasków — i gdy czasem wiatr zwichrzył jej włosy na czole, rzekłbyś: Cyganka jaka, najcudniejsza worożycha, albo cygańska królewna jedzie stepem szerokim — przed nią kwiaty, a za nią rycerze.

Pan Wołodyjowski zwolna się z jej nadzwyczajną urodą oswajał;

ale że zbliżała ich podróż, więc nakoniec się oswoił. Odzyskał wówczas mowę i wesołość, i często tocząc przy niej koniem, opowiadał o Łubniach, a najwięcej o swojej ze Skrzetuskim przyjaźni, bo zauważył, że tego rada słucha; czasem też się i drażnił z nią, mówiąc:

— Bohunam przyjaciel i do niego waćpannę wiozę.

A ona ręce składała, niby z wielkiego strachu, i nuż się słodkim głosem prosić:

— Nie czyńże tego, luby rycerzu, lepiej odrazu mnie zetnij.

— O, nie może być! już tak uczynię! — odpowiadał srogi rycerz.

— Zetnij! — powtarzała kniaziówna, mrużąc swe śliczne oczy i wyciągając ku niemu szyję.

Wówczas mrówki poczynały chodzić po krzyżach małemu rycerzowi. "Idzie do głowy ta dziewka, jak wino! — myślał sobie — ale się niem nie upiję, bo cudze" — i wstrząsał się tylko poczciwy pan Michał i koniem naprzód ruszał. A gdy się już w trawy jak nurek w wodę zanurzył, zaraz mrówki z niego opadły i całą uwagę na drogę zwracał: czy bezpieczna, czy dobrze jadą i czyli skąd jaka przygoda się nie zbliża. Więc wspinał się na strzemionach, żółte wąsiki na falę traw wytykał i patrzał, wietrzył, słuchał, jak Tatar, kiedy to w Dzikich Polach wśród burzanów myszkuje.

Pan Zagłoba również był najlepszej myśli.

— Łatwiejże nam teraz umykać — mówił — niż wtedy nad Kahamlikiem, kiedyśmy to musieli, jak psi, piechotą z wywieszonymi językami drałować. Ozór mi w gębie tak wtedy wysechł, że mógłbym był nim drzewo strugać, a ninie, chwalić Boga, i odpocznienie na noc bywa, jest czem gardło kiedy niekiedy odwilżyć.

— A pamiętasz waszmość, jakeś mnie to na ręku przez wodę przenosił? — mówiła Helena.

— Będziesz i ty miała, daj Boże doczekać, kogo na ręku nosić, Skrzetuskiego w tem głowa.

— Hu! hu! śmiał się Rzędzian.

— Zaniechaj waść, — proszę — szeptała kniaziówna, płonąc i spuszczając oczy.

Tak to oni z sobą na stepie rozmawiali, aby czas drogi skrócić. Nakoniec za Barkiem i Jołtuszkowem, wstąpili w kraj zębami wojny świeżo poszarpany. Tam grasowały dotychczas kupy zbrojne hultajstwa, tam też niedawno i pan Lanckoroński palił i ścinał,

bo dopiero przed kilkunastu dniami do Zbaraża się cofnął. Dowiedzieli się też nasi podróżni od miejscowych ludzi, że Chmielnicki z chanem ruszyli wszystkiemi siłami przeciw Lachom, a raczej przeciw regimentarzom, których wojska się buntują i nie chcą inaczej służyć, tylko pod buławą Wiśniowieckiego. Przepowiadano przytem ogólnie, że teraz pewno już przyjdzie na pohybel, czyli na ostateczny koniec Lachom albo Kozakom, gdy się bat'ko Chmielnicki z Jaremą spotkają. Tymczasem cały kraj był jakoby w ogniu. Wszystko porywało za broń i ciągnęło na północ, by się z Chmielnickim połączyć. Z dołu, od Niżu Dniestrowego, walił Burłaj z całą potęgą, a po drodze zrywały się wszystkie pułki z załóg, postojów i z pastwisk, bo wszędy przyszły rozkazy. Szły tedy sotnie, chorągwie, pułki, a obok nich płynęła, jak fala, bezładna czerń, zbrojna w cepy, widły, noże, spisy. Koniuchowie i czabańczycy porzucili swoje kosze, futornicy, pasiecznicy pasieki, dzicy rybacy swoje komysze naddniestrzańskie, myśliwi bory. Wsie, miasteczka i miasta pustoszały. W trzech województwach zostały tylko po osadach baby i dzieci, bo mołodycie nawet ciągnęły z mołojcami na Lachów. A jednocześnie ze wschodu zbliżał się z całą główną siłą Chmielnicki, jak burza złowroga, krusząc po drodze potężną ręką zamki i zameczki i mordując niedobitków z zeszłych pogromów.

Minąwszy Bar, pełen smutnych dla kniaziówny wspomnień, weszli nasi podróżni na stary gościniec, prowadzący na Latyczów, Płoskirów, do Tarnopola i dalej, aż do Lwowa. Tu coraz częściej napotykali: to tabory sforne wozów, to oddziały piechoty i jazdy kozackiej, to watahy chłopskie, to niezmierne stada wołów, okryte obłokiem kurzawy, pędzone na śpiżę dla wojsk kozackich i tatarskich. Droga stała się teraz niebezpieczną, bo razwraz pytano ich: co zacz są, skąd idą i dokąd jadą? Kozackim sotniom pokazywał wówczas Zagłoba piernacz Burłajowy i mówił:

— Od Burłaja my posłańcy, mołodycię Bohunowi wieziem.

I na widok piernacza groźnego pułkownika, rozstępowali się zwykle Kozacy, tem bardziej, iż każdy rozumiał, że jeśli Bohun żyw, to się musi pod wojskami regimentarzy koło Zbaraża lub Konstantynowa uwijać. Ale daleko trudniej było podróżnym z czernią, z dzikimi oddziałami pasterzy ciemnych, pijanych i żadnego prawie nie mających pojęcia o oznakach, wydawanych przez pułkowników

na bezpieczny przejazd. Gdyby nie Helena, byliby owi półdzicy ludzie poczytywali Zagłobę, Wołodyjowskiego i Rzędziana za swoich i za starszych, jakoż nawet tak i bywało, ale Helena zwracała wszędzie uwagę zarówno swoją płcią, jak i nadzwyczajną urodą, a stąd rodziły się niebezpieczeństwa, które z największym trudem trzeba było przezwyciężyć.

Czasem więc pokazywał pan Zagłoba piernacz, a czasem pan Wołodyjowski zęby, i niejeden tam trup padał za nimi. Kilka razy tylko niedoścignione bieguny Burłajowe uchroniły ich od zbyt ciężkiej przygody — i podróż, tak pomyślna z początku, stawała się z dniem każdym cięższą. Helena, lubo z natury mężna, poczęła od ustawicznej trwogi i bezsenności na zdrowiu szwankować i naprawdę wyglądała na brankę, wleczoną mimowoli w nieprzyjacielskie namioty; pan Zagłoba pocił się srodze i coraz nowe wymyśla fortele, które mały rycerz zaraz w bieg wprowadzał, obaj zaś pocieszali kniaziównę jak mogli.

— Tylko nam minąć to mrowie, które jest jeszcze przed nami — mówił mały rycerz — i przyjść pod Zbaraż, nim Chmielnicki z Tatary okolice jego zaleje.

Dowiedział się bowiem po drodze, że regimentarze ściągnęli do Zbaraża i że w nim zamierzają się bronić — tam więc zdążali, spodziewając się słusznie, że i książe Jeremi do regimentarzy ze swoją dywizyą przybędzie, zwłaszcza, że część jego sił, i to znaczna, stałe w Zbzrażu miała locum. Tymczasem doszli aż pod Płoskitów. Mrowie rzedło na gościńcu istotnie, bo już o dziesięć mil drogi zaczynał się kraj, zajęty przez chorągwie koronne, więc watahy kozackie nie śmiały zapuszczać się dalej, wolały bowiem czekać w bezpiecznem oddaleniu na przybycie Burłaja z jednej, a Chmielnickiego z drugiej strony.

— Już dziesięć mil tylko! już dziesięć mil tylko! — powtarzał zacierając ręce, pan Zagłoba. — Byleśmy się do pierwszej chorągwi dostali, to już i do Zbaraża dojdziemy w bezpieczności.

Pan Wołodyjowski postanowił jednak zaopatrzyć się w świeże konie w Płoskirowie, bo te, które kupiono w Barku, były już do niczego, a Burłajowych trzeba było na czarną godzinę oszczędzać. Ostróżność stała się konieczną, kiedy rozeszła się wieść, że Chmielnicki już pod Konstantynowem, a chan ze wszystkiemi ordami wali do Piławiec.

— My tu z kniaziówną zostaniem pod miastem, bo lepiej się na

rynku nie pokazywać — rzekł mały rycerz do Zagłoby, gdy przyszli do opuszczonego domku, odległego o dwa staja drogi od miasta —a waszeć idź, popytaj u mieszczan, czyli koni na sprzedaż, albo na zamianę nie mają. Wieczór już, ale ruszymy na całą noc.

— Niezadługo wrócę — rzekł pan Zagłoba.

I odjechał ku miastu, Wołodyjowski zaś kazał Rzędzianowi porozluźniać nieco popręgów u kulbak, ażeby bachmaty mogły odetchnąć, sam zaś wprowadził kniaziównę do izby, prosząc, aby się winem i snem pokrzepiła.

— Chciałbym do świtania te dziesięć mil ujechać — mówił jej — później wszyscy wypoczniemy.

Zaledwie jednak przyniósł bukłaki z winem i żywność, gdy zatętniało przed sienią.

Mały rycerz spojrzał przez okno.

— Pan Zagłoba już wrócił — rzekł — widno koni nie znalazł.

W tej chwili drzwi izby roztwarły się i ukazał się w nich Zagłoba blady, siny, spotniały, zadyszany.

— W konie! — zakrzyknął.

Pan Michał był doświadczonym żołnierzem i w takich razach na pytania czasu nie tracił. Nie tracił go nawet na ratowaniu bukłaka z winem (który wszelako pan Zagłoba porwał), ale chwycił co prędzej kniaziównę, wyprowadził ją na podwórze i posadził na kulbakę; rzucił ostatnie spojrzenie, czy popręgi dociągnięte i powtórzył:

— W konie!

Kopyta zatętniały i wkrótce znikli w ciemnościach jeźdźcy i bachmaty, jak orszak mar.

Lecieli długo i bez wypoczynku, aż dopiero, gdy blisko mila dzieliła ich od Płoskirowa i przed wejściem księżyca pomroka stała się tak gruba, że wszelki pościg stał się niemożebny, pan Wołodyjowski zbliżył się do Zagłoby i spytał:

— Co to było?

— Czekaj... panie Michale, czekaj. Okrutniem się zdyszał, mało mi nóg nie odjęło — uf!

— Ale co to było?

— Dyabeł we własnej osobie, mówię ci, dyabeł, albo smok, któremu jedną głowę utniesz, druga odrasta.

— Gadajże waść wyraźnie.

— Bohuna na rynku widziałem.

— Chyba waść masz delirium?

Na rynku go widziałem, jako żywo, a przy nim pięciu, czy sześciu ludzi; policzyć nie mogłem, bo mało mi nóg nie odjęło. Pochodnie przy nim trzymali... Już tak myślę, że nam chyba bies jaki w drodze staje, i zgoła nadzieję w szczęśliwy skutek naszej imprezy straciłem. Czy on nieśmiertelny, ten piekielnik, czy co? Nie mówże o nim Helenie... O dla Boga! waćpan go usiekłeś, Rzędzian go wydał — nie! on już żyw, wolny i w drogę lezie! Uf! o Boże! Boże! mówię ci, panie Michale, że wolałbym spectrum(zjawisko) na cmentarzu zobaczyć, niż jego. I co u dyabła za moje szczęście, że to ja go właśnie wszędy pierwszy spotykam! Psu wsadzić w gardło takie szczęście. Czy to niema innych ludzi na świecie? niech go inni spotykają! Nie — zawsze ja i ja!

— A on widział waści?

— Gdyby on mnie widział, tobyś ty już mnie, panie Michale nie widział. Tego tylko brakowało!

— Ważnaby to była rzecz wiedzieć — mówił Wołodyjowski — czy on goni za nami, czy też do Waładynki, do Horpyny, jedzie w tem mniemaniu, że nas po drodze ułapi?

— Mnie się widzi, że do Waładynki.

— Tak i musi być. Tedy my jedziemy w jedną stronę, a on w drugą, i teraz mila już, albo dwie, między nami, a za godzinę będzie pięć. Nim się po drodze o nas dowie i nawróci, będziemy w Żółkwi, nietylko w Zbarażu.

— Tak mówisz, panie Michale? Chwała Bogu! jakobyś mi plaster przyłożył. Ale powiedz mnie, jak to być może, by on był na wolności, skoro jego Rzędzian w ręce komendanta włodawskiego wydał?

— Poprostu uciekł.

— To już szyję takiemu komendantowi uciąć. Rzędzian hej, Rzędzian!

— A czego jegomość chce? — pytał pachołek, wstrzymując konia.

— Komuś ty Bohuna wydał?

— Panu Rogowskiemu.

— A któż to ten pan Rogowski?

— To wielki kawaler, porucznik pancerny z pod chorągwi króla jegomości.

— Bodajże cię! — rzekł, trzasnąwszy w palce Wołodyjowski — to już ja wiem! Nie pamiętaszno waćpan, co nam pan Longinus opowiadał o nieprzyjaźni pana Skrzetuskiego z Rogowskim? To przecie

pana Łaszcza, strażnika, krewniak i za jego konfuzyę ma do Skrzetuskiego odium (nienawiść).

— Rozumiem, rozumiem! — zakrzyknął pan Zagłoba. — On to pewnie Bohuna na złość puścił. Ale to kryminał taka sprawa i gardłem pachnie. Pierwszy będę delatorem!

— Daj go Boże spotkać — mruknął pan Michał, — a pewnie do trybunałów nie pójdziemy.

Rzędzian nie wiedział dotąd o co idzie, bo po odpowiedzi, danej Zagłobie, znów wysunął się naprzód do kniaziówny.

Jechali teraz wolno. Księżyc zeszedł; mgły, które z wieczora unosiły się nad ziemią, opadły — i noc zrobiła się widna. Wołodyjowski pogrążył się w zamyśleniu, Zagłoba przeżuwał jeszcze czas jakiś resztki przerażenia, nakoniec rzekł:

— Dałżeby Bohun teraz i Rzędzianowi, gdyby go w ręce dostał!

— Powiedz mu waćpan nowinę, niech się strachu naje, a ja tymczasem pojadę przy kniaziównie — odpowiedział mały rycerz.

— Dobrze! Hej, Rzędzian!

— A czego? — pytał pachołek, wstrzymując ponownie konie.

Pan Zagłoba zrównał się z nim i milczał przez chwilę, czekając, by Wołodyjowski i kniaziówna oddalili się dostatecznie, nakoniec rzekł:

— Wiesz co się stało?

— Nie wiem.

— Pan Rogowski puścił Bohuna na wolność. Widziałem go w Płoskirowie.

— W Płoskirowie? teraz? — pytał Rzędzian.

— Teraz. A co, nie zlatujesz z kulbaki?

Promienie księżyca padały prosto na pucołowatą twarz pachołka, i pan Zagłoba nie dojrzał na niej przerażenia, ale z największem zdziwieniem spostrzegł ów wyraz srogiej, zwierzęcej prawie zawziętości, którą Rzędzian miał wówczas, gdy Horpynę mordował.

— Cóż, ty się Bohuna nie boisz, czy co? — pytał stary szlachcic.

— Mój jegomość — odparł pachołek, — jeżeli jego pan Rogowski puścił, to już ja sam muszę nanowo pomsty nad nim szukać za moją krzywdę i pohańbienie. Przecie mu tego nie daruję, bom przysiągł — i gdyby nie to, że pannę odwozimy, zarazbym w jego tropy pojechał... niechże moje nie przepada!

— Tfu! — pomyślał Zagłoba — wolę, żem temu pachołkowi nijakiej krzywdy nie uczynił.

Potem popędził konia i po chwili zrównał się z kniaziówną i Wołodyjowskim. Po godzinie drogi przeprawili się przez Medwedówkę i wjechali w las ciągnący się od samego brzegu rzeki dwiema czarnemi ścianami wzdłuż drogi.

— Już tę okolicę znam dobrze — rzekł Zagłoba. — Teraz ten bór niezadługo się skończy; za nim będzie z ćwierć mili pola gołego, przez które idzie gościniec, z Czarnego Ostrowiu, a potem znów bory jeszcze większe, aż do Matczyna. Da Pan Bóg, że w Matczynie zastaniemy już chorągwie polskie.

— Pora już, żeby zbawienie przyszło — mruknął Wołodyjowski.

Czas jakiś jechali w milczeniu, jasnym, oświeconym przez promienie księżyca gościńcem.

— Dwa wilki drogę przeszły! — rzekła nagle Helena.

— Widzę — odparł Wołodyjowski, — a ot trzeci.

Szarawy cień przemknął się istotnie o sto kilkadziesiąt kroków przed końmi.

— Ot czwarty! — zawołała kniaziówna.

— Nie, to sarna; patrz waćpanna: dwie, trzy!

— Co u licha! — zakrzyknął pan Zagłoba. — Sarny za wilkami gonią! Świat, widzę, przewraca się do góry nogami.

— Jedźmy no nieco prędzej — rzekł zaniepokojonym głosem pan Wołodyjowski. — Rzędzian! bywaj! i z panną naprzód!

Pomknęli — ale Zagłoba pochylił się w pędzie do ucha Wołodyjowskiego i pytał:

— Panie Michale, a co tam nowego?

— Źle! — odrzekł mały rycerz. — Widziałeś waść: zwierz z legowisk, ze snu się zrywa i nocą pomyka.

— Oj! co to znaczy?

— To znaczy, że go płosz

— Kto?

— Wojska, Kozacy, albo Tatary — idą nam od prawej ręki.

— A może nasze chorągwie?

— Nie może być, bo zwierz umyka od wschodu, od Piławiec, więc pewno Tatarzy szeroką ławą idą.

— Umykajmy, panie Michale, na miły Bóg!

— Niema innej rady. Ej, żeby tak tu kniaziówny nie było podeszlibyśmy pod same czambuły, żeby kilku urwać, ale z nią... ciężka może być prz… …wa, jeśli nas na oko wezmą.

— Bój się Boga, panie Michale! Skręćmy w lasy za tymi wilkami, albo co?

— Nie może być, bo choćby nas zrazu nie dostali, to kraj przed nami zaleją, a potem jakże się wydostaniem?

— Niechże ich siarczyste pioruny zatrzasną! Tego nam tylko brakowało. Ej, panie Michale, czy się nie mylisz? Wilcy to przecież za koszem ciągną, nie przed nim pomykają.

— Które są po bokach, to ciągną za koszem i ze wszystkich okolic się zbierają, ale te, co na przedzie, to się płoszą. Widziszno waść tam, na prawo, między drzewami — łuna świta!

— Jezusie Nazareński, królu żydowski!

— Cicho waść! Siła jeszcze tego lasu?

— Zaraz się skończy.

— A potem pole?

— Tak jest. O Jezu!

— Cicho waść! Za polem drugi las?

— Aż do Matczyna.

— Dobrze! byle nas na tem polu nie najechali. Jeżeli się do drugiego lasu szczęśliwie przedostaniem, tośmy i w domu. Jedźmy teraz razem! Szczęściem, kniaziówna z Rzędzianem na Burłajowych koniach.

Popędzili konie i zrównali się z jadącymi na przedzie.

— Co to za łuna na prawo? — pytała kniaziówna.

— Mościa panno — odrzekł mały rycerz, — tu niema co ukrywać. To mogą być Tatarzy.

— Jezus Marya!

— Nie trwóż się waćpanna! Szyja moja w tem, że im umkniemy, a w Matczynie nasze chorągwie.

— Dla Boga! umykajmy — rzekł Rzędzian.

Ucichli i mknęli jak duchy. Drzewa poczęły rzednąć, las kończył się — ale też i łuna nieco przygasła. Nagle Helena zwróciła się do małego rycerza.

— Mości panowie! — rzekła — przysięgnijcie mi, że żywa nie pójdę w ich ręce!

— Nie pójdziesz! — odrzekł Wołodyjowski — pókim ja żyw!

Zaledwie skończył, wypadli z lasu na pole, a raczej na step, który ciągnął się blisko ćwierć mili, a na którego przeciwległym końcu czerniła się znów wstążka lasu. Halizna ta, ze wszystkich stron

odkryta, srebrzyła się teraz cała od promieni księżyca, i było na niej prawie tak widno jak w dzień.

— To najgorszy szmat drogi — szepnął do Zagłoby Wołodyjowski — bo jeśli oni w Czarnym Ostrowiu, to tędy pójdą między lasami.

Zagłoba nie odrzekł nic, jeno piętami konia ścisnął.

Dobiegli już do połowy pola, przeciwległy las stawał się coraz bliższy, wyraźniejszy, gdy nagle mały rycerz wyciągnął rękę ku wschodowi.

— Patrz waść — rzekł do Zagłoby — widzisz?

— Krze jakoweś i zarośla w dalekości.

— Te krze się ruszają! W konie teraz, w konie, bo już nas dojrzą niezawodnie!

Wiatr zaświsnął w uszach uciekających — zbawczy las zbliża się coraz bardziej.

Nagle z owej ciemnej masy zbliżającej się od prawej strony pola doleciał naprzód jakby szum, podobny do szumu fal morskich, a w chwilę potem jeden ogromny krzyk targnął powietrzem.

— Widzą nas! — ryknął Zagłoba. — Psy! szelmy! dyably! wilcy! łajdaki!

Las był tak blisko, że uciekający już prawie czuli surowe i chłodne jego tchnienie.

Ale teraz i chmura Tatarów stawała się coraz wyraźniejszą, a z ciemnego jej ciała poczęły wysuwać się długie odnogi, jakoby macki olbrzymiego potworu — i zbliżać się ku uciekającym z niepojętą szybkością. Wprawne uszy Wołodyjowskiego odróżniły już wyraźne wrzaski: Ałła! ałła!

— Koń mi się potknął! — krzyknął Zagłoba.

— Nic to! — odparł Wołodyjowski.

Ale przez głowę przelatywały mu, nakształt piorunów, pytania: co będzie, jeżeli konie nie wytrzymają? co będzie, jeżeli który z nich padnie? Były to dzielne tatarskie bachmaty, żelaznej wytrwałości, ale szły już od Płoskirowa, mało co wypoczywając, po onym szalonym biegu, od miasta aż do pierwszego lasu. Można się było wprawdzie przesiąść na luźne, lecz i luźne były znużone. Co będzie? — myślał pan Wołodyjowski — i serce zabiło mu trwogą, może po raz pierwszy w życiu — nie o siebie, ale o Helenę, którą w tej długiej podróży pokochał, jak siostrę rodzoną. A wiedział i to, że Tatarzy, raz zacząwszy gonitwę, nie ustaną tak prędko.

— Niechże nie ustaną, a jej nie zgonią! — rzekł do siebie, ścisnąwszy zęby.

— Koń mi się potknął! — zawołał po raz drugi Zagłoba.

— Nic to! — powtórzył Wołodyjowski.

Tymczasem wpadli do lasu. Objęła ich ciemność — ale też pojedyńczy jeźdźcy tatarscy byli nie dalej za nimi niż o kilkaset kroków.

Wszelako mały rycerz wiedział już, jak ma postąpić.

— Rzędzian! — krzyknął — skręcaj z panną w pierwszą drogę z gościńca.

— Dobrze, mój jegomość! — odrzekł pachołek.

Mały rycerz zwrócił się do Zagłoby.

— Pistolety w garść!

I jednocześnie, położywszy rękę na cuglach konia pana Zagłoby począł bieg jego hamować.

— Co robisz? — krzyknął szlachcic.

— Nic to! wstrzymaj waść konia.

Odległość między nimi a Rzędzianem, który umykał z Heleną, poczęła się zwiększać coraz bardziej. Nakoniec przybyli do miejsca, gdzie gościniec skręcał się dość nagle ku Zbarażowi, a wprost dalej szła wąska drożyna leśna, wpół przesłoniona gałęziami. Rzędzian wpadł na nią, i po chwili oboje z Heleną znikli w gęstwinie i ciemności.

Tymczasem Wołodyjowski wstrzymał konia swego i Zagłoby.

— Na miłosierdzie Boskie! co czynisz? — ryczał szlachcic.

— Wstrzymamy pogoń. Niema innego dla kniaziówny ratunku.

— Zginiemy!

— To zginiemy. Stań waść na boku gościńca!... tutaj! tutaj!

Obaj przyczaili się w ciemnościach pod drzewami. Tymczasem gwałtowny tętent bachmatów tatarskich zbliżał się i huczał, jak burza, aż się las nim rozlegał.

— Stało się! — rzekł Zagłoba i podniósł do ust bukłak z winem. Pił i pił — poczem wstrząsnął się.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — zakrzyknął — gotowym na śmierć!

— Zaraz! zaraz! — rzekł Wołodyjowski. — Trzech idzie naprzód, tegom chciał.

Jakoż na jasnym gościńcu pokazało się trzech jeźdźców, siedzących widocznie na najlepszych bachmatach, tak zwanych na Ukrai-

nie wilczarach, bo w biegu wilka doganiały; za nimi, o dwieście lub trzysta kroków, pędziło kilkunastu innych, a dalej jeszcze cały gęsty, zbity tłum ordyńców.

Gdy trzej pierwsi zrównali się z zasadzką, huknęły dwa strzały, poczem Wołodyjowski rzucił się jak ryś, na środek gościńca i w jednem mgnieniu oka, nim pan Zagłoba miał czas spojrzeć i pomyśleć co się stało, trzeci Tatar padł, jakby gromem rażony.

— W konie! — krzyknął mały rycerz.

Pan Zagłoba nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i ruszyli gościńcem, nakształt dwóch wilków, za którymi stado zajadłych psów goni; tymczasem dalsi ordyńcy nadbiegli do trupów i poznawszy, że owe gonione wilki potrafią na śmierć ukąsić, wstrzymali nieco konie, czekając na innych towarzyszów.

— Widzisz waść — rzekł Wołodyjowski — wiedziałem, że się zatrzymają.

Ale jakkolwiek uciekający zyskali kilkaset kroków, przerwa w gonitwie nie trwała długo, tylko że Tatarzy biegli już większą kupą i nie wysuwali się pojedyńczo naprzód.

Jednakże konie uciekających były zmęczone długą drogą i pęd ich słabł. Szczególnie koń Zagłoby, niosący na grzbiecie tak znaczny ciężar, potknął się znowu raz i drugi — staremu szlachcicowi resztki włosów stanęły na głowie na myśl, że padnie.

— Panie Michale, najdroższy panie Michale! nie opuszczajże mnie! — wołał z desperacyą.

— Bądź waść pewien! — odpowiedział mały rycerz.

— Żeby tego konia wilcy...

Nie skończył, gdy pierwsza strzała bzyknęła mu koło ucha, a za nią inne poczęły bzykać i świstać i śpiewać, jakby bąki i pszczoły. Jedna przeleciała tak blisko, że prawie otarła się bełtem o uszy pana Zagłoby.

Wołodyjowski zwrócił się i znowu dał po dwakroć z pistoletu ognia do goniących.

Wtem koń Zagłoby potknął się tak silnie, że nozdrzami niemal zarył w ziemi.

— Na Boga żywego, koń mi pada! — krzyknął rozdzierającym głosem szlachcic.

— Z kulbaki i w las! — zagrzmiał Wołodyjowski.

To rzekłszy, sam osadził konia, zeskoczył i w chwilę później, obaj z Zagłobą znikli w ciemnościach.

Ale manewr ten nie uszedł skośnych oczu Tatarów i kilkudziesięciu z nich, zeskoczywszy również z koni, puściło się w pogoń za uciekającymi.

Gałęzie zerwały z głowy czapkę Zagłobie i biły go po twarzy, szarpały za żupan, ale szlachcic, wziąwszy nogi za pas, umykał, jakby mu trzydzieści lat wieku ubyło. Czasami padał, więc podnosił się i umykał jeszcze śpieszniej, sapiąc jak miech kowalski — nakoniec stoczył się w głęboki wykrot i czuł, że się już nie wygramoli, bo siły opuściły go zupełnie.

— Gdzie waść jest? — spytał zcicha Wołodyjowski.

— Tu! w dole... Już po mnie, ratuj mię, panie Michale!

Ale pan Michał bez wahania wskoczył do wykrotu i położył rękę na ustach pana Zagłoby.

— Cicho waść! — może nas miną! Będziem się zresztą bronili.

Tymczasem nadbiegli Tatarzy. Jedni z nich minęli istotnie wykrot, sądząc, że zbiegowie uciekają dalej, inni szli zwolna, obejmując drzewa i rozglądając się na wszystkie strony.

Rycerze utaili dech w piersiach.

— Niech tu który wpadnie — myślał w rozpaczy Zagłoba — to ja mu wpadnę!...

Wtem iskry posypały się na wszystkie strony;

Tatarzy poczęli krzesać ogień...

Przy blasku ich widać było dzikie twarze, o wystających policzkach, i nabrzękłe wargi, dmuchające w zatlone hubki. Przez jakiś czas chodzili tak wkoło kilkadziesiąt kroków od wykrotu, podobni do jakichś złowrogich widm leśnych — i zbliżali się coraz bardziej.

Ale w chwilę później, jakieś dziwne szumy, szmery i zmieszane okrzyki poczęły dolatywać z gościńca i budzić uśpione gołębie.

Tatarzy przestali krzesać i stanęli jak wryci — ręka Wołodyjowskiego wpiła się w ramię Zagłoby.

Krzyki zwiększały się i nagle buchnęły czerwone światła a razem z niemi rozległa się salwa muszkietów — jedna, druga, trzecia — za nią okrzyki:Ałła — szczęk szabel, kwik koni — tętent i wrzaski pomieszane — Na gościńcu wrzała bitwa.

— Nasi! nasi! — krzyknął Wołodyjowski.

— Bij! morduj! bij! siecz! rznij! — ryczał pan Zagłoba.

Sekunda jeszcze: koło wykrotu przebiegło w największym popłochu kilkudziesięciu Tatarów, którzy zmykali teraz co dychu ku swoim. Pan Wołodyjowski nie wytrzymał, skoczył za nimi — i jechał na ich karkach wśród gęstwy i ciemności.

Zagłoba pozostał na dnie jamy.

Po chwili próbował wyleźć, ale nie mógł. Bolały go wszystkie kości i zaledwie zdołał na nogach się utrzymać.

— Ha, łajdaki! — rzekł oglądając się na wszystkie strony — uciekliście! Szkoda, że tu który nie został. Miałby kompanię w tej jamie i pokazałbym mu, gdzie pieprz rośnie. O poganie! narzną was tam teraz, jak bydła! Dla Boga! hałas tam teraz coraz większy! Chciałbym, żeby to był sam książę Jeremi, bo tenby dopiero was przygrzał. Hałłakujecie! hałłakujecie! będą później wilcy nad waszem ścierwem hałłakowali. Ale też ten pan Michał, żeby mnie tu samego zostawić. Ba, nic dziwnego! Łakomy, bo młody. Po tej ostatniej przeprawie już i do piekłabym z nim poszedł, bo to nie taki przyjaciel, co w potrzebie opuszcza. A osa to jest! W mig tamtych trzech ukąsił. Żebym to miał przynajmniej z sobą ten bukłak... ale już go tam pewnie dyabli wzięli... konie rozdeptały. Jeszcze mnie tu jaka gadzina żgnie w tej jamie. Co to?

Krzyki i salwy muszkietów poczęły oddalać się w stronę pola i pierwszego lasu.

— Aha! rzekł Zagłoba. — Już im na karkach jadą! Nie wytrzymaliście psubraty! Chwała bądź Bogu Najwyższemu.

Krzyki oddalały się coraz bardziej.

— Zdrowo jadą! — mruczał dalej szlachcic. — Ale tu, widzę, przyjdzie mi posiedzieć w tej jamie. Tegoby brakowało, żeby mnie wilcy zjedli. Naprzód Bohun, potem Tatarzy, a w końcu wilcy. Dajże Boże pal Bohunowi, a wściekliznę wilkom, bo o Tatarach już tam jakoś nasi myślą niezgorzej! Panie Michale! panie Michale!

Cisza odpowiedziała panu Zagłobie, tylko bór szumiał, a zdala coraz słabiej dochodziły okrzyki.

— Chyba się tu spać położę — czy co? — Niechże to dyabli porwą! Hej, panie Michale!

Ale cierpliwość pana Zagłoby na długą jeszcze miała być wystawiona próbę, bo szaro już było na niebie, gdy na gościńcu dał się ponownie słyszeć tętent, a następnie światła zabłysły w mroku leśnym.

— Panie Michale! tu jestem! — zawołał szlachcic.

— To waść wyłaź.

— Ba! kiedy nie mogę.

Pan Michał z łuczywem w garści stanął nad jamą i podając rękę Zagłobie, rzekł:

— No! Tatarów niema. Przejechaliśmy się na nich aż za tam ten las.

— A któż to nadszedł?

— Kuszel i Roztworowski we dwa tysiące koni. Moi dragoni także są z nami.

— A pogańców siła było?

— At! komunik, parotysięczny.

— To chwała Bogu! dajcieże mi się czego napić, bom zemdlał.

We dwie godziny później, pan Zagłoba, napojony i nakarmiony należycie, siedział na wygodnej kulbace, wśród dragonów Wołodyjowskiego, a obok niego jechał mały rycerz i tak mówił:

— Jużże się waćpan nie martw, bo choć do Zbaraża razem z kniaziówną nie przyjedziemy, ale gorzejby było, gdyby wpadła w pogańskie ręce.

— A może Rzędzian nawróci jeszcze do Zbaraża? — pytał Zagłoba.

— Tego on nie uczyni, gościniec będzie zajęty: ów czambuł, któryśmy odparli, rychło wróci i w trop za nami iść będzie. Zresztą i Burlaj lada chwila nadciągnie i pierwej stanie pod Zbarażem, niżby Rzędzian mógł zdążyć. Z drugiej strony od Konstantynowa idą Chmielnicki i chan.

— O dla Boga! toż oni właśnie z kniaziówną jakoby w matnię wpadną.

— Głowa też Rzędziana w tem, aby się między Zbarażem a Konstantynowem, póki czas, przemknął, i nie pozwolił się pułkom Chmielnickiego, albo chanowym czambułom ogarnąć. I widzisz waść, mocno ja ufam, że on to potrafi.

— Dajże tak Boże!

— Chytry to jest pachołek, jak lis. Waćpanu fortelów nie brak, ale on jeszcze chytrzejszy. Siłaśmy głowy nałamali, jak dziewczynę ratować — i w końcu ręce nam opadły — a przez niego wszystko się naprawiło. Będzie się on teraz wyślizgiwał jak wąż, gdyż i o własną skórę mu chodzi. Ufaj waść, bo i Bóg jest nad nią, który ją tyle razy ratował — i przypomnij sobie, że sam mi w Zbarażu ufać kazałeś wtenczas, kiedy Zachar przejeżdżał.

Zagłoba pokrzepił się nieco temi słowami pana Michała, a następnie zamyślił się głęboko.

— Panie Michale — rzekł po chwili — a nie pytałeś Kuszla, co się ze Skrzetuskim dzieje?

— Jest już w Zbarażu i chwalić Boga, zdrowy. Przyszedł z Zaćwilichowskim, od księcia Koreckiego.

— A co my jemu powiemy?

— W tem sęk.

— Wszakże on ciągle myśli, że dziewczyna w Kijowie zamordowana.

— Tak jest.

— A mówiłeś teraz Kuszlowi, albo komu, skąd jedziemy?

— Nie mówiłem, bom sobie myślał, że lepiej się pierwej naradzimy.

— Wolałbym chyba o całej imprezie zamilczeć — rzekł Zagłoba. — Miałaby dziewczyna teraz, Boże uchowaj! wpaść znowu w ręce kozackie, albo tatarskie, to dla Skrzetuskiego nowa boleść — tak właśnie, jakoby mu kto przyschłe rany rozdrapał.

— Głowę daję, że ją Rzędzian wyprowadzi.

— Dałbym i ja za to chętnie swoją, ale nieszczęście teraz na świecie jak dżuma grasuje. Lepiej już zamilczmy i na wolę Bożą wszystko zdajmy.

— Niechże tak będzie, ale czy pan Podbipięta tajemnicy Skrzetuskiemu nie wyjawi?

— Chyba go nie znasz. — Parol kawalerski dał, a to dla tego litewskiego powyrka święta rzecz.

Tu przyłączył się do nich Kuszel i jechali dalej razem, rozmawiając, przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca, o rzeczach publicznych, o przyjściu regimentarzy do Zbaraża, które książę Jeremi spowodował, o bliskim przyjeździe księcia i o nieuniknionej już, straszliwej, z całą potęgą Chmielnickiego rozprawie.

IV.

W Zbarażu zastali pan Wołodyjowski i Zagłoba wszystkie wojska koronne, zgromadzone i na nieprzyjaciela czekające. Był tam podczaszy koronny, który z pod Konstantynowa nadciągnął, i Lanckoroński, kasztelan kamieniecki, który pod Barem pierwej gromił,

i trzeci regimentarz, pan Firlej z Dąbrowicy, kasztelan bełski, i pan Andrzej Sierakowski, pisarz koronny, i pan Koniecpolski chorąży i pan Przyjemski generał artyleryi, wojownik, szczególniej w zdobywaniu miast i urządzaniu obrony biegły. A z nimi dziesięć tysięcy wojska kwarcianego, nie licząc kilku chorągwi księcia Jeremiego, które już poprzednio w Zbarażu stały.

Pan Przyjemski na południowych stokach miasta i zamku, za rzeczką Gniezną i dwoma stawami, zatoczył potężny obóz, który cudzoziemską sztuką ufortyfikował, a który tylko z przodu można było zdobywać, bo tyłów broniły stawy, zamek i rzeczka. W tym to obozie mieli zamiar regimentarze dać opór Chmielnickiemu i zatrzymać nawałnicę dopóty, dopókiby król, z resztą sił i pospolitem ruszeniem wszystkiej szlachty, nie nadciągnął. Ale czy był to zamiar wobec potęgi Chmielnickiego podobny do spełnienia? Wielu wątpiło i słuszne przytaczało wątpliwości powody, a między innymi i ten, że w samym obozie źle się działo. Naprzód między wodzami wrzała tajona niezgoda. Regimentarze bowiem poniewoli przyszli pod Zbaraż, ulegając w tem żądaniu księcia Jeremiego. Początkowo mieli regimentarze chęć bronić się pod Konstantynowem, ale gdy rozeszła się wieść, że Jeremi obiecuje stanąć własną osobą tylko w takim razie, jeżeli Zbaraż na miejsce obrony będzie wybrany, żołnierstwo natychmiast oświadczyło królewskim wodzom, że chce iść na Zbaraż i gdzieindziej bić się nie będzie. Nie pomogły żadne perswazye, ani powaga buławy i wkrótce regimentarze poznali, że jeżeli w dłuższem oporze trwać będą, tedy wojska, począwszy od poważnych znaków husarskich, aż do ostatniego żołnierza z rot cudzoziemskich opuszczą ich i zbiegną pod chorągwie Wiśniowieckiego. Był to jeden z tych smutnych, coraz częstszych w owym czasie przykładów niekarności wojskowej, którą zrodziły zarazem nieudolność wodzów, niezgody ich między sobą, bezprzykładna groza przed potęgą Chmielnickiego i niebywałe dotychczas klęski, a zwłaszcza Piławiecka.

Tak więc regimentarze musieli ruszyć pod Zbaraż, gdzie władza, mimo nominacyi królewskich, miała siłą rzeczy przejść w ręce Wiśniowieckiego, bo jego jednego tylko chciało słuchać wojsko, bić się i ginąć pod nim jednym. Ale tymczasem tego faktycznego wodza nie było jeszcze w Zbarażu, więc niepokój w wojsku wzrastał, karność rozluźniła się do reszty i serca upadały. Już było bowiem wiadomo, że Chmielnicki, a z nim chan ciągną potęgą, jakiej

od czasów Tamerlana nie widziały ludzkie oczy. Coraz nowe wieści nadlatywały do obozu, jakby złowrogie ptactwo . . coraz nowe, coraz straszliwsze posłuchy, i wątliły męstwo żołnierza. Były obawy, aby popłoch podobny do piławieckiego nie zerwał się nagle i nie rozproszył tej garści wojska, która zagradzała Chmielnickiemu drogę do serca Rzeczypospolitej. Wodzowie sami tracili głowy. Sprzeczne ich rozporządzenia nie były wcale wykonywane, lub wykonywano je z niechęcią. Rzeczywiście, jeden Jeremi mógł odwrócić klęskę, wiszącą nad obozem, wojskiem i krajem.

Pan Zagłoba i Wołodyjowski, przybywszy z chorągwiami Kuszla, wpadli zaraz w wir wojskowy, ledwie bowiem stanęli na majdanie, otoczyli ich towarzysze różnych znaków, pytając jeden przez drugiego o nowiny. Na widok jeńców tatarskich, otucha wstąpiła zaraz w serca ciekawych: "Uszczknęli Tatarów! Jeńcy tatarscy! Bóg dał wiktoryę!" — powtarzali jedni. "Tatarzy tuż — i Burłaj z nimi!" — wołali drudzy. "Do broni, mości panowie! na wały!" Wieść leciała przez obóz, a zwycięstwo Kuszlowe rosło przez drogę. Coraz więcej ludzi kupiło się naokoło jeńców. "Pościnać ich! — wołano — co tu będziemy z nimi robili." Posypały się pytania tak gęsto, jakoby śnieżna zadymka, ale Kuszel nie chciał odpowiadać i poszedł z relacyą do kwatery kasztelana bełskiego, zaś Wołodyjowskiego i Zagłobę witali przez ten czas znajomi, z pod chorągwi ruskich, a oni wykręcali się, jak mogli, było im bowiem również pilno zobaczyć się ze Skrzetuskim.

Znaleźli go w zamku, a z nim starego Zaćwilichowskiego, dwóch księży miejscowych Bernardynów i pana Longina Podbipiętę. Skrzetuski, ujrzawszy ich, przybladł nieco i oczy zmrużył, bo mu zbyt dużo wspomnień na myśl przywiedli, aby miał bez bólu znieść ich widok. Jednakże powitał ich spokojnie, a nawet radośnie — pytał, gdzie byli, i zadowolnił się pierwszą lepszą odpowiedzią, gdyż poczytując kniaziównę za umarłą, niczego już nie pragnął, niczego się nie spodziewał i najmniejsze podejrzenie nie wkradło mu się do duszy, że ich długa nieobecność może być w jakimkolwiek z nią związku. Oni też słowem o celu wyprawy nie wspomnieli, choć pan Longinus spoglądał to na jednego, to na drugiego badawczym wzrokiem, i wzdychał i kręcił się na miejscu, chcąc choć cień nadziei na ich obliczach wyczytać. Ale obydwaj zajęci byli Skrzetuskim, którego pan Michał co chwila brał w ramiona, bo

mu serce miękło na widok tego wiernego i dawnego przyjaciela, który tyle przebył i tyle utracił, że prawie żyć nie miał poco.

— Ot! do kupy znowu zbieramy się wszyscy starzy towarzysze — mówił do Skrzetuskiego — i dobrze ci będzie z nami. Wojna też przyjdzie taka, widzę, jakiej jeszcze nie bywało, a z nią i rozkosze wielkie dla każdej duszy żołnierskiej. Byle ci Bóg dał zdrowie i nieraz jeszcze husarzy poprowadzisz.

— Bóg mi już zdrowie wrócił — odpowiedział Skrzetuski — i sam sobie więcej nie życzę, jeno służyć, póki jest potrzeba.

Jakoż Skrzetuski zdrów był już w istocie, bo młodość i potężna siła zwalczyły w nim chorobę. Zgryzoty przeżerały mu duszę, ale ciała zgryźć nie mogły. Wychudł tylko bardzo i pożółkł tak, że czoło, policzki i nos miał jakby z wosku kościelnego uczynione. Dawna kamienna surowość została mu w twarzy i był w niej taki skrzepły spokój, jak w twarzach umarłych. Więcej jeszcze srebrnych nici wiło się w jego czarnej brodzie, a zresztą nie różnił się niczem od innych ludzi, chyba tem, że przeciw żołnierskiemu obyczajowi unikał gwarów, ciżby, pijatyk, chętniej z zakonnikami obcując, których rozmów o życiu klasztornem i o życiu przyszłem chciwie, bywało, słuchał. Jednakże służbę ściśle pełnił i co się tyczyło wojny, albo spodziewanego oblężenia, tem na równi ze wszystkimi się zajmował.

Wnet też rozmowa zeszła na ten przedmiot, bo nikt o niczem innem nie myślał, w całym obozie, w zamku i w mieście. Stary Zaćwilichowski wypytywał się o Tatarów i o Burłaja, z którym zdawna miał znajomość.

— Wielki to jest wojownik — mówił — i aż żal, że przeciw ojczyźnie wraz z innymi powstaje. Razem służyliśmy pod Chocimem — młodzik to był jeszcze, ale już obiecywał, że na niepospolitego męża wyrośnie.

— Przecie on jest z Zadnieprza i zadnieprzańcom przewodzi — rzekł Skrzetuski; — jakże to się stało, ojcze, że on teraz z południa od strony Kamieńca ciągnie?

— Widać — rzekł Zaćwilichowski — umyślnie mu tam Chmielnicki zimowisko wyznaczył, gdyż Tuhajbej został nad Dnieprem, a ów murza wielki ma do Burłaja ankor jeszcze z dawnych czasów. Nikt też Tatarom tyle sadła za skórę nie zalał, ile Burłaj.

— A teraz będzie ich commilitonem (kolegą).

— Tak jest! — rzekł Zaćwilichowski — takie czasy! Ale tu będzie nad nimi Chmielnicki czuwał, żeby się nie pożarli.

— A Chmielnickiego kiedy się tu, ojcze spodziewacie? — pytał Wołodyjowski.

— Lada dzień; a zresztą któż może wiedzieć? Powinni regimentarze podjazd za podjazdem wysyłać, a tego nie czynią. Led iem uprosił, że Kuszla wysłali ku południowi, a panów Pigłowskich pod Czołhański Kamień. Chciałem i sam iść, ale tu ciągle rady i rady... Mają jeszcze wysłać i pana pisarza koronnego w kilkanaście chorągwi! Niechże się śpieszą, aby zaś nie było za późno. Daj tu Boże jak najprędzej naszego księcia, bo inaczej taka hańba jak pod Piławcami nas spotka.

— Widziałem tych żołnierzów, kiedyśmy przez majdan przejeżdżali — rzecze Zagłoba — i tak myślę, że więcej między nimi kpów niż dobrych pachołków. Bazarnikami im być, nie naszymi commilitonami (kolegami), którzy się w sławie kochamy, więcej ją od zdrowia ceniąc.

— Co waść gadasz? — burknął staruszek. — Nie ujmuję ja waszmości męstwa, choć dawniej inne miałem mniemanie, ale i to wszystko rycerstwo, co tu jest, to najprzedniejszy żołnierz, jakiego kiedykolwiek miała Rzeczpospolita. Głowy jeno potrzeba, wodza! Pan Kamieniecki dobry harcownik, ale żaden wódz; pan Firlej, stary — a co do podczaszego, no, ten razem z księciem Dominikiem pod Piławcami zdobył sobie reputacyę. Cóż dziwnego, że ich słuchać nie chcą! Żołnierz chętnie przeleje krew, jeżeli jest pewien, że go bez potrzeby nie wygubią. Ot i teraz! zamiast o oblężeniu myśleć, to się spierają, gdzie który będzie stał.

— Czy aby wiwendy jest dosyć? — pytał niespokojnie Zagłoba.

— I tego nie tyle, ile potrzeba, ale z paszą jeszcze gorzej. Jeżeli się oblężenie przez miesiąc przeciągnie, to chyba wióry a kamienie będziemy koniom dawali.

— Jeszczeby czas o tem pomyśleć — rzekł Wołodyjowski.

— To idź im waść to powiedz. Daj Boże księcia, repeto (powtarzam)!

— Nie waszmość jeden do niego wzdychasz — przerwał pan Longinus.

— Wiem o tem — odrzekł staruszek. — Spojrzyjcie waszmościowie na majdan. Wszyscy u wałów siedzą i z tęsknotą w stronę starego poglądają, inni zaś aż na wieżę w mieście włażą, a krzyknie któ-

ry z pustoty: "Idzie!" — to od radości szaleją. Nie tak spragniony jeleń desiderat aquas (pragnie wody), jako my jego! Oby tylko przed Chmielnickim zdążył, bo już tak myślę, że tam musiały zajść impedimenta (przeszkody).

— My się też po całych dniach o jego przyjazd modlimy — odezwał się jeden z Bernardynów.

Jakoż modlitwy i życzenia całego rycerstwa miały się niebawem ziścić, chociaż następny dzień przyniósł jeszcze większe obawy i pełno wróżb złowrogich. Dnia ósmego lipca, we czwartek, straszliwa burza rozszalała nad miastem i świeżo zatoczonymi wałami obozu, Deszcz walił potokami. Część robót ziemnych spłynęła. Gniezna i oba stawy wezbrały. Wieczorem piorun huknął w piechotną chorągiew kasztelana bełskiego Firleja, zabił kilku ludzi, a samą chorągiew roztrzaskał na szczypki. Poczytano to za zły omen (znak) — za widoczny znak gniewu Bożego, tembardziej, że pan Firlej był kalwinistą. Zagłoba proponował, by wysłać do niego deputacyę z żądaniem i prośbą, aby się nawrócił — "gdyż nie może być błogosławieństwa Bożego dla wojska, którego wódz żyje w sprosnych błędach, Niebu obrzydłych." Wielu podzielało to mniemanie, i tylko powaga osoby kasztelańskiej i buławy wstrzymała wysłanie deputacyi. Ale serca tembardziej upadły. Burza też szalała bez przerwy. Wały, lubo wzmocnione kamieniami, łozą i ostrokołem, rozmiękły tak, że armaty poczęły grzęznąć. Musiano podkładać deski pod granatniki, moździerze i nawet pod oktawy. W głębokich fosach szumiała woda na chłopa wysoko. Noc nie przyniosła spokoju. Wicher gnał od wschodu coraz nowe, olbrzymie zwały chmur, które kłębiąc się i przelewając ze straszliwym łoskotem po niebie, wyrzucały nad Zbarażem wszystek swój zapas dżdżu, gromów, błyskawic... Tylko czeladź została w namiotach, w obozie, towarzystwo zaś, starszyzna, nawet regimentarze, z wyjątkiem kasztelana kamienieckiego, schroniło się do miasta. Gdyby Chmielnicki nadszedł był razem z tą burzą, byłby wziął obóz bez oporu.

Nazajutrz było już nieco lepiej, chociaż deszcz jeszcze popadywał. Dopiero koło piątej z południa wiatr popędził chmury, błękit roztoczył się nad obozem, a w stronie starego Zbaraża zajaśniała przepyszna siedmiobarwna tęcza, której potężny łuk jednem ramieniem za Stary Zbaraż przechodził, drugim zdawał się ssać wilgoć

z Czarnego lasu — i świecił się, i mienił, i grał na tle chmur uciekających.

Wówczas otucha wstąpiła w serca. Rycerstwo wróciło do obozu i wstąpiło na śliskie wały, aby widokiem tęczy oczy weselić. Zaraz poczęto rozprawiać gwarnie i zgadywać, co ten pomyślny znak zwiastuje, gdy wtem pan Wołodyjowski, stojąc razem z innymi nad fosą, przysłonił swe rysie oczy ręką i zakrzyknął:

— Wojsko z pod tęczy wychodzi! wojsko.

Zrobił się ruch, jakby wicher poruszył masą ludzi, a potem szmer zerwał się nagle. Słowa: "wojsko idzie," przeleciały jakoby strzała, od jednego końca wałów do drugiego. Żołnierze poczęli się cisnąć, popychać, skłębiać. Szmery zrywały się i cichły; wszystkie dłonie spoczęły nad oczyma, wszystkie oczy wbiły się z wytężeniem w dal — serca tłukły się w piersiach i — patrzeli tak wszyscy, oddech wstrzymując, zawieszeni między niepewnością i nadzieją...

A wtem pod siedmiobarwną bramą zamajaczyło coś, i majaczyło coraz wyraźniej, i wynurzyło się z dali i zbliżało coraz bardziej, i widniało coraz dokładniej — aż w końcu ukazały się chorągwie, proporce, buńczuki, później las proporczyków — oczy nie dały dłużej wątpić: było to wojsko.

Wówczas jeden olbrzymi okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi, okrzyk niepojętej radości:

— Jeremi! Jeremi! Jeremi!

Najstarszych żołnierzy ogarnął po prostu szał. Jedni rzucili się z wałów, przebrnęli fosę i biegli piechotą, przez zalaną wodą równinę ku zbliżającym się pułkom; drudzy lecieli do koni; inni śmieli się inni płakali, składali ręce i wyciągali je ku niebu, wołając: "Idzie nasz ojciec, nasz zbawca, nasz wódz!" Zdawaćby się mogło, że oblężenie już zdjęte, Chmielnicki pokonany i zwycięstwo odniesione. Tymczasem pułki księcia podchodziły coraz bliżej, tak, że można już było rozróżnić znaki. Szły więc naprzód, jako zwykle lekkie pułki książęcych Tatarów, semenów i Wołochów — za nimi widać było cudzoziemską piechotę Machnickiego, dalej armaty Wurcla, dragonię i poważne znaki husarskie. Promienie słońca łamały się na ich zbrojach, na grotach sterczących kopij — i szli wszyscy w blaskach niezwyczajnych, jakby już ich otaczała gloria (chwała) zwycięstwa. Skrzetuski, stojący obok pana Longina na wałach, poznał zdala swoją chorągiew, którą był w Zamościu zostawił — i wyżółkłe policzki zarumieniły mu się nieco: odetchnął silnie po kil-

kakroć, jakby jakiś niezmierny ciężar zrzucał z piersi i poweselał w oczach. Bo też i bliskie już były dla niego dni trudów nadludzkich, oraz walk heroicznych, które najlepiej goją serce i pamięć bolesną gdzieś coraz głębiej na dno duszy strącają. Pułki zbliżyły się jeszcze i zaledwie tysiąc kroków dzieliło je od obozu. Nadbiegła też i starszyzna, by oglądać wejście książęce: więc trzej regimentarze, z nimi pan Przyjemski, pan chorąży koronny, pan starosta krasnostawski, pan Korf i wszyscy inni oficerowie, tak chorągwi polskich, jak i cudzoziemskiego autoramentu. Podzielali oni ogólną radość, a szczególnie pan Lanckoroński, regimentarz, większy rycerz, aniżeli wódz, ale w sławie wojennej rozkochany, wyciągnął buławę w stronę, skąd przychodził Jeremi, i mówił tak głośno, że go wszyscy słyszeli:

" Oto tam nasz najwyższy wódz i ja pierwszy dank i władzę swą mu oddawam.

Pułki książęce zaczęły wchodzić do obozu. Było wszystkiego ludu trzy tysiące, ale za to na sto tysięcy serc przyrosło — bo byli to przecie wszystko zwycięzcy z pod Pohrebyszcz, Niemirowa, Machnówki i Konstantynowa. Witali się tedy znajomi i przyjaciele. Za lekkimi pułkami wtoczyła się nakoniec z trudem i artylerya Wurclowska, prowadząc cztery hakownice, dwie oktawy srodze donośne i sześć zdobycznych organków. Książę, który ze Starego Zbaraża pułki ekspedyował, wjechał dopiero wieczorem po zachodzie słońca. Zbiegło się co żyło na jego spotkanie. Żołnierze, pozapalawszy kaganki, ogarki, pochodnie i szczapy łuczywa, otoczyli tak książęcego dzianeta, że postępować nie mógł. Chwytano go też za cugle, by oczy widokiem bohatera dłużej napoić. Całowano suknie książęce, a samego ledwie że nie porwano na ramiona. Uniesienie doszło do tego stopnia, że nietylko żołnierze z pod swojskich znaków, ale i roty cudzoziemskie oświadczyły, że przez kwartał darmo będą służyły. Coraz większy tłok czynił się naokół księcia, tak, że kroku już postąpić nie mógł — siedział więc na swym białym dzianecie, otoczony żołnierstwem, jak pasterz między owcami, a okrzykom i wiwatom nie było końca. Wieczór się zrobił cichy, pogodny. Na ciemnem niebie zabłysły tysiące gwiazd i wnet zjawiły się pomyślne wróżby. Właśnie gdy pan Lanckoroński zbliżył się do księcia z buławą w ręku, by mu ją oddać, jedna z gwiazd oderwawszy się od sklepienia i ciągnąc za sobą strugę świetlaną, spadła z hukiem w stronie Konstantynowa, skąd miał nadciągnąć

Chmielnicki, i zgasła. "To Chmielnickiego gwiazda!" — krzyknęli żołnierze. — "Cud! cud! znak widomy!" — "Vivat Jeremi victor!" — powtórzyło tysiące głosów, a wtem kasztelan kamieniecki zbliżył się i dał znak ręką, że chce mówić. Uciszyło się zaraz nieco, on zaś rzekł:

— Król mnie dał buławę, ale ja ją w twoje, godniejsze ręce, zwycięzco, oddaję i pierwszy twoich rozkazów chcę słuchać.

— I my z nim! — powtórzyli dwaj inni regimentarze.

Trzy buławy wyciągnęły się ku księciu, ale on rękę cofnął i rzekł:

— Nie ja waszmościom dawałem buławy, więc ich nie będę odbierał.

— Bądź więc nad trzema — czwartą! — rzekł Firlej.

— Vivat (niech żyje) Wiśniowiecki! vivat regimentarze! — krzyknęło rycerstwo. — Żyć i umierać razem chcemy!

W tej chwili dzianet książęcy podniósł łeb, wstrząsnął farbowaną purpurową grzywą i zarżał potężnie, aż wszystkie konie w obozie odpowiedziały mu jednym głosem.

Poczytano i to za przepowiednię zwycięstwa. Żołnierze mieli ogień w oczach. Serca rozpaliły się pragnieniem walki, dreszcz zapału przebiegł przez ciała. Starszyzna nawet podzielała ogólne uniesienie. Podczaszy płakał i modlił się, a pan kasztelan kamieniecki i pan starosta krasnostawski pierwsi poczęli trzaskać szablami, wtórując żołnierzom, którzy biegali za zręby wałów i wyciągając ręce w ciemność, wołali ku stronie, z której spodziewano się nieprzyjaciela:

— Bywajcie, psubraty! znajdziecie nas gotowych!

Tej nocy nikt nie spał w obozie i aż do rana grzmiały okrzyki i roiły się światła błyszczące kaganków u pochodni.

Nad ranem przyszedł z podjazdu z pod Czołhańskiego Kamienia pan pisarz koronny Sierakowski i przyniósł wiadomość o nieprzyjacielu, który o pięć mil od obozu się znajdował. Podjazd stoczył walkę z przeważnemi siłami ordyńców; zginęło w niej dwóch panów Mańkowskich, pan Oleksicz i kilku zacnego towarzystwa. Przywiezione języki twierdziły, że za owym komunikiem chan i Chmielnicki idą z całą potęgą. Dzień zeszedł na oczekiwaniu i rozporządzeniach do obrony. Książę, przyjąwszy bez dłuższych wahań naczelne dowództwo, szykował wojsko, wyznaczał każdemu, gdzie miał stać, jak się bronić i jak innym w pomoc przychodzić. W obozie zapanował najlepszy duch; karność była przywrócona, a za-

miast dawnego zamieszania, krzyżowania się rozporządzeń, niepewności — widziałeś wszędy ład i sprawność. Do południa wszyscy byli na swych pozycyach. Straże przed obozem rozrzucone donosiły każdej chwili, co się dzieje w okolicy. W pobliskich wioskach wysłana czeladź brała żywność i paszę, ile się gdzie jeszcze dało złapać. Żołnierz, stojący na wałach, gwarzył wesoło i śpiewał, a noc spędzono, drzemiąc przy ogniskach, z ręką na szabli, w takiej gotowiści, jakby lada chwila szturm miał nastąpić.

Jakoż świtaniem poczęło się coś czernić w stronie Wiśniowic. Dzwony uderzyły w mieście na trwogę a w obozie długie, żałosne głosy trąb pobudziły czujność żołnierzy. Piesze regimenta wyszły na wały w przerwach stanęła jazda, gotowa zerwać się za pierwszym znakiem do ataku, a przez całą długość okopu wzniosły się ku górze dymki od zapalonych lontów.

W tej samej chwili zjawił się książę na swoim białym dzianecie. Ubrany był w srebrne blachy, ale bez hełmu. Najmniejszej troski nie było znać na jego czole; owszem, wesołość biła mu z oczu i twarzy.

— Mamy gości, mości panowie! mamy gości! — powtarzał, przejeżdżając wzdłuż wałów.

Cisza nastała i słychać było łopotanie chorągwi, które lekki powiew wiatru to nadymał, to owijał naokoło drzewców. Tymczasem nieprzyjaciel zbliżył się tak, iż można go było okiem ogarnąć.

— Była to pierwsza fala, więc nie sam Chmielnicki z chanem, ale rekonesans, złożony z trzydziestu tysięcy wyborowych ordyńców, uzbrojonych w łuki, samopały i szable. Zagarnąwszy tysiąc pięćset pachołków wysłanych po żywność, szli gęstą ławą od Wiśniowca, potem wyciągnąwszy się w długi półksiężyc, poczęli zajeżdżać z przeciwnej strony ku Staremu Zbarażowi.

Ale, tymczasem książę, przekonawszy się, iż to tylko komunik, dał rozkaz, by jazda wyszła z okopów. Rozległy się głosy komendy, pułki zaczęły się ruszać i wychodzić z za wałów, jak pszczoły z ula. Równina napełniła się ludźmi i końmi. Zdala widać było rotmistrzów z buzdyganami w ręku, oganiających chorągwie i szykujących je do boju. Konie parskały rzeźwo — a czasem rżenie przebiegało szeregi. Potem z tej masy wysunęły się dwie chorągwie tatarów i semenów książęcych i szły drobnym kłusem naprzód; łuki trzęsły się im na plecach, migotały kołpaki — szli w milczeniu, a na czele ich jechał rudy Wierszuł, pod którym koń rzucał się jak

szalony, co chwila zwieszając w powietrzu przednie kopyta, jakby chciał zerwać wędzidła i skoczyć co prędzej w zamęt.

Błękitu nieba nie plamiła żadna chmurka, dzień był jasny, przezroczysty — i widać było, jak na dłoni.

W tej samej chwili od strony Starego Zbaraża ukazał się taborek książęcy, który nie zdołał wejść z całem wojskiem, a teraz nadążał co siły, z obawy, aby ordyńcy nie ogarnęli go jednym zamachem. Jakoż nie uszedł ich oczu i wnet długi półksiężyc ruszył ku niemu z kopyta. Krzyki: "Ałła!" doleciały aż do uszu stojącej na wałach piechoty; chorągwie Wierszuła pomknęły, jak wicher, na ratunek.

Ale półksiężyc dobiegał prędzej do taborku i opasał go w jednej chwili, jak czarną wstęgą, a jednocześnie kilka tysięcy ordyńców zwróciło się z wyciem nieludzkiem ku Wierszułowi, starając się go również opasać. I tu dopiero można było poznać doświadczenie Wierszuła i sprawność jego żołnierzy. Widząc bowiem, że im zachodzą z prawej i lewej strony, rozdzielili się na troje i skoczyli na boki, potem rozdzielili się na czworo, potem na dwoje — a za każdym razem nieprzyjaciel musiał się zwracać całą linią, bo przed sobą nie miał nikogo, a skrzydła już mu rwano. Dopiero za czwartym razem uderzyli się pierś w pierś, ale Wierszuł uderzył całą siłą w najsłabsze miejsce, rozerwał je i odrazu znalazł się na tyłach nieprzyjaciela. Wtedy porzucił go i szedł jak burza ku taborkowi, nie dbając, że tamci zaraz mu na kark nadejdą.

Starzy praktycy, patrząc na to z wałów, uderzali się zbrojnemi dłońmi po lędźwiach, wykrzykując:

— Niech ich kule biją! tylko książęcy rotmistrze tak prowadzą!

Tymczasem Wierszuł, natarłszy ostrym klinem na pierścień opasujący toborek, przebił go tak, jak strzała przebija ciało żołnierza, i w mgnieniu oka przedostał się do środka. Teraz zamiast dwóch bitew zawrzała jedna, ale tem zaciętsza. Cudny to był widok! W środku równiny taborek, jakoby ruchoma forteca, wyrzucał długie smugi dymu i ział ogniem — naokół zaś czerniło się mrowie ruchliwe, rozszalałe, niby jakiś wir olbrzymi, za wirem konie latające bez jeźdźców, w środku szum, wrzask, grzechotanie samopałów. Ci tłoczą się jedni przez drugich, tamci nie dają się rozrywać. Jak dzik otoczony broni się białymi kłami i tnie zajadłą psiarnię, tak ów tabor wśród chmary tatarskiej bronił się z rozpaczą i nadzieją, że z obozu pomoc, większa od Wierszułowej, mu przyjdzie.

Jakoś wkrótce na równinie zamigotały czerwone koleiy dragonów

Kuszla i Wołodyjowskiego — rzekłbyś: listki czerwone kwiatów, które wiatr żenie. Ci dobiegli do chmary tatarskiej i wpadli w nią, jak w czarny las, tak, że po chwili wcale ich nie było widać, tylko kotłowanie uczyniło się jeszcze większe. Dziwno było nawet żołnierzom, dlaczego książę nie przychodzi odrazu z dostateczną potęgą w pomoc otoczonym, ale on zwłóczył, chcąc dowodnie pokazać żołnierzom, jakie to posiłki im prowadził — i przez to serca ich podnieść i do większych jeszcze niebezpieczeństw przygotować.

Jednakże ogień w taborku osłabł, snadź już nabijać nie mieli czasu, albo się rury muszkietów zbyt rozgrzały; natomiast wrzask Tatarów zwiększał się coraz bardziej, więc książę dał znak i trzy husarskie chorągwie, jedna jego własna pod Skrzetuskim, druga starosty krasnostawskiego, trzecia królewska pod panem Pigłowskim, ruszyły z obozu ku bitwie. Dobiegły i uderzywszy, jak obuchem, rozerwały odrazu pierścień tatarski, potem spędziły go, zgniotły na równinie, wparły ku lasom, rozbiły raz jeszcze — i gnały o ćwierć mili od obozu, taborek zaś, wśród radosnych okrzyków i huku dział, zemknął bezpiecznie w okopy.

Tatarzy jednak, czując, że za nimi idzie Chmielnicki i chan, nie znikli całkiem z oczu; owszem, wkrótce zjawili się na nowo i, hałłakując, obiegli cały obóz, zajmując przytem drogi, gościńce i wsie pobliskie, z których wkrótce podniosły się słupy czarnego dymu ku niebu. Mnóstwo ich harcowników zbliżyło się pod okopy, a naprzeciw nim sypnęli się zaraz pojedyńczo i kupkami żołnierze i kwarciani, szczególnie z tatarskich, wołoskich i dragońskich chorągwi.

Wierszul nie mógł brać w harcach udziału, albowiem sześć razy w głowę cięty przy obronie taborku, leżał jak nieżywy w namiocie; natomiast pan Wołodyjowski, choć cały już jak rak od krwi czerwony, za mało miał jeszcze ukontentowania i pierwszy wyruszył. Trwały owe harce aż do wieczora; z obozu piechota i rycerstwo z górnych chorągwi patrzało na nie jak na widowisko.. Przebiegano więc sobie wzajemnie, potykano się gromadami, albo pojedyńczo, chwytano żywcem niewolników. A pan Michał co którego ucapił i odprowadził, to znów wracał; czerwony jego mundur uwijał się po całem pobojowisku, aż go wreszcie Skrzetuski panu Lanckorońskiemu, jako osobliwość, zdala pokazał, bo ilekroć zczepił się z Tatarem, rzekłbyś: w Tatara piorun trzasł. Zagłoba, choć pan

Michał nie mógł go dosłyszeć, dodawał mu krzykiem z wałów ochoty, kiedy zwracał się do stojących naokół żołnierzy i mówił:

— Patrzcie waszmościowie! ja to uczyłem go szablą robić. Dobrze! dalejże po nim! Dali Bóg, niezadługo mnie dorówna.

Ale tymczasem słońce zaszło — harcownik począł zwolna ściągać się z pola, na którem pozostały tylko trupy końskie i ludzkie. W mieście poczęto znów dzwonić na "Anioł Pański."

Noc zapadała zwolna, jednakże ciemność nie nadchodziła, bo naokół świeciły łuny. Paliły się Załościce, Barzyńce, Lublanki, Stryjówka, Kretowice, Zarudzie, Wachlówka — i cała okolica, jak okiem sięgnąć, płonęła jednym pożarem. Dymy w nocy stały się czerwone, gwiazdy świeciły na różowem tle nieba. Chmury ptactwa z lasów, gąszczów i stawów podnosiły się z wrzaskiem okropnym i krążyły w powietrzu oświetlonem pożogą, jakoby płomienie latające. Bydło w taborze, przerażone niezwykłym widokiem, poczęło ryczeć żałośnie.

— Nie może być — mówili między sobą w okopie starzy żołnierze — aby ów komunik tatarski takie rozniecił pożary; pewnie to sam Chmielnicki z Kozakami i całą ordą się zbliża.

Jakoż nie były to czcze domysły, już bowiem pan Sierakowski przywiózł poprzedniego dnia wiadomość, że hetman zaporoski i chan tuż za komunikiem następują, czekano więc ich napewno. Żołnierze co do jednego, byli na okopach, lud — na dachach i wieżach. Wszystkie serca biły niespokojnie. Niewiasty szlochały po kościołach, wyciągając ręce do Najświętszego Sakramentu. Gorsze od wszystkiego oczekiwanie przygniotło ciężarem miasto, zamek, obóz.

Ale nie trwało długo. Noc jeszcze nie zapadła zupełnie, gdy na widnokręgu ukazały się pierwsze szeregi kozackie i tatarskie, za nimi drugie, trzecie, dziesiąte, setne, tysiączne. Rzekłbyś: wszystkie lasy, chaszcze zerwały się nagle z korzeni i idą na Zbaraż. Napróżno oczy ludzkie szukały końca tych szeregów: jak wzrok sięgnął, czerniło się mrowie ludzkie i końskie, ginące w dymach i łunach oddalenia. Szli jak chmury, albo jak szarańcza, która całą okolicę ruchomą, straszliwą masą pokryje. Przed nimi szedł groźny pomruk głosów ludzkich, jak wicher szumiący w boru, wśród wierzchołków starych sosen. Potem zatrzymawszy się o ćwierć mili, poczęli się rozkładać i zapalać nocne ogniska.

— Widzicie ognie — szeptali żołnierze — dalej idą, niż koń jednym tchem doleci.

— Jezus Marya! — mówił do Skrzetuskiego Zagłoba. — Mówię waćpanu, że lew jest we mnie i trwogi nie czuję, ale wolałbym, żeby ich jasne pioruny wszystkich do jutra zatrzasnęły. Jak mi Bóg miły, że ich zawiele! Już chyba i na dolinie Józefata większego tłoku nie będzie. I powiedz waćpan, o co tym złodziejom chodzi? Nie siedziałby to każdy psubrat lepiej w domu? nie robiłby spokojnie pańszczyzny? Co my winni, że nas Pan Bóg szlachtą, a ich chamami stworzył i powinnymi im być kazał? Tfu! złość mię porywa! Słodki ja człowiek, do rany mię przyłożyć, ale niechże mię do pasyi nie doprowadzają. Zadużo oni mieli swobód, zadużo chleba, to się też rozmnożyli, jak myszy w gumnie — a teraz się na koty porywają. Poczekajcie, poczekajcie! Jest tu kot, co się nazywa kniaź Jarema, i drugi — Zagłoba! Co waść myślisz, czy będą tentowali traktatów? Żeby się tak w pokorę udali, jeszczeby ich można zdrowiem darować — co? Jedno mię ciągle niepokoi, czy wiwendy w obozie jest dosyć?? A do dyabła! patrzcieno waszmościowie, znowu tam ognie za tymi ogniami — i dalej ognie! Niechże czarna śmierć spadnie na takowy congressus (zjazd)!

— Co waść mówisz o traktatach — odrzekł Skrzetuski — gdy oni sądzą, iż wszystkich nas mają w ręku i jutro dostaną!

— Ale nie dostaną? co? — pytał Zagłoba.

— Boska w tem wola. W każdym razie skoro tu jest książę, nie przyjjdzie im to łatwo.

— Otoś mnie waćpan pocieszył! Nie o to mi chodzi, by im łatwo nie przyszło, jeno żeby wcale nie przyszło.

— Niemałe to jest ukontentowanie dla żołnierza, gdy darmo gardła nie daje.

— Pewnie, pewnie. Niech to pioruny zapalą, razem z waszem ukontentowaniem!...

W tej chwili zbliżył się Podbipięta i Wołodyjowski.

— Mówią, że ordy i kozactwa jest na pół miliona — rzekł Litwin.

— Bodaj waści język odjęło! — krzyknął Zagłoba. — Dobra nowina!

— Przy szturmach łatwiej ich ciąć, niż w polu — odpowiedział ze słodyczą pan Longinus.

— Skoro się książę nasz i Chmielnicki wreszcie spotkali — rzekł pan Michał, — to już o żadnych układach ani gadać. Albo staro-

sta, albo Kapucyn. Jutro sądny dzień będzie! — dodał, zacierając ręce.

Mały rycerz miał słuszność. W tej wojnie, tak długiej, dwa lwy najstraszniejsze ani razu nie stanęły sobie oko w oko. Gromił jeden hetmanów i regimentarzy, drugi potężnych atamanów kozackich; za jednym i za drugim szło w trop zwycięstwo, jeden i drugi był postrachem nieprzyjaciół — ale czyja szala miała przeważyć w bezpośredniem spotkaniu, teraz dopiero miało się rozstrzygnąć. Wiśniowiecki patrzał bowiem z okopu na nieprzejrzane ćmy tatarskie, kozackie — i napróżno starał się je objąć okiem — Chmielnicki spoglądał z pola na zamek i obóz, myśląc w duszy: „Tam mój wróg najstraszliwszy; gdy jego zetrę, któż mi się oprze?"

Łatwo to było zgadnąć, że walka między tymi dwoma ludźmi .. będzie długa i zaciekła, ale rezultat nie mógł być wątpliwy. Ów kniaź na Łubniach i Wiśniowcu stał na czele piętnastu tysięcy ludzi, licząc w to i sługi obozowe, gdy tymczasem za chłopskim wodzem szły ludyszcza, mieszkające od morza Azowskiego i Donu, aż do ujścia Dunaju. Szedł więc chan, na czele ordy Krymskiej, Białogrodzkiej, Nohajskiej i Dobrudzkiej — szedł lud, który na wszystkich dorzeczach Dniestru i Dniepru zamieszkiwał, szli niżowi i czerń nieprzeliczona — ze stepów, jarów, borów, miast, miasteczek, wsi i futorów, i ci wszyscy, którzy pierwej w dworskich lub koronnych chorągwiach służyli; szli Czerkasowie, Karałasze wołoscy, Turcy rumelijscy; szły nawet różne watahy Serbów i Bułgarów. Zdawać się mogło, że to nowa wędrówka narodów, które porzuciły mroczne stepowe siedziby, ciągną na zachód, by nowe ziemie zająć, nowe państwo utworzyć.

Taki to był stosunek sił walczących... garść przeciw krociom, wyspa naprzeciw morzu! Więc nie dziwota, że niejedno serce biło trwogą, i że nietylko w mieście, nietylko w tym kraju, ale w całej Rzeczypospolitej patrzano na ten samotny okop, otoczony powodzią dzikich wojowników, jak na grobowiec wielkich rycerzy i wielkiego ich wodza.

Tak samo zapewne patrzał i Chmielnicki, bo ledwie ognie rozpaliły się dobrze w jego obozach, gdy przed okopami Kozak wysłaniec jął machać białą chorągwią, trąbić i krzyczeć, by nie strzelano.

Straże wyszły i porwały go natychmiast.

— Od hetmana do księcia Jaremy — rzekł im.

Kniaź jeszcze z konia nie zsiadł i stał na okopie z twarzą jak niebo pogodną. Łuny odbijały mu się na oczach i oblóczyły różowym blaskiem jego delikatną bladą twarz. Kozak, stanąwszy przed obliczem pańskiem, stracił mowę, i łydy zadrżały pod nim, a mrowie przeszło mu przez ciało, choć to był stary wilk stepowy i jako poseł przybywał.

— Kto ty? — pytał książę wojewoda, utkwiwszy w niego swe spokojne źrenice.

— Ja setnik, Sokół... od hetmana.

— A z czem przychodzisz?

Setnik począł bić czołem pokłony, aż pod strzemiona księcia.

— Przebacz, władyko! co mnie kazali, to powiem — ja nic nie winien!

— Mów śmiało..

— Hetman kazał mi powiedzieć, że w gości przybył do Zbaraża i jutro w zamku was odwiedzi.

— Powiedz mu, że nie jutro, ale dziś wydaję ucztę w zamku! — odrzekł książę.

Jakoż w godzinę później zagrzmiały na wiwaty moździerze, wzniosły się radosne okrzyki — i wszystkie okna zamkowe zajaśniały od tysiąca świec jarzących.

Chan, usłyszawszy wiwatowe strzały, głosy trąb i kotłów, wyszedł własną osobą przed namiot, w towarzystwie brata Nuradyna, sułtana, Gałgi, Tuhaj-beja i wielu murzów, a następnie posłał po Chmielnickiego.

Hetman, jakkolwiek nieco już podpiły, stawił się natychmiast, bijąc pokłony, a zarazem przykładając palce do czoła, brody i piersi czekał na zapytanie.

Przez długi czas chan spoglądał na zamek, świecący zdala jak olbrzymia latarnia, i kiwał zlekka głową, nakoniec pogładził się ręką po rzadkiej brodzie, która w dwóch długich kosmykach spadala na łasicową szubę, i rzekł, wskazując palcem jaśniejące szyby:

— Hetmanie zaporoski, co tam jest?

— Najpotężniejszy carzu — odrzekł Chmielnicki, — to kniaź Jarema ucztuje.

— Ucztuje?...

— Trupy to jutrzejsze dziś ucztują — odrzekł Chmielnicki.

Wtem nowe wystrzały huknęły na zamku, zabrzmiały trąby, a zmieszane okrzyki doszły aż do dostojnych uszu chanowych.

— Jeden Bóg! — mruknął. — Lew jest w sercu tego giaura (niewiernego).

I po chwili milczenia dodał:

— Wolałbym z nim stać, niż z tobą.

Chmielnicki zadrżał. Ciężko on opłacał niezbędną przyjaźń tatarską, a do tego jeszcze nie był pewien straszliwego sojusznika. Lada fantazya chanówa — i wszystkie ordy mogły się zwrócić przeciw kozactwu, które wówczas byłoby zgubione bez ratunku. A przytem widział Chmielnicki jeszcze i to, że chan pomagał mu wprawdzie dla łupów, dla darów, dla nieszczęsnego jasyru, uważając się jednak za prawowitego monarchę, wstydził się w duszy stawać po stronie buntu przeciw królowi, po stronie takiego "Chmiela" przeciw takiemu Wiśniowieckiemu.

Hetman kozacki upijał się częstokroć, nietylko z nałogu, ale i z desperacyi...

— Wielki monarcho! — rzekł. — Jarema twój wróg. On to Tatarom odjął Zadnieprze, on pobitych murzów, jako wilki na drzewach, na postrach wieszał, on na Krym chciał iść ogniem i mieczem...

— A wy to nie czyniliście szkód w ułusach? — pytał chan.

— Jam twój niewolnik.

Sine wargi Tuhaj-beja poczęły drgać i kły błyskać; miał on między Kozakami śmiertelnego wroga, który swego czasu cały czambuł w pień mu wyciął i samego ledwie nie schwytał. Nazwisko jego cisnęło się teraz do ust z nieubłaganą siłą mściwych wspomnień, więc nie wytrzymał i począł warczeć zcicha:

— Burłaj! Burłaj!

— Tuhaj-beju — rzekł natychmiast Chmielnicki — wy z Burłajem, za najjaśniejszem i mądrem rozkazaniem chanowem, zeszłego roku wodę na miecze leli.

Nowa salwa wystrzałów zamkowych przerwała dalszą rozmowę.

Chan rękę wyciągnął i zatoczył nią koło, obejmując Zbaraż, miasto, zamek i okop.

— Jutro to moje? — pytał, zwróciwszy się do Chmielnickiego.

— Jutro tamci pomrą — odparł Chmielnicki, z oczyma utkwionemi w zamek.

Potem nanowo jął bić pokłony i ręką dotykać czoła, brody i piersi, uważając rozmowę za skończoną. Chan też otulił się w łasicową

szubę, bo noc była chłodna, choć lipcowa, i rzekł, zwróciwszy się ku namiotom:

— Późno już!...

Wówczas wszyscy poczęli się kiwać, jakby jedną siłą poruszani, a on szedł do namiotu zwolna i poważnie, powtarzając zcicha:

— Jeden Bóg!

Chmielnicki oddalił się również ku swoim, a przez drogę mruczał:

— Oddam ci zamek, i miasto, i łupy, i jeńców, ale Jarema będzie mój nie twój, choćby mi gardłem za niego zapłacić przyszło.

Stopniowo ogniska poczęły mgleć i gasnąć, stopniowo uciszał się głuchy szmer kilkuset tysięcy głosów; jeszcze tu i owdzie odzywał się głos piszczałek, lub wołania koniuchów tatarskich, wyganiających konie na nocną paszę — pc czem i te głosy umilkły i sen objął nieprzeliczone zastępy tatarskie i kozackie.

Tylko zamek huczał, grzmiał... wiwatował, jakby w nim wesele wyprawiano.

W obozie oczekiwano powszechnie, że szturm nazajutrz nastąpi. Jakoż od rana ruszyły się tłumy czerni; Kozaków, Tatarów i innych dzikich wojowników, ciągnących z Chmielnickim, i szły ku okopom nakształt czarnych chmur, walących się na szczyt góry. Żołnierz, lubo już dnia poprzedniego napróżno starał się zliczyć ogniska, zdrętwiał teraz na widok tego morza głów. Lecz nie był to jeszcze szturm prawdziwy, ale raczej oględziny pola, szańców, fos, wałów, i całego polskiego obozu. I jak wzdęta fala morska, którą wiatr żenie z dalekiej roztoczy, przyjdzie, spiętrzy się, zapieni, uderzy z hukiem, a potem cofnie się wdal, tak oni uderzali tu i owdzie, i znów się cofali, i znów uderzali, jakby próbując oporu, jakby chcąc się przekonać, czy samym swym widokiem, czy samą liczbą nie zgniotą ducha, nimby ciało zgnieść mogli.

Bili też z dział — i kule gęsto poczęły padać do obozu, z którego odpowiadały oktawy i ręczna strzelba, a jednocześnie na wałach zjawiła się procesya z Najświętszym Sakramentem, aby otrzeźwić odrętwiałe wojsko. Niósł ksiądz Muchowiecki złocistą monstrancyę, trzymając ją obu rękoma powyżej twarzy, a czasem podnosząc w górę — i szedł z przymkniętemi oczyma i ascetyczną twarzą, spokojny, przybrany w lamową kapę i pod baldachimem. Przy nim szło dwóch księży, trzymając go pod łokcie: Jaskólski, kapelan husarski, czasu swego przesławny żołnierz, w sztuce wojennej jakby wódz jaki doświadczony, i Żabkowski, również eks-wojskowy, ol-

brzymi Bernardyn, siłą jednemu tylko panu Longinowi w całym obozie ustępujący. Drążki baldachimu niosło czterech szlachty, między którymi był i Zagłoba — przed baldachimem zaś postępowały dziewczątka o słodkich twarzach, sypiące kwiaty. Szli tedy przez całą długość wałów, a za nimi starszyzna wojskowa, żołnierzom zaś na widok monstrancyi, błyszczącej nakształt słońca, na widok spokoju księży i onych dziewczątek, przybranych w bieli, rosły serca, przybywała odwaga, zapał wstępował w duszę. Wiatr roznosił krzepiący zapach mirry palonej w trybularzach, głowy wszystkich pochylały się z pokorą. Muchowiecki niekiedy wznosił monstrancyę i oczy ku niebu — i intonował pieśń: "Przed tak wielkim Sakramentem."

Dwa potężne głosy, Jaskólskiego i Żabkowskiego, podchwytywały ją włot, odśpiewując: "Upadajmy na twarzy" — a całe wojsko śpiewało dalej: "Niech ustąpią z testamentem nowym prawom już starzy!" Głęboki bas dział wtórował pieśni, a czasem kula armatnia przelatywała hucząc nad baldachimem i księżmi, czasem, uderzywszy poniżej w wał, zasypywała ich ziemią, aż pan Zagłoba kurczył się i przyciskał do drążka. Szczególnie strach chwytał go za włosy, gdy procesya dla modlitw stawała na miejscu. Wówczas trwało milczenie i kule słychać było doskonale, lecące stadem, jak wielkie ptaki; Zagłoba tylko się czerwienił coraz mocniej, a ksiądz Jaskólski zezował ku polu i nie mogąc wytrzymać, mruczał: "Kury im sadzać, nie z dział bić!" — bo istotnie bardzo złych mieli puszkarzy Kozacy, a on, jako dawny żołnierz, nie mógł spokojnie na taką niezręczność i takie marnowanie prochu patrzeć. I znowu szli dalej — aż doszli do drugiego końca wałów, na które też nie było ze strony nieprzyjaciela nigdzie wielkiego nacisku. Próbując tu i owdzie, szczególnie od zachodniego stawu, czy się nie uda wywołać popłochu, cofnęli się nakoniec Tatarzy i Kozacy ku swoim stanowiskom i trwali w nich, nie wysyłając nawet harcowników.

Tymczasem procesya otrzeźwiła całkowicie oblężonych.

Widocznem już teraz było, że Chmielnicki czeka na przybycie swego taboru, jakkolwiek skądinąd był tak pewien, że pierwszy prawdziwy szturm wystarczy, iż zaledwie kilka szańców pod armaty kazał usypać i żadnych innych ziemnych robót nie przedsiębrał, aby zagrozić oblężonym. Tabor nadciągnął nazajutrz i stanął wóz przy wozie, w kilkadziesiąt rzędów, na milę długości, od Werniaków aż ku Dębinie — z nim przyszły jeszcze nowe siły, a mianowicie pyszna

piechota zaporoska, prawie janczarom tureckim rowna, do sztur-mów i wstępnego boju o wiele od czerni i Tatarów sposobniejsza.

Pamiętny wtorkowy dzień 13-ty lipca zeszedł na obustronnych gorączkowych przygotowaniach; już nie było wątpliwości, że szturm nastąpi, bo trąby, kotły i litaury grały od rana larum (trwogę) w kozackim obozie, a między Tatarstwem huczał, jak grzmot, wielki święty bęben, bałt zwany... Wieczór uczynił się cichy, pogodny; jeno z obu stawów i Gniezny podniosły się lekkie mgły — nakoniec pierwsza gwiazda zamigotała na niebie.

W tej chwili sześćdziesiąt armat kozackich ryknęło jednym głosem — nieprzejrzane zastępy ruszyły z krzykiem okropnym ku wałom i szturm się rozpoczął.

Wojska stały na wałach i zdawało im się, że ziemia drży pod ich nogami; najstarsi żołnierze nie pamiętali nic podobnego.

— Jezus, Marya! co to jest? — pytał Zagłoba, stojąc obok Skrzetuskiego z husaryą w przerwie wałowej — to nie ludzie idą na nas.

— Jakbyś waść wiedział, że nie ludzie; nieprzyjaciel woły przed sobą żenie, abyśmy się pierwej strzelbą na nie wysilili.

Stary szlachcic poczerwieniał jak burak, oczy wyszły na wierzch, a z ust buchnęło jedno słowo, w którem cała wściekłość, cały przestrach i wszystko, co mógł myśleć w tej chwili, było zawarte:

— Łajdaki!...

Woły, jak szalone, popędzane przez dzikich, pół nagich czabańczuków batami i palącemi się pochodniami, zdziczałe ze strachu, biegły naprzód z rykiem okropnym, to zbijając się w kupę, to pędząc, to rozbiegając lub zwracając w tył, a pędzone krzykiem, parzone ogniem, smagane surowcem, leciały znów ku wałom. Aż Wurcel począł ziać ogniem i żelazem, wówczas dymy zakryły świat — niebo poczerwieniało—przerażone bydło rozsypywało się, jakby je piorun rozegnał, połowa go padła — po ich trupach nieprzyjaciel szedł dalej.

Na przedzie, kłuci z tyłu spisami i prażeni ogniem z samopałów, biegli jeńcy z worami piasku, którymi fosę mieli zasypywać. Byli to chłopi z okolic Zbaraża, którzy nie zdołali schronić się do miasta przed nawałą, zarówno młodzi mężczyzni, jak starcy i niewiasty. Biegło to wszystko z krzykiem, płaczem, i wyciąganiem rąk ku niebu, i wołaniem o litość. Włosy stawały na głowie od tego wycia, ale litość zamarła wówczas na ziemi; z jednej strony spisy kozackie pogrążały się w ich plecy, z drugiej kule Wurcla miażdżyły nieszczę-

snych, kartacze rwały ich na sztuki, ryły w nich brózdy, więc biegli, bluzgali się we krwi — padali, podnosili się i znów biegli, bo pchała ich fala kozacka, tatarska.....

Wnet fosa zapełniła się ciałami, krwią, worami z piaskiem — nakoniec zrównała się, i nieprzyjaciel z wyciem rzucił się przez nią.

Pułki pchały się jedne za drugimi; przy świetle działowego ognia było widać starszyznę, zaganiającą buzdyganami coraz nowe zastępy na okop. Co najprzebrańszy lud rzucił się na kwatery i wojska Jeremiego, bo widział Chmielnicki, iż tam będzie opór największy. Szły więc kurzenie siczowe, za nimi straszliwi perejasławcy z Łobodą, za nimi Woronczenko wiódł pułk czerkaski, Kułak pułk karowski, Neczaj bracławski, Stepka humański, Mrozowiecki korsuński — szli i Kalniczanie, i potężny pułk białocerkiewski, piętnaście tysięcy ludzi liczący — a za nimi sam Chmielnicki — w ogniu, jak szatan czerwony, szeroką pierś na kule wystawiający, z twarzą lwa, okiem orła — w chaosie, dymie, zamieszaniu, rzezi i zwichrzeniu, w płomieniach, na wszystko baczny, wszystkiem rządzący.

Za mołojcami szli dzicy dońscy Kozacy; dalej Czerkasi, walczący nożami; tuż Tuhaj-bej wiódł wyborowych nohajców; za nimi Subagazi białogrodzkich Tatarów, tuż Kurdłuk śniadych Astrachańców, zbrojnych w olbrzymie łuki i strzały, z których każda nieledwie za dziryt ujść mogła. Szli jedni za drugimi tak gęsto, że gorący oddech z tyłu idących oblewał karki przodowym.

Ilu ich padło, nim doszli nakoniec do owej fosy, ciałami jeńców zasypanej, któż opowie, któż wyśpiewa! Lecz doszli, i przeszli i poczęli się drzeć na wały. Wówczas rzekłbyś, że ta noc gwiaździsta, to noc sądu ostatecznego. Działa, nie mogąc tłuc bliższych, ryczały ogniem na dalsze szeregi. Granaty, kreśląc łuki ogniste po niebie leciały z chychotem piekielnym, czyniąc w ciemnościach dzień jasny. Piechota niemiecka i polska łanowa, a obok niej spieszyli dragoni książęcy, leli prawie wprost w twarze i piersi mołojców płomień i ołów.

Pierwsze ich szeregi chciały się cofać a pchane z tyłu nie mogły. Więc marli na miejscu. Krew bluzgała pod stopami następujących. Wały stały się śliskie, obsuwały się po nich nogi, ręce, piersi. Oni darli się na nie, spadali i znów darli, przykryci dymem, czarni od sadzy, kłuci, rąbani, gardząc ranami i śmiercią. Miejscami walczono już na białą broń. Widziałeś ludzi, jakby nieprzytomnych ze wściekłości, z wyszczerzonymi zębami, z twarzą zalaną krwią...

Żywi walczyli na drgającej masie pobitych i konających. Nie było już słychać komendy, jeno krzyk ogólny, straszny, w którym ginęło wszystko: i grzechot strzelb, i charczenie rannych, i jęki, i syk granatów.

I trwała ta walka olbrzymia a bezpardonowa przez całe godziny. Naokół wału urósł drugi wał trupów — i tamował, przystęp szturmującym. Siczowych wycięto niemal do nogi, pułk perejasławski leżał pokotem naokół wału; karwowski, bracławski i humański były zdziesiątkowane — ale inne pchały się jeszcze, popychane z tyłu przez gwardye hetmańskie, rumelskich Turków i urembejskich Tatarów. Jednakże zamieszanie powstało już w szeregach napastniczych, gdy tymczasem naokoło łanowe piechoty polskie, Niemcy i dragonia nie ustąpili dotąd ani piędzi. Zziajani, krwią ociekli, porwani szałem bojowym, spotnieli, wpół obłąkani od zapachu krwi, rwali się jedni przez drugich ku nieprzyjacielowi, tak właśnie, jak rozwścieczeni wilcy rwą się ku stadu owiec. W tej chwili Chmielnicki natarł powtórnie z niedobitkami pierwszych pułków i z całą nietkniętą jeszcze potęgą Białocerkwian, Tatarów, Turków i Czerkasów.

Działa z okopów przestały grzmieć, granaty świecić, tylko broń ręczna zgrzytała przez całą długość zachodniego wału. Zgiełk wszczął się na nowo. Nakoniec i strzelba umilkła. Ciemności pokryły walczących.

Już żadne oko nie mogło widzieć, co się tam dzieje — jeno przewracało się coś w pomroce, jakby olbrzymie cielsko potworu, rzucane konwulsyami. Nawet z krzyków nie można było poznać, czy brzmi w nich tryumf, czy rozpacz. Chwilami i one milkły, a wtedy słychać było tylko jakby olbrzymi jeden jęk, rozlegający się ze wszech stron, z pod ziemi, na ziemi, w powietrzu, wyżej i wyżej, jak gdyby i dusze odlatywały jęcząc z tego pobojowiska.

Ale były to krótkie przerwy: po takiej chwili wrzaski i wycia odzywały się z większą jeszcze siłą, coraz chrapliwsze, coraz bardziej nieczłowiecze.

Wtem znów zagrzmiał ogień ręcznej strzelby: to obersztер Machnicki z resztą piechoty przychodził w pomoc utrudzonym regimentom. Trąbki na odwrót poczęły grać w tylnych szeregach mołojców.

Nastała przerwa, pułki kozackie oddaliły się od okopu na staje i stanęły pod osłoną własnych dział — ale nie minęło i pół godziny,

gdy Chmielnicki znowu zerwał się i po raz trzeci gnał je do szturmu.

Ale wówczas na okopie ukazał się na koniu sam książę Jeremi. Łatwo go było poznać, bo proporzec i buńczuk hetmański wiały mu nad głową, a zaś przed nim i za nim niesiono kilkadziesiąt palących się krwawo pochodni. Wnet poczęto bić z dział na niego, ale niewprawni puszkarze przerzucali kule daleko, aż za Gniezną, on zaś stał spokojnie i patrzał w zbliżające się chmury...

Kozacy zwolnili kroku, jakby oczarowani tym widokiem.

— Jarema! Jarema! — poszedł cichy pomruk, niby szum wiatru przez głębokie szeregi.

I stojąc na okopie wśród świateł, wydawał im się ten groźny książę, jakby olbrzym z baśni ludowej, więc drżenie przebiegło im utrudzone członki, a ręce czyniły znaki krzyża. On stał ciągle.

Skinął złotą buławą — i wnet złowrogie ptactwo granatów zaszumiało na niebie — i wpadło w następujące szeregi; zastępy zwinęły się, jak smok śmiertelnie rażony; okrzyk przerażenia przeleciał z jednego końca ławy na drugi:

— Biegiem! biegiem! — rozległy się głosy pułkowników kozackich.

Czarna ława ruszyła całym pędem ku wałom, pod którymi mogła znaleźć ochronę od granatów, ale nie przebiegła jeszcze ani połowy drogi, gdy książe, widny ciągle jak na dłoni, zwrócił się nieco ku zachodowi i znów skinął złotą buławą.

Na ten znak, od strony stawu, z przerwy między jego zwierciadłem a wałem, poczęła się wysuwać jazda — i w mgnieniu oka rozlała się na krańcu brzegowym równiny; przy świetle granatów widać było doskonale olbrzymie chorągwie husaryi Skrzetuskiego i Zaćwilichowskiego, dragonię Kuszla i Wołodyjowskiego i Tatarów książęcych Rostworowskiego. Za nimi wysuwały się coraz nowe pułki semenów i Wołochów Bychowca. Nietylko Chmielnicki, ale ostatni z ciurów kozackich poznał w jednej chwili, że zuchwały wódz postanowił rzucić całą jazdę w bok nieprzyjacielowi.

Natychmiast w szeregach mołojców zabrzmiały trąbki do odwrotu. "Czoło ku jeździe! czoło ku jeździe!" — rozlegały się przerażone głosy. Jednocześnie zaś Chmielnicki usiłował zmienić front swych wojsk i jazdą od jazdy się zasłonić. Ale już czasu nie było. Nim zdołał sprawić szyki, zerwały się książęce chorągwie i biegły na skrzydłach, z okrzykiem: "Bij, zabij!" z łopotem proporców, ze świstem piór i żelaznym chrzęstem zbroi. Husarye wraziły kopie

w ścianę nieprzyjaciela i same wpadły za niemi, jak orkan, przelewając i druzgocząc wszystko po drodze. Żadna siła ludzka, żaden rozkaz, żaden wódz nie zdołał już utrzymać pułków pieszych, na które pierwszy impet się zwrócił. Dziki popłoch ogarnął wyborową gwardyę hetnańską. Białocerkwianie rzucali samopały, piszczele, spisy, kosy, kiścienie, szable i osłaniając głowy rękoma, gnali w obłędzie strachu, z rykiem zwierzęcym, na stojące wtyle oddziały Tatarów. Ale Tatarzy przyjęli ich ulewą strzał — więc rzucili się w bok i biegli wzdłuż taboru pod ogniem piechoty i dział Wurcla, ścieląc się trupem tak gęstym, że rzadko gdzie jeden na drugiego nie padał.

Ale tymczasem dziki Tuhaj-bej, wspomagany przez Subagaziego i Urum murzę uderzył ze wściekłością na nawałę husaryi. Nie miał on nadziei jej złamać, pragnął ją tylko, choćby na krótko powstrzymać, aby przez ten czas sylistryjscy i rumelscy janczarowie mogli sformować się w czworoboki, a białocerkwianie ochłonąć z pierwszego popłochu. Skoczył więc jak w dym — i sam leciał w pierwszym szeregu, nie jak wódz, ale jak prosty Tatar, i siekł, zabijał, narażał się razem z innymi. Krzywe szable Nohajców dzwoniły po pancerzach i harnaszach, a wycie wojowników głuszyło wszystkie inne głosy. Lecz wytrzymać nie mogli. Wyparci z miejsca, naciskani strasznym ciężarem żelaznych jeźdźców, którym nie zwykli stawiać czoła otwarcie, spychani ku janczarom, cięci długimi mieczami, zrzucani z siodeł, kłuci, bici, gnieceni, jak jadowite robactwo, bronili się jednak z taką wściekłością, że istotnie pęd husaryi wstrzymali. Tuhaj-bej rzucał się nakształt niszczącego płomienia, a Nohajcy szli przy nim, jak wilcy idą przy wilczycy.

Jednak ustępowali, coraz gęstszym trupem padając. Już krzyki: "Ałła!" grzmiące z pola, zwiastowały że janczarowie stanęli w ordynku, gdy do wściekłego Tuhaj-beja przypadł Skrzetuski i w łeb koncerzem go trzasnął. Lecz widać rycerz wszystkich sił jeszcze po chorobie nie odzyskał, lub może kuta w Damaszku misiurka cięcie wstrzymała, dość, że brzeszczot zwinął się na głowie i uderzywszy płaszczyzną, spękał się na drobne kawałki. Ale oczy Tuhaj-beja nocą natychmiast się powlokły, zdarł konia i padł na ręce nohajców, którzy porwawszy swego wodza, pierzchli z wrzaskiem okropnym w obie strony, jak pierzcha mgła, zwiana wichrem gwałtownym. Wszystkie jazdy książęce znalazły się teraz wobec janczarów rum-

skich i sylistryjskich i wobec watah poturczeńców serbskich, które razem z janczarami utworzyły jeden potężny czworobok i cofały się zwolna ku taborowi, zwrócone frontem ku wrogom, najeżone rurami muszkietów, ostrzami długich włóczni, dzirytów, berdyszów i handżarów.

Chorągwie pancerne, dragońskie i semeńskie pędziły ku nim, jak wicher, a na samym przedzie szła z łoskotem i tętentem husarya Skrzetuskiego. Sam on leciał na oślep w pierwszym szeregu, a przy nim pan Longinus na swej kobyle inflanckiej, ze straszliwym zerwikapturem w ręku.

Czerwona wstęga ognia przeleciała z jednego końca czworoboku na drugi — kule zaświstały w uszach jeźdźców, gdzieniegdzie koń się zwalił, linia jazdy łamie się, ale oni pędzą dalej; już dobiegają, już janczary słyszą chrapanie i zdyszany oddech koni — czworobok zbija się jeszcze ciaśniej i pochyla mur włóczni, trzymanych żylastemi rękona, ku rozszalałym rumakom. Ile ostrz w tej chmurze, tyle śmierci grozi rycerzom.

Wtem jakiś husarz- wielkolud dopada w niepowstrzymanym pędzie do ściany czworoboku; przez chwilę kopyta olbrzymiego konia zwieszone w powietrzu — następnie włócznie, przewalając ludzi, łamiąc, miażdżąc, niwecząc.

Jak orzeł spada na stado białych pardew, a one zbite przed nim w lękliwą kupę, idą na łup drapieżnika, który rwie je pazurami i dziobem — tak pan Longinus Podbipięta, wpadłszy w środek nieprzyjacielskich szyków, szalał ze swym zerwikapturem. I nigdy trąba powietrzna nie czyni takich spustoszeń w młodym i gęstym lesie, jakie on czynił w ścisku janczarów. Straszny był: postać jego przybierała nieczłowiecze wymiary; kobyła zmieniła się w jakiegoś smoka, ziejącego płomień z nozdrzy, a zerwikaptur troił się w ręku rycerza. Kisler-Bak, olbrzymi aga, rzucił się na niego, padł przecięty na dwoje. Próżno co tęższe chłopy wyciągną ręce zastawiając się włóczniami — wnet mrą, jakby rażeni gromem — on zaś tratuje po nich, ciska się w tłum największy i co machnie — rzekłbyś, kłosy pod kosą padają, robi się pustka, słychać wrzask przestrachu, jęki, grzmot uderzeń, zgrzyt żelaza o czaszki i chrapanie piekielnej kobyły.

— Diw! diw! — wołają przerażone głosy.

W tej chwili żelazna nawała husaryi, ze Skrzetuskim na czele, runęła bramą, otwartą przez litewskiego rycerza; ściany czworobo-

ku pękły, jak ściany walącego się domu i masy janczarów rzuciły się w ucieczce na wszystkie strony.

Czas też był na to, bo Nohajcy, pod Subagazim, wracali już, jak wilki krwi żądne, do bitwy, a z drugiej strony Chmielnicki, zebrawszy na nowo Białocerkwian, szedł z pomocą janczarom — lecz teraz zmieszało się wszystko. Kozacy, Tatarzy, poturczeńcy, janczarowie uciekali w największym nieładzie i popłochu ku taborom, nie dając żadnego oporu. Jazda parła ich, siekąc na oślep. Kto nie zginął w pierwszym staju, zginął w drugim. Pogoń była tak zacięta, że chorągwie prześcignęły tylne szeregi uciekających; żołnierzom ręce mdlały od cięcia. Tłumy rzucały broń, chorągwie, czapki, a nawet świty. Białe kapuzy janczarskie pokryły, jak śniegiem, pole. Cała wyborna milicya Chmielnickiego, piechota, jazda, artylerya, posiłkowe oddziały tatarskie i tureckie utworzyły jedną bezładną masę, nieprzytomną, obłąkaną, oślepłą z przerażenia. Całe setki uciekały przed jednym towarzyszem. Husarya rozbiwszy piechoty i Tatarów uczyniła swoje, teraz zaś dragoni i lekkie chorągwie szły z sobą w zawody, a na ich czele pan Wołodyjowski z Kuszlem szerzyli wiarę ludzką przechodzące klęski. Krew pokryła jedną kałużą straszliwe pobojowisko i chlupotała, jak woda, pod gwałtownemi uderzeniami kopyt końskich, pryskając na zbroje i twarze rycerzy.

Uciekające tłumy odetchnęły dopiero wśród swego taboru, gdy trąby odwołały jazdę książęcą.

Rycerstwo wracało ze śpiewem i okrzykami radości, licząc po drodze dymiącemi szablami trupy nieprzyjaciół. Ale któż mógł jednym rzutem oka rozmiary klęski ocenić? kto mógł wszystkich policzyć, gdy przy samym okopie leżały ciała, jedne na drugich, "na chłopa wysoko?" Żołnierze byli jakby zaczadzeni surowymi wyziewami krwi i potu. Szczęściem, od strony stawów wstał dość silny wiatr i zwiał te zaduchy ku nieprzyjacielskim namiotom.

Tak skończyło się pierwsze spotkanie straszliwego "Jaremy" z Chmielnickim.

Ale szturm nie był skończony, bo kiedy Wiśniowiecki odpierał ataki, wymierzone na prawe skrzydło obozu, Burłaj na lewem omało co nie stał się panem okopów. Obszedłszy cicho miasto i zamek na czele zadnieprzańskich wojowników, dotarł do wschodniego stawu i uderzył potężnie na Firlejowe kwatery. Nie mogła wytrzy-

mać uderzenia węgierska piechota tam stojąca, bo wały przy stawie nie były jeszcze dokończone — i pierwszy chorąży pierzchnął z banderyą, za nim zaś cały pośpieszył regiment. Burłaj wskoczył do środka, a za nim Zadnieprzańcy ruszyli, jak niewstrzymany potok. Krzyki zwycięstwa dobiegły aż do przeciwnego końca obozu. Kozacy, pędząc za uciekającymi Węgrami, rozbili mały oddział jazdy, zdobyli kilka dział i już docierali do kwater kasztelana bełskiego, gdy pan Przyjemski, na czele kilku rot niemieckich, nadbiegł z pomocą. Przebiwszy jednem pchnięciem chorążego, porwał za chorągiew i rzucił się z nią na nieprzyjaciela, nim Niemcy zwarli się potężnie z kozactwem. Zawrzała straszliwa walka ręczna, w której z jednej strony zaciekłość i przygniatająca liczba Burłajowych zastępów, z drugiej męstwo starych lwów z trzydziestoletniej wojny szły z sobą o lepszą. Napróżno Burłaj ciskał się w najgęstsze szeregi walczących, nakształt rannego odyńca. Ani pogarda śmierci z jaką walczyli mołojcy, ani ich wytrwałość nie mogła powstrzymać niepohamowanych Niemców, którzy, idąc murem naprzód, razili ich tak potężnie, że wyparli zaraz z miejsca, przyparli do okopów, zdziesiątkowali, i po półgodzinnej walce, wyrzucili za wały. Pan Przyjemski, zalany krwią, pierwszy zatknął swą chorągiew na niedokończonym nasypie.

Położenie Burłaja było teraz straszne, musiał bowiem cofać się tą samą drogą, którą nadszedł, a że Jeremi zgniótł już właśnie atakujących prawe skrzydło, mógł więc z łatwością odciąć cały Burłajowy oddział. Przyszedł im wprawdzie z pomocą Mrozowicki na czele korsuńskich konnych mołojców, ale w tej chwili ukazała się husarya pana Koniecpolskiego, do niej przyłączył się wracający z ataku na janczarów Skrzetuski i obaj odcięli cofającego się dotychczas w porządku Burłaja.

Jednym atakiem rozbili go w puch, i wtedy to poczęła się rzeź okropna. Kozacy, mając zamkniętą drogę do taborów, mieli tylko drogę śmierci otwartą. Jedni też, nie prosząc pardonu, bronili się zaciekle gromadkami lub pojedyńczo, inni próżno wyciągali ręce ku jeźdźcom, huczącym jak wicher po bojowisku. Rozpoczęły się gonitwy, przebiegania, pojedyńcze walki, wyszukiwania nieprzyjaciół ukrytych w rozpadlinach i nierównościach gruntu. Z okopów, aby oświecić pobojowisko, zaczęło rzucać pozapalane maźnice ze smołą, które leciały jak ogniste meteory z grzywą płomienną. Przy tych czerwonych blaskach docinano reszty Zadnieprzańców.

Skoczył im jeszcze na pomoc i Subagazi, który dnia tego cudów męstwa dokazywał, ale przesławny Marek Sobieski, starosta krasnostawski, osadził go na miejscu, jak lew osadza dzikiego bawołu — więc widział już Burłaj, że znikąd nie ma ratunku. Aleś, Burłaju, sławę swą kozaczą kochał więcej niż życie, dlategoś nie szukał ocalenia! Inni wymykali się w ciemnościach, kryli się po szczelinach, prześlizgiwali się między kopytami rumaków, on zaś szukał jeszcze wrogów. Sam ściął pana Dąbka, i pana Rusieckiego, i młode lwie pacholę pana Aksaka, tego samego, który pod Konstantynowem nieśmiertelną okrył się sławą; potem porwał pana Sawickiego, potem dwóch odrazu skrzydlatych husarzy rozciągnął na ziemi rodzącej, nakoniec widząc ogromnego szlachcica, przebiegającego z rykiem żubrowym pobojowisko, zerwał się i szedł, jak błyszczący płomień na niego.

Pan Zagłoba on był bowiem, ryknął ze strachu jeszcze silniej i zwrócił konia do ucieczki. Reszta włosów stanęła mu dębem na głowie, ale przytomności nie stracił, owszem, fortele, jak błyskawice, przelatywały mu przez głowę, a jednocześnie wrzeszczał co siły: "Mości panowie! kto w Boga wierzy!"... i gnał jak wicher ku gęstszej kupie jeźdźców. Burłaj zaś przebiegał mu od boku, jakoby po cięciwie łuku. Pan Zagłoba zamnął oczy, a w głowie szumiało mu: "Zdechnę, ja i pchły moje!" — słyszał za sobą prychanie konia, spostrzegł, że nikt nie idzie mu z pomocą, że nie ucieczе i że żadna inna ręka chyba jego własna, nie wyrwie go z Burłajowej paszczęki.

Ale w tej ostatniej chwili, w tej już prawie agonii, nagle rozpacz jego i przestrach zmieniły się we wściekłość; ryknął tak strasznie, jak żaden tur nie ryczy, i zwinąwszy konia na miejscu, zwrócił się na przeciwnika.

— Zagłobę gonisz! — krzyknął, nacierając z szablą wzniesioną.

W tej chwili nowe stado płonących maźnic rzucono z okopów; uczyniło się widno. Burłaj spojrzał i zdumiał się.

Nie zdumiał się, usłyszawszy imię, bo go nigdy w życiu nie słyszał — ale poznawszy męża, którego, jako Bohunowego przyjaciela, ugaszczał niedawno w Jampolu.

Ale właśnie ta nieszczęsna chwila zdumienia zgubiła mężnego wodza mołojców, bo nim się opamiętał, ciął go pan Zagłoba przez skroń i jednym zamachem zwalił z konia.

Było to na oku wszystkiego wojska. Radosnym wrzaskom

husarskim odpowiedział okrzyk przerażenia mołojców, którzy, widząc śmierć starego lwa czarnomorskiego, stracili resztę ducha i zaniechali wszelkiego oporu. Których nie wyrwał z toni Subagazi, ci zginęli wszyscy co do jednego — bo jeńców wcale tej straszliwej nocy nie brano.

Subagazi pierzchnął ku taborom, goniony przez starostę krasnostawskiego i lekką jazdę. Szturm na całej linii okopów był odparty — tylko pod taborem kozackim wrzała jeszcze wysłana w pogoń jazda.

Okrzyk tryumfu i radości wstrząsnął całym obozem oblężonych, a potężne okrzyki aż ku niebu się wzbiły. Krwawi żołnierze, okryci potem, pyłem, czarni od prochu, z ociekłemi twarzami i brwią jeszcze na zmarszczoną, z płomieniem jeszcze niezgasłym w oczach, stali oparci na broni, chwytając piersiami powietrze, gotowi znów zerwać się do boju, gdyby tego zaszła potrzeba. Ale powoli wracała jazda z krwawszego żniwa pod taborem; potem zjechał na pobojowisko sam książę, a za nim regimentarze, pan chorąży, pan Marek Sobieski, pan Przyjemski. Cały ten świetny orszak posuwał się zwolna wzdłuż okopu.

— Niech żyje Jeremi! — wołało wojsko — niech żyje ojciec nasz!

A książę, bez hełmu, kłaniał się głową i buławą na wszystkie strony.

— Dziękuję waszmościom! dziękuję waszmościom! — powtarzał dźwięcznym głosem.

Potem zwrócił się do pana Przyjemskiego.

— Ten okop jest za duży! — rzekł.

Przyjemski skinął głową na znak zgody.

I przyjechali wodze zwycięscy od zachodniego aż do wschodniego stawu opatrując pobojowisko, szkody, jakie nieprzyjaciel w wałach porobił, i same wały.

Tymczasem poza orszakiem książęcym, uniesieni zapałem żołnierze nieśli wśród okrzyków, na ręku do obozu pana Zagłobę, jako największego tryumfatora w dniu dzisiejszym. Ze dwadzieścia tęgich rąk podtrzymywało w górze okazałą postać wojownika, wojownik zaś czerwony, spocony, machając rękoma dla utrzymania równowagi, krzyczał co siły:

— Ha! Zadałem mu pieprzu! Umyślnie udałem ucieczkę, żeby go za sobą wywabić. Nie będzie nam więcej, psubrat, burłajował. Mości panowie! trzeba było dać przykład młodszym!... Na Boga!

ostróżnie, bo mnie uronicie i potłuczecie. Trzymajcież dobrze, jak macie trzymać!... Miałem z nim robotę, wierzcie mi! O szelmy! lada hultaj dziś szlachcicowi się nadstawi! Ale mają za swoje!... Ostróżnie! Puśćcie do dyabła!

— Niech żyje! niech żyje! — krzyczała szlachta.

— Do księcia z nim! — powtarzali inni.

— Niech żyje! niech żyje!!!

Tymczasem hetman zaporoski, przypadłszy do swego taboru, ryczał jak dziki zwierz, darł żupan na piersiach i kaleczył sobie twarz. Starszyzna, ocalała z pogromu, otoczyła go w ponurem milczeniu, nie niosąc ani słowa pociechy, a jego prawie obłęd pochwycił. Wargi miał spienione, piętami bił w ziemię, obu rękoma szarpał włosy w czuprynie.

— Gdzie moje pułki? gdzie mołojcy? — powtarzał chrapliwym głosem — Co powie chan! co powie Tuhaj-bej! Wydajcie mnie Jaremie! niech moją głowę na pal wbiją!

Starszyzna milczała ponuro...

— Czemu mnie worożychy wiktoryę przepowiadały? — ryczał dalej hetman. — Urezać szyję wiedźmom — czemu mnie mówiły, że Jaremę dostanę?

Zwykle, gdy ryk tego lwa wstrząsnął taborem, pułkownicy milczeli — ale teraz lew był zwyciężony i zdeptany, szczęście zdawało się go opuszczać, więc klęska uzuchwaliła starszyznę.

— Jaremie nie zdzierżysz — mruknął ponuro Stepka.

— Zgubisz nas i siebie! — ozwał się Mrozowicki.

Hetman skoczył ku nim, jak tygrys.

— A kto sprawił Żółte Wody? kto Korsuń? kto Piławce?

— Ty! — rzekł szorstko Woronczeńko — ale tam Wiśniowieckiego nie było.

Chmielnicki porwał się za czuprynę.

— Ja chanowi przyrzekł dziś nocleg w zamku! — wył z rozpaczy.

Na to Kułak:

— Co ty chanowi przyrzekał, to twoja głową! Ty jej pilnuj, by ci z karku nie spadła... ale do szturmu nas nie pchaj, rabów bożych nie gub! Wałami Lachów otocz, szańce każ sypać pod puszki — inaczej hore tobi.

— Hore tobi! — powtórzyły ponure głosy.

— Hore wam! — odrzekł Chmielnicki.

I tak oni rozmawiali groźnie jak grzmoty... Wreszcie Chmielnicki

zatoczył się i rzucił na pęki owczych skór, pokrytych dywanami, w rogu namiotu.

Pułkownicy stali nad nim ze zwieszonemi głowami, i długi czas trwało milczenie; nakoniec hetman podniósł głowę i zakrzyknął chrapliwie:

— Horyłki!..

— Nie będziesz pił — warknął Wyhowski. — Chan przyśle po ciebie.

Tymczasem chan siedział o milę drogi od pola bitwy, nie wiedząc, co się na placu dzieje. Noc była spokojna i ciepła, więc siedział pod namiotem wśród mołłów i aggów — i w oczekiwaniu na nowiny, pożywał daktyle ze srebrnej misy, obok stojącej, czasem zaś poglądał na wyiskrzone niebo, mrucząc:

— Mahomet Rossullah!

W tem, na spienionym koniu, przypadł zadyszany, okryty krwią, Subagazi; zeskoczył z siodła i zbliżywszy się szybko, począł bić pokłony, czekając na zapytanie.

— Mów! — rzekł chan ustami pełnemi daktylów.

Subagaziemu słowa paliły płomieniem wargi, ale nie śmiał przemówić bez zwykłych tytułów, rozpoczął więc, bijąc ciągle czołem, w następny sposób:

— Najpotężniejszy chanie wszystkich ord, wnuku Mahometa, samodzielny monarcho, panie mądry, panie szczęśliwy, panie drzewa zaleconego od wschodu do zachodu, panie drzewa kwitnącego...

Tu chan skinął ręką i przerwał. Widząc na twarzy Subagaziego krew, a w oczach ból, żal i rozpacz, wypluł niedojedzone daktyle na rękę, następnie oddał je jednemu z mułłów, który przyjął je z oznakami czci nadzwyczajnej i zaraz spożywać począł — chan rzekł:

— Mów prędko, Subagazi, i mądrze: azali obóz niewiernych wzięty?

— Bóg nie dał!

— Lachy?

— Zwycięzcy.

— Chmielnicki?

— Pobity.

— Tuhaj-bej?

— Ranny.

— Bóg jeden — rzekł chan. — Ilu wiernych poszło do raju

Subagazi wzniósł oczy w górę i wskazał krwawą ręką wyiskrzone niebo.

— Ile tych świateł u stóp Ałłacha — odrzekł uroczyście.

Tłusta twarz chanowa poczerwieniała, gniew chwytał go za piersi.

— Gdzie ten pies — pytał — który mi obiecał, że dziś w zamku będziemy spali? Gdzie ten wąż jadowity, którego Bóg zdepcze moją nogą? Niech się stawi i zda sprawę ze swych obmierzłych obietnic!

Kilku murzów ruszyło natychmiast po Chmielnickiego, chan zaś uspokajał się zwolna, nakoniec rzekł:

— Bóg jeden!

Potem zwrócił się do Subagaziego.

— Subagazi! — rzekł — krew jest na twojej twarzy.

— To krew niewiernych — odparł wojownik.

— Mów, jak ją rozlałeś i uciesz nasze uszy męstwem wiernych.

Tu Subagazi począł opowiadać obszernie o całej bitwie, wychwalając męstwo Tuhaj-beja, Gałgi i Nuradyna; nie zmilczał także i o Chmielnickim, owszem wysławiał go na równi z innymi, wolę Bożą jedynie i wściekłość niewiernych za przyczynę klęski podając. Jeden szczegół uderzył chana w jego opowiadaniu, mianowicie, że do Tatarów nie strzelano wcale z początku bitwy, i że jazda książęca uderzyła na nich dopiero wtedy, gdy jej zastąpili pole.

— Ałłah!... nie chcieli ze mną wojny — rzekł chan, ale teraz za późno...

Tak było w istocie. Książę Jeremi z początku bitwy zabronił strzelać do Tatarów, chcąc wpoić w żołnierzy przekonanie, że układy z chanem już rozpoczęte i że ordy pozornie tylko stoją po stronie czerni. Później dopiero siłą rzeczy przyszło do spotkania i z Tatarami.

Chan kiwał głową, namyślał się w tej chwili, czyby jeszcze nie lepiej było zwrócić oręż przeciw Chmielnickiemu, gdy nagle sam hetman stanął przed nim. Chmielnicki był już spokojny i zbliżył się z podniesioną głową, śmiało patrząc w oczy chanowi; na twarzy malowała mu się chytrość i odwaga.

— Zbliż się, zdrajco — rzekł chan.

— Zbliża się hetman kozacki i nie zdrajca, ale wierny sojusznik, któremuś pomoc nietylko w szczęściu obiecał — odrzekł Chmielnicki.

— Idź, nocuj w zamku! idź, wyciągnij za łeb Lachów z okopu, jakeś mi obiecywał!

— Wielki chanie wszystkich ord! — odrzekł silnym głosem Chmielnicki. — Jesteś potężny i obok sułtana najpotężniejszy na ziemi; jesteś mądry i silny, ale czy możesz wypuścić strzałę z łuku aż pod gwiazdy, albo zmierzyć głębokość morza?

Chan spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Nie możesz — mówił coraz silniej Chmielnicki, — tak i ja nie mogłem zmiarkować całej pychy i zuchwalstwa Jaremy. Zali mogłem pomyśleć, że nie ulęknie się ciebie, chanie, że nie upokorzy się na twój widok, nie uderzy czołem przed tobą, ale wzniesie rękę zuchwałą na ciebie samego, przeleje krew twoich wojowników i będzie ci urągał monarcho, jak ostatniemu z twoich murzów? Gdybym ja tak śmiał myśleć — ciebiebym znieważył, którego czczę i miłuję.

— Ałłah! — rzekł chan, coraz bardziej zdziwiony.

— Lecz to ci powiem — mówił dalej Chmielnicki z coraz większą pewnością w głosie i postawie, — jesteś wielki i potężny; od wschodu aż do zachodu narody biją ci czołem i lwem zowią. Jeden Jarema nie pada na twarz przed twoją brodą; więc jeżeli go nie zetrzesz, jeżeli karku mu nie ugniesz i po jego grzbiecie nie będziesz na koń siadał, za nic twoja potęga, za nic twoja sława, bo powiedzą, że jeden kniaź lacki pohańbił krymskiego carza i kary nie odebrał — że on potężniejszy od ciebie.

Nastało głuche milczenie, murzowie, agowie i mułłowie patrzali jak w słońce w twarz chana, tamując oddech w piersiach, a on oczy miał zamknięte i myślał...

Chmielnicki wsparł się buławą i czekał śmiało.

— Rzekłeś — przemówił w końcu chan — zegnę kark Jaremy, po jego grzbiecie na koń będę siadał, ażeby nie mówiono od wschodu do zachodu, że jeden pies niewierny mnie pohańbił.

— Bóg jest wielki! — zawołali wielkim głosem murzowie.

Chmielnickiemu zaś radość strzeliła z oczu; za jedną drogą odwrócił zgubę wiszącą nad swoją głową i sprzymierzeńca wątpliwego w najwierniejszego zmienił.

Ten lew umiał w każdej chwili w węża się przedzierzgnąć.

Oba obozy huczały do późna w noc, jak huczą pszczoły na wyroju przygrzane słońcem wiosennem, a tymczasem na pobojowisku spali snem nieprzebudzonym i wiecznym rycerze, pobodzeni włóczniami, pocięci mieczem, poprzeszywani przez strzały i kule. Księżyc zeszedł i rozpoczął wędrówkę po tem polu śmierci: więc odbijał się w kałużach skrzepłej krwi, wydobywał z pomroki coraz nowe

stosy poległych, schodził z jednych ciał, wchodził cicho na drugie, przeglądał się w otwartych martwych źrenicach, oświecał sine twarze, szczątki potrzaskanej broni, trupy końskie — i promienie jego bladły coraz bardziej, jakby przerażone tem, co widziały. Po polu biegały gdzieniegdzie pojedyńczo i gromadkami jakieś złowrogie postacie: to czeladź i ciury przyszli odzierać pobitych, jak szakale przychodzą po lwach... Lecz jakaś zabobonna bojaźń spędziła ich w końcu z pobojowiska. Było coś straszliwego, coś tajemniczego w tem polu, pokrytem trupami, w tym spokoju i nieruchomości żywych niedawno kształtów ludzkich, w tej cichej zgodzie, w jakiej leżeli obok siebie Polacy, Turcy, Tatarzy i Kozacy. Wiatr niekiedy zaszumiał w zaroślach, rosnących na pobojowisku, a żołnierzom czuwającym w okopie wydało się, że to dusze ludzkie kołują tak nad ciałami. Jakoż i mówiono, że gdy północ wybiła w Zbarażu, na całem polu, od okopu aż do taboru, zerwały się z szumem jakoby niezmierne stada ptactwa. Słyszano jakieś rozpłakane głosy powietrzne, jakieś ogromne westchnienia, od których włosy na głowie stawały, i jakieś jęki. Ci, co mieli jeszcze ledz w tej walce i których uszy otwartsze były na za ziemskie wołania, słyszeli wyraźnie, jak dusze polskie odlatując, wołały: "Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy!" — a zaś kozackie jęczały: "Chryste! Chryste, pomiłuj!" — bo jako w bratobójczej wojnie poległe, nie mogły wprost do wiekuistej światłości ulecieć, ale przeznaczone im było lecieć gdzieś w dal ciemną i razem z wichrem krążyć nad padołem łez, i płakać, i jęczeć po nocach, dopóki odpuszczenia wspólnych win, i zapomnienia, i zgody u nóg Chrystusowych nie wyżebrzą...

Ale wówczas zatwardziły się jeszcze bardziej serca ludzkie i żaden anioł zgody nie przelatywał nad pobojowiskiem.

LVI.

Nazajutrz, nim słońce rozlało złote blaski na niebie, stanął już nowy wał ochronny w polskim obozie. Dawne wały były zbyt obszerne, trudno się było w nich bronić i przychodzić wzajem z pomocą, więc książę z panem Przyjemskim postanowili zamknąć wojska do ciaśniejszych okopów. Pracowano nad tem gwałtownie całą noc, a husarya narówni ze wszystkimi pułkami i czeladzią. Dopiero po trzeciej w nocy sen zamknął oczy utrudzonemu rycerstwu, ale

też spali wszyscy, oprócz straży, kamiennym snem, bo i nieprzyjaciel pracował także w nocy, a następnie nie poruszał się długo po wczorajszej klęsce. Spodziewano się nawet, że szturm dnia tego wcale nie nastąpi.

Skrzetuski, pan Longinus i Zagłoba, siedząc w namiocie, spożywali polewkę piwną, gęsto okraszoną kostkami sera — rozmawiali o trudach ubiegłej nocy z tem zadowoleniem, z jakiem żołnierze rozmawiają o świeżem zwycięstwie.

— Mój obyczaj jest kłaść się o wieczornym udoju, a wstawać o rannym, jak czynili starożytni — mówił pan Zagłoba — ale na wojnie trudno! Spisz, kiedy możesz, wstajesz, kiedy cię budzą. To mnie jeno gniewa, że dla takiego tałałajstwa musimy się inkomodować. Ale trudno, takie czasy. Zapłaciliśmy im też za to wczoraj. Żeby tak jeszcze z parę razy podobny poczęstunek dostali, odechciałoby się im nas budzić.

— Nie wiesz waćpan, czy siła naszych poległa? — pytał Podbipięta.

— I! niewielu; jak to zawsze bywa, że oblegających zawsze więcej ginie, niż oblężonych. Waćpan się na tem nie znasz tak, jak ja, boś tyle wojny nie zażywał, ale my starzy praktycy nie potrzebujemy trupa policzyć, bo z samej bitwy umiemy wymiarkować.

— Przyuczę się i ja przy waćpanach — rzekł ze słodyczą pan Longinus.

— Pewnie, że tak, jeżeli tylko dowcip waćpanu dopisze, czego się niebardzo spodziewam.

— Dajże waćpan spokój — ozwał się Skrzetuski. — Przecie nie pierwsza to wojna dla pana Podbipięty, a daj Boże najlepszym rycerzom tak stawać jak on wczoraj.

— Robiło się, co mogło — odrzekł Litwin, — nie tyle, ileby się chciało.

— Owszem! owszem! wcale nieźle waćpan stawałeś — mówił protekcyonalnie Zagłoba, — a że cię inni przewyższali (tu począł wąsa podkręcać do góry), to nie twoja wina.

Litwin słuchał ze spuszczonemi oczyma i westchnął, marząc o przodku Stowejce i o trzech głowach.

W tej chwili skrzydło namiotu uchyliło się i wszedł raźno pan Michał, wesoły jak szczygieł w pogodny ranek.

— No! tośmy w kupie! — zawołał Zagłoba. — Dajcież mu piwa.

Mały rycerz uścisnął ręce trzem towarzyszom i rzekł:

— Zebyście waćpaństwo wiedzieli, ile kul leży na majdanie, to przechodzi imaginacyę! Nie przejdziesz, żebyś się nie potknął.

— Widziałem i ja to — odrzekł Zagłoba, — bom też wstawszy, przeszedł się kęs po obozie. Przez dwa lata kury w całym powiecie lwowskim tyle jaj nie naznoszą. Ej, gdyby to były jaja, dopierobyśmy używali jajecznicy. A trzeba waćpanom wiedzieć, że ja za miskę jajecznicy największy specyał oddam. Żołnierska we mnie natura, tak jak i w was. Zjem chętnie co dobrego, byle dużo. Dlatego też i do bitwy skorszy jestem od dzisiejszych młodzików, pieruchów, co niecułki ulęgałek nie zje, żeby się zaraz za żywot nie trzymał.

— No! aleś się waćpan wczoraj z Burłajem popisał — rzekł mały rycerz. — Burłaja tak ściąć — ho! ho! Nie spodziewałem się tego po waćpanu. Toż to przecież był rycerz przesławny na całą Ukrainę i Turecczyznę.

— Co? ha! — rzekł z zadowoleniem Zagłoba — nie pierwszyzna mi to, nie pierwszyzna, panie Michale. — Widzę, szukaliśmy się wszyscy w korcu maku, ale też i dobraliśmy się we czterech tak, że takiej czwórki w całej Rzeczypospolitej nie znajdziesz. Dalibóg, z waćpanami i z księciem naszym na czele ruszyłbym samopięt choćby na Stambuł. Bo uważcie tylko: pan Skrzetuski zabił Bardabuta, a wczoraj Tuhaj-beja.

— Tuhaj-bej nie zabit — przerwał porucznik — sam czułem, że mi się ostrze zwinęło, później też zaraz nas rozdzielili.

— Wszystko jedno — rzekł Zagłoba — nie przerywaj, panie Janie. Pan Michał usiekł w Warszawie Bohuna, jakeśmy to mówili...

— Lepiejbyś waść nie wspominał — rzekł Litwin.

— Co się wymówiło, to się wymówiło.— odparł Zagłoba, — choć wolałbym nie wspominać, ale idę dalej: otóż pan Podbipięta z Mysikiszek zdusił owego Pułjana, a ja Burłaja. Nie zamilczę wszelako waćpaństwu, że oddałbym tamtych wszystkich za jednego Burłaja i że pono najcięższą miałem robotę. Dyabeł to był, nie Kozak, co? Żebym tak miał synów, legitime natos (prawego pochodzenia), pięknebym im imię zostawił. Ciekawym tylko, co Król Jegomość i sejmy na to powiedzą, jak nas nagrodzą, nas, którzy się siarką i saletrą więcej, niż czem innem, żywimy.

— Był większy od nas wszystkich rycerz — rzekł pan Longinus, — a nazwiska jego nikt nie wie i nie pamięta

— A to ciekawym kto taki? chyba w starożytności? — rzekł urażony Zagłoba.

— Nie w starożytności, ale, brateńku, ten, który Gustawa Adolfa pod Trzcianną razem z koniem obalił i w jasyr wziął — rzekł Litwin.

— A ja słyszałem, że było to pod Puckiem — wtrącił pan Michał.

— Wszelako król mu się wyrwał i zbiegł — rzekł Skrzetuski.

— Tak jest! Wiem ja coś o tem — mówił, przymykając oko pan Zagłoba, — bom wtedy właśnie pod panem Koniecpolskim, ojcem chorążego służył — wiem ja coś o tem! Modestya to nie pozwala onemu rycerzowi powiedzieć swego nazwiska, i dlatego nikt o niem nie wie. Chociaż, wierzcie w to co powiem: Gustaw Adolf wielkim był wojownikiem, prawie panu Koniecpolskiemu równym, ale w pojedyńczym spotkaniu z Burłajem cięższą była robota — ja wam to mówię!

— To niby znaczy, żeś to waćpan powalił Gustawa Adolfa? — pytał pan Wołodyjowski.

— Albożem ci się pochwalił panie Michale?... niech tam to już zostanie w niepamięci — mam ja i dziś się z czem pochwalić, co będę dawne czasy wspominał! Strasznie to piwsko burczy w żywocie — a im więcej w niem sera, tem więcej burczy. Wolę winną polewkę — choć chwała Bogu i za to, co jest, bo wkrótce może i tego nie starczy. Ksiądz Żabkowski mnie mówił, że ponoś wiwendy skąpo, a on się tem bardzo niepokoi, bo ma brzuch, jak gumno. Setny to Bernardyn! okrutniem go polubił. Więcej w nim żołnierza, niż mnicha. Kiedyby kogo w pysk trzasnął, to choć zaraz trumnę zamawiaj.

— Ale! — rzekł mały rycerz — nie mówiłem też waćpaństwu, jak grzecznie poczynał sobie tej nocy ksiądz Jaskólski. Usadowił się w onym narożniku, w tej srogiej wieży, po prawej stronie zamku — i patrzał na bitwę. A trzeba wiedzieć, że on okrutnie z guldynki strzela. Powiada tedy do Żabkowskiego: "Nie będę do Kozaków strzelał, bo zawsze to chrześcijanie, choć Bogu dyzgusta czynią, ale do Tatarów (powiada) nie wytrzymam!" — i jak jął dmuchać, tak ich podobno coś półkopy przez całą bitwę popsował.

— Żeby to wszystkie duchowieństwo było takie! — westchnął Zagłoba, — ale nasz Muchowiecki, to jeno ręce ku niebu wznosi, a płacze, że się tyle krwi chrześcijańskiej leje . .

— Daj waść pokój — rzekł poważnie Skrzetuski. — Ksiądz Mu-

człowiecki święty ksiądz, i w tem masz najlepszy dowód, że choć on nie starszy od tamtych dwóch, przecie głowy przed jego zacnością schylają.

— Nietylko ja też nie neguję jego świątobliwości — odparł Zagłoba — ale myślę, że i samego chana potrafiłby nawrócić. Oj, mości panowie! musi się tam jego chańska mość sierdzić, aż wszy na nim koziołki ze strachu przewracają! Jeżeli przyjdzie z nim do układów, pojadę i ja z komisarzami. Znamy się zdawna i niegdyś wielce mnie miłował. Może też sobie przypomni.

— Do układów Janickiego pewnie wybiorą, bo on po tatarsku, tak jak po polsku, mówi — rzekł Skrzetuski.

— I ja tak samo, a z murzami znamy się, jak łyse konie. Córki mi swoje w Krymie chcieli oddawać, żeby się potomstwa pięknego doczekać, a żem był młody i pactów conventów (układów) nie zawierałem ze swoją niewinnością, jako imć Podbipięta z Mysikiszek, więcem tam siła figlów napłatał.

— Słuchać hadko! — rzekł pan Longinus, spuszczając oczy.

— A waćpan to jako szpak wyuczony jedno w kółko powtarzasz. Widać, że boćwinkowie mowy ludzkiej dobrze jeszcze nie umieją.

Dalszy ciąg rozmowy przerwał gwar, wychodzący z zewnątrz namiotu — więc rycerze wyszli zobaczyć, co się dzieje. Mnóstwo żołnierzy stało na okopie, spoglądając na okolicę, która w ciągu nocy zmieniła się znacznie i jeszcze w oczach się zmieniała. Kozacy również nie próżnowali od czasu ostatniego szturmu, ale sypali szańce, zaciągali na nie działa, tak długie i donośne, jakich nie było w polskim obozie, porozpoczynali poprzeczno, wężowato idące fosy, aprosze; zdaleka wydawały się te nasypy, jak tysiące olbrzymich kretowisk. Cała pochyła równina była nimi pokryta, świeżo skopana ziemia czerniła się wszędzie między zielonością — i wszędy mrowiło się od pracującego ludu. Na pierwszych wałach migotały także krasne czapki mołojców.

Książę stał na okopie w towarzystwie starosty krasnostawskiego i pana Przyjemskiego. Poniżej kasztelan bełski poglądał przez perspektywę na roboty kozackie i mówił do podczaszego koronnego:

— Nieprzyjaciel rozpoczyna regularne oblężenie. Widzę, że trzeba nam będzie obrony w okopie poniechać i do zamku się przenieść.

Usłyszał te słowa książę Jeremi i rzekł, pochylając się z góry ku kasztelanowi:

— Niechże nas Bóg od tego broni, bo dobrowolnie jakoby w potrzaskbyśmy wleźli.. Tu nam żyć albo umierać.

— Takie i moje zdanie, choćbym miał codzień jednego Burłaja zabić — wtrącił pan Zagłoba. — Protestuję imieniem całego wojska przeciw zdaniu jaśnie wielmożnego kasztelana bełskiego.

— To do waści nie należy! — rzekł książę.

— Cicho waść! — szepnął Wołodyjowski — ciągnąc szlachcica za rękaw.

— Wygniecienmy ich w tych zakrywkach, jako krety mówił Zagłoba — a ja waszą książęcą mość proszę, aby mnie pierwszemu pozwolił iść z wycieczką. Znają oni mnie już dobrze, poznają jeszcze lepiej.

— Z wycieczką? — rzekł książę i zmarszczył brwi — czekajno waść... noce z wieczora bywają ciemne...

Tu zwrócił się do starosty krasnostawskiego, do pana Przyjemskiego i do regimentarzy.

— Proszę W. M. panów na radę — rzekł.

I zstąpił z okopu, a za nim udała się i cała starszyzna.

— Na miłość Boską, co waćpan czynisz? — mówił Wołodyjowski do Zagłoby — cóż to? służby i dyscypliny nie znasz, że do rozmowy starszych się mieszasz? Książę łaskawy pan, ale w czasie wojny niema z nim żartów.

— Nic to, panie Michale — odrzekł Zagłoba. — Pan Koniecpolski ojciec srogi był lew, a na moich radach siła polegał, i niech mnie dziś wilcy zjedzą, jeżeli nie dlatego podwakroć pogromił Gustawa Adolfa. Umiem ja z panami gadać! Albo i teraz! zauważyłeś jak książę obstupuit (osłupiał), gdym wycieczkę doradził? Jeżeli Bóg da wiktorycę, czyja będzie zasługa — co? — twoja?

W tej chwili zbliżył się Zaćwilichowski.

— A co? ryją, ryją, jak świnie! — rzekł, wskazując pole.

— Wolałbym, żeby to były świnie — odpowiedział Zagłoba — bo kiełbasy by nam tanio wypadły, a ich padło i dla psów się nie przygodzi. Dziś już musieli żołnierze kopać studnie w kwaterach pana Firleja, gdyż we wschodnim stawie od trupów wody nie znać. Nad ranem żółć w psubratach popękała i wszyscy spłynęli. Jak przyjdzie piątek, nie będzie można ryb jeść, bo mięsem karmione.

— Prawda jest — rzecze Zaćwilichowski; — starym żołnierz, a tyle trupa dawnom nie widział, chyba pod Chocimem przy szturmach janczarskich na nasz obóz.

— Zobaczysz go waszmość jeszcze więcej — ja to waszmości mówię.

— Myślę, że dziś wieczorem, albo jeszcze i przed wieczorem, znowu do szturmu ruszą.

— A ja powiadam, że do jutra zostawią nas w pokoju.

Ledwie pan Zagłoba skończył mówić, gdy na szańcach wykwitły długie białe dymy i kule z szumem przeleciały nad okopem.

— Masz waść! — rzekł Zaćwilichowski.

— Ba! sztuki wojennej nie znają! — odparł Zagłoba.

Stary Zaćwilichowski miał jednak słuszność. Chmielnicki rozpoczął regularne oblężenie, poprzecinał wszystkie drogi, wyjścia, odjął paszę, sypał aprosze i szańce, podkopywał się wężownicami pod obóz, ale szturmów nie poniechał. Postanowił on nie dać spokoju oblężonym, nużyć ich, straszyć, trzymać w ustawicznej bezsenności i nękać dopóty, dopóki broń nie wypadnie z ich rąk zesztywniałych. Więc wieczorem znowu uderzył na kwatery Wiśniowieckiego, z nielepszym niż poprzedniego dnia skutkiem, tem bardziej, że i mołojcy nie szli już z taką ochotą. Następnego dnia ogień nie ustawał ani na chwilę. Wężownice tak już były blizkie, że i ręczna strzelba donosiła do wałów; przykrywki ziemne dymiły, jak małe wulkany, od rana do wieczora. Nie była to walna bitwa, ale nieustająca strzelanina. Oblężeni wypadali niekiedy z wałów, a wówczas przychodziło do szabel, cepów, kos i włóczni. Ale zaledwie wybito jednych mołojców, natychmiast przykrywki napełniały się nowym ludem. Żołnierz przez cały dzień nie miał ani chwili odpoczynku, a gdy nadszedł upragniony zachód słońca, rozpoczął się nowy szturm generalny — o wycieczce nie było co i myśleć.

W nocy, 16 lipca, uderzyli dwaj dzielni pułkownicy, Hładki i Nebaba, na kwatery książęce i ponieśli znów straszną klęskę. Trzy tysiące najdzielniejszych mołojców legły na placu, reszta goniona przez starostę krasnostawskiego, uciekła w największym popłochu do taboru, rzucając broń i rogi z prochem. Również niefortunny koniec spotkał Fedorenkę, który, korzystając z gęstej mgły, o mało na świtaniu nie wziął miasta. Odparł go pan Korf na czele Niemców, a pan starosta krasnostawski i pan Chorąży Koniecpolski wybili prawie do szczętu w ucieczce.

Lecz nic to było wszystko w porównaniu z okropną nawałą, jaka dnia 19 lipca rozpoczęła się nad okopem. Uprzedniej nocy wysypali Kozacy naprzeciw kwater Wiśniowieckiego wysoki wał, z którego

armaty wielkiego kalibru ziały nieustannym ogniem, gdy zaś dzień minął i pierwsze gwiazdy zabłysły na niebie, dziesiątki tysiący ludzi ruszyły do ataku. Jednocześnie w dali ukazało się kilkadziesiąt straszliwych machin, podobnych do wież, które toczyły się zwolna ku okopowi. Po bokach ich wznosiły się, na kształt potwornych skrzydeł, mosty, które przez fosy miano przerzucać — a szczyty dymiły, świeciły i huczały wystrzałami lekkich działek, rusznic i samopałów. Szły te wieże między mrowiem głów, jakby olbrzymi pułkownicy — to czerwieniąc się w ogniu armat, to niknąc w dymie i ciemności. Żołnierze ukazywali je sobie zdaleka szepcąc:

— To hulaj-horodyny! Nas to Chmielnicki będzie mełł w tych wiatrakach.

— Patrzcie, jak się toczą z hukiem, rzekłbyś: grzmoty!

— Z armat do nich! z armat! — wołali inni.

Jakoż puszkarze książęcy posyłali kulę za kulą, granat za granatem, ku straszliwym machinom, a, że widać je było wówczas tylko, gdy wystrzały rozdarły ciemność, więc kule je mijały najczęściej. Tymczasem zbita masa kozactwa napływała coraz bliżej, jak czarna fala, płynąca nocą z dalekiej morskiej przestrzeni.

— Uf! —mówił pan Zagłoba, stojąc razem z jazdą przy Skrzetuskim — gorąco mi, jak nigdy w życiu! Noc taka parna, że suchej nitki na mnie niema. Dyabli nadali te machiny! Sprawże Boże, .. żeby się ziemia pod niemi rozstąpiła, bo już mi kością w gardle stoją te łajdaki — amen! Ni zjeść, ni się wyspać — psi w lepszych kondycyach od nas żyją! Uf! jak parno!

Rzeczywiście powietrze było ciężkie i parne, a do tego przesycone wyziewami trupów, gnijących od kilku dni na całem pobojowisku. Niebo przysłoniło się czarną i niską oponą chmur. Burza wisiała nad Zbarażem. Żołnierzom pod zbrojami pot oblewał ciało, a piersi oddychały z wysileniem.

W tej chwili bębny poczęły warczeć w ciemnościach.

— Już zaraz uderzą! — rzekł Skrzetuski. — Słyszysz waść? bębnią.

— Słyszę. Żeby w nich dyabli bębnili! Czysta desperacya.

— Koli! koli! — wrzasnęły tłumy, rzucając się ku okopom.

Bitwa zawrzała na całej długości okopu. Uderzono jednocześnie na Wiśniowieckiego, na Lanckorońskiego, na Firleja i Ostroroga, aby jeden drugiemu nie mógł przychodzić z pomocą. Kozactwo, spojone gorzałką, szło jeszcze zacieklej, niż w czasie poprzednich

szturmów, ale tem dzielniejszy napotykało opór. Duch bohaterski wodza ożywiał żołnierzy; groźne piechoty kwarciane, złożone z chłopów mazurskich, zbiły się tak z kozactwem, że pomieszały się z niem zupełnie. Bitwa na całej linii stawała się coraz zażartszą. Rury muszkietów paliły ręce żołnierzy, tchu im brakło, starszyźnie głos zamarł w gardzieli od wrzasków komend. Starosta krasnostawski i Skrzetuski wpadli znów z jazdą i zajeżdżali z boku Kozakom, tratując całe pułki i pławiąc się we krwi.

Godzina upływała za godziną i szturm nie ustawał, bo straszliwe luki w szeregach kozackich Chmielnicki w jednem mgnieniu oka zapełniał nowemi siłami. Tatarzy dopomagali wrzaskiem, puszczając zarazem chmary strzał na broniących się żołnierzy; niektórzy, stojąc w tyle czerni, zaganiali ją do szturmu batami z byczego surowca. Wściekłość walczyła ze wściekłością, pierś uderzała o pierś — mąż wiązał się w uścisku śmiertelnym z mężem..

I tak walczyli, jak walczą rozhukane fale morskie z wyspą skalistą.

Nagle ziemia zatrzęsła się pod nogami wojowników, a całe niebo stânęło w sinym ogniu, jakoby już Bóg nie mógł dłużej patrzeć na okropności ludzkie. Łoskot straszliwy zgłuszył wrzaski ludzkie i huk armat. To artylerya niebieska rozpoczęła teraz straszną kanonadę. Grzmoty roztaczały się od wschodu na zachód. Zdawało się, że to niebo razem z chmurami pękło i wali się na głowy walczących. Chwilami świat cały wyglądał jak jeden płomień, chwilami ślepło wszystko do ciemności i znów czerwone zygzaki gromów rozdzierały czarną oponę. Wicher uderzył raz i drugi, zerwał tysiące czapek, proporców, chorągwi i rozmiótł je w mgnieniu oka po bojowisku. Pioruny poczęły walić jeden za drugim — potem nastąpił chaos grzmotów, błyskawic, wichru, ognia i ciemności — niebo się wściekło, jak ludzie.

Niepamiętna burza rozszalała się nad miastem, zamkiem, okopami i taborem. Bitwa została przerwana. Nakoniec upusty niebieskie rozwarły się, i nie strugi ale potoki dżdżu poczęły lać na ziemię. Fala przysłoniła świat; o krok naprzód nie było nic widać. Trupy w fosie spłynęły. Pułki kozackie, porzuciwszy szturm, biegły jedne za drugimi ku taborowi, szły na oślep, spotykały się z sobą i sądząc, że to nieprzyjaciel je goni, rozpraszały się w ciemności; za nimi, topiąc się i przewracając, umykały armaty, amunicye, wozy. Woda porozrywała roboty ziemne kozackie, szumiała w rowach i wężownicach, wciskała się w nakrywki ziemne, lubo ubez-

pieczono je rowami, i biegła z szumem po równinie, jakby goniąc uciekających mołojców.

Deszcz walił coraz większy. Piechoty w okopie umknęły z wałów, szukając pod namiotami schronienia, tylko dla jazdy starosty krasnostawskiego i Skrzetuskiego nie przychodził rozkaz odwrotu. Stali więc jeden przy drugim jakoby w jeziorze, strząsając z siebie wodę. Tymczasem burza poczęła zwolna przechodzić. Po północy deszcz wreszcie ustał. Między przerwami chmur tu i owdzie zabłysły gwiazdy. Upłynęła jeszcze godzina — i woda trochę spadła. Wówczas przed chorągwią Skrzetuskiego ukazał się niespodziewanie sam książę.

— Mości panowie — spytał — a ładownice wam nie zamokły?

— Suche, mości książę! — odpowiedział Skrzetuski.

— To dobrze! zsiąść mi z koni, ruszyć przez wodę ku onym belluardom, podsypać je prochem i zapalić. A cicho mi iść! Pan starosta krasnostawski pójdzie z wami.

— Wedle rozkazu! — odpowiedział Skrzetuski.

Wtem książę dojrzał mokrego pana Zagłobę.

— Waść się prosiłeś na wycieczkę; ruszajże teraz — rzekł.

— Masz dyable kubrak! — mruknął Zagłoba. — Tego jeszcze brakowało.

W pół godziny potem dwa oddziały rycerzy, po dwieście pięćdziesiąt ludzi, brodząc po pas w wodzie, biegły z szablami w ręku ku owym straszliwym "hulaj-horodynom" kozackim, stojącym o pół staja od okopu. Jeden oddział wiódł "lew nad lwy," pan starosta krasnostawski, Marek Sobieski, który ani chciał słyszeć o pozostaniu w okopie — drugi Skrzetuski. Czeladź niosła za rycerzami maźnice ze smołą, suche pochodnie i prochy, a oni szli cicho jak wilcy, skradający się ciemną nocą ku owczarni.

Mały rycerz przyłączył się na ochotnika do Skrzetuskiego, bo kochal pan Michał takie wyprawy nad życie — dreptał więc teraz po wodzie, mając radość w sercu, a szablę w dłoni; obok postępował pan Podbipięta z gołym zerkwikapturem, widny między wszystkimi, bo o dwie głowy od najwyższych wyższy; a między nimi nadążał, sapiąc, pan Zagłoba i mruczał z nieukontentowaniem, przedrzeźniając słowa książęce:

— Chciało ci się wycieczki — ruszaj teraz. — Dobrze! Psu by się nie chciało iść na wesele przez taką wodę. Jeżelim doradzał wycieczkę w taki czas, to niech nigdy w życiu nic prócz wody nie piję.

ła nie kaczka, a mój brzuch nie czółno. Zawsze miałem abominacyę do wody, a cóż dopiero do takiej, w której chłopska padlina moknie.

— Cicho waść — rzekł pan Michał.

— Waść sam cicho! nie większyś od kiełbia i umiesz pływać, to ci łatwo. Powiem nawet, że niewdzięcznie ze strony księcia, żeby mi jeszcze po zabiciu Burłaja nie dać spokoju. Dość już Zagłoba zrobił, niech jeno każdy tyle zrobi, a Zagłobie dajcie spokój, bo pięknie będziecie wyglądali, jak go nie stanie. Na Boga! jeżeli wpadnę w jaką dziurę,.wyciągnijcież mnie waćpanowie za uszy, bo się zaraz zaleję.

— Cicho waść! — rzekł Skrzetuski. — Kozacy tam siedzą w tych ciemnych zakrywkach, jeszcze cię usłyszą.

— Gdzie? co waćpan gadasz?

— A tam, w onych kopcach, pod darnią.

— Tego jeszcze brakowało! Niechże to jasne pioruny zatrzasną!

Resztę słów stłumił pan Michał, położywszy Zagłobie dłoń na ustach, bo zakrywki były już ledwie o pięćdziesiąt kroków odległe. Szli wprawdzie cicho rycerze, ale woda chlupotała im pod nogami; szczęściem deszcz znowu zaczął padać i szum jego głuszył stąpania.

Straży przy nakrywkach nie było. Któż bowiem spodziewałby się wycieczki po szturmie i po takiej burzy, która jakby jeziorem rozdzieliła walczących?

Pan Michał z panem Longinem skoczyli naprzód i pierwsi doszli do kopca. Mały rycerz puścił szablę na sznurek, złożył dłonie do ust i począł wołać.

— Hej ludy!

— A szczo? — ozwały się ze środka głosy mołojców, widocznie przekonanych, że ktoś od taborów kozackich przychodzi.

— Sława Bohu! — odrzekł Wołodyjowski — a puśćcie no!

— A to nie wiesz jak wejść?

— Wiem już — odrzekł Wołodyjowski — i zmacawszy wejście,— skoczył do środka; pan Longinus z kilku innymi sunął za nim.

W tej chwili wnętrze pokrywki zabrzmiało przeraźliwem wyciem ludzkiem — jednocześnie rycerstwo, wydawszy okrzyk, rzuciło się ku innym kopcom. W ciemności rozległy się jęki, szczęk żelaza, gdzieniegdzie przebiegały jakieś ciemne postacie, inne padały na ziemię, czasem huknął wystrzał — ale wszystko razem nie trwało dłużej, niż kwadrans. Mołojcy, zaskoczeni po największej części

w śnie głębokim, nie bronili się nawet — i wygnieciono ich wszystkich, nim zdołali za broń chwycić.

— Do hulaj- grodów! do hulaj-grodów! — rozległ się głos starosty krasnostawskiego.

Rycerstwo rzuciło się ku wieżom.

— Palić od środka, bo z wierzchu mokre! — zagrzmiał Skrzetuski.

Ale rozkaz nie łatwy był do wykonania. W wieżach budowanych z bierwion sosnowych nie było ani drzwi, ani żadnego otworu. Strzelcy kozaccy wchodzili na nie po drabinach, działa zaś, ponieważ mogły się mieścić tylko mniejsze, wciągano na powrozach. Rycerze biegali więc czas jakiś naokoło, próżno siekąc szablami belki, lub szarpiąc rękoma za węgły.

Na szczęście, czeladź miała siekiery; poczęto rąbać. Starosta krasnostawski kazał też podkładać puszki z prochem, umyślnie na ten cel przygotowane. Pozapalano maźnice ze smołą, tudzież pochodnie — i płomień począł lizać mokre, lecz przesiąkłe żywicą bierwiona.

Nim jednakże zajęły się bierwiona, nim prochy wybuchły, pan Longinus schylił się i podniósł ogromny głaz, wydobyty z ziemi przez Kozaków.

Czterech najtęższych z ludu mocarzy nie ruszyłoby go z miejsca, lecz on kołysał nim w potężnych ręku, i tylko przy świetle maźnic widać było, że krew wystąpiła mu na twarz. Rycerze oniemieli z podziwu.

— To Herkules! niechże go kule biją! — wołali, wznosząc ręce do góry.

Tymczasem pan Longinus zbliżył się do niepodpalonej jeszcze beluardy, przechylił się w tył i puścił kamień w sam środek ściany.

Obecni aż pochylili głowy, tak głaz huczał. Pękły od ciosu zaraz spojenia; rozległ się trzask i wieża rozwarła się, jak złamane podwoje i runęła z łoskotem.

Stos drzewa polano smołą i podpalono w jednej chwili.

Po niejakim czasie kilkadziesiąt olbrzymich płomieni oświeciło całą równinę. Deszcz padał ciągle, ale ogień przemógł go — i "paliły się te belluardy, z podziwem obu wojsk, jako że w dzień tak mokry."

Skoczyli na pomoc z kozackiego taboru Stepka, Kułak i Mrozowicki, każdy na czele kilku tysięcy mołojców, i próbowali gasić — próżno! Słupy ognia i czerwonego dymu strzelały coraz potężniej

ku niebu, odbijając się w jeziorach i kałużach, których burza naczyniła na pobojowisku.

Tymczasem rycerze wracali w ściśniętych szeregach do okopu, gdzie zdaleka witano ich radosnymi okrzykami.

Nagle Skrzetuski obejrzał się naokoło, rzucił okiem w głąb szeregu i krzyknął grzmiącym głosem:

— Stój!

Pana Longina i małego rycerza nie było między wracającymi. Widocznie uniesieni zapałem, zbyt długo zabawili się przy ostatniej belluardzie; a może odnaleźli gdzie zatajonych jeszcze mołojców, dość, iż widocznie nie spostrzegli odwrotu.

— Naprzód! — skomenderował Skrzetuski.

Starosta krasnostawski, idąc na drugim końcu szeregu, nie rozumiał, co zaszło i biegł pytać, gdy w tejże chwili obaj pożądani rycerze ukazali się, jakby z pod ziemi wyrośli, na pół drogi między belluardami a rycerstwem.

Pan Longinus z błyszczącym zerwikapturem w ręku stąpał olbrzymiemi krokami, a przy nim biegł kłusem pan Michał. Obaj głowy mieli zwrócone ku goniącym ich, nakształt zgrai psów mołojcom.

Przy czerwonej łunie pożaru widać było całą gonitwę doskonale. Rzekłbyś: olbrzymia łosza uchodzi przed gromadą strzelców ze swojem małem, gotowa w każdej chwili rzucić się na napastników.

— Zginą! na miłosierdzie Boskie, prędzej — krzyczał rozdzierającym głosem pan Zagłoba, — ustrzelą ich z łuków, albo piszczeli! Na rany Chrystusa, prędzej!

I nie bacząc na to, że nowa bitwa może się za chwilę zawiązać, leciał z szablą w ręku razem ze Skrzetuskim i innymi na pomoc, utykał, i przewracał się, podnosił, sapał, krzyczał, trząsł się, i cały gnał resztkami nóg i tchu.

Jednakże mołojcy nie strzelali bo samopały zamokły, a cięciwy łuków rozmiękły — więc nacierali jeno coraz bliżej. Kilkunastu ich wysforowało się naprzód i już mieli dobiedz, ale wówczas obaj rycerze zwrócili się ku nim, jak odyńce, i wydawszy krzyk okropny, wznieśli szable do góry. Kozacy stanęli w miejscu.

Pan Longinus ze swym olbrzymim mieczem wydawał im się jakąś nadprzyrodzoną istotą.

I jako dwa bure wilki, zbyt napierane przez ogary, odwrócą się i błysną białymi kłami, a psiarnia, skomląc zdala, nie śmie się na

nie rzucić, tak i oni odwracal, się po kilkakroć, i za każdym razem biegnący na przedzie stawali na miejscu. Raz tylko puścił się ku nim jeden widocznie śmielszej natury, z kosą w ręku, ale pan Michał skoczył jak żbik ku niemu i ukąsił go na śmierć. Reszta czekała na innych, którzy nadchodzili biegiem, gęstą ławą.

Lecz i szereg rycerzy był coraz bliższy, a pan Zagłoba leciał z szablą nad głową, krzycząc nieludzkim głosem:

— Bij, morduj!

Wtem huknęło z okopów, i granat, chychocząc jak puszczyk, zakreślił czerwony łuk na niebie i upadł w ściśniętą ławicę; za nim drugi, trzeci, dziesiąty. Zdawało się, że bitwa rozpoczyna się na nowo.

Kozakom, aż do oblężenia Zbaraża, nieznane były tego rodzaju pociski i po trzeźwemu bali się ich najwięcej, widząc w nich czary "Jaremy" — więc ławica wstrzymała się w jednej chwili, potem pękła na dwoje, a razem pękły i granaty, roznosząc postrach, śmierć i zniszczenie.

— Spasajtes! spasajtes! — rozległy się przerażone głosy.

I pierzchło wszystko, a tymczasem pan Longinus i mały rycerz wpadli w zbawczy szereg husarzy.

Zagłoba rzucał się to jednemu, to drugiemu na szyję, całował ich po policzkach i oczach. Radość dławiła go, a on ją tłumił, nie chcąc miękkiego serca okazać — i wołał:

— Ha, skurczybyki! Nie powiem, żebym was miłował, ale się o was bałem! Bodaj was byli usiekli! Tak to służbę znacie, że na tyłach zostajcie? Wartoby was końmi po majdanie za nogi powlec! Pierwszy powiem księciu, by wam poenam (karę) obmyślił. Chodźmy teraz spać. Chwała Bogu i za to! Szczęście tych psubratów, że przed granatami uciekli, bo tylebym ich naszatkował, jak kapusty. Wolę się bić, niż patrzeć spokojnie, jak znajomi giną. Musimy dzisiaj podpić! Chwała Bogu i za to! Już myślałem, że requiem jutro zaśpiewamy. Ale żałuję, że spotkania nie było, bo mnie ręka okrutnie świerzbi, choć w nakrywkach dałem im bobu z cebulą.

LVIII.

Jednakże znowu wypadło zatoczyć nowe wały i ująć obozu, aby udaremnić wykonane już prace ziemne kozackie i uszczuplo-

nym siłom ułatwić obronę. Kopano tedy po szturmie całą noc. A i Kozacy nie próżnowali także. Poszedłszy cicho ciemnej nocy z wtorku na środę, rzucili naokoło obozu drugi wał, o wiele wyższy. Stąd na zorzy, ozwawszy się wszyscy głosem, poczęli zaraz strzelać i całe cztery dni i cztery noce strzelali. Czyniono sobie wzajem wiele szkód, albowiem z obu stron najlepsi strzelcy szli w zawody.

Kiedy niekiedy zrywały się masy kozactwa i czerni do szturmu, ale nie dochodziły do wałów, tylko strzelanina stawała się coraz gorętszą. Nieprzyjaciel, mając potężne siły, zmieniał walcząc oddziały, prowadząc jedne na spoczynek, drugie do boju. Ale w obozie nie było żołnierza do zastępstwa, bo wciąż ci sami ludzie musieli strzelać, zrywać się co chwila do obrony pod groźbą szturmów, grzebać zabitych, kopać studnie i podsypywać wyżej wały, aby lepszą dawały zasłonę. Sypiano a raczej drzemano u wałów, wśród ognia i kul lecących tak gęsto, że każdego ranka można je było zmiatać bezpiecznie z majdanu. Przez cztery dni nikt nie zrzucił z siebie odzieży, która mokła na deszczu, schła na słońcu, paliła w dzień, ziębiła w nocy — przez cztery dni nikt nie miał w ustach nic ciepłego. Pito gorzałkę, domieszywając do niej prochu dla większej gęstości; gryziono suchary i rwano zębami wyschłe wędzone mięsiwo, a wszystko wśród dymu, wystrzałów, świstu kul i huku armat.

I "nic to było wziąć po łbie, albo po boku." Żołnierz obwiązywał brudną szmatą krwawy łeb i bił się dalej. Dziwni to byli ludzie: w podartych koletach i zardzewiałych zbrojach, z potrzaskanemi rusznicami w ręku, z czerwonemi od bezsenności oczyma, a wiecznie czujni, zawsze ochoczy, dzień czy noc, deszcz czy pogoda, zawsze gotowi do boju.

Żołnierz rozkochał się w swym wodzu, w niebezpieczeństwach, w szturmach, w ranach i śmierci. Jakaś egzaltacya bohaterska ogarnęła dusze, serca stały się harde, umysły "zatwardziły się." Okropność stała się dla nich rozkoszą. Rozmaite chorągwie prześcigały się wzajem w służbie, w wytrwałości na głód, bezsenność, pracę, w męstwie i zaciekłości. Przyszło do tego, że trudno było żołnierzy utrzymać na wałach, bo nie poprzestając na obronie darli się do nieprzyjaciela, jak rozwścieczeni z głodu wilcy do owczarni. We wszystkich pułkach panowała jakaś dzika wesołość. Ktoby wspomniał o poddaniu, rozerwanoby go w mgnieniu oka na sztuki. "Tu umierać chcemy!" — powtarzały wszystkie usta.

Każdy rozkaz wodza spełniano z błyskawiczną szybkością. Raz zdarzyło się, iż książę przy objeździe wieczornym wałów, dosłyszawszy, że ogień chorągwi kwarcianej imienia Leszczyńskich słabnie, przyjechał przed żołnierzy i spytał:

— A czemu to nie strzelacie?

— Prochy nam wyszły; posłaliśmy na zamek po nowe.

— Tam macie bliżej! — rzekł książę, ukazując szańce nieprzyjaciela.

Zaledwie skończył a cała chorągiew skoczyła z wałów, rzuciła się biegiem ku nieprzyjacielowi i wpadła, jak orkan, na szańce. Wybito Kozaków ośnikami, drągami, kolbami muszkietów, zagwożdżono cztery działa i po upływie pół godziny, żołnierze zdziesiątkowani, ale zwycięscy, wrócili ze znacznym zapasem prochu w beczułkach i rogach myśliwskich.

Dzień upływał za dniem. Aprosze kozackie coraz ciaśniejszym pierścieniem obejmowały okop i wpierały się weń, jak kliny w drzewo. Strzelano już z tak bliska, że nie licząc szturmów, dziesięciu ludzi z pod każdej chorągwi padało dziennie; księża nie mogli dochodzić z Sakramentami. Oblężeni zasłaniali się wozami, namiotami, skórami, rozwieszoną odzieżą; w nocy chowano zabitych, gdzie który legł, ale żywi bili się tem zacięciej na mogiłach wczorajszych towarzyszów. Chmielnicki szafował krwią swych ludzi bez miary, ale każdy szturm nowe tylko, coraz większe przynosił mu straty. Sam on był zdumiony oporem; liczył jeno na to, że czas zwątli serca i siły oblężonych — jakoż czas płynął, ale oni coraz większą okazywali pogardę śmierci.

Wodzowie dawali przykład żołnierzom. Książę Jeremi sypiał na gołej ziemi u wału; pił gorzałkę i jadł wędzone końskie mięso, cierpiąc trudy i zmiany pogody "nad pański swój stan." Chorąży koronny Koniecpolski i starosta krasnostawski osobiście wiedli pułki na wycieczki; w czasie szturmów stawali bez zbroi w najgęstszym gradzie kul. Nawet ci wodze, którym jak Ostrorogowi brakło wojennego doświadczenia i na których żołnierz nauczył się patrzeć bez ufności, teraz pod ręką Jeremiego zdawali się w innych zmieniać ludzi. Stary Firlej i Lanckoroński sypiali również u wałów, a pan Przyjemski w dzień ustawiał działa, w nocy rył pod ziemią jak kret, kopiąc pod kozackiemi minami kontrminy, wysadzając aprosze, lub otwierając drogi podziemne, któremi żołnierze dostawali się jak duchy śmierci między uśpione kozactwo.

Nakoniec Chmielnicki postanowił spróbować układów, mając tę myśl uboczną, że przez ten czas podstępem będzie mógł czegoś dokonać. Pod wieczór 24 lipca poczęli Kozacy wołać z szańców na żołnierzy, aby zaprzestali strzelać. Wysłany Zaporożec oznajmił, iż hetman życzy sobie widzieć starego Zaćwilichowskiego. Po krótkiej naradzie regimentarze zgodzili się na propozycyę i starzec wyjechał z okopu.

Zdala widziało rycerstwo, jak mu czapkowano w szańcach kozackich, gdyż Zaćwilichowski przez krótki czas swego komisarstwa, zdołał sobie zjednać szacunek dzikiego Zaporoża — i sam Chmielnicki go szanował. Strzelanina wtedy ustała. Kozacy aproszami zbliżali się do samego wału: rycerstwo schodziło ku nim. Obie strony miały się na ostróżności, ale nie było nic nieprzyjaznego w tych spotkaniach. Szlachta wyżej ceniła zawsze Kozaków od pospolitej czerni, a teraz, ceniąc ich męstwo i uporność w boju, rozmawiała z nimi na równej stopie, jak kawalerowie z kawalerami: Kozacy z podziwem patrzali zbliska na to nie dostępne lwie gniazdo, które wstrzymało całą ich i chanową potęgę. Więc poczęli się zbliżać, gwarzyć a narzekać, że tyle krwi chrześciańskiej się leje; pod koniec częstowano się tabaką i gorzałką.

— Ej, panowie łycari! — mówili starzy zaporożcy — żeby wy tak zawsze stawali, nie byłoby Żółtych Wód, i Korsunia, i Piławiec. Czorty wy chyba, nie ludzie. Takich my jeszcze na świecie nie widzieli.

— Przyjdźcie jutro i pojutrze, zawsze nas takich znajdziecie.

— No, tak i przyjdziemy, a tymczasem sława Bohu za oddech. Siła się krwi chrześciańskiej leje. Ale i tak was głód zmoże.

— Prędzej przyjdzie król, niż głód: dopierośmy gęby obtarli po smacznej strawie.

— A zbraknie nam wiwendy, to w waszych taborach poszukamy — mówił, biorąc się w boki, Zagłoba.

— Daj Bóg, żeby batko Zaćwilichowski wskórał co u naszego hetmana, bo jak nie wskóra, to wieczorem do szturmu pójdziemy.

— Nam też już tęskno.

— Chan wam obiecał, że wszyscy będziecie "kęsim."

— A nasz książę obiecał chanowi, że go za brodę do ogona swemu koniowi przywiąże.

— Czarownik on, ale nie zderżyt.

— Lepiejby wy z naszym kniaziem na pogan poszli, niż przeciw zwierzchności rękę podnosili.

— Z waszym kniaziem... Hm! dobrzeby było.

— A to czemu się buntujecie. Przyjdzie król, bójcie się króla. Kniaź Jarema także był wam jak ojciec...

— Taki on ojciec, jak śmierć matka. Dżuma tylu dobrych mołojców nie wybiła.

— Gorszy on będzie: jeszcze wy go nie poznali.

— My i nie chcemy go znać. Starzy u nas mówią, że który Kozak jego na oczy dojrzy, temu już śmierć pisana.

— Będzie tak i z Chmielnickim.

— Boh znaje szczo bude. To pewno, że im dwom nie żyć na świecie, na białym. Nasz bat'ko też mówi, że gdyby wy jemu tylko Jaremę wydali, toby was zdrowych puścił i królowi by się z nami wszystkimi pokłonił.

Tu żołnierze poczęli sapać, marszczyć brwi i zgrzytać.

— Zamilczeć! bo się do szabel weźmiem.

— Serdyty Lachy! — mówili Kozacy — ale będzie wam "kęsim."

I tak oni rozmawiali, czasem przyjaźni, a czasem z groźbami, które mimo ich woli odzywały się jak grzmoty. Po południu przyjechał z powrotem do obozu pan Zaćwilichowski. Układów nie było, a zawieszenie broni nie doszło do skutku. Stawiał Chmielnicki powtórne żądania, by wydano mu księcia i chorążego Koniecpolskiego. W końcu wyliczył krzywdy wojsk zaporoskich i jął namawiać pana Zaćwilichowskiego, by z nim na zawsze pozostał Na to spłonął stary rycerz, zerwał się i odjechał. Wieczorem nastąpił szturm krwawo odparty. Cały obóz przez dwie godziny był w ogniu. Kozaków nie tylko odrzucono od wałów, ale piechoty zdobyły pierwsze szańce, porozkopywały strzelnice, zakrywki i spaliły znowu czternaście hulaj-grodów. Chmielnicki zaprzysiągł tej nocy chanowi, że nie odstąpi, dopóki jeden żywy człowiek pozostanie w okopie.

Nazajutrz o zorzy nowa strzelanina, wkopywanie się w wał— całodzienna bitwa na cepy, kosy, ośniki, szable, kamienie i bryły ziemi. Przyjazne uczucia wczorajsze i ubolewanie nad przelewaniem krwi chrześciańskiej ustąpiły większej jeszcze zaciętości Deszcz popadywał od rana. Tegoż dnia wydano żołnierzom pół racyi, na co mruczał mocno pan Zagłoba, ale wogóle puste brzuchy zdwoiły jeszcze zaciekłość rycerstwa. Przysięgano sobie wza-

jem paść jeden za drugim, a nie poddać się do ostatniego tchnienia. Wieczór przyniósł nowe szturmy Kozaków, poprzebieranych za Turków, krócej wszelako trwające. Nastała noc pełna hałasów i krzyków, "wielce swarliwa." Strzelanie nie ustawało ani na chwilę. Wyzywano się wzajemnie; bito się kupami i pojedyńczo. Wychodził na harc pan Longinus, lecz nikt przeciw niemu nie chciał stanąć — strzelano tylko do niego zdaleka. Natomiast wielką sławą okrył się pan Skrzetuski i pan Wołodyjowski, który w pojedyńczem spotkaniu usiekł sławnego zagończyka Dudara.

Wychodził nakoniec i pan Zagłoba, ale tylko na szermierkę językową. "Po zabiciu Burłaja (mówił) nie mogę się z lada chmyzem pospolitować!" Natomiast w walce na języki nie znalazł równego sobie między kozactwem — i do desperacyi ich przyprowadzał, gdy okryty dobrze darniną, wołał, jakoby z pod ziemi, stentorowym głosem:

— Siedźcie tu chamy pod Zbarażem, a tam wojsko litewskie idzie w dół Dnieprem. Żonom waszym, mołodyciom się pokłonią. Na przyszłą wiosnę siła małych boćwinków po chałupach znajdziecie!

Była to prawda: wojsko litewskie szło istotnie pod Radziwiłłem w dół Dniepru, paląc i niszcząc, ziemię i wodę zostawując. Wiedzieli o tem Kozacy, więc wpadali we wściekłość i w odpowiedzi posyłali panu Zagłobie grad kul, jakby kto gruszki sypał.. Ale pan Zagłoba pilnował dobrze głowy za darniną i krzyczał znowu:

— Chybiliście, pieskie dusze, a jam Burłaja nie chybił. Sam tu! Na pojedynkę ze mną! Znacie mnie! Na tu, na! chamy, strzelacie, póki macie folgę, bo na zimę będziecie Tatarzęta w Krymie iskać, albo groble na Dnieprze sypać. Bywajcie! bywajcie! Grosz za głowę waszego Chmiela! Dajmu który odemnie w pysk — od Zagłoby! słyszycie? A co, gnojki? mało to już waszego ścierwa na polu leży? Zdechłymi psami was czuć! Kazała wam się zaraza kłaniać! A do wideł, do pługów, łajdaki, do bumbasów! Wiśnie i sól pod wodę wozić, nie nam tu wstręty czynić.

Natrząsali się też Kozacy z "panów, których trzech na jeden suchar wypada;" pytali, czemu to czynszu i dziesięciny nie każą oni panowie poddanym wypłacać, ale przecie Zagłoba bywał w sporach górą. I tak brzmiały te rozmowy, przerywane przekleństwami i dzikimi wybuchami śmiechu, po całych nocach, wśród strzałów i mniejszych lub większych walk. Wyjeżdżał potem pan Janicki układać się z chanem, który mu znowu powtarzał, że wszyscy będą

"kęsim," aż zniecierpliwiony poseł powiedział: — "Już nam to dawno obiecujecie, a nic nam dotąd! Kto po nasze głowy przyjdzie, ten i swoją przyniesie!"Wymagał chan, żeby książę Jeremi zjechał się z jego wezyrem w polu, ale była to prosta zdrada, którą wykryto — i układy ostatecznie zostały zerwane. Przez cały ich czas zresztą nie było przestanku w walce. Wieczorem szturmy, w dzień strzelania z armat, z organków, z samopałów i piszczeli — wypadanie z wałów, szarpanina, mieszanie się chorągwi, szalone ataki jazdy, klęski i rozlew krwi coraz większy.

Żołnierzy podtrzymywała jakaż dzika żądza walki, krwi i niebezpieczeństw. Szli do bitwy ze śpiewaniem, jak na wesele. Tak się już zresztą wzwyczaili do huku i hałasów, że te oddziały, które komenderowano do spoczynku, spały wśród ognia i padających gęsto kul nieprzebudzonym snem. Żywności było coraz mniej, bo regimentarze nie opatrzyli dostatecznie obozu przed przybyciem księcia. Nastała wielka drożyzna, ale kto miał pieniądze i kupował gorzałkę lub chleb, ten dzielił się wesoło z innymi. Wszyscy zaś nie dbali o jutro, wiedząc, że jedna z dwóch rzeczy ich nie minie: odsiecz ze strony królewskiej, albo śmierć. Na obie byli równie gotowi, a najbardziej gotowi na bitwę. Niesłychanym w historyi przykładem, dziesiątki potykały się przeciw tysiącom z takim uporem, z taką zaciekłością, że każdy szturm by nową klęską kozacką. Prócz tego, nie było dnia, żeby po kilkakroć nie wypadali z obozu i nie napadali nieprzyjaciela w jego własnych szańcach. Wieczorami, gdy Chmielnicki myślał, że już znużenie powinno było obalić najwytrwalszych, i cicho gotował szturmy, naraz wesołe śpiewy dolatywały jego uszu. Wtedy uderzał się dłonią po udach z wielkiego zdziwienia i naprawdę myślał, że Jeremi jest chyba czarownikiem możniejszym od tych wszystkich, którzy byl w kozackim taborze. Więc wściekał się i zrywał do boju, i wylewał morze krwi, bo i to spostrzegł, że jego gwiazda przy gwieździe straszliwego kniazia blednąć zaczyna.

W obozie kozackim śpiewano pieśni o Jaremie, lub cichym głosem opowiadano sobie o nim rzeczy, od których włosy wstawały na głowie mołojcom. Mówiono, że czasami zjawia się nocą na okopie i rośnie w oczach, aż głową wyżej wież zbaraskich sięga, że oczy ma wtedy, jakby dwa miesiące, a miecz w jego ręku jest jako ta gwiazda złowroga, którą Bóg czasem ludziom na pohybel na niego wysyła. Mówiono także, że gdy krzyknie, polegli w boju rycerze wstają z

chrzęstem zbroi i szykują się razem z żywymi w szeregi. Jerem[1] był na wszystkich ustach: śpiewali o nim i didy-lirnicy, rozmawiali i starzy Zaporożcy i czerń ciemna, i Tatarzy A w tych rozmowach, w tej nienawiści, w tym zabobonnym przestrachu tkwiła jakby jakaś dzika miłość, którą ten lud stepowy ukochał swego krwawego niszczyciela. Tak jest! Chmielnicki bladł przy nim nietylko w oczach chana i Tatarów, ale nawet w oczach własnego ludu, i widział, że musi Zbaraż zdobyć, albo urok jego rozwieje się, jak pomroka przed zorzą poranną, musi zdeptać tego lwa, albo sam zginie.

Zaś lew nietylko się bronił, ale każdego dnia sam wypadał, coraz straszliwszy, z komyszy Nie pomagały podstępy, zdrady, ani otwarta przemoc. Tymczasem czerń Kozacy poczynali szemrać. I im ciężko było siedzieć w dymie, ogniu, w gradzie kul, w trupim zapachu, na deszczu, upałach i w obliczu śmierci. Zresztą nie trudów bali się dzielni mołojcy, nie niewywczasów, nie szturmów i ognia i krwi, i śmierci — oni się bali "Jaremy."

LIX

Wielu prostych rycerzy okryło się nieśmiertelną sławą w tym pamiętnym okopie zbaraskim, lecz lutnia będzie sławiła w pierwszym rzędzie pana Longina Podbipiętę, dla jego tak wielkich przewag, że chyba jego skromność mogła wejść z nimi w paragon. Noc to była posępna, ciemna i wilgotna; żołnierz, znużony czuwaniem u wałów, drzemał oparty na broni. Po nowych dziesięciu dniach strzelaniny i szturmów, pierwszy to raz nastała cisza i spokój. Z bliskich, bo zaledwie o trzydzieści kroków stojących szańców kozackich, nie słychać było wywoływań, klątw i zwykłych hałasów. Zdawało się, że nieprzyjaciel, chcąc znużyć, sam się znużył nareszcie. Gdzieniegdzie tylko błyszczało tam mdłe światełko ognia, ukrywanego pod darniną; z jednego miejsca dochodził słodki przyciszony głos liry, na której grał jakiś Kozak, daleko w koszu tatarskim konie rżały — na wałach rozlegały się niekiedy głosy straży.

Chorągwie pancerne książęce były tej nocy na pieszej służbie w obozie, więc pan Skrzetuski, pan Podbipięta, mały rycerz i pan Zagłoba, na okopie szepcząc z sobą zcicha, w przerwach rozmowy

wsłuchiwali się w szum deszczu, padającego w fosę. Skrzetuski mówił:

Dziwny mi jest ten spokój. Uszy tak przywykły do huku i hałasów, że cisza w nich dzwoni. Aby się tylko jaka zdrada in hoc silentio (wśród tego milczenia) nie ukrywała.

Od czasu jak jestem na pół racyi, wszystko mi jedno mruczał posępnie Zagłoba. Trzech rzeczy potrzebuje moja odwaga, a to: jeść dobrze, pić dobrze i wyspać się Najlepszy rzemień nie smarowany zeschnie i popęka. Cóż dopiero, jeżeli w dodatku moknie, jak konopie w wodzie? Deszcz nas moczy, a Kozacy międlą, jakże się z nią paździerze nie mają sypać. Miłe kondycye, bułka już florena kosztuje, a kwaterka gorzałki pięć. Tej śmierdzącej wody pies by w gębę nie chciał wziąć, bo już i studnie trupem nasiąknęły, a mnie się tak pić chce, jak i moim butom, które tak pyski pootwierały, jak ryby.

— Ale waścine buty i wodę piją, nie przebredzając — rzekł pan Wołodyjowski.

— Milczałbyś, panie Michale! — Nie większyś od sikory, to się ziarnkiem prosa pożywisz, a z naparstka napijesz. Ale ja Bogu dziękuję, że nie jestem taki misterny i że mnie kura z piasku nie wygrzebała nogą, ale niewiasta urodziła, dlatego potrzebuję jeść i pić, jako człowiek, nie jak chrabąszcz, a żem od południa nic prócz śliny w gębie nie miał, dlatego mi i twoje żarty nie w smak.

Tu pan Zagłoba począł sapać gniewnie, a pan Michał wziął się za bok i tak mówił:

— Mam ja tu na udzie manierzynę, com ją dziś Kozakowi wydarł, ale kiedy mnie kura z piasku wygrzebała, to już myślę że i gorzałka tak nikczemnej persony nie będzie waści smaczna. W twoje ręce, Janie! — rzekł, zwracając się do Skrzetuskiego.

— Daj, bo mi z mno! — rzekł Skrzetuski.

— Pij do pana Longina.

— Przechera z ciebie, panie Michale — rzekł Zagłoba, — aleś chłop setny i to masz do siebie, że sobie odejmiesz, a drugiemu oddasz. Niechby się święciły te kury, coby takich żołnierzów, jak ty, z piasku wygrzebywały, ale ich na świecie pono nie masz i nie o tobie myślałem.

— To weź waćpan od pana Podbipięty, nie chcę cię krzywdzić — rzekł pan Michał.

— Co waćpan robisz, zostaw-że i mnie! — wołał z przestrachem

Zagłoba, spoglądając na pijącego Litwina, — czego tak głowę zadzierasz? Bodaj ci tak już została! Za długie masz kiszki, niełatwo je nalejesz. Leje, jak w spróchniałą sosnę. Żeby cię usiekli!

— Ledwiem co przechylił — rzekł pan Longinus, oddając manierkę.

Pan Zagłoba przechylił lepiej i wypił do reszty; poczem parsknął i tak mówił:

— Cała ta pociecha, że jeżeli się skończy nasza mizerya, a Bóg pozwoli zdrowo wynieść głowę z tych terminów, to sobie we wszystkiem wynagrodzimy. Już-ci nam jakoweś chleby obmyślą. Ksiądz Żabkowski umie dobrze zjeść, ale go w kozi róg zapędzę.

— A co to za verba veritatis (słowa prawdy) usłyszeliście dziś z księdzem Żabkowskim od Muchowieckiego? — pytał pan Michał.

— Cicho! — rzekł Skrzetuski — ktoś tu się z majdanu zbliża.

Umilkli, wtem jakaś ciemna postać stanęła около nich i przyciszonym głosem spytała:

— A czuwacie?

— Czuwamy, mości książę! — rzekł, prostując się, Skrzetuski.

— Pilno dawać baczność. Złe wróży ten spokój.

I książę przeszedł dalej, patrząc, czy gdzie sen nie przemógł utrudzonych żołnierzy Pan Longinus ręce złożył.

— Co to za wódz! co to za wojownik!

— Mniej od nas spoczywa — rzekł Skrzetuski. — Tak całe wały sam co noc obchodzi, aż het, do drugiego stawu.

— Dajże mu Boże zdrowie!

— Amen.

Nastało milczenie. Wszyscy wpatrywali się wytężonemi oczyma w ciemność, ale nic nie było widać — szańce kozackie były spokojne. Ostatnie światła na nich pogasły.

— Możnaby ich zejść, jak susłów, we śnie, mruknął Wołodyjowski.

— Kto wie? — odrzek Skrzetuski.

— Sen mnie tak morzy — mówił Zagłoba, — że aż mi oczy pod wierzch głowy uciekają, a spać nie wolno. Ciekawym, kiedy będzie wolno? Czy strzelają, czy nie strzelają, ty stój pod bronią i kiwaj się od fatygi, jak Żyd na szabasie... Psia służba. Sam nie wiem, co mnie tak rozbiera, czy gorzałka, czy ranna irytacya za ów impet, któryśmy niesłusznie obaj z księdzem Żabkowskim wytrzymać musieli.

— Jakże to było? — pytał pan Longinus. — Zacząłeś waćpan mówić i nie skończyłeś.

— To teraz opowiem, może się jakoś ze snu wybijemy Poszliśmy rano z księdzem Żabkowskim na zamek w tej myśli, żeby to co do przegryzienia znaleźć. Chodzimy, chodzimy, zaglądamy wszędzie — niema nic; wracamy źli. Aż na podwórzu spotykamy mistrza kalwińskiego, który kapitana Szenberga na śmierć gotował, tego, co go wczoraj postrzelili pod chorągwią pana Firleja. Ja mu tedy mówię: "Będziesz się tu, szołdro, włóczył i dyzgusta Bogu czynił? jeszcze niebłogosławieństw na nas ściągniesz. A on, widać dufając w protękcyę pana bełskiego, rzecze: "Taka dobra nasza wiara, jak i wasza, albo lepsza!" Jak to powiedział, ażeśmy skamienieli ze zgrozy. Ale ja nic! Myślę sobie: jest ksiądz Żabkowski, niechże będzie dysputa. A mój ksiądz Żabkowski aż parska i zaraz argumentami zmacał go pod żebro, on zaś nic na tę pierwszą racyę nie odrzekł, bo jak się wziął toczyć, tak aż o ścianę się oparł. Wtem nadszedł książę z księdzem Muchowieckim i na nas! że to hałasy i swary wszczynamy, że to nie czas, nie miejsce i nie argument Zmyli nam głowy, jak żakom — a bodaj czy słusznie, bo utinam sim falsus vates (obym był fałszywym prorokiem), ale te ministry pana Firleja ściągną jeszcze na nas jakie nieszczęście....

— A ów-że kapitan Szenberg nie rewokował? — pytał pan Michał.

— Gdzie tam! umarł w bezecności, jak żył.

— Że też to ludzie wolą się zbawienia wyrzec, niż swego uporu — wetschnął pan Longinus.

— Bóg nas od przemocy i od czarów kozackich broni — mówił dalej Zagłoba — a oni Go jeszcze obrażają. Czy waściom wiadomo, że wczoraj z tego tam szańca kłębkami nici na majdan strzelano? Żołnierze powiadali, że zaraz w tem miejscu, gdzie kłębki padały, ziemia jakoby trądem się pokryła...

— Wiadoma rzecz, że przy Chmielnickim czarni za rękodajnych służą — rzekł, żegnając się, Litwin.

— Czarownice sam widziałem — dodał Skrzetuski — i powiem waszmościom...

Dalsze słowa przerwał pan Wołodyjowski, który ścisnął nagle ramię Skrzetuskiego i szepnął:

— Cicho-no!...

Poczem skoczył na sam brzeg okopu i słuchał pilnie.

— Nic nie słyszę — rzekł Zagłoba.

— Ts!... deszcz zagłusza! — odpowiedział Skrzetuski.

Pan Michał począł kiwać ręką, aby mu nie przeszkadzano i czas jakiś słuchał pilno, nakoniec zbliżył się do towarzyszów.

— Idą! — szepnął.

— Daj znać księciu! poszedł ku kwaterom Ostroroga — odszepnął Skrzetuski — my zaś pobieżemy ostrzedz żołnierzy.

I zaraz z miejsca puścili się wzdłuż okopu, zatrzymując się co chwila i szepcząc wszędy po drodze czuwającym żołnierzom:

— Idą! idą!. . . .

Słowa przeleciały, jakby cichą błyskawicą z ust do ust. Po kwadransie przyjechał książę już na koniu i wydał rozkazy oficerom. Ponieważ nieprzyjaciel chciał widocznie zaskoczyć obóz we śnie i nieczujności, więc książę polecił utrzymać go w błędzie. Żołnierze mieli się zachować jak najciszej i dopuścić szturmujących aż na same wały, poczem dopiero, gdy wystrzał z działa da znak, uderzyć na nich niespodzianie.

Żołnierz był w gotowości, więc tylko rury muszkietów pochyliły się bez szelestu i zapadło głuche milczenie. Skrzetuski, pan Longinus i pan Wołodyjowski dyszeli obok siebie, a i pan Zagłoba został z nimi, bo wiedział z doświadczenia, że najwięcej kul pada na środek majdanu — a na wale, przy takich trzech szablach, najbezpieczniej.

Usadowił się tylko trochę z tyłu rycerzy, aby pierwszy impet na niego nie przyszedł. Nieco z boku przyklął pan Podbipięta z zerwikapturem w ręku, a Wołodyjowski przycupnął tuż przy Skrzetuskim i szepnął mu w ucho:

— Idą napewno...

— Krok pod miarę.

— To nie czerń, ani Tatarzy.

— Piechota zaporoska.

— Albo janczary; oni dobrze maszerują. Z konia możnaby ich więcej naciąć!

— Dziś ciemno na jazdę.

— Słyszysz teraz?

— Ts! ts!...

Obóz zdawał się być pogrążony w najgłębszym śnie. Nigdzie żadnego ruchu, nigdzie światła — wszędzie najgłębsze milczenie, przerywane tylko szelestem drobnego, jakby sianego przez sito

dżdżu. Zwolna jednak w tym szeleście powstawał drugi, cichy, ale łatwiejszy do ułowienia uchem, bo miarowy i coraz bliższy, coraz wyraźniejszy; nakoniec, o kilkanaście kroków od fosy, zjawiła się jakaś wydłużona, zbita masa o tyle widoczna, o ile czarniejsza od ciemności — i zatrzymała się na miejscu.

Żołnierze utaili dech w piersiach, tylko mały rycerz szczypał w udo Skrzetuskiego, jakby chcąc mu w ten sposób swoje zadowolenie okazać.

Tymczasem napastnicy zbliżyli się do fosy i poczęli w nią spuszczać drabiny, następnie zleźli po nich sami i przechylili je ku wałowi.

Wał milczał ciągle, jakby na nim i za nim wszystko wymarło — i cisza nastała śmiertelna.

Tu i owdzie, mimo całej ostrożności wstępujących, szczeble zaczęły skrzypieć i trzeszczeć...

— Dadzą wam bobu! — myślał Zagłoba.

Wołodyjowski przestał szczypać Skrzetuskiego, a pan Longinus ścisnął rękojeść zerwikaptura i wytężył oczy, bo był najbliżej wału i spodziewał się pierwszy uderzyć.

Wtem trzy pary rąk zjawiły się na krawędzi i chwyciły się jej silnie, a za niemi poczęły się zwolna i ostróżnie podnosić szpice od misiurek... wyżej i wyżej...

— To Turcy! — pomyślał pan Longinus.

W tej chwili rozległ się straszliwy huk kilku tysięcy muszkietów; zrobiło się widno, jak w dzień. Nim światło zgasło, pan Longinus zamachnął się i ciął okropnie, aż powietrze zawyło pod ostrzem.

Trzy ciała wpadły w fosę, trzy głowy w misiurkach potoczyły się pod kolana klęczącego rycerza.

Wówczas, choć piekło zawrzało na ziemi, niebo otworzyło się przed panem Longinem, skrzydła urosły mu u ramion, chóry anielskie rozśpiewały mu się w piersi, był jakby w niebo wzięty, i walczył jak we śnie, i cięcia jego miecza były jakby modlitwą dziękczynną.

A wszyscy dawno zmarli Podbipiętowie, począwszy od przodka Stowejki, uradowali się w niebie — że taki był z Zerwikapturów - Podbipiętów żyjący ostatni.

Szturm ten, w którym ze strony nieprzyjaciela posiłkowe hufce Turków urumelskich, sylistryjskich i gwardya chanowa janczarów brały przeważny udział, krwawiej od innych był odparty i ściągnął straszną burzę na głowę Chmielnickiego. Zaręczał on bowiem

poprzednio, że Polacy mniej zaciekle z Turkami będą walczyli, i byle mu tych rot pozwolono, obóz zdobędzie. Musiał więc teraz łagodzić chana i rozwścieczonych murzów, oraz podarkami ich zniewalać. Chanowi pozwolił dziesięć tysięcy talarów, zaś Tuhaj-bejowi, Korz Adze, Subagaziemu, Nuradynowi i Gałdze po dwa. Tymczasem w obozie czeladź wyciągała trupy z fosy, w czem nie przeszkadzano jej strzelaniem z szańców. Żołnierze spoczywali aż do rana, bo było już pewne, że szturm się nie powtórzy. Spali tedy wszyscy snem nieprzebudzonym, prócz chorągwi strażowych i prócz pana Longina Podbipięty, który noc całą krzyżem na mieczu leżał, dziękując Bogu, iż mu pozwolił ślub spełnić i taką wielką chwałą się okryć, że imię jego przechodziło z ust do ust w obozie i w mieście. Nazajutrz wezwał go do siebie książę-wojewoda i chwalił wielce, a żołnierze przychodzili tłumami cały dzień winszować i oglądać trzy głowy, które czeladź przyniosła mu przed namiot, a które już czerniały na powietrzu. Było tedy podziwu i zazdrości niemało, a niektórzy wierzyć oczom nie chcieli, bo tak były równo ścięte razem ze stalowemi czepcami od misiurek, jakby kto nożycami odkroił.

— Straszliwy z waści sartor (krawiec) — mówiła szlachta. — Wiedzieliśmy o tobie, żeś dobry kawaler, ale takiego ciosu mogliby i starożytni pozazdrościć, bo i najgrzeczniejszy kat lepiej nie potrafi.

— Wiatr tak czapek nie zdejmie, jako te głowy są zdjęte! — mówili inni.

I wszyscy ściskali dłonie pana Longina, a on stał ze spuszczonemi oczyma, promienny, słodki — zawstydzony, jak panna przed ślubem, i mówił, jakby się tłómacząc:

— Ustawili się dobrze...

Próbowano następnie i miecza, ale że to był krzyżacki, dwuręczny koncerz, nikt nie mógł nim swobodnie poruszać, nie wyjmując nawet księdza Żabkowskiego, choć on podkowę jak trzcinę przełamywał.

Koło namiotu robiło się coraz gwarniej, a pan Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski czynili honory przybywającym, częstując ich opowiadaniem, bo nie było czem innem, jako że ostatnich już prawie sucharów dogryzano w obozie, a mięsa innego prócz wędzonej koniny, dawno nie stawało. Ale przecie duch starczył za jadło i napitek. Pod koniec, gdy inni zaczęli się już rozchodzić, nadszedł

pan Marek Sobieski, starosta krasnostawski, ze swoim porucznikiem Stępowskim. Pan Longinus wybiegł na jego spotkanie, on zaś powitał go wdzięcznie i rzekł:

— To u waści dziś święto?

— Pewnie, że święto — odparł Zagłoba — bo nasz przyjaciel ślub spełnił.

— Chwała Panu Bogu! — odparł starosta — to już niezadługo braciszku, powitamy was kosmatą ręką. A macie co upatrzonego?

Pan Podbipięta zmieszał się nadzwyczajnie i zaczerwienił aż do uszu, a starosta mówił dalej:

— Po konfuzyi miarkuję, że tak jest. Święty to wasz obowiązek pamiętać, aby taki ród nie zaginął. Daj Boże, żeby się na kamieniu rodzili podobni żołnierze, jak waszmościowie we czterech jesteście.

To rzekłszy, począł ściskać rękę pana Longina, Skrzetuskiego, Zagłoby i małego rycerza, a oni uradowali się w sercach, że z takich ust pochwałę słyszą, bo pan starosta krasnostawski był zwierciadłem męstwa, honoru i wszystkich cnót rycerskich. Był to wcielony Mars; zlały się na niego wszystkie dary Boże w obfitość, gdyż nadzwyczajną pięknością nawet młodszego brata Jana, późniejszego króla, przewyższał, fortuną i imieniem najpierwszym wyrównywał, a jego zdolności wojenne sam wielki Jeremi pod niebiosa wynosił. Nadzwyczajna też byłaby to gwiazda na niebie Rzeczypospolitej, lecz ze zrządzenia Bożego blask jej wziął w siebie młodszy Jan, a ona zgasła przedwcześnie w dniu klęski.

Atoli rycerze nasi uradowali się wielce pochwałą bohatera, ten zaś wcale na niej nie poprzestał i tak dalej mówił:

— Siła ja o waszmościach od samego księcia wojewody słyszałem, który nad innych was miłuje. Nie dziwię się też, że mu służycie, nie oglądając się na promocye, któreby w królewskich chorągwiach łatwiej przyjść mogły.

Na to odrzekł Skrzetuski:

— Wszyscy my w królewskiej właśnie, usarskiej chorągwi jesteśmy pod znak zapisani, z wyjątkiem pana Zagłoby, który, jako wolentarz, z wrodzonej rezolucyi staje. A że pod księciem wojewodą służymy, to w pierwszym rzędzie z miłości dla jego osoby, a powtóre chcieliśmy wojny jak najwięcej zażywać.

— Jeżeliście taką mieli chęć, to słusznie czynicie. Pewnieby pan Podbipięta pod niczyją chorągwią tak łatwo swoich głów nie

znalazł — odrzekł starosta. — Ale co do wojny, to w tych czasach wszyscy jej mamy do syta.

— Więcej niźli czego innego — odparł Zagłoba. — Przychodzili tu do nas od rana z pochwałami, ale żeby nas kto na przekąskę i łyk gorzałki poprosił, tenby nas najwdzięczniej uczęstował.

To powiedziawszy, pan Zagłoba pilno patrzał w oczy staroście krasnostawskiemu i mrugał niespokojnie. Starosta zaś uśmiechną się i rzekł:

— Od wczorajszego południa nic w gębę nie wziąłem, ale łyk gorzałki może się w jakim sepeciku znajdzie. Służę waszmościom.

Lecz Skrzetuski, pan Longinus i mały rycerz poczęli się opierać i gromić pana Zagłobę, który się wykręcał jak mógł i tłómaczył jak umiał.

— Nie przymawiałem się — mówił — bo ambicya moja w tem, że wolę swoje oddać, byle cudzego nie ruszyć, ale gdy tak zacna persona prosi, toż grubianitas (niegrzecznie) byłoby odmawiać.

— Już też pójdźcie — mówił starosta. — I mnie miło w dobrej kompanii posiedzieć, a póki nie strzelają, mamy czas. Na jadło was nie proszę, bo i o koninę już trudno, a co nam konia na majdanie ubiją, to sto rąk po niego się wyciąga, wszelako gorzałki jest ze dwie flasze, których dla siebie samego pewnie nie będę chował.

Tamci jeszcze się opierali i nie chcieli, ale gdy bardzo nastawał, poszli, a przodem pobiegł pan Stępowsk i tak się uwinął, że kilka sucharów i kilka kawałów koniny znalazło się do przegryzienia po wódce Pan Zagłoba zaraz nabrał lepszej myśli i mówił:

— Da Bóg, że jak król Jegomość nas wyzwoli z tego oblężenia, to się zaraz pospolitemu ruszeniu do wozów dobierzemy. Oj, siła on specyałów zawsze z sobą wożą i brzucha każdy lepiej strzeże, niż Rzeczypospolitej. Wolę z nimi jeść niż wojować, ale że to pod okiem królewskiem, to może będą nieźle stawali.

Starosta spoważniał.

— Jakośmy sobie zaprzysięgli — rzekł — że jeden na drugim padnie, a nie oddamy się, tak się i stanie. Musimy być na to gotowi, że coraz cięższe czasy przyjdą. Żywności już prawie niema, a co gorsza to i prochy się kończą. Innym jabym tego nie mówił, ale waszmościom można. Niezadługo jeno zaciekłość w sercach i szable w ręku nam pozostaną — i gotowość na śmierć, więcej nic. Daj Boże króla jak najprędzej — bo to ostatnia nadzieja. Wojenny to pan! Pewnieby fatygi, i zdrowia, i gardła nie żałował, byle nas

wyzwolić — ale za małe ma siły musi czekać, a waszmościowie wiecie, jak pospolite ruszenie powoli się ściąga. I zresztą skąd król Jegomość ma wiedzieć, w jakich my tu kondycyach się bronimy i że już okruchów dojadamy?

— My już siebie ofiarowali — rzekł Skrzetuski.

— A żeby tak dać znać? — pytał Zagłoba.

— Żeby się znalazł kto taki cnotliwy — rzekł starosta — ktoby się przekraść podjął, tenby nieśmiertelną sławę za życia pozyskał, tenby był zbawcą całego wojska i od ojczyzny klęskę by odwrócił. Choćby i pospolite ruszenie jeszcze w całości nie stanęło, to może sama blizkość króla zdołałaby bunt rozproszyć. Ale kto pójdzie? kto się podejmie, gdy Chmielnicki tak poobsadzał wszystkie drogi i wyjścia, że mysz się nie przeciśnie z okopu? Jawna i oczywista to śmierć taka impreza.

— A od czego fortele? — rzekł Zagłoba — jeden mi do głowy przychodzi.

— Jaki? jaki? — pytał starosta.

— A owo codzień bierzemy po garści jeńców. Żeby tak którego przekupić? niechby udał, że od nas uciekł, a potem ruszył do króla.

— Muszę o tem z księciem pomówić — rzekł starosta.

Pan Longinus zamyślił się głęboko, aż czoło pokryło mu się brózdami, i cały czas siedział milczący — nagle podniósł głowę, i rzekł ze zwykłą sobie słodyczą:

— Ja się podejmę przekraść przez Kozaków.

Rycerze, usłyszawszy te słowa, porwali się zdumieni z miejsc, pan Zagłoba usta otworzył, Wołodyjowski począł ruszać wąsikami raz po razu, Skrzetuski przybladł, a starosta krasnostawski uderzył po aksamicie i zakrzyknął:

— Waćpan podjąłbyś się tego dokonać?

— Czyś waść rozważył, co mówisz? — rzekł Skrzetuski.

— Dawno rozważyłem — rzekł Litwin — bo już nie od dziś między rycerstwem mówią, że trzeba dać znać królowi Jegomości o naszem położeniu. A ja, słysząc to, myślałem sobie w duchu: niechby mnie Bóg najwyższy pozwolił ślub mój spełnić, zarazbym poszedł. Ja lichy człek, co ja znaczę? co mnie za szkoda, chociaż usieką po drodze?

— Ale usieką bez pochyby! — zawołał Zagłoba. — Słyszałeś waść co pan starosta mówił, że to śmierć oczywista?

— Tak i co z tego, brateńku? — rzekł pan Longinus. — Jak Bóg zechce, to przeprowadzi, a nie, to w niebie nagrodzi.

— Ale pierwej cię pochwycą, mękami zmorzą i śmierć okrutną zadadzą. Człeku, czyś rozum stracił? — mówił Zagłoba.

— A taki pójdę, brateńku — odparł ze słodyczą Litwin.

— Ptakby nie przeleciał, bo z łukuby go ustrzelili. Okopali nas naokoło, jako jaźwca w jamie.

— A taki pójdę! — powtórzył Litwin. — Ja Bogu wdzięczność winien, że mnie ślub spełnić pozwolił.

— No, widzicie go! patrzcie na niego! — wołał zdesperowany Zagłoba. — To lepiej każ sobie odrazu głowę uciąć i z armaty na tabór wystrzelić, bo w ten tylko sposób mógłbyś się między nimi przecisnąć.

— Już pozwólcie, dobrodzieje! — rzekł Litwin, składając ręce.

— O, nie! nie pójdziesz sam, bo i ja pójdę z tobą — rzekł Skrzetuski.

— I ja z wami! — dodał Wołodyjowski, uderzając się po szabelce.

— A niechże was kule biją! — zawołał, porwawszy się za głowę, Zagłoba — niechże was kule biją za wasze "i ja, i ja!" z waszą determinacyą Mało im jeszcze krwi, mało zaguby, mało kul! Niedość im tego, co się tu dzieje, chcą pewniej szyje pokręcić! Idźcieże do kaduka i dajcie mnie pokój. Bodaj was usiekli...

To rzekłszy, począł się kręcić po namiocie, jak błędny.

— Bóg mnie karze — wołał — żem się z wichrami wdawał, zamiast żyć w zacnej kompanii statecznych ludzi Dobrze mi tak!

Przez chwilę chodził jeszcze po namiocie gorączkowym krokiem, nakoniec zatrzymał się przed Skrzetusk m, założył ręce w tył i patrząc mu w oczy, począł sapać groźnie.

— Com ja waćpanom takiego uczynił, że mnie prześladujecie?

— Uchowajże nas Boże! — odrzekł rycerz. — Jak to?

— Bo że pan Podbipięta takowe rzeczy wymyśla, nie dziwię się. Zawsze miał dowcip w pięści, a od czasu, jak ściął największych trzech kpów między Turkami, sam czwartym został...

— Słuchać hadko! — przerwał Litwin.

— I jemu się nie dziwię — mówił dalej Zagłoba, wskazując Wołodyjowskiego. — On Kozakowi na cholewkę wskoczy, albo mu się hajdawarów, jak rzep psiego ogona uczepi i najprędzej z nas wszystkich się przedostanie. Ich obudwóch Duch Święty nie oświecił — ale że waćpan, zamiast ich od szaleństwa powściągnąć,

jeszcze im bodźca dodajesz, że sam idziesz, że wszystkich nas czterech na pewną śmierć i męki chcesz wydać — to już... ostatnia rzecz! Tfu, do licha, nie spodziewałem się tego po oficerze, którego sam książę za statecznego kawalera uważał.

— Jakto? czterech? — rzekł zdziwiony Skrzetuski. — Chciałżebyś i waćpan?...

— Tak jest!—krzyczał, bijąc się pięściami po piersi, Zagłoba — pójdę i ja! Jeżeli który z was się ruszy, albo wszyscy w kupie, pójdę i ja. Niech moja krew spadnie na wasze głowy. Będę miał na drugi raz naukę, z kim się wdawać.

— A bodajże waści! — rzekł Skrzetuski.

Trzej rycerze poczęli go brać w ramiona, ale on naprawdę się gniewał, i sapał; i odpychał ich łokciami, mówiąc:

— Idźcie do kaduka! nie potrzeba mi waszych judaszowskich pocałunków

Wten na wałach ozwały się strzały armatnie i muszkietowe. Zagłoba zatrzymał się i rzekł:

— Macie! macie! idźcie!

— To zwykła strzelanina — zauważył Skrzetuski.

— Zwykła strzelanina! — rzekł, przedrzeźniając szlachcic.— A no, to proszę! Mało im tego. Połowa wojska od zwykłej strzelaniny stopniała, a oni już na nią nosem kręcą.

— Bądź waćpan dobrej myśli — rzekł pan Podbipięta.

— Milczałbyś, boćwino! huknął Zagłoba — boś najwinniejszy. Waćpan to wymyślił tę mprezę, która jeśli nie jest głupia, to ja głupi!

— A taki pójdę, brateńku! — rzekł pan Longinus.

— Pójdziesz! pójdziesz! i wiem dlaczego. Waćpan się za bohatera nie podawaj, bo cię znają. Czystość masz na zbyciu i pilno ci ją z okopu wynieść Najgorszyś między rycerstwem, nie najlepszy poprostu gamratka z waszmości, która cnotą handluje! Tfu! obraza boska! Otóż to! Nie do króla ci pilno, ale radbyś rżał po wsiach, jak koń na błoni. Oto rycerz — patrzcie, co niewinność ma na sprzedaż! Zgorszenie, czyste zgorszenie, jak mi Bóg miły!

— Słuchać hadko! — wołał, zatykając uszy pan Longinus.

— Dajcie pokój swarom! — rzekł poważnie Skrzetuski. — Lepiej o sprawie myślmy.

— Na Boga! — rzekł starosta krasnosrawski, który dotychczas ze zdumieniem słuchał pana Zagłoby — wielka to jest rzecz, ale bez

księcia nie możemy nic stanowić. Tu nie ma się co spierać. Waćpanowie w służbie jesteście i ordynansów słuchać musicie. Książę musi być u siebie. Pójdźmyż do niego, co on na ochotę waszmościów powie.

— To co i ja! — rzekł Zagłoba, i nadzieja wypogodziła mu oblicze. — Pójdźmy coprędzej.

Wyszli i szli przez majdan, na który już kule padały z szańców kozackich. Wojska były u wałów, które zdala wyglądały jak budy jarmarczne, tyle na nich nawieszano starej, pstrej odzieży, kożuchów, tyle nastawiano wozów, szczątków namiotów i wszelkiego rodzaju rzeczy, mogących stanowić zasłonę od strzałów, które czasem po całych tygodniach nie ustawały we dnie i w nocy. Jakoż i teraz nad owymi porozwieszanymi łachmanami ciągnęła się długa błękitnawa smuga dymu, a przed nimi widać było leżące szeregi czerwonych i żółtych żołnierzy, pracujących ciężko przeciw najbliższym szańcom nieprzyjacielskim. Sam majdan wyglądał jak jedno rumowisko: równina podarta rydlami, lub stratowana przez konie, nie zieleniła się ani jednem źbłem trawy. Gdzieniegdzie sterczały kopce z wydobytej świeżo przy kopaniu studni i mogił ziemi, gdzieniegdzie leżały szczątki potrzaskanych wozów, armat, beczek, lub stosy ogryzionych i zbielałych na słońcu kości. Trupa końskiego nie dojrzałeś nigdzie, bo każdy zabierano natychmiast na żywność dla żołnierzy, natomiast wszędy widać było gromady żelaznych po większej części zrudziałych już od rdzy kul armatnich, któremi codziennie zasypywano ten szmat ziemi. Ciężka wojna i głód widne były na każdym kroku. Idąc spotykali rycerze nas większe i mniejsze kupy żołnierzy, to odnoszące rannych i zabitych, to śpieszące ku wałom z pomocą zbyt strudzonym towarzyszom — a wszystkie twarze zczerniałe, zapadłe, zarosłe — a srogie oczy rozpalone, odzież wypłowiała, podarta, na głowach często szmaty brudne zamiast czapek hełmów, broń połamana. I mimo woli przychodziło na myśl pytanie: co się stanie z tą garstką dotychczasowych zwycięzców, gdy jeszcze upłynie tydzień, dwa?...

— Patrzcie waszmościowie — mówił starosta — czas, dać znać królowi.

— Nędza już szczerzy zęby, jak bies — odpowiedział mały rycerz.

— A co będzie gdy konie zjemy? — spytał Skrzetuski.

Tak rozmawiając, doszli do namiotów książęcych, stojących z prawej strony wału, przed którymi widać było kilkanastu jeźdź-

ców służbowych, przeznaczonych do rozwożenia rozkazów po obozie. Konie ich, karmione śrutowanem i wędzonem mięsem końskiem, a stąd trawione ustawicznym ogniem, rzucały się w szalonych podskokach, nie chcąc żadną miarą ustać na miejscu. Tak już było z końmi wszystkiej jazdy, która gdy szła teraz na nieprzyjaciela, zdawało się, że to stado gryfów lub hipocentaurów sadzi przez pola, więcej pędząc powietrzem, niż ziemią!

— Czy jest książę w namiocie? — spytał starosta jednego z jeźdźców.

— Jest z panem Przyjemskim — odpowiedział pocztowy.

Starosta wszedł pierwszy, nie oznajmując się — czterej zaś rycerze zatrzymali się przed namiotem.

Ale po chwili płótno uchyliło się, i pan Przyjemski wysadził głowę:

— Książę chce widzieć pilno waszmościów — rzekł.

Pan Zagłoba wszedł do namiotu z dobrą myślą, miał bowiem nadzieję, że książe nie będzie chciał najlepszych swych rycerzy na pewną zgubę narażać, omylił się jednak, bo jeszcze nie zdążył mu się pokłonić, gdy rzekł:

— Powiadał mi pan starosta o gotowości waszej wyjścia z obozu, a ja dobre chęci wasze przyjmuję. Ojczyźnie nie można nadto ofiarować.

— Przyszliśmy jeno o pozwolenie pytać — odrzekł Skrzetuski — gdyż wasza książęca mość jesteś szafarzem krwi naszej.

— Więc to we czterech chcecie wyjść?

— Wasza książęca mość! — rzekł Zagłoba. — Oni to chcą wyjść, a ja nie; Bóg mi świadek, nie przyszedłem się tu chwalić, ani swych zasług przypominać, i jeżeli o nich wspomnę, to jedno dlatego, żeby nie było supozycyi, że mnie tchórz oblatuje. Wielcy to są kawalerowie pan Skrzetuski, Wołodyjowski i pan Podbipięta z Myszykiszek, ale i Burłaj, który poległ z mej ręki (że o innych przewagach zamilczę), także był wielki żołnierz, wart Burdabuta, Bohuna i trzech głów janczarskich — mniemam przeto, że w dziele rycerskim nie jestem gorszy od innych. Jednakże co innego jest męstwo, a co innego szaleństwo. Skrzydeł nie mamy, a ziemią się nie przedostaniem — to pewna.

— Więc waść nie idziesz? — pytał książe.

— Powiedziałem, że iść nie chcę, ale nie powiedziałem, że nie idę. Kiedy mnie Bóg raz pokarał ich kompanią, to już do śmierci

muszę w niej wytrwać. Jeżeli nam będzie ciasno, szabla Zagłoby przyda się jeszcze, nie wiem tylko, nacoby się przydała śmierć nas czterech, i ufam, że wasza książęca mość zechce ją od nas odwrócić, nie dając pozwolenia na szalone przedsięwzięcie.

— Dobry z waści kompan — odpowiedział książę — i zacnie to z twojej strony, że przyjaciół opuszczać nie chcesz, aleś się w swojej ufności we mnie pomylił, bo ja ofiarę waszą przyjmuję.

— Zdechł pies!—mruknął Zagłoba, i ręce opadły mu zupełnie W tej chwili kasztelan bełski, Firlej, wszedł do namiotu.

— Mości książę — rzekł — ludzie moi złapali Kozaka, który powiada, że na dzisisejszą noc szturm się gotuje.

— Miałem i ja już wiadomość — odpowiedział książę. Wszystko w pogotowiu; niech się tylko z sypaniem tych wałów śpieszą!

— Już prawie skończone.

— To dobrze! — rzekł książe — do wieczora się przeniesiemy.

Potem zwrócił się do czterech rycerzy:

— Po szturmie, jeżeli noc będzie ciemna, najlepsza pora do wyjścia.

— Jak to? — rzekł kasztelan bełski — mości książę, gotujesz wycieczkę?

— Wycieczka swoją drogą pójdzie — rzekł książę — ja sam poprowadzę, ale teraz mówimy o czem innem. Ich mościowie podejmują się przekraść przez nieprzyjaciela i dać znać królowi o naszem położeniu.

Kasztelan zdumiał się, oczy otworzył i spoglądał kolejno na rycerzy.

Książę uśmiechnął się z zadowoleniem. Miał tę próżność, że lubił, by podziwiano jego żołnierzy.

— Na Boga! — rzekł kasztelan — więc są jeszcze takie serca na świecie? Na Boga! nie będę ja waszmościów od tego hazardu odwodził...

Pan Zagłoba zaczerwienił się ze złości — ale już nic nie rzekł, sapał tylko, jak niedźwiedź, książę zaś zamyślił się przez chwilę i w następujące ozwał się słowa:

— Nie chcę ja jednak nadarmo krwią waszmościów szafować i na to się nie zgadzam, abyście wszyscy czterej razem wychodzili. Pójdzie naprzód jeden; jeśli go zabiją, to się tem pochwalić nieomieszkają, jako się już raz pochwalili śmiercią mego sługi, którego aż pode Lwowem schwytali. Jeżeli tedy pierwszego zabiją, pójdzie

drugi, potem w razie potrzeby trzeci i czwarty. Ale być może, że pierwszy przejdzie szczęśliwie — w takim razie nie chcę innych na próżną śmierć narażać.

— Mości książę... — przerwał Skrzetuski.

— Taka moja wola i rozkaz — rzekł z naciskiem Jeremi. — By zaś was pogodzić, oświadczam, że ten wyruszy pierwszy, który się pierwszy ofiarował.

— To ja! — rzekł pan Longinus z promienną twarzą.

— Dziś wieczorem, po szturmie, jeżeli noc będzie ciemna — dodał książę. — Listów żadnych do króla nie dam; co waść widzisz, to opowiesz — weźmiesz jeno sygnet na znak.

Podbipięta przyjął sygnet i pokłonił się księciu — ten zaś wziął go obu rękoma za skronie i trzymał czas jakiś, a potem pocałował po kilkakroć w głowę i rzekł wzruszonym głosem:

— Tak mi bliski jesteś serca, jak brat... Niech cię prowadzi i przeprowadzi Bóg zastępów i nasza Królowa Anielska, żołnierzu Boży. Amen!

Amen! — powtórzyli starosta krasnostawski, pan Przyjemski i kasztelan bełski.

Książę miał łzy w oczach — bo to był prawdziwy ojciec dla rycerstwa — inni płakali, a ciałem pana Podbipięty wstrząsał dreszcz zapału — i płomień chodził mu po kościach, i radowała się do głębi ta dusza czysta, pokorna, a bohaterska, nadzieją bliskiej ofiary.

— Historya o waszmości pisać będzie! — wykrzyknął kasztelan bełski.

— Non nobis, non nobis, sed nomini Tuo, Domine, da gloriam (Nie nam, nie nam, lecz imieniowi Twemu, Panie, daj chwałę) — rzekł książę.

Rycerze wyszli z namiotu.

— Tfu, coś mnie za grzdykę ułapiło i trzyma, a w gębie tak gorzko, jak po piołunie — mówił Zagłoba. — A tamci ciągle strzelają... żeby was pioruny wystrzelały! — rzekł, ukazując dymiące szańce kozackie. Oj, ciężko żyć na świecie! Panie Longinie, czy to już koniecznie waćpan wyjdziesz... Niechże cię anieli ustrzegą... Żeby to zaraza to chamstwo wydusiła!

— Muszę waszmościów pożegnać — rzekł pan Longinus.

— Jak to? dokąd idziesz? — pytał Zagłoba.

— Do księdza Muchowieckiego, do spowiedzi, braciaszku. Trzeba grzeszną duszę oczyścić.

To rzekłszy, pan Longinus poszedł śpiesznie ku zamkowi, oni zaś zwrócili się ku wałom. Skrzetuski i Wołodyjowski byli jak struci i milczeli, pan Zagłoba zaś mówił:

— Ciągle ale mnie coś za grzdykę trzyma. Nie spodziewałem się, że mi będzie taki żal, ale najcnotliwszy to człowiek na świecie!... niech mi kto zaprzeczy, to mu dam w pysk. O Boże! Boże! myślałem, że kasztelan bełski będzie hamował, a on jeszcze bębenka podbijał. Kaduk przyniósł tego heretyka "Historya (mówi) o waszmości pisać będzie!" Niech o nim samym pisze, ale nie na skórze pana Longina. A czemu to on sam nie wyjdzie? Po sześć ma palców u nóg, jako kalwinista, to mu chodzić łatwiej. Mowię waszmościom, że coraz gorzej na świecie, i pewnie prawda, co ksiądz Żabkowski prorokuje, że koniec świata bliski. Posiedźmy trochę u wałów, a później pójdziemy do zamku, żeby się naszego przyjaciela kompanią przynajmniej do wieczora nacieszyć.

Ale pan Podbipięta, po spowiedzi i komunii, cały czas spędził na modlitwie; zjawił się dopiero wieczorem na szturm, który był jednym z najokropniejszych, bo Kozacy uderzyli właśnie wówczas, gdy wojska, działa i wozy przenosiły się do nowo usypanych wałów. Przez chwilę zdawało się, że szczupłe siły polskie ulegną nawale dwustu tysięcy nieprzyjaciół. Chorągwie polskie tak dalece pomieszały się z nieprzyjacielskiemi, że swoi swoich odróżnić nie mogli — i trzy razy tak wiązali się z sobą. Chmielnicki wytężył wszystkie siły, bo mu chan i właśni pułkownicy zapowiedzieli, że to ma być ostatni szturm, i że odtąd głodem tylko będą nękali oblężonych. Ale po trzech godzinach, wszystkie ataki zostały odparte z tak strasznemi stratami, że były później wieści, jakoby do czterdziestu tysięcy nieprzyjaciół miało paść w tej bitwie. To pewna, że po bitwie rzucono cały stos chorągwi pod nogi księcia — i że istotnie był to wielki szturm ostatni, po którym nadeszły jeszcze cięższe czasy wkopywania się w wały, porywania wozów, bezprzestannej strzelaniny, nędzy i głodu.

Niestrudzony Jeremi, natychmiast po szturmie, prowadził upadających ze znużenia żołnierzy na wycieczkę, która zakończyła się nową klęską nieprzyjaciół — potem dopiero cisza ukoiła tabor i obóz.

Noc była ciepła, ale chmurna. Cztery czarne postacie posuwały się cicho i ostrożnie ku wschodniemu krańcowi wałów. Byli to: pan Longinus, Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski.

— Pistolety dobrze osłoń — szeptał Skrzetuski — żeby proch nie zwilgotniał. Dwie chorągwie będą stały w pogotowiu całą noc. Jeżeli dasz ognia, skoczymy na ratunek.

— Ciemno, choć oko wykol! — szepnął Zagłoba.

— To lepiej — odrzekł pan Longinus

— Cichono! — przerwał Wołodyjowski — coś słyszę.

— To jakiś konający chrapie — nic to!...

— Byleś się do dębiny dostał...

— O Boże! Boże!! — westchnął Zagłoba, trzęsąc się, jak w febrze.

— Za trzy godziny będzie dniało.

— To już czas! — powtórzył Skrzetuski stłumionym głosem. — Idź z Bogiem!

— Z Bogiem! z Bogiem!

— Bądźcie, bracia, zdrowi, a przebaczcie, jeżelim któremu w czem zawinił.

— Tyś zawinił? O Boże! — zawołał Zagłoba, rzucając mu się w ramiona.

Po kolei brali go Skrzetuski i Wołodyjowski. Nadeszła chwila, że tłumione łkanie wstrząsnęło te rycerskie piersi. Jeden tylko Longinus był spokojny, choć wzruszony.

— Bądźcie zdrowi! — powtórzył raz jeszcze.

I zbliżywszy się do brzegu wału, zsunął się w fosę, po chwili zaczerniał na drugim jej brzegu — raz jeszcze dał znak pożegnania towarzyszom — i znikł w ciemności.

Między drogą do Załościc a gościńcem z Wiśniowca, rosła dąbrowa, przerywana wązkiemi w poprzek idącemi łąkami, a łącząca się z borem starym, gęstym i ogromnym, przechodzącym aż hen za Załościce — tam to postanowił dostać się pan Podbipięta.

Droga to była wielce niebezpieczna, bo żeby dostać się do dębiny, trzeba było przechodzić wzdłuż całego boku kozackiego taboru, ale pan Longinus wybrał ją umyślnie, bo właśnie koło taboru przez całą noc kręciło się najwięcej ludzi i straże najmniej dawały baczenia na przechodzących. Zresztą wszystkie inne drogi, jary, zarośla i ścieżki poobsadzane były strażami, które objeżdżali ustawicznie esaułowie, setnicy, pułkownicy, a nawet i sam Chmielnicki. O drodze przez łąki i wzdłuż Gniezny nie było co marzyć, bo tam koniuchowie tatarscy czuwali od zmierzchu do świtania przy koniach.

Noc była chmurna i tak ciemna, że o dziesięć kroków nie doj-

rzałeś nietylko człowieka, ale-nawet i drzewa. Była to okoliczność dla pana Longina pomyślna, lubo z drugiej strony i sam musiał iść bardzo wolno, ostróżnie, aby nie wpaść w który z dołów lub rowów, pokrywających na całej przestrzeni pobojowisko, skopane polskiemi i kozackiemi rękoma.

W ten sposób dotarł do drugich wałów polskich, które właśnie przed wieczorem opuszczono — i przeprawiwszy się przez fosę, puścił się chyłkiem ku szańcom i aproszom kozackim. Stanął i słuchał: szańce były puste. Wycieczka Jeremiego, dokonana po szturmie, wyparła z nich mołojców, którzy albo polegli, albo schronili się do taboru. Mnóstwo cia leżało na skłonach i szczytach tych nasypów. Pan Longinus potykał się co chwila o trupy, przestępował przez nie i szedł naprzód. Niekiedy słaby jakiś jęk albo westchnienie zwiastowały, że niektórzy z leżących żyją jeszcze.

Za wałami obszerna przestrzeń, ciągnąca się aż do drugiego okopu, sypanego jeszcze przez regimentarzy, również była pokryta trupami. Dołów i rowów było tu jeszcze więcej, zaś co kilkadziesiąt kroków stały owe zakrywki ziemne, podobne w ciemności do stogów. Lecz i zakrywki były puste. Wszędy panowało najgłębsze milczenie, nigdzie ani ogniska, ani człowieka — nikogo na całym dawnym majdanie, prócz poległych.

Pan Longinus rozpoczął modlitwę za dusze zmarłych i szedł dalej. Szmer polskiego obozu, który go gonił, aż do drugich wałów, cichł coraz bardziej, topniał w oddaleniu, aż nakoniec umilkł zupełnie. Pan Longinus stanął i obejrzał się po raz ostatni.

Nic już prawie nie mógł dojrzeć, bo w obozie nie było świateł, jedno tylko okienko w zamku migotało słabo, jako gwiazdka, którą chmury to odkryją, to przysłonią, lub jak robaczek świętojański, co świeci i gaśnie naprzemian.

— Bracia moi, zali was zobaczę jeszcze w życiu? — pomyślał pan Longinus.

I tęsknota przygniotła go, jakby olbrzymi kamień. Zaledwie mógł oddychać. Tam, gdzie drży owo światełko błędne, tam są swoi, tam są serca bratnie, książe Jeremi, Skrzetuski, Wołodyjowski, Zagłoba, ksiądz Muchowiecki — tam go kochają i radziby go bronić — a tu noc, pustka, ciemność, trupy pod nogami, korowody dusz — w dali zaś tabor krwiożerczy zaklętych, niemiłosiernych wrogów.

Kamień tęsknoty stał się tak ciężki, że za ciężki nawet na barki tego olbrzyma. Dusza poczęła w nim się wahać.

Nadleciał do niego w ciemności blady niepokój i począł szeptać mu do ucha: "Nie przejdziesz, to niepodobieństwo! wróć się, jeszcze, jeszcze czas! Wypal z pistoletu, a cała chorągiew runie na twój ratunek... Przez te tabory, przez tę dzicz, nie przejdzie nikt."

Ów obóz ogłodzony, zasypywany codziennie kulami, pełen śmierci i trupiego zapachu, wydał się w tej chwili panu Longinowi cichą, bezpieczną przystanią.

Tam przyjaciele nie mieliby mu za złe, gdyby wrócił. Powie im, że rzecz przechodzi ludzkie siły — a oni sami już nie pójdą, ani nikogo nie wyślą — i będą czekali dalej Bożego i królewskiego zmiłowania.

A jeśli Skrzetuski wyjdzie i zginie?

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego! To są pokusy szatańskie — pomyślał pan Longinus. — Na śmierć gotowym, a nic gorszego mnie nie spotka. To szatan straszy słabą duszę pustkowiem, trupami, ciemnością, bo on ze wszystkiego korzysta.

Miałżeby rycerz sromotą się okryć, sławę postradać, imię shańbić — wojska nie zbawić, korony niebieskiej się zrzec? Nigdy!

I ruszył dalej, wyciągając przed siebie ręce.

Wtem szmer go znowu doszedł, ale już nie z obozu polskiego, jeno z przeciwnej strony, niewyraźny jeszcze, ale jakiś głęboki i groźny jak pomruk niedźwiedzia, odzywający się nagle w ciemnym lesie. Lecz niepokój opuścił już duszę pana Longina, tęsknota przestała ciężyć i zmieniła się w słodką tylko pamięć o bliźnich; nakoniec, jakby odpowiadając groźbie, dolatującej od strony taboru, powtórzył sobie w duszy raz jeszcze:

— A taki pójdę!

Po pewnym czasie znalazł się na owem pobojowisku, na którem w dniu pierwszego szturmu jazda księcia rozbiłe Kozaków i janczarów. Droga tu już była równiejsza, mniej rowów, dołów, nakrywek i nic prawie ciał, bo co w dawniejszych walkach poległo, to Kozacy już uprzątnęli. Było tu również nieco jaśniej, gdyż rozmaite przeszkody nie zasłaniały przestrzeni. Grunt spadał pochyło ku południowi — ale pan Longinus skręcił zaraz w bok, pragnąc się prześliznąć między zachodnim, stawem a taborem.

Szedł teraz szybko, bez przeszkód, i już zdawało mu się, że dosięga linii taboru, gdy nowe jakieś odgłosy zwróciły jego uwagę.

Zatrzymał się natychmiast i po kwadransie oczekiwania usłyszał zbliżający się tupot i parskanie koni.

— Straże kozackie! — pomyślał.

Wtem i głosy ludzkie doszły jego uszu, więc rzucił się co duchu w bok i zmaczawszy nogami pierwszą nierówność gruntu, padł na ziemię i wyciągnął się bez ruchu, trzymając w jednej ręce pistolet, w drugiej miecz.

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się jeszcze bardziej i nakoniec zrównali się z nim zupełnie. Było tak ciemno, że nie mógł ich porachować, ale słyszał każde słowo rozmowy.

— Im ciężko, ale i nam ciężko — mówił senny jakiś głos. — A ilu to dobrych mołojców ziemię gryzie!

— Hospody! — rzekł drugi głos. — Mówią, że korol niedaleko... co z nami będzie?

— Chan rozgniewał się na naszego bat'ka, a Tatary grożą, że nas w łyka wezmą, jeżeli nie będzie kogo.

— I na pastwiskach się z naszymi biją. Bat'ko zakazał chodzić do kosza, bo kto tam pójdzie, przepadnie.

— Mówią, że między bazarnikami są przebrane Lachy. Bodaj tej wojny nie bywało!

— Gorzej nam teraz, niż przedtem.

— Korol niedaleko z lacką potęgą — to najgorzej!

— Hej! na Siczy tyby teraz spał, a tu włócz się pociemku, jak siromacha.

— Muszą tu się i siromachy włóczyć, bo konie chrapią.

Głosy oddalały się stopniowo i nakoniec umilkły. Pan Longinus podniósł się i szedł dalej.

Deszcz, tak drobny jak mgła począł mżyć. Zrobiło się jeszcze ciemniej.

Po lewej stronie pana Longina zabłysło w odległości dwóch staj małe światełko, potem drugie, trzecie, dziesiąte. Teraz już był pewien, że znajduje się na linii taboru.

Światła były rzadkie i mdłe; widać, spali tam już wszyscy i tylko gdzieniegdzie może pito, lub gotowano strawę na jutro.

— Dzięki Bogu, że po szturmie i wycieczce idę — rzekł do siebie pan Longinus. — Znużeni muszą być śmiertelnie.

Zaledwie to pomyślał, gdy zdala usłyszał znów tupot koński — jechała druga straż.

Ale grunt w tem miejscu więcej był popękany, więc i schronić się

było łatwiej. Straż przeszła tak blisko, że omal nie najechała na pana Longina. Szczęściem, konie przywykłe przechodzić koło leżących ciał, nie zastraszyły się. Pan Longinus poszedł dalej.

Na przestrzeni tysiąca kroków trafił na dwa jeszcze patrole. Widocznem było, że cały krąg, objęty taborem, strzeżony był, jak źrenica oka; pan Longinus cieszył się tylko w duchu, że nie napotykał pieszych placówek, które stawiano zwykle przed taborami, aby podawały wiadomości konnym strażom.

Ale radość jego niedługo trwała. Zaledwie uszedł znowu staje drogi, gdy jakaś czarna postać zamajaczyła przed nim nie dalej niż na dziesięć kroków. Pan Longinus, jakkolwiek nieustraszony poczuł jakoby lekki dreszcz w krzyżach. Cofać się i obchodzić było za późno. Postać poruszyła się, widocznie go spostrzegła.

Nastąpiła chwila wahania się, krótka, jak mgnienie oka. Nagle ozwał się przyciszony głos:

— Wasyl, to ty?

— Ja — rzekł cicho pan Longinus.

— A gorzałkę masz?

— Mam.

— Dawaj.

Pan Longinus zbliżył się.

— A co ty taki wysoki? — powtórzył ten sam głos tonem przestrachu.

Coś zakotłowało się w ciemności. Krótki, zduszony w tej samej chwili wykrzyk: "Hosp...!" wyrwał się z ust strażnika — potem dał się słyszeć jakby trzask łamanych kości, ciężkie chrapanie — i jedna postać upadła cicho na ziemię.

Pan Longinus szedł dalej.

Ale nie szedł po tej samej linii, była to bowiem widocznie linia placówek — więc skierował się jeszcze bliżej ku taborowi, pragnąc przejść między plecami widet i szeregiem wozów. Jeżeli nie było drugiego łańcucha straży, mógł pan pan Longinus na tej przestrzeni napotkać tylko tych, którzy wychodzili z taboru na zmianę. Konne oddziały straży nie miały tu co robić.

Po chwili okazało się, że drugiego łańcucha placówek nie było. Za to tabór nie był dalej, niż na dwa strzelenia z łuku — i dziwna rzecz, zdawał się być coraz bliżej, jakkolwiek pan Longinus starał się iść równoległe od szeregów wozów.

Pokazało się również, że nie wszyscy spali w taborze. Przy tle-

jących tu i owdzie ogniskach, widać było siedzące postacie. W jednem miejscu ognisko było większe, tak nawet wielkie, że prawie dosięgało blaskiem pana Longina, tak, że rycerz znów musiał się cofnąć ku placówkom, aby nie przechodzić przez pas światła. Zdaleka rozpoznał pan Longin wiszące w pobliżu ognia, na słupach podobnych do krzyżów, woły, z których rzeźnicy zdzierali skóry. Spore kupki ludzi przypatrywały się czynności. Niektórzy przygrywali z cicha rzeźnikom na piszczałkach. Była to część obozu, którą zajmowali czabańczycy. Dalsze szeregi wozów otaczała ciemność.

Lecz ściana taboru, oświecona mdłemi światłami ognisk, znów była jakby bliżej Longina. Z początku miał ją tylko po prawej ręce. Nagle spostrzegł, że ma ją i przed sobą.

Wówczas stanął i namyślał się, co począć. Był otoczony. Tabor, kosz tatarski i obozy czerni okalały, jakby pierścieniem, cały Zbaraż. W środku tego pierścienia stały placówki i krążyły straże, aby nikt nie mógł się przedostać.

Położenie pana Longina było straszne. Miał do wyboru: albo przemknąć się między wozami albo szukać innego wyjścia między kozactwem a koszem. Inaczej musiałby się błąkać aż do świtu po owem kolisku — chybaby się chciał cofać znów do Zbaraża, ale nawet w takim razie mógł wpaść w ręce straży. Rozumiał jednak, że już sama natura gruntu nie pozwala na to, aby wóz stał przywozie. Musiały w szeregach ich być przerwy, i znaczne, bo zresztą takie przerwy konieczne były dla komunikacyi, dla wolnej drogi potrzebnej jeździe. Pan Longinus postanowił szukać podobnego przejścia i w tym celu zbliżył się jeszcze bardziej do wozów. Blaski płonących tu i owdzie ognisk mogły go zdradzić, ale z drugiej strony były mu pożyteczne, bo bez nich nie widziałby ani wozów, ani drogi między nimi.

Jakoż po kwadransie poszukiwań znalazł przecie drogę i poznał ją łatwo, bo wyglądała jakby czarny pas między wozami. Nie było w nim ognisk, nie mogło być i Kozaków, gdy tamtędy musiała przechodzić jazda. Pan Longinus położył się na brzuchu i począł się czołgać do owej czarnej czeluści, jak wąż do jamy.

Upłynął kwadrans, pół godziny, on czołgał się ciągle, modląc się jednocześnie — w obronę z ciałem i z duszą mocom niebieskim się oddając. Pomyślał, że może los całego Zbaraża zależy w tej chwili od tego, czy on się teraz przez ową gardziel przedostanie, więc mo-

dlił się nietylko za siebie — ale i za tych, którzy w tej chwili na okopie modlili się za niego.

Po obu stronach wszystko było spokojne. Człek się nie ruszył, koń żaden nie zachrapał, pies żaden nie zaszczekał — i pan Longinus przeszedł; czerniały też przed nim chrósty i gąszcze, za któremi rosła dębina, za dębiną bór, aż hen do Toporowa, za borem król, zbawienie i sława, zasługa przed Bogiźm i ludźmi. Czemże było ścięcie trzech głów wobec tego czynu, do którego coś więcej, prócz żelaznej ręki, trzeba było posiadać?

Pan Longinus sam czuł tę różnicę — ale nie wezbrało pychą to czyste serce — tylko jak serce dziecka rozpłynęło się w łzy wdzięczności.

Potem podniósł się i szedł dalej. Placówek z tamtej strony wozów nie było, albo rzadkie, do uniknięcia łatwiejsze. Tymczasem począł padać większy deszcz i szeleścił po zaroślach, i głuszył jego kroki. Pan Longinus rozpuścił teraz swoje długie nogi i szedł, jak olbrzym, depcąc krze — co stąpi krok, to jakby kto inny pięć. Wozy coraz dalej, dębina coraz bliżej — i zbawienie coraz bliżej.

Oto już i dęby! Noc pod nmii taka czarna, jak w podziemiu. Ale to i lepiej. Wstał lekk wiatr, więc dęby szumią zlekka, rzekłbyś mruczą pacierz: "Boże wielki, Boże dobrotliwy, uchrońże tego rycerza, bo to sługa Twój i wierny syn tej ziemi, na której my wzrosły Tobie na chwałę!"

Już od okopu polskiego dzieli z półtorej mili pana Longina. Pot zlewa mu czoło, bo powietrze stało się jakieś parne, coś niby zbiera się na burzę, ale on idzie, ani dba o burzę, bo mu w sercu anieli śpiewają. Dębina rzednie Pewnie to będzie pierwsza łąka. Dęby zaszeleściały mocniej, jakby chciały rzec: "Zaczekaj, bezpiecznie ci było wśród nas!" — ale rycerz nie ma czasu i wstępuje na odkrytą łąkę. Jeden tylko stoi na niej dąb w środku, ale potężniejszy od innych. Pan Longinus zmierza do tego dębu.

Nagle, gdy już jest o kilkanaście kroków, z pod rozłożystych gałęzi olbrzyma wysuwa się ze dwadzieścia czarnych postaci, które zbliżają się w wilczych skokach do rycerza.

— Kto ty? kto ty?

Język ich niezrozumiały, nakrycia głowy jakieś śpiczaste — to Tatarzy, to koniuchowie, którzy się tu przed deszczem schronili.

W tej chwili czerwona błyskawica rozświeciła łąkę, dąb, dzikie

postacie Tatarów i olbrzymiego szlachcica. Krzyk straszliwy wstrząsnął powietrzem i walka zawrzała w jednej chwili.

Tatarstwo rzuciło się na pana Longina, jak wilcy na jelenia — i chwyciło go żylastemi rękoma, lecz on wstrząsnął się, i wszyscy zapaśnicy opadli z niego, jak dojrzały owoc opada z drzewa. Potem straszliwy zerwikaptur zazgrzytał w pochwie i wnet rozległy się jęki, wycia, wołania na ratunek, świst miecza, charkotanie pobitych, rżenie przerażonych koni, szczęk łamanych szabel tatarskich. Cicha łąka zabrzmiała wszystkimi dzikimi głosami, jakie tylko mieszczą się w ludzkich gardzielach.

Tatarzy rzucili się raz i drugi kupą na rycerza, ale on już oparł się plecami o dąb, a od przodu okrył się wichrem miecza — i ciął straszliwie. Trupy zaczerniły mu się pod nogami — inni cofnęli się, zdjęci paniczną trwogą.

— Diw! diw! — rozległy się dzikie wycia.

Lecz wycia te nie zostały bez echa. Nie upłynęło pół godziny, i cała łąka zamrowiła się pieszymi i jezdnymi. Biegli Kozacy i Tatarzy, z kosami, z drągami, z łukami — ze szczepami palącego się łuczywa. Gorączkowe pytania poczęły się krzyżować i przelatywać z ust: Co to jest, co się stało? — Diw! — odpowiadali koniuchowie. — Diw! — powtarzały tłumy. — ach! Diw! Ubij! Żywcem bierz, żywcem

Pan Longinus wypalił po dwakroć z pistoletów, ale wystrzałów tych nie mogli już dosłyszeć towarzysze w polskim okopie.

Tymczasem tłum zbliżał się do niego półkołem, on zaś stał w cieniu — olbrzymi, oparty o drzewo, i czekał z mieczem w ręku.

Tłum zbliżał się coraz bardziej. Nakoniec zagrzmiał głos komendy:

— Bierz go!

Co żyło, rzuciło się naprzód. Krzyki umilkły. Ci, którzy nie mogli się docisnąć, świecili atakującym. Wir ludzkie kłębił się i przewracał pod drzewem — jęki tylko wydobywały się z tego wiru i przez długi czas nie można było nic rozpoznać. Nareszcie krzyk przestrachu wyrwał się z piersi atakujących. Tłum pierzchnął w jednej chwili.

Pod drzewem został pan Longinus, a pod jego nogami kupa ciał, drgających jeszcze w agonii.

— Sznurów, sznurów! — zabrzmiał jakiś głos.

Wnet jezdni kopnęli się po sznury i przywieźli je w mgnieniu oka.

Wówczas po kilkunastu tęgich chłopów chwyciło za dwa końce długiego powroza, starając się przykrępować pana Longina do drzewa.

Ale pan Longinus ciął mieczem — i chłopi z obu stron padali na ziemię. Z tym samym skutkiem próbowali następnie Tatarzy.

Widząc, że zbyt wielki tłum przeszkadza sobie wzajem, poszło raz jeszcze kilkunastu najśmielszych Nohajców, chcąc koniecznie uchwycić żywcem wielkoluda, ale on podarł ich, jak odyniec rozdziera zajadłe kundle. Dąb, zrosły z dwóch potężnych drzew, osłaniał środkową wklęsłość rycerza — z przodu zaś, kto się zbliżył na długość miecza, marł nie wydawszy nawet krzyku. Nadludzka siła pana Podbipięty zdawała się wzrastać jeszcze z każdą chwilą.

Widząc to, rozwścieczona orda spędziła Kozaków—i naokół rozległy się dzikie wołania:

— Uk! uk!...

Wówczas, na widok łuków i strzał wysypywanych z kołczanów pod nogi, poznał i pan Podbipięta, że zbliża się godzina śmierci, i rozpoczął litanię do Najświętszej Panny.

Uczyniło się cicho. Tłumy zatrzymały dech, oczekując, co się stanie.

Pierwsza strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: "Panno wsławiona!' — i utkwiła mu w ramieniu.

Słowa litanii zmieszały się ze świstem strzał.

I gdy pan Longinus powiedział: "Gwiazdo zaranna!" już strzały utkwiły mu w ramionach, w boku, w nogach... Krew ze skroni zalewała mu oczy i widział już jak przez mgłę łąkę, Tatarów, nie słyszał już świstu strzał. Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim, głowa opada mu na piersi... nakoniec ukląkł.

Potem, nawpół już z jękiem, powiedział pan Longinus: "Królowo Anielska!" — i to były jego ostatnie słowa na ziemi.

Aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli ją, jako perłę jasną, u nóg "Królowy Anielskiej."

LX.

Pan Wołodyjowski i Zagłoba stali następnego rana na wałach między żołnierstwem, spoglądając pilno ku taborowi, od którego strony zbliżały się masy chłopstwa. Skrzetuski był na radzie u

księcia, oni zaś korzystając z chwili spokoju, rozmawiali o dniu wczorajszym i o tym ruchu w taborze nieprzyjacielskim.

— Nic nam to dobrego nie wróży — rzekł Zagłoba ukazując czarne masy, idące nakształt olbrzymiej chmury — Pewno do szturmu znów ruszą, a tu już ręce nie chcą chodzić w stawach.

— Gdzieby tam zaś miał być szturm, przy dniu jasnym, o tej porze! — rzekł mały rycerz. — Nie uczynią nic więcej, jeno zajmą nasz wczorajszy wał i znów wkopywać się będą do nowego i strzelać przytem od rana do wieczora

— Możnaby ich dobrze z armat przepłoszyć.

Wołodyjowski zniżył głos:

— Prochów skąpo — rzekł. — Przy takim ekspensie podobno już na sześć dni nie starczy. Ale w tym czasie pewnie król nadciągnie.

— Niechże się już dzieje, co chce, aby nasz pan Longin, nieborzątko, przedosta się szczęśliwie. Przez całą noc spać nie mogłem, tylko o nim myślałem, a com się zdrzemnął, tom go w opresyi widział, i taki mnie żal brał, że aż poty na mnie biły. Najlepszy to człowiek, jakiego w Rzeczypospolitej możesz znaleźć, z latarnią przez trzy roki i sześć niedziel chodząc.

— A czemuś to waćpan zawsze z niego dworował?

— Bo gęba we mnie paskudniejsza od serca. Ale ju mi go, panie Michale, nie zakrwawiaj wspomnieniem, gdy i tak wyrzuty sobie czynię, a broń Boże jakiego przypadku na pana Longina, tobym do śmierci chyba nie miał spokoju.

— Już też tak dalece się waćpan nie gryź. Nie miał on nigdy do waść żadnego rankoru i słyszałem jak sam mówił: "Gęba hadka, serce złote."

— Dajże mu Boże zdrowie, przyjacielowi zacnemu! Nigdy on po ludzku nie umiał mówić, ale setnie takowe niedostatki wielkiemi cnotami nagradzał. Co myślisz, panie Michale? zali przeszedł szczęśliwie?

— Noc była ciemna, a chłopi po klęsce straszliwie fatigati (zmęczeni). U nas dobrych straży n e było, a cóż dopiero u nich.

— To chwa Bogu Zalecałem też panu Longinowi, żeby się o naszą niebogę kniaziówne pilno dopytywał, azali gdzie jej nie widzieli, bo tak myślę, że Rzędzian musiał się do królewskich wojsk przedostać. Pan Longinus pewnie na odpoczynek nie pójdzie, tylko z królem tu przyciągnie. W takim razie mielibyśmy niezadługo o niej wiadomość

— Ufam ja w dowcip tego pachołka, że ją tam jakoś ocali. Jużbym nie zaznał uciechy, żeby ją zguba spotkała. Krótkom ją znał, ale w to wierzę, że gdybym siostrę miał, toby m nie była milszą.

— Dla ciebie siostra, a dla mnie córuchna. Od tych trosk chyba m broda do reszty zbieleje, i serce od żalu pęknie. Co kogo pokochasz — raz dwa, trzy — już go niema a ty siedź, troskaj się, martw, gryź, rozmyślaj, mając w dodatku brzuch pusty dziury w czapczynie, przez które, jak przez złą strzechę, woda na łysinę leje się. Psom teraz w Rzeczypospolitej lepiej niż szlachcie, a nam czterem to już ze wszystkich najgorzej. Czasby już chyba do lepszego świata się wybrać, panie Michale, albo co?

— Nieraz myślałem, czyby nie lepiej powiedzieć Skrzetuskiemu o wszystkiem, ale to mnie wstrzymuje, że sam on nigdy o niej słowem nie wspomniał, a bywało, jak kto wymówi, to się tylko wzdrygnie, jakby go w sercu ukłuło

— Gadajże mu, rozdzieraj rany w ogniu tej wojny przyschłe, a ją tam może jaki Tatarzyn przez Perekop za warkocz prowadzi. Świece jarzące mi w oczach stają, gdy sobie taki termin pomyślę. Czas już umierać, nie może być inaczej, bo na świecie męka tylko i nic więcej Żeby choć pan Longinus przemknął się szczęśliwie.

— Musi on mieć większe w niebie łaski, niż inni, bo cnotliwy. Ale patrzno waćpan, co tam hultajstwo robi

— Taki dziś blask od słońca, że nic nie widzę.

— Wał nasz wczorajszy rozkopują.

— A mówiłem, że będzie szturm. Chodźmy stąd, panie Michale, dość już tego stania.

— Nie dlatego to oni kopią, żeby koniecznie do szturmu iść, ale muszą mieć otwartą drogę do odwrotu, i przytem pewno będą tamtędy machiny wprowadzać, w których strzelcy siedzą. Patrzno waść, aż łopaty warczą! już na jakie czterdzieści kroków zrównali.

— Teraz widzę, ale okrutny dziś blask.

Pan Zagłoba nakrył oczy ręką i patrzał. W tej chwili przez rozkopany w wale wycinek rzuciła się rzeka czerni i rozlała w mgnieniu oka po pustej między wałami przestrzeni. Jedni zaczęli zaraz strzelać; inni, ryjąc ziemię łopatami, poczęli wznosić nasyp i szańce, które trzecim z kolei pierścieniem miały zamknąć polski obóz.

— Oho! — zawołał Wołodyjowski — nie mówiłem? Już machiny wtaczają.

— No, to szturm będzie jako żywo. Chodźmy stąd — rzekł Zagłoba

— Nie, to inne belluardy — odpowiedz a' mały rycerz

Istotnie, machiny, które ukazały się w otworze, inaczej były budowane od zwykłych hulaj-grodów ściany ich bowiem składały się z zastosowanych skoblami drabin, pokrytych odzieżą i skórami, z popoza których najcelniejsi strzelcy, siedzący od połowy wysokości machiny, aż do jej szczytu razili n eprzyjaciela.

— Pójdźmy, niech ich tam ps. pozagryzają! — powtórzył Zagłoba.

— Czekaj waść! — odpowiedział Wołodyjowski.

I poczęli liczyć machiny, w miarę jak coraz nowe ukazywały się w otworze.

— Raz, dwa, trzy... mają ich widać zapas niemały... cztery, pięć, sześć — idą coraz wyższe... siedm, ośm... każdego psa zabiją z tych machin na naszym majdanie, bo tam muszą być strzelcy exquisitissimi (wyborowi) — dziewięć, dziesięć — widać każdą jak na dłoni, bo słońce na nie pada — jedenaście...

Nagle pan Michał urwał rachubę.

— Co to jest? — spytał dziwnym głosem.

— Gdzie?

— Tam, na najwyższej... człowiek wisi

Zagłoba wytężył wzrok: istotnie na najwyższej machinie słońce oświeciło nagi trup ludzki, kołyszący się na powrozie, zgodnie z ruchem belluardy, naksztalt olbrzymiego wahadła.

— Prawda — rzekł Zagłoba.

Wtem Wołodyjowski pobladł jak płótno i krzyknął przeraźliwym głosem:

— Boże wszechmogący! to Podbipięta!

Szmer powstał na wałach, jakoby wiatr przeleciał po liściach drzew. Zagłoba przechylił głowę, zatkną dłońmi oczy i szeptał zsiniałemi wargami, jęcząc:

— Jezus Marya! Jezus Marya!...

Wtem szmer zmienił się w szum zmieszanych słów, a potem w huk, jakby wzburzonej fali. Poznało wojsko stojące na wałach, że na tym haniebnym sznurze wisi towarzysz ich niedoli, rycerz bez skazy — poznali wszyscy, że to pan Longinus Podbipięta, i gniew straszny począł podnosić włosy na głowach żołnierzy.

Zagłoba oderwał wreszcie dłonie od powiek: strach było na niego

patrzeć; na ustach miał pianę, twarz siną, oczy wyszły mu na wierzch.

— Krwi! krwi! — ryknął tak strasznym głosem, że aż dreszcz przeszedł blisko stojących.

I skoczył w fosę. Za nim rzucił się kto żyw na wałach. Żadna siła, nawet rozkazy księcia, nie zdołałyby powstrzymać tego wybuchu wściekłości. Z fosy wydobywali się jedni po ramionach drugich, chwytali się rękoma i zębami za brzeg rowu — a kto wyskoczył, biegł na oślep, nie bacząc, czy inni biegną za nim. Belluardy zadymiły jak smolarnie i wstrząsnęły się od huku wystrzałów, ale nic to nie pomogło. Zagłoba leciał pierwszy z szablą nad głową, straszny, wściekły, podobny do rozhukanego buhaja. Dopieroż Kozacy skoczyli także z cepami, z kosami, na napastników, i rzekłbyś: dwie ściany uderzyły się z łoskotem. Lecz syte brytany nie mogą się bronić długo głodnym i wściekłym wilkom. Wyparci z miejsca, cięci szablami, darci zębami, bici i gnieceni, Kozacy nie wytrzymali furyi — i wnet zaczęli się mięszać, a potem pierzchać ku otworowi. Pan Zagłoba szalał; rzucał się w największy tłum, jak lwica, której zabrano lwięta; rzęził, chrapał, ciął, mordował — deptał! Pustka czyniła się przed nim, a przy nim szedł, jak drugi płomień niszczący, Wołodyjowski, podobny do rannego rysia.

Strzelców ukrytych w belluardach wycięto w pień, resztę goniono aż za otwór w wale. Potem żołnierze weszli na belluardę i odczepiwszy pana Longina, ostróżnie spuścili go na ziemię.

Zagłoba runął na jego ciało...

Wołodyjowski również serce miał rozdarte i zalewał się łzami na widok martwego przyjaciela. Łatwo było poznać, jaką pan Longinus zginął śmiercią, bo całe ciało było pokryte centkami od ran, przez groty zadanych. Twarzy tylko nie popsuły mu strzały, prócz jednej, która zostawiła długą rysę na skroni. Kilka kropel krwi zakrzepło mu na policzku, oczy miał zamknięte, a w bladem obliczu uśmiech pogodny i gdyby nie chłód śmierci w rysach — zdawaćby się mogło, że pan Longinus śpi spokojnie. Wzięli go wreszcie towarzysze i ponieśli na barkach do okopu, a stamtąd do kaplicy zamkowej.

Do wieczora zbito trumnę i pogrzeb odbył się nocą na cmentarzu zbaraskim. Stanęło wszystko duchowieństwo ze Zbaraża, prócz księdza Żabkowskiego, który w ostatnim szturmie w krzyże postrzelon, bliskim był śmierci; przyszedł książę, zdawszy dowództwo sta-

roście krasnostawskiemu, i regimentarze, i pan chorąży koronny, i chorąży nowogrodzki i pan Przyjemski, i Skrzetuski, i Wołodyjowski, i Zagłoba, i towarzystwo chorągwi, w której nieboszczyk służył. Ustawiono trumnę nad świeżo wykopanym dołem — i ceremonia się rozpoczęła.

Noc była cicha, gwiazdzista, pochodnie paliły się równym płomieniem, rzucając błask na żółte deski świeżo zbitej trumny, na postać księdza i surowe twarze stojących wokoło rycerzy.

Dymy z kadzielnicy wznosiły się spokojnie, roznosząc zapach mirry i jałowcu; ciszę przerywało tylko tłumione szlochanie pana Zagłoby, głębokie westchnienia potężnych piersi rycerskich i daleki grzmot wystrzałów na wałach.

Lecz ksiądz Muchowiecki wzniósł rękę na znak, iż poczyna mówić, więc rycerze oddech wstrzymali, on zaś milczał jeszcze chwilę, potem utkwił oczy w gwiaździstych wysokościach i tak wreszcie mówić począł:

— "Co to tam za stukanie po nocy, w niebieskie podwoje? — pyta sędziwy, klucznik Chrystusowy, ze smacznego snu się zrywając. — Otwórz, święty Pietrze, otwórz! jam Podbipięta.

"Lecz jakież to uczynki, jakaż to szarża, jakie to zasługi ośmielają cię, mości Podbipięto, tak zacnego furtyana inkomodować? Jakiemże to prawem chcesz wejść tam, dokąd ni urodzenie, chociażby tak zacne jak twoje, ni senatorska godność, ni urzędy koronne, ni majestatu nawet purpury, jeszcze same przez się, wolnego wstępu nie dają? dokąd nie gościńcem szerokim, w poszóstnej karecie, z hajdukami się jedzie, ale stromą, ciernistą drogą cnoty wspinać się trzeba?

"Ach! otwórz, święty Pietrze, otwórz co prędzej, bo właśnie taką stromą ścieżyną szedł komiliton i drogi towarzysz nasz, pan Podbipięta — aż wreszcie przyszedł nagi, jako Łazarz, przyszedł, jako święty Sebastyan, strzałami pogańskiemi podarty, jak Hiob biedny, jako dzieweczka, która męża nie znała, czysty, jako baranek pokorny, cierpliwy i cichy — bez zmazy grzechowej, z ofiarą krwi, dla ziemskiej ojczyzny radośnie przelanej.

"Puść go, święty Pietrze, bo jeżeli jego nie puścisz — kogoż puścisz w tych czasach zepsucia i bezbożności?

"Puść"że go święty kluczniku! puść tego baranka; niechaj się pasie na niebieskiej łące, niech szczypie trawę, bo głodny przyszedł ze Zbaraża..."

W takito sposób rozpoczął mowę ksiądz Muchowiecki, a następnie tak wymownie odmalował cały żywot pana Longina, iż każdy lichym się sobie wydał wobec tej cichej trumny rycerza bez skazy, .. tóry najmniejszych skromnością, największych cnotą przewyższał. Bili się tedy w piersi wszyscy, i coraz większa ogarniała ich żałość i coraz wyraźniej widzieli, jaki to paroksyzm ojczyznę, jaka niepowetowana strata Zbaraż dotknęła. A ksiądz unosił się i gdy wreszcie począł opowiadać wyjście i śmierć męczeńską pana Longina, wtedy już całkiem o retoryce i cytatach zapomniał, a gdy począł żegnać martwe zwłoki imieniem duchowieństwa, wodzów i wojska, sam się rozpłakał i mówił, szlochając, jak Zagłoba: "Żegnaj nam, bracie, żegnaj, towarzyszu! Nie do ziemskiego króla, lecz do niebieskiego, do pewniejszej instancyi odniosłeś nasze jęki, nasz głód, naszą mizeryę i opresyę — pewniej tam jeszcze ratunek nam wyjednasz, ale sam nie wrócisz więcej, więc płaczemy, więc łzami trumnę twą polewamy, bośmy cię kochali, bracie najmilszy!"

Płakali za zacnym księdzem wszyscy, i książę regimentarz i wojsko, a najbardziej przyjaciele zmarłego. Lecz gdy ksiądz zaintonował po raz pierwszy Requiem aeternam dona e Domine (wieczny odpoczynek racz mu dać Panie)! — uczynił się ryk powszechny, choć to wszystko byli ludzie zahartowani na śmierć i codzienną praktyką oddawna do niej przywykli.

W chwili, gdy trumnę położono na sznurach, pana Zagłobę trudno było od niej oderwać, jakby mu brat, albo ojciec umarł. Lecz wreszcie odciągnęli go Skrzetuski z Wołodyjowskim. Książę zbliżył się i wziął garść ziemi; ksiądz począł mówić: "Anima ejus" — zahurgotały sznury — ziemia poczęła się sypać, sypano ją rękoma, hełmami — i wkrótce nad zwłokami pana Longina Podbipięty urósł wysoki kopiec, który oświeciło białe, smutne światło miesiąca.

Trzej przyjaciele wracali z miasta na majdan, z którego ustawicznie dochodził odgłos strzałów. Szli w milczeniu, gdyż żaden z nich nie chciał pierwszego słowa przemówić — lecz inne gromadki rycerstwa gwarzyły między sobą o nieboszczyku, sławiąc go zgodnie.

— Pogrzeb miał tak foremny — mówił jakiś oficer, przechodząc obok Skrzetuskiego — że i panu pisarzowi Sierakowskiemu lepszego nie sprawili.

— Bo też nań zasłużył — odpowiedział drugi oficer. — Ktoby to inny podjął się przedrzeć do króla?

— A ja słyszałem — dodał trzeci — że między wiśniowiecczyka-

mi jest kilku ochotników, ale po tak strasznym przykładzie pewnie już wszystkich ochota odeszła.

— Bo też to i niepodobna. Wąż się nie prześliźnie.

— Jako żywo, czysteby to było szaleństwo!

Oficerowie przeszli. Nastała znów chwila milczenia. Nagle Wołodyjowski rzekł:

— Słyszałeś Janie?

— Słyszałem — odpowiedział Skrzetuski. — Moja dziś kolej.

— Janie! — rzekł poważnie Wołodyjowski — znasz mnie zdawna i wiesz, że się przed hazardem nierad cofam, ale co innego hazard, a co innego proste samobójstwo.

— I tyż to mówisz, Michale?

— Ja, bom ci przyjaciel

— I jam ci przyjaciel; dajże mnie kawalerski parol, że nie pójdziesz trzeci, jeżeli ja zginę.

— O! nie może być! — zakrzyknął Wołodyjowski.

— A widzisz Michale! Jakże to możesz odemnie wymagać tego, czegobyś sam nie uczynił? Niechże się dzieje wola Boża!

— To pozwól mi iść razem.

— Książę zabrania, nie ja — a tyś żołnierz i słuchać musisz.

Pan Michał zamilkł, bo istotnie żołnierz to był przedewszystkiem, więc począł tylko wąsikami ruszać gwałtownie przy księżycu, nakoniec rzekł:

— Noc bardzo widna; nie idź dzisiaj

— Wolałbym, żeby była ciemniejsza — odrzekł Skrzetuski — ale zwłoka niepodobna. Pogoda, jako widzisz, uczyniła się na długo, a tu prochy się kończą, żywność się kończy. Żołnierze, już na majdanie kopią, korzonków szukając; innym dziąsła gniją od paskudztwa, które jedzą. Dziś pójdę, zaraz; już em się z księciem pożegnał.

— To widzę, żeś poprostu desperat.

Skrzetuski uśmiechnął się smutno.

— Bodajże cię, Michale! Pewno, że w rozkoszach nie opływam, ale dobrowolnie śmierci nie będę szukał, boć to i grzech, a zresztą nie o to chodzi, żeby zginąć, jeno o to, żeby wyjść, i dojść do króla, i obóz zbawić.

Wołodyjowskiego porwała nagle taka chęć powiedzieć Skrzetuskiemu wszystko o kniaziównie, że prawie już usta otwierał, ale pomyślał sobie: "Od nowiny w głowie mu się pomiesza i tem łatwiej

go schwytają" — więc ugryzł się w język i milczał, a natomiast spytał:

— Którędy pójdziesz?

— Mówiłem księciu, że pójdę przez staw, a później rzeką, póki się daleko za tabor nie przedostanę. Książę powiedział, że to lepsza droga niż inna.

— Niema, jak widzę, rady odrzekł Wołodyjowski. — Raz człeku śmierć przeznaczona, a lepsza na polu chwały, niż na łożu. Bóg cię prowadź! Bóg cię prowadź, Janie! Jeżeli nie zobaczymy się na tym świecie, to na tamtym, a ja ci serca pewnie dochowam.

— Jako i ja tobie. Bóg ci zapłać za wszystko dobre. A słuchaj, Michale, jeżeli zginę, oni mnie może nie sprezentują, jako pana Longina, bo zbyt srogą naukę dostali, ale się pewnie i tak jakowymś sposobem pochwalą: niechże w takim razie stary Zaćwilichowski pojedzie do Chmielnickiego po moje ciało, bo nie chciałbym, aby mnie psi po ich taborze włóczyli.

— Bądź pewien — odrzekł Wołodyjowski.

Pan Zagłoba, który z początku nawpół przytomnie rozmowy słuchał, zrozumiał wreszcie o co idzie, ale nie znalazł w sobie już dość siły, aby wstrzymać lub odmawiać, tylko począł jęczeć głucho:

— Wczoraj tamten, dziś ten .. Boże! Boże! Boże!

— Ufaj waćpan! — rzekł Wołodyjowski.

— Panie Janie!... zaczął Zagłoba.

I nie mógł nic więcej powiedzieć, jeno siwą, strapioną głowę wsparł na piersi rycerza i tak tulił się do niego, jak niedołężne dziecko.

W godzinę później Skrzetuski pogrążył się w wody zachodniego stawu.

Noc była bardzo jasna, i środek stawu wyglądał jak srebrna tarcza, ale Skrzetuski zniknął natychmiast z oczu, brzeg bowiem porosły był gęsto sitowiem, trzciną i bucianem; dalej pomiędzy rzadszą trzciną rosły w obfitości grążele, redst wodny i roślęże. Cała ta mieszanina szerokich i wąskich liści, oślizgłych łodyg, wężowatych skrętów, chwytając za nogi i wpół ciała, utrudniała niezmiernie posuwanie się naprzód, ale ukrywała przynajmniej rycerza przed oczyma straży. O przepłynięciu przez jasną środkową szybę nie było co i myśleć, bo każdy czarniawy przedmiot byłby na niej spostrzeżony z łatwością. Skrzetuski więc postanowił okrążyć brzegiem cały staw, aż do bagienka, leżącego po drugiej stronie, przez

które wpływała do stawu rzeka. Prawdopodobnie stały tam straże kozackie, albo tatarskie, ale za to rósł mały las trzcin, którego brzegi były tylko wycięte na szałasy dla czerni. Dostawszy się raz do bagienka, można się było posuwać wśród trzcin nawet we dnie, chyba by topielisko okazało się zbyt zgłębokie. Lecz i ta droga była straszna. Pod tą śpiącą wodą, nie głębszą z brzegu nad stopę, taiło się głębokie na łokieć i więcej błoto. Za każdym krokiem Skrzetuskiego na powierzchnię wód wydostawało się mnówstwo baniek, których bulgotanie doskonale można było słyszeć wśród ciszy. Prócz tego, mimo całej powolności jego ruchów, tworzyły się koła fal, biegnące coraz dalej do środka aż na niezarosłą przestrzeń, na której łamało się w nich światło księżyca. W czasie deszczu były poprostu Skrzetuski przepłynął staw i najdalej w pół godziny dotarł do bagienka, ale na niebie nie było ani jednej chmurki. Małe potoki zielonawego światła lały się na staw, zmieniają, liście grążel w srebrne tarcze, a pióra trzcin w srebrne kity. Wiatr nie wia' — na szczęście grzechot wystrzałów głuszył bulgotanie baniek wodnych, co spostrzegłszy Skrzetuski poruszał się tylko wówczas, gdy salwy w okopach i szańcach stawały się żywsze. Lecz owa cicha, pogodna noc sprawiła jednę więcej trudność. Oto roje komarów podnosiły się z trzcin i utworzywszy kłąb nad głową rycerza, siadały mu na twarzy, oczach kłując dotkliwie, brzęcząc i śpiewając nad jego uszyma żałosne swe nieszpory. Skrzetuski, wybierając tę drogę, nie łudził się co do jej trudności, ale nie przewidział wszystkiego. Nie przewidział mianowicie jej strachów. Wszelka głębina wód, choćby najlepiej znanych, ma w nocy coś tajemniczego i przerażającego zarazem — i mimowoli napędza pytanie: co tam jest na dnie? A ten staw zbaraski był poprostu okropny. Woda zdawała się być w nim gęstsza od zwykłej wody — i wydawała zaduch trupi. Bo też gniły w nie setki Kozaków i Tatarów. Obie strony wyciągały wprawdzie trupów, ale iluż ich mogło być ukrytych wśród trzcin, rdestu i gęstej uszycy? Skrzetuskiego obejmował chłód fali — a pot oblewał mu czoło. Co będzie, gdy jakieś oślizgłe ramiona uchwycą go nagle, albo gdy jakie zielonawe oczy spojrzą na niego z pod bucianów. Długie łodygi grzebienia obejmowały go za kolana, a jemu włosy powstawały na głowie, że to już może nurek topielec obejmuje go, aby nie puścić więcej. "Jezus Marya! Jezus Marya!" — szeptał bez ustanku, posuwając się naprzód. Chwilami podnosił oczy w górę i na widok księżyca, gwiązd i spokoju niebieskiego, doznawał

pewnej ulgi. "Jest Bóg!" — powtarzał sobie półgłosem, tak, aby się sam mógł dosłyszeć. Czasem spoglądał na brzeg, i zdawało mu się, że z jakiegoś potępionego, zaziemskiego świata błota, czarnych głębin, bladych świateł księżycowych, duchów i trupów i nocy, spoglądał na Bożą zwykłą ziemię — i tęsknota porywała go taka, że zaraz chciał z owej matni trzcin wychodzić.

Lecz posuwał się ciągle brzegiem — i oddalił się już od obozu, że na tej Bożej ziemi dostrzegł o kilkadziesiąt kroków od brzegu stojącego na koniu Tatara — więc zatrzymał się i spoglądał na tę postać, która, miarkując z jej jednostajnych ruchów ku szyi końskiej, zdawała się być uśpioną.

Był to dziwny widok. Tatar kiwał się ciągle, jakby kłaniał się w milczeniu Skrzetuskiemu, a ten oczu z niego nie spuszczał. Było w tem coś strasznego, lecz Skrzetuski odetchnął z satysfakcyą, bo wobec tego rzeczywistego strachu pierzchły stokroć do zniesienia cięższe, urojone. Świat duchów odleciał gdzieś, i rycerzowi wróciła odrazu zimna krew; do głowy poczęły się cisnąć takie tylko pytania, jak: śpi, czy nie śpi? mam iść dalej, czy czekać?

Wreszcie poszedł dalej, posuwając się jeszcze ciszej, jeszcze ostróżniej, niż na początku podróży. Był już na pół drogi do bagienka i rzeki, gdy zerwał się pierwszy powiew lekkiego wiatru. Zakołysały się wnet trzciny i wydały, trącając jedna o drugą, szelest mocny, a Skrzetuski uradował się, bo mimo całej ostróżności, mimo, iż czasem po kilka minut nad postawieniem stopy stracił, mimowolny ruch, potknięcie się, plusk, mogły go zdradzić. Teraz szedł śmielej wśród głośnego rozhoworu trzcin, którym zaszumiał cały staw — i wszystko zagadało do koła, woda nawet na brzegach poczęła bełkotać rozkołysaną falą.

Lecz ten ruch rozbudził widocznie nietylko zarośla brzegowe, bo zaraz jakiś czerniawy przedmiot zjawił się przed Skrzetuskim i począł chybotać się ku niemu, jak gdyby rozmachując się do skoku. Skrzetuski omal w pierwszej chwili nie krzyknął: strach i obrzydzenie zatamowały mu jednak głos w piersiach, a jednocześnie straszliwy zaduch uchwycił go za gardło

Ale po chwili, gdy pierwsza myśl, że to może być topielec, umyślnie zastępujący drogę, przeszła, pozostało tylko obrzydzenie — i rycerz ruszył dalej. Rozhowor trzcin trwał ciągle i wzmagał się coraz bardziej. Przez ich kołyszące się kiście dojrzał Skrzetuski drugą i trzecią placówkę tatarską. Minął je, minął i czwartą.

"Już z pół stawu musiałem okrążyć" — pomyślał i podniósł się trochę z trzcin, aby rozpoznać, w którem miejscu się znajduje — wtem coś go trąciło w nogi, obejrzał się i ujrzał tuż obok swych kolan twarz ludzką.

— To już drugi — pomyślał.

Tym razem nie przeraził się, bo ten drugi trup leżał na wznak i nie miał w swej bezwładności pozorów życia i ruchu. Skrzetuski przyśpieszył tylko kroku, by nie dostać zawrotu głowy. Trzciny zaczynały być coraz gęstsze — co z jednej strony dawało bezpieczne ukrycie, z drugiej jednak utrudniało niezmiernie pochód. Upłynęło jeszcze pół godziny, później godzina, on szedł ciągle, ale coraz więcej był strudzony. Woda w niektórych miejscach była tak płytka, że nie dochodziła mu do goleni, gdzieniegdzie za to zapadał niemal po pas. Męczyło go też niezmiernie powolne wyciąganie nóg z błota. Pot zalewał mu czoło, a jednocześnie co czas jakiś przechodziły po nim dreszcze od stóp do głowy.

— Co to jest? — myślał ze strachem w sercu — czy mnie delirium (obłęd) nie chwyta? Bagienka jakoś niema; nuż nie rozpoznam miejsca wśród trzcin i ominę?

Było to straszne niebezpieczeństwo, bo w ten sposób mógłby krążyć całą noc naokoło stawu i z rana znaleźć się w tem samem miejscyu, z którego wyszedł, lub wpaść na innem w ręce kozackie.

— Złą drogę obrałem — myślał, upadając na duchu — przez stawy nie można, wrócę się jutro i pójdę, jak pan Longinus — do jutra mógłbym odpocząć.

Lecz szedł naprzód, bo poznawał, że obiecując sobie wrócić i ruszyć po odpoczynku, sam siebie oszukuje, przychodziło mu także do głowy, że idąc tak wolno i zatrzymując się co chwila, nie mógł jeszcze dojść do bagienka. Jednakże myśl o odpoczynku opanowywała go coraz silniej. Chwilami miał chęć położyć się gdzie na błocie, by choć odetchnąć. Bił się tak z własnemi myślami, a jednocześnie modlił się. Dreszcze przechodziły go coraz częściej, coraz słabiej wyciągał nogi z błota. Widok straży tatarskich orzeźwiał go, ale czuł, że i głowa męczy mu się jak ciało, i że nadlatuje nań gorączka.

Upłynęło znów pół godziny — bagienko nie ukazywało się jeszcze.

Natomiast ciała utopionych natrafiały się coraz częściej. Noc, strach, trupy, szum trzcin, trud i bezsenność zmąciły mu myśli.

Poczęły nań nadlatywać wizye. Oto Helena jest w Kudaku, a on płynie z Rzędzianem na dumbasie z biegiem dnieprowym. Trzciny szumią — on słyszy pieśń: "Ej to nie pili pili!... ne tumany ustawały." Ksiądz Muchowiecki czeka ze stułą, a pan Krzysztof Grodzicki ojca zastąpi... Dziewczyna tam codzień patrzy na rzekę z .. murów — rychło patrzeć, jak w ręce zaklaszcze i krzyknie: "Jedzie! jedzie!"

— Jegomość! — mówi Rzędzian, ciągnąc go za rękaw — panna stoi...

Skrzetuski budzi się. To splątane trzciny zatrzymały go po drodze! Wizya ulatuje. Przytomność wraca. Teraz nie czuje już takiego zmęczenia, bo mu gorączka sił dodaje.

Hej, czy to jeszcze nie bagienko?

Ale na okół trzciny takie same, jakby z miejsca na ruszył. Przy rzece powinna być woda otwarta, więc to jeszcze nie bagienko.

Rycerz idzie dalej, ale myśl wraca z nieubłaganym uporem do lubej wizyi. Próżno Skrzetuski się broni, próżno poczyna mówić: "O gospodzie uwielbiona," próżno stara się zachować całą przytomność — znowu nadpływa Dniepr, dumbasy, czajki — Kudak, Sicz — tylko tym razem wizya bezładniejsza, mnóstwo w niej osób: obok Heleny i książe, i Chmielnicki, i ataman koszowy, i pan Longinus, i Zagłoba, i Bohun, Wołodyjowski — wszyscy przybrani odświętnie na jego ślub, ale gdzie ma być ten ślub? Są w jakiemś miejscu nieznanem, ni to Łubnie, ni Rozłogi, ni Sicz, ni Kudak... wody jakieś, po nich ciała pływają...

Skrzetuski budzi się po raz drugi, a raczej budzi go mocny szelest, dochodzący ze strony, w którą idzie — więc zatrzymuje się i słucha.

Szelest zbliża się, słychać jakieś chrobotanie i plusk — to czółno.

Widać je już przez trzciny. Siedzi w niem dwóch mołojców — jeden popycha wiosłem, drugi trzyma w ręku długą tyczkę, świecącą zdala jak srebro, i rozgarnia nią wodne zarośla.

Skrzetuski osunął się aż po szyję w wodę, tak, że głowa tylko wystawała mu po nad sitowie, i patrzał.

— Jeśli to zwykła straż, czy są już na tropie? — pomyślał.

Ale wnet doszedł po spokojnych i niedbałych ruchach mołojców, że to musi być zwyczajna straż. Czółen na stawie musiało być więcej niż jedno — i gdyby Kozacy byli na tropie, pewnoby zgromadziło się kilkanaście łódek i kupa ludzi.

Tymczasem przejechali mimo — szum tracin głuszył słowa; Skrzetuski złowił uchem tylko następujący urywek rozmowy:

— Czortby ich pobraw, i cei smerdiaczoi wody kazały pylnowaty!

I czółno zasunęło się na kępy trzcin — tylko stojący na przedzie Kozak uderzał ciągle miarowym ruchem tyczką w zarośla wodne, jakby chciał ryby straszyć.

Skrzetuski ruszył dalej.

Po niejakim czasie znów ujrzał placówkę tatarską, stojącą tuż nad brzegiem. Światło księżyca padało wprost na twarz Nohajca, podobną do psiej mordy. Ale Skrzetuski mniej się już obawiał tych straży, niż utraty przytomności. Natężył więc całą wolę, by sobie jasno zdawać sprawę, gdzie jest i dokąd idzie. Ale ta walka powiększyła tylko jego znużenie, i wnet dostrzegł, że mu się dwoi i troi w oczach, że chwilami wydaje mu się staw obozowym majdanem a kępy trzcin namiotami. Wówczas chciał wołać na Wołodyjowskiego, by szedł z nim razem, ale tyle miał jeszcze przytomności, iż się wstrzymał.

— Nie krzycz! nie krzycz! — powtarzał sobie — to zguba.

Lecz owa walka z samym sobą coraz była trudniejsza. Wyszedł ze Zbaraża znękany głodem i straszną bezsennością, od której umierali tam już żołnierze Ta podróż nocna, zimna kąpiel, trupi oddech wody, błądzenie po błotach, szarpanina wśród korzeni roślin, osłabiły go do reszty. Dołączyło się i rozdrażnienie strachu i ból od ukąszeń komarów, które pokłuły mu tak twarz, że cała była krwią oblała — więc czuł, że jeżeli prędko nie dojdzie do bagienka, to albo wyjdzie na brzeg, by go prędzej spotkało, co ma spotkać, lub padnie wśród tych trzcin i utopi się.

Owo bagienko i ujście rzeki wydawało mu się portem zbawienia, choć poprawdzie zaczynały się tam nowe trudności i niebezpieczeństwa.

Bronił się gorączce i szedł, coraz mniej zachowując ostrożności. W jej szumie słyszał Skrzetuski głosy ludzkie, rozmowy; zdawało mu się, że o nim tak rozmawia ten staw. Dojdzie li do bagienka, czy nie dojdzie! wylezie, czy nie wylezie? Komary śpiewały nad nim cienkimi głosami coraz żałośniej. Woda stawała się głębsza — wkrótce doszła mu do pasa, a potem do piersi. Więc pomyślał, że jeśli płynąć, przyjdzie, to się w tej zbitej tkaninie zaplącze i utonie.

I znowu porwała go niepowstrzymana, nieprzeparta chęć wezwania Wołodyjowskiego, i już ręce złożył koło ust, by zakrzyknąć:

— Michale! Michale!

Na szczęście jakaś miłosierna trzcina uderzyła go zroszoną mokrą kiścią w twarz. Oprzytomniał i ujrzał przed sobą, ale nieco ku prawej stronie, mdłe światełko.

Teraz patrzał już ciągle w to światło i czas jakiś szedł wytrwale ku niemu.

Nagle zatrzymał się, spostrzegłszy pas czystej wody, leżącej w poprzek. Odetchnął. Była to rzeka, a po obu jej stronach bagienko.

— To już przestanę krążyć brzegiem i zapuszczę się w ten klin — pomyślał.

Z obu stron klinu ciągnęły się dwie smugi trzcin — rycerz zapuścił się tą, do której doszedł. Po chwili poznał, że jest na dobrej drodze. Obejrzał się: staw był już za nim, a on postępował teraz wzdłuż wąskiej taśmy, która nie mogła być czem innem tylko rzeką. Woda też tu była zimniejsza.

Lecz po niejakim czasie owładnęło nim straszne znużenie. Nogi trzęsły mu się, a przed oczyma stawał jakoby tuman czarny. "Nie może być inaczej, tylko dojdę do brzegu i położę się — myślał — nie pójdę dalej, odpocznę."

Wtem upadł na kolana i rękoma zmacał kępę suchą, porosłą mchami. Była to jakoby wysepka wśród sitowia.

Siadł na niej i począł wycierać rękoma zakrwawioną twarz i przytem oddychać mocno.

Po chwili, do jego nozdrzy doszedł zapach dymu. Odwróciwszy się ku brzegowi, dojrzał o sto kroków od brzegu ogień, a naokoło niego kupkę ludzi.

Był zupełnie nawprost tego ognia, i w chwilach, gdy wiatr rozginał trzciny, mógł widzieć wszystko doskonale. Od pierwszego rzutu oka poznał koniuchów tatarskich, którzy siedzieli przy ognisku i jedli.

Wówczas odezwał się w nim straszny głód. Ostatniego rana zjadł kawałek koniny, którym nie nasyciłoby się i dwumiesięczne szczenię wilcze — od tego czasu nie miał nic w ustach.

Więc począł zrywać rosnące obok okrągłe łodygi grążeli i wysysał je chciwie. Gasił niemi zarówno głód, jak i pragnienie, bo i pragnienie go trawiło.

Przytem ciągle wpatrywał się w ognisko, które bladło coraz bardziej i mdlało. Ludzie przy niem przesłaniali się jakoby mgłą i zdawali się oddalać.

— Aha! sen mnie morzy! Tu usnę, na tej kępie — pomyślał rycerz.

Lecz przy ognisku uczynił się ruch. Koniuchowie wstali. Wkrótce do uszu Skrzetuskiego doszły wołania: "Łosz! łosz!" Odpowiedziało im krótkie rżenie. Ognisko opustoszało i przygasło. Po chwili jeszcze rycerz usłyszał gwizdanie i głuchy tupot kopyt po wilgotnej łące.

Skrzetuski nie mógł zrozumieć, czemu to koniuchowie odjeżdżają. Wtem spostrzegł, że kiście trzcin i tarcze grzybienia są jakieś bladawe — woda świeci się inaczej, niż od księżyca, a powietrze przysłania się lekką mgłą.

— Obejrzał się — dniało.

Cała noc zeszła mu na okrążaniu stawu, nim doszedł do rzeki i bagienka.

Był zaledwie na początku drogi. Teraz musiał iść rzeką i przedostawać się przez tabory za dnia.

Powietrze nasycało się coraz więcej światłem brzasku. Na wschodzie niebo przybrało barwę bladego seledynu.

Skrzetuski spuścił się na nowo z kępy w bagno i dotarłszy po krótkiej przeprawie do brzegu, wysadził głowę z trzcin.

W odległości pięciuset może kroków widać było jedną placówkę tatarską, zresztą łąka była pusta, tylko ognisko świeciło opodal na suchem miejscu dogasającym żarem; rycerz postanowił przy czołgnąć się ku niemu wśród wysokich traw, przerosłych jeszcze tu i owdzie sitowiem.

Doczołgawszy się, szukał pilnie, czy nie znajdzie jakich resztek żywności. Jakoż znalazł świeżo ogryzione kości baranie, ze szczątkami żył, tłuszczu, oraz kilka sztuk pieczonej rzepy, porzuconych w ciepłym popiele — jął więc jeść z żarłocznością dzikiego zwierza i jadł póki nie spostrzegł, że placówki porozstawiane na drodze, którą przebył, wracając tą samą łąką ku taborowi, zbliżają się ku niemu.

Wówczas rozpoczął odwrót i po kilku minutach znikł w ścianie trzcin. Odnalazłszy swą kępkę, położył się na niej bez szelestu. Straże tymczasem przejechały. Skrzetuski wziął się natychmiast do kości, które zabrał z sobą, a które poczęły teraz trzaskać w jego

potężnych szczękach, jak w wilczych. Ogryzł tłuszcz i żyły, wyssał szpik, zżuł masę kostną — zaspokoił pierwszy głód. Takiej porannej uczty nie miał oddawna w Zbarażu.

Uczuł się teraz silniejszym. Pokrzepiło go zarówno pożywienie, jak wstający dzień. Robiło się coraz widniej; wschodnia strona nieba z zielonawej stawała się różową i złotą, chłód poranny dokuczał wprawdzie mocno rycerzowi, ale pocieszała go myśl, że wkrótce słońce rozgrzeje jego strudzone ciało. Rozejrzał się dokładnie, gdzie jest. Kępa była dosyć duża, trochę krótka, bo krągława, ale za to szeroka, że dwóch ludzi mogło się na niej z łatwością położyć. Trzciny otaczały ją naokół, jakby murem, zakrywając zupełnie przed ludzkiem oczyma.

— Nie znajdą mnie tu — myślał Skrzetuski — chybaby za rybami chcieli po trzcinach chodzić, a ryb niema, bo od zgnilizny pozdychały. Tu sobie wypocznę i rozmyślę, co dalej czynić.

I począł myśleć, czy ma iść dalej rzeką, czy nie, nakoniec postanowił iść, jeżeli wstanie wiatr i będzie trzciny kołysał; w przeciwnym razie ruch i szelest mogłyby go zdradzić, zwłaszcza, że przyjdziemu prawdopodobnie przechodzić blisko taboru.

— Dzięki ci Boże, żem żyw dotąd! — szepnął z cicha.

I wzniósł oczy ku niebu, następnie myślą uleciał do polskich okopów. Zamek widać było z owej kępy doskonale, zwłaszcza, że ozłociły go pierwsze promienie wschodzącego słońca. Może tam z wieży spogląda kto na stawy i trzciny przez perspektywę, a już tam Wołodyjowski i Zagłoba pewno cały dzień będą wypatrywali z wałów, czy nie ujrzą go wiszącego na jakiej belluardzie.

— Otóż nie ujrzą! — pomyślał Skrzetuski, i pierś napełniła mu się błogiem uczuciem ocalenia. — Nie ujrzą, nie ujrzą! — powtórzył kilkakrotnie. Mało zrobiłem drogi, ale trzeba ją było zrobić. Bóg mi pomoże i dalej.

Tu zobaczył się już oczyma imiginacyi za taborami — w lasach, za którymi stoją wojska królewskie: pospolite ruszenie całego kraju, husarye, piechoty, regimenta cudzoziemskie — ziemia aż jęczy pod ciężarem ludzi, koni i armat, a między tem mrowiem sam król Jegomość...

Potem ujrzał bitwę niezmierną, rozbite tabory — księcia z całą jazdą, lecącego po stosach trupów, powitanie się wojsk...

Oczy bolące i popuchłe przymykały mu się pod nadmiarem my-

śli. Poczynała go ogarniać jakaś błoga niemoc wreszcie wyciągną się całą swą długością i usnął.

Trzciny szumiały. Słońce wytoczyło się wysoko na niebo i ogrzewało gorącem spojrzeniem rycerza, suszyło na nim ubiór — on spał twardo bez ruchu. Ktoby go spostrzegł tak leżącego na kępie, z okrwawioną twarzą, tenby sądził, że to leży trup, który wyrzuciła woda. Mijały godziny, on spał ciągle. Słońce dobiegło zenitu i poczęło schodzić na drugą stronę nieba, on spał jeszcze. Rozbudził go dopiero kwik przeraźliwy koni, gryzących się na łące, i głośne wołania koniuchów, smagających batami tabunne ogiery

Przetarł oczy, spojrzał, przypomniał sobie gdzie jest. Spojrzał w górę: na czerwonem od niedogasłych blasków zachodu niebie migotały gwiazdy — przespał cały dzień.

Skrzetuski nie czuł się wypoczętym, ani silniejszym owszem, bolały go wszystkie kości. Lecz pomyślał, że właśnie nowy trud przywróci mu rzeźkość ciała — i spuściwszy nogi w wodę, niezwłocznie ruszył w dalszą drogę.

Szedł teraz tuż przy trzcinach, czystą wodą, by szelestem nie zwrócić uwagi pasących na brzegu koniuchów. Ostatnie blaski zgasły i było dość ciemno, bo księżyc jeszcze się nie ukazał z poza lasów. Woda była tak głęboka, że Skrzetuski tracił miejscami grunt pod nogami musiał płynąć, co przychodziło mu ciężko, bo był w ubraniu płynął pod bieg, który jakkolwiek leniwy, pchał go jednak nazad ku stawom. Ale za to najbystrzejsze oczy tatarskie nie mogły dostrzedz tej głowy, posuwającej się wzdłuż ciemnej ściany trzcin. Posuwał się więc dość śmiało, chwilami płynąc, a po większej części brodząc po pas i po pachy, aż wreszcie dotar do miejsca, z którego oczy jego ujrzały po obu stronach rzeki tysiące i tysiące światełek.

— To tabory — pomyślał — teraz Boże dopomóż.

I słuchał.

Gwar zmieszanych głosów dochodził jego uszu. Tak, były to tabory. Po lewym brzegu rzeki, idąc z jej biegiem, stał obóz kozacki ze swoimi tysiącami wozów, namiotów — po prawym kosz tatarski; oba gwarne, hałaśliwe, pełne ludzkiego rozhoworu, dzikich dźwięków bębnów i piszczałek, ryku bydła, wielbłądów, rżenia koni, okrzyków. Rzeka przedzielała je, stanowiąc zarazem przeszkodę dla kłótni i zabójstw, bo Tatarzy nie mogli spokojnie stać obok Kozaków. Była też w tem miejscu szersza, a może rozkopano ją umyśl-

nie. Ale z jednej strony wozy, z drugiej trzcinowe szałasy dochodzi y, miarkując po ogniach, o kilkadziesiąt kroków od brzegów — nad samą zaś wodą stały zapewne straże.

Trzcina i sitowia rzedły — widocznie naprzeciw obozowisk były szczyrkowate brzeg i Skrzetusk posunął się jeszcze kilkadziesiąt kroków — i zatrzymał się. Jakaś potęga i groza szły ku niemu od tych mrowisk.

W tej chwil wydało mu się, że cała czujność i zaciekłość tych tysięcy istot ludzkich zwrócona jest ku niemu i czul wobec nich zupełną niemoc, zupełną bezbronność. By sam jeden.

— Nikt tędy nie przejdzie! — pomyślał.

Lecz posunął się jeszcze naprzód, bo ciągnęła go jakaś niepohamowana, bolesna ciekawość. Chcia bliżej spojrzeć na tę straszliwą potęgę.

Nagle stanął. Las trzcin kończył się jakby nożem ucięty. Może też i wycięto je na szałasy. Dalej czysta fala czerwieniała krwawo od przeglądających się w niej ognisk.

Dwa wielkie i jasne płomienie paliły się tuż nad brzegami. Przy jednym sta Tatar na koniu, przy drugim mołojec z długą spisą w ręku. Oba patrzeli na siebie i na wodę. W dali widać było innych tak samo stojących na straży i patrzących.

Blaski promieni rzucały jakoby ognisty most przez rzekę. .Pod brzegami widać było szeregi małych łódek, używanych do straży na stawie.

— Niepodobieństwo! mruknął Skrzetuski.

I nagle chwyciła go rozpacz. Ani iść naprzód, ani się wracać!.. Oto doba ubiegła, jak tłukł się po błotach i bajorach, oddychał zgniłem powietrzem i mokł w wodzie na to tylko, by dotarłszy do tych właśnie taborów, przez które przejść się podjął, poznać, że to jest niepodobieństwem.

Lecz i powrót był niepodobieństwem; rycerz wiedział, że może znajdzie dość sił, by wlec s ę naprzód, ale nie znajdzie, by się cofać. W rozpaczy jego była zarazem głucha wściekłość; w pierwszej chwili chciał wyjść z wody, zdławić straż, potem rzucić się na tłumy i zginąć.

Wiatr znowu zaszumiał dziwnym szeptem po trzcinach, przynosząc zarazem głos dzwonu ze Zbaraża. Skrzetuski począł się modlić żarliwe i bił się w piersi, i wzywał ratunku Niebios z siłą i z rozpaczliwą wiarą tonącego; — on modlił się, a kosz i tabor hucza-

ły złowrogo, jakby w odpowiedzi na modlitwę — czarne i czerwone od ognia postacie snuły się, jak stada czartów po piekle — straże stały nieruchomie — rzeka płynęła krwawą wodą.

— Ognie pogaszą, gdy noc głucha nastanie — rzekł sobie Skrzetuski i czekał.

Upłynę a jedna godzina i druga. Gwar zmniejszał się, ogniska istotnie poczęły zwolna przygasać — prócz dwóch strażniczych, które płonęły coraz silniej

Straże zmieniały się — i widocznem było, że tak będą stały aż do rana.

Skrzetuskiemu przeszło przez myśl, że może zdoł łatwiej w dzień się prześliznąć — lecz wnet rozstał się z tą myślą W dzień brano wodę, pojono bydło, kąpano się — rzeka musiała być pełna ludzi.

Nagle wzrok Skrzetuskiego padł na czółna. Po obu brzegach stało ich po kilkadziesiąt w szeregu, a ze strony tatarskiej sitowia dochodziły aż do pierwszych.

Skrzetuski zanurzył się po szyję w wodę i począł posuwać się zwolna ku nim, mając oczy utkwione, jak w tęczę, w tatarskiego strażnika.

Po upływie pół godziny był tuż, tuż u pierwszej łódki. Plan jego był prosty. Zadarte tyły czółen wznosiły się nad wodę, tworząc nad nią rodzaj sklepienia, przez które głowa ludzka mogła się z łatwością przecisnąć. Jeżeli wszystkie czółna stały bokiem do boku tuż obok siebie, strażnik tatarski nie mógł zobaczyć przesuwającej się pod niemi głowy; więcej niebezpieczny był kozacki — ale i ten mógł nie dojrzeć, bo pod czółnami, mimo przeciwległego ognia panował mrok. Zresztą nie było innej drogi.

Skrzetuski nie wahał się dłużej i wkrótce znalazł się pod tyłami czółen.

Lazł na czworakach, a raczej czołgał się, bo woda była płytka. Był tak blisko stojącego na brzegu Tatara, że słyszał parskanie jego konia. Zatrzymał się przez chwilę i słuchał. Czółna na szczęście były zestosowane bokami. Oczy miał teraz utkwione w kozackiego strażnika, którego widział, jak na dłoni, ale ten patrzał w kosz tatarski. Rycerz minął z piętnaście czółen, gdy nagle usłyszał tuż nad brzegiem kroki i głosy ludzkie. Przyczaił się natychmiast i słuchał. W podróżach do Krymu nauczył się po tatarsku —

teraz dreszcz przebiegł go po całem ciele, gdy usłyszał słowa rozkazu:

— Siadać i jechać!

Skrzetuskiemu zrobiło się gorąco, chociaż był w wodzie. Jeżeli jadący siądą w to czółno, pod którem w tej chwili się ukrywa, to zginął, jeżeli siądą w które ze stojących na przedzie, to także zginął bo pozostanie puste, oświecone miejsce.

Każda sekunda wydała mu się godziną. Wtem kroki zadudniały w deski — Tatarzy siedli w czwarte lub piąte czółno tuż za nim — zepchnęli je i poczęli płynąć w kierunku stawu.

Lecz czynność ta zwróciła na czółna oczy kozackiego strażnika. Skrzetuski przez jakie pół godziny ani drgnął. Dopiero gdy straż zmieniono, począł posuwać się dalej.

W ten sposób dotarł do końca czółen. Za ostatniem zaczynały, się znów sitowia, a dalej trzciny. Dostawszy się do nich, rycerz, zziajany, spotniały, padł na kolana i dziękował Bogu całem sercem.

Posuwał się teraz nieco śmielej, korzystając ze wszystkich powiewów, które napełniały szumem brzegi. Kiedy niekiedy oglądał się za siebie. Ognie strażnicze zaczęły się oddalać, przesłaniać, migotać, słabnąć. Smugi trzcin i sitowia stawały się coraz czarniejsze, gęstsze, bo brzegi były bagnistsze. Straże nie mogły stać blisko — gwar obozowiska słabnął. Jakaż nadludzka siła skrzepiła członki rycerza. Darł się przez trzciny, kępy, zapadał w błota, topił się, płynął i podnosił się znowu. Nie śmiał jeszcze wyjść na brzeg — ale prawie czuł się już ocalony. Sam nie umiał sobie zdać sprawy, jak długo tak szedł, brnął, ale gdy znów obejrzał się — ognie strażnicze wydawały się jakby punkciki świecące w dali. Po kilkuset krokach znikły zupełnie. Księżyc wzeszedł; naokoło była cisza. Wtem szum się ozwał większy i poważniejszy niż szum trzcin. Skrzetuski omal nie wykrzyknął z radości: las był z obu stron rzeki.

Wówczas skierował się ku brzegom i wypłynął z trzcin. Bór sosnowy zaczynał się tuż za sitowiem i trzcinami. Zapach żywicy doszedł do jego nozdrzy. Gdzieniegdzie w czarnych głębiach świeciły jak srebro paprocie.

Rycerz po raz drugi upadł na kolana i ziemię całował w modlitwie.

Był ocalony.

Potem zagłębił się w ciemność leśną, pytając samego siebie:

dokąd ma iść? dokąd go zaprowadzą te lasy, gdzie jest król i wojsko?

Droga nie była skończona — nie była łatwa, ani bezpieczna — alż gdy pomyślał, że wydostał się ze Zbaraża, że przekradł się przez straże, błota, i tabory, i pó milionowe blisko zastępy nieprzyjaciół — wtedy wydawało mu się, że wszystkie niebezpieczeństwa przeminęły — że ten bór, to gościniec jasny, który poprowadzi go wprost do królewskiego majestatu.

I szedł ten nędzarz zgłodniały, zziębły, mokry, uwalany we własnej krwi, w czerwonej rudzie i czarnem błocie — z radością w sercu, z nadzieją, że wkrótce inaczej, potężniej wróci co Zbaraża.

— Już nie zostaniecie w głodzie i bez nadziei — myślał o druhach w Zbarażu — bo króla sprowadzę!

I cieszyło się to serce rycerskie bliskim ratunkiem dla księcia, dla regimentarzy, dla wojska, dla Wołodyjowskiego, i Zagłoby i wszystkich tych bohaterów, zamkniętych w zbaraskim okopie.

Głębie leśne otwierały się przed nim i osłaniały go cieniem.

LXI.

We dworze toporowskim, w bawialnej komnacie siedziało wieczorem trzech panów, zamkniętych na tajemnej rozmowie. Kilka świec jarzących paliło się na stole pokrytym mapami, przedstawiającemi okolicę, obok nich leża! wysok kapelusz z czarnem piórem, perspektywa, szpada z perłową rękojeścią, na którą narzucona była koronkowa chustka i para łosiowych rękawiczek. Za stołem, w wysokiem poręczowem krześle siedział człowiek, mający lat około czterdziestu, dość drobny i szczupły, ale silnie zbudowany. Twarz miał śniadą, żółtawą, zmęczoną, czarne oczy i takąż szwedzką perukę, z długimi lokami, spadającymi na plecy i ramiona. Rzadki, czarny wąs, zaczesany przy końcach ku górze, zdobił jego górną wargę, dolna zaś, razem z brodą, wystawała silnie naprzód, nadając całej fizyognomii charakterystyczny rys lwiej odwagi, dumy i uporu Nie była to twarz piękna, ale wysoce niepospolita. Wyraz zmysłowy, oznaczający skłonność do uciech, łączył się w niej w dziwny sposób z pewną martwotą i chłodem. Oczy były jakby przygasłe, ale odgadywałeś łatwo, że w chwili uniesienia,

wesołości i gniewu mogły rzucać błyskawice, które nie każdy wzrok zdołałby wytrzymać. Jednocześnie zaś malowała się w nich dobroć i łagodność.

Carny ubiór, złożony z atłasowego kaftana i koronkowej kryzy, z pod której wyglądał złoty łańcuch, podnosił dystynkcyę tej niezwykłej postaci. Wogóle, mimo smutku i trosk widocznych w licu i postawie, było w niej coś majestatycznego. Jakoż był to sam król, Jan Kazimierz Waza, niespełna od roku następca po bracie Władysławie. Nieco za nim, w półcieniu, siedzia Hieronim Radziejewski, starosta łomżyński, człowiek niski, gruby, rumiany, z tłustą i bezczelną twarzą dworaka, a naprzeciwko, za stołem, trzeci pan, wsparty na łokciu, patrzał na mapy przedstawiające okolicę, podnosząc kiedy niekiedy wzrok na króla.

Oblicze jego miało w sobie mniej majestatu, ale prawie więcej jeszcze urzędowej godności, niż królewskiej. Była to poorana troskami i myślą, chłodna i rozumna twarz męża stanu, której surowość nie psuła nadzwyczajnej piękności. Oczy miał błękitne, przenikliwe, cerę mimo wieku delikatną; polski wspaniały strój, szwedzka strzyżona broda i wysoki chochół nad czołem dodawały jeszcze jego regularnym, jakby z kamienia wykutym rysom senatorskiej powagi.

Był to Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny i książę Rzymskiego państwa, mówca i dyplomata, podziwiany przez dwory europejskie, sławny przeciwnik Jeremiego Wiśniowieckiego.

Nadzwyczajne jego zdolności wcześnie zwróciły nań uwagę poprzednich panowań i wcześnie wyniosły go do najwyższych urzędów, na mocy których sterował całą nawą państwową, w obecnej chwili bliską ostatecznego rozbicia.

A jednak kanclerz był jakby stworzony na sternika takiej nawy. Pracowity, wytrwały, rozumny, patrzący w dalszą przyszłość, obrachowujący na długie lata, wiódłby każde inne państwo, z wyjątkiem Rzeczypospolitej, do bezpiecznej przystani, pewną i spokojną ręką; każdemu innemu zapewniłby siłę wewnętrzną i długie lata potęgi... gdyby tylko był samowładnym ministrem takiego naprzykład monarchy, jak król francuski lub hiszpański.

Wychowany po za granicami kraju, wpatrzony w obce wzory, mimo całej wrodzonej bystrości i rozumu, mimo długoletniej praktyki, nie mógł przywyknąć do bezsilności rządu w Rzeczypospolitej i nie nauczył się z nią przez całe życie rachować, chociaż to była

skała, o którą rozbiły się wszystkie jego plany, zamiary, usiłowania — choć z jej przyczyny teraz już widział w przyszłości przepaść i ruinę, a później umierał z rozpaczą w sercu.

Był to genialny teoretyk, który nie umiał być genialnym praktykiem — i wpadł w koło błędne bez wyjścia. Wpatrzony w jakąś myśl, mającą wydać owoce w przyszłości, szedł ku niej z uporem fanatyka, nie bacząc, że ta myśl, w teoryi zbawienna, może wobec istniejącego stanu rzeczy wydać w praktyce straszliwe klęski. Chcąc wzmocnić rząd i państwo, rozpętał straszliwy żywioł kozacki, nie przewidziawszy, że burza zwróci się nietylko przeciw szlachcie, magnackim latyfundyom, nadużyciom, swawoli szlacheckiej, ale przeciw najrdzenniejszym interesom samego państwa

Wstał ze stepów Chmielnicki i urósł w olbrzyma. Na Rzeczpospolitą zwaliły się klęski Żółtych Wód, Korsunia i Piławiec. Na pierwszym kroku tenże Chmielnicki połączył się z wrogą, krymską potęgą. Grom padał za gromem — pozostawała tylko wojna i wojna. Straszliwy żywioł należało przedewszystkiem zgnieść, by módz w przyszłości z niego korzystać — a kanclerz, zapatrzony w swą myśl, jeszcze paktował i zwlóczył — i wierzył jeszcze — nawet Chmielnickiemu!

Siła rzeczy zdruzgotała jego teorye; z każdym dniem okazywało się jaśniej, że skutki usiłowań kanclerskich są wprost oczekiwanym przeciwne — aż wreszcie przyszedł Zbaraż i stwierdził to najdowodniej.

Kanclerz upadał pod brzemieniem zgryzot, goryczy i nienawiści powszechnej.

Więc czynił tak, jak czynią w dniach niepowodzeń i klęsk ludzie, których wiara w siebie jest silniejsza nad wszelkie klęski: szukał winnych.

Winną była cała Rzeczpospolita i wszystkie stany, jej przeszłość i ustrój państwowy, ale kto z obawy, by skała, leżąca na skłonie góry, nie runęła w przepaść, pragnie ją wtoczyć na wierzch, a nie policzy się z siłami, ten przyśpieszy tylko jej upadek. Kanclerz uczynił więcej i gorzej, bo do pomocy wezwał rwący straszliwy potok kozaczy, nie bacząc, że pęd jego może tylko podmulić i powyrywać grunt, na którym skała spoczywa.

Więc gdy on szukał winnych — wzajem i na niego zwracały się wszystkich oczy, jako na sprawcę wojny, klęsk i nieszczęść.

Ale król wierzył w niego jeszcze i wierzył tembardziej, że głos

powszechny, nie oszczędzając powagi majestatu — obwiniał i jego samego na równi z kanclerzem.

Siedzieli więc w Toporowie strapieni i smutni, nie wiedząc dobrze, co im począć należy, bo przy królu było tylko dwadzieścia pięć tysięcy wojska. Wici rozesłano za późno i zaledwie część pospolitego ruszenia ściągnęła do tego czasu. Kto był przyczyną tej zwłoki i czy nie była ona jednym więcej błędem upartej polityki kanclerza — tajemnica zginęła między królem i ministrem; dość, że w tej chwili czuli się obaj bezbronni wobec potęgi Chmielnickiego.

Co ważniejsza jeszcze: nie mieli dokładnych o n'm wieści. W obozie królewsk'm nie wiedziano dotąd, czy chan z całą potęgą znajduje się przy Chmielnickim, czy też towarzyszy tylko kozakom Tuhaj-bej z kilku tysiącami ordy. Było to pytanie tak ważne, jak śmierć lub życie. Z samym Chmielnickim mógłby w ostateczności król próbować szczęścia, choć i buntowniczy hetman dziesięć razy większą siłą rozporządzał. Urok imienia królewskiego znaczył dla Kozaków wiele — więcej może, niż tłumy pospolitego ruszenia niesfornej i niewyćwiczonej szlachty — ale jeżeli i chan był obecny, mierzyć się z taką przemocą było niepodobieństwem.

Tymczasem najrozmaitsze były o tem wieści, ale nikt nic nie wiedział dokładnie. Przezorny Chmielnicki skupił się, nie wypuścił ani jednego oddziału mołojców, ani zagonika Tatarów, umyślnie, aby król nie mógł dostać języka. Buntowniczy hetman inny miał zamiar — oto zamknąć częścią swych sił konający już Zbaraż, a sam zjawiłby się niespodzianie z całą potęgą tatarską i kozacką przed królem — otoczył go razem z wojskiem i wydał w ręce chana.

Więc nie bez powodu chmura okryła teraz twarz królewską, bo niemasz większej dla majestatu boleści, niż poczucie niemocy. Jan Kazimierz wsparł się bezwładnie o grzbiet krzesła, rękę rzucił na stół i rzekł, ukazując na mapy:

— Na nic to, na nic! Języków mi dostańcie.

— Niczego i ja więcej sobie nie życzę — odparł Ossoliński.

— Czy podjazdy wróciły?

— Wróciły, ale nic nie przywiodły.

— Ani jednego jeńca?

— Tylko chłopów okolicznych, którzy nic nie wiedzą.

— A pan Pełka wrócił? To przecie sławny zagończyk.

— Miłościwy królu! — ozwał się z za krzesła starosta łomżyński, — pan Pełka nie wrócił i nie wróci, bo poleg .

Nastała chwila milczenia. Król utkwił posępny wzrok w płonące świece i począł bębnić palcami po stole.

— Nie macie-że żadnej rady? — rzekł wreszcie.

— Czekać! — rzekł poważnie kanclerz.

Czoło Kana Kazimierza pokryło się zmarszczkami.

— Czekać? — powtórzył — a tam Wiśniowiecki i regimentarze zgorzeją pod Zbarażem!

— Jeszcze czas jakiś wytrzymają — rzekł niedbale Radziejowski.

— Milczałbyś, mości starosto, gdy nie masz nic dobrego do powiedzenia.

— Właśnie, Miłościwy Panie, że mam radę.

— Jaką?

— Posłać kogo, niby dla układów z Chmielnickim, pod Zbaraż. Poseł przekona się, czy chan jest własną osobą i z powrotem powie.

— Nie może być — rzekł król. — Teraz, gdyśmy Chmielnickiego za buntownika ogłosili, i cenę nałożyli na jego głowę i buławę nad Zaporożem Zabuskiemu oddali, nie przystoi naszej powadze wchodzić z Chmielnickim w rokowania.

— To do chana wysłać — odrzekł starosta.

Król zwrócił pytający wzrok na kanclerza, który podniósł nań swe błękitne, surowe źrenice i po chwili namysłu ozwał się:

— Rada byłaby dobra, ale Chmielnicki bez żadnej wątpliwości posła zatrzyma — i dlatego na nic się to nie przydało.

Jan Kazimierz machnął ręką

— Widzimy — rzekł zwolna, — że nie macie żadnego sposobu; tedy ja wam mój powiem. Oto każę trąbić wsiadanego i ruszę z całem wojskiem pod Zbaraż. Niech-że się dzieje wola Boża! Tam się dowiemy, czy chan jest, czy go niema.

Kanclerz znał niczem niepowstrzymaną odwagę króla i nie wątpił, że to uczynić gotów. Z drugiej strony wiedział z doświadczenia, iż gdy król coś zamierzy i zatnie się w przedsięwzięciu, tedy żadne odmowy nie pomogą. Więc nie sprzeciwiał się odrazu, pochwalił nawet myśl, ale odradzał pośpiech: przekładał królowi, że można to uczynić jutro lub pojutrze — a tymczasem mogą nadejść pomyślne nowiny. Każdy dzień będzie powiększał rozprzężenie między czernią, znękaną klęskami pod Zbarażem i wieścią o zbliżaniu się

królewskim. Bunt może stopnieć od promieni majestatu, jak śnieg od promieni słonecznych, ale trzeba mu dać czas. Król zaś nosi w sobie ocalenie całej Rzeczypospolitej i pod odpowiedzialnością wobec Boga i potomności nie powinien się narażać, tem bardziej, że w razie nieszczęścia, wojska zbaraskie byłyby właśnie zgubione bez ratunku.

— Róbcie, co chcecie, bylem miał języka na jutro.

I znów nastała chwila milczenia. W oknie stanął ogromny złoty księżyc, ale w komnacie pociemniało, bo grzyby urosły na knotach świec.

— Która godzina? — pytał król.

— Północ blisko — odrzekł Radziejowski.

— Nie będę spał tej nocy. Obóz objadę, a wy jedźcie ze mną. Gdzie Ubald i Arciszewski?

— W obozie. Pójdę rzec, by konie podano — odpowiedział starosta.

I zbliżył się ku drzwiom; wtem w sieni uczynił się jakiś ruch, słychać było przez chwilę żywą rozmowę, odgłos pośpiesznych kroków, wreszcie drzwi otworzyły się na roścież i wpadł zdyszany Tyzenhauz, rękodajny dworzanin królewski.

— Miłościwy królu! — zawołał — przybył towarzysz ze Zbaraża!

Król zerwał się z krzesła, kanclerz powstał również i obudwom wyrwał się z ust okrzyk:

— Nie może być!

— Tak jest! stoi w sieniach.

—Dawaj go sam!—zawołał król, klasnąwszy w dłonie. Niech umorzy frasunek. Dawaj go sam na Matkę Najświętszą!

Tyzenhauz zniknął we drzwiach i po chwili, zamiast niego, zjawiła się jakaś wysoka, nieznana postać.

— Bliżej, mości panie! — wołał król — bliżej! Radzi cię widzimy!

Towarzysz przysunął się aż do stołu i na jego widok król, kanclerz i starosta łomżyński cofnęli się w zdumieniu. Przed nimi stał jakiś straszny człowiek, a raczej widmo; łachmany, podarte na strzępki, zaledwie okrywały jego wychudłe ciało; twarz miał siną, umazaną błotem i krwią, oczy płonące gorączkowem światłem; czarna rozczochrana broda spadała mu na piersi, zapach trupi rozchodził się od niego naokoło, a nogi tak drżały pod nim, że musiał się o stół wesprzeć.

Król i dwaj panowie patrzali na niego szeroko otworzonemi oczyma. W tej chwili drzwi otworzyły się i weszła hurma dygnitarzy wojskowych i cywilnych: generałowie Ubald Arciszewski, podkanclerzy litewski Sapieha, starosta rzeczycki, pan sandomierski. Wszyscy stanąwszy za królem, patrzali na przybysza, król zaś rzekł:

— Ktoś ty?

Nędzarz otworzył usta chciał mówić, ale kurcz chwycił go za szczękę, broda zaczęła mu drgać i zdołał wyszeptać tylko:

— Ze... Zbaraża!

— Wina mu dajcie! — rzekł jakiś głos,

Podano w mgnieniu oka napełniony kubek, przybysz wypił go z wysileniem. Przez ten czas kanclerz zrzucił z siebie delię i okrył nią jego ramiona.

— Możesz teraz mówić? — pytał po niejakim czasie król.

— Mogę — odpowiedział pewniejszym głosem rycerz.

— Ktoś jest?

— Jan Skrzetuski... porucznik husarski.

— W czyjej służbie?

— Wojewody ruskiego.

Szmer rozszedł się po sali.

— Co słychać u was? co słychać? — pytał gorączkowo król.

— Nędza... głód... jedna mogiła...

Król zasłonił oczy.

— Jezusie Nazareński! Jezusie Nazareński! mówił cichym głosem.

Po chwili zhów spytał:

— Długo się możecie trzymać?

— Prochów brak. Nieprzyjaciel w wałach..

— Siła go?

— Chmielnicki... Chan ze wszystkiemi ordami

— Chan jest?

— Tak...

Nastało głuche milczenie. Obecni spoglądali po sobie; niepewność odmalowała się na wszystkich twarzach.

— Jakżeście mogli wytrzymać? — spytał kanclerz z akcentem wątpliwości.

Na te słowa Skrzetuski podniósł głowę, jakby nowa wstąpiła weń

siła, błyskawica dumy przybiegła mu przez twarz i odrzekł nadspodziewanie silnym głosem:

— Dwadzieścia szturmów odpartych, szesnaście bitew w polu wygranych, siedemdziesiąt pięć wycieczek...

I znowu nastało milczenie.

Wtem król wyprostował się, wstrząsnął peruką, jak lew grzywą, na żółtawą twarz wystąpiły mu rumieńce, a oczy pomieniały.

— Na Boga — krzyknął — dość mi tych rad, tego stania, tej zwłoki! Jest chan, czy go niema, przyszło pospolite ruszenie, czy nie przyszło — na Boga! dosyć mi tego! Dziś jeszcze ruszamy pod Zbaraż!

— Pod Zbaraż! pod Zbaraż! — powtórzyło kilkanaście silnych głosów.

Twarz przybysza rozjaśniła się, jak zorza.

— Miłościwy królu i panie! — rzekł — przy tobie żyć i umierać!...

Na te słowa szlachetne serce królewskie zmiękło jak wosk, i nie zważając na wstrętną postać rycerza, pan ścisnął mu głowę rękoma i rzekł:

— Milszyś mi, niżeli inni w atłasach. Na Matkę Najświętszą, mniejszych starostwami nagradzają — jakoż nie będzie to bez nagrody, coś czynił! Nie przecz! dłużnikiem ci jestem!

A inni zaraz poczęli wykrzykiwać za królem:

— Nie było jeszcze większego rycerza!

— Ten jest i między zbaraskimi najprzedniejszy!

— Nieśmiertelnąż chwałę pozyskał.

— Jakżeś to się przez Kozaków i Tatarów przedarł?...

— W błotach się ukrywałem, w trzcinach, lasami szedłem... błądziłem... nie jadłem.

— Jeść mu dajcie! — krzyknął król.

— Jeść — powtórzyli inni.

— Okryć go!

— Niech ci jutro konia i szaty dadzą — rzekł znów król. — Na niczem ci zbywać nie będzie.

Wszyscy prześcigali się, za przykładem króla, w pochwałach dla rycerza. Wnet poczęto go znowu zarzucać pytaniami, na które z największą trudnością odpowiadał, bo osłabienie ogarniało go coraz większe, i ledwie już nawpół był przytomny. Wtem przyniesio-

no posiłek, a zarazem wszedł ksiądz Cieciszowski, kaznodzieja królewski.

Rozstąpili mu się dygnitarze, bo był to ksiądz wielce uczony, poważny, i słowo jego prawie więcej jeszcze znaczyło u króla, niż kanclerskie, a z ambony wypowiadał, bywało, takie rzeczy, których i na sejmie niebardzo kto śmiał poruszyć. Otoczono go tedy i poczęto rozpowiadać, że oto przyszedł towarzysz ze Zbaraża, że tam książę, lubo o głodzie i mizeryi, gromi jeszcze chana, który jest obecny własną osobą, i Chmielnickiego, który przez cały zeszły rok tylu ludzi nie utracił, ilu pod Zbarażem—nakoniec, że król chce ruszać na odsiecz, choćby mu z całem wojskiem zgorzeć przyszło.

Ksiądz słuchał w milczeniu, poruszając wargami i spoglądając co chwila na wynędzniałego rycerza, który jadł przez ten czas, bo mu król nie kazał zważać na swą obecność i sam go jeszcze pilnował, a kiedyniekiedy przepijał do niego z małego srebrnego kuszyczka.

— A jakże się zowie ów towarzysz? — spytał wreszcie ksiądz.

— Skrzetuski.

— Czy pan Jan.

— Tak jest.

— Porucznik księcia wojewody ruskiego?

— Tak jest.

Ksiądz wzniósł pomarszczoną twarz w górę i znów modlić się począł, a potem rzekł:

— Chwalmy imię Pana, bo niezbadane są drogi, któremi człowieka do szczęśliwości i spokoju prowadzi, Amen. Ja tego towarzysza znam.

Skrzetuski dosłyszał i mimowoli zwrócił oczy na twarz księdza — ale twarz, postać i głos obce mu były zupełnie.

— Więc waszmość to jeden z całego wojska podjąłeś się przejść przez obozy nieprzyjacielskie? — spytał go ksiądz.

— Poszedł przedemną towarzysz zacny, ale zginął — odpowiedział Skrzetuski.

— Tem większa twoja zasługa, żeś się potem iść ważył. Miarkuję po twojej nędzy, że straszna to musiała być droga. A Bóg wejrzał na twą cnotę, na twoją młodość i przeprowadził cię.

Nagle ksiądz zwrócił się do Jana Kazimierza:

— Miłościwy królu — rzekł — więc to nieodmienne postanowie-

nie W. Królewskiej Mości iść na ratunek księciu wojewodzie ruskiemu?

— Modlitwom waszym, ojcze — odpowiedział król — poruczam ojczyznę, wojsko i siebie, bo wiem, że straszna to impreza, ale już nie mogę pozwolić, aby książę wojewoda zgorzał w tym nieszczęsnym okopie z takiem rycerstwem, jak oto ten towarzysz, który tu jest przed nami.

— Bóg spuści wiktoryę! — zawołało kilkanaście głosów.

Ksiądz wzniósł ręce do góry i nastała cisza w sali.

— Benedico vos, in Nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. (Błogosławię was, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego).

— Amen! — rzekł król.

— Amen! — powtórzyły wszystkie głosy.

Spokój rozlał się po stroskanej dotychczas twarzy Jana Kazimierza, i tylko oczy jego rzucały blask niezwykły. Między zgromadzonymi rozległ się szmer rozmowy o bliskiej wyprawie, bo wielu jeszcze wątpiło, by król mógł wyruszyć natychmiast, on zaś wziął ze stołu szpadę i skinął na Tyzenhauza, by mu ją przypiął.

— Kiedy wasza królewska mość chcesz ruszyć? — pytał kanclerz.

— Bóg zdarzył noc pogodną — odparł król, — konie się nie pogrzeją. Mości strażniku obozowy — dodał, zwracając się ku dygnitarzom — każ otrąbić wsiadanego!

Strażnik ruszył natychmiast z komnaty. Kanclerz Ossoliński ozwał się z cichą uwagą, że nie wszyscy gotowi, i że wozy nie będą mogły ruszyć przede dniem, ale król odparł natychmiast:

— Komu wozy milsze od ojczyzny i majestatu, to niech zostanie.

Sala poczęła się wypróżniać. Każdy śpieszył do swej chorągwi, by ją "na nogi postawić" i do pochodu sprawić. Został w komnacie tylko król, kanclerz, ksiądz i pan Skrzetuski z Tyzenhauzem.

— Miłościwy panie! — rzekł ksiądz — czegoście się mieli dowiedzieć od tego towarzysza, toście się już dowiedzieli. Trzeba mu też dać folgę, bo się ledwie trzyma na nogach. Pozwól-że mnie wasza królewska mość wziąć go do mojej kwatery i przenocować.

— Dobrze, ojcze! — odrzekł król. Słuszne są żądania. Niech go Tyzenhauz i kto drugi odprowadzi, bo sam już pewnie nie zjadzie. Idź, idź, towarzyszu miły, nikt tu lepiej od ciebie na spokój nie zarobił. A pamiętaj, żem ci dłużnikiem. O sobie wprzód zapomnę, niż o tobie!

Tyzenhauz chwycił Skrzetuskiego pod ramię i wyszli. W sieniach spotkali starostę rzeczyckiego, który podparł z drugiej strony chwiejącego się rycerza; przodem szedł ksiądz, przed nim zaś pacholik z latarnią. Ale pacholik niepotrzebnie świecił, bo noc była widna, cicha i ciepła. Wielki, złoty księżyc płynął jak korab nad Toporowem. Z majdanu obozowego dochodziły: gwar ludzki, skrzypienie wozów i odgłosy trąb, grających pobudkę. Zdala przed kościołem, oświeconym blaskiem miesiąca, widać już było gromady żołnierzy konnych i pieszych. We ws konie rżały. Ze skrzypieniem wozów złączył się dźwięk łańcuchów i głuchy turkot armat. Gwar wzmagał się coraz bardziej.

— Ruszają już! — rzekł ksiądz.

— Pod Zbaraż... na ratunek... — wyszeptał Skrzetuski.

I niewiadomo, czy z radości, czy z trudów przebytych, czy dla obojga razem, zesłabł tak, że Tyzenhauz i starosta rzeczycki prawie go wlec musieli.

Tymczasem, kierując się ku plebanii, weszli między żołnierzy, stojących przed kościołem. Były to chorągwie sapieżyńskie i piechota Arciszewskiego. Niesprawieni jeszcze do pochodu stali żołnierze bezładnie, tłocząc się miejscami i zagradzając przejście.

— Z drogi! z drogi! — zawołał ksiądz.

— A kto tam szuka drogi?

— Towarzysz ze Zbaraża...

Czołem mu! wołały liczne głosy.

I rozstępowali się zaraz, ale inni tłoczyli się jeszcze bardziej, chcąc widzieć bohatera. I patrzeli zdumieni na tę nędzę, na tę twarz straszną, oświeconą blaskiem księżyca i szeptali do siebie zdumieni:

Ze Zbaraża... ze Zbaraża...

Z największym trudem doprowadził ksiądz Skrzetuskiego do plebanii. Tam go wykąpanego, obmytego z błota i krwi, kazał złożyć na łóżku miejscowego plebana, a sam wyszedł natychmiast do wojsk, które ruszały w pochód.

Skrzetuski był nawpół przytomny, ale gorączka nie pozwalała mu usnąć zaraz. Nie wiedział już jednak gdzie jest i co się stało. Słyszał tylko gwar, tętent, skrzypienie wozów, grzmiący pochód piechoty, krzyki żołnierzy, odgłos trąb — i wszystko zlało się w jego uszach w jeden szum...

Wojsko idzie, mruknął sam do siebie.

Tymczasem szum ów począł się oddalać, słabieć, niknąć, topnieć... aż wreszcie cisza objęła Toporów.

Wówczas zdawało się Skrzetuskiemu, że razem z łożem leci w jakąś przepaść bez dna...

LXII

Spał dni kilka, a i po przebudzeniu nie opuszczała go zła gorączka i długo jeszcze majaczył, gadał o Zbarażu, o księciu, o staroście krasnostawskim, rozmawiał z panem Michałem i z Zagłobą, krzyczał: "Nie tędy!" na pana Longina Podbipiętę — o kniaziównie tylko ani razu nie wspominał Widać było, że ta siła niezmierna, przez którą zamknął w sobie raz na zawsze pamięć o niej, nie opuszczała go nawet w osłabieniu i chorobie. Natomiast zdawało mu się, że widzi nad sobą pucołowatą twarz Rzędziana, zupełnie jak widział ją wówczas, kiedy to książę po konstantynowskiej bitwie wysłał go z chorągwiami pod Zasław, by tam wyścinał kupy swawolne, a Rzędzian zjawił się niespodziewanie na noclegu. I ta twarz wprowadzała zamęt do jego myśli, bo mu się majaczyło, że czas stanął w swym biegu i że nic się od owej pory nie zmieniło. Oto jest znowu nad Chomorem i śpi w chacie, a zbudziwszy się, ruszy do Tarnopola podprowadzić chorągwie... Krzywonos, pogromion pod Konstantynowem, uciekł do Chmielnickiego... Rzędzian nadjechał z Huszczy i siedzi nad nim... Skrzetuski chciałby przemówić, chciałby wydać polecenie pacholikowi, by kazał konie kulbaczyć, ale nie może... I znowu przychodzi mu do głowy, że nie jest nad Chomorem, że przecie od tego czasu było wzięcie Baru — tu pan Skrzetuski zacina się w bólu, i nieszczęsna jego głowa znowu pogrąża się w ciemności. Nic już nie wie, nic nie widzi — lecz po chwili z tej nocy, z tego chaosu, wyłania się Zbaraż... oblężenie... Więc nie jest nad Chomorem? A jednak Rzędzian siedzi nad nim, pochyla się ku niemu. Przez serca wycięte w okienkach wpada do izby wiązka jasnego światła i oświeca doskonale twarz pachołka, pełną troskliwości i współczucia...

— Rzędzian — woła pan Skrzetuski.

— O mój jegomości! że też już jegomość mnie poznał! — wykrzykuje pachołek i przypada do nóg pańskich. Myślałem, że już jegomość nigdy się nie rozbudzi...

Nastała chwila milczenia, słychać było tylko szlochanie pacholka, który wciąż ściskał nogi pańskie.

Gdziem jest? — pyta pan Skrzetuski.

— W Toporowie... Jegomość ze Zbaraża do króla Jegomości przyszedł... Chwała Bogu! chwała Bogu!

— A król gdzie jest?

— Poszedł z wojskiem na ratunek księciu wojewodzie.

Nastała znów chwila milczenia. Łzy radości spływały ciągle po twarzy Rzędziana, który po chwili zaczą powtarzać wzruszonym głosem:

— Że też ja jegomościne ciało jeszcze oglądam...

Potem wstał i otworzył okiennicę, a z nią i okno.

Poranne świeże powietrze wpadło do izby, a z niem i jasne światło dzienne. Z tem światłem wróciła Skrzetuskiemu cała przytomność...

Rzędzian usiadł w nogach łóżka.

— Tak jest, mój jegomość... Nikt tego dokazać nie mógł, czego jegomość dokazał, i z jegomościnej przyczyny król na ratunek poszedł.

— Pan Podbipięta przedemną próbował, ale zginął...

— O dla Boga! Pan Podbipięta zginął? Taki hojny pan i cnotliwy!... Aż mi dech zaparło.. Zali oni temu mocarzowi mogli dać rady...

— Z łuków go ustrzelili.

— A pan Wołodyjowski i pan Zagłoba?

— Zdrowi byli, jakem wychodził.

— To chwała Bogu. Wielcy to jegomości przyjaciele... Jeno mi ksiądz mówić zakazał...

Rzędzian umilkł i przez czas jakiś pracował głową. Zamyślenie odbiło się wyraźnie na jego pucołowatem obliczu. Po chwili ozwał się:

— Jegomość?

— A czego?

— A co się z fortuną pana Podbipięty stanie? Podobno to tam wsi i wszelakiej dobroci bez liku. Zali przyjaciołom czego nie zapisał, bo jak słyszałem, nie miał rodziny?

Skrzetuski nie odpowiedział nic, więc Rzędzian poznał, że mu nie w smak pytanie, i tak znów mówić począł:

— Ale chwalić Boga, że pan Zagłoba i pan Wołodyjowski zdrowi;

myślałem, że ich Tatarzy ogarnęli... Siła my biedy razem przeszli... jeno mi ksiądz mówić zakazał... Ej, mój jegomość, myślałem, że już ich nigdy nie zobaczę, bo nas orda tak przycisnęła, że rady nijakiej nie było.

— Toś ty był z panem Wołodyjowskim i panem Zagłobą? nic mi o tem nie wspominali.

— Bo i oni nie wiedzieli, czym ocalał, czym zginął...

— A gdzie to was tak orda przycisnęła?

— A za Płoskirowem, w drodze do Zbaraża. Bo my, mój jegomość, daleko aż za Jampol jeździli... jeno ksiądz Cieciszowski mówić zakazał.

Nastała chwila ciszy.

— Niechże wam Bóg zapłaci za wasze chęci i trudy — rzekł Skrzetuski — bo już wiem, pocoście tam jeździli. Byłem i ja tam przed wami... napróżno...

— Ej, mój jegomość, żeby nie ten ksiądz... Ale to tak powiada: ja muszę z królem jegomością pod Zbaraż jechać, a ty (powiada do mnie) pana pilnuj, jeno mu nie mów nic, bo dusza z niego wyjdzie.

Skrzetuski tak dalece rozstał się oddawna ze wszelką nadzieją, że i te słowa Rzędziana nie wykrzesały w nim najmniejszej jej iskierki... Czas jakiś leżał nieruchomie, aż wreszcie począł pytać:

— Skądżeś ty tu się wziął przy księdzu Cieciszowskim i przy wojsku?

— Mnie pani kasztelanowa sandomierska, pani Witowska, wysłała z Zamościa z oznajmieniem do pana kasztelana, że się w Toporowie z nim połączy... Mężna to jest pani, mój jegomość, i chce koniecznie przy wojsku być, byle się z panem kasztelanem nie rozłączać.. Więc ja do Toporowa przyjechałem na dzień przed jegomością. Pani sandomierskiej rychło patrzeć... powinnaby już być... ale cóż, kiedy on znowu z królem odjechał!...

— Nie rozumiem, jakżeś ty mógł być w Zamościu, kiedyś z panem Wołodyjowskim i panem Zagłobą za Jampol jeździł. Czemuś to do Zbaraża z nimi nie przyjechał?

— Bo widzi jegomość, jak nas orda wsparła, tak już nie było żadnej rady; więc oni się we dwóch całemu czambułowi zastawili, a ja uciekłem i dopiero oparłem się w Zamościu!

— Szczęście, że nie zginęli — rzekł Skrzetuski — ale myślałem, żeś lepszy pachołek. Zali godziło ci się opuszczać ich w takiej opresyi?

— Ej, mój jegomość, żeby to my byli sami, we trzech, pewnobym ja ich nie opuścił, bo mi się serce krajało... Aleśmy we czworo byli... Więc oni rzucili się na ordę, a mnie kazali... ratować... Żebym to ja był pewien, że jegomości radość nie zabije.. bo to my za Jampolem... znaleźli... ale że ksiądz...

Skrzetuski począł patrzeć na pachołka i mrugać oczyma, jak człowiek, który budzi się ze snu — nagle, rzekłbyś zerwało się coś w nim, bo pobladł strasznie, siadł na łożu i krzyknął grzmiącym głosem:

— Kto z tobą był?

— Jegomość! hej jegomości! — wołał pachołek, rażony zmianą, jaka zaszła w twarzy rycerza.

— Kto z tobą był? — krzyczał Skrzetuski i chwyciwszy za ramiona Rzędziana, trząść nim począł i sam trząsł się jak w febrze, i gniótł pachołka w żelaznych ręku.

— To już powiem — wołał Rzędzian — niech ksiądz robi co chce: panna z nami była, a teraz jest przy pani Witowskiej.

Skrzetuski zesztywniał, zamknął oczy, i głowa jego opadła mocno na poduszki.

— Rety! — wołał Rzędzian. — Pewno jegomość ostatnią parę puścił. Rety, com ja uczynił! lepiej mi było milczeć. O dla Boga, jegomość najdroższy, niechno jegomość przemówi... Dla Boga! słusznie ksiądz zakazywał... jegomość! hej, jegomość!...

— Nic to! — ozwał się wreszcie Skrzetuski — Gdzie ona jest?

— Chwała Bogu, że jegomość odżył!... Lepiej już nic nie powiem.

— Nic to! — ozwał się wreszcie Skrzetuski. — Gdzie ona jest?

— Chwała Bogu, że jegomość odżył!... Lepiej już nic nie powiem. Jest z panią kasztelanową sandomierską... rychło ich tu patrzeć... Chwała Bogu!... niech-no już jegomość nie umiera.. rychło ich tu patrzeć... my do Zamościa uciekli... i tam ksiądz oddał pannę pani Witowskiej.. dla przystojności... że to w wojsku swawolnicy bywają... Bohun ją uszanował, ale o przygodę nie trudno... Siła ja miałem kłopotów, tylko żem to żołnierzom mówił: "Księcia Jeremiego krewna!... " więc szanowali... Wydałem też na drogę niemało...

Skrzetuski znowu leżał nieruchomie, ale oczy miał otwarte, do pułapu wzniesione, i twarz bardzo poważna — widać modlił się. Gdy skończył, zerwał się, siadł na łożu i rzekł:

— Szaty mi daj — i każ konia kulbaczyć.

— A dokąd to jegomość chce jechać?

— Szaty prędzej daj!

— Jakby jegomość wiedział, że wszelkiego ochędóstwa jest dosyć, bo i król przed odjazdem nadawał i różni panowie nadawali. I trzy koniki bardzo foremne w stajni... Żebym to choć jednego takiego miał... ale lepiej jeszcze jegomości poleżeć i wypocząć, bo siły w jegomości żadnej niema

— Nic mi nie jest. Na konia mogę siadać. Na Boga żywego pośpiesz się!

— Wiem ja to, że jegomościne ciało z żelaza — niechże i tak będzie. Tylko mnie jegomość przed księdzem Cieciszowskim obroni... Oto szaty tu leżą... lepszych i u bławatników ormiańskich nie dostanie... Niech się jegomość ubiera, a ja powiem, iżby polewki winnej przynieśli, bom też już sobie kazał księżemu słudze uwarzyć.

To rzekłszy, Rzędzian zakrzątnął się koło strawy, a Skrzetuski począł śpiesznie przywdziewać szaty, zostawione w darze przez króla i panów. Tylko raz wraz chwytał pachołka w ramiona i cisnął go do wezbranej piersi, a zaś pachołek opowiadał mu wszystko ab ovo, (od początku), jako Bohuna, posieczonego przez pana Michała, ale już podleczonego, we Włodawie spotkał i jako się od niego o kniaziównie wywiedział i piernacz uzyskał. Jak potem poszli z panem Michałem i panem Zagłobą od waładynieckich jarów i ubiwszy wiedźmę i Czeremisa, kniaziównę uwieźli, a wreszcie, jak wielkie spotykały ich niebezpieczeństwa, gdy przed wojskami Burłaja uciekali.

— Burłaja pan Zagłoba usiekł — wtrącił gorączkowo Skrzetuski.

— Bitny to jest mąż — odpowiedział Rzędzian; — jeszczem też takiego nie widział, bo to jeden bywa mężny, drugi mówny, trzeci frant, a w panu Zagłobie wszystko w kupie siedzi. Ale najgorzej to już nam było, mój jegomość, w tych lasach za Płoskirowem, gdy orda wsparła. Pan Michał z panem Zagłobą zostali, by ich na siebie ściągnąć i pogoń wstrzymać, ja zaś rzuciłem się w bok ku Konstantynowu, Zbaraż omijając, bo już takem myślał, że zabiwszy pana małego i pana Zagłobę, będą właśnie ku Zbarażowi za nami gnali. Jakoż nie wiem, jakim tam sposobem Bóg w miłosierdziu swojem wyratował pana małego i pana Zagłobę... Myślałem, że ich usieką. My tymczasem umykali z panną między Chmielnickim, który od Konstantynowa ciągnął, a Zbarażem, pod który Tatarzy poszli.

— Nie poszli oni tam zaraz, bo ich pan Kuszel wyparł. Ale mów prędzej!

— Żebym ja to był wiedział, alem nie wiedział, więceśmy przeciskali się z panną między Tatary i Kozaki, jak wąwozem. Szczęściem kraj był pusty tak, że nigdzieśmy żywego człeka nie spotkali: ni we wsiach, ni w miasteczkach, bo wszystko pouciekało, gdzie kto mógł, przed Tatarami. Ale dusza mi na ramieniu siedziała ze strachu, żeby to mnie nie ogarnęli, czegom też w końcu nie uniknął.

Skrzetuski przestał się ubierać i spytał:

— Jak to?

— A tak, mój jegomość: wpadłem na podjazd kozacki Dońca, brata owej Horpyny, u której panna w jarze siedziała. Szczęściem, znałem go dobrze, bo mnie przy Bohunie widywał. Pokłoniłem mu się od siostry, pokazałem piernacz Bohunów i opowiedziałem wszystko: jako mnie Bohun po pannę posłał i jako mnie czeka za Włodawą. A on że to był Bohunowi przyjacielem i wiedział o tem, że siostra panny strzeże, więc uwierzył. Myślałem, że puści i jeszcze opatrzy na drogę: ale on powiada tak: "Tam (powiada) pospolite ruszenie się zbiera, jeszcze wpadniesz w ręce Lachom; zostań, powiada, ze mną, pojedziemy do Chmielnickiego; w obozie będzie dziewczynie najbezpieczniej, bo jej tam sam Chmielnicki będzie dla Bohuna strzegł." Jak mi to powiedział, ażem zmartwiał, bo co tu na to odrzec? Mówię tedy, że Bohun na nią czeka i że szyja moja w tem, żebym ją zaraz odwiózł. A on na to: "To damy znać Bohunowi — a ty nie jedź bo tam Lachy." Zacząłem się spierać, on też się spierał ze mną, że wreszcie rzecze: "Dziwno mi to, że się tak boisz między Kozaków iść — ej! czyś nie zdrajca!" Dopiero zobaczyłem, że niema innej rady, tylko nocą umykać, bo już zaczą mnie podejrzewać. Siódme poty na mnie biły, mój jegomość. Jużem tedy wszystko gotował do drogi, gdy pan Pełka od wojsk królewskich w nocy nadszedł.

— Pan Pełka? — rzekł, wstrzymując dech, Skrzetuski.

— A jakże, mój jegomość. Sławny to był zagończyk, pan Pełka, który niedawno poległ. — Panie, świeć nad jego duszą! — Nie wiem, czyby kto lepiej potrafił od niego podjazd prowadzić pod potęgą nieprzyjacielską się uwijać — chyba jeden pan Wołodyjowski. Owóż przyszedł pan Pełka, podjazd Dońcowy starł, że i noga nie uszła, a samego Dońca wziął do niewoli. Parę niedziel temu jak go na pal wołami nawlekl — dobrze mu tak! ale z panem Pełka

miałem biedy nie mało, bo to był człek okrutnie na cnotę zawzięty... Panie świeć nad jego duszą! Jużem się bał, aby panna, uszedłszy krzywdy od Kozaków, nie doznała gorszej od swoich... Dopierom powiedział panu Pełce, że to księcia naszego pana krewna. A on, trzeba jegomości wiedzieć, jak naszego księcia, bywało, wspominał, to czapkę zdejmował i na służbę się do niego zawsze wybierał... Więc zaraz zaczął pannę szanować i aż het do Zamościa, do króla nas odprowadził, a tam ksiądz Cieciszowski (bardzo to święty ksiądz, mój jegomość) w opiekę nas wziął i pani kasztelanowej Witowskiej pannę oddał.

Skrzetuski odetchnął głęboko, potem rzucił się na szyję Rzędziana.

— Przyjacielem mi będziesz, bratem, nie sługą — rzekł — ale teraz już jedźmy. Kiedy pani kasztelanowa miała tu stanąć?

— W tydzień po mnie — a już dziesięć dni jest... a ośm jegomość bez przytomności leżał.

— Jedźmy, jedźmy! — powtórzył Skrzetuski — bo mnie radość rozerwie.

Lecz nim skończył, dał się słyszeć tętent na podwórzu, i okna zaćmiły się nagle końmi i ludźmi. Przez szyby dojrzał pan Skrzetuski naprzód starego księdza Cieciszowskiego, a przy nim wychudzone twarze pana Zagłoby, Wołodyjowskiego, Kuszla i innych znajomych wśród czerwonych dragonów książęcych. Rozległ się wesoły okrzyk a po chwili hurma rycerzy z księdzem na czele wpadła do izby.

— Pokój zawarty pod Zborowem; oblężenie zdjęte! — wołał ksiądz.

Lecz Skrzetuski domyślił się zaraz tego na sam widok towarzyszów zbaraskich, a teraz już był w objęciach Zagłoby i Wołodyjowskiego, którzy odbierali go sobie wzajemnie.

— Powiedzieli nam, żeś żyw — krzyczał Zagłoba — ale tam większa radość, że cię tak rychło i w zdrowiu oglądamy! Umyślnieśmy tu po ciebie przyjechali... Janie! ani wiesz, jakąś się sławą okrył i jaka cię nagroda czeka!

— Król nagrodził — rzekł ksiądz — ale król królów więcej obmyślił.

— Wiem już — odparł Skrzetuski. — Niech was Bóg nagrodzi! Rzędzian wszystko mi wyznał.

— Radość cię nie zadusiła, to i lepiej! Vivat Skrzetuski, vivat kniaziówna! — krzyczał Zagłoba. — A co, Janie! nie pisnęliśmy ci

o niej ani słowa, bośmy nie wiedzieli, czy żywa. Ale pachołek gracko z nią umykał. O vulpes astuta (o chytry lisie!) książę czeka na was oboje. Ha! aż pod Jahorlik jeździliśmy po nią. Zabiłem monstrum piekielne, które jej strzegło! Uciekało przed wami tych dwunastu chłopczysków, ale teraz ich dogonicie i przegonicie. Będę miał wnuki, mości panowie! Rzędzian, mów zali wielkich przeszkód nie doznałeś? Imaginuj sobie, że całą ordę wstrzymaliśmy we dwóch z panem Michałem! Pierwszym się rzucił na cały czambuł. W wykrot się przed nami chowali, nic nie pomogło! Pan Michał też dobrze stawał... Gdzie moja córuchna? dajcie mi moją córuchnę!

— Niech ci Bóg, szczęści, Janie! niech ci Bóg szczęści! — mówił mały rycerz, biorąc ponownie w ramiona Skrzetuskiego.

— Niech wam Bóg, zapłaci za wszystko, coście dla mnie uczynili! Słów mi nie staje! Życiem, krwią wam nie nagrodzę! — odpowiedział Skrzetuski.

— Mniejsza z tem! — wołał Zagłoba, —Pokój zawarty! kiepski pokój, mości panowie, ale trudno! Dobrze, żeśmy ten zapowietrzony Zbaraż opuścili. Będzie teraz spokój, mości panowie. Nasza to praca i moja, bo gdyby Burłaj żył dotąd, na nicby się układy nie zdały. Na weselisko pojedziem. Dalej, Janie! Trzymaj się ostro! Ani się domyślasz, jaki książę pan ma dla ciebie prezent ślubny! Innym razem ci powiem, a teraz, gdzie moja córuchna u kaduka? dawajcie tu moją coruchnę Już je Bohun nie porwie, pierwej musiałby łyka porwać! Gdzie moja córuchna najmilsza?

— Właśniem na koń siadał, by jechać naprzeciw pan sandomierskiej — rzekł Skrzetuski; — jedźmy, jedźmy, bo rozum stracę!

— Hajda, mości panowie! Jedźmy z nim razem! Czasu nie tracić — Hajda!

— Pani sandomierska nie musi być daleko— rzekł ksiądz.

— Jazda! — dodał pan Michał.

Ale Skrzetuski już by za drzwiami i skoczył na konia tak lekko, jakby nie dopiero do z łoża boleści powstał. Rzędzian trzymał się jego boku, bo wołał z księdzem sam nie zostawać. Pan Michał i Zagłoba przyłączyli się do nich jechali co koń wyskoczy na czele gromady, a cała gromada szlachty i czerwonych dragonów leciała toporowską drogą, nakształt kraśnych płatków maku, które wiatr niesie

— Hajda! krzyczał Zagłoba, bijąc piętami konia.

I tak lecieli z dziesięć stajań, aż na skręcie gościńca ujrzeli tuż przed sobą szereg wozów i kolasek, otoczony przez kilkudziesięciu pajuków; kilku z nich, widząc naprzeciw zbrojnych ludzi, ruszyło zaraz z kopyta, pytać, coby byli za jedni.

— Swoi, od królewskiego wojska! — krzyknął pan Zagłoba. A to kto jedzie?

— Pani kasztelanowa sandomierska! — brzmiała odpowiedź.

Skrzetuskiego tak przybiło wzruszenie, iż sam nie wiedząc co czyni, zsunął się z konia i stanął, chwiejąc się, na boku gościńca. Czapkę zdjął, a po skroniach spływał mu pot obfity, i drżał ten rycerz przed szczęściem na całem ciele. Pan Michał zeskoczył również z kulbaki i chwycił w ramiona osłabłego rycerza.

Za nimi stanęli wszyscy na boku gościńca z poodkrywanemi głowami, a tymczasem szereg wozów i kolasek nadciągnął i począł przechodzić mimo. Z panią Witowską jechało kilkanaście różnych pań, które patrzały ze zdziwieniem na rycerzy, nie rozumiejąc, co ma znaczyć ta żołnierska procesya przy gościńcu. Ale wreszcie w środku orszaku ukazała się kolaska zdobniejsza od innych; oczy rycerzy ujrzały przez jej otwarte okna poważne oblicze sędziwej damy, a obok niej słodką i śliczną twarz Kurcewiczówny.

— Córuchna! — wrzasnął Zagłoba, rzucając się na oślep ku karecie — córuchna! Skrzetuski jest z nami!... Córuchna!

W orszaku poczęto wołać: "Stój! Stój!" — uczynił się ruch i zamieszanie, tymczasem Kuszel z Wołodyjowskim prowadzili, a raczej wlekli Skrzetuskiego do karety, on zaś osłabł zupełnie i ciężył im coraz bardziej. Głowa zwisła mu na piersi i nie mógł już iść i opadł na kolana przy stopniach kolaski.

Lecz w chwilę później, silne a słodkie ramiona Kurcewiczówny podtrzymały osłabłą i wynędzniałą głowę rycerza. Zagłoba zaś, widząc zdumienie pani sandomierskiej, wołał:

— To Skrzetuski, bohater ze Zbaraża! On to się przedarł przez nieprzyjaciół, on ocalił wojska księcia, całą Rzeczpospolitą! Niech im Bóg błogosławi i niech żyją!

— Niech żyją! Vivat! Vivat! — wołała szlachta.

— Niech żyją — powtórzyli książęcy dragoni, aż grzmot rozległ się po toporowskich polach... — Do Tarnopola! do księcia! na wesele wykrzyknął Zagłoba. A co córuchna! skończona twoja niedola!... a dla Bohuna kat i miecz!

Ksiądz Cieciszowski oczy miał podniesione do nieba a usta jego powtarzały cudne słowa natchnionego kaznodziei:

— Siejba była w płakaniu, a żniwo w weselu..

Usadzono Skrzetuskiego w karecie obok kniaziówny — i orszak ruszył dalej. Dzień był cudny, pogodny, dąbrowy i pola pławiły się w świetle słonecznem. Nizko, po ugorach i wyżej, nad ugorami i jeszcze wyżej, w błękitnem powietrzu, płynęły już tu i owdzie srebrne nitki pajęczyny, które późniejszą jesienią jakoby śniegiem pokrywają tamtejsze pola. Spokój był wielki naokoło, jeno konie parskały raźno w orszaku.

— Panie Michale — mówił Zagłoba, trącając strzemieniem w strzemię Wołodyjowskiego: — coś mnie znowu ułapiło za grzdykę i trzyma, jak to wówczas kiedy pan Podbipięta — wieczny mu odpoczynek! — wychodził ze Zbaraża; ale gdy pomyślę, że się tych dwoje wreszcie znalazło, to tak mi lekko na sercu, jakbym kwartę petercymentu duszkiem wypił. Jeśli ciebie małżeńska przygoda nie spotka, to na starość będziem ich dzieci hodowali. Każdy do czego innego się rodzi, panie Michale, a my dwaj lepsi chyba do wojny, niż do żeniaczki.

Mały rycerz nie odpowiedział nic, jeno począł wąsikami mocniej niż zwykle ruszać.

Jechali do Toporowa, a stamtąd do Tarnopola, gdzie się mieli z księciem połączyć i razem z jego chorągwiami do Lwowa na wesele ruszyć.. Przez drogę opowiadał Zagłoba pani sandomierskiej, co się w ostatnich czasach stało. Dowiedziała się więc, że król po nierozstrzygniętej, morderczej bitwie pod Zborowem, zawarł układ z chanem niezbyt pomyślny, ale zapewniający przynajmniej spokój na czas jakiś Rzeczypospolitej Chmielnicki na mocy układu pozostał nadal hetmanem i miał prawo z niezmiernych tłumów czerni wybrać sobie czterdzieści tysięcy regestrowych, a za to ustępstwo zaprzysiągł wierność i posłuszeństwo królowi i stanom.

— Niechybna to rzecz — mówił Zagłoba — że z Chmielnickim znowu przyjdzie do wojny, ale jeśli tylko buława naszego księcia nie minie, inaczej to wszystko pójdzie...

— Powiedz-że waćpan Skrzetuskiemu najważniejszą rzecz — rzekł, zataczając bliżej koniem, mały rycerz.

— Prawda — rzekł Zagłoba. — Chciałem zaraz od tego zacząć, aleśmy tchu dotąd złapać nie mogli. Nic nie wiesz, Janie, co się po twojem wyjściu stało: że Bohun jest u księcia w niewoli.

Skrzetuski i Kurcewiczówna zdumieli się na tę niespodziewaną wiadomość do tego stopnia, że słowa wyrzec nie mogli — tylko ona ręce otworzyła — i nastała chwila milczenia, poczem dopiero Skrzetuski spytał:

— Jakto? jakim sposobem?

— Palec w tem Boży — odpowiedział Zagłoba — nic innego, jeno palec Boży. Układ już był zawarty, i wychodziliśmy właśnie z tego zapowietrzonego Zbaraża, a książę wybiegł z jazdą na lewe skrzydło, pilnować, by orda na wojsko nie napadła... że to oni często układów nie dotrzymują... Wtem nagle wataha z trzystu koni rzuciła się na całą jazdę książęcą.

— Jeden Bohun mógł taką rzecz uczynić! — zawołał Skrzetuski.

— On też to był. Ale nie na zbaraskich żołnierzów Kozakom się porywać. Pan Michał wnet otoczył ich i wysiekł do nogi, a Bohun dwa razy przez niego cięty, poszedł w łyka. Nie ma on szczęścia do pana Michała i sam się już musiał o tem przekonać, gdyż właśnie do trzech razy próbował. Ale on też nie czego innego, jeno śmierci szukał.

— Pokazało się — dorzucił pan Wołodyjowski — że chciał Bohun zdążyć koniecznie z pod Waładynki do Zbaraża, wszelako, że to droga długa, więc nie zdążył, i gdy się dowiedział, że już pokój zawarty, rozum mu się od wściekłości pomieszał i na nic już nie zważał.

— Kto mieczem wojuje, od miecza ginie, bo taka to już jest fortuny odmienność — rzekł Zagłoba. — To jest szalony Kozak i tem szaleńszy, że desperat. Okrutna wrzawa podniosła się z jego powodu między nami i między hultajstwem. Myśleliśmy, że do wojny nanowo przyjdzie, bo książę pierwszy zakrzyknął, że układy złamali. Chmielnicki chciał był Bohuna ratować, ale chan się na niego zawziął, że to powiada: "Moje słowo i moją przysięgę na hańbę podał." I Chmielnickiemu chan wojną zagroził, a do naszego księcia przysłał czausa z oznajmienie, że Bohun jest prywatny zbój — i z prośbą, żeby książę sprawy z tego nie czynił, a z Bohunem postąpił, jak ze zbójem. Podobno też i o to chodziło chanowi, żeby Tatarzy jasyr mogli spokojnie odprowadzić, którego tyle nabrali, że za dwa hufnale chłopa będzie można w Stambule kupić.

— Cóż książę uczynił z Bohunem? — pytał niespokojnie Skrzetuski.

— Kazał, było, książę zaraz palik dla niego zastrugać, ale się

potem rozmyślił i tak powiada: "Skrzetuskiemu go daruję, niechże z nim czyni, co chce." Teraz w Tarnopolu Kozaczysko w podziemiu siedz ; cyrulik mu łeb opatruje. Mój Boże, ileż to razy dusza już powinna była z niego uciec! — Żadnemu wilkowi psi tak skóry nie natarmosili, jako my jemu. Sam pan Michał trzy razy go pokąsał. Ale twarda to sztuka, choć i prawdę rzekłszy, człek nieszczęsny. Niech mu tam kat świeci! Nie mam ja już do niego rankoru, pomimo, iż okrutnie na mnie nastawał, a niewinnie, bo pijałem z nim, pospolitowałem się jak z równym, póki na ciebie córuchno, ręki nie podniósł. Mogłem go też pchnąć w Rozłogach... Ale to już zdawna wiem, że nie masz żadnej wdzięczności na świecie i mało kto dobrem za dobre płaci. Niech go tam!...

Tu pan Zagłoba począł kiwać głową.

— A ty co z nim uczynisz, Janie? — spytał. — Żołnierze mówią, że forysia z niego zrobisz, bo chłop pokaźny, ale nie chce mi się wierzyć, żebyś tak właśnie postąpił.

— Z pewnością tego nie uczynię — odrzekł Skrzetuski. — Wielkiej to fantazyi żołnierz, a że nieszczęsny, tembardziej go żadną chłopską funkcyą nie pohańbię.

— Niech mu Bóg wszystko odpuści — rzekła kniaziówna.

— Amen! — dodał Zagłoba. — Prosi on śmierci jako matki, by go zabrała... i pewnie byłby ją znalazł, gdyby się pod Zbaraż nie spóźnił.

Zamilkli wszyscy nad dziwnemi zmianami fortuny rozmyślając aż w oddaleniu ukazała się Grabowa, w której zatrzymali się na pierwszy popas. Zastal tam huk żołnierzy, wracających ze Zborowa. Przyjechał i pan kasztelan sandomierski, Witowski, który szedł z pułkiem na spotkanie żony, i pan starosta krasnostawski, i pan Przyjemsk — i moc szlachty z pospolitego ruszenia, której tędy droga do domostw wypadała. Dwór w Grabowej był spalony, również jak i wszystkie inne budynki, ale że dzień był cudny, cichy i ciepły, więc nie szukając dachu nad głową, wszyscy rozłożyli się w dąbrowie pod gołem niebem. Przywieziono też i znaczne zapasy jadła i napitków, więc czeladź zaraz wzięła się żywo do przyrządzenia wieczerzy. Pan sandomierski kazał rozbić namioty w dąbrowie dla niewiast i dygnitarzy, i stanął jakby obóz prawdziwy. Rycerstwo kupiło się przed namiotami, chcąc się na kniaziównę i Skrzetuskiego napatrzeć. Inni rozmawiali o minionej wojnie; ci, co nie byli pod Zbarażem, jeno pod Zborowem, wypytywali

żołnierzy książęcych o szczegóły oblężenia — i gwarno było i wesoło, zwłaszcza, że Bóg zdarzył dzień tak piękny.

Wodził więc rej pan Zagłoba między szlachtą, opowiadając po raz tysiączny, jako Burłaja zabił — a Rzędzian między czeladzią, która ucztę przygotowywała. Wszelako upatrzył zręczny pachołek stosowną chwilę i odciągnąwszy Skrzetuskiego kęs na stronę, schylił mu się do nóg pokornie.

— Mój jegomość — rzekł — chciałbym i ja o łaskę jegomości prosić.

— Trudnoby mi było odmówić ci czegokolwiek — odpowiedział pan Skrzetuski — gdyż przez ciebie wszystko co najlepsze się stało.

— Zaraz ja też myślałem — rzekł pachołek — że mi jegomość jakowąś nagrodę obmyśli.

— Mów, czego chcesz?

Pucołowata twarz Rzędziana pociemniała, a z oczu strzeliła mu nienawiść i zawziętość.

— Jednej łaski proszę, niczego więcej nie chcę — rzekł — niech mnie jegomość Bohuna daruje.

— Bohuna? — rzekł ze zdziwieniem pan Skrzetuski. — Cóż ty chcesz z nim uczynić?

— Już ja, mój jegomość, pomyślę, żeby moje nie przepadło i żeby mu z lichwą zapłacić za to, że mnie w Czehryniu pohańbił. Wiem, że jegomość każe go pewnikiem zgładzić — niechże ja mu pierwej zapłacę!

Brwi Skrzetuskiego ściągnęły się.

— Nie może być! — rzekł stanowczo

— O dla Boga! wolałbym był zginąć — zawołał żałośnie Rzędzian. — Na tożem wyżył, by hańba do mnie przyrosła!

— Żądaj czego chcesz — rzekł Skrzetusk — niczego ci nie odmówię, ale to nie może być. Wejdź w siebie, zapytaj ojców, jeśli nie grzeszniej będzie dotrzymać takowej obietnicy, niżeli jej poniechać. Do Boskiej karzącej ręki ty swojej nie przykładaj, aby się zaś i tobie nie dostało. Zawstydź się, Rzędzian! Ten człek i tak Boga o śmierć prosi — a przytem ranny i w łykach. Czemże mu chcesz być — katem? Będzieszli związanego hańbił, albo rannego dobijał? — zaliś Tatar, czy rezun kozacki? Pókim żyw na to nie pozwolę, i nie wspominaj mi o tem.

W głosie pana Jana było tyle siły i woli, że pachołek odrazu stracił wszelką nadzieję, więc tylko rzekł płaczliwym głosem:

— Jak on zdrów, to on i dwóm takim jak ja dałby rady, a jak chory, to mi się mścić nie przystoi — kiedyż ja mu za swoje zapłacę?

— Zemstę zostaw Bogu — rzekł Skrzetuski.

Pachołek usta otworzył, chciał jeszcze coś mówić, o coś się pytać, ale pan Jan odwrócił się i poszedł ku namiotom, przed którymi liczne zebrało się towarzystwo. W środku siedziała pani Witowska, a obok niej kniaziówna, naokół zaś rycerze. Przed nimi nieco pan Zagłoba, stojąc bez czapki, opowiadał tym, którzy byli tylko pod Zborowem, oblężenie Zbaraża. Słuchali go wszyscy, dech w piersiach tamując — twarze mieniły się od wzruszenia i ci, co tam nie byli, z żalem myśleli o tem, że nie byli. Pan Jan siadł koło kniaziówny i wziąwszy jej rękę, do ust przycisnął, a potem wsparli się o ramionami i siedzieli cicho. Słońce chodziło już z nieba — i zwolna czynił się wieczór. Skrzetuski zasłuchał się także, jakby czegoś nowego dla siebie słuchając. Pan Zagłoba obcierał czuprynę i głos jego rozbrzmiewał coraz silniej... Rycerzom świeża pamięć lub imaginacya przywodziła przed oczy te krwawe dzieje: więc widzieli okop, jakby morzem otoczony i wściekłe szturmy; słyszeli wrzaski i wycia, i huk armat i samopałów, widzieli kniazia w srebrnych blachach na okopie — wśród gradu kul... Potem nędzę, głód, owe noce czerwone, w których śmierć krążyła jak złowrogi wielki ptak nad okopem... wyjście pana Podbipięty, Skrzetuskiego... I słuchali wszyscy, czasem oczy wznosząc do góry, lub za głównie szable chwytając, a pan Zagłoba tak skończył:

— Jedna to teraz mogiła, jeden kopiec olbrzymi, a że pod nim nie leży sława Rzeczypospolitej, i kwiat rycerstwa, i książę wojewoda, i ja, i my wszyscy, których lwami zbaraskimi sami Kozacy nazywają — on to sprawił!

To rzekłszy, pan Zagłoba wskazał Skrzetuskiego.

— Jako żywo, tak jest! — wykrzyknęl Marek Sobieski i pan Przyjemski.

— Sława mu! cześć! dziękowanie! — poczęły wołać silne głosy rycerskie. — Vivat (niech żyje) Skrzetuski! Vivat młoda para! Niech żyje bohater! — wołano coraz silniej.

Uniesienie ogarnęło wszystkich zebranych. Jedni biegli po kielichy, drudzy rzucali czapki w górę. Żołnierze poczęli dźwięczeć szablami — i w krótce uczynił się jeden ogólny gromki okrzyk:

— Sława! sława! niech żyje! niech żyje!

Skrzetuski, jak prawdziwy rycerz chrześciański spuścił pokornie

głowę — ale kniaziówna wstała, strząsnęła warkocze, rumieńce biły jej na twarz, a z oczu strzelała duma, bo ten rycerz miał być jej mężem — a sława męża pada na żonę, jak światło słońca na ziemię.

Późną już nocą rozjechali się zgromadzeni we dwie strony. Państwo Witowscy, pan Przyjemski i starosta kranostawski pociągnęli z pułkami w stronę Toporowa, a Skrzetuski z kniaziówną i chorągwią Wołodyjowskiego do Tarnopola. Noc była tak pogodna, jak i dzień. Roje gwiazd świeciły na niebie. Księżyc wzeszedł, oświecił pokryte pajęczyną pola; żołnierze poczęli śpiewać; potem wstały białe opary z łąk i uczyniły z okolicy jedno olbrzymie jezioro, oświetlone blaskiem księżyca.

W takąto noc wychodził niegdyś Skrzetuski ze Zbaraża i w taką noc teraz czuł bicie serca Kurcewiczówny przy swojem.

EPILOG.

Lecz tragedya dziejowa nie zakończyła się ani pod Zbarażem, ni pod Zborowem, a nawet nie zakończył się tam jej akt pierwszy. We dwa lata później zerwała się znów cała kozaczyzna do boju z Rzecząpospolitą. Wstał Chmielnicki, silniejszy niż kiedykolwiek, a z nim szedł chan wszystkich ord — ci sami wodze, którzy pod Zbarażem stawali: więc dziki Tuhaj-bej, i Urum-murza, i Artimgirej, i Nuradyn, i Gałga, i Amurad, i Subagazi. Słupy pożarów, jęki ludzkie szły przed nimi — tysiące wojowników pokrywały pola, napełniały lasy, pół miliona ust wydawało okrzyki wojenne — i zdawało się ludziom, że przyszedł ostatni kres na Rzeczpospolitą.

Lecz i Rzeczpospolita przebudziła się z odrętwienia, zerwała z dawną polityką kanclerza, z układami, z paktowaniem. Już było wiadomo, że tylko miecz dłuższy spokój zapewnić może, więc gdy król ruszył przeciw nieprzyjacielskiej powodzi, szło z nim sto tysięcy wojska i szlachty, prócz mrowia ciurów i czeladzi.

Nikogo nie brakło z osób, wchodzących do niniejszego opowiadania. Był książę Jeremi Wiśniowiecki z całą swą dywizyą, w której po staremu służyli Skrzetuski i Wołodyjowski z wolentarzem Zagłobą; byli i obaj hetmani, Potocki i Kalinowski, czasu tego już z niewoli tatarskiej wykupieni. Był i pułkownik Stefan Czarniecki, późniejszy szwedzkiego króla Karola Gustawa pogromca, i pan Przyjemski, który wszystką armatą dowodził, i generał Ubald, i pan Arciszewski, i pan starosta krasnostawski, i brat jego starosta jaworowski, późniejszy król Jan III, i Ludwik Weyher, wojewoda pomorski, i Jakób wojewoda malborski, i chorąży Koniecpolski i książę Dominik Zasławski, i biskupi, i dygnitarze koronni, i senatorowie, cała Rzeczpospolita, z naczelnym wodzem królem.

Na polach Beresteczka spotkały się wreszcie owe krociowe zastępy i tam to stoczono jednę z największych bitew w dziejach świata, której odgłosem brzmiała cała ówczesna Europa.

Trwała ona trzy dni. Przez pierwsze dwa ważyły się losy — w trzecim przyszło do walnego boju, który przeważył zwycięstwo. Rozpoczął ów bój książę Jeremi.

I widziano go na czele całego lewego skrzydła, jak bez zbroi, z

gołą głową, gnał jak wicher po polu na olbrzymie zastępy, złożone ze wszystkich konnych mołojców zaporoskich, ze wszystkich Tatarów krymskich, nohajskich, białogrodzkich, z Turkow sylistryjskich i rumelskich, z urumbałów, janczarów, Serbów, Wołochów, peryerów i innych dzikich wojowników, zebranych od Uralu, morza Kaspijskiego i błot Meockich aż do Dunaju.

I jak rzeka ginie z oczu w spienionych nurtach morskich, tak zginęły z oczu pułki książęce w tem morzu nieprzyjaciół. Chmura kurzawy wstała na równinie, niby rozszalała trąba powietrzna, i zakryła walczących.

Patrzało na ten nadludzki bój całe wojsko — i król, a podkanclerzy Leszczyński wzniósł drzewo Krzyża Świętego i błogosławił niem ginących.

Tymczasem, z drugiego boku zachodził wojsku królewskiemu cały tabóz kozacki, liczący dwieście tysięcy ludzi, najeżony armatami, ziejący ogniem, nakształt smoka, wysuwającego powoli z lasów olbrzymie swe kłęby.

Lecz nim wysunął się ich ogrom z owej kurzawy, w której zginęły pułki Wiśniowieckiego, poczęli wypadać jeźdźcy, potem ich dziesiątki, potem setki, potem tysiące, potem dziesiątki tysięcy — i pędzić ku wzgórzom, na których stał chan, otoczony przez wyborowe swe gwardye.

Dzikie tłumy uciekały w szalonym popłochu i bezładzie — pułki polskie gnały za nimi.

Tysiące mołojców i Tatarów zasłały pobojowisko, a między nimi leżał rozciągnięty koncerzem na dwoje zakamieniały wróg Lachów, a wierny Kozaków sojusznik, dziki i mężny Tuhaj-bej.

Straszliwy książę tryumfował.

Lecz król spostrzegł okiem wodza tryumf książęcy i postanowił znieść ordy, nim tabor nadciągnie.

Ruszyły wszystkie wojska, huknęły wszystkie działa, roznosząc śmierć i zamieszanie; wnet brat chanowy, wspaniały Amurat, padł uderzony kulą w piersi Zawrzały boleśnie ordy. Przerażony i ranny z samego początku bitwy, chan spojrzał na pole. Zdala, wśród dział i ognia, szedł pan Przyjemski i sam król z rajtaryą a z boków huczała ziemia pod ciężarem biegnącej do boju jazdy.

Wówczas zadrżał Islam-Girej — i nie dotrzymał pola, i pierzchnął,

a za nim pierzchnęły bezładnie wszystkie ordy, Wołosza, i urumbałowie, i konni mołojcy zaporoscy i Turcy sylistryjscy i poturczeńcy, jako chmura pierzcha przed wichrem.

Uciekających dopędził zrozpaczony Chmielnicki, chcąc błagać chana, aby do bitwy powrócił — lecz chan ryknął na jego widok z gniewu, wreszcie kazał go Tatarom uchwycić, przywiązać do konia, i porwał z sobą.

Teraz pozostał tylko tabor.

Dowódca taboru, pułkownik kropiweński, Dziedziała, nie wiedział co się z Chmielnickim stało, lecz widząc klęskę i haniebną ucieczkę wszystkich ord — wstrzymał pochód i cofnąwszy się z taborem, usadowił się w bagnistych widłach Pleszowy.

Tymczasem burza zerwała się na niebie i lunęły niezmierne potoki deszczu. "Bóg ziemię obmywał po sprawiedliwej bitwie."

Dżdże trwały kilka dni i kilka dni odpoczywały królewskie wojska, zmęczone poprzedniem bitwami przez ten czas tabór opasywał się wałami i zmienił się w olbrzymią ruchomą fortecę.

Z powrotem pogody rozpoczęło się oblężenie — najdziwniejsze, jakie kiedykolwiek w życiu widziano.

Sto tysięcy królewskiego wojska oblegało dwukroćtysięczną armię Dziedziały.

Królowi brakło armat, żywności, amunicyi — Dziedziała miał nieprzebrane zasoby prochów, wszelkich zapasów, a oprócz tego siedmdziesiąt cięższych i lżejszych armat.

Ale na czele królewskich wojsk stał król — Kozakom brakło Chmielnickiego.

Wojska królewskie były ożywione świeżem zwycięstwem — Kozacy zwątpili o sobie.

Minęło kilka dni — nadzieja powrotu Chmielnickiego i chana znikła.

Wówczas rozpoczęły się rokowania.

Przyszli do króla pułkownicy kozaccy i bili mu czołem, prosząc zmiłowania, obchodzili namioty senatorów, czepiali się sukni, przyrzekając choćby z pod ziemi wydostać Chmielnickiego i oddać go królowi.

Serce Jana Kazimierza nie było obce litości — chciał puścić do

domów czerń i wojsko, byle wydano mu wszystką starszyznę, którą postanowił zatrzymać, aż do chwili wydania Chmielnickiego.

Lecz taki właśnie układ nie był po myśli starszyznie, która za ogrom swych występków nie spodziewała się przebaczenia

Więc w czasie układów trwały bitwy, rozpaczliwe wycieczki, i codziennie lała się obficie krew polska i kozacka.

Mołojcy w dzień walczyli z odwagą i zaciekłością rozpaczą, lecz nocą chmary ich całe wieszały się pod obozem królewskim wyjąc ponuro o miłosierdzie

Dziedziała skłania się do układów sam chciał ponieść w ofierze głowę swą królowi, byle wykupić wojsko i lud

Jednakże rozruchy powstały w kozackim obozie. Jedni chcieli się poddawać, inni bronić do śmierci; wszyscy zaś przemyśliwali, jakby się wymknąć z taboru

Ale najodważniejszym wydawało się to niepodobieństwem.

Tabor otoczony był widłami rzeki i olbrzymiemi bagnami. Bronić się w nim można było całe lata, ale do odwrotu jedna tylko droga stała otworem — przez wojska królewskie.

O tej drodze nikt nie myślał w taborze

Układy przerywane bitwami wlokły się leniwo; rozruchy w tłumach kozackich stawały się coraz częstsze. W jednym z takich rozruchów zrzucono z dowództwa Dziedziałę i obrano nowego wodza.

Nazwisko jego wlało nową odwagę w upadłe dusze kozacze — i odbiwszy się gromkim echem w obozie królewskim, rozbudziło w kilku sercach rycerskich zatarte wspomnienia przebytych bólów i nieszczęść.

Nowy wódz zwał się Bohun.

Już poprzednio wysokie on zajmował stanowisko między kozactwem w radzie i boju. Głos powszechny wskazywał go, jako następcę Chmielnickiego...

Bohun, pierwszy z kozackich pułkowników, stanął razem z Tatarami pod Beresteczkiem na czele pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Brał udział w trzechdniowej bitwie jeźdźców — i pogromiony razem z chanem i ordami przez Jeremiego, zdołał wyprowadzić z pogromu większą część swych sił i znaleść schronienie w tabo-

rze. Teraz po Dziedziale, partya nieprzejednanych oddała mu naczelne dowództwo, ufając, że on jeden potrafi uratować tabor i wojsko.

I istotnie młody wódz ani chciał słyszeć o układach — pragnął bitwy i krwi przelewu, choćby w tej krwi i sam miał utonąć.

Lecz wkrótce przekonał się, że z tymi zastępami nie można było już myś eć o przejściu zbrojną ręką po trupach królewskiego wojska — więc chwycił się innego sposobu.

Historya zachowała pamięć tych bezprzyk'adnych usi'owań, które wspó czesnym wydawały s:ę godnem: olbrzyma, które mogły były ocalić wo sko czerń.

Bohun postanowił przejść przez bezdenne bagna Pleszowej, a raczej zbudować przez te bagna tak most, by po n'm mogli przejść wszyscy ob ężeni. W ęc asy całe poczęły padać pod siekierami Kozaków, toną w błotach; rzucano w n:e wozy, nam:oty, kożuchy, świty — i most przedłuża się z dniem każdym.

Zdawa!o s:ę, że d'a tego wodza niemasz nic n:epodobnego.

Kró zwłóczył szturm, n'e chcąc prze'ewu krwi, lecz widząc te olbrzymie roboty, poznał, ż n'ema inne rady i kaza otrąbić w wojsku, by s ę na wieczór gotowano do ostateczne rozprawy.

Nikt nie wiedział o tym zamiarze w taborze kozack m — most przedłużał s:ę jeszcze całą noc poprzedn:ą rank'em zaś Bohun wyjechał na cze!e starszyzny obejrzeć roboty.

Było to w poniedz:ałek, s:ódmego lipca 1651 roku. Ranek dnia tego wstał blady, jakby przerażony, zorze na wschodzie były krwawe, słońce zeszło rude, chorobliwe, krwawy jak'ś odblask ośw:eca! wody lasy.

Z obozu polskiego wyganiano konie na paszę tabor kozacki szumia! g!osami rozbudzonych ludzi. Porozpalano ogn:ska i gotowano strawę poranną. Wszyscy widzieli odjazd Bohuna, jego orszaszaku i :dące za n'm jazdy, z pomocą które wódz chciał spędzić wojewodę bracławsk:ego, zajmującego tyły taboru psującego z armat roboty kozackie.

Czerń patrzała na odjazd spokojnie, a nawet z otuch:ą w sercu. Tysiące odprowadzały młodego wojownika, tysiące ust mówiły za nim:

— Boże cię błogosław, sokole!

Wódz, orszak jazda oddalając się zwolna, od taboru, doszli do brzegu lasu, mignęl jeszcze raz w porannem słońcu poczęli się zasuwać za haszcze.

Wtem jakiś straszny, przeraźliwy głos zakrzyknął, a raczej zawył przy bramie taboru:

— Lude spasajtes!

— Starszyzna ucieka! — krzyknęło naraz kilkanaście głosów.

— Starszyzna ucieka! — powtórzyło setki tysiące ludzi.

Szmer poszedł przez tłumy, jak kiedy wicher uderzy w bór — i naraz krzyk okropny, nieludzki, wyrwał się z dwukroćstotysięcznej gardzie i;

— Spasajtes! spasajtes! Lachy! Starszyzna ucieka!

Masy ludzkie wezbrały naraz, nakształt, rozszalałego potoku. Zdeptano ogniska, poprzewracano wozy, namioty, rozerwano ostrokoły; ściskano się, duszono. Straszliwa panika poraziła obłędem wszystkie umysły. Góry ciał zatamowały wnet drogę — więc deptano po trupach wśród ryku, zgiełku, wrzasku, jęków. Tłumy wylały się z majdanu, wpadły na pomost, spychały się w bagna, tonący chwytali się w konwulsyjne uściski wyjąć do nieba o miłosierdzie, zapadali się w chłodne, ruchome błota. Na pomoście wszczęła się bitwa i rzeź o miejsca. Wody Pleszowej zapełniły się ciałami. Nemezys dziejowa spłacała straszliwie za Piławce Beresteczkiem.

Wrzaski okropne doszły do uszu młodego wodza i wnet zrozumiał, co się stało. Lecz napróżno zawrócił w tej chwili do taboru, napróżno leciał naprzeciw tłumom ze wzniesionemi do nieba rękoma. Głos jego zginął w ryku tysięców — straszliwa rzeka uciekających porwała go razem z koniem, orszakiem i całą jazdą — i niosła na zatracenie.

Wojska koronne zdumiały sę na widok tego ruchu, który zrazu wielu za jakiś atak rozpaczliwy poczytało—lecz oczom trudno było nie uwierzyć.

W kilka chwil później, gdy zdziwienie przeszło, wszystkie chorągwie, nie czekając nawet rozkazów, ruszyły na nieprzyjaciela, a w

przedzie szła jak wicher, chorągiew dragońska, na której czele leciał mały pułkownik z szablą nad głową.

I nastał dzień gniewu, klęski i sądu.. Kto nie był zduszon, lub się nie utopił, szedł pod miecz. Spłynęły krwią rzeki tak, że nie rozpoznałeś, czy krew, czy woda w nich płynie. Obłąkane tłumy jeszcze bezładniej zaczęły się dusić i spychać w wodę, topić... Mord napełnił te okropne lasy i zapanował w nich tem straszliwiej, że potężne wataha poczęły się bronić ze wściekłością. Toczyły się bitwy na błotach, w kniejach, na polu. Wojewoda bracławski przeciął odwrót uciekającym. Próżno król rozkazywał powstrzymać żołnierzy. Litość zgasła — i rzeź trwała aż do nocy, rzeź taka, jakiej najstarsi nie pamiętali wojownicy, i na której wspomnienie włosy stawały im później na głowach.

Gdy wreszcie ciemności okryły ziemię, sami zwycięzcy byli przerażeni swem dziełem. Nie śpiewano "Te Deum" nie łzy radości, lecz łzy żalu i smutku płynęły z dostojnych oczy królewskich.

Tak rozegrał się akt pierwszy dramatu, którego autorem był Chmielnicki.

Lecz Bohun nie złożył razem z innymi głowy w tym dniu straszliwym. Jedni mówili, że, spostrzegłszy klęskę, pierwszy ratował się ucieczką; inni, że ocalił go pewien rycerz znajomy. Prawdy nikt nie mógł dociec.

To tylko pewne, że w następnych wojnach częstokroć wypływało jego nazwisko między nazwiskami najsłynniejszych wodzów kozackich. Postrzał z jakiejś mściwej ręki dosięgnął go w kilka lat później, lecz i wówczas nie przyszedł na niego kres ostatni. Po śmierci księcia Wiśniowieckiego, który z trudów wojennych umarł, gdy państwo łubniańskie odpadło od Rzeczypospolitej, Bohun zawładnął większą częścią jego obszarów. Mówiono, że w końcu i Chmielnickiego nie chciał uznawać. Sam Chmielnicki złamany, przeklinany przez własny lud, szukał protekcyi postronnych, dumny zaś Bohun odrzucał wszelką opiekę i gotów był szablą swobody swej kozaczej bronić.

Mówiono także, że uśmiech nie postał nigdy na ustach tego szczególnego człowieka. Mieszkał nie w Łubniach, ale w wiosce, którą z popiołów odbudował i która zwała się Rozłogi. Tam też podobno umarł.

Wojny domowe przeżyły go i ciągnęły się jeszcze długo. Przyszła potem zaraza i Szwedzi Tatarzy stale prawie gościli na Ukrainie, zagarniając tłumy ludu w niewolę Opustoszała Rzeczpospolita, opustoszała Ukraina Wilcy wyli na zgliszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec. Nienawiść wrosła w serca i zatruła krew pobratymczą.

KONIEC.

[2.00]

str. [illegible] 300, [illegible]

po str. 300 każdy rozdział powinien
być jeden numer wyższy niż jest.
Lit. przetłómaczenie Cortina!

40

po dezynfekcji

WAŻNA ROCZNICA

Dziennik Chicagoski pisze:

Na rok bieżący przypada bardzo wielkiej doniosłości rocznica literacka. Mija właśnie 50 lat jak w roku 1884 ukazało się największe dzieło literackie „Ogniem i Mieczem" Henryka Sienkiewicza, wspaniały wstęp i pierwsze ogniwo niezapomnianej „Trylogii".

Starsza generacyi pamięta doskonale i wspomina z żywem zwruszeniem narodziny tego arcydzieła i nieopisane wrażenie, jakie mistrzowski utwór ten wywołał.

Nie było książki polskiej, któraby się kiedykolwiek przedtem spotkała była z takiem entuzyazmem i wydobyła z piersi taki zbiorowy okrzyk uwielbienia, jako to olbrzymie dzieło.

„Trylogia" była wyrazem tęsknoty narodu za bohaterskim Czynem wyzwolenia, a że przeżywał okres najbrutalniejszych represyi rosyjskich i polityki germanizacyjnej, arcydzieło sienkiewiczowskie było w całem tego słowa znaczeniu — prawdziwem „pokrzepieniem serc".

I aby mu nie dać zwątpić i osunąć się na dno rozpaczy, roztaczał przed narodem wielki pisarz obraz najboleśniejszej epoki z jego dziejów, — wiek prywaty, zdrady, upadku ducha i klęsk, i wykwitający z tego odmętu znienacka cudny kwiat miłości kraju, poświęcenia i bohaterstwa.

Nieśmiertelni rycerze dzieł Sienkiewicza, budzili entuzyazm w sercach starych i młodych.

Oby dzieła Sienkiewicza znalazły się w każdym domu polskim.

mniejsza też siły narodu.

Dlatego też wszystkie e[illegible] migracye starają się pod[illegible] trzymać swój kontakt z Ma[illegible] cierzą i nikt im za złe ni[illegible] bierze tego, iż się nie po[illegible] zwalają zarzynać bez noża. Na tem tle zrodził się po[illegible] mysł Światowego Związku Polaków. OCT 4 1934

Żydzi za swój punkt cen[illegible] tralny obrali Palestynę i w imię jej się łączą. Włosi a[illegible] się zachłystują w Amery[illegible] swoją Italią, Irlandczycy choć to naród upośledzony przez to, że zapomniał wła[illegible] snego języka, roznoszą sła[illegible] wę swojej ojczyzny po wszystkich zakątkach Sta[illegible] nów, a Polacy do niedawna tak byli oddani idei podtrzy[illegible] mywania więzów z krajem ojców, że nawet dzieci swo[illegible] je na wojnę do polskiego wojska wysyłali. Nikt im tego za złe nie brał i każdy chylił głowę przed ich miło[illegible] ścią starej ojczyzny.

Naraz teraz inny wiatr powiał i cały szereg pism tutejszych (polskich) odże[illegible] gnuje się niemal od Polski zapewniając, że nie ma [illegible] nią nic wspólnego, oprócz zwykłej sympatyi, jak do jakiejś starej, nieznanej ciotki. KP

Rozpętała się ta historya zaraz po nadejściu do Ame[illegible] ryki wiadomości o stanowi[illegible] sku delegacyi polskiej ze

---

ława Łukaszkiewicza, znanego tutaj dziennikarza, który po dłuższym pobycie w Polsce, — powrócił ostatnio na stare pie[illegible] lesze. OCT 4 1934

Najciekawsze części tej ko[illegible] respondencyi p. Łukaszkiewi[illegible] cza umieszczamy poniżej dla lepszej oryentacyi naszych czytelników. KP Milw

W powodzi artykułów dziennikarskich, jakie się u[illegible]